BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/42

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1851.

Tom drugi.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLII.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąpskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.
1851.

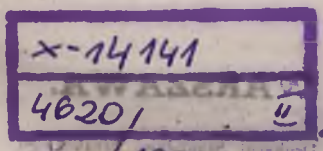
4620. 1851. 2
T.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.





30.000/-



POSZUKIWANIA

DO HISTORYI ROLNICTWA KRAJOWEGO.

Część piérwsza.

Podział ziemi pod względem rolniczym.— Mała uprawa; system kolonizacyjny i czynszowy.— Wzrost kraju i ludności w wieku XIV i XV. — Zmiana systematu rolniczego w wieku XVI. Folwarki i latifundia.— Skutki tej zmiany.— Zebranie.

Kiedy patrzymy na daleki krajobraz, mglista powłoka zakrywa nam wszystkie przedmioty, zaledwie dozwalając oku wielkie oddziały mass od siebie rozróżnić. W miarę zbliżania się, wydatniejsze przedmioty wychodzą coraz wyraźniéj: w blizkich tylko rozróżnia się wszystkie szczegóły. Tak samo w historyi: piérwsze jéj epoki rysują się mglisto i niewyraźnie; późniéj spostrzega się ważniejsze wypadki publiczne i znakomitsze postaci historyczne: szczegóły zjawiają się naostatku. W uporządkowaném, rozwiniętém społeczeństwie myśléć dopiéro można o zabytkach piśmiennych, któreby wskazywały, czém był w jakim kraju przemysł, handel, rolnictwo.

Zwykle piérwsi na widowni piśmiennictwa zjawiają się kronikarze, którzy ważniejsze fakta, dzieła ludzi znakomitych, daty zapisują, nie wglądając w przyczyny i skutki. Rzadko który z nich, i to obojętnie spojrzy i zatrzyma się nad układem wewnętrznym społeczeństwa i państwa. Późniéj dopiéro powstają inne pomniki piśmienne: akta, umowy, nadania; daléj księgi praw i uchwał; historycy głębiéj już na wypadki, ludzi, na przyczyny i skutki faktów dziejowych zapatrujący się. Nareszcie ze wzrostem oświecenia, piśmiennictwo się rozgałęzia, prawodawstwo rozwija, gromadzą archiwa. Wszystkie szczegóły życia wewnę-

trznego: wychowanie, sztuki, przemysł, stan rolnictwa i oświaty stają się jawniejsze i dostępniejsze dla potomności.

Tak działo się wszędzie, tak było i u nas. Dlatego w piérwszych naszych kronikarzach zaledwie ślady, zaledwie napomknienia można napotkać, naprowadzające na domysły, jak była zamieszkana i rozdzielona ziemia, jakie klassy i różnice ich posiadaczy, czém była ludność rolnicza lub samo rolnictwo. Dopiéro dyplomata i księgi praw późniejsze, rozjaśniają nieco, choć i tak jeszcze niedokładnie, ten przedmiot.

Nie można przecież powziąć wyobrażenia o stanie rolnictwa w jakiéjbądź epoce, jeżeli podział ziemi, rodzaje posiadłości, warunki posiadania, ciężary do niego przywiązane, nie są wiadome. Ziemia jest warsztatem rolniczym; obszerność lub szczupłość jego, swoboda lub ograniczenie w rozporządzaniu nim, są jednym z ważnych warunków takiego lub innego położenia rolnictwa. Sam nawet stosunek posiadłości większych do mniejszych, ważną odgrywa rolę w ekonomice ziemiańskiéj.

Jeżeli same wielkie posiadłości wyłącznie zajmują ziemię, można przypuszczać, że kraj taki produkuje wiele zboża na handel; że się zajmuje chowem licznych stad; że przy wzroście przemysłu i kapitałów może wysoko podnieść produkcyą z ziemi i zaprowadzić wszystkie ulepszenia i oszczędzenia pracy, korzystne dla rolnictwa i właściciela. Ale można nawzajem i to przewidzieć, że ludność rolnicza jest tam nieliczna i niezamożna; że targ wewnętrzny jest ubogi, a tém samém: że stan miast i fabryk kwitnący być nie może, jeżeli te nie zdołały sobie wyrobić wielkiego targu i pola obszernego dla swéj działalności zewnątrz kraju.

Jeżeli ziemia jest rozdrobniona na cząstkowe same posiadłości, można się domniemywać, że kraj ten, lub prowincya ta, wiele produkuje i wiele konsumuje, przeto mało na handel wysyła; że jego lub jéj targ wewnętrzny jest ożywiony; że mnóstwo rzemiosł tam kwitnie; że miasta są częste i ludne. Można być pewnym, że się tam nie spotka wydoskonalonych ras inwentarza, skracających robotę maszyn i naukowych metod rolniczych. Praca, zabiegłość z obawy głodu i ofitość rąk, zastępują miejsce tamtych. Ale jeżeli do takich okolic zakradnie się zaraza próżniactwa i niemoralności, stają się siedliskiem pauperyzmu, czyli nędzy i głodu. Chwile przeludnienia stają się nieraz przyczyną przesileń, którym niezawsze roztropna administracya zapobiedz jest w stanie.

Gdzie wreszcie ziemia według natury swéj, położenia, swobodnego biegu rzeczy i naturalnych stosunków, rozdziela się w mniejsze i większe posiadłości; gdzie instytucye lub obyczaje strzegą od obudwóch ostateczności, tojest rozdrobnienia i zbytecznego skupienia: tam można z pewnością przewidywać pewną równowagę, przyjazną zarówno ludności, przemysłowi i rolnictwu. Tam rolnictwo nie wywozi zawiele kosztem własnéj ludności i bogactwa wewnętrznego, ani kraj nie przeludnia się pod groźbą głodu i przesileń społecznych. Tam i wiele rąk znajduje zatrudnienie, i wszystkie teorye ważne dla rolnictwa, a niepodobne do zastosowania na małych cząstkach, znajdują dla siebie miejsce. Targ wewnętrzny kwitnie i produkcya się powiększa. Maszyny ułatwiające skrócenie i oszczędzenie pracy, nie wywołują dzikich zemst: jest miejsce swobodne dla pracy, przemysłu, dla kapitałów i rąk.

Mając więc dany w jakiéj epoce lub miejscu podział ziemi i rozróżnienie rodzajów posiadłości, możnaby z tego samego do pewnego stopnia wnioskować o położeniu i stosunkach rolnictwa. Możnaby wnioskować o produkcyi, wywozie, przewadze jednych gałęzi gospodarstwa nad drugiemi, chowie stad, liczbie i zamożności ludności rolniczéj, o targu wewnętrznym, liczbie warsztatów i zamożności miast.

Jednakże podział ziemi pod względem rolniczym i zmiany w tym względzie z koleją czasów zachodzące, jestto tylko cząstka obrazu historycznego rolnictwa. Wiele innych okoliczności może wpływać na jego stosunki i położenie, modyfikować następstwa z takiego lub innego podziału ziemi wynikające. I tak: stosunki wzajemne osób i klass, prawa, oświata, stosunki handlowe zewnętrzne; pomyślne i długie lata pokoju, wojny lub długie burze i wstrząśnienia wewnętrzne; same nawet obyczaje i stan moralny ludności, nietylko wpływ wywierają na wznoszenie się, upadek, kwitnienie lub cofanie ogólnego bytu jakiego kraju, a tém samém jego rolnictwa, ale często są powodem zmian w stosunkach rolniczych; zmian w samym nawet podziale ziemi, na lepsze lub gorsze. Mógłby się więc bardzo pomylić, ktoby a priori z danego podziału ziemi i zmian w téj mierze zachodzących, chciał dzieje rolnictwa wyprowadzać, pomijając wszystkie inne względy. Zawsze jednakże materya ta zajmuje ważne miejsce w rozpoznaniu i obejrzeniu stanu pierwotnego i biegu następnego rolnictwa krajowego. Jako materya przygotowawcza, ułatwia rozpoznanie gło-

wnéj, objaśnia ją i tłumaczy; na nią więc najpiérwéj zwrócimy uwagę.

I.

Z pierwotnych dziejów naszych powziąć nie można dokładnego wyobrażenia o stosunkach co do ziemi. Gruba zasłona czasu pokrywa te części dziejów naszych wewnętrznych. To tylko pewna, że już wówczas ziemia rozdzielała się na liczne posiadłości mniejsze i większe, jużto w ręku monarchy, jużto duchowieństwa, jużto panów, szlachty i rycerstwa, a na tych i wśród tych mieścił się lud rolniczy pod różnemi obowiązkami. W jakich stosunkach, w jakich rozległościach? — trudno o tém szukać śladu. W kraju puszczami okrytym, nad których wytępieniem długo potém jeszcze pracowano, wyrabiały się stosunki rolnicze z wzrostem potęgi i ludności. Potrzeby, okoliczności, jak wszędzie tworzyły stosunki wewnętrzne; zwyczaje utwierdzały się; sankcya prawa później je uświęcać, historya później je zbiérać i notować przychodziła.

Od najdawniejszych zdaje się czasów pochodzi zwyczaj zakładania rolniczych posad gromadnie, tojest wsiami. W téj postaci zjawiają się wszystkie, w miarę przybywania i mnożenia się świadectw historycznych. W XII i XIII wieku spotykamy już niektóre nazwiska wsi i osad, które do dziś dnia jeszcze zachowały. Z wielu nadań i świadectw pokazuje się, iż chętnie zakładano je nad brzegami wód, strumieni lub jezior. W takich osadach lub wsiach dzieliła się ziemia na pługi, które późniéj nazwę łanu, *mansio*, *mansus* przybrały. Pług jest najdawniejszym podziałem ziemi; przez to rozumié się część roli, którą jeden człowiek parą wołmi obrobić może. Już Helmold świadczy, iż w słowiańskiéj ziemi od pługa płacono podatek. Bogufał pod r. 1232 mówi: *a quolibet aratro duo mensurae.* Długosz i Kromer mówią już o podatkach z łanu, a Bielski raz tego, drugi raz tego wyrazu bez różnicy używa. Pierwotnie pług, późniejszy łan, był zwykłą jednostką w miarze ziemi i najczęściéj osadą rolnika czyli kmiecia. Z łanu ustanawiane były powinności, na łany nakładane podatki, łanami naznaczana ziemia na zakładać się mające osady.

Takie wsi z większéj lub mniejszéj ilości osadników, na mniejszych lub większych rozległościach, pod temi lub innemi warunkami osadzanych złożone, były dziedzictwem lub zostawały pod zwierzchnictwem monarchy, panów duchownych lub świe-

ckich i rycerstwa. Do tych wsi łączyły się często puszcze, pastwiska, wody, nieużytki w większych lub mniejszych rozległościach.

W takich ogólnych rysach przedstawia nam się stan kraju, aż do końca XII wieku. W XIII wieku zaczyna się ten jednostajny obraz urozmaicać i zbogacać wielu szczegółami: częścią, że bieg czasu nowe przyniósł w nim zmiany i urozmaicenia, częścią, że liczba i ważność materyałów historycznych, pozwalają dokładniéj obejrzéć drobniejsze szczegóły, których wprzód dostrzedz nie było podobna. Jakoż z licznych dyplomatów i nadań z owéj epoki widzimy, że w naturze i rozległościach posiadłości ziemskich, panowała wielka rozmaitość. Pomimo hojnego rozdawnictwa, liczne włości, ziemie i puszcze zostawały jeszcze w ręku panujących. Duchowni i klasztory przez darowizny, zapisy, kupna, korzystne zamiany, gromadzili coraz liczniejsze posiadłości. W ręku niektórych panów świeckich, skupiały się zbiegiem okoliczności liczne niekiedy imiona (1). Ale pomimo i obok tego napotykamy liczne ślady średnich, a nawet małych własności, odmiennéj natury jak posiadłości kmiece. Nietylko spotykamy wsi małych rozmiarów, ale te jeszcze, równie jak większe, dzielone bywały częstokroć na połowiczne i mniejsze nieraz części (2). Oprócz tego to darowizną, to sprzedażą powstawały w nich osady pojedyncze, dziedziczne, wolne, to z pojedynczéj włóki, to z kilku lub z kilkunastu złożone (3). Często spotykamy, że takie części (sortes) dziedziczne, bywały zastrzegane przy sprzedaży lub darowiznie (4). W niektórych dyplomatach, łany nadawane zowią łanami wolnemi (5). W innych wymieniane są łany kmiece dziedziczne i wyjęte od sprzedaży lub darowizny całości dóbr lub włości. Z czego jednakże wnosić nie można, iżby dziedzictwo kmieci, było powszechnym stanem prawnym; owszem, samo zastrzeżenie dowodzi, iż to było wyjątkiem. Wszystkim było wolno nabywać

(1) Comes Bronisius w r. 1234 darował klasztorowi paradyskiemu dziewięć wsi.

(2) Kodex. dyp. war. n. 60 T. II pod r. 1295. Tamże n. 265 r. 1338. Kod. dyp. Wiel.-polski. NN. 10. 11, 56, 61.

(3). Kod. Dyp. war. T. II N. 157. Tamże 169—Kod. D. Wielkp. N. 77.

(4) K. D. Wielkp. n. 10.

(5) Comes Wojciech de Lubolów kasztelan zbąszyński r. 1293 służebnemu 16 łanów *wolnych*. Włady. Kujaw. r. 1295 służebnemu Wilczkowi 2 łany *wolne* w Wielkiéj wsi pod miastem Szadkiem i w t. p.

na własność ziemię; mógł ją kupić lub być nią nadanym zarówno kmieć, jak każdy inny mieszkaniec kraju. Królowie i książęta nie szczędzili rozdawnictwa ziemi, bo kraj nie był dostatecznie zaludniony, a stosownie do prawa rycerskiego, wzrastała przez to liczba żołnierzy, do obrony kraju obowiązanych. Nie szczędzili i dlatego, że z pomnożeniem ludności, wzrastały pomyślność i bogactwa kraju. Kazimiérz W. w r. 1346 w przywileju dozwalającym Teodorykowi Sturm (K. dyp. Rzysz. n. 113) założyć wieś nad rzeką Lipnik, mówi: *Quod cupientes utilitates regni nostri augere et facere de silvis et nemoribus, de quibus nulla penitus utilitas nobis proveniebat.* Mnożyły się więc średnie i drobne własności, przez nadania, kupna i podział ziemią w naturze przy rozradzaniu się rodzin, jak tego liczne napotykamy ślady w dyplomataryuszach.

Jednocześnie zjawił się i upowszechnił nowy sposób osadzania włości, i dał początek nowego rodzaju osadom i nowego rodzaju drobnym własnościom. Aby zaradzić brakowi ludzi, który sprowadziły ciągłe zamieszki wewnętrzne i napady sąsiednich ludów, będące wówczas prawdziwemi razziami na ludzi; poczęto przenosić włości pod prawo niemieckie, lub na témże prawie osadzać nowe. Ulegająca temu nowemu prawu ludność, wolną była od sądów kasztelańskich, od licznych obowiązków osobistych i danin w naturze, z prawa polskiego wymagalnych, a natomiast opłacała czynsze, składała sepy i sądziła się przez miejscowych sołtysów albo własnych panów duchownych lub świeckich. Tak we wsiach na prawie niemieckiém jak polskiém osadzonych, wydzielano ziemie na łany; rozmiary ich tylko były różne. Nastały łany frankońskie, magdeburskie, chełmińskie, stosownie do okolic lub narodowości osadzanych przychodniów. I tutaj łan był zwyczajną osadą rolnika, na łany oznaczano ciężary i podatki.

W tychto wsiach i osadach utworzył się nowy rodzaj średniéj własności dziedzicznéj—sołtystwa, których posiadacze również do służby wojennéj byli obowiązani. Sołtystwa różniły się w rozległości, stosownie do rozległości osad czyli liczby osiedlonych łanów. W jednych nadaniach widzimy szósty łan wolny dla sołtysów (1); gdzieindziéj nadają łan siódmy (2). Kazimiérz W. nadając Mikołajowi de Tilusio 100 łanów magd. na osadę, jemu, jako sołtysowi dziedzicznemu, daje ośm włók wolnych (3). Gdzie-

(1). Kod. Dyp. War. T. 1. N. 65, str. 114. (2) Tamże. (3) Tamże, T. 1. N. 116.

indziéj do 60 łanów, przeznaczają dla sołtystwa 4 łany wolne. W inném nadaniu spotykamy dla sołtystwa 2 włóki wolne. Dołączano jeszcze niekiedy w nadaniach dla sołtystw, lub sprzedażach tychże, części kar sądowych, części dochodów z karczem i inne różne dogodności i uposażenia (1).

Zarówno szlachta jak nieszlachta posiadać mogła i posiadała sołtystwa; wszyscy obowiązani byli do służby wojennéj. Zamożność ich musiała być niekiedy znakomita, kiedy Konrad sołtys w r. 1273 ze swego wolnego dorobkowego dziedzictwa, mógł darować klasztorowi ołobockiemu trzy łany wolne (2).

W wielu nadaniach prawa zakładania osad nowych, spotykamy zarazem nadania jednego lub dwóch łanów, stosownie do ilości osady, dla pasterza trzód (quod *scotnicza* dicitur) (3). Dobry ten zwyczaj godzien byłby dziś jeszcze naśladowania. Chroniłby pola i zasiewy od licznych szkód, a młode wiejskie pokolenia od zepsucia i próżniactwa.

Szkodliwém wprawdzie mogło być wprowadzenie osad, na prawie niemieckiém lokowanych, z tego powodu, iż gdy część ludności uwolnioną była od ciężarów i obowiązków publicznych, tém więcéj obarczano resztę. Niemniéj przez to, że wprowadzone były podwójne prawa i sądy w łono kraju. Z tego względu jednakże było korzystne, iż pozwoliło zaludnić się i zakwitnąć krajowi, mnóstwem klęsk publicznych skołatanemu i wyludnionemu. Wprowadzoną została nowa klassa pośrednich właścicieli, pożytecznych zwłaszcza w czasie wojny. Najważniejszém zaś jest to, iż się przygotowała zmiana powinności i ciężarów zbytecznych, z prawa polskiego wypływających. Osiedlenie się oprócz tego znacznéj liczby cudzoziemców, korzystnie wpłynęło na przemysł rolniczy. Wielka liczba takich przychodniów osiadła w Podgórzu, okolicach Węgrom przyległych i Rusi; a lubo Kromer i Bielski nie zgadzają się co do czasu ich przyjścia, na to się obadwa zgadzają, iż dobry rząd i nowe gałęzie przemysłu rolniczego z sobą przynieśli (4).

(1) Oswald kasztelan ze Słońska a pan Płowców, sprzedając Stefanowi kmieciowi z Płońska sołtystwo, daje mu oprócz 4 łanów wol. 3ci denar ze spraw sądowych, 3ci denar z karczem. Pozwala mu aby miał stada owiec, klacz i bydła, i pasał je w pomienionem dziedzictwie bez przeszkody ze strony kmieciów. Nadaje mu jeszcze wolność łapania ptastwa używanego do myślistwa. Kod. Dyp. War. T. 1, N. 126.

(2) Tamże N. 54. (3). Tamże N. 113, 116 i 117.

(4) „Po dziś dzień jeszcze widzimy ich" mówi Kromer „już grubszéj mowy używających i nic nie różnéj od języka w Szlązku, w Morawach,

II.

Wiadomo, że statut wiślicki nie tworzył nowego porządku rzeczy, nie niweczył dawnego. Był on zlaniem, zjednoczeniem statutu małopolskiego i wielkopolskiego. Wszystko więc co było, weszło w niego, albo się w nim odbiło. Nadał moc prawa temu, co było zwyczajem; charakter ustawy ogólnéj temu, co było przepisem prowincyonalnym; usankcyonował porządek już istniejący.

Różne nazwiska posiadaczy ziemskich, odpowiadające różnego rodzaju własnościom i posiadłościom, znajdujemy w nim wymienione. Lubo *miles* i *nobilis* brany tam jest za jedno, rozróżnia jednak *militem famosum*, którego zwie szlachcicem; *scartabellum*, którego tłumacz statutu zwie świrczałką, i *militem creatum de sculteto aut emethone*. W ustanowieniu głowszczyzny, tak są oszacowani na pieniądze: szlachcic 60 grzywien, świrczałka 30, żołnierz z sołtysa lub kmiecia 15, kmieć *villanus* 10 grzywien. Wszystkie te nazwy oznaczają różne klassy posiadaczy ziemi. Piérwsi są posiadaczami mniéj lub więcéj rozległych włości; dwie drugie klassy części mniejszych lub większych, i w nich to trzeba szukać zarodu późniejszéj zagonowéj szlachty; ostatni, osad mniéj więcéj łanowych lub półłanowych.

Tenże statut podciąga pod obowiązek służby wojennéj sołtysów i duchownych dobra dzierżących; reguluje podział dobrami w naturze pomiędzy spadkobiercami; urządza stosunki pomiędzy panami a kmieciami; nie kładzie żadnéj tamy rozrządzaniu, alienowaniu ziemi komubądź; dozwala własności skupiać

w Czechach i w Prusiech zwyczajnego. Ztądże imiona zawziąwszy, wsiom i miasteczkom przez siebie pobudowanym, albo więc zaprzątnionym, nadali: jakoto są Lamberg, Landeshuta, Pilzno, Gorlica, Freistadt. Iliczyn, co Niemcy Tyczynem zowią, Rozemberg. więc i inne od tych nieróżne. Za pieczołowaniem tedy i pracowitością pomienionych przychodniów wnet Polska ludźmi i budynkami zagęszczać się poczęła: są bowiem Niemcy oprzątniejszy i dbalszy gospodarze tak w nabyciu jak zatrzymaniu gospodarstwa, ktemu i ochędożniéj radzi mieszkają". (Kromer, tł. Bła. k. XII, str. 272). Bielski zaś mówi, iż te osady za Bolesł. Chr. powstały „dlatego Bolesław tam osadzał" mówi „aby bronili granic, ale że był lud gruby, niewaleczny, obrócono je do roli a do krów, bo sery dobrze czynią, zwłaszcza w Spiżu i na Podgórzu, drudzy też kądziel dobrze przędą i przez to płócien u nas z Podgórza bywa najwięcéj". Krom. T. 1. str. 142.

się lub drobnieć wedle stosunków i okoliczności; wreszcie, jak słusznie i trafnie uważa p. Maciejowski, wspólném prawem rycerskiém łączy klassy większych i mniejszych właścicieli w jedno ciało. Znajdujemy w nim przeto objaśnienie i potwierdzenie tego, co się dotąd o podziale ziemi mówiło.

Ale nastręcza się pytanie głównie interesujące pod względem rolniczym: jaki był stosunek wielkich posiadłości do średnich i małych? jak się miała wielka uprawa czyli wielkie gospodarstwo folwarczne, do małéj uprawy czyli do gospodarstwa cząstkowego?

Na żadne z tych pytań nie można odpowiedzieć cyframi. Żadne ślady statystyczne z owych wieków nie istnieją, nie pomyślano zapewne nawet o nich nateneczas. Zaledwie w XVI wieku, i to w drugiéj jego połowie zjawiają się opisy kraju, obejmujące obok niektórych szczegółów pod względem przemysłu, handlu, rolnictwa, niejakie wiadomości statystyczne, bardzo szczupłe, i jak to późniéj zobaczymy, niedokładne. W innych nawet krajach wiele późniéj pomyślano o potrzebie i ważności wykazów i zbiorów statystycznych. O liczbach więc mowy być nie może. Można tylko przez pilniejsze rozpatrzenie, znaleźć ślady to w dyplomatach, to w statutach, to w dziejopisach, które pozwolą na rozwiązanie tych pytań w sposób przybliżony.

Ponieważ wielkie posiadłości czyto monarsze, czy duchowne, czy świeckie, obejmowały w sobie znaczną ilość posiadłości mniejszych, jużto czynszowych, jużto wolnych, jużto pod różnemi powinnościami osadzanych: liczba ich więc musiała być mniejsza. O liczebny jednak stosunek nie chodzi. Z rozlicznych nadań na zakładanie osad nowych widzimy, iż najwięcéj dawano od 20 do 100 łanów do obsadzania, do których często łączyły się lasy, pastwiska, puszcze. Łany kmiece i sołtystwa nie ulegały rozdrobnieniu, bo *supremum dominium* nad nimi należało do pana. Alienowanie nawet sołtystw, statut wiślicki do pewnego stopnia zależném od głównych właścicieli uczynił. Włości w ręku rycerstwa zostające i wszelka własność wolna alienowała się, dzieliła i rozdrabniała, skupiała dowolnie. Skupiała przez spadki, darowizny; rozdrabniała przez rozradzanie się rodzin, zapisy, długi i zobowiązania. Prawo dozwalało podziału ziemi w naturze pomiędzy spadkobiercami; temi więc sposobami wielkie posiadłości przechodzić mogły w mniejsze, średnie, a średnie

w małe. Wielkie fortuny znajdowały ocalenie w spadkach, dorobkach i largicyach monarchów. Wiele znajdujemy śladów, wsi podzielonych na połowy, części i cząstki, a ślady tych podziałów gdzieniegdzie do dziś dnia jeszcze przetrwały. Im więcéj dóbr gromadziło duchowieństwo, tém mniéj miejsca zostawało dla rycerstwa.

Wyjednywano więc ciągle nadania na nowe osady, których w kraju zaległym puszczami nie było potrzeby oszczędzać. Widocznem jest jednakże, iż w sposobie użytkowania z gruntów otrzymanych i świeżo zdobytych uprawie, przeważał, a raczéj wyłącznie był używany system kolonizacyjny. Tym sposobem małe posiadłości, zyskiwały coraz więcéj na liczbie. Pożytkowano z ziemi za pośrednictwem osadników.

Spotykamy wprawdzie ślady, iż gospodarstwo folwarczne, czyli na własny rachunek właścicieli prowadzone, istniało od najdawniejszych czasów u nas, tak po dobrach książęcych, duchownych, jak prywatnych. Mówią historycy, iż Kazimiérz W. po swoich śpichlerzach, gumnach i składach posiadał wielkie zapasy zboża, któremi żywił w latach nieurodzajnych. Lubo w statucie wiślickim nie spotykamy nigdzie wzmianki o dniach roboczych czyli pańszczyznie, w wielu dyplomatach najdawniejszych, na które w drugiéj części zwrócimy bliższą uwagę, znajdujemy opisane i oznaczone dni i powinności do posługi folwarcznéj. Tam się przekonamy, że pańszczyzna nie jest wymysłem czasów późniejszych, ale że ginie w pomroce starożytności. W tymże statucie wiślickim spotykamy wyraz *vladarii*, oznaczający officyalistów, dozorem folwarcznym trudniących się. W różnych nadaniach spotykamy również ślady gospodarstwa folwarcznego, spotykamy jeszcze i w układzie Bodzanty co do dziesięciu (1).

(1) „Cæterum mandamus annuente domino nostro, domino rege praedicto, ut ubicumque, per totam nostram Dioeces. in civitatibus, castris, oppidis, villis, prædiis et possessionibus, decimæ manipulatim, in campis hactenus tollebantur" etc; daléj: „Item decrevimus quod ubicumque aliquis nobilis sibi aequali, necessitate cogente, haereditatem suam obligaverit et creditor coluerit in ea, decimam frugum de agris suis solvat illi ecclesiae, cui is qui obligavit solvere consveverat ab antiquo, sed si forte labores suos dictus creditor voluerit ampliare, repellendo cmethones et excollendo agros eorum, de agris cmethonum quos colit decimam in *gonitwa* solvere tenetur, etiam si nobilis kmethoni vel alteri similiter haereditatem obligaverit, idem ignobilis decimam illiberam cui de jure debuerit, de agris quos colit dare sit adstrictus.

Były więc folwarczne oddziały z gospodarstwem oddzielném, ale że te były małoznaczące, niewielkich przestrzeni, że ginęły w tłumie cząstkowéj uprawy, kilko, jedno i półłanowéj, na to spotykamy w XIII i XIV wieku znaczną liczbę poszlak.

Gdzie jest wielka uprawa folwarczna, musi być ludność robotnicza, najmem się trudniąca, lub do prac dominialnych obowiązana. Dzisiaj nawet przy maszynach istnieć bez niéj folwarki nie mogą. W owych czasach spotykamy nieliczne przykłady pańszczyzny, a zaledwie ślad jakiś niezupełny ludności zarobniczéj. To, co statut wiślicki nazywa *famulus* v. *gołota* albo *obłamek*, nie masz żadnego przekonania, iżby to był rodzaj ludzi do roli używanych; tém więcéj, że w ówczesnych dyplomatach wśród ludności wiejskiéj téj nazwy nie spotykamy. Nazwiska rozliczne ludzi do robót rolnych używanych, o jakich Naruszewicz mówi w T. VI, str. 346, jużto nie są swojskiemi, ale z obcych źródeł przeniesionemi, jużto może odnoszą się do czasów, w których system osadniczy i czynszowy, jeszcze się w zupełności nie rozwinął. Że nazwisko *adscriptitii*, *coloni adscriptitii*, nie oznaczało, a przynajmniéj niezawsze, ludzi nabytych, w celu użycia ich do uprawy roli czyli niewolników rolnych, jak mniema p. Maciejowski (1), posłużyć może za dowód przywiléj z r. 1273 (2). *Hortulani*, których znaczenie późniéj objaśnione zobaczymy, o ile nam wiadomo piérwszy raz zjawiają się w uniwersałach poborowych za Kazimiérza Jagiellończyka. Najczęściéj w XIIItym i XIVtym wieku spotykamy albo wsi na łowiectwie, rybołostwie, bartnictwie osadzone, albo kmieci na wolach (libertas), albo na wieczystych dzierżawach, albo gdzieniegdzie dziedziczne *sortes*; w ogólności najwięcéj rolników czynszowników.

Sama pochopność z jaką osadzano wsi na prawie niemieckiém i przenoszono je z polskiego na tamto, dowodzi, iż więcéj sta-

(1) Hist. prawod. sło. T. I, str. 147.

(2) Kod. Dyp. War. str. 86: „Nos Vladimirus episcopus Vladisl. notum facimus..... quod Rothek, Raden, Gostek, Nezalec et Radik homines nostri adscriptitii haeredes de Gacow coram nobis praesentibus.... et aliis quam pluribus militibus nostris et capellanis: testium fide dignorum testimonio et juramento, ab omnibus solucionibus personalibus seu praedialibus se liberos esse comprobarunt, excepto hoc solummodo: quod omnes generaliter viri prenominati et eorum posteri in perpetuum duas urnas mellis nobis, et nostris successoribus, singulis annis, solvent. Ceterum ad omnia servitia, ad que omnes adscriptitii nostri sunt astricti.... ipsi et eorum posteri obnoxii esse tenebuntur".

rano się o dochody pośrednio, przez pracę małych dzierżawców wieczystych lub czasowych wpływać mające, jak o ręce do pracy lub rozszerzenie gruntów folwarcznych.

Popiera nasze mniemanie co do bardzo ograniczonéj uprawy folwarcznéj i to, że statut wiślicki stanowi co do opiekunów, iż ci, tylko z stada a czynszów mają zdawać liczbę po skończeniu opieki (1).

Spostrzegamy wprawdzie częste wzmianki i w samym statucie wiślickim i w różnych dyplomatach o licznych stadach, jakie już wówczas hodowano, co jednakże nie zmienia naszego domniemania o szczupłości zakresu, w jakim się uprawa większa mieściła: byłyto bowiem stada hodowane sposobem stepowym. Zwykle przy wzmiance o nich spotykamy przymiotnik *indomitus*; a i opiekunowie, jak mówi statut wiślicki, mają tylko składać liczbę *de jumentis indomitis*.

Samo nawet prawo rycerskie i ścisłe wykonywanie obowiązków z niego wypływających, nie mogło się pogodzić z rozległą uprawą folwarczną, wymagającą więcéj czasu i zajęcia właściciela. Jakoż widzimy, że wówczas obok czynszów, danin w naturze, bacznie zwracano uwagę na gałęzie dochodów, zwykle mniéj szacowane, a często zaniedbywane, przy obszernéj uprawie zbożowéj, jakoto: łowiectwo, rybołówstwo, bobrowe gony, dochód ze skórek futrzanych aspergillów i t .p.

Ten brak rozleglejszéj uprawy zbożowéj tłumaczy nam owe często powtarzające się głody w wiekach XII, XIII, XIV. Niekiedy mogły one pochodzić ze zniszczenia w skutek wojen, barbarzyńskim sposobem wówczas prowadzonych; ale takie byłyby tylko dotykały niektóre okolice, a Długosz, Kromer, Bielski mówią często o głodach ogólnych. Zobaczymy późniéj, że w miarę jak wzrastała i rozwijała się uprawa większa folwarczna, będą one się stawały coraz rzadszemi, a wywóz zboża na handel zagraniczny coraz większy, pomimo przybytku ludności.

Jakkolwiek taki podział ziemi, jaki wykazaliśmy, mógł być niekorzystny wielkiéj produkcyi i handlowi wywozowemu, odpowiadał on trafnie ówczesnym potrzebom kraju. Wyludniony poprzedniemi klęskami, zapełniał się ludnością; padały puszcze pod siekierą kolonistów, których korzystne warunki posiadania ziemi zwabiały. Miasta wzrastały, równie jak targ wewnętrzny i liczba

(1) Vol. Leg. 1. St. Wiś. de tutori.

rzemiosł. Ale ten sam przyrost ludności wywoływał nowe potrzeby na przyszłość, i przygotowywał zmiany tak w stosunkach wewnętrznych, jak w samym podziale ziemi, które w późniejszych czasach powoli rozwinąć się miały.

III.

W drugiéj połowie XIV wieku nowe prowincye pomnożyły posiadłości Korony. Z wzrostem potęgi wzrosło bezpieczeństwo dla osób i pracy. Mnożyły się drogi handlowe i pole dla przedsięwzięć rozszerzało. Pomnożenie ludności wpływało zbawiennie na wzrost miast, targ wewnętrzny i liczbę rzemiosł, a te nawzajem oddziaływały na wzrost rolnictwa, na żądanie produktów i ich cenę. W życiu kraju panuje solidarność pracy i zysków. Wszystkie przedsięwzięcia przemysłowe i rolnicze, każde rozwinięcie pracy, starań i kapitałów, ożywia, porusza wszystko, co naokoło drzymało; poruszone elementa, dodają nawzajem siły temu, co ich życie obudziło. Przeważająca ludność w jednych miejscach, rozsypywać się musiała po okolicach mniéj zaludnionych. Swoboda ruchu, jaką prawa nadawały ludności, dopomagała do tego. Z przybytkiem ziemi, wzrostem ludności, bezpieczeństwa i pokoju, z wzrostem cen i nowemi drogami handlowemi, musiało rolnictwo nabrać nowego popędu i otworzyć sobie nowe źródła produkcyi. Jakoż Kromer mówi pod r. 1401 (1): „Spokojnie naówczas we wszystkiém powodziło się Polszcze, i ztądże się téż mnożyły chęci do rzemiosła gospodarskiego".

Sama potrzeba nawet pędzić musiała wszystkich do niego. Ludny i silny kraj potrzebował coraz więcéj chleba i coraz więcéj wartości zamiennych za potrzeby zbytkowe, które zwykle z dobrym bytem się pomnażają. Rolnictwo cząstkowe, rozdrobnione, nie mogło mu dostarczyć ani jednego, ani drugiego w dostatecznéj ilości. Naród czerstwy i pełen życia, nie skazuje się dobrowolnie na głód i nędzę. Przymus lub fałszywe systemata finansowe i administracyjne, mogą go do tego doprowadzić; ale gdzie piérwszy nie istnieje, drugie ustąpić muszą sile życia i rozsądku publicznego. Mianowicie ludy rozwijające się posiadają do wysokiego stopnia potęgę łamania zawad i zdobywania tego wszystkiego, co stanowi warunek ich życia i wzrostu. Kraje téż zupełnie lub nawpół dziewicze, łatwiéj dają się organizo-

(1) Str. 350.

wać, stosowni; do zjawiających się lub wzrastających potrzeb. Każda przemiana w towarzystwie ustaloném, potrąca mnóstwo interesów i mnóstwo wyobrażeń, które czas w głębokie przekonania zamienił. Wśród puszcz, lasów, stepów, jakie posiadają narody rozwijające się, jest miejsce na wszystko i dla wszystkich. Przemiany odbywają się bez potępiania porządku ustalonego i stosunków prawnych. Tę korzyść miała wówczas Polska. Pełna czerstwości i sił, dzielnemi ramiony rozszerzała pole swojéj pracy i zysków. Nieużytki, stepy, lasy zamieniały się w rodzajne niwy; ale system wielkiéj uprawy musiał brać górę nad systematem cząstkowym i osadniczym. Jakoż w dyplomatach z początków XV w. nie spotykamy już rozdawnictwa łanów na kolonizacyą. Chyląco się prawo rycerskie mogło pomagać do przemiany systematu rolniczego. Małe własności żołnierskie traciły główny cel swego istnienia, a w skutek tego i opiekę prawną, jaka im się dawniéj z interesu państwa należała. W wojnach przeciwko Krzyżakom, poczęto się coraz więcéj przekonywać, że pospolite ruszenie mało pożytku przynosiło (1). Odkładano je na walne wydarzenia, a używano więcéj zaciężnego żołnierza. To uwalniając coraz więcéj właścicieli ziemskich od rzemiosła wojennego, dawało większą swobodę do obszerniejszych zatrudnień rolniczych. Jako lekkie nachylenie ku zmianom, o których mówimy, można uważać konstytucyą o nieużytecznym albo nieposłusznym sołtysie w r. 1420 zapadłą (2); lubo ta wypływać mogła loicznie z prawa zwierzchnictwa przyznanego panom nad sołtystwami jeszcze statutem wiślickim, i być tylko objaśnieniem tamtego.

Wielkie, trwać mające przemiany społeczne nie dzieją się odrazu, jednym skokiem, skoro nie są chwilowe, przemijające jako wypadek gwałtu lub rewolucyi; dlatego słusznie nadają im teraz miano ewolucyi, dla odróżnienia od tamtych. Płyną one niejako same z siebie; wywołuje je i popycha konieczność, potrzeba, natura rzeczy; okoliczności przyjazne sprzyjają im lub nieprzyjazne stają na przeszkodzie, a mimo tego prąd idzie naprzód, jak strumień wody po pochyłości. Zrazu niedostrzeżone, później, bystrzejszemu tylko oku widoczne we wszystkich następstwach,

(1) Wspomina o tém kilka razy Bielski przy opisie wojen pruskich za Kazimierza Jagiellończyka. (2) V. L. s. 79.

wreszcie stają się faktem dokonanym i zadziwiają umysły nieprzewidujące.

Przez przeciąg wieku XV nie spostrzegamy żadnéj stanowczéj zmiany w stosunkach ziemi. Ewolucya odbywała się powoli bez szkody niczyjéj i na korzyść ogólną. W uniwersałach poborowych w czasie wojen pruskich, do oceniania dochodu jeszcze brane są czynsze. Prawie też same klassy ludności rolniczéj w nich się jeszcze uwijają, jakie i dawniéj widzieliśmy, przybyli tylko hortulani.

Złączenie dopiéro Prus królewskich, jakkolwiek kosztem wielkich wysileń dokonane, otwierając najważniejszo ujścia handlowe, spajając najludniejsze i najzamożniejsze prowincye, nowe życie obudziły w reszcie kraju i otworzyły źródła nowych pomyślności. Pisze Bielski (1), iż wówczas nastały wielkie zbytki i rozkosze. Odtąd zdaje się wielka uprawa stanowczy popęd zyskała, bo w wieku XVIm znajdujemy ją ustaloną i spostrzegamy wyraźną przewagę latifundyów.

Ciągły przybytek ziemi pod uprawę obracanéj bez użycia w pomoc systemu kolonizacyjnego, objawia się w coraz większéj potrzebie rąk do pracy. W szeregu praw w tym celu wydanych, aby liczbę rąk dla rolnictwa krajowego pomnożyć, widzimy wzrastający postęp téj potrzeby. Prawodawca używa wszelkich środków, aby jéj zadosyć uczynić. System czynszowy zaczyna ustępować pańszczyznianemu.

Opiekunowie już nie z czynszu i stada tylko mają zdawać liczbę, gdyż, jak mówi konstytucya z r. 1565 (2), daleko większe są pożytki z gruntów i innych rzeczy pozostałych, niżeli z czynszu i stada.

W uniwersałach poborowych z XVIgo wieku spotykamy już nietylko kmieci co panom orzą, ale mnóstwo rodzajów robotników do prac folwarcznych używanych, jakoto: zagrodników, którzy w ogrodach siedzą, zagrodników z rolami, zagrodników co domki mają i ogrody, a na czynszu są; komorników, którzy bydło mają, luźnych ludzi, alias bultajów (3).

Wzięło więc przewagę gospodarstwo folwarczne wielkie, system latifundyów; ale ta przemiana nie stała się bynajmniéj kosztem małych własności lub małych dzierżaw wieczystych lub czasowych. O rugowaniu z ziemi ludności rolniczéj lubo wspomina

(1) Ks. IV, str. 165. (2) V. L. II, str. 692. (3) V. L. T. II, str. 662 i inne.

i powoływany wyżéj ułamek układu Bodzanty o dziesięciny i Fryc Modrzewski, było to jednak coś nader rzadkiego. Sam sposób w jaki o tém mówi Modrzewski (1) każe się domyślać, iż to było rzeczą niezwyczajną. Ścieśniano swobodę ruchu, aby prace rolnicze na opuszczaniu posad nie traciły; ale rozmiary posiadłości kmiecych, pozostały w większéj części te same. Stosunek jednakże do rozległości niw folwarcznych zmienił się; niwy te rosły tém wszystkiém, co rolnictwo nieużytkom, lasom, bagnom zdobyło; jużto we własnych granicach, jużto w okolicach niezaludnionych i mało uprawnych. Dyplomata z XVgo wieku świadczą o licznych zastawach, sprzedażach ziemi, na rzecz prywatnych, przez panujących czynionych. Znana jest hojność Jagiellonów, a Alexander przewyższał w niéj wszystkich braci swoich. Za panowania Zygmunta Igo, Konstanty książę Ostrogski na Wołyniu, a w Kijowskiém Semen książę Słucki ziemie rozdawali; na Podlasiu Gastold w imieniu tegoż króla w lasach do karczowania nadawał służby. „Takie więc nadania" mówi Czacki (2) „umniejszały ziemi panującym, a czyniły fundusze obywatelów." Łącząc Prusy Kazimierz Jagiellończyk zrzekł się na korzyść tamtejszych posiadaczy przypadać na niego mającego dziedzictwa wszystkich feudów (3). Znaczna liczba zamków, dóbr, dochodów wykupioną została wprawdzie przez Bonara za Zygmunta Igo (4); wiele fałszywych lub nieprawnych przywilejów zniszczono za Zygmunta Augusta, w czasie naprawy Rplitéj, ale pomimo tego, większa część ziemi od panujących przeszła w ręce rycerstwa i panów. Jak wiele zaś jeszcze lasów padało pod siekierą i zamieniało się w owym wieku na pola, domyślać się można ze skargi Jana Kochanowskiego, który narzeka, że bóstwa leśne wkrótce opuszczą Polskę, bo w niéj nie będą miały już przytułku. Tymto sposobem rozszerzyło się gospodarstwo wielko-folwarczne, przynosząc z sobą rozliczne zmiany wewnętrzne.

Zakaz plebejom posiadania dóbr ziemskich, zmienił o tyle tylko stan rzeczy, że summa dóbr, posiadanych przez plebejów, wyprzedana przez tychże, o tyleż powiększyła summę ziemi posiadanéj przez rycerstwo. Stosunek więc posiadłości ziemskich zmienił się przez to, ale nie pod względem rolniczym.

(1) O poprawie Rplitéj, wy. 1770 r., str. 187. (2) T. I, str. 269.
(3) V. I., r. 1476, str. 229. (4) Bielski ks. V, str. 103.

IV.

Lubo w drugiéj połowie XVIgo wieku spotykamy w pismach i dokumentach ówczasowych, niektóre cyfry i daty statystyczne, mianowicie do proporcyi rolniczego podziału ziemi się odnoszące, te jednakże albo są wątpliwe, albo bezwarunkowo przyjmowane być nie mogą. W ogólności jest ich mało. Różne opisy kraju, z owego czasu pozostałe, notują to tylko, co pod względem politycznym, historycznym, geograficznym, handlowym lub przemysłowym, pamięci było godne; nad właściwą statystyką, zwłaszcza nad tą jéj częścią, która ziemi dotyczy, nie zatrzymując się wcale. Ta część nauki statystycznéj dziś dopiéro jest uznawaną pod względem swéj ważności, a mało gdzie dotąd udokładnioną. System podatkowy polegał na zasadach niepewnych, wątpliwych. Myślał wprawdzie Zygmunt August o pomiarze kraju, ale zdaje się, iż myśl jego przeprowadzoną tylko była w ekonomiach litewskich. Mówi Bielski pod r. 1475, iż tak niedokładnie łany do podatku są podciągane, iż chociaż ich liczba i liczba kmieci potroiła się, summa zebrana nie wyrównywa téj, jaką dawniéj zbierano. Dlatego można powątpiewać o prawdziwości tego, co nam podają, jakoby w r. 1576 miało być liczone do podatków w Koronie łanów 146,661 (1). Byłyżbyto tylko łany kmiece, tak zwane osiadłe? Czy wszystkie pod uprawę użyte? W jedném i drugiém przypuszczeniu liczba zdaje się za nizką. Jeżeli prawdą jest (co podług nas wątpliwości również podlega), iż sześć włók liczono na obrobienie jednéj włóki folwarcznéj, jakażbyto nieproporcyonalnie mała liczba wykazała się łanów folwarcznych. Jakżeby kraj tak mało ziemi pod uprawą większą posiadający, mógł wywozić tak wiele, jak podają: Opaliński, Cellaryusz, Rzączyński, a jak to późniéj zobaczymy. Widocznie więc ta liczba musi być mylną, lubo może tyle tylko do podatku liczono. Starowolski powiada: „rozumiałbym, iżby wszystka Korona z W. Ks. litewskiém przeniosła 10 milionów łanów" (2). Ta cyfra lubo na domysł tylko przez niego podana, jak to z późniejszych obliczeń, podług mil geograficznych robionych pokazuje się, jest znowu za wysoką. Chociażby jednakże ta liczba prawdziwą była, bez szczegółowych rozliczeń, nie byłaby do naszego przedmiotu przydatną.

(1) Czacki T. I, przypis. 40 str. 223. (2) Reform. Obycz. r. 22, str. 162.

Co do proporcyi rozdziału łanów folwarcznych i kmiecych, zdaje się niewątpliwém, iż zasada liczenia sześciu włók kmiecych na obrobienie jednéj folwarcznéj, nie mogła być ogólna. Czacki o niéj mówi, jako o używanéj w nowo-urządzonych ekonomiach na Litwie. Z tego niektórzy wnosili, jakoby ta zasada była powszechną. W saméj Litwie inne były powinności w dobrach królewskich, a prywatnych. Tam, również jak w Koronie, stosunek zmieniał się w miarę przybieranéj roli pod uprawę. Powiększano uprawę, choć liczba nowych pokoleń, równie szybko rozradzać się, nadrastać i na rolach obsiadać nie mogła. Można przypuścić, że stosunek rol kmiecych do folwarcznych, zmieniać się musiał codzień niemal. Kiedy jeszcze zważymy, jak różną była w różnych prowincyach kraju wartość ziemi, dni roboczych i zboża; jaka nierówność zaludnienia; kiedy zważymy, jak Prusy np. wyprzedzały w kulturze Koronę, Korona Litwę i Ruś; jak każda prowincya innego prawa i zwyczaju pilnowała, a te z innego źródła wszędzie płynęły:—tém więcéj się utwierdzimy w przekonaniu, iż co do proporcyi łanów kmiecych do folwarcznych, nie mogło być stałéj, jednostajnéj, ogólnéj zasady. Ta zmieniać się musiała stosownie do czasu, miejsca i okoliczności.

W Litwie z również niedostatecznemi cyframi się spotykamy. Piérwsze urządzenie ekonomiczne z r. 1529 (1) nic o pomiarach ziemi nie wspominając, przepisuje tylko tryb zarządzania ekonomiami; oznacza płacę służebnym; rozdziela dochody pomiędzy panującego i starostów. Druga z r. 1557, o któréj Czacki często wspomina i w ułamkach przytacza, wykazuje rozległość posiadłości kmiecych, rzemieślniczych, strzeleckich, mierniczych i t. d. Ale i tu spotykamy sprzeczności, a zatém i wątpliwości. W jedném miejscu mówi tenże Czacki, iż z urządzenia ekonomicznego na Litwie pokazuje się, że włóka była osadą gospodarza; wieś miała ławników, wójt rządził stu włókami mniéj więcéj. Rzemieślnicy, strzelcy, mostowi i różnego rodzaju bojarowie, należeli do udziału, którym *urząd* rządził w Podlasiu, a w Żmudzi *Cywon* albo *Tywun* (2). W inném miejscu, również powołując się na urządzenie ekonomiczne z r. 1557, powiada: iż służba miała najczęściéj dwie włóki w dobrach panującego; oprócz innych powinności, chłop z włóki robił dwa dni pańszczyzny;

(1) W Zbiorze Pr. Lit. Tyt. Działyń. (2) T. I. str. 269 przypis. 140.

z służby zatém jednéj w dobrach król. rachowano dni cztery (1). Gdzieindziéj jeszcze mówi, także powołując się na toż urządzenie, iż przyjęto cztery gatunki ziemi, i w zamianie mieszanych dziedzin, czyli jak nazywano szachownic, dawano najgorszego gruntu cztery włóki za jednę. Ileż więc posiadał kmieć? jaki mógł być stosunek łanów kmiecych do folwarcznych? — pozostaje w wątpliwości.

Co do Prus, Żmudzi, Rusi i t. d. żadnych już liczb nie spotykamy, któreby zresztą tylko nowe wątpliwości rodzić mogły. Wszystko co o tych prowincyach mówią ówcześni pisarze, ogranicza się na ogółowych spostrzeżeniach, lubo niekiedy ciekawych pod względem rolniczym, jak to późniéj zobaczymy.

Summa więc wiadomości liczebnych redukuje się prawie do zera. To tylko ogólne spostrzeżenie pozostaje i przedstawia się jako fakt widoczny, że system pańszczyzniany wzrosł na Litwie, a stanowczo przeważył w Koronie: że system wielkiéj uprawy wziął górę nad małą uprawą; że zatém wzrosła obszerność gruntów folwarcznych, i proporcya tychże do kmiecych i wolnych posiadłości zmienić się musiała.

Ten fakt spotykamy zarówno w Koronie, Litwie i innych prowincyach, z wyjątkiem tylko Żmudzi, bo tam urządzenie ekonomiczne z r. 1529 (2) kassuje robocizny narzucone przez starostów, a ustanawia stałe opłaty czynszów i daniny w naturze, utrzymując jedynie dawne dni do sianożęć.

V.

Dziwnym sposobem w życiu ludów, przemysł, handel, rolnictwo, bogactwo, łączą się i jednoczą z uprawą umysłową, z zamiłowaniem w sztukach i naukach. Nieomal wszędzie i zawsze idą one w parze. We Włoszech, Holandyi, Francyi, Niemczech, obecnie Anglii, widzimy tego przykłady; widzimy to i u nas w XVI wieku. Dlatego nie lękamy się, aby teraźniejszy duch przemysłu, miał stłumić ducha sztuk i nauk, a kłęby pary zaćmić blask tamtych. Owszem, w ożywionym ruchu znajdą one nową podnietę, a w przyroście bogactw, nową zachętę i zasiłek. Jeżeli bogactwa które gromadzi przemysł, porywają jednych do zbytku, zepsucia, to za to umysły wyborowe, żywiące w sobie myśl i uczu-

(1) T. II str. 163, przypis 310. (2) W ksiąg. pr. lit. Tyt. Dział.

cie piękności i nieskończoności, znajdują w nich pokój i swobodę umysłu potrzebne do tworzenia, i środki do wykonywania dzieł w duchu poczętych.

Wiek XVI u nas przedstawia się nietylko jako wiek wysokiéj kultury umysłowéj, ale jeszcze jako wiek znakomitego ruchu rolniczego i bogactwa wewnętrznego; nie wiemy, co wprzód w nim podziwiać: czy działalność umysłową, czy skrzętność około zatrudnień materyalnych. To pewna, iż spostrzegamy w nim dobry byt, obfitość, handel wewnętrzny i wywozowy wzrastające w sposób olbrzymi, i to równolegle i jednocześnie z nowym systematem rolniczym. Niektóre interesujące pod tym względem szczegóły, znajdujemy w kilku pisarzach ówczesnych.

O ogromnych stadach bydła, które kraj wyżywiał i do Niemiec, Czech i Morawii wysyłał, o niezliczonych stadach koni, spotykamy wzmiankę w Jana Krasińskiego: *Polonii* (1). Z odległych krain, mówi on, z Luzytanii, Francyi, Flandryi, Holandyi, Anglii, Szkocyi, Hibernii, Szwecyi, Norwegii, Danii i Niemiec, przyjeżdżają kupcy zabierać nasze zboża, drzewo do budowy okrętów, popioły, len, konopie, wełnę, skóry zwierzęce, woski. Dwieście i trzysta wielkich i mniejszych okrętów, zawija jednocześnie do Gdańska po te płody. Litwa otrząsła się, mówi tenże, ze staréj powłoki, *olim aut silvis horrida aut paludibus foeda*; teraz wyciąwszy lasy, wzrasta w ludność i uprawę.

Starowolski wylicza jeszcze dłuższy szereg produktów dostarczanych za granicę (2).

Opaliński (3) powiada, iż 60,000 wołów do różnych krajów wyprowadzano rocznie.

Jako dowód obfitości krajowéj przytacza Cellaryusz, że przy elekcyi Henryka Walezego sto tysięcy jeźdźców, zajmując przestrzeń czterech mil pod Warszawą, przez czterdzieści dni żadnego nie doznało niedostatku (4). Wspomniany już wyżéj Opaliński powiada, że jak niegdyś Sycylia i Egipt żywiły Rzym, tak my jesteśmy śpichlerzem nie saméj Holandyi, ale wielu narodów. Ostatniéj wiosny, mówi daléj, 5,000 statków spławiono Wisłą do Gdańska. Spław roczny do tegoż miasta oblicza na sześć milionów medimnów rzymskich, coby czyniło 120,000 łasztów, bo łaszt zawiera 50 medimnów. Cenę zaś wysyłanego zboża poda-

(1) Cap. XIII. Lib. I. (2) In Polonia, s. 471. (3) Polon. defen. con. Barclaj. (4) Descr. R. P. s. 503.

je na trzy miliony talarów. Było zaś wywóz, jak sam uważa, zaledwie z trzeciéj części kraju; Szlązk i Pomerania potrzebowały również dowozu; wiele prowincyj miało inne drogi handlowe. Litwa np. Niemnem i Dźwiną; a przez sam port piławski przeszło w jednym roku piętnaście tysięcy łasztów.

Wśród takich okoliczności tworzyły się ogromne fortuny prywatne. Zadziwiającemi teraz są w téj mierze niektóre podania. Opowiada Opaliński w piśmie wyżéj wymienioném: iż wielu było obywateli, którzy po tysiącu piechoty, tyleż lekko uzbrojonéj jazdy, a trzy i cztery tysiące kozactwa na wojnę wysyłali. Tym jeszcze żołd wypłacano na wojnę jadącym. W Wielkiéjpolsce, gdzie chów stad najwięcéj kwitł, w jednym majątku żywiono 30,000 owiec. Na Rusi, powiada tenże, jest zwyczaj, że poddani co siedm lat dziesięcinę z bydła swego oddają. Z téj, jeden właściciel na raz 10,000 wołów odebrał. Po zniesieniu zaś siedmioletniego odbierania dziesięciny, dobra jego tak podzielone zostały, iż co rok przeszło 1,000 wołów mu oddawano. Niektórzy tyle dóbr rozrzuconych po kraju posiadali, iż połączone, 20 do 30 mil przestrzeni zajmowałyby.

Piasecki, lubo to już sięga początków XVIIgo wieku, wspomina o ogromnych dostatkach pozostawionych przez Andrzeja Lipskiego biskupa krakowskiego i Janusza księcia Ostrogskiego kaszt. krakowskiego, który zszedł bez potomka męzkiego, jednę tylko córkę zostawiwszy. Pułki całe utrzymywał i żywił swoim kosztem, a testamentem 600 jeźdźców zbrojnych, na obronę granic utrzymywać polecił. 300,000 dukatów węgierskich pozostawił w gotowiznie, prócz ogromnych kosztowności i wielkiego dostatku wszelakich sprzętów.

Na utworzenie tak wielkich dostatków prywatnych i krajowych, na tak olbrzymie podniesienie się produkcyi i wywozu, składać się musiało i składało wiele rozmaitych przyczyn: bezpieczeństwo publiczne, dogodność spławów, zniesienie ceł, łagodność systematu podatkowego, ciągła potrzeba i wysokie ceny produktów rolniczych. Za jednę z ważniejszych jednakże przyczyn uważać należy zmianę systematu rolniczego i przejście z małéj cząstkowéj uprawy do wielkiéj folwarcznéj. Nigdy małe gospodarstwa cząstkowe nie byłyby w stanie tak licznych i ludnych miast zaopatrzyć, i zarazem takiéj mnogości produktów handlowi dostarczyć.

Ale wszystko ma swoje dobre i złe strony. Uprawa wielkich obszarów i otrzymanie tak wysokiéj produkcyi, jakiéjżeto

liczby rąk wymagało? Łatwiéj było odkrywać pola i obracać je pod uprawę, niż stworzyć dostateczną liczbę ludności rolniczéj zarobkowéj do ich obrobienia. Podkopywał się więc w miarę coraz więcéj naglącéj potrzeby, system dawny czynszowy. Zrazu statut toruński oznaczył minimum dni roboczych, potém poczęto podnosić je w miarę potrzeby. Zrazu ograniczano liczbę rolników, mogących jednorazowie miejsce swego siedliska opuścić; niebawem zupełnie to zostało zabronioném, a prawo zajęło się tylko ściganiem i dochodzeniem uszłych. Jednocześnie więc z dochodzeniem do coraz większéj produkcyi i do coraz rozleglejszego wywozu, położenie ludności rolniczéj się pogorszało. Spotykamy na to dowody nietylko w samém prawodawstwie, ale jeszcze wzmianki a niekiedy przestrogi w Modrzewskim, Krasińskim i Kromerze. Ale nie chcemy nad tą materyą dłużéj się zatrzymywać; chcieliśmy tylko wskazać ją, a zarazem zwrócić uwagę, że umysły wyższe i dostrzegawcze poczęły już wówczas ostrzegać o złem, które było nieledwie w samym zawiązku.

Wpośród takiéj przewagi i korzyści wielkiéj folwarcznéj uprawy, położenie małych własności, których dawniéj znaczną liczbę dostrzegać mogliśmy, stawało się wątpliwém. Zagrażały im: to łatwość skupna, jaką zawsze mają wielcy właściciele, to kolejne drobnienie, prowadzące wreszcie małe własności do niknienia w wielkich. Jestto bowiem prawo niemylne, równie ogólne i pewne, jak prawa fizyczne, którym ciała w ogólności ulegają, iż wielka własność naturalnie dąży do coraz większego wzrostu, a mała do kolejnego drobnienia i rozpadania na cząstki. To téż coraz mniéj będą nam się nawijać pośrednie i mniejsze wolne własności, które się dawniéj roiły. Natomiast spotykamy już wzmianki o zagonowéj szlachcie, owych *pauperes milites*, o których już wspominał statut wiślicki, ale teraz spotykamy ich w takiéj liczbie, że z samego Mazowsza, rozstrzygają elekcyą Henryka Walezego: „Ci najwięcéj, mówi Bielski (1), głosami swemi na ks. andegaweńskie zagęścili, acz go i wymówić dobrze nie umieli, i zwali gaweńskiém książęciem, a Ernest inaczéj u nich nie był, jedno Rdest".

VI.

W ciągu tego długiego i suchego opowiadania staraliśmy się wskazać: jak początkowo przeważał system kolonizacyjny i czyn-

(1) K. IV, s. 137.

szowy; system mniejszych posiadłości rolniczych i małéj uprawy; jak dogadzał potrzebie kraju, dopomagając do jego zaludnienia, trzebieży lasów i puszczy, i przyczyniając się do napływu obcych osadników, których tak wyniszczone z ludzi prowincye pożądały. Staraliśmy się wskazać zarazem, jak z wzrostem ludności i miast, potrzeb i handlu, ten system nie zdołał wystarczyć ani wewnętrznym potrzebom, ani zamianie handlowéj, i ustępować musiał nowemu podziałowi ziemi i nowemu systematowi rolniczemu, wywołanemu instynktem życia i wzrostu narodu; jak nowy system wielkiéj uprawy wzmógł i do wysokiéj potęgi doprowadził produkcyą i wywóz; uśmierzył głody, które w poprzednich wiekach prawie chroniczném stały się złem; jak wszystkim wewnętrznym potrzebom zadosyć uczynił. Wskazaliśmy nareszcie: jak ten system rozszerzając się rugował dawny czynszowy, a wzmagając coraz większą potrzebę rąk, przyczynił się pośrednio do zmiany położenia ludności rolniczéj.

Nastręcza się pytanie: czy można było przejść, skoro tego istotna zachodziła potrzeba, z małéj do wielkiéj uprawy, zmienić stosunek posiadłości ziemskich pod względem rolniczym, bez nadwerężenia systematu czynszowego i bez naruszenia korzyści położenia, jakiéj ludność rolnicza używała? czy można było wszystkie pożytki jednego systematu osiągnąć, zachowując zarazem stan prawny i pożytki drugiego?

Opatrzeni doświadczeniem i przykładami różnych czasów i ludów, możemy dziś odpowiedzieć:—że można było. Dwojaka do tego prowadziła droga: albo stwarzając, organizując ludność wolną, zarobkową, do posługi folwarcznéj, do czego już były zarodki we wzmiankowanych w statucie wiślickim *gołotach*, *obłamkach*, w wymienianych w nadaniach *adscriptitiach*, ludności tak zwanéj niewolnéj, w późniejszych hortulanach, i rozszerzając granice folwarków w miarę przybytku takiéj ludności; albo organizując system średnich a długotrwałych dzierżaw. Takie kilko i kilkunasto włókowe dzierżawy łączyłyby były wszystkie korzyści wielkiéj i małéj uprawy, bez niedogodności wyłącznie jednéj lub drugiéj. Powstałaby była właściwa klassa rolnicza zamożna, pracująca i zdolna ukształcenia, czém nasi dawni posiadacze ziemscy, przy swych obowiązkach publicznych, nigdy być nie mogli. Tacy dzierżawcy nie mogliby byli następować na prawa i korzyści innych klass rolniczych, a popychani zarazem i widokami korzyści z większéj uprawy wynikającemi, i koniecznością oszczędzania

czasu i rąk, byliby znaleźli środki dojścia do celu przemysłem i zabiegłością. Stworzyliby byli, wywołali wolną ludność zarobkową, lub korzyściami najmu przyczyniali się mimowolnie i mimo wiedzy do podnoszenia moralnie i materyalnie klass rolniczych. Właściciele ziemscy zastąpieni w ten sposób w zatrudnieniach rolniczych, byliby znaleźli całą swobodę do prac publicznych, i nie stawali tak często w sprzeczności, pomiędzy własnym interesem, a interesem publicznym. Tym sposobem można było uniknąć błędu, którego skutków wiek XVIty nie uczuł, lecz który później miał się stać ważnym w swych skutkach.

Ale jak nie można wyobrażeń i zasad z innych wieków i czasów przenosić bezwarunkowo i stosować do bieżących; tak też wyobrażeń i zasad, nabytych długiém doświadczeniem i wyrobionych rozpatrywaniem różnych przykładów, przenosić i stosować do wieków minionych. Wieki różnią się częstokroć tak dalece wyobrażeniami i zasadami, że jedne nie pojmują, nie rozumieją zupełnie drugich. A chociaż wzajemnie szanować się powinny, błędów i zalet zarówno pokrywać się nie godzi, dla nauki i przykładu żyjących.

TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

(Dokończenie).

CZĘŚĆ Vta.

Rozdział III.

— Wielki to zawsze dzień—rzekł Tankred—i wart pamięci.

— Tak, lecz powiédz szczerze, co myślisz o moich gościach? Sążto ludzie, co zdolni świat cały podbić?

— Świata nie podbijesz samą siłą fizyczną; trzeba na to i myśli twórczéj.

— Wszakżeż nam na niéj nie zbywa.

— Nam, zgadzam się, ale nie wiém, czy oni ją posiadają.

— To ich tąż samą myślą natchniemy.

— Wątpliwe to zadanie; dążą oni raczéj do ustanowienia teokratycznéj równości na zasadach starego feodalizmu; co do mnie, radziłbym ci więcéj liczyć na mieszkańców pustyni. Araby nie łudzą się sofizmami; są dzisiaj tém, czém byli za czasów Mahometa, Mojżesza i Abrahama; szczera pobożność jest i była ich udziałem, a dobrze zrozumiana równość jest tylko rozwinięciem dalszych zasad patryarchalnych.

— Ależ i nasi goście są Arabami—odrzekł Fakredeen—i ja jestem Arabem; każdy z obecnych tu Mookatadzów, jakiekolwiek

jest jego wyznanie, pochodzi także albo od Yemena, albo od Hedjuza, albo od Nedżida.

— Piękne to pochodzenie—rzekł Tankred poważnie.

— I patrz, co to za ludzie— dodał Fakredeen z zapałem.— Liban może wysłać przeszło 50,000 dobrze uzbrojonego żołnierza, a pozostanie jeszcze dosyć rąk na miejscu do uprawy roli, do hodowli jedwabników i strzeżenia kobiét. A co to za wojsko z tych Beduinów? jaka wstrzemięźliwość, jaka moc, jaka wytrwałość!

— A mimo to dotąd nic wielkiego nie zdziałali, gdy przeciwnie Arabowie zawsze i wszędzie dopięli swego.

— Otóż wyjaśnię ci wszystko. Prawda, żeśmy dotąd niewiele uczynili dla Syryi, i że, gdyśmy pierwiastkowo osiedli na tutejszych błoniach w r. 63 po nar. Chrystusa, za emira Youssefa, pobito nas uczciwie; ale pomimo klęsk nie wyparto nas z Libanu, a Liban jest kluczem całej Syryi. Dzisiaj zmieniła się postać rzeczy: dziś sprzyja *nam* Amalek, *a on* jest wszechwładnym w pustyniach Syryi, i za jego pomocą możemy mieć równie bitną, liczną i silnie uorganizowaną jazdę, jaką jest i nasza piechota.

— Niewątpliwie przyjdzie koléj na Liban, bo kraj ten przeznaczony zdawna na to, by przodkował innym na Wschodzie; lecz kiedy i jak?—to pytanie, na które trudno odpowiedzieć, bo najczęściéj przychodzi nam ztamtąd moc i siła, zkąd się jéj najmniéj spodziewamy. Jakżebym rad obejrzéć niektóre miasta Syryi, ciągnął daléj Tankred—jakżebym chciał być w Bagdadzie. Czasami zdaje mi się, że cały ten kraj aż do brzegów Eufratu możnaby w jednéj kampanii zawojować; czasami znowu stają mi na myśli materyalne trudności, i przemyśliwam, jakiéj artyleryi i ile wojska wymaga miejscowa potrzeba; to znów zwracam się myślą do Azyi Mniejszéj, bo o Azyi Mniejszéj nigdy zapominać nie należy: jestto punkt główny naszego przyszłego działania, kraj w całym świecie najbogatszy, i choć dziś wyludniony i opustoszały, może przecież dzielnie wpłynąć na całą Europę. A gdyby téż Turcy, w czasie wyprawy na babilońskie i assyryjskie państwa, weszli Azyą Mniejszą i Liban zdobyli? Ale nie, to być nie może, boście tu silni i mocni, zwłaszcza gdy ściśle złączeni z Druzami, jednę stanowić będziecie całość. O tak, wówczas będziecie silni, ja temu bynajmniéj nie przeczę; lecz kto będzie w czasie domniemanéj wojny zajmował obronne miejsca północnéj Syryi? Na kogo liczyć możecie, komu powierzycie kraj od Tripolis aż do Antyochii, i znowu od Alepo do Adanach?—powiédz.

Fakredeen słuchał swego przyjaciela z uwagą, przejął się cały zdaniem i wiarą Tankreda; gotów był poświęcić swoje obszerne posiadłości, swoje piękne zamki, liczne winnice, murowane plantacye i swój las dębowy (jedyny, jaki znajduje się na Libanie), i sam osobiście walczyć dla wprowadzenia nowego systemu i nowych stosunków w życie Syryi, a które miały się opierać na czystém słowie Pana Zastępów, i miały złączyć wszystkie narodowości węzłem braterstwa, a nie przemocy.

Wprawdzie, wpośród téj nowéj reorganizacyi starego świata, młody emir upatrywał dla siebie miejsce na jednym z nowowzniesionych tronów Azyi; lecz byłto tylko wzgląd podrzędny, i osobiste wyniesienie nie było główną, przynajmniéj nateraz, sprężyną działań Fakredeena. Nie, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że myśl jego wyżéj sięgała i wznosiła się nad samolubne osobiste korzyści. Rzetelnym obecnie bodźcem czynów emira była chęć sławy, chęć czynnego i głośnego odznaczenia się na obszerniejszém polu, niż góry Libanu; chciał on zadziwiać swą czynnością i odwagą nietylko miejscowych naczelników pokoleń, lecz i Europy władców. Pragnął téż i pozbyć się swych długów, i myślał, że to jego przyszłe wyniesienie, wywikła go z obecnych trudności. Lecz długi Fakredeena nie tak bardzo mu dokuczały, jakby się zrazu zdawać mogło; przywykł on do nich niby do nieodstępnych towarzyszy, i nieraz wyznawał, że mu już niejednę wyświadczyły przysługę. „Bo i czémże byłbym bez moich długów—mówił czasami sam do siebie—one nauczyły mię poznawać ludzi, odgadywać ich słabą stronę, korzystać z ich ułomności. Tak więc moimto wierzycielom zawdzięczam umiejętność pokrycia mych wrażeń, tę piérwszą i konieczną dla każdego dyplomaty naukę, a która tak mi będzie pożyteczną w mojém wyniesieniu na przyszłość. O, tak! moje długi są moim aniołem-stróżem; jeżeli jestem zniechęcony lub ociężały, one mnie pobudzają do czynności; jeżeli nadto oddaję się zbytkom i uciechom, one mnie znowu zwracają na drogę zastanowienia i rozmysłu; one zatém nadają mi tę ciągłą działalność, tę nieustanną żywotność, które są jedynym środkiem wyniesienia i rządzenia nietylko sobą, lecz i drugiemi".

Mimo to, Fakredeen czuł czasami całą uciążliwość swego położenia i znowu rozmyślał z radością nad środkami zmuszenia nędznych lichwiarzy, co go tak bezczelnie rabowali, do oddania choć jednéj części tego, co mu wzięli; i uśmiechał się do nadziei

osiągnięcia najwyższéj władzy, jako jedynego środka oddania im wet za wet. Młody emir, przy wszystkich wadach, posiadał czułe serce i gorącą wyobraźnię, a niezwykłe przymioty Tankreda, jego odwaga, jego wzniosły umysł, głęboka wiara, silne znalazły odbicie na wrażliwym charakterze emira. Przysłuchiwał on się z chciwością głębszym swego przyjaciela rozmowom, i wyciągał z nich korzyści dla siebie, jak skrzętna pszczółka miód z kwiatów. Nie zdradzając swéj głębokiéj niewiadomości, umiał z każdego wyrzeczonego słowa czynić wnioski i stosować je do swego położenia. Nie rozumiejąc w zupełności Tankreda, pojął przecież jego ducha, jego dążność, i całą duszą przylgnął do niego, bo dążność ta wywoływała koniecznie czynność i zmianę.

* * *

— Czy słyszałeś kiedy, i wiész co o Ansarejach—zapytał Tankred Baroniego—jestto lud osiadły w północnéj stronie tych gór.

— Nie, milordzie; wiem tylko, że są mieszkańcami górzystéj ziemi poza Antyochią, nikogo pośród siebie nie wpuszczają, przytém są bitni i odważni. Silny opór stawili oni Egipcyanom, i dopiéro piastry Ibrahima-Baszy zjednały mu ich przychylność.

— Czy są muzułmanami?

— Nie sąto Mahometa wyznawcy, nie są chrześcianie, nie są Druzy, nie są także zwolennikami starego testamentu, nie są nawet Gwebrami, bo pytałem o to mieszkańców Dżedda, a ci ich także za braci swych nie przyznają.

— Jakiego są pochodzenia, czy arabskiego?

— Nie zdaje mi się; jedyny bowiem Anserejczyk, którego widziałem, podobniejszy był do Greka lub Armeńczyka, jak do syna pustyni.

— Widziałeś więc Anserejczyka ?

— Takjest , było to w Damaszku. Podczas chwilowego zaburzenia w mieście, pan de Sidonia uratował mu życie; przyznał się natenczas że był Anserejczykiem, chociaż taił przed innemi swoje pochodzenie. Mają oni dużo tajemnych ajentów po wszystkich prawie miastach Syryi, mówią po arabsku, lecz pan de Sidonia twierdził, że mają także swój własny język.

— A widziałżeś kiedy powtórnie tego Anserejczyka z Damaszku?

— Widziałem go jeszcze potém kilka razy w Damaszku, paliłem z nim nawet nargyle, nazywa się Darkusz, i zajmuje się handlem aptecznych materyałów.

Ciekawość Tankreda wywołaną była następującą okolicznością. W ostatnim dniu wielkich łowów w Kanobii, Fakredeen chcąc zgłębić dążność Druzów względem dalszego rozwinięcia swych planów, spytał o zdanie Hamooda Abunedek, gdy tylko z nim i z Tankredem znajdował się na ustroniu. Hamood ze zwykłą sobie opryskliwością odpowiedział jednak szczerze, że nie ma nic przeciw zjednoczeniu pod jednym rządem Druzów i Maronitów, zwłaszcza, jeżeli tym rządcą będzie szlachetny właściciel Kanobii; lecz do żadnych innych poruszeń mieszać się nie myśli, dopókiby nie miał pewnéj zwycięztwa rękojmi, bo nadto już ucierpiał od domowych niepokojów i ciągłych wewnętrznych zaburzeń. Wnioskując z tego, co słyszał tak od swego ojca i dziada, jako i emira Beshir, twierdził, że dopóki Syryjczycy nie zabezpieczą się od strony północnéj, dopóty nie będą nigdy wolni od pozornego zwierzchnictwa Porty, która od czasu do czasu da im gorzko uczuć swoję władzę.

— A któż jest panem północnéj strony Syryi?—zapytał Tankred.

— Prawdziwi synowie Eblisa, ci przeklęci Anserejczycy, co przy każdém zaburzeniu na Libanie niechęć nam swoję objawiają.

— O ile słyszałem, nigdy z nami trzymać nie chcieli; a jak mi mówił stryj mój, emir Beshir, gdyby się byli z nami złączyli w roku 1840, tobyśmy byli Turków i Egipcyan na głowę pobili.

— I ja toż samo słyszałem—dodał szeik Hamood—mogą oni na zawołanie dostawić 25,000 dobrze uzbrojonego żołnierza.

— A w potrzebie nie zlękliby się Porty w Anatolii—dorzucił Fakredeen.

— Gdyby się z niemi połączyli Kurdy i Turkomany—mówił znowu Hamood – śmiało mogą poić swe konie w wodach Bosforu.

— Dziwna rzecz doprawdy—powiedział Fakredeen—że ja, co ciągle jestem w ruchu i tyle razy zwiedziłem Alep i Antyochią, nie zabłądziłem przecież nigdy do Anserejów. Zawsze mnie wprawdzie ostrzegano, bym tego nie czynił; i wyznać muszę szczerze, jakkolwiek czuję całą niedorzeczność tego przypuszczenia, iż ogarnia mię przecież jakieś złowrogie przeczucie, jakiś strach mimowolny na myśl téj podróży; może to skutek powieści mych nianiek. A potém znowu przypuszczam, nie wiem dlaczego, że oni szczególnie nienawidzą rodziny Shehaabów. Pamiętam dobrze, jak ich wiecznie przeklinał emir Beshir w Betedden.

— A jednak nieraz kusił się o pozyskanie ich przychylności, lecz zawsze bezskutecznie.

— I sądzisz—pytał znowu Tankred Hamooda—że bez nich nie można zapewnić Syryi niepodległości?

— Sądzę, że mając ich po sobie i do tego zapewnioną spokojność od strony stepów, Syrya może się urągać z potęgi Porty i Egiptu.

— I przenieść nawet plac boju na ziemię swych nieprzyjaciół—dodał Fakredeen.

— Lecz gdyby nas mieli zawieść, to lepiéj siedźmy spokojnie—rzekł Hamood.

— Patrz, szlachetny szeiku—zawołał Fakredeen—czy widzisz tę oto szybką gazellę; puśćmy się za nią w pogoń, a może nas zaprowadzi na ziemię Anserejów.

— Daleka to trochę wędrówka, i co do mnie, niebardzo byłbym rad poddać mą głowę epiece niewieścich rządów.

— Niewieścich?—zawołali razem Tankred i Fakredeen.

— Tak mówią.

— Nic o tém nie słyszałem, a za czasów mego stryja panował tam szeik El-Deridis. Mówiono mi tylko, że Anserejczykowie oddają cześć jakiéjś niewieście.

— W takim razie byliby chrześcianami—odrzekł Hamood—a nigdy za pewność tego i wiarogodność nikt mi nie zaręczył.

Rozdział IV.

Damaszek, jedno z najdawniejszych miast w świecie, nie posiada przecież żadnego swéj starożytności śladu; wszędzie zamożność, wszędzie dostatek, wszędzie świeże gmachy, a nigdzie ruin dawnych świątyń i pamiątek: a przecież miasto to nieraz było podbite, nieraz także i zwyciężkie. Niejedna tu świątynia nieznanym już bogom była wzniesiona: wszystko znikło bez śladu. Dziwne to i cudowne, że tak powiem miasto, tchnęło zawsze zamożnością i życiem. Zawsze młode i piękne, przeradza i przeobraża na swoję korzyść całą przeszłość; nie ma tu śladów upłynionych wieków, bo wszystko się przeistoczyło, wszystko nową przybrało postać. Ileżto sławnych miast runęło w gruzy, ileż ruin rozsypanych po świecie! Czemuż Damaszek zawsze tém samém tchnie życiem? Miasto to posiadało prawa i przywileje municypalne w owym jeszcze czasie, kiedy Wszechmocny objawiał się Mojżeszowi. Ileżto państw powstało i upadło od tego czasu! Przeszła po-

tęga Greków i Rzymian. Tatarzy, Arabowie i Turcy dzierżyli kiedyś to miasto w swéj władzy, a jednak miasto to zawsze równie kwitnące, zawsze równie pełne ruchu i życia. Wszelkie wyznania miały tu swoje siedlisko, wszelkie formy rządu, wyjąwszy reprezentacyjnego, dzierżyły pod swą władzą ludność tutejszą. Daremnie silą się sofiści wytłumaczyć to nadzwyczajne powodzenie Damaszku jego korzystném położeniem, obfitością otaczających go wód. Czyż mniejszemi obdarzone były korzyściami leżące dziś w gruzach sąsiednie kraje i miasta? czyż Nil zachował Teby od upadku? czyż Tygrys zapewnił istnienie Niniwy? czyż Eufrat zbawił Babilon?

* * *

W obszernéj kwadratowéj sklepionéj sali, najstaranniéj przyozdobionéj rzeźbami i złoceniami w guście saraceńskim, siedziało dosyć liczne zgromadzenie na bogatych zielonych, jedwabiem i srébrem przetykanych sofach i dywanach, które salę tę dokoła otaczały. W sali téj ozdobionéj kolumnami z białego marmuru, wyrabianemi w kształcie palm, mieściło się dużo wytwornych rzeźb i sprzętów nieznanych w ogóle najbogatszym mieszkańcom Zachodu. Piękne indyjskie stoły, chińskie wazony, agatowe koszyki napełnione najrzadszemi kwiatami, stroiły ten przybytek zbytku i wschodniego komfortu. Jedna strona sali ozdobiona szerokiém saraceńskiém oknem, zupełnie nieoszklona, zasłanianą tylko bywała czasami firanką z zielonego jedwabiu i srébra; lecz obecnie dla pięknéj pory zupełnie odsunięta, odkrywała prześliczny widok na pyszny ogród, napełniony wonnemi i rzadkiemi kwiatami. Dochodził także zewsząd szmer płynących strumieni i wodospadów, które głuszyła wszakże wpośrodku sali spadająca fontanna. Około téj ostatniéj, czterech murzynów wyrobionych z czarnego marmuru, wylewało z pięknych konch perłowych świeżą i zimną wodę do obszernego naczynia z jaspisu.

Zgromadzeni w tym salonie goście zaproszeni byli przez miejscowego gospodarza Adama Besso. Odzież jego odpowiadała wspaniałości salonu: biały turecki szal, z którego miał turban tak był cienki, że kupiec, który mu go sprzedał, przywiózł go przez morza i pustynie w wydrążonym granacie; zatknięty za pasem puginał miał ostrze z najdoskonalszéj, sztucznie emaliowanéj stali, pochwa zaś cała pokryta była brylantami.

Jakiś człowiek małego wzrostu rozmawiał z Adamem Besso: ozdobiony był wielu orderami i miał na sobie mundur Franków;

chociaż miał głowę wygoloną, osłaniał ją rodzajem czerwonéj w miejsce turbanu czapeczki. Byłto signor Elias de Laurella, bógaty żyd, kupiec z Damaszku, a przytém konsul austryacki: człowiek z wyższém usposobieniem, pojmujący równie interesa handlowe, jak i dyplomatyczne stosunki. Wszyscy byli dla niego z wielkim szacunkiem, tylko nie wiem czyto dla jego dokładnéj znajomości Wschodu, czy téż dlatego, że był ojcem dwóch najpiękniejszych córek Lewantu.

Panny Laurella, Teressa i Sofonisba, ukończyły właśnie edukacyą po części w Smyrnie, a po części w Marsylii, zkąd dopiéro co przybyły; ale pobyt ten w Europie zawrócił im głowę zupełnie, powróciły albowiem przejęte głęboką pogardą dla Wschodu, którą zaledwie mogły ukryć. Panny Laurella odebrały wysokie ukształcenie, wedle pojęć ogólnie w téj mierze przyjętych: tojest prześlicznie śpiewały, malowały jako tako kwiaty i owoce, i paplały pomiędzy sobą po francuzku o balach i zabawach Europy, z których im tylko wspomnienie zostało. Lubiły się odznaczać europejskim strojem, chociaż dotąd nawet ich ojciec ubierał się podobnie tylko w uroczystych wydarzeniach, i żaden jeszcze członek licznie po Damaszku rozplenionéj rodziny Laurella, nie dopuścił się takiéj zdrożności.

Zwykłym obyczajem ludzi chcących cudze nawyknienia i zwyczaje naśladować, przesadzały we wszystkiém europejskie mody; lecz i ta nawet przesada nie zdołała zatrzéć lub zmniejszyć wrażenia ich cudnéj urody, która każdego zachwycała. Piérwszyto raz panny Laurella odwiedzały rodzinę Bessa; znały one wprawdzie zdawna z reputacyi ten dom przemożny, lecz oddalone od Damaszku nie mogły mieć z nim ściślejszych stosunków; nadto, może i nie pragnęły tych stosunków, bo jakikolwiek był majątek i wziętość téj rodziny, byli oni przecież żydami, a panny Laurella niezmiernie ubolewały nad swojém hebrajskiém pochodzeniem; serdecznie się go wstydziły, i pragnęły zatrzéć, jeżeli nie w własnéj, to przynajmniéj w drugich pamięci. Teressa nawet nie ukrywała ztąd swego żalu i rozpaczy w własnéj rodzinie, lecz Sofonisba brała rzecz nieco filozoficzniéj i przypuszczała, że jeżeli żydzi szczerze się postarają, to potrafią tak naśladować inne narody, tak się przejąć ich obyczajem i strojem, że przyjdzie do tego, iż zniknie różnica, jaka ich dzieli dotąd od innych ludów, i że nikt już późniéj nie rozpozna żyda.

Pomimo lekceważenia swych współrodaków, panny Laurella uczuły przecież pewne poszanowanie, pewien wzgląd dla gospodarzy tego domu, skoro weszły do wnętrza przez te pyszne podwoje. Szlachetne i bez żadnéj przesady obejście Bessa, poważne choć uprzejme przyjęcie Ewy, równie strojem, jak pięknością różnéj od nich, zrobiły na nich pomimowolne wrażenie.

Pani Laurella, matka tych panien, jeszcze dość młoda, uchodziła kiedyś za najpiérwszą w Smyrnie piękność. Mimo przekwitłych wdzięków, zajmowała się jedynie strojem, i przy pomocy różnych kosmetyków nieźle wcale wyglądała; a potém jeżeli blask jéj oczu był nieco przyćmiony, to blask brylantów, w które się hojnie stroiła, nie pozwalał dostrzedz téj zmiany: jakoż i dzisiaj okryta była od stóp do głowy brylantami, rubinami, szmaragdami i kilku sznurami olbrzymich pereł. Każdy jéj palec jaśniał niby gwiazda; siedziała na osobnym dywanie, kiedyniekiedy poruszając ręką, lub obracając głowę w stronę światła, by błyszczące na niéj kamienie lepiéj zamigotały.

Młody człowiek w wschodnim stroju, chodził żwawym krokiem rozmawiając to z tym, to z owym, poruszając ramionami, zacierając ręce; słowem, przybierając raczéj pozór Franka, niż Syryjczyka.

Byłto Hillel Besso, najstarszy syn Bessa z Alepo, przyszły małżonek Ewy. Hillel był także światowym człowiekiem; przepędził zimę w Pera, nosił strój Franków i uczęszczał na bale i wieczory do ambassadorów tamże osiadłych, gdzie go mile przyjmowano. Mimo to jednak, nie przyniósł on ztamtąd, jak panny Laurella, pogardy i lekceważenia dla swego rodu i religii; przeciwnie, był on niezmiernie zadowolony z życia jakie prowadził, z całéj rodziny Bessa, a szczególniéj z siebie samego. Lecz byłto człowiek bez przesądów: czytał Woltera i sądził się być filozofem; to téż, gdy mu Ewa mówiła o wyższém powołaniu swojego narodu, jako przez Boga wybranego, gdy wzdychała za prędkiém odrodzeniem żydów i powrotem ich dawnéj potęgi; Hillel uśmiechał się i myślał sobie w duchu, że mu nigdy i nigdzie lepiéj nie było i nie będzie, jak teraz.

Przystąpił on do Teressy Laurella i zaczął z nią potoczną rozmowę. Teressa przyjęła go zrazu bardzo obojętnie, lecz dowiedziawszy się że to jest Besso, a do tego poznawszy z jego rozmowy, że był wtajemniczony do uciech i zabaw Zachodu, że był

na balach ambassadorów na przedmieściu Pera, zmieniła natychmiast swoje z nim obejście.

Było tam jeszcze dosyć osób zupełnie czytelnikowi nieznanych, a między innemi rodzina Farkisów. Pani Farkis, żona jednego z członków téj rodziny, była kobiétą w całym blasku urody, żywego umysłu, choć powolnych ruchów. Oczy jéj pełne ognia, przyćmione długiemi, czarnemi rzęsami, świeciły zpod nich jak oczy pantery przy świetle słonecznem; kibić jéj wysmukła była jak drzewo palmowe, czoło zaś gładkie i wyniosłe zdradzało głębokie pojęcia. Jakoż byłato kobiéta wysoko wykształcona, zamiłowana w swoim narodzie i serdeczna przyjaciołka Ewy: obiedwie znały swoję wartość wzajemną.

Pośród tego poważnego towarzystwa, igrało kilkoro dzieci tak dziwnéj piękności, że je koniecznie za nadziemskie istoty poczytać trzeba było: tyle było wdzięku w ich ruchach, tyle powabu w archanielskich obliczach. Wesołe te i szczebiotliwe zarazem stworzenia, biegały z kąta w kąt téj obszernéj komnaty: to podziwiając blask brylantów pani Laurella, to chwytając Bessa za poły obszernego jego odzienia, to czerpiąc w swe drobne i białe rączęta szumiącą ciągle wodę fontanny i kropiąc się nią wzajemnie, to nareszcie rzucając się w objęcia matki lub Ewy, którą równie prawie kochały. Byłyto dzieci siostry Helilla Besso, przybyłéj chwilowo do Damaszku. Siedziała ona obok swéj młodéj kuzynki, obojętna na resztę zgromadzenia, bacząc tylko na swoje dzieci; jéj piękne i łagodne niebieskie oczy zwrócone pilnie za niemi, śledziły i podziwiały zgrabne ich ruchy. W ogóle mężczyzni oddzieleni byli od kobiét, i siedząc z założonemi na krzyż nogami, rozmawiali o interesach i handlu, jak gdyby znajdowali się w bursie lub kantorze.

Niedługo otworzono boczne drzwi prowadzące do mniejszéj, lecz równie wspaniale przystrojonéj sali, i wszedł mnogi szereg służących. Dwóch z nich niosło ogromny kosz srébrny, płaski, prześlicznéj filigranowéj roboty, napełniony gałęziami palmowemi i mirtowemi. Dwóch innych niosło znowu kosz duży złoty, odmiennego kształtu, pełen świeżo zerwanych cytryn, które z kolei gościom podawano; każdy z przytomnych wziął w prawą rękę gałąź, a w lewą cytrynę. Po chwili gospodarz domu potrząsł dość mocno trzymaną w ręku gałązką, co posłyszawszy Ewa powstała natychmiast z miejsca i zbliżyła się do ojca.

Córka Bessa miała na sobie tunikę obcisłą, spadającą aż do kolan, z białéj. jedwabnéj materyi, spiętą dużemi brylantowemi guzikami i przepasaną sznurem pereł. Jéj szerokie mameluckie szarawary z różowego atłasu, spadające na takież pantofle całkiem zakryte brylantami, spięte były ponad kostką takimże sznurem pereł; na to dopiéro przywdziała kaftan syryjski z wiśniowego aksamitu, bogato haftowany w stanie, do gorsu i z krótkiemi rękawami, które całkiem zakryte były obszerną zwierzchnią szatą, z indyjskiéj, złotem przetykanéj materyi. Ta zwierzchnia szata przewiązana była szarfą jasno-pomarańczowego koloru, obszytą frendzlą z drogich i różnokolorowych kamieni. Na głowie miała małą syryjską aksamitną czapeczkę wiśniowéj barwy, włożoną nieco na bok i brylantami naszytą. Jéj długie czarne i spadające warkocze, także przeplatane były brylantami.

— Oni chyba już nie przyjdą—mówił Besso do córki.—Nie myślę czekać na nich.

— Pewna jestem, że przyjdą, mój ojcze—odrzekła Ewa poważnie. Jakoż w téjże prawie chwili, gdy słów tych domawiała, trzymając w jednym ręku gałązkę, którą oparła na piersiach, a w drugiéj cytrynę, otworzyły się znowu drzwi wchodowe i służba miejscowa wprowadziła dwóch nowo przybyłych gości. Jeden z nich był młody człowiek w europejskim stroju, drugi znany od wszystkich emir Fakredeen.

Rozdział V.

Ewa ujrzawszy wchodzących cofnęła się na swoje miejsce; Besso zaś zbliżywszy się do nowo przybyłych, rzekł:

— Witam cię szlachetny cudzoziemcze. Szlachetny emir Fakredeen, którego także witam serdecznie, mówił mi, że raczysz przepędzić wspólnie z nami jedno z wielkich świąt mego narodu...

— Zawszebym chętnie złożył ci moje uszanowanie—odrzekł Tankred—lecz szczęśliwszy jestem, że mogę to uczynić w czasie takiéj uroczystości.

— Kiedyż szlachetny cudzoziemcze przybyłeś w mury Esh-Shamu?

— Dopiéro dziś rano. Lecz gdzież jest twoja córka?—zapytał lord Montecute, i Besso zaprowadził go do Ewy.

Przybycie tych dwóch gości zrobiło wielkie na całém towarzystwie wrażenie, a zwłaszcza na pannach Laurella. Już obec-

ność samego młodego księcia Libanu była bardzo szczęśliwém zdarzeniem, a cóż dopiéro w towarzystwie pięknego i młodego Europejczyka, którego przytomność słodką karmiła nadzieją serce panien Laurella, iż może im się uda, nawet na tém wygnaniu, choć raz polkę przetańczyć; słowem, widok jego białéj chustki na szyi i paryzkich lakierowanych butów równą ich napełnił radością, jak szmer wody i widok zielonéj palmy spragnionego wędrowca w pustyni.

— Jestto jedno z wielkich i uroczystych świąt naszego ludu— rzekła Ewa do zbliżającego się Tankreda, poruszając lekko gałąź trzymaną w ręku—jestto święto palmowe (1), na pamiątkę naszych piérwszych winobrań.

O, tak! winobrania Izraelitów przeminęły, lecz posłuszni przepisom Odwiecznego, dzieci tego narodu obchodzą zawsze pamięć téj uroczystości. Lud tak wytrwały, co straciwszy swe winnice, pozbawiony nietylko owocu, ale i ziemi gdzie się te owoce rodziły, zawsze przecież czci i święci ich pamięć, ostoi się zniszczeniu i odzyska kiedyś swą własność. Jeżeli cudowną jest trwałość tych ustaw, niemniéj może cudowne męztwo i odwaga dzieci Izraela.

Zresztą święcenie téj uroczystości łatwiéj może jeszcze przychodzi téj części ludu izraelskiego, która żyje dotąd pod gorącém niebem Azyi; lecz wyobraźmy sobie mieszkańca północnéj Europy, który w ludném jakiém i brudném przedmieściu święcić musi pamięć tych pięknych scen południa. I jemu nakazuje prawo, równe dla wszystkich, bez względu na zimny i ostry klimat spędzić dni siedm pod gołém niebem, pod okryciem zielonych tylko liści; i oni muszą z prostych gałęzi sosny, dębu lub wierzby budować sobie chwilowe schronienie. Rabinowie powiedzieli im, że gałęzie te wyobrażają palmy i mirty. Im także nakazuje prawo zerwać czarowny owoc, a rabinowie powiedzieli im znowu, że cytryna lub rajskie jabłko owoc ten wyobrażać będzie, i biedni Hebrajczycy drogo jeszcze opłacać go muszą, i z uszczerbkiem może codziennego posiłku w składach korzennych kupować. A jeżeli po wielu trudach i kosztach, za pomocą rozległych stosunków handlowych, wyznawcy starego testamentu mieszkający na Zachodzie dostaną czasem gałązkę palmową, z jakąż radością roznoszą ją po synagodze, i wołają, jak niegdyś tłum witający wjeżdżającego do Jeruzalem potomka Dawida: „Hosanna na wysokości"!

(1) U nas w Polsce pospolicie *kuczki* zwane.

Jakże jest rozczulająca ta powolność żydów w krajach północnych, co zrodzeni w rozsypce i upokorzeniu, otoczeni nędzą, nienawiścią i prześladowaniem, obchodzą przecież święcie pamięć tryumfów i zwycięztwa swych przodków, przed kilku tysiącami lat zaszłych, które im dały ziemię Chanaan i piérwsze winne jagody. Otrząsają się oni wówczas z atmosfery zepsucia i kału, w jakich cały rok strawili; odrywają myśl od zysków lichwy i zdzierstwa, by ją wznieść do tego, co wiecznie opiewają poeci, do czego wzdycha każde niezepsute jeszcze serce: do cudów przyrody i ojców swych pamięci. A gdy biédny Izraelita po całorocznéj ciężkiéj pracy zasiądzie na chwilę spokojnie w rodzinném kole pod zielonym dachem smutnych i ponurych sosen, i zanuci: „hosanna na wysokości"—przechodzący mimo tego szałasu mieszkaniec miejscowy z oburzeniem patrzéć będzie na tę, jak ją nazwie, zieloną budkę i z pogardą zawoła: „To ci przeklęci żydzi obchodzą swe zabobonne święta. Doprawdy, dziwić się należy, że dzisiaj, w tym wieku postępu i oświaty, policya pozwala jeszcze na podobne niedorzeczności". Słowa te słyszane wewnątrz szałasu, nową goryczą napełniają serca biédnych ziemi judzkiéj wygnańców.

* * *

Wkrótce po przybyciu Tankreda, dał się słyszéć odgłos wesołéj muzyki. Besso zaprosiwszy lorda Montecute i Fakredeena, wyszedł z wszystkiemi gośćmi do ogrodu. Kobiéty wbrew przyjętym u nas zwyczajom, szły same za mężczyznami. Na pięknym tarasie urządzonym na dachu mieszkalnego domu, ozdobionym najwykwintniejszemi krzewami i kwiatami, i tak osłoniętym, by ciekawe oko sąsiada nic przejrzéć nie mogło, odkrywając jednak oczom zgromadzonego towarzystwa wszystkie powabne i rozkoszne widoki okolic Damaszku, ustawiony był rodzaj osobnéj znowu altany. Dwanaście drzew palmowych, świeżym okrytych owocem, i tyleż kwitnących mirtów, tworzyły jakby kolumny téj na chwilę postawionéj budowli. Pomiędzy temi drzewami, na przyczepionych zręcznie gałęziach, pozawieszane były najpiękniejsze owoce: cytryny, pomarańcze, granaty, figi, melony, a to w takiéj obfitości, iż formowały niejako mozajkową pomiędzy drzewami ścianę, z wierzchołka których spuszczały się najdoskonalsze winne jagody. Niższe zaś części ścian, czyli miejsca wolne pomiędzy palmami a mirtami, zapełnione były kwitnącém pomarańczowém drzewem, zostawując tylko w górze nieco wolnego miejsca, przez które, jakby

wśród naturalnych zielonych arkad, dochodziło naszych gości wonne i ciepłe Wschodu powietrze.

W téj dopiéro altanie zastawiono stół do wieczerzy, z całym zbytkiem i przepychem Wschodu, jak i *komfortem* Europy. Wokoło stołu umieszczono żółtą atłasową sofę z mnóstwem takichże samych poduszek, by każdy wedle upodobania mógł zasiąść czyto na sposób europejski, czy też wedle miejscowych zwyczajów.

Rozdział VI.

— Powinniśmy się byli dawno spotkać w Jeruzalem — mówił Tankred do p. Besso w czasie obiadu, siedząc po jego prawéj ręce — ale szczęśliwy jestem, że choć w Damaszku mogę ci podziękować za tyle wyświadczonych mi łask.

— Moja córka mówiła mi, że dosyć jesteś życzliwy dla naszego narodu, dlatego ośmieliłem się dziś cię tu zaprosić.

— Nie mogę zrozumiéć, by chrześcianin mógł obojętnie, a tém mniéj niechętnie patrzéć na naród, któremu swą pierwiastkową wiarę zawdzięcza.

— W ogóle inaczéj świat nas sądzi.

— Lecz cóż jest świat? czy Europa jeszcze dotąd niezupełnie zaludniona i pełna dzikich i niedostępnych lasów, czy odwiecznie świetna już Azya?

— Koleje żelazne prędko resztę niedostępnych lasów wytrzebią.

— Cóż będzie wtenczas z krainą przeszłości, z Azyą?

— Bóg nie zapomni swojéj wybranéj ziemi.

— Tak, to prawda, rządy tego świata winny się na prawach Boskich opierać, a tych znowu w Azyi szukać należy.

— Gdyby wasz rząd angielski choć raz zrozumiał i pojął prawdziwe położenie Wschodu — przerwał generalny konsul austryacki Laurella, nie zrozumiawszy wcale prowadzonéj rozmowy i dosłyszawszy z niéj tylko kilka urywanych wyrazów.— Jest ono łatwiejsze niż zrazu sądzić można, i będę się miał za szczęśliwego, jeżeli, zanim ztąd wyjedziesz, by zająć miejsce w parlamencie, zechcesz się zemną obszernie w tym względzie rozmówić. Może moje długoletnie doświadczenie niezupełnie straconém będzie dla ciebie milordzie.

Tankred skłonił się tylko w milczeniu.

— Co do mnie—odezwał się Hillel z zarozumieniem—nie rozumiem zupełnie, coto jest kwestya Wschodu, i sądzę, że to tylko jest dyplomatyczne urojenie gabinetów Europy. Bo proszę, zkąd i na co tak bardzo frasować się o Wschód? alboż to nam tak źle na świecie? Doprawdy nie mamy się na co uskarżać.

— Jakżem szczęśliwy, żem znowu między wami—mówił Fakredeen do siostry Hillela—ja tylko tutaj jestem prawdziwie u siebie.

— Myśmy wszyscy radzi i szczęśliwi, że cię znowu oglądamy—odrzekła zagadniona.

— Jakże ma pięknie ułożone włosy—szeptała Teressa Laurella do siostry, patrząc na Tankreda—jak ślicznie odbijają od tych obrzydłych turbanów.

— I całe ubranie. W istocie nieraz dziwię się, jak ludzie ucywilizowani mogą nosić podobne szaty; to niby ciągła maskarada.

— Nie przeczę ja wcale i przyznaję wiele przymiotów Frankom; ale co się tyczy ich stroju, tego im nigdy nie zazdrościłem—rzekł Mojżesz Laurella, brat konsula.

— Ach mój drogi stryju!—zawołała Teressa—spojrzyj tylko na tę śliczną białą chustkę na szyi: czémże się podobném strój Wschodu poszczyci? Jak to niewyszukane, a jak piękne zarazem! A te buty świecące? mogąż nasze pantofle, jakkolwiek upstrzone złotem i klejnotami, iść w porównanie z tém lśniącém obuwiem?

— Jak on tu nudzić się musi—dodała Sofonisba.

— I ja tak sądzę; bez balu, bez opery. Doprawdy, żal mi go szczerze. Co go tu mogło sprowadzić?

— Musi się kochać, taki jakiś smutny.

— Cóż dziwnego, że smutny. Zkimże tu może pomówić, kto go tu zrozumié?

— Lord Palmerston—mówił znowu konsul Laurella—dość był z kwestyą Wschodu obeznany; lecz gdybym był w służbie królowéj angielskiéj, potrafiłbym wiele jeszcze rzeczy wyjaśnić;—tu się zatrzymał z pewnym tajemniczym uśmiechem.

— Nie mogę słuchać tych wiecznych pochwał Palmerstona—zawołał Fakredeen porywczo—czyż nie ma już na świecie innych mężów stanu prócz niego? Jak on może znać kwestyą Wschodu, kiedy nigdy nie był na Wschodzie?

— Ależ szlachetny emirze, to są zadania wysokiéj dyplomacyi, które tylko zręczni bardzo ministrowie rozwiązać potrafią.

— Jabym w ciągu jednego miesiąca kwestyą Wschodu załatwił, gdybym tylko zechciał.

Konsul Laurella uśmiechnąwszy się pogardliwie, tak mówił daléj:

— Lecz to właśnie najgłówniejsza *kwestya*, by wyjaśnić, co jest właściwie *kwestya* Wschodu?

— Dla mnie kwestya Wschodu wyłącznie na tém się zasadza, kto będzie panem morza Śródziemnego, a tym musi być koniecznie Egipt lub Syrya. Daremnie o to kusić się będzie Anglia, Francya lub Austrya; mogą one nawet chwilowo dopiąć swego celu, lecz to nigdy długo nie potrwa.

— Egipt po daremnéj próbie upadł już pod brzemieniem tego przedsięwzięcia.

— Niechże teraz Syrya z kolei sił swoich sprobuje.

— Czy pan masz zamiar zwiedzić Egipt przed swoim powrotem? — zapytał Besso Tankreda.

— Nie myślę wcale o powrocie—odrzekł lord Montecute— i radbym poznać się z Egiptem; jestto kraj, którym dużo zajmują się w Europie. Takie tam wielkie zaszły zmiany!

— Egipt—przerwał Besso z uśmiechem—nigdy się nie zmienił; jestto zawsze ten sam kraj, jak za czasów Faraonów, rządzony według tych samych zasad, jak wówczas przez Józefa, tak i dziś przez żydów.

— Przez żydów?

— Takjest. Artim-Bej piérwszy minister Porty i niegdyś jéj ambassador w Paryżu, najlepsza dyplomatyczna w całym Wschodzie głowa, jest nietylko tegoż samego rodu co Józef, piérwwszy minister Faraonów, ale nadto jego w prostéj linii potomek.

— Trzeba go więc dodać do liczby wielkich polityków i mężów stanu, o których mi wspominał twój przyjaciel pan de Sidonia.

— O tak, brzemię rządów tego świata w części i na naszych barkach spoczywa.

— O ile mi się zdaje, to rządzicie każdym krajem, wyjąwszy własnym.

— I to mogło nastąpić w 1839 roku—rzekł Besso z westchnieniem—lecz po cóż mamy mówić o obojętnych rzeczach dla ciebie.

— Obojętnych?—przerwał Tankred—cóż mnie więcéj obchodzić może na świecie?

Po skończonéj uczcie roznoszono nargyle i porozścielano na ziemi różnokolorowe dywany, zasłane poduszkami, by każdy wedle upodobania czas swój przepędzał. Konsul generalny Laurella korzystał z piérwszego rozruchu przy wstawaniu od stołu, by przedstawić lorda Montecute swym córkom. Panie te chcąc mu pokazać, że Damaszek nie w takiém pogrążony barbarzyństwie, jak sądzą cudzoziemcy, zaczęły rozmawiać z naszym wędrowcem o balach i ostatniéj operze przedstawionéj w Paryżu. Tankred w wielkim był kłopocie, jak wywinąć się z rozmowy tak obcéj dla niego, gdy ktoś z obecnych wyrwał go z tego kłopotu, prosząc panien Laurella, by raczyły uszczęśliwić towarzystwo swym śpiewem. Po długich prośbach i naleganiach dały się przecie namówić, nie bez poprzedniego jednak narzekania na brak głosu i trudność śpiewania pod gołém niebem.

Tankred korzystał z téj sposobności, by się zbliżyć do Ewy, która przechadzała się po ogrodzie oświeconym tysiącem lamp kolorowych, w towarzystwie siostry Hillela i pani Nassim Farhi. Rzadko który z salonów Europy mógłby się poszczycić obecnością trzech razem zebranych tak doskonałych piękności.

— Panny Laurella ślicznie wprawdzie śpiewają—mówił Tankred do Ewy—ale co do mnie, pragnąłbym słyszéć w Damaszku tylko pieśni i psalmy żałobne.

— I w Europie podobno najpiękniejsza muzyka na ten temat zwykle bywa ułożona.

— Naturalnie, jedna tylko muzyka oddać może podobne myśli i uczucia.

— Panny Laurella śpiewają także modlitwę *z Mojżesza w Egipcie.*

— Chciałabym ją dziś usłyszéć, muszę posłać do nich Hellila, by je o to poprosił.

I skinąwszy na młodego Bessa, który natychmiast zbliżył się do niéj z uprzejmym uśmiechem, powiedziała mu o co rzecz idzie.

— Teraz mają śpiewać te panie duet z *Don Pasquale*—odrzekł tenże wzruszając lekko ramionami—a przyznam się, że jakkolwiek modlitwa jest piękną kompozycyą, wolę jednak nateraz serenadę.

— Cóż myślisz o moim ojcu?—po chwili zapytała Ewa lorda Montecute z wyrazem dumy i zadowolenia.

— Jest takim, jak mi go pan de Sidonia opisywał: wart jest nietylko twoim być ojcem, lecz ojcem rodu ludzkiego.

— Muzułmanie utrzymują, że raj był położony w bliskości Damaszku—rzekła pani Nassim—i że Adam ulepiony był z tutejszéj czerwonéj gliny.

— Dawno już pragnął cię poznać—ciągnęła Ewa nie uważając na słowa swéj towarzyszki—i twoja tu obecność wielce mu jest miłą.

— Dawno powinienem był szczycić się jego znajomością. Moja to wina zrządziła to opóźnienie i wszystkie moje następne przygody. Nie wart jestem szczęścia, którego dziś używam.

— Lepiéj późno jak nigdy; cieszy mnie to, żeśmy się przecie raz wszyscy poznali i że nam pan sprawiedliwość oddajesz. Za swoim do Europy powrotem, będziesz naszym obrońcą gdy nas zechcą spotwarzać, jak to przed kilku laty czynili mszcząc się, jak twierdzili, za ukrzyżowane i męczone przez nas chrześciańskie dziatki w czasie świąt Paschy.

— Nie myślę wracać do Europy—odrzekł Tankred rumieniąc się—a jeżeli was będą prześladować, to mam nadzieję, że i tu was obronić potrafię.

Jakaś głośniejsza nuta śpiewu panien Laurella, przerwała chwilowo rozmowę.

Po krótkiém przysłuchiwaniu się tym melodyjnym dźwiękom, rzekł Tankred do siostry Hillela, iż dla dopełnienia czarującego zewsząd obrazu i zmienienia go w istny raj, brakuje tylko jéj prześlicznych dzieci.

— Śpią już—odpowiedziała matka—pewna jestem, że równie jak królowa Saba marzą o kwiatach i dźwiękach.

— Twierdzą ogólnie—mówiła daléj Ewa—że dzieci naszego plemienia są najpiękniejszemi dziećmi na świecie, lecz że w późniejszym wieku znika ta nadzwyczajna piękność.

— Tak zwykle się dzieje—dodała siostra Hillela—jestto skutek doświadczanego przez nich niesmaku i niepokoju; zamiast uśmiechu pobłażania i zadowolenia, spotykają tylko cierpkie i niezasłużone wyrzuty lub oskarżenia: to też wyraz smutku i chytrości zastępuje na ich młodych twarzach wdzięk szczerości i swobody, i piętno niewoli i wzgardy wyciska się na ich czole.

— Lecz dzieci naszéj rodziny—przerwała Ewa —wychowane w pojęciach własnéj godności, otoczone czułém i tkliwém staraniem, nie doświadczały tego uczucia; ich więc przynajmniéj rysy nie powinny uledz téj powszechnéj zmianie.

Słowa te wymówiła z taką powagą, z tak głębokiém współczuciem, z takim smutkiem, połączonym z godnością obrażonéj dumy narodowéj, że Tankred patrzał na nią z uwielbieniem, i w myśli jego powstała chwilowo wątpliwość, ażali to stworzenie pełne wdzięków ciała i wzniosłych duszy i umysłu przymiotów, jest istotnie tylko zwyczajną téj ziemi mieszkanką. Przypomniał sobie piérwsze z nią w ogrodzie Bethanii spotkanie, gdzie go tak głęboko zdziwiła swą wiarą i wyższém rzeczy pojęciem; daléj zjawienie się jéj w pustyni; czułe starania i umiejętne leki, któremi go od nieuchronnéj prawie śmierci ocaliła, wreszcie obecną rozmowę. Oczy ich spotkały się, i niepojęte jakieś wzruszenie przebiegło wskróś Tankreda; odwracając wzrok od tego arcydzieła Stwórcy, westchnął głęboko.

W téjże chwili nadchodzący z Hillelem Fakredeen, głośnym śmiechem i żywą rozmową przerwali dalsze lorda Montecute rozmyślanie. Hillel zbliżywszy się do Ewy podał jéj rękę, i prosił całe towarzystwo, by wraz z niemi udało się do salonu, gdzie właśnie przyniesiono nadesłane z Marsylii klejnoty, które dla Ewy przeznaczał, a które wybierała osobiście żona ambassadora austryackiego w Paryżu. To mówiąc, Hillel poprowadził córkę Bessa, a za niemi udały się jego siostra i pani Nassim. Fakredeen pozostał w ogrodzie.

— Kto to taki?—zapytał Tankred wskazując na Hillela.

— Jéj narzeczony—odrzekł emir—człowiek, który mię pozbawił Ewy. Mimo to jednak pewny jestem, że po zamęzciu córki, Besso przyjmie mnie za syna, którym i jestem po części, bo mnie jego żona własném wykarmiła mlekiem; i jeżeli nie zostawi mi całego majątku, to przynajmniéj wykupi wexle i wszystkie długi zapłaci. Jak ci się zdaje, cóż myślisz o tém?

— O czém?—zapytał Tankred zamyślony.

Tu doszły ich głośne wybuchy śmiechu.

— Chodź, chodź—mówił Fakredeen—słyszysz, jak wszyscy cieszą się i podziwiają zapewne ślubny podarunek.

— Idę, spieszę — mówił Tankred pozostając nieco wtyle.

Lecz zamiast iść za emirem, młody lord w inną udał się stronę, a skrywszy się za drzewo cyprysowe, spoglądał żałośnie

to na piękne gwiazdami i jasnym, pełnym księżycem ustrojone niebo, to na wznoszące się ciemne i wysokie szczyty minaretów, to na rozlegające się z drugiéj strony obszary pustyni. Serce jego głęboka gorycz zalała, i westchnąwszy, szepnął zcicha:

— Gdybym był tobą, o cudny Damaszku! nie pozwoliłbym nigdy, by mi Alep wydarł najpiękniejszy z méj korony dyament. Lecz na cóż mnie obcemu tu przybyszowi podobnemi zaprzątać się myślami? Inną mi drogę wskazała Opatrzność.

Rozdział VII.

Skoro Baroni, stosownie do obyczaju Wschodu, odświeżył się w łaźni po swojém do Damaszku przybyciu, i wyczesawszy starannie brodę oblókł się w białe szaty wełniane i podobnyż turban, wyszedł i podążył w stronę wielkiego bazaru. Część miasta, którą przechodził była ludna i hałaśliwa: ulice wązkie, kręte, ścieśnione jeszcze wywieszonemi ponad drzwiami markizami, pod które chroniono się przed zbytnim upałem. Znał on widać dokładnie cały labirynt arkad, przerzynanych w różne strony różnorodnemi sklepami: bez wahania się bowiem przechodził to przez uliczkę zapełnioną samą bronią, to znowu składami jedwabiu, to bawełnianemi Anglii wyrobami; mijał także pstro ustrojone sklepy żółtych babuszy i czerwonych pantofli, przechodził szybko mimo składów Wschodnich towarów, które tak często mieszczą w sobie nieszczęsny zarodek straszliwéj zawsze zarazy.

W miarę jak Baroni spieszył daléj, ustawał gwar i ruch, jaki dotąd cechował same jądro handlowego miasta, gdzie każdy tak się zdawał zajęty, iż ledwie miał czas odpocząć chwilowo i szybko spożyć czyto filiżankę kawy, czy nieco ożywiających owoców, czy w końcu fajkę wypalić spiesząc do dalszych zatrudnień. Tu mało już widać było przechodniów; czasami tylko przesuwał się jak cień Armeńczyk lub żyd doktor, spiesząc do chorego, albo jaka osłonięta całkiem postać niewieścia.

Baroni zwrócił się jeszcze na prawo i wszedł pod arkady osłaniające składy apteczne. Tu sprzedawano także najdoskonalsze, najrzadsze gummy i najwykwintniejsze pachnidła Arabii.

W jednym z tych składów siedział z fajką w ustach człowiek średniego wieku, ponurego oblicza, z dużym orlim nosem i jasnemi niebieskiemi oczyma, odziany w szatę koloru orzechowego i ciemny turban.

— Witam cię, witam, Effendi—rzekł tenże postrzegłszy Baroniego—jakżeś już dawno nie był w Esh-Sham!

— Nie tak bardzo; a ty odwiedzałżeś często Damaszek od czasu ostatniego mego tu pobytu?

— Kilka razy tu już byłem — odrzekł zapytany podając własną fajkę Baroniemu.

— Cóż tam słychać u naszych przyjaciół w górach? — pytał Baroni oddając fajkę.

— Żyją.

— I to już dobrze.

— Byłżeś teraz w kraju Franków?—zapytał nieznajomy.

— Ja najczęściéj w ich kraju przebywam.

— Czy nie znasz kogo, coby potrzebował opium lub skamonii (1)?

— Jeszcze nie *wiém*, czy co o tém *wiedzieć* mogę— odrzekł tajemniczo Baroni.

— Mam ją w najlepszym gatunku, miałką jak mąka.

— Czy nie pomieszana czasem z mirrą?

— Alboż ja żyd?—odrzekł obrażony kupiec.

— Wprawdzie, nigdy dotąd nie mogłem się dowiedzieć rzetelnie, czém jesteś panie Darkusz. Ale wracając się do skamonii, mógłbym ci bardzo dobry interes nastręczyć, a nawet nietylko we względzie zbycia skamonii, ale i co do innych jeszcze towarów.

— Jużto mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nikt w całym Esh-Sham nie ma lepszego i większego składu odemnie.

— Co to, to prawda; i dlatego będę cię mógł sumiennie polecić. Coś mi się wszystko widzi, że dużo piastrów wory twe napełni.

— Bodaj to miéć przyjaciół: oni nam zawsze przychodzą w pomoc w smutnych przygodach.

— Te słowa przypominają mi moje własne kłopoty i zmartwienia. Wyobraź sobie, że podróżuję obecnie z młodym księciem angielskim, który powiedział, że mnie zabije na miejscu, jeżeli nie pomogę mu do odwiedzenia królowéj Ansorejów.

— Niech wprzód odwiedzi króla Salomona w krainie duchów—odrzekł Darkusz drwiącym tonem.

— I to może kiedyś nastąpi—powiedział Baroni—bo to doprawdy odmienny człowiek od reszty ludzi, i jeżeli sobie nabije

(1) Skamonia, preparat lekarski z rośliny zwanéj *convolvulus Syriacus*, znajdującéj się obficie w Syryi, mianowicie w okolicy Alepo.

głowę duchami, to ich nad ziemią i pod ziemią szukać będzie. Lecz wróćmy się do skamonii—ciągnął daléj Baroni sadowiąc się obok Darkusza—chociaż doprawdy więcéjbyś zyskał na wyrobieniu pozwolenia zwiedzenia waszych gór, niż na spieniężeniu wszystkich tu nagromadzonych towarów. Lecz darmo się kusić o rzecz niepodobną.

— Tak, to rzecz niepodobna.

— Mówmy więc o skamonii. Czy pamiętasz mojego dawnego pana?

— Któżby go mógł zapomnieć, mając raz to szczęście oglądać go.

— Ten książę cudzoziemski, z którym obecnie podróżuję, władca ziem obszernych, jest jego przyjacielem; jeżeli jemu dogodzisz i usłużysz, to tak, jakbyś tamtemu usłużył.

— Sam powiedziałeś, że daremnie kusić się o rzeczy niepodobne.

— Mówmy więc o skamonii. Lecz pamiętam dobrze, że lat temu piętnaście, gdy ówczesny mój pan toż samo miał zachcenie, nie robiłeś tyle trudności, i tylko szerząca się wówczas zaraza wstrzymała go od téj podróży.

— Czasy się zmieniły, a od lat piętnastu wiele wody upłynęło.

— Mówmy więc o skamonii. Anserejowie mają wielu przyjaciół w obcych krajach, ale cóż, kiedy odpychają dobre ich chęci.

Darkusz ściągnął tylko ramionami.

— Jeżeli mnie przyjaźń twoja nie zbawi—dodał Baroni—jestem zgubiony na wieki. Z chęcią dałbym jakie tysiąc piastrów, by głowę moję okupić wprowadzeniem do waszych gór mego pana.

— Książęta Franków nie mogą ścinać głów niewolnikom swoim—odrzekł Darkusz spokojnie—w najgorszym razie wysyłają ich tylko na wygnanie do wysp zamieszkałych przez złe duchy.

— Lecz książę, u którego w usługach obecnie zostaję, jest potężnym władcą obszernych ziem, bratem wielu królowych; nawet wielka królowa angielska jest jego siostrą.

— Winszuję tym, co służą królowym—odrzekł Darkusz szyderczo.

— Ależ i ty sam jesteś poddanym królowéj.

— Właśnie też dlatego nie mogę was puścić w góry, jak to przed piętnastu laty za panowania jéj ojca uczynić mogłem.

— Czyż rozkazy jéj są tak surowe?

— Oświadczyła, że w życiu swojém nie chce widzieć ani muzułmana, ani chrześcianina, bo jest w otwartéj wojnie z obydwoma wyznaniami, a złagodzenie téj krwawéj niechęci nie leży w méj mocy.

— Jakiż może być powód téj nienawiści?

— O tém możesz się tylko w górach Anserejów dowiedzieć.

Baroni podumał chwilę, a następnie tak przemówił do Darkusza:

— To, coś mi powiedział, naprowadza mnie na dziwny domysł. Ten młody człowiek, u którego w usługach zostaję, jest przyjacielem waszego ludu i zna zapewne powód waszéj niechęci, tak do muzułmanów, jak i do chrześcian, bo ich sam także niebardzo kocha; lecz jest on skąpy w słowach, choć uczuć gwałtownych. Nie śmiałem go nigdy pytać o powody téj chęci zwiedzenia waszego kraju, ale o ile teraz widzę, to on sam musi być Anserejczykiem. Przybył on umyślnie, by was odwiedzić, z bardzo dalekich stron, gdzie łatwiéj o piastry, jak o wodę, i pewnie ma wiele ważnych rzeczy waszéj królowéj powiedzieć; lecz cóż robić, daremnie się kusić o rzeczy niepodobne. Mówmy więc znowu o skamonii.

— Sądzisz, że on nasz rodak?—zapytał Darkusz półgłosem spoglądając badawczo na Baroniego.

— Tak sądzę.

— Na czém opierasz to mniemanie?

— To właśnie tajemnica, któréj ci odkryć nie mogę.

— Wprawdzie nie mogę bezpośrednio udzielić pozwolenia dla zwiedzenia naszego górzystego kraju, lecz wzajemna przyjaźń jest jako rzeka w pięknym ogrodzie płynąca. Jeżeli ten książę skąpy w słowach choć gwałtownych uczuć, jest rzetelnie....Czy mogę go widzieć, Effendi?

— Nigdybym mu o tém nie śmiał mówić. Napomknąłem o czémsiś podobném słów kilka, zanim do ciebie przyszedłem; ale oczy jego ogniem zabłysły, brwi się ściągnęły jak u syna Eblisa. Nie, to być nie może. Przestańmy się więc kusić o rzeczy niepodobne. Niech sobie wraca zkąd przybył, niepoznawszy waszéj królowéj, któréj jest może bratem, niech nienawidzi jak dotąd chrześcian i muzułmanów; ja na to nie poradzę, choć mię wypędzi na resztę życia pomiędzy złe duchy.

— Królowa dowié się o wszystkiém; czekajmy na jéj odpowiedź.

— O tak, czekać na powrót karawany z Mekki — zawołał Baroni—nie znasz widzę gwałtowności mego pana (i to mnie po części utwierdza w mniemaniu, że jest Anserejczykiem), bo gdyby był chrześcianinem lub muzułmanem, nauka ewangelii lub koranu, byłaby złagodziła tę jego porywczość.

— To zielone owoce, to niedojrzałe figi, ten wasz koran i ta wasza ewangelia. Wiész, co u nas myślą o tych obydwóch wyznaniach.

— Nie wiém—odrzekł spiesznie Baroni —I cóż takiego?

— Dowiesz się o tém w naszych górach.

— Więc nas tam zaprowadzisz?

— Jeżeli królowa na to zezwoli.

— Alełto ztąd do was przeszło 300 mil angielskich, a ty tak o tém mówisz, jakby chodziło o jaką krótką przechadzkę. Zanim wyślesz posłańca, zanim królowa raczy odpisać, a każda kobiéta, a cóż dopiéro królowa lubi się drożyć i ociągać z odpowiedzią, i zanim znowu odpowiedź jéj dojdzie rąk twoich, to wszystko nie tak prędko nastąpi, i podobno wyschną piérwéj źródła Esh-Shamu, zanim doczekamy się listu i to jeszcze odmównego.

Darkusz uśmiechnął się i potrząsł głową.

— Przyjdź jutro o zachodzie słońca, a będziesz miał od królowéj Anserejów odpowiedź. Powiész mi przytém, ile przygotować skamonii, by odrazu oba interesa załatwić.

— Zakupię wszystko i zaraz z góry zapłacę, choć nie wezmę teraz towaru, który u ciebie aż do mego tu powtórnego przybycia pozostanie.

Darkusz rzuciwszy na bok trzymaną dotąd w ustach fajkę, włożył ostrożnie rękę w zanadrze i wyjął ładnego gołębia z dużemi czarnemi oczyma. Gołąb' był zupełnie oswojony i spokojnie spoczywał na dwóch palcach ręki Darkusza, i patrzał mu w oczy z uwagą.

— Ho, ho, mój czarnooki—mówił Darkusz głaszcząc gołębia —mój kochany Karagusie, puszczam cię w świat, daleką odbędziesz pielgrzymkę, zwiedzisz twe gaje rodzinne. Takjest—rzekł daléj obracając się do Baroniego—Karagus jest moim zwykłym posłańcem; nie zdradził mnie nigdy. Jutro o tym czasie przyjdź po odpowiedź.

CZĘŚĆ VIta I OSTATNIA.

Rozdział I.

Pośród dzikich gór, w ciasnym wąwozie, jechało dwóch jeźdźców w stroju Kurdów, składającym się z białego turbanu i koszuli sznurem przepasanéj. W ręku trzymali długie widły, przy boku krzywy pałasz połyskał, a przy siodle umocowane były pistolety. Pomimo dzikości otaczającéj natury znać było, że pracowite ręce góry te użyzniały; wszędzie widać było ludne wioski, uprawne pola i bogate winnice.

— Widziałem dziś dwa razy orły na szczycie Gibel-Kiflis; co to za wróżba? — zapytał jeden z jeźdźców drugiego.

— Korzystnéj przygody dla naszéj królowéj — odparł drugi. — Jeżeli to prawda, że te dzieci Frangistanu tak hojnie opłacili zwiedzenie pustyń Tadmoru, cóżby dopiéro dać powinni za obejrzenie tych gór, których żaden z obcych nie widział.

— Ale mówią, że ten Frank jest naszego wyznania.

— Nigdy nie słyszałem, aby który z nas był Frankiem, gdyż Franki są Nazareńczykami, a nim tę wiarę przyjęli, żyli jak dzicy wśród puszcz i lasów.

— Przecież Keferini wydał rozkaz, aby całe nasze pokolenie czuwało nad cudzoziemcem, jakby nad samą królową; musi więc on do nas należéć.

— Mój ojciec umierając miał lat 110, a mówił mi przy śmierci, że podczas jego długiego życia żaden z Franków nam podobny w górach się nie ukazał.

— Znowu orły szybują nad szczytem Gibel-Kiflis; cudzoziemcy muszą się zbliżać.

— Oby ich przybycie nie przyniosło nam nieszczęścia.

— Czy masz złe przeczucie?

— Nie, aleśmy sami na szerokim świecie, wszyscy są naszemi nieprzyjacielami, wszystko grozi nam zniszczeniem.

— Masz słuszność. Byłem kiedyś w Alepo, jakżeż mi tam pusto i obco było!

— Nigdzie nie ma takich gór, jak nasze ojczyste, i to, co u nas widzieć można, nigdzie już nie istnieje.

— W bazarach Alepo i ogrodach Damaszku nie marzą nawet o tém, co my posiadamy.

— Któż może się porównać z naszą królową? my tylko bracie wiemy, ale nie wymówimy do kogo ona podobna.

* * *

Karagus, gołąb' czarnooki przyniósł pod skrzydłem list Darkusza do królowéj Anserejów, w którym ją tenże uwiadamiał, że dwóch książąt: Frank i Syryjczyk, chcieli zwiedzić jéj państwo i pomówić z nią o bardzo ważnych przedmiotach, zwłaszcza, że jeden z cudzoziemców do jéj pokolenia należał.

Na drugi dzień Rubylip, brat Karagusa, przyniósł do Damaszku odpowiedź królowéj i zarazem pozwolenie przestąpienia jéj granic dla dwóch obcych książąt i dwóch tylko służących. Baroni zatém mógł im towarzyszyć. Wybrali się oni natychmiast, lecz podróż odbywali bardzo wolno, bo Tankred chciał za jedną drogą zwiedzić Hamet i Alepo.

Przebywszy rzekę Koweik, zbliżali się do celu swéj podróży, utrudzonéj nateraz wojną toczącą się między królową Anserejów a baszą Alepu. Zbrojne oddziały górali drogę im przebiegały, lecz za pomocą i objaśnieniem Darkusza, przebyli szczęśliwie te niebezpieczeństwa i zbliżali się do bram stolicy.

Tankred i Fakredeen otoczeni zbrojnemi Anserejami, jechali na pysznych rumakach czystéj krwi arabskiéj. Ta podróż, ten kraj tajemniczy, te wspólne przygody i niebezpieczeństwa, ściślejszym jeszcze węzłem ich połączyły.

— Tankredzie—zawołał Fakredeen rzucając mu się na szyję— ileżeśmy cudnych rzeczy razem widzieli!

Wąwóz otoczony prostopadłemi skałami oddzielał ich tylko od stołecznego miasta, które zewsząd otoczone górami, zdawało się niezdobyte. Po krętéj, w górę wiodącéj drodze, stanęli wreszcie nasi podróżni przed ogromną bramą spiżową, prowadzącą do podziemnego przejścia, któréj podwoje z trzaskiem się za niemi zawarły. Po kilku dopiéro minutach dzienne światło ujrzeli, wjeżdżając na obszerny plac, różnokształtnemi budynkami otoczony. Było środek miasta; ze wszech stron z poza wież i dachów inne wyglądały skały. Nasi podróżni rzucili na siebie wzrok niespokojny, bo jakkolwiek z trudnością przyszło im zwiedzić kraj Anserejów i ich stolicę Dżindarik, zdawało im się nierównie trudniéj wydostać się z niego; udali się jednak za przewodnikiem do jednego z gmachów, gdzie im mieszkanie naznaczono.

Według wschodniego obyczaju przyniesiono im zaraz kawę i fajki, a wkrótce ukazał się starzec z pomarszczoną twarzą i okiem

błyszczącém, bogato ubrany, który ich witał głębokim ukłonem i imieniem królowéj pozdrowił.

— Zdaje mi się—rzekł Tankred—że mamy szczęście oglądać wszechwładnego Keferiniego, piérwszego ministra królowéj.

— Nie omyliłeś się szlachetny książę—odrzekł nowo przybyły z przesadą, a potém dodał oglądając się wokoło:—Nie spodziewaj się znaléźć u nas zbytków wielkiego świata, do jakich przywykłeś w Londynie; w tém mieście otoczoném ze wszech stron morzami, gdzie wam miliony niewolników usługują na klęczkach. Nasz naród jest ubogi i odarty z dawnéj zamożności i potęgi.

— Wszechwładny Keferini podobno wiele podróżował?—spytał Tankred.

— Angielski książę prawdę wyrzekł—odparł Keferini.—Zwiedziłem wszystkie miasta Syryi prócz Jeruzalem, w którém być nie chciałem, ponieważ jestto miasto dobre tylko dla psów niewiernych.

Tu Tankred zaledwie zdołał stłumić oburzenie.

— Czy zwiedzałeś Liban?— zapytał Fakredeen.

— Szlachetny emirze gościłem u twojéj rodziny, rozmawiałem wiele z emirem Beshir, i może, gdybyśmy się byli lepiéj porozumieli, Beshir nie byłby teraz w niewoli u tych obrzydłych barbarzyńców.

— I cóż wam przeszkodziło do umowy z emirem?—zapytał żywo Fakredeen.— Dlaczegoście się nigdy nie porozumieli z rodziną Shehaabów, kiedy dwa te plemiona złączone, mogłyby całą Azyą owładnąć.

— Słusznie mówisz szlachetny emirze, wielką jest Anserejów potęga.

— Czy prawda, że wasza królowa ma na skinienie 25,000 wojowników?—zapytał Tankred.

W istocie — odrzekł Keferini — mamy 25,000 wojowników, z których każdy starczy za trzech Druzów i dziesięciu Maronitów.

Wejście czterech paziów i czterech dziewic niosących sorbety i owoce, nie dopuściło zbyt może ostréj odpowiedzi Fakredeena, oburzonego temi przechwałkami piérwszego ministra. Późniéj rozmowa inny obrot wzięła: zaczęto rozprawiać o królowéj, a Keferini rzekł im uprzejmym i słodziutkim głosem, że jéj ani dziś, ani przez cały tydzień widzieć nie będą mogli.

— Ojciec królowéj zwał się Suedya?—zapytał Fakredeen.

— Takjest, ojciec królowéj zwał się Suedya.

— A jakież było nazwisko jéj matki?

— Nic nieznaczące; byłato bowiem niewolnica, nienależąca do naszego pokolenia.

— Czyto piérwszy raz białogłowa rządzi Anserejami?

— Piérwszy, od czasu, jakeśmy w tych górach osiedli.

— A gdzieżeście wprzódy mieszkali?

— W wspaniałych miastach, o których nie ma potrzeby wspominać, bo nam i tak nigdy nie wyjdą z pamięci.

Tankred i Fakredeen pragnęli usłyszéć nazwisko królowéj, lecz nie śmieli o nie zapytać. Już po drodze chcieli wyciągnąć na słowa spotykanych Anserejów, lecz zawsze coraz inną otrzymywali odpowiedź; wreszcie Baroni ostrzegł ich, że nie wolno tym ludziom mówić pod żadnym pozorem o swym kraju, rządzie lub wierze, i że tym sposobem oszukiwali zawsze ciekawość pytających. Keferini zaś lubo ciągle mówił, tyle używał niepotrzebnych słów i porównań, że nic z mowy jego wyciągnąć nie było można i nasi podróżni po całodziennéj z nim rozmowie tak mało wiedzieli o Anserejach, jak wtenczas, gdy po raz piérwszy zasłyszeli o nich.

Rozdział II.

— Uciekajmy, uciekajmy moja Cypros! Nie mogę tu dłużéj pozostać, tak mi serce bije.

— Droga pani—odrzekła powiernica—to zdziwienie tak cię wzruszyło.

— Nie wiedziałam, moja Cypros, że to zdziwienie; to chyba dotąd nigdy mnie nic nie zdziwiło.

— O tak, to zdziwienie—rzekła śmiejąc się Cypros.

— Cicho, tak głośno się śmiejesz.

— Czyż ja się śmieję? to chyba dotąd nigdy się nie śmiałam.

— Nie chciałabym, by słyszano nasze westchnienia i śmiechy— mówiła do Cypros młoda dziewica, zaledwie ośmnastą wiosnę licząca. Rysy miała greckie, włosy czarne jak heban, a oczy koloru fijołków. Jéj towarzyszka była młodsza jeszcze i piękna jak pączek róży.

Obiedwie zaczęły uciekać wzdłuż galeryi wiodącéj do mieszkania cudzoziemców, dokąd przyszły w chęci widzenia ich ukradkiem; lecz nagły ruch Fakredeena spłoszył je i zmusił do ucieczki. Z galeryi zbiegły na wschody, a ztamtąd przez kilka pokoi do ogrodu pełnego fontan i mirtów.

— Jak sądzisz, czy nas widziano? – zapytała jedna z nich padając na marmurową ławkę.

— Niepodobna—odrzekła Cypros.

— Cóż robić? muszę się im przecie kiedyś pokazać; ale jeżeli mi tak zawsze serce bić będzie, to ich przyjąć nie potrafię.

— Każ im zaczekać z kilk dni, to się może az niemi oswoisz.

— Nigdy się z niemi nie oswoję. A potém, byłobyto niegościnnie: wczoraj byli zmęczeni, miałam powód nieprzyjęcia ich; ale dziś.... dziś.... Wymyśl coś przecie, moja Cypros, jaką przyczynę, którąby ich zaspokoiła.

— Zdaje mi się, że już tém powinni być uradowani, żeś naznaczyła dzień przyjęcia.

— Być może, ale ja nie będę zadowoloną. Raz ich zobaczywszy, chciałabym ich znowu widzieć; a przecież nie mogę kryć się wiecznie w téj galeryi.

— To ich przyjmij dzisiaj; pośléj zaraz po Keferiniego.

— Ach! jakżeś ty nieczuła, spokojna; jakże ci zazdroszczę. Ale powiédz mi, jak sądzisz, który z tych dwóch książąt do naszego pokolenia należy?

— Doprawdy nie wiem, obadwaj tak wspaniale wyglądają.

— Choć tak niepodobni do siebie.

— Niepodobni, to prawda. Jeden z nich—dodała Cypros z namysłem—ma rysy do twoich zbliżone.

— Ten, z temi pięknemi niebieskiemi oczyma? Więc sądzisz, że ten do nas należy?

— Jobym chciała, żeby obydwaj do naszego pokolenia należeli.

— O, nie! to nie on, to nie on jest nasz rodak; nie, nie Cypros. Uważaj tylko dobrze rysy drugiego młodzieńca: czy widziałaś kiedy co równie zachwycającego? Te ciemne włosy, to wyniosłe czoło, wyraz powagi i godności; ten dumny i łagodny zarazem uśmiéch, czyż ci nic nie przypominają? czy nie widzisz w nich odbicia innych, bozkich kształtów?

— Ach, tak, to prawda!

— Powiédz mi cicho to święte imię, którego głośno nie godzi nam się wymówić.

Cypros nachyliła się do jéj ucha i szepnęła słowo, na które rumieniec oblał twarz młodéj dziewicy.

— To więc on— zawołała Cypros — pochodzi z naszego plemienia!

Rozdział III.

Nasi podróżni ze smutkiem przemyśliwali, jak potrafią przepędzić ten nudny tydzień w Dżendariku, gdy wszedł Keferini i oznajmił

im, że królowa zmieniwszy swe poprzednie postanowienie, wzywa ich natychmiast do siebie, i niebawem poprowadził ich do niéj.

Młoda królowa Anserejów przyjęła ich tak poważnie, jakby jaka Wiktorya z Saint James, odbywająca swoje *levée*. W obszernéj komnacie ozdobionéj rzeźbami w jońskim stylu, siedziała na wysokiéj sofie, szatą purpurową okryta; jéj długie ciemne włosy odgarnięte z czoła złotą starożytnéj roboty przepaską, spływały w bogatych splotach na ramiona. Po prawéj stronie stał Keferini dowódzca straży, i jakiś starzec z długą białą brodą, a za niemi mnóstwo niewolników; po lewéj orszak dziewic królowéj.

— Najmilsza i najpiękniejsza królowa w dowód swéj łaski i przyjaźni, pozwala wam usiąść w swéj przytomności—przemówił Keferini.

W skutek tych słów Tankred zajął miejsce po prawéj, a emir po lewéj ręce tronu. Fakredeen w stroju syryjskim błyszczał cały od okrywających go klejnotów i ciężkich Wschodu materyj, gdy przeciwnie młody Anglik przedstawił się w ciemnym i opiętym mundurze bellamontskiéj gwardyi.

— Jesteś księciem angielskim?—zapytała go królowa.

— Jestem Anglikiem—odpowiedział Tankred—poddanym naszéj królowéj, bo i nami rządzi także młodość i piękność.

— Moi ojcowie—rzekła znowu królowa odwracając się do Fakredeena—żyli zawsze w przyjaznych stosunkach z domem Shehaabów.

— Oby tak i nadal było; bo gdy Shehaaby złączą się z Anserejami, Syrya będzie prawdziwym rajem.

— Naród wasz często zamieszkuje na okrętach—mówiła królowa obracając do Tankreda mowę.

— Jesteśmy wyspiarzami—odpowiedział tenże zdziwiony tém nagłém pytaniem.

Lecz Keferini dobrze obznajmiony z obyczajami innych ludów, w ten sposób nieświadomą objaśnił królowę:

— Anglicy sześć miesięcy tylko przepędzają na okrętach; resztę zaś czasu w wiejskich zamieszkują zagrodach.

— W jakim wieku wasza królowa?

— Była w twoich latach wszechwładna pani, gdy na tron wstąpiła.

— Jak dawno?

— Siedm lat temu.

— Jak też wygląda jéj pałac?

— Ogromny i przepyszny.

— Emir Beshir jest teraz w Stambule? — zapytała znów Fakredeena.

— Nie, nateraz mieszka w Bruzie.

— A Stambuł, czy największe miasto w świecie?

— Wcale nie.

— Jakież największe miasto?

— Londyn, stolica Anglii, z któréj właśnie książę przybywa. Paryż jest także bardzo wielkie miasto, ale już nie takie, jak Londyn.

— Jaka jest ludność Stambułu?

— Podobno pół miliona.

— Widziałeś Antyochią?—zapytała Tankreda królowa.

— Nie jeszcze.

— A Bejruth?

— Widziałem.

— Antyochia teraz mniejsza od Bejruthu, a przecież ta sama Antyochia była kiedyś większą od Stambułu, a może i od waszego wielkiego miasta.

— I niezawodnie była piękniejszą—dodał Tankred.

— Ach! słyszałeś więc już o tém — zawołała żywo królowa— to powiédźże mi, dlaczego Antyochia upadła, dlaczego przestała być wielką, piękną i potężną?

— Podobne pytanie zastanowiłoby mędrca—odparł Tankred.

— Nie jestem mędrcem, a przecież mogłabym je rozwiązać— rzekła królowa.

— Raczże to uczynić wszechwładna pani.

— Są rzeczy, które można, a są znowu rzeczy, których nie można powiedzieć—dodała królowa spoglądając na Keferiniego.

— Wszechwładna królowa wyraziła się z prawdziwą mądrością i rozwagą—mówił minister—na to nieme pytanie.

Królowa zamilkła i przez kilka chwil zostawała pogrążona w myślach; potém skinęła białą dłonią na znak, by się cała świta oddaliła. Pozostał tylko Keferini, który na jéj rozkaz zajął miejsce opodal.

— Szlachetni książęta — odezwała się poważnie młoda królowa — bądźcie pozdrowieni w Dżindariku, gdzie nikt obcy dotąd nie postał, bo naród nasz nie pragnie ani poznać, ani dać się poznać innym ludom. Niepodobni jesteśmy do żadnego z nich, i niczego im nie zazdrościmy. Nie zazdroszczę okrętów królowéj angielskiéj, a naród mój nie zazdrości wam bogatéj wyspy. Te dzikie skały od naszych ojców zamieszkałe, choć w nich ciężko rolą uprawiać, wystarczają na nasze potrzeby, i choć

w nich nic ma złota, srébra, klejnotów, ani jedwabiu, miłujemy je i przenosimy nad wszystko. Ożywia nas wszystkich bowiem myśl wzniosła i pocieszająca. Gdy Darkusz wierny mego ojca sługa, mieszkający w Damaszku, przysłał do mnie gołębia z wiadomością, że dwóch obcych książąt chce państwo moje zwiedzić, pewnym był, że niepotrzebnie przysyłałby tu ludzi, coby zajęci byli tylko zwyczajami swego kraju, pięknością Frangistanu lub wynalazkami przemysłu, bo nas to wszystko mało obchodzi. Darkusz pisał mi, że nie chcecie rozumować ze mną o rzeczach ziemskich, przemijających jak bałwany wody, ale że macie się ze mną w ważnych przedmiotach naradzić. Na to następną Darkuszowi przesłałam odpowiedź: „Jeżeli słowa obcych książąt nie są tylko próżnym dźwiękiem, jeżeli w duchu braterstwa i pokoju pragną słowo prawdy usłyszéć, wskaż im drogę Dżindaryku".

Gdy zamilkła, Keferini skłonił się z uszanowaniem, Fakredeen i Tankred spojrzeli po sobie, a ten ostatni zabrał głos w te słowa:

— Z ust twoich mądrość sama płynęła; ja i mój przyjaciel uznajemy słuszność twoich wyrazów. Prawdę mówił Darkusz, iż nie o zwyczajnych przedmiotach chcemy z tobą pomówić i nie prosta ciekawość jest bodźcem naszych odwiedzin; i nas także ożywia myśl wznioślejsza, i ta sprowadziła nas tutaj. Uznajemy, że Azya zawiera w sobie myśli żywotne, które reszta świata z niéj czerpać przymuszona, uznaje tém samém jéj wyższość. W Azyi tylko Bóg ludziom się objawił, w Azyi nadał im wiarę, a wiara wszędzie upada; znać więc, że potrzeba nowego wstrząśnienia w świecie, nowéj świętéj z Azyi iskry. Sądzimy, że posłannictwo to cięży szczególnie na Syryi i Arabii, jako krajach najbardziéj umiłowanych od Boga. Te dwa pokolenia ludzi wolnych, pełnych życia i świeżości myśli, zdają się być przeznaczone na podbicie świata. Chcemy więc podbić świat stary z boskiém słowem na ustach, z obrazem Boga na sztandarze, z aniołami na czele; chcemy uszczęśliwić zbyt długo cierpiącą ludzkość i rozszerzyć wokoło święte słowa wiary i prawdy.

Królowa Anserejów słuchała tych słów z głęboką uwagą, i po chwili tak przemówiła:

— I ja także wierzę w duchowe Azyi posłannictwo; bo póki jéj żywioł światem rządził, wszystko było wznioślejsze i piękniejsze, jak dzisiaj. Słysząc was ucieszyłam się, żeście tu przybyli; ale mówiąc o Arabii powiédz mi, o jakimże Bogu mówiłeś?

— Mówiłem o jednym Bogu prawdziwym, o Bogu, co się na górze Synai objawił i odkupił winy nasze na syryjskiéj Kalwaryi.

— I w Anatolii jest góra Olimp, gdzie także mieszkali bogowie.

— Bogowie poetów?

— Nie, bogowie ludu, którzy go kochali i których on też kochał.

Tu nastąpiło chwilowe milczenie, które przerwała królowa, mówiąc do Keferiniego:

— Myśli tych książąt są wzniosłe i nadziemskie, nietrzeba więc, by bramy piękności zamykały się przed niemi.

— Mamże wszechwładna pani otworzyć im podwoje cudownéj i zaklętéj świątyni?

— Tak, i każ ją w kwiaty przystroić. Szlachetni książęta— dodała obracając się do swych gości—ujrzycie to, co dotąd oko żadnego cudzoziemca nie widziało: ujrzycie naszę Azyą i jéj bóstwa.

Za chwilę znowu tłum napełnił pokoje, królowa i książęta powstali, strojne dziewicie pod przewodnictwem Cypros rozdały obecnym girlandy z kwiatów, i udano się przez długi szereg komnat i wysoką spiżową bramę, misternemi okrytą rzeźbami, do podziemnego przejścia, nakształt tego, którym Tankred i Fakredeen wjeżdżali do Dżindariku. Wkrótce blask słońca znowu ich uderzył, i ujrzeli się na płaszczyznie otoczonéj wokoło niebotycznemi skałami, tak, iż jedynie przez podziemia dostać się na nią było można.

W przeciwnéj skale wykuta była grota, do któréj wiodły wschody, otoczone jońskiemi kolumnami. Wnętrze było ozdobione wspaniale. Królowa rzucała kwiaty i wieńce i przewodniczyła chórowi, nucąc pieśń w jakimś nieznanym języku. Gdy wzrok Tankreda przyzwyczaił się do półcienia panującego w grocie, jakiż wspaniały uderzył go widok! Wokoło groty, na bogatych podstawach, stał rząd posągów doskonałéj piękności. Ich wspaniałe kształty i wyraz boskości promieniejący w idealnego wdzięku postaciach, przejmował mimowolną czcią i poszanowaniem.

Na tronie z słoniowéj kości, siedziała postać z łagodnym i poważnym wyrazem twarzy, trzymając w ręku pioruny i cyprysowe berło. U nóg leżał orzeł z rozwiniętemi skrzydłami. Wokoło zaś postaci bogów, bogiń, nimf i faunów, zdawały się uosobistniać każdą namiętność, odpowiadać każdéj myśli. Słabe światło rzucające blade na grotę promienie i padające na te marmurowe kształty, zdawało się je ożywiać i nadawać im jakiś pozór istotnego życia.

— Bogowie Grecyi!—zawołał Tankred.

— Bogowie Anserejów, bogowie ojców moich!—rzekła królowa.

— Co za dziwy!—szeptał zdumiony Tankred—czy to sen jaki, czy obłęd zmysły moje ogarnia?

— Nazwałeś ich bogami, a emir Libanu, czy także przyznaje im boskie pochodzenie?

— Uczułem je w téj chwili.

— Jakimże sposobem—pytała królowa—ty, dziécię północnéj wyspy.....

— Poznałem bogów Olimpu! nieprawdaż?—przerwał Tankred.—Nic w tém dziwnego, mówiono mi o nich oddawna.

— Prawdę Darkusz powiedział— mówiła zcicha do siebie królowa z wyrazem radości—on rzeczywiście jest jednym z naszych.

— Więc ujrzałem wreszcie bóstwa Anserejów — zawołał emir.

— Oto wszystko, co pozostało z Antyochii, z Antyochii tak niegdyś możnéj i wielkiéj, z jéj poświęconych gajów, z jéj licznych arcydzieł.

— Nieszczęsna Azyo, jakżeś upadła!—wykrzyknął emir.

— Gdy lud przestał palić bogom ofiary—mówiła królowa jakby w natchnieniu—rozgniewane bóstwa opuściły ziemię (ufam, że nie nazawsze); wtedy szczupła liczba wiernych schroniła się w te góry, unosząc z sobą święte posągi. Dlatego wam mówiłam, że posiadamy w naszych obyczajach i pamięci wielką myśl przeszłości; wszystkośmy stracili: potęgę, wielkość, sztuki piękne, to nam tylko pozostało. Przywdzieliśmy ubiór Kurdów, jesteśmy im prawie podobni, tylko te posągi strzegą nas od upadku, i swą pięknością unosząc nas nad ziemię, przypominają nam, że po latach próby, gdy Azya się upamięta i wróci do dawnych bogów, oni nam przebaczą i znów zstąpią na ziemię, która bez nich jest tylko miejscem wygnania.

— O pani!—zawołał Tankred—pomówimy jeszcze o nich, nieprawdaż? bo teraz serce moje nazbyt jest pełne.

— Chodź ze mną—rzekła słodkim głosem królowa i weszła z nim do mniejszéj groty, łączącéj się z poprzednią, w któréj stały tylko dwa naturalnéj wielkości posągi; i zaprowadziwszy go przed jeden z nich, zapytała:

— Poznajesz-że go?

— To bóg poezyi i światła: Phoebus Apollo.

— Nasz bóg, bóg Antyochii. Możnaż spojrzawszy na niego wątpić o jego bóstwie?

— Jestżeto doprawdy ten sam Apollo, przed którym gwiazdy bladły, na którego cześć wychylano puhary pełne najsłodszego wina i wieczne palono kadzidła?

— O tak, wiész wszystko.

— Aniołowie! czuwajcie nademną—szeptał Tankred—tchu mi brakuje.... A któż to jest?—wskazując na drugi posąg zapytał.

— Bogini Syryi, przed którą tysiące klękało: Wenus naszego kraju, nazwana u nas imieniem, które i ja noszę, *Astarté*.

Rozdział IV.

— Jak długo przed przyjściem proroka ludzie przestali czcić te bóstwa?—pytał później Fakredeen Tankreda.

— Gdy Chrystus zstąpił na ziemię.

— Lecz prawda i przed jego przyjściem zstąpiła na ziemię, gdy Bóg przemówił do Mojżesza na górze Synai, gdy potém oświecał duchem swoim proroków i wielu książąt z domu Dawida.

— Tak, lecz Bóg objawiał się jedynie wówczas ludowi wybranemu, przez usta zaś Jezusa na świat cały rozszerzył słowo prawdy i zbawienia. W mojém pojęciu, chrystyanizm jest rozwinięciem i udoskonaleniem judaizmu, zastosowaniem go do pojęcia ogółu; dlatego zadał on cios śmiertelny bałwochwalstwu i rozszerzył się aż na krańce ziemi. Wiara ta święta aż do nas przeszła, do mego narodu niegdyś dzikiego; oświeciła go, ocaliła od upadku i uczyniła go tém, czém jest dzisiaj.

— Ciekawa to i zabawna historya — rzekł Fakredeen — chciałbym ją znać dokładnie. Czy Juliusz Cezar należał do ludów niewiernych?

— Bez wątpienia.

— A Alexander macedoński?

— Także. Bylito dwaj najwięksi ludzie z narodów nieuświęconych objawieniem, i przedstawiali niejako dwa największe szczepy południowéj Europy.

— A przecież, choć nie byli, jak mówisz, uświęceni objawieniem, tak wielkich dopełnili czynów, tak olbrzymie państwa zdobyli!

— Cóż znaczą podobne zwycięztwa w porównaniu z podbiciem moralném? Gdzież się podziała ich potęga? gdzie ich potomkowie? Obadwaj byli ubóstwieni, któż im teraz pali ofiarne kadzidło? Dzi-

siejsi Grecy i Rzymianie schylają czoło przed ołtarzem Chrystusa, potomka Dawida; tylko jedna Azya otoczona Saracenami i Tatarami, przeniewierzyła się wierze wyszłéj z jéj łona; lecz jeszcze kiedyś Bóg ulituje się nad nią i znów w niéj zajaśnieje prawda, i znów nada ona światu wyższy kierunek.

— A cóżby się stało, gdyby Azya uwolniona od narzuconéj wiary Mahometa, powróciła do owych cudnych bogów, któreśmy dziś rano widzieli?

To pytanie nie piérwszy raz od rannych wydarzeń zadawał sobie Fakredeen, i zawsze w jego myśli zostało bez odpowiedzi. Dwaj przyjaciele wrócili do Astarté znużeni, milczący. Zdawało się, jakoby szczerość braterska pomiędzy niemi nagle zniknęła. Fakredeen szczególniéj zdawał się zatopiony w dumaniach; nigdy nie słyszał o dawnych bogach Olimpu, dlatego widok ich otworzył nowe myślom jego pole i nie mógł ich oderwać od cudnych kształtów, co tak niespodzianie wzrok jego uderzyły. Na Tankredzie przeciwnie, grota cudowna zupełnie inne uczyniła wrażenie; nagłe zjawienie się bogów Grecyi zastanowiło myśl jego, młoda królowa także go zajęła. Ten umysł wyższy, przyzwyczajony do nadziemskich marzeń, wzbudził w nim nadzieję nawrócenia jéj, a jakże ważne byłoby jéj przejście na wiarę Chrystusa. Nie piérwszy to raz Bóg przez usta kobiece szerzył świętą prawdę.

Fakredeen nie mając dotąd żadnéj wiary, nie mógł nawracać Ansercjów; prędzéjby sam przyjął wiarę Astarty, gdyż ona silny wpływ na jego słaby umysł wywarła. Jedyną dotąd kobietą, co nim kierowała, była Ewa; kochał ją jak siostrę i przyzwyczaił się we wszystkiém rady jéj zasięgać; lecz Astarté zjawiła się jak gwiazda przed jego oczyma, i blaskiem go swoim olśniła. Młoda, cudownie piękna, przytém królowa, namiętna i wymowna, otoczona zarazem urokiem nowéj dla niego wiary i dziwnéj tajemniczości, opanowała wkrótce jego bujną wyobraźnię. Ewa i Tankred mówili mu wprawdzie o bogach, ale Astarté objawiła mu ich niejako dotykalnie. Porównywał w myśli cudną widzianą świątynię, z niekształtnemi klasztorami chrześcian i meczetami muzułmanów. Czyż bogowie Olimpu nie byli dawniejszemi od Boga Synai i Kalwaryi? czyż ich czciciele nie doszli najwyższéj potęgi? Dlaczegóż miał ich odrzucać? Skłaniało go do tego i niejakie pokrewieństwo z plemieniem Ansercjów. Uwierzył słowom królowéj, która twierdziła, że świat cierpi od czasu, jak dawne bogi porzucił, bo widział cierpienie w każdym wyższym umyśle, a nie umiał odgadnąć jego prawdziwéj przyczyny. Rozumiał

jeszcze, że on sam cierpi jako Syryjczyk, niemający politycznego znaczenia; rozumiał, że Ewa jako żydówka płakała, widząc pogardę ciążącą na swém plemieniu, lecz nie pojmował, dlaczego Tankred, młody, bogaty, syn potężnego narodu, nie był szczęśliwy; dlaczego opuścił ten raj ziemski, ucywilizowaną Europę? dlaczego cierpiał?

Wszystkie te myśli wiły się po głowie potomka Shehanbów, wraz z dymem niezliczonych fajek; przyczém rachował i obliczał w duchu, ile to 25,000 bitnych Anserejów, połączonych z jego wojskiem, wielkich dopełnią czynów. Nieznacznie marzenia Tankreda, które z takim zapałem podzielał, rozszerzenie prawdziwéj wiary, odrodzenie świata i t. p., ustępowały osobistym widokom. Widział się w myśli samowładnym panem Libanu, którym władał wspólnie z Astartą. Jego granic strzegło 100,000 walecznego wojska; wszędzie wprowadzał bogów Olimpu i znowu otaczał ich dymem ofiar i kadzideł. Patryarchę Antyochii zamienił na arcykapłana, a żydom, przez szczególny wzgląd na dom, w którym odebrał wychowanie, pozwalał trudnić się handlem w swojém państwie.

Rozdział V.

Od owych odwiedzin w świątyni Anserejów, można było dostrzedz wielką zmianę w obejściu Fakredeena z Tankredem: odpowiadał uszczypliwie na jego pytania, i zamiast zwierzać mu się z doznanych wrażeń, unikał jego obecności.

Na drugi dzień rano królowa zaprosiła ich na konną przejażdżkę w okolice Dżindaryku. Porzuciwszy dzikie skały, wjechali na piękną i uprawną dolinę. Fakredeen jako doskonały jeździec popisywał się przed królową; lecz ona nie zważając na niego, spoglądała z widocznem upodobaniem na Tankreda, który jechał obok niéj w zamyśleniu.

Po południu książęta w towarzystwie Keferiniego udali się znowu do królowéj, i tam spędzili kilka godzin, rozmawiając o różnych przedmiotach. W tym stanie rzeczy kilka dni upłynęło. Rano jeździli do pięknéj doliny, pełnéj akacyj i kwitnących oleandrów, wieczory zaś u pięknéj Astarté spędzali. Z Fakredeenem królowa była wesoła i poufała: podobał jéj się ten wyraz nieśmiałości i pokory, który tak zręcznie, a może i szczerze przybierał. Zdawało się, że każde jéj słowo i spojrzenie pożera, zawsze się zgadzał z jéj zdaniem, rumienił się co chwila, i nie taił swego uwielbienia. Jakkolwiek emir nie mógł się na obejście królowéj uskarżać, uważał jednak, że zupełnie inną była względem Tankreda, i nie wiedział na czyją korzyść

wypadała ta zmiana postępowania i obejścia królowéj. Jeśli on z chciwością chwytał każde przez nią wyrzeczone słówko, to ona nawzajem słuchała z religijną uwagą najmniéj znaczącego zdania młodego Anglika; jeśli on był przy niéj nieśmiały, to ona także zaledwie się odzywała przy Tankredzie; gdy tymczasem ten ostatni zajęty swém posłannictwem, nie zważał na uczynione wrażenie. Wszystko to nie uszło bacznego oka Fakredeena, nie stracił jednak nadziei, uczuł bowiem, że jeśli ma rywala, potrafi go zwyciężyć; tém bardziéj, że Tankred nie myślał o obronie, a on postanowił wszelkiemi sposobami dopiąć swego celu. Starał się naprzód pozyskać Keferiniego, cały dzień obsypywał go pochlebstwy, radził się go względem spraw i interesów nigdy nieistniejących, upewniając, że emir Beshir zaklinał go o utrzymanie przyjaznych stosunków i pozyskanie pomocy ministra Anserejów, a nadewszystko czynił mu wielkie obietnice i kosztownemi klejnoty obdarzył.

Wreszcie dnia jednego znalazł się samnasam z królową, gdy tymczasem Keferini zatrzymał u siebie Tankreda. Byłato sposobność dawno upragniona przez emira, i nie omieszkał z niéj korzystać.

Zaczęli mówić o Libanie. Astarté pytała go o Kanobią, a Fakredeen opisując swój zamek zaniósł pokorną prośbę, by królowa Anserejów raczyła go odwiedzić. Lecz ta przerwała mu z żywością:

— Dziwi mnie to, że Darkusz, mój wierny sługa w Damaszku, napisał mi przez gołębia, że jeden z książąt chcący zwiedzić Dżindaryk, podziela naszę wiarę; tymczasem angielski książę upewnił mnie, że tak nie jest w istocie, że ta wiara znaną jest tylko w kraju jego ojców z dawnych greckich poematów (u nas zatraconych), gdzie są opisane wszystkie nasze bóstwa i podania, których się uczą, lecz im wcale nie wierzą.

— W Anglii nic nas dziwić nie powinno: jestto najoryginalniejszy kraj w świecie. Wyspa północna, nieco większa od Malty, lecz daleko mniéj obronna. Sprowadzają oni z zagranicy wszystkie najpiérwsze potrzeby życia: zboże z Odessy, wina z południowych krajów. Mówiono mi nawet w Bejrucie, że bawełna nie rodzi się u nich; ale temu już wierzyć nie mogę. Religią nawet z Syryi czerpali. Dlaczegóżby więc nie korzystali z greckich poematów?

— Jakiżto musi być biédny lud—zawołała Astarté.—A jednak widać, że chcą się czegoś dowiedzieć, nauczyć, kiedy tak podróżują po świecie.

— Jednakże Darkusz nie mylił się, pisząc ci, że jeden z nas wiarę twoję podziela.

— Jakto?

— Tak, jeden z nas należy niejako do twego pokolenia, ale tym szczęśliwym nie jest angielski książę. Cudna Astarté, nie znałaś mojéj matki—dodał Fakredeen z westchnieniem.

— Jakże ją znać mogłam? nie opuszczałam nigdy tych gór droższych dla mnie, niż piramidy dla wielkiego baszy Egiptu. Nie spojrzałam nigdy na kobiétę z pokolenia Maronitów lub Druzów.

— Spytaj Keferiniego, on był na dworze emira Beshir, on słyszał o mojéj matce, która, jak ty cudna Astarté, należała do pokolenia Anserejów.

— Twoja matka?—zawołała zdziwiona królowa.—Z któréjże pochodziła rodziny?

— Ach!—zawołał emir—to jest dla mnie tajemnicą, i to mnie wiecznie boli; straciłem tak młodo rodziców, i właśnie tu przybyłem chcąc dojść pochodzenia méj matki, jeżeli to być może. Żyłem tylko tą myślą, marzyłem o jéj cudnéj wierze, dusza moja pragnęła bogi jéj oglądać. O Astarté! gdybyś wiedziała, com ja już dla téj wiary ucierpiał....— i łza zawisła na długich rzęsach emira.

— Jakimże sposobem—zapytała królowa, przybyłeś tutaj inną wiarę opowiadać?

— Ja – przerwał Fakredeen z wyrazem pogardy—przyszedłem inną opowiadać wiarę? To ten szalony cudzoziemiec przybył tu z zamiarem nawracania na religią, któréj sam dobrze nie pojmuje; bo religia ta jest wschodniém wyznaniem i sam się przyznał, że u nich nie masz ani cudów, ani objawienia; że Bóg ich kraj opuścił.

— Nie zrozumiałam cię dobrze emirze—rzekła Astarté — myślałam, że obadwa macie jedne zamiary, i że obadwa wspólnie w jednéj sprawie walczycie.

— Wszystko to zapewne wiész przez Darkusza, lecz on go nie znał osobiście, miał tylko niejakie z jego kamerdynerem stosunki, od którego wszystkie te wiadomości czerpał. Ja wiedziałem o wszystkiém, lecz nie przeczyłem mu, chcąc korzystać z téj sposobności dla zwiedzenia Dżindaryku, chcąc dostać się do téj upragnionéj ziemi, nie pytając, jakim sposobem i nie mieszając się do zamiarów, dla których Anglik podróż tę przedsięwziął.

— Jakiekolwiek są cele angielskiego księcia, ufam, że są wzniosłe, i że ich dopnie—odparła poważnie Astarté.

— Nie chciałem nic złego przeciw niemu powiedzieć—podchwycił emir—ale jest on zbyt żywy, dumny i niepraktyczny; a nadto po-

wiązany z ludźmi złéj sławy i wiary, przez których niezawodnie upadnie. Naprzykład teraz zakochał się szalenie w żydówce z Damaszku, choć żydom w Anglii mieszkać niewolno, i chce przewrócić cały porządek towarzyski, byle się z nią ożenić.

Na te słowa Astarté zbladła straszliwie i powtórzyła drżącym głosem:

— Zakochany w żydówce z Damaszku?

— Namiętnie: onato go jedynie zachęca do tych szalonych przedsięwzięć, ona wyjaśnia mu zawikłane myśli *hebrajskiej kabały* (1), a on mówi jéj o Nazareńczyku; i umyślili we dwoje podbić Azyą, a może i świat cały naszemi szablami, za co nas wynagrodzą wielkanocną macą.

— Ależ to straszne, niegodne!

— Zapewnie.

— Czyż królowa angielska dozwoli jednemu z swych książąt zaślubić żydówkę?

— Nigdy. On będzie ścięty, a ona spalona; ale tymczasem wiele nieszczęść może spaść na nas, jeżeli im nie zapobiegniemy.

— Trzeba im zapobiedz.

— Co mnie najwięcéj bawi—mówił daléj Fakredeen—to zimna krew, z jaką ten Anglik rachuje na nasze wsparcie. Najprzód przyjeżdża do mnie do Kanobii, potém tutaj do Dżyndariku; chce, byśmy wszystkie usunęli trudności naszemi wojownikami, i aby on i jego żydówka z tego korzystali! Zapewnie, gdyby Ansarejowie połączyli się z resztą plemion Libanu, nieby dla nas nie było trudnego; łatwobyśmy się mogli oswobodzić z jarzma Turków, szczególniéj, gdyby nas wsparł Guizot i Aberdeen. Tyś nigdy o nich nie słyszała, sąto wielcy wezyrowie króla Francuzów i królowéj angielskiéj.

— Dziwne są to rzeczy—mówiła Astarté (widocznie czém inném zajęta)— ale powiédz mi, ta żydówka musi być bardzo piękna.

— Przynajmniéj taką się Anglikowi wydaje; o niczém innem nie myśli, przez sen nawet, o niéj tylko mówi.

— Co za szalona myśl, byśmy się bili dla żydówki. Czy ona czarno-, czy jasnowłosa?

— W swych wierszach Anglik nazywa ją zawsze gwiazdą lub księżycem; sąto nocne światła, wnoszę zatém, że musi być czarnowłosa.

— Nie cierpię żydów, ale słyszałam, że ich kobiéty są dziwnie piękne.

(1) Znany system filozoficzny judaizmu.

— Wypędzimy ich z naszego królestwa—rzekł emir—patrząc na królową.

— Gdybyśmy mieli zaczynać wojnę, to pewno nie dla nich; przecież zdawna słynęły syryjskie państwa.

— I będą istnieć jeszcze, nadobna królowo, a ty niemi rządzić będziesz. Teraz zaczynam ufać, że sprawdzą się moje marzenia.

— Jakie marzenia?

— Ostatnie pragnienia umierającéj matki, które mi przekazała.

— A zatém pamiętasz swoję matkę?

— Nie. Lecz matka moja umierając powierzyła swoje życzenia méj mamce, która mi późniéj objawiła jéj ostatnią wolą.

— Jakaż ona była?

— Abym wystawił w Deer-el-Kamar świątynię na cześć syryjskiéj bogini.

— Co za cudna myśl!

— Niezawodnie cały Liban wróciłby do dawnéj wiary. Druzy już są do tego przygotowani, czekają tylko mego skinienia.

— Cóżby się wówczas stało—zapytała królowa—z nazareńskimi biskupami?

— Jak dawniéj kapłani syryjskiéj bogini zostali chrześcianami, tak dziś zakonnicy chrześciańscy powróciliby do dawnéj wiary.

Rozdział VI.

Tankred i Fakredeen opuścili na dni kilka Dżindarik, by zwiedzić okoliczne góry. Podczas téj przejażdżki Tankred odzyskał nieco dawnego wpływu nad emirem, który zaczął żałować ostatniéj z królową rozmowy. Powróciwszy do dzikiego i niedostępnego zamku Astarty, zastali na głównym dziedzińcu ruch niezwykły. Anserejowie pilnowali rozbrojonych Turków, tu i owdzie leżały wielbłądy, wodzono wokoło niecierpliwe rumaki.

— Co to wszystko znaczy?—zapytał Fakredeen.

— Wzięliśmy w niewolę harem baszy Alepu i przyprowadziliśmy tutaj do królowéj królowych—odrzekł jeden z przytomnych.

— Słyszysz Tankredzie? wojna się zaczyna.

— Czyż mamy wojować z kobiétami?

— To tylko piérwszy krok—dodał Fakredeen—zresztą nie pogardzaj tak kobiétami, są one głównem źródłem każdéj prawie sprawy.

Zaraz na wstępie odwiedził ich Keferini, winszując szczęśliwego powrotu. Minister był dnia tego jeszcze słodszy, jeszcze grzeczniejszy, i bardziéj tajemniczy jak zwykle; na każde zapytanie odpowiadał tak zawikłanym stylem, że po całogodzinnéj rozmowie, nasi młodzi podróżni nie mogli zrozumiéć zaszłych wypadków podczas ich nieobecności.

— Porwanie haremu baszy Alepu—rzekł wreszcie zniecierpliwiony Fakredeen—jest rzeczą bardzo ważną, i może straszne za sobą pociągnąć skutki.

— Nie ma co o tém mówić—odpowiedział minister—przyszłość rozwiąże dopiéro to zagadnienie. Są jednak ludzie, przed których wzrokiem nie ma nic tajnego, którzy równo odgadną przyszłość jak przeszłość.

— Poznając bliżéj ludzi, przekonywamy się z żalem—dodał Tankred—że pamięć jest może równie rzadkim darem, jak odgadywanie przyszłości.

— Nie u nas — odparł Keferini.—W tych górach przechowujemy w pamięci dzieje naszych naddziadów. Być może, że pamięć rzadką jest w Anglii, ponieważ Anglia jest krajem tak młodym, iż nie ma co pamiętać.

Tankred skłonił się tylko na to grzeczne orzeczenie swojego narodu.

— Jak się ma królowa królowych?....—zapytał emir.

— Wszechwładna królowa królowych jest teraz zajęta ważnemi myślami—odrzekł minister tajemniczo.

— Jeżeli potrzebuje pomocy, może rachować na mnie—zawołał emir z zapałem.

Keferini spuścił głowę i rzekł po chwili:—Emir Libanu słusznie mówił, że zdobycie haremu może ważne sprowadzić wypadki, i że przyjdzie może chwila, iż będziem potrzebować pomocy; lecz to jeszcze rzecz nie pewna, może wszystko da się jeszcze ułożyć bez rozlewu krwi pomiędzy nami, a mieszkańcami dolin.

— Na miejscu królowéj zatrzymałbym harem baszy—powiedział Fakredeen z namysłem—i czekałbym, co ztąd wypadnie. Ja z mojéj strony posłałbym z listem gołębia do mego krewnego emira El-Kazim, a ten jakby napadł na baszę na czele młodéj Syryi, toby go zniósł ze szczętem; wówczas pułkownik Roze, stojący z flotą w Bejrucie, uwiadomi lorda Aberdeen, że cały Liban już powstał, że zewsząd wznoszą się dymy pożarów.

* * *

Wieczorem dnia tego Astarté przyjęła naszych podróżnych z widoczną radością, dopytując się troskliwie o szczegóły ich wędrówki, i o stan ich zdrowia. W końcu, gdy się wyczerpał ten przedmiot rozmowy, powiedziała im o zaszłych wypadkach w Dżindariku.

— Oświadczyłem już Keferiniemu — rzekł na to Fakredeen — iż w każdym przypadku Anserejowie mogą rachować na moję pomoc.

— Nie o to teraz chodzi; mam dosyć wojowników, i skłaniam się zupełnie do zgody, jeśli basza odstąpi żądanego haraczu. Niepokoi mnie stan jednéj z niewolnic najdostojniejszéj, jak się zdaje. Jestto cudnéj piękności dziewica, chrześcianka, o ile sądzić mogę. Płacze nieustannie i tak gorzko, że się serce kraje patrząc na nią; napróżno starałam się ją uspokoić, nic nie może zatrzymać łez z jéj cudnych oczu płynących.

Rozmowę tę przerwała Cypros, wchodząc nagle i szepcząc słów kilka swéj pani. Piękna niewolnica, która mimo nalegań królowéj nie chciała wejść do jéj komnat, teraz prosiła sama o tę łaskę, a Cypros nie śmiała jéj wprowadzić z powodu obecności książąt.

Astarté po krótkiéj naradzie z Keferinim, zezwoliła na to żądanie, a sama dała znak Tankredowi, aby się zbliżył do niéj. W czasie nieobecności cudzoziemców, Keferini często zachwalał królowéj emira i żywo popierał jego żądanie; podobała się wprawdzie młodéj Astarté myśl zjednoczenia Syryi, a małżeństwo z Fakredeenem, zdawało się również dla obojga stosowne, jak korzystne; przy wzrastającéj słabości Turków, mogli z łatwością zawładnąć całą Azyą Mniejszą. Fakredeen korzystając z rozmowy sam na sam z Keferinim dowodził mu, jak żywo pragnie zaprowadzić w Libanie wiarę Anserejów, i wystawić w Deir-El-Kamar świątynię na cześć syryjskiéj bogini; obiecując w darze Kanobią ministrowi, jeżeli mu pomoże do dopięcia swych zamiarów.

Tymczasem Astarté nie wiedząc jak zacząć rozmowę z Tankredem, zapytała:

— Czy marzysz czasami?

— Kto wié, może téż całe życie jest tylko marzeniem.

— O nie, to być nie może! nadto wiele cierpimy.

— Cóż możesz miéć za cierpienie?

— Miałam straszny sen w twojéj nieobecności, i ten mnie przeraził; śniłam, że żydzi zdobyli Dżindarik; może dlatego, żeś mi tyle o nich mówił.

— To być nigdy nie może; twojo sny, o królowo królowych, powinny być jak twój los: jasne i błogie.

— Sądzisz więc, żem tak szczęśliwa? Kiedyś i ja tak myślałam, ale teraz.....

— A teraz, cóż się zmieniło?

— Domyśl się; szczęście i radość jak ptak ulatują.

— Jak gołąb', któregoś posłała do Damaszku.

— Ach! czemużem go posłała?

— Boś była dla nas łaskawą.

— Raczéj powiédz zbyt żywą i lekkomyślną.

— Gdy się staną wielkie rzeczy, o których marzymy, przestaniesz tego żałować.

— Ja słaba kobiéta, nie stworzona do wielkich czynów.

— Więc już nie marzysz o syryjskiéj bogini?

— O, nie! podobno hebrajskie niewiasty są piękniejsze od niéj.

— Rzeczywiście, słyną one z piękności.

— Ale jakże ty ich znajdujesz?

— Znałem kilka żydówek bardzo pięknych.

— Czy podobne do naszych posągów?

— Równie są piękne, choć w odmiennym nieco rodzaju, bo Grecy i Izraelici sąto najpiękniejsze pokolenia ludzi.

— Ty pewno przekładasz typ izraelski! — zawołała żywo Astarté.

— Nie jestem tak stronnym; piękność wszędzie uwielbiam, nie pytając do jakiego typu lub pokolenia należy—odrzekł Tankred nie rozumiejąc do czego to wszystko zmierza.

— Otóż nadchodzi moja niewolnica—rzekła królowa—możesz ją uwolnić, jeżeli tego pragniesz, bo ujęła moje serce. Jestto Georgianka, a o ile mi się zdaje, wśród tłumu najpiękniejszych dziewic, jéjby się jeszcze należała palma urody; zaćmiłaby zapewne tę żydówkę, którą tak miłujesz.

Tankred spojrzał na nią zdziwiony, i chciał coś odpowiedzieć, gdy weszła Cypros, a za nią niewolnica. Gdy ta według zwyczaju oddając pokłon królowéj podniosła zasłonę, nasi podróżni poznali Ewę.

Rozdział VII.

W jednéj z komnat wykutych w skale, słabo oświeconéj zostawionym w górze otworem, i służącéj zwykle za więzienie, leżała

z twarzą ukrytą w dłoniach, na nędznem posłaniu piękna córka Besso, wychowana w największym przepychu i zbytkach, o jakich my nawet wyobrażenia nie mamy.

Wypadki kilku dni ostatnich były dla niéj tak dziwne i niespodziewane, że mimo tłoczącéj ją boleści, rozważała jakim nadzwyczajnym zbiegiem wypadków, ona, córka najmożniejszéj rodziny Izraela, była teraz w tak smutném położeniu. Przed dziesięciu dniami wyjechała w towarzystwie ojca z Damaszku do Alepo. W połowie drogi, spotkali wysłaną przez Hillela Besso eskortę turecką, gdyż droga była niepewna, z powodu świéżo powstałych niezgód z Anserejami. Mimo jednak téj ostrożności, napadli ich straszliwi górale, i po krótkiéj walce, ojciec jéj padł na polu bitwy, a ją samą wzięto w niewolę i przyprowadzono w te dzikie góry.

Pogrążona w boleści i trwodze o los i życie ojca, mało z początku myślała o sobie. Zaledwie ocknęła się nieco z piérwszego przerażenia, i zaczęła spokojniéj zapatrywać się na rzeczy, dowiedziała się od Cypros, że dziwnym wypadkiem Tankred i Fakredeen znajdowali się w Dżindariku. Wiadomość ta była dla niéj prawdziwą pociechą; dlategoto na wezwanie królowéj udała się do jéj komnat, sądząc, że tam spotkawszy swych przyjaciół, uwiadomi ich o swojém położeniu.

Tymczasem widzenie, o którém wspomnieliśmy wyżéj, pogorszyło tylko jéj stan, i zmieniło nagle przychylność królowéj w nieubłaganą nienawiść. Widząc, że ją młodzi podróżni witali ze smutkiem i uszanowaniem, że się nią mocno zajęli; stała się dumną, niechętną i niecierpliwą. Rozmawiała długo i żywo na uboczu z Fakredeenem; potém zadawszy kilka pytań lordowi Montecute, na które on, ze zwykłą odpowiedział szczerością, wyszła do swoich komnat, nie pożegnawszy nikogo, a Cypros odprowadziła Ewę nie do jéj pierwotnego mieszkania, lecz do więzienia. Napróżno pytała o przyczynę téj nagłéj zmiany i surowości, przewodniczka zbyła ją milczeniem.

Położenie to było nieznośne, i najsilniejszemu odebrałoby władzę myślenia, bo nic tak nie dręczy, jak tajemnica i niepewność. Obecne cierpienia i przyszłość ciemna jak noc, żadną nie objaśniona nadzieją, w opłakanym stanie pogrążyły Ewę.

Piękna córka Bessa w głębokiém zatopiona dumaniu, leżała bez ruchu na swéj nędznéj pościeli. Jedynym przedmiotem stojącym w jéj myśli, było martwe ciało ojca; gdy nagle przywołał ją jakiś głos cichy, wymawiający jéj imię.

— Ewo! Ewo!

— Jestem tu.

— Cicho....—rzekła jakaś postać stojąca tuż przy niéj, odsłaniając okrywający ją płaszcz.

— Fakredeen!...—zawołała Ewa podnosząc się—co to wszystko znaczy? ..

Fakredeen stał przed nią strwożony i pomieszany.

— Musisz ze mną uciekać—rzekł zcicha—nie ma chwili do stracenia, musisz uciekać.

— Gdzie?... dlaczego? wszakże nas wzięto w niewolę jedynie dla zysku, dla okupu, a nie z osobistych pobudek; nie płaczę nad sobą, lecz nad moim ojcem. Królowa była dla mnie tak dobrą z początku, że gdyby nie ojciec, jéj współczucie uspokoiłoby mnie zupełnie; a teraz, gdym tu spotkała was, moich przyjaciół, obchodzą się ze mną surowo, nieludzko; i z tego co mi mówisz wnosićbym mogła, że życie moje jest w niebezpieczeństwie.

— Bo tak jest w istocie.

— Ale dlaczego?

Fakredeen załamał tylko ręce.

— Co mi teraz po życiu?—zawołała Ewa—nie ruszę się ztąd ani kroku, póki mi nie wytłumaczysz wszystkiego.

— Słuchaj więc: królowa Astarté zazdrosna o tego Anglika, który nam tyle przyniósł nieszczęść.

— Czy to on nam przyniósł nieszczęście?.... —odrzekła Ewa— Jakim sposobem królowa o niego zazdrosna; zaledwo zamieniłam z nim słów kilka. Dlaczegoż tak usilnie mnie do siebie wzywała? Nie, to nieprawda, Fakredeenie.

— To jeszcze nie wszystko, ale tak jest, doprawdy. Królowa zazdrości tobie, bo kocha się w Tankredzie. Przekleństwo im obojgu. Ktoś jéj powiedział, że on ciebie kocha.

— Kto, i kiedy mógłby powiedzieć?

— Dawno już jéj mówiono, że Tankred jest zaręczony z córką Bessa z Damaszku. Teraz twoje nagłe przybycie, przypomniało jéj te wieści. Starałem się odwrócić grożące niebezpieczeństwo zaręczeniem, że ty nie jesteś córką, lecz daleką krewną tego Bessa; lecz ona odgadła wszystko, i wpadła w gniéw tak zapamiętały, że lękam się o twoje życie.

Ewa zamyśliła się głęboko, a potém rzekła patrząc bystro w oczy emira:

— Fakredeenie! toś ty powiedział te wszystkie fałsze królowéj Anserejów. Nie wiem jeszcze w jakim celu to uczyniłeś, lecz mniej-

sza o to. Wiem, że gdyby ci to było potrzebne, sprzedałbyś własną matkę. Daj mi pokój, nie chcę twojéj pomocy; albowiem wierzę w potęgę prawdy, i mało dbam o życie. Powiem wszystko królowéj, a jeśli mi nie uwierzy, zniosę mój los spokojnie, jakimkolwiek on będzie.

Na te słowa Fakredeen zalał się gorzkiemi łzami, i padając przed Ewą na kolana, całował jéj stopy, wymawiając ze łkaniem wyrazy przywiązania i żalu.

— O Ewo droga! najukochańsza Ewo! siostro mojéj duszy! próżnobym kłamał przed tobą! Tak, jestem ostatnim łotrem; ja to sprowadziłem na nas wszystkich nieszczęście. I słusznie jestem ukarany; bo tém samém zniszczyłem mój los przyszły, moje najdroższe marzenia. Ten Frank, był mi jedyną zawadą do zaślubienia królowéj tych gór, któréj piękność sama podziwiałaś, któréj potęga połączona z moją, silne utworzyłaby państwo. Tak, chciałem się z nią ożenić; tego nie możesz wziąć mi za złe, bo wiész dobrze, że gdybyś była nie odrzuciła moich ofiar, żadne z nas nie byłoby w tak okropném położeniu. Teraz chciałem się żenić z królową, a ona pokochała się w tym Franku; spostrzegłem to zaraz, i chcąc przerwać tę rodzącą się skłonność, powiedziałem jéj, że serce Tankreda oddawna inną miłością zajęte. Nie wiem sam, dlaczegom jéj przy tém powiedział twoje imię; ale nie mogłem się spodziewać tego nieszczęsnego spotkania; a potém, mam podejrzenie, że tak jest w istocie. — I Fakredeen skończywszy to niezbyt jasne opowiadanie, zakrył oczy dłonią.

— Oh! ileż ty nieszczęść gotujesz dla siebie samego, i dla wszystkich, którzy cię znają—rzekła Ewa z goryczą.—Co do mnie, nadto już cierpiałam, by się lękać czegokolwiek.

— Posłuchaj, posłuchaj mnie jeszcze: wyrzekłem się już mych dalszych zamiarów. Ty jedna mnie tylko obchodzisz; o tobie tylko myślę, ciebie tylko chcę ocalić. Nie odpychaj mnie.... przebacz mi, przebacz! Prawda żem łotr, szaleniec, wiém o tém dobrze, ale to mnie pan Bóg już tak stworzył; teraz tylko o to chodzi, by cię ztąd wydostać, by ci życie ocalić!

— Czy doprawdy sądzisz, że moje życie jest w niebezpieczeństwie?

— Takjest, niestety—odrzekł emir, płacząc jak dziecię.

— Bo ty nie wierzysz, że prawda musi przekonać; chciałabym się widzieć z królową.

— To być nie może!—przerwał emir z przerażeniem.

— Dlaczego?

— Dlaczego? bo jest jakby szalona. Sam Keferyni nie śmié do niéj przystąpić; twoja obecność pozbawiłaby ją zmysłów do reszty, gdyż sądzi, że już nie żyjesz.

— Że już nie żyję?

— Tak.

— A gdzież jest twój przyjaciel?.... Czy wié o tych wszystkich okropnościach?

— Prócz mnie, nikt o nich nie wié. Królowa posłała po mnie wczorajszéj nocy, by się o wszystkiém rozmówić. Powiedziała mi, że ty umrzéć musisz. Wtedyto użyłem okropnego wybiegu: zachęcałem ją do zemsty, mówiąc, że twoja rodzina jest nieprzyjazną mojéj, że dałbym połowę życia, bym się jéj mógł złem za złe odpłacić; słowem, zwiodłem ją tak dobrze, że zamiast przysłać tu którego z niewolników, mnie przysłała, i teraz myśli, że już wszystko skończone.

— Rozumiem: podjąłeś się być moim katem!

— Tak, aby cię ocalić.

— Co mi teraz po życiu, gdym straciła ojca, dla którego żyłam jedynie.

— O Ewo, Ewo! nie doprowadzaj mnie do rozpaczy, gdy ci powierzam marzenia mego życia: królestwo, i więcéj jak królestwo. Słuchaj — mówił daléj pospiesznym głosem — Keferini jest mi zupełnie oddany, powierzył mi pierścień, który nam wszystkie bramy otworzy; przyniosłem ci cały ubiór mamelucki: przebieraj się i uchodźmy, bo nie ma chwili do stracenia. Za mostem czekają na nas dwa szybkie rumaki: za 48 godzin będziemy zupełnie bezpieczni, a ty, kochana Ewo, osuszysz twe łzy i uśmiechniesz się do mnie po dawnemu.

— Ja się już nigdy uśmiechać nie będę — odrzekła smutnie Ewa. — Nie fakredeenie—dodała po chwili — ani ja, ani ty, nie możem ztąd uciekać; godziż ci się opuścić twojego przyjaciela, któregoś sam tu przywiózł?

— Nie troszcz się o niego — powiedział emir z niechęcią—oby go oczy moje nigdy nie były widziały! On tu zupełnie bezpieczny; przecież Astarté uciąwszy mu głowę, nie pozyska jego serca. Chodź moja Ewo, moja najdroższa siostro! za kilka chwil będzie zapóźno. Pomyśl o ojcu, o jego niepokoju; twój widok prędzéj go uzdrowi, niż najlepsi lekarze.

— Nigdy go już nie zobaczę — zawołała Ewa zalewając się gorzkiemi łzami — Widziałam sama, jak padł bez życia; nigdy nie zapomnę téj okropnéj chwili!....

— Ależ on żyje — odparł Fakredeen — Widziałem kilku tureckich niewolników, którzy mię o tém upewnili; padł wprawdzie na polu bitwy, ale tylko raniony, a dziś musi być w Alepo.

— I oni widzieli go?

— Widzieli go w bezpiecznem miejscu. Zaręczali nawet, że rana dość lekka.

— Boże ojców moich!—zawołała Ewa padając na kolana — ty jesteś Bogiem miłosierdzia.

— Tak, tak Ewo! nie ma tak potężnych Bogów, jak Bóg ojców twoich. A gdybyś wiedziała, co się to tu dzieje w tym przeklętym zamku, gdzie czczą tylko kamienne posągi, stare jak świat, tobyś się dzień i noc modliła, przejęta zgrozą i przerażeniem. Królowa pokochała się w Tankredzie jedynie dlatego, że podobny jest do jednego z jéj bóstw. Ale spiesz się, kładź mamelucką suknię: każda chwila jest drogą.

— Zdaje mi się, że to nikczemnie tak jego samego zostawiać; mieszkał pod naszym namiotem, dzielił się z nami chlebem i solą: jego krew spadłaby na nasze głowy.

— A więc uciekaj! uciekaj dlatego, aby jego ocalić, bo i cóż mu tu pomódz możesz? Gdy już raz będziesz bezpieczną, ja tu mogę powrócić.

— Dobrze Fakredeenie— rzekła Ewa poważnie—przyrzecz mi, że jeżeli ucieknę z tobą, powrócisz tutaj.

— Przysięgam na moję prawdziwą wiarę! na moję nadzieję królestwa ziemskiego.

Rozdział VIII.

Nagłe zjawienie się Ewy w Dżindariku, i wszelkie następne wypadki, napełniły Tankreda trwogą i niepokojem; napróżno pytał emira o wyjaśnienie poprzednich okoliczności, napróżno błagał go o jaką radę. Fakredeen zdawał się nieprzytomnym, i po raz piérwszy nie odpowiadał na głos przyjaciela. Rysy jego były zmienione, słowa urywane; rozpaczał o wszystkiém. Lubo Tankred przypisywał stan jego uwięzieniu Ewy i współczuciu dla niéj, nie mógł odgadnąć tego odrętwienia władz umysłowych w człowieku, co z najtrudniejszego umiał się wywikłać położenia.

Zaledwie powrócili do siebie wieczorem, w którym ją tak nagle ujrzeli, emir rzucił się na sofę, szepcząc niezrozumiałe wyrazy;

a potém zerwał się nagle i szybko przebiegając komnatę, łamał ręce z rozpaczy.

Daremnie Tankred starał się porozumieć z Keferinim; minister stał się jakby niewidzialny. Dzień zeszedł na próżnych naradach z Baronim, a noc całą przepędził bezsennie, zmordowany myślami, nie wiedząc co począć i co przedsięwziąć. O świcie powstał, wołając Fakredeena; ale jakież było jego zdziwienie, nie zastawszy go w sypialni. Złowroga cisza zaległa Dżindarik; zdawało się, że mieszkańcy gdzieś się pokryli, lub przesuwali się tylko jak cienie. Zwyczajnie z rana Keferini odwiedzał dostojnych cudzoziemców, ale dnia tego napróżno wyglądał go Tankred. Nie mogąc znieść dłużéj téj niepewności, chciał koniecznie widzieć się z Astarté i pomówić z nią szczerze i otwarcie o Ewie, rachując, że odkrywszy królowéj ścisłe związki, łączące ją z emirem Kanobii, zyska jéj uwolnienie. Ale trudno było się dostać do Astarté; nie mógł nigdzie znaléźć ani Fakredeena, ani Keferiniego, a każda chwila powiększała jego obawę.

Około południa Baroni uwiadomił go, iż królowa udała się do podziemnéj świątyni; natychmiast Tankred przedsięwziął mimo trudności wejść za nią do tajemniczéj groty. Łatwo przeszedł dobrze znane, puste nateraz komnaty zamku, aż do wielkiéj spiżowéj bramy; lecz tu się musiał zatrzymać, bo brama była zamknięta. Już chciał zaniechać swego zamiaru i smutnie wracać do siebie, gdy śpiéw daleki uderzył jego ucho; myślał, że to królowa powraca. Miotany nadzieją i obawą, zatrzymał się. Jakoż drzwi się otworzyły i ujrzał wychodzący chór kapłanów i dziewic, ale napróżno szukał pomiędzy niemi Astarté. Szczęściem nikt go nie spostrzegł; korzystając z tego, szybko minął bramę, która się za nim z jękiem zawarła. Po chwili wzrok jego zaczął się przyzwyczajać do ciemności, i lubo z trudnością, rozpoznał swoję drogę. Wkrótce okazał mu się w dali promyk światła, a idąc za nim, doszedł do świątyni, i ujrzał znowu te cudowne kształty, które nie były rzeczywiście obrazem jednego człowieka, ale raczéj kształtem, typem całego narodu. Téj tajemnicy nie może pojąć dzisiejsza społeczność, i dlatego artyści zimnéj Północy napróżno naśladować usiłują arcydzieła Fidyasza i Praxytellesa.

Tankred owiany dymem kadzideł i otoczony nadziemskiemi pięknościami, zwolna i z uszanowaniem postępował; lecz napróżno spoglądał wokoło: grota była pustą. Zbliżył się wreszcie do bocznéj świątyni, i zoczył przed posągiem Apollina klęczącą piękną Astarté, z okiem wlepioném w jego oblicze, zatopioną w dumaniu, czy w modlitwie.

Promień słońca złocił głowę posągu, nadając mu blask nadziemski i pewien pozór życia. Gdy Tankred poznał królową, zatrzymał się we drzwiach; lecz cień jego odrysował się na przeciwległéj skale. Astarté ujrzawszy go krzyknęła i powstała nagle; a poznawszy lorda Montecute, odrzuciła zasłonę i ukazała się jego oczom nieśmiała i zarumieniona.

— Chciałem się już oddalić—rzekł Tankred.

— A to dlaczego?—zapytała słodkim głosem.

— Są chwile, w których trzeba szanować samotność.

— Ja aż nadto często jestem samotną; czuję to z boleścią.— To powiedziawszy, postąpiła kilka kroków naprzód, Tankred szedł przy niéj, i razem wyszli z groty.

Tu dopiéro lord Montecute korzystając z téj rzadkiéj sposobności, starał się wyjaśnić rzecz całą, błagając o wyswobodzenie Ewy. Mówił o zasługach i cnotach Adama Besso, i chcąc ją zająć losem młodéj Izraelitki, opisywał z zapałem jéj wysokie cnoty, heroiczną odwagę, wzniosły umysł; nie taił, ile jéj był winien wdzięczności za uwolnienie z rąk Rehabitów.—Możesz pojąć, kończył młody Anglik, jak żywo mnie obchodzi, i jak mi było boleśnie, ujrzéć ją w niewoli. Uspokoiłem się, jednak, [illegible] ry, i spieszę do ciebie, błagać o jéj wolność.

— O tak, rozumiem cię—rzekła głuchoAstarté.

Tankred spojrzał na nią z podziwieniem, bo głos ten, boleśnie go uderzył, lecz jéj wyraz twarzy mocniéj go zastanowił. Oblicze to przed chwilą tak łagodne i miękkie, zmieniło się nagle: bladość śmiertelna twarz jéj powlekła, i wszystkie złe namiętności wypiętnowały się w jéj rysach.

— O tak, rozumiem cię—powtórzyła—ale nie chcę ci pomagać w niecnych zamiarach przełamania praw twego kraju, i obrażenia twéj monarchini.

— Ja miałbym przełamywać prawa mego kraju!?—zawołał Tankred zadziwiony.

— Tak, tak, wiem wszystko. Twe plany są rzeczywiście bardzo śmiałe, i szczególniéj dogadzają waszéj miłości własnéj. Więc nasze lance i oręże, mają obsadzić na syryjskim tronie córkę wyklętego rodu, któréj nawet zamieszkać w twoim kraju niewolno.

— Lecz o czémże i o kim mówisz?

— Mówię o téj żydówce, z którą się chcesz żenić, mimo wszelkich praw boskich i ludzkich.

— Z kim?

— Z mą niewolnicą.

— Czyż mogłaś choć na chwilę przypuścić, bym się starał o córkę Bessa? Ja, co noszę krzyż na piersiach, i sądzę się powołanym do wyższych celów, które nie dopuszczają do serca ziemskiego uczucia. A choćbym ją nawet pokochał, czyż ona nie jest narzeczoną innego?

— Narzeczoną innego?

— Tak, i gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, byłaby już żoną syna Bessy z Alepu.

Na te słowa Astarté zatrzymała się nagle, głęboki smutek zastąpił wyraz gniewu i nienawiści, i zaledwo półgłosem wymówić mogła: „Czyż to prawda?"

— Któż ci mógł tę rzecz inaczéj przedstawić?

— Nieprzyjaciel jéj rodziny, pragnący zemsty—odrzekła zcicha jakby w zamyśleniu. I tu spojrzała na Tankreda badawczym wzrokiem, lecz spotkawszy jego śmiałe i otwarte wejrzenie, rzekła nagle:—Nie, ty kłamać nie możesz.

— Dlaczegożbym miał kłamać?

— Dlaczego?—powtórzyła smutnym głosem.—Dlaczegoż nas wszyscy zdradzacie?—i zalała się łzami.

— Co ci jest? uspokój się— mówił Tankred z współczuciem, biorąc ją za rękę—zkąd ten żal? ten smutek?

— Ach! to więcéj niż smutek. Nieszczęśliwa dziewica! —dodała łkając.

— Odeślesz ją pod strażą stroskanéj rodzinie, bo słyszałem od tureckich żołnierzy, że ojciec jéj nie zginął; za chwilę więc osuszysz łzy starca, który cię będzie błogosławił.

— Zapóźno—zawołała ponuro Astarté.

— Co mówisz?

— Zapóźno. Córka Bessa już nie żyje.

— Panie! zmiłuj się nad nami!—zawołał Tankred—cofnij to okropne słowo!

Astarté potrząsła tylko głową.

— Kobiéto!—zawołał znowu młodzieniec wstrząsając jéj rękę; lecz napróżno silił się powiedzieć coś więcéj: słowa konały mu na ustach.

— Córka Bessa już nie żyje—powtórzyła królowa—nie żałuję tego, boś ty ją kochał.

— O ja nieszczęśliwy!—zawołał Tankred zakrywając oczy— kochałem ją jak gwiazdę na niebie, jak blask słoneczny!—Po chwili rzekł nagle do królowéj:—Lecz któż mógł dopełnić tak okropnego dzieła?

— Czyż to doprawdy tak okropne?

— Równie okropne, jak podobne słowa w ustach kobiéty. Przeklęta niechaj będzie ta godzina, w któréj stopa moja dotknęła téj ziemi.

— O! nie! nie!—zawołała Astarté—nie przeklinaj.

— To nieprawda, to nie może być prawdą, ona żyje!

— Oby tak było, jeśli jéj śmierć ma sprowadzić na nas twe przekleństwo.

— Kiedyż to się stało?

— Przed godziną.

— Nie wierzę w to: nie masz ręki, którąby ją śmiała uderzyć. Spieszmy do niéj, może czas jeszcze.

— Niestety! zapóźno—powtórzyła Astarté.—Nieprzyjaciel podjął się tego czynu.

— Nieprzyjaciel?... jakiegoż nieprzyjaciela ... Bessa?

— Śmiertelnego, który uchwycił tę sposobność, aby spełnić dawno upragnioną zemstę. Nie ma, nie ma nadziei.

— Któżto taki?...

— Twój przyjaciel i towarzysz, emir Libanu.

— Fakredeen?

— Takjest.

— Kto?... Fakredeen nieprzyjacielem i zabójcą Ewy?... W tém jest jakieś nieporozumienie. Spieszmy do zamku.

— Sam mnie błagał o to polecenie. Chciał się pomścić swojéj i mojéj urazy.

— Mordując jedyną istotę, którą kochał, i która jego kochała; swą towarzyszkę lat dziecinnych, swą siostrę przybraną, którą te same wykarmiły piersi, z którą byłby się ożenił, gdyby się temu nie sprzeciwiały prawa żydowskie...

— Jego siostra?...— powtórzyła Astarté.

W téj chwili ukazała się Cypros, spiesząc ku nim niespokojnie z załamanemi rękami, wołając: „Pani! emir Libanu opuścił zamek, a niewolnica zniknęła; zastałam tylko jéj szaty w więzieniu: musiała uciec".

— Z tym, który nas wszystkich zdradził!—rzekła Astarté—Bo to on, Fakredeen, powiedział mi, żeś ty jest narzeczonym córki Bessa, i ostrzegł, żebym ci nie ufała i nie skłoniła się do twych zamiarów, gdyż jedynym twym celem jest jéj wyniesienie.

— Podły! nikczemny kłamca!—zawołał Tankred z oburzeniem. —Czemuż Ewa nie ma w téj chwili innego opiekuna!—dodał, jakby mówiąc do siebie.

— Widzę, że myśli twoje gonią za córką Bessa!—rzekła Astarté—pragniesz czuwać nad nią i oddać rodzinie.

Tankred pudniósł oczy, i spotkał wzrok Astarty smutny, lecz łagodny.

— Zdaje mi się—powiedział po chwili—że czas dla mnie opuścić te miejsca, gdziem i tak tyle ci przyniósł niepokoju.

Astarté zalała się łzami, i biorąc go za rękę, zaczęła mówić przerywanym głosem:

— Zostań tu z nami. Jeśli chcesz tronu, przyjm władzę w tych dzikich górach. Wprawdzie mój zamek nie jest tak piękny jak zamki Damaszku i Antyochii, ale Dżindarik jest niezdobyty, a moi wojownicy pod twojem dowództwem podbiją świat cały.

— Niestety!.. nadto się już skalałem ziemskiemi uczuciami; muszę powrócić na pustynię, by odzyskać spokojność ducha. Arabia jedna może świat zbawić.

— Wszechwładna pani! —zawołała Cypros stojąc na boku—oto spostrzegam w górze wiernego gołębia.

Na te słowa oboje podnieśli głowy, i ujrzeli mały szary punkcik na błękicie nieba, którego niewprawne oczy Tankreda, zaledwie rozpoznać mogły.

— Czyto wierny Karagus, czy Rubi-Lip, posłaniec dobrych wieści?—zapytała Astarté.

— To Karagus: poznaję go po obrączce na szyi.

Niedługo potém spuścił się gołąb' o kilka łokci nad ziemię, a zmordowany długą podróżą padł na łono królowéj. Ta podniósłszy mu skrzydło, wyjęła zpod niego małą karteczkę, zawierającą te słowa: „Basza na czele 5,000 regularnego wojska, opuszcza jutro Alep dla zdobycia gór naszych".

Przeczytawszy tę kartkę, Astarté powiedziała do Tankreda: —Jedź, teraz cię nie zatrzymuję, bo nie jesteś bezpieczny w naszych górach. Dzięki szybkości gołębia, masz dość czasu do ucieczki. Opuść kraj, którego rządem pogardziłeś, i gdzie cię tak kochają.

— Nie opuszczę cię w godzinę trwogi—zawołał Tankred—będę walczył z Turkami na czele twych wojowników.

Rozdział IX.

— Czy nie masz żadnych wiadomości?— pytał Adam Besso Issahara, syna Selima, najbieglejszego szarlatana Alepu, gdy tenże pilnował go nieodstępnie w długiéj chorobie.

— Są wiadomości, ale jeszcze do nas nie doszły—odparł Issahar syn Selima, człowiek średniego wieku i wesołego oblicza.

— Tak, są perły w morzu, lecz cóż nam z nich przyjdzie?— szepnął Besso z westchnieniem.

— Położyłem kabałę—rzekł Issahar syn Selima—i gdym trzy razy otworzył świętą księgę, wyczytałem trzy słowa: piérwsza litera każdego z tych trzech słów, oznacza trzy nazwiska osób, co wejdą dziś do téj komnaty, a każda z nich przyniesie ci wiadomość.

— Ale jaką?—mruknął Besso—może wiadomość 10,000 czarnych duchów?

— Położyłem kabałę—mówił znowu Issahar syn Selima —i powiadam, że wiadomość będzie dobrą.

— Ale dla kogo dobrą? Dobrą może dla baszy, ale nie dla mnie; dobrą może dla Alepo, ale nie dla rodziny Besso.

— Bóg będzie czuwał nad nami. A teraz pozwól opatrzyć mi twe rany.

— Ach! w sercu mam większe rany, niż te, które opatrujesz.

Rezygnacya właściwa wschodnim ludom, broniła jedynie Bessa od gwałtownéj rozpaczy. Pogrążony w ponurém dumaniu, czekał z pozorną cierpliwością skutku uczynionych kroków dla odzyskania Ewy: ta jedna nadzieja utrzymywała go przy życiu.

Basza Alepu oddawna rozgniewany na Anserejów, miał zamiar ukrócić ich zuchwałość. Rodzina Bessa, swym wszechwładnym wpływem, przyspieszyła tę wyprawę. Młody Hillel miał towarzyszyć wojsku, i zgodnym sposobem, jeżeli to być mogło, otrzymać wolność swéj narzeczonéj. Czwartego dnia Hillel przysłał wiadomość, że królowa Anserejów nie chce wydać Ewy, i w tym zapowne celu oświadcza, że ta, od dni kilku opuściła jéj państwo; że jednak wiadomość ta nie miała żadnéj pewnéj zasady: uważa ją więc za prosty wybieg, a wojsko dnia następnego zapuści się w góry.

Na godzinę przed zachodem słońca, w dniu w którym Issahar syn Selima ciągnął kabałę, ujrzano z murów Alepu kilku jeźdźców, spieszących w rozsypce do miasta, a wkrótce Hillel Besso, okryty kurzem i pyłem, zatrzymał się u bram rodzicielskiego domu.

— Piękna to rzecz bitwa—mówił tenże sam do siebie zsiadając z konia—mimo to jednak cieszę się bardzo, żem się wreszcie dostał do Alepo.

— Co to jest?—zapytał Adam Besso, usłyszawszy jakiś hałas na dziedzińcu.

— Słowo piérwszéj kabały—odpowiedział Issahar syn Selima.

— To ja stryju—rzekł zbliżając się Hillel.

— Mów!—zawołał Besso przerywanym głosem—mów prędko; ciemno mi w oczach.

— Niestety!—powracam sam jeden.

— Pochowajcież mnie na dolinie Józefata—szepnął Besso upadając na łoże.

— Ależ mój stryju! jest jeszcze nadzieja.

— Mów prędko co za nadzieja?—odezwał się Besso porywając się konwulsyjnie.

— Doprawdy, widziałem syna gór, który mi zaręczał, że Ewa uciekła z niewoli.

— To pewno nowa zdrada! Czy zdobyliście góry? gdzie wojsko?

— Gdybyśmy zdobyli góry, nie byłbym tutaj, mój stryju. Z murów miasta widać szczątki naszego wojska, co zdołały ujść przed lancami Anserejów. Gdy królowa nie chciała wydać nam Ewy, basza postanowił opanować góry. Nieprzyjaciel cofnął się po lekkiéj utarczce; ale wojna to wcale niełatwa zabawka; to cofnięcie było tylko pozorne. Zaledwie ścigając ich zapuściliśmy się w wąwozy, obsypali nas zewsząd wystrzałami, i stoczyli na nas z wierzchołków gór ogromne głazy: wówczas nasza liczba i siła na nic nam się nie przydała, a artylerya utrudniała tylko nasz odwrót. Wtedyto giaury i Kurdy wpadli na nas z swemi długiemi lancami, straszną rzeź sprawiając. Myślałem, że już po mnie, zbawiła mnie tylko szybkość mojego rumaka.

— A kiedyżeś widział tego syna gór? kiedy ci mówił o naszym straconym skarbie?—przerwał Besso cichym, przerywanym głosem.

— W wilią bitwy—odrzekł Hillel.—Przybył on do mnie umyślnie z listem, ale niestety! list ten zaginął. Sam zaledwie zdołał się do mnie dostać, i upewniał, że list ten pisany był przez naczelnika ich wojska, i że Ewa rzeczywiście opuściła góry.

— Więc jeszcze jest nadzieja! Ale cóżto słychać za głos?

— Oto drugie słowo kabały—odrzekł Issahar syn Selima.

W téj chwili wszedł niewolnik i kiwnął na Issahara, który się oddalił, zostawując Hillela przy łożu stryja. Po krótkiéj chwili powrócił z rozjaśnioném obliczem, i rzekł zbliżając się do chorego:

— Przywieziono ci dobre wieści o córce.

— Boże ojców naszych!—zawołał Besso, zrywając się nagle.

— Uspokój się, uspokój—mówił Issahar.

— Któż je przywiózł?

— Emir Fakredeen.

— Syn mojego serca przynosi mi wieści słodsze od miodu! Gdzież on jest?

— Jestem tu, mój ojcze — rzekł Fakredeen, zbliżając się do łoża.

Besso schwycił jego obie ręce, i podnosząc się spojrzał mu w oczy, szepcząc: „Mów o Ewie".

— Jest bezpieczna, wolna—zawołał emir, przyciskając usta do rąk jego—jam ją ocalił.

— Twoja flaga powiewać będzie na tysiącach zamków, gdyś ocalił dziecię moje, a Bóg ojców moich czuwać będzie nad tobą. Fakredeenie! mów tylko, a wypełnię każde twoje żądanie.—Tu Besso zmordowany nadzwyczajném wysileniem, opadł na łoże, wołając: „Ewa!"

— Niedługo tu będzie—odparł Fakredeen.

— Może szlachetny emir raczy spocząć i ochłodzić się nieco po tych trudach—rzekł Hillel, dopełniając obowiązków gościnności.

— Serce moje nadto wzruszone, bym mógł myśléć o ciele.

— Być to może; ale ja sądzę, że trzeba zawsze równie posilać ciało, jak duszę.

— Oddalcie się od łoża!—zawołał Issahar syn Selima.—Besso zemdlał, i potrzebuje spiesznéj pomocy.—Usilny ratunek, wrócił niedługo Bessa do życia, który rzekł: „Śniłem o mojém dziecku"—lecz zaledwie zdołał przywołać pamięć zaszłych wydarzeń, marzenie jego urzeczywistniło się, i Ewa zalana rozkosznemi łzami, rzuciła się w jego objęcia.

— Oto trzecie słowo kabały! — zawołał z tryumfem Issahar syn Selima.

Rozdział X.

Tankred nauczony własném doświadczeniem w bitwie z Rehabitami w Arabii, użył tego samego wybiegu, by zwabić Turków

w głąb' wąwozu. Udał ucieczkę, a gdy nieprzyjaciele uradowani tak małym oporem, zapuścili się nieostrożnie w góry; przecięto im drogę i zewsząd obsypano strzałami i kulami. Tankred ścigał długo niedobitków, i posłał królowéj zapewnienie zwycięztwa i zdobyty buńczuk baszy. Jednak w pogoni zapędziwszy się zbyt daleko, ujrzał się wkrótce sam z Baronim i dwudziestu tylko jeźdzcami, oddalony od swoich, i nieledwie otoczony zewsząd kawaleryą turecką.

Baroni w jednéj chwili zmierzył całe niebezpieczeństwo.

— Niepodobna dostać się nam w góry — powiedział po krótkim namyśle—uciekajmy raczéj ku wschodowi w pustynie, bo wszędzie indziéj spotkamy nieprzyjaciół.

Tankred przekonawszy się, że ta jedna zostaje mu droga—dobrze! —zawołał.—Sprobujmy szybkości naszych rumaków. Żegnaj mi Dżindariku! żegnajcie mi bogi Olimpu..... Daléj na pustynię, któréj nigdy nie powinienem był porzucać.

Wkrótce stracili z oczu wojska nieprzyjacielskie. Po kilku dniach nieustannéj jazdy w pustyni, ujrzeli nagle kilku Arabów, których odrazu poznali, że są Rehabitami.

— Jeden jest tylko Bóg!—krzyknął Baroni—idźcie oświadczyć wielkiemu szeikowi, że jego przyjaciel książę angielski chce go pozdrowić i odwiedzić.—Usłyszawszy to Beduini, zwrócili konie, i przewodniczyli im w dalekiéj drodze. Wkrótce ukazały im się porozrzucane namioty, i sam szeik Amalek wyszedł na spotkanie swego gościa.

— *Salaam! Salaam!*—wołał on, witając Tankreda—jeden jest tylko Bóg, oby zawsze jak dotąd czuwał nad tobą.

— *Salaam!* wielki szeiku; teraz czuję, że jesteśmy braćmi, bo mamy wspólnych przyjaciół.

Po długich witaniach, uczłach, Tankred ujrzał się samnasam z szeikiem, który rzekł: „Jest czas na wszystko: jest czas na ucztę, i czas na pytania. Co sprowadziło brata królowéj angielskiéj do téj dzikiéj pustyni?

— Wiele mam rzeczy do powiedzenia. Pozwól, bym wprzód zapytał, czy nie masz jakiéj wiadomości o Ewie, córce Bessa?

— Czyż nie jest jak zwykle w pałacach swego ojca, otoczona zbytkiem i przepychem?

— Niestety! —odrzekł Tankred—ona sama dostała się do niewoli, a teraz błąka się może bez schronienia.

— Coto za syny Eblisa wyrządzili jéj krzywdę?

— Opowiem ci wszystko szeiku szeików, ale najprzód pośléj umyślnego po jaką wiadomość o Ewie i Adamie Besso.

— Gdzież oni są ? do jakiego miasta mam wysłać gońca?

Po długich naradach, Amalek wysłał oddział Rehabitów do Alepo, a potém zapytał Tankreda:

— Jakiżto zły duch poniósł was w góry Anserejów, tych przeklętych czcicieli Eblisa?

— Długato powieść; lecz teraz, gdyś ulżył memu sercu wysyłając do Alepo, pozwól mi spocząć, bo trzy dni i trzy nocy byłem na koniu, a ciało moje nie przywykło jeszcze do takich trudów.

Rozdział XI.

— Besso ma się lepiéj — mówił Pasqualigo do Barisiego zpod wieży, spotkawszy go na *Via-Dolorosa*.

— Lecz jeszcze niezupełnie dobrze—szybko odpowiedział Barizi—mówił mi to lekarz angielskiego księcia.

— To nieprawda, bo lekarz angielskiego księcia nie widział go wcale.

— To nic nie znaczy; mimo to, lekarz wié dobrze, co się tam dzieje: mówił mi o ranach.

— Rany jego już zagojone; zmęczyła go tylko ta podróż, bo téż po co tu przybył chory z Alepo?

— Besso w chorobie zawsze się każe wieźć do Jeruzalem, mówiąc: że jeżeli ma żyć, uzdrowi go tutejsze powietrze, a jeśli umrze, pochowają go przynajmniéj na dolinie Józefata.

— A przecież go nie ma w Jeruzalem — dodał Pasqualigo złośliwie.

— Jakto?— zapytał Barizi zmieszany—właśnie szedłem do niego.

— Jest nateraz w Bethanii.

— W Bethanii?— powtórzył Barizi tajemniczo.— Cóż sądzisz o tém małżeństwie?

— Ewa nie pójdzie za mąż, póki jéj ojciec nie wyzdrowieje.

— To jednak dziwna, że Kurdy pobiły regularne wojsko.

— Albożto były Kurdy?—odrzekł Pasqualigo—to sami Anglicy bili się z Turkami, i naprowadzili w góry massę artyleryi. Dowiedziano się o téj zdradzie z papiérów znalezionych u zabitego naczel-

nika Anserejów. Pisze mi o tém z Damaszku kunsul generalny Laurella. To musi sprowadzić ważne wypadki.

— Doprawdy, doprawdy?—mówił Barizi zdumiony tak rozległemi wiadomościami.—Zawsze myślałem, że na tém się skończy. Palmerston musi koniecznie zdobyć Jeruzalem.

— Bo Anglicy starają się wszędzie rozszerzać swój handel i sprzedawać swoje wyroby.

— Sprowadzą tu swoje bawełniane towary. Wdałbym się i ja chętnie w ten handel, ale cóż, kiedy dom Bessa zabija wszelkie konkurencye.

— I czegóżby tu dostali Anglicy w zamian za swoje wyroby? Nie, nie, to być nie może. Nam zawsze lepiéj trzymać się z Austryakami, którzy są religii chrześciańskiéj, i mają także bawełnę, którą będą zamieniać na nasze krzyże i różańce.

— Ależ ja nie mogę sprzedawać relikwij chrześcianom — zawołał Barizi zakłopotany.

— To cię w tym razie ubiegnie Barizi zpod wieży, który już zamówił w Betleem massę krucyfixów.

— A, zdrajca!—krzyknął Barizi.—No, cóż robić, czego nie przezwycięży cywilizacya? I gdy ten tylko tu handel kwitnie, muszę i ja sprzedawać różańce.

W téj chwili orszak konny zatrzymał się przed jednym z sąsiednich domów; a gdy Pasqualigo odgadywał, coby to być mogło, Barizi korzystał ze sposobności okazania się lepiéj uwiadomionym, objaśniając go, że to książę angielski powraca z Egiptu, gdzie bawił 6 miesięcy.

— Pewnie tam polował na krokodyle—mówił Pasqualigo—bo to upragniona rozrywka wszystkich Anglików.

— Być może. Ale jak on musi się cieszyć z powrotu do Jeruzalem! Mogą być w świecie większe miasta, ale pewnie nie ma piękniejszego.

— Najpiękniejszém miastem w świecie jest Wenecya.

— Nigdyś tam nie był.

— To nic nie znaczy. Zbudowali ją moi przodkowie i nazwali królową mórz—odrzekł dumnie Pasqualigo.

— Nigdy nie słyszałem, żeby kto porównywał Wenecyą z Jeruzalem.

— Bo nikt przy Wenecyi nie wspomina nawet o tak nędzném mieście, jakiém jest Jeruzalem.

— Powiadam ci, panie Pasqualigo, raz na zawsze, że Jeruzalem nietylko jest ulubioném miastem Boga, ale i chlubą swoich mieszkańców.

— Ba— mruknął Pasqualigo.

— Co tam— szepnął Barisi.

— Nic a nic się nie dziwię, że Besso mało w niém przemieszkuje.

— Nie śmiałbyś mu tego powiedzieć.

— Jak możesz tak mówić do reprezentanta jednego z mocarstw Europy? Zaskarżę cię do mego ambassadora w Stambule.

— Czemu sam tam nie jedziesz, gdy ci się nasze El-Khuds znudziło?

W czasie téj gwałtownéj sprzeczki, Tankred wjeżdżał do swego pustego mieszkania. Spotkał na progu Freemana i Truemana, których odesłał z Bejrutu, i którzy mu się skłonili tak zimno i poważnie, jak gdyby wracał ze zwykłego spaceru lub śniadania; ale żaden z jego towarzyszy nie był w domu, by go powitać. Pułkownik Brace obiadował u konsula, gdzie sam przyrządzał olbrzymi *Plum-Pudding*. Pan Bernard pomagał biskupowi w Betleem do nawrócenia całéj żydowskiéj rodziny, a doktor Roby zbierał zioła na brzegach Jordanu.

Tak więc, gdy Tankred po długiéj i niebezpiecznéj podróży powrócił do siebie, nie było komu go powitać i cieszyć się tym powrotem. Nie mając żadnego zajęcia, lord Montecute przebiegał smutnie dom i ogród w czasie, gdy Baroni płacił i odsyłał eskortę, daną im przez wielkiego szeika.

— Nie sądziłem nigdy—rzekł wreszcie do swego kamerdynera—bym mógł w Jeruzalem doświadczyć takiego smutku i takiego upadku ducha.

— Jestto skutek znużenia i długiego pobytu w pustyni.

— Przykro mi, żem tu Bessa nie zastał; takem go pragnął widzieć.

— Może posłać po pułkownika?—pytał Baroni otrzepując i układając rzeczy swego pana.

— Nie, nie; ja sam nie wiem czego chcę. Dziwno mi, żem nie zastał listów z Anglii, chociaż nieledwie cieszę się z tego, bo listy.....

— Tak, listy pisane kilka miesięcy temu—kończył Baroni— są jakby martwe, i zawsze zasmucają.

— Czemuż się ta bitwa w Dżindariku tak prędko skończyła! Chciałbym ciągle ruchu, wojny.

— Nic tak nie ożywia, jak czynność i działanie — powiedział Baroni, czyszcząc pistolety.

— Ale cóż można nazwać działaniem na téj ziemi?—ciągnął daléj Tankred.

— Widzę—pomyślał Baroni—że mój pan ma coś skrytego w głębi serca, czego nawet sam przed sobą nie wyznaje; ale to wszystko niedługo na wierzch wypłynie.

Dzień ten zszedł Tankredowi smutno i nudno nad czytaniem i rozmyślaniem. Często myśl jego błądziła gdzieś daleko, często łza zabłysła mu w oku; aż wreszcie znudzony, udał się na spoczynek, nie doczekawszy się żadnego z towarzyszów podróży.

Najpiérwszy wrócił do domu pułkownik Brace, i zdziwił się niezmiernie, zastawszy młodego margrabiego. Chciał się z nim widzieć natychmiast, lecz Baroni nie pozwolił snu mu przerywać. W godzinę późniéj zjawił się pan Bernard, nadzwyczaj zmęczony i przerażony, ponieważ jeden z jego katechumenów ułakomił się na jego kosztownie oprawną biblią, i o mało że go nie obdarł na drodze. Pan Roby wracał obładowany cudownemi ziołami; lecz zastawszy bramy miasta zamknięte, musiał nocować w jakimścić pustym nagrobku, i dopiéro nazajutrz rano w najgorszym humorze przybył do domu.

Tankred spędził tę noc bardzo niespokojnie; jakieś dziwne sny zakłóciły jego spoczynek: raz zdawało mu się że jest na pustyni, to znów w Dżindaryku widział zamek Bellamont, a Fakredeen był jego panem! —to znów majaczył o świątyni syryjskiéj, o pięknéj bogini, przypominającéj rysy Ewy. Zmordowany temi marzeniami, ocknął się rano, i wyszedł na przechadzkę, zostawiwszy polecenie Freemanowi, aby prosił jego towarzyszy, by go czekali ze śniadaniem.

Poranek był cudowny, powietrze tchnęło ożywiającą wonią. Tankred oddychając pełną piersią, pogodził się trochę z życiem i światem. Poszedł na górę Oliwną, i tam przebiegał myślą wydarzenia, które go oddzielały od ostatniéj w to miejsce przechadzki; a tak rozmyślając, wszedł nieznacznie na drogę wiodącą do Bethanii.

Rozdział XII.

Palmowe drzewa w ogrodzie Ewy kąpały głowy w zachodzącém słońcu, gdy sama, zostawiwszy Tankreda przy łożu ojca znacznie już zdrowszego, siadła na brzegu fontanny, i pogrążona w dumaniach, patrzała bezmyślnie na spadające krople. Głos lorda Montecute wyrwał ją z tego marzenia.

— Ten piękny wieczór — mówił — skłonił mię do przechadzki, i o mało, żem twego ojca nie namówił, aby użył świeżego powietrza.

— Już pora nazbyt spóźniona; lękałabym się dla niego wieczornego chłodu.

— Czemuż już minęły te cudne letnie nocy, podobne do téj trzykroć błogosławionéj, w któréj cię po raz piérwszy ujrzałem!

— Alboż my wiemy jaką godzinę błogosławić? — odrzekła smutnie Ewa.

— Jeśli nie wiemy z pewnością, to odgadujem sercem — szepnął Tankred siadając przy niéj.

— Ze wszystkich wydarzeń i nadziei, co napełniały zeszłe miesiące — rzekła Ewa po chwili — pozostało mi tylko jedno uczucie głębokiego smutku. Czuję w sobie jakby upadek ducha; wierzę we wszystko, w com dotąd wierzyła, ale nie wiem dlaczego straciłam nadzieję?

— Dlaczegoż? — spytał Tankred cichym głosem.

— Jakiś żal serce moje ściska. Czuję, że się wiele szlachetnych chęci, bohaterskich usiłowań zmarnowało; a może nikt temu nie był winien, możeśmy tylko gonili za niepodobném marzeniem, i powinniśmy sami sobie przypisać rozczarowanie.

— Wiara moja dotąd była silna, ale mnie twoje zwątpienie ogarnia.

— Może to mrok wieczorny nasunął mi te myśli — rzekła Ewa z udanym uśmiechem.

— Przy współczuciu nie powinno być smutku. I ja czasem czuję zwątpienie i boleść, ale nigdy przy tobie.

— Jednakże — przerwała mu — nie jesteś już tém, czém byłeś przy naszém piérwszém spotkaniu, gdyś marzył jedynie o Bogu, gwiazdach i aniołach! Teraz się te święte myśli pokalały błotem ziemskiém, podłą intrygą. Choć sam byłeś wolny od złego, w ciągłéj z niém styczności musiałeś coś stracić z pierwotnéj wiary; zmieniłeś zdanie o Arabii.

— Bo ty stałaś się dla mnie Arabią, aniołem opiekuńczym i pocieszycielem — zawołał Tankred padając przed nią na kolana. — Nie mów o wygasłéj wierze, bo ufam w ciebie; nie mów mi o porzuceniu walki, bo ja chcę walczyć z całym światem dla ciebie; nie mów nic o smutku, bom szczęśliwy przy tobie, i tylko myśl, że może nie dzielisz mych uczuć, przywodzi mię do rozpaczy!

To mówiąc, uchwycił jéj rękę i patrzał na nią błagalnie z uwielbieniem; ona zaś spoglądała na niego smutnym, tęsknym

wzrokiem, nie usuwając dłoni, i szepnęła wreszcie: „Nie mów mi tego nigdy; wszak wiész, że nawet marzyć o tém nie powinniśmy".

— Nic nie wiem, nic nie chcę wiedzieć, tylko to, że cię kocham!

— Należysz do innego narodu, do innego wyznania — zawołała z wysileniem, wyrywając mu rękę. — Uciekaj, uciekaj odemnie synu Europy i chrześciaństwa!

— Jako wyznawca krzyża, klękam przed córką pokolenia mego Zbawcy! dlaczegóż więc miałbym uciekać?

— Ależ to szaleństwo!

— Powiédz raczéj: natchnienie! — zawołał Tankred. — Nie porzucę téj fontanny, świadka naszego piérwszego spotkania, póki mi nie powiész, że mnie kochasz, że złączysz twój los z moim. Nie mów nic o różnicy wiary, narodu, ani o tych, co nas mogą rozdzielać; wyrzekam się rodziny, ojczyzny i wiary dla ciebie! wyrzekam się wszystkiego, co stanowi zaporę między nami. Powiédz tylko, o powiédz że mnie kochasz, a skruszę wszystkie przesądy świata.

Na tak namiętne słowa, głowa Ewy skłoniła się na jego ramię, i Tankred złożył piérwsze pocałowanie na jéj bladém licu, lecz znalazł je zimne jak marmur. Uczucia jéj były zbyt silne, straciła przytomność. Tankred położył ją lekko w kiosku na sofie, i skrapiając jéj czoło wodą z fontanny, starał się przywrócić do życia. Po chwili Ewa westchnęła ciężko, i zwolna, otworzywszy oczy, podniosła się nieco, patrząc wokoło, jakby starała się rozeznać marzenie od rzeczywistości.

W czasie téj uroczystéj ciszy wieczoru, dały się nagle słyszéć krzyki i wołania, a potém zbliżające się kroki i głos. Tankred posłyszał wymienione swoje imię. Porzuciwszy na chwilę otrzéźwioną Ewę, pospieszył zapytać, cobyto być mogło? U bram ogrodu spotkał pana pułkownika Brace, p. Bernard i doktora Roby, Freemana i Truemana z pochodniami; a za niemi tłum ludu, wołający na wszystkie strony lorda Montecute, albowiem księstwo Bellamont przybyli do Jeruzalem.

Tłumaczyła z angielskiego

Walerya Morz.....

DO REDAKTORA.

od

Augustyna Bielowskiego.

KRONIKA
Gawła mnicha i Michała kanclerza.

Między duchowieństwem obrządku łacińskiego, zasługującém się Polsce już od czasów Mieczysława I, wystąpił nowy zakon pod koniec wieku XI. Bylito mnisi s. Gawła, sprowadzeni do Polski z Prowancyi czy Helwecyi, za Władysława Hermana, a szerzący się znacznie pod Bolesławem Krzywoustym. Przypadek zjednał im nadzwyczajne względy tych królów. Troszczącemu się bezpotomnością Władysławowi podał radę Franko, biskup kruszwicki (1), aby przesłał wota ś. Idziemu, doświadczonemu w téj mierze patronowi, którego zakon na cześć ś. Gawła założon, kwitnie w Prowancyi niedaleko ujścia Rodanu. Usłuchał rady Władysław, przesłał bogate dary do *Saint-Gille*, a królowa niebawem mu syna powiła. Nie lenił się król polski w okazach wdzięczności za cud tak wielki: powstawały kościoły i zakłady kosztowne na cześć tego świętego w Kłodawie, w Krakowie, Łęczycy, w Krobii i po innych miejscach (2), a księża niemało względów od Władysła-

(1) Franko ten był biskupem kruszwickim między r. 1081 — 1087. Zna go Gaweł; Długosz o nim zamilcza, nie wiadomo z jakiego powodu. Zdaje się, że w wyborze jego zachodziła jakaś nieformalność. Ob. Catalogus episcopp. Vladislaviensium; rkp. Bibl. Oss. XVIII in 4to. kart. 100 odwr.

(2) Iste Vladislaus in honorem beati Egidii dotavit et fundavit ecclesiam parochialem in Clodawa; ecclesiam collegiatam in honorem beati Egidii in Cracovia; etiam collegiatam in Lancicia; parochialem in Crobya, et alias plures in

wa doznawszy, starali się wcześnie zapewnić sobie wpływ na syna jego: postanowili więc i dawne swoje zasługi przypomnieć i położyć nowe, opisując czyny młodego i żądzą sławy pałającego Bolesława. Tak powstał jeden z najznakomitszych pomników kronikarstwa polskiego, znany pod napisem *Galli Chronicon*. Że go pisał mnich zakonu ś. Gawła, o tém nie ma najmniejszéj wątpliwości; że ten mnich zwał się na imię Marcin, na to nie ma żadnego dowodu; piszący po łacinie Sarnicki zowie go poprostu *Gallus* (1), jakby to było jego imię własne. Jakoż jest rzeczą naturalną, że między mnichami tego zakonu, imię patrona ich, które z łacińska brzmi *Gallus*, a w ustach polskich *Gaweł*, musiało być najpowszechniejsze. Bądź jak bądź, to jednak pewna, że kronikarza tego zwano po łacinie Gallusem, nie z przyczyny francuzkiéj jego rodowości, ale z przyczyny téj, że był zakonnikiem świętego Gawła, a nie jest téż niepodobna, że i sam Gawłem nazywał się. W oboim tedy razie, służy mu w języku polskim miano Gawła, a nie Gallusa lub Marcina Galla, jak go w późnych już czasach nazwano (2).

Czy nasz kronikarz jest cudzoziemiec lub Polak? o tém dotąd spór wiodą uczeni; wszelako za piérwszém z tych twierdzeń przemawia nierównie większe podobieństwo. Zna on bardzo dobrze okolice południowéj Francyi; umié podać imię opata w *Saint-Gille*, któremu Władysław Herman list z darami przesyłał; króla polskiego zowie królem północnym i Polskę północnym

in honorem beati Egidii confessoris, ad cujus preces habuit filium. Rkp. Sędziwoja z Czechelu str. 30. Na cześć ś. Idziego stawiał też kościoły w Polsce tak zwany Piotr Dunin, i synowi swemu dał na chrzcie imię zawołanego w owym wieku cudotwórcy Idziego. Chronica Petri Comitis; rkp. Bibl. książąt Chlziów w Rzymie.

(1) Annal. II, c. 4.

(2) Martinus Gallicus nazywał się biskup płocki, zmarły r. 1024. Łubieński Vit. epp. Ploc. in Opp. posth. Antw. 1643, str. 317. Tego to podobno Marcina powołuje Długosz (Hist. I, 36 i 65); że naszego Gawła to się nie tyczy, dowodzi ta okoliczność, iż ustęp przezeń przytoczony o Leszku, który walczył z Niemcami r. 805, nie znachodzi się zgoła w Gawła kronice, ale znalazłem go w bezimiennych wyciągach z czeskich i polskich dziejów, dawną już ręką w Kodexie Tytusa Działyńskiego na str. 326 spisanych. Wyciągi te mogły być istotnie robotą jakiego Marcina Gallika, ale nie Gawła naszego. Pierwszy przełożony Miechowitów sprowadzonych do Polski przez Jaxę Gryfa około roku 1162, zwał się także Martinus Gallus (Nak. Miech. str. 63 i 65), a był, jak widzim, przeszło pół wiekiem młodszy od Gawła naszego.

krajem, gdy przeciwnie u Miorsza Polska jestto kraj wschodni. Skoro wejdziem w przyczynę takowego nazwania, nasuwa się samo przez się, że jak Miorsz od granic niemieckich patrząc widział Polskę na wschodzie, tak samo też i Gaweł Polskę na północy upatrujący musiał pochodzić z krain południowszych, i prawdopodobnie przybył on do Polski z Francyi południowéj lub też ze Szwajcaryi; podobnie jak tamten z Niemiec, czy z Anglii. Jest tedy cudzoziemcem z rodu nasz kronikarz, ale cudzoziemcem spolaczonym: posiada język polski i w zwrotach jego łaciny uderzają nas widoczne polonizmy (1), a z upodobaniem rozpowiada on, że król węgierski Władysław przez dłuższy czas w Polsce zostając, przejął się polskiemi obyczajami i zwyczajami tak, iż się niczém od Polaka nie różnił (2). Oddaje też niemałe pochwały temu królowi.

Mniéj znana, acz ugruntowana w wyraźném świadectwie Gawła jest okoliczność, że spółautorem téj kroniki jest Michał kanclerz (3) kapituły kruszwickiéj; okoliczność godna tém większéj uwagi, że pojaśnia nam niejedno, co inaczéj trudne byłoby do pojaśnienia. Michał kanclerz jest rodowity Polak, stanu duchownego (4); ale tylko świecki ksiądz, nie zakonnik. U Bolesława Krzywoustego zażywa on niemałéj powagi, towarzyszy jego wyprawom, i śród boju podaje mu rady zbawienne. Gaweł ceni jego pobożność i światło: wymienia z uwielbieniem radę, którą tenże podał królowi w czasie daremnego ubijania się o Kołobrzegę (5); a gdy kilkakrotnie napomyka, iż ten albo ów czyn królewski mędrcowie polscy chwalili lub potępiali, niepodobna jest nie widzieć na czele owych mędrców Michała, którego wiadomościami co do spraw publicznych, zasilał się sam autor. Jestto, jak powiedziałem, kanclerz kapituły kruszwickiéj: pomocnikiem bowiem Pawła, biskupa kruszwickiego zowie go sam autor (6). Jak dalece pomocnik taki był mu na rękę, i w czém właściwie pomoc jego zależała, łatwo zmiarkować. Gaweł ma wprawę pisarską (7), ma

(1) Dowody na to przytoczyłem w Bibl. Oss. z r. 1842, I, 105.

(2) Wyd. Bandt. str. 108.

(3) Cancellario Michaëli, ceptique laboris opifici, str. 4.

(4) Że był księdzem, to widać ze słów: *tamque religiosorum memoriam prelatorum*; str. 126. Na polski ród Michała zdaje się wskazywać autor, zaliczając go między *hujus patrie principes;* str. 8. (5) Str. 192.

(6) Paulo, suoque cooperatori Michaëli, str. 123.

(7) Ut dictandi consuetudinem conservarem; str. 234. *Dictare* znaczy tu *metrice componere*; porów. Pertz § II. 80, w. 35, tudzież str. 101, w. 15

wczas do pisania, jako zakonnik; ale mu zbywać mogło na dokładnéj znajomości Polski, na znajomości dawnych jéj dziejów, a i spółczesne sprawy publiczne trudno było obejrzéć wszechstronnie z za krat zakonnych. Z pokorą mnicha przyznaje on się do swéj niewiadomości (1): powiada, że zasięgał rady od tych, którzy z przedmiotem tym dokładnie byli obznajomieni: „anibym się odważył rozwinąć żagla na toń niezbrodzoną wypadków, nie pozyskawszy sobie piérwéj przychylności życzliwych opiekunów i pomocy biegłych sterników" (2). Opiekunami tymi byli oczywiście biskupi polscy, którym dzieło swe przypisuje; ale równie jest pewna, że pomoc istotną miał właśnie od Michała: bo jego wyłącznie zowie dzieła tego spółtwórcą; jego i Pawła kruszwickiego czyli kujawskiego w szczególności jako mędrców wysławia (3). Onto jako świadomy dobrze rozmaitych przygód narodu, wytknął dziełu jego pewien kres (4); on poddawał źródła, które Gaweł pilnie wertował; nakoniec zasilał go przy każdéj księdze tak oblitą powieścią ustną, że tenże pisać nie nastarczał, a wyznając, iż powtarza ze słuchu (5), robi téż częstokroć uwagę, że wié nierównie więcéj czynów tego lub owego króla, ale je dla pośpiechu pomija (6).

Taką pomoc zewnątrz miał nasz kronikarz; nadaje ona dziełu jego poniekąd cechę urzędowości: bo owe obszerne i wielostronne opisy wypraw Krzywoustego, w których nietylko dzień bitwy oznaczon, ale niekiedy i godzina nawet, w któréj bitwa zaczynała się lub ustawała (7); owe napomknienia stosunków z ościennemi państwami; owe narady i zdania pojedynczych osób przy ważniejszych wypadkach: pochodzą od męża wtajemniczonego w bieg spraw publicznych, i niepospolitą w nich rolę grającego, mianowicie od Michała. Obaczmy teraz, co nasz mnich

(1) Iguarus vie; str. 5. Neque ceptum iter bene cognitum habuimus; sed per illos qui noverunt paulatim inquisivimus, str. 130. Copiosa bellorum materia ad presumendum opus viribus inequale *meam ingnorantiam* excitavit; str. 238. (2) Str. 5.

(3) Quorum sapientia bicipiti philosophie monte derivata, str. 127.

(4) Ni vestre benignitati placuisset certas mihi metas interius aperire; str. 5. (5) Recordatio ab auditoribus imitata; str. 61.

(6) Multa et magnifica gesta pretermittam, quedam tantum suggerere non dimittam; str. 6. Aliis quamplurimus (gestis Kazimiri sub silentio pre festinantia reservatis; str. 98. Pauca de multis gestis Bolesłai largi) aperire; str. 100. (7) Str. 134, 135, 136, 246, 247, 251, 202 i t. d.

miał z siebie, i jakieto były wiadomości, które sobie w Polsce czytaniem przyswoił.

Naukę ceni wysoko Gaweł, i oddaje jéj cześć bez względu na to, czy ją w przyjacielu lub nieprzyjacielu dostrzeże. Wié, że zpomiędzy spółczesnie panujących, żaden naukowém wykształceniem nie zrównał Kolomanowi węgierskiemu (1), przyjacielowi Krzywoustego; a o Zbigniewie, mimo słusznego oburzenia na jego postępki, nie zamilcza, że to był książę nad podziw mądry, i nietylko swoje, ale i brata swego mowy uczonością zaprawiał (2).

Sam też Gaweł posiada niepospolitą na swój wiek naukę. Pominąwszy erudycyą biblijną, któréj ślady są w dziele jego widoczne, nie lenił się w przyswojeniu sobie wiadomości z ksiąg świeckich. Tak zwane dzieje barbarów, obszernie przez Troga Pompeja, a w skróceniu przez Justyna podane, rozczytywał z uwagą, i przechwala się, że dzień cały nie wystarczyłby na to, gdyby chciał same tylko imiona znanych sobie barbarzyńskich królów wyliczyć (3). Zna okolicznie przygody wojny trojańskiéj, bądź z wzorowych dzieł starożytnych pisarzów, bądź z podrobionego Daresa frygijskiego. Z łaciny jego rymami poprzecinanéj, zalatuje nas niekiedy jakby stłumiony odgłos wierszów Horacego (4). Zna Sallustego i powiada, że jego księdze jugurtyńskiéj zrównaćby mógł objętością zupełny opis czynów Sieciecha (5). Z pisarzów nowożytnych znani mu są kronikarze sascy, a szczególniéj Adam bremeński (6), wraz ze spółczesnym swoim kommentatorem. Ale dobitniéj nad

(1) Colomanus super reges universos suo tempore degentes litterali scientia eruditus; str. 193.

(2) Lectis (Zbigneï literis) quilibet sapiens admiratur; str. 211. Zbigneus orationem fratris ut literatus rhetorice colóravit; str. 163.

(3) Str. 240. (4) Cur rota currus percurritur, str. 30. *Porów.* Currente rota cur urceus exit; Horat ad Pis. v. 22.

(5) Str. 107. Gaweł zna zarówno wojnę katylińską jak i jugurtyńską Sallustego; to widoczna ze zwrotów mowy i wyrażeń zabranych z obu tych dzieł, jak to wyśledził Jan Szlachtowski.

(6) Dość liczne podobieństwa między Adamem bremeńskim, a Gawłem tak co do myśli całkowitych, jako i zwrotów, zebrałem i udzieliłem J. Szlachtowskiemu dla zrobienia z nich użytku w nowém wydaniu krytycznem tego kronikarza. Oto są niektóre z nich: Veritatem nos in medio relinquamus, *mówi Adam* (edit. Lugd. Bat. 1595) str. 21; sed haec in medio deferamus *mówi Gaweł* str. 110. Sed quod bene ego non potui melius scribendi, ceteris materiam reliqui. *Adam.* str. 4; Et si forsan in hoc opere verborum nuditatem accusatis, ex his saltem materiam tractandi profundius et argumentosius habeatis; *mówi Gaweł* str. 238. De cujus viri gestis et moribus

to wszystko wypiętnowała się w naszym kronikarzu znajomość ksiąg Sangaleńskiego klasztoru, które, jak się zdaje, z San Gallen w Helwecyi, rozchodziły się i w inne kraje do klasztorów świętogawelskich. Zna tedy nasz kronikarz żywot najstarszy św. Gawła, w VIII wieku przez bezimiennika rymowaną łaciną napisany (1), i cuda przy tym żywocie dopełniane przez Gozberta dyakona. Zna przygody tegoż klasztoru sangaleńskiego, (2) które opisał pod koniec wieku IX Ratpert, a Ekkehard IV i inni dopełniali: zna leoniny, jakie mnisi sangaleńscy za popędem Notkera na cześć świętego Gawła i świętego Otmara układali, i jakich próbkę zostawił nam pomieniony Ekkehard (3). Te i tym podobne pomniki stanowiły podstawę zakonnego wykształcenia Gawła naszego; napojony i przesiąkły wzorami temi mnich, wniósł w polskie kronikarstwo formę odrębną: opowiada dzieje Polski tak samo, jak bezimienny żywociarz czyny św. Gawła, rubaszną swoją łaciną, rymami i asonancami zaplatając, a powieść swoję urozmaica nasz Gaweł leoninami, jak to robili autorowie przygód sangaleńskiego klasztoru: Ratpert i Ekkehard. Nakoniec rymowane epilogi, któremi przedmowę każdéj z trzech ksiąg kroniki swojéj zamyka, a z których piérwszy ma za cel uczczenie świętego Idziego, epilogi te są jakby tylko dalszym ciągiem owych lukubracyj, jakie niegdyś Notker Labeo mnichom sangaleńskim zadawał (4).

Następujące atoli źródła wprost do dziejów Polski odnoszące się, których ślady dostrzedz się dają w jego kronice, winien jest niewątpliwie pomienionemu kanclerzowi, co w części ukazuje już sama tych źródeł natura. Zna tedy Gaweł traktat przez Bolesława Chrobrego z Ottonem III zawarty, a przez Sylwestra II papieża zatwierdzony (5); zna listy królów polskich

cum difficile est aliquid dignum scribere; *Adam* str. 79. De cujus gestis scribere jam tempus est, *mówi Gaweł* str. 12. Licet stulte audacterque hoc introirem pelagus; nunc autem haud imprudenter fecisse videar si ad littus properabo; *Adam* str. 79. Cum fragili cymba periculose tantam equoris immensitatem introirem i t. d. *Gaweł* str. 5. Romani pontificis fultus auctoritate; *Adam* str. 127; Vestra auctoritate suffultus patres praetitulati *Gaweł* str. 4 i t. p.

(1) Vita s. Galli ap. Pertz. § II. 5.

(2) Casus s. Galli ap. Pertz. § II. 59.

(3) Casus s. Galli ap. Pertz. § II. 59.

(4) Zestawienie miejsc podobnych Gawła kroniki z pomienionemi pomnikami mnichów sangaleńskich znajdzie czytelnik w najnowszém wydaniu naszego kronikarza, uskutecznioném przez Jana Szlachtowskiego, a zamieszczoném w XI tomie Zbioru Pertzowskiego: Monumenta Germaniae.

(5) Str. 41.

Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, tudzież cesarza Henryka do Bolesława (1); nie tajne mu są ani powody, jakie dawał Baldwin Paschalisowi II papieżowi, celem uzyskania przyzwolenia jego na związek Bolesława ze Zbisławą swą krewną (2); ani blizkie jakieś stosunki Judyty żony Władysława Hermana z Siecіechem (3); ani ustna Bolesława z Kolomanem węgierskim umowa, o któréj w całéj Polsce ledwie kto wiedział; (4), i o któréj milczą wszystkie roczniki. Nakoniec co się tyczy ksiąg samych, ma on pod ręką jakiś rodzaj wykazu poborów wojskowych za Bolesława Chrobrego, i powiedziawszy ile Poznań, Gniezno, Władysław i Gdecz dostarczały piechoty lub jazdy, daje do zrozumienia, że jest w stanie podać takież daty z całéj rozległéj Polski (5). Ma polskie roczniki z których całkowite ustępy wciela w swoję kronikę; ma pieśni o Bolesławie Chrobrym; ma żywot i cuda ś. Wojciecha, z których, jako odnoszących się wprost do zdarzeń kraju naszego, wyjmuje gdzie nieco; ma kronikę Miorsza, z któréj rzecz o Popielu przytaczając, zagartuje ją w ogólne wyrażenie: *narrant seniores antiqui* (6), bądź że prócz Miorsza zna jeszcze innych opowiadaczy tego zdarzenia, bądź też dlatego, że w kronice téj opowiadanie zdarzeń, i zarazem rozciąglejsze zastanowienia się i rozumowania nad niemi, uważał za rodzaj dyalogu, w którym dwaj dostojnicy (seniores antiqui) rozmawiają. Pielgrzymkę Krzywoustego w towarzystwie księży po Węgrzech i Polsce przedsiębraną, mianowicie do św. Idziego i do grobu św. Stefana i św. Wojciecha, opowiada jakby świadek naoczny.

Wielkie zaiste byłyto zasoby i ułatwienia do skréślenia dokładniejszego niż dotąd dziejów Polski; użył ich Gaweł zręcznie do swego celu, którego na włos z oczu nie spuszczał, nie z takiém wszakże, jakby to być mogło i jakbyśmy sobie dziś życzyli dla całkowitéj historyi polskiéj pożytkiem. We wstępie do dzieła powtarza dwukrotnie, że zamierzył opisać czyny Bolesława Krzywoustego, a przez wzgląd na niego podać oraz *niektóre* sprawy jego przodków (7). Nie zamilczał też o głównéj do tego przedsięwzięcia pobudce: robi to dlatego szczególniéj, że Bolesław z łaski Bożéj, na prośby św. Idziego narodzon, z jego też przy-

(1) Str. 122, 255, 256. (2) Str. 181. (3) Str. 141, 168.
(4) Paucissimis hoc rescientibus; str. 309.
(5) Str. 53 Uważać tu należy, że w dyecezyi, któréj biskupem był Paweł, Włoch rodem, a pomieniony Michał kanclerzem, okazuje się kronikarz nasz najznajomszym. (6) Str. 26. (7) Str. 13.

czyny, jak wierzym, szczęśliwy jest zawsze i zwycięzki (1). Jakoż iskrzącą myślą z któréj wychodzi, i zkąd promienie na całe dzieło rozprowadza, jest cudowne Bolesława na prośby mnichów św. Idziego (2) poczęcie. Pięciu biskupom i Michałowi kanclerzowi poświęca piérwszą swą księgę: „bo wy, powiada, byliście świadkami cudu i patrzycie na świetne czyny cudownie narodzonego" (3). Następuje rymowany epilog, którego treścią jest dość szczegółowy opis tegoż cudu. Piérwszą znowu księgę zamknął autor obszernym, dwurozdziałowym opisem tychże cudownych narodzin, a jeszcze i na początku drugiéj księgi napomknął, że Bolesław narodził się w dzień św. Szczepana, a matka jego wnet po połogu umarła (4).

Główny tedy zamiar opisywania czynów Bolesławowych, oraz wstręt do czasów bałwochwalskich, nie dozwalały mu zagłębiać się w naszę przeszłość; a jeśli z czasów dawniejszych co rozpowiada, czyni to, jak sam wyznaje, z pośpiechem: mnóstwo wypadków wypuszczając lub przekręcając rzecz samą, jak np. w powiastce o Popielu. Stare Lęchitów dzieje całkiem niemal pomija, nie dlatego, jakoby ich nie uznawał zgoła, i miał za bajki; lecz że wychodzi z zasady powszechnie niemal przez mnichów przyjętéj, a sformułowanéj przez bremeńskiego Adama, który powiada: „inutile est acta non credentium scrutari" (5). Powtarza ją też nasz Gaweł, mówiąc: „quos error et idolatria defedavit memorare negligamus" (6). Ale genealogią swego bohatéra wypuścić nie godziło się; wzgląd tedy na tę genealogią zaprowadził go mimowolnie, acz na króciuchno, w czasy dawniejsze: a tu chrześciańska o Piaście legenda, którą jeszcze Miorsz czysto, bez najmniejszéj przyczepki do miejscowości nadwiślańskiéj rozpowiedział, uległa zmianie u Gawła i jego wielkopolskiego towarzysza: kanclerza Michała, i po raz piérwszy wyrzeczono głosem nieledwie urzędowym, że Popiel w Gnieznie miał swą stolicę, i że tu gdzieś odbywały się postrzyżyny syna Piastowego, Semowita (7). Tego nie poważył się wyrzec Miorsz, nie dlatego, jakoby sam dokła-

(1) Str. 14. (2) Tychże mnichów zowie mnichami św. Gawła kronikarz szlązki: Ad Abbatem et *conventum s. Galli* ymaginem auream infantuli transmisit Wladislaus. Stenz. SS. rer. Siles. I. 12. I te więc kościoły i klasztory, które Władysław Herman w Polsce zakładał, zwane były raz św. Idziego, drugi raz św. Gawła klasztorami. (3) Str. 6. (4) Str. 131. (5) Pertz. § VII. 305. (6) Str. 26. (7) Erat namque in civitate Gneznensi dux nomine Popel; str. 19.

dniéj rozróżniał miejscowość naddunajską od nadwiślańskiéj; lecz że trzymał się ściśléj swych źródeł, a te przy Popielu i Piaście nic zgoła o Gnieznie lub jeziorze Gople nie spominały. Od Piasta przemyka się szybko ku Mieczysławowi nasz Gaweł, wyraźnie tylko cel genealogiczny ścigając. Chociaż atoli tylko po kilka słów rzucił o Ziemowicie, Leszku i Ziemisławie, widać z nich jednak, że miał gruntowne o tych książętach wiadomości, i tém bardziéj użalać się możem w tém miejscu na jego małomówność. Czasy Bolesława Chrobrego zajęły mocniéj jego uwagę: z nich wydobywa wzory dla swego bohatéra, Krzywoustego, którego dzieckiem Marsa nazywa (1), i mozolnie pojedyncze rysy po rozmaitych księgach rozrzucone wyszukując (2), nakreśla wielostronny i nader cenny obraz stanu Polski za tego króla. O Mieczysławie I i Kazimierzu znowu pobieżnie tylko gdzie nieco natrąca, chociaż ich panowania obfite były w wypadki. Postrzegł się późniéj i dodał w drugiéj redakcyi swojéj kroniki opis wojny Kazimierzowéj z Pomorzanami, oświadczając wyraźnie, że wié nierównie więcéj czynów tego króla, ale zamilcza o nich z przyczyny pośpiechu. Jeszcze usilność wyszukiwania wzorów do naśladowania dla swego bohatéra skłania go podnieść niektóre szczegóły z domowego życia Bolesława Śmiałego, i zajrzéć nieco troskliwiéj w charakter tego króla; wszystko inne, począwszy od Mieczysława Igo, aż do urodzin Krzywoustego, niewiele różnemi od rocznikarzy słowami, trochę tylko rozwlekléj i z opuszczeniem lat opowiedziawszy, zamknął swą piérwszą księgę cudem św. Idziego. W dalszych dwóch księgach już się głównie swoim bohatérem zaprząta, kilka tylko początkowych rozdziałów księgi drugiéj pamięci ojca jego poświęciwszy. W tych dwóch ostatnich księgach jest główna zasługa Gawła: tu on jest nieocenionym pisarzem, umiejącym zajrzéć w najważniejsze szczegóły publicznego i domowego życia narodu, które z mniejszą wprawdzie od Wincentego zręcznością pisarską, ale z nierównie większém przejęciem się obowiązkami historyka nakreśla.

Skromny wreszcie ten mnich, zrobiwszy wszystko co wzięłość zakonu jego podnieść mogło w oczach narodu, zamilcza zupełnie swe imię; chce aby dzieło jego, jakiekolwiekby miało za-

(1) Per puerum Martis quem chalamo pingimus, str. 138; toż samo str. 154. (2) Quid nocet ociosis lectoribus hoc audire, quod *vix* potest *cum labore* historiographus invenire; str. 74.

lety, znane było tylko pod imieniem biskupów polskich i Michała kanclerza (1), którym je poświęca, zastrzegając klasztorowi swojemu jedynie względy królewskie i materyalny pożytek, o który się kilkakrotnie przymawia (2). Czuje on, że historya podnosi sławę książąt i narodu (3); ale nie kładzie tego za cel historyi. Wié, że ona powinna być mistrzynią rządzących, i kasze się na to, aby książęta mogli znaleźć wzory dla siebie w jego kronice (4). Pojmuje, że jako malarz obok farb jasnych nie zaniedbuje dodać cienia dla schwycenia prawdy, tak też sama prawda jest celem historyi (5): ją głównie ściga i z tém wyraźnie się oświadcza (6). Dlatego biskup Stanisław, szczególnym w pismach księżych wyjątkiem, podpadł tu ściśle historycznemu sądowi; dlatego zbrodzień stanu, Skarbimir, znalazł tu należyte uznanie swych zasług, a i o samym królu, dla którego księgi te były pisane, powiedziano tu, acz w tonie usprawiedliwiającym, zawsze jednak dobitnie, że popełnił *zbrodnię* względem brata swego Zbigniewa (7). Tak wykonawszy swe dzieło, pociesza się autor tą myślą, że chociażby takowe nie odpowiedziało wysokiemu powołaniu historyi, da przecież innym materyał do głębszego i dowodniejszego jéj traktowania (8). Nie mylił się potulny mnich: między pomnikami jakiemi wiek XIIIty ubogacił historyą, zajmuje jedno z miejsc piérwszych jego kronika.

Dwie jéj redakcye.

Z łatwością pisał Gaweł, i ta sama łatwość, oraz chęć dokonania jak najprędzéj dzieła, które względy królewskie dla całego

(1) Ne viles persone videamur vanitatis fimbrias dilatare, codicellum non nostro decrevimus, sed vestris nominibus titulare, quocirca laudem hujus operis et honorem hujus patrie principibus ascribamus; str. 8.

(2) Str. 8, 9, 237, 243. (3) Str. 129, 241, 243.

(4) In exemplum regni gubernatoribus; str. 100. Ad imitationis exemplum successoribus intimabo; str. 105.

(5) Speciosis coloribus, pro veritate operis, niger color inseratur; str. 126 i następ.

(6) Hoc recitamus ut veritatem hystorie teneamus; str. 105.

(7) Crimen lamentabile; str. 37. Wyrażenie to o Bolesławie jest tém ostrzejsze, że Zbigniew, jak się dowiadujemy z Kozmy pragskiego (III. 245, wyd. Pelzla i Dobrow.) był tylko oślepiony z rozkazu króla polskiego; a byłato w owych wiekach zwyczajna kara za zbrodnię stanu.

(8) Ex his saltem materiam tractandi profundius et argumentosius habeatis; str. 238.

zakonu zaskarbić miało, sprawiała, że jak nic zapuszczał się w czasy dawniejsze, tak też i ze zdarzeń spółczesnych wymykało się niejedno jego uwadze. Poprawiał później co do tych ostatnich i dodawał to, co przez niebaczność opuścił. W rękopismach, jakie nam są dziś znane jego kroniki, dają się dostrzedz dwie różne jéj redakcye. Różnice ich są bardzo znaczne, a dokładne wytknięcie ich ważne jest ztąd, że rzuca bliższe światło tak na sposób, jakim ta kronika powstawała, jako też i na czas jéj pisania. Piérwsza redakcya przechowała się w rękopiśmie Szamotulskiego, przepisywanym z jakiegoś bardzo starego kodexu; ale przepisujący zeszpecił ją wtrętem o ś. Stanisławie i niektóremi przypadkowemi opuszczeniami. Dwa inne rękopisma: Sędziwoja i pargaminowy Zamojskich, podają nam text ostatniéj redakcyi.

Piérwsza księga według redakcyi piérwszéj składała się z 30 rozdziałów, które miały wprawdzie nadpisy tu owdzie, ale liczbowane nie były. Jakoż stałego liczbowania rozdziałów nie widać nawet i w pargaminowym rękopiśmie Zamojskich. Nie było tedy w téj księdze ani rubasznéj powiastki o Chrobrym, jak swoim towarzyszom cięcie w kijowską bramę złotą tłumaczył; ani powiastki o Kazimiérzu, jak cesarzowi i matce swojéj odwodzącym go od powrotu do Polski, odpowiedział formułką prawniczą; ani nakoniec opisu bitwy Kazimiérza z Pomorzanami, którą dziś w rozdziale 21 czytamy; a rozdział następny zaczynał się inaczéj. W rozdziale też 17tym zatrzymane były na początku słowa rocznikarza: *anno domini MXXV post mortem Boleslai*, tak samo, jak to czytamy i w Miorszu; dopiéro w drugiéj redakcyi wyrzucił Gaweł rok, i zaczyna sposobem opowiadawczym: *Postquam igitur* i t. d. Czy w rozdziałach 27 i 28 od ostatniéj redakcyi różnicy jakiéj nie było, tego z powodu wtrętów, jakim rękopism Szamotulskiego w tém miejscu uległ, powiedzieć dziś nie możemy. Druga księga, w któréj, według ostatniéj redakcyi zawiéra się 50 rozdziałów, miała ich według redakcyi piérwszéj zaledwie trzydzieści kilka. Nie było w niéj rozdziału 9 o pacholęctwie Bolesława, lecz autor mówił w niéj odrazu o wyprawie jego do Moraw, przedsięwziętéj w towarzystwie Sieciecha; dopiéro w ostatniéj redakcyi wtrącił Gaweł ten rozdział, a to pociągnęło za sobą zmianę wyrazów *pueri Boleslai* w rozdziale następnym. Jakoż w rękopiśmie Sędziwoja i Zamojskich stoi zamiast tych wyrazów, zaimek *ejus*. Nie było przepowiedni o Bolesławie, którą

dziś czytamy w rozdziale 20; były nakoniec przemilczane ważne wypadki między rozdziałem 20 a 34, mianowicie wyprawy przedsiębrane na Pomorzan i zwycięztwa Skarbimirowe (1); oraz między rozdziałem 43 a 48. Mógł wprawdzie jeden lub drugi z tych rozdziałów wypuszczony być jedynie przez niedbałość Szamotulskiego kopiisty, jakoż zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że rozdział 32 i 33, jakowymś przypadkiem były opuszczone (2); że jednakże zachodziły w téj księdze ważne jakieś opuszczenia z winy samego autora, to widać najprzód ze słów jego, iż stopniowo zasięgał coraz więcéj wiadomości u drugich:

Neque ceptum iter bene cognitum habuimus
Sed per illos qui novernat *paulatim* inquisivimus.

a daléj z tego oświadczenia, że przyrzeka autor dodać to, w czém się okazał nieświadomym:

Et *addamus* si quid nimis ignoranter diximus.

Trzecia księga według redakcyi piérwszéj urywała się z rozdziałem 15, zakończonym temi słowami: *quia cesar cum satis copiosa confusione ad propria remeavit.* Jakoż, że tym rozdziałem istotnie trzecia księga pierwiastkowo kończyła się, na to mamy uderzające dowody:

a. Zwykł autor w rymowanych epilogach, które w końcu przedmowy do każdéj księgi dodaje, natrącać o treści saméjże księgi. Tak w epilogu księgi piérwszéj mówi o cudzie ś. Idzie-

(1) Tu zasługuje na uwagę następująca okoliczność: Skarbimir wojewoda krakowski, wierny towarzysz wypraw Krzywoustego, i bez wątpienia jeden z piérwszych wojowników swojego czasu, wpadł około roku 1117 w podejrzenie u króla, jakoby chciał sięgać po koronę: jakoż wnet został schwytany i oślepiony (Długosz Hist. IV, 409). W drugiéj księdze Gawła według piérwszéj redakcyi nie ma nic o Skarbimirze; ale w redakcyi późniejszéj poświęcone mu są wyłącznie dwa rozdziały, mianowicie 30 i 31, z tym jednakże dodatkiem, który namacalnie wskazywać się zdaje na przygodę z roku 1117: „hoc non ideo de Scarbimiro recitamus *ut eum in aliquo suo domino conferamus*; sed ut veritatem hystorie teneamus". To uniewinnianie się autora zdradza oczywiście świadomość tego, co między Skarbimirem a królem około roku 1117, lub może już i wcześniéj trochę zachodziło. Nie są więc te rozdziały przypadkiem w rękopiśmie Szamotulskiego opuszczone; ale nie znajdowały się wcale w piérwszéj redakcyi, i dopiero w kilka lat późniéj zostały dorobione.

(2) Rozdział 34 w téj księdze zaczyna się od słów „*Hoc eventu*".... które wskazują wyraźnie na zasadzkę Pomorzan, opisaną w dwóch poprzednich rozdziałach, przez kopistę Szamotulskiego opuszczonych, jak się zdaje, przypadkiem.

go, i właśnie opisem dwurozdziałowym cudu tego zamyka się ta księga. Owoż w epilogu księgi trzeciéj powiada tylko o wyprawie pomorskiéj i o wojnie z Niemcami, i właśnie opis tych dwu wojen zawiéra się w piętnastu pomienionych rozdziałach. O dalszych wyprawach Bolesława na Pomorzan, o spustoszeniu Prus, o zgodzie Zbigniewa z Bolesławem, nakoniec o podlaniu się Nakła Polakom, nie napomknięno ani jedném słowem w epilogu: wniosek więc oczywisty, że to są dodatki późniejsze.

b. Począwszy od rozdziału 16 zachodzi różnica w opowiadaniu taka, jaka zwykła zachodzić w pismach jednego autora, znacznym przeciągiem czasu przedzielonych. Do końca rozdziału 15 opowiadanie jest płynne, widać w niém pewien rodzaj pośpiechu, który nie pozwala autorowi rzecz raz już powiedzianą, temi samemi słowami powtarzać. Przeciwnie w rozdziale 15 i następnych opowiadanie jest nierównie rozwlekłejsze, nie ma téj żywości, co poprzednie; i gdy już w rozdziale 15 powiedział autor o cesarzu, że powrócił: *pro tributo nihil portans nisi cadavera*; powtarza i w 16 rozdziale, który jedynie dla opisania śmierci Świętopełkowéj wtrącił: *cesar mortuorum cadavera pro tributo reportavit.* Tymto rozdziałem kończyła się kronika Gawła w owym rękopiśmie, z którego Mateusz, i Wincenty syn Kadłubka, użytkowali.

c. Zakończenie rozdziału 15 w rękopiśmie Szamotulskiego, a w rękopiśmie Sędziwojowym i Zamojskich nie jest jednakie; a dodatek, jaki tu w rękopiśmie Szamotulskiego znachodzim, aczkolwiek zawarty w kilku słowach tylko, nadaje jednak pewne zaokrąglenie opowiadaniu. Dopełniając później autor swoję kronikę, musiał owe zaokrąglenie odrzucić, a natomiast położyć słowa, które łączą osnowę rozdziału tego z rozdziałem następnym (1). Ta okoliczność stwierdzona powyższemi rękopismami okazuje dostatecznie, że rozdział 16 i następne, nie były przypadkiem lub téż niedbałością kopiisty Szamotulskiego opuszczone; lecz, że tu najpiérw kończyło się opowiadanie autora. Jakoż stara już ręka dołożyła w tém miejscu na owym rękopiśmie te słowa: *hucusque Gallus.*

(1) Et injuriam in Suatopole et illam et aliam vindicavit; str. 281.

Czas, w którym ta kronika pisana.

Żadna okoliczność z życia naszego Gawła nie jest udowodniona mocniéj jak rok, w którym pisał swoję kronikę, zwłaszcza dwie piérwsze jéj księgi. Ztémwszystkiém niektórzy pisarze spominając o nim, wolą wskazywać na niepewny rok jego śmierci, niż na udowodnione lata jego pisarstwa. Schlözer robi go późniejszym od Nestora; Palacki późniejszym od Kozmy pragskiego (1). Krótkie zastanowienie się okaże, że i jeden i drugi myli się. Piérwszy z nich utrzymuje, jakoby Gaweł żył aż do roku 1138 (2). Gdzieby atoli tę wiadomość wyczytał lub na jakiéj kombinacyi oparł ją, tego zgoła nam nie powiada.

Puszczał Gaweł w świat pojedynczo księgi swojéj kroniki, opatrzywszy każdą z nich listem poświęcającym, i epilogiem rymowym, każdy takowy epilog zwykle wtedy, gdy już sama księga była wygotowana, dokładając. Piérwszą, zawierającą dzieje od czasów najdawniejszych aż do narodzin Krzywoustego, poświęcił Michałowi kanclerzowi i pięciu biskupom, z których Maurus krakowski obrany został roku 1109, a Paweł kruszwicki umarł w roku 1110. Napisana więc była ta księga w końcu roku 1109 i w tymże jeszcze roku, lub najdaléj na początku 1110 ogłoszona. Drugą księgę zawierającą dzieje spółczesne, mianowicie ostatek panowania Władysława Hermana i panowanie Krzywoustego, aż po klęskę Czechów i Zbigniewa, przypadłą około roku 1108, poświęcił temuż jeszcze kruszwickiemu biskupowi Pawłowi, wraz z kanclerzem Michałem. Ta więc księga napisana i ogłoszona była w piérwszéj połowie roku 1110 przed śmiercią Pawła, przypadłą w tymże roku. Kiedyż napisał księgę trzecią?

W epilogu księgi piérwszéj zapowiedział był autor, że się wraz do następnéj księgi zabiéra (3), a skutek okazał, jak dalece uiścił się z téj zapowiedzi. W epilogu księgi drugiéj znachodzim podobneż napomknienie, że wnet do pisania reszty przystępuje (4); a ta okoliczność zgodnie z okolicznościami innemi, mianowicie że rękopism Szamotulskiego na rozdziale 15 i na zdarzeniach

(1) Geschicht. v. Böhm. I. 341, uwag. 143.
(2) Nestor Russ. Ann. I. 26.
(3) De cujus (Boleslai) gestis scribere, jam tempus est; str. 12.
(4) Hac (die) expleta, de futura satis cogitabimus; prosequamur quod interposuimus; persolvamus qui frequenter supra titubavimus; str. 130.

z r. 1109 kończy się, a autor pisząc go nie wiedział jeszcze o śmierci Świętopełka, jasno dowodzi, że Gaweł i księgę trzecią kroniki swéj, jeszcze w r. 1109 napisał, i poświęcając ją kapelanom królewskim i całemu duchowieństwu, z zaleceniem, iżby czyny Bolesława opisane w niéj po dworach i szkołach rozczytywali, osiągnął cel do którego z takim pośpiechem zdążał; i tém śmielej mógł liczyć na nagrodę, o którą się w poświęceniu téj księgi przymawia. W przeciągu tedy półtora roku, mianowicie między połową 1109 a końcem roku 1110, napisane były wszystkie trzy księgi Gawła kroniki, mniéj więcéj w tym oto kształcie, jak nam je rękopism Szamotulskiego i wydanie gdańskie przedstawia: poprzedziło więc o lat kilka kronikę Nestorową, a o lat kilkanaście kronikę Kozmy pragskiego.

Dopełnianie kroniki i śmierć Gawła.

Krzywousty był bezustannie czynny, i po sławnéj wojnie z Niemcami przedsiębrał nowe wyprawy: miał tedy nasz mnich wątek do ciągłych uzupełniań swojéj kroniki, i takowe niejednorazowe uzupełniania, widzimy dziś w jedénastu dalszych rozdziałach III księgi. Mateusz herbu Cholewa użytkował, jak widzim, z jakowegoś rękopismu, który na 16 rozdziale III księgi kończył się; inaczéj byłby napomknął choć cokolwiek o znakomitych zwycięztwach Krzywoustego, opisanych w 10ciu dalszych rozdziałach Gawła kroniki. Najzupełniejsze jéj rękopisma: Sędziwoja z Czechelu i pargaminowy Zamojskich, kończą się na poddaniu się Nakła, przypadłém r. 1119, i wszelkie uboczne w téj kronice napomknienia, nie wybiegają poza tenże rok 1119 (1). Słusznie więc zawnio-

(1) Pielgrzymka Krzywoustego do św. Idziego i do grobu św. Stefana w Węgrzech, tudzież do grobu św. Wojciecha w Gnieznie, zaszła wnet po oślepieniu Zbigniewa około roku 1116. Mamy na to wyraźne świadectwo Gawła, który mówi, że Bolesława przyjmował ze czcią w swym kraju Koloman (str. 310), zmarły, jak wiadomo, roku 1118. (Chron. Poson. ap. Endlicheri Rer. Hung. Mon. str. 56). Prócz tego sam Gaweł mówiąc o pokucie Krzywoustego, zowie go jeszcze młodzianem (str. 308); jakoż około tego czasu miał Krzywousty niespełna lat 30. W dziesięć lat późniéj zwać go *delitiosum juvenem* byłoby niedorzecznością. Długosz nie dał należytéj baczności na słowa Gawłowe; popełnił więc dwojaki błąd: każe bowiem Krzywoustemu podróżować do grobu św. Idziego we Francyi, gdy tymcza-

skować, że jakoś wkrótce po tym roku, zaskoczyła autora śmierć, która mu nie dozwoliła nietylko czyny dalsze Krzywoustego opisać, ale nadać nawet dziełu swemu pewne zaokrąglenie, bo rozdział ostatni urywa się nagle bez żadnego dobitniejszego przestanku.

sem Gaweł mówi tylko: „ad s. Egidium" (str. 309), a wiemy, że sławne opactwo św. Idziego było i w Węgrzech, w Szimegu, założone przez króla Władysława (Mabillon V, 128). Drugi nierównie większy błąd popełnił Długosz kładąc tę pielgrzymkę do Węgier pod rokiem 1129, i wbrew świadectwu Gawła utrzymując, że nie Koloman, lecz Stefan przyjmował uroczyście Krzywoustego w swym kraju. Naruszewicz jak zwykle tak i tu poszedł za Długoszem; nam wypada się trzymać w tej mierze Gawła nietylko spółczesnego, ale podobno naocznego nawet świadka owéj pielgrzymki, bo mówi: „Vidimus enim talem virum, tantum principem, tam deliciosum juvenem primam karinam jejunantem, assidue cinere et cilicio humi provolutum" l. c. str. 308.

OŻENIENIE KRÓLA WUKASZINA.

(Z GMINNYCH POEZYJ SERBSKICH).

Pismo pisze król Wukaszin Żura,
W białym Skadrze nad rzeką Bojaną,
Posyła je do Wojwodowiny,
Do białego grodu Pirlitora (*),
Pirlitora, koło Durmitora,
Widosawie, Momezilowéj żonie,
Tajnie pisze i tajnie posyła;
W piśmie zasie tak do niéj przemawia:

— „Widosawo! żono Momezilowa!
Co tam robisz w swych lodach i śniegach?
Poglądniesz-li z grodu ponad siebie,
Nic pięknego nie ujrzy twe oko,
Jeno białą górę Durmitora,
Wiecznie śniegiem i lodem pokrytą,
Wpośród lata zarówno jak w zimie.
Poglądniesz-li na dół z grodu swego,
Tam zmącona bieży rzeka Tara,
Rwąc kamienie nadbrzeżne i drzewa;
Na niéj znizkąd ni mostu, ni łodzi,
Wkoło same bory a skaliska.
Otruj oto wojwodę Momezila,
Bądź go otruj, bądź téż mnie go wydaj;
Sama przyjdź do mnie na przymorze,
Do białego Skadru nad Bojanę.
Za małżonkę wierną pojmeć sobie,
I panować będziesz tu królową:
Prząść jedwabie na złote wrzeciona,
Prząść jedwabie, na jedwabiach siadać,

(*) Ściany grodu tego dotąd jeszcze stoją.

W aksamitach, w drogich złotogłowiach,
W szczerozłotych chodzić będziesz strojach.
A cudnyż to ten Skadr nad Bojaną!
Kiedy spojrzysz z grodu mego w górę,
Wkoło wzgórza widać winogradem,
Oliwami, figami porosłe.
Poglądniesz-li z grodu mego na dół,
Tam dojrzewa bielutka pszenica,
Przy niéj łąka zalega kwiecista,
Środkiem ciecze zielona Bojana:
W niéj się pławią wszelkie ryb rodzaje;
Możesz jeść je, skoro wola twoja."

Momczilowa pisanie przeczyta,
I wnet drobny liścik odpisuje:

— „Panie mocny! Wukaszinie królu!
Nie tak snadna rzecz wydać Momczila,
Ani wydać, ni go otruć snadna.
Jest u niego siostra Jowrosima,
Ona jemu jedzenie gotuje,
I kęs każdy przed nim pokosztuje.
Jest u niego dziewięć rodnych braci,
I po bracie najstarszym synowców
Dwanaścioro;—ci mu wino leją,
I z każdego przed nim kubka piją.
Ma Momczilo konia Jabuczila (*),
Jabuczila, konia skrzydlatego,
Kędy zechce przelecieć nim może.
Ma Momczilo szablę uroczytą,
Nie boi się nikogo, prócz Boga!
Lecz słuchaj mnie, Wukaszinie królu!
Zbierz ty tylko mocne wojsko sobie,
I ku równém ciągnij z niém jeziorom,
I za górą zasadź się zieloną.
Momczilo ma zwyczaj osobliwy:
Każde rano we świętą niedzielę,
Wstawszy, jedzie na łów nad jeziora,
Dziewięcioro biorąc z sobą braci,
I po bracie synowców dwunastu,
I czterdziestu towarzyszów z grodu.
Gdy więc będzie niedziela przyjść miała,
Ja koniowi spalę jego skrzydła,
Krwią zaś słoną namażę szablicę,
Że mu z pochwy wyciągnąć się nie da:
Tak podołasz pokonać Momczila."

(*) Jabuczil, tyle co jabłkowaty: koń bajeczny skrzydlaty; skrzydła jego przecie nie były zawsze widziane, jeno w pewnym czasie i potrzebie prędkiego lotu je rozwijał.

Kiedy króla dojdzie to pisanie,
A przeczyta co w pisaniu stało,
Wielce luba powieść mu to była.
Wnet się zbiera mnogie wojsko mężne,
Prowadzi je na Wojwodowinę,
Przy zielonéj zasadzi się górze.

W wieczór zasie przed świętą niedzielą,
Wszedłszy Momezil do łożnicy swojéj,
Układnie się do miękkiéj pościeli.
Za niedługo przyjdzie żona młoda,
Lecz do miękkiéj nie chce ledz pościeli,
Jeno w głowach mężowych łzy roni.
Spyta się jéj Momezil wojewoda:
— „Widosawo! młoda żono moja!
Jakaż ci to niedola tak sroga,
Że u głów mych płaczesz łzy rzewnemi?"

Widosawa młoda odpowiada:
— „Drogi panie! wojwodo Momezilu!
Mnieć się żadna nia stała niedola,
Lecz słyszałam-ci ja wieść o dziwie,
Wieść słyszałam, wszak gom nie widziała,
Jako ty masz konia Jabuczila,
Jabuczila, konia skrzydlatego;
Nie widziawszy zaś koniowych skrzydeł,
Wierzyć w prawdę nie mogę powieści,
A boję się, że cię stracić mogę."

Mądrym słynął Momezil wojewoda,
Słynął mądrym, przeć oszukać dał się,
I małżonce pocznie rozpowiadać:
— „Widosawo! wierna moja żono!
Troskę twoję snadno uspokoję,
Że koniowe widzieć możesz skrzydła.
Skoro piérwsze zapieją koguty,
Zszedłszy na dół, bież do nowéj stajni;
Wtedy skrzydła Jabuczil roztoczy,
A tak snadno przyjrzéć im się możesz."

Rzekłszy, legnie, a uśnie snem twardym.
Śpi Momezilo, ale nie śpi żona,
Jeno w miękkiém łożu nasłuchuje,
Piérwsze kury rychłoli zapieją?
A jak skoro po piérwsze zapiały,
Mołodyca wyskoczy z pościeli,
Ognia znieci i zapali świecę;

Weźmie z sobą łoju a tłustości,
I do nowéj bieży prosto stajni.

Szczerą prawdę powiedział Momezilo:
Jabucziło skrzydła swe roztoczył,
Aż mu zwisły po same kopyta.
Tu mu ona skrzydła namazała,
Namazała łojem i tłustością,
Wreszcie świecą skrzydła zapaliła;
Tak spaliła skrzydła Jabuczila.
Co do szczętu ogniem nie zgorzało,
To popręgiem silnie skrępowała.

W też się tropy żenie do szatnicy,
Pochwyciła szablę Momezilową;
Jasny brzeszczot słoną krwią pordzawi,
Zaś do miękkiéj ulegnie pościeli.

Skoro z jutrem zorza zaświtały,
Wstaje rano Momezil wojewoda,
I tak mówi k' żonie Widosawie:
— „Widosawo! wierna żono moja!
Dziś mi w nocy śnił się sen podziwny:
Że się mglista przywaliła chmura,
Od przeklętéj ziemi Wasosewy,
I legnęła kołem Durnitora.
Przez tę chmurę ja się przedzierałem,
Z miłych braci moich dziewięciorgiem,
I z dwunastu po bracie synowcy,
I z czterdziestą towarzyszy z grodu.
W téj mgle, droga! rozłączyliśmy się;
Rozłączywszy, nie znaśli się więcéj.
Bóg wie—nic to dobrego nie wróży!"

Widosawa, żona jego na to:
— „Nie lękaj się hospodzie mój drogi!
Bohatyru dobremu, sen wszelki
Dobre niesie. Sen mara, Bóg wiara."

Wybrawszy się Momezil wojewoda,
Zstąpi z białéj wieży swojéj, na dół,
Gdzie go dziewięć lubych czeka braci,
I po bracie synowców dwunastu,
I czterdziestu towarzyszy z grodu.
Żona sama konia przyprowadza.
Tak na dzielne siędą wszyscy konie,
I odjadą na łów ku jeziorom.

Kiedy byli gładkich jezior blizko,
Silne wojsko zewsząd ich oskoczy.
Skoro wojsko ujrzawszy, Momezilo
Za swą szablę chwyci się do boku;
Ale darmo! wyciągnąć nie może,
Jakby była do pochew przyrosła.
Tu zawoła Momezil wojewoda:
— „Słyszycie-li bracia moi drodzy!
Zdradziła mnie suka Widosawa!
Dajcie mi-no szablę co najlepszą."

Bracia prędko szablę mu podali,
Podali mu szablę co najlepszą.
Momezil zasie tak do braci rzecze:
— „Słyszycie-li bracia moi drodzy!
Wy uderzcie na wojsko po skrzydłach,
Ja sam wojsku do środka uderzę."

Miły Boże! byłożto tu dziwu!
Byłoż komu popatrzéć się na co!
Jako siecze Momezil wojewoda,
Rąbiąc sobie drogę popod górę.
Koń Jabuczil więcéj jeszcze zwali,
Niż Momezilo ostrą szablą zetnie.
Aż wtém srogi cios na niego spadnie:
Gdy się zwracał ku Pirlitorowi,
Dziewięć wronych drogę mu zabiegło,
Ale brata na nich ni jednego!.....

To gdy ujrzy wojewoda Momezilo,
Żal mu ściśnie bohaterskie serce,
Żal okrutny po rodzonéj braci.
Z żalu białe omdlały mu ręce,
Że już więcéj szablą ciąć nie może.
Nagli tedy konia Jabuczila,
Bije nogą i ostrogą bodzie,
By z nim leciał na gród Pirlitora.
Lecz Jabuczil poleciéć nie może.
Wojewoda Momezil kląć nań pocznie:
— „Niech cię wilcy pożrą, Jabuczilu!
Żartem dotąd zawzdyśmy latali,
Bez potrzeby, jeno ze swywoli;
Dziś w potrzebie poleciéć mi nie chcesz."

Lecz Jabuczil rżeniem odpowiada:
— „Mój hospodzie! wojewodo Momezilu!
Ani klnij mnie, ani bódź mnie próżno;

Dziś ja z tobą polecieć nie mogę:
Bodaj zabił Bóg twą Widosawę!
Ona skrzydła mi moje spaliła,
A co ogień do szczętu nie spalił,
To popręgiem silnie skrępowała.
Sam radź sobie, kędybyś ujść zdołał!"

To słyszący wojewoda Momezilo,
Łzami zalał bohaterskie lice:
Skoczył z konia swego Jabuczila,
Trzykroć skoczył, do grodu doskoczył,
Lecz zawarte znalazł grodu wrota,
A zaparte zapory silnemi.

Tu się w krutéj widząc Momezil doli,
Wołać pocznie k' siostrze Jewrosimie:
— „Jewrosimo! miła siostro moja!
Puść mi z muru na dół sztukę płótna,
Żebym po niém mógł się na gród dostać."

Siostra z płaczem bratu odpowiada:
— „O mój bracie! wojewodo Momezilu!
Jakże ja ci z muru płótno spuszczę,
Gdy mi żona twoja Widosawa,
Ma bratowa, twoja niewiernica,
Kołem kłody włosy obwiązała."

Wszakże siostra serca litośnego,
Użali się brata rodzonego:
Zasyczała jak gad rozdrażniony,
I ze wszystkiéj targnie głową mocy,
Aż wytargła wszystkie włosy z głowy,
Kołem kłody zostawiła włosy;
Sama sztukę płótna pochwyciła,
Koniec trzyma, koniec na dół spuści.

Momezilo się sztuki płótna imie,
I po płótnie na mur grodu pnie się.
Już mu tylko na mur było wskoczyć,
Gdy niewierna nadbieżała żona,
W ręku szablę niosąc wyostrzoną;
I nad dłońmi płótno mu przekroi.

Tak Momezilo z szczytu murów spadnie!
Spadnie na dół, królewskim wojakom,
Na ich miecze, na kopije wysokie,
Na oszczepy, a na buzdygany.

Wtém też sam król Wukaszin nadbieży:
Ostrą kopiją swą w niego uderzy,
Przebodzie mu nawskrós żywe serce.

Tu przemówi Momezil wojewoda:
— „Odpuszczam ci, Wukaszinie królu!
Lecz ty nie ślub sobie Widosawy,
Widosawy mojéj niewiernice:
Bo i ciebie jak mnie ona zgubi.
Jako mnie dziś dla ciebie zdradziła,
Dla drugiego jutro ciebie zdradzi.
Pojmij oto siostrę moję miłą,
Moję siostrę miłą Jewrosimę,
Mnie równego porodzi ci syna."

Tak przemawia Momezil wojewoda.
Gdy tak rzeka, życie zeń ucieka,
Mówić skończy, z duszą się rozłączy.
Skoro skonał Momezil wojewoda,
Otwarły się oścież grodu wrota,
Widosawa, zdrajczyni wychodzi,
Wukaszinu królowi naprzeciw.
Zawiedzie go do grodu białego,
Posadzi go poza stół złocisty,
Częstuje go winem a gorzałką,
A wszelkiemi łakociami pańskiemi.

Potém zasie idzie do szatnicy,
Wynosi mu szaty Momezilowe,
Momezilowe szaty i oręże.
A tu, patrzcie dziwu niezwykłego!
Co Momezilu po kolana było,
Wukaszinu po ziemi się wlecze;
Co Momezilu słuszny kołpak bywał,
Wukaszinu na ramiona spada;
Co Momezilu ciasne skórznie były,
Do jednego król nóg obie wzuje;
Co Momezilów złoty pierścień bywał,
Wukaszin weń troje palców włoży;
Co Momezilu krótka szabla była,
Poza królem na łokieć się włóczy;
Co Momezilu ładownica była,
Król się pod nią ledwie dźwignąć może.

Tu zawoła król Wukaszin Żura:
— „Biada-że mi! przez żywego Boga!
O ta żmijal młoda Widosawa,

Takiego jéj zdradzić bohatera!
Jakiego dziś nie ma więcéj w świecie:
Azaż jutro mnie równie nie zdradzi?"

Zawoła zatém wierne swoje sługi,
Ci obmierzłą chwycą Widosawę,
Przywiążą ją koniom do ogonów,
Rozegnają konie popod grodem:
Tak ją konie żywo roztargały.

Król wziął wszystek Momczilów dostatek,
Wziął téż z sobą siostrę Momczilową,
Krasną dziewkę mianem Jewrosimę;
Do Skadru ją zawiódł nad Bojanę,
I owieńczył (*) za małżonkę sobie:
Piękny ród z téj Jewrosimy spłodził,
Spłodził syny: Marka i Andrzeja.
Marko (**) się zaś udał cale w wuja,
W wuja swego, wojwodę Momczda.

(*) Przy zaślubinach wschodniego obrzędu, zamiana wieńców zastępuje zamianę pierścieni, u nas zwykłą.

(**) Ten to Marko stał się potém głośnym w poezyi serbskiéj bohaterem, *Kraliewiczem Markiem* zwanym.

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

V.

Sewilla. Kordoba.

Quien no ha visto Sevilla, no ha visto maravilla, (kto nie widział Sewilli, nigdy nie widział cudu), mówi Hiszpan w jakiéjkolwiekbądź części swego rozległego i pięknego kraju zrodzony; i każdy cudzoziemiec, Anglik nawet dumny i uprzedzony, nie spuszczający nigdy swéj maxymy *nil admirari* z oka; każdy cudzoziemiec zdolny uczuć ducha téj poetycznéj atmosfery, razem z Hiszpanem sławić będzie uroki tego cudownego miasta. Lecz nie w niém cel, ani też koniec naszych wędrówek;—wiele nam jeszcze należy przebiedz miejsc, wiele znieść trudów, by nareszcie stanąć u kresu i wyznać z pokorą: że najlepiéj nie opuszczać nigdy rodzinnéj zagrody, i przeżyć razem z swemi wszystkie złe i dobre czasy żywota ziemskiego.

Lecz już znamy Sewillę; podziwialiśmy jéj muzeum, jéj katedrę i gród maurytański górujący nad miastem, i wieżę wznoszącą się ku niebu.

Jeden tylko pominęliśmy przybytek bardzo ważny.

Może pałac inkwizycyi, leżący z drugiéj strony Guadalkwiru na przedmieściu zwaném Italica?

Oh nie! nie wskrzeszajmy jéj, niech sobie leży w swym czarnym grobie nazawsze pogrzebiona. Nie zostawiła ona żadnych miłych wspomnień ani pamiątek po sobie. Ale wskrzesimy na chwilę pamięć innéj istoty: istoty, któréj osobistość przedstawiana na ziemi nieraz nas zajmowała, nieraz rozśmieszała, ale niestety! rzadziéj może zgorszyła.

W jednéj z odległych części miasta stoi od ośmiu wieków mały, ale piękny kościół *de la Caridad*, a przy nim klasztor zamieszkały przez siostry miłosierdzia.

W kościele tym wiele wspaniałych pomników, uwieczniających pamięć rycerzy i bohaterów. Ale tuż pod chórem zakonnic, zastanowił nas pomnik z białego kararyjskiego marmuru; pomnik skromny z piérwszego wejrzenia, ale wykwintny gdy mu się zbliżka przypatrzysz. Ciągła siatka arabesków przeplatana kwiatkami. Anioł płacząc rzewnemi łzami, obejmuje urnę jedną rączką, a w drugiéj trzyma zgaszoną pochodnię.

To zapewnie jakiéjś pięknéj damie, zmarłéj w kwiecie wieku, postawiono ten ładny i prawdziwie panieński pomnik—mówiłem do siebie samego zbliżając się tragicznym krokiem wolnoku chórowi.

Ale nie! to nie dama tu spoczywa, to mężczyzna. Taki napis na pomniku:

Aqui en la esperanza de una dichosa resureccion duerme el cuerpo de Don Juan de Tenorio hidalgo Castellano i Caballero de Sant Jago de Compostella. Una muerte exemplar merece el pardon por una vida llena de pecados (1).

Kto był ten Don Juan de Tenorio?

Wielkim grzesznikiem, doprawdy bardzo wielkim był ów Don Juan; wszakże to ten sam, którego Mozart swą operą uwiecznił, i na końcu opery do piekieł wysłał. Ale wielki bałamut nie zaszedł tam tak prędko, jak go wypadało kompozytorowi, dla swego pięknego, serce wzruszającego finału, wysłać. Owszem bałamut żył, doczekał się późnéj starości, pędząc życie jak najroz-

(1) Tu śpi w nadziei szczęśliwego zmartwychwstania ciało Don Juana de Tenorio, szlachcica kastylijskiego i kawalera św. Jakóba z Compostelli. Przykładna śmierć zasługuje na przebaczenie za grzeszne życie.

koszniejsze; a jak go wszystkie opuściły nałogi, wówczas oddał się skrusze i umarł, nie zostawiając ani grosza na pogrzeb, prosząc, żeby go choć pod ścieszką do klasztoru wiodącą pochowano.

„Niech choć nogi bogobojnych Sewillanek grób mój błogosławią" mówił stary Don Juan oddając ducha.

A poczciwe siostry, chociaż dobrze wiedziały co sumienny Leporello o swym panu wygadał, poczciwe siostry dały się przebłagać tym wielkim dowodem zaufania i wiary: nabalsamowały starego grzesznika, pochowały go jak najokazaléj, wzniosły mu śliczny pomnik, i na wieczne czasy msze zakupiły.

Tak się szlachetnie, litościwie obeszły poczciwe siostry z tym bałamutem, którego sławą tętnią i długo jeszcze tętnić będą wszystkie teatra świata.

Dobrze jest mieć dowcip i w chwili śmierci; ale że trudno jest mieć dowcip każdemu, nawet w chwilach życia: nie radziłbym zatém i najmniejszemu Don Juanowi, uciekać się do podobnych środków dla zabezpieczenia sobie pogrzebu i grobu.

Już czas pożegnać lubą Sewillę, i puścić się w dalszą podróż. Idę tedy do hotelu po mego Pegaza, który mi tymczasem zjadł kilkanaście snopków ambrozyi i tyleż garncy nektaru; siodłam go i wyprowadzam na ulicę. Pegaz kopytem w ziemię uderzył, aż jękły dzwony na wieżach Sewilli, rozdarł powietrze swemi skrzydły, i już jesteśmy ponad obłokami: „Do Kordoby!" zawołałem, i ku wschodowi bieżymy.

I na najpogodniejszém niebie bywają czasem chmury, i słońce zaćmi się niekiedy łzami. My tego doświadczyli w naszéj podróży. Powietrze im jest czyściejsze, tém mniéj chce być winne ziemi, i oddaje jéj w kroplach co pożyczyło w niewidzialnym pyle. Deszcz nas bił rzęsisty i przemókł mię do nitki.

— Zdałby się dobry deszczochron—mówię do Pegaza. A on z oburzeniem odpowiedział mi:—Deszczochron? masz tedy! chyba chcesz wyglądać jak angielski generał na paradzie. Takiemi jesteście, o niewdzięczni śmiertelni! Wzdychacie do balonów, a gdy je raz mieć będziecie, chcielibyście zakładać hotele, bilardy i teatra zawieszone na kotwicach w powietrzu. Gdy raz się wzniesiecie talentem lub też przypadkiem ponad poziom ziemi, zaraz wam tęskno do wygód poziomych: i niknie boskie natchnienie w gorących pożądliwościach ciała, tak, jak się wosk roztapia w skrzydłach Ikaryusza. Oh człowiecze! bądź zadowolonym z twego położenia! Może zazdrościsz tym podróżnym, któ-

rzy wloką się w owym ciężkim dyliżansie na podnóżu góry. Konduktor nie pytając ani o prawo, ani o przepisy, a korzystając z próżnych żołądków hiszpańskich, napchał swój dyliżans tyloma passażerami, ile ich się tylko zmieścić mogło. Patrz, co się dzieje w téj beczce śledzi! Jeden siedzi na drugim, nudziarz opowiada długie historye, ciekawiec pyta się nielitościwie każdego o to i o owo; tamta jęczy, żali się na ból zębów i okien otwierać nie pozwala; ów oficer ćmi najszkaradniejsze cygara, jakie tylko fabryki hiszpańskie wydać mogą; tamta znów zasypia, przechyla swą głowę na prawo i na lewo, i raz uderzy w nos sąsiada, drugi raz brwi sobie sparzy cygarem oficera. Ani nóg wyciągnąć, ani ramion rozeprzeć; spać ani sposób. A cóż, zazdrościsz tym podróżnym? Do tego wszystkiego miesza się obawa spotkania rozbójników, których tu mnóstwo na drodze; to klassyczny grunt bandytów. Dalibóg człowiecze, bądź kontent, że na mym grzbiecie siedzisz, i nie myśl o deszczochronie, choćbyś przemókł jak gąbka!

— Będę się starał nie myśléć o deszczochronie, choć mi woda spływa strugami po ciele; jeżeli jednak o nim pomyślę, racz mi wybaczyć, o dobry, wyrozumiały Pegazie! wszakże wiész, że myśl nie jest utworem umyślnym ludzkiéj głowy, lecz konieczną córką potrzeby, więc nie łaj mnie za mą myśl, choć ci ją bez ogródki powierzę.

— Biédni ludzie, biédni ludzie!—rzekł do siebie mój dobry Pegaz.—Prawda, ani za myśl, ani za zwierzenie się z niéj, na ludzi gniewaćbym się nie powinien. Myślami otacza się człowiek, tak, jak swemi naturalnemi sprzymierzeńcami; myślami chce przewidzieć i zwalczyć wszystkie nań godzące niebezpieczeństwa; jakżeż można potępić za myśli człowieka, który w czynie pokazuje się przyjacielem swych bliźnich?

Tak sobie mówił sam do siebie Pegaz; uderzył w skrzydła zmoczone wodą, i uniósł mnie w najwyższe sfery firmamentu, tam, gdzie nie było ani chmur, ani obłoków, ni deszczu, ni burzy, ani też widoku ziemi; tam, gdzie jednostajna panuje spokojność, i błoga ogarnia serdeczność.

Któryż człowiek w swém życiu nie doświadczył tego uczucia? któryż człowiek nie przeczuł choć raz jeden możliwości szczęścia bez chmur i bez końca? Tylko dla jednego przeminęły te chwile bez skutku i bez postanowień; drugim nadały niezwalczoną sympatyą dla wszystkiego, co jest dobrém i piękném, a niezwalczoną antypatyą dla złego i brzydkiego; innym jeszcze, szczęśli-

wszym, powinny były wszczepić miłość dla dobrego, a chrześciańskie pobłażanie dla złego.

Życie nasze jest tak krótkiém, a nienawiść, żeby była według rozumu naszego najwięcéj usprawiedliwioną, zawsze jest trującą życie własne, a życiu innych może mniéj pomocną, jak raczéj szkodliwą!

Poddajemy się jednakże natchnieniom złości, częściéj może, jak natchnieniom dobroci; poddajemy się im wtenczas nawet, gdy położenie nasze stawia nas w możności zwalczenia chwilowych popędów naszéj przyrody.

Wpośród żyznéj okolicy, otoczone gaikami oliwnemi, wznosi się na kilku pagórkach powabne, świeże miasto, a nad niém góruje stary gród Maurów, którego potężne, czarne, brzozą uwieńczone wieże, chmury w biegu zatrzymują. To Carmona, dawna Carmo Rzymian. Dwie jeszcze okazałe po niéj pozostały bramy; muszą być piękne, kiedy znalazły łaskę u Maurów. Do jakiegoś wysokiego, rzeźbą ozdobionego domu cisną się tłumy. To nowo wykończony teatr. Jakto? w mieście zaledwie 13,000 ludności liczącém stawiają teatr, i to podczas wojny, gdy nieprzyjaciel domowy stokroć straszniejszy od obcego kraj zalewa? A przecież *silent musae inter arma*, mówi stare przysłowie.

Tak nie jest w Hiszpanii. Tu bardzo głośno muzy nigdy nie gadają, ale i w czasie wojny mówić nie przestają. Wojna nie wyczerpuje nigdy wszystkich sił narodu nieoddającego się obżarstwu, pijaństwu i kartom: tym niewinnym nałogom tępiącym umysł, serce i czynność ludzi.

Stary zamek Maurów czuwa nad tobą Carmono, i przypomina ci, że kiedyś byłaś stolicą potężnego bejliku, w którym odbywały się sławne na świat cały turnieje.

Lśni się na murawie i mruczy po okrągłych kamyczkach srébrny strumyk, nareszcie roztacza swe wody po płaskiéj, skalistéj dolinie. Nikt tu nie mieszka prócz karłowatych palm, chylących spiekłe swe głowy ku rzeczce.

Już tu nie dochodzą chłodne powiewy morskie; nieznośne dokucza nam gorąco; bujamy nad miastem Ecija, dawném rzymskiém Astigsi, znaném powszechnie pod nazwiskiem: *el sarten de Andalucia* (patelnią Andaluzyi.)

Za Maurów były tu sławne artezyjskie studnie, wyświdrowane wielkim kosztem w twardéj opoce. Ale dawni panowie

Hiszpanii przymuszeni z niéj uchodzić, zarzucili te studnie głazami. Późniejsi panowie tak mało dbali o dobro kraju, że nawet głazów wydobyć nie rozkazali.

W blizkości Ecigi mieszka liczne plemię Morogotów, tojest potomków owych Gotów, którzy po wkroczeniu Maurów do Hiszpanii, wiarę Mahometa przyjęli, późniéj zaś po wypędzeniu Maurów, znów na łono chrystyanizmu wrócili. Za tę zmienność swych przodków do dziś dnia odpowiadają Morogoci ogólném, w całéj Hiszpanii doświadczaném potępieniem. Hiszpanka wolałaby zostać niewolnicą Maura, jak pójść za Morogota, choćby najmajętniejszego, a Hiszpan nie spowiada się, gdy go zabije: za grzéch to wcale nie uważa. A jednakże ci potępieni są uczciwemi ludźmi, rzetelność ich w przysłowie weszła; tylko wzrosłszy od tylu pokoleń w prześladowaniu, szczególny sobie wyrobili charakter: stali się chciwemi i nieufnemi jak nasi żydzi. Z innych względów mniéj są do nich podobnemi: odważni, dumni bez chełpliwości, surowi względem innych i względem siebie samych; noszą znamiona swego wyjątkowego charakteru na swych grubych rysach twarzy i swych atletycznych postaciach. Kobiéty ich również silne trudnią się uprawą roli, a oni sami przewożeniem towarów z jednego końca Hiszpanii na drugi. Ubiór ich przypomina Maurów. Noszą niezmiernie szerokie, ledwo do kolan spadające spodnie, pas z całym arsenałem pistoletów i noży, przytém lejbik w arabeski wyszywany, i czapki zwane *montero* kształtu turbana.

Jest coś nieubłaganie srogiego w téj zemście, wywieranéj na Morogotach za to, że ich przodkowie byli przed czterema wiekami Mahometanami. W naszym kraju nie mamy na szczęście ani wyobrażenia o podobnéj nietolerancyi.

Już ostatnie pasmo gór przebyte, pod naszemi stopami rozpościera się zielona dolina, drzewami oliwnemi umajona; błyszczy na ciemném tle szerokie zwierciadło Guadalkwiwiru, jak ocean żywego srébra. Z drugiéj strony rozwijają się żółtawe błonia Campiny, tojest płaskiego lądu prowincyi korduańskiéj i łączą się od południa z szarym, zamglonym widnokręgiem. Od wschodu i północy piętrzy się bałwaniste pasmo Sierry Moreny, tém ciemniejsze, im więcéj od nas odległe. Tam leży na podnożu gór Kordoba, miasto kalifów, niegdyś tak świetne, tak dumne. Błyszczą w świetle księżyca liczne wieże, a ogromny meczet Abd-er-Hammana cięży swą olbrzymią massą na znękanéj ziemi i zdumiewa oko podróżnego. Lecz znów się zapada miasto za

pagórkami, pomiędzy któremi wije się nasza droga. Niezliczone mnóstwo willi ozdobionych gankami, marmurowemi słupami podpartemi, niezliczone mnóstwo lasków i ogrodów poprzedza miasto. To są mieszkania letnie bogatych Korduańczyków. Potém długie ciągnie się przedmieście: wiele w niém ruchu i życia, chmary ludu poruszają się z miejsca na miejsce. Każdy wnosząc z tego co widzi, obiecuje sobie, że ujrzy za chwilkę ludne, możne, handlem ożywione miasto. Już i brama wysoka, okazała, i na niéj wyryte pod herbem szlachetnego miasta następujące godło herbowe:

„Cordoba, casa de guerrera gente,
Y de sabiduria clara fuente."

Co znaczy:

„Kordoba, ojczyzna rycerskiéj ludności,
I czyste źródło wszystkich wiadomości."

Ale jakież nas przykre czeka odczarowanie! Właściwe miasto smutne jest i opuszczone; nie masz w niém ani sklepów, ani rzemieślników, ani gwaru ludzi, ani życia. Smutnie tętnią dyliżanse na tym bruku trawą porosłym, pomiędzy temi wysokiemi domami z wybitemi lub papierem zalepionemi oknami.

Smutno się spogląda na nas zpoza swego płaszcza wysoki Korduańczyk swemi czarnemi długiemi oczyma, zdaje się do nas przemawiać ponurym głosem: „Wy tu przybyliście do méj ojczyzny z tak wielkim zasobem ciekawości, ale nie zapominajcie, bo to, co nasz rodak Lopez de Vega powiedział wieszczym duchem o kwiatach:

„A prended flores de mi,
Lo que va de ayer a hoy!
Ayer maravilla fui,
Hoy sombra mia no soy."

Nauczcie się kwiaty odemnie,
Zmiany od dnia wczorajszego do dzisiejszego;
Wczoraj byłam ubóstwianą,
Dziś nawet cień mój nie pozostał.

to do naszego stosuje się miasta.

Nie masz w świecie całym miejsca noszącego smutniejsze ślady upadku i zniszczenia. Tyle innych miast pochłonęły żywioły, zalały hordy barbarzyńców, zniszczyły trzęsienia ziemi; widok ich ruin sprawia boleść, ale nie rozdziera tak serce, jak widok świetnéj Kordoby, któréj szatany zniszczenia nigdy nie nawiedzili, ale z któréj jednego razu ustępować zaczęło życie, jak nieraz ustępuje z ciała pięknéj młodéj kobiéty, któréj już nic zdrowia przywrócić nie zdoła, która musi umrzéć na wolną, ale nieochybną konsumpcyą.

Kto tu uwierzyć zechce, patrząc na te próżne place, na te zasypane dziedzińce, na te ogrody w których gady panują, a so-

wy się rozgościły; kto tu uwierzyć zechce, patrząc na zaniedbane suknie wysokich i bladych Korduanek, że Kordoba liczyła kiedyś milion mieszkańców, że jéj obwód miał siedm mil długości, że jéj bogactwo i przepych przewyższyły wszystko, co tylko bujna wschodnia wyobraźnia wymyślić zdoła?

Tu w Kordobie stał ów na cały świat sławny *Azzahra*, pałac zbudowany przez Abderhammana III dla jednéj z swych żon, dla téj, którą najwięcéj kochał. Przytoczę słowa arabskiego kronikarza: „Pałac zwany Azzahra wznosił się zpośrodka niezliczonego mnóstwa budynków, które wszystkie do rezydencyi Zahry, żony kalifa, należały. Dziennie do 10,000 ludzi zatrudnionych było budowaniem, 1500 mułów, 400 wielbłądów i 200 słoni znosiło ciągle materyały do budowli. Spotrzebowano dziennie 6,000 kamieni ciosowych, prócz nieciosanych, których ilości obliczyć nie można. Kolumn marmurowych 4,312 dźwigało sklepienia: wszystkie były lazurem i złotem powleczone, bogatą rzeźbiarską robotą ozdobione. Prócz cedrowego, żadne inne drzewo nie wchodziło w skład budynku. Sala kalifa cała była z porfiru, a ściany jéj i sufit wysadzono arabeskami z dyamentów, szmaragdów i pereł. W środku téj sali znajdowała się fontanna, z ogromną misą jaspisową, a dno jéj wyłożono drogiemi kamieniami, naśladującemi dno naturalnych źródeł".

„Dwadzieścia zwierząt drapieżnych, z szczerego złota lanych, a naturalnéj wielkości pilnowało téj krynicy; z nozdrzy tych zwierząt wytryskała najczystsza woda w jaspisową misę. Na zwierciadle fontanny pływały złote łabędzie, a nad niemi wisiała, przyczepiona do sufitu, owa perła bajecznéj wielkości, którą cesarz grecki Leon przysłał w darze korduańskiemu kalifowi".

„Również pięknie ozdobione były i inne podwoje. Wszędzie obicia z Damaszku, kobierce z Persyi, złoto na najrozmaitszy sposób przerabiane: młotkowane, dłutowane, bite i kręcone, a przytém różne przybierające kolory. Wszędzie kwiaty i owoce z mozajki tak piękne, że się motyle i ptaszki do nich zlatywały, a same motyle i ptaki z mozajki tak naturalne, że się zdawały trzepotać skrzydełkami i śpiéwać".

„Tu się znajdowała i mennica kalifa. Trzydzieści stęplów złoto bijących w ciągłéj było robocie. Koszar było 20 dla saméj gwardyi przybocznéj, z 15,000 jeźdźców złożonéj; pałace z najpyszniejszemi łazienkami i ogrodami".

„Szczęśliwi tego raju mieszkańcy przechadzali się pod cieniem altan, albo téż wozili się po jeziorze, którego woda napawana

wonią najrzadszych kwiatów, zdawała się być perfumowaną. Miryady zagranicznych zwierząt i ptaków ożywiały pląsami i śpiewem owe szpalery, błonia i drzewa".

„ Wpośrodku tych ogrodów wznosił się pawilon kalifa. Sufit jego i ściany zdobiły szczerozłote, dyamentami wysadzane zwierciadła. Olbrzymia muszla z porfiru stała w środku głównéj sali: była ona napełnioną żywém srébrem, w ciągłym ruchu zostającém. Fontanna ta metalowa ulubioną była zabawką Abderhammana. W tém miejscu przyjmował gości odwiedzających go po raz piérwszy. Lubił im robić niespodziankę w ten sposób, że na znak dany otwierały się podwoje, dach zlatywał, promienie słońca wpadając strumieniami na ściany, odbijały się po milion razy na powierzchni polerowanéj złota i drogich kamieni, i raziły swym blaskiem jak błyskawice; a padając na stumanioną powierzchnię żywego srébra tak oślepiającym blaskiem świeciły, że wszystko zdawało się być w płomieniach. Goście truchleli na ten niespodziany widok, a ich przestrach był źródłem rozkoszy dla wielkiego kalifa."

Tyle jest słów sławnego filozofa i historyografa Averroes, żyjącego za panowania Abderhammana przy dworze korduańskim, a późniéj prześladowanego za swe liberalne opinie przez imanów i ulemów, i zmuszonego do ucieczki do Maroko, gdzie umarł wielkim dygnitarzem 1198 roku. Temuż samemu Averroes świat winien, że dziś zna Arystotelesa; on bowiem z zapomnienia wydobył jedyny kompletny rękopism tego filozofa, i ogłosił go wraz z swym własnym kommentarzem, dziś jeszcze za dzieło klassyczne uważanym. W swéj filozofii Ibn-Rochd-Averhoes połączył doktrynę Arystotelesa z doktryną Alexandryjczyków, i uznawał istność emanacyi ducha, nawet istność ogólnéj uosobionéj idei, rozlanéj na świat cały, a przejmującéj z zewnątrz z makrokosmu istotę ludzką. Razem z Platonem jednakże, dzielił pod względem rozumu dusze ludzkie na dwie ważne kategorye: 1) na dusze ludzi, którzy tylko w ślepéj wierze rozkosze umysłowe czerpać winny i szczęście znaleźć mogą; 2) na dusze ludzi, którym dozwolonym być winien wolny rozbiór kwestyj wiary dotyczących. Pędzlem godnym Lavatera opisał charaktery znamionujące jednych i drugich, i wytknął ulemom i imanom drogę, według któréj mają rozsądzać sprawy prawodawcze, przestępstwa religijne i urządzenia pedagogiczne, jeśli chcą postępować zgodnie

z naturą człowieka i zdrową filozofią. Wyszły one w Wenecyi roku 1595, in folio, w łacińskim języku, i od tego czasu przetłumaczone zostały kilkakrotnie na język angielski, francuzki, niemiecki, a nawet i włoski.

Historya zna, dzięki wspomnionemu filozofowi i kilku innym współczesnym kronikarzom, cały bieg życia wielkiego kalifa Abderhammana IIIgo, i upewnia nas, że nietylko był wykwintnym i pełnym rycerskiéj grzeczności monarchą, ale nawet sławnym wojownikiem, mądrym politykiem, człowiekiem, którego serce i geniusz sięgały poza swe wieki. Gardził przesądami Mahometanów, zakazujących wyobrażeń ludzkiéj postaci, jako rzeczy prowadzących do bałwochwalstwa; wyraźnie protegował obrządek katolicki, dozwalając chrześcianom pod swém berłem żyjącym wszelkiéj wolności religijnéj, i wszelkich przywilejów osobnego sądownictwa.

Mieli wówczas chrześcianie swych księży, biskupów i arcybiskupów; wolno im było dzwonić w dzwony nietylko na prowincyi, lecz nawet w saméj rezydencyi kalifa, a nawet odbywać processye po wszystkich ulicach, wyjąwszy ulice, na których stały meczety. Jedném słowem, pod panowaniem Maurów w XIIIym wieku katolicy doświadczali większych przywilejów, niż dziś w Anglii.

Pod pięćdziesięcioletniém panowaniem Abderhammana IIIgo, Kordoba wzrosła w niesłychaną potęgę. To miasto stało się słońcem, którego promienie rozgrzewały wszystkie uniwersytety świata: sięgały do Alexandryi, do Konstantynopola, do Salerny i do Montpellier, mojéj *alma mater*. Akademią korduańska tak była sławną, że monarchowie chrześciańscy wysyłali do niéj swych synów na wychowanie. Język arabski stał się językiem niezbędnie potrzebnym nietylko dla uczonych, ale nawet dla wszystkich wyżéj wykształconych kawalerów. Abu-Ibn-Sina znany powszechnie pod nazwiskiem Avicenna, Arab urodzony w Persyi, założył jeszcze przed Abderhammanem fakultet medyczny w Kordobie roku 1012; fakultet ten stał się matką wielu innych w chrześciańskich krajach. Avicenna pomimo że był skorym do awantur i do rozpusty, umiał pracować z niesłychaną usilnością. My lekarze, winniśmy bardzo wiele temu Hippokratesowi arabskiemu, który zebrał rozrzucone po świecie i zapomniane dzieła ojca medycyny Hippokratesa z Kos, Galena i Celsyusza Aureliana. I filozofia wiele mu winna. Avicenna napisał dzieło pod tytułem:

Metafizyka czyli Filozofia piérwsza, które podczas kilku wieków służyło za podstawę filozofii nauczanéj w Azyi i w Europie, i dziś jeszcze zaszczytnie jest wspominaném przez niemieckich i francuzkich ideologów.

Ale już wprzódy Mohammed-Abu-bekr-Ibn-Zakaria, znany światu pod nazwiskiem Rhazes, lekarz bagdadski, odwiedził Kordobę i w niéj zorganizował zarodek późniejszéj akademii lekarskiéj. Napisał on do trzydziestu grubych tomów o hygienie i sztuce lekarskiéj. Księga jego o ospie i odrze, do dziś dnia bardzo jest poważaną.

Muzyka słynęła w Kordobie, wraz z innemi sztukami pięknemi. Konserwatoryum tutejsze, już wówczas zwane szkołą wyższéj muzyki, wydało sławnego Muzali, uważanego jeszcze dzisiaj za jednego z największych znawców fizyki i mechaniki chromatycznéj.

Biblioteka kalifa korduańskiego zawiérała za Abderhammana IIIgo 600,000 tomów. Szkół bezpłatnych było wówczas w Kordobie 83; w wielu z nich sposobiono się na hydraulików, geometrów, budowniczych, a mianowicie na fabrykantów zbroi i broni. Klingi korduańskie słynęły kiedyś jak dziś damasceńskie lub toledańskie.

I cóż dziś pozostało, coby świadczyło o świetnéj przeszłości tego miasta?

Z sławnego zamku Azzahra ani śladu; tylko tu i owdzie rolnik kopiąc ziemię, wydźwignie lemieszem kawał złoconego marmuru, porfiru lub jaspisu. Zresztą stoi jeszcze w swém miejscu stary gród królów zakopcony, czarny, pomiędzy jaśminem, bluszczem i aloesami, tak, jak pająk osiadły na kwiecie.

Ale nie! bądźmy sprawiedliwemi; Kordoba zawiéra dziś jeszcze w swych zaniedbanych murach jedno z najpyszniejszych arcydzieł architektury, jakie gdziekolwiek w starych lub nowszych czasach, praca ludzka i cierpliwość wzniosły.

Któż nie słyszał o sławnym meczecie Kordoby, służącym od sześciu wieków za kościół chrześciański?

Obudowany naokoło domami, tak, jak kościół śgo Pawła w Londynie, trudno zrazu wynaléźć ów starodawny zabytek świetnych czasów Kordoby, niesposób objąć go zblizka jednym rzutem oka. Budowla to imponująca swym ogromem, ale z zewnątrz nie oczaruje cię pięknością kształtów. Wysokie mury, których szczyty wykrojone w sposób staro-teutoński w zębate flerony, przedarte są tu i owdzie oknami, misternie w podkowy

wykrojonemi. Ale to wszystko spoczywa na podstawie 360,000 stóp kwadratowych zajmującéj. Proszę sobie wystawić budowlę wzniesioną w kwadrat, którego boki mają sześćset stóp długości. Na wschodniéj połowie gmachu wznosi się wysoka kopuła i potężna w niebo sięgająca wieża ponad chórem katolickim, wbudowanym w meczet. Powierzchnia zewnętrzna pokrytą była niegdyś siatką złoconych arabesków, ale ręka niezręcznych odnowicieli pokryła ją warstwą gipsu i pokostu. Szczęściem, że nie starczyło tych materyałów, gdy przyszło do odnowienia facyaty, a tak przynajmniéj ochronioną została, i zachowała starodawną piękność. Dawniéj 24 bramy prowadziły do świątyni; dziś pozostały tylko trzy, resztę zamurowano. Wysoki krużganek drzewami pomarańczowemi wysadzony, marmurem brukowany i na marmurowych kolumnach spoczywający, otacza wokoło całą świątynię. Dwanaście fontan chłodzi tu ciągle powietrze i jednostajném mruczeniem wzywa do marzeń i uspokaja duszę.

Drżącą ręką odsuwam kurtynę przegradzającą wewnętrzne wejście i staję w kościele. Zdumiały, ujrzałem się w lesie kolumn, przedstawiającym gdziekolwiek staniesz, nieskończone perspektywy rozciągające się we wszystkie kierunki. Uroczysta cisza panowała w tych niezmiernych przestworach; czasem tylko przerywał ją głos słodki i poważny organów, brzmiących w tym lesie jak eolska harfa, która me ucho niegdyś czarowałą w parkach szkockich. Kolumny te całe z jednéj sztuki marmuru, tworzą od zachodu na wschód trzydzieści dwie naw, szerokich na czternaście, a długich na 250 stóp; od północy zaś na południe szesnaście naw daleko szerszych, a na 000 stóp długich. W symetrycznych odstępach rozstawione kolumny gruppują się regularnie; wszędzie widzisz przed sobą długie, w odległości zwężające się i schodzące szpalory.

Dla chóru katolickiego wbudowanego w dawny meczet, zwalono 360 kolumn; pozostało ich jeszcze 860. Ta świątynia już teraz tak obszerna, jeszczeby się wydawała ogromniejszą, gdyby jéj sklepienie było wyższém. Ale wysokość jego zaledwie do 35 stóp dochodząca, nie odpowiada rozmiarom rozciągłości i nęka duszę pewném niezwalczoném uczuciem ciężkości. Gmach ten dopóki był meczetem nie cieszył się nigdy światłem dziennem; szczelne kurtyny zasłaniały okna, a lamp kryształowych 4700 ciągle tu gorzało, w odstępach regularnych zawieszone. Tyle światła rozbijającego się o złocone arabeski! Musiał to być cudny widok.

Już ucichły organy, i już mogę postąpić daléj bez obrażenia solennego usposobienia duszy mojéj, i już mogę przebiegać ten święty przybytek i przypatrywać się zblizka wszystkim szczegółom téj zastanawiającéj budowli. Inni wprawdzie, oswojeni z imponującym widokiem, nie robili sobie żadnego przymusu, przebiegali podczas mszy wszystkie kąty, rozmawiali głośno, śmiali się, i ucierając zatabaczone nosy, dęli w nie jak w jerychońskie trąby, strasząc echa drzémiące tu od lat tysiąca. Bylito księża kanonicy schodzący się na summę. Byli u siebie, nie żenowali się.

Jeden tylko ksiądz z siwiuteńką głową stał oparty o filar, i z oka mnie nie spuszczał; odgadł on uczucia mną władające, i widząc mię niepewnym krokiem postępującego naprzód, zbliżył się do mnie i ofiarował służyć mi za *cicerona*. Przystałem na to z wielką wdzięcznością; na twarzy starego księdza malowały się bystrość rozumu i dobroć serca: dwa przymioty bardzo rzadko razem istniejące.

Żadna część meczetu nie daje tak wysokiego wyobrażenia o doskonałości, do jakiéj doszła sztuka architektoniczna w Hiszpanii pod Maurami, jak kaplica kalifów. Ani Alcazar sewilski, ani granadeńska Alhambra nie są w stanie wytrzymać porównania z tém miejscem. Kaplica ta podzielona na trzy części, pokryta trzema wysokiemi kopułami, cała jest z białego marmuru i ozdobiona nieustającą siatką najcudniejszych arabesków. Szesnaście wysokich kolumn marmurowych różnego koloru, unosi śmiałe a lekkie sklepienie, a wnętrze jego wyłożone różnokolorową mozajką na tle złotém, sprawia wrażenie, które opisać niepodobna.

Z téj kaplicy wchodzi się przez drzwi z jednego kawałka porfiru wyciosane i w srébro oprawne, do owego *sanctissimum* mahometańskiego, w którém przechowują relikwie. Światło dnia nigdy tu nie wpada, i tylko za pomocą pochodni obejrzéć można te ściany, pokryte iskrzącą się mozajką z najdroższych w rozety szlifowanych kamieni. Ale niejeden już ztąd wydłubano kamyczek od czasu, kiedy i do tego miejsca wniesiono ołtarz i w niém msze odprawiają. Francuzi za czasów wojen Napoleońskich chętnie tu chodzili na mszą, mianowicie marszałkowie Soult, Davoust, Suchet i inni miłośnicy religii, relikwij i obrazów. Generał Dupont na swą własną rękę zabrał z sobą blach złota ważących 8,000 uncyj (wartość przechodząca milion złp.), które w jego pakunkach znaleziono po bitwie pod Baylen, tak nieszczęsnéj dla Francuzów.

Chór katolicki wbudowany w XV wieku w katedrę tak jest wielki, jak katedra niejednego wielkiego miasta. Jestto niezaprzeczenie arcydzieło najczystszego florenckiego stylu, ale wcale nie odpowiada reszcie budynku. Chór ten rozpada się w trzy nawy wyższe daleko, jak nawy reszty przybytku, i pyszną uwieńczone kopułą. Kaplice poboczne zawierają niejeden szacunku godny obraz korduańskiéj i sewilskiéj szkoły, a płaskorzeźby zdobiące organy i ambony przedziwnéj są roboty i rysunku najpoprawniejszego, jaki widzieć można. Stalle kanoników wyłożone hebanem i perłową macicą, służyły niegdyś za model owym przecudnym stallom, które zdobiły kościół Franciszkanów w Krakowie. Zawistny los pozazdrościł nam tego arcydzieła sztuki; niedawno temu zgorzały one wraz z kościołem.

Na jednéj z kolumn marmurowych dźwigających sklepienie, *el padre Jago*, poczciwy ksiądz oprowadzający mnie po tym przybytku, wskazał na obraz Chrystusa ukrzyżowanego, wyrznięty dość niezręcznie, a przegrodzony żelazną siatką od dotknięć profanów. Następujący piękny dystych łaciński obznajmia nas z naturą tego rysunku:

Hoc sua dum celebrat Mahometicus orgia templo,
Captivus Christi numina vera vocat.
Et quem corde tenet, rigido saxo unque figurat,
Laureolam pro quo fune peremtus habet.

Niemasz rady: dla pięknéj łaciny i ku zbudowaniu chrześcian trzeba tutaj uwierzyć, że rysunek ten niezgrabny wyrznął paznogciem niewolnik chrześciański, przykuty przez Maurów do téj kolumny.

— Czasu musiał miéć bardzo wiele, a paznogcie twarde jak stal angielska, mój ojcze Jakóbie, ów niewolnik chrześciański, którego Mahometanie w świątyni trzymali—rzekę do ojca Jago.

— *Fides salvat hominem*—odrzekł stary ojciec—kto chce niech wierzy; *volenti nihil difficile.*—Ja poprostu wyznam, że nie wierzę. Maurowie mieli tę świątynię w tak wielkiém poszanowaniu, że żadnego chrześcianina, nawet ambassadorów, cesarzów Wschodu, ani królów Leonu i Kastylii, którzy nieraz Abderhammana odwiedzali, wpuścić doń nie chcieli. Po cóżby tedy trzymać zechcieli więźnia w téj świątyni?

Pomimo, że 900 było łazienek publicznych w Kordobie, a nikomu do meczetu wchodzić nie było wolno w obuwiu, tyle oni dbali o czystość, że sto ośmdziesięciu derwiszów usługujących czyściło każdéj nocy posadzkę, obcierało kurz i zmieniało

kryształowe lampy. Trzysta sześćdziesięciu takich usługujących derwiszów mieszkało tutaj w samych murach świątyni.

— Jakto ojcze, w samych murach świątyni? gdzież, chyba w saméj świątyni; żaden tu budynek nie przytyka.

— Mury téj świątyni, są wydrążone jak ule, i roje pobożnych derwiszów w sobie zawiérały. Pokażę panu, jakie to dziwne schody i kurytarze snują się wewnątrz tych murów; niktby się nie spodziewał, że w samych ścianach téj świątyni, zawarte są mieszkania dla tak licznéj ludności. Panu je pokazać mogę, bo pan się przecisnąć zdoła do tych ciemnych siedzib. Nie jesteś bardzo tłusty.

Czy mnie do jaszczurczéj jamy wieść zechce? — pomyślałem sobie. Istotnie, w jednéj ze ścian za ołtarzem, tam, gdzie się spotykają dwie kolumny, ojciec Jago oparł się całą siłą o mur, i ogromny głaz wysokości pięciu stóp, a szerokości zaledwie jednéj, ustąpił pod naciśnięciem. Daléj schody kamienne, ciasne jak trumna, a wijące się ślimakiem; daléj jakieś ciemne krużganki; światło tu dochodzi przez ukośne szczeliny, których z zewnątrz wcale nie widać. Te krużganki długie a ciasne, podzielone na nieskończenie wiele celek, tak wązkich, że prócz ławki kamiennéj, półtoréj stopy szerokiéj, nic w sobie nie zawiérały, nic wcale; a przechód z jednéj celki do drugiéj zawsze tak ciasny, zdaje się, że coraz ciaśniejszy. Przebyliśmy takich celek wysokich i długich na sześć stóp, a szerokich na półtrzeciéj, dziewięć; dziesiąta była dwa razy szerszą, choć również długą i wysoką, przepuszczała cokolwiek więcéj światła: kaganiec w niéj tlał chudziutki. Odetchnąłem.

— To moje mieszkanie—rzecze mi ojciec Jago.

— Jakto, ten grób to pańskie mieszkanie?—zapytałem zdziwiony—Księże dobrodzieju! przecież tu żyć nie sposób!

— To moje mieszkanie od lat blizko sześćdziesięciu; innego nie mam, a to mię nic nie kosztuje. To mieszkanie dziesiętnika derwiszów, te inne prości derwiszowie zajmowali. Jest takich celek 360 w czterech ścianach meczetu.

— Wcale nie zazdroszczę ci tego lokalu, i proszę Boga, żebyś przypadkiem nie utył; nie mógłbyś wejść do twéj celi, tak tu ciasno.

— Proś raczéj Boga, żebym nie spuchł jednéj pięknéj nocy w tém wilgotném powietrzu, bo nie mógłbym wyjść z méj celi; musiałbym z głodu umrzéć, mało jest bowiem ludzi wiedzących, że

tu mieszkam, a mniéj jeszcze ludzi, których los mój zajmuje. Aniby się spostrzegli, że mnie nie masz, gdybym im w oczy nie wchodził. Żyję z jałmużny, z tego, co mi pobożne dusze pod krużganek przyniosą; czasem przyniosą zawiele, często nie przyniosą nic wcale: wtenczas pościć trzeba. Nie masz tedy niebezpieczeństwa, żebym tu utył — mówił uśmiechając się ojciec Jago.

— I żadnych innych nie masz dochodów?

— Czasem dadzą na mszą, czasem i który z kapitulnych księży odstąpi mi swéj mszy, gdy zachoruje, lub da stary habit. Żyję tak, jak niegdyś żyło trzechset sześćdziesięciu derwiszów: żyję z jałmużny i nie żalę się nigdy, bo jeśli tamci dla swego proroka toż samo znosili, czemuż ja dla mego Boga nie mam znieść mniéj, jak oni. Nocą przechadzam się sam jeden po wspaniałéj świątyni, po tych podwojach, po których stąpało od wieków dziesięciu tylu sławnych mężów, pod któremi spoczywa tylu świętych biskupów i walecznych rycerzy. To mój raj, to moje szczęście; nikomu nie zazdroszczę, o wierzaj mi cudzoziemcze! Znam tego przybytku całą historyą; w tych celach zgromadziłem, co jeszcze uratować się dało z zabytków starożytności; samych lamp maurytańskich wynalazłem ze trzysta w ulach; mnóstwo ksiąg i ułamków marmuru, bronią mych skarbów przed wkraczającemi puszczykami, sowami, kawkami i nietopérzami. Bóg wié, kto je odziedziczy. Ja może jednéj nocy tu umrę, i w tym grobie aż de sądu ostatecznego pozostanę. Niech się dzieje wola boska!

— A wierzysz w duchy, księże Jakóbie?

— Wierzę—odpowié uśmiechając się stary.

— I nie boisz się duchów owych imanów, muezzinów, fakirów i derwiszów, którzy tutaj nocną porą niezawodnie hulać muszą z puszczykiem, sową, kawką i nietoperzem?

— Oh mój synu! — rzecze zdumiony ksiądz częstując mię tabaką, i śmiejąc się serdecznie.—Wszystko to byli dobrzy ludzie: żyli oni więcéj duchem niż ciałem, choć im chrześciańskiéj wiary światło nie przyświecało. Bóg im przebaczy, a ja ich się nie obawiam wcale. Nie myśl wcale, żeby za dawnych czasów, póki jeszcze światło nauk i sztuk pięknych jaśniało w Kordobie, żeby tu chrześcianie doświadczali prześladowań. Juliusz Cezar kazał wymordować 22,000 Korduańczyków za to, że Pompejuszowi sprzyjali. Ale Maurowie żadnych się nie dopuszczali okrucieństw przeciw chrześcianom. Tylko 45 chrześcian postradało życie w skutek zatargów sprowadzonych wybrykami fanatyzmu,

a Ojciec Święty nie śmiał ani jednego z nich kanonizować, nie śmiał wystąpić wbrew prawdzie.

Pożegnałem poczciwego księdza, i z głową brzemienną myślami, z sercem miotaném uczuciami, wróciłem do hotelu.

— Poznałem w katedrze ojca Jago—mówię do mego gospodarza, kapitana gwardyi narodowéj konnéj.

— *Ha! es un loco, es un descendiente de los Moriscos!* (Ha! to waryat, to potomek Maurów)—odpowiedział waleczny kapitan.

— *Es un hombre santo, Sennor Caballero!* (Jestto człowiek święty, panie kawalerze)—dodała cicho pani gospodyni.

O przedziwny instynkcie kobiécy! ty często jesteś jak ów promień słońca, przekradający się przez grube chmury w ciemne przepaści; ty przeczujesz prawdę, nim ją tępy rozum mężczyzny rozpoznać zdoła!

Oh nie! ten człowiek, który żyje z cieniami swych zmarłych przodków, i całą swą istność poświęcił na chwałę Boga i na przebłaganie Go za błędy swych naddziadów, ten człowiek szalonym nie jest. On w oczach moich większą ma wartość, niż owi wszyscy, którzy w hołdach składanych materyi zatracają prawo do wieczności.

VI.

Toledo. Granada.

W jednym rozdziale chcesz zajechać z Kordoby do Toledo, i z Toledo do Granady, odbyć podróż przeszło stumilową? O podróżniku! choć szybko jeździsz na twym Pegazie, ale prawdziwie zaszybko nawet na naszę wiarę. Wiele ci wierzymy, idąc za przysłowiem: *a beau mentir qui vient de loin*; ale nie licz zanadto na naszę łatwowierność; gotowiśmy się spostrzedz, że jéj nadużywasz.

Tak mnie zapewnie zagadnie czytelnik łaskawy.

Uznaję sprawiedliwość tego zarzutu; zaraz tedy przystępuję do opowiedzenia całego toku rzeczy.

„Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi", mówi stare nasze przysłowie. Sprawdziłem je raz jeszcze wyjeżdżając z Kordoby. Wsiadam na Pegaza, wzbijam się pod obłoki i wołam: „na północ, Pegazie! do Toledo!"

— Za kogo mię bierzesz? —rzecze Pegaz —chyba za konia pocztarskiego, któremu za złotówkę na milę, możesz kazać

biedz w którą chcesz stronę. Nie tak ze mną; do Toledo tą razą nie pojedziesz, tylko prosto do Granady.

— A to dlaczego nie? Chciałbym wiedzieć — zapytam zdziwiony.

— Najprzód dlatego, że mi się nie chce; potém dlatego, że tam wybuchnie jutro *pronunciamiento* ludowe; potrzecie dlatego, że inną razą tam będziesz, wiém o tém.

— Więc i w księdze przeznaczenia czytać umiész, Pegazie, i wiész co się stanie?

— Wiém doskonale. A cóż dziwnego? wszakże i niektórzy ludzie przewidują przyszłość: masz góralów szkockich, Nostradama, pannę Lenormand, i pana Thiersa. Pan Thiers naprzykład przewidzi, że pojutrze spadną raptownie papiéry hiszpańskie w skutek rokoszu toledańskiego, i że się za kilka tygodni po wygnaniu Espartery znacznie podniosą, i już w ciągłym stanie podniesienia pozostaną.

— Tak przewidzi! Zapewnie za pomocą telegrafu na ministeryum spraw zagranicznych—odpowiem Pegazowi.

Pegaz śmiał się do rozpuku; nigdy nie widziałem konia tak serdecznie ubawionego.

— Nie bój się; przewidzi on i inne jeszcze rzeczy: przewidzi, że zero choćby było w świetną szatę historyi obszyte, i choćby na polach Elizejskich mieszkało, zawsze jest tylko karnawałową farsą. Ale tu nie o to idzie. Pojmuję ja zacne powody, dla których chciałeś zwiedzić Toledo. Życzysz sobie odkopać wszystkie ślady istności Maurów, i z tych pamiątek przeszłości sądzić o ich przyszłości. Opowiem ci tedy, co tam później znajdziesz, tak wiernie, jak ty opowiadasz twoim czytelnikom to, coś widział i uczuł w twoich wędrówkach. Tymczasem puścim się ku Granadzie i przebieżymy tę część Andaluzyi, która najmniéj jest powabną.

— Toledo nazwano twarzą Hiszpanii, dlatego, że żadne z miast półwyspu nie jest tak smutném i imponującém; nigdzie wspomnienie melancholiczne przeszłości nie wybiło się na kamieniu w rysach tak wyraźnych i tak wspaniałych. Toledo jest miastem starodawném, założoném przez ród, którym dziś Hiszpanie prawie się brzydzą.

— Przez Anglików?—zapytałem.

— Oh! jaki anachronizm! Anglików wówczas jeszcze wcale nie było na świecie. Anglicy są narodem nowożytnéj fabrykacyi.

Żydzi to, żydzi założyli Toledo jeszcze przed przyjściem Gotów do Hiszpanii. „Tol-e-doth po hebrajsku znaczy miasto starożytnych rodzajów. Takjest, żydzi założyli Toledo.

— Patrzaj! ja myślałem, że żydzi nie zakładają miast, tylko banki i loterye.

— Myliłeś się. Toledo jest zbudowaném jak gdyby nigdy przepaść nie miało, ani też mogło. Wszystko tu silne i wieczyste. Domy jak zamki zbudowane na opoce 2500 stóp nad powierzchnią morza wystającéj, a w każdym domu tylko jedna rodzina. Tag otacza miasto z trzech stron; bramy strzeżone wieżami i posągami świętych zasłaniają je od strony lądu; mnóstwo fontan starożytnych, ale rzadko która bije. Dawny zamek Maurów, upiększony wielkim kosztem przez Karola Vgo, góruje nad całą okolicą.—Tak skończył Pegaz, ja zaś dodam tutaj, com rok później widział w Toledo: kościołów prócz katedralnego jest tu 26, z których sześć tak nazwanych mozarabskich (*z Arabów żyjących*, językiem arabskim), tojest kościołów chrześciańskich założonych przez Gotów, a tolerowanych przez Maurów za ich panowania. Zresztą dziewięć jeszcze jest kaplic, a było 14 klasztorów męzkich, 23 żeńskich niedawnemi czasy; szpitalów 10, akademij duchownych trzy. Niebraknie tedy przybytków dla chwały Boga. Tutaj się także piérwsze zbierały *Concilia*. Na *Zacodowar*, najstarszym rynku miasta, znajduje się kaplica z cudowną statuą *del sanctissimo Cristo de la sangre*. Statua ta wiele wyleczyła chorych.

Katedra toledańska jest przedziwną bazyliką. Jéj dziś śpiące echa brzmiały niegdyś potężnie wymownym głosem świętego Izydora z Sewilli i św. Ildefonsa na owym sławnym zborze, w którym kapłani naszéj religii wystąpili w obronie sprawiedliwości i praw ludzkości. Znali piérwsi chrześcianie daleko lepiéj wzniosłego ducha ewangelii, niż następnie w wiekach średnich. Nie wszystkim może wiadomo, że pierwotny *rytus* chrześciański różnił się znacznie od późniejszego, przyjętego w Hiszpanii r. 1086. W tym roku odprawiono piérwszą mszą georgiańską w Toledzie; to znaczy, że dopiéro wówczas zaprowadzonym został rytuał rzymsko-katolicki, bezżeństwo księży i spowiedź do Hiszpanii.

Fundamenta katedry toledańskiéj położono już za czasów gotyckich. Każda epoka obdarzyła ją późniéj dodatkami według panującego smaku. Królowie, pielgrzymi i żebracy przyczyniali się do budowy przez wiele wieków. Jako całość mniéj jest pię-

kną jak sewilska, ale w szczegółach zawiéra uroki, które tamta, daleko nowsza, nie posiada. Rozliczne kaplice i groby, ganki i chóry, portale i portyki, sale kapituły i cele mnichów, przedstawiają nieocenioną kronikę w piśmie lapidarném. A któż kiedy widział coś równie majestatycznego, a zarazem nadobnego, jak owa wieża toledańska? Jest ona niezaprzeczenie najcudniejszym utworem architektury. Dzwonów w niéj 30; największy waży 45,000 funtów, ale jest nadpęknięty.

Środek katedry podzielonym jest na pięć naw, a spoczywa na 84 kolumnach. Średnia nawa ma 160 stóp wysokości. Szyby kolorowe, iskrzące się jak rubiny przy złotém świetle zachodzącego słońca, rzucają magiczną jasność na owe fantastyczne ozdoby, któremi Maurowie przyozdobili tę świątynię. Pióro najwymowniejsze nie może dać wyobrażenia o uroku téj przedziwnéj gry kolorów. Kaplica poświęcona Najświętszéj Pannie (Virgen del Sagrario) cała jest z purpurowego, czarnego i białego marmuru. Sama jéj statua, zrobiona z ciemnego drzewa jeszcze w VII wieku ery chrześciańskiéj, okryta jest płaszczem utkanym całkowicie z pereł. Cały ubiór téj statuy do dziś dnia istnieje, i przechodzi w wartości garderobę najbogatszéj królowéj ziemi.

Capilla de los reyes jest kaplicą, w któréj pięciu królów z XIV wieku pochowali.

Na brzegu Tagu stoi pałac królewski z wysokim belwederem, Miradorem zwanym. Pałac ten wybudować kazał ten sam król Rodryk, o którym podanie głosi, że się kazał żywcem z jadowitym wężem pochować. Do pałacu królewskiego przytykały niegdyś obszerne łaźnie owego zamku, który teraz leży w gruzach. Zamek należał do hrabiego Juliana, a w tych łazienkach Rodryk z córką hrabiego dokonał dzieła, które go przyprawiło o utratę korony, królestwa i życia. Ojciec dla zemszczenia się za krzywdę wyrządzoną córce, dał na łup Maurom własną swą ojczyznę.

Z Miradoru pyszny widok na spadziste skały, przeciwległe górom toledańskim: na ten labirynt granitowy, kryjący w sobie przepaści, pieczary i jaskinie, w których drapieżne zwierzęta, partyzanci i bandyci zawsze gościnny przytułek znajdują.

Daléj oko sięga aż na niwy królestwa Manszy, klassycznéj ziemi bohaterskiego Don Quichota; widzimy nawet przez perspektywę owe wiatraki, które dobroduszny rycerz wziął za olbrzymów.

Tagus pod Toledo jest szeroką, wartką rzeką; toczy swe nurty śmiało i odważnie, jak niegdyś Hiszpania losu swego koleje; ale i most toledański pyszny, pyszniejszy od paryzkiego *Pont neuf*. Na pięciu olbrzymich łukach przekracza most bystrą rzekę; stoi tu niezachwiany od przeszło sześciu wieków, choć zbałwaniona rzeka ciągle się sili zwalić go w swe odmęty. Dwieście kilkadziesiąt lat temu kazał go odnowić i posągami świętych ozdobić, własnym swym groszem, (choć to nie jest wyryte ani na kamieniu, ani na miedzi, tylko w pamięci ludu), własnym swym kosztem arcybiskup toledański don Pedro de Tenorio, godny prałat, choć krewny owego Don Juana de Tenorio, którego zwłoki złożone w klasztorze de la Caridad w Sewilli.

Szpital toledański założony jeszcze przez Maurów, zdumiewa swym ogromem, wspaniałością i przepychem. Schody marmurowe, również piękne i okazałe jak schody prowadzące do podwoij Luwru, wiodą na sale chorych. Mnóstwo arabskich napisów nad wszystkiemi bramami i drzwiami; mnóstwo oddziałów dowodzących, że Maurowie musieli miéć jasne wyobrażenie o różnicy i różności chorób. Przy każdéj sali znajduje się oddzielny korytarz z łazienkami, dziś jeszcze tak czystemi, jak gdyby były w tym roku postawione. Wszystko z dobrego siwego marmuru, opierającego się najlepiéj wpływom czasu i ognia. Fontan pełno wszędzie, ale mała ich część zawiéra wodę; te tylko, do których płynny żywioł sprowadzić można cysternami. Dawniéj woda zasilająca fontanny sprowadzaną była szczelnym, hermetycznym wodociągiem z gór naprzeciwległych, z odległości trzymilowéj, i wnoszoną na dachy szpitala do wysokiego marmurowego rezerwoaru prawem własnéj ciężkości. Utrzymanie takiego, powietrze nieprzepuszczającego wodociągu, musiało niezmierne pożerać koszta; chrześcianie zaniechali téj pracy. Dziś szpital toledański nie jest nawet cieniem tego, czém był za Maurów.

Trzeba przyznać, że naród, który miał tak wysokie a zarazem delikatne wyobrażenie o powinnościach swych względem bliźnich nędznych i cierpiących, nie mógł być wyzutym z bardzo jasnych pojęć o godności człowieczeństwa.

O wy wielcy ludzie, którzy tyle rozprawiacie o prawach ludzkości, o powinnościach bogatych względem ubogich, wpadliście wy choć raz w życiu waszém na myśl, że każdemu cierpiącemu należą się od *piérwszego lepszego zdrowego*, który go spostrzeże, takie względy, jakiemi Maurowie otaczali swych bliźnich?! To je-

dnakże zdanie, na bramie prowadzącéj do szpitala toledańskiego jest wyryte na marmurze, i ręczę, że było w życiu praktykowaném, bo Maur nie dlatego zdania szlachetne upowszechniał, żeby niemi świat durzył, ale dlatego, żeby ludzkość w nie wierzyła, żeby każdy z ludzi według nich postępował. Więcéj w owych czasach było wiary w skuteczność postanowień ludzkich, jak dziś, kiedy nam wyższe światło przyświeca, a niższe uczucia przewodniczą.

Toledanie dzisiejsi marzą wiele, a mało czynią. W oryentalném marzeniu pogrążeni, duszą przyjęli wiarę w przeznaczenie, a ciałem idą za natchnieniem namiętności, prowadzących do gnuśności. Z założonemi rękoma spoglądają na widoczny, ciągle wzrastający upadek rodzinnego miasta! Ale duma ich dlatego nie upada. Gdy się przesuwają przez ulice, wyglądają jak cienie owych wielkich panów i rycerzy, którzy niegdyś ożywiali świetne miasto Toledo swemi czynami.

Toledo liczyło niegdyś 200,000 mieszkańców, a dziś liczy zaledwie 15,000.

Tyle o Toledo tą razą w tém miejscu, i o tyle tylko, ile potrzeba dla ocenienia reszty tych wspomnień.

Bieżymy ciągle ku Granadzie. Już nam się w oddaleniu ukazują zębate, sosnami porosłe szczyty Sierry de Arenas, już nas dochodzi aromatyczny powiéw z dziwnie ułożonych wierzchołków pasma gór Jarana; już nawet wyrasta na oddalonym widnokręgu śnieżna piramida zwana Picacho de Veleta. W kilka chwil późniéj odsłonił się ze strony południa majestatyczny łańcuch Sierry Nevada, odsłonił się jak wał olbrzymich kryształów, pławiących się w eterze nieba i igrających z przeciągającemi chmury. Czasem i chmury się rozdąsały, błyskawice całe pasmo purpurą zalewały, i firmament okropnym odgłosem napełniały. Ale to nie porusza bynajmniéj ogromnego łańcucha! stoi jak wał ręką Tytanów wzniesiony, i drwi z gniewu żywiołów.

Nizkie pasmo Sierry Elviry przegradza nas od Granady, rozpostartéj jak ogród na stopach gór Nevada; ale i Elvira ustępuje pod skrzydłami Pegaza, i w stronie południowéj błyskają w pomroku wieczornym śnieżne szeregi pałaców i domów królewskiego miasta Granady; błyskają jak widma czasów przeszłych.

Granada jest jedném z tych uprzywilejowanych miejsc, które z żadném innem porównać nie można, ale które pałającemi ry-

sami wpisują się w pamięć podróżnika. Ten, który na widok tego raju nie wpadnie w zachwycenie; ten, który na widok téj szczęsnéj krainy, łączącéj w sobie wszystkie uroki Północy i Południa, pozostanie oziębłym: ten pewno nie umié cenić żadnych cudów ani dobrodziejstw przyrody.

A komu powietrze Granady nie wskrzesi w pamięci długiego szeregu fantastycznych snów młodości, ten niech sobie sam wyzna, że tylko do grubéj jest stworzony materyi, że umysł jego więziony w ciasnych granicach, nie zdoła nigdy wznieść się nad poziom.

Granado, mam cię przed sobą! Tętnią mi w uszach nieśmiertelne słowa ulubionego naszego wieszcza, które wpisały już w dzieciństwie imię twe i Almanzora w głąb mego serca. Przecież choć jedno z mych najdroższych życzeń urzeczywistnione!

Mijamy laski, parki, plantacye i ogrody, otaczające Granadę atmosferą uroczéj woni; już jesteśmy na przedmieściu Elviry, gdzie wieść doszła Boabdila, że Alama wzięta; już stajemy na wielkim *placu tryumfu*, na którym Izabella królowa Arragonu i Kastylii d. 6 stycznia roku 1492, na czele swojego zwycięzkiego wojska Bogu dziękowała za zdobycie Granady.

Ciągną mię do hotelu Minerwy, najlepszego w całém mieście.

— Nie, ja nie chcę mieszkać w hotelu, pomiędzy francuzkiemi komiwojażerami i angielskiemi turystami: ja chcę mieszkać w samym obrębie Alhambry, choćby na dziedzińcu, na którym ścięto Abencerragów!—zawołałem zniecierpliwiony naleganiami.

— I możesz miéć to szczęście, o cudzoziemcze!—rzeknie do mnie człowiek już podeszłego wieku.

— Kto jesteś, Sennor?—zapytałem.

— Jestem Mateo Ximenes, *el hijo de la Alhambra* (syn Alhambry).

— Ha! to ty Mateo Ximenes, który przed szesnastu laty Washingtonowi Irving służyłeś za przewodnika, i przez niego w swoich powieściach o Alhambrze uwiecznionym zostałeś? Daj mi twą rękę Mateo Ximenes, wierny synu Alhambry, potomku przodków, którzy od czterech wieków stary gród Maurów zamieszkują; przyjmuję zaproszenie, gościć będę u ciebie.

Ah, jaki to nieoceniony człowiek, ten Mateo Ximenes! On zna na palcach całą historyą Granady, i opowiedzieć ją umié

tak pięknie i dźwięcznie. Jemu duchy Zegrysów i Abencerragów powierzyły wszystkie tajemnice. Zobaczym to później.

Po drodze do Alhambry, w wąwozie snującym się pomiędzy krzewami najpiękniejszych kwiatów, czekała mnie jeszcze jedna niespodziana i niewypowiedziana radość.

Tu, pod tém niebem spotkałem rodaka!...

Jakżeż nie mam kochać Granady? Tyle uroczych, błogich wspomnień w niéj się łączy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAMIEŃ W SARBIEWIE

W KOŚCIELE PARAFIALNYM



Objaśnienia

Miara łokcia

Długość kamienia łokci 3 Cwierć 1. Szerokość kamienia łokci 2. Od brze

O NAGROBKU W SARBIEWIE.

PRZEZ

Kajetana Kwiatkowskiego.

(Z ryciną).

Jak miłe być powinny dla każdego wszelkie starożytne pamiątki krajowe, pozostałe po przodkach naszych w dawnych napisach na różnych gmachach, w malowaniach, w portretach, rzeźbach, i nagrobkach; tak obowiązkiem jest każdego mieszkańca, podobne pomniki zachowywać od zniszczenia, już dosyć samym srogim zębem czasu wątlejące, miéć w poszanowaniu, i do dalszéj potomności w ochronie przekazać. A przecież, ileżto starodawnych drogich pamiątek, przez nieczułość, niedbalstwo, i lekceważenie, nie doszło oczu naszych, i na zawsze dla potomności zaginęło! Ileżto nieraz zdarzyło mi się widziéć w kraju naszym po zamkach dawnych, po spustoszonych pałacach, po świątyniach kościelnych, sponiewieranych i w kąt wrzuconych obrazów, portretów i odwiecznych napisów, a marmurowe lub kamienne nagrobki, na schody, progi, albo na wysłanie ścieszek, na podłogi w kruchtach użyte, lub przy restauracyach kościołów pod ściany na cmentarz wyrzucone, poszczerbione i potłuczone, a całkowite zaś na potrzeby gospodarskie obrócone zostały. Smutna to jest rzecz dla obywatela wspominać o obojętności tego rodzaju, osób nawet takich, które z powołania, lub ze stopnia wychowania i oświecenia swego, inaczéj szanować, inaczéjby cenić takie rzeczy powinne; owszem być onych stróżami wiernemi i zachowawcami gorliwemi należałoby. Starowolski jeden dawném dziełem swojém ogromném 1655 r. pod tytułem: *Monumenta Sarmatarum*, i inni zbieracze napisów z kościołów krakowskich, jakoto Michał Sołtyk 1785 r. na wdzięczność naszę zasłużyli, lubo naśladowców dotąd nie zyskali. Nie bierzemy przykładu

z krajów obcych, jak tam jest w poszanowaniu każda dawna krajowa pamiątka. Gdzie niepotrzeba żadnego bodźca, żadnéj zachęty lub przypomnienia; bo tam już zdaje się, że weszło w naturę każdego krajowca uczucie téj miłéj i szlachetnéj powinności, przesyłania do pamięci w potomne wieki, śladów jak najdawniejszych pomników od przodków zostawionych.

W tym duchu i ja ratując od zatracenia w pamięci starożytny od lat 330 pomnik grobowy, podaję do wiadomości potomnym czasom opisanie.

W dobrach dłużniewskich, obywatela ś. p. Karola Kwiatkowskiego, przed pół rokiem zmarłego, dziedzicznych, we wsi Sarbiewie, gniazdowéj owego księdza Kazimiérza Sarbiewskiego Jezuity, tak słynnego z poezyi w łacińskim języku (Horacym polskim zwanego), pod Płońskiem, miasteczkiem powiatowém byłego województwa płockiego położonéj, jest kościół parafialny, w którym na środku kościoła znajduje się nagrobek z kamienia ciosowego piaskowego, wyrobiony w ten sposób. Na środku kamienia długości łokci 3¼ wyrażony jest robotą wypukłą herb Dołęga zwany; pod nim poniżéj rok liczbą kościelną 1519; na rogach grobowego tego kamienia są (także wypukłe) symbola czterech ewangelistów, i napis od chodzenia po nim już zacierający się, z czterech stron przy brzegach kamienia literami gockiemi z XIVgo wieku, taki w skróceniach: *Magnifico Zawisio de Dlusniewo Castellano Plocensio paleum domina uxor lamentans posuit.* Wielmożnemu Zawiszy Dłużniewskiemu kasztelanowi płockiemu kamień (ten) pani małżonka opłakująca położyła.—Jakoż istotnie w herbarzu Niesieckiego w tomie I, na str. 225, jest umieszczony w spisie kasztelanów płockich około tego czasu dziesiąty w rzędzie Zawisza Dłużniewski herbu Dołęga. Przed lat 300 i więcéj, Zawisza było imię za chrzestne brane, późniéj z wiekami za nazwisko familii znakomitéj służy, tak, jak się to z innemi imionami chrzestnemi stało; naprzykład Bogusz, Bronisz, Dobek, Hebda, Jarosz, Jordan, Niemiera, Żegota i t. p., z imion w nazwiska familijne z czasami obrócone. Wymieniony na kamieniu grobowym Dłużniewski był właścicielem Dłużniewa, wsi o pół ćwierci mili tylko od Sarbiewa odległéj; więc jako w swoim parafialnym kościele pochowany został.

Dołączony tu wizerunek kamienia, lepiéj go czytelnikowi wyobrazi.

Pisałem w Warszawie, d. 11 września 1850 r.

KRONIKA LITERACKA.

Athenaeum. Pismo zbiorowe, poświęcone historyi, filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. *Rok 1849, tomów 6. Rok 1850, tom 1—5. Wilno.*

Rubon. Pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznéj rozrywce. Wydawca Kazimierz Bujnicki. *Serya V, tom 1, 2 (całego zbioru 9 i 10). Z rycinami. 1849. Wilno.*

Athenaeum mieści w sobie artykuły celniejszéj wartości, niż którekolwiek inne pismo zbiorowe, wychodzące w Wilnie lub Kijowie. Znaczną jego część sam wydawca zapełnia swojemi pracami. Jednakże Athenaeum nie cieszy się równém powodzeniem, co inne pisma pana Kraszewskiego. Nie obudziło ogólniejszego zajęcia; nie przywiązało czytającéj publiczności do swego istnienia, i ta głuchą została na ponawiające się do niéj odezwy wydawcy, co, jak bicia z dział tonącego okrętu, dają znać o niebezpieczeństwie i spiesznego wzywają ratunku.

Niecała w tém wina ciąży obojętną publiczność. Pismo zbiorowe, rodzaj publikacyi wątpliwych zalet, i tylko okolicznościami wywołany, tém lepiéj odpowiada swemu celowi, im się więcéj do natury pisma peryodycznego zbliża: tém mniéj usprawiedliwia potrzebę swego istnienia, im daléj od tego wzoru odchodzi. Pod tym względem, Athenaeum, mniéj może niż inne publikacye jednego z niém rodzaju, czyni zadość słusznym wymaganiom publiczności. Kilka dzieł na kawałki pociętych i tak obok siebie drukowanych, nie utrzymają pisma zbiorowego. Bez żadnéj dla kogobądź straty, owszem, z istotną dla tych dzieł korzyścią, mogłyby wyjść oddzielnie, jak też po większéj części w oddrukach wyszły zamieszczone w Athenaeum za rok 1849 artykuły. Poszyty z roku 1850

więcéj okazują rozmaitości, ale w tym roku Athenaeum zanadto zapożyczyło się u zagranicznych *Revues*.

Sprawozdanie nasze zaczniemy od utworu damy, nie dla saméj grzeczności, lecz że w nim widzimy najcelniejszą ozdobę Athenaeum. Chcemy mówić o Wspomnieniach podróży do Syberyi, i pobytu w Berezowie p. Ewy Felińskiéj. Oddawna nie czytaliśmy w naszym języku równie zajmującego, i z równą dokładnością skreślonego opisu dalekiéj strony.

P. Felińska, o któréj osobistych stosunkach nic wiemy więcéj nad to, cośmy w jéj Wspomnieniach wyczytali, zlekka tylko i mimochodem tych stosunków dotyka. Jestto dla nas jednym powodem więcéj do pominięcia wszystkiego, co się osobistości autorki tyczy; oceniamy jéj podróż tak prawie, jakby ją odbył wędrowiec od siebie tylko zależny, i dla pożytku drugich, lub zaspokojenia własnéj ciekawości, drogę przedsiębiorący.

W roku 1839 dnia 23 marca (n. s.), pani Felińska opuściła Kijów. Przebywszy po lodzie Dniepr, mocno jeszcze w téj porze zamarzły, potém Oreł, Tułę, Riazań, puszczę muromską, Niżny Nowogród, Kazań, Perm, poryte bogatemi kopalniami pasmo Uralu, i Ekaterynburg, podróżna stanęła nakoniec w Tobolsku. Podróż odbyta saniami trwała miesiąc; po drodze pani Felińska nigdzie się nie zatrzymywała, w przelocie tylko kreśląc kilka wrażeń i wypadków podróży.

Po kilku dniach odpoczynku, 29 kwietnia, pani Felińska puściła się znowu saniami do Berezowa, miejsca swego przeznaczenia. Podróż tą razą odbywała się po rzece. Taki jest sposób podróżowania na Syberyi, zwłaszcza ku północy. Latem jest jeszcze od Tobolska w tym kierunku droga pocztowa, idąca do Bronikowa, wioski o 36 wiorst odległéj; lecz daléj ustaje wszelka kommunikacya lądowa, i w każdéj porze koryta rzek stanowią jedyną drogę. Zimą, a zima trwa tam więcéj siedmiu miesięcy, jedzie się po zamarzłym ich grzbiecie; w lecie podróż odbywa się statkami. W porze niepewnéj, gdy rzeka rozpuszcza lub lód ją ściskać zaczyna, nie ma żadnéj kommunikacyi.

Na taką porę właśnie trafiła pani Felińska. Irtysz rozpuszczać zaczął, jechać daléj było niepodobieństwem; wypadło wrócić lądem z Bronikowa do Tobolska i oczekiwać w tém mieście otwarcia spławu.

Przez kilka tygodni przedłużył się pobyt p. Felińskiéj w Tobolsku. Czytajmy, jak opisuje to miasto i swoje wśród niego wycieczki:

„Wiosna przybliżała się żywym krokiem, śniegi topniały, ulice się oczyszczały; a ponieważ dolna część miasta w któréj mieszkaliśmy jest wyłożona zamiast bruku drewnianym mostem: bardzo prędko korzystając

z pięknéj pory wiosennéj, mogłyśmy używać przechadzek i zaznajamiać się z tutejszém miastem.

Tobolsk leży na prawym brzegu Irtysza, w większéj części złożony z domów drewnianych, które bez tynku, rzadko zewnątrz malowane, wyglądają szaro, a zatém wcale niewesoły dają pozór miastu.

Jest jednak kilka cerkwi murowanych i kilka takichże gmachów, oraz kilka domów bogatych kupców.

.....Skierowaliśmy przechadzkę nad brzeg Irtyszu. Wielka błoń zalegająca nadbrzeża téj rzeki, zalana wodą, wspaniały przedstawiała widok. Ścigając wzrokiem płaszczyznę równą jak tafla zwierciadlana, oko ginęło w przestrzeni, dostrzegając tylko zdaleka między błoniami, gościniec siny, szeroki, malujący się coraz wyraźniéj, wyraźniéj, nakoniec łącząc się z Irtyszem, stanowiący jednę całość. Tym gościńcem Tobola przybywając z zachodu, przynosi w dani Irtyszowi swe obfite wody.

Przestrzeń ta wody płaska jak szyba, nie przecięta ani ograniczona żadnym innym widokiem, niemająca innéj krawędzi nad błękit nieba, dziwnie nastrajała wyobraźnią. Oko duszy rozprzestrzenia wyobraźnią, umysł jest nieścigniony w swym locie, ale dla oka zmysłowego podobny widok, to nieskończoność.

Wracając, zajrzałyśmy do publicznego ogrodu. Jestto mały kawałek ziemi zasadzonéj brzozami i akacyami żółtemi, między któremi wiją się gracowane drożyny. Tu i owdzie rozrzucone ławeczki do siedzenia; wreszcie jest tam dom zbudowany dla zabawy publicznéj.

Może, gdybym zwiedzała w innéj porze ten ogród, wydałby mi się korzystniéj; ale przy drzewach z liści ogołoconych, które można palcem policzyć, przy wilgoci zresztą i nieczystości nieuchronnéj w téj porze, ogródek ten wydał mi się bardzo lichym...,

....Dwudziestego siódmego maja, wiosna zaczęła przymilać się piérwszym uśmiechem młodości. Brzozy przy ciepłym wietrze powiewały spuszczonemi warkoczami zieloności, walczącéj jeszcze z szarością zimy. Już trawka zieleniała, skromne kwiatki wiosenne nieśmiało wyścibiały do słońca różnobarwne główki. Promienie słońca mocno dogrzewały".

We dwa dni potém, p. Felińska wypłynęła z Tobolska statkiem należącym do kupca Brahima.

Statek ów, przeznaczony na morze Obskie, dla przyjęcia ładunku ryb, był jeden z większych między odbywającemi corocznie żeglugę na morze Lodowate. Unosić mógł dziesięć do jedénastu tysięcy pudów. Nasza podróżna i jéj towarzyszka panna Rzążewska, znalazły na nim przygotowaną dla siebie kajutę czyli mały pokoik pod pokładem, jedyny,

jaki się znajdował na statku ciasny wprawdzie, dość ciemny, a nawet zapakowany skórami i wódką, które nie nader miłą woń wydawały, ale nieocenionéj wartości, jako własny kącik.

Kilku innych podróżnych mieściło się jak mogło na worach mąki, będącéj głównym ładunkiem statku, przeznaczonéj na potrzeby Berezowa i Obdorska, a razem jako towar, za który się nabywa ryby lub inne produkcye mieszkańców przymorskich. Wory te służyły za siedzenie, łóżka i stoły, a kawał miejsca próżnego w środku statku był jakby salą ogólną.

Podróż wodna, mimo wiatrów czasem przeciwnych i burz na Irtyszu i Obie, szła dosyć szybko.

Irtysz na wiosnę na wiorst kilka szeroko rozlewa swoje mętne wody; płynie bystro, ścieśniony wysokiemi górami. Wzniosłe brzegi okryte są lasem po większéj części cedrowym; podnóża tych wzniosłości i wyspy porosłe są gęstemi wierzbami.

Kilka zaledwie osad urozmaica widok nadbrzeżny; na północ od Demiańska (200 wiorst za Tobolskiem), znikają wszelkie ślady rolnictwa. W miarę posuwania się na północ znikała zieloność wiosenna, a skracały się godziny nocy. Zimno było bardzo przykre i wiatr północny śniegu napędzał. Po tygodniu żeglugi, statek minąwszy osadę Samarów, leżącą przy ujściu Irtyszu do Oby i będącą środkowym punktem między Tobolskiem i Berezowem, wpłynął na Ob.

Ob toczy swoje bogate wody, przezroczystsze od wód Irtyszu, po szerokiéj na wiorst kilkadziesiąt płaszczyznie, a rozdzielając się na rozliczne gałęzie, tworzy z niéj niezrachowaną prawie ilość wysep, porosłych płaczącemi wierzbami. Po dwóch stronach płaszczyzny, wyniosłe brzegi okryte cedrami, modrzewiem i jedliną, rozpoczynają ląd panujący nad płaskiém łożyskiem rzeki.

Brzegi Oby choć są jedynóm zbiegowiskiem ludności całego kraju, bo massa lądu jest niezamieszkałą, przecież tak są puste, że ledwie co wiorst kilkadziesiąt można napotkać jurtę ostyacką. Krajobraz nie zmieniał fizyonomii, tylko coraz puściéj, puściéj: tylko ogromne głazy zaległy wybrzeża i łożysko rzeki, sterczące zpod wody łysemi wierzchołkami. Zdawało się (mówi p. Felińska), że te massy kamienne w fantastycznych formach porozrzucane w wielkiéj ilości, ogromnością rozmiarów chciały sprostać dzikiéj wielkości tamecznego przyrodzenia.

Nakoniec opuszczając Ob, podróżni, czternastego dnia żeglugi, 12 czerwca wpłynęli na rzekę Soświ wpadającą do Oby, mniejszą od niéj, lecz jeszcze bardzo znaczną, i wkrótce dał się na statku słyszéć okrzyk: Berezów! Berezów!

Na ten odgłos podróżni wbiegli na pokład, jakby chcąc własnemi oczami zapewnić się o prawdzie. Po chwili mogli rozeznać miasteczko, złożone z małych drewnianych domków, najwięcéj o piętrze, ale zczerniałych od dészczu. Dwie murowane cerkwie i jeden dom duży, żółto malowany, drewniany jak reszta, zbudowany na wzgórzu, wyróżniały się z ogółu. Wyjąwszy stronę przypierającą do rzeki, wokoło las cedrowy opasywał miasteczko, które zupełnie zdawało się z niego wyglądać.

Jednakże na brzegu mnóstwo ludzi różnéj płci, różnego stanu i wieku, czekało na wylądowanie statku, witającego ich trzema wystrzałami z małéj, ale hucznéj armatki. Kolorowe sukienki, mantyle, chustki, pstrzyły się jak kwiatki. Ludzi było jak na jarmarku.

Ta ciżba, ten stek ludzi, rozpogodził cokolwiek umysł naszéj podróżnéj, wystawiającéj sobie Berezów pod daleko smutniejszemi farbami. Lubo bowiem to miasto jest stołecznem powiatu, do gubernii tobolskiéj należącego, to przecież w Tobolsku tak niedokładne o niém panowały wyobrażenia, że pani Felińska mniemała, iż w niém mléka nawet nie dostanie, i po drodze kupiła sobie na gospodarstwo krowę.

Ta ostrożność okazała się zbyteczną: bydła w Berezowie jest dostatek; za to nie ma tam targu, bo nie ma okolicznych osad, któreby płodami swemi go zasilały. Jestto miasteczko w puszczy.

Poznajmy bliżéj miejsce, w którém p. Felińska miała przepędzić przeszło dwa lata swojego życia; miejsce sławne pobytem i zgonem Menżykowa, Dołgorukiego i Ostermana. Ludność Berezowa składa się po większéj części z Kozaków, stanowiących straż wewnętrzną kraju. Prócz nich jest kilku kupców, trochę mieszczan i urzędników. Lecz mieszczanie, kupcy i Kozacy, wszyscy właściwie zatrudniają się handlem.

„Dzisiejsi Kozacy berezowscy nie przechowali zgoła (mówi pani Felińska) obyczajów męzkich walecznych swych przodków. Widać, że ciągłe bezpieczeństwo uśpiło w nich wojennego ducha. Wszyscy zgnuśnieli i zrobili się przekupniami. Tęsknią za piernatem, za wygodami. Widziałam Kozaków dwudziestoletnich płaczących, jeżeli ich przypadkiem ominęła herbata w porę zwyczajną!

Kozacy berezowscy są na ogólnych prawach kozaczyzny w państwie rossyjskiém; każdy mężczyzna z tego pokolenia musi służyć wojskowo koniecznie od lat 17 do późnéj starości. Aby wiek uwolnił od służby, trzeba, aby zwierzchność uznała niezdolność. Wszakże ta służba ogranicza się lekkiemi obowiązkami, nie ruszając ich daleko od własnych domów. Odbywanie straży w kilku sądownictwach miasta Bere-

zowa i pełnienie służby przy sztabie głównym w Tobolsku kolejno:—oto całe zatrudnienie.

W nagrodę téj służby, rząd uwalnia od podatków i daje mąkę i krupy podług oznaczenia każdemu od wstąpienia do służby.

Z rzędu Kozaków postępują niektórzy na oficerów; wszakże stopień choćby najwyższy daje tylko przywileje osobiste, nie rozciągając się do następców. Syn pułkownika nie jest niczém więcéj, jak prostym Kozakiem, i musi wraz z innemi dobijać się stopnia osobistemi zasługami.

Dawniéj wolno było Kozakom przechodzić do służby cywilnéj lub zapisywać się w mieszczaństwo. Dziś już niewolno.

Wyjąwszy nieuciążliwą służbę, o któréj wspomniałam, Kozacy tém są w Berezowie, czém u nas żydzi. Są przekupniami, sami nic nie produkując. Niczém się sami nie zajmują prócz handlu, nawet ani rybołostwem, ani polowaniem, wyjąwszy łatwe i przyjemne polowanie na kaczki z sieciami. Ryby, zwierzyny, tak stanowiące przedmiot handlu jak i potrzebne do życia, nabywają od Ostyaków. Do zaopatrywania nawet potrzeb dniowych najmują posługaczy Ostyaków".

Zmiękczenie obyczajów zdaje się być powszechném na Syberyi. Wszędzie panuje zwyczaj snu poobiedniego. W Tobolsku zamykają nawet natenczas sklepy. Za to wieczorne czuwanie długo się w noc przeciąga, poświęcone ulubionéj zabawie gry w karty.

Pomimo tych wad zakorzenionych i braku rolnictwa, panuje w Berezowie dostatek a nawet zamożność między wszystkiemi klassami mieszkańców.

„U najbiedniejszéj wyrobnicy", pisze p. F. „co zarabia na życie myciem podłóg i praniem bielizny, znajdziesz na stole chléb dobry, zwierzynę, rybę, pieróg z mięsem lub rybą przynajmniéj co święto; codzień herbatę dla siebie chociażby z wywarków, dla gości konfitury; bieliznę cienką białą: innéj nikt nie nosi; kilka par pięknych sukien, i jeżeli nie więcéj, to przynajmniéj choć jednę salopę od święta materyalną, podszytą lisami lub popielicami z sobolowym kołnierzem."

Ten dobry byt zawdzięcza Berezów handlowi, prowadzonemu na zamianę z Ostyakami i Samojedami. Mąka, noże, siekiery, ćwieczki, tytuń, paciorki szklane, różno-kolorowe blaszki mosiężne służące do ozdób, nawet perkale, kitajki i sukna w jaskrawych kolorach, zastępują tu miejsce pieniędzy i mieniane bywają w stałych ilościach za futra rozmaitego gatunku, ryby i zwierzynę. Zysk na téj zamianie jest niezmierny. Pud np. mąki żytniéj kosztujący w Tobolsku od 25 do 50 kop. as. podrożony transportem o 15 kop. as. wymienia się za skórę białego piesaka, za którą kupcy hurtowi płacą na miejscu w Berezowie rubli as. trzy.

Zyskowny ten handel jest przecież ograniczonym co do wysokości obrotów, a tak mimo dobrego bytu mieszkańców, Berezów nie zdaje się miéć wielkiéj przyszłości. Będzie zawsze rodzajem faktoryi, prowadzonéj nie na rzecz pojedynczéj kompanii, lecz na rzecz wszystkich handlujących rossyjskich. Z ziemi Berezów nic lub mało korzysta. Sieją tam tylko rzepę i rzodkiew. Kartofle w małéj ilości sadzone służą do użytku, lecz nie dochodzą znacznéj wielkości. Kapusta w głowy się nie zwija, a listki jéj używane są tylko do barszczu. Uprawę zboża probował zaprowadzić przed laty Niżegorodcow, najbogatszy kupiec berezowski. W latach cieplejszych otrzymywał nawet plon ze swoich zasiewów, lecz Berezowianie umyślnie je niszczyli; a gdy Niżegorodcow kazał zasiewy płotem opasać, nieprzyjazna ręka w nocy płot spaliła.

Przyczyną téj niechęci było rozszerzone mniemanie, że skoro powiedzie się uprawa, obrócą ich na włościan rolniczych, i każą się trudnić uprawą roli.

Jeżeli jeszcze dodamy rozmaite jagody rosnące po lasach, trawę i siano dla bydła, wyliczymy wszystko, czém ziemia Berezów zasila.

Za to ma on nieprzeliczone mnóstwo ryb najwyborniejszego gatunku i wszelkiéj zwierzyny.

Czytelników szukających opisu stosunków towarzyskich w Berezowie, odsyłamy do dzieła p. Felińskiéj. Napomkniemy tylko, że klassy mieszkańców jakkolwiek mieszające się z sobą, różnią się od siebie ubiorem, i klassy niższe ściśle przestrzegają, aby nikt sobie nie przywłaszczał stroju, który mu nie należy; że umysłowa kultura stoi nizko i tylko zamiłowanie w bajkach i cudowności, jedna czytelników romansom krajowym i tłumaczonym.

W lecie wszyscy prawie Berezowianie wyjeżdżają statkami na morze Obskie, nietyle dla połowu ryb, co dla nabycia ich przez zamianę od Ostyaków.

W zimie wielu udaje się na jarmark obdorski. Obdorsk leżący przy ujściu Oby do odnogi morskiéj, jest w tych stronach punktem zamieszkałym, najdaléj na północ posuniętym.

„Raz na rok" pisze p. F. „około połowy grudnia, przyciągają pod Obdorsk ze swemi czumami wszystkie familie koczujące po bezludnéj pustyni, przypierającéj do oceanu Lodowatego, tak Ostyaki jak Samojedy nietylko z powiatu berezowskiego, ale i z gubernii jenissejskiéj, dla zrobienia zamian potrzebnych.

Dzicy ci krajowcy przywożą tam zdobyte przez siebie futra: kupcy zaś z Tobolsku, Surguta i Berezowa przywożą towary zamienne. Z odda-

lonych nawet bardzo okolic, łechtani podnietą dobrych zamian, przywożą płody ruskich wyrobów. Kupczyki z Suzdala, nie uważając na odległość kilku tysięcy werst; przywożą tam drobiazgi, jakoto: igły, śpilki, tasiemki i najokropniejsze sztychy, jak tylko być może, szkoły suzdalskiéj. Zaś z gubernii archangelskiéj przybywają Zirany, mieszkający nad rzeką Peczerą. Są oni dobrze zbudowani, odważni i przemyślni. Mają swój język odrębny, wszakże dobrze mówią po rusku.

Gdy śnieg upadnie i rzeki pozamarzają, ci mieszkańcy znad Peczery zaprzągłszy reny, przez góry Uralskie przebywając tysiące werst, docierają do Obdorska, a nawet do Berezowa, dla załatwienia swych interesów handlowych.

Przywożą swoje płody i wyroby, jakoto: masło, pończochy wełniane, siomgę, postronki, sieci na ryb łowienie, nici, płótno i t. d. W zamian biorą puch z kaczek, skóry renów i inne skóry surowe, kość mamutową, futra, a nawet czasem mąkę".

Na jarmarku też obdorskim, sprawnik powiatu wybiera jesak czyli podatek w futrze od watah czyli pokoleń ostyackich i samojedzkich.

Oba te plemiona wiodą życie koczujące; Samojedy przypierają do morza Lodowatego, Ostyacy koczują więcéj na południe. Piérwsi wyznają szamanizm, drudzy w znacznéj części już się nawrócili. Oba plemiona są łagodnego usposobienia, odznaczają się rzetelnością; ale piérwsi odważniejsi i silniejsi, czasem nabawią kłopot umiejscowe władze, czego ciekawy przykład opowiada p. Felińska, udzielając przytém wiele zajmujących szczegółów o tych plemionach.

Poczyniliśmy tyle wyjątków z dzieła p. Felińskiéj, a nie wyczerpaliśmy ani w części wszystkiego, cośmy w niém zajmującém znaleźli. Musimy przecież spieszyć do innych utworów w Athenaeum zamieszczonych.

P. Kraszewski wydrukował w tém piśmie dwie większe swoje prace: Litwę za Witołda, opowiadanie historyczne, i powieść p. t.: Pan i Szewc.

Litwa za Witołda odznacza się łatwością w opowiadaniu, cechującą wszystko, co zpod pióra p. Kraszewskiego wychodzi. Widać przytém, że autor starał się obznajmić ze źródłami i z nowszemi badaniami źródła te wyświecającemi.

Na tém prawie kończą się zalety, jakie przyznać możemy téj pracy, która, mimo wysokiego szacunku jaki mamy dla talentu pana Kraszewskiego, nie usunęła w nas powątpiewania o jego dziejopisarskiém powołaniu. Kto chce nam przeszłość przedstawić, musi naprzód jéj obraz odtworzyć w swoim umyśle. Jeżeli z pojedynczych rysów, które przechowały dzieje, całéj fizyonomii złożyć i życiem jéj natchnąć nie zdoła, i mar-

twe tylko rysy przeniesie do swego obrazu: praca jego jakkolwiek ją ubarwi, pozostanie w gruncie kompilacyą mniéj lub więcéj szczęśliwie dokonaną.

Gdzie nad ten poziom pan Kraszewski się wznosi, ulega innemu zarzutowi.

Dawno już powiedziano, że talent powieściopisarza trudno się godzi z powołaniem historyka. Przyzwyczajony tworzyć dowolnie postacie, stawiać je w położeniach przez siebie obranych i kierować według upodobania grą zmyślonych wypadków, pisarz powieści zbyt ścieśnionym czuć się musi w opowiadaniu dziejowych wydarzeń; z trudnością przestaje na skromniejszém zadaniu nakreślenia postaci według faktów danych i życia już ubiegłego. Ztąd mimowolny powstaje pociąg zmienić bohatera historyi w bohatéra powieści, tego, który był rzeczywiście, na tego, któryby więcéj warunkom twórczości dogadzał.

Niezupełnie podobno ustrzegł się téj usterki wydawca Athenaeum. Jego Witold co chwila potrąca się o rzeczywistość dziejową; postać narysowana przez pana Kraszewskiego, widocznie nie przystaje do treści opowiadanych faktów. Sam autor, zdaje się, to uczuwał, gdy nieraz na niewytłumaczone zagadki w działaniach swego bohatéra się skarży, (str. 33, tom IIIci), to znowu postępowaniu jego się dziwi, to wreszcie otwarcie z nim się spiera, dość pocieszniе pytając się (jak w tomie IIIcim, str. 40): na co było robić to, lub owo?

Dzieje opowiadane przez pana Kraszewskiego tak niedostatecznie są nam znane, że z nieśmiałością jedynie wynurzymy zdanie, w czém mianowicie uważamy postać Witolda za chybioną w obrazie pana Kraszewskiego. Mniemamy, że autor pomylił się dwojako. Usiłował wykryć więcéj ciągu i jedności w charakterze swego bohatéra, niż na stanowisku uobyczajenia, na jakiém się Witold znajdował, być ich mogło; a pisząc pod wpływem nowoczesnych preokupacyj, zbyt wyłącznie chciał widzieć w Witoldzie bohatéra narodowości litewskiéj.

Tło na którém rysuje się postać Witolda, położenie ówczesne Polski i Litwy, oddane jest dosyć szaro i niewyraźnie.

Są téż i usterki z pośpiechu; np. pod rokiem 1411 (Tom V, str. 5), pan Kraszewski mówi, iż Polacy zawsze Witoldowi niechętni, na niego wrzucali winę, iż potomstwu Jagiellowemu nieżyczliwy, umyślnie nieprawe pochodzenie synowcom swym zadawał:—zarzut przedwczesny, gdy, jak p. Kraszewski o kilkanaście stronnic daléj (str. 23, rok 1413), sam powiada, król wówczas jeszcze innego potomstwa nad Jadwigę nie miał.

Pan i Szewc. Tytuł zapowiada treść powieści. Widzimy w niéj stawione naprzeciw siebie dwa światy, dwie różne klassy społeczeństwa, w grę wprowadzone w życiu dwóch braci.

W Warszawie, na Starém-Mieście, w biédnéj izdebce umiera biédna kobiéta, pozostawiając dwoje małych sierot. Jedną z nich bierze na wychowanie szewc bezdzietny, imieniem Maciéj, drugie, również bezdzietna starościna Mylżyńska; sierotami temi są dwaj bracia: Marek i Jan Porębscy. Starościna oddana życiu światowemu, z początku nie trudni się swoim wychowańcem, w którym przecie domyśla się syna swojéj siostry; oddaje go naprzód na wychowanie murgrabiemu swego pałacu, gdzie w wielkiéj zostaje poniewierce; późniéj troskliwszą o nim mając pieczę, bierze go za pazia. Dziecko pojętne i bystre wcześnie przesiąka zepsuciem wśród którego żyje. Gdy dorósł Jan Porębski, starostwo wysłali go na oficyalistę do Żalic, dóbr swoich w Krakowskiém.

Inne wychowanie otrzymał drugi brat Marek: bogobojne i pracowite. O jednym czasie i tą samą drogą, którą Jan jechał konno do Żalic, szedł Marek pieszo, z tłomoczkiem na plecach na wędrówkę do Krakowa. Zaraz za Warszawą na popasie spotkali się dwaj bracia. Nie widzieli się oni od dzieciństwa; lecz każdy z nich wiedział, że ma brata, a uderzony nadzwyczajném podobieństwem do siebie w drugim, przeczuwał, że w nim tego brata ogląda. Jan chcąc się coś o nieznaném swojém pochodzeniu dowiedzieć, wszedł w rozmowę z Markiem, i z niéj dowodnie o pokrewieństwie się przekonał; lecz wzgardziwszy biednym rzemieślnikiem, poznać mu się nie dał; a Marek nieśmiały, o to pokrewieństwo dopytywać się nie odważył. Scena ta piérwszego spotkania się dwóch braci, należy do najszczęśliwiéj oddanych.

Jan przyjechawszy do Żalic przezwyciężą nieufność rządcy do siebie; z żoną jego wchodzi w stosunki i po jéj owdowieniu żeni się z nią, a tak razem miejsce i majątek rządcy ogarnia.

Starsza od niego małżonka prędko przecież mu obrzydła; szukał innych miłostek. Wpadła mu w oko w sąsiedztwie Anusia, wnuczka gumiennego, który dawniéj służył u jego dziadka Lutyńskiego; zaczął ją ścigać natrętnie. Tu po raz drugi spotkał brata, który w powrocie z Krakowa zaszedł był w te strony, pokochał się w pięknéj Anusi, i z nią się ożenił, dawszy wprzód dobrą odprawę paniczowi, bo na takiego wyglądał Jan Porębski, gdy w zuchwałém natręctwie miarę przebrał.

Umarła nakoniec starościna Mylżyńska. Jan wynalazłszy w ciągu pobytu w Żalicach dowody swego pochodzenia, zgłosił się do spadku po niéj jako siostrzeniec. Zmuszony z powodu wytoczonego przez innych krewnych procesu, do wyjaśnienia swoich stosunków familijnych, wtedy dopiéro przyznał, że ma brata; a wyłudziwszy od niego za marną cenę odstąpienie sobie praw do spadku po ciotce, sam jeden ją odziedziczył.

Zostawszy bogatym, Jan Porębski sprowadził się do Warszawy, wszedł w wyższe towarzystwo, dostał starostwo i wstęgę, i grał w stolicy rolę spanoszonego dorobkowca. Koniec takiéj roli zwykle bywa smutny. Na grę i zbytek strawił Jan Porębski źle nabyty majątek, w końcu znudzony życiem skrócił je sobie trucizną. Konającego już brata pilnował w chorobie szewc Marek i po śmierci pogrzeb mu sprawił, bo go pochować za co nie było.

Marek dorobił się uczciwéj fortunki, żył długo i szczęśliwie. Taka jest krótko zebrana treść powieści.

Niejeden w niéj ustęp szczęśliwie zdarzony, niejeden charakter dobrze oddany. Zajęcie obudzone z początku, trwa do końca. Jeżeli mimo tych zalet powieść Pan i Szewc nie dorównywa najlepszym utworom p. Kraszewskiego, tym, w których świetne strony jego talentu najjaśniéj błyszczą, przyczynę oznaczylibyśmy w tém, że polem działania jest w téj powieści głównie nie wieś, ale miasto.

P. Kraszewski dziwną ma odrazę od miasta i miejskiego życia. Odrazę tę, lub przynajmniéj brak wszelkiéj sympatyi, często nawet wynurzać lubi. O gust indywidualny, bacząc na przysłowie, spierać się nie będziemy, lubo mielibyśmy ochotę: bo uważamy, że gust ten jest w wysokim stopniu anty-cywilizacyjny. Ale łatwo pojąć, ile podobne usposobienie jest niekorzystnem dla pisarza malującego życie miejskie.

Zamiłowanie jest piérwszym, nieodzownym warunkiem udania się każdego artystycznego dzieła. Brak tego zamiłowania wyraźnie czuć się daje w obrazkach miejskich p. Kraszewskiego. Brud i ciasnota tak nieodłącznie towarzyszą u niego każdéj scenie miejskiéj, że w końcu jednostajnością ckliwość obudza. Usiłując oddać mowę pospolitego ludu w Warszawie, okazuje, że jéj z ust tego ludu nie słyszał; używa prowincyonalizmów zupełnie tu nieznanych, pisze np. *taki* w znaczeniu *przecież*. Czucie i rozumienie natury, doskonała harmonia każdéj postaci z otoczeniem, wśród którego pan Kraszewski przywołuje ją do życia; znakomite przymioty, któremi autor Budnika i Ulany nad innych naszych powieściopisarzy celuje—nie znajdując dla siebie w miejskich murach dość rozległego pola, maleją i schodzą na sztukę zręcznego dobierania drobiazgowych akcessoryów, w czém znowu zanadto widoczne jest ubieganie się za efektem, choćby ten miał być osiągnięty kosztem barwy miejscowéj i historycznéj wierności obrazu. Czytając niejeden ustęp powieści pana Kraszewskiego, wydawało nam się, jakby autor zawiele napatrzył się obrazów flamandzkiéj szkoły, lub raczéj jeszcze, jakby zawiele naczytał się nad niemi niemieckich kommentarzy.

Usprawiedliwmy to na przykładzie. Izbę w której umarła matka Jana i Marka, p. Kraszewski tak opisuje:

„„Izba w której się to działo, okazywała najostatniejszą nędzę; nic w niéj sprzętów, nic, coby obiecywało chléb powszedni na jutro. Słoma na której leżała nieszczęśliwa matka, była nawpół przegniłą; ubranie zmarłéj w łachmanach, dzieci lepiéj trochę odziane, ale i ich sukienki ze szmat się składały, pozszywanych tylko dla ogrzania. W kącie na ławie drewnianéj walały się: miska czarna i próżna, garnek rozbity, dwie łyżki drewniane i nóż w prostéj drewnianéj oprawie, jakiego po wsiach do krajania chleba używają. Na ścianach po ćwiekach wisiały podarte szmaty odzienia, okryte kurzem, rzucone na ćwiek z rozpaczą, bo już się na nic nie przydały. U pieca dawno zgasłego, walał się wygrzebywany popiół, w którym nie było już ani jednego węgla; łupiny kartofli zgryziono do szczętu, okrywały podłogę; w dzbanie wody nie stało, leżał wywrócony i suchy".

Obrazowi temu zaiste nie brakuje efektu; widno w nim bogate traktowanie akcessoryów, lecz nie jestże niemi przepełniony? Malarzowi przystałoby nagromadzenie tylu dosadnych szczegółów: ów rozbity garnek, dzban wywrócony, i popiół bez jednego węgielka. On nędzy zmarłéj inaczéj wystawić nie może: jego sztuka przemówić niezdolna, sili się aby dać poznać, co chce wyrazić. Ale p. Kraszewski władając słowem, zapoznaje granice jego potęgi, gdy, mogąc wszystko co zechce nazwać i wypowiedzieć, przyzywa w pomoc tylu symbolów. Zapomniał, że nie pędzel, ale pióro ma w ręku; że w izbie do której nas wprowadza, powinien nam pokazać to tylko, na cobyśmy sami będąc obecnemi zwrócili uwagę. Nikt przecież w obec umarłéj kobiéty i dwojga płaczących sierot, nie będzie spisywał w swéj pamięci inwentarza pozostałych sprzętów, i nie będzie przypatrywał się im tak, jak się przypatruje obrazowi flamandzkiéj szkoły lub rycinie Hogartha. Ta zaś: „rozpacz z jaką rzucono na ćwiek szmaty odzienia, bo się już na nic nie przydało", żywo nam przypomniała kommentarze niemieckich estetyków.

Przywiodłszy sobie wreszcie na pamięć, że rzecz się dzieje na początku panowania Stanisława Augusta, a może jeszcze za Sasa, wolelibyśmy nie widzieć owych łupin kartoflanych okrywających podłogę; w tych czasach kartofle nie wchodziły w skład artykułów, stanowiących pożywienie ludności ubogiéj. Barwę historyczną poświęcono tu dla efektu.

Wolnym od tych wad, naturalniejszym, a więc piękniejszym jest opis domku, w którym Marek w powrocie z Krakowa szuka wypoczynku, i gdzie poznaje Anusię, przyszłą żonę swoję i jéj zgrzybiałego dziada.

.....Ku schyłkowi dnia znalazł się (Marek) przy maleńkiéj chatce, przypartéj do spadzistego wzgórza, obwisłemi krzaki pokrytéj. Słońce zachodzić miało, a podróżny był znużony i zrażony; usiadł więc na kamieniu, i rzuciwszy tłomoczek i kij przy sobie, naprzeciw chatki spoczął. Malownicza to była, choć biédna lepianka. Co za sztuka w téj niewytwornéj budowie! Jednę ścianę zastąpiła góra kamienista; drugą w części stanowił bok parowu; pozostałe dwie z niezmierną pracą związane z pniaków, gałęzi i kawałków drzewa, cudem prawie dach na sobie trzymać się zdawały. Dach ten garbaty porastał prześliczny mech zielono-aksamitnego koloru, którym Bóg stroi stare dęby i ubogich strzechy upadłe. Ponad nim wyglądał troszeczkę stary także i szczerbaty wiérzch komina. Brzozy i sosny na szczycie pagórka porosłe, tuliły chatkę zewsząd i osłaniały. Do jéj drzwiczek wypaczonych trzeba było wchodzić po kilku kamykach chwiejących, a okienko patrzące na południe, tak było maleńkie, tak oszczędnie zaszklone, że ledwie światełko wpuszczać musiało. Z drugiéj strony chaciny, gdzie nie przypierała do parowu, kawałeczek lichéj niwy obrzucony kamieniem, obrosły tarnem stanowił ogródek, z którego tylko wychyliła się dynia, ze swemi liśćmi ogromnemi, żółtym brzuchem i żółtym kwiatem.

....Marek wpatrywał się z jakiémś zadumaniem w drzwi chałupki. Ostatnie słońca blaski padając na dach i główną ścianę lepianki, złociły ją zalotnie, jakby naumyślnie.

Na ciemniejszych barwach parowu i szarych kamieni, gałązki brzóz i drobnych krzewów, odskakiwały ozłocone silném światłem misternie, i drżały w powietrzu migając. Stado szarych wróbli polatywało nad gałęźmi świergocząc.

Gdy Marek jeszcze poglądał na drzwi przymknięte ciekawie, ze skrzypem uchyliły się powoli i starzec z siwą, długą brodą, w szaraczkowéj sukmanie, z kijem w ręku, wysunął naprzód głowę, potém bosą nogę żylastą, aż i cały stanął na kamieniu próg stanowiącym. Zdawał się chcieć przypatrzéć podróżnemu, i zdaleka, zgasłym głosem odezwał się do niego: „Niech będzie pochwalony. Może drogi szukacie"? i t. d.

Po tym obrazku spodziewamy się, że czytelnicy pogodzą się z powieścią p. Kraszewskiego, a on sam, jeśli nas czytać będzie, ze swoim recenzentem.

Gdyby nie obawa o świeżo zawartą zgodę, powiedzielibyśmy jeszcze, że nas raziło cokolwiek tak w téj, jak w innych powieściach p. Kraszewskiego, malowanie charakterów i scen nieszlachetnych w taki sposób, że zdawaćby się mogło, iż autor znajdował szczególne upodobanie w tego rodzaju obrazach; że nauki p. Maciejowéj dawane Markowi

wcale nie są tak proste, jak je p. Kraszewski być mieni i jakiemi zapewne były w ustach staréj szewcowéj, że....Ale dosyć już tego.

Powieść p. Pługa pod tytułem: *Spowiedź*, nie jest ani lepsza, ani gorsza od wielu innych; nie zatrzyma téż nas nad sobą, tak jak owe duchy ani zle ani dobre nie zatrzymały poety, który o nich powiedział:

„Non ragionam di lor ma guarda e passa".

Autor okazał nieco więcéj talentu w małym obrazku, zamieszczonym w tomie V Athenaeum na rok 1850. Godzi się zostawić mu czas do dalszych prób.

Tak szybko przebiegniemy *Listy z podróży* Karola Drzewieckiego, jak on przebiegł Egipt i Nubią. Musi nam wybaczyć szanowny podróżny, że go tak bez ceremonii rzucamy; ale nam spieszno do Pamiętników jego ojca, Józefa Drzewieckiego.

I pocóż zresztą zatrzymalibyśmy się? Obyczajowych obrazów w których kreśleniu istotnego talentu dał dowód pan Drzewiecki w swoich Kontraktach, nie znajdujemy prawie wcale w Listach z podróży. Osnowa ich nie przechodzi zwykłéj miary turystowskich opisów. Prawdziwie mielibyśmy ochotę uwierzyć na słowo autorowi, gdy list piérwszy do p. Kraszewskiego zaczyna od słów:

...„Bawiliśmy trzy dni w Nubii, żeby u was powiedzieć.... widzieliśmy w Nubii, albo, kiedyśmy byli w Nubii".....

Szóstą większych rozmiarów pracą w Athenaeum pomieszczoną, są *Pamiętniki* żyjącego jeszcze Józefa Drzewieckiego.

Józef Drzewiecki urodził się na Wołyniu w Krzemienieckiém, w roku 1772. Szkoły odbył w Krzemieńcu, właśnie w czasie przejścia z wychowania dawanego przez ex-Jezuitów, na dawane przez uczniów akademickich. W roku 1792 obrany w Krzemieńcu delegowanym na obchód rocznicy, przybywszy do Warszawy, uczestniczył w uroczystościach z tego powodu odbytych. Wrócił potém na Wołyń, czas jakiś przepędził w Galicyi, późniéj użyty do różnych działań w roku 1794, pod Maciejowicami dostał się w niewolę. Wyszedłszy z niéj w roku 1796, powziął zaraz myśl, udania się do tworzących się podówczas włoskich legionów. Towarzyszył mu w téj drodze przebrany za służącego Kniażewicz. Przez Kraków, Wiedeń, Pragę dostali się podróżni do Karlsbad; ztamtąd już niedaleko stały posterunki francuzkie. Przyjęci gościnnie i z współczuciem przez generałów Soult'a, Championnet'a i naczelnego wodza armii francuzkiéj w Niemczech Hoche, zdziwili się podróżni, gdy ledwo co przejechawszy granicę francuzką, zupełnie tam przeciwne znaleźli usposobienie.

„Nietylko" mówi p. Drzewiecki „że nam odmówiono doświadczonych wygód i pomocy, ale nawet drogo płacąc, ledwie ich dostać od niechętnych mogliśmy. Gdyśmy się odwoływali, że jesteśmy republikanie, z gniewem odpowiadano, jeśli podobni naszym, to bodajbyście nie przyjeżdżali do nas.... Narzekania wszystkich rozczarowały naszę ułudę, z jakąśmy Francyą ujrzéć się spodziewali, a w ogólności powszechne były przeciwko rewolucyom żale."

Dojechawszy do Nancy, zawrócili nasi podróżni, zrażeni takiém przyjęciem, na drogę ku Szwajcaryi. Przez Zürich, Lausannę i górę św. Bernarda dostali się do Włoch.

Odtąd zaczyna się właściwy interes pamiętników p. Drzewieckiego. Historya jego życia aż do r. 1801 ściśle jest związaną z historyą legionów. Nie braknie przecież zajmujących szczegółów i w piérwszéj, wstępnéj niejako części pamiętników.

P. Drzewiecki lubo bardzo podówczas młody, miał stosunki z ludźmi znakomitą rolę w wypadkach krajowych grającemi; sam był czynny w różnych kierunkach, a co widział, w wiernem wspomnieniu dochował.

Polacy w armii Bonapartego stali wówczas pod Wenecyą, któréj Sułkowski zawiózł był wezwanie do poddania się. Uśmiechały się im nadzieje zwycięztw i przyszłych powodzeń, i pocieszały w przykréj rzeczywistości. Włochy z niechęcią widziały u siebie Francuzów. Werona powstała, a jéj zdobycie Liberacki życiem okupił. Bonaparte chciwym nadziei wskazywał ją zdaleka; lecz nic nie dawało rękojmi, żeby ich uważał za coś więcéj, jak za narzędzie swojéj polityki, żeby na chwilę wahał się ich poświęcić, gdy to uzna dla siebie potrzebném. Wierzono też może więcéj jego gwiaździe niż jego słowom. P. Drzewiecki, który mu się przedstawiał wraz z Kniażewiczem, nie okazuje dlań wielkiego entuzyazmu, ani nie podaje wskazówek, żeby ten entuzyazm w legiach panował.

Oddano Kniażewiczowi dowództwo piérwszéj legii; zaczęto formować drugą, sposobiono się przenieść wojnę bliżéj kraju. Niebawem nagła nastąpiła zmiana. „Jednego wieczora" pisze p. Drzewiecki „przylatuje adjutant Bonapartego z własnoręcznym jego listem. Ja pokój zawieram, zapewne krótkotrwały; wojsko wasze jest z żołnierzy austryackich złożone, na ten odgłos możeby swoje chorągwie opuściło; w chwili odebrania rozkazu wyruszaj WPan forsownym marszem i aż w Bolonii się zatrzymasz, i tym sposobem się ocalisz.

Generałowie potracili głowy: puszczono krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Kniażewicz z połowę swéj energii utracił, legią jednak poprowadził."

W takie nagłe przejścia od nadziei do zwątpienia obfitowały tamte czasy.

Legie weszły w służbę rzeczypospolitéj Cyzalpińskiéj. Bez upoważnienia od jéj rządu, opanował Dąbrowski St. Leo, zamek papiezki, stanął w Pesaro, Fano i zajął Urbino. Niespodziewane okoliczności usprawiedliwiły ten napad; wkrótce odnowiła się wojna, a na legie przyszła kolej stanąć załogą w Rzymie. Po drodze w Imoli poznał autor kardynała Claramonte, późniéj Piusa VII. W Lorecie odprawiły legie wspaniały obchód. Po zajęciu Rzymu przyszła kolej na wojnę z Neapolitańczykami. Jeden ich oddział spędził z placu Kniażewicz pod Falari, drugiemu zabrał obóz Chłopicki pod Maliano, całe wojsko rozproszoném zostało bez walnéj bitwy. Wszystko to dokonano małemi nad podziw siłami, przeciw armii kilka razy liczniejszéj i wśród nieprzyjaznego ludu, nie bez spółudziału jednak i tajnéj pomocy ze strony klass wyższych. „Każdegoby to może zastanowiło, co mi nieraz naówczas przychodziło na myśl" mówi autor. „Francuzi mieli za godło swobody ludów, lud przecie był z ich nieprzyjaciołmi; oni u siebie arystokracyą zgnębili, a do ich fakcyj najznakomitsze imiona w państwie Neapolitańskiém należały. Mogło się to nieco tłumaczyć tém, że królowa i Acton który jéj przewodniczył mieli osobistą do możniejszych odrazę, a możni przesiąknieni nienawiścią i nowych wyobrażeń chciwi, z cudzoziemcami i filozofią się bratali."

Po zajęciu Neapolu, Kniażewicz odjechał dla odwiezienia zdobytych trofeów do Paryża. Towarzyszyli mu w téj drodze: nasz autor, Kossecki i syn Dąbrowskiego. Czekało ich w stolicy Francyi świetne, chociaż chłodne trochę przyjęcie. Pobyt w Paryżu przedłużył się staraniem o ustalenie bytu legii i pomnożenie ich liczby. Rzeczy szły oporem. Garat, z natchnienia Bonapartego który obalił dyrektoryat i objął stér rządu, dawał zupełnie przeciwne rady. W końcu przyszło przecież do utworzenia legii naddunajskiéj pod dowództwem Kniażewicza. Drzewiecki został w niéj szefem batalionu.

W Paryżu miał autor najwięcéj styczności z bawiącemi w téj stolicy ziomkami. Mieszkając razem z Kniażewiczem, zaszczycony zaufaniem Kościuszki, ciekawe o nich i kilku innych znakomitościach naszych podaje szczegóły.

Legia naddunajska odpowiedziała swojéj nazwie; w kampanii 1800 roku przeciw Austryi, odznaczyła się w bitwie pod Hohenlinden: należąc do przedniéj straży nasz autor stanął w Kremsmünster i Hall. Czekano niecierpliwie dalszych wypadków, doczekano się tylko traktatu lunewilskiego. Legie miały przejść w służbę którego z nowo utworzo-

nych państw włoskich. Część ich zamierzono usunąć zprzed oczu Europy, przez wyprawę do St. Domingo. Nie chciał dzielić tych nowych a smutnych kolei szanowny autor. Widzimy go jeszcze na chwilę we Włoszech, sprawującego obowiązki komendanta placu w Siennie, później za urlopem zwiedza Neapol, nakoniec bierze zupełne uwolnienie ze służby.

Na tém kończą się, a raczéj przerywają pamiętniki p. Drzewieckiego; wydawca Athenaeum czyni nadzieję, że dalszy ich ciąg nastąpi. Do jego prośb wszyscy czytelnicy dołączą swoje.

Ton panujący w pamiętnikach p. Drzewieckiego jest tonem niezłomnéj prawości, wzbudzającéj zupełne zaufanie w wiarogodność opowiadanych wypadków. Pisane po długim lat upływie, co straciły na świeżości doznanych wrażeń, zyskały na spokojném i pogodném wejrzeniu na rzeczy i ludzi. Autor mówi o sobie wtedy tylko, gdy tego uniknąć nie może, a jednak od początku do końca czujemy, że tu mąż powszechnie szanowany opowiada swój zaszczytnie spędzony żywot. Pod tym względem pamiętniki p. Drzewieckiego są rzadkiém w naszym czasie zjawiskiem, i za wzór postawione byćby mogły.

Przejdźmy do rozbioru prac drobniejszych.

Kalifornia, Kaukaz i Algier, na tém się ogranicza wiadomość nasza o krajach odległych, o ile ją z pism krajowych czerpiemy. Poza te fatalne szranki wystąpiło Athenaeum, chociaż i w niém czytamy o Kalifornii, Kaukazie i Algierze, dozwalając nam, pod obcym wprawdzie przewodem, odbyć wycieczkę do ruin Niniwy i monasterów Wschodu. Wyżéj już wspomnieliśmy opisy Syberyi i Egiptu. Oddział ten odznacza się jeszcze w Athenaeum artykułem niepospolitego interesu o Kaukazie. Mówimy tu o niewoli u Szamila, opisanéj w liście z cyfrą A. Z.

Nieznany autor wzięty do niewoli w kumychskim zamku w miesiącu marcu 1842 r. przebył w niéj ośm miesięcy srogiego obchodzenia się, zanim za wymianą jeńców wolność odzyskał. Szamila niepochlebnie opisuje, nie przyznając mu ani wyższych talentów wojskowych, ani gieniuszu wielkiego rządcy i kładąc w fanatyzmie całą jego siłę. W wojnie, jaka się rozpaliła na Kaukazie, widzi autor walkę islamizmu z chrześciaństwem, Azyi z Europą. „Teraz" mówi „mieszkaniec gór opuszcza swą kryjówkę i rzuca się do boju nie dlatego tylko, aby zabrać u nieprzyjaciela trzodę bydła lub koni, lecz aby zabić giaura i zasłużyć na nagrodę w przyszłém życiu."

Zaraz po opisie niewoli u Szamila spotykamy (t. IV r. 1850) dobrze napisany artykuł p. t.: Kilka zarysów z życia wiejskiego ludu w Kobryńskiém. Żałujemy tylko, że te zarysy tak są krótkie, zwłaszcza gdy stanowią jedyny w tym rodzaju artykuł w Athenaeum. Autor załączył kilka

pieśni w téj okolicy śpiewanych; objaśnienie w jednéj z nich wyrazów „za tesowym stołem" przez *stół gładki i biały* (str. 180), nie zdaje nam się trafne. Raczéj tu będzie mowa o stołach cisowych tak często w polskich pieśniach ludu wzmiankowanych.

Zasługują jeszcze na uwagę zamieszczone w Athenaeum materyały historyczne. Zgadzamy się z szanownym wydawcą (t. I, r. 50, str. 7), że w pismach czasowych i zbiorowych, przedmiotom bieżącym poświęconych, dokumenta historyczne wyjątkowo tylko miejsce znaleźć mogą. To téż w udzielaniu ich Athenaeum nie przebrało miary. Dwa tylko pomniki przeszłości pomieściło, i oba chętnie tam widzimy. Przywiléj fundacyjny kościoła w Obolcu, nadany przez Władysława Jagiełłę w Wilnie w r. 1387, w wilią św. Katarzyny, ważny czasem nadania i treścią, drukowany jest według oryginału w archiwum archikatedry mohylewskiéj znajdującego się. Żałować należy, że w wyczytaniu czy w wydrukowaniu tego przywileju zaszły omyłki. Zamiast np.: „decimas post araturas nostras de singulis *acloriis* nostris (str. 5 w. 7 do 5 od spodu, Athenaeum, t. I, r. 1850), widocznie winno być w końcu: de singulis allodiis nostris (1).

Ciekawy jest również wyciąg z księgi Lauda miasta Słucka z lat 1654—1650 (t. III, r. 1850).

Do archeologii krajowéj szacownym materyałem jest opis zamku Siesickiego koło Wiłkomiérza i zebranych w nim starożytności (t. I,

(1) Wyraz *allodium* błędnie bywał u nas rozumianym, dlatego objaśnienia niejakiego wymaga.

Allodium pisało się czasem *olodium* (u Rzyszcz. t. I, str. 331), a nawet *holodium*. Starożytna Polska t. II, str. 152, w opisie Żarnowca nad Pilicą przytacza wyjątek z lustracyi 1564 r., w którym między przedmiotami opodatkowanemi znajdujemy: „Holodia, de holodiis 6 per 1 gr." W przypisku dodano: „Akta tryb. piotrk. z 1699 r. wyjaśniają, iż *holodium* znaczy stodołę". Nie znamy aktu, na jaki mianowicie wydawcy się powołali. To pewna, iż *allodium* bardzo często w dyplomatach naszych od XIVgo wieku się napotyka. U Rzyszczowskiego wyraz ten opuszczony, jak wiele innych, w indexie, czytamy w t. I, str. 35 (r. 1232), str. 38 (1233), str. 329 331; w tomie II str. 367, 372, 416, 444, 447 (wszystko z XVgo wieku piérwszéj połowy). Piérwszym z kronikarzy naszych u którego *allodium* napotkać nam się zdarzyło, jest żyjący w XIV wieku Jan z Czarnkowa archidyakon. U niego, jak w powołanych dyplomatach z XVgo wieku, *allodium* znaczy folwark, a to tak grunta, jak zabudowania folwarczne, i o tyle tylko mogło oznaczać stodołę. Znaczenie *allodium* w cytowanych dyplomatach XIIIgo wieku jest dla nas wątpliwém. W każdym razie folwark i gospodarstwo folwarczne występuje w pomnikach naszéj przeszłości wybitniéj dopiéro w XIVtym wieku.

Z dyplomatu Jagiełły okazuje się, iż włościanie nie byli przezeń poddani pod obowiązek dziesięciny.

r. 1850). Do historyi sztuki odnosi się artykuł o rytowniku Fałcku przez p. Kraszewskiego (t. II, r. 1850) wyliczający 155 dzieł tego artysty.

Krytyka mało w Athenaeum miejsca zajmuje i nic wybitnego nie przedstawia; nie możemy jednak pominąć korrespondencyi literackiéj (t. V, r. 1850), odznaczającéj się zdrowém zdaniem i trafnością sądu.

Tyle o Athenaeum.

Rubon, pismo zbiorowe wydawane przez p. Bujnickiego, wydało w r. 1849 piątą swoję seryą, tomy 9 i 10. Zadaniem pisma jest, jak się wyraża wydawca, być pamiętnikiem intellektualnego ruchu swéj krainy, t. j. okolicy naddźwińskiéj. Przedsięwzięcie chwalebne; żałujemy tylko, że intellektualność tameczna nie znalazła dla siebie lepszéj firmy. Pod redakcyą p. Bujnickiego Rubon, choć w Wilnie wydawany, w takim prawie stosunku zostaje do Athenaeum, w jakim niegdyś akademia polocka była względem uniwersytetu wileńskiego.

Bardzo mało artykułów Rubona wywołuje szczegółowy rozbiór. Ogólne stanowisko tego pisma zdaje nam się przecież przedmiotem godnym zastanowienia.

W przedmowie do piątéj seryi mówi pan Bujnicki:

„Chcieliśmy dostarczać czytelnikom pożytecznéj rozrywki; sądzimy bowiem, żeśmy jeszcze, Bogu dzięki, nie dożyli tych czasów, w których ludziom ucywilizowanym pożytecznie nawet bawić się wolno nie będzie; téj epoki, w któréj wszelka rozrywka uważać się będzie za coś niegodnego ludzi myślących, i udziałem dziecinnego wieku i prostego gminu pozostanie. Ku téj następności zdają się chcieć usposabiać młode pokolenie z jednéj strony żarliwi wyznawcy systematów filozoficznych, czyli tak nazwanego umnictwa (!), z drugiéj zaś zwolennicy wyłącznie utylitarnych dążności".

Już z tych słów widać, jak mało wydawca jest w stanie zdać sobie sprawę z ruchu umysłowego naszego czasu; jak zaś mało obznajomiony jest z objawami tego ruchu, czyliż na to lepszego potrzeba dowodu, nad ten, iż za jedno bierze „tak nazwane umnictwo" i systemata filozoficzne?!

Próżnémby było usiłowaniem chcieć wywieść go z błędu. Na szczęście, możem inną oddać mu przysługę. Możemy rozproszyć chmurę troski, która czoło jego oblega, możemy go zapewnić, że dręczące go czarne przewidzenia nigdy się nie ziszczą, że zawsze pozostanie liczne koło wiernych, którzy w czytaniu pożytecznéj rozrywki szukać będą, a na poziomie Rubona i pism równego z nim polotu ją znajdą. Tylko, czyli ci czytelnicy nie będą pomówieni o należenie do dziecinnego wieku cywilizacyi, czyli nie będą uważani za prosty gmin w krainie umysłowéj — w tém

wydawcę Rubona uręczyć nie śmiemy. Złośliwość tego zepsutego wieku jest tak wielka!

Kto przecież tak walecznie jak szanowny wydawca z przeciwnikami sobie poczyna, ten do obawy słusznego nie ma powodu. Rubon wywiązał się z przyrzeczenia. Zapełniony jest rzeczami do sprawienia rozrywki zmierzającemi, a rozrywka zawsze jest pożyteczna—dla tych, którzy na nią przez pracę zasłużą. *Umnictwu* już na samym wstępie wydawca niemałe ciosy zadał; w ciągu dzieła, przybył mu jeszcze w pomoc i porażki dokonał doświadczony w tych zapasach bojownik, pan Michał Grabowski. Naprzeciw hydrze utylitarnych dążności wreszcie, sam wydawca wystąpił do walki i byłby niezawodnie ten potwór zwalczył, gdyby mu za jedną uciętą głowę, siedm innych nie odrastało.

Tyle jest pobudek, żeby się nie troszczyć o los Rubona. Czyliż przeto symptomata, które zatrwożyły wydawcę, mniéj są rzeczywiste? Przetłumaczmy język jego na naszę mowę, odrzućmy jego pojmowanie rzeczywistości, a przypatrzmy się jéj saméj.

Był czas, kiedy przychodziło na świat występujące dziś na jego widownią pokolenie; był czas, mówimy, ogólnego zapału dla sztuki, ogólnego zajęcia się jéj utworami. Sztukę obwołano samą dla siebie celem; w istocie, była ona przynajmniéj jednym z celów swojéj epoki. W utworach sztuki szukać innych warunków, przymierzać je do innych, niż uczucie piękności, potrzeb człowieka, uchodziło za prozaiczność, za myślenie poziome. Ówczesne francuzkie hasło: „sztuka dla sztuki" *l'art pour l'art*, brzmiało i w naszym obozie, i zapewniało przyjęcie każdemu, kto je miał napogotowiu.

Kiedy Brodziński chciał ruch ten bezwzględny miarkować, kiedy w rozprawach swoich potępiał obojętność artystyczną na wyższe cele istnienia, przypominał sztuce jéj obowiązek uszczniania natury ludzkiéj i przywoływał na pamięć starożytne godło poezyi: „emollit mores, nec sinit esse feros"; głos jego w młodszém pokoleniu niechęć tylko wywołał: a my, jeżeli z wynurzeniem wdzięcznego uczucia, osobiste wspomnienie łączyć wolno, my, dla których wówczas w umysłowym świecie, słabe zaledwie świtało zaranie, w słowach niezapomnianego pisarza czerpaliśmy piérwsze pojęcia wyższéj godności piśmiennictwa i sztuki.

Małośmy przewidywali wówczas, że nim zestarzeje się pokolenie, które mieliśmy przed sobą, nim zgasną wszystkie świeczniki, które młodości jego zabłysły, popęd równie bezwzględny, równie gwałtowny jak tamten, porwie umysły w przeciwną stronę, i że równa raz doświadczonéj niechęć, spotkałaby może, gdyby tych czasów dożył, przewodnika, który z prostéj nie zbaczając drogi, tak dziś zbłąkanym wskazałby ją na lewo, jak wówczas wskazywał na prawo. Tak przy dnia zachodzie, wędro-

wiec chociaż swéj drogi nie zmienił, widzi cień padający w stronę przeciwną téj, na którą padał z rana.

Skończyła się wielka epoka naszéj poezyi. Widzieliśmy jéj kwiat ostatni, tak pełny wytworności i wdzięku, samotnie kwitnący, jak czasem w pogodną jesień, na krzaku który tylko wiosna pełnym wieńcem ozdobić może, zakwitnie samotna róża. Jéj tylko jednéj mróz nie zaszkodził; inne pączki zima zwarzyła.

Publiczność z oklaskiem, jak niespodziewane zjawisko, przyjęła Kirgiza. Byli tacy, których gniewała niespodzianka, którzy w sercu mieli pytanie, choć go wynurzyć nie śmieli: po co kwitniesz piękny kwiatku? to nie wiosna!

Innego rzędu utwory już były owładły umysł publiczny, utwory takie, że wobec nich estetyczna krytyka, choćby najgłębiéj w swój przedmiot wnikająca, wyznać swoję niedostateczność musiała. Forma była tam na drugim względzie; proza poetyczna lub rytm ubogi świadczył widocznie o jéj upadku, a treść w swojéj mistyczno-lirycznéj zawiłości była, jeśli tak rzec wolno, tak bezkształtną jak forma.

Gdzie utwory poezyi w takiéj się postaci ukażą, i spółczucie znajdą, tam na zegarze umysłowym narodu godzina poezyi już przeminęła; tam nadszedł czas na krytykę, na nauki społeczne i przyrodzone, na filozofią, na przemysł. Treść i forma, których doskonała harmonia jest warunkiem dzieł sztuki powaśniły się z sobą: harmonia upadła przewagą treści; zawsze to lepiéj, niż gdyby upadła przewagą formy.

Jeżeli z kolei rzeczy uczucie piękności ustąpić musiało pierwszeństwa innym poważniejszym, tém więcéj czuwać powinniśmy nad jego czystością, i podnosić jego ważność w sferze uczuć ludzkich. Nie w porę przyszedłby ten, ktoby teraz chciał podnieść kamień na panującą niedawno teoryą: sztuka dla sztuki. Jeżeli pogrześć ją potrzeba, niechże ten pogrzeb odbędzie się ze czcią zmarłym przynależną. Względem tych, którzy do poziomych i podrzędnych celów sztuki nadużywają, zawsze ona prawdziwą zostanie.

W ten sposób rozumiemy koleje naszéj literatury, i takie znaczenie mają dla nas skargi wydawcy Rubona. Żyjąc w zakątku, gdzie słabo drga życie umysłowe, a ruch literacki jest prawie żaden; pan Bujnicki obraz spółczesnéj umysłowości tak skreślił, jak się oczom jego przedstawiał, a my z użaleń jego wnieśliśmy, co zresztą sama treść pisma stwierdziła, że piérwsze powiewy nowego prądu umysłowego zawitały już i w ustronie naddźwińskie. W Rubonie to tylko prawie zasługuje na uwagę, co w jakikolwiek sposób z nowym kierunkiem się łączy. Utylitarność i filozofia tyle naganione w przedmowie, wydarły tam palmę *literaturze*.

Wydawca uszykował swoje zastępy we trzy szeregi. W piérwszym stoją rzeczy poważne, w drugim literatura, do trzeciego zepchnięte zostały rzeczy użyteczne. W piérwszym dziale mieszczą się czasem artykuły, którebyśmy zaledwie do najlżejszéj *literatury*, mówiąc językiem wydawcy, zaliczyć chcieli. Tu należy np. przejażdżka do Odessy, pana A. P. tego samego zapewne, co czytelnikom Rubona dał się poznać z zamieszczonego w tomie VIImym tego pisma, opisu wycieczki do Prus; opisu godnego mieszkańca Kafreryi lub Nowéj Zelandyi, i na który, jako na rzadką w swoim rodzaju osobliwość, uwagi czytelników dość zwrócić nie możemy.

Czasem przecież rzeczy poważne w istocie zasługują na to miano. Może być, że pan Grabowski w swojéj polemice przeciw młodym pisarzom kijowskim, za ich argumenta, z dziesiątéj, jak mówi, ręki brane, podobnąż odpłaca się monetą; spór w ten sposób prowadzony, może być, że przypomni komu walkę dzieci rzucających na siebie znalezionemi na pobojowisku kulami, co choć losu wojny nie rozstrzygnie, zawsze przecież którego z walczących guza nabawić może, a w każdym razie niepospolitego męztwa i poświęcenia dla dobréj sprawy niezaprzeczony stawi dowód. Wszystko to, powtarzamy, być może: nie mniéj przeto artykuł pana Michała Grabowskiego jest poważny, i co mu za większą zasługę mamy, choć polemiczny, napisany z umiarkowaniem i pewną godnością.

Nawet życie Mahometa, przez wydawcę, choć bez samoistnéj wartości, nie na własnych studyach oparte, w poważném dziale mieścić się ma jakieś prawo.

Nie możemy tyle dobrego powiedzieć o całym dziale literatury. Zupełna tam i najopłakańsza nicość. Łaskawi czytelnicy nie żądają zapewne po nas, żebyśmy im dawali dyssertacyą *de nihilo*. Musimy więc dział ten zostawić bez rozbioru. Przejrzeliśmy cały dziesiątek tomów Rubona, i przekonaliśmy się, że wszędzie tak samo. Jeden tylko talent czasem, jak gwiazdki promyk niepewny przedrze tę grubą mgły pomrokę. Lecz i ten talent (pan Ignacy Chrapowicki) przypominający nutę Zaleskiego, to raczéj poetyczna dusza, niż poeta. Śpiéw jego, jak dźwięk gitary, indywidualne uczucie wynucić zdoła, tłumu nie poruszy.

Poeta nie dla siebie tylko, dla drugich śpiewa. Władnące nim uczucie z uczuciem słuchaczy zlewać się winno; i takie tylko podzielone, zbiorowe uczucie pieśni jego nadać może ogólniejszo znaczenie. Tego właśnie panu Chrapowickiemu niedostaje. Czuje on i rozumié poezyą ludu, dał tego dowód w pięknéj swojéj rozprawie: „O poezyi ludu białoruskiego", (t. V Rubona), ale między nim a tym ludem zbyt wielki zachodzi prze-

dział, żeby uczuciom jego mógł nadać wyraz, i stać się jego poetą. Ukształceńsza społeczność do której przemawia, zamało widać w tamtych stronach ma zbiorowego życia, aby to życie rozszerzyło pierś poety, i z ust jego głośniejszym ozwało się dźwiękiem. Sam on to uczuł kończąc piękny wiérsz o Dźwinie (ten sam, z którego wyjątek zamieścił w Bibliotece pan Michał Baliński, w recenzyi piérwszego tomu Rubona), następującą zwrotką:

Płynie czas, widać ludzkiéj oznakę już ręki,
I brzmi jakiś chór cichy, z różnych głosów zlany;
Lecz długo jeszcze będzie las zarastać łany,
I szmer wiatru tu głuszyć wszystkie inne dźwięki.

Inny spółpracownik Rubona pogonił za natchnieniem aż w zamierzchłe czasy normandzkiéj przeszłości Palteska. Nie dziw, że go nie znalazł.

W dziale rzeczy użytecznych zamieszcza Rubon artykuły znanego agronoma pana Wyżyckiego. Istotną ozdobą tego dzieła jest artykuł Adama hr. Platera, pod napisem: Rzut oka na rolnictwo i przemysł gubernii witebskiéj. Hr. Plater jestto drugi odznaczający się spółpracownik Rubona. Z przyjemnością czytaliśmy artykuły jego do archeologii miejscowéj odnoszące się. W rzucie oka hr. Platera smutnie przedstawia się Białoruś. Rolnictwo i przemysł, to podstawy dobrego bytu, dotąd tam zostają w kolebce. Mała liczba tych, którzy ulepszenia zaprowadzić chcieli, prawie bez wyjątku źle na tém wyszła. Przyczyny tego stanu rzeczy trafnie hr. Plater wskazuje. Przyznać przecież potrzeba, że położenie gubernii witebskiéj zawsze dość trudném pozostanie. Mało żyzna i mało ludna, wystawiona jest na swobodne współubieganie się zamożniejszych okolic. Potrzeba wielkiéj energii i wytrwałości, umiejętnéj i zabiegłéj pracy, aby te niedogodności położenia przezwyciężyć.

F. Z.

Odparcie opinii p. Dutkiewicza w kwestyi: odkąd ustawie hypotecznéj z r. 1818 i połączonym w niéj przepisom służy moc obowiązująca?

W poglądzie na opinią p. Dutkiewicza, co do teoryi ostrzeżeń hypotecznych, uprzedziłem: że w kwestyi, odkąd ustawie hypotecznéj i wszelkim przepisom w niéj połączonym moc obowiązująca służy, dysputa p. Dutkiewicza przeciwko wyraźnemu brzmieniu działu X i artykułów 162 i 163, łącznie z art. 29 na wstępie, na nic się nie przyda.

Na tém oświadczeniu mógłbym poprzestać, ile, że p. J. C. Sławianowski nazbyt śmiałéj interpretacyi tegoż autora, wbrew wyraźnéj i formalnéj literze prawa w art. 163 objawionéj, krótką i dobitną dał odprawę.

Lecz, że autor ten przywodząc rozprawy moje: jednę z r. 1828 w Themidzie, drugą z r. 1841 w Bibl. Warszaw. ogłoszone, z pewném zadowoleniem wspomniał, iż co do mocy obowiązującéj przepisów o stosunkach majątkowych małżeńskich, zdanie *nieco zmieniłem*, gdy dawniéj twierdziłem, że przepisy te w b. województwie krakowskiém rok jeden obowiązywały; późniéj zaś, że tam wcale żadnéj mocy obowiązującéj nie miały, a ztąd wnosił, że zdanie moje jest mylne: przeto rzecz tę bliżéj wyjaśnić należy.

Potrzeba rozróżnić kwestyą i zasadę główną, od kwestyi i zasady podrzędnéj. Obie te kwestye autor Objaśnień pomieszał, nie wiem, czy umyślnie, czy z niepojęcia. Dość, że czytelnik mniéj świadomy, w błąd wprowadzonym być może, nie będąc objaśnionym, w czém rzeczywiście zdanie *nieco* zmieniłem.

W obu rozprawach, tak piérwszéj z r. 1828, jak w drugiéj z r. 1841 utrzymywałem, że wszelkie przepisy ustawy hypotecznéj, a zatém i przepisy co do stosunków majątkowych między małżonkami, zaczęły obowiązywać po byłych województwach, nie od daty ogłoszenia ustawy w dniu 20 lipca 1818 r., lecz od terminów prekluzyjnych, w szczególności dla każdego województwa w art. 145 ustanowionych: wyjąwszy jedynie 6 artykułów w art. 163 wymienionych.

Otóż jestto główna zasada, któréj nigdy w niczém nie zmieniłem, i dziś nie zmieniam, poprzestając w zupełności na tych powodach, które w rozprawie drugiéj z r. 1841 w Bibl. Warszaw. w tomie I str. 76 rozwinąłem.

Drugą podrzędną kwestyą jest: jak powinny być liczone termina prekluzyjne *roczne* w art. 145 ustanowione: czy od początku roku, czy od jego końca. Kwestya ta wcale nie była przedmiotem sporu w rozprawie Themidowéj z r. 1828. Atoli w niéj liczyłem termina prekluzyjne od początku roku. Byłto błąd mimowolny, gdyż termin prekluzyjny bądź roczny, bądź miesięczny, bądź tygodniowy, bądź nawet dzień jeden, nie przy początku, lecz przy końcu roku, miesiąca, tygodnia, dnia, zamyka się dopiéro. Błąd więc ten w rozprawie późniejszéj z r. 1841 sprostowałem. Skutkiem tego, gdy dla b. województwa krakowskiego przepisany był termin prekluzyjny od dnia 1 stycznia 1825 r. do dnia 1 stycznia 1826 r., a z dniem tym ostatnim nastała księga I Kodexu Cywil. z r. 1825, która w miejsce przepisów ustawy hypot. z r. 1818, co do

stosunków majątkowych małżeńskich i opiek, inne zasady przepisała; pomienione przepisy z ustawy hypotecznéj żadnéj w b. województwie krakowskiém mocy obowiązującéj nie otrzymały.

Do téjto zmiany zdania w punkcie podrzędnym, ściąga się owo słówko *nieco*, jako też owe zadowolenie autora Objaśnień, które widać na niczém spełzło.

Wróćmy się teraz do głównéj kwestyi, w celu przekonania się, na jakichto powodach autor Objaśnień swoje twierdzenie opiéra, że przepisy o majątkach małżeńskich z dniem 20 lipca 1818 r, jako datą ogłoszenia ustawy, moc obowiązującą otrzymały. Powody te, objęte w § 30 dzieła jego, dwojakiéj są natury: gdy jedne i to największa ich liczba, mają na celu krytykę przepisu art. 163, drugie zaś jego interpretacyą.

Co do powodów krytycznych wierzymy autorowi, że mu się zasady i przepisy art. 163 nie podobają, gdyż istotnie poddanie systematowi hypotecznemu instytucyi o majątkach małżeńskich lub innych materyj prawnych, których wątek stanowczy lub wewnętrzne urządzenie bynajmniéj od systematu hypotecznego nie zależy, nie znajdzie usprawiedliwienia w teoryi prawodawstwa. Atoli krytyczne spostrzeżenie to nie jest nowém, ponieważ w tym względzie wyprzedziła autora Objaśnień rozprawa z r. 1828 w Themidzie, w tomie IV, str. 205 ogłoszona.

Teraz wszelako nie idzie bynajmniéj o krytykę lub poprawę prawa, o nową legislacyą, lecz o pojęcie i interpretacyą prawa stanowionego, *jus positivum*, i w miarę jego o usprawiedliwienie: odkąd przepisy o majątkach małżeńskich obowiązywać zaczęły.

Jakież tedy powody *interpretacyjne* przywodzi autor, prawo hypoteczne objaśniający? Oto dwa, z których jeden na tém polega, że się zapytuje: „o jakichto przepisach w art. 163 jest mowa? czy nie o stosunkach majątkowych i opiekach?", i na to odpowiada: „ nie, bynajmniéj"; drugi zaś na zapewnieniu osobistém: „że prawodawca ani pomyślał, ażeby zmiana przepisów co do majątków małżeńskich i opiek, miała być zaprowadzoną z kolejném zaprowadzeniem porządku hypotecznego". Niepewny wszakże autor własnych swoich argumentów konkluduje tylko, iż *zdaje się* nie ulegać wątpliwości, że przepisy te od daty ogłoszenia ustawy obowiązywać zaczęły.

Wyrocznią interpretacyjną „nie, bynajmniéj" możemy pominąć, jako prostą negacyą niczém niepopartą. Osobiste zaś zapewnienie o myślach lub pobudkach, jakie mógł mieć prawodawca czyli raczéj redaktor prawa, nic nie znaczą, żadnéj nie mają wartości, gdy idzie o interpretacyą prawa. Lecz w obecnym przypadku osobiste zapewnienie nawet jest skutkiem improwizacyi, ponieważ myśli i zasady redaktora ustawy

hypotecznéj są wiadome, i już w roku 1841 w Bibliotece Warszawskiéj, tomie I str. 80 z Dyaryusza z r. 1818 dosłownie wypisane, które tu na nowo przytaczają się:

„Projekt, którego celem tylko jest uporządkowanie hypotek, mieści w sobie jednak inne *spokrewnione* materye o spadkach, *stosunkach majątkowych między małżonkami* i o opiekach. Zaiste bardzo wielką w nich, a co do kontraktu małżeńskiego, nawet w głównych zasadach zrobiono zmianę. Lecz takowe zmiany stały się potrzebnemi dla *pogodzenia* przepisów Kodexu Cywilnego, z nowym systematem hypotecznym, na wzór pruski urządzonym, dla *związania z nim* łącznych spokrewnionych materyj, dla uniknienia sprzeczności, *bo prawo hypoteczne nie będzie się stosowało do Kodexu Cywilnego, lecz ten do tamtego*; zgoła wszystkie odrębne materye i przepisy w ustawie hypotecznéj połączone, odmieniono lub uporządkowano tak, aby z przepisami hypotek, *jedną harmoniczną, jednę związkową składały całość*".

Mniemam, że te nazbyt wyraźne myśli redaktora ustawy hypotecznéj, w stosunku do zachodzącéj kwestyi głównéj, dalszéj interpretacyi nie wymagają.

Po odbyciu wszystkich tych okoliczności, pozostaje poniekąd do rozważenia stan prawny, jaki skutkiem nadania połączonym w ustawie hypotecznéj przepisom, prócz ôściu artykułów, mocy obowiązującéj, w miarę terminów prekluzyjnych artykułem 145 ustanowionych, powstał, zwłaszcza co do stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami.

Stan ten prawny tyle przedstawia trudności w jego rozwikłaniu i unormowaniu, że przedewszystkiém błogosławić należy szczęsny wypadek legislacyjny w zaprowadzeniu księgi I Kodexu Cywilnego z r. 1825, mocą któréj z dniem 1 stycznia 1826 r. przepisy ustawy hypotecznéj co do majątków małżeńskich i opiek moc swoję obowiązującą nadal, zupełnie utraciły: tak, że przepisy te, licząc termina prekluzyjne od końca, w b. województwie krakowskiém, jak się to już rzekło, żadnéj mocy obowiązującéj nie otrzymały; w innych zaś b. województwach, a mianowicie: w sandomierskiém. tylko rok jeden, w lubelskiém lat dwa, w podlaskiém lat trzy, w płockiém i augustowskiém lat cztery, w kaliskiém lat pięć, w mazowieckiém lat pięć i pół obowiązywały.

Albowiem ustawa hypoteczna z r. 1818, wciągając do porządku hypotecznego i subordynując mu odrębne i niezawisłe instytucye prawne co do majątków małżeńskich i opiek; znosząc prawne domniemanie wspólności majątkowéj małżeńskiéj: nietylko przekroczyła właściwy swój zakres, ograniczający się na uporządkowaniu i wydobywaniu na jaw wszelkich praw rzeczowych, ale nadto przez puszczoną na los nową wyobra-

żnią prawa, *fictio juris*, *unieruchomiła* stosunki majątkowe pomiędzy przyszłemi małżonkami, odnosząc i przywięzując je nie do osób, lecz podług przyjętéj dowolnie różnicy, do dóbr ziemskich i do miast, w których zasiadał trybunał cywilny I instancyi, czyli raczéj do nieruchomości miasta te składających, oraz do kapitałów na takich nieruchomościach zahypotekowanych.

Takie rozporządzenia niezwykłe, zamknąć należy zwyczajem jurisprudencyi angielskiéj, w najściślejszych granicach literalnych; poddać tak zwanéj *interpretatio intensiva*, z wyłączeniem zupełném tak zwanéj *interpretatio extensiva*. Nietylko niewolno przekraczać ich literalnego brzmienia, ale potrzeba nadto w ich zastosowaniu do zachodzących przypadków i sporów wszelkie domyślne warunki prawa jak najściśléj przestrzegać.

Tym torem interpretacyjnym postępując, zdołamy ustanowić zasady i wyprowadzić z nich proste konsekwencye; inaczéj zaś niktby nie potrafił, odpowiednio prawu, rozstrzygnąć następujących zawikłanych stosunków: jeżeli w jedném i témże samém województwie, po nastąpionéj regulacyi hypotek i po upływie terminu prekluzyjnego, jeden z nowożeńców nie posiadał ani dóbr ziemskich, ani nieruchomości w mieście trybunalskiém, ani kapitałów tamże ubezpieczonych; albo jeżeli tego rodzaju dobra nieruchome posiadali nowożeńcy w różnych województwach, z których jedno nie miało jeszcze uregulowanego porządku hypotecznego.

Nim przystąpimy do utwierdzenia sterujących zasad i wynikających konsekwencyj, potrzeba wprzód jeszcze przytoczyć główniejsze okoliczności, które teoryą interpretacyjną powyżéj podaną wspierają, a w szczególności zważyć potrzeba: że przepisy ustawy hypotecznéj z r. 1818 o majątkach małżeńskich, używały tylko krótkiéj przemijającéj exystencyi i mocy, w miarę terminów prekluzyjnych; że przepisy te nie stanowiły samodzielnéj teoryi, tylko włączone były do kontraktu małżeńskiego Kodexem Cywilnym określonego; że nie rozciągały się na wszystkich mieszkańców krajowych, tylko stosowały się do dziedziców dóbr ziemskich, do właścicieli nieruchomości po miastach trybunalskich i do wierzycieli kapitałów na tego rodzaju dobrach zahypotekowanych, a to tylko o tyle, o ile pierwiastkowa regulacya hypotek nastąpiła i termina prekluzyjne upłynęły. Ztąd więc nie ma żadnéj pobudki ani moralnéj, ani materyalnéj do rozciągnienia ich mocy nad zakres literalnego brzmienia prawa; owszem ich exystencya i moc przemijająca, ich znaczenie li excepcyjne, tylko zawikłanie i trudność w stosunkach familijnych zrządzające, wskazują konieczną, bo konsekwencyjną potrzebę uważania ich, podług litery prawa, w zachodzić mogących sporach

i wątpliwościach za wyjątek od reguły kontraktem małżeńskim Kodexu Cywilnego przepisanéj, a ogólnie w całym kraju panującéj.

Wychodząc więc z przewodniczących ustawie hypotecznéj pobudek powyżéj wypisanych, że przepisy o stosunkach majątkowych pomiędzy małżonkami, z przepisami hypotecznemi jednę harmoniczną związkową całość składać powinny, z pewną nawet przewagą prawa hypotecznego nad przepisami Kodexu Cywilnego i ustawy hypotecznéj o majątkach małżeńskich; następnie trzymając się wyraźnego i literalnego brzmienia prawa w art. 162, że przepisy ustawy hypotecznéj ściągają się tylko do nieruchomości i hypotek ziemskich, tudzież miast, w których sąd ziemski czyli trybunał cywilny zasiada; daléj zważając, że ostatnie wyrażenie to, o ile się dotyczy stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami przyszłemi, tylko do osób nieruchomości lub hypoteki ziemskie, albo nieruchomości lub hypoteki w miastach trybunalskich położone, posiadających, odnoszone być może; nakoniec nie spuszczając z uwagi, że jakiekolwiekbądź przepisy o małżeństwie, z natury swojéj zawsze do dwóch osób: do męża i żony się ściągają, że więc podług téj koniecznéj konsekwencyi, przepisy ustawy hypotecznéj o stosunkach majątkowych między małżonkami, nie mogą mieć zastosowania, jeżeli li jedno z przyszłych małżonków posiadało bądź dobra ziemskie, bądź nieruchomość w mieście trybunalskiém położoną, bądź kapitały na takich nieruchomościach zahypotekowane; albo jeżeli na skutek ustanowionych terminów prekluzyjnych, dopiéro dobra nieruchome jednego z przyszłych małżonków regulacyi hypotecznéj uległy. Z związku więc tych argumentów wypływa, że przepisy ustawy hypotecznéj o stosunkach majątkowych małżeńskich jedynie w takim przypadku zastosowanie mieć mogą, jeżeli każdy z nowożeńców posiadał dobra nieruchome, w art. 162 oznaczone, po nastąpionéj regulacyi hypotek pierwiastkowéj i po upływie właściwych terminów prekluzyjnych; do innych zaś małżeństw, pod innemi okolicznościami majątkowemi w ciągu epok między dniem kończącego się każdego terminu prekluzyjnego, a dniem 1 stycznia 1826 r. zawartych, przepisy ustawy hypot. o majątkach małżeńskich, wbrew artykułowi 162 zastosowane być nie mogą. Ztąd więc, bez względu na zawarcie lub niezawarcie umowy przedślubnéj, bez względu na zamieszkanie osób, skoro tylko nowożeńcy lub jeden z nich nie posiadali dóbr nieruchomych w art. 162 przewidzianych, Kodex Cywilny w tytule: o kontrakcie małżeńskim, za wyłącznie obowiązujący uważanym być powinien.

Heylman.

Dzieło p. Vossberg o chorągwiach krzyżackich.

Znakomity nasz dziejopis ks. Jan Długosz zostawił po sobie rękopism z 47 kart pargaminowych in fol. min. złożony, w którym opisał chorągwie, wiszące niegdyś u sklepień kościoła katedralnego w Krakowie, a zabrane zakonowi Krzyżaków w pamiętném zwycięztwie króla Władysława Jagiełły pod Grünwaldem i Tannenbergiem w 1410 r. dnia 22 lipca i pod Koronowem, dnia 10 października tegoż roku, oraz kawalerom Mieczowym inflantskim pod Nakłem w 1431. Oryginalny ten rękopism, obejmujący razem wyobrażenia namienionych chorągwi, ma tytuł następujący:

„Banderia Prutenorum anno domini millesimo quadringentesimo decimo, in festo divisionis apostolorum erecta contra Polonie regem Wladislaum Jagyelno, et per eundem regem prostrata, et Cracoviam adducta, ac in ecclesia catedrali suspensa, que ut sequitur, in hunc modum fuerunt depicta." Na końcu zaś rękopismu: „Expliciunt banderia prutenorum per manus picta Stanislai Dyrink (1) de Cracovia, die Veneris 29 Marcij 1448".

Z dawniejszych odpisów tego dzieła znane są dwa: jeden z piérwszéj połowy XVI wieku na pargaminie zrobiony, którego tytuł prawie zgodny z powyższym, ma następujący dodatek: „et hoc opera et industria Joannis Dlugossij Canonici Cracovien. Liber autem, seu exemplum horum Banderiorum in Repositorio Cracovien. Capituli servatur a predicto Joanne Długossio ibidem (2) repositus anno dni 1448". Odpis ten zachowany jest w bibliotece uniwersytetu królewieckiego. Drugi odpis z poprzedzającego w zeszłym wieku zrobiony w 4ce, bardzo błędny, posiada biblioteka miejska w Królewcu. Obiedwie te kopie, wraz z trzecią przed 10 laty z krakowskiego oryginału przez ks. Kainkę zakonnika Kamedułę wykonaną dla hr. Działyńskiego w Kórniku, służyły p. Vossberg

(1) W Słowniku malarzów polskich, w Warszawie 1850 r. przemieniono nazwisko *Dyrink* na *Durink*.

(2) W rękopiśmie krakowskim nad tytułem umieszczony jest współczesny dodatek: „Pro libraria Universitatis studii Cracovien. datum per dnm Johannem Dlugosch", gdzie wyrazy: *Universitatis Studii Cracovien* są przekreślone, a nad niemi *„Ecclesiæ Cathed. Crac.* dopisane (zob. podobiznę tego w Rocz. Tow. Nau. Kra. 1850), z czego okazuje się, że rękopism oryginalny, pierwiastkowo dla biblioteki uniw. Jagiell. był przeznaczony; jednakże dopisek wyżéj przytoczony, na tytule kopii królewieckiéj przekonywa, że oryginał już od 300 lat jest własnością kościoła kated. krak.

znanemu z uczonych prac, mianowicie numizmatycznych i sfragistycznych, do napisania książki w Berlinie w r. 1849 wydanéj, pod tytułem: *„Banderia Prutenorum, oder die Fahnen des Deutschen Ordens und seiner Verbündeten, welche in Schlachten und Gefechten des 15 Jahrhunderts eine Beute der Polen wurden. Nach den Długoschen Handschrift herausgegeben, mit vielen Abbildungen* (8ka, str. 68 z 8 rycinami), w którejto książce po opisaniu przytoczonych wyżéj odpisów rękopismu Długosza, podaje w języku łacińskim text naszego dziejopisa i dołącza tegoż tłumaczenie niemieckie, z niektóremi objaśnieniami ciemnych w oryginale nazwisk osób i miejsc; a uprzedziwszy czytelnika, iż kopią kórnicką za rękopism krakowski (oryginalny) uważać będzie, wytyka w nim liczne błędy i opuszczenia, które z odpisu królewieckiego prostuje i dopełnia, mówiąc w przypiskach *„in der Krakauer Handschrift fehlt... steht statt...* i t. p. Dziwić się należy, jak mógł p. Vossberg wziąć się do ocenienia oryginału, nie mając go pod ręką, a co gorsza, za podstawę (1) swéj pracy użyć kopii kórnickiéj pełnéj błędów, w któréj przepisujący ją, nie mogąc wyczytać wielu wyrazów, takowe innemi zastąpił, albo wcale opuścił, a nawet całe ustępy jedne poopuszczał, inne równie jak i sam tytuł zupełnie zmienić sobie pozwolił, jak się o tém nietrudno przekonać, porównawszy text przez p. Vossberg wydany, z oryginalnym krakowskim, w którym ani wyrazów, ani ustępów według zdania wydawcy opuszczonych, nie brakuje, ani błędy przezeń poprawione, miejsca nie mają: przeciwnie, wydawca złożony przez siebie z trzech wymienionych odpisów text łaciński, obfity w pomyłki, pozmieniawszy w nim pisownię, własnemi jeszcze uchybieniami napełnił.

Co do porządku, pan Vossberg opisuje najprzód chorągwie według stopni dostojników zakonu, następnie biskupów, potém dowódzców obcych posiłkujących Krzyżakom, a nareszcie w porządku abecadłowym nazwisk komturstw, miast i zamków, do których chorągwie należały. Długosz nie trzymał się téj kolei, lecz opisał chorągwie w takim porządku, w jakim zapewne u sklepień kościoła katedralnego krakowskiego widział je zawieszone.

(1) Wprawdzie na str. 13 mówi p. Vossberg, że za podstawę bierze odpis kopii królewieckiéj, jednakże czynem tego nie potwierdza; bo opisując chorągiew inflancką, a raczéj jedne tejże stronę z wyobrażeniem św. Maurycego, temi wyrazami kończy text łaciński: „In alia vero parte imago sancti *Laurencii*"; w przypisku zaś dodaje: „In der Königsberger Handschrift steht *Mauricii*". Zatém królewieckim rękopismem poprawia text inny, wzięty przez siebie za podstawę, a tym jest kopia kórnicka.

Jako znaczniejsze uchybienia w tłumaczeniu i dodanych doń uwagach pana Vossberg, przytoczymy tu następujące:

Na str. 23, przy opisie chorągwi 10téj, a w rękopiśmie oryginalnym 47méj, umieszcza w przypisku swą uwagę: „Dass diese Fahne vielleicht dem Vogte der Neumarkt Michael Küchmeister v. Sternberg, dem nachmaligen Hochmeister angehört haben kann, nicht aber die Fahne des Hochmeisters selbst, oder die grosse Ordensfahne, leuchtet aus ihrem Aeusseren ein". Uwaga ta nic niewyjaśniająca i domysł niczém nie poparty, iż chorągiew o któréj mowa, raczéj wójtowi Nowego-miasta, niż wielkiemu mistrzowi przypisaną być winna, są zupełnie mylne: chorągiew bowiem ta występuje tu dopiéro w październiku 1410 roku pod Koronowem, tojest wtenczas, kiedy chorągiew wielkiego mistrza Ulryka de Jungingen poległego w lipcu tegoż roku, przez zwycięzkie wojska zabraną już była, i kiedy Henryk de Plauen wprzód komtur świecieński (Schwetz) świéżo do godności wielkiego mistrza wyniesiony został. Ten zaś Henryk de Plauen nie znajdował się ze swą komturską chorągwią w wielkiéj bitwie pod Tannenbergiem, bo naówczas zasłaniał ziemię pomorską przeciw wkroczeniu Janusza Brzozogłowskiego dowódzcy Bydgoszczy: tym sposobem chorągiew ta losowi innych jednocześnie nie uległa, i w rękach zakonu pozostała aż do czasu, kiedy z nią nowy mistrz wielki, jako ze swoją niedawno komturską, pod Koronowem występuje. Nie wypada jéj przeto uważać za wielką chorągiew zakonu, chociaż obecnie do wielkiego mistrza należy, ani téż według domysłu pana Vossberg nie jest ona chorągwią wójta Nowego-miasta (Neumarkt), które nie musiało mieć własnéj chorągwi, kiedy pod Bratyańską siły swe połączyło (o czém Długosz przy opisie chorągwi miasta Bratyanu, wspomina), ale jest chorągwią komturstwa świecieńskiego.

Na str. 36 opisując chorągiew bratyańską robi pan Vossberg zapytanie: „Wenn Dlugosz unter der Fahne der Vogtei (Brathean) auch Bürger der *Neustadt* fechten lässt, so möchte man fragen, welche *Neustadt* er gemeint; wir kennen keine in der Nähe von Brathean." Na to odpowiadamy, że *Nova-civitas* w rękopiśmie Długosza, jestto miasto o milę od Bratyanu nad rzeką Drwęcą położone, zwane po niemiecku *Neumarkt*, które się tłumaczowi *Neustadt* nazwać podobało. Zwracamy przytém uwagę na przypisek pana Vossberg poprzednio przytoczony, w którym chorągiew miasta Świecia przypisać chce miastu Neumarkt, tu zaś toż samo miasto przestało mu być znajomém.

Na str. 38, przy chorągwi 26téj (w rękopiśmie oryg. nr. 6) pisze: „Nach Voigt's Preuss. Gesch. hat Dlugosz den Nahmen des verrätheri-

schen Baunenführers des Culmer Landes Nicolaus *Nyksz* verstümmelt, er hiess Nicolaus von *Renys*". Niesłusznie tu zarzuca Długoszowi skaleczenie nazwiska; bo w rękopiśmie oryginalnym jest: *Nicolaus dictus Niksz*; a w inném tamże miejscu: *Nicolaus alias Niksz*, tojest Mikołaj inaczéj *Niklosz*. Długosz więc nie kładzie tu nazwiska, które nie było mu znane, lecz tylko imię Mikołaja czyli Niklosza, przez skrócenie *Niksz* napisane, o czém przekonywa kreska poprzeczna nad tymże wyrazem położona, a skrócenie wyrażająca: że zaś *Nicolaus*, i z niemiecka *Niklosz*, jedno i to samo znaczy, widzimy to przy opisie chorągwi w rękopiśmie oryg. 11téj, a w książce pana Vossberg 48éj, gdzie Niklosz Vilcz, w przekładzie niemieckim położony jest *Nicolaus von Viltz*.

Na str. 41, chorągiew 28, a w rękop. oryg. 44, w przypisku jest: „Da der König *Wladislaw* von Polen bei seiner Anwesenheit in Danzig im Jahre 1457..... das bisherige Stadtwappen.... durch eine goldne Königskrone vermehrte, so erhellet aus dieser Thatsache..... das die *im Jahre* 1448 *von Długosz dem krakauer Domkapitel übergebene Handschrift der Banderia*, entweder später umgearbeitet, oder doch mit erweiternden Zusätzen versehen worden ist"; toż samo prawie powtórzone jest na wstępie książki, na str. 14téj. Że ta uwaga pana Vossberg jest po części mylna, dosyć jest powiedzieć, iż naprzód: w rękopiśmie oryginalnym nie ma wzmianki o tém, aby Długosz miał go kapitule krakowskiéj w 1448 roku darować, lecz tylko, że Dyrink rysunek chorągwi w tymże roku ukończył. Powtóre, że rękopism orygin. nie wspomina wcale Władysława króla, opisując chorągiew Gdańska, lecz króla Kazimiérza IIIgo (Jagiellończyka); jakoż ten właśnie monarcha po zajęciu posiadłości krzyżackich, przywilejami miasto Gdańsk obdarzył i do dawnego herbu tegoż miasta koronę królewską dodał. Potrzecie, że Długosz żyjąc do roku 1480 mógł był wspomnieć to zdarzenie, które w 1457 roku nastąpiło. Ponieważ zaś rękopism nie był zupełnie wykończony, bo próżne ustępy na umieszczenie nieznanych Długoszowi imion, dotąd niezapełnionemi pozostały: przeto wnosić raczéj ztąd można, że rękopism ten po śmierci dopiéro dziejopisa dostał się kapitule krakowskiéj.

Pominąwszy wiele mniejszych pomyłek i niedokładności, tak w łacińskim texcie przez pana Vossberg wydanym, jako też w jego tłumaczeniu i niedość wiernym rysunku chorągwi, można ogólnie powiedzieć, iż text łaciński nie jest dosłownym odpisem rękopismu Długosza, a w tłumaczeniu i dodanych objaśnieniach strona historyczna zbyt lekko jest traktowaną. Główną więc wartość książki pana Vossberg stanowi dodanie wielu nazwisk osób, które Długoszowi niewiadomemi były i dlatego w rękopiśmie opuszczonemi zostały. Z téjże książki dowiadujemy się, że rękopis orygin. jest uszkodzony wycięciem z niego karty z wyobrażeniem N. P. Maryi, stanowiącém odwrotną stronę chorągwi św. Maurycego, a znajdującém się w kopii królewieckiéj.

Pisałem w Krakowie, d. 10 marca 1851 r.

T. Żebrawski.

Kilka słów w odpowiedzi na recenzyą Zabytków miasta Krakowa, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiéj, miesiąc luty 1851 r.

Przeciwko uznanéj potrzebie krytyki, nikt słowa powiedzieć nie śmiałby, a bezstronne i nienamiętne wskazanie wad w dziełach na widok publiczny wychodzących, autorów ich urażać nie powinno, skoro ocenienie sprawiedliwe zawarte jest w granicach przyzwoitości, a nagana wymierzona przeciw dziełu, ubocznie autora nie dotyka.

Nie mam zamiaru występować z polemiką przeciw zdaniu szanownego recenzenta Zabytków miasta Krakowa, ani kopii z nim kruszyć nie przedsiębiorę. Sąd jego uważam za osobisty, i mniemam, że może nie wszyscy, którym się Zabytki w ręce dostaną, tego samego co on będą zdania.... Ze względu tylko, że ojciec za swém potomstwem, a wydawca dzieła za swym utworem ująć się powinien, poważam się puścić te kilka uwag w ich obronie.

Że w moich pracach nie widać ani *sztuki*, ani *zdolności*, jest może poniekąd słuszność po stronie recenzenta: ależ pozwoli mi zwrócić na to jego uwagę, że w tego rodzaju pracy jaki dla siebie obrałem, ani jedno, ani drugie nie jest potrzebne. Zbieranie i ogłaszanie dawnych pomników piśmiennych, nie jest ani dramatem, ani romansem, przy których *zdolność* i jéj wynikłość *sztuka*, są koniecznemi warunkami. Zbieracz starych pamiątek winien być tylko wiernym ogłosicielem tego, co mniéj jest wiadome, a ten obowiązek sumiennie spełnić starałem się.

To życzenie, jakie mi recenzent poddaje, abym się zapuścił w badania wewnętrznego życia miasta, jego urządzeń, życiorysów ludzi składających jego starszyznę, uważam za przechodzące moje zdolności. Mając w pamięci Horacego: *sumite materiam vestris aequam viribus*, nie występowałem nigdy jako pisarz samodzielny, jako historyograf, lecz zawsze tylko jako szperacz, co mi i recenzent i inni właściwi w téj rzeczy sędziowie przyznali (Athenaeum tom V, 1848 r.). Mój więc zawód nie przekraczał nigdy za szczupły zakres, który sobie wymierzyłem: nie byłem nigdy budownikiem, tylko pomocnikiem jego, a podając cegły i wapno, nie rwałem się do kielni.

Takim sposobem pisarstwu mojemu zakreśliwszy ciaśniejsze granice, obrębem murów krakowskich objęte; trudno mi było wychodzić z nich aż do rozprawiania o dziejach ogólnych rzeczypospolitéj.

Mówi recenzent, żem się zgubił w artykulikach.... Temu nie przeczę, ale inaczéj stać się nie mogło. Wiedziony miłownictwem starych wspomnień Krakowa (w którym lat pięćdziesiąt kilka przeżyłem), szu-

kałem ich w zapylonych księgach archiwalnych, a znalazłszy cokolwiek, gdy mniemałem. że to i drugim przydatne być może, zaraz to powszechnéj oddawałem wiedzy, nie kryjąc samolubnie i wyłącznie dla siebie tego, co do wszystkich należy.

Troskliwość recenzenta trochę zadaleko posuniona, mianowicie: że chcący z tych materyałów tworzyć gmach czyto o sztuce, czy o czémkolwiek, będzie miał mozolną pracę w pozbieraniu ich..... Odpowiedź na to leży zaraz obok jego obawy, że łatwiéj jest przejrzéć pisma czasowe i broszurki będące pod każdego ręką, niż polować za temi wiadomościami ukrytemi w ogromnych foliałach, i nie każdemu dostępnych; bo nie wszyscy potrzebować ich mogący w Krakowie zamieszkują; bo zresztą mozolne przeglądanie ksiąg indexami nieopatrzonych, nie każdy podjąćby chciał.

Większą nierównie mamy liczbę lubowników czytania rzeczy krajowych, niż archeologów, dla których *li tylko* (jak mniema recenzent) Zabytki mogą być użytecznemi....; przeto nie odbiega mię otucha, że i piérwsi w téj suchéj księdze, chętnie poszukają wiadomości o staréj stolicy kraju, i oni znajdą w niéj niejeden szczegół interesujący każdego Polaka.

Wymawia mi recenzent, żem nie wyszukał w aktach krakowskich wiadomości o zachowaniu się miasta w czasie najścia Karola Gustawa..... Trudną jest rzeczą wyszukać to, czego tam nie ma; a przytém ramy Zabytków są zbyt wązkie, aby w nich wszystko zmieścić się mogło. Wprawdzie nie brak tam obszernych obrad rajców z radą gminną w czasie inwazyi Szwedów, w których maluje się niezmierny ucisk miasta i smutny stan jego mieszkańców, które, gdyby mi Pan Bóg czasu pozwolił, ogłosić chciałbym.

Nie posiadając znajomości praw, nie moją było rzeczą obeznawać ziomków z ustawami dawnemi, jakiemi rządziło się miasto: ten, komuby to było potrzebném, wiedzieć będzie gdzie tych wiadomości szukać należy, mianowicie w dziełach drukiem ogłoszonych, prawodawstwo magdeburgskie miast polskich obejmujących. Kodex zaś Baltazara Behma, ustawy cechowe zawierający, chociaż jest najszanowniejszym pomnikiem starożytności, choćby tylko w wyjątkach, nie mógł znaleźć miejsca w Zabytkach, bo w nich przestrzeń zaszczupła.

W ogóle mówiąc, w recenzyi pana J. B. Zabytki nie zostały zlekceważone, i owszem wychodzą z niejedną zaletą dla ich wydawcy: albowiem mianowany w niéj żelaznéj cierpliwości pracownikiem, kochającym stare pamiątki i t. p., a przyznanie tych tytułów jest mu zaiste miłe, i tych też jedynie pragnąć mógł, bo więcéj mu się nie należy. Nawet nad zasługi widzi się położony na równi, obok, z mężem *ex professo* gruntownie uczonym; lecz uważa, że mu ślisko na tém miejscu. Ale co jest fenomenalnego, to rzeczywiście zdarzenie, że krytyce poddany wydawca Zabytków, nie uczuwa niechęci do nieznanego mu recenzenta; i owszem, za względne obejście się z nim, dzięki mu składa.

Pisałem w Krakowie. *Ambroży Grabowski.*

Stanisława Strąbskiego *Rocznik na rok zwyczajny* 1851. *Warszawa, nakładem i drukiem wydawcy*, 1850. 4ka, *str.* 128. *Z* 18 *drzeworytami, z dwiema rycinami (litogr.) do budownictwa wiejskiego, i kartą rzek spławnych, oraz lasów rządowych nad temiż położonych w Królestwie Polskiém.*

W części literackiéj zawiéra obszerną rozprawę, p. n.: *Dziejowość bojowych zapasów chrześciaństwa, z potęgą turecką w XV i XVI wieku*, Adryana Krzyżanowskiego. Autor w niéj głównie od klęski warneńskiéj i upadku Konstantynopola, przebiega zasługi każdego narodu, jakie który położył w łamaniu się z potęgą turecką. Zaczyna od zakonu rodyjskiego, przechodzi do Siedmiogrodu, Węgrów, Czechów, Epiru czyli Albanii pod *Skanderbegiem*, Persyi w okresie szacha *Ussum-Kassan*, Rossyi pod *Iwanem III Bazylewiczem*, Polski, pod Kazimierzem Jagiellończykiem, i dodaje ustęp o weneckich i perskich do króla Kazimiérza (Jagiellończyka) poselstwach. W *zamknięciu*, całą rozprawę swoję p. A. Krzyżanowski tak w treści przedstawia:

„W tym ściśnionym zarysie bojowych zapasów chrześciaństwa z potęgą turecką z XV i XVI wieku, któż na stronie chrześciaństwa szczęśliwą odegrał rolę?—nikt. Kto do ostatka zwycięzką? Jerzy Kastryota Skanderbeg władca Epiru czyli Albanii. Kto po nim znieważał tureckich Moslemów bić czołem przed żołnierzem Chrystusa? Jan Korwin Huniades, siedmiogrodzko-węgierski, i Stefan IV mołdawsko-wołoski rządca; nakoniec zakon rodyjski. Któryż z narodów europejskich pod przewodem swych władców, wystąpił wówczas do boju przeciw Turkom, w duchu prawdziwie chrześciańskim? żaden. Któż te bojowe zapasy na wielką *stopniówkę* rozpoczął, a kto je zamknął?—Władysław III Jagiellończyk r. 1444 pod Warną, i Jan III Sobieski r. 1683 pod Wiedniem. Komu nareszcie z tego okresu zostało dłużne chrześciaństwo pomnik uczczenia i wdzięczności? —azyatyckiemu monarsze, mężowi chrześcianki, cesarzównéj trebizonckiéj, ormiańskiemu zrazu, perskiemu potém królowi, Mahometa II pogromcy, *Usum-Kassanowi*. Z winy kłótliwych między sobą chrześciańskich władców, nie zdołał ten perski spoić Europę węzłem zbrojnéj jedności na roztrzaskanie potęgi tureckiéj; ale sprawił, że ta potęga za granice dawnego greckiego cesarstwa, nie posunęła swoich krwawych i *rozwalinnych* podbojów. Takich podbojów ofiarą do reszty padłyby ludy słowiańskie".....

....„My nie naprożno zapewne podjęliśmy niniejszy piśmienny trud, chcąc na nim, jako na *podstopiu* do pomnika wyryć wyrazy czci i pamięci, należnéj słynnemu w dziejach królowi perskiemu *Usum-Kassanowi*, od chrześciaństwa, którego w XV wieku, srogo od potęgi tureckiéj trapionego, on był statecznym i skutecznym obrońcą".

Po krótkim życiorysie Albrechta Thaera, założyciela szkoły agronomicznéj w Mögelinie, z drzeworytem pomnika, do którego już podnóże położone w Lipsku dla tego zasłużonego męża, następują obszerne i ważne rozprawy: *O związku niektórych rodzajów fabrykacyj z gospodarstwem*, Michała Oczapowskiego. *O głównych częściach składających ziemię, uważanych pod względem ich użyteczności*, Wojciecha Jastrzębowskiego. *O kościach i ich użytkach*, J. Bełzy. *O zarazie bydlęcéj zwanéj księgosuszem*, Edwarda Ostrowskiego: rozprawy obchodzące ogół naszych ziemian. Następuje wizerunek Jerzego Stephensona (w drzeworycie) z krótką biografią. Ciekawe jest wielce sprawozdanie p. Wilhelma Kolberg o drodze żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj. Przytoczymy tu ciekawsze cyfry:

Długość drogi żelaznéj wynosi, licząc ogółem z odnogą od Skierniewic do Łowicza, mil 44 polskich. W odległościach co 600 sążni mniéj więcéj, są domki dróżnicze i słupy do dawania znaków w czasie biegu pociągów. Domków takowych jest 315. Każdy domek obejmuje sionkę wstępną, izbę i komorę; za nim jest oparkanione podwórko, stajenka na krowy i chlewek. Do domku dodano morgę gruntu na ogród.

Stacyj jest 21. Tabor drogowy składa się z 43 parochodów i 408 powozów i wagonów. Koszta budowy w ogóle wynoszą rub. sr. 6,600,000, co czyni na jednę milę długości 150,000 rub. sr. Żadna droga zagraniczna przez towarzystwa prywatne budowana, tak tanio nie kosztowała.

Ruch większy na drodze rozpoczął się od r. 1846. W tym roku wyprawiono pociągów; 1,085| w r. 1849 pociągów 2742. W r. 1846 przewieziono osób 269,346, w r. 1849 osób 373,369; ale to powiększenie nie można za normalne uważać, bo wypadki zaszłe w r. 1848 i 1849 na zachodzie Europy, niepomyślnie także na ruch naszéj drogi żelaznéj wpłynęły. Dochód czysty po strąceniu wydatków na milę drogi wynosił w r. 1849 po rub. sr. 2726.

Po tém sprawozdaniu czytamy rozprawę p. Bolesława Podczaszyńskiego: *Budownictwo wiejskie* (z dwiema litografowanemi tablicami), któréj treścią: wybór miejsca pod siedzibę; zabudowania dworskie i ich układ; budowle mieszkalne i ich rozkład. P. L. Wol-

skiego ciekawa i ważna ze wszech miar rozprawa: *O rzekach krajowych, ich zastosowaniu do spławów, ze wzmianką o lasach rządowych nad rzekami spławnemi położonych* (1), z kartą rzek spławnych oraz lasów rządowych nad temiż położonych w królestwie.

W artykule p. n. *Żegluga parowa na rzekach spławnych królestwa polskiego*, czytamy ciekawe szczegóły zawiązku i rozwoju, głównie energią i współdziałaniem hr. Andrzeja Zamojskiego, téj żeglugi, która nietylko dla królestwa, ale i dla ziemian galicyjskich, wołyńskich i podolskich błogą przyszłość pod względem handlowym i spieniężania płodów rolniczych obiecuje. Z początkiem r. b. spółka żeglugi parowéj (do któréj, oprócz hr. And. Zamojskiego przystąpili hr. Adam Potocki, i hr. K. Z. Plater), posiada siedm paropływów i 16 gabar, o sile, począwszy od 30 do 100 koni.—Wspomnienie Szyllera (z drzeworytem przedstawiającym tego poetę siedzącego na ośle i palącego fajkę), wraz z przywiedzeniem wyjątków z hymnu *Do radości*, i *Apologii kobiét*, w nowym przekładzie, wprawnego pióra; krótki opis (z drzeworytem) kościoła katedralnego w Kolonii; nareszcie: Przysłowia, przypowieści i sposoby mówienia od imion, p. Tymoteusza Lipińskiego, kończą część literacką kalendarza p. Strąbskiego, który pod względem ozdobności wydania, treści i taniości swojéj, mało co pozostawia do życzenia. Rocznik ten (jak go sam wydawca nazywa), odbity w 3000 exemplarzy, rozchwytany, daje rękojmię, że czytająca publiczność nasza zawsze potrafi ocenić sumienność wydania, cel użytku—i widoczny postęp w wydawnictwie tak podręcznego dzieła.

W.

(1) Skrócenie z Biblioteki Warszawskiéj.

ROZMAITOŚCI.

O malarzach lwowskich.

Mamy kilka ognisk oświaty, kilka punktów, gdzie się środkuje duchowe życie nasze: Poznań, Warszawa, Wilno, Kraków i Lwów. Za pomocą dziennikarstwa należy porozumiewać się z sobą, i wspólnie pracować koło wspólnego dobra. Sztuki piękne powinny być pod szczególną opieką literatury, aby znakomitsze utwory jednéj prowincyi, stawały się tym sposobem skarbem całego narodu: byśmy mogli widzieć i oceniać ich postępy. Sztuka przez to stanie się popularniejszą, obudzi się zamiłowanie, wykształci się dobry smak publiczności. Słowem, literatura powinna tchnąć nowe życie w krainę sztuk pięknych, zająć niemi ogół, wpoić zasadę: że wykształcenie estetyczne jest nietylko ważną, ale niezbędną potrzebą prawdziwéj oświaty.

Dotychczas, pod względem zajęcia się sztukami pięknemi, szczególnie malarstwem, czasopisma innych prowincyj polskich daleko nas prześcignęły. Nie możemy niczém się usprawiedliwić. Mamy malarzy utalentowanych i znakomicie wykształconych, którzy pracując w swoim zawodzie, śmiało powiem, bezinteresownie pełnią służbę swego powołania. Ale obojętność nasza dla wielu rzeczy, które nie przynoszą materyalnych korzyści, pomimo że piękne, że kształcą umysł i serce, że są chlubą dla kraju, wszystko to niekorzystnie wpływa na byt naszych malarzy. Słuszna zatém niezrażających się w swoim zawodzie podać cześci powszechnéj.

Bezpośrednie *Rajchan* i *Jul. Kosak* zajmują najzaszczytniejsze miejsca w rzędzie malarzy naszéj prowincyi; piérwszy głębokiém znaniem sztuki, artystycznem wykształceniem; drugi wrodzonym talentem, wyraźném namaszczeniem duchowém na mistrzostwo. Rajchan, nietylko

u nas, gdzie tak nizko stoją sztuki, ale obok najbieglejszych malarzy byłby znakomitym. Technika nieporównana; biegły, doskonały rysunek; koloryt cudny, taki lekki, świeży, ciepły! Z malowideł p. Rajchana tchnie życie, wieje jakaś luba słodycz; portrety jego rysowane i malowane tak sumiennie, że nietylko publiczność, ale i artystów zadowolnić powinny. Jedno daje się postrzegać, idealizowanie rysów. Wrodzony gust estetyczny, każe mu czasem poprawiać błędy natury, i arcypowszednią twarz odtworzyć po bożemu. Zupełnie nie mamy tego za złe malarzowi, owszem, więcéj nas smuci, że p. Rajchan same tylko maluje portrety. W pracowni jego nie widzieliśmy żadnego historycznego, ani rodzajowego obrazu; nie wiemy, czy nie ma zamiłowania w podobnym rodzaju utworów, czy potrzeby życia zmuszają go pracować w zawodzie więcéj korzystnym. Bądź co bądź, zawsze to nieodżałowana szkoda marnować podobny talent pracą tak niewdzięczną, chociaż niektóre portrety p. Rajchana śmiało można policzyć do rodzajowych obrazów. Takiemi są: *Druciarz*; *portret familijny dzieci samego malarza*; *portret młodéj dziewczyny, pod draperyą pąsowych firanek*; parę *głów starców*. O portretach robionych akwarelą nie będziemy mówić, albowiem te mają europejską prawie sławę. Oświadczając publicznie p. Rajchanowi uwielbienie godne talentu i pracy, serdecznie życzyć należy, by zwrócił się na drogę, gotującą mu w sercach rodaków trwalszą cześć i pamięć.

Wspomnieliśmy, że *Jul. Kosaka* uważamy za najwięcéj uzdolnionego, najgienialniejszego z naszych malarzy; nie mówimy przez to, żeby stał na najwyższym szczeblu sztuki; przeciwnie, przy ogromnym talencie, przy natchnionéj twórczości, nie ma artystycznego wykształcenia. Szkice jego są pełne prawdy, życia i siły, ale brak im poprawności rysunku. Do najpiękniejszych jego utworów należy *Album rossyjskie*. Ale p. Kosakowi zbywa na pracy, wytrwałości, nauce! Nie namawiamy go zupełnie, by pracował na innem polu, to na które sam wszedł jest bardzo pomyślne i korzystne; nie namawiamy go do żadnéj szkoły: zapatrywanie się na naturę i praca, dadzą mu resztę. Ale czas już wziąć się do większych utworów. P. Kosak zapomina, że z odebranych talentów trzeba zdać rachunek Bogu i ludziom. Że lepiéj jest nic nie umieć, niż zmarnować wiele. Niech p. Kosak nie zapomina, że powołanie jego jest służbą dla rodaków, że mamy prawo wielbić talent, karcić opieszałość.

Raczyński, śmiało twierdzić można, jest jednym ze znakomitych malarzy, nietylko naszéj prowincyi: kraj cały słusznie chlubić się nim powinien. Wrodzony talent wzbogacił obszerną nauką, pracowitém studyowaniem i zapatrywaniem się na dzieła mistrzów; estetycznie wykształcił się zwiedzeniem piérwszych europejskich galeryj. Zamiłowany

w swojskich dziejach i zwyczajach, wzbogaca pięknemi utworami skarbiec krajowéj sztuki, i da Bóg, będziemy mogli ozdobić jego imieniem wiele kart w dziejach polskiego malarstwa. Życzyćby wypadało, aby młodzi artyści pracujący za granicą, brali przykład z p. Raczyńskiego; gdyby z nich każdy przyniósł nam parę takich kopij, jak żniwiarze (les moissoneurs) *Leopolda Roberta*, Rafał i Michał-Anioł w galeryi Watykanu i Judyta *Werneta*; wkrótce kraj posiadałby tyle pięknych wzorów, że już synowie nasi nie potrzebowaliby jeździć na naukę do zagranicznych akademij. Ale powtarzamy, takich kopij jak p. Raczyńskiego. Nie będziemy opisywać obrazów z których kopiował p. R., albowiem są znane z tysiącznych litografij.

Żniwiarze (les moissoneurs) wielkości oryginału. Ze wszystkich prac p. Raczyńskiego ta jest najwięcéj wykończona. Bogaty, żywy koloryt, rysunek mistrzowski, biegły i śmiały, wszystkie postaci tchną życiem, każdy ruch pełen wdzięku i prawdy, każda fizyonomia nacechowana pewnym wyrazem. Z zachwyceniem możemy przyznać p. R., że nas obdarzył kopią zupełnie godną sławnego oryginału. Do szczególnie wypracowanych miejsc obrazu należą: z prawéj strony dwie żniwiarki siedzące na snopach; po środku młodzieniec, co idzie przed wołami; po lewéj stronie cała grupa idąca przy wozie.

Po żniwiarzach słusznie położymy *Judytę*. Chociaż *Michał-Anioł i Rafał w Watykanie*, co do kompozycyi większą ma wartość; jednakże pisząc o kopiach musimy mieć na piérwszym względzie wykończenie; a co do tego, Judyta nie ustępuje w niczém żniwiarzom.

Rafał i Michał-Anioł w Watykanie (¼ naturalnéj wielkości). Jeden ze znakomitych obrazów *Werneta*, mniéj jest znany, opiszemy w krótkości treść kompozycyi. Oto przed nami Watykan w chwili swego powstania. Na przodzie obrazu Michał-Anioł niesie księgę, miecz i klucze. Z pooranéj jego twarzy promieni cały gieniusz, cała potęga ducha. Postawą, ubiorem, wyrazem, różni się od stojącego w głębi Rafała.

Z oryginalnych prac p. Raczyńskiego znakomitsze są:

1. *Ś. Jan*, jeden z dawniejszych jego obrazów, bo jeszcze w r. 1844 widzieliśmy go w pracowni artysty. Na pomoście kamiennym stoi święty poprzednik pański. Twarz jego wyraża pokój i natchnienie, oczy pełne myśli, nad głową świeci aureola. W jednym ręku krzyż, druga wskazuje w stronę, zkąd przychodzi Baranek Boży. Cały ubiór składa skóra wisząca przez biodra i płaszcz purpurowy. Za nim, w pięknéj perspektywie cudny widok syryjski, Jordan; daléj odziane lekką mgłą wzgórza, a nad nim pogodne niebo powłóczone chmurkami, zarumienione zo-

rzą. W całym obrazie naturalność i prostota, chociaż w niektórych częściach chcielibyśmy większego wykończenia; tak np. twarz i głowa proroka zdają nam się niezupełnie, pod względem techniki, doskonałe. Rysunek także nie jest bardzo poprawny.

2. *Szlachta sejmikowa na winie* w gospodzie małego miasteczka. Wyborne postaci! Po prawéj stronie przy kominie widzimy siedzących trzech braci szlachty, wszyscy pod dobrą już datą; biorą właśnie na uwagę czwartego, co także dobrze już podpiły wystąpił na środek izby i przytupując nogą, snać pocieszną jakąś prawi krotochwilę; przy nim staruszek w zielonym żupanie, z szklanką w ręku, kołysze się na krześle. Głębiéj dwie inne postaci ściskają się serdecznie. Na wszystkich twarzach, ta prawdziwie polska szczerota i wesołość, prawdziwie sejmikowa rubaszność: rumiano zdrowiem twarze, podgolone czupryny. Jeszcze raz powtarzamy, wyborne! Prześliczne jest tło obrazu. Szare ściany gospody, komin, w głębi drzwi, okno zkąd pada oświetlenie na cały obraz. Zrobilibyśmy jednę uwagę panu Raczyńskiemu, że na tło tak ładnie szaro trzymane, przyjaskrawe są kontusze, szczególniéj ten czerwony i zielony. Podział światła jest bardzo dobry i naturalny, rozpływa się wolno bez wyliczonych efektów. W twarzach pragnęlibyśmy więcéj gry i rozmaitości.

3. *Izba czeladna. Obiad.* Czworo czeladzi siedzi u stołu. Przy palącém się ognisku, kobiéta zajęta gotowaniem. Obok różne sprzęty gospodarskie. We wszystkich postaciach i w całéj grupie wiele naturalności i prawdy, chociaż cały obraz trzymany zanadto szaro; zapewne ubiór naszego ludu jest bardzo jednostajny, martwy, że się tak wyrażę, nie masz tu jaskrawego kolorytu, ani fantastyczności włoskiéj: zawsze jednakże chcielibyśmy więcéj ciepła, więcéj życia. Wnętrze izby szczególnie piękne. W ogóle pan Raczyński celuje w malowaniu tła i w dobrém urządzeniu światła.

4. *Biwak rossyjskich żołnierzy.* Przy zapaloném ognisku zebrało się małe kółko z czterech złożone osób. Jeden rozebrany z wierzchniéj sukni, klęczy przy gotującym się kociołku. Nad nim ułan z fajką w ustach; po drugiéj stronie ognia dwaj inni w całym rynsztunku. Wszystkie twarze bardzo charakterystyczne, rysunek biegły, koloryt piękny; ale znać pośpiech i niewykończenie, jeden z głównych grzechów p. Raczyńskiego. Życzymy zwrócić uwagę artysty na rękę żołnierza sięgającego do drewka. To są rzeczy drobne zapewne, ale w najmniejszym szczególe chcemy poprawności i wykończenia—wykończenia!

5. *Pejzaż zimowy.* Przed karczmą w polu stanęły chłopskie sanki; para chudych koników i chłop przed niemi, oto cała grupa. Daléj pola okryte śniegiem, lasek. Taka pojedyncząość, taka prostota! A jednak

ten obraz liczymy do najlepszych pana Raczyńskiego. Perspektywa, nadzwyczajna lekkość i technika, znamionują mistrza. Nie radzi widzimy tę budę na przodzie obrazu; bez niéj byłoby i piękniéj i prościéj. *S. Jan* i *pejzaż zimowy* ze wszystkich obrazów są najpraktyczniéj malowane.

Z mniejszych obrazów zasługują na uwagę: *Studya z podróży*: *bawarskie okolice*. Charakterystyczne typy, a szczególnie niebo lekkie, przejrzyste. Pejzaże jak wszędzie u pana Raczyńskiego wyborne. *Szlachta kosztująca wino u żyda* mniejszéj jest wartości; szczególnie przypomina sejmikową szlachtę w gospodzie; radzilibyśmy nie powtarzać się. Lepsze jest: *Wnętrze klasztoru przy świetle lampy*. Portrety p. Raczyńskiego zasługują na uwagę. Wyrazistością i pięknym rysunkiem nie mogą jednakże porównać się z portretami p. Rejchana. Widzieliśmy u p. Raczyńskiego kilka portretów rysowanych wiszerem z nadzwyczajną elegancyą, wyrównywającą miedziorytom, z lekkością i rutyną mistrzowską. Boleśnie nam bardzo, że pan Raczyński od niejakiego czasu zda się więcéj zajęty chlebem powszednim, niż sztuką, w któréj tak pięknie się odznaczył. Lekcye rysunku dawane prywatnie zabierają mu czas drogi, zkąd, gdy przyjdzie wylać się z myślą ciążącą na sercu, ów pośpiech i niewykończoność.

Korneli Szlegel z wielkim talentem łączy większe zamiłowanie i oddanie się sztuce, niezmordowaną pracę i żywe przejęcie się dziejami i zwyczajami przodków. Ze wszystkich naszych malarzy jemu jednemu nie możemy zarzucić marnowania czasu. Już znamy kilka jego obrazów zasługujących na uwagę powszechną; a droga, na którą się rzucił, tak okwita, tak bogata i zajmująca, że mamy nadzieję pochlubić się kiedyś pięknemi utworami jego pędzla, jak dziś słusznie stawiamy go w piérwszym rzędzie krajowych malarzy.

Ulubionym przedmiotem p. Szlegla są obrazy rodzajowe, obyczajowe. Zwykle bierze charakterystyczne sceny z powieści więcéj znanych w literaturze, doskonale je pojmuje, ożywia mocą twórczéj wyobraźni, i w całym uroku pięknéj plastyki stawia nam przed oczy. Znamy jeden tylko historyczny jego obraz: *Posłuchanie u Jana IIIgo*; obyczajowe zaś: Polonez Trembeckiego ze Szczęsnym Potockim, z powieści: *Ogrody* i *poeci* Lucyana Siemieńskiego; *Miecznik z Maryi* Malczewskiego; *Maryasz*, taniec w lesie przy pasiece. Zaczęte: *Puławski na chrzcinach* i jakiś mały rodzajowy obrazek; po całém ułożeniu gruppy i sposobie malowania sądzę, że będzie w tym guście co Maryasz. Z kopij jego znamy Madonnę *Rafała*. Utwór ten pełen natchnienia, pełen twórczości jest jakby wzniosłą modlitwą do Bogarodzicy. W zachwycie nabożnym, ze łzami w oczach musiał go mistrz tworzyć. Pan Szlegel dał nam poznać prześliczną, pra-

wdziwie mistrzowską kopią. Ogrody *Vatteau*; tu zarzucilibyśmy, że koloryt trzymany za ciemno. Mały obrazek niderlandzkiéj szkoły, z dobrém użyciem światła i piękną perspektywą.

Oryginalne prace pana Szlegla: Posłuchanie u Jana IIIgo, jeden z najpiękniejszych jego obrazów. Szczególnie zasługuje na uwagę harmonijna całość w kolorycie i świetle, chociaż i tu niebardzo się zgadzamy z tym żółto-zielonym kolorem sukni damy dworskiéj: jest zanadto, że się tak wyrażę, krzyczący; szczególnie przy tém cudném tle, bo tło obrazu jest tak piękne, że nic już życzyć nie wypada: całe jest doskonale utrzymane w szarych kolorach. Do najwyborniejszych postaci należą: klęcząca, posła Wilczka, w czarnym ubiorze z koronkami; kardynała w gronostajowéj pelerynie; bardzo ładna Polaka, słuchającego żołnierza i Jezuity. Co do głównéj figury Jana IIIgo, ta się nam nie podoba; widać malarz bardzo się trzymał portretu, dlatego dał tak sztywną postawę Janowi, dlatego król ma obojętną twarz i nie jest zajęty zupełnie akcyą. Widać z wyrazu, że myśli, ale zdaje się o czém innóm, niżeli w téj chwili powinien. Kobiéty są bez gracyi i nadto wymuszone. Główne osoby, jak: król, Marya Kazimiéra, Wilczek, kardynał, są bardzo starannie kopiowane z portretów, co nadaje obrazowi więcéj historycznéj wartości. Technika, a szczególniéj malowanie złotogłów i ciężkich materyj na sukniach jest bardzo piękne, ale i w tém malarz zgrzeszył w głównéj figurze: płaszcz na królu Janie nieznośnie łamie się pod ręką i nadto jest ciężki.—Nad obraz opisany przenosimy *Polonez*. Co do przedmiotu, jest przyjemniejszy, łatwiejszy do wykonania: albowiem rzecz dzieje się pod golém niebem, i nie ma tyle szarych kolorów. Mamy przed sobą cały łańcuch par w poważnym polskim tańcu. W piérwszéj parze Zosia w stroju wiejskiéj dziewczyny z sierpem na głowie, ze spuszczonemi oczkami; całą tę anielską postać starał się malarz odtworzyć. Daléj kilkanaście par: kobiéty wszystkie we francuzkich strojach, mężczyzni w kontuszach i mundurach. Po prawéj stronie obrazu muzyka: Jankiel grający na cymbałach, i młody ułan, Smyk, niegdyś kochanek Zosi, smutny, zamyślony. Tło obrazu stanowi dom ocieniony drzewami; na lewo zwaliska zamku, wyżéj niebo pogodne wieje spokojem i ciszą. Do najdoskonaléj pojętych postaci w tym obrazie liczymy Jankiela, Smyka i Telimeny; koloryt i światło także bardzo się podobają, tylko pary, które są w cieniu, zanadto już ciemno trzymane. W ogóle u pana Szlegla w cieniach predominuje asfalt, tak, że często twarze jego osób są prawie czarne, a przez to nie mają téj świeżości, tego przezroczystego ciała, jak np. widzimy w portretach Rajchana. Kobiéty są zanadto sztywne, manierowane; nie mają tych wolnych ruchów, téj naturalności i swobody, które tak miło wi-

dzimy. Radzilibyśmy więcéj zapatrywać się na naturę. U nas szczególnie tyle mamy pięknych kobiét, że malarz nie może uskarżać się na brak wzorów.

Mniejszéj jest wartości, choć także bardzo ładny obraz: *Ogród.* Przedstawił nam malarz Zofiówkę w chwili, gdy Trębecki czyta Potockiemu swój poemat. Jestto często błąd najznakomitszych malarzy, szczególniéj wiedeńskiéj szkoły, że malują nam sceny potrzebujące wykładów i kommentarzy. Prócz tego nie ma jedności w téj całéj gruppie; pojedyncze postaci są prześliczne, pełne życia, doskonale prawdziwe, ale do uzupełnienia całości, brakuje celu głównego: akcye porozrywane. Szczególnie pięknie jest rysowana i malowana kobiéta mdlejąca. Koloryt, pejzaż malowany w guście *Vatteau*, nie zostawiają nam nic do życzenia.

Maryasz, niewielki obrazek rodzajowy. Przy stoliku staruszkowie grają w karty i częstują się tabaczką. Młodsza para tuż przy nich. Ubiory przypominają Stanisławowską epokę. Twarze bardzo charakterystyczne i pełne wyrazu; koloryt ciepły i żywy.

Portrety pana Szlegla są malowane śmiało, z pewną rutyną; ale trochę za surowo, nie mają téj lekkości, życia, jak portrety pana Rajchana. Sądząc z wyrazu, ze szczególnych charakterów, bardzo muszą być trafne. Widzieliśmy zaczęty obraz *Puławski na chrzcinach.* Myślimy, że ten obraz będzie należał do najlepszych. Dziś już jest piękny. Chcielibyśmy wypędzić pieska, co zupełnie niepotrzebnie figuruje na przodzie obrazu; zresztą nie jest nawet naturalny, bo w całym pędzie, nie zważając, że nie ma miejsca.

Oprócz malarzy wspomnionych, winniśmy zwrócić uwagę jeszcze na kilku innych, mających swoje pracownie we Lwowie.

Do dawno znanych i wziętych malarzy należy *Jabłoński.*

Jabłoński zajmuje się głównie malowaniem portretów. Znany jest jako portrecista w całym kraju, który prawie zarzucony jest jego pracami, tak, iż mało znamy domów, gdzieby się nie znajdował portret pędzla Jabłońskiego. Celują one podobieństwem, chociaż nie wyrównywają pracom Rajchana, Szlegla lub Raczyńskiego pod względem artystycznéj wartości, gdyż są tylko niewolniczém kopiowaniem natury i mają wszystkie jednakowy wapienny surowy koloryt: sąto portrety regułkowe.

Podziwiać wszelako musimy Jabłońskiego, gdy pomnimy, że nie bywszy nigdy za granicą, nie miał sposobności zapatrywać się na wzory i arcydzieła rozlicznych mistrzów, na których się zwykle artyści nasi kształcą; że umiał swój wrodzony talent jedynie przez praktykę i długie doświadczenie do tego rozwinąć stopnia, na którym dziś stoi. Jabłoński

jest artystą z natury; wrodzonemu talentowi, długoletniéj pracy i doświadczeniu winien wszystko, co umié.

O rozlicznych obrazach jego, najwięcéj kościelnych, mamy tylko do powiedzenia, że są malowano tym samym sposobem, co portrety; widać po nich, że sobie przywłaszczył jednę paletę, którą do wszystkich prac swoich stosuje; widać oraz to samo wielkie doświadczenie, tę samę obszerną praktykę. Do twórczości i kompozycyi Jabłoński nie rości sobie w skromności swojéj żadnego prawa, gdyż bierze do obrazów kościelnych za wzory najwięcéj ryciny, robione podług dawnych włoskich mistrzów.

Maszkowski gdyby nie był sam artystą i posiadał dostatki niejednego zamożnego obywatela w naszym kraju, byłby może najpiérwszym mecenasem, największym opiekunem malarstwa. Jemu winna większa część naszéj młodzieży kształcącéj się za granicą początkowe nauki, zachęcenie i umysłowe wykształcenie pod względem malarstwa.

On jest może jeden w kraju, który celuje znawstwem i bezstronnością, oraz, tym tak rzadkim między artystami darem, on może być każdemu malarzowi w każdéj gałęzi malarstwa pomocnym radą i chętnie to czyni. Żałujemy, że nie posiadamy tyle prac jego, abyśmy go między piérwszych naszego kraju policzyć mogli. Przechodząc bowiem rozmaite losów koleje nie mógł się bezwzględnie oddawać umnictwu; pomimo tego przyniósł tę wielką przysługę krajowi, że będąc przez długie lata nauczycielem, przyczynił się do obudzenia w młodzieży naszéj zamiłowania do sztuk, i dał, możemy powiedzieć, niejednemu z naszych młodszych i znakomitszych artystów piérwsze namaszczenie. Tém bardziéj musielibyśmy ubolewać, gdybyśmy go widzieli przez prywatne stosunki i słabości zdrowia zmuszonego do opuszczenia tak pięknego zawodu.

Morawski więcéj posiada wiadomości historycznych, potrzebnych do historycznego malarstwa, niż artystycznego uzdolnienia i praktyki. Pomysły jego do obrazów historycznych są często bardzo dobre, jednakże wykonanie nie odpowiada, niestety! ani oryginalności pomysłów, ani obszernym wiadomościom jego. Gdyby który z biegłych artystów poprzerabiał obrazy Morawskiego pod względem rysunku, kolorytu i układu, mielibyśmy wiele szacownych dzieł, odznaczających się trafnością historyczną, i dokładną znajomością dawnych strojów i zwyczajów. W tym ostatnim względzie zasługują na uwagę:

Przeproszenie Zebrzydowskiego, gdzie nawet ugrupowanie osób jest dobre. Byłbyto obraz znamienitéj wartości, gdyby ręka Morawskiego sprostała jego pomysłom. *Morsztyn ciągnący za sobą Tatara na sznurze za szyję*. Obaj konno, koń Morsztyna w lansadach, Tatara zaś

koń opierający się dalszemu pochodowi; pomysł oryginalny i historyczny, chociaż niebardzo estetyczny. Jeszcze mniéj powabu ma *Konaszewicz* ścinający Turkom głowy.

Titz niedawno osiadły we Lwowie, nie przywiózł z sobą żadnych utworów z Francyi; tu zaś zakrótko bawi i nadto zajęty jest nauczaniem, ażeby miał czas dać się poznać z dzieł swoich. Widzieliśmy u niego kilkanaście rozpoczętych portretów, w których pochwalić możemy usiłowanie czynienia z portretów oraz obrazy rodzajowe. Titz stara się skréślić portret wśród ruchu, przez co może mu nadać więcéj życia, niż mają zwykle portrety. Główną jednak zasługą jego nauka, którą udziela z zamiłowaniem a nawet poświęceniem, przez co i w uczniach obudza tak mało znane u nas prawdziwe artystyczne zamiłowanie. Zresztą należy mu i to przyznać jako zasługę, że uczy metodą nową, która nie zaprawia ucznia do kopiowania martwych wzorów, ale zostawiając wrodzonemu usposobieniu wszelką samodzielność, stawia żywą przyrodę za wzór.

Oprócz tych kilku mamy jeszcze niemało artystów krajowców, na których wielkie można miéć nadzieje; gdy jednak jeszcześmy nie mieli sposobności poznać ich dokładnie, nie możemy nateraz dać sprawozdania. Teraz zaś skończywszy nasz pogląd, wypada nam wynurzyć dwa życzenia.

Jedno jest, aby w naszym kraju ustało raz, że się tak wyraziny, uśpienie artystycznego zmysłu i obojętność dla umnictwa. Mamy zarody wielkich talentów, może nawet gieniuszów w kraju, ale te muszą gnuśnieć, karłowacieć, bo mają do walczenia to z przesądami towarzyskiemi, to z niedostatkiem. Drugie jest powtarzająca się przynajmniéj raz w parę lat wystawa obrazów. ***

Wiadomość o życiu i pismach ś. p. Ignacego Jagiełły, nauczyciela literatury starożytnéj w byłém gimnazyum wiłnioskiém, zmarłego dnia 29 grudnia 1849 roku.

Ś. p. Ignacy Jagiełło urodził się we wsi Remejsiach w powiecie wiłkomirskim dnia 9 lutego r. 1784, z Józefa i Elżbiety z Jakubowskich Jagiełłów. Chodził do szkół w Traszkunach, utrzymywanych przez księży Bernardynów. Pracowity i zdolny młodzieniec poznał, że nauka ztąd wyniesiona nie wystarczała potrzebom jego umysłu, przeto wyjechał do uniwersytetu wileńskiego, gdzie przyjęty w poczet kandydatów do stanu nauczycielskiego, oddał się filologii i będącym z nią w związku naukom. Po trzechletnim kursie pod przewodnictwem uczonego i cnotliwego professora Ernesta Grodka, otrzymał stopień kandydata filozofii, i wysłany

został w r. 1808 na nauczyciela łacińskiego języka do szkoły postawskiéj. Rok jeden tu przebywszy, upraszał rządu uniwersytetu, aby na dalsze studya dozwolił mu powrócić do Wilna. Na podane prośby, nigdy ta władza nie umiała dać odmownéj odpowiedzi. Wrócił więc Ignacy Jagiełło do Wilna; po dwóch latach otrzymał stopień magistra filozofii i naznaczony został w 1811 roku starszym nauczycielem języków starożytnych w Winnicy na Podolu, gdzie zamierzano otworzyć gimnazyum, a co dopiéro w 1814 r. nastąpiło.

Od tego czasu aż do śmierci, Winnica była miejscem ciągłego pobytu Ignacego Jagiełły. Po otrzymanéj emeryturze na jeden tylko rok był na wieś się wychylił, zaprobował gospodarki i znowu wrócił do ulubionego miasta, a raczéj do właściwych sobie zatrudnień.

Niewielu ludzi tak trafnie, jak Jagiełło, zawód i stan dla siebie wybierali. Cierpliwy, rozsądny, szlachetny, poważny, gruntowny, słowem i czynem najzbawienniejszy wpływ na młodzież wywierał. Był on jednym z piérwszych nauczycieli tworzącego się gimnazyum winnickiego, i prawie ostatni po jego zniesieniu umarł. Rok 1849 nie mógł boleśniéj dla stron tutejszych się zakończyć, jak zabiérając męża, który był ich ozdobą i wzorem.

Jako nauczyciel starożytnych języków, Ignacy Jagiełło znakomite położył zasługi; dla każdego pilniejszego ucznia, lekcye jego były bardzo nauczające; piérwszy on porzucił wykład drobiazgowy, przeciążający pamięć uczniów suchemi prawidłami, a natomiast trzymał się zawsze strony praktycznéj; w porównaniu z mową ojczystą wykazywał właściwości języków starożytnych, zwracał uwagę na szczególną ich budowę i bogactwo; żadna piękniejsza myśl filozoficzna, żadne prawdziwie poetyczne wyrażenie, nie uszło jego, a ztąd i uczniów uwagi. Mając sam umysł rozległemi wiadomościami wzbogacony, wszystko co wymagało dopełnienia objaśnienia, objaśniał, dopełniał; słowem żadnéj zręczności nie opuścił, aby coś do wzbogacenia młodzieży serca i umysłu nie przydał.

Prócz głębokiéj znajomości języków starożytnych i ojczystego, znał języki i literatury francuzką i niemiecką. Historya powszechna, ulubionym jego badań i rozmyślań była przedmiotem; ztąd jego poglądy na ludzkość i czasy zawsze były piękne, zastosowania trafne i nauczające. Z nauk przyrodzonych wybrał sobie botanikę na naukę rozumnego i razem miłego odpoczynku po zmudnych domowych nauczycielskich pracach, i flora podolska, ręczę, nie miała dotąd bieglejszego nadeń znawcę i stalszego miłośnika.

Piękny był widok męża, wzniosłéj, wspaniałéj postawy, z obliczem jakie widzimy na medalionach greckich i rzymskich, z włosami, które mu poważnie ubielały skroń i czoło. Szczerość uczuć i myśli, jak w każ-

dém poruszeniu ciała, w każdém słowie, tak też i w całéj jego prześwietlała się fizyonomii.

W skutek ciągłego czuwania nad swemi namiętnościami, zawsze w obyczajach był czysty, w stosunkach towarzyskich jednostajny; kto jakim go znał przed laty, takim znalazł i przy śmierci: na ruchomym teatrze świata, wszystko wokoło niego się zmieniało, a on pozostał wierny raz poślubionym uczuciom, myślom, pojęciom. Sympatyzując z tém wszystkiém, co zacne, piękne, umiał być wyrozumiałym na ułomności i błędy drugich, pobłażliwym w sądzeniu wad cudzych; do żadnéj intrygi i plotki nigdy się nie wmieszał, nikomu pokoju nie zamącił.

Najlepszy mąż, ojciec, krewny, swą niespodzianą śmiercią ciężki i długi żal po sobie zostawił. Umarł dnia 29 grudnia 1849 roku, w 65 roku życia z napadu apopleksyi. Jedna chwila położyła kres życiu tak pięknemu, pożytecznemu. Czyż taki nauczyciel, taki człowiek nie mógł sobie zjednać szacunku publicznego? Nie dziw więc, że ciało jego tłumnie odwiedzano, że pogrzeb choć o to nikt się nie starał, odbył się wśród zbioru licznego ludu; nietylko katolicy i innych wyznań chrześcianie, ale nawet żydzi towarzyszyli konduktowi. Cnota, prawdziwa zasługa, w każdém miejscu i czasie, zawsze należną sobie cześć odbierze.

Wolniejsze chwile od zatrudnień publicznego i prywatnego nauczyciela, od ciągłego czytania, aby nie zostać za postępem czasu i nauki, poświęcał Ignacy Jagiełło na pisanie licznych mów i rozpraw w języku polskim i łacińskim, które miewał przy otwarciu i zamknięciu prawie każdego szkolnego roku. Prócz tego, wypracował: 1ód, Uwagi nad historyą powszechną, pokazujące w rzędzie ludzkich wiadomości jéj arcywielkie przeznaczenie i nieskończone pożytki w doskonaleniu człowieka pod wszystkiemi ważniejszemi względami; 2re, Traktat o rządzie i prawach najsławniejszych w starożytności narodów. Ale najważniejszą pamiątką umysłowéj pracy Ignacego Jagiełły, jest przekład dziejów rzymskich Liwiusza wszystkich ksiąg, jakie do naszych czasów doszły, oraz wstęp do tego tłumaczenia, w którym opowiedział historyą cywilizacyi Greków i Rzymian. Dzieło to z pięciu obszernych tomów złożone, tylko przy pomocy gorliwych o ojczystą literaturę ziomków wydrukowaném być może. Jakbyto było pięknie, gdyby uczniowie ś. p. Ignacego Jagiełły tę cześć swemu nauczycielowi wyrządzili; byłbyto pomnik godny ich uczuć i pamięci męża, dobrze swemu krajowi zasłużonego.

Ignacy Jagiełło pochowany został na cmentarzu katolickim w Winnicy, w katakumbie kościoła tamże znajdującego się. Tablica z surowcu-żelaza odlana, ma wskazywać miejsce spoczynku jego zwłok i opowiadać dzień urodzenia i zgonu. *Alexander Groza.*

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Schönbein przytoczywszy wiele doświadczeń świadczących o wpływie światła słonecznego na chemiczne działanie kwasorodu, następną podaje teoryą powstawania elektryczności w chmurach

Już od czasu Franklina wiadomo wszystkim, jesteśmy w stanie istnieje ogromna ilość elektryczności; dotąd jednym wszakże przedmiocie mamy wskazać przyczynę jéj powstawania wiele hypotez. Najpowszechniejszą i najprawdopodobniejszą jest hypoteza poczytująca parowanie wód, na powierzchni kuli ziemskiéj rozlanych, za przyczynę elektryczności atmosferycznéj; do innych zaś liczymy szybkie przechodzenie par wodnych do stanu płynnego i stałego, różność temperatur rozmaitych warstw powietrza w odmiennych wysokościach. Niektórzy uczeni poczytują stan elektro-dodatni atmosfery za jéj stan normalny. Schönbein odrzuca wszystkie powyższe mniemania i w ich miejsce podstawia teoryą tworzenia elektryczności chmur, w skutek powinowactwa chemicznego, będącego znów wypływem galwanizmu.

Woda jest ciałem zdolném przybierać biegunowość elektryczną, czyli stan napięcia płynów elektrycznych, skoro jakakolwiek materya ma do jéj kwasorodu lub wodorodu chemiczne powinowactwo. Kwasoród o zwykłéj temp. jest w ogóle obojętnym na pierwiastki, lecz pod wpływem światła słonecznego działa tak jak ozon, tojest ukwasorodnia metale dla których był obojętnym w ciemności. Kwasoród oświetlony, uważany pod względem chemicznym, posiada więc odmienne własności od kwasorodu ciemnego. Nadto w piérwszym stanie jest mocniéj elektroujemnym, aniżeli w drugim, i ztąd te dwie odmiany kwasorodu mogą wywołać biegunowość elektryczną w cząstkach wody.

Aby w atmosferze mogła powstać burza z błyskawicami i piorunami, koniecznemi są te warunki: najprzód aby istniały chmury, czyli aby

cząsteczki wody były nagromadzone w massy; powtóre, aby chmury były oświetlone; nakoniec, aby w atmosferze był kwasoród.

Przypuśćmy że latem, w skutek pewnéj przyczyny, w dolnéj warstwie atmosfery tworzy się chmura: wówczas każda jéj cząstka stykając się z kwasorodem powietrza pod wpływem światła słonecznego, staje się elektryczną. Chmura oświetlona przez słońce, może być uważaną za zbiór molekularnych par galwanicznych, w których natężenie elektryczności wzrastać będzie stosownie do mocy światła słonecznego; zrazu natężenie to będzie słabsze, wśród dnia najmocniejsze. Nadto, należy według powyższego przyjąć, że cząsteczki wody składające jednę chmurę, posiadają różne napięcie elektryczne; te z nich, które są w zetknięciu z najmocnié oświetlonym kwasorodem, czyli które zajmują górną część chmury, mają natężenie elektryczne największe; słabsze zaś cząstki wody składające wnętrze chmury. Wzbudzona w ten sposób biegunowość w cząstkach chmury, oddziaływać musi na otaczające cząstki wody i przez indukcyą wywołać w nich napięcie elektryczności, które znów daléj udzielać się pięcie następnym cząstkom wodnym. Podobnie jak w stosie Volty, nadzonych w każdéj części chmury równać się będzie summie napięć wzbu- wyobrażać będzie stos Volty niezam... wpływ kwasorodu oświetlonego, i chmura

Przyjmijmy, że druga chmura nieoświe... do poprzedniéj się zbliża; jasną jest rzeczą, że w téj drugiéj chmurze przez indukcyą powstanie biegunowość elektryczna. A jeżeli ta druga chmura jest oświetlona, wtedy takie chmury wzajemném na siebie działaniem zwiększą swe własne napięcia elektryczne, wzbudzone pierwotnie jedynie przez kwasoród oświetlony. Zdaje się, że koniecznym warunkiem burzy zdolnéj wydać błyskawice i pioruny jest, aby chmury nie stanowiły jednéj ciągłéj massy, lecz były kształtu zwanego *cumulus*, i dopiéro gdy takie chmury przechodzą w warstwowate (*stratus*), następuje burza, kończąca się natychmiast po nastąpionéj zamianie. Podobnie w dzień, gdy wiatr lub inna przyczyna rozedrze chmurę warstwowatą i rozsunie ją na oddzielne części, zwykle następuje burza.

Właściwe burze z grzmotami i piorunami, mają miejsce w niższych warstwach atmosfery, i nie wznoszą się wyżéj nad 10—12000 stóp. Schönbein upatruje tego przyczynę w tém, że tylko cząstki wody w stanie płynnym zdolne są przyjmować stan elektryczny, pod wpływem kwasorodu i światła; temperatura zaś atmosfery tak szybko się zniża w miarę wznoszenia się nad ziemię, że na wysokości 12000 stóp, cząstki wody są już zmarznięte nawet podczas lata.

Co się tyczy burzy nocnych, napozór sprzecznych z przywiedzioną hypotezą, Schönbein tłumaczy je w taki sposób. Przyjmijmy, że w pewnéj okolicy dla któréj słońce już zaszło, rozciągają się chmury *cumulus* aż do miejsca, które jest jeszcze oświetlone promieniami słońca; w téj ostatniéj stronie nieba nastąpi pierwotna burza; ta wywrze swe działanie indukcyjne przez cały szereg chmur przyległych, i może wywołać podobną lecz słabszą burzę w okolicy, gdzie już noc panuje. W saméj rzeczy nocne burze nie powstają nigdy z pojedynczych chmur zawieszonych w atmosferze, lecz objawiają się wtedy tylko, gdy chmury *cumulus* rozciągają się w różnych kierunkach, szczególnie zaś ku wschodowi i zachodowi. Błyskawica jest połączeniem przeciwimiennych elektryczności wtedy, gdy napięcie tych płynów w chmurach dojdzie pewnego kresu, który, jak w każdém ciele istnieć musi. Droga jéj idzie przez te części chmury, które dosięgły największego natężenia elektrycznego poprzedzającego rozbrojenie, czyli przez te linie, na których znajdują się molekularne stosy Volty, posiadające największe napięcie elektryczności. W skutek wyładowania, pojedyncze chmury zbliżają się ku sobie zlewając się w jednę warstwę, a cząstki wody składające chmury, zgrzawsze spadnięcie deszczowe. Dlatego błyskawice i pioruny z grzmotem dészcz, który się ulewnego deszczu, i za każdym [illegible] zmniejszył, na nowo się [illegible] (*Bibl. de Genève*, 1850. *Octob.*).

S. P.

MINERALOGIA.

Porównanie składu piasków złotonośnych Kalifornii, Nowéj Grenady, Uralu i Renu.

Któż nie słyszał i nie czytał o niezmiernych bogactwach Kalifornii? kto nie zdumiewał się nad niemi, i nie życzył sobie czerpać z owych skarbów? ileż zmian już przypuszczano? Zdawało się, iż z tém odkryciem zniży się wartość złota, tego jedynego kruszcu, który dla swéj szlachetności a przytém i rzadkości, dotąd w tak wysokiéj cenie się utrzymywał; jednakże na czém się te przypuszczenia opierały? Na wiadomościach z gazet wyciągnionych, do których wielkiéj wagi przywiązywać nie można było. Wszakże interesem było Amerykanów, aby nowo nabyte prowincye jak najśpieszniéj zaludnić; z łatwością więc domyślać się należało, iż wszystkie te wieści znacznie przesadzonemi były. Po tylu więc ro-

zlicznych i różnorodnych wiadomościach, spodziewam się, iż każdego zajmie ściślejsze opisanie składu piasków Kalifornii, w porównaniu z innemi dawniéj już znanemi; a niejeden zadziwi się, iż te tak nadzwyczajnie głoszone skarby, niewiele albo nic nie przewyższają w bogactwie kopalni, o których teraz, słysząc o Kalifornii, nikt prawie nie wspomina. Porównawcze to zbadanie piasków złotonośnych uskutecznione zostało przez pana Dufrénoy w Paryżu (1), i takowe tu w krótkości udzielić pośpieszam.

Pokłady Kalifornii. Poddany badaniu zbiór części stanowiących pokłady złotonośne Kalifornii, zawierał:

1. Dwa kawałki ziemi złotonośnéj, wziętéj z dwóch punktów doliny Sacramento.

2. Piasek pochodzący z płókania dość już daleko posuniętego, a w którym wyraźnie dostrzedz już można było blaszki złota.

3. Zwir kwarcowy i ułamki skał, wzięte z napływów stanowiących dolinę.

5. Nakoniec kawałki złota.

jest: z rzeki Amerykańskiéj [illegible] pochodzące z trzech punktów Sacramento, to sześć od ujścia, nareszcie z rzeki Piór, [illegible] do Sacramento, z téjże rzeki o mil od piérwszéj rzeki. Te trzy punkta dają poznać pra[illegible] niątą część doliny rzeki Sacramento, która wypływa zpod Sierra-Nevada (gór śnieżnych), a wpada do oceanu u portu San-Francisco; bieg jéj ma około 50 mil długości.

o 7 do 9 mil na wschód

Blaszki złota z Kalifornii są daleko szersze aniżeli uralskie lub brazylijskie; różnią się także od nich kolorem więcéj czerwonym; składają się zaś podług rozbioru pana Rivot: z 90,70 złota

8,80 srébra
0,38 żelaza
99,88

Ziemie z doliny Sacramento, są lekkie, w dotknięciu dość gładkie, chociaż w części daje się czuć pewna szorstkość; koloru są brunatnego: za pomocą mikroskopu rozpoznać można, iż się składają z małych ułamków krzemienistych, ostrokanciastych i przezroczystych; gołém okiem, ziarn bardzo trudno dostrzedz.

Jeden z kawałków złota ważył 47[illegible],7415 (blizko 4 łóty), koloru czerwonawego i składu podobnego do blaszek; przywiera do niego kawałek kwarcu zaokrąglony, co dowodzi iż zdaleka został przytoczonym,

(1) Annales des Mines IV Série. Tome XVI, 4. Livr.

a nadto że złotu pierwiastkowo towarzyszył kwarc, z którém, stosownie do zachowanego jeszcze płaskiego kształtu, tworzyć musiał żyły.

Odłamki łupkowe znajdowane w napływach, każą nam przypuszczać, iż skały w których żyły złotonośne były zawarte, z łupków a nie granitów się składały.

Natura piasków z Kalifornii. Powszechnie kolor tych piasków jest czarny, co głównie pochodzi od kwasorodu żelaza, który odciągnięty za pomocą magnesu, wynosił 59,82 na sto. Pomimo tego piasek pozostały zachował jeszcze kolor czarny. Badana pozostałość ta, za pomocą mikroskopu, zawierała małe ośmiościanki błyszczące tytanianu żelaza, zmieszane z kryształami spłaszczonemi błyszczu żelaza i ziarnkami zaokrąglonemi niedokwasu manganezu: zpomiędzy tych piérwszy jest przeważający, a ostatni dość rzadki. Wśród tych znajdują się jeszcze białe, przezroczyste, z obydwóch końców wyraźnie zakończone kryształki cyrkonu, których kąty, pomimo ich drobnych rozmiarów, dają się dość dokładnie zmierzyć. Cyrkon biały, tak obfity w piaskach złotonośnych, powszechnie jest bardzo rzadki, znajduje się bowiem tylko w Zillerthal w Tyrolu i w Brewig w Norwegii.

Oprócz tego, piasek z Kalifornii zawiera jeszcze kwarc niekrystaliczny bezkolorowy i zadymiony, który zawsze da się rozróżnić od innych odłamków przez swój złam muszlowy; nareszcie spostrzegać się dają czasem kawałki niebieskawe korundu.

Ziarnka piasku płókanego takich są rozmiarów, że je można pod mikroskopem rozgatunkować, i stosunek ciał wyżéj wyrażonych oznaczyć. Tym sposobem doszedł p. Dufrénoy, że piasek z Kalifornii składał się:

z 59,82 kwasorodku żelaza magnesem wyciągniętego,
16,32 tytanianu, błyszczu żelaza z śladami niedokwasu manganezu,
9,20 cyrkonu,
13,70 kwarcu niekrystalicznego (hyalin),
0,67 korundu,
0,29 złota,

100,00

Stan krystaliczny tytanianu żelaza i cyrkonu dowodzi, że skały pierwiastkowe z których utworzone zostały pokłady doliny Sacramento, nie musiały być oddalone, i zdaje się, że należały do łańcucha gór śnieżnych. Nienadwerężone kryształy, a nadto zupełne ich w obu wierzchołkach zakończenie, prowadzą nas także do przypuszczenia, że te skały są łupkowe, a nie granitowe. W tych bowiem ostatnich kryształy przywarte do skały, zwyczajnie jeden tylko przedstawiają wierzchołek, gdy w łup-

kowych najczęściéj położone w kierunku warstwowania skał, kryształy są całkowite. Zdaje się więc że góry Śnieżne, stanowiące granicę wschodnią Kalifornii, po większéj części są z łupku mikowego i talkowego.

Piasek z Nowéj Grenady zebrany w dolinie rzeki Rio-Dolce, płynącéj w prowincyi Antioquia, jest prawie całkowicie krystaliczny, jak w Kalifornii, a kryształy jeszcze mniéj uszkodzone. Piaski te są raczéj popielate jak czarne, dlatego téż za pomocą magnesu można było odciągnąć tylko 34,35% kwasorodku żelaza. Skład piasku tego, podobnym sposobem oznaczony jak poprzedzającego, jest następny:

34,35 kwasorodku żelaza
15,00 tytanianu i błyszczu żelaza
20,00 cyrkonu
25,00 kwarcu
1,00 korundu
4,65 skały żółtawéj nieprzezroczystéj, zapewnie kwarcu, pirytu żelaznego i złota.

100,00

Cyrkon jest koloru pomarańczowego; w kryształach bardzo wyraźnych, często w obu wierzchołkach zakończonych. Kwarc prawie zawsze w ułamkach mało zaokrąglonych, czasem w kryształach. W ogóle ziarnka piasku z Grenady są mniéj zaokrąglone, aniżeli w Kalifornii, musiały zatém nie tak daleko być toczonemi, i rzeczywiście Andy od Rio-Dolce zaledwie 10 mil są odległe, gdy tymczasem dolina Sacramento blizko 50 mil ma długości. Piaski grenadzkie zawierają w sobie mniéj kwasorodu, co ztąd pochodzi zapewnie, iż ich płókanie mniéj daleko posunięte było jak w Kalifornii. Ich skład zaś jest tenże sam, a z tego wynika, iż góry Andy początek im dające, w przestrzeni 600 mil przedstawiają zupełną tożsamość składu.

Piasek uralski. Dwie odmiany piasku uralskiego poddane poszukiwaniu, pochodziły z dwóch odmiennych stopni wypłókania; w jednéj bowiem mniéj wymytéj, znajdowało się kwasorodku żelaza tylko 10%, w drugiéj zaś 22,12. Najobfitszym w tym piasku pokazuje się tytanian żelaza koloru czarnego, w ziarnach zaokrąglonych i bez wyraźnego kształtu; kwarc znajduje się trojaki: niekrystaliczny, ametyst i zadymiony. Oprócz tego napotkać się jeszcze dają ziarnka żółtawe cymofanu i białe kryształki zaokrąglone cyrkonu.

W ogóle ziarnka piasku uralskiego są bardzo zaokrąglone, i noszą ślady długiego tarcia, a tém samém odległego przypływu. Składa się z następujących części:

z 23 kwasorodku żelaza magnetycznego,
50 tytanianu żelaza,
10 cymofanu,
14 kwarcu,
3 cyrkonu.

100

Oprócz tego, znajduje się jeszcze w nim piryt żelazny, a nawet jak się zdaje i miedziany.

Nareszcie badał p. Dufrénoy piasek z Renu pochodzący, w którym główną częścią jest kwarc, bo blizko 90% wynosi; jest on zawsze niekrystaliczny, różnych kolorów, a szczególniéj różowego; pomiędzy temi odłamkami kwarcu ostro zakończonemi, znajdują się rzadkie ziarnka zaokrąglone białego cyrkonu. Kwasorodku żelaza zawiera zaledwie 2%, a tytanianu od 3 do 4%.

Robiąc porównanie piasków jednéj ciężkości gatunkowéj, a zatém prawie jednego stopnia wypłókania, okazuje się, iż nie zachodzi wielka w ich bogactwie różnica. Niektóre wiadomości statystyczne potwierdzają tę prawdę. Rossya w r. 1847 wyprodukowała złota za 77 milionów franków, przyczém użyto 50,000 robotników. Podług ogłoszonych wiadomości z Kalifornii, produkcya tamtejsza dochodzi od 20 do 25 milionów franków, liczba zaś pracujących wynosi od 15 do 16,000; stosunek więc robotników do produkcyi jest takiż sam w Kalifornii, jak i w Rossyi, bo 25 milionów jest tak $^1/_3$ częścią 77 milionów, jak 16.000 piędziesięciu tysięcy robotników. Jedna zatém liczba robotników w obu krajach tąż samą ilość złota dziennie produkuje, a tém samém bogactwo kopalni złota w Kalifornii, przedstawia się zupełnie w tych samych stosunkach co na Uralu.

Ważne więc odkrycie w Kalifornii pokładów złota może w początkach znaczne przynieść korzyści; jużto dlatego, że piérwsi poszukujący na najkorzystniejsze punkta trafić mogą, już téż dla inszych jakichkolwiek przyczyn; w końcu jednak musi się ustalić pewna średnia produkcya, która dopiero naznaczy rzeczywistą wartość tego przemysłu.

Możemy się więc z tych uwag porównawczych przekonać, iż pokłady Kalifornii nie są bogatszemi nad inne dawniéj już znane, nie sprowadzą zatém zmian, które już przewidywano, ale staną się dla tego nowego kraju Stanów Zjednoczonych, źródłami bogactwa i cywilizacyi.

J. Bocheński.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850. WILNO.

102. Rady dla matek czyli sposób utrzymania zdrowia kobiéty, od narodzenia do późnéj starości. Skreślił Julian Moszyński, doktor medycyny. Z 6 tablicami figur litografowanych. 12ka. Wilno. 1850. Drukiem Zawadzkiego. Str. XX i 650.

LWÓW.

103. Wróżka nieomylna. Puścizna po pannie Maryi Lenormand w Paryżu. Z 9 popiersiami najsławniejszych wróżek.... 8ka. Lwów. 1850. Nakładem Pillera. Str. 32. Złp. 3.

1851. WARSZAWA.

32. Modlitwy dla pobożnych chrześcian katolików, z celniejszych dzieł w literaturze ojczystéj i zagranicznéj zebrane. 12ka. Warszawa. 1851. Nakładem G. L. Glücksberga, drukiem J. Ungra. Kart 4, str. V, X i 499. Złp. 13 gr. 10.

33. Notatki przez K. z T. H. 12ka. Warszawa. 1851. Druk S. Orgelbranda. Kart napis. 2 i str. 218. Złp. 5.

34. Rocznik urzędowy, obejmujący spis naczelny władz Cesarstwa, oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego, na r. 1851. 16ka. Warszawa (1851). Drukiem S. Orgelbranda. Kart 10, str. 967 i LXXXVIII. Złp. 8 gr. 20.

35. Ulżenie kłopotu młodym gospodyniom w dysponowaniu obiadów, w 60 różnych sposobach na większą i mniejszą skalę ułożonych. Wydanie drugie. 16ka. Warszawa. 1851. Nakład Maurycego Orgelbranda, druk S. Orgelbranda. Str. 37. Złp. 2.

36. Wieczerze Dyrektoryatu, czyli powrót generała Buonaparte z Egiptu. Z francuzkiego przez Salut Felix. Przekład redakcyi Magazynu Mód. 12ka. 2 tomy. Warszawa, 1851. Nakład i druk J. Glücksberga. Tom I, str. 216, II, 215. Złp. 9.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Edward bar. *Rastawiecki* wykończa obecnie tom IIgi: Słownika malarzy polskich.

— F. M. *Sobieszczański* przygotowywa rękopism do druku tomu IIIciego i ostatniego, dzieła: „Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawnéj Polsce". Tenże wkrótce ukończy opis Warszawy pod względem historycznym głównie, który zarazem będzie służył jako przewodnik chcącemu poznać ten gród stary. Wydanie będzie ozdobne z drzeworytami wśród textu, i rycinami.

— G. L. Glücksberg po wydaniu 2ch tomów *Przeglądu dwóch światów*, więcéj wydawać go nie będzie. Ogłosił swoim nakładem: *Historyą powszechną dla zakładów naukowych płci żeńskiéj* przez S. Smaragdowa, przekład z ros. L. Rogalskiego. Tom 1 obejmuje historyą starożytną; tom 2gi wieki średnie; tom 3ci nowsze czasy. Każdy tom oddzielnie będzie do nabycia. Wydaje także swoim nakładem, w jednym tomie, dzieło dra. Tripplina: *Anglia teraz i dziesięć lat temu.*

— Czytamy w pismach naszych następne ogłoszenie dr. T. Tripplina: „Z powodu niedostatecznego jeszcze rozpowszechnienia się przedpłaty na dzieło: „Wspomnienia z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Szkocyi, Hebrydach, Portugalii, Hiszpanii i państwie Marokańskiem;" zawiadamia się szanownych prenumeratorów, że wydanie onego wstrzymaném zostało jeszcze na trzy miesiące, tojest aż do 30 maja r. b. Szanownych zaś kollektorów prenumeraty uprasza się o rozpowszechnienie przedpłaty i zatrzymanie u siebie pieniędzy aż do przesłania im exemplarzy".

— Nakładem księgarza *Bernstejna* wyjdzie wkrótce w przekładzie polskim dzieło w 2ch tomach z drzeworytami i rycinami, p. n.: *Nauka rozumowanej praktyki gospodarstwa przemysłowego pp. Otto i Siemens* (przekład znanego w literaturze naszéj J. Bełzy).

— W Petersburgu nakładem M. Wolfa wyszła z druku powieść Michała Czajkowskiego p. n. „Szwedzi w Polsce" we 2ch tomach.

— Tamże wyszły także: Poezye Bohdana Zaleskiego, wraz z poematem: *Przygrawka na Stepie.*

— Obszerna powieść historyczna J. I. Kraszewskiego p. n. „Kordecki" w dwóch sporych tomach, już oddana pod prasę drukarską.

— Pisma Henryka hr. Rzewuskiego, w 7 tomach, których pierwsze tomy już wydrukowano, wkrótce w całości wyjdą.

— P. Alexander Afanasiew w Kijowie, rozpoczyna po rossyjsku wydanie: „Galeryi pisarzy polskich". Już przełożonego ma *Budnika* i kilka powieści J. I. Kraszewskiego. Księgarz Zawadzki podjął się wydania własnym nakładem.

— W Wrocławiu professor dr. Fritz, nauczyciel języka polskiego przy uniwersytecie tamecznym, tłumaczy na język niemiecki niektóre powieści J. I. Kraszewskiego.

— Powieść J. I. Kraszewskiego p. n.: „Ostatnia z Siekierzyńskich", w jednym tomie, wyszła już zpod prasy drukarskiéj w Wilnie nakładem M. Wolfa.

— Tegoż autora powieść: *Komedyanci* już jest na ukończeniu.

— *Athenaeum* będzie wychodzić i w r. b.; sam wydawca odwołuje dawniejsze swoje ogłoszenie, którém zawiadamiał, że z końcem VIgo tomu na r. 1850, zamyka wydawnictwo tego pisma zbiorowego.

— Michał Baliński, spółpracownik Biblioteki Warszaw. po ośmiomiesięcznéj ciężkiéj chorobie, do zdrowia powrócił i zajmuje się dokończeniem kilku prac historycznych. Wyda on wkrótce: „Studya historyczne i biograficzne", w których oprócz „Spytka z Melsztyna" i „Żółkiewskiego pod Cecorą", drukowanych niegdyś w Bibliotece Warsz. umieszczone będzie porównanie Tadeusza Czackiego z Janem Śniadeckim, ze źródeł autentycznych napisane; także „Historyczny opis Nieświeża" i inne artykuły. Wydanie u Zawadzkich ma być ozdobne, z rycinami. Pracuje on też nad „Opisem

wypraw wojennych Stefana Batorego", z listów króla Stefana do panów litewskich pisanych, prawie w połowie własnoręcznych, nader ważnych. Główne to źródło dopełnione będzie i objaśnione z innych mniéj znajomych dokumentów, na wzór wydania *Wapowskiego*, przez Mikołaja Malinowskiego. Dzieło to dopiero latem wyjdzie w Wilnie, a w tych dniach ukaże się tam IIgi tom: „Listów Kommendonicgo".

— P. Gołębiowski (syn zasłużonego ś. p. Łukasza) wydał: „Czasy Zygmunta Augusta"; ustęp z przeszłości. Dwie części, w 8ce.

— Julian Korsak zajął się przekładem „Komedyi Boskiéj" Dantego, wierszem. Miał pod ręką najlepsze wydania tego poematu i najlepsze kommentarze, które także do jego tłumaczenia wejdą. Już przełożył *Czyściec* cały, i 23 pieśni *Piekła*; pozostaje mu jeszcze *Raj*.

— Biblioteka zakładu Ossolińskich we Lwowie od czasu nastania nowego kuratora, księcia Jerzego Lubomirskiego (syna ś. p. ks. Henryka), i nowego kustosza, Augustyna Bielowskiego, przychodzi do nieznanego dotąd porządku. Nikt nie był ciekawy dotąd przeliczyć i zostawić na piśmie, wiele też woluminów rękopismów w bibliotece téj znajduje się, a tém mniéj pozgartywać w jedno ze wszystkich kątów i szaf, i jakotako posortować, a psujące się ponaprawiać i od zagłady ochronić. To samo i co do autografów i do dyplomatów bibliotecznych, oraz obrazów i osobliwości muzealnych. W przeciągu *miesięcy kilku*, o najwięcej *roku jednego* praca ta olbrzymia ma być wykonana z wielkim pożytkiem dla świata uczonego.

— Około Wielkiéjnocy ma wyjść u Żupańskiego w Poznaniu IV tom: *Polski średnich wieków*, w którym umieszczony będzie trafny rozbiór dzieła A. Bielowskiego: *Wstęp krytyczny do dziejów polskich.*

— Uczony autor: *Polski średnich wieków*, wraz z panem *Carmoly* ex-rabinem bruxelskim, pracuje nad dziełkiem pod tytułem: *Notice historique sur Benjamin de Tudèle.* Jestto wiadomość o żydzie podróżującym po Wschodzie w XII wieku, a który i Polskę zwiedził.

— *Michał Grabowski* w zaciszu wiejskiém i wśród zatrudnień gospodarskich, pisze powieści, których sceną zawsze Ukraina: do téj części kraju ograniczył też swoje poszukiwania archeologiczne i zbiór dyplomatów. Resztę zaś zbiorów tegoż rodzaju po ś. p. Karolu Prozorze, obożnym litewskim, powierzył znanemu bibliografowi Konstantemu Swidzińskiemu, którego powrót do tutejszego kraju, i zajęcie się wyłącznie bibliografią, byłoby tak pożądane.

— W Kijowie wkrótce wyjść mają z druku: *Negocyacye Dyplomatyczne* za Zygmuntów, podobno Dantyszka i innych. P. Swidziński zrobił także wydanie polskie listów kozackich, drukowanych w aktach kijowskiéj kommissyi archeograficznéj; stanowi to dodatek do Igo tomu *Ukrainy* M. Grabowskiego.

— *Koliszczyzna i stepy*, powieść Michała Grabowskiego, wyszła w przekładzie czeskim p. Kar. Wład. Zapa, w Pradze, 1851.

— *Mluvnice polskeho jazyka* od Vaclava Hanky, doczekało się wydania 2go w Pradze. 1850 r.

— *Życie św. Wojciecha* biskupa i męczennika, patrona narodu czeskiego (a obchodzące i nasze dzieje), wyszło w odbitkach z dziennika *Blahowest* w r. 1849, w Pradze. Str. 96. Przez Wacława Sztulca.

Redakcya Biblioteki W[illegible]

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Luty, 1851.

Luty 1851. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ʰ. 14ᵐ. 45ˢ.,7 względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1	☉.	744.78	745.83	746.04	746.45	— 4°.8	— 1°.7	— 0°.2	— 3°.5	93.6
2		746 68	747.04	746.49	747.78	— 6.5	— 5.0	— 2.1	— 3.1	97.0
3		748.00	748.46	747.57	748.68	— 4.2	— 2.9	— 1.2	— 1.0	98.0
4		750 04	751.37	751 16	751.87	— 3.4	— 3 3	— 0.9	— 1.3	97.0
5		752.17	752.41	751.99	752.17	— 2.5	— 1.9	— 0 3	+ 0.1	100.
6		751.58	750.22	750.05	750.41	— 0.2	+ 1.6	+ 0.7	— 0.4	
7		751.93	753.30	753.67	755.10	— 2.2	— 2.5	— 2.3	— 3.8	95.3
8		754.80	754 41	752.14	752.29	— 4.6	— 3.2	— 2.5	— 9.3	95.2
9	☽.	754.96	756.60	758.65	762.08	— 14.4	— 11.9	— 7.6	— 13.8	
10		763.91	764.64	764.09	763.23	— 16 8	— 13.8	— 8.5	— 13.1	
11		760.39	758.96	756.09	753.34	— 11.4	— 7.0	— 2.7	— 2.4	
12		750.57	750 17	747.96	743.61	— 0.9	0.0	+ 0.6	+ 1.2	93.2
13		740.76	741.31	743 06	747.70	+ 0.0	+ 1.7	+ 0.2	— 3.5	92.5
14		750.67	752.45	753.51	754.66	— 5.0	— 2.7	— 2.3	— 2.9	96 5
15		755.55	756.01	754.82	753.93	— 5.1	— 2.2	0.0	— 0.4	95.8
16	☽.	753.17	753.21	752.46	752.64	+ 0.3	+ 0.4	+ 1.1	+ 1.1	99.8
17		751 58	752.26	752.59	753.23	+ 1.1	+ 1.8	+ 2.2	+ 1.0	95.5
18		751.84	751.54	750.40	750.49	+ 0.6	+ 1.0	+ 1.6	+ 0 8	90.0
19		745.03	743.53	741.12	741.02	+ 2.3	+ 2 9	+ 3.6	+ 4.7	88.7
20		741.06	741.71	742.58	742.92	+ 4.4	+ 4.4	+ 4.6	+ 3.6	96.2
21	☾.	740.75	740 92	742.00	741.67	+ 3.1	+ 3.6	+ 4.2	+ 1.8	99.3
22		746.95	747 88	748 13	749.63	+ 0.2	+ 1.0	+ 1.0	— 1.9	95.3
23		751.79	753.00	754.66	756.79	— 3.9	— 3.0	— 1.2	— 1.9	
24		756.63	757.16	755.77	755.38	— 5.5	— 1.0	— 0.6	— 2.3	95.2
25		754.14	754.13	751.87	750.34	— 5.9	— 2.1	+ 1.9	— 2.4	93.8
26		748.51	749.83	750.98	753 41	— 4.0	— 1.5	— 1.3	— 6.1	95.3
27		753.22	752.92	759.19	749.69	— 10.1	— 5.6	— 1.8	— 3.8	
28		749.73	750.16	754.39	751.78	— 6.9	— 5.4	— 5.3	— 8.8	90.7
Śre.		750.760	751.123	750.729	751.260	— 3°.79	— 2°.08	— 0°.68	— 2°.55	95.2

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dészczu	śniegu
pogodny	pr. pogod.	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	—		
pr. pogod.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	—	PdW.	W	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	poch. mgła	śnieg	poch. mgła	W.	PdW.	—	—		10.1
lek. pochm.	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	—	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
pogodny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
lek. pochm.	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.0	3.7
dészcz dr.	pr. pochm.	pr. pochm.	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	—	1.7	
pr. pogod.	pr. pogod.	śnieg	pogodny	—	—	—	—		3.7
pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	mgła	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.8	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	—	Z.	Z.	1.7	
pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	12.1	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. mgła	Z.	Z.	Z.	Z.		
dészcz	dészcz	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	—	—	14.2	
lek. pochm.	śnieg	poch. mgła	pochmurny	—	—	—	—		12.0
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
pogodny	napół pog.	pr. pochm.	pochmurny	—	Z.	Z.	—		
pogodny	pogodny	pr. pogod.	pogodny	—	W.	PnW.	—		
pr. pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	—	W.	PnW.	—		
pogodny	pogodny	pochmurny	lek. pochm.		Z.	Z.	Z.		2.1
pochmurny	pr. pogod.	kru. i śnieg.	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	Pn.		
								34.6	31.6

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.968	27	8.901
Najwyżéj dochodził — d. 10 o g. 10 r.	764.64	28	2.962
Najniżéj — — d. 21 o g. 6 r.	740.75	27	4.371
Średnia zmiana dzienna barometru	3.772		1.672
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 10 r.	11.14		4.902
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.577		0.256
	750.391	27	8.645
Średnia temperatura Lutego wynosi:	— 2°.28 C.		—1°.824 R.
i ta jest wyższa o	0.76 „		0.628 „
od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	— 3.04 „		— 2.452 „
Największe ciepło dochodziło d. 19 o godz. 10 wieczór.	+ 4.7 „		+ 3.8 „
Największe zimno dochodziło d. 10 o godz. 6 rano.	— 16.8 „		— 13.4 „
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 5.°8 R. d. 20 po połud.			
Minimum: — 14.2 „ d. 10 rano			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.47 „		1.976 „
Największa zmiana dzienna d. 11—12 o godz. 6 rano.	10.5 „		8.4 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 34,6 milim., czyli 15,3 lin. par.; z śniegu 31,6 milim., czyli 14.0 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 66.2 milim. czyli 29,3 lin. par., tojest: o 18 lin. par. więcéj niż w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95,2, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 4.42 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 3 setne większa niż w stanie normalnym.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 6, pochmurnych 18.
— deszczu 7 (d. 12, 13, 16, 17, 19, 20, 21).
— śniegu 6 (d. 5, 12, 13, 14, 22, 27).
— krup 1 (d. 28).
— mgły 7 (d. 3, 5, 6, 12, 16, 20, 22).
Wiatr panujący: Zachodni.
Wichrów 2 Zachod., wiatrów mocnych 3 Zachod.

Luty r. b. był wilgotny, mglisty, przeszło o pół stopnia R. cieplejszy jak zwykle, więcéj do jesiennego niż zimowego miesiąca podobny. Pierwsze piętnaście i ostatnie sześć dni, były mroźne, wszelako mrozy były nieznaczne; przeciwnie siedm dni, od d. 16 do 23 tojest od *Pełni* do *Ostatniéj kwadry* były tak ciepłe jak w porze wiosennéj. Dnia 16 po mrozach nastąpiła nagła zmiana temperatury i wielka odwilż. Deszcze i mgły były częste; śniegu spadło bardzo mało, co przy łagodnym stanie powietrza, nadawało temu miesiącowi cechę wyjątkową. Najcieplejsze dni były: d. 20, 21; najzimniejsze d. 9, 10, 11, 27, 28. Zmiany temperatury przypadły d. 12—13; d. 13—14; d. 15—16; d. 22—23.

D. 25 i 28 o godz. 8 wiecz., przyświecała *Zorza Zodyakalna*.

D. 1, 10, 14, 18, 24, 25, 27 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 25 o godz. 9 wieczorem, lody na *Wiśle* powyżéj mostu, przy wysokości wody 6 stóp i 6 cali, łamać się zaczęły.

PAWEŁ Z PRZEMANKOWA.

RYS HISTORYCZNY Z DRUGIÉJ POŁOWY XIII WIEKU W POLSCE, Z NIEZNANYCH PO WIĘKSZÉJ CZĘŚCI, LUB MAŁO ZNANYCH ŹRÓDEŁ SKREŚLONY

PRZEZ

Alexandra Przezdziechiego.

Scribitur ad narrandum et ad probandum.

Słów kilka wstępnych.

Znajome są z dziejów naszych zatargi Leszka Czarnego z Pawłem z Przemankowa, biskupem krakowskim, człowiekiem złych obyczajów, popędliwym i mściwym, który przez związki swoje z rycerstwem krakowskiém i sandomierskiém, w obu księztwach przeciw książętom wichrzył, i nie wahał się nawet w pomoc zemście swojéj, pogańskie szajki Jadźwingów i Litwinów, do własnego kraju, na rzeź i łupy sprowadzać!

Piętno hańby na niecnym kapłanie wycisnął sprawiedliwy Długosz w historyi swojéj, (sam kapłan i dygnitarz kościoła). Za nim powtarzali Miechowita, Kromer i inni historycy, zbrodnie biskupa krakowskiego, i sąd o nich surowy; a Starowolski, w *Żywotach biskupów krakowskich*, przydał jeszcze niektóre szczegóły nowe, z Długoszowskich Żywotów biskupich, dotąd w rękopiśmie ukrytych, pożyczone.

Z kronik przed-Długoszowych, jedne tylko *Roczniki* przy kronice *Dzierzwy*, czyli *Mierzwy*, czy *Miorsza* (jak chce p. Bielowski) wspominają cokolwiek o zdradach, ale nic o uwięzieniach

Pawła z Przemankowa (1). Śladów zaś spółczesnych ani w dyplomatach, ani w kronikach nie było dotąd żadnych. O powtórném więzieniu biskupa, świadczyła tylko wydrukowana w Rocznikach kościelnych Rajnalda, bulla Marcina IV papieża, rzucająca klątwę na Leszka Czarnego. Ale Długosz o niéj nie wspomniał; Naruszewicz ostrożnie wyjątki z niéj tylko dał, (nie w texcie Historyi swojéj, ale w przypiskach); Röpell dopiéro wcielił je do dziejów polskich: ale sama bulla, ciekawy obraz wieku, w spleśniałéj łacinie ukrywała się dotąd przed ogromną większością czytelników.

Nie dziw więc, że nader ważném zdało mi się odkrycie oryginalnego aktu Pawła z Przemankowa, świadczącego o zgodzie z Leszkiem Czarnym r. 1284 zawartéj; odkrycie zrobione w bogatém archiwum książąt Sanguszków w Zasławiu wołyńskim przez p. Krechowieckiego, który owe archiwum z wzorowym porządkiem ułożył. O tém odkryciu, jeszcze w r. 1848 uwiadomił mię Michał Grabowski, któremu p. Krechowiecki pospieszył donieść o tak interesującéj dla dziejów krajowych zdobyczy. Ale pomimo uprzejméj obietnicy ks. Romana Sanguszki i p. Krechowieckiego, wiele lat upłynęło, nim za powrotem z przeciwnego krańca Europy, z Włoch, mogłem znowu Zasław odwiedzić, i ów pargamin z zawieszoną jeszcze pieczęcią biskupa krakowskiego, oglądać i przepisać. Byłoto w połowie 1849 roku.

Za przyjazdem do Warszawy, zająłem się natychmiast przejrzeniem wszystkich kronik i innych źródeł drukowanych, dla znalezienia i porównania wzmianek o téj ugodzie Leszka Czarnego z Pawłem z Przemankowa. Jak o bulli papiezkiéj, tak i o téj ugodzie Leszka z biskupem, Długosz nic nie wspomina; z późniejszych Stryjkowski, Bielski, Pastoryusz i Neugebauer w kilku słowach tylko (2). Jeden Kromer nieco obszerniéj o znacznéj

(1) Roczniki te wydrukowane w edycyi gdańskiéj *Kadłubka* str. 30. Röpell nazwał je *Annales Cracovienses Majores* (Ob. *Geschichte Polen's, Vierte Beilage*, I, p. 624), i pod tym tytułem zawsze je przywodzi; my też za jego przykładem pójdziemy. Kownacki przetłumaczył te roczniki, wraz z kroniką Dzierżwy, i wydał w Warszawie 1823 roku, z prawdziwą dla dziejów krajowych zasługą.

(2) *Długosza* Historya. wydanie lipskie, księga VII, p. 831. *Stryjkowskiego Kronika*, wydanie Glücksberga, T. I p. 333. *Bielskiego Kronika*, wydanie warszawskie, w drukarni Gałęzowskiego, Tom XII, p. 213. *Pastoryusza*: *Florus Polonicus*. Amstelodami, 1664, p. 108. *Neugebuura*: *Historia Rerum Polonicarum*. Hanoviae, 1618.

nawiązce pisze, dodając: „czego świadkiem jest przywilej Leszków, w krakowskim kościele leżący (1)".

Natychmiast pisałem do Krakowa po informacyą, czy ów przywilej Leszka zachował się jeszcze w archiwum kościelném? Odpowiedziano mi, że dyplomat oryginalny zaginął, ale że w tranzumptach znajduje się dwa razy: w tomie I p. 8, i w tomie II p. 61 przywilejów katedry krakowskiéj, zkąd przepisał go uczony autor *Żywota Bł. Prandoty*, ksiądz Mateusz Gładyszewicz, officyał i kanonik krakowski, dla umieszczenia w dziele przygotowaném do druku, pod tytułem: *Zbiór pomników starożytnych kościoła katedralnego krakowskiego*. Dzięki uprzejmości szanownego prałata, a niemniéj p. Teofila Żebrawskiego, który własnoręcznie rzeczony przywilej Leszka przepisał, mogłem przekonać się że ten akt z 30 listopada 1286 roku, o dwa lata późniejszy od Pawłowego, stanowi oddzielną, zmieniającą dawniejszą, ugodę.

Tymczasem znalazłem nowe szczegóły o wypadkach z téj epoki w *Rocznikach* przy kronice Galla, w pargaminowym rękopiśmie biblioteki Zamojskich, które p. Bielowski od ostatniego dopełniacza, *Rocznikami Traski* (a ja czytam *Thratki*) nazywa (2). Także w *Rocznikach* przy kronice archidyakona gnieźnieńskiego, w rękopismach ottohoniańskim i willanowskim; w rękopiśmie Długosza *Żywotów biskupów krakowskich*, (z biblioteki Zamojskich); (3) w metrykach koronnych; w zbiorach drukowanych

(1) *Kromera* w tłumaczeniu *Błażowskiego*, wydanie pierwotne str. 222.

(2) *Bielowski*: Rzut oka na polską historyą, w *Bibl. Warsz.* na rok 1851 w zeszycie na luty, p. 213. Większa połowa *Roczników Thratki*, t. j. do roku 1325, prawie jednobrzmiąca jest z *Rocznikami* przy kronice Dzierżwy, *Annales Cracovienses majores*, które właśnie na tym roku się kończą; (przez pomyłkę położony jest r. 1327). Nie są jednak jedne prostą kopią drugich, ale w obu Rocznikach wcielone są dawniejsze katalogi kościelne. W *Rocznikach Thratki* są wzmianki o uwięzieniu Pawła z Przemankowa, i szczegóły o bitwie pod *Równem*, których nie znajdujemy w *Annales Cracovienses majores*, ale z których Długosz oczywiście czerpał.

(3) *Żywoty biskupów krakowskich* zaczynają się na str. 122 pięknego Mss. *Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich* przez *Długosza*, w Lublinie r. 1476 napisanych; od str. 250 są dodatki *Macieja z Miechowa*. Biblioteka Ossolińskich posiada kilka kodexów pod tytułem: *Catalogi Episcoporum Cracoviensium*. Mss. XIX in 4to, z którego uczony kustosz biblioteki Ossolińskich August Bielowski, łaskawie wypisać kazał dla mnie *Żywot Pawła z Przemankowa*, zgadza się co do słowa (w tym żywocie) z Mss. bibl. Zamojskich; oprócz dopisku, daleko późniejszą ręką dodanego. Drugi Mss.

szlązkich Stenzla, i węgierskich Fejera i Katony, cytowanych w historyi węgierskiéj Fesslera; nakoniec w *kronice wołyńskiéj*, przez kommissyą archeograficzną w Petersburgu wydanéj, jako część *kroniki hypatyewskiéj*.

Tak więc dla objaśnienia dyplomatu zasławskiego, utworzył się znaczny zapas materyałów po większéj części mało znanych, do rysu historycznego z drugiéj połowy XIII wieku w Polsce, do którego nie z wyboru, a z saméj treści przypadł tytuł:

Paweł z Przemankowa.

20 września 1266 roku pod wieczór, jęk dzwonów z Wawelu ogłaszał ludowi krakowskiemu śmierć biskupa, owego Prandoty z Białaczewa, którego żywot świątobliwy w lat dwieście późniéj uwieńczony został mianem błogosławionego w niebie i na ziemi. Pochowano go uroczyście w kościele katedralnym, w kaplicy śś. apostołów Piotra i Pawła, a to (jak zapewnia podanie) w tym samym grobie, w którym złożone było ciało św. Stanisława, od przeniesienia ze Skałki, do kanonizacyi, przed laty dwunastą staraniem najwięcéj samego Prandoty dokonanéj (1).

Przystąpili potém do wyboru następcy kanonicy krakowscy, i formą kompromissu przez wysadzonych na to mistrza Gerarda, proboszcza wiślickiego, mistrza Stefana, i Wysza, zgodnie obrali jednego zpomiędzy siebie, kanclerza Bolesława księcia krakowskiego, ale świeckiego jeszcze, a przynajmniéj święceń większych nie mającego, Pawła, syna Jacka, hrabiego z Przemankowa, z rycerskiego rodu Półkoziców (2).

Łączyła go z księciem, oprócz zbliżenia z urzędu kanclerskiego, spólna zapamiętała miłość do łowów; z rycerstwem krakowskiém i sandomierskiém rozległe stosunki rodowe. W dzień

XVII in 4to, zgadza się z pierwszym; trzeci Mss. XVIII in 4to, w wieku XV pisany, a który do Piotra Tomickiego należał, ma żywoty krótkie; a co do Pawła z Przemankowa, nic więcéj nad to, co ma Długosz w Historyi swojéj. Wiadomość tę zawdzięczam p. Augustowi Bielowskiemu.

(1) *X. Gładyszewicza*: *Żywot Bł. Prandoty*, str. 64 i 65.

(2) Roczniki *Thratki*; *Kronika Baszki* pod r. 1266 i 1267. *Żywoty biskupów krakowskich*, Długosza, w Mss. i *Starowolskiego*.

śś. Szymona i Judy (28 październ.) tegoż roku, w Uniejowie, Janusz arcybiskup gnieźnieński potwierdził wybór kanoników krakowskich. A w roku następnym w Lelowie, w sobotę przed drugą niedzielą postu, wyświęcił elekta na kapłana, a nazajutrz konsekrował go na biskupa krakowskiego, z taką radością ludu, że mimo postu wielkiego, nie można ich było od uczt i tańców powstrzymać (1).

Zaraz na wstępie wysokiéj godności swojéj, umiał nowy biskup zaskarbić sobie i w duchowieństwie te same względy, które w rycerstwie i u ludu posiadał. W czerwcu 1267 roku bowiem, odprawiał wjazd do Krakowa Gwidon, z zakonu Cystersów, kardynał *S. Laurentii in Lucina*, legat papieża Klemensa IV. Przybywał z Wrocławia, gdzie odprawił się w dzień Oczyszczenia Panny Maryi (2 lutego) synod prowincyonalny. Zabronił książętom świeckim obciążać kościół, duchownych, i ludzi w dobrach kościelnych mieszkających, poborami i składkami. Biskupom zaś w razie potrzeby, o zezwolenie papieża starać się kazał. Sam jednak, właśnie w celu zbierania składek na wspomożenie Ziemi Świętéj przybywał, rok odpustu jubileuszowego nadając, a po wszystkich główniejszych kościołach wystawione były skrzynie, dla składania ofiar pobożnych.

Chętnie przyjmowany był legat papiezki w Krakowie, owéj stolicy świętych, gdzie panowała ś. Kinga, żona Bolesława; w pobliżu którego ś. Salomea, siostra Bolesława, wdowa po Kolomanie królu halickim, dokonywała świątobliwego żywota, w klasztorze Klarysek na Skale; gdzie świéżo ś. Jacek i bł. Czesław, a dopiéro co bł. Prandota, cnotami heroicznemi jaśnieli; gdzie niedawno obchodzono uroczystą kanonizacyą św. Stanisława, a wyglądano obiecaną Wrocławianom kanonizacyą córki Piastów, św. Jadwigi. Wyszli naprzeciwko Gwidona książę i zgroma-

(1) *Sabbato in vigilia Reminiscere in sacerdotem ordinatus, et in crastino in Episcopum in Lelow fuit consecratus.* Roczniki *anonima krakowskiego* w Mss. ottobońańskim. (W *Sommersbergu* Script. Rer. Siles. T. II p. 94 to wszystko opuszczone). Długosz nie wspomina o wyświęceniu Pawła na kapłana przed konsekracyą na biskupa w Historyi, ale w *Żywotach biskupów krakowskich*, zkąd powtórzył *Starowolski* w dziele: *Vitae Antistitum Cracoviensium.* O radości ludu tak pisze Długosz w *Żyw. bis. krak*: „*Et tunc facta est leticia magna in populo tam clero quam laicis, ita eciam quod leti festas duxere choreas*".

dzeni biskupi polscy. Kardynał uprzejmy był dla wszystkich, dla pasterzy i dla ludu, ale najwięcéj dla Pawła z Przemankowa (1).

Poznał w nim zapewne nieugiętość ducha, wielkich czynów źródło; a nałogi złe, co go miały wkrótce na drogę zbrodni sprowadzić, nie tak straszliwie rozwinięte jeszcze, umiał biskup ukrywać. Jakoż przez piérwsze lata, znajdujemy go synodami zajętego. Wkrótce po wyjeździe kardynała Gwidona, 16 października 1267 r., w Dankowie, zkąd zgromadzeni biskupi, statuta synodalne wrocławskie tegoż Gwidona, dopiéro co wydane, Mestwinowi księciu pomorskiemu, przesyłali; a w 1270 roku (20 września), w Sieradzu, gdzie wraz z innemi biskupami, Paweł dawniejsze nadania książąt, biskupom kujawskim potwierdzał (2). Do tegoczesnych czynów Pawła z Przemankowa, wypada też może odnieść fundacyą trzech ołtarzów w katedrze krakowskiéj: św. Wojciecha, św. Małgorzaty i św. Leonarda, na instancyą mistrza Hermana z Leodyum, kanonika krakowskiego i proboszcza bytomskiego, oraz uposażenie ich odstąpieniem dziesięciny stołowéj ze wsi: Kalina, Zielenina, Chociegi i Rzepek, a także odstąpienie kościołowi parafialnemu w Mikułowie, dziesięciny ze wsi biskupich: Przedczyc, Toporowic i Targoszy (3)

(1) *Eodem anno* (1267), *Guido de ordine Cisterciensi, tituli Sancti Laurentii in Lucina presbyter Cardinalis, Legatus alatere, in partes Polonie venit, concilium Wratislavie celebravit. Hic quinto Kalendas Julii in Cracoviam nostram veniens provinciam pietate se mansuetum omnibus presentavit.* Roczniki *anon. krak.* w Mss. ottobonianskim (w *Sommersb.* II, p. 94 opuszczone). Porównać także *Roczniki Thratki* pod rokiem 1267 i *Długosza* VII, p. 781; zamiast *quinto Kalendas Julii* (27 czerwca), u niego data jest: *quinto Idus Julii* (11 lipca). Zdaje się, że tamta data pewniejsza, gdyż po drodze z Wrocławia do Krakowa, 22 czerwca, legat był w Raciborzu, zkąd datował dyplomat. Obacz *Stenzel, Urkunden zur Geschichte des Bisthum's Breslau*, p. 31). Z Krakowa, każe Długosz legatowi jechać na synod do Włocławka (*Vladislavie*, zamiast *Wratislavia*), na dzień Oczyszczenia Najświętszéj Panny, (2 lutego, a więc chyba 1268 roku). Oczywiście przez pomyłkę, ponieważ dawniejsze źródła i dyplomat z 16 października 1267 roku o synodzie wrocławskim wspominają. *Stenzel* wahał się pomiędzy rokiem 1265 a 1268, jako datą synodu. Autor artykułu: *O dawnych statutach synodalnych* (w *Bibliotece Warszawskiéj* na styczeń 1851 roku, str. 97), dowiódł z Dyplomataryusza *Rzyszczewskiego* i *Muczkowskiego*, że synod wrocławski musiał mieć miejsce w 1267 roku.

(2) *Dyplomataryusz Rzyszczewskiego* i *Muczkowskiego*, tom IIgi, str. 74 i 82. (3) *Długosz*, w *Żywotach bisk. krak.* i *Starowolski.*

Ale niedługo potrwał gwałt burzliwym namiętnościom zadany. Łowami całkiem zajęty, wśród lasów kieleckich zapominał biskup o kościele, i tak zapamiętale gonił za zwierzem, iż pewnego razu, łowczego, który mu przez nieostrożność przed sieciami zwierza spłoszył, na miejscu oszczepem przebił. „Nie lękał się—wykrzykuje Długosz—dla zwierzęcia, człowieka zgubić, którego jednorodzony Syn Boży, krwią przenajświętszą odkupił!" (1). Łowom towarzyszyły uczty, pijatyka i gorszące zabawy w zamkach biskupich, w Kielcach, Kunowie i Tarszku (2).

Tarszek, wieś biskupstwa krakowskiego, opłacała dawniéj co rok dziesięć grzywien srébra książęciu, na znak najwyższéj zwierzchności. Ale od roku 1262, darował Bolesław Wstydliwy tę opłatę na rzecz klasztoru, przeniesionego dopiéro co dla obawy Tatarów, z Zawichosta do Skały, a w którym siostra księcia, Salomea, ksienią mniszek Klarysek była (3).

W czarującéj dolinie nad Prądnikiem, między Ojcowem a Pieskową Skałą, wznosił się zamek na skale, przezwanéj odtąd *Skałą Panny Maryi*, (*Lapis Sanctae Mariae*), a w nim umieścił się klasztor świętych panien. Dziś tylko szczątki murów starego grodu pozostałe, lud okoliczny *Grodziskiem* nazywa. Nieraz odwiedzać tam musiał biskup Paweł, królewskiego rodu ksienię Klarysek, która w pokorze i umartwieniu ciała, ostatnie dni żywota świętego pędziła. Jako świadek, wraz z księciem Bolesławem, 28 sierpnia, 1268 r., podpisał testament Salomei, którym relikwie świętych pańskich, kielich, krzyż, ornaty i księgi kościelne i do nauki służące, kościołowi swemu zapisywała (4). W kilka miesięcy późniéj nakoniec musiał być przytomny jéj śmierci, (10 listopada), a w roku następnym przeniesieniu jéj relikwij do kościoła OO. Franciszkanów do Krakowa, z towarzyszeniem wielu cudów świętości (5).

(1) *Długosz* w *Żywotach bisk. krak.* i w Historyi VII, str. 865.

(2) *Tarsek* wieś parafialna w dekanacie borzęcińskim. Obacz *Starowolskiego*: Opis dyecezyi krakowskiéj w *Vitae Antistitum Cracov.* Sam *Borzęcin* nazywał się dawniéj *Tarzęcinem*, i należał do stołu biskupów krakowskich, którzy mieli tam dwór i czasem tam przemieszkiwali (*Starożytna Polska, Balíński* i *Lipiński*, tom IIgi, str. 310.

(3) *Starożytna Polska Balińskiego* i *Lipińskiego*, tom II, str. 79.

(4) *Starożytności polskie, Ambrożego Grabowskiego*, tom I, str. 3.

(5) *Kronika Baszki*, pod rokiem 1268. *Roczniki Thratki*, pod rokiem 1268. *Annales Cracovienses minores* (tak nazwane przez Röpella ro-

I ten klasztor jaśniejący świętością, nie wahał się Paweł z Przemankowa zbrodnią skalać! Przebywała w nim, już Bogu poświęcona mniszka, dziewica szlachetnego rodu, której wdzięki obudziły namiętną miłość w niecnym pasterzu. Nie uchylając zasłony, którą dzieje spółczesne z pobożną względnością na tak ohydny obraz rzuciły, powiemy tylko z Długoszem, że porwana z klasztoru mniszka, wkrótce z książęcym przepychem, na czele orszaku służebnych kobiét, w Kielcach i po innych zamkach biskupich, w kolebce za nim jadąc, na hucznych biesiadach rej wodziła (1).

Wtedy też może przybywali na dwór jego przedniejsi z Litwinów i Jadźwingów, z któremi bratał się i kumał przy kielichu i towarzystwie zbrodniczém! (2).

Ale razu jednego inni goście do kieleckiego dworu przybyli—kanonicy krakowscy, którym zakałę czyniło gorszące życie zwierzchnika, i związki ohydne, i targi beneficyami kościelnemi, jak naprzykład probostwem skalmierskiém, i którzy daremne dotąd napomnienia po raz ostatni powtórzyć chcieli, probując, ażali nie zdołają urzędowego zaskarżenia do Rzymu powstrzymać. Zdziwił się zapewne Paweł z Przemankowa, na widok niespodziewanych gości; ale plan obronny, a raczéj zaczepny stanął mu na myśli. Zastawiono stoły na ucztę; tego dnia oprócz kanoników, sami tylko rycerze zapewnie i domownicy biskupa za gościnnym stołem zasiedli. Pod koniec biesiady, wśród spełnianych kielichów, każdy z kanoników po kolei zaczął dawać znaki

czniki mniejsze przy kronice Dzierżwy, w edycyi gdańskiéj Kadłubka, a tłumaczone przez Kownackiego i wydane z kroniką Dzierżwy, w Warszawie, 1823 roku) i *Długosz* VII, p. 784, dzień śmierci św. Salomei naznaczają w wigilią św. Marcina, t. j. 10 listopada; dzień pogrzebu w Skale, *Baszko* tylko naznacza *Idus novembris*, t. j. 13 listopada; *Thratka*, *Annales Cracovienses minores* i *Długosz* przez oczywistą pomyłkę, na IV *Idus Novembris*, t. j. 10 listopada, w sam dzień śmierci. Przeniesienie zwłok do Krakowa, wedle *Baszka* i *Annales Crac. min.*, miało miejsce 1go lipca 1269 roku; wedle *Thratki* 22 maja, a wedle *Długosza* 28 czerwca. Jak te podania pogodzić!

(1) *Cum moniali de Skala cohabitans, quam ducali more splendide servans, et per omnia loca quo ibat secum in cunabulo cum virginibus ducens, mechus efficeretur Christi.—Długosz w Żyw. bisk. krak.*; a z niego *Starowolski.*

(2) *Quod..... cum Duce Lithwanorum Strojnath ethnico et pagano connubia jungeret.—Długosz w Żywotach bisk. krak.*

szczególnéj niespokojności: to podskakiwali na stołkach, to jękiem, to krzykiem zdradzali jakieś bole niezwykłe, jakby chorobę raptowną. Przyczynę tego najlepiéj wiedział Paweł z Przemankowa, gdyż z rozkazu jego schowano pod stołem karłów kilku, którzy śpilkami kłóli kanoników w żywe ciało, i do krwi ranili. Jak szalonych kazał ich wiązać gospodarz; posłuszni dworzanie rzucili się na przelękłych i zbolałych gości, powiązali i do ciemnic wtrącili. I tak długo trzymał ich biskup, dopóki się prawa do natrętnych strofowań nie zrzekli (1).

Niepodobna, aby ten czyn zuchwały nie oburzył na Pawła z Przemankowa i książąt i rycerstwa. Panował jeszcze w Krakowie Bolesław Wstydliwy, ów mąż pobożny, miłośnik kościoła, a szczególnie krakowskiego, tylu przywilejami uposażonego: „z przepełnionéj szczodrobliwością ręki (jak pisał do niego papież Alexander IVty), zkąd dla nas radość, a dla ciebie tytuł do pochwały i nadmiar zasług wynika! (2)". Jako bezdzietny, do wyboru rycerstwa naznaczył następcą po sobie, już przed sześcią laty, synowca swego stryjecznego, Leszka, Czarnym zwanego, księcia kujawskiego na Sieradzu, a to zaraz po ożenieniu go z rodzoną siostrzenicą żony swojéj Kingi, z Gryfiną, tojest Agryppiną, córką Rościsława niegdyś kijowskiego księcia, i Anny królewnéj węgierskiéj (3).

Czyli biskup krakowski przeciwny był wyniesieniu Leszka, czy téż Leszek i sam Bolesław podzielali tylko powszechne oburzenie przeciw występnemu biskupowi, nie wyjaśniają nam żadne spółczesne ani późniejsze ślady. Wiemy tylko z Długosza, że w połowie stycznia 1271 roku, Otton i Żegota, dwaj rycerze z rodu Toporczyków napadli na dwór biskupi w Kunowie, domowych rozbroili, samego biskupa i rzeczy jego zabrali, i przez lasy z nim uciekając w obawie pogoni przyjaciół i pokrewnych Pawła z Przemankowa, dowieźli go do Sieradza, i w ręce Leszka oddali. Miesiąc cały trzymany był biskup na zamku w uczci-

(1) *Długosz* w *Żywotach bisk. krak.*; z niego *Starowolski.* W archiwum watykańskiém nie mogłem się żadnych śladów skargi na biskupa Pawła dopytać.

(2) *Alexandra* IVgo papieża, anni II, Ep. 109 w bulli, któréj kopia autentyczna z archiwum watykańskiego, w moim zbiorze.

(3) *Dux Lestco Duxit Griphinam uxorem suam.* Roczniki *Thratki* pod r. 1265 i 1279. Także: *Annales Crac. maj.* i *Długosz* VII str. 774.

wém więzieniu, nie bez wiadomości i przyzwolenia zapewnie księcia Bolesława. Ale gdy Janusz arcybiskup gnieźnieński mszcząc się za uwięzienie kolegi, interdykt na kraj cały rzucił, Bolesław na skargi ludu biédnego czuły, kazał uwolnić biskupa; i w czasie postu wielkiego za pośrednictwem Dzierżykraja proboszcza, i Waltera kanonika krakowskich, ugoda pomiędzy nimi stanęła. Główniejszym warunkiem było ukaranie Ottona i Żegoty, którzy po odsiedzeniu miesiąca wieży, majętności swoje sprzedali, i wynieśli się na Szlązk, w księztwo opolskie. Dar dwiestu grzywien srébra i swobody wsiom biskupim nadane, uzupełniały wynagrodzenie za krzywdę (1).

Nieprzebłagany jednak tém wynagrodzeniem Paweł z Przemankowa, zemstę w sercu nietylko na Leszka, lecz i na Bolesława chował. Podwodził na niego (pisze Bielski, za Długoszem idąc) szlachtę krakowską, „a zwłaszcza te, którzy swoje dobra marnie potraciwszy, na cudze się radzi miecą: także którzy byli dłużni, a płacić nie było czym; albo którym o gardło szło: tedy z temi y z innemi takimi wszystkimi, pokątnie zjazdy swe jął miewać biskup, namawiając ich do tego, aby sobie innego pana obrali (2)".

Możeby trzeba szukać ręki Pawła z Przemankowa w nieporozumieniu, jakie teraz właśnie pomiędzy księciem Bolesławem, a domniemanym następcą jego Leszkiem sieradzkim wybuchło.

Naprzód bowiem wkrótce po owém więzieniu Pawła w Sieradzu, porzuciła Leszka, żona Gryfina; i zwoławszy baronów, rycerstwo i niewiasty znaczniejsze do Krakowa, w klasztorze OO. Franciszkanów zasłonę z głowy złożyła, jawnie na męża po-

(1) *Długosz*, w *Żyw. bisk. krak.* i w *Historyi* VII, p. 795 pierwszy o tém uwięzieniu Pawła z Przemankowa za rządów Bolesława Wstydliwego wspomina. W żadnych dawniejszych rocznikach o tém uwięzieniu wzmianki niemasz; ale tyle innych wiadomości Długoszowych źródło znajdujemy w odkrywających się dawnych rocznikach, że nie możemy wprost świadectwa jego odrzucać. Lecz co do ugody za to więzienie, kiedy Długosz w *Historyi* (VII, p. 796) pisze, że Bolesław odstąpił Pawłowi *Sortem ducalem in Dzierzna*; a w *Żyw. bisk. krak.* że *Leszek* (nie Bolesław) skazany został na zapłacenie 3,000 grzywien srébra, że darował *totam sortem in Dzierzaszna quæ ad ipsum Ducem pertinebat*, i uwolnił od wszelkich ciężarów dobra biskupie *Slawkow* i *Deputeomste* (*Pustkowice?*) *alias Pabianicze*; to oczywiście pomieszał z daleko późniejszą ugodą Pawła z Leszkiem Czarnym, bo w 1286 roku zawartą, którą w całéj obszerności niżéj podamy.

(2) *Bielski*, XII, str. 196.

wiadając (że się słowami kroniki Bielskiego wyrażę), „*iż mu było nic po żenie, y przetosz przestowłosa* (t. j. z rozpuszczonemi włosami jak panna) *chodziła, na sześć lat szedwszy zeń* (1)".

Następnie zaraz po Wielkiéjnocy tegoż roku (1271), książęta polscy wmieszali się do wojny wszczętéj pomiędzy Stefanem królem węgierskim, bratem Kingi, a Przemysławem Ottokarem królem czeskim, szwagrem Gryfiny; ale Bolesław i Leszek w dwóch obozach przeciwnych walczą.

Powodem do téj wojny była po części Anna, siostra króla węgierskiego Stefana, a matka Gryfiny księżnéj sieradzkiéj i Kunegundy, żony Przemysława Ottokara króla czeskiego. Po śmierci męża swego Rościsława, niegdyś księcia kijowskiego, jako pani na Bośnii i Machowie przebywała na dworze ojca swego króla Beli; ale w ostatniéj chorobie ojca, wkrótce przed śmiercią jego, zabrała wiele klejnotów i kosztownych sprzętów w złocie i srébrze, i lękając się aby ich nie stracić, powierzyła zięciowi swojemu królowi czeskiemu, u którego przytułek znalazła. Syn jéj Bela, pan na Bośnii i Machowie, wiernym sprawie wuja pozostał; ale kilku baronów węgierskich pogranicznych korzystając ze zmiany panującego, poddali zamki swoje potężnemu sąsiadowi, który już i tak Styryą przemocą oręża trzymał (2).

Rokiem wprzódy (w sierpniu 1270 roku), wkrótce po śmierci ojca Beli, król Stefan zjechał był do Krakowa, pod pozorem odwiedzenia relikwij św. Stanisława; i tam przez siostrę Kingę, i szwagra Bolesława przyjmowany, zawarł z niemi pokój wieczny, który książęta i rycerze, przysięgą na drzewie krzyża świętego, stwierdzili (3).

Należeli do tego przymierza książęta haliccy i wołyńscy: Lew, (mąż podobno Konstancyi królewnéj węgierskiéj, siostry Stefana i Kingi), i brat jego rodzony Mścisław, obaj synowie Daniła, niegdyś króla ruskiego; a brat ich stryjeczny Włodzimiérz,

(1) *Bielski* XII, p. 199. *Długosz*, VII, 794. Najdawniejszém źródłem są *Roczniki Thratki*: „*Eodem anno* (1271) *Griphina uxor ducis Lestconis Syradiensis, deposuit de se peplum publice, eo quod dixit se esse virginem incorruptam, nec ab eo poterat cognosci propter impotentiam ipsius ut dicebat*". To samo w *Annales Crac. Maj.*

(2) *Fessler*: Die Geschichten der Ungern. T. II, str. 622.

(3) *Ann. Crac. minores* (ale pod r. 1268). *Roczniki Thratki* pod r. 1270. *Dyplomat* Stefana *Praya* (Hist. Reg. P. I, p. 282), cytowany przez *Fesslera* T. II, str. 623.

syn Wasylka, sam nie poszedł, gdyż miał z Jadźwingami do czynienia, ale posłał drużynę swoję, pod wodzą Żelisława (1). Daléj Bolesław Pobożny, książę kaliski, mąż Jolanty, także siostry Kingi i króla Stefana; i Konrad książę mazowiecki z rycerstwem swojém.

Ze strony zaś króla czeskiego stanęli: Henryk książę wrocławski, Władysław książę opolski, i książęta kujawscy: Leszek Czarny i brat jego Ziemomysł łęczycki (2).

Gdy Węgrzy okolice Wiednia pustosząc, zdobycz i więźniów na osadę pustyń swoich wybierali; a Czesi śmiałym napadem na kraj węgierski, i wzięciem Prezburga, zdobywali sobie korzystny pokój: rycerstwo krakowskie i mazowieckie, pod wodzą samych książąt Bolesława i Konrada, i w towarzystwie Rusinów, Kumanów i Litwinów, (owych sprzymierzeńców Pawła z Przemankowa), pustoszyli ziemie szlązkie około Namysłowa, a zwłaszcza dobra biskupów wrocławskiego i lubuskiego, od połowy kwietnia, do końca maja. Ciekawe szczegóły o tych łupieztwach, znajdujemy w listach Tomasza biskupa wrocławskiego, do Janusza arcybiskupa gnieźnieńskiego, i biskupów polskich: Pawła krakowskiego, Mikołaja poznańskiego i Piotra mazowieckiego pisanych, oraz do samego Bolesława, którego po kilkakrotnie, ale zawsze daremnie, o powrócenie szkód wyrządzonych pozywał (3).

„Z niezmiernym żalem Wielebności Waszéj donieść mamy, (pisał 28 czerwca 1271 roku, Tomasz biskup wrocławski, do Pawła biskupa krakowskiego), że Bolesław, pan i książę krakowski, za nic mając bojaźń Boga, za niecną radą idąc, z niezliczonemi tysiącami Rusinów, Kumanów i Litwinów, jak nieprzyjaciel na Szlązk napadł, i wsie nasze, oraz lubuskiego kościoła i innych kościołów naszéj dyecezyi, złupił i spalił. A co więcéj, (o czém z wielką boleścią donosimy), po wyłamaniu drzwi koś-

(1) *Kronika wołyńska* pod r. 6781. (*Ipatiewskaia Letopis.* Ob. *Polnoje Sobranie Ruskich Letopisej.* T. II, str. 205).

(2) Długosz wcale o uczestnictwie książąt polskich w téj wojnie nie wspomina. VII, p. 794. *Naruszewicz* (edycya Gröllowska) T. V, p. 123—127 bardzo mało; podobnież *Palacki*: Geschichte von Böhmen T. II, p. 216—223 i *Röpell* T. I, p. 497 i 531.

(3) *Stenzel*: *Urkunden z. Bisth. Breslau* p. 37—46. Piotr biskup mazowiecki, któremu Niesiecki, za Długoszem idąc, r. 1263 umierać każe, w listach tych jeszcze wzmiankowany, a w przeszłym (1270) roku przytomny był na synodzie w Sieradzu. Ob. *Dyplomataryusz Rzyszczewskiego* i *Muczkowskiego* T. II, str. 82.

cielnych, i wyprowadzeniu ztamtąd nędznych ludzi, bez względu na przywileje kościoła, wielu z nich życia pozbawiono, wielu poraniono, a niezliczone mnóstwo wiernych Chrystusowych, młodzianów i dziewic, starców i dzieci, bez różnicy płci i wieku, w żałosną uprowadzono niewolę. Z tego powodu Wielebny Ojcze, błagamy was jak najgoręcéj, abyście upomnieli rzeczonego księcia i baronów jego, *Warsza* kasztelana, *Piotra* wojewodę krakowskich; *Janusza* wojewodę sandomierskiego; *Dobiesława* wiślickiego, *Lassotę* sandeckiego, *Smilona* brzeskiego, *Jakóba* lubelskiego, *Boxę* małogoskiego kasztelanów; *Mikołaja* syna *Mzuja* (sic); *Mirosława* sędziego nadwornego (*Judex Curie*); *Żegotę* podczaszego krakowskiego, *Pełkę* syna Michałowego, *Bogufała* młodszego, i *Wawrzyńca*, aby przed następującém świętem Wniebowzięcia Najświętszéj Panny (15 sierpnia), nam i kościołowi naszemu, a także innym kościołom tak srodze, bez ich winy, skrzywdzonym, za krzywdy i zniewagi wyrządzone zadość uczynili. W przeciwnym razie wyroki, jakiebyśmy prawnie z urzędu naszego wydali, lub jakie *ipso-facto* wypadną, zechcecie w dyecezyi waszéj ogłosić, lub ogłosić kazać: aby broń Boże, czyn tak występny, na wzgardę swobód kościelnych dokonany, nie pozostał bez kary, i aby drudzy nie poważyli się go naśladować. Dan we Wrocławiu w wigilią śś. apostołów Piotra i Pawła 1271 roku" (1).

W listach téjże saméj treści do Janusza arcybiskupa gnieźnieńskiego, i biskupów poznańskiego i mazowieckiego, wymienieni są oprócz powyżéj przytoczonych rycerzy małopolskich, z Wielkopolski: *Syxtus* (2) kasztelan rudzki, *Roszko* i *Mroczko* kasztelan starogrodzki; podkomorzowie: *Andrzéj* sędzia i brat jego *Wacław*; *Strzałko* sędzia z Borowna; dwóch synów *Janka* z Kalisza; *Sieciech* wojewoda sieradzki, *Sędziwój* podczaszy, i *Przedwój* kasztelan sieradzcy (a więc rycerze sieradzcy księcia swego opuścili); *Zawisza* (3), *Marcin* ze Zbąszynia, *Szczedrzyk* z Krzywina, *Ziemięta* z Dupina, *Jarasz* ze Szrema, *Mikołaj* z Karnkowa, wraz z bratem *Bodzantą*, kasztelanowie; *Marcin Przybysławicz*, *Czeckosław* podczaszy, *Czelej* z Punica, *Czelej* syn Gabryelów.

(1) *Stenzel, Urk. z. B. Breslau*, str. 38.

(2) Może to będzie *Sędziwój*, podpisany na dyplomacie Przemysława z 1284 roku. *Dyplom. Rzyszcz.* i *Muczk.* T. I, str. 114.

(3) *Zamsam* w Stenzlu.

Z Mazurów wymienieni tylko: *Menera* wojewoda, *Mancina* wojewoda czerski (*Palatinus de Cirasz*), i *Michał* podskarbi.

Największe szkody uczynili Krakowianie w *Zarzysku* pod Rozenbergiem, w dzień św. Wojciecha (23 kwietnia), i w *Skoryszewie* pod Namysłowem, gdzie nazajutrz po św. Wincentym (25 maja), dwór biskupi, wartości 100 grzywien srébra spalili, a biédnym ludziom (*pauperes*) po kilka koni, krów, owiec i innéj trzody pozabierali, oraz odzież i inne sprzęty, i *dzieci* témże samém wyliczeniem objęte, a chaty i pnie z pszczołami (*trunci apum*) spalili. To samo powtórzyło się w *Buciechu* (Butschkau) koło Namysłowa, gdzie ze zgwałconego kościoła wyniesiono świecę paschalną, cztéry obrusy od ołtarzów (*palle*), puszkę z Ciałem Pana Jezusa, ampułki, chorągiew starą i nową, i wszystkie rzeczy jakie w nim biédni ludzie złożyli (1).

Jeżeli książę Bolesław na początku téj wyprawy osobiście dowodził, to niedługo, bo już 15 maja znajdował się w Krakowie, wraz z *Warszem* kasztelanem, *Piotrem* wojewodą krakowskim i *Januszem* wojewodą sandomierskim, jak się okazuje z przywileju wsi tynieckiéj, *Opatowiec* zwanéj, pod tą datą i w tém miejscu nadanego (2).

Wedle podanego przez Tomasza biskupa wrocławskiego rachunku (arcybiskupowi gnieźnieńskiemu) 5 lipca tegoż roku, tak umiarkowanego, że konie i klacze (chociaż droższe), po grzywnie srébra rachował; wynosiły jednak szkody wyrządzone 3,731 grzywien, licząc w tém w 500 grzywnach, uwolnienie wsi zniszczonych na lat cztéry od czynszów i dziesięciny (3). Napróżno do Bolesława pisał Tomasz 18 lipca sam, a 7 i 27 sierpnia łącznie z biskupem lubuskim Wilhelmem, aby żądanego zadośćuczynienia nie odmawiał, i nie przymusił do żalenia się wyżéj na niego i jego baronów, „*aby grzech przez was i waszych ludzi* (słowa listu) *na dobrach kościelnych spełniony, duszy waszéj nie szkodził i nie obciążał*".

Wątpić można, czyli biskup krakowski ujął się mocno za wynagrodzeniem krzywd, wyrządzonych w części przez Litwinów z któremi posądzony był o kumowstwo i przyjaźń, a przeciw którym walczył osobisty wróg jego Leszek książę sieradzki. Janusz zaś, arcybiskup gnieźnieński umarł 26 sierpnia tegoż roku,

(1) *Stenzel* str. 41. (2) *Dyplom. Rzyszcz.* i *Mucz.* T. I. str. 90.
(3) *Stenzel* str. 43.

a pierwéj jeszcze (3 lipca), pod murami zdobytego Prezburga stanął był pomiędzy królami czeskim i węgierskim pokój, do którego piérwszy, między innemi, książąt szlązkich i kujawskich, a drugi Bolesławów książąt krakowskiego i wielkopolskiego, i książąt ruskich załączył (1).

We dwa lata późniéj nawet zjechali się w Opawie: król czeski i Bolesław Wstydliwy, i rozejm na lat dwadzieścia zawarli; tém korzystniejszy dla Bolesława, że mu rycerstwo krakowskie przez Pawła z Przemankowa podburzone, we własnym kraju wojnę domową gotowało (2).

„ Niektórzy rycerze krakowscy, (podają pod r. 1273 *Roczniki Thratki*) przeszli do księcia opolskiego Władysława, z całą potęgą swoją, z porady Pawła biskupa krakowskiego. Ale Bolesław wysłał za nimi w pogoń wojsko, i zachwycił ich na polu około *Bogucina*. Po uporczywéj bitwie wielu z obu stron zginęło" (3).

Długosz podaje dzień bitwy na 10 czerwca, i wynajdując przyczynę téj wojny domowéj w zemście Pawła z Przemankowa nad Bolesławem i przybranym następcą jego Leszkiem, przywodzi wszystkie głosy niechętne, jakie na Bolesława pomiędzy rycerstwem krążyły; jak: niesprawiedliwy, przyjaciel podarków byle jakich, bo psami nawet można go było zjednać (4). Psy jego niezliczone wedle całéj srogości prawa *leśnego*, przez łowczych książęcych, sokolników i bobrowników prowadzone, po wszystkich lasach polując, kosztem ziemian po rycerskich i duchownych włościach karmione bywały; a nikomu we własnych dobrach niewolno było polować, chyba za osobnym przywilejem książęcym (5). Miał takie przywileje biskup krakowski, bo jeszcze w 1255 roku. za poprzednika jego Prandoty, Bolesław uwolnił

(1) *Dumont*: Zbiór traktatów w *Naruszewicza Historyi* T. V, p. 123. *Palacki* T. II, p. 221. *Fessler* T. II, p. 629.

(2) *Roczniki Thratki* pod r. 1273. Także *Ann. Crac. Major*; *Długosz* VII, p. 794.

(3) *De consilio Episcopi Pauli Cracoviensis.* w *Rocznikach Thratki* pod r. 1273 i w *Ann. Crac. Major. Długosz*, VIII, p. 800. Miejsce bitwy przekręcone *Bogehim*, gdy w Rocznikach wyraźnie *circa Boguczin* stoi. Będzie to podobno w Olkuskiém.

(4) *Kronika Janka*, u Stenzla: *Scriptores Rerum Silesiacarum* T. I, p. 22. (5) *Naruszewicza Historya* T. IV, p. 244. *Bandtkie*: *Prawo polskie*, p. 144.

był wszystkie wsie biskupie od utrzymywania księcia i jego łowczych, z tém, że gdyby przez kasztelanie biskupie, kilka razy do roku miał przejeżdżać książę, i *przejazdem*, po lasach polować: to dwóch ludzi tylko, i dwa psy *śledzikami* zwane *qui dicuntur slednici*) obowiązani karmić ludzie biskupi, ale książę ani zatrzymywać się będzie na łowy, ani też ludzi na łowy przysyłać (1). W 1258 r. zaś we wszystkich posiadłościach biskupich nadał biskupowi wyraźnie prawo myślistwa i rybołostwa; a widzieliśmy jak prawa tego używał, a raczéj nadużywał Paweł z Przemankowa (2).

Tém dotkliwiéj oburzały prawa *leśne* pozostałych. Już papieże za taki ucisk klątwami kościelnemi grozili. „Nowy rodzaj uciemiężenia, (pisze Grzegorz IX w bulli do prowincyała Dominikanów w Polsce), wynaleźli książęta polscy na biednych ludzi *circa pauperes*; straży ich poruczają bobry i sokoły; a gdy te gniazda swoje opuszczą, za przyrodzonym instynktem wolności idąc, albo też z przypłodka ich co braknie, biédnych ludzi tych na karę siedmiudziesiąt grzywien skazują. Wielu z nich (z boleścią to piszemy), podają tym sposobem powód do potępienia wiecznego; gdy bowiem tak niesłusznéj i niesłychanéj niewoli znieść już nie mogą, uciekają do pogaństwa pruskiego, opuszczając obcowanie wiernych!" (3).

Tacyto zbiegowie najpewniéj przewodnikami byli napadów pogańskich Prusaków, Jadźwingów i Litwinów, którzy i w tym roku, ziemię lubelską zniszczyli (4). A narzekania ludu przemieniając się w głos duchów, w opowiadaniach kronikarskich tę najcięższą zbrodnię na Pawła z Przemankowa zwalają.

„Przyszedł także głos do Pawła biskupa krakowskiego, (czytamy w *Rocznikach Thratki*), mówiąc: *Biada tobie, biskupie Pawle; lepiéjby tobie było, żebyś się był nie urodził*". Głos ten słyszało pewnie siedmdziesiąt ludzi. Zadawano mu bowiem, że za jego sprawą (*ipso procurante*) stała się klęska wyżéj wspomniona w Lublinie.

(1) *Ks. Gladyszewicza*: *Żywot B. Prandoty*, p. 221, z dyplomatu oryginalnego. Także *Bullarium Franciscanum* T. II, p. 109.]

(2) *Żywot B. Prandoty* p. 234 z dyplomatu oryginalnego.

(3) Bulla Grzegorza IX z Anagni 25 lutego, 1233 r. (*Bullarium Ord. Praedicatorum* T. I, p. 43).

(4) *Eodem anno* (1273) *Lithwani miserabiliter devastaverunt terram Lublinensem.* Roczniki *Thratki. Długosz* VII, p. 801.

Nareszcie po niejakim czasie znowu przyszedł głos mówiąc do niego: „*Nie lękaj się Pawle, czyń co tylko zechcesz, bo ja z tobą jestem.*“ Głos ten słyszało wielu braci zakonu Kaznodziejskiego (Dominikanów), w których domu pod Krakowem mieszkał biskup (1). A znów po niejakim czasie, w tym samym roku, gdy pomieniony biskup sam jeden był w sypialni swojéj, przyszedł głos z góry (*de aere*), mówiąc: „*Nie lękaj się Pawle, czyń co chcesz, bo w siódmym roku umrzesz.*“ I nie wyraził, czy w siódmym roku biskupstwa, czy też siódmego roku od czasu, jak się głos do niego odezwał. Na ten głos odpowiedział biskup: „*Dobrze, bo do siódmego roku, będę mógł żywot mój poprawić.*“ A głos ten słyszało wielu stojących przed sypialnią jego (2).

Cokolwiekbądź, przez lat siedm następnych nie znajdujemy wzmianki w dziejach o nowych bezprawiach Pawła z Przemankowa; nie przypisują mu nawet najdawniejsze roczniki napadu Litwinów na Łęczycę, w święto św. Łukasza (18 październ. 1277 roku), z rzezią i uwięzieniem niezliczonych tłumów brańców połączonego (3).

Musiało ustać i zgorszenie z powodu mniszki z klasztoru Klarysek na Skale, gdyż w bulli datowanéj 4 kwietnia 1276 roku, Innocenty Vty papież, cały klasztor pod opiekę św. Piotra i swoję, stosownie do prośby mniszek, przyjął (4).

Pogodził się też Bolesław krakowski z Leszkiem Czarnym; i razem z nim, oraz z Konradem mazowieckim, pustosząc ziemię księcia opolskiego, zemścił się nad nim za udział w buncie rycerstwa krakowskiego. A w tymże 1274 roku, książę krakowski, sam dobrowolnie bezdzietny, z przykrością patrząc na bez-

(1) *In quorum domo eo tempore morabatur ante Cracoviam*—w *Rocznikach Thratki: Tunc extra civitatem Cracoviensem*—w *Ann. Crac. Maj.* Nakoniec w *Długoszu* VII, str. 801.: *In monasterio S. Trinitatis Ordinis Praedicatorum in Cracovia tunc commorantem.*

(2) *Roczniki Thratki* pod r. 1273. *Ann. Cracov. Maj.* pod r. 1273 z małemi odmianami. *Długosz* VII, str. 801.

(3) *Circa festum Sancti Luce Evangeliste, Litwani Lanciciam crudelissime devastaverunt, abducentes secum in captivitatem, preter eos qui occisi sunt, XI millia hominum utriusque sexus.*— Roczniki Thratki po r. 1277. *Długosz* VII, str. 811.

(4) *Bullarium Franciscanum* T. III, str. 243. Oryginał bulli znajdował się w archiwum klasztoru Klarysek w Krakowie.

dzietnego następcę swego Leszka, odwiózł mu żonę Gryfinę do Sieradza, i porożnionych małżonków pogodził (1).

Jak gorąco pragnęli potomstwa Leszek i Gryfina, i do jakich guseł lekarskich uciekali się, które już w XIIItym wieku popłacały, znajdujemy ciekawe świadectwo w tyle razy przywiedzionych *Rocznikach Thratki*:

„Tegoż roku (1278) powstał zakonnik jakiś, imieniem Mikołaj, rodem Niemiec, z zakonu braci Kaznodziejów, który nauczał ludzi jadać węże, jaszczurki i żaby, gdy na jakąbądź chorobę cierpieli: na ból oczu, lub co innego. Nie patrzał na urynę chorego, ale miał jakieś sakiewki zamknięte; a co w nich było, nie pozwalał zajrzeć. Po jednéj sakiewce takiéj zawieszał na chorych przez noc; a którzy pocili się podczas zawieszenia, i którym sny się roiły, ci wyzdrowieni byli, inni nie.“

„Gołą ręką brali ludzie węże, w imię rzeczonego Mikołaja, nie w imię Chrystusa Pana. Albowiem jeżeli kto chciał brać węża w imię Chrystusa, choć ją rękawiczką (*chiroteca*) pokrył, wnet go wąż ukąsił. Od niegoto nauczeni niektórzy bracia zakonu Kaznodziejskiego, węże jadali. A Leszek książę sieradzki, z żoną swoją Gryfiną, z polecenia tegoż kaznodziei, tego roku zaczął jadać węże, jaszczurki i żaby; i dlatego brzydził się nim lud cały, chociaż dla nich były bardzo zbawienne (2).“

Jednakże potomstwa oczekiwanego nie było. Gdy umarł Bolesław Wstydliwy książę krakowski i sandomierski, ów znakomity poplecznik kościoła, dobrodziéj klasztorów, przyjaciel rycerstwa, 10 grudnia 1289 roku; a z woli Bożéj i wyboru baronów, rycerzy i ziemian, nastąpił po nim Leszek Czarny; książę ten i żona jego Gryfina odprawiali wjazd uroczysty do Krakowa (3). Wtedy synek Ziemomysła księcia kujawskiego, malutki

(1) *Eodem anno* (1274) *Dux Lestco accepit iterum Griphinam uxorem suam, quâ fuerat privatus.—Roczniki Thratki. Ann. Cracov. Maj.* i *Długosz* str. 805, ale pod rokiem 1275.

(2) *Dominus vero Lestco Dux Syradie cum uxore sua Griphina permandatum eiusdem predicatoris eodem anno cepit comedere serpentes, lacertas et ranas, propter quod fuit abhominabilis omni populo, licet fuerunt eis valde medicinales.*—Roczniki Thratki pod r. 1278.

(3) *Cui successit per electionem dux Lestco.* Roczniki Thratki pod r. 1279.— *Cui successit Lestco per electionem militarium.* Ann. Cracov. Maj. *Succedit autem Bolestao Pudico per electionem procerum terre Lestko niger.* Ann. Cracov. Min.— *Dux. Lestco.... per voluntatem Dei et electionem terrigenarum adeptus est Cracovie et Sandomirie ducatus.*—Roczniki Anonima krakowskiego w Mss. ottobonian-kim (u Sommersb. II, str. 95).

Leszek, siedząc na kolanach u Gryfiny, zaczął prorokować: „*Słuchaj stryjenko, oto wydasz na świat syna maleńkiego, któremu imię będzie Bolesław!*" i to samo często powtarzał. Zadawały mu pytania, siedzące na wozie panie, ale nic więcéj nie odpowiedział (1).

Z tak zgodnego obioru oczywiście wypada, że biskup krakowski nie musiał opierać się wyniesieniu Leszka i Gryfiny na księztwo krakowskie, z którego Bolesław Wstydliwy dopiéro co do grobu wstąpił; a wdowa jego, Kinga, pomimo próśb Leszka i rycerzy, przywdziała sukienkę Klarysek w klasztorze w Nowym Sączu, wraz z siostrą Jolantą, wdową po Bolesławie wielkopolskim.

Zdaje się także, że Paweł z Przemankowa nie miał żadnego udziału w napadzie Lwa księcia halickiego na ziemię sandomierską, w towarzystwie Tatarów i Litwinów, których rycerstwo krakowskie i sandomierskie w liczbie 600, pod dowództwem *Piotra* syna Wojciechowego wojewody krakowskiego, *Janusza* wojewody sandomierskiego i *Warsza* kasztelana krakowskiego, pod *Gośliami*, o dwie mile od Sandomierza, spotkali. W wigilią św. Macieja, (23 lutego) (2), rozpoczęła się bitwa i skończyła zupełném zwycięztwem nad Lwem, *nad którym Bóy wolą swoję uczynił*, (pisze kronikarz wołyński) (3). „*Bogu też, (domino celi), zwycięztwo przypisali zwycięzcy*", czytamy *w Rocznikach Thratki*. Mnóstwo bojarów i Tatarów ubito, wielu dostało się w niewolę, i Lew ze wstydem do siebie powrócił. W piętnaście dni późniéj, popędził się za nim Leszek w 3,000 koni i 2,000 piechoty, zamek

(1) *Ingrediente duce supradicto Lestcone Cracoviam cum uxore sua Griphina, filius ducis Zemovithi Cuiavie, puer parvulus nomine Lestco, sedens in sinu Griphine prophetizavit dicens: Audi patrua, ecce tu paries filium parvulum qui nominabitur Bolezlaus; et hoc frequenter iteravit; interrogantibus eum dominabus que sedebant in currum, sed ille nichil amplius respondit.* Roczniki Thratki pod r. 1279. Zdaje się, że tu *Zemovithi* zamiast *Zemomysli*, o którym wiemy, że miał syna Leszka.

(2) *In vigilia Mathie Apostoli.— Roczn. Thratki*, i *Ann. Crac. Maj.* co wypada na 23 lutego.—*Długosz* VII, p. 820, zamiast: *die vigesima tertia*, ma przez omyłkę *die veneris tertia februarii*; podobnież *Miechowita*; a *Kromer* już wprost: *tertia die februarii*. Za nim *Bielski* i *Naruszewicz*. *Röpell* prawdziwą datę z *Ann. Cracov. Maj.* przywrócił. T. I, str. 536.

(3) *Boh uczyni nad nim wolu swoju.* Kronika wołyńska. (*Polnoje Sobranie* T. II, str. 209).

Przeworsk wziął i spalił, i powrócił z łupami i chwałą (1). „A to stało się, dodaje rocznik Thratki, gdy siedział na stolicy rzymskiéj papież Mikołaj (IIIci), a na krakowskiéj biskup Paweł.“

Ale już skończyły się owe siedm lat proroctwa. Paweł z Przemankowa nie umarł, i znowu odzywają się na jego pamięć oskarżenia dziejowe! Cztéry wydarzenia następują jedne po drugich, w roku 1282 i na początku 1283, tojest: napad Jadźwingów na Lublin, bunt Sandomierzan, napad Litwinów na ziemię sandomierską, i uwięzienie biskupa krakowskiego. A lubo najdawniejsze roczniki (*Thratki*), które najwięcéj szczegółów o tych wypadkach podają, nie łączą ich w jednę całość; musiały jednak trzy piérwsze (jak chce Długosz), powodem być ostatniego, tojest uwięzienia biskupa (2).

Ślad tego niejaki znajdujemy w *Kronice wołyńskiéj*. W niéj opisane są dokładnie ścisłe stosunki Konrada księcia mazowieckiego na Czersku, z książętami na Haliczu, na Włodzimierzu, i innymi Rusinami; a tych, z pogaństwem Tatarów ujarzmicieli Rusi, których wodzowie *Konczak*, *Koziéj* i *Kubatan* z hufcami swoimi, towarzyszyli im na wyprawę do Polski (3); także z Jadźwingami, których książęta *Mintela*, *Szurpa*, *Mudiejko* i *Pestiło*, przed dziesięciu laty zwyciężeni, przyjeżdżali do nich, i mir z nimi zawarli (4); nakoniec z Litwinami pod *Trojdenem*, z którym bili się Rusini, i na nowo zaczynali żyć w wielkiéj przyjaźni (5).

Konrad ten, książę czerski, sprzymierzeniec Rusinów, prowadził wojnę domową z rodzonym bratem swoim Bolesławem księciem na płocku, sprzymierzeńcem Leszka Czarnego, i ciągle wzywał przeciw niemu pomocy książąt ruskich. Ci, to sami, to przez wojewodów swoich, to przez Litwę pomoc Konradowi dawali (6). A że Konrada po dwakroć Paweł biskup krakowski na

(1) *Kronika wołyńska* loco citato. *Roczniki Thratki* i *Ann. Cracov. Maj.* mają: *XXX millia equitum et duo millio peditum*; oczywiście XXX zamiast III przez pomyłkę. Długosz i wszyscy za nim aż do Naruszewicza i Röpella pomyłkę tę powtórzyli. *Bielski* tylko przemienił XXX na XV. Wszak sam Długosz wyliczając 6,000 wojska Leszkowego, konnicy i piechoty, w bitwie z Jadźwingami w tymże roku stoczonéj, dodaje, że to były nie małoznaczące siły, „*haud copias contemnendas*“ VII, p. 820.

(2) *Długosz* VII, str. 821 (3) *Kronika wołyńska* II, str. 208.

(4) *Kronika wołyńska* II, p 205. (5) *Kronika wołyń.* T. II, p. 206.

(6) *Kronika wołyń.* T. II, str. 210. *Lew* ks. halicki zażalony na ks. Bolesława mazowieckiego, posyła do stryjecznego brata swego *Włodzimierza* ks. włodzimierskiego z prośbą: „*Bracie, sprowadź Litwę na Bolesława.*“ A Włodzimierz posłał *Dunaja* (wojewodę swego) Litwę podburzać.

księztwo krakowskie prowadził, nie dziw, że i ze sprzymierzeńcami jego, nawet z poganami, miał stosunki.

Tak więc Jadźwingowie napadli na ziemię lubelską i z ogromnym łupem wracali do siebie, gdy Leszek Czarny przez archanioła Michała we śnie ostrzeżony, puścił się za nimi w pogoń, za Narwią dogonił, zwyciężył i zdobycz całą odebrał. Dziwnym trafem żaden z ludzi jego życia nie stracił; a pomoc wielką mieli z psów lubelskich przez pogan zabranych, które podczas bitwy rzuciły się na wrogów, srodze kalecząc zębami (1). Pamiątką tego zwycięztwa była fara w Lublinie, którą Leszek na cześć św. Michała zbudował. Podanie miejscowe głosi, że na tém miejscu był podówczas las wielki, w którym Leszek za Jadźwingami idąc, obóz swój rozłożył, a sam pod cieniem wielkiego dębu zasnął. We śnie ukazał mu się archanioł Michał, i miecz swój odpasawszy, przy boku jego złożył, obiecując zwycięztwo. Po bitwie, zwycięzca użył brańców do budowy wspaniałéj świątyni pod wezwaniem św. Michała, na tém samém miejscu, w którém mu się archanioł ukazał. Świątynia ta przed kilką laty dla starości rozebrana, dziś już tylko w rysunku pozostała (2).

Jednocześnie może *Janusz* wojewoda sandomierski, wraz z rycerstwem, wypowiedzieli posłuszeństwo Leszkowi, i główne zamki ziemi swojéj, Sandomiérz i Radom, Konradowi mazowieckiemu poddali. Ale Leszek z pozostałem wojskiem oba zamki odzyskał, i Konrada z ziemi sandomierskiéj wypędził (3). Zbuntowanym rycerzom przebaczył, a ten sam *Janusz* wojewoda sandomiérski, zdradę ówczesną, świetnym udziałem w pogromie Litwinów, odkupił.

Wszystkie klęski bowiem w tym nieszczęsnym roku na kraj nadwiślański spadły. W ziemi krakowskiéj głód był okropny,

(1) *Roczniki Thratki. Ann. Cracov. Maj. Ann. Cracov. Min. Dlugosz* T. VII, str. 825.

(2) W posiadaniu p. Kazimierza Stronczyńskiego, którego zbiór bogaty, wszystkie ważniejsze pomniki krajowe obejmuje.

(3) *Anno eodem* (1282) *Janussius Palatinus et milites Sandomirienses opposuerunt se predicto duci Lestkoni et castrum Sandomiriense et castrum de Radom tradiderunt duci Conrado princ. Mazovie; sed prefatus dux L. expulit Conradum de terra et predicta castra, et totam terram in pace possedit.* Roczniki Thratki.—W żadnych innych wydanych rocznikach téj wiadomości nie masz; służy zatém za świadectwo powadze historycznéj *Dlugosza*, który nieco obszerniéj wypadek ten opisuje. T. VII, p. 827. Zamku radomskiego jednak nie wymienia. *Kronika wołyńska* T. II, str. 207, o napadzie Jadźwingów na Lublin wspomina, ale o 4 lata wcześniéj.

bo miarka mąki pszennéj przedawała się XIII skojców srébrnych (1). Tysiącami wychodzili mieszkańcy, jedni na Ruś, drudzy do Węgier; ale jednych i drugich los żałosny spotkał: tamtych Tatarom, tych Kumanom zaprzedano w niewolę (2).

W Krakowie zgromadzona była w dzień św. Franciszka (4 paździer.) kapituła zakonu Kaznodziejskiego, pod ich najwyższym mistrzem. Książę Leszek i prawie całe rycerstwo zjechali się na ten akt solenny, gdy Litwini do ziemi sandomierskiéj wpadli, i bez oporu żadnego postępując, zabijali księży i rycerzy, a żony ich z dziećmi, oraz mieszczan i włościan z żonami i dziećmi, jak trzodę zaganiali w niewolę wieczną. Rycerze, którzy się w zamku sandomierskim zamknęli, wysłali rączego gońca do Krakowa do księcia z oznajmieniem tak okropnéj klęski. Okrzyk rozpaczy rozległ się po Krakowie. Leszek i rycerze krakowscy i sandomierscy uzbroili się w siłę Najwyższego „dzielniejszą (słowa *Roczników Thratki*) od sił ciała i od hartu zbroi". Spowiadają się z grzechów swoich, przyjmują Ciało Pańskie, i jedni drugich zachęcając, puszczają się w pogoń za nieprzyjacielem. Litwini zatarasowali się w lasach, w miejscu zwaném *Równe* (3), a chrześcianie lękali się ich zaczepiać. „Jednakże, za natchnieniem Chrystusa Pana idąc" dodaje rocznikarz „ucieczkę udając, oddalili się nieco od zasieku pogan; co widząc nieprzyjaciele Chrystusa wyszli wszyscy z zasieku w którym zamknięci byli, zostawując w lesie braúców związanych jak owce na zarznięcie; i uszykowali się w boju naprzeciw Leszka i rycerzy jego. Niektórzy z tych przelękli się na widok własnego wojska; ale książę w pomoc boską ufny, tak do towarzyszów swoich przemówił: *Lepiéj nam zginąć w imię Chrystusa Pana i za więźniów naszych, aniżeli widzieć nieszczęście narodu!*" Po tych słowach wojska na dwa skrzydła obrócił: jedno *Żegocie*, podówczas wojewodzie krakowskiemu, drugie *Januszowi* wojewodzie sandomierskiemu powierzył. Oba skrzydła z boską pomocą otoczyły pogan i zwyciężyły. Trupów na placu bitwy porachowano nazajutrz 1,000, oprócz tych, któ-

(1) *Scotus* czyli *skojec* jest dwudziestą czwartą częścią grzywny, czyli dwoma groszami. *Czacki*: O prawach litewskich T. I, str. 159.

(2) *Brevis Chron. Cracov.* pod r. 1289 (u Sommersb. str. 83). *Roczniki Thratki* i *Ann. Cracov. Maj.* pod r. 1282. *Długosz* T. VII, str. 827. *Kronika wołyńska* T. II, str. 207, ale trzema laty wcześniéj.

(3) Wedle Długosza, w ziemi *łukowskiéj*.

rych po lasach i bagnach zabito; więźniów oswobodzono około 6,000 (1).

Biskup krakowski spokojnie oczekiwał wieści o téj wyprawie. Jakikolwiek był udział jego w buncie sandomierskim, żadnéj odpowiedzialności dotąd na niego nie ściągnął, bo 4 październ. 1282 roku w ten sam dzień św. Franciszka, kiedy Dominikanie kapitułę obchodzili w Krakowie, a Litwini pod Sandomierz wpadli, Paweł z Przemankowa nabywał dożywociem wieś *Wolę Pomianową* od zakonnic Benedyktynek staniątkowskich, za dziesięciny z dwóch wsi kościelnych: *Kargowa* i *Wielkiego Zakrzewa*, na ten sam przeciąg czasu oddane; jak świadczy dyplomat oryginalny, datowany w *Wawrzeńczycach*, a zachowany w Staniątkach (2).

Wtém Leszek za powrotem z wyprawy na Litwinów, zjazd (*parlamentum*) baronów i rycerstwa sandomierskiego zwołuje; na który biskupa krakowskiego, osobném wezwaniem zaprasza. Przybywa nań Paweł z Przemankowa, i bez obawy przed obliczem księcia staje. Ten z udaną uprzejmością przemawia do niego, i przypuszcza go do pocałunku pokoju. Ale wkrótce w poblizkim Łagowie, dworze biskupów kujawskich, w którym biskup krakowski przebywał, chwytają go nasadzeni rycerze sieradzcy, i skrępowawszy silnie wszystkie członki, na prostym wozie do zamku sieradzkiego przywożą (3).

Lubo kanonicy krakowscy ze scholastykiem na czele, spory z biskupem swoim wiedli, a stolica metropolitalna gnieźnieńska osieroconą była przez śmierć arcybiskupa Marcina (kronikarza)

(1) *Roczniki Thratki* bardzo obszernie pod r. 1282; podobnież *Brev. Chron. Crucov.* u *Sommersb.* T. II, p. 83; ale w Mss. *ottoboniańskim* i *willanowskim*, oraz w *Ann. Cracov. Min.* pod r. 1283, za czém i *Długosz* poszedł, T. VII, str. 828. Jeżeli ta bitwa pod *Równem* poprzedziła uwięzienie Pawła z Przemankowa, to musiała mieć miejsce w październ. 1282 roku, bo pod koniec tego roku lub na początku następnego, już Paweł był uwięziony, jak świadczy bulla Marcina IV papieża z 10 kwietnia 1283 r. Już Röpell z właściwą sobie akuratnością chronologiczną tę datę sprostował, ale sam przez pomyłkę datę bulli 27 lipca naznacza.

(2) Kopią tego dyplomatu Pawła biskupa krakowskiego, datowanego *in Laurincich anno domini MCCLXXX secundo. Quarto Nonas Octobris* miałem sobie uprzejmie udzieloną przez uczonego W. A. Maciejowskiego.

(3) *Episcopus Cracoviensis dominus Paulus a duce Lestcone predicto in Lagow captivatur, ligatis omnibus artubus, Syradiensibus militibus, in castrum Syradz transmittitur custodiendum.* Roczniki Thratki pod r. 1283.—Wiadomości téj nie znalazłem w żadnych innych dawniejszych

r. 1279, ustąpienie elekta Włościbora (r. 1281), i wahanie się nominata Henryka z Brenu (syna Eudoxyi księżniczki mazowieckiéj); skargi jednak na uwięzienie biskupa prędko do stolicy apostolskiéj doszły (1). Już 10 kwietnia 1283 roku wywołały bullę papiezką w surowych i groźnych wyrazach, polecającą biskupom wrocławskiemu (Tomaszowi), i poznańskiemu (Janowi Łodzi), rzucić klątwę na Leszka, gdyby biskupa krakowskiego nie uwolnił, i za wyrządzoną mu krzywdę zadość uczynić nie chciał (2).

Bulla ta, w któréj znajdujemy wiele szczegółów ciekawych, gdyż odbija się w nich dokładny obraz wieku, tak brzmi w przekładzie polskim:

„Marcin IV papież, do wielebnych braci biskupów: wrocławskiego i poznańskiego.

O ciężkiém i straszliwém nadużyciu, którego mąż szlachetny Leszek (*Lescho*) książę krakowski, sandomierski i sieradzki, dopuścił się (jak powiadają) w obmierzłéj zuchwałości swojéj, na osobie wielebnego brata naszego, Pawła biskupa krakowskiego, usłyszeliśmy niedawno; i tém większego doznaliśmy ztąd niepokoju, im boleśniejsze nam są wyrządzone spółbiskupom naszym krzywdy i zniewagi. Słyszeliśmy bowiem, że książę ten, nagan-

źródłach. Bulla *Marcina* IV papieża w *Rajnaldzie* T. XIV, r. 1283 nr. 59. *Długosz* T. VII, p. 831 w kilku słowach tylko powiada, że biskup był ludzko i uczciwie trzymany, co już *Naruszewicz* T. V, p. 177 zbija bullą Marcina IV papieża; ale sam myli się odnosząc to uwięzienie do r. 1282, przed buntem sandomierskim, i zwycięztwem nad Litwinami pod *Równem*; a dyplomat staniątkowski dowodzi, że Paweł wolny był jeszcze 4 październ. 1282 r.

(1) Ob. bullę *Mikołaja* III papieża z d. 23 grudnia 1279 r. o śmierci arcybiskupa *Marcina* i obiorze kanonika *Włościbora*, w *Rajnaldzie* i *Bull. Ord. Praedic.* T. I, str. 568. Bullę *Marcina* IV z d. 23 grudnia 1281 o zrzeczeniu się *Włościbora*, i mianowaniu *Henryka* z *Brenu* arcybiskupem w *Bull. Franciscan* T. III, p. 478; a bullę tegoż Marcina IV z d. 30 lipca 1283 r. o nieprzyjęciu téj godności przez *Henryka*, i nominowaniu *Jakóba Swinki*, w *Bull. Franciscan.* T. III, p. 509. Zkąd pokazuje się błąd Niesieckiego, który *Henryka z Brenu* za arcybiskupa liczy i każe mu umierać w r. 1283 przed elekcyą *Jakóba*; kiedy d. 10 lipca 1284 r. jeszcze wymieniony jest jako świadek w apellacyi Henryka ks. wrocławskiego do Rzymu przeciw Tomaszowi biskupowi wrocławskiemu. (*Stenzel*: Urk. z. B. Breslau) str. 112.

(2) Już *Rajnald* w Rocznikach kościelnych przytaczając bullę Marcina IV, zbił twierdzenie Długosza, jakoby interdyktu nie ogłoszono dla oszczędzenia stolicy metropolitalnéj gnieźnieńskiéj; co Röpell dokładniéj jeszcze objaśnił. T. I, str. 539.

nym obyczajem przykładając się do przewrotnych złośliwości czynów; dla łatwiejszego wykonania ukartowanéj naprzód niegodziwości, i rozlania jadu bezbożnego, jaki w kryjówkach nienawistnego serca, przeciw temu biskupowi chował; nakazał zjazd (*parlamentum*) na dzień oznaczony, i rzeczonego biskupa osobném wezwaniem zaprosił. A gdy ten z ufnością w obliczu księcia stanął, po udanéj łaskawości przywitaniu, które zdawało się bezpieczeństwo zwiastować, przypuszczono go do pocałunku pokoju, pod pokrywą zmyślonéj życzliwości. Tak więc poszedł przeklętym torem tego, który Zbawiciela rodzaju ludzkiego zdradliwym pocałunkiem wydał! A po takiém przyjęciu biskupa, niegodziwie łamiąc zapory ukrytéj zdrady, i na oścież otwierając złośliwości bramę, gwałtowną ręką targnął się na biskupa, na bok odkładając bojaźń Boga, i uszanowanie sługom bożym winne, świętokradzkim czynem kazał go schwytać i na wóz drewniany zelżywie posadzić. A na domiar ciężkiéj krzywdy, bezbożnemi rękami nogi mocno skrępowawszy, do jakiegoś zamku swojego Sieradz, (*Syrac*) w języku pospolitym zwanego, w téjże saméj sromotnéj zelżywości odwieźć go kazał. Tam zamknął go do ciemnicy, w któréj, powiadają, że go dotychczas w kajdany okutego trzyma. Nie dość było dla złości pomienionego księcia, tak zdradziecko biskupa schwytać, tak obelżywie z nim się obejść; jeśliby członków do chodzenia przeznaczonych, nie skrępował ciasnemi pętami! Nie bez przyczyny dziwić się nam przychodzi, iż książę ten (jeżeli czyny jego zgadzają się z tém, co o nich donoszą), porywczéj woli tak dalece cugle popuścił, i niegodziwym zamysłom tak zupełnie się oddał, aby wpaść w tak śmiałą zuchwałość (że nie powiemy szaleństwo), popełniając czyny tak występne, tak potworne! Wszak powiadają, że książę ten, niegodziwości całkiem oddany, nie przestając na wykonanych już nagannych czynach, ale dodając złość do złości, gromadząc przestępstwa jedne na drugie, zuchwale zabrać kazał zamki, księgi, ornaty biskupie, konie, tudzież wszystkie prowenta i dochody tak stolicy biskupiéj krakowskiéj, jak duchownych (*clericorum*) i innych domowników (*familiarium*) biskupa, na obrazę Majestatu Bozkiego, zniewagę i wzgardę stolicy apostolskiéj, na ciężkie zgorszenie okolicznego kraju, i niemałą krzywdę swobód kościelnych. Ponieważ przestępstwa tak niezmiernego, tak szkodliwego przykładu, i tak obmierzłego w obliczu Najwyższego Pana, nie mo-

żemy i nie powinniśmy milczeniem pokrywać; dla ukarania go jak słusznie, aby bezkarność gorszego złego nie zrodziła, postanowiliśmy użyć władzy apostolskiego urzędu. Dlatego braterstwu waszemu listem apostolskim zalecamy, jeżeli takowe porwanie się rękoma na biskupa i trzymanie go w więzieniu, rzeczywistém się okaże: abyście rzeczonego księcia i wszystkich takich, którzyby okazali się spólnikami jego, albo sami, albo przez drugich; lub też którykolwiek z was, sam albo przez drugich, publicznie wyklęli, i rozkazali wszystkim unikać ich najstaranniéj, dopóki rzeczonego biskupa nie uwolnią, i nie uczynią mu zupełnie zadość; zasługując takim sposobem na dobrodziejstwo rozgrzeszenia od stolicy apostolskiéj. Poprzednio więc upomnieniem, potém klątwą na osobę księcia rzuconą (od któréj apellacyi niniejszém wzbraniamy), zmuszać go będziecie do restytucyi zupełnéj wszystkich rzeczy zabranych przez niego lub na jego korzyść, i do zadośćuczynienia za wszystkie szkody, stolicy biskupiéj krakowskiéj, duchownym i domownikom zrządzone. Jeżeliby zaś pomieniony książę po takiém ogłoszeniu waszém, w klątwie téj dni piętnaście z zatwardziałym umysłem przetrwał: wtedy ziemie jego macie pod interdykt duchowny podciągnąć, obciążając ręce wasze przeciw niemu, jak sprawiedliwość poradzi, i jak zuchwałość nieposłuszeństwa wymagać będzie; wezwawszy przeciw księciu i stronnikom jego, jeżeliby tego potrzeba była, pomocy świeckiego ramienia. Dan w *Civita Vecchia* IV Idów Aprilis, roku III.“

Nie musiał odrazu przystać Leszek na uwolnienie nienawistnego biskupa, tém bardziéj na wymagane przez niego wynagrodzenie, bo i klątwa, a następnie i interdykt rzucony był na kraj cały. Świadczą o tém dwie bulle Honoryusza IVgo papieża (27 lipca 1285 roku i 18 lipca 1286 roku), na imię biskupa krakowskiego i ojca prowincyała księży Dominikanów polskich, w których na prośbę księżnéj krakowskiéj (Gryfiny), poleca dać rozgrzeszenie kapelanom, którzy pomimo interdyktu, poważyli się służbę Bożą odprawiać; jeżeli ich nie więcéj było jak siedmiu, i do zamachu na biskupa nie należeli (1).

We dwa lata prawie po uwięzieniu swojém, musiał dopiéro wolność odzyskać Paweł z Przemankowa; gdyż w grudniu

(1) Kopie autentyczne tych bulli były w posiadaniu hrabiego Edwarda Raczyńskiego, który je Röpellowi do użycia użyczył. *Röpell* T. I, p. 539. *Rajnald* w Rocznikach kościelnych pod r. 1285. (T. XIV, p. 379) pisze:

1284 roku, stanęła pomiędzy nim a Leszkiem następująca ugoda, któréj list oryginalny pod datą 8 grudnia, i z zawieszoną przy nim pieczęcią biskupa krakowskiego, przechowuje się w archiwum zasławskiém książąt Sanguszków, a który tu w przekładzie polskim dajemy (1):

„W imię Boże, amen. Luboć odwiecznego Ojca Syn, z wysokości nieba na ten świat zstępując dla odkupienia i zbawienia rodzaju ludzkiego, wiele nauk postanowił zbawiennych; jednak mając już wracać na łono Ojca, zkąd był przybył, uczniom swoim, przez których nauczać chciał świat cały, zalecił pokój, który jest węzłem miłości, zachowywać stale i dotrzymywać. W pokoju bowiem spoczynek ciała, spokojność duszy i pożądana dostatków obfitość, urzeczywistniają się stosownie do nauki. A chociaż pokój ów z łaski Bożego postanowienia dla wszystkich, i każdego z usiłujących go zachować, pomnażać się winien; przystoi jednakże, aby z większą rzetelnością wkorzeniony był pomiędzy temi, którzy do przewodniczenia téjże nauce, z Bożéj łaski są przeznaczeni. Dlatego my, Paweł, z Bożego miłosierdzia biskup krakowski, do wiadomości wszystkich podajemy, którzy tę kartę oglądać będą, iż znamienity książę i pan, Leszek z Bożéj łaski książę krakowski, sandomierski i sieradzki, do nienaruszalnych przymierzów pokoju i zgody, z gorącém upragnieniem przystępując, po uśpieniu wszelkich niesnasków, pokój z nami zawarł, i zgodę postanowił wieczną, takim sposobem: że za nasze więzienie i przytrzymanie, oraz inne wszystkie krzywdy i obelgi w naszéj osobie, dostojności kapłaństwa i kościoła naszego, przez niego jakimbądź sposobem wyrządzone, zadość czyniąc, zaręczył nam i obiecał w dobréj wierze wypłacić sześć tysięcy grzywien srébra, przez lat sześć z rzędu, od niniejszego czasu, w zupełności i całkowicie. Tak, iż w trzech tysiącach grzywien zastawił nam Nowe Miasto swoje, które dawniéj nazywało się *Korczyn* (*Chorcyn*), ze wszystkiemi tegoż miasta prawami, opłatami, sądami, rzeczami osądzonemi (*judicato*), pożytkami (*questibus*), używalnościami (*usu-*

Flagitata etiam criminis venia fidelium communioni est restitutus Lesko Niger Cracoviensis Dux, qui ob conjectum in vincula Paulum illius urbis Episcopum, quem excivisse in Polonorum perniciem barbaros accusavit, anathemate devinctus fuerat; atque ejus capellani qui ob divina coram Duce antea celebrata Pontificum legibus sacris erant interdicti, Honorii jussu sunt absoluti. (Lib. I, Epistol. 109).

(1) Text łaciński w dodatku do tego opowiadania umieszczony będzie.

fructibus), i attynencyami wszystkiemi należącemi do władzy książęcéj (*ad ducatum*); wprowadzając nas do tego miasta, aż do czasu, w którym całkowita summa trzech tysięcy grzywien srébra, w zupełności wypłaconą nam nie będzie. To tylko dla księcia pana warując, iż jeśli w ciągu już zaczętego roku, nam tysiąc grzywien zapłaci, wtedy wolno mu będzie dać inny zastaw, równio dobry, za dwa tysiące grzywien, a przerzeczone miasto w jego władanie powróci. Wszystkie zaś pożytki, opłaty i używalności z owego miasta, przez czas kiedy je posiadać będziemy, policzone będą na kapitał i wypłatę powyższéj summy. Przydał nam także wieś swoję nad Dzierząźną (*in Deruzna*), która nazywa się *Konary* (*Chonarij*), całkowicie, ze wszystkiemi jéj mieszkańcami należącemi do księztwa; tak, aby nam, jako samemu księciu panu, przez te same trzy lata we wszystkiém prawnie obowiązani byli (*obnoxii teneantur*). Na drugie zaś trzy tysiące grzywien, dał nam i naznaczył tych rękojemców (*fideiussores*), baronów swoich, tojest: *Janusza* kasztelana krakowskiego, *Ottona* (*Otham*) wojewodę, i *Marka* kasztelana sandomierskich, *Sulka* kasztelana wiślickiego, *Jana* kasztelana lubelskiego, *Piotrka* kasztelana radomskiego, i *Świętosława* kasztelana wojnickiego. Którychto wraz ze wszystkiemi, i każdego z osobna dobrami ruchomemi i nieruchomemi, na tak długo naznaczył nam na rękojmię (*obligans fideiussoria cautione*), całéj summy wypłacić się mającéj, dopóki cała ta summa trzech tysięcy grzywien srébra, całkowicie nam zapłaconą nie będzie. Ci zaś wszyscy rękojemcy, zobowiązawszy się publiczną, dobrowolną umową, jednomyślnie nam się poddali. Przerzeczony książę pan obiecał także dla Boga, i dla odpuszczenia grzechów swoich, a zwłaszcza w dodatek powyższego zadośćuczynienia, iż jeśliby poganie (*gentiles et pagani*) napadać chcieli na dyecezyą krakowską, on z rzeczonemi baronami, wedle możności swojéj, opierać się im będzie. To wszystko w ogóle i poszczególnie czyniąc, za powszechną zgodą (*de communi consensu*), i przyzwoleniem wszystkich baronów swoich, obiecał nam w dobréj wierze potwierdzić, i nienaruszoném dotrzymać, niczém przeciwko temu nie działać i nie iść ani prawem, ani fortelem (*ingenio*), ani czynem. Obiecał także nas i kościół nasz winnym afektem miłować, czcić i wszelką uczciwość wyrządzać, z synowskiém, jako dla biskupa, poważaniem. Dlatego my, widząc go ze szczerą uległością, i uległym umysłem przystępują-

cego do słusznego (*meritam*) pokoju i zgody; wszelką nienawiść (*rancorem*) z serca naszego składając; zadośćuczynienie jego pochwalając, najuprzejmiéj (*gratantissime*) przyjmujemy, i obiecujemy zresztą jego téż nawzajem miłować, i we wszystkiém mu sprzyjać, a do panowania jego i chwały, we wszystkiém się przyczyniać. Na dowód tego wszystkiego, i na słuszne i oczywiste świadectwo, kazaliśmy list niniejszy napisać i pieczęcią naszą obwarować. Działo się w Krakowie, roku Pańskiego 1284, indykta XIIgo, szóstego idow decembrowych (8 grudnia), w przytomności przerzeczonych baronów, a także tych zacnych i przezornych (*discretis*) mężów, panów: *Wojciecha* dziekana, *Wacława* proboszcza, *Prokopa* scholastyka, *Pawła* kantora, *Michała* kustosza, *Jakóba* archidyakona sandomierskiego, i innych wielu kanoników krakowskich i rycerzy".

Fakta nowe, które nam dyplomat powyższy odkrywa, są: *naprzód*, ogromna ilość *nawiązki* za więzienie, 6,000 grzywien srébra, którą sobie biskup Paweł wymówił. *Powtóre*, zastawa *Nowego-miasta Korczyna* w połowie téj summy, o któréj nie mamy wiadomości czyli przyszła do skutku. *Potrzecie*, zastawa wsi *Konary* nad Dzierżązną. *Poczwarte*, nazwiska rękojemców za pozostałą summę 3,000 grzywien, których obiera sobie biskup z najpiérwszych rycerzy krakowskich i sandomierskich. Są nimi:

1. *Janusz* kasztelan krakowski, o którym tu piérwsza wiadomość; gdyż w 1280 roku, w bitwie pod *Goślicami*, jeszcze *Warsz* kasztelanem krakowskim; a od roku 1286, we wszystkich dyplomatach już *Sulko z Miedźwiedzia* wzmiankowany (1).

2. *Otton* wojewoda sandomierski, także nieznany Niesieckiemu, o którym, jako należącym do buntu połączonego rycerstwa krakowskiego i sandomierskiego, dowiadujemy się z dyplomatu węgierskiego u *Fejera* (2). Po nim nastąpić musiał *Boxa*, którego w dyplomatach od 1286 r. znajdujemy (3).

(1) *Przywiléj lokacyjny sandomierski* z r. 1286 (*Metryka koronna* 93, p. 318). *Przywilej Leszka* z r. 1286, o którym niżéj w texcie. *Przywileje Leszka* tynieckie z r. 1286 i 1288 (*Szczygielski*: *Tinecia*, p. 158 i 161). *Przywileje Leszka* miechowskie, z r. 1287 i 1288 (*Nakielski*: *Miechovia*, p. 209—211). Spis kasztelanów i wojewodów, oraz biskupów niektórych, poprawiony wedle źródeł naszych, podajemy w IIgim dodatku do tego opowiadania. (2) *Fejer* Cod. V 3, p. 384; u *Röpella* I, p. 541.

(3) *Przywileje Leszka lokacyjne sandomierskie*, *tynieckie*, *miechowskie* i t. d.

3. *Marek* kasztelan sandomierski, o którym dotąd żadnéj wzmianki nie było; musiał nastąpić po *Krystynie*, o którym Długosz tyle razy wspomina. Po buncie z 1285 roku, w dyplomatach już Mikołaj na jego miejsce występuje (1).

4. *Sulko* kasztelan wiślicki; może ten sam Sulko z Miedźwiedzia, którego we dwa lata późniéj kasztelanem krakowskim widzimy, gdyż na jego miejscu w Wiślicy, mamy już *Swiętosława* (2).

5. *Jan* kasztelan lubelski, którego znajdujemy znowu rokiem późniéj (6 kwietn. 1285 r.) świadkiem w dyplomacie Leszka Czarnego biskupowi kujawskiemu, *Comite Johanne Abramovize Castellano de Lublyn*, a na jego miejscu w 1286 r. znajdujemy już *Floryana* (3).

6. *Piotrko*, kasztelan radomski, po raz piérwszy tu wzmiankowany.

7. *Swiętosław* kasztelan wojnicki, zapewnie ten sam, którego już w 1286 r. znajdujemy kasztelanem wiślickim, na miejscu *Sulka*, a włości którego Leszek Czarny, za wierność w buncie w 1285 r. doświadczoną, różne swobody nadał (4). Wtedy na jego miejscu znajdujemy kasztelanem wojnickim *Andrzeja* (5).

Po piąte, dyplomat Pawła świadczy o obowiązku przyjętym przez Leszka, wojowania przeciw poganom, a z którego w tym roku jeszcze się wywiązał.

Ledwie bowiem uwolnili go z polecenia papiezkiego od klątwy, biskupi krakowski i płocki, dla obrony wiary chrześciańskiéj i ziemi jego od pogan (6), a już chorągiew krzyża świętego przeciw Tatarom przyjął z rąk *Jakóba Swinki*, w przeszłym roku obranego arcybiskupem gnieźnieńskim, i potwierdzonego na to dostojeństwo przez Marcina IV papieża (7). Tatarowie bowiem

(1) Przywileje cytowane w poprzedzającym przypisku.

(2) *Przywiléj tyniecki* z r. 1286 (*Tinecia*, p. 158).

(3) *Dyplomataryusz Rzysz.* i *Muczk.* T. II, str. 109. *Dyplomat Leszka* z r. 1286 niżéj w texcie przytoczony.

(4) *Przywiléj Leszka* z r. 1287 (w *Metryce koronnéj* 36 str. 002).

(5) Tenże sam dyplomat, i *Przywil. Leszka* z r. 1287 (*Miechovia* p. 41).

(6) Bulla *Honoryusza* IV (z d. 27 lipca 1285 r.), u *Ropella* I, p. 539.

(7) *Ad hec idem princeps terras et bona cruce signatorum, incliti videlicet principis domini. Lesthconis d. gr. ducis Cracovie et militum suorum sub vexillo sancte crucis, per nos sibi autoritate apostolica tradite, contra Tartarorum acies militancium, invasit. vastavit hostiliter et combussit.* List *Jakóba Swinki* (u *Stenzla*: *Urk. z B. Breslau*, str. 167).

pod Nogajem i Telebugą ze służebniczym orszakiem książąt ruskich, przez San i Wisłę, ponad Sandomierzem, po lodach przeszli, ale pokłóciwszy się między sobą, do Krakowa nie doszli, i po dziesięciu dniach pustoszenia na Ruś powrócili (1).

Gdy tak Leszek Czarny pod znakiem krzyża świętego z Tatarami walczył, biskup krakowski Paweł, wraz z innemi biskupami polskimi i arcybiskupem gnieźnieńskim, w święto Trzech Króli 1285 r. odbywali synod prowincyonalny w Łęczycy. Szło tu głównie o załatwienie wieloletnich sporów pomiędzy Tomaszem biskupem wrocławskim, a księciem wrocławskim Henrykiem, który niedość że dziesięciny biskupowi odmawiał, a podatków z dóbr biskupich żądał; ale nawet włości jego pustoszył i zamki zabierał, mszcząc się za rzuconą na niego przez biskupa klątwę (2).

Zjechali się na święto Trzech Króli do Łęczycy: *Jakób Swinka* arcybiskup gnieźnieński, *Paweł z Przemankowa* biskup krakowski, *Jan* poznański, *Tomasz* płocki, *Wisław* kujawski i *Tomasz* wrocławski, i tam rozpoznawszy sprawę Henryka, klątwę na niego rzuconą potwierdzili, uwiadamiając o tém papieża Marcina IV listem z 15 stycznia tegoż roku; a we dwa dni później w liście do kardynałów rzymskich, opisali stan opłakany ziem polskich.

„Gdy kraj polski kościołowi rzymskiemu szczególnie jest podległy, i na znak téj podległości, z głowy każdego mieszkańca opłatę składa, *groszem św. Piotra* zwaną; słusznie zatém, jako właściwi synowie tego kościoła, pod opiekę Świątobliwości Waszéj, w braku opieki, z ufnością postanowiliśmy uciekać. Żądaniem naszém jest, aby Wielebności Waszéj wiadomém było, iż naród polski, od czasu nawrócenia swojego, pod opieką i władzą kościoła świętego, ciągłego używając pokoju, przywileje tegoż kościoła i nasze, wiernie i pobożnie szanował. Teraz zaś za wciskaniem się narodu niemieckiego, który już wiele miejsc w Polsce zajął, nietylko Świątobliwości Waszéj, ale i nam dzieje

(1) *Kronika wołyńska*, ale pod r. 1283, T. II, str. 212.

(2) *Dominus Jacobus dictus Swinka Archiepiscopus Gneznensis cum suis suffraganeis in epiphania domini synodum in Lancicia celebravit, in quo synodo ducem Wratislaviensem Henricum IIII. pro violentia quam intulerat Episcopo suo et Canonicis Wratislariensibus, publice excommunicavit.* Roczniki Thratki p. r. 1285. *Długosz* VII, p. 836. *Stenzel Urk. z. B. Breslau: Wstęp* passim i str. 136 i następne.

się krzywda wielka w przywilejach naszych. Kościół rzymski na tém szkoduje, że kraje polskie zajmują książęta niemieccy, którzy są pod cesarstwem; a więc i zajęte przez nich kraje, pod cesarstwo przechodzą, a kościół rzymski pozbawiony jest państwa swojego. Rycerze zaś (milites) i osadnicy (coloni) niemieccy, wciskają się do Polski, wsie i inne miejsca dawniéj przez Polaków posiadane zajmują, i czynszu z nich opłacanego przez Polaków, z każdéj głowy, t. j. *grosza św. Piotra* nie chcą płacić. Tak więc kościół rzymski pozbawiony jest służącego mu prawa, i na zawsze pozbawiony będzie, jeżeli przezorność Wasza skutecznie złemu zaradzić nie potrafi. Nam zaś odejmuje napływ Niemców swobody duchowne i przywileje, pobożnie dawniéj przez Polaków szanowane, a których teraz zaprzeczają nam zupełnie. Najlepiéj daje się to widzieć na dziesięcinach; jedni wcale ich nie płacą, a drudzy nie podług zwyczaju ziemi (*non jure terre consueto*), lecz wedle dawniejszego zwyczaju swojego narodu. Inne jeszcze klęski namnożyły się ze wciśnieniem się tego narodu do téj ziemi: gdy naród polski przez nich uciemiężony, wzgardzony, wojną trapiony, przywilejów i zwyczajów chwalebnych ojczystych pozbawiony, wśród milczenia północy, z własnego majątku ograbiony; a co gorsza, gdy swobody kościoła przez nich gwałcone, a klątwami kościelnemi gardzą" (1)! List kończył się skargami na Franciszkanów niemieckich we Wrocławiu, niezważających na klątwę i na interdykt, na księcia wrocławskiego rzucone; i prośbą, aby prowincya Franciszkanów *polską* jak dawniéj, a nie *saską* mianowaną była, i prowincyałowi polskiemu podlegała.

Książę wrocławski nie zważając na klątwę, opanował zamki biskupie, *Otmuchow* i *Edelstein*, potém nie szczędząc dóbr arcybiskupa gnieźnieńskiego, i niektóre kościoły w nich na warownie obracając, dziesięcinę z ziemi *rudzkiéj* (*wieluńskiéj*) zagrabił, i ziemie Leszka Czarnego i rycerzy jego pod znakiem krzyża świętego z Tatarami walczących, mieczem i ogniem spustoszył. Za to rzucił na niego *Jakób* arcybiskup gnieźnieński klątwę większą, 24 maja 1285 roku (2).

(1) *Stenzel: Urkund. z. B. Breslau*, p. 151 i 152. *Dum gens Polonica per eos opprimitur, despicitur, guerris concutitur, juribus et consuetudinibus patrie laudabilibus privatur, noctis intempeste silencio in propriis commodis, capitur etquod hiis est deterius ecclesiarum immunitas violatur et ecclesiastica censura per eosdem contempnitur et parvi penditur omnino.* (2) *Stenzel.* str. 166. Porównać także cytacyą powyższą z listu *Jakóba* arcybiskupa.

Gdy Henryk w miejscu upokorzenia i poprawy, nowe bezprawia popełniał, zgromadzili się na nowo biskupi polscy, wraz z *Tomaszem* wrocławskim, i *Konradem* lubuskim w Krakowie, i ztamtąd 29 czerwca, nowe listy do papieża i kardynałów wysłali, z prośbą, aby na księcia, który *mieczem duchownym* pogardza, *prawdziwego miecza* użył, tojest pomocy ramienia świeckiego, zwłaszcza, gdy książę ten, równie jak i inni książęta nasi, napomnieniom i władzy kościoła rzymskiego podlegają" (1). A daléj: „żeby tak szkodliwy przykład, nie doszedł do sąsiedzkich kościołów, dyecezyj i prowincyj, *gdy i drudzy książęta nasi, już się na podobne bezprawia gotują*" (2).

Oczywiście miał tu na myśli Leszka Paweł z Przemankowa; ale sam jako biskup, przeciw nadużyciom książąt pisał, a jako pan krakowski, bunty przeciw książętom knował.

Pomimo zawartéj ugody z Leszkiem, i wymożonéj na nim za więzienie swojéj *nawiązki*, nie mógł mu Paweł przebaczyć; czyli téż Leszek może obiecanych warunków (oprócz ostatniego, wojny krzyżowéj na pogan) nie dotrzymał. Cokolwiekbądź, rycerze krakowscy i sandomierscy obrócili się po raz drugi do Konrada, księcia mazowieckiego na Czersku, któremu już przed trzema laty Sandomierzanie zamki swoje byli poddali. Teraz obierają Konrada, panem i dziedzicem swoim, na wzgardę Leszka, któremu wypowiedzieli posłuszeństwo (3). Mało bardzo rycerzy pozostało mu wiernych; współczesny dyplomat, jednego tylko *Świętosława* wymienia, natenczas wojnickiego, a wkrótce wiślickiego kasztelana (4). Miasto Kraków przez owych Niemców, nienawistnych duchowieństwu, zaludnione, zachowało wierność dla swego księcia. W zamku zamknęła się Gryfina, gdy Leszek opuszczony od wszystkich rycerzy swoich, do Węgier po posiłki pojechał. Ściągnął tam nietylko chrześciański hufiec węgierski, ale i pogański z Kumanów; oba pod dowództwem mistrza *Jerzego Soos z Sowaru*, syna hrabiego *Szymona Mitzbana*, już poprzedniém zwycięztwem nad Tatarami wsławionego (5).

(1) *Stenzel*, p. 179. (2) *Nostris aliis principibus se jam ad faciendum similia parantibus. Stenzel p.* 180.

(3) *Roczniki Thratki* pod r. 1285; także *Ann. Cracov. Maj.*; *Ann. Cracov. Min. Roczniki Anonim. krak.* w Mss. *Ottobon.* i *willan.* (*Sommersberg* II, p. 95). *Długosz* VII, p. 837.

(4) *Dyplomat Leszka* z r. 1287 już cytowany (*Metr. kor.* 36, p. 602).

(5) *Fessler* T. II, p. 680.

Na czele tych posiłków węgierskich i kilku wiernych rycerzy krakowskich, wracał Leszek do kraju, gdy Konrad mazowiecki z wiarołomném rycerstwem krakowskiém i sandomierskiém, po daremném usiłowaniu zdobycia zamku krakowskiego, miasto tylko spalił, i naprzeciw Leszka wyruszył. Spotkali się nad rzeczką Rabą, pod wsią *Bogucice* zwaną, w dzień przeniesienia relikwii św. Stefana piérwszego męczennika (3 sierpnia) (1). Rozpoczęła się walka zażarta. Leszek miał tylko 600 posiłkowych, przeciw daleko liczniejszego nieprzyjaciela; ale przy opiece boskiéj, cuda waleczności *Jerzego* i jego towarzyszów, dały mu zwycięztwo. *Jerzy* pięć razy był raniony; obok niego walczył mistrz *Tomasz Talpos*, giermek hrabiego *Wawrzyńca* i dostał w niewolę *Mikołaja*, najdzielniejszego z towarzyszów broni księcia Konrada, który później za 2,000 grzywien srébra wolność swoję od hrabiego odkupił (2). Odznaczył się także w téj bitwie hrabia *Swiętosław*, kasztelan następnie wiślicki, dziedzic włości *Krzyżanowice* nad Rabą, któréj we dwa lata później książę Leszek wiele swobód nadał, w nagrodę wierności i męztwa dziedzica (3). Wielu nieprzyjaciół trupem legło, wielu dostało się w niewolę, reszta wraz z Konradem w rozsypkę poszła.

Z tryumfem powrócił Leszek do Krakowa, gdzie go żona i wierni mieszczanie przyjęli. Wtedy zaświtał dzień sprawiedli-

(1) *Eodem anno* (1285) *Dux Lestko piissimus de suis militibus triumphavit in die sancti Stephani protomartyris.—Roczniki Thratki* pod r. 1285, co wypada na 3ci sierpnia. W innem miejscu tychże Roczników przy opisaniu samej bitwy, dodano późniejszą (XV wieku) ręką: *secunda die mensis Augusti.— Ann. Cracov. maj.* i *Ann. Cracov. min.* nie wymieniają *ani dnia, ani miejsca* bitwy. *Roczniki Anon. krak.* w Mss. *Ottobon.* i *willan.* wymieniają *Boguczicz* (w *Sommersb.* T. II, p. 95 *Doguczicze*). *Dyplomat Leszka* z r. 1287 (*Metr. kor.* 36, p. 602) wyraźnie wspomina o bitwie z Konradem w *Bogucicach*. *Długosz* VII, p. 839 z datą 2 *Augusti*.

(2) *Dyplomat węgierski* króla Władysława z r. 1288 (w *Katona* Hist. Critica, VII, p. 953 i 901); u *Fesslera* T. II, p. 682.

(3) *Nos Lestko dei gratia Dux Cracoviensis, Sandomirie et Siradie, volentes fidelitatis servitia que Comes Swentoslaus Castellanus Wisliciensis nobis exhibuit, aliqua retributione respicere, cum nos non deseruit pugnantes contra principem Conradum Masoviensem nostrum fratrem, triumphumque gerentes iuxta villam que dicitur Boguchit.* Przywilej *Leszka* z r. 1287 w tranzumpcie *Zygmunta I* z r. 1524 (*Metr. koron.* 36, p. 602). Wskazanie tego ciekawego dyplomatu winienem uprzejmości uczonego urzędnika archiwum głównego, p. Muczkowskiego, spółwydawcy *Dyplomataryusza*.

wości, nagrody i kary. Zawdzięczając wierność Niemców, mieszczan krakowskich, miasto ich warownemi wałami i rowami opasał, pomimo oporu rycerzy „*którzy stracili już prawie całą władzę i wziętość swoję!*“ dodaje stary rocznikarz (1). Miastu zaś wielkie swobody i przywileje szlacheckie nadał. „Sprawę miejską samym Niemcom poruczył, w których się kochał (pisze Bielski), jakoż i sam po niemiecku się wszystko nosił“ (2). A dla miłości ich (wedle świadectwa starego rocznikarza), nawet długie włosy zapuścił (3).

Węgrów udarowanych odesłał Leszek do domu; bohaterskiemu dowódzcy ich *Jerzemu*, nadał dobra złożonego z urzędu wojewody sandomierskiego *Ottona* (4). Inni wszyscy urzędnicy krakowscy i sandomierscy: *Janusz* kasztelan, *Żegota* wojewoda krakowski (5), *Marek* kasztelan sandomierski, musieli wtenczas urzędy swoje postradać, bo już w dyplomatach z roku 1286 i z lat następnych, widzimy kasztelanem krakowskim *Sulka* (może wiślickiego, gdyż na miejscu tego jest już *Swiętosław*, jeden ze zwycięzców pod *Bogucicami*) i wojewodą krakowskim *Piotra*, wojewodą mazowieckim *Boxę*, kasztelanem sandomierskim *Mikołaja* (6).

O głównym sprawcy buntu, o Pawle z Przemankowa, milczą zupełnie spółczesne źródła; ale już to milczenie samo go obwinia: bo gdy całe niemal rycerstwo opuściło Leszka, a o biskupie kra-

(1) *Et sic deinceps Poloni quasi totum posse suum et gloriam perdiderunt.—Ann. Cracov. min.* pod r. 1285. Także *Roczniki Thratki* pod r. 1285 i 1286. *Ann. Cracov. maj. Roczniki Anon. krak.* (*Sommersb.* T. II, p. 95). *Długosz* VII, p. 839.

(2) *Bielski* T. XII, str. 217.

(3) *Hic infavorem Theutonicorum comam nutriebat.—Ann. Cracov. min.* pod r. 1288.

(4) *Fejer*, Cod. Dipl. V 3, p. 384, u *Röpella* I, p. 541.

(5) *Żegota* wojewoda krakowski wspominany jest w r. 1284 w Przywileju *Przemysława II*, nadającym mu różne dobra na dziedzictwo i swobody, na zjeździe w Sieradzu (*Metr. koron. sekretna* nr. 35).

(6) *Dyplomat Leszka* z r. 1286, o ktorym niżej; *dyplomat lokacyjny sandomierski* z r. 1286 i cytowane już po kilkakrotnie wyżej przywileje Leszka *tynieckie* i *miechowskie*. Długosz jednakże wspomina jeszcze *Wawrzyna* kasztelana krakowskiego, *Janusza* wojewodę sandomierskiego, i *Krystyna* kasztelana sandomierskiego, którzy już na tych urzędach nie byli, jak świadczy poprzednio przywiedziony *dyplomat Pawła*. Dalej utrzymuje Długosz, iż Leszek panów do łaski przywrócił i do urzędów, co widzimy że nie było. Za Długoszem wszyscy inni historycy poszli.

kowskim wzmianki nie czynią, że w Krakowie wraz z Gryfiną pozostał; musiał w ulubionéj puszczy swojéj kieleckiéj oczekiwać skutków knowanéj zdrady. Długosz, opierając się zapewnie na nieznanych nam dotąd źródłach, nie waha się nazywać Pawła z Przemankowa naczelnikiem buntu; ale o dalszych stosunkach jego z Leszkiem, nie wspomina już wcale (1).

Nie ustawały jeszcze wojny domowe. Żażalony na Leszka Konrad mazowiecki, w następnym (1286) roku bratu jego Władysławowi Łokietkowi postanowił zamek Gostynin, niegdyś swoję własność, odebrać. Sprowadził więc przyjaciół swoich Litwinów i Rusinów, i za ich pomocą, gród ten po okropnéj rzezi i rabunku, z rąk łupieżców otrzymał. Ale ciż sami barbarzyńcy, znajomą już drogą do Mazowsza wracając, *Sochaczew* i *Płock* spalili, które po Wniebowzięciu Najśw. Panny (15 sierpnia) Władysław Łokietek zdobył, i z Konradem na *Gostynin* zamienił (2).

Leszek tymczasem urządzał na nowo odzyskane księztwa. Wynagradzając zasługi i wierność żupnika swego *Witka*, mianował go w 1286 roku, dziedzicznym wójtem sandomierskim, ponawiając miastu prawo osadnicze magdeburskie (3). W Sieradzu (27 marca tegoż roku), na prośbę biskupa kujawskiego *Wisława*, urządzał obowiązek obiadu, jaki mu się w kasztelanii wolborskiéj należał, gdy raz do roku, tędy, jako książę sieradzki przejeżdżał. Ciekawy spis tych wiktuałów, zachował się w współczesnym dyplomacie Leszka, w archiwum kapituły kujawskiéj we Włocławku. „Krowę i dwie owce, jeżeli latem; a gdyby zimą, to dwie szynki (*pernas*), trzydzieści kurcząt (*pullos*), sto jaj, pół miarki grochu (*pise*), pół miarki jagieł, i trzecią część (*tercianum*) soli". I na tylu wozach ile będzie potrzeba, winni ludzie kasztelanii wolborskiéj, księcia do granic kasztelanii, ale nie daléj odwozić (4).

Chciał też Leszek zatrzéć ostatecznie wszelkie powody do zatargów z biskupem krakowskim, a razem oswobodzić się od opłaty 3,000 grzywien srébra, ciążącéj jeszcze na nim od piérwszéj

(1) *Długosz* VII, p. 837—840.

(2) *Roczniki Thratki* pod r. 1286 ze szczegółami opuszczonemi w *Ann. Cracov. maj.* Zdaje się, że tę samę wyprawę Rusinów pod Sochaczew opisuje *Kronika wołyńska* pod r. 1281 T. II, p. 209. *Długosz* VII, p. 841.

(3) *Leszka przywiléj lokacyjny sandomierski* z r. 1286: oryginał w archiwum sandomierskiém, kopia w *Metr. koron.* 93, p. 318.

(4) *Dyplomataryusz Rzyszcz.* i *Muczk.* T. II, p. 111.

ugody z Pawłem z Przemankowa, przed dwoma laty zawartéj. Już i biskup musiał być do zgody skłonniejszym, po zwycięztwie nad Konradem; i dlatego, że rękojemcy jego w dawnéj ugodzie wymienieni, jedni przy życiu nie byli, drudzy urzędy i dobra potracili. Wszak *Ottona* wojewody sandomierskiego dobra, *Jerzemu* dowódzcy Węgrów oddano. Obrały zatém obie strony pośredników i arbitrów; Leszek *Sulka* kasztelana, i *Piotra* wojewodę krakowskich; Paweł zaś, *Wojciecha* dziekana, i *Prokopa* scholastyka krakowskich, już na dawniejszym dyplomacie za nim świadczących. Za ich staraniem, stanęła pomiędzy książęciem a biskupem nowa ugoda, którą Leszek przywilejem swoim z 30 listopada 1286 r. potwierdził.

Przywileju tego, który długo zachowywał się w oryginale, (o czém świadczy *Kromer*), a dziś w tranzumptach tylko znajduje się w archiwum kapituły krakowskiéj, przekład polski tu podajemy:

„W imię Boże amen. Jeżeli czyny ludzkie prawem dozwolone, do trwałości wiecznéj przeznaczone, nieporuszone zostawać winny; tém bardziéj więc czyny książąt i starszych (*majorum*), których chwała niby pochodnią jest (*lumen*), dla potomności niezłomném i wieczném stwierdzeniem cieszyć się powinny, a zwłaszcza przy staraniu się o pokój trwały, i o wyrwanie z korzeniem niezgody. Niechże wiadomo będzie teraźniejszemu i przyszłemu wiekowi, iż my, Leszek, z Bożéj łaski książę krakowski, sandomierski i sieradzki, gdy żagiew nienawiści, nasienniki nieprzyjaźni i niezgód koleje (*discrimina*), między wielebnym ojcem naszym Pawłem, biskupem krakowskim, z jednéj strony, a nami z drugiéj, z poduszczenia nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego, wzniecone zostały; pragnąc teraz pomienioną żagiew zagasić, rzeczone nasienniki wyrwać, i wspomnione koleje do szczętu wygładzić; aby między nami czysta miłość i przymierze wiecznéj przyjaźni, w pokoju, wytrwałości i zgodzie, na wieki dotrwały; dla lepszego i stalszego ułożenia, wybieramy z naszéj strony: *Sulka* kasztelana, i *Piotra* wojewodę krakowskich; a biskup ze swojéj strony obrał dostojnych mężów, panów: *Wojciecha* dziekana, i *Prokopa* scholastyka krakowskich, na pośredników i arbitrów, dając im zupełne, doskonałe i wszelkie prawo układania, urządzenia i postanowienia pokoju i zgody pomiędzy nami, a rzeczonym ojcem naszym, wiecznie trwać mającéj. Cokolwiek zaś ci pośrednicy ułożą, urządzą i postanowią w tym wzglę-

dzie, przyjąć i dotrzymywać wiecznemi czasy obiecujemy. Oni, po przekonaniu się i ocenieniu szkód, uciążliwości i zniewag, ułożyli, urządzili i postanowili: że za wszystkie szkody, uciążliwości, zniewagi i obelgi, przez nas na osobie biskupa i dobrach kościelnych bez winy jego, (jak utrzymywał) wyrządzone, zapłacić winniśmy 3000 grzywien srébra; oraz, że wszystkich przywilejów przez poprzedników naszych, jego poprzednikom i kościołowi samemu nadanych, dotrzymywać będziemy sami, i dziedzicom naszym i następcom, stale i nienaruszenie, na zawsze i we wszystkiém dotrzymywać nakażemy. Że całkowitą ziemię, którą ludzie książęcy (ducales homines), w *Dzierząznie* (*in Derusna*) (1), uprawiali i posiadali, ze wszystkiemi jéj pożytkami i przynależnościami, z temi ludźmi i ze swobodami (*cum libertate*), do stołu biskupstwa krakowskiego, wiecznemi czasy darujemy. Nadto, że swobody, których wsie kapituły krakowskiéj używają, rozciągniemy w zupełności na kasztelanią *pustkowicką* (2), ze wszystkiemi jéj wsiami i mieszkańcami. Że kasztelanii *sławkowskiéj*, ze wszystkiemi jéj wsiami, mieszkańcami i z miastem samém oddamy na zawsze swobody, jakich używała za czasów Bolesława świętéj pamięci książęcia poprzednika, i stryja naszego. Nakoniec że samego ojca naszego biskupa, kościół krakowski, niby matkę naszę duchowną, jako syn przywiązany, z uszanowaniem synowskiém, w szczerości ducha kochać i miłować będziemy. My więc książę, przerzeczony powyższy układ we wszystkiém potwierdzając, szczególnie pragnąc wygód pokoju, z których wyradza się spoczynek dla ciała, pokój dla duszy, dostatek dla poddanych (*subditorum*), i rozkrzewienie rzeczypospolitéj (*Reipublice propagatio*). Naprzód i głównie obiecujemy w dobréj wierze, rzeczonego ojca naszego, i rzeczony kościół

(1) Nie mógł więc tę samę część książęcą (*Sortem ducalem*) w *Dzierząznі* darować biskupowi krakowskiemu, piętnaście lat pierwéj Bolesław Wstydliwy, czy Leszek, jak chce *Długosz*, VII, p. 796. *Dzierząznia* leżała w Krakowskiém, w dekanacie sokolowskim, wedle *Starowolskiego* opisania dyecezyi krakowskiéj (*Vita Antistitum Cracoviensium*).

(2) *Długosz w Żyw. bis. krak.* opisując pierwsze uwięzienie Pawła i wynagrodzenie za nie, oprócz nadania Dzierząznу, dodaje: *et Castellaniam Slawkoviensem, et Deputeomste alias Pabianicze libertans et absoluciones a daciis et tributis conferens*; wyraźnie odnosi do tego warunki niniejszéj ugody. Jeżeli *Pustkowice* nie są *Pabianicami*, które już dawniéj *Chrapy* nazywały się wedle *Długosza*; to nie wiadomo, czy szukać ich we wsi tego nazwania w Piotrkowskiém, czy w Radomskiém.

jego z synowskiém uszanowaniem miłować, a wszystkie ich przywileje chcemy mieć przez nas i naszych dziedziców i następców, stale i niewzruszenie zachowane, potwierdzając je na wieczne czasy, i wszystkim niezłomne ich dotrzymanie nakazując. Przytém wyraźnie objawiamy i potwierdzamy, że kasztelania *sławkowska*, wraz z miastem i wszystkiemi wsiami i mieszkańcami swoimi, oraz z całym obszarem gruntów (*cum toto suo territorio*), używać ma tychże samych swobód, które za czasów księcia Bolesława posiadała. Nadto wszystkie ziemie ludzi książęcych w *Dzierząznie*, wraz z temiż ludźmi, z pożytkami, z przynależnościami wszystkiemi, w zupełności nadajemy, i tytułem wiecznéj darowizny, nieodwołalnie do stołu biskupiego, prawem dziedzicznem w posiadanie oddajemy. Ziemi téj i mieszkańcom, którychby na niéj biskup wedle woli swojéj osiedlił, te same swobody nadajemy, któremi się inne wolne wsie biskupie cieszą. Nadto, tytułem nieodwołalnéj darowizny, nadajemy kasztelanii *pustkowickiéj*, leżącéj w ziemi sieradzkiéj, oraz wszystkim wsiom téj kasztelanii i mieszkańcom, oraz czasowie mieszkającym (*incolis et inhabitatoribus*), zupełnie te same swobody, któremi wsie kapituły krakowskiéj, z łaski poprzedników naszych wiecznemi czasy obdarzone zostały. Tojest: ażeby wszyscy ludzie wolni i niewolni (*non liberi sive ascriptitii*), w całéj kasztelanii *pustkowickiéj*, i wsiach do niéj należących, takich swobód zupełnie używali, jakie osadnikom niewolnym (*ascriptitii*), świętéj stolicy krakowskiéj, zdawien dawna służą. Kasztelanią *pustkowicką*, wraz z jéj wsiami i mieszkańcami wszystkimi, uwalniamy zupełnie od *stróży*, *stanu*, *powozu* i od wszystkich innych służebności, służb, opłat, podatków i posług zwyczajnych i nadzwyczajnych (*angariis et perangariis*), pod jakiembądź nazwiskiem, i komukolwiekby się nie należały. Uwalniamy także od władzy naszéj i następców i dziedziców naszych, także wszystkich kasztelanów, wojewodów i jakichbądź sędziów, urzędników, władz i urzędów. Nikomu więc oprócz kapituły krakowskiéj, lub tego, który je z nadania téjże kapituły posiadać będzie, podlegli nie będą. Z tym jednak wyjątkiem, że wedle dotychczasowego zwyczaju, do naprawy zamku i mostu sieradzkiego należéć będą; a w razie napadu wojska nieprzyjacielskiego na ziemię sieradzką, na obronę téjże ziemi, (ale w żadnym innym razie) służbę wojenną pełnić będą. Nadto, jeżeli raz w rok zdarzy nam się przez grunta téj kasztelanii dla łowów przejeżdżać, to nas swoim kosztem utrzymywać i przepro-

wadzić obowiązani będą, oraz do *przewodu* (*ad prevod militare*), wedle zwyczaju téj ziemi".

„Te więc przerzeczone darowizny, swobody i ulgi (*exemptiones*) wszystkie, które nadaliśmy dla zadośćuczynienia rzeczonemu biskupowi i kościołowi jego, oraz dla zbawienia duszy naszéj i najukochańszéj małżonki naszéj Gryfiny, oświeconéj księżnéj tych ziem, oraz poprzedników naszych, obiecujemy w dobréj wierze, za siebie i za dziedziców lub następców naszych, stale i wiecznie dotrzymywać i nic przeciwnego nie czynić, ani przez siebie, ani przez kogokolwiek, ani prawem, ani fortelem, ani czynem żadnym; i nie odwoływać ich żadnym sposobem, ani dla żadnéj przyczyny, *dopóki rzeczonego ojca, i kapituły jego stałość ku nam wedle sprawiedliwości dotrwa* (1). Ten zaś ojciec nasz biskup i pan widząc życzliwość naszę ku niemu i kościołowi jego, rzeczone 3,000 grzywien srébra, przez pośredników i arbitrów wspomnianych z łaski swojéj i hojności nam darował. Na oczywiste tedy i pewne świadectwo wszystkiego o czém wyżéj wspomniono, kazaliśmy niniejszą kartę napisać, i obwarować pieczęciami, naszą, ukochanéj małżonki naszéj, która zgodę swoję (*beneplacitum et consensum*) na powyższe nadania oświadczyła, oraz przerzeczonych pośredników i arbitrów. Działo się publicznie w Krakowie, roku pańskiego 1286. Indykta XIIII przed kalendami decembrowemi. Obecni byli: hrabia *Boxa* wojewoda sandomierski; mistrz *Mikołaj* archidyakon, *Michał* kustosz krakowscy, *Floryan* kasztelan lubelski, *Wojciech* łowczy, *Mszczuj* koniuszy, *Mścigniew* podkomorzy sieradzcy, i innych wielu. Dano przez ręce *Prokopa* kanclerza naszego krakowskiego, arbitra rzeczonego (2)."

Tym razem ugoda pomiędzy Leszkiem a Pawłem z Przemankowa musiała być z obu stron dotrzymaną, bo już do śmierci Leszka Czarnego, biskup przeciw niemu nie wichrzył. Zaraz na początku następnego (1287) roku, wzywał go książę opolski do Opola na dzień Zwiastowania (25 marca) dla uczynienia zgody pomiędzy Tomaszem biskupem wrocławskim, a księciem wro-

(1) *Dummodo predicti patris et ipsius Capituli circa nos stabilitas secundum justiciam perseveret.*

(2) Przywiléj ten w tranzumptach zachowany w T. I, p. 8 i T. II, p. 61 przywilejów katedry krakowskiéj, wyjdzie z druku w dziele ks. Gładyszewicza, pod tytułem: *Zbiór pomników starożytnych kościoła katedralnego krakowskiego.*

cławskim Henrykiem, która nie udała się podówczas, ale wkrótce potém w Raciborzu do skutku przyszła (1).

Tymczasem Tatarzy napadli od południa na Sandomiérz i Kraków, a Litwini od północy na Dobrzyń. A gdy kollektorowie papiezcy *Adam* kanonik krakowski, i *Mikołaj*, z polecenia Honoryusza IV papieża i legata jego Jana biskupa tuskulańskiego, wymagali znaczne dziesięciny na obronę Ziemi Świętéj, biskupi polscy żalili się na to legatowi stolicy apostolskiéj, wystawując opłakany stan dyecezyj swoich, a zwłaszcza krakowskiéj, która „przez największe wojny domowe (przyznawał się do nich Paweł z Przemankowa), teraz i dawniéj prowadzone, oraz przez częste napady pogan, żałośnie spustoszona“ (2). Przez wzgląd na te żale legat papiezki zmniejszył summę postanowioną 1000 grzywien na 700, żądając zapłaty przed lipcem t. r. przez Wenecyą, Wiedeń, lub Brugę (3).

Leszek Czarny tymczasem, krzyżując się po raz drugi z rycerstwem swojém przeciw poganom, obrócił poświęcony oręż przeciw Konradowi mazowieckiemu, i mszcząc się za dawne urazy, Mazowsze złupił. Ale mu ta świętokradzka wojna na dobre nie wyszła; bo wielu rycerzy w przeprawach przez rzeki potracił, a wkrótce głód, mór i napad Tatarów własne jego ziemie zgnębiły (4).

Tatarzy pod wodzą zawsze *Nogaja* i *Telebugi* pod miastami wprawdzie opór znaleźli, jak pod Sandomierzem, Krakowem (w wilią Bożego Narodzenia), a nawet pod opactwem świętokrzyzkiém na Łyséj-górze, ale za to kraj cały zniszczyli. A gdy Leszek z Gryfiną w poblizkich i spokrewnionych Węgrzech schronienia szukali, Tatarzy pod Włodzimierzem łupy swoje rachując, 31,000 samych dziewic i wyrostków, jeśli rocznikarzom wierzyć mamy, naliczyli (5).

(1) *Stenzel*: Urk. z. B. Breslau, p. 236 i LXXXI.

(2) *Cracoviensis per maximas guerras intestinas nuper et antehabitas et per incursus frequentes gentilium est miserabiliter devastata. Stenzel* Urk. z. B. Breslau, p. 229.

(3) *Stenzel* p. 237.

(4) O tém najdawniejsze źródło *Długosz*, VII, p. 844.

(5) *Ita ut in Ladimiria cum debebant predam dividere* XXX *et unum millia de solis virginibus et juvenculis primo maturatis numeraverint. Ann. Crac. min.* pod r. 1287. Długosz poprawia na 21,000 samych dziewic (VII, p. 847). W *Rocznikach Thratki* pod r. 1287 czytamy tylko: *Tar-*

Mistrz *Jerzy Soos z Sowaru*, bohaterski zwycięzca pod *Bogucicami*, z braćmi, krewnemi, ich drużynami, znowu ofiarował pomoc swoję Leszkowi. Pod *Sądczem* dogonili kupę Tatarów, zwyciężyli ich; wielu trupem legło, do tysiąca dostało się w niewolę, i klasztor Klarysek w Sączu ocalał (1). Wprawdzie uciekły były z niego do warownego zamku *Pieniny*, wdowy książąt polskich Kinga i Jolanta z 70 innemi zakonnicami; a modlitwom ich, a zwłaszcza św. Kingi przypisuje Długosz ocalenie klasztoru sandeckiego (2). Po kilkakroć jeszcze Tatarzy usiłowali zemścić się, napadając na granice ziemi spiskiéj, ale zawsze odpierał ich dzielnie *Jerzy*, oszańcowawszy się na pograniczu w zasiekach (3).

Stan opłakany kraju, maluje najlepiéj sam Leszek, w przywileju tynieckim (23 maja 1285 roku): „Ziemie nasze spustoszone mieczem wrogów, z powodu grzechów naszych, nietknięte motyką ani pługiem, krwią niewinną skalane, odłogiem leżące, życząc sobie innemi ludźmi i rolnikami zaludnić, do lepszego stanu przyprowadzić.....“ (4).

A jednak na wzór Tatarów, gotował się Leszek pustoszyć jeszcze raz ziemię mazowiecką, przez zemstę na Konrada za dawne krzywdy. Odmówili mu pomocy swojéj rycerze krakowscy i sandomierscy, poszli tylko Sieradzanie z wojewodą swoim *Ma-*

thari veniunt.—Kronika wołyńska (T. II, p. 213) pod tymże rokiem 1287 opisuje, jak Tatarzy pod *Telebugą* i *Algujem* szli na *Lachów*, i kazali towarzyszyć sobie książętom ruskim; poszli wszyscy, oprócz jednego *Włodzimierza* księcia wołyńskiego chorobą złożonego, którego odpuścili Tatarzy do domu. Ale bliższych szczegółów o téj wyprawie nie podaje.

(1) *Dyplom. węgierski hr. Władysława* z r. 1288 u *Katony* VII, p. 956 i *Dyplom. Leszka* u *Katony* 951, cytowane u *Fesslera* T. II, p. 683.

(2) *Długosz*, VII, p. 847.

(3) Ten sam *Jerzy* po raz trzeci odegrał rolę w Polsce, gdy w roku 1291, wkrótce po koronacyi króla węgierskiego Andrzeja III, niektórzy panowie węgierscy, królem swoim ogłosili samozwańca, mieniącego się być *Andrzejem*, bratem zmarłego króla *Władysława*. *Jerzy hrabia Soos z Sowaru* z drużyną swoją wyruszył przeciw nim, ścigał aż poza Karpaty, a ten *Andrzej mniemany* w Chroberzu, gdzie mu Przemysław podówczas książę krakowski dał był przytułek, od swoich opuszczony, w Nidzie utonął, czy też utopiony został. *Dyplomat Andrzeja* z d. 28 sierpnia 1291 r. (u *Wagnera* Dypl. Saros. p. 304). *Fessler* T. II, p. 698. *Długosz* T. VII, p. 856, nazywa tego *Andrzeja* prawdziwym królewiczem węgierskim i cud Kingi przy pogrzebie jego w *Sączu*, opowiada. *Roczniki Thratki* pod r. 1290, mają: *Eodem anno rex Ungarie circa Chroberz subjugitur.*

(4) *Szczygielski, Tinecia*, p. 163.

ciejem, i ziemię Konrada złupili; ale ten zaczaiwszy się, dogonił ich 26 czerwca 1288 roku, i zwyciężył w bitwie, w której sam *Maciéj* wojewoda życie postradał, i łupy zabrane odbił (1).

Wkrótce potém, bo w sam dzień ś. Hieronima (30 września) tegoż 1288 r., umarł Leszek Czarny, bezdzietny, a śmierć jego była początkiem długich rozruchów i wojen domowych między książętami polskimi na Sieradzu, Mazowszu i Szlązku (2).

Brat Leszka rodzony, Władysław Łokietek, książę łęczycki i kujawski, odziedziczył tylko po nim księztwo sieradzkie; a na księztwo krakowskie i sandomierskie, obrali rycerze Bolesława księcia mazowieckiego, sprzymierzeńca niegdyś Leszkowego, bo z wrogiem jego, a bratem własnym Konradem, ciągłą wojnę prowadził. Zdaje się, że jeszcze przez Leszka Czarnego musiał być

(1) Najdawniejszém świadectwem tego wypadku był dotąd *Długosz* (VII, p. 849), który wojewodę sieradzkiego *Mateuszem* nazywa. Jednak już w *dyplomacie Leszka* (z 1 stycznia 1287 r.) w Sieradzu pisanym występuje jako świadek: Comes *Mathias* (Maciéj). Ob. *Dyplomataryusz Rzysz.* i *Muczk.* T. I, p. 121 — 123. A *Kronika wołyńska* T. II, p. 213 w tych słowach wyprawę mazowiecką opisuje: *Toho-że leta* (wprawdzie mylnie pod r. 1285) *Lestko Kazimiryez posław polk swoj wojewa kniazia Kondrata Symowitowicza; kniaź że Kondrat, sobraw drużynu swoju, gna po nich i bisia s nimi i pobiedija, Bożym posobijem, i mnogi izbi ot połku Lestkowa, bojar i prostuju czaď, i Wojewodu ieho ubi Sieraszkaho Macieja, a swoj połon a połoni, i tako wozwratisia wo swojasi s czestiju welikoju, chwalu i sławia w Trojcy Oica i Syna i Swiataha Ducha.*

(2) Wszyscy historycy nasi, za Długoszem idąc, śmierć Leszka naznaczają rokiem późniéj, tojest w dzień 30 września 1289 roku. Pierwszy *Ropell* (I, p. 542) za dawniejszemi źródłami idąc, poprawia tę datę na rok 1288. Jakoż *Ann. Crac. min.* wyraźnie mają: *Qui mortuus est in die beati Jeronimi anno Domini MCCLXXXVIII deinde multa mala exorta sunt.* A *Chron. Princip. Polon.* (u *Stenzla* Script. Rer. Siles. T. I, p. 148) oznacza dokładnie datę bitwy pod *Siewierzem* o następstwo po zmarłym Leszku, d. 26 lutego 1289 r. „*In Sewor prope Bithom, anno Domini MCCLXXXIX quarto Cal. Martii*"; a że Leszek umarł 30 września, musiało to być 1288, a nie 1289 roku. Do tych świadectw możemy jeszcze nowo odkryte przydać: *Roczniki Anon. krak.* w Mss. *Ottobon.* i *willan.* mają: *Sine prole anno Domini MCCLXXXVIII defuncto, Terrigene Cracovienses* i t. d. (gdy to samo miejsce drukowane u *Sommersb.* T. I, p. 95 ma błędnie poprawione: *Sine prole decessit.—Anno Domini MCCLXXXIX defuncto Lestkone Terrigene Cracovienses* etc.). Nakoniec *Roczniki Thratki* także pod r. 1288 mają: *Lestco dux Cracovie, Sandomirie, Syradie sine prole obiit, cui Boleslaus dux Mazovie succedit per elec-*

naznaczony następcą na księztwo krakowskie, gdyż jako książę mazowiecki i dziedzic krakowski (*heres Cracovie*), r. 1287, w Krakowie w oktawę św. Jana Chrzciciela, darował wieczyście kościołowi gnieźnieńskiemu połowę wsi *Prussy*, w parafii raciborowickiéj, pod Krakowem; a któréj druga połowa już do kościoła gnieźnieńskiego, z nadania Bolesława Wstydliwego, należała (1). Paweł z Przemankowa także jego stronę trzymał, lubo niektórzy z rycerstwa lubelskiego, wzywali po raz trzeci już samego Konrada, odwiedzającego podówczas sprzymierzeńców swoich, książąt wołyńskich: *Mścisława* w Brześciu, i *Włodzimierza* w Lubomli.

„Po odjeździe Konrada z Lubomli (pisze *Kronika wołyńska*) przybiegł *Jartak*, Polak z Lublina (*Lach iz Lublina*) i powiedziano Włodzimierzowi: „*Jartak przyjechał*", a on go nie puścił do siebie, ale powiedział księżnéj swojéj (2): „*Idź, i zapytaj go z czém przyjechał?*" Księżna poszła po niego; przyszedł wkrótce, a ona jęła go wypytywać: „*Książę (kniaź), mówi ci: z czémżeś przyjechał? powiedz:*" A on zaczął opowiadać: „*Książę Leszek (kniaź Lesłko) umarł*". Włodzimiérzowéj żal się zrobił, i rozpłakała się po nim (3). „*Przysłali mnie Lubelczycy, chcą mieć księcia Konrada, aby panował w Krakowie, i ja zaraz chce odszukać Konrada, gdzieby nie był*". Księżna wszedłszy, powiedziała słowa Jartakowe. Włodzimierz kazał dać koni pod niego, bo jego konie ustały. Popędził zaraz i zastał Konrada

cionem. A pod następnym rokiem 1289 opisana bitwa pod *Siewierzem*. Ostatnie dyplomata, jakie znamy, nie przechodzą roku 1288. Oczywiście musiał zbłądzić *Długosz* (VII, p. 851), a za nim wszyscy historycy nasi, przedłużając życie Leszka do 30 września 1289 roku, a bitwę pod *Siewierzem* odrzucając do 1290 roku. Pozostałaby jeszcze wątpliwość z powodu grobowego kamienia Leszka Czarnego, w kościele ks. Dominikanów w Krakowie, ocalonego nawet po ostatnim pożarze; ale zdaniem uczonego archeologa krajowego Kazimierza Stronczyńskiego, kamień ten nie jest spółczesny, a w napisie data arabskiemi liczbami dotąd czytana 1289, równie może rok 1288 oznaczać.

(1) *Długosz* w Żywotach arcybiskupów gnieźnieńskich pod *Jakóbem Swinką*. (Mss. bibl. Zamojskich, p. 46).

(2) Byłato księżna *Olga* córka Romana księcia brańskiego, zaślubiona w 1264 roku z *Włodzimierzem* księciem włodzimierskim, synem Wasylka brata *Danily* króla ruskiego.

(3) W texcie jest: *Wołodymir że szaliw sia i rozpłaka sia po nim*; ale że to wśród słów Jartaka *do księżnéj Włodzimierzowéj* umieszczone, oczywiście do niéj stosować się musi.

w mieście Włodzimierzu, i jął mówić Konradowi: „*Książę Leszek umarł, a przysłali mnie Lubelczycy: przyjedź panować nam do Krakowa!*". A Konrad ucieszył się serdecznie, i uradował z duszy z panowania krakowskiego, i zaraz wyjechał, i przyjechał do Lubomli; chciał bowiem posiedzieć u brata, aby z nim o tém pogadać. Włodzimiérz zaś nie puścił go do siebie, ale rzekł do księżnéj swojéj: „*Idź, pogadaj z nim i odpraw go, niech sobie pojedzie precz; a u mnie nie ma co robić*". Księżna wracając powiedziała mu słowa Konradowe: „*Brat ci panie powiada: pośléj ze mną swojego Dunaja* (1) *i tém zrób mi uczciwość*". I pojechał wkrótce do Lublina. Ale gdy do Lublina dojechał, Polacy zamknęli miasto nie puszczając Konrada do siebie, i Konrad stał na górze u mnichów (2) i posłał do mieszczan powiedzieć im: „*Po cóżeście przywiedli mnie, a teraz zamknęliście miasto przedemną?*". A mieszczanie odrzekli: „*My ciebie nie przywiedli, i nie posyłali po ciebie; ale głową naszą Kraków; tam wojewody nasze i wielkie bojary: jeżeli będziesz panował w Krakowie, tośmy gotowi być twoi*".

Potém powiedziano Konradowi „*Rota* (*Rat'*) *idzie ku miastu*". Mówią, że to rota litewska; przeląkł się Konrad, i pobiegł na wieżę (wo stolp) u mnichów z bojarami swoimi i sługami, i *Dunaj* Włodzimierzów z nim; a gdy rota pod miasto podeszła, poznali, że to ruska rota. Konrad zapytał rotowych (*Ratnych*) „*kto jest wojewodą w téj rocie?*". A oni odpowiedzieli: „książę *Jerzy Lwowicz* (3). Zachciało mu się Lublina i ziemi lubelskiéj". I przyjechał *Jerzy* pod miasto, a mieszczanie nie poddali mu miasta, i przygotowali się dzielnie do walki. *Jerzy* poznał ich chytrość. A oni rzekli do niego: „*Książę licho jeździsz, rota z tobą mała; przybędzie Polaków* (*Lachów*) *dużo i wstyd będzie tobie wielki.*" A *Jerzy* usłyszawszy ich słowa, rozpuścił drużynę swoję na wyprawę, i wziąwszy brańców wiele, spaliwszy żyta i wioski (a wszę-

(1) *Dunaj* ten sam wojewoda księcia Włodzimierza, którego do Litwinów posyłał dla podburzenia ich na Polskę. Ob. wyżéj przypisek pod rokiem 1282.

(2) Musiał to być klasztor przy kościele *św. Mikołaja*, najdawniejszy z kościołów Lublina, obrządku ruskiego, zbudowany na górze, nad rzeczką Czechówką; zkąd całe miasto najlepiéj widać. (*Sierpiński, Obraz miasta Lublina*, str. 52).

(3) Syn *Lwa Daniłowicza* księcia halickiego, a syna *Daniły* króla ruskiego.

dzie nawet po lasach palili rotowi towarzysze); powrócił do siebie z mnóstwem brańców, czeladzi, bydła i koni. A Konrad pojechał do siebie, z wielkim sromem; lepiéjby mu było nie żyć"! (1).

Tymczasem brat Konrada, Bolesław książę płocki przybył do Krakowa i zamek dotychczas drewnianemi budowlami obwarowany, *Sulkowi* rycerzowi z Międzyrzecza powierzył (2). Ale mie-

(1) *Kronika wołyńska* (T. II, p. 217). Wprawdzie pod r. 1287, ale mylnie, ponieważ się to działo wnet po śmierci Leszka Czarnego: musiało być w końcu 1288 roku. Żyto przez wojsko Lwa w okolicy Lublina, musiało być w stogach spalone. Najoczywistszy mamy dowód, że *Lublin* (lubo czasowie posiadany przez *Danita* króla ruskiego po zdobyciu na Polakach w r. 1244) nie przestawał jednak do Polaków należéć, i Lubelczycy tego tylko księcia uznawali, który w Krakowie panował. Jednakże ta sama *Kronika wołyńska* T. II, p. 227 pod r. 1304 pisze: „*Lublin Lachy otszukali ot Rusi, był Lublin pod Rusiu 57 liet.*" Wprawdzie jestto wiadomość oderwana przy samym końcu; liczba 57 lat cyframi, musi być mylnie pisana; ale za tą pomyłką poszli: *Kromer* (edit. Colon. p. 186); *Sarnicki* (przy ed. Lip. Długosza II, p. 1119); Stryjkowski (ed. Glücksberga I, p. 331), *Pastorius* p. 117; *Neugebauer* p. 176; a nawet krytyczny zwykle *Naruszewicz* (T. IV, p. 339 i V, p. 273); a z nowszych uczony autor *Uwag nad Mateuszem h. Cholewa*, i niektórzy nowsi pisarze. *Długosz* jednak (IX, p. 900) pisząc o odzyskaniu Lublina przez Polaków w r. 1302, wyraźnie pisze, że od lat kilku przez Rusinów był zawojowany: *annis aliquot impune occupaverunt*; za nim *Miechowita* tylko poszedł (*wydanie krakowskie* p. 198) i *Bielski* T. XIII, p. 8, a z nowszych *Röpell* I, p. 524. Widzieliśmy ciągle kasztelanów lubelskich przy boku książąt krakowskich: w r. 1271 *Jakóba*, w r. 1284 i 1285 *Jana* Abramowicza, w r. 1286 *Floryana*. Gdy Jadźwingowie napadli na ziemię lubelską w r. 1281 i Leszek ich z pomocą Boga przez archanioła Michała objawioną, zwyciężył, w *Lublinie* kościół pod wezwaniem św. Michała, zwycięzca założył. W roku 1288 z saméj *Kroniki wołyńskiéj* najpewniejszy dowód mamy, że *Lublin* do Krakowa należał, a gdy w którym i z lat następnych zdobyli go Rusini, odzyskali Małopolanie sami miasto i ziemię lubelską r. 1302; na co przytoczyć możemy dwa dawne świadectwa: pierwsze z *Roczników Traski* pod r. 1302. „*Eodem anno inierunt milites Cracovienses et Sandomirienses Russiam videlicet Lublin novum quod Rutheni occupaverunt pluribus annis expugnaverunt; de iacens in paucis cum multitudine Ruthenorum et Lithuanorum ac Tartharorum pugnaverunt et domino cooperante de omnibus triumphaverunt. Postea reversi ipsum castrum Lublin obtinuerunt.*" Drugie, Dodatków do *Kroniki wołyńskiéj* (T. II, p. 348): „*Wtoż lieto* (1300) *Ruś sobra sia so wozem swoim Petrom Gałkoiu i s Tatary i Litwoiu, w Sandomirskoiu stranu wszedsze..... no iedinacze pogonisza ich Lachy pod Lublinom i porazisza i pobiegosza w Lublin, no i tamo ich gładom poddali sia prynudisza.*"

(2) *Roczniki Anon. krak.* w Mss. *Ottobon.* i *willan.* (u *Sommersb.* T. II, p. 95).

szczanie krakowscy, Niemcy i stronnictwu duchowieństwa zawsze przeciwni, wezwali byli do siebie owego Henryka wrocławskiego, z zatargów swoich z biskupem Tomaszem słynnego. Skoro zbliżył się do Krakowa Henryk, rzeźnicy otworzyli mu bramy miasta, *Sulko* zamek poddał, a Bolesław oddalił się szukając sprzymierzeńców, których i w Kujawach, i w Wielkiéjpolsce, i na Pomorzu, a nawęt w Konradzie bracie swoim i przyjaciołach jego Rusinach znalazł (1). Henryk rad z nabycia Krakowa wraz z przychylném sobie rycerstwem, wszystkie sprawy ziemi krakowskiéj wedle woli swojéj urządził, a miasto pod obroną załogi niemieckiéj zostawując, sam w lutym 1289 roku do Wrocławia wracał (2).

Ale już gromadziły się sprzymierzone wojska; na ich czele bracia Leszka Czarnego, Władysław Łokietek książę sieradzki, i Kazimierz książę łęczycki, a z nimi posiłki Przemysława księcia wielkopolskiego, i Mestwina, księcia pomorskiego; daléj Bolesław książę płocki i krakowski w zgodzie z bratem swoim Konradem księciem mazowieckim, który z pomocą Mścisława Daniłowicza księcia brzeskiego i włodzimierskiego i wojewody jego *Czudina*, zawojował sobie na czas krótki księztwo sandomierskie (3).

Sprzymierzeńcy dognali Szlązaków w *Siewierzu*, niedaleko Bytomia i granicy szlązkiéj, i 26 lutego wszczęła się bitwa zażarta, zakończona świetném zwycięztwem Polaków. Mnóstwo rycerzy szlązkich i niemieckich pod mieczem zginęło, wielu żywcem dostało się w niewolę (4). Smutny los spotkał *Przymka* księcia sprotawskiego, przez matkę Salomeę, siestrzana Przemysława gnieźnieńskiego. Biédny młodzian jakby przewidując śmierć przedwczesną, przyjął kommunią świętą, i testamentem zapisał wsie *Lososiewice* i *Ziarkow* klasztorowi lubiążskiemu, w którym miał być pochowany. Wśród bitwy rzucili się na niego Sieradza-

(1) *Statim Henricus dux Wratislavie venit, cui civitas per carnifices tradita. Castrum per Sulconem et multa mala orta sunt in terra.* Roczniki Thratki pod r. 1288. Z nich *Długosz* VII, p. 851.

(2) *Roczniki Anon. krak.* l. c.

(3) *Kronika wołyńska* (T. II, str. 225) pod rokiem 1289.

(4) *Duces in Sevijor bellum committunt, Boleslaus Masovie. et Cuijavie, cum Zlesiensibus et vincunt. Multos in captivitatem ex Zlesiensibus et Theutonicis occiderunt:* Roczniki *Thratki* pod r. 1289. Porównać *Rocz. An. krak.* l. c. *Długosz* VII, p. 854, ale mylnie pod r. 1290.

nie, a schwytawszy go, obdarli, i mieczami, włóczniami okrutnie zabili (1).

Po tém zwycięztwie poszli sprzymierzeńcy pod Kraków, i przedmieścia zajęli; ale napróżno kusili się o zamek warowny, przez wierną Henrykowi załogę broniony. Mieszczanie nawet nie chcieli bić się z załogą zamkową, mówiąc: „*Kto panuje w Krakowie, ten jest nasz książę*". Bezczynnie stali książęta przed zamkiem. Przybył do nich i *Lew Daniłowicz* książę halicki, z rotami swojemi; pod Tyńcem i w innych miejscach bił się ze Szlązakami, ale widząc że zamku obronnego nie weźmie, zwłaszcza że Polacy sami niebardzo mu radzi, puścił się na Szlązk, i cały kraj pomiędzy *Nissą* a *Grotkowem* spustoszył (2).

Za jego przykładem musieli i inni książęta odejść, Władysław Łokietek zaś dwukrotnie pod *Skałą* i pod *Świątnicą* Szlązaków i Niemców poraził (3). Poddał mu się nareszcie Kraków, za wpływem Pawła z Przemankowa i przychylnego mu rycerstwa, ale nie na długo, bo w tym samym roku jeszcze, za nadejściem nowego wojska szlązkiego, mieszczanie krakowscy powtórnie poddali miasto. Łokietek ledwie umknął piechotą z klasztoru Franciszkanów, i w ich habicie (pisze Długosz); biskup Paweł uwięziony został, wielu rycerzy zabito, ziemię spustoszono, „*i coraz gorzéj było*", pisze rocznikarz (4).

O tém trzeciém uwięzieniu Pawła z Przemankowa, nie znajdujemy szczegółów w przed-Długoszowych rocznikach, ani w Długosza Historyi, ani w szlązkich kronikach; *Starowolski* (w Żywotach biskupów krakowskich) wspomina tylko, że Henryk odesłał wkrótce biskupa do Łokietka. Straty zaś jakie poniósł w ornatach, sprzętach i księgach kościelnych, hojnie wy-

(1) *Chron. Princip. Polon.* (u *Stenzla* Scrip. Rer. Siles. T. I, p. 148). *Röpell* T. I, p. 544 przez pomyłkę datę bitwy na 24 marca, zamiast 26 lutego naznacza.

(2) *Kronika wołyńska* T. II. p. 225, ale pod r. 1290 i 1291: oczywiście błędnie, bo podówczas już Henryk ks. wrocławski nie żył. Także *Brevis Chron. Siles.* (u *Stenzla Scrip. Rer. Siles.* T. I, p. 35).

(3) *Circa Scalam perierunt milites multi; in Swetnicz Dux Wladyslaus dictus Loctek cum Teuthonicis bellum committit et vicit eosdem.—Roczniki Thratki* pod r. 1289.

(4) *Civitas denuo Cracoviensis Zlesiensibus traditur et dux Wladislaus pedestre vix effugit. Episcopus Paulus captivatur et milites multi occiduntur et multa mala aucta sunt.—Roczniki Thratki* pod r. 1289. Także *Ann. Crac. maj. Długosz* VII, p. 854, ale mylnie pod r. 1290.

nagrodził mu testamentem swoim, w wigilią św. Jana (23 czerwca) 1290 roku pisanym, a po którym w dni kilka umarł.

„Ziemie nasze: Kraków i Sandomiérz, do władania któremi prawnie i szczęśliwie przyszliśmy nie bez wielkiego kosztu i trudu, Przemysławowi panu i księciu wielkopolskiemu na dziedzictwo oddajemy; polecając naszym baronom, rycerzom i wazalom, wójtom, mieszczanom i ogólnie wszystkim poddanym naszym, aby na mocy złożonéj nam przysięgi, dziedzicom naszym poddali się i zgodnie ulegli..... Chcemy zaś i rozkazujemy, aby książę polski, dziedzic nasz w ziemi krakowskiéj, do kościoła św. Wacława w Krakowie, dla zbudowania nowego klasztoru (*monasterium*), dał sto grzywien złota. Chcemy także, aby ornaty, księgi i sprzęty kościelne krakowskie i tynieckie, zwrócone były kościołom przez posiadaczy, jacybykolwiek byli“ (1).

Na mocy tego testamentu, potwierdzonego przez papieża Mikołaja IVgo (2), Przemysław książę wielkopolski przybył do Krakowa, i objął w nim panowanie, jak świadczy przywiléj nadany przez niego kościołowi miechowskiemu 6 września 1290 roku, jako książę polski i krakowski, a którego świadkami byli: hrabia *Żegota* kasztelan, i hrabia *Mikołaj* wojewoda krakowscy (3). Na prośbę Pawła z Przemankowa, darował téż Przemysław wiecznemi czasy dziesięcinę z żup solnych kościołowi krakowskiemu, przymuszając żupników do jéj wypłacania, zagrożeniem klątwy kościelnéj (4). Niedługo jednak bawił w Krakowie, jak z dyplomatów jego w listopadzie tegoż roku z *Pyzdr* i z *Dłuska* datowanych widzimy; ale do końca roku używał w tychże dyplomatach tytułu: *księcia polskiego* i *krakowskiego* (5). Władysław

(1) *Testament Henryka*, u *Stenzla*: *Urk. z. B. Breslau*, p. 252 i 257.

(2) Bullą z 29 września 1290 roku.

(3) *Nakielskiego* Miechovia, str. 214.

(4) *Hujus contemplacione et intercessione Premislaus Dux Polonie et Cracovie decimam in Zuppa Ecclesie Cracoviensi perpetuo contulit et donavit*; *Zupparios ad solucionem ejus, ecclesiasticis censuris compellendos subijciens.— Długosz w Żyw. bisk. krak.* (Mss. bibl. *Zamojskich*). Musiał potwierdzić tylko przywilej Bolesława Wstydliwego z d. 23 czerwca 1250 r. nadający dziesięcinę z soli bocheńskiéj kościołowi krakowskiemu (*ks. Gładyszewicza Żyw. Bł. Prandoty*, str. 202).

(5) *Nakielskiego*: *Miechovia*, str. 216. *Kodex Dyplom. Wielk. Polski Raczyńskiego* str. 81.

Łokietek księztwo sandomierskie (krótko tylko chyba przez Konrada mazowieckiego posiadane), posiadł (1).

Ale stronnictwo niemieckie, do którego przyłączyła się podobno i wdowa po Leszku Czarnym, Gryfina, nie dawało Przemysławowi spokojnie panować w Krakowie. Zaprosił go do Pragi siostrzeniec Gryfiny, Wacław król czeski (który we dwanaście lat później miał się z córką jego Ryxą ożenić). Tam chytrością, prośbami i pieniędzmi, wymógł od niego odstąpienie mu praw swoich (2). Odtąd przestał Przemysław tytułować się księciem krakowskim, a tylko polskim, a wkrótce pomorskim nazywać się zaczął (3). Tobiasz biskup pragski przyjechał do Krakowa, objąć rządy w imieniu Wacława, którego władzę uznali rycerze krakowscy; jak np. kasztelan ze Skały, listem z 7 lutego 1201 roku, co ma się dotąd w archiwum pragskiém znajdować (4). Władysław Łokietek tymczasem opanował Wiślicę i Oblekom, i woj-

(1) *Henricus Dux Wratislavie et Cracovie obiit. Primislius Cracoviam obtinuit, Wladislaus Sandomiriam.* Roczniki Thratki pod r. 1290.

(2) *Terra Cracoviensis Regi Bohemie traditur per ducem Polonie Premislium et Episcopus Bambergensis* (sic) *venit cum exercitu regis Bohemie.—Roczniki Thratki* pod r. 1291. *A* w *Roczn. Anon. krak.* w Mss. *Ottobonianskim* poprawny text (*odmienny* od Mss. *willanowskiego* i od drukowanego w Sommersb. T. II, str. 95) tak brzmi: *Cum in Wratislavia languescens diucius ad portas mortis appropinquasset.* (Henryk) *Ducatum Cracoviensem quasi in testamento legavit Przemislio Duci Poznaniensi, cujus filiam iam pridem copulaverat sibi matrimonialiter* (zamiast *Henrici filius nomine*) *Wenceslaus Secundus Rex Bohemie: qui tandem ad se Pragam eodem Socru invitato,* (zamiast *eodem Sacra invitato*) *ipsum precio circumveniens et precibus, ab eo Ducatum Cracoviensem tanquam et dolosus sapiens sibi dari et assignari procuravit, ejus que nanciscens possessionem plenam dominii* (*Demum* w Mss. *willan.*) *cum exercitu valido et forti Poloniam* (*intravit*, dodano *w Sommersbergu*) *et Cuiaviam ingressus, ducem Wladislaum cognomine Loctek de Cuijavie et Siradie terris potenter expellens.* Do tego przydał kronikarz czeski *Pulkawa*, i *Długosz*, a za nim wszyscy inni historycy, zapisy *Gryfiny*, jakoby przez nią od *Leszka Czarnego* otrzymane, a *Wacławowi Czeskiemu* ustąpione, o których *Palacki* w krytycznéj historyi swojéj czeskiéj (T. II, str. 365), ani żadne inne dawniejsze źródła czeskie ani polskie (dotąd znane) nie wspominają.

(3) *Dyplomat* z d. 28 sierpnia 1291 r. z *Dluska. (Dypl. Rzyszcz.* i *Mucz.* T. I. str. 138), a z d. 18 października 1291 z *Gniezna* (*Dyplom. Wielko-P. Raczyń.* str. 140).

(4) *Palacki* T. II, str. 365.

sko czeskie zwycięzko zpod Sandomierza odparł (1). Odtąd nazywał się już *księciem sandomierskim, kujawskim* i *sieradzkim*, jak to w dyplomacie w Lelowie 1291 roku, bez oznaczenia dnia wydanym, widzimy. Jako świadkowie wymienieni są: *Świętopełk* wojewoda krakowski (za Przemysława był *Mikołaj*), *Otton* wojewoda sandomierski, kasztelan sandomierski z imienia niewymieniony i *Zbigniew* kasztelan sieradzki (2).

Jaki udział w tych ważnych wypadkach krajowych miał biskup krakowski Paweł, zamilczają spółczesne, a także późniejsze (nawet Długoszowe) świadectwa. Musiał więc wpływ jego ustać wśród rozdartego wojną domową kraju.

Rycerstwo małopolskie trzymało ciągle z Łokietkiem, który ziemię sandomierską i część krakowskiéj trzymał; i ciągłemi napadami trapił Kraków i wierne Wacławowi ziemie. Na początku 1292 roku, przybyli do Pragi posłowie z Krakowa donosząc o smutnym stanie kraju, i o pomoc prosząc. Król Wacław wezwał *Ottona*, margrabiego brandeburskiego (jednego z przyszłych zabójców Przemysława) do Opola, passował go tam na rycerza, i z połączonemi wojskami weszli do Krakowa, gdzie Wacław, jako pan, z radością przyjęty został. Ztamtąd poszli pod Sieradz, gdzie się Łokietek z bratem swoim Kazimierzem łęczyckim zamknęli. Przemożną siłą zdobył zamek król czeski, w sam dzień św. Wacława, patrona swego (28go września), i obu książąt w niewolę dostał (3).

Piérwszych dni października, w przytomności *Jakóba Swinki* arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupów pragskiego i ołomunieckiego, *Bolesława* księcia mazowieckiego (a niedawno jeszcze krakowskiego), i wielu książąt szlązkich i rycerstwa, musiał Władysław Łokietek zrzec się na osobę Wacława króla czeskiego wszelkich praw, *jakie mu służyły lub zdawały się służyć* (*competebat, vel competere videbatur*) do ziem krakowskiéj i sandomier-

(1) *Wladislaus Dux Wyslticiam et Oblekom expugnavit, et exercitus Bohemicus a Sandomiria confusus discessit.—Roczniki Thratki* pod r. 1291.

(2) *Dyplomataryusz Rzyszcz.* i *Mucz.* T. I, str. 142.

(3) *Franciszek Praski* pod r. 1292. *Benessius de Weitmil* pod tymże rokiem, ze źródeł polskich dawniejszych. *Roczniki Thratki* pod r. 1292: *Eodem anno Rex Bohemie Syracz acquisivit*, i *Roczniki Anon. krak.* (u *Sommersb.* T. II, str. 95) już cytowane z mylnym dodatkiem o koronacyi Wacława przez Jakóba arcybiskupa w Gnieznie. *Długosz* T. VII, p. 863.

Biblioteka Sejmu Szlacheckiego

skiéj, a z pozostałych przy nim *kujawskiéj* i *sieradzkiéj*, królowi, jako książęciu krakowskiemu hołd i wierność pod przysięgą złożyć. A 13 października wydał list na to, że w przeciągu dni czternastu, mieszczanie z *Brzeźnicy* i z *Brześcia* przysięgną jako rękojemcy za niego; a w razie gdyby sam przysięgi nie dotrzymał, księztwa kujawskie i sieradzkie, tém samém do Wacława przechodzić miały (1). Tak więc Wacław król czeski, już jako książę krakowski i sandomierski do Pragi powrócił, a za nim zapewnie i ciotka jego Gryfina, która w lat kilka późniéj w Pradze umarła, i w kościele Franciszkańskim św. Jakóba, przy siostrze Kunegundzie czeskiéj, pochowana.

Skłaniał głowę przed koniecznością Łokietek, ale nie rozpaczał o sobie i o kraju. Niespełna we trzy miesiące późniéj, ten sam *Władysław Łokietek*, jako książę kujawski i sieradzki, wraz z bratem *Kazimierzem* księciem łęczyckim, i *Przemysławem* II księciem polskim, w Kaliszu, w oktawę święta Trzech Króli (14 stycznia) 1293 roku, *jako dziedzice krakowscy* (*heredes Cracovie*) obiecywali *Jakóbowi* arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, w nagrodę szkód kościołowi metropolitalnemu wyrządzonych, z powodu wojen o ziemię krakowską i sandomierską wszczętych, 300 grzywien srébra z Wieliczki. A wypłacić miał je którybykolwiek z nich pierwéj dostał się na księztwo krakowskie (2).

Tego związku świętego, nie doczekał się już biskup krakowski. Modłom św. Kingi już raz winien był życie, gdy wśród bolów straszliwych na kamień i rupturę, oddał się był w ręce chirurgów, i po dokonaném przecięciu, trzy dni i trzy nocy nawpół żywy się męczył (3).

Teraz przy schyłku 1292 roku, w miesięcy kilka po błogosławionéj śmierci św. Kingi, 29 listopada, we dworze biskupim

(1) Dyplomata przez *Palackiego* z Pragi kommunikowane *Röpellowi* i w wyjątkach drukowane przez niego. T. I, str. 690 et seq. Oryginały, oraz tranzumpta z r. 1340 mają być w archiwum pragskiém zachowane. *Palacki* T. II, str. 307.

(2) *Omnes et singuli et qui libet nostrum ante dictum Cracoviense, dominium accedentes quandocunque trecentas marcas argenti in Zuppa majori ducatus ejusdem.... permittimus et ex nunc quantum in nobis est, et quantum nobis de jure competit vel competet in futurum.... jure hereditario damus et conferimus perpetuo possidendas.* (*Dyplomataryusz Wiel. Polski Raczyńskiego* str. 84).

(3) *Długosz* w Żywotach biskupów krakow., a za nim *Starowolski.*

Tarsku, Paweł z Przemankowa niecny i burzliwy żywot zakończył; a w katedrze krakowskiéj pochowany został, na stolicy biskupiéj przesiedziawszy niegodnie lat dwadzieścia sześć (1). „Mąż okrutny, cielesny i światowy (pisze *Długosz* w Żywotach biskupów krakowskich), rzadko kiedy za ciężkie zbrodnie wyrzutami sumienia trapiony" (2).

Obraz jego życia w sześciu wierszach skreślił *Krzysztof Kątski*, który przy końcu XVI wieku żywoty biskupów krakowskich wierszami po łacinie opisał.

Hinc silvae placuere magis quam templa, canesque
Quam grex, vel populus Christe benigne, tuus.
Quid venandum inter caesus? quid rapta sacerdos,
Quid monitor clerus, carcere pressus ait?
Cuncta licent, non cuncta juvant, dabit improbus omnis
Poenas, acri oculo, cuncta vidente Deo (3).

czyli po polsku:

On w borach, nie w kościele miał upodobanie;
Psy przekładał nad trzodę, lud twój, Chryste Panie.
Cóż, na łowach zabity? Mniszka uwiedziona?
Cóż księży strofujących wolność pohańbiona?
Wszystko można, nie wszystko służy, a zbrodniarze,
Bystrém okiem Bóg wszystko widzący ukarze.

Niecnym był jako człowiek i jako kapłan *Paweł z Przemankowa*. Jako pan krakowski, przedłużał tylko szereg potężnych i dumnych możnowładców, którzy zacząwszy od *Sieciecha i Skarbimira*, a kończąc na *Wincentym z Szamotuł*, trzęśli powagą książęcą, i uginali ją pod jarzmo baronów.

Dzielność Władysława Łokietka, którego gwiazda już w opowiadaniu naszém świtać zaczyna, przytarła wprawdzie ich dumę pod odnowioną koroną królewską. A Kazimiérz Wielki i pra-

(1) *Paulus Episcopus Cracovie obiit.—Roczniki Thratki* pod rokiem 1292. Także *Długosz* w Historyi T. VII, str. 865, i w *Żyw. bis. krak.* a za nim *Starowolski* i *Nakielski* (*Miechovia*, str. 219); ale ci ostatni przez pomyłkę każą mu siedzieć na stolicy biskupiéj lat 28, zamiast 26, a jednak poprzednik jego *Prandota* umarł 20 września 1266 roku, a Paweł z Przemankowa 29 listopada 1292 r.

(2) *Vir crudus, terrenus et mundanus, et qui super facinoribus gravibus rare conscientie remorsu tangebatur.* (Mss. bibl. *Zamojskich*).

(3) *Christophori Kątski*: Vitae Archiepiscopum et Episcopum Cracoviensium. *Cracoviae*, ap. Lazarum, 1593.

wami i warownemi zamkami utrzymywał ich w uległości, póki frymarki o tę samą koronę, co władzę książęcą wzmocniła, nie oddały znowu władzy królewskiéj na łup rozrodzonego już na kastę szlachecką rycerstwa.

Paweł z Przemankowa, jako możnowładca, miał nawet barwę narodową, trzymał się bowiem stronnictwa książąt krajowych; a w obozie przeciwnym widzimy Niemców, mieszczan krakowskich i zniemczałych Piastów szlązkich, i Przemysławowiczów czeskich.

Około téj głównéj postaci historycznéj staraliśmy się ugrupować sceny z rozmaitych warstw towarzystwa ówczesnego. Świętość niewiast książęcego rodu, i powaga wyższego duchowieństwa, blaskiem swoim zaćmiewają gusła, zabobony i zbrodnie pojedyńczych osób. Dzielność rycerzy na niejednem polu bitwy, wawrzynem zdobiła niezawsze wierne orężе. Miasta w perzynę obracane, z ludnością uprowadzaną w niewolę przez Tatarów i Litwinów, gdzieniegdzie tylko, za warowniami zamków, przyjmują obcy żywioł niemiecki. A pod tém wszystkiém lud biédny (*pauperes* w urzędowym języku) tyle tylko wspominany jest w dziejach, o ile tam mowa o *stróży*, o *osepie*, *narazie*, daninach wszelkiego rodzaju, służebnościach najrozmaitszych, (*angaria et perangaria*), lub karmieniu łowczych i psów książęcych, i pilnowaniu bobrów i sokołów; dopóki głos z Watykanu za tyle ucisków klątwą nie zagrozi!

Obok wyższego ukształcenia bardziéj zbliżonych do Zachodu księztw polskich, a zwłaszcza w duchowieństwie, lepiéj odbija patryarchalna prostota obyczajów ruskich, którą *Kronika wołyńska* z naiwnym wdziękiem oddaje.

Odkrycie nieznanego dyplomatu Pawła z Przemankowa było powodem do téj pracy historycznéj; wyjaśnienie niektórych faktów, sprostowanie niektórych dat, podanie niektórych szczegółów z niewydanych dotąd, lub mało znanych źródeł: przedłużyły ją nad zakres zamierzony, nie bez mozolnego a sumiennego trudu dla piszącego, a z pożytkiem niewielkiéj może liczby czytelników.

Pisałem w Warszawie,
d. 7 marca, 1851 r.

DODATEK Iszy.

Ugoda Pawła z Przemankowa z Leszkiem Czarnym z d. 8 grudnia 1284 r., (z oryginalnego dyplomatu Pawła, na pargaminie, z zawieszoną pieczęcią biskupa krakowskiego, przechowanego w archiwum książąt Sanguszków w Zasławiu wołyńskim).

In nomine Domini Amen. Quamvis eterni patris filius a summo celo egrediens in hunc mundum pro humani redempcione generis, et salute, multa precepta instituerit salutaria; tamen in sinum patris unde venerat, regressurus, suis discipulis per quos orbem instrui voluit universum, pacem que caritatis est vinculum rèliquit servandam firmiter et tenendam. In pace namque quies corporis, tranquillitas animorum et votiva rerum opulencia precepto accedentes comprobantur. Que et si ex divine institucionis amplitudine ad omnes et singulos observacionis sue extendentes debeat incrementa, tamen ampliori sinceritate inter eos ipsam fore convenit radicatam qui eidem precepto presidere superna gracia dignoscuntur. Proinde Nos Paulus divinâ miseracione Episcopus Cracoviensis notum esse volumus omnibus hanc paginam inspecturis quod illustris princeps dominus Lezstko, dei gracia Dux Cracovie, Sandomirie et Syradie, ad intemerata pacis et concordie federa desiderio ferventi accedens, nobiscum ipsam pacem, omni sopità discordiâ reformavit et concordiam fecit perpetuam tali pacto: Quod pro nostrâ captivitate et detentione, nec non aliis injuriis et offensis omnibus in nostra persona tam Pontificij dignitati quam ecclesie nostre per ipsum quomodo libet irrogatis satisfaciens, nobis spopondit et promisit bona fide sex milia marcarum argenti, infra sex annos continuos, ab hoc tempore plene et integre persolvenda. Ita quod in tribus milibus marcarum, nobis suam civitatem que Chorcijn antiquitus vocabatur, cum omnibus eiusdem civitatibus iuribus solucionibus, iudiciis, iudicato, questibus, usufructibus et attinenciis universis ad ducatum pertinentibus tam diu obligavit, in possessionem civitatis ipsius nos mittendo quousque totalis eadem pecunia trium milium marcarum argenti nobis integre

exsolvantur. Hoc tamen pro ipso domino duce salvo, quod si infra annum iam incipientem currens nobis mille marcas exsolverit tunc sibi licebit aliud tradere nobis pignus eque bonum pro duobus marcarum milibus, et prefata civitas ad suum dominium revertetur. Omnes autem questus, soluciones, et usus-fructus ex ea civitate, eo tempore quo eam possidebimus, computabuntur in sortem et solucionem pecunie supradicte. Addidit eciam nobis villam suam in Deruzna quod Chonarij nuncupatur totam integre cum omnibus ibidem incolis ad ducatum pertinentibus, ut nobis tunquam ipsi domino duci infra eosdem annos III omnibus obnoxij teneantur. In alijs vero tribus milibus marcarum nobis dedit et assignavit hos fideiussores suos Barones, videlicet *Janussium*, Castellanum Cracoviensem, *Otham* palatinum et *Marcum* Castellanum Sandomirienses, *Sulconem*, Castellanum Wizliciensem, *Johannem* Castellanum Lublinensem, *Petrkonem* Castellanum de Radom, et *Suntoslaum* Castellanum de Woynich. Quos et eorum universa et singula bona tam mobilia quam immobilia, tam diu assignavit nobis, super eadem solvenda pecunia totali obligans fideiussoriâ caucione, donec eadem tota pecunia trium milium marcarum argenti nobis integre persolvatur. Hii eciam omnes fideiussores ad hoc ipsum sese per publicam et sollempnem stipulacionem, voluntate propria obligantes nobis unanimiter subiecerunt. Item prefatus dominus dux promisit propter Deum et suorum remissionem peccaminum, maxime in augmentum predicte satisfactionis quomodo gentilibus et paganis, cum voluerint irruere super dijocesim Cracoviensem, resistet pro sua possibilitate, cum baronibus supradictis. Hec igitur omnia et singula faciens de communi consensu prout et assensu suorum omnium Baronum, promisit nobis vera fide rata habere et firma tenere, et non contra facere, non venire iure vel ingenio aliquo, sive facto. Promisit eciam nos et ipsam ecclesiam debito affectu diligere, honorare, omnique devocione prosequi, et ut Episcopum reverencia filiali. Ea propter Nos videntes ipsum sincera devocione et devoto animo ad meritam pacem et concordiam accedere, omnem rancorem nostri animi deponentes, ipsius satisfactionem ratam habendo, gratantissime acceptamus et promittibus de cetero ipsum versa vice diligere et in omnibus confovere ac suo dominio cooperari per omnia et honori. In horam itaque omnium evidentiam meritum et evidens testimonium presentes conscribi fecimus et nostri sigilli munimine roborari. Actum publice Gra-

covic, anno domini MCCLXXX quarto indictione XII, VI Idus Decembris. Presentibus prefatis Baronibus, nec non hijs viris honorabilibus ac discretis, dominis *Alberto* decano, *Wenceslao* preposito, *Procopio* scolastico, *Paulo* cantore, *Michaele* custode, *Jacobo*, archidiacono Sand. et aliis multis canonicis Cracoviensi bus et quamplurimis militibus.

DODATEK IIgi.

Spis niektórych biskupów, oraz wojewodów i kasztelanów małopolskich między r. *1271 a 1291*, z Niesieckiego; poprawiony i pomnożony wedle źródeł w poprzedzającém opowiadaniu przytoczonych (1).

1. *Gnieźnieńscy arcybiskupi.*

Janusz, do 26 sierpnia 1272 r.
Przez lat sześć wakans.
Marcin (kronikarz), od 23 maja 1278 r. do końca roku 1279.
Przez lat cztery wakans.
Elekt Włościbor, od 23 grudnia 1279 r.
Nominat Henryk z Brenu, od 23 grudnia 1281 roku.
Jakób (Swinka), od 30 lipca 1283 r.

2. *Krakowscy biskupi.*

Paweł z Przemankowa, od 28 października 1266 r. do 29 listopada 1292 r.

3. *Mazowieccy biskupi.*

Piotr, żył jeszcze 1270 i 1271 r.
Tomasz — 1285 r.

4. *Lubuscy biskupi.*

Wilhelm, 1270 i 1271 r.
(*) Konrad, 1285 r.

5. *Kasztelani krakowscy.*

Warsz, 1271—1280.
(*) Janusz, 1284.
Sulko, 1286, 1287, 1288.
Żegota, 1290.

6. *Wojewodowie krakowscy.*

Piotr, 1271—1280.
Żegota, 1282—1284.
(*) Piotr, 1286, 1287, 1288.
Mikołaj, 1290.
(*) Świętopełk, 1291.

7. *Wojewodowie sandomierscy.*

Janusz, 1271—1280—1282.
(*) Otton, 1284—1285.
Boxa, 1286—1287.
(*) Otton, 1291.

(1) Znak ten (*) oznacza wcale niewymienionych w *Niesieckim*, nawet w edycyi lipskiéj. Lata są te, pod któremi wzmiankują o nich źródła w poprzedzającém opowiadaniu wzmiankowane.

8. *Kasztelanowie sandomierscy.*

(*) Marek, 1284.
Mikołaj, 1286, 1287, 1288.

9. *Kasztelani wiślicey.*

(*) Dobiesław, 1271.
(czy Bolesław).
(*) Sulko, 1284.
(*) Świętosław, 1286, 1287, 1288.

10. *Kasztelani lubelscy.*

(*) Jakób, 1271.
(*) Żegota, 1280.
(*) Jan, 1284—1285.
(*) Floryan, 1286.

11. *Kasztelani wojniccy.*

(*) Świętosław, 1284—1285.
Andrzej, 1287.

12. *Kasztelani radomscy.*

(*) Piotr, 1284.

13. *Wojewodowie sieradzcy.*

(*) Sieciech, 1271.
(*) Zawisza, 1285.
(*) Stogniew, 1286.
Maciéj, 1287.
Piotr, 1287—1288.
Zawisza, 1291.

14. *Kasztelani sieradzcy.*

(*) Przedwój, 1271.
(*) Zawisza, 1273.
(*) Tomasz, 1274.
(*) Maciéj, 1286.
(*) Paweł, 1287.
Marcin, 1290.
(*) Zbigniew, 1291.

15. *Kasztelani małogoscy.*

(*) Boxa, 1271.

16. *Kasztelani brzescy.*

(*) Smilon, 1271.
(*) Marcin, 1278—1280.
(*) Krystyn, 1282.
Przecław, 1291.

17. *Kasztelani sandeccy.*

(*) Lassota, 1271.

18. *Kasztel. rudzcy (wieluńscy).*

(*) Syxtus, 1271.
(*) Sędziwój, 1284.

19. *Kasztelani starogrodzcy.*

(*) Mroczek, 1271.

20. *Wojewodowie mazowieccy.*

(*) Menera, 1271.
(*) Getko, 1273—1286.

21. *Wojewodowie czerscy.*

(*) Mancina, 1271.

NOWA EPOKA
LITERATURY HISTORYCZNÉJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Materyały historyczne wydane w Warszawie.

Inne przedruki. — Pomniki Kraszewskiego. — Stryjkowski.

(ciąg dalszy).

Kraszewski także wziął się do przedruków broszur dawnych. Myśl ta dawno w nim powstała i sięga chwili piérwszych jego marzeń młodzieńczych, kiedyto jeszcze za wszystko chwytał z zapałem, kiedy myślał nawet o pisaniu słowników i o układzie grammatyki porównawczéj słowiańskich narzeczy. Kraszewski stworzył wtenczas i plan do *archeoteki*. Miał to być przedruk wszystkich broszur i pism dawnych, coby w czémkolwiek wyjaśniały albo dzieje narodu, albo jego obyczaje. Przez gazety wzywał wtenczas uczonych, żeby mu dostarczali rzadkości; nawet katalog tych poszukiwanych przez siebie rzadkości, ogłosił. Rzecz cała wzięła pozór prawdy, ale skończyło się wszystko li tylko na projekcie. Ze wspaniałych ruin téj archeoteki, zostały się obłamki tylko, które wyszły u Orgelbranda w Warszawie, pod tytułem: *Pomników* (1).

(1) Pomniki do historyi obyczajów w Polsce z XVI i XVII wieku, wydane z rzadkich druków przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa, nakładem S. Orgelbranda, 1843, w 8ce, str. 269.

W *Pomnikach* tych, Kraszewski drukował obyczajowe broszury, żeby tę stronę dziejów kraju wyświetlić. Dawniéj, powiada, nie uważano na rys obyczajów, nie myślano, żeby on był potrzebny do całości obrazu, który jak najbardziéj heroicznym starając się uczynić, wymazywano szczegóły. „Ale są przecie i całe pisemka, jakby naumyślnie przeznaczone dla nas, a swego czasu wzgardzone i na pastwę niższym klassom rzucone. Takiemi są owe Albertusy, Klechy, Rybałty i t. d. A one przecie objaśniają nas bardzo; nie żebyśmy na wiarę ich, wszystko co skarykaturowane widzimy, za świętą prawdę przyjmować mieli, ależ i w karykaturze jest pierwiastek prawdy, jest cecha jakaś z natury wzięta. Pisemka drobne, mianowicie wierszem, wystawujące śmieszną stronę różnych klass, składają, wedle nas (bardzo być może, że się mylim), dość ważny pomnik do historyi obyczajów".

Kraszewski się nie myli; wié o tém lepiéj, niż bardzo wielu z jego czytelników.

„Zdało nam się przeto zbytecznem (może ze zbytniéj troskliwości) wydać dziś rzadsze, drobne pisemka polskie XVI wieku".

Nie zbytnia tu wcale troskliwość, a myśl szlachetna w wydaniu Pomników. My powiemy: *zbytnia* Kraszewskiego *skromność*, że się tak wyraża. I jeszcze jeden dowód przytoczym téj skromności:

„Wybraliśmy teraz kilka pisemek na początek, probując, uzna-li czytająca powszechność nasza publikacyą tę użyteczną, jakbyśmy chcieli, i ciekawą. Jeśli tak będzie, chętnie damy następnie, co zkądkolwiek wydobyć się nam uda" i t. d.

Publiczność takie rzeczy przyjąć musi chętnie, i widziałaby z radością dalszy ciąg archeoteki, którego jednak nie widać dotąd. Kraszewski o tém nie może wątpić.

Jednakże musimy zrobić chociaż jeden zarzut znakomitemu pisarzowi. Kraszewski się przyznaje, że z pomników, które wydał, wiele wyrazów i wierszy opuścić musiał nie na jednem miejscu, bo, jak mówi, w teraźniejszym czasie serce się zepsuło, uszy się naprawiły. „Dawniéj nie wszystko złe myśli nastręczało; dziś boimy się słówka. Czy obyczaje na tém zyskały?—osądzą nas późniéj". Myśmy wyżéj przedstawili myśl naszę, co do wydawania dzieł dawnych. Podług nas, wydanie takie z umyślnemi opuszczeniami, to świętokradztwo.

Napróżno zatém uniewinnia się Kraszewski i przeprasza, że jeżeli zostało się co naiwnego, nie grubiaństwo pisarzy tu winą, i napróżno zasłania się Kochanowskim. Jeżeli Kochanowski *niewolen*

jest także tego grzechu, stanowiącego jednę z cech wieku, to Kraszewski opuszczając całe wiersze dla *chwalebnéj* choć *pozornéj skromności*, zatarł jednę z cech rodowych wieku. Kraszewski widocznie się plącze.

Mamyż tedy powiedzieć prawdę? Samo przyznanie się znakomitego wydawcy obaliło w nas wiele spółczucia dla jego *Pomników*. Jakażto dziwna rzecz w naszéj chwili, wstydzić się za przodków! Jakiżto grzéch, dla ich pamięci, ten wstyd fałszywy! boć Kraszewski mówi, że to tylko *pozorna skromność* i w nim i w czytelnikach wstyd obudza. Więc się sami zwodzim?

W Pomnikach są wydrukowane następujące broszury:

1. Albertus z wojny. Podług wydania dziedziców Jakóba Siebeneichera, w Krakowie, r. 1613.

2. Peregrynacya dziadowska, zwłaszcza owych jarmarczników, trzęsigłowów, w który sposób zwykli bywać na miejscach świętych; nie tykając tych, którzy sprawiedliwem karaniem Bożém nawiedzeni, przy kościele albo w szpitalach siedzą. Januarius Sowizralius. Annus Dominus § 31, 954, 730. Roku Pańskiego 1614.

3. O psiech gończych i myślistwie z nimi. W Krakowie, w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka, roku Pańskiego 1608.

4. Światowa rozkosz z ochmistrzem swoim i ze dwunastą swych służebnych panien; drukowano z poprawą roku 1624 (dzieło Hieronima Morsztyna).

5. Przesławnego wjazdu do Krakowa, i pamięci godnéj koronacéj Henryka Walezyusza Xiążęcia z Andegawy, z łaski Bożéj króla polskiego, Wielkiego Xięcia litewskiego, etc. tudzież na przodku niektórych postępków godniejszych posłów naszych we Francyéj, i w drodze z królem skuteczne wierszem opisanie. Przez Mathysa Strykowiusa Prekonidesa. W Krakowie, drukowano u Macieja Wierzbięty, typografa Jego Królewskiéj Mości, roku Pańskiego 1574.

Ciekawe z przeszłości naszéj figury Klechów, Albertusów i peregrynujących dziadów, jużeśmy dawno poznali. Sam Kraszewski, Wojcicki i Maciejowski, dostarczyli nam do charakterystyki tych figur wiele pięknych, interesujących zarysów. Tutaj, w *Pomnikach* Kraszewskiego spotykamy się już nie z kopiami tylko, a z samemi oryginałami.

W *Albertusie* nie ma akcyi; prosty dyalog tylko. Ksiądz wychodzi z domu i prawi sam do siebie o słudze swoim, co go był wyprawił na wojnę. Wtém nadjeżdża Albertus, ksiądz go wita, py-

ta się naprzód o konia, o przyłbicę, bo Albertus wrócił na jakiéjś nędznéj marsze i z czapką na głowie. Wojak wykręca się jak może, kłamie nieznośnie; ksiądz się dziwi, robi coraz nowe pytania i coraz więcéj plącze się Albertus: ale zmyślenie jedno wywołuje drugie zmyślenie, i ksiądz nareszcie przekonał się, i zaprasza na nowo Alberta do służby przy kościele. Dyalog wlecze się ciężko, nie ma w nim poezyi; wiérsz słaby, kulejący, ale jest bardzo często dowcip, ślady humoru polskiego i wyborny rys epoki.

Ksiądz poczciwosz sobie, największym krętarstwom uwierzył. Albertus zabawnie opowiada przed nim swoje waleczne czyny i zdobycze, a proboszcz się dziwi. Jest tu i trzeci, Wojtas, wplątany do rozmowy.

Peregrynacya dziadowska ma nierównie więcéj pod względem literackim, od Albertusa wartości. Pod względem dziejowym nie ma znowu sobie nic podobnego: tak dosadnie przedstawia starych dziadów naszych, oszustów pobożnych z rzemiosła. Kraszewski mówi, że *Peregrynacya* dostarczyć może kolorytu na wyborny rozdział romansu. Kraszewski się myli: w *Peregrynacyi* cały romans, cała strona charakterystyczna jednéj klassy ludu. W Zygmuntowskich Czasach, czy gdzieś indziéj, pamiętamy, czytaliśmy zajmujący rozdział, poświęcony charakterystyce dawnych dziadów; rozdział napisany z wielkim talentem, który najprzedziwniéj wydaje zdolności Kraszewskiego, do malowania takich małych obrazków. Znakomity nasz powieścio-pisarz nie ma dość cierpliwości w naturze swojéj, żeby wielką stworzył historyczną powieść, chociaż ma siły po temu; za to nienaśladowany w tych małych obrazkach, których nam tyle przedstawia. Obrazek dziadów o którym mówimy, wzięty jest żywcem z *Peregrynacyi*. W niéj opisany cały sposób ich życia, wykręty, sposoby, czary bab starych. Nazwiska dziadów dla nas będą zupełnie nowe, a jednak charakterystyczne; zdają się być dźwiękami jakiegoś tajemniczego, zaklętego języka. Chelpa, Lagus, Wyrwant, Taboła, Dygubcy, Łupa, Kalwica, Marek, Balabasz, Kubrak, Chorobo, Chrapek, Kula, Lobaj, Chmielasz, Drabant, Kuźma, Lech, Stypuła, Kropiński, Sztyła, Wichołek, Lepiarz, Korman, Pędziwiatr i t. d.

Broszurka o *Psiech gończych* wydaną została z *raptur*, które Jan Ostroróg kasztelan poznański, starosta malborski i garwoliński, dla jakiegoś myśliwego przyjaciela przepisywać kazał. Dlatego też Piotrkowczyk dedykował ją Ostrorogowi. Broszura dzieli się na trzy księgi: piérwszéj jest tylko fragment, trzeciéj początek, tylko druga cała. Opisawszy sposób, jakim się powinny chować

szczenięta, autor rozbiera przymioty psów podług *pięciorga misterstwa*, do którego są zdolne. Ztąd nazwiska rodzajowe psów: przejemca, popędźca, gońca, wyprawca i poprawca. Potém o zasadzkach, o sprzęganiu psów, o ich liczbie i t. d. Księgi trzecie mówią o myśliwcu i jego powinnościach.

Światowa rozkosz, często cytowana przez pisarzy naszych, jest poematem, w którym występuje ochmistrz rozkoszy: dostatek, za nim dwanaście panien służebnych, tojest: pompa, asystencya, kompania, dyeta (z dodatkiem: ale nie doktorska), pijatyka, podwika, muzyka, saltarella, krotochwila, gra, przejażdżka, uciecha. Na końcu wiersze: czas, nadzieja, cnota, złoto. Z samego już tytułu dziełka i nazwisk panien fraucymerowych domyśléć się można o treści całego poematu. Zbiór to satyr, które mają na celu wskazać na spółczesne zepsute obyczaje, kiedy się już zbytek wkradał w łono rzeczypospolitéj. Dodajmy do tego, że Morsztyn często błyszczy wyrażeniem poetyczném, a nawet poezyą. Wybornie określa błędy swojego czasu, i dlatego tak często cytują go starożytnicy nasi. *Światowa rozkosz* dedykowana jest Michałowi Zenowicowi wojewodzicowi brzeskiemu, dworzaninowi Jego Królewskiéj Mości, staroście ciecierskiemu i propejskiemu, w Krakowie, 1606 r.

Wjazd do Krakowa jest broszurą Stryjkowskiego, dedykowaną staroście grodzieńskiemu Alexandrowi Chodkiewiczowi. Wszystko wierszem, nawet dedykacya; jestto wiersz Stryjkowskiego, nieregularny, ciężki, bez żadnych ozdób i kwiatków. W *początku* opisuje kronikarz Litwy poselstwo polskie do Francyi, pożegnanie się Henryka z rodziną, i przybycie do Poznania. Potém *wjazd*; tutaj obrzędy koronacyi i uroczystości z tego powodu. W końcu broszury ceremoniał zwykły, używany przy koronacyach królów polskich, ale już prozą, bo Matys Prekonides nie mógł już łacińskich modlitw ułożyć wierszem ojczystym, i tutaj rad nie rad musiał porzucić rymy: wenę poetycką. Bo, że wena była i przy tym *wjeździe*, to świadczą wszystkie akcessorya użyte w opowiadaniu; np.

Nie wzywam tu Apollo ciebie z lutnią strojną,
Ni muzę z Helikonu was z wymową bojną;
Piszę prosto: prostości prawda potrzebuje,
A w Helikonie mównym często uchramuje.
Nie piszę tu Jowisza, jak się stał łabęciem,
Ni Wenery ognistéj z swém ślepém dziecięciem,
Ni jak Pluto o jabłka on wziął Prozerpinę i t. d.

Stryjkowski daléj powiada, że poetowie, kiedy co pisali, folgowali ozdobie słów i dlatego schodzili z gościńca. On więc szedł poprostu do prawdy, bo chciał być historykiem nie słów, ale rzeczy.

Dlatego *Wjazd do Krakowa* jest żywcem historyą, i ztąd cała jego wartość. Ceremoniał wydrukowany na końcu, dodaje w dwójnasób wartości rzadkiéj bardzo broszurze.

Sławny nasz poeta, wielki dziejopis litewski, ksiądz kanonik czy archidyakon żmudzki, jakoś bardzo wiele w naszych czasach zarobił na potężném literackiém znaczeniu. Śmieliśmy się dawniéj z niego, z jego zarozumiałości i z jego przygód, z jego dumy i szlachectwa, z jego nauki i z jego utyskiwań na ludzi, którzy mu wielkie dzieło skradli. A jednak zajmujem się dzisiaj Stryjkowskim więcéj, jak innym jakimbądź pisarzem złotéj epoki Zygmuntowskiéj. Pisał o nim Daniłowicz w rozbiorze kronik litewskich; Kraszewski poświęcił mu także kilka chwil pracy; Malinowski napisał osobno całe życie Stryjkowskiego, Ostrowski wydrukował świetną improwizacyą o nim i o ziemiach litewsko-ruskich. Pomyślano nawet o całkowitém wydaniu dzieł Matysa Ossostowicza w Warszawie wtenczas, kiedy Kraszewski drukował *Wjazd do Krakowa* w *Pomnikach obyczajów*. Czyż to wszystko nie dowód wysokiéj wartości dzieł historycznych, wielkiego rodzinnego poety z pól mazowieckich, którego Opatrzność ocaliła z pośrodka tylu niebezpieczeństw na lądzie i morzu, któremu podała rylec w rękę, żeby nam dzieje Litwy napisał? Będziem się jeszcze i dzisiaj śmiać z pretensyi, z dumy Stryjkowskiego, ale jednak inném już okiem na jego prace będziem spoglądali. Pamięci jego, chwile nasze prawdziwy pomnik wzniosły. Nie zdolnościom jednak swoim winien Stryjkowski to wysokie stanowisko, jakie dzisiaj w literaturze naszéj zajmuje, a téj okoliczności, że piérwszy dzieje Litwy pisać zaczął, i to w czasach, kiedy jeszcze miał pod ręką wiele latopisów dawnych, których my już nie mamy. Że treść wycisnął z tych pomników, że je przepisał w swoje dzieło; ztąd dzieło jego jest odgłosem wieków, encyklopedyą kronik litewskich i ruskich. Kto chce dzisiaj pisać o dziejach Litwy, na Stryjkowskim głównie opierać się musi, bo w nim skrystalizowane znajdzie najdawniejsze o przedchrześciańskich wiekach podania. To strona dodatnia kroniki, *która przedtém nigdy światła nie widziała*. Brak wszelkiéj krytyki i dlatego nieumiejętne zlepienie podań — to ujemna strona prac Stryjkowskiego.

Byłto w każdym razie człowiek zacny i sumienny, z małą nauką, ale z naczytaniem się ogromném. Lubo wierzył wszystkiemu, lada kronice, lada podaniu, przecież zawsze dla swojego opowiadania

szukał jakiéjś wiarogodności i powagi. Czasami zdobywał się nawet i na dziecinną krytykę. Stworzył cały systemat, o ile pozwalały mu na to zdolności. Mówił o sobie, że kronikę swoję napisał: „częstém ruszaniem z mózgu i z głębokich historyków." Więc w zapale nawet zacnych pisarzy oskarżał. Robił wyrzuty Miechowicie za plątanie wypadków, a sam przecież nie potrafił związać w jedno pięknéj, ogromnéj całości; początków Litwy nie odszukał, zamącił tylko podanie, z którychby prawdę wyłamać mogła dzisiejsza krytyka historyczna. W jego Kronice wiele tajemnic. Nie ma tam nic o społeczności, o prawach, o rządzie, o zwyczajach i przesądach narodowych Litwy, tylko kronikarska powieść. O pragmatyzmie dziejów nie miał Stryjkowski żadnego wyobrażenia: w jego pojęciu, Polska i Ruś i Litwa splątały się przypadkiem w jakąś dziwną całość. Nie widział w téj jedności Matys Ossostowicz wyższych celów; i co dziwniejsza, Mazur, ubolewał nad Litwą, nad jéj przeszłością, że zachodziła mgłą polską, zazdrościł rodzinnéj ziemi, że tak daleko wpływ na wschód posunęła pomiędzy Kunigasów, potomków Gedyminowych. To ogólne wady Kroniki Stryjkowskiego.

Ileż teraz dodatniéj siły zawiera w sobie to jego dzieło znakomite! Uczucie rodzinne powiewa w Kronice wszędzie i swobodnie. Stryjkowski na każdém miejscu widział Słowian, znajdował ich w odległéj jeszcze starożytności na ziemi, którą i za jego czasów zajmowali. Może miał nawet zawiele uprzedzenia o ich przedwiekowéj potędze, ale nie grzeszył za to dziwactwem, jak wszyscy prawie pisarze polscy mu spółcześni, którzy ród Słowian od Scytów, Gotów, Wandalów i Sarmatów wywodzili. Litwinów za to połączył ze wszystkiemi prawie narodami średnich wieków. Względem Niemców, Stryjkowski oddychał prawdziwie słowiańskiém uczuciem. Był dla nich surowy, często za gwałtowny, a jednak zawsze sprawiedliwy. I ta zacność jego charakteru, ta poczciwa myśl, wszędzie widoczna. Zajęty wielkością dawnych ludzi, których dzieje kreślił, porównywał przeszłość z obecnym czasem, i z goryczą powiadał, że za niego wszystko jakoś dziwnie maleje. A byłto jednak wiek Zygmuntów Jagiellońskich i Stefana Batorego! Stryjkowski nie łudził się nadziejami; jeżeli nie głową, to sercem pojmował jasno niebezpieczeństwa rzeczypospolitéj. Zbytek za jego czasów skaził czyste staropolskie obyczaje, a byłto już wszystkiego złego początek. Panowie się stroili w wymyślne ubiory, wydzierali sobie królewszczyzny i godności. Skromny pod tym względem kanonik żmudzki, powiada o so-

bie z chlubą, że beneficyów nie chwytał; ale nie mógł zdać sobie jednak sprawy, zkąd się przecież wzięło to łowienie. Wszędzie, na urzędy kościelne wynosiła wtedy, już nie zasługa wynagrodzona kanonicznym wyborem, ale łaska królewska i stosunki rodzinne, czasami nawet haniebne. Ztąd też Stryjkowski o nieszczęścia rzeczypospolitéj obwiniał i katolicyzm, bo katolicyzm pozwalał na straszne nadużycia. Przywiązany mocno do wiary ojców, nie zabronił sobie przecież szlachetnéj i zbawiennéj niepodległości względem Rzymu. Był człowiekiem śmiałym, otwartym, rznął wszystkim w oczy prawdę, a o resztę nie pytał. Prawdziwy typ dawnego, niezepsutego jeszcze cudzoziemskim duchem i krojem szlachcica.

W ostatnich czasach zwrócono jeszcze uwagę na jednę stronę podań naszego autora, stronę zupełnie dotąd zapoznaną; rzecz dziwna, że w ostatnich dopiéro czasach! Nowe odkrycie podniosło znakomitą ważność jego Kroniki. W Kronice swojéj Stryjkowski pisał wiele o wyborach książąt litewskich, i o wolnych głosach narodów sprzymierzonych. Opisywał sejmy, przytaczał nawet szczegóły rozpraw toczonych jakby w jakim senacie litewskim, albo w izbie poselskiéj. Mówiono nam długo, że to Stryjkowski Polak, Mazur, przeniósł z sobą do historyi litewskiéj wyobrażenia szlacheckie swojéj ojczyzny, że wszystkie te sejmy wylęgły się w jego imaginacyi, że te wybory, te narady sprzymierzonych z sobą ludów, wszystko to, jodném słowem, trąciło pojęciami polskiemi. Mazur więc, okiem szlacheckiém miał patrzéć na dzieje litewskie. A jednak ten Mazur nie domyśla się wcale i wypadków nie plącze; owszem, cytuje kroniki ruskie i litewskie, a co wyczytał w tych kronikach, podaje prosto bez objaśnień, bez tłumaczenia, i prawi przecież ciągle i upornie o elekcyi i o przyzwoleniu ogólném.

Jakoś teraz z inszego stanowiska zaczynamy spoglądać na te dawne stotunki Kunigasów z pierwotnemi ludami Wielkiego Księztwa. Zdaje się, że Litwa oswobodziła Ruś od jarzma Mongołów, i splotła się w związek federacyjny, ogromny, z całą tą massą ludności, prawie aż po krainy Dnieprowe. Ryngold nie był z dziedzicznego prawa panem Litwy, jak potém Giedymin nie był panem Litwy i Rusi. Obadwaj panowali przez wybór, przez zezwolenie narodów sprzymierzonych. Stryjkowski opisując czyny dawnych książąt, przy każdym powtarza starą piosnkę o téj elekcyi, o tém zezwoleniu Litwinów i Rusinów. Widać, że wyczytał te fakta w starych kronikach, które miał pod ręką, i że nie wprowadzał zawczasu sejmikowań polskich do Litwy. Epoka nasza, która nauczyła się cenić Matysa Osso-

stowicza, więcéj ma wiary w jego szczerość i miłość dla prawdy, jak w jego niby przekręcanie wypadków. Stryjkowski nigdy nie sfałszował historyi. Można go posądzić o brak krytyki, ale nigdy o fałsz umyślny albo dobrowolny. To przekonanie czerpiem z jego charakteru, jako człowieka i jako pisarza.

Dawne gminowładztwo Litwy, dopiéro więc teraz ukazało się przed oczyma historyi. Nie rozumiała tego wypadku nasza jeszcze niedawna przeszłość literacka: znakomity Daniłowicz uwodził się nawet koteryjnemi pojęciami, lubo to już był człowiek bliższéj nam epoki i krytyk dziejowy wielkiego znaczenia. Widział on wiele rzeczy w tych stosunkach pomiędzy Litwą i Rusią, których my teraz nie widzim. Nadszedł czas, że badacze lepiéj umieją czytać kroniki, jak ci niedawni jeszcze kronikarze, co z latopisów starych kompilacye swoje i niby historye zbierali. Gallus i Kadłubek nie zmienili ani jednego słowa od lat siedmiuset, a przecież epoka dopiéro nasza, w tych dwóch ojcach historyków naszych dojrzała takie wypadki i stosunki, o jakich Naruszewicz jeszcze nie miał żadnego wyobrażenia. „Nasz czas jest czasem odkryć, o których nawet przeczucia nie miano" powiedział jeden z piszących o Stryjkowskim.

Archidyakon czy kanonik żmudzki, potrzebował więc nowego w naszéj chwili wydania i to wydania krytycznego. Minęła epoka, kiedy prosty przedruk dawnego autora, był wielką zasługą literacką. Dzisiaj gwałtem potrzeba krytyki. Wydając starego autora, bez objaśnienia go światłem naszych pojęć i naszych odkryć, rozpowszechniamy tylko szczegóły historyczne, często mylne, często niezrozumiałe, —nic więcéj.

Ta cała dawna historya Litwy Stryjkowskiego potrzebuje więc koniecznie przejrzenia. Nie umiał się wziąć do tego Matys, myśmy to dzisiaj za niego zrobić powinni. A mamy w jego poważném dziele piękny i bogaty materyał do badań. Trzeba chwytać na locie w jego Kronice wpływ Rusi i Niemców krzyżackich na Litwę; trzeba rozważać, jak pod naciskiem tych nowych wyobrażeń, ustępowały dawne zwyczaje praojców. Pokaże się potém, że połączenie Litwy z koroną Piastów, nie było tak bardzo przypadkiem w dziejach, jakby to sądzić napozór było można. Miłość Jagiełły dla Jadwigi dobra dla romansu; ale w dziejach ludzkości cóż ona waży, i co ważyć może? Litwa ocaliła swoje zasady federacyjne jedynie przez zetknięcie się z Polską, chociaż pod wpływem cywilizacyi Zachodniéj, jéj narodowość przechowała się tylko po wiejskich chałupach. Witold był

księciem potężnym i samowładnym Litwy, jakim nikt nie był przed nim i po nim. Ale już zbieg wypadków stworzył te czasy Witolda, prawdziwy ustęp, dziwny epos w dziejach Jagiellońskiego państwa, w niczém niepodobny do przeszłości, i całkiem odrębny od tego, co miało nastąpić. Za Witolda, Witold tylko był Litwą.

Nad Stryjkowskim koniecznie trzeba studyować. Podania jego winny być związane z podaniami kronik i dokumentów, których teraz pokazuje się zewsząd takie mnóstwo; a nowe zupełnie spłynie światło na całą przeszłość litewską. Z kroniki Stryjkowskiego nauczymy się filozofii dziejów naszych niezawodnie więcéj, jak z dzieł wszystkich historyków. Znakomity ten człowiek, winien to znowu nie swoim zdolnościom, a téj okoliczności, że pisał razem o Polsce, o Litwie, i Rusi jakby na pograniczu tych trzech plemion, a zjawił się w tym właśnie czasie, kiedy duch szlachecki niszczył już pomimowolnie pomiędzy niemi, dawne narodowe niechęci i pamiątki.

To też myśl wydania Stryjkowskiego pojawiła się bardzo w czasie, ale ta myśl nie dorosła nigdy wielkości chwili, w któréj urzeczywistnioną została (1). Wydanie nagie, bez krytyki, rozpowszechniło tylko u nas Kronikę, zresztą bardzo rzadką, ale nic wpłynęło nic na postęp saméj nauki. Nie było zapewne żadnéj trudności przedrukować Stryjkowskiego na czysto. Ależ nie w takiém tylko wydaniu, zasługa literacka dla naszéj chwili. Wydawać trzeba tak, jak ogłosił niedawno znalezionego Wapowskiego Malinowski; trzeba błędy kroniki prostować, prawdy, które podała, rozjaśniać. Znajdą się potém ludzie, którzy z tego wszystkiego wyprowadzą wnioski, poruszą w grobach stare namiętności, a historya wstanie z kronik, jak z martwych, będzie jaśniała blaskiem prawdy. Schylim się wtedy przed jéj majestatem: będzie to dla nas nauka życia!

Nie wiemy, czy to miał na uwadze Michał Wiszniewski, kiedy wspominając w jednym tomie swojéj Historyi Literatury o gotującém się w Warszawie wydaniu dzieł Stryjkowskiego, ubolewał, że to

(1) Kronika polska, litewska, żmudzka i wszystkiéj Rusi Macieja Stryjkowskiego, wydanie nowe, będące dokładném powtórzeniem wydania pierwotnego królewieckiego z roku 1582; poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Stryjkowskiego p. Mikołaja Malinowskiego, oraz rozprawą o latopisach ruskich przez Daniłowicza; pomnożone przedrukiem dzieł pomniejszych Stryjkowskiego od pierwotnych wydań. Warszawa, nakładem Gust. Leona Glücksberga księgarza. 1846 r. T. I, str. 63. XLVIII i 392. T. 2, str. 572. Wydania pilnował Leon Rogalski.

wydanie ma nastąpić bez żadnéj literackiéj powagi i rękojmi (T. VII, str. 482). Jeżeli przez te słowa rozumiał brak krytyki historycznéj przy wydaniu, ubolewamy z nim razem; jeżeli nie myślał o krytyce, ale o prostym przedruku, to zbyt zawcześnie sądził o pracy p. Rogalskiego. Ostatnie wydanie Matysa Ossostowicza nie pozostawia nic do życzenia, pod względem samego przedruku. Owszem, możemy położyć dowody nadzwyczajnéj sumienności wydania. Kronikę przedrukowano z exemplarza królewieckiego z roku 1582, a więc z piérwszéj ręki. Zachowano nawet wiernie omyłki druku w texcie, i spis ten omyłek zrobionych nienaumyślnie przez samego Stryjkowskiego, dodano umyślnie do naszego wydania.

Szkoda, że nie wziął się do Stryjkowskiego Jaroszewicz, któremu radził się zająć tą pracą Wiszniewski. Ale za to Malinowski czém mógł z oddali, tém pomógł przedsięwzięciu. Czytamy naprzód obszerną jego wiadomość o życiu i pismach Macieja Stryjkowskiego. Wiadomość to ciekawa, piękna, pożądana. Zbił w niéj uczony wiele uprzedzeń i fałszywych wieści o Stryjkowskim, rozsianych bez najmniejszéj krytyki przez Starowolskiego i bibliografów, którzy znowu księdza kantora Tarnowskiego przepisywali. Wiadomość ta przedstawia nam zupełnie człowieka i autora jakim był: próżny, samochwał, ale zawsze człowiek znakomitéj zasługi. Wtajemniczamy się zupełnie w całe jego życie, w jego przesądy i nawyknienia. Ubijamy się z nim na pograniczu Litwy pod Witebskiem. Jedziemy z nim razem do Carogrodu, podróżujemy po Dardanellach i Archipelagu, modlimy się w katedrze miednickiéj, drukujemy z nim razem Kronikę, która nigdy świata nie widziała, w Królewcu. Żal się z nim rozstać, z tym zacnym Matysem, tak go pokochaliśmy sercem i duszą. Ginie on nagle z przed oczu historyi po roku 1582; nie wiemy nawet kiedy i gdzie złożył kości swoje, i kiedy śmierć zamknęła mu powieki.

Stryjkowski był człowiekiem nadzwyczaj pracowitym. Wydrukował dzieł 8, w rękopiśmie zostawił 11, a prócz tego w spisie bibliograficznym Malinowskiego, znajduje się dzieł jego 4 wątpliwych. Ten cały artykuł o wydaniach i pracach autora Kroniki, jest nadzwyczaj ciekawy. Znać po wszystkiém rękę mistrza dużo oczytanego, który się oswoił z dawnemi pisarzami, i umié wydobyć im z serca tajemnice zakryte dla całego świata. Gdyby tak sumienne i piękne życiorysy posiadali wszyscy dawni nasi pisarze, ileżby z tego powodu cieszyć się mogła literatura polska, a nawet dzieje rzeczypospolitéj w ogóle!

Wydanie warszawskie nie obejmuje wszystkich dzieł Matysa Ossostowicza, ale tylko trzy najcelniejsze: *Gońca cnoty*, *Przesławny wjazd do Krakowa* i *Kronikę*. *O wjeździe* i *Kronice* mówiliśmy. Co do *Gońca cnoty*, wydaniem tego zabytku, zbogaconą została na prawdę literatura polska. Długi czas nie znano wcale téj książki; wątpiono nawet czy żyła kiedyś. Byłato jednak najpiérwsza praca Stryjkowskiego, najpiérwszy owoc jego badań i szperań po kronikach ruskich. Najbogatsze biblioteki nie miały *Gońca cnoty*. Opisały go nareszcie Księgi Bibliograficzne i zagadka się rozwiązała: dzisiaj znamy już kilka exemplarzy tego nadzwyczaj rzadkiego dziełka, które tylko jedno miało wydanie. Wojcicki pozwolił swojego exemplarza do przedruku. Takim sposobem *Przesławny wjazd* doczekał się niedawno i prawie jednocześnie dwojga wydań, drugiego i trzeciego (w r. 1843 i 1845); Kronika trzeciego (w r. 1582, 1766 i 1845). Goniec cnoty drugiego (1). Inne dzieła Matysa należą do rzadkości niedostępnych ogółowi. Opisania Sarmacyi europejskiéj, które wyszło także dwa razy w tłumaczeniu polskiém, a które należy do pism Stryjkowskiego, nie mamy wcale w nowém wydaniu. Dostrzegł Kraszewski porównywając Gońca cnoty z Sarmacyą, że prawdę miał za sobą Stryjkowski, kiedy posądzał Gwagnina o kradzież literacką. Zdaje się więc, że to już fakt udowodniony, a Malinowski zebrawszy za i przeciw dowody, przekonywa nas o tém zupełnie. Otóż i jeszcze jedna śmieszność przeminęła dla Stryjkowskiego, otóż i jedna jeszcze pracowitego żywota zasługa.

O *Gońcu cnoty* rozszerzać się nie będziemy. Jestto poemat napół satyryczny, napół historyczny. W satyrze Stryjkowski rozwija myśl późniejszą Klonowicza z dagerotypowaną w *Zwycięztwie bogów* (Victoria Deorum). Rzecz dziwna, że szlachcic Matys Ossostowicz przymawia tak samo szlachcie, jak mieszczaninu lubelski Klonowicz. W historyi *Gońca cnoty*, Stryjkowski spisał dawne podania o królach polskich i książętach litewskich i pomieścił swój wywód sławnego narodu sarmackiego, i krótki a dostateczny sławnego

(1) Goniec cnothy do prawych slachcicżów, przez Matysa Strykowiusa uczyniony, w którym są przykłady pięknych spraw mężów zacnych, postępki Sarmatów i królów polskich, książąt litewskich i ich narodu sławnego, wywod i sprawy skuteczne zdawna w prochu zakryte, a od żadnego przedtym niewydane, od początku ich aż do dzisiejszego z łaski Bożéj króla Henrika. W Krakowie. Drukowano u Macieja Wierzbięty, typographa Jego Królewskiéj Miłości. Roku od narodzenia Syna Bożego 1574. Cum gratia et privilegio Sacrae Regiae majestatis.

narodu litewskiego, przedtym nigdy od żadnego nieopisany. Ale wszystko cobyśmy o tym Gońcu cnoty, pod względem historycznym powiedzieć mogli, nie zastąpi pięknéj rozprawy Kraszewskiego, która nowe światło rzuciła na znakomitą w przeszłości naszéj Stryjkowskiego postać.

Danilowicza rozprawa przydana do niniejszego wydania trzech dzieł dziejopisarza Litwy, jako wiadomość o właściwych latopisach Wielkiego Księztwa, jest ciekawą rozprawą, mającą może dzisiaj jeszcze wartość. Ale pokazała się podobno już po niewczasie.

Wydanie Stryjkowskiego miało być tylko początkiem wielkiego przedsięwzięcia, które równie jak i myśl *Biblioteki Starożytnéj*, charakteryzowało naszę epokę historycznéj literatury. Księgarz Gustaw Leon Glücksberg chciał się przysłużyć publiczności polskiéj pracą Bohomolca i Gałęzowskiego. Dla badań, które tak rozległe w naszéj chwili przybierają rozmiary, potrzeba było koniecznie nowego wydania źródłowych pisarzy. Téj pracy miał podjąć się Glücksberg, i Stryjkowski wyszedł na zaczątek. Za Stryjkowskim miał podobno pójść Bielski, a potém inni historycy (1). Skończyło się na zagajeniu; wielka szkoda dla literatury. Za to odwleczone na czas nieoznaczony wydanie naszych starych historyków, zyska może w przyszłości. Znajdzie się może jaki uczony na wzór Malinowskiego, co porobi noty i objaśnienia krytyczne do textu Stryjkowskich i Bielskich. Dzisiaj wydanie na czysto dawnego textu, doprawdy jest anachronizmem. Nie samą tylko powierzchownością mają błyszczéć nasze wydania, ale jeszcze treścią wewnętrzną. Co do powierzchowności, wydanie Glücksberga także nic nie pozostawia do życzenia.

Nie możem mówić o nadziejach, o wieściach, w piśmie poświęconém na przegląd tego, co już jest faktem i życiem. Ale jednak grzech byłoby nie zwrócić uwagi na gotujące się ogromne prace. Zdaje się, że krytycznego wydania, doczekają się najprzód nasi łacińscy, Piastowscy jeszcze kronikarze. Myślał o tém już Maciejowski i Przezdziecki w Warszawie, bo mówim tutaj li tylko o Warszawie. Maciejowski ma już zupełnie gotowego do druku Bogufałę i pojmujemy bardzo, czemu wziął się naprzód do tego kronikarza: w nim najpiérwsze podania o Lechii i Lechach, na któ-

(1) Bielski cały nie wyszedł, ale niedawno bardzo p. Sobieszczański wydał u Orgelbranda (1851): *Dalszy ciąg kroniki* tego autora, z rękopismu Stronczyńskiego. Ten *dalszy ciąg* jest nowém odkryciem. Obejmuje zdarzenia od roku 1587 do roku 1598, t. j. *Interregnum po śmierci króla Stefana Batorego albo sprawy koronne, które się toczyły w Polsce.*

rych p. Maciejowski zbudował cały systemat Pierwotnych dziejów. Przezdziecki wspomniał już nawet i o wytłumaczeniu dawnych kronikarzów na język polski, zacząwszy od Gallusa i Kadłubka. Myśl to nie nowa; wykonaniu téj myśli już przed trzydziestu laty poświęcił się Hippolit Kownacki; ale bez krytyki, potłumaczył to, co dziwne i zawikłane. Galla umiejętnie wydał w tamtych czasach Jan Wincenty Bandtkie. Ale i Bandtkie już się przestarzał, a Kownacki prawie żadnéj nie położył zasługi. Przezdziecki ogromne zebrał materyały po archiwach włoskich; wiele zatém rzeczy nieznanych przyjdzie w pomoc nowym wydaniom i pracom. Znajdują się téż i u nas odkrycia. W Bibliotece Zamojskich, szczęśliwy przypadek ukazał nową, nieznaną dotąd kopią kroniki Galla, która na wielu miejscach rożni się od znanych rękopisów tego kronikarza, a nawet i pod żywotem św. Stanisława zawiéra nowe cuda (1). Zdaje się, że od wydania Galla, jako piérwszego latopisa, zacząćby się powinna krytyczna praca około źródeł dziejowych polskich, a obok textu iśćby zaraz powinno tłumaczenie na język, w którym tym latopisom byłoby najwłaściwiéj.

Materyały wydane z rękopismów Wojcickiego. Pamiętniki i historya Raczyńskiego. Piasecki i Kochowski po polsku. Dyaryusz Chrapowickiego. Statuta wiślickie.

Skończywszy o przedrukach, z kolei mówić nam przychodzi o rękopismach, które piérwszy raz w druku ujrzały światło dzienne w Warszawie. Nasze miasto nie może się poszczycić wielkiemi zasługami na tém polu. Jeżeli idzie o samo wydanie czysto historycznych materyałów, Warszawę przewyższa pod tym względem Poznań, Lwów, a nawet Wilno, i to nietylko ilością książek wydrukowanych, ale jeszcze i samą wewnętrzną ich wartością. Znajduje się i u nas wiele rękopismów, tylko większa niedbałość, czy téż większe o nich zapomnienie, jak gdzieindziéj. Z wydań poznańskich, możnaby wcale porządną zebrać sobie bibliotekę historyczną o kilkuset tomach, a przecież ta biblioteka urosła jedynie z rękopismów, które druk ocalił przed wieczną zagładą, bo za jakie pół wieku, niejednaby jeszcze może pamiątka zginęła.

Największym interesem co do samych dziejów, odznaczają się wydań warszawskich: *Pamiętniki* do panowania trzech Wazów,

(1) Album literackie Wojcickiego T. I. str. 295.

które wydał Wojcicki (1). W przedmowie powiada zacny nasz wydawca, że rękopism jego znaleziony był w Warszawie bez początku i końca, że uderzyło go wiele ważnych szczegółów i wiadomości dla dziejów, że te szczegóły są nowe a nieznane dotąd, że wiele wypadków znajomych wyświecają te pamiętniki, że wreszcie dla tych wszystkich powodów starał się jak najusilniéj ogłosić swój rękopism, jako ważny i ciekawy do historyi przyczynek. Prawda, nie ma najmniejszéj kwestyi, że to rękopism ciekawy, i że pożądane jego wydanie dla naszéj historyi. Prawda, że wiele tam drobiazgowych nawet szczegółów, wypadków i opowiadań. Prawda, że wiele w całém tém dziele pragmatyzmu i znajomości rzeczy. Na piérwszy rzut oka uderza zaraz charakter pamiętników: autor, który je pisał, to człowiek światły, bezinteresowny, to człowiek szlachetnego serca i wyższego prawdziwie poglądu na ludzi i rzeczy. Autor ten ma niezawodnie zdolności historyka, umié prowadzić zręcznie nić swojego opowiadania, a lubo naturalnie plącze tę nić dziejową bezładnie, dotyka tego i owego: wojny zagranicznéj i rokoszu, poselstwa do Turcyi i buntu Kozaków; wszystką opowieść swoję snuje tak zręcznie i misternie, przejście od jednego do drugiego przedmiotu tak łatwe i naturalne, że nie morduje się wcale uwaga czytelnika, bo wszędzie znajduje myśl i związek naturalny wypadków. Kiedy historyk odsuwa zasłonę zdarzeń i wskazuje na stronnictwa, na walkę toczoną w łonie obrad narodowych, na szlachtę zazdrosną o swoje przywileje i swobody; kiedy tłumaczy przyczyny oporu stawionego nieraz przez posłów Zygmuntowi III: doprawdy rozumiéć zaczynamy lepiéj ludzi téj sławnéj epoki. Kiedy skreśla charakterystykę osób działających wtedy na świeczniku rzeczypospolitéj, kanclerzów, marszałków, albo hetmanów, i skreśla nie w ogromnych obrazach, ale w kilkunastu, w kilkudziesięciu treściwych słowach; dziwimy się, jak może mimochodem, niechcący prawie uchwycić tak dobrze za te fizyczne i duchowe rysy człowieka, że go nam zupełnie, z ciałem i z kośćmi, przedstawi. Historyk spostrzeże tak dobrze wadę natury, jak przymioty serca, a sąd, który wyda o ludziach przejdzie do potomności, bo sąd to nie podejrzany, nie lekko-

(1) Pamiętniki do panowania Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza, z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki. Warszawa, nakładem i drukiem Orgelbranda, księgarza i typografa przy ulicy Miodowéj, nr. 496. 1846 roku, tom I, str. III i 288; t. IIgi, 235. Przedmowa Wojcickiego datowana w Warszawie, 15 listopada, 1846 r.

myślny, ale obmyślony, uchwycony trafnie, Nie ma wątpliwości, że autor Pamiętników Wojcickiego jest prawdziwym dziejopisem swojéj chwili, i ubolewać tylko nam przychodziło nad tém, że nie znamy jego nazwiska.

Ale wpatrując się lepiéj w tę fizyonomią pamiętników, myśmy coś sobie przypominali. Zdało się nam, że gdzieś, kiedyś, myśmy już raz spotykali te same obrazy, żeśmy się w nie wpatrywali z zajęciem. Ci książęta zbarażscy, np. Janusz kasztelan krakowski, Krzysztof koniuszy koronny i sławny poseł do Turek, doprawdy, to nasi dawni znajomi. Dwaj bracia kierowali kiedyś potężną i wszechmocną opozycyą szlachty przeciw piérwszemu Wazie: te wszystkie szczegóły o nich chociaż opowiedziane tak treściwie, a jednak w całości tworzącéj obraz, te wszystkie szczegóły doprawdy, są nam znajome. I nawet ta charakterystyka osób wielkich w rzeczypospolitéj przypomina nam coś: w naszych notatach mamy też same rysy, też same żywcem podania... Tak, nie ma wątpliwości; Pamiętniki Wojcickiego są pożyczone: to *Chronica gestorum in Europa singularium*, to żywcem tłumaczenie sławnego dzieła biskupa przemyślskiego. Dziwićże się po tém, że Pamiętniki umiały tak do siebie przywiązać naszę uwagę i serce?

Rękopism Wojcickiego zaczyna się od r. 1608 w chwili, jak powiada wydawca, kiedy drugi samozwaniec zjawa się w obozie polskim, a Maryna Mniszchówna, wzgardziwszy poważnym i szanownym stanem wdowy po Dymitrze, gbura i opoja przyjmuje jak ocalonego męża, i t. d. Nie, opowiadanie wypadków w Pamiętnikach zaczyna się właściwie od bitwy nad Chodynką, w któréj książę Rożyński rozbił kniazia Wasila Massalskiego. Wojcicki zaczyna od wyrazu: *napendził*, po łacinie jest *dissipavit* (na str. 254 łacińskiego textu). Po *napendził*, kropka stać powinna, bo zaczyna się inny peryod i opis skutków bitwy nad Chodynką. Ale nim do tego starcia się przyszło, drugi samozwaniec już od dziewięciu miesięcy bujał w okolicach Staroduba i Połocka na czele swoich stronników. Pod koniec roku 1607 już dobywał Kozielska, a bitwę nad Chodynką stoczono dopiéro w lipcu 1608. Ubolewa p. Wojcicki w przedmowie nad tém, że w rękopiśmie nie znalazł opisu rokoszu Zebrzydowskiego i bitwy pod Guzowem, bo wnosząc ze słów Żołkiewskiego hetmana „żem przeciwko sumieniu stawał przy królu na bracią wojując", p. Wojcicki sądzi, że opis ten byłby w duchu konfederacyi, w duchu szlacheckim. Te słowa Żółkiewskiego są i w kronice biskupa na str. 260. To dowodzi, że autor rękopismu tłu-

maczył jawnie i poprostu Piaseckiego. Biskup przemyślski cały opis rokoszu umieścił w swojém dziele, ma więc p. Wojcicki i bitwę pod Guzowem tegoż samego pióra, ale ma w łacińskim texcie kroniki. Piasecki był przecież pisarzem bez namiętności, sędzią bez uprzedzenia, i dlatego nie widać w nim wcale zapału za stroną Zebrzydowskiego. Gdyby więc p. Wojcicki znalazł pełniejszy rękopism swoich Pamiętników, zaczynający się np. od r. 1605, byłby i w opisie rokoszu nie znalazł tego, co szukał; szlachcic-tłumacz Piaseckiego, mógł co zapewne dodać do słów biskupa, ale te dodatki skończyłyby się pewnie na słowach kilku albo utyskiwaniach, i nie zmieniłyby przecież w niczém całego toku opowiadania. Nadzieje nasze zawodzą tak często!

Z tego wszystkiego, cośmy tutaj powiedzieli, płynie przekonanie, że i sam rękopism nie zawiéra wcale nowych szczegółów a nieznanych dotąd, jak to utrzymywał zacny wydawca. Porównywaliśmy pilnie *Pamiętniki* z textem dzieła Piaseckiego: znaleźliśmy wszędzie jego obrazy, tę samą kolej opowiadania wypadków, ten sam sposób zapatrywania się na nie, nawet słowa, wyrazy też same. Tłumaczenie polskie prawie w niczém nie zmieniło oryginału: wlecze się za nim zawsze i wszędzie. Więc nie mogą być nieznane te szczegóły, które już były ogłaszane drukiem i to nie raz, ale w kilku wydaniach przed kilkuset laty. Łatwo się było o tém przekonać, bo kronika Piaseckiego nie jest wcale bibliograficzną rzadkością. Pamiętniki Wojcickiego nie pomnożyły wcale takim sposobem naszego kapitału dziejowego, tylko podały nam w ręce książkę ciekawą, jakby przypomnienie tych bogactw, co to się kryją jeszcze w literaturze polsko-łacińskiéj przed ogółu sercem i myślą. Pamiętniki rozpowszechniły tylko ważne swojego czasu wiadomości o panowaniu trzech Wazów w rzeczypospolitéj.

Nie chciał być przecież tłumacz Piaseckiego, prostym jedynie tłumaczem. Marzył widać o sławie autorskiéj, kiedy się przystroił we wszystkie szaty oryginalności, kiedy nie przyznawał się do tłumaczenia, a imię prawdziwego autora starannie zataił; kiedy się wreszcie zdobywał na przemianę gdzieniegdzie textu, a do obrazów biskupa wtrącał i swoje widzimisię szlacheckie, które bardzo zdradzało jego usposobienie i widoki, goryczą i satyrą napojone przeciwko panom. Tych zmian niewiele wprawdzie w tłumaczeniu, ale są one ozdobą dzieła; nadają mu jakiś charakter kontuszowy, z którym tak do twarzy literackim zabytkom dawnéj Polski. Wskażemy je tutaj.

Piasecki pisał kronikę całéj Europy, nie jednéj rzeczypospolitéj: dzieło jego, to prawdziwie synchronistyczna historya. Polskę z Europą autor łaciński w jednę powiązał całość, bo wypadki nasze miały rozgłos za granicą, a dynastya Wazów nie w jednem miejscu, nie w jednym czasie dała się uczuć wpływem swoim w Europie, (może niechcący). Tłumacz oczywiście poopuszczał to wszystko, co tylko nie dotyczyło się Polski, bo wziął sobie za cel napisać dzieje Wazów w rzeczypospolitéj, ale nie dzieje Europy. Nie spostrzegł więc, kiedy tylko tłumaczył polskie rzeczy, że i pod rubrykami zagranicy zawierały się ciekawe wiadomości, które nas także bliżéj obchodziły. Tak np. pod rokiem 1627, jest w Piaseckim (str. 397) zachowany szczegół: że Baudysz wódz, który w imieniu króla duńskiego walczył przeciw cesarzowi na Szlązku, ściśnięty zewsząd przez Wallenstejna, cofał się przez powiat kościański do Marchii, a po drodze rabował szlachtę, i opata w Paradyżu Marcina Łatowskiego. Tłumacz nic o tém nie wié. Były przecież i takie rzeczy, które tłumacz umyślnie opuszczał. Piasecki lubi zbliżenia, porównania, lubi się czasami popisać z erudycyą, ze znajomością dziejów starego Rzymu, z literaturą uczoną wreszcie. Cytuje np. Marcellina, mówiąc o Prucie Strabona i t. d., że nie wspomnim już uczonych wywodów Kromera; hetmanów naszych porównywa z rzymskimi. Tłumacz opuszczał zwykle te cytacye. Piasecki miał też zwyczaj dla wygody może czytelników swoich, płątać do swojego opowiadania i dawniejsze wspominki, np. pod rokiem 1612, mówiąc o wyprawie Stefana Potockiego do Wołoszczyzny, liczy wojny, jakie rzeczpospolita od piérwszych jeszcze Zygmuntów staczała o tę ziemię. Ale Piasecki umieszczał takie wiadomości w nawiasach, stawił je niby dopiski, zamiast u spodu stronnicy, w texcie samym. Tłumacz wcielał te szczegóły do textu, a miało to minę znowu popisu z erudycyą, tylko nie w miejscu, bo czytelnik nieuprzedzony, nie wiedząc dlaczego, przechodzi nagle od jednego przedmiotu do drugiego, żeby znowu potém do dawnego wrócić. Ztąd często w Pamiętnikach Wojcickiego i brak związku spostrzegać się daje. Piasecki umié połączyć różne wypadki, w różnych narodach, jedną wiążącą myślą; w Pamiętnikach, zdaje się, widać jakieś porozrywane kawały jednéj ogromnéj opowieści, spojonéj sztucznie. Mówiąc np. o Hiszpanii, biskup przemyślski bardzo zgrabnie przechodzi do opata Makowskiego, który bawił w Madrycie na poselstwie, a od Makowskiego znowu wraca do Polski, i ciągnie nić dalszą opowiadania (1623 roku). W Pamiętnikach téj nici wcale nie widać. Mamy i to za złe autorowi

polskiemu, że z textu Piaseckiego, opuszcza wiele nawet ważnych rzeczy, a przez to samo staje się niezrozumiałym. Tak pod rokiem 1635, z powodu poselstwa Ossolińskiego do Rzymu, biskup rozwodzi się nad stosunkami duchowieństwa polskiego do rzeczypospolitéj. Pamiętniki zamilczały o tym ważnym przedmiocie. Kiedy w inném miejscu, autor polski mówiąc o śmierci biskupa Kuczborskiego, który ogromne pieniądze zapisał królowi, powiada, że miejsce jego w Płocku zajął Cielecki, a w Chełmnie Zadzik: czytelnik widzi, że tutaj jakieś nieporozumienie; w Piaseckim tymczasem, znajduje się wiadomość, że Kuczborski był wtedy nominatem na biskupstwo płockie z chełmińskiego, czego polski tłumacz nie dojrzał. Takim sposobem przeoczył autor polski, i wiadomość o spaleniu się Gniezna, w kwietniu 1613 (Wojcicki tom I, str. 42. Piasecki str. 284).

Ma tłumacz wyraźną słabość przerabiania dzieła łacińskiego, na dzieło oryginalne, i z tego powodu nowe w nim powstały zawikłania. Jeżeli Piaseckiemu zdarzy się kiedy, opowiadanie zaczęte zawiesić, albo odnieść do roku przyszłego, tłumacz tego nigdy nie robi, i zajrzawszy pod rok następny, przerabia zaraz text biskupa stosownie do swoich widoków, całą sprawę wywodzi i płata wypadki; bo zaciągnąwszy się z roku jednego w drugi, kończy wprawdzie jednę materyą, ale wraca do opowiadania dawniejszych zdarzeń już nie w chronologicznym porządku. Tak np. Piasecki mówiąc o wojnie Władysława królewicza z Rossyą, pod rokiem 1618, (str. 309), wspomniał coś i o roku 1619, a tłumacz cały ustęp wyjął z właściwego miejsca, żeby go wsadzić gdzieindziéj (str. 63). Przyczepił się potém, ni ztąd ni zowąd do Żołkiewskiego, i nieostrożny czytelnik mógłby sądzić, że przebiega już wydarzenia z roku 1619, kiedy po dwóch kartkach znowu liczbę 1618 napotyka. Od str. 66, zaczyna się właściwie w Pamiętnikach Wojcickiego historya r. 1619. Takie rzeczy łatwo przeoczyć, bo i w texcie łacińskim Piaseckiego są lata, o których bardzo mało powiedzieć się dało: dwie, trzy karty najwięcéj; tłumacz wyrzuciwszy z obrazu Europę, skrócił jeszcze i tak treściwość opowiadania, a lata te właśnie (około r. 1617 do 1621) przemijają tak prędko w Pamiętnikach, jak malowidła kamery-obskury. Gdyby wydanie pana Wojcickiego było krytyczne, opuszczenia te i błędy można było łatwo sprostować. Ale zacny nasz wydawca dał nam poprostu tylko text znalezionego rękopismu, nic więcéj.

Kronika Piaseckiego, jak wiadomo, kończy się na roku 1638. Od tego czasu przebiega biskup przemyślski w krótkości tylko dzieje

Europy, ale polskie doprowadza aż do roku 1648, tojest do śmierci króla Władysława. Tutaj i w samym texcie łacińskim poplątane są podania: widać, że pod koniec pisał biskup swoje dzieło tak, jak mu pamięć starczyła i poddawała obrazy, ale bez nakreślonego już planu. Ściśnięty, więcéj niezrozumiały jest pod koniec, bo nic nie rozwija; owszem zdaje się, że jakby cenił każde swoje słowo, jakby się bał żeby nie powiedzieć zawiele. O śmierci króla kilka wyrazów. Nasz autor tłumaczy tutaj słownie Piaseckiego, plątając wypadki, ale kiedy się zbliżył do roku 1648, staje się jakoś gadatliwszym, więcéj rozmaitym i ciekawym, bo już wtenczas innego chwytał się źródła, jakto za chwilę zobaczym.

Że tłumacz polski starał się zacierać wszelki ślad swojéj kradzieży literackiéj, to zdaje się bardzo oczywista. Piasecki czasem rozprawia i o sobie w kronice. Mówi np. o swoich urzędach, o biskupstwie kamienieckiém, chełmskiém i przemyślskiém, o tém, że odradzał królowi posyłać flotę przeciwko Szwedom na morze, kiedy Zygmunta do tego nierozmyślnego kroku namawiał poseł hiszpański; że potém w lat kilka, on sam jeden stanął w radzie królewskiéj przeciw wszystkim biskupom rzeczy pospolitéj, dowodząc, że Władysław IV żenić się może z księżniczką luterskiego wyznania, i że tém wcale nie ubliży prawom narodowym. Biskup mówi wszędzie o sobie *ja*; ale autor nasz mimochodem tylko o nim zawsze wspomina. Biskupstwo kamienieckie dostał Piasecki w dzień rozejścia się apostołów, tojest d. 15 lipca 1627 r. w rocznicę boju pod Grünwaldem. Tłumacz nie osądził za rzecz stosowną napisać te wspomnienia, niby kamienie drogie, do swojego textu. Mało też pisał i o radach biskupa przeciw wysyłaniu floty na morze, a z textu Piaseckiego widać, że król możeby jéj nie wysłał wcale, gdyby nie odjazd biskupa do dyecezyi (str. 394 u Piaseckiego, u Wojcickiego I, 139). Dla niepoznaki jeszcze, wspominając i o śmierci królowéj Konstancyi, tłumacz odsyła ciekawych do kroniki Piaseckiego, żeby tam przeczytali cały napis grobowy nad trumną zmarłéj.

Za małe opuszczenia i nieostrożną czasami plątaninę zdarzeń, tłumacz Piaseckiego sowicie wynagradza swojego czytelnika dodatkami, które porobił w oryginalnym texcie kroniki. Biskup przemyślski pisał dla druku i dla całéj Europy. Za granicę posłał drukować nawet dzieło swoje; ale autor polski pisał w ciszy swojego mieszkania, może zdala od wielkiego świata, w spokojnéj wiosce, może też dobrze i po czasach królów Wazów; mógł zatém więcéj otworzyć się ze szlacheckiém swojém zdaniem. Piasecki oczywiście kompromito-

wać się nie chciał, i lubo miał niepodległy sposób myślenia, i śmiało zawsze mówił, co myślał, wstrzymywał się cokolwiek w piśmie, bo co innego prawić w radzie królewskiéj, a co innego drukować dla całego świata. Słowa ulecą z wiatrem, pismo zostanie. Słowo chociaż niepodległe, ujdzie, ale wcielone w druk, przybiera nieraz postać paszkwilu. Dlatego Piasecki nienamiętny wcale w swojéj kronice, dlatego w autorze polskim widać wszędzie myśl szlachecką pożądaną, poszukiwaną przez badaczy, bo jest zawsze wyrażeniem stronniczéj myśli młodszych braci w rzeczypospolitéj. Pamiętniki nie kryją się wcale, ostro przymawiają osobom i rzeczom, do charakterystyki znakomitych ludzi przydają wiele ciekawych spostrzeżeń, a więc świeżości poglądu i barwy. Charakterystyka np. Zygmunta IIIgo (u Wojcickiego str. 164 — 167) należy zupełnie do naszego autora: trudno się z nim nie zgodzić, kiedy tam w całym jego obrazie prawda historyczna. Nasz szlachcic powiada słusznie, że przyczyną wszystkich nieszczęść rzeczypospolitéj za Zygmunta IIIgo była ta okoliczność, że król pochodził z cudzéj ziemi. Zrosły w nałogach obcych i wyobrażeniach, nie mógł się nagiąć tak prędko do charakteru polskiego, do praw rzeczypospolitéj. Dlatego Estonii odstąpić nie chciał Polsce, a stracił Szwecyą, dlatego obraził naród, kiedy się żenił z księżniczkami rakuskiemi, dlatego rokosz zwalczać musiał, i zwodził ogromne bitwy ze Szwecyą, i tracił jedno za drugiém; dlatego pomagał cesarzowi w wojnie trzydziestoletniéj, chociaż naród potępiał to nietrafne wdanie się w sprawy Czech i Węgier, naturalnych sprzymierzeńców rzeczypospolitéj przeciw Austryi; dlatego nareszcie wplątał się w wojny z Turczynem, na których zginął kwiat rycerstwa polskiego. Czytelnicy przypominają sobie to, cośmy napisali niedawno o królu Zygmuncie, mówiąc o *żywocie Krzysztofa Pieniążka*. Myśmy nasz obraz zrysowali z pamięci, i jakżeż dobrze tłumacz kroniki Piaseckiego w pomoc rozumowaniom naszym przychodził! Surowy i ostry w swoim sądzie, on, jak Pieniążek, oskarża tylko panów, którzy „pochlebiając królowi fakcye robią, jeden na drugiego intryguje, sposoby sami podają do oppresiej, byle sobie zjednali kredyt, a intratnych królewszczyzn nachwytali, honorów najwyższych dostąpili; dobrem ojczyzny, ojczyznę gubią." Nie był w saméj rzeczy Zygmunt dobrym królem rzeczypospolitéj, ale to, jak mówiliśmy, wina panów, którzy go gwałtem trzymali w Polsce. Miał wprawdzie piérwszy nasz Waza wiele uporu, a ta wada charakteru psuje wiele dobrego w człowieku, był przecież na to środek; ale tylko jeden Zamojski umiał królem kierować, lecz potém panowie mu nieprzyjaźni uderzyli

w intrygi na dworze krakowskim. Kanclerz zburczał dawniéj biskupa Baranowskiego, że zatrzymał w Rewlu Zygmunta, kiedy król młody chciał Polskę porzucić na zawsze i wrócić do ojca; a przecież potém następca jego polityki, przyjaciel zaufały kanclerza, hetman Żołkiewski, przeciw sumieniu stawał za królem, na bracią wojując. Nie oskarżamy pamięci wielkiego męża poległego pod Cecorą: sławne to imię jeszcze przeżyje wieki, ale hetman może źle rozumiał swoję powinność. Człowiek, który jak Zebrzydowski zwoływał pospolite ruszenie szlachty pod Lublin, pod Sandomiérz, Stężycę; człowiek na którego głos powstawało nagle ogromne wojsko, i szło posłuszne skinieniu wodza: człowiek taki nie był prostym tylko przywódcą rokoszu. Sam Zebrzydowski mógł służyć pomimowolnie cudzym widokom, mógł być narzędziem zdolniejszéj głowy, ale w konfederacyi jego widziała szlachta zbawienie rzeczypospolitéj: to zdaje się widoczne. Nie przymawiamy téż konfederacyi, ale Zebrzydowskiemu, który uwodził się prywatą dowodząc szlachcie. Król Zygmunt był już wtenczas bez opieki, bez stróża, któryby mu śmiało powiedział w oczy prawdę, i dlatego pozwolił na rozlew krwi pod Guzowem, a całą burzę mógł przecież jedném słowem poskromić. Otaczali go już wtedy nie senatorowie, ale dworacy i pochlebcy. Jeżeli więc zbłądził, nigdy przez złe serce, ale przez nieświadomość, przez brak przyjaciela, któryby go oświecił. Zygmunt w roku 1607 był jeszcze cudzoziemcem dla Polski. Ale dodaje nasz autor: „lubo tak wielkich przysmaków użyła rzeczpospolita przez obranie cudzoziemca, jednak dla honoru swego narodu, wygnańca dla wiary świętéj katolickiéj z państwa jego wieczystego królestwa Szwecyi, prowidowała z honorem i z familią tak liczną, nie opuszczając, konserwowała albowiem przez lat 45. Poznawszy naturę i upór jego, oraz król Zygmunt naturę i rezolucyą Polaków przy obronie praw i swobód polskich spenetrowawszy żył w zgodzie. Ztąd się w nim na starość rzeczpospolita zakochała i w dzieciach jego, albowiem był pan majestatu pełen, statura poważna, przeciwnościami żadnemi niezwyciężony, poczciwość kochający, dotrzymujący słowa, a najbardziéj, że katolik prawdziwy, sumienia dobrego, nabożny i bogobojny pan, ledwo ku końcowi naturę cudzoziemską w obyczaje polskie przełamał, a temi Polaków za serce ujął i w owych afekt i miłość zniewolił sobie i dzieciom swoim.”

Czyż to nie piękna, nie zasłużona dla króla Zygmunta IIIgo pochwała?

Bardzo wymowne i nauczające także skargi rozpościera nasz autor na panów rzeczypospolitéj, kiedy na sejmie elekcyjnym 1632 r.

wniesiono po raz setny już materyą rozdawania zasłużonym starostw i królewszczyzn. Piasecki napisał o tém wszystkiém 15 wierszy, a w Pamiętnikach cała rozprawa. Jedni posłowie podawali wnioski, drudzy je zbijali, przerabiali, bo chcieli napisać takie prawo, żeby już tłumaczeniu panów w żaden sposób podlegać nie mogło; i nareszcie odłożyli całą sprawę do koronacyi, a „tam ministrowie i faworyci nie dali sobie z rąk wydrzéć tego.... Królewszczyzny żołniérz ani szlachcic nie może się domieścić, chyba co z nosa spadło familiantom. Wcześnie przez *jura communicativa* białogłowy wynoszą królewszczyzny, dzieciom w kołyskach one transfundując, a żołnierski chléb, królewszczyzna, rzadko albo nigdy żołnierzowi i zasłużonéj szlachcie nie dostanie się, wpadłszy w ręce familiantom" i t. d. „Lepiéjby skasować, mówi autor, *jura communicativa*, i królewszczyzny wszystkie na żołd żołnierski obrócić, tylko pewne pensye z nich wyznaczyć senatorom, urzędnikom, ministrom, jako się dzieje w Hiszpanii, Francyej, także inszych narodach."

Wyrazy te wyjęte zapewne z ust wszystkiéj szlachty. Któż nie wié, ile złego były przyczyną te starostwa bogate, których tak było wiele po wszystkich zakątach rzeczypospolitéj, a do których sięgali ci przedewszystkiém łakomą ręką, co mieli i dobra rodzinne i urzędy, i tytuły, i łaski u dworu. Zagarnąć chcieli pod siebie wszystko, nawet chléb zasłużonych w królewszczyznach. Dwa to wyrazy i dwa kłamstwa były w rzeczypospolitéj. Chléb zasłużonych brali zawsze niezasłużeni, chyba pod jednym tylko Stefanem Batorym działo się inaczéj; a cóż znaczyło to puste na wiatr porzucone słowo *królewszczyzna?* kiedy król miał do swojéj niby ziemi to jedynie prawo, że mógł ją komuś oddać za swoim przywilejem, a panowie krzyczeli jeszcze, że przywiléj tak późny.

Późniéj, kiedy Władysław IVty myślał o jakichciś zamiarach reformy i chciał dlatego wplątać rzeczpospolitą w wojnę z Portą Ottomańską, nasz autor ostro odzywa się o tych chęciach, a Piasecki nic prawie o nich nie wspomniał.

Trudno iść za ciągiem powieści autora polskiego i wskazywać na wszystkie różnice między nim, a oryginalnym textem łacińskim. W ogólności trzeba powiedzieć, że nic Piasecki na małych zmianach zaprowadzonych w swojém dziele nie stracił. Gdybyśmy nie wahali się zrobić zbyt śmiałego porównania, powiedzielibyśmy, że *Pamiętniki* to takie tłumaczenie, jak dzisiaj wszystkie przekłady Syrokomli. Piasecki chociaż pisze o Polsce, wygląda zawsze jak cudzoziemiec;

samochcąc ubrał się w jakąś dziwaczną, obcą szatę. Już nie mówim o jego erudycyi i porównaniach wziętych z historyi rzymskiéj, ale same nazwiska techniczne urzędów naszych i dygnitarzy, biskup przemyślski tak dziwnie potłumaczył, że wyglądają wcale inaczéj, jak we wszystkich innych dziełach naszych łacińskich. Piasecki ma właściwą zupełnie sobie terminologią. Podkomorzy u niego nazywa się *Praetor finium regundorum*, podskarbi *praefectus aerarius*, podkomorzy nadworny *Camerae regiae Praefectus*, hetman *Praefectus armorum generalis* i ten jest *major* albo *minor*. Porucznik u Kochowskiego nazywa się *optio*, a w Piaseckim *vicarius*. Nieraz zamęt, bo jeden urząd dwojako, nawet trojako uczczony, i nieostrożny czytelnik zwodzić się może. Nasz tłumacz używa właściwych wyrazów i znajomych w rzeczypospolitéj. Nie ma u niego tego zamętu i niepewności. A przytém dobrze włada językiem dosyć czystym i malowniczym. Duch jego czysto szlachecki, opowieść żywa, kiedy opisując napady Tatarów, mówi o podjazdach, czambułach i Jedykule (u Piaseckiego Praecursores, incursiones, turris nigra); zdaje się, że żyjem wpośród tych stepów wystawionych na łup i jassyr, a nie w tym jakimś uczonym i konwencyonalnym świecie, który nam wystawił Piasecki. Pamiętniki nie tłumaczą żywcem, nie przywiązują się do słowa kroniki, i dlatego wszelka w nich swoboda; dlatego zdaje się, że to dzieło oryginalne. Ma i autor Wojcickiego wiele wyrazów łacińskich spolszczonych, a raczéj z zakończeniem tylko polskiém; zachowuje nawet w tych wyrazach pisownię łacińską, pisze np. podpadł pod paeny, a o Żołkiewskim Piaseckiego wyrażenie *in omnibus historiis versatissimus fuit*, wykłada: „bo wszystkie historye spenetrował;" to przecież podnosi jego oryginalność, a uroku wcale nie psuje.

Za jedném odkryciem następuje drugie. Powiedzieliśmy, że autor Pamiętników pod koniec panowania Władysława IV więcéj zawiéra szczegółów, jak biskup przemyślski. W Piaseckim jeszcze ani wzmianki o Chmielnickim, a w Pamiętnikach ta wielka historyczna postać już całe stronnice wypełnia. Autor polski przerabiał jednego autora, przerabia zatém niezawodnie i drugiego, a temu drugiemu więcéj nierównie jak Piaseckiemu starczy wątku, więc i fizyonomia dzieła nagle się zmienia. Od r. 1648 już nie wyrwane kawały, już nie ułamki, nie sklejne jakiéjś całości, ale ciągnie się powieść jedna, wielka, także ożywiona, ale pełniejsza, obszerniejsza, cała mozajka niezmiernéj wagi wypadków. My także znamy zkądciś tę powieść; tak, to Kochowskiego Klimaktery.

W istocie pod koniec piérwszego tomu, i cały tom drugi Pamiętników, jest znowu tłumaczeniem Kochowskiego; tłumaczeniem także przerabianém, ukrywaném, udawaniem także za dzieło oryginalne. Rękopism Wojcickiego kończy się śmiercią Tymoszki, który wojował na Wołoszczyznie, i pokojem, który jego ojciec Bohdan Chmielnicki zawrzéć musiał w obozie pod Soczawą w dniu 9 października 1653, tojest zawiéra lat pięć rządów ostatniego Wazy.

Zajrzeliśmy do *Historyi panowania Jana Kazimierza*, którą wydał Raczyński z rękopismu w dwóch obszernych tomach, żeby porównać Pamiętniki nasze z tym nowym opisem ciekawéj bardzo epoki. Pokazało się, że tom 2gi Wojcickiego, a piérwszy Raczyńskiego, zaczynające się od roku 1648, jedne i też same zawierają rzeczy, wyraz w wyraz. Poszliśmy daléj i porównywali Raczyńskiego z Kochowskim, zwłaszcza od roku 1662 aż do abdykacyi Jana Kazimiérza. Nie ma wątpliwości: to tłumaczenie Klimakterów, całe i umiejętne.

Raczyński, jak wiemy, przerabiał także sam swoje wydania. Nieraz wyszło to dziełu na dobre, kiedy nie trzymając się dziwnego przesądu, że dawnych rękopismów tknąć się niewolno, a trzeba je drukować jak są, nawet z błędami z wysłowienia i rzeczy, tłumaczył wyrazy łacińskie rękopisów, styl wygładzał, język przybliżał do toku potocznéj naszéj rozmowy. Taką metodą wydany Pasek, zyskał powtórnie na wartości, i jego dzieło było tak nowe, tak piękne, że uderzyło nas, jakby nadzwyczajne jakieś odkrycie, któremuśmy długo wierzyć nawet nie chcieli, sądząc, że to podrobienie, że to wesoła igraszka z uczonych historyków i z czytającéj naszéj publiczności. Byłobyto wszystko bardzo dobrze, gdyby Raczyński te jedynie zmiany zaprowadził w swoich wydaniach. Ale on nieraz umyślnie kaził text, opuszczał całe wyrażenia, pomijał niejeden opis, żeby zataić prawdę, która obrażała jego sposób myślenia, albo konwencyonalne pojęcia wyższego świata. Ztąd wiele niewiary dla jego wydań.

Ale przy pamiętnikach Wojcickiego, łapiemy go na gorącym uczynku. Czasy to zaodległe od naszéj chwili, i dlatego nie widzim w Raczyńskim umyślnego skażenia textu, ale oczyszczenie textu radykalne i wcale pożądane. Wojcicki drukował swoje Pamiętniki z jakiegoś rękopisu pełnego błędów, nawet ortograficznych. Rękopism Wojcickiego nie był oryginałem, ale złą widać i nieumiejętną kopią. Może z tego powodu pochodzą i te przeoczenia i ta plątanina obrazów, na którą wskazaliśmy wyżéj. W Wojcickim przecinkowanie niegodziwe, nie pozwoli nieraz uchwycić sensu i zdrowéj myśli. Ra-

czyński poprawił te wady swojego rękopismu, jeżeli były w jego kopii, inaczéj ułożył ustępy; tam gdzie wyrazu nie rozumiał, radził się sądu własnego i stosownie do myśli przywracał text prawdziwy. Tam gdzie Wojcicki np. wydrukował: „do zajonczku się zabierali (tom Iszy, str. 24), u Piaseckiego jest *nexus*, to wyraźnie *związek*, nie *zajączek*. *Szpansretery* Wojcickiego, Raczyński wyłoży na *ostrokoły*. *Paszy*, to będzie pasza (dla koni). *po niedoborze*, to będzie po *Dniestrze* (Raczyński str. 123, Wojcicki str. 136). Imiona własne źle wyrażone u Wojcickiego, Raczyński poprawi; np. Dynoff to Denhoff, podkomorzy miasławski, to podkomorzy mścisławski. Pamiętniki mówiąc o bitwie Stefana Potockiego na Wołoszczyznie pod rokiem 1612, twierdzą, że zaszła „na miejscu Sasowy Rohna zwanym" (tom Iszy, str. 37). Czysty kalembur, bo należało wydrukować: „na miejscu Sasowy Roh nazwaném". Wszakże sławne to imię w dziejach wojennych rzeczypospolitéj. Raczyński pewnoby takiego błędu nie wydrukował, choćby go znalazł w Pamiętnikach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZAKLĘCIA.

(Z LUDOWYCH POEZYJ SERBSKICH).

Przed wrotyma, na drewnianéj ławie,
Siedział w wieczór Konstant Jakubowicz;
Przy nim jego niewiasta Miliada,
A syn mały igrał z ojca szablą.
Wtém od lasu obcy człek przychodzi,
Dłoń podając przyjaźnie ich wita;
Obcy, zdał się z postaci młodzieńcem,
Lecz włos szarzał, ćmawy był wzrok jego,
Blade wargi i chwiejące kroki.

— „Mój ty bracie w Bogu—rzekł przybylec—
Pragnę strasznie, podaj mi się napić."

I Miliada poskoczywszy chyżo,
Wnet powraca z mlekiem i gorzałką.

— „Bracie! powiédz, co to za pagórek,
Tam przegląda zmiędzy drzew zielonych?"

— „Snać, żeś jeszcze (Konstanty odpowié)
W téj nieświadom całe okolicy,
Gdyś naszego nie poznał cmentarza!"

— „Tu więc spocznę! (zawołał gość). Czuję,
Śmierci mojéj nadchodzi już chwila."

I odjąwszy z siebie pas czerwony,
Ranę krwawą, głęboką odsłania.

— „Odo wczora, turecka ot kula,
Tkwi mi w piersi, że ani żyć dłużéj,
Ani dotąd umrzéć z nią nie mogę."

Jakubowicz opatruje ranę,
A Miliada wspiera gościa ramię.

— „Smutne było życie me (wzdychając
Rzecze młodzian) smutna i śmierć będzie;
Na tym wzgórku pogrzebcie me ciało,
Bo za życia mąż był ze mnie dzielny,
Zdolny władać najcięższym orężem."

I na ustach jego błysnął uśmiech....
Wtém mu na wiérzch wystąpiły oczy,
I zwisnęła nagle na pierś głowa.

— „Mężu drogi! pomóż mi go wspierać!
Strasznie cięży ten człowiek; już sama
Nie podołam z nim" rzecze Miliada,
A Konstanty poznał, że gość skonał.

* * *

Na swojego konia złożył ciało,
I na cmentarz blizki zaprowadził,
Nie zważywszy: zechce li święcona
Ziemia, przyjąć odszczepieńca ciało?
I na wzgórku otwartym mogiłę
Wykopawszy, pogrzebł w niéj zmarłego,
Z mieczem jego i nożem u pasa,
Jak przystało chować wojownika.

W tydzień czasu po owym dniu smutnym,
Zachorzało dziécię Konstantego;
I co niegdyś biegało tak rade,
Teraz blade obliczem, niezdolne
Wstać, leżało smutne na rogożach.
Aż Opatrzność przywiodła do chaty
Pustelnika z sąsiedniego lasu.

— „Dziwne (rzekł on) złe na dziecko padło!
Patrzcie! oto upiorzego zębu
Znak na szyi, ta czerwona plama."

I dobywszy z torby swoję księgę,
Poszedł z całą rodziną na cmentarz;
Tu odkopać rozkazał mogiłę,
W któréj obcy spoczywał wojownik.

Trup się czerstwy i świeży pokazał,
Włos i broda urosły mu długie,

I paznogcie jak jastrzębie szpony.
Krwią zbroczone były jego wargi,
I grób cały pełen krwi czerwonéj.
Jakubowicz chwycił osikowy
Kół, i przebódł nieboszczyka ciało.

Patrz! i oto trup zawrzasnął głośno,
I zerwawszy się uciekł do lasu;
Żadenby koń zgonić go nie zdołał,
Tak spłoszone pierzchało widziadło.
Przed niém gięły się gałęzie młode,
A konary grube drzew ogromnych
Łamały się, i waliły z trzaskiem.

Świętobliwy pustelnik wziął wtedy
Krwi i ziemi z upiora mogiły,
Tarł nią ciało chorego chłopięcia,
Toż czynili dziecięcia rodzice.

Gdy wieczorna przyszła pora, rzekli:
„Właśnie o téj zmarł obcy godzinie."
Aż ci, ledwie zdążyli wymówić,
Pies zaszczekał, i pod pana nogi
Skrył się jężąc; wtém, drzwi się otwarły,
I do izby, schylony wszedł olbrzym,
Siadł na ziemi skrzyżowawszy nogi,
Głową belek pułapu sięgając;
Szydny wlepił wzrok w Jakubowicza.
Ten, upiora owładnięty czarem,
Nie mógł oczu od niego odwrócić.

Lecz pustelnik otworzył swą księgę,
Rzucił w ogień gałąź rozmarynu,
I dym dmuchnął naprzeciw widziadłu,
Zaklinając je w Jezusa imię.
Upiór począł drżéć na całém ciele,
I spłoszony wybiegł ze drzwi chaty,
Jak wilk trwożny przed strzelca pogonią.

Na wtory dzień, o téjże godzinie,
Pies zaszczekał, wrota się otwarły,
I mąż zwykłéj człowieczéj postaci,
Wszedłszy do dom, siadł wpośród świetlicy,
Wzrok utopił w Konstantego licu,
Chcąc go urzec. Lecz pustelnik znowu
Jął się swoich zaklinań, i znowu
Widmo pierzchło, powtórnie spłoszone.

Na dzień trzeci, o téjże godzinie
Karzeł w chacie zjawił się tak mały,
Żeby szczur mu wierzchowcem mógł służyć.
Ale jego źrenice pałały
Dziko, niby dwie smolne pochodnie.
Lecz pustelnik rozpoczął zaklęcia,
I widziadło przepadło na zawsze!

R. Z.

ROZBIÓR KRYTYCZNY

DZIEŁA P. WALENTEGO DUTKIEWICZA, POD TYTUŁEM:

PRAWO HYPOTECZNE W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

PRZEZ

C. Z.

Dzieło pana Dutkiewicza zawiera wykład *kazuistyczny* naszego prawa hypotecznego. Wypracowane szczegółowo, obszernie, przedstawiające najważniejsze praktyczne kwestye, stanowi ono epokę w polskiéj literaturze prawnéj. Dotąd nie mieliśmy żadnéj pracy naukowéj drukiem ogłoszonéj, tak zupełnie zaspokajającéj.

Główną zaletą autora jest jego samodzielność. Chociaż obeznany z literaturą prawną francuzką, i chociaż często cytuje *Troplonga*, którego obrał sobie za wzór, i innych znakomitych jurystów, wszelako rzadko trzyma się ich zdania i właściwym sobie postępuje torem.

Lecz do krytyki należy nietylko wykazać dobre strony autora, ale szczególniéj zwrócić uwagę na jego niedostatki, aby pobudzić wstępujących w jego ślady do staranniejszego przedmiotu wypracowania.

Czytając z uwagą dzieło pana Dutkiewicza, przedewszystkiém nastręcza się zarzut, iż autor nietylko na czele swego kommentarza nie podał zasad *interpretacyi* i stosowania prawa, ale nawet że ich sobie należycie nie wyrobił. Praca zaś tego rodzaju okazywała się niezbędną ze względu na okoliczności, wpośród których układany był i przedstawiany projekt o hypotekach.

Przed wprowadzeniem kodexu cywilnego francuzkiego do Królestwa, obowiązywało w niektórych guberniach prawo pruskie i pruska hypoteka.

Dogodność jéj powszechnie była uznana i było życzeniem nawet pod panowaniem kodexu, wrócić się do zasad hypotecznych poprzednio obowiązujących. Lecz przepisy kodexu cywilnego spoczywają na zasadach przeciwnych prawu pruskiemu, i zostającéj z niém w związku hypotece. Prawo pruskie albowiem otacza ważniejsze akta formami i dąży do tego, aby czynności ile można były zawierane ważnie i nie ulegały wzruszeniu. Prawo francuzkie zaś zmierza do ułatwienia każdemu zeznawania czynności cywilnych, i przedewszystkiém nie chce tamować szybkiego obiegu praw majątkowych, zostawując późniejszemu rozpoznaniu stron i sądów rozwiązanie wyniknąć mogących trudności.

Również przeciwnemi są zasadom hypoteki pruskiéj przepisy obowiązującego prawa cywilnego i postępowania sądowego francuzkiego; według piérwszéj, sąd zwykle działa z urzędu; według procedury francuzkiéj, instrukcya interesów pozostawiona jest stronom i ich obrońcom.

Aby nowe prawo hypoteczne nie doznało żadnych trudności w wykonaniu, przed ogłoszeniem onego wypadało rozebrać wszystkie przepisy obowiązującego prawa cywilnego i postępowania, i uchylić lub zmodyfikować wyraźnie te, które zostawały w sprzeczności z hypoteką. Lecz w owym czasie napisanie tego przechodniego prawa było nader trudném, a może i niepodobném; już bowiem wtedy zamierzano przerobić całe prawodawstwo cywilne, z wielu względów niedogodne; nie chciano się przeto wiązać częściowemi zmianami; lękano się także, aby jawne wzruszenie zasad kodexu francuzkiego, nie zaszkodziło przeprowadzeniu przez sejm projektu; dlatego nawet unikano w nim szczegółowego rozwinięcia zasad, któreby mogły ściągnąć zarzut zbytecznych komplikacyj. Rachowano przeto na współdziałanie sądów i na przejęcie się ich widokami prawodawcy.

Oprócz tego w naszém prawie hypoteczném, opartém na zasadach pruskich, przyjęto niektóre niezupełnie z nimi zgodne przepisy hypoteki francuzkiéj; a mianowicie hypotekę sądową bez należytego jéj rozwinięcia. Powstały ztąd liczne trudności, których rozwiązanie wymaga stałych i jednostajnych zasad.

Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór zasad interpretacyi, ograniczymy się na wskazaniu niektórych rezultatów, odnoszących się mianowicie do naszego prawa hypotecznego.

Naprzód, nie ulega wątpliwości, iż nowe prawo uchyla przepisy poprzednio obowiązującego nietylko *wyraźnie* mu przeciwne, ale i takie, które utrudniają jego wykonanie, a także sprzeciwiają się jego widokom. Uważać przeto należy za uchylone we względzie hypotecznym wszystkie artykuły kodexu francuzkiego niezgodne z zamiarem prawodawcy, który chciał ustalić prawa własności i prawa rzeczowe, poddając roztrząsaniu sądowemu tytuły nabycia, obciążenia i umorzenia, i stanowiąc *ujawnienie* ich w księdze hypotecznéj.

Powtóre, z okoliczności, wśród których prawo hypoteczne było układane, wynika, iż nie było zamiarem prawodawcy zmieniać kodex cywilny, o ile jego postanowienia nie ściągały się do praw hypotecznych, i że te przepisy, wyjąwszy wyraźnie uchylonych, pozostały w swéj mocy.

Nakoniec, ponieważ prawo pruskie było źródłem naszéj hypoteki, przeto niedostatek w niéj przepisów *drugorzędnych*, czyli szczegółowych, rozwijających główne zasady, należy zawsze uzupełniać przepisami hypoteki pruskiéj. Jeżeli prócz tego zgodzimy się, iż każdy artykuł prawa przedstawiający się nam w znaczeniu wątpliwém, powinien być stosowany w rozumieniu najwięcéj odpowiedniém ogółowi zasad, najmniéj niedogodném i nieobrażającém ani uczucia sprawiedliwości, ani zdrowego rozsądku: w takim razie otrzymamy dostateczne kryteria dla ocenienia licznych wątpliwości, napotykanych w naszém prawie hypotecznem.

Zobaczmy, jak dalece autor trzymał się w swéj pracy owych zasad interpretacyi i stosowania praw, i zacznijmy od prawa własności.

Według prawa francuzkiego, legityma czyli część obowiązkowa zapewniona dla dzieci i wstępnych, mocniejszą jest od prawa służącego właścicielowi rozporządzać rzeczą (art. 950); każda darowizna uczyniona przez obowiązanego do legitymy, może być krytykowana przez jego sukcessorów linii prostéj i na ich żądanie uchylona; nieruchomości darowane mogą być windykowane przez nich nawet wtedy, gdy przeszły w ręce trzecie.

Nadto, darowizna uczyniona przez osobę bezdzietną upada z mocy samego prawa, jeżeli darujący będzie miał potomstwo. Powstaje zapytanie: jak dalece to górujące stanowisko legitymy nad prawem własności, utrzymaném zostało obok prawa hypotecznego? Autor utrzymuje (§ 46), że gdy dobra nieruchome zostaną darowane, prawa sukcessorów obowiązkowych nie potrzebują być objawia-

ne w wykazie hypotecznym, i że pomimo tego służą one przeciw trzecim nabywcom.

Zdanie to, mogące w zastosowaniu sprowadzić wielkie niedogodności, nie jest bynajmniéj uzasadnione. Śmiało można powiedzieć, iż w razie przyznania w całéj rozciągłości mocy obowiązującéj przepisom Kodexu Cywilnego obok hypoteki, nie byłoby żadnego bezpieczeństwa hypotecznego, i większa część dóbr nieruchomych byłaby usunięta z pod porządnego obiegu; słowem, z postępem czasu wrócilibyśmy do tego chaosu, z którego usiłują teraz wyjść Francuzi.

Skoroby tylko od roku 1818 jakie dobra były darowane, nie możnaby było na nich zaciągnąć z pewnością ani pożyczki z Towarzystwa Kredytowego, ani ze skarbu, ani ich przedać: bo wszystkie te akta, według teoryi autora, mogłyby uledz wzruszeniu przez skargę sukcessorów obowiązkowych. Skarga zaś ta służy im przez lat 30 i przez małoletność może być przedłużoną. Jurysprudencya francuzka nadto przyznaje możność wytoczenia skargi przeciw darowiznom pokrytym formą udanych przedaży.

Taka niepewność w prawie własności hypotecznie zabezpieczonem, sprzeciwiałaby się zamiarom prawodawcy, który chciał doprowadzić do matematycznéj pewności wszelkie nabycia i cały ruch w prawie rzeczowém. Lecz nietylko ogólne względy, ale i wyraźne przepisy prawa, przeciwne są zdaniu autora.

Artykuł 30 prawa hypotecznego stanowi: „Po uznaniu zwierzchności hypotecznéj, iż tytuł nabywcy żadnemu nie podlega zarzutowi, i po zapisaniu treści tytułu do wykazu hypotecznego, tenże nabywca uważanym jest w czynnościach z trzecim o dobra nieruchome zawieranych, za istotnego właściciela.“

Cóż tu znaczy istotny właściciel? Właściciel taki, za jakiego uznała go zwierzchność hypoteczna, tojest właściciel bezwarunkowy, zdolny przenieść prawo własności na nowego nabywcę.

Zwierzchność hypoteczna ocenia ważność aktu, jego znaczenie prawne, jego niewzruszalność. Dopiéro, jak się wyraża art. 20, przez uznanie zwierzchności że akt nie podlega powyższym zarzutom, przybiéra takowy akt znamię wiary publicznéj względem każdego trzeciego, mającego czynność z właścicielem gruntu lub prawa hypotekowanego.

Pytam się, coby tu była za rękojmia, za znamię wiary publicznéj, jeżeliby prawa przez trzecich nabyte, mogły być unieważnione skutkiem legitymy, należącéj od pierwotnego właściciela? Niewątpliwie przeto po uznaniu nabycia prawa rzeczowego przez zwierz-

chność hypoteczną za istotne, nieokreślone żadnemi warunkami, późniejszy ruch w tém prawie nie ulegnie już wzruszeniu, z powodu pretensyj formowanych do poprzednich właścicieli.

Zwierzchność hypoteczna, która ocenia akt zeznany, i któréj niewolno w błąd wprowadzać interesantów, przyznając obszerniejsze prawa, aniżeli w istocie służą; zwierzchność hypoteczna nie zostaje w konieczności przestrzegać praw osób, którym należy część obowiązkowa, albowiem art. 20 prawa hypotecznego zaleca jéj uważać: „czyli czynność nie sprzeciwia się prawom trzeciego wiadomym z ksiąg hypotecznych". Ostrzeżenie o legitymie mogłoby być wniesione do ksiąg hypotecznych tylko na żądanie samych stron interesowanych, i zanimby dobra darowane przeszły w ręce trzecie.

Autor utrzymuje także (§ 47), iż art. 865 Kodexu Cywilnego, obowiązuje w całéj swéj rozciągłości i co do aktów hypotecznie zeznanych. Według tego wykładu, jeśliby dobra darowane były domniemanemu sukcessorowi i na niego bezwarunkowo tytuł własności uregulowany, a następnie zwrócone przez niego do massy spadkowéj, wszelkie obciążenia hypoteczne przez czasowego właściciela zeznane, i osobom trzecim przez wierzycieli hypotecznych ustąpione, uległyby wykreśleniu na korzyść współsukcessorów.

To zdanie również nie jest uzasadnione, jako niezgodne z rękojmią publiczną, wynikającą z zatwierdzenia zwierzchności hypotecznéj.

Należy wybierać pomiędzy dwiema instytucyami: albo legitymа i zwroty dla sukcessorów w całéj swéj rozciągłości, albo hypoteka. Ponieważ zaś instytucya hypoteczna jest późniejsza od kodexu i ważniejsza dla kraju, przeto niewątpliwie przyznać jéj należy pierwszeństwo.

Więcéj trudności przedstawia rozwiązanie zapytania rozbieranego przez autora; czyli jeden ze współsukcessorów wpisany do hypoteki *pro indiviso*, jako współwłaściciel może ważnie i ze skutkiem część swą zbywać i obciążać? Powód do powątpiewania wynika z warunkowego prawa własności sukcessorów, mogącego ustać w skutek działu. Niektóre nowsze prawodawstwa hypoteczne zawiérają przepis, iż współsukcessorom i w ogólności współwłaścicielom, niewolno jest oddzielnie obciążać swych praw, *pro indiviso* do hypoteki wniesionych, lecz że tego rodzaju akta dozwolone im są za wspólną zgodą. Przepis ten zapobiega wielu komplikacyom, utrzymuje bowiem jedność kontroli przez zabronienie cząstkowego obciążania. Wszakże, gdy nasza hypoteka tego ograniczenia nie zna, przyjąć na-

leży, iż każdy z współwłaścicieli mocen jest swém prawem rozporządzać. Dla ocenienia zaś skutków tych rozporządzeń, należy rozróżnić, czyli współsukcessorowie wpisani *pro indiviso* zastrzegli sobie w wykazie hypotecznym wzajemne pretensye, mające się wykazać w drodze działów, i czy postarali się o zamianę praw osobistych z art. 883 służących, na rzeczowe, lub nie?

Jeżeli uczynione było zastrzeżenie, w takim razie akt zeznany przez współsukcessora, nie może im szkodzić; w przeciwnym przypadku, uważać należy wpisanych do hypoteki współsukcessorów, jak innych współwłaścicieli, i akta przez nich hypotecznie zeznane, otrzymują zupełny skutek co do ich części reprezentowanéj przez szacunek, mający otrzymać się na licytacyi.

Nasz autor rozwiązuje to ważne zapytanie innym sposobem. Mniema on, iż gdy idzie o rozporządzanie nabytą przez spadek i hypotecznie uregulowaną współwłasnością, akta współsukcessora, nawet hypotecznie zatwierdzone, mogą być wzruszone skutkiem działów, dla tego, iż współsukcessor nie miał żadnéj pewnéj w naturze wydzielonéj, ograniczonéj, oddzielnie gospodarowanéj części; zaś, gdy idzie o rozrządzenie częścią summy spadkowéj, akta jego, jako ściągające się do oznaczonéj części czyli ilości, nie ulegną skutkom działu.

Lecz można zarzucić temu wykładowi, iż współnabywca dóbr nieruchomych przez kupno, także nie ma w naturze wydzielonéj części, a przecież swą częścią ze skutkiem rozporządzać jest mocen; że szacunek mogący zrealizować się na licytacyi, reprezentuje dobra i dzieli się wygodnie; że art. 883 Kodexu Cywilnego wzruszający cząstkowe alienacye i obciążania przez sukcessorów zeznane, napisany dla kraju w którym nie ma ustalającéj prawo własności hypoteki, nadaje tylko prawa osobiste interesowanym w wzruszeniu czynności sukcessorów, a pod względem prawa rzeczowego nie obowiązuje obok art. 20, 30, 37 prawa hypotecznego; że przeto żadnéj różnicy nie można czynić co do możności rozporządzania przez współsukcessorów pomiędzy dobrami hypotecznie uregulowanemi i summami hypotecznemi.

Zastanawiając się nad wpływem, jaki wywarła nasza hypoteka na przenoszenie prawa własności, autor przychodzi do przekonania (§ 38, 39 i 40), iż dobra nieruchome, urządzoną hypotekę mające, przechodzą na nabywcę nietylko w stosunkach z trzeciemi, ale i bezwzględnie, dopiéro od dnia zeznania nabycia w księdze hypotecznéj, lub od dnia wciągnienia do niéj tytułu własności; że do tego dnia

axioma casum sentit dominus, pogorszenia i straty w nieruchomości wydarzone, dotyczą przedawcy.

Lecz prawo hypoteczne tego przepisu nie zawiéra; autor usiłuje go przeto wywieść z art. 1go Ustawy hypotecznéj i przytacza na poparcie swego zdania różne argumenta. Najważniejszemi z nich są:

1. Że prawo rozporządzania nieruchomością według naszéj hypoteki, zyskuje się przez wciągnienie tytułu nabycia do ksiąg hypotecznych; zaś prawo rozporządzenia jest jedną z głównych attrybucyi prawa własności i nie da się oddzielić od innych jego przymiotów.

2. Że wielkie komplikacye i niedogodności rodzi system uznający dwóch właścicieli dóbr zbywanych do wniesienia nabycia w księgę hypoteczną, tojest nabywcę, którego prawa tylko względem zbywającego są ważne, i zbywającego którego prawa stanowczemi są dla trzecich.

3. Nakoniec, że art. 143 nakazuje do zaprowadzenia nowego porządku hypotecznego, czynności o własność dóbr nieruchomych, zawierać w formie urzędowéj.

Lecz moc tych wywodów niknie, jeżeli wspomnimy, że prawo hypoteczne nie urządza stosunków między zawierającemi umowy, że te umowy urządzone są przez Kodex Cywilny, którego prawodawca nie zamierzał zmieniać.

Art. 1szy naszéj hypoteki miał na celu wskazać formę tytułów, które mają skutkować nabycie, umorzenie lub obciążenie prawa hypotecznego. Oddzielenie zaś prawa posiadania służącego właścicielowi od prawa rozporządzania, i przypuszczenie dwóch razem jednego majątku właścicieli, a mianowicie jednego względnego, drugiego bezwzględnego, stanowi istotnie wielką niedogodność i nawet niekonsekwencyą prawną; lecz te tylko na drodze prawodawczéj a nie na drodze interpretacyi mogą być uprzątnione; tém bardziéj, że w obecném prawie hypoteczném znajdujemy nieraz dwóch właścicieli jednego majątku. W art. 30, 32 i 33 mowa jest o właścicielu istotnym, niewpisanym i prawdziwym, co dopuszcza przeciwnego jemu właściciela nieistotnego, wpisanego i nieprawdziwego. Nakoniec art. 143 Prawa hypotecznego zawiera tylko powtórzenie w części przepisów art. 1 i 2 w zamiarze zapewnienia im mocy przechodniéj; skutki zaś tych artykułów oznaczone w art 3 ograniczają się tém, że czynności zeznane nie w formie przepisanéj, nie mogą być wciągnięte do ksiąg hypotecznych, a zatém nie ma tu bynajmniéj mowy o przenoszeniu własności.

Przechodzimy do praw rzeczowych nieruchomości obciążających.

Art. 45 prawa hypotecznego stanowi: „na przyszłość jednak powinno być zapisaném w księgę hypoteczną każde umorzenie dotąd istniejących służebności, lub ustanowienie nowych i tychże umorzenie, jakiegokolwiek rodzajuby te służebności były".

Skutki niezachowania tego przepisu oznaczone są w art. 11, pomieszczonym w części ogólnéj prawa, którego brzmienie następne: „wszelkie tytuły, które wciągnione do ksiąg hypotecznych stanowią prawo rzeczowe, dopóki nie zostały wciągnionemi, są tylko prawami osobistemi". Przepisy te są jasne, tak dalece, iż trudno wymagać więcéj precyzyi od prawodawcy; według nich art. 690, 691, 692, oznaczające różne sposoby nabycia służebności, stosownie do ich rodzaju, obowiązują między stronami; lecz aby ustanowienie i nabycie służebności jawnych i ciągłych przez przedawnienie, lub przez rozporządzenie ojca familii, było ważném względem trzecich nabywców, trzeba wciągnienia ich do ksiąg hypotecznych. Autor, (§ 125), wierny swemu systematowi, przyznający Kodexowi Cywilnemu górujące stanowisko nad hypoteką, nie podziela tego wykładu. Utrzymuje on: „iż nasz artykuł nie miał względu na stanowczy podział służebności na widoczne i ciągłe, oraz na niewidoczne i przerywane, i że nie zdaje się, aby do tego była racyonalna pobudka." Na co odpowiedzieć można, iż prawodawca ważne miał powody do uchylenia tego podziału i skutków onego we względzie hypotecznym; że zamierzył on zabezpieczyć nabywcę od ciężarów w księdze hypotecznéj nieobjawionych, o których istnieniu nie mógłby się przekonać innym sposobem. Ciężary albowiem jawne i ciągłe dotykające nieruchomość, zwykle dobrze są wiadome właścicielowi zostającemu w jéj posiadaniu, lecz mogą być niedostrzeżone przez nabywcę; może on także uważać je za skutek prostéj tolerancyi poprzedniego posiadacza, lub za skutki jego niebaczności.

Autor dodaje nadto: „Każe on (prawodawca) wpisać wszystkie jakiegokolwiek rodzaju (służebności), ale nakazu tego żadnéj nie ma sankcyi". Lecz tę sankcyą znajdujemy w powołanym przez nas art. 11stym ustawy hypotecznéj. Według tego artykułu, prawo niewniesione do księgi wieczystéj, nie nabędzie charakteru prawa rzeczowego.

Nakoniec twierdzi autor: „przepis ten (nakazujący wpisywanie służebności), w całéj rozciągłości wykonany nawet być nie może: bo ściśle biorąc, może być wykonany względnie służebności, które tylko z tytułu byt swój wywodzić mogą, ale nie da się wykonać co do służebności widocznych i ciągłych, które powstać mogą, skoro przez lat 30 były wykonywane; nie da się wykonać co do służebno-

ści tegoż samego rodzaju *per destinationem patris familiae* ustanowionych."

Lecz i w tym względzie nie zachodzi wskazana przez autora trudność. Służebności nabyte skutkiem przedawnienia mogą być wniesione do hypoteki z mocy wyroku otrzymanego przeciw właścicielowi niedbałemu; służebności zaś ustanowione przez właściciela dwóch nieruchomości, mogą być przez niego w hypotece objawione.

Tak pod względem prawa własności, jako i pod względem wszystkich praw rzeczowych, ważnemi są nader: dobra wiara wymagana dla nabycia, i stosunek między prawami wpisanemi do różnych działów księgi hypotecznéj. Przedmioty te autor w miarę ich ważności wypracował nader starannie i zwrócił silną uwagę na połączone z niemi wątpliwości; lecz gdy rezultata przezeń podane niezupełnie zaspokajają, przeto pozwolimy sobie poddać je krytycznemu rozbiorowi.

Dobra wiara zawsze jest domniemana aż do udowodnienia przeciwnego stanu rzeczy; zaś zła wiara wynikająca z wewnętrznego przekonania, zależy od wielu okoliczności, które zwykle świadkami lub przysięgą mogą być tylko wyjaśnione.

Te dowody nie dosyć zgodne z istotą hypoteki, polegającéj na jawności i dopełnieniu form przepisanych, mogłyby wzruszyć samą instytucyą, jeśliby zbyt łatwo były przez sądy dopuszczanemi.

Prawodawca hypoteczny wszelako odrzucić ich nie mógł, albowiem dozwolił zahypotecznie zeznawać akta dotyczące praw hypotekowanych, zkąd dla spekulantów złéj wiary powstała możność zawierania szkodliwych czynności dla nabywcy, w czasie pośrednim między sporządzeniem aktu notaryalnego i wniesieniem onego do hypoteki. Także prawodawca nie mniemał, aby pomimo jawności hypotecznéj nie wydarzały się jeszcze podstępy i fałsze, nadwerężające prawa istotnych właścicieli.

Autor obdarzony rzadkim praktycznym zmysłem, w przekonaniu, że nierozważne przypuszczanie złéj wiary może stać się źródłem pieniactwa i samowolności sędziego, starał się o podanie niewątpliwych w tym względzie skazówek, i traktował o dobréj i złéj wierze w trzech różnych miejscach, a mianowicie w §§ 58, 68 i 71.

W § 58 autor prócz ogólnego kryteryum dobréj wiary, aby nabywca nie wiedział, że dobra nabywane mają innego prawdziwego właściciela, że summa ustąpiona mu jest umorzona, podaje nam jeszcze inną ważną zasadę, że dobra wiara nie jest wymaganą, jeżeli otrzymujący prawo hypoteczne wiedział, iż na nieruchomości służy

komu innemu prawo niezahypotekowane, które obok nabytego przezeń, może być wykonaném; że przeto ten, kto wié o zaciągnieniu na dobra długu zahypotecznie, może na nie udzielić pożyczkę i uzyskać pierwszeństwo przed zaciągnionym poprzednio długiem.

W § 68 autor idzie daléj, mówiąc o przypadku, w którym udzielający pożyczkę wié, że dobra długiem obciążone pozahypotecznie przeszły w ręce trzecie; podaje zasadę, że akt hypoteczny należy uważać wtedy tylko za złéj wiary, a tém samém za nieważny, jeżeli udzielający pożyczkę zmówił się z wpisanym właścicielem na szkodę pozahypotecznego nabywcy. Albowiem pożyczający mógł nie wiedzieć, czy strony nie zrobiły czynności pozornie, czy od niéj późniéj nie odstąpiły, czy nabywca zapłacił szacunek i jak się strony umówiły względem długów hypotecznych. Lecz teorya ta zbyt śmiała, zostająca w związku ze zdaniem autora, iż niewpisany nabywca nie jest właścicielem, zmodyfikowaną jest przez niego niejako w § 71.

Czytamy bowiem w tym paragrafie: „Ci nabywcy, lub na hypotekę pieniędzy pożyczający, nie powinni mieć wiadomości, że dobra, kapitały lub inne prawa hypotekowane są własnością kogo innego a nie tego, z którym w umowę wchodzili; jeżeli zaś mieli tę wiadomość, a zatém byli w złéj wierze, nie mogą, pomimo że czynność zatwierdzona została przez zwierzchność hypoteczną, odnieść korzyści, jak mówi art. 33ci, nabywać żadnego prawa ze szkodą prawdziwego właściciela".

Prócz tego jeszcze autor podaje dwie nowe zasady, a mianowicie: że dobra wiara powinna być w chwili nabycia; powtóre, że rozsiewane pogłoski i odkazywania się procesem przez interesowanych, nie osłabiają dobréj wiary wchodzącego w czynności z wpisanym właścicielem.

Te dowody autora o dobréj i złéj wierze, nie ulegają żadnemu zarzutowi. Tylko trudno się zgodzić na kryteryum podane przezeń w § 68, iż hypoteki mogą być zyskiwane przeciw niewpisanemu nabywcy z wiedzą o nabyciu. Litera prawa temu się sprzeciwia; art. 20 wyraźnie stanowi: „nie może odnosić korzyści z aktu zatwierdzonego, zawierający tenże akt w złéj wierze". Zła wiara zaś zachodzi, gdy mający wiadomość o prawach nabywcy, wchodzi w czynności onemu szkodliwe. Myśl prawa także nie sprzyja temu wykładowi; zabezpieczenie aktów pozahypotecznych przeciw złéj wierze, a *nawet przeciw podstępowi zeznających* takowe, nie byłoby osiągnięte. Lecz dla należytego

wyjaśnienia przedmiotu, należało autorowi bliższe złéj wiary podać skazówki, i szukać ich mianowicie w sposobie, jakim zawierający czynność, dowiedział się o prawach onéj przeciwnych, w rozróżnieniu praw nadwerężanych, nakoniec w postępowaniu tak nabywającego prawa hypotekowanego, jako i mającego prawa hypoteczne. Wiadomość o prawach pozahypotecznych trzecich osób, może być powziętą przez zamierzającego nabycie prawa hypotecznego, albo osobiście, albo od strony z którą tenże traktuje, albo od mającego prawo zahypoteczne, albo nakoniec od osób czynności zupełnie obcych. Osobiście powzięta wiadomość o prawach zahypotecznych, niemniéj wiadomość powzięta od strony z którą czynność jest zawarta, skutkuje złą wiarę, jeżeli nie zachodzą okoliczności usprawiedliwiające. Ten więc, kto czytał akt kupna i przedaży zahypotecznie zeznany, albo osnowę jego miał sobie oświadczoną przez notaryusza sporządzającego akt, kto widział prawdziwego sukcessora dla ważnych przeszkód nieobjawiającego praw swoich w terminie oznaczonym, albo o tych okolicznościach był przez wpisanego właściciela uwiadomiony, ten nie może zawierać z nim aktów szkodliwych dla właściciela prawdziwego. Działania jego mają na celu w takim razie, albo własne nieprawe wzbogacenie się, albo mniéj godziwe zjednanie korzyści traktującéj z nim stronie.

Lecz mogą i w tym przypadku zachodzić okoliczności niweczące domniemanie złéj wiary. Jeżeli akt pozahypoteczny zawiéra warunki, których spełnienie jest wymaganém przed wniesieniem onego do hypoteki, albo równocześnie z wniesieniem, i jeżeli po upływie niejakiego czasu od zeznania onego, objawienie w hypotece nie nastąpiło; również, jeżeli prawdziwy sukcessor, pomimo ustania przeszkód, które tamowały jego zgłoszenie się ze swemi prawami, zaniedbuje ich przedstawienie w hypotece; w takim razie zawierający czynność z wpisanym właścicielem, może uważać niewpisanego, za odstępującego od praw swoich.

Skoro zaś zawierający czynność na zasadzie ksiąg hypotecznych, otrzymuje wiadomość o przeciwnych jéj prawach niehypotekowanych od samego pretendenta, lub od osób obcych, których doniesieniom wierzyć nie jest obowiązany, domniemanie o jego dobréj wierze nie będzie osłabione, chyba, że zachodzą okoliczności wymagające z jego strony większéj uwagi, lub wykazujące jego nierzetelność.

Gdyby właściciel niewpisany pozbawiony został swych praw skutkiem oszustwa lub fałszu, wtedy na samą pogłoskę o dokonaném przestępstwie, nie może nikt wchodzić w czynności hypoteczne z fałszerzem lub z oszustem, aby mu nie ułatwić nieprawych korzyści.

Również, jeżeli kto powziąwszy nawet od osób obcych wiadomość o cudzém pozahypotecznóm prawie, skwapliwie zawiéra przeciwną onemu czynność, tak, iż szybkością swoją uprzedza objawienie praw pozahypotecznych, i z aktu zawartego nadzwyczajne osiąga korzyści: wtedy przyjąć należy, iż oparł on swe rachuby na wiadomości o przechodnim stanie prawa przezeń nabytego, i działał w złéj wierze.

Nakoniec, postępowanie osoby, któréj prawa zahypoteczne zostają nadwerężone, także wpłynąć może na ocenienie dobréj lub złéj wiary uzyskującego przeciw niéj prawa hypotekowane. Jeżeli właściciel niewpisany przez czas długi, ociągał się z objawieniem w hypotece swych praw i postępował niedbale, w takim razie wchodzący w czynności z właścicielem wpisanym, jako domniemywający się zrzeczenia tych praw, niełatwo może być posądzony o złą wiarę. Wiadomość niepewna lub jakakolwiek o istnieniu praw zahypotecznych, nie osłabia w okolicznościach zwykłych dobréj wiary wchodzącego w czynności, z mającym prawa hypotekowane. Żeby ją zniweczyć, trzeba udowodnić wiadomość niewątpliwą i dokładną. Dlatego przysięga deferowana lub naznaczona, celem wyjaśnienia złéj wiary, powinna obejmować fakta, z których musiało wyniknąć przekonanie osoby nabywającéj zaprzeczone prawo hypoteczne.

Stosunek między różnemi prawami rzeczowemi, również starannie przez autora ze strony praktycznéj przedstawiony. Szczególniéj zasługuje na uwagę rozbiór jego wzajemnych praw wierzycieli hypotecznych, zastawników i dzierżawców. Lecz autor nie rozebrał ważnego zapytania, przedstawiającego się w ogólności, jak dalece prawa różnorodne, jedne drugim ubliżające, mogą być ustanawiane w hypotece; czy np. właściciel dóbr obdłużonych mocen jest ustanawiać na nich służebności pastwiska i wrębu, bez zezwolenia wierzycieli, czy może te dobra oddawać w zastaw bez ich zgodzenia się? W niektórych prawodawstwach, tego rodzaju umowy, jako rodzące zawikłania i mogące utrudnić satysfakcyą wierzycieli, wyraźnie są zabronione. Nasze prawo z roku 1818, żadnych w tym względzie nie zawiera ograniczeń,

lecz potrzeba onych jest widoczną; zaś ich istnienie może dałoby się wywieść z natury instytucyi hypotecznéj. Hypoteka bowiem dąży do usunięcia sporów, przez ustalenie i wyjaśnienie praw zabezpieczonych.

Również autor nie rozebrał ani z praktycznego, ani z ogólnego stanowiska, jak dalece może mieć miejsce ruch hypoteczny; czy np. mogą być zyskiwane hypoteki na czynszach i na subintabulatach. Wszakże bez ujęcia w pewne karby wpisów, wykazy hypoteczne staną się częstokroć niezrozumiałemi; kontrola materyalna nie wystarczy dla utrzymania ich w porządku.

Przechodzimy do hypoteki prawnéj i sądowéj, które nazwiemy hypoteką *przymusową*. Autor bardzo trafnie rozróżnił tę hypotekę od *umownéj* czyli *dobrowolnéj*, i udowodnił, że rękojmia wiary publicznéj otaczająca akta dobrowolne i zatwierdzone przez zwierzchność hypoteczną, nie odnosi się w równym stopniu do wpisów wynikających z mocy samego prawa lub wyroków sądowych. Lecz w dalszém rozwinięciu tego przedmiotu przez autora, znajdujemy wykłady prawa mniéj trafne.

Chociaż hypoteka przymusowa wpisywaną bywa zawsze w skutek decyzyi zwierzchności hypotecznéj, wszelako decyzya ta może zapaść:

1. albo w zastosowaniu tylko samego prawa;

2. albo w wykonaniu rezolucyi sądu tymczasowéj lub wyroku nieprawomocnego;

3. albo w wykonaniu wyroku prawomocnego.

W piérwszym i trzecim przypadku wpisywaną jest hypoteka stanowcza; w drugim, wniesioném zostaje do księgi hypotecznéj *ostrzeżenie*.

Hypoteki wynikające z mocy prawa i ostrzeżenia, dały powód do nader ważnych wątpliwości.

Co do piérwszych, powstaje zapytanie, czy w każdym razie żona, któréj służy hypoteka prawna, udowodnić winna swą pretensyą do męża, gdy żąda jéj zahypotekowania? Autor utrzymuje (§191): „gdyby zasada do hypoteki była w umowie przedślubnéj, takowa także złożoną być ma. Gdy hypoteka żądana jest z odpowiedzialności, zupełnego usprawiedliwienia wymagać nie należy i nie można. Tu samo prawo jest tytułem do hypoteki, i ta bez innego usprawiedliwienia, jak tylko za złożeniem aktu małżeństwa, zapisaną być winna".

Ze zdaniem tém zgodzić się nie można; należytość wnoszona do księgi wieczystéj z tytułu hypoteki prawnéj, równie jak każda inna powinna być udowodniona; wynika to nietylko z natury akcyi, ale i ze źródeł z których czerpał nasz prawodawca; nakoniec ze względu na ważne niedogodności, jakieby powstały z przeciwnéj teoryi.

Żądanie żony zapisania hypoteki prawnéj na dobrach męża, zmierza naprzód do przyznania jéj należytości poszukiwanéj, a następnie do hypotecznego onéj zabezpieczenia. Zwierzchność hypoteczna zezwalając na wpis, przysądza tém samém poszukiwaną summę. Gdyby zaś jéj wolno było nie opierać swego wyroku na dowodach, to od jéj samowolności zależałoby pozbawić przeciwną stronę majątku. Wszakże podług postępowania sądowego francuzkiego, nawet żądania zaoczne, potrzebują być usprawiedliwione. Przymiot hypoteki prawnéj uwalnia tylko interesanta od konieczności zyskiwania wyroku sądowego, lub rezolucyi sądowéj, lecz nie uwalnia go od obowiązku udowodnienia swéj należytości. Cała trudność wynikła ztąd, iż prawodawca nic nie wspomniał o rodzaju dowodów, jakie złożyć winna osoba żądająca wpisania hypoteki prawnéj, czego przyczyną są źródła z których czerpał. Art. 72 prawa z r. 1818, i art. 15 prawa z r. 1825, stanowiące o hypotekach prawnych, powzięte są z art. 2121 Kodexu Cywilnego czyli z hypoteki francuzkiéj. W tym zaś artykule ani w następnych, nie było wzmianki o dowodach hypoteki prawnéj; albowiem według kodexu, hypoteka prawna nie potrzebuje być wpisywaną, a tém samém udowadnianą, aby nadawać piérwszeństwo. Lecz skoro idzie o zasądzenie należytości żon i wyexekwowanie takowych, wtedy udowodnienie onych, i według kodexu francuzkiego jest koniecznem. Tymczasem nasza hypoteka prawna ustala zarazem i należytość i pierwszeństwo, i w myśl art. 20 uzasadnia exekucyą. Dlatego nie można jéj skutków rozumiéć w związku z przepisami hypotecznemi prawa francuzkiego, lecz celem rozwiązania zachodzących trudności, należy zapatrywać się na hypotekę pruską; tam zaś znajdujemy następne przepisy:

§ 182. Hypoteki prawne nie będą nigdy wpisywane z urzędu; wpisanie ich nastąpi w skutek podania stron interesowanych lub ich pełnomocników.

§ 183. Do podania powinien być dołączony tytuł bądź oryginalny, bądź w urzędowym wypisie, z którego wynika, że podający ma prawo do hypoteki prawnéj.

§ 184. Tytuł powyższy albo ustanawia przyznanie niewątpliwe wierzytelności, albo nie przedstawia dostatecznego dowodu.

§ 185. W piérwszym przypadku wpis będzie zarządzony, i nie ma potrzeby uprzedzać o tém dłużnika; należy go tylko uwiadomić o wpisie.

§ 186. W drugim przypadku, jeżeli przyznanie wierzytelności nie wynika widocznie ze złożonych dokumentów, należy żądać deklaracyi dłużnika, i nie można zarządzać wpisu, dopóki dłużnik nie zgodzi się na takowy, lub dopóki nie zapadnie wyrok stanowczy.

Stosownie do tych przepisów, i w myśl art. z prawa z roku 1830 o legitymacyi świadków w razie niedostateczności dowodów, składanych przez kobietę zamężną, mąż powinien być przez nią przed zwierzchność hypoteczną zapozwany; w razie zaś jego niezgodzenia się na wpis, interes do drogi sądowéj odesłany być winien.

Niedogodności z przeciwnéj teoryi wynikające są znaczne. Według téj teoryi, przewrotna żona łatwo mogłaby wyzuć z majątku swego męża. W tym celu trzebaby jéj tylko postarać się o decyzyą zwierzchności hypotecznéj, zatwierdzającą jéj urojone pretensye i wręczyć ją podczas choroby lub nieobecności męża. Decyzya stałaby się prawomocną, i mąż po upływie trzech miesięcy od dnia wręczenia, nie mógłby jéj wzruszyć.

Z widoków także prawa francuzkiego wychodził autor, kiedy hypotekom prawnym, w zbiegu jednych z drugiemi, przyznał pierwszeństwo od daty, w któréj wierzytelność nastanie wzięła. „Jak bowiem (są jego wyrazy, § 190) w hypotekach umownych i sądowych data dokumentu lub wyroku w zbiegu jednoczasowego zgłoszenia się do hypoteki, względem pierwszeństwa, stanowi, tak w prawnych trzeba brać datę nastania wierzytelności lub odpowiedzialności.“ Zdanie to przypominające nam hypotekę francuzką, przeciwną polskiéj, nie zgadza się z zasadą objawioną w art. 12 prawa hypotecznego, który nie rozróżniając między hypotekami umownemi i prawnemi w ogólności, stanowi: „Pierwszeństwo prawa rzeczowego zależy od pierwszeństwa wpisu. Pomiędzy wpisami dnia jednego, porządek numerów stanowić będzie pierwszeństwo“ i t. d.

Również ważne zagadnienia powstały co do ostrzeżeń. Ostrzeżenia te są trojakiego rodzaju: dotyczą one albo zdolności

cywilnéj osób, albo praw rzeczowych i z przestępstwa wynikających, albo nakoniec praw osobistych.

W art. 132 lit. c mowa jest o ostrzeżeniach co do praw rzeczowych; wynikają one z rezolucyi sądowéj, uzyskanéj po dopełnieniu formalności, w art. 137 przepisanych, przez stronę, która, jak się wyraża art. 132, „w drodze sądowéj wykazać chce jakie prawo do dóbr lub należytości hypotekowanych".

W końcu art. 137 opisany jest sposób uzyskiwania ostrzeżeń w drodze kryminalnéj; nakoniec art. 138 tyczy się ostrzeżeń czysto osobistych, co do których, wyrok przysądzający należność, nim się stał prawomocnym, może być wniesionym do ksiąg hypotecznych.

Z tych nader jasnych i niepodlegających wątpliwości textów wynika, iż dla uzyskania ostrzeżenia, zabezpieczającego tymczasowo i ewentualnie prawo rzeczowe, tudzież dla zabezpieczenia należytości z przestępstwa kryminalnego, dostateczna jest rezolucya sądu, wydana na przedstawienie jednostronne interesanta; zaś dla uzyskania ostrzeżenia należytości osobistéj, wpisania tymczasowego summy, potrzebny jest wyrok sądowy; że nakoniec skoro wyrok nierównie więcéj przedstawia rękojmi, aniżeli rezolucya, która jest tylko wstępem do wyroku, przeto *a fortiori*, ostrzeżenia rzeczowe mogą być wpisywane i na zasadzie nieprawomocnych wyroków.

Te tak ważne rozróżnienia utrudniające wniesienie do hypoteki długów ręcznych, nie są bez celu. Nadwerężenie prawa rzeczowego, którego odzyskanie poszukiwaném jest sądownie i przedewszystkiém zabezpieczone przez ostrzeżenie, częstokroć mogło nastąpić bez winy poszkodowanego. Właściciel lub wierzyciel hypoteczny mógł być pozbawiony praw swoich skutkiem fałszu, podstępu, albo skutkiem złéj wiary wyobrażających jego osobę, i dlatego prawodawca ułatwia mu onych zabezpieczenie, dozwala mu rychło tamować czynności hypoteczne, mogące zniweczyć skutki pomyślnego wyroku dla niego.

Odmienne jest zupełnie położenie wierzyciela ręcznego; ten nie żądał zabezpieczenia hypotecznego, poprzestał na osobistém zapewnieniu dłużnika, i jeżeli późniéj uznał potrzebę silniejszéj rękojmi, to niedostatek onéj, swéj nieprzezorności przypisać winien. Dlatego też prawo pruskie nie dopuszcza nawet hypoteki sądowéj, ani żadnych ostrzeżeń dla wierzytelności ręcznych, chyba, że wierzyciel przystępuje do exekucyi.

Nadto, każda rezolucya sądowa wydana na jednostronne przedstawienie w skutek dokumentów wątpliwych, niekiedy i zmyślonych, może być uciążliwą dla przeciwnéj strony, może mieć na celu jedynie dokuczenie jéj, szykanę i wytargowanie czegobądź z powodu urojonych pretensyj.

Prócz tego, poszukiwania praw rzeczowych muszą być rzadkie, bo wynikają z nadzwyczajnych wypadków, kiedy poszukiwania wierzytelności należą do zwykłego biegu życia cywilnego, i dlatego muszą być częste; zbyt łatwe zaś otwieranie przystępu do hypoteki pretensyom, które mogą być płodem zuchwałéj spekulacyi, nie jest pożądaném. Prawodawca przeto miał ważne powody ograniczenia ostrzeżeń z rezolucyj sądowych do samych poszukiwań praw rzeczowych. Autor przeciwnego jest zdania; utrzymuje on, zgodnie z jurysprudencyą, że ostrzeżenia z rezolucyi sądowéj, mogą być uzyskiwane i przez wierzycieli osobistych. Główne jego argumenta czerpane są w art. 10 prawa hypotecznego (§ 52), i już dlatego nie przekonywają, że przytoczony artykuł zawiera tylko ogólną zasadę, któréj bliższe i szczegółowe rozwinięcie znajdujemy w art. 132 i 138. Artykuł 10ty nie jest siedliskiem materyi, bo znajduje się w dziale 2gim, wskazującym w ogólności przedmioty wnoszone do ksiąg hypotecznych, kiedy sam przedmiot szczegółowo jest urządzony w tytule o ostrzeżeniach w art. 132 i następnych. Nakoniec wyrażenia artykułu 10go jakkolwiek ogólne, łatwo się godzą z myślą, przedstawiającą się naturalnie po przeczytaniu art. 132 i 138; kiedy przeciwnie, trzeba koniecznie zgwałcić literę prawa, aby z tych artykułów wyprowadzić rozumienie jakie im daje autor, w skutek wykładu art. 10go. Lecz zastanówmy się nad textem tego artykułu:

Art. 10 stanowi: „Ktoby sądził mieć jakie z wymienionych w art. 5, 6, 7, 8 praw, które w drodze sądowéj wykazanemi być mogą, mocen jest zabezpieczyć sobie ich skutek przez uczynienie ostrzeżenia w księgach hypotecznych, podług przepisów art. 137go. Toż samo stosuje się do uwolnień, których wymaga dłużnik od wierzyciela w drodze sądowéj".

W tym artykule uderza nas powołanie się na art. 137. Cytacya ta nadaje artykułowi charakter szczegółowy, uprzedza to, co niżéj dokładniéj powiedziano, i dlatego zdaje się niepotrzebną. Lecz autor wyjaśnia nam źródło onéj i całego nieporozumienia: dowiadujemy się od niego, iż wyrazy „podług przepisów art.

137" nie znajdowały się w pierwiastkowéj redakcyi, i że dodane zostały na wniosek Kommissyi Sejmowéj, objawiającéj obawę z powodu łatwości protestacyi. Bez téj cytacyi zaś, myśl prawa jest zupełnie jasną; art. 10 bowiem, wzięty w najobszerniejszém znaczeniu, dozwala w ogólności ostrzegania praw rzeczowych jako i osobistych. Zaś art. 132 w związku z art. 137, niemniéj art. 138 wskazujący sposób uzyskania ostrzeżeń, wymagają rezolucyi sądowéj, dla ostrzegania praw rzeczowych, a wyroku sądowego dla ostrzegania praw osobistych. Lecz dodatek Kommissyi Sejmowéj, którego celem było ścieśnić a nie rozszerzyć ostrzeżenia, z powodu opuszczenia w nim w art. 138, utrudnił nieco prosty wykład art. 10go, i dlatego zgodnie z jéj widokami, ograniczył jego skutek do praw rzeczowych. Wyrażenia przeto art. 10go: „ktoby sądził miéć jakie z praw", stosować należy do praw już hypotekowanych, do których kto ma pretensyą, nie zaś do takich, które zamierza dopiéro nabyć; nie do hypoteki sądowéj.

Nakoniec autor utrzymuje, że dozwolenie ostrzeżeń, na skutek jednostronnéj rezolucyi sądu, nie stanie się uciążliwém dla dłużnika, jeżeli sąd rozpoznając żądanie, ostrożnie postępować będzie; wszelako przypuszcza zarazem, że prawo pozostawiło zupełnie sędziemu ocenienie, jakie dowody ma składać żądający dozwolenia, co niweczy wszelkie ograniczenia.

Strona, na któréj majątku żądane jest ostrzeżenie, byłaby zabezpieczoną od niesprawiedliwych napaści w takim tylko razie, gdyby od przeciwnika wymagano urzędowego dokumentu na poparcie jego wierzytelności.

Przechodzimy do hypoteki nabywanéj przez spadek, czyli do hypoteki spadkowéj.

W tym względzie pozwalamy sobie zwrócić uwagę autora na jedno tylko jego objaśnienie, w którém, według nas, niewłaściwie zastosował przepisy kodexu do prawa hypotecznego. Autor utrzymuje (§ 227), iż każdy sukcessor testamentowy bez wyjątku, zamierzający wpisać swe prawa do hypoteki, winien złożyć wyrok nakazujący wydanie spadku. Lecz warunku podobnego dla uzyskania wpisu, nie znajdujemy w hypotece naszéj i w hypotece pruskiéj, i nie możemy się zgodzić ani na potrzebę, ani na pożyteczność onego. Wprawdzie art. 1004, 1011 i 1014 Kodexu Cywilnego francuzkiego stanowią: że sukcessorowie testamentowi nie mogą w pewnych przypadkach wchodzić sami w posiadanie majątku, lecz muszą się udawać z żądaniem do sukcessorów

beztestamentowych, i dopiéro od dnia żądania zyskują dochody i procenta; że żądanie formalne nie jest potrzebne, jeżeli sukcessorowie beztestamentowi zgadzają się na wydanie zapisu. Lecz pytam się, co te przepisy mogą miéć wspólnego z hypoteką? Przed uregulowaniem na imię dziedziców *ab intestato* tytułu własności, nie mają oni posiadania cywilnego majątku nieruchomego, i nie są mocni żadnych praw hypotecznych do niego przyznawać; pod względem hypoteki, prawa sukcessorów testamentowych jako i beztestamentowych są zupełnie równe, i powinny być udowodnione w jednym terminie, naznaczonym dla ukończenia postępowania spadkowego. Jeżeli sukcessorowie beztestamentowi i wylegitymowani, nie będą czynić zapisom żadnego zarzutu, stanowcze wpisy nastąpią; w przeciwnym razie zachodzące spory odesłane będą do drogi sądowéj. Wyrok przyznający posiadanie nieruchomości, przed ukończeniem postępowania spadkowego nie miałby dla hypoteki żadnego znaczenia, bo przed wydaniem onego, nie byłoby jeszcze wiadomém, kto powinien być zapozwanym, i dziwnieby było, aby sukcessor testamentowy zmuszony był do legitymowania sukcessorów beztestamentowych. Lecz hypoteka, któréj stanowisko wyższe od Kodexu, uwalnia sukcessorów testamentowych od tych formalności. Ogłoszenia publiczne wykryją sukcessorów beztestamentowych, ich liczbę, naturę ich praw, przyjęcie spadku lub odrzucenie, a wtedy wzajemne żądania załatwią się naocznie i ustnie.

Rozebrawszy tym sposobem zasady autora co do hypoteki, w których nie podzielamy jego wykładu i jego sposobu zapatrywania się na stosunek jéj do Kodexu Cywilnego, zwrócimy się do przedmiotów obcych hypotecznemu prawu, któremi się autor zajmował.

Przed rozpoczęciem tego rozbioru uczynimy jednę tylko uwagę.

Autor objął w swojém dziele wiele kwestyj, żadnego związku z hypoteką niemających: znajdujemy w niém i wykład stosunków majątkowych między małżonkami, i naukę o nieważnościach i t. d. Przeciw temu bogactwu materyałów niceby nie było do powiedzenia, jeśliby exkursye autora nie następowały kosztem głównego przedmiotu. Przez zbyteczne rozszerzenie zakresu swych badań, autor widocznie pozbawił się możności wypracowania szczegółowego kwestyj czysto hypotecznych, nie podał nam tych wszystkich uzupełnień i wykładów, które praktyka musiała

utworzyć przy długoletniém stosowaniu prawa, zredagowanego ogółowo. Autor np. w końcu swego dzieła nawiasowo wspomina, że wykaz hypoteczny przez zlewki i subintabulata, staje się nieraz zawikłanym. Lecz traktując w swojém miejscu o wykazie, nie rozbiera téj ważnéj niedogodności, i nie przedstawia jéj przyczyn; a przecież jestto przedmiot czysto hypoteczny i wielce interesujący.

Zpomiędzy przedmiotów zahypotecznych, rozbieranych przez autora, nie znajdujemy, aby wyjaśnione były przez niego według zasad nowéj interpretacyi: spadki między małżonkami, niemniéj przywileje.

(Dokończenie nastąpi).

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA:

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

VII.

Panowanie Maurów w Granadzie.

Już noc mija w Granadzie, spoczęły posępne cienie dawnych mieszkańców Alhambry; już zpoza gór Alpucharry świta jutrzenka i rozsyła swe błogie światło na królestwo Maurów. Rumienią się i błyszczą purpurą wieczne śniegi na groźném czole Nevady; sterczą w obłokach smętne mogiły Elviry, a dzika, skalista Jarana rozbija swemi krawędziami promienie słoneczne i rzuca je na wesołe doliny Vegi.

Świta—już i dzień! Wszystko do nowego powołane życia, co nocą spoczywało; nic już nocy nie przypomina, prócz ciebie słowiku Alhambry. Tęsknisz nocą i rozwodzisz swe czułe żale; i w dzień tęsknić nie przestajesz, biédna poetycka duszo! Tobie wolno tęsknić, gdyż twe żale każdy pojmuje!

Całe królestwo ptasie ocknęło się ze snu, trzepocze skrzydełkami i wesołém świegotaniem wita słońce. Ocknęły się i kwiatki, wznoszą ku niebu schylone główki i ślą w atmosferę tysiączne wonie. Drga w promieniach wyniosły aloes, dumny granat barwą swą urąga purpurze jutrzenki, akacye, jaśminy, bzy i kapryfolie, róże liczne jak piasek na brzegu morza, tysiące innych

kwiatów wychodzi z poza listków obwijających skrzepłe *korolle*, a *dyonea* rozwija powoli swój biały pyszny kielich, i wypada z niego omdlały motyl, przez całą noc tam więziony. On już umarł, ten szczęśliwy kochanek lubieżnéj dyonei, umarł w rozkoszach miłości! Nie! trafia go promyk słońca, i wlewa weń nowe życie. Atalant rozpina swe złote skrzydła, różki swe macza w kropli rosy, unosi się w powietrze, i idzie igrać z swą atalantą, która noc całą za nim tęskniła.

O motylu! jeszcze kilka takich nocy, a będzie po tobie! Cały ogień Feba już cię do życia przywrócić nie zdoła. Strzeż się zdradliwych objęć dyonei.

I szmaragdowe jaszczurki Alhambry wyszły z kryjówek, i ufne w swą piękność przypatrują mi się bez bojaźni owemi ładnemi i mądremi oczkami, które tak spotwarzono przysłowiem. To wcale dobre i niewinne zwierzątka; nikomu nic złego nie zrobią, ale ugryzą boleśnie, gdy je rozdrażnisz: potrafią się ująć za sobą poczciwe zwierzątka.

Nie tak stary kameleon. Ten sobie wylazł powoli na gałązkę tarniny, okręcił się około niéj ogonem, żeby nie spadł, i czycha na zdobycz. Mieni się ciągle: raz jest modry, drugi raz zielony, czasem nawet czerwienią się zaleje. Paszczę swą wielką groźnie otwiera, dąsa się i głupio na ciebie spoziera. Myślałbyś, że cię chce pochłonąć. Nie obawiaj się: on dużo ma złości, często się gniewa i nie brak mu chęci szkodzenia, ale w téj paszczy tak wielkiéj, zębów nie ma ani téż siły. Nie dał Pan Bóg zębów kameleonowi czworonożnemu, ale je dał na nieszczęście dwunożnym:— tych unikaj.

Dzień w Granadzie i wiosna w Granadzie!

Jak pysznie jaśnieje przyroda, jak tu świeci słońce i śmieją się pola. Lubo tu chwalić Boga w tym szczęsnym kraju: jest za co!

Jedno tylko jest miejsce w Europie, posiadające wiosnę godną bujnéj wyobraźni poety; wiosnę, jak niegdyś była wiosna w raju. Tém miejscem jest Granada. Mówię bez przesady, z zastanowieniem i z pełną znajomością rzeczy, a świadczę się Byronem i Irwingiem, dobremi znawcami, każdy to przyzna. Ani we Włoszech, ani w Grecyi, nie wskazali miasta mogącego równać się w tym względzie z Granadą; nigdzie nie znajdziesz tak pysznéj wegetacyi, tyle róż i geranij, tyle lauru i granatu. Wszystkie dziedzińce, ganki, tarasy pokryte kwiatami; wszystkie mu-

ry porosłe kwiatami, cała Granada oplecіona kwiatami. A z pośród tego łoża róż wznosi się jak urzeczywistnienie snu fantastycznego—Alhambra!

Czytelniku! żeby ci dać w kilkuset jędrnych słowach, w kilkunastu śmiałych zarysach trwałe wyobrażenie o piękności budynku, którego opisowi poświęcano całe tomy: oto serdeczne życzenie tego pióra, poświęconego całkiem tryumfowi prawdy i piękna.

Ale czemuż w tém piórze tyle dobréj chęci, a tak mało mocy? Jednakże pędzone niepohamowaną żądzą, żadną trudnością nieustraszone, pióro to bieży ciągle ku swemu celowi, licząc na chwile boskiego natchnienia, które mu może udzieli wspomnienie rozkoszy niegdyś doświadczanych.

Od przeszłości pożyczę uroku, by memu opisowi nadać wartości, nadać prawo rozgoszczenia się w twéj pamięci, o czytelniku! Udam się do źródeł historyi, by świadkowi ich tak wymownemu jak Alhambra, udzielić powabu. Opowiedzeniem kilku scen historycznych na tym klassycznym gruncie odegranych, może zdołam wzbudzić w tobie zajęcie, którego miejsce to tak godne, i zyskam cierpliwość na architektoniczne szczegóły.

Wiele już pisano o Granadzie i o Maurach, ale w historyi Hiszpanii Don Xawerego Burgos, dawnego ministra hiszpańskiego, w przeszłym roku wyszłéj, znalazłem nowe, Irwingowi nawet nieznane źródła prawdy. W nich to czerpałem osnowę następującego rozdziału.

* * *

Prawie w tém samém miejscu, na którém dziś leży Granada, istniało w pomroku przedhistorycznych czasów miasto zwane Illiberis, założone podobno jeszcze przez Fenicyan. Mało o tém mieście wspominają dzieje; musiało jednakże być możném i mocném, kiedy potrafiło w 711 roku stawić silny opór wkraczającym do wnętrza kraju Arabom. Zburzoném zostało za ten opór przez zwycięzców, i długo ruiny pozostały jedynemi świadkami lepszéj przeszłości. W dziesiątym dopiéro wieku Maurowie podbiwszy największą część półwyspu pyrenejskiego i Afryki północnéj, osiągnąwszy pod mądremi królami z dynastyi Omeyadów wysoki stopień władzy i oświaty, założyli tu nowe miasto, i dali mu nazwisko Granada, tojest granat, z podobieństwa jego do tego owocu. Królowie Granady nosili w herbie swym tenże sam

owoc w polu lazurowém i z napisem: *Wal la galib ileh Allah*; co znaczy: „nie masz zwycięzcy prócz Boga".

Aż do upadku świetnéj dynastyi Omeyadów, Granada należała do kalifatu korduańskiego; lecz gdy w roku 1031 mocarstwo rozpadło się na wielką liczbę pomniejszych państw, Granada została stolicą niezależnego emira.

Niezgody zaczęły wkradać się pomiędzy Maurów. Alfons VI król Kastylii korzystając z niezgód i zamieszek, wypowiedział wszystkim emirom półwyspu wojnę, a ci nie czując się na siłach, przywołali w pomoc sułtana marokańskiego Jusef-Aben-Taszfina z rodziny Almorawidów, panujących w Maroko od upadku Omeyadów. Przybył do Hiszpanii i zniszczył wojsko króla Alfonsa w bitwie pod Zalara niedaleko Badajoz; lecz korzystając z swego położenia zwycięzcy, napadł w r. 1090 nagle na Granadę, posłał jéj emira jako jeńca do Maroko, i zwolna, aż do roku 1103 podbił sobie całą Hiszpanią mahometańską. Takim sposobem Granada straciła swoję niezależność.

Almorawidowie choć bitni, nie umieli sobie pozyskać miłości ludów maurytańskich, przyzwyczajonych do łagodniejszego berła i do używania wyższéj oświaty. Już się zwracały oczy Maurów na chrześcian po nadzieję i pomoc, gdy nagle w Afryce dynastya Almorawidów legła pod ciosami Almohadów (1146). Teraz cała Hiszpania maurytańska wzięła się do broni przeciw wielkorządcom Almorawidów, i przywołała na swą pomoc hufce Almohadów. W roku 1170 wszyscy Maurowie uznali cesarzem Yusefa-Aben-Jakuba, z dynastyi Almohadów. Lecz bunty, niepokoje i wojny nie nadługo ustały. Królowie nowéj dynastyi niepowodowani żadną wyższą ambicyą, uważali swoje państwo poprostu jako zdobycz, wyssysali krew swego ludu i dali upaść naukom i sztukom, niegdyś tak kwitnącym w Kordobie, Toledzie, Sewilli i w Granadzie. Nareszcie po wstąpieniu Ferdynanda III, zwanego Świętym, na tron hiszpański, i po wzniesieniu się za pomocą jego na godność sułtana Maurów, Mohammeta Aben-Hooda, z rodziny świetnych emirów Saragossy, dynastya Almohadów upadła na polach Tarify pod ciosami Maurów. Andaluzya podzieloną została na 3 różne państwa: 1°, na państwo, którego Sewilla była stolicą, a zawierające w sobie królestwa Sewilli, Algarwii i Estramadury; 2° na państwo zawierające w sobie królestwa: Murcyi, Almeryi, Granady, Malagi i Kordoby; 3° na państwo złożone z księztw: Jaenu, Aryony, Guadyxu i Bazy.

Od roku 1238 panował Granadzie Mahomet-Abu-Alhamar, piérwszy z świetnéj rodziny Ben Nassarów. Wzniósł się własnemi zasługami na tron, i ozdobą był jego przez cały ciąg swego panowania. Władzę nad miastami oddał ludziom znanym z moralności i dobroci; policyą zorganizował nadzwyczajnie czujną, administracyą zaś zaprowadził szybką i sprężystą. Biédny i prześladowany zawsze znalazł łatwy do niego wstęp. Szpitale pozakładał nietylko dla chorych, lecz także dla kaleków, upośledzonych od przyrody i dla starców. Sam je zwiedzał bardzo często bez świty i bez eskorty, niespodzianie, dla zapewnienia się, czy administratorowie pełnią swoje obowiązki. Abu-Alhamar już wówczas kazał budować szlachtuzy publiczne na miejscach wyniosłych, gdzie codziennie w obliczu ludu kupowano od wieśniaków i handlarzy bydło przez *licytacyą publiczną*, i gdzie mięso rozprzedawano także *licytacyą publiczną*. (Pan Carlier znał historyą Mahometa Abu-Alhamar i umiał z niéj dla dobra Paryżanów korzystać).

Szkoły, akademie, konserwatorya, gimnastyki i muzea cieszyły się szczególną protekcyą dobrego sułtana. Jemu także Granada winna swój system irrygacyi: źródło bogactw i dobrego bytu tego kraju. Rolnik był szczęśliwym, handel czynnym i uczciwym, nauki i sztuki kwitnęły wówczas w Granadzie.

Ale gdy Mahomet Abu-Alhamar panował tak mądrze swemu krajowi, inni monarchowie maurytańscy swarzyli się pomiędzy sobą, a chrześciańscy książęta korzystali z tych niesnasek i opanowywali dawne posiadłości. Jakób zwany wojownikiem podbił Walencyą, a Ferdynand święty wkroczył do Andaluzyi. Mahomet uznał, że wojsko jego nie zdoła obronić państwa przed przemagającą siłą, i udał się potajemnie do króla Ferdynanda. „Oto przed tobą król Granady", rzecze do chrześciańskiego monarchy. „Uciekam się pod twą protekcyą; wiem, żeś sprawiedliwym panem. Bierz wszystko co posiadam, przyjmij mnie za twego lennika, ale zachowaj mój kraj od okrucieństw wojny".

Król Ferdynand tym dowodem zaufania ujęty, nie chciał być zwyciężonym szlachetnością księcia maurytańskiego. Podniósł swego rywala, uściskał go jak przyjaciela, przyjąć nie chciał jego skarbów, lecz przyjął go jako lennika płacącego haracz i zasiadającego w kortezach jako grand Kastylii.

Kronikarz mówi, że Mahomet wracając do Granady, często powtarzał następujące wiele znaczące słowa:

Que angosta y miserable seria nuestra vida, si no fuera tan dilatada y espaciosa nuestra esperanza.

(Oh! jak nędzném i w ciasnych granicach zawartém byłoby nasze życie, gdyby nasze nadzieje nie były tak szczytnemi i świetnemi).

W smutném usposobieniu wracał monarcha do Granady, ale jego lud wybiegł naprzeciw niemu i witał go jako zbawcę i ojca; i znikł smutek z jego czoła. Nie ustawał w swéj gorliwości dla dobra publicznego; owszem, idąc za przysłowiem: ,,uzbrajaj się nawet w czasie pokoju i okrywaj się nawet w lecie" wzmocnił swoje zamki, napełnił swe arsenały bronią i wszystkie użyteczne sztuki i rzemiosła wspierał. Postanowił nagrody dla gospodarzy trudniących się poprawieniem rasy koni i innych zwierząt. Wyroby jedwabne granadeńskie wkrótce przewyższyły dobrocią i cienkością wszystkie utwory Syryi i Damaszku. Kopalnie złota i srébra, odkryte w wysokich górach królestwa, tak umiał użyć, że niezmierne dostarczały dochody. Piérwszyto monarcha maurytański, który kazał bić monetę srébrną i złotą ze swém popiersiem. Dziś jeszcze numizmatycy podziwiają piękność odbicia na uncyach i piastrach granadeńskich.

Książę ten tak wielki i świetny, nadzwyczajnie był skromnym w swych potrzebach osobistych. Sukniami nie różnił się wcale od swych poddanych. W haremie utrzymywał tylko małą liczbę kobiét, rzadko je widywał, ale je otaczał wszelkiemi przyjemnościami bogactwa. Żony jego należały do piérwszych rodzin kraju. Mahomet obchodził się z niemi jak z istotami rozumnemi, jak z przyjaciółkami, i tyle dokazał, że w przyjaźni pomiędzy sobą żyły. ,,Musiał miéć rozum, kiedy tak zwalczyć umiał naturę kobiécą" dodaje naiwny kronikarz.

Nie przeniewierzył się nigdy swemu dobrowolnie uznanemu zwierzchnikowi, królowi Kastylii Ferdynandowi świętemu; a gdy król ten umarł w r. 1254 w Sewilli, książę maurytański w nieutulonym był żalu: posłał do Sewilli stu najszlachetniejszych rycerzy Granady, i kazał im, na znak cześci, otoczyć podczas ceremonii żałobnéj trumnę świętego króla z gromnicą w ręku. I każdego roku w rocznicę pogrzebu wysyłał do Sewilli stu rycerzy maurytańskich, by składali swe hołdy dostojnemu nieboszczykowi w świetnéj katedrze sewiliańskiéj.

Mając lat siedmdziesiąt dziewięć, Abu-Alhamar wsiadł na konia, by odeprzéć na czele swego wojska hufiec najezdników, któ-

rzy napadli na królestwo. Wyjeżdżając z miasta bramą zwaną Elwiry, naczelnik gwardyi królewskiéj złamał swą włócznię o tęż samą bramę. Astrolog monarchy wziął to za złą przepowiednię, i chciał go odwieść od tego przedsięwzięcia. Ale Mahomet nie dał się wzruszyć. W godzinę potém król Granady nagle zasłabł i o mało co nie spadł z konia. Słabość powiększała się raptownie. W rękach księcia Kastylii, don Filipa, skonał monarcha maurytański wśród łkań swych dworzan. Ciało jego nabalsamowane, złożone w srébrną trumnę, pochowano w pyszném mauzoleum, wzniesioném w Alhambrze.

Tento książę światły i ludzki zaczął budować Alhambrę. Sam dozorował robotników, których było przeszło dwa tysiące, sam wybierał materyały zwożone z bardzo daleka. Nazwisko założyciela arabskiemi literami wypisane, dotychczas wyczytać można we wszystkich arabeskach. Pamięć tego króla, wzbudza w duchu przechodnia, odwiedzającego ten przybytek, myśli jak najszczytniejsze. Tyle dobrego smaku, tolerancyi i ludzkości w monarsze XIIIgo wieku, w monarsze maurytańskim! Iluto chrześcian zawstydza ten książę muzułmański!

Tak wzrastała Granada pod dobroczynnym wpływem gieniuszu monarchów, i jeszcze przez półtrzecia wieków opierała się zamachom chrześcian, usiłujących ją zagarnąć. Można nawet powiedzieć, że Granada wzrastała w miarę jak się potęga królów Kastylii na okoliczne rozciągała państwa. Maurowie bowiem woleli żyć pod ludzkiém berłem królów Granady, jak pod jarzmem fanatycznych mnichów. W r. 1350 miasto samo liczyło 200,000 mieszkańców. Wówczas miastu temu panował Yusef Abul Hagig, wielki monarcha, który ukończył Alhambrę, a który swemi cnotami i zdolnościami zasłużył na sławę, równą prawie sławie założyciela Granady. Wielką to dla mnie stanowi przyjemność wydobyć z zapomnienia nazwisko drugiego monarchy tego narodu prawie straconego, który panował nad Hiszpanią z taką świetnością, i dostąpił tak wysokiego stopnia oświaty wówczas, kiedy reszta Europy była jeszcze pogrążoną w grubéj i srogiéj barbaryi.

Yusef Abul Hagig wstąpił na tron Granady w roku 1333. Przymioty jego fizyczne i moralne przepowiadały długie i świetne panowanie. Z rzadką pięknością, łączył zastanawiającą siłę. Kronikarze arabscy mówią, że miał brodę nadzwyczajnéj długości, ale tak jasną, że ją sobie na czarno farbować musiał dla sprawienia większego wrażenia na swój lud. Należał zatém do rzędu

ludzi, lubiących imponować ludzkości pięknością urody. Pamięć miał doskonałą, a przytém lubił poezyą i improwizował bardzo piękne wiersze. Serce jego tak było dobrém i litościwém, że pomimo wielkiéj osobistéj siły i odwagi, nie lubił wypowiadać wojny; nie był też szczęśliwym w swych przedsięwzięciach wojennych. Nie cierpiał żadnego okrucieństwa, zawsze zalecał litość, nawet względem nieprzyjaciół, i czułym był opiekunem kobiét, dzieci, starców i księży.

Wyprawa jego przeciw królom Kastylii i Portugalii nie powiodła mu się wcale. Yusef został pobitym w owéj sławnéj bitwie pod Salado, która potędze Muzułmanów w Hiszpanii zadała cios bardzo dotkliwy.

Jednakże po téj nieszczęśliwéj bitwie, Yusef uzyskał pokój dość korzystny. Umiał też z niego dla dobra swego ludu doskonałe odnieść owoce. W każdéj wsi pozakładał szkółki, uposażył nauczycieli; w każdym folwarku złożonym przynajmniéj z 12 chatek, założył meczet. Zaprowadził patrole nocne po wsiach i miastach, i piérwszy wpadł na myśl, aby powierzyć broń rodzajowi gwardyi narodowéj.

Yusef wykończył Alhambrę w sposób godny myśli założyciela, i na świetnéj bramie, zwanéj *bramą sprawiedliwości*, a prowadzącéj do głównego gmachu téj pysznéj budowli, kazał napisać słowa wyrzeczone przez Mahometa Abul Alamara, gdy go lud powracającego zwycięzcą, witał radosnemi okrzykami: *Wa la galib ila Allah!* Bóg jeden jest zwycięzcą!

Wybudował także *alcazar*, czyli cytadelę w Maladze. Dziś leży ona w gruzach, ale niegdyś tak miała być piękną, jak dziś jeszcze Alhambra.

Szlachta granadeńska poszła za przykładem monarchy, i wybudowała sobie pyszne pałace w stolicy, pałace złocone, mozajką i rzeźbą wyłożone, pięknemi belwederami i wieżyczkami ozdobione. „Granada za panowania Yusefa była naczyniem złotém, napełnioném kwiatami i szmaragdami", mówi kronikarz arabski.

Zdarzenie jedno służyć będzie wiecznie za dowód szlachetności tego monarchy. Król Alfons XI, nieprzyjaciel jego śmiertelny, wtargnął do królestwa Granady z liczném wojskiem i obległ Gibraltar. W wielkiéj był trwodze Yusef, gdy się dowiaduje, że Alfons umarł nagle w skutku zarazy. Yusef zamiast tryumfować, rzekł z wielkim i szczerym smutkiem do swych dworzan:

„Wielki to był monarcha, choć mój nieprzyjaciel; umiał on cenić zasługę i talent we wszystkich ludziach, i nam wypada nie tryumfować, lecz włożyć żałobę".

Kronikarze hiszpańscy oddają nawet sprawiedliwość rycerskiéj szlachetności króla Maurów i jego oficerów. „Oblężeni w Gibraltarze, dowiedziawszy się, że król Alfons umarł, zawiesili wielką czarną chorągiew na najwyższéj baszcie, wysłali do nas parlamentarzy z trębaczami i heroldami w żałobę ubranemi, i oznajmili nam, że wszelkie kroki nieprzyjacielskie przeciw chrześcianom ustaną natychmiast na czas ceremonij żałobnych, i ofiarowali nam eskortę, do przeprowadzenia zwłok królewskich do Sewilli przez najkrótszą drogę, wówczas przez wojska Maurów zajętą". Tak mówi Frayle Bartolomeo, Augustyanin i sekretarz króla Alfonsa XIgo.

Do Granady zjeżdżano się wówczas ze wszystkich bliskich i odległych krajów na zabawy rycerskie, na łowy i na turnieje. Bywali tam nietylko książęta hiszpańscy, lecz i królewicze francuzcy, bohaterowie Anglii, kurfirsty, herzogi i burgrafy niemieckie. Język arabski stał się językiem modnym w świecie uczonym i w świecie rycerskim; ale przed wszystkiemi innemi książętami jaśnieli potęgą talentu książęta granadeńscy. Każda z dam dworskich umiéć musiała po hiszpańsku, a tańczyć, śpiéwać i haftować, jak rusałka. Wiele też mieli chrześcianek w swych haremach.

Lecz Yusef niedługo przeżył nieprzyjaciela, którego zgon tak szczerze opłakiwał. Umarł, jak późniéj Henryk IV. Fanatyka religijnego sztylet przeszył mu serce. Yusef, monarcha oświecony, dozwolił w swych krajach wszelkiéj wolności wyznań, i na dworze swym miał nawet Maurów chrześcian, co bardzo gorszyło prawowiernych Muzułmanów.

Pochowano zwłoki Yusefa w pyszném mauzoleum z marmuru białego, i na tle lazurowém wyryto mu napis następujący:

„Tu leży król, męczennik, potomek szlachetnego rodu, miły w obejściu, uczony, cnotliwy, sławny z piękności i z układu; król, którego miłosierdzie i bogobojność znanemi były na świat cały."

Jeszcze istnieje sala, w któréj ducha wyzionął świetny książę Maurów granadeńskich.

I w późniejszych czasach monarchowie tego kraju, idąc torem poprzednika, ściągali na Granadę rosę błogosławieństwa Boskiego. Granada liczyła na początku XVgo wieku 400,000 mieszkańców, a całe państwo przeszło sześć milionów. Królowie

chrześciańscy widząc kraj tak silny, tak waleczny, nie śmieli go napadać.

Ale insze wcale losy spadły na piękną Granadę po wstąpieniu na tron Kastylii Izabelli katolickiéj w r. 1474. Muley-Hassan panował wówczas krajowi Maurów. Byłto monarcha bitny i rycerski, i gdy przybył do Alhambry wysłannik Izabelli w r. 1478, żądając zaległego haraczu, Muley odpowiedział mu z dumą: „Mennice moje już nie biją złota, tylko groty i pałasze.“ Królowa zaś Kastylii słysząc o tém, rzekła: *grano por grano se come la granada*, „ziarno po ziarnie zjada się granat“, i zaczęła podszczuwaniem intryg i niezgód wichrzyć spokojność Granady. Muley-Hassan widząc co się dzieje i nie chcąc czekać końca kalamburu, uderzył nocną porą bez wypowiedzenia wojny na twierdzę Zahara, położoną na granicy królestwa Sewilli, wyciął załogę i uprowadził mieszkańców w niewolę. Zemścił się za tę zniewagę margrabia Kadyxu, bohaterski Don Rodrigo Ponce de Leon, wzięciem Alhamy, miasta oddalonego tylko o siedm mil od Granady.

Muley-Hassan napróżno usiłował odebrać Hiszpanom to przedmurze swego królestwa. Teraz następuje zacięta wojna, któréj rycerskie przygody pełne najszlachetniejszych poświęceń i bohaterstwa, w tysiącznych balladach światu wyśpiewano. Wojna ta krwawa, okrutna, byłaby się skończyła z chwałą dla Maurów, gdyby ich domowe niesnaski nie były osłabiały. Wina całego nieszczęścia spada na Muley-Hassana. Rozkochawszy się w swéj brance Donnie Isabel de Solis, pojął ją za żonę i wyniósł do godności sułtanki, kosztem swéj dotychczas piérwszéj żony i sułtanki, znanéj w historyi pod nazwiskiem Fatimah la Zoraya, (światło zorzy). Tak nawet daleko zapomniał się Muley, że ściąć kazał potajemnie trzech swych synów spłodzonych z sułtanką Zoraya która była księżniczką z krwi królewskiéj. Jeden tylko pozostał syn z tego małżeństwa, ulubieniec ludu, Mohamed-Abdalah-Abu-Abdilehi. Astrologowie przepowiedzieli mu z horoskopu zaraz przy urodzeniu, że on będzie ostatnim królem Granady. Dlatego téż lud wierząc w przepowiednią, nazwał młodego księcia: *el Zogoybi* (nieszczęsnym), przezwisko usprawiedliwione aż zanadto losem jego. Hiszpanie zaś nazwali go Boabdil (przez elizyą z Abu-Abdilehi) i odróżniali od stryja jego tegoż samego nazwiska przydomkiem *el chico* (mały czyli młody). Z tego mnóstwa nazwisk, przezwisk i przydomków takie zawikłanie w historyi Granady powstało,

szczególniéj przy pomocy romansopisarzy (1), że niełatwo było wyśledzić prawdę biegłym nawet historykom.

W ścisłém więzieniu trzymał Muley-Hassan syna swego Boabdila, razem z matką Fatimą Zorayą; nie chciał go nigdy dopuścić do panowania, a zabić go nie śmiał, bo się lękał zaburzeń ludu. Lecz podczas wyprawy króla pod Alhamę, królewicz, dzięki podstępowi swéj matki, zdołał uciec z więzienia z Alhambry. Wraca Muley-Hassan i znajduje bramy miasta zawarte i rokosz w mieście. Boabdila lud obwołał królem. Rozdzieliły się zdania kraju pomiędzy ojcem i synem. Syn udał się do Ferdynanda katolickiego z prośbą o pomoc przeciw ojcu. Przybywa waleczny margrabia Kadyxu z liczném wojskiem, z kwiatem andaluzkiego rycerstwa, lecz je pobija ze szczętem pod Malagą Boabdil starszy, stryj młodego (d. 21 marca 1483).

Król Boabdil uznał, że serce ludu swego postradał przywołaniem obcych na rozstrzygnięcie walki swéj z ojcem; pojął, że odzyskać je może jedynie szczęśliwą jaką wyprawą przeciw chrześcianom. Wyrusza tedy na czele wojska swego przeciw Hiszpanom, i dostaje się wkrótce potém do niewoli. Okupuje sobie wolność obietnicą zrzeczenia się za lat sześć tronu Granady na korzyść monarchy Kastylii, i poprzestania na przyszłość przy tytule księcia Guadixu. Ale tymczasem Muley-Hassan odzyskał koronę Granady. Boabdil wraca do stolicy, bój się okropny wszczyna na ulicach, krew się leje. Boabdil pokonany ucieka z swą matką do Almeryi. Wojska Ferdynanda i Izabelli wkraczają do kraju; jedna forteca po drugiéj wpada w ręce chrześcian. Muley-Hassan wiekiem pochylony powierza kommendę wojska swego swemu bratu. Nowy rokosz w Granadzie. Boabdil starszy obwołany królem. Muley-Hassan chronić się musi, traci wzrok, uznaje brata swego młodszego swym panem, i wkrótce potém umiéra (1485). Boabdil starszy dobrowolnie oddaje część państwa swemu synowcowi. Lecz wkrótce znów wybu-

(1) Przy téj sposobności napomknę, że sławny romans Floryana, z którego dawni podróżnicy czerpali wszystkie swe historyczne wiadomości tyczące się Granady, zawiera bardzo mało prawdy, i że to, co w nim jest prawdziwego, przekształconém zostało w sposób historyi, opowiadanéj w romansach przez pana Alex. Dumas. Dlatego téż tyle się rozwodzę nad dziejami Granady, pewny, że to co tu podaję, a co tylko w kilku wiarogodnych kronikach znajduje się, potrafi się ostać przed krytycznym sądem znawcy historyi.

cha pomiędzy Boabdilami wojna na ulicach saméj Granady. Bój trwa dni pięćdziesiąt, i zalewa krwią całe miasto. Walczy Boabdil młodszy ze swoim stryjem na placu wielkiego meczetu, i rani go nawet.

Ferdynand wysyła młodemu królowi posiłki pod dowództwem Don Fadryka de Toledo, tegoż samego, który później pod nazwiskiem księcia Alby wpisał się krwawemi literami w księgę historyi. Stary Boabdil zbity pod Velez-Malaga; młody osadzony z wielką pompą po drugi raz na tronie w Alhambrze.

Widząc, że losu nie przezwycięży, stary Boabdil poddaje się królowi Ferdynandowi, i uzyskawszy od niego wielką summę pieniędzy, wyjeżdża do Afryki do swego krewnego króla Fezu, i zostaje przez niego pozbawionym oczu, wolności i pieniędzy.

Boabdil młodszy, teraz jedyny król Granady, chwiał się pomiędzy przysięgą daną chrześcianom, a wiarą zaprzysiężoną ludowi. Największa część kraju była w rękach Ferdynanda.

— Boabdilu, sześć lat już mijał—wołał Ferdynand. A lud trzymał króla swego w oblężeniu w Alhambrze, i nie dał mu zrzekać się korony, wołając: „raczéj giń z nami pod gruzami Granady, ale nie zdradzaj twego ludu"!

Król Boabdil nareszcie postanowił bić się do upadłego: mianował rycerskiego Muza-Ben-Abil-Gazana dowódzcą swéj jazdy i wyruszył przeciw Ferdynandowi, stojącemu na czele pięćdziesięcio-tysięcznéj armii o dwie mile od Granady; tam, gdzie teraz miasto Santa Fé stoi.

Boabdil nie posiadał nic prócz Granady i Alpuchary, zkąd go dochodziły żywności. I to źródło umiał przeciąć król Ferdynand. Znów osłabła odwaga w sercu Boabdila, pomimo sprężystych przedstawień bohaterskiego wodza swych hufców, który w stu bitwach Hiszpanów pobił. Boabdil podpisał d. 25 listopada 1491 roku zobowiązanie poddania swego królestwa Hiszpanom d. 31 stycznia następnego roku.

Jeszcze tegoż samego dnia Muza skończył swe bohaterskie życie w nurtach Xenila. Nie chciał być świadkiem upadku swéj ojczyzny.

W Granadzie wybuchł bunt na odgłos haniebnego traktatu, podpisanego przez Boabdila. Solenna proklamacya króla Ferdynanda, w któréj Granadeńczykom najwięcéj przyobiecuje wszel-

kie wolności religijne, sądownicze i narodowe, uśmierza umysły Granadeńczyków.

Boabdil obawia się nowych rozruchów, i poddaje miasto już 2go stycznia. O 10téj godzinie z rana spadł srébrny półksiężyc z wieży Vela. Na ten znak czekali Ferdynand i Izabella z swém wojskiem; na ten znak padli na kolana i cześć oddali Bogu. Ferdynand i Izabella wjeżdżają do miasta; Boabdil je opuszcza. Nie! on się zwraca już poza bramą i spieszy ku królom chrześciańskim, nie wiem jakiém uczuciem pędzony; chce się rzucić z konia na kolana, na widok majestatu Kastylii i Arragonu, ale Ferdynand zwalczony uczuciem litości, przytrzymuje Boabdila na koniu i serdecznie go rękami obejmuje. Nawet Izabella łzy roniła: „Patrzcie! ten raj teraz do was należy, królu i królowo!—rzecze łkając biédny Boabdil—niech Allah pozwoli, byście w nim byli szczęśliwszemi niż ja."

I potém zwrócił konia ku górom Alpucharry, gdzie król Kastylii wyznaczył mu dobra, i gdzie już jego rodzina i dwór przebywali.

Opanowano Granadę. Wszystko się odbyło w uroczystéj, grobowéj ciszy. Żaden Maur na ulicach Granady; ani jeden. Chrześcianie nawet zamieszkali tu oddawna nie wołali: „niech żyją zwycięzcy"! Tak skończyło się panowanie Arabów w Hiszpanii. Trwało lat 780, miesięcy 8 i dwa dni. Boabdil pięć lat wytrzymał w górach Alpucharry, lecz dłużéj awanturniczy jego umysł nie mógł znieść spokojności. W Almeryi, w obliczu wielu tysięcy dawnych swych poddanych przybiegłych zdaleka, by go pożegnać, Boabdil rozstał się z Hiszpanią. Poczciwy lud wybaczył mu wszystkie jego błędy, dlatego, że był *el Zogoybi khalif*, królem nieszczęsnym z urodzenia. Boabdil mieszkał u swego krewnego Muley-Achmeda króla Fezu. Doczekawszy się późnéj starości, poległ w r. 1536 w bitwie przeciwko zbuntowanym braciom króla, na brzegach rzeki Guadiswed.

Dzięki światłu i cnotom arcybiskupa Talavera i hrabi Tendella, Granada doznała dobrodziejstw pokoju pod berłem hiszpańskiém. Arcybiskupa pokochali Maurowie jak ojca, wielu z nich dobrowolnie przyjęło chrzest i wiarę Chrystusa. Można było rokować temu narodowi najpiękniejszą przyszłość. Rozumny, łagodny i pracowity nie opierał się wcale wpływowi prawdy i cnoty. Ale chciwość zniweczyła te piękne nadzieje. Nalegano na

króla, aby rozpoczął dzieło nawracania przymusowego; przewidywano bowiem, że gwałty wyrodzą bunt, i że bunt pociągnie za sobą prześladowania i konfiskaty. Izabella dość chętnie ucho tym radom dawała; ale człowiek wielkiéj wagi i niezmiernego wpływu, odradzał nawracań przymusowych. Nikt nie zgadnie kto był ten człowiek. Był nim wielki inkwizytor Torquemada, ten sam fanatyczny zakonnik, który tysiące żydów i kacerzy posłał na stosy. Torquemada dowiódł królowéj, że wszystkie przymusowe nawracania wyradzają tylko kacerzy. Opuszczono tedy na czas niejaki myśl nawracań, lecz nie zaniechano pojedynczych dotkliwych prześladowań. Zdaje się, że umyślnie jątrzono Maurów, aby ich zmusić do buntu. Maurowie wszystko znosili cierpliwie. W roku jednakże 1498, gdy sam kardynał Ximenes zjechał do Granady i samowolnie zaczął przymusem nawracać Maurów do chrystyanizmu, ci się zbuntowali i kardynała w własnym jego pałacu oblegli. Hrabia Tendella zdołał uśmierzyć umysły zbuntowane obietnicami i namową. Pomimo przedstawiań Tendelli, kardynał postanowił zemścić się za zniewagę, i wielu kazał uwięzić Maurów. Inni poczuwający się do winy uszli w góry Nowady, i zorganizowali się w potężne bandy rozbójnicze, znane pod nazwiskiem Monfis. Bandy te w spółce z korsarzami afrykańskiemi roznosili postrach na całe królestwo.

Królowa Izabella umarła w r. 1504. Po jéj śmierci Ferdynand zatrudniony sprawami własnego królestwa, nie mógł doglądać spraw Granady i poruczył je chciwym krwi i bogactw sługom. Coraz cięższe brzemię prześladowań cisnęło Maurów; zostali oni bez żadnéj opieki po śmierci arcybiskupa Talavery i hrabi Tendella, a nagleni grożbami, przyjęli w massie wiarę chrześciańską. W roku 1516 umarł Ferdynand. Mściwy kardynał Ximenes objął rządy kraju na czas niebytności Karola V, syna Filipa i Joanny. Maurowie doświadczali niesłychanych prześladowań: palono ich kopami za kacerstwo. Karol sam zjechał do Granady, przekonał się o stanie rozjątrzenia ludu maurytańskiego, przypisał jego przyczynę ich narodowości, i nakazał, żeby Maurowie zaniechali swéj mowy najdaléj za trzy lata, jeśli nie chcą postradać majątku i być wypędzonemi z kraju. Ustanowił także osobną policyą złożoną z mnichów, a mającą czuwać nad szczerością wiary nowonawróconych Maurów. Inkwizycyi zaś polecił srogo karać nieszczerych wyznawców Chrystusa. To się działo w r. 1527. Biedni Maurowie złożyli się na 160,000 dukatów,

i tą wówczas ogromną summą okupili sobie prawo rozmawiania pomiędzy sobą własnym swym językiem. Coraz nowe prześladowania wynajdywano umyślnie na wymożenie coraz nowych haraczów. Tak się rzeczy ciągnęły do r. 1566. W roku tym Filip II ponowił edykt Karola V, z zagrożeniem najsurowszych kar dla tych wszystkich, którzy mową, ruchem lub ubiorem nie staną się za dwa lata do Hiszpanów zupełnie podobnemi. Żadna protestacya, prośba lub ofiara już nic Maurom nie pomogła. Termin ostateczny wynarodowienia się oznaczono na dzień 14 kwietnia 1568 r.

Do ostateczności przywiedzeni Maurowie zaczęli znów spiskować, i w nocy poprzedzającéj ostatni dzień ich narodowości, obwołali swym królem młodego szlachcica don Fernanda de Valor, potomka kalifów korduańskich z pokolenia Omeyadów. Młody ten, zaledwie 22 lat liczący, przystojny, ukształcony i powszechnie szanowany szlachcic, uchodził za dobrego chrześcianina, i pozostał nim, nawet po wyniesieniu swém na tron Granady, pod nazwiskiem Muleya-Abdahli. Farax, ostatni z Abencerragów przybył na czele Monfisów Alpucharry i dopuścił się krwawéj zbrodni na 3000 chrześcian; za co zrzuconym został z urzędu przez Muleya-Abdahli. Koronował się ten improwizowany król z wielką pompą w Laujar, i potém zorganizował z trudną do uwierzenia szybkością i zręcznością powstanie w górach Alpucharry. Margrabowie Mondejar i los Velez wysłanemi zostali przeciw zbuntowanym góralom z wojskiem bardzo licznem, i zaraz z początku świetne nad niemi odnieśli zwycięztwa. Łatwo byłoby uspokoić kraj cały w téj chwili, ale chciwość i okrucieństwo margrabiego do tego stopnia rozdrażniły umysły Monfisów, że postanowili święcie bronić się do ostatniego. Cudów waleczności dokazywali niesłychanych; tryumf następował po tryumfie, Hiszpanie wyparci zostali z zajętych fortec przez garstkę rozpaczających, dowodzonych z rzadkim talentem przez młodego Muley-Abdahli. Odgłos tych zwycięztw rozniósł się po całym kraju; prowincye Malaga i Almerya przystały do powstania. Młody król odważny i przebiegły stał się postrachem Hiszpanów. Król Filip wysłał przeciw niemu brata swego naturalnego, don Juana de Austria, zwycięzcę zpod Lepanto. Młody bohatér zdobył fortecę Galera, i wyciął w pień wszystkich Maurów bez różnicy płci i wieku. Korzystając z sprawionego przestrachu, obiecał powstańcom przebaczenie, byle się tylko poddali. Uciekł się nawet do przekupstwa, i znalazł w jednym z dowódzców Abdalhi, w El-Habakim gotowego

do wszystkich zdrad pomocnika. Takim sposobem zyskał kilka ważnych twierdz, klucze Alpucharry. W Granadzie tymczasem okuto wszystkich Maurów w więzy i wyprowadzono ich do Kastylii i do Estramadury. Trzy korpusy otoczyły Alpucharrę i systematycznie cały kraj niszczyły, aby żadnego w nim nie pozostawić przytułku. Krew Maurów płynęła strumieniami. Ci, co się bronić mogli, bronili się jeszcze, cofając się na najwyższe szczyty gór. Aben-Abdallah-Omeya padł ofiarą zazdrości swéj żony: został zamordowanym. Don Juan de Austria kazał pochować zwłoki tego walecznego rycerza z wielką okazałością, ale nie przestawał ani na chwilę wytępiać Maurów ogniem i mieczem. Okropne teraz nastąpiły czasy!

Nakoniec w r. 1609 król Filip III podpisał za radą księcia Lermy dekret wygnania na wszystkich potomków maurytańskich całego półwyspu. Tylko dzieci urodzone w więzieniach wyjęto zpod tego okrutnego wyroku. Wszystkich innych zaprowadzono do portów morskich i zawleczono na brzegi Afryki.

Tak Hiszpania samowolnie ogołociła się ze swych najpilniejszych dzieci! tak oddała demonom zniszczenia swe najpiękniejsze okolice! Z sześciu milionów mieszkańców Granady, zaledwie pozostało tyleż kroci; w Andaluzyi z 14tu wsi, zaledwie dziś istnieje jedna.

Nawet prace umysłowe Maurów nie znalazły łaski u fanatyków. Kardynał Ximenes kazał spalić na publiczném *auto da fé* 80,000 ksiąg arabskich, znalezionych w bibliotekach Granady. Oszczędził tylko 300 tomów treści lekarskiéj i naukom przyrodzonym poświęconych. Dziś te dzieła stanowią w bibliotece oryentalnéj Eskuryalu, część bardzo ważną.

I tak znikła w odmętach zapomnienia pogrążona, w żywiołach chaotycznych rozdrobniona, ta wielka fala powodzi arabskiéj, która zlała się niegdyś na Europę z tak niepohamowaną wściekłością.

Bóg jeden jest zwycięzcą!

VIII.

Alhambra. Generalif.

Alhambra, czyli królewska forteca, leży na najniższym stopniu pasma gór, przegradzającego dolinę Darro od doliny Xenilu,

a pasmo to bieżąc coraz wyżéj, wyżéj w górę, nurza o mil cztery najdaléj, swe śnieżne, błyszczące szczyty w obłokach. To Sierra Nevada, wyższa jak nasze Karpaty, a śniegi z niéj nigdy nie znikają.

Od strony południa pagórek na którym leży Alhambra, wolno zstępuje w dolinę; ale ze strony północnéj spada raptownie w skalisty, przerażający odmęt, w głębi którego huczy Darro zapienionemi wodami.

Ze strony wschodu pagórek Alhambry odgraniczonym jest wązkim, lecz głębokim parowem od góry daleko wyższéj i dzikiéj. Na szczycie téj góry leżą gruzy zamku Maurów, zwanego Silla del Moro, a na jéj podnóżu, ze strony doliny Darro, wznosi się nadobny pałac zwany Generalifem, tojest siedliskiem miłości. To jest villa sułtanek Granady.

Tuż nad tą przepaścią, nad tym parowem i nad doliną, wznosi się pałac granadeńskich królów, a z niego wysuwa się z jednéj i z drugiéj strony wysoki i gruby mur, okrążający wszystkie budowle, dziedziniec i baszty, wchodzące w skład fortecy. Mur zaś ten opatrzony jest strzelnicami i trzynastu czworograniastemi wieżami. Kilka żelaznych dział ogromnego kalibru pozostało tu jeszcze po Maurach. Drugi jeszcze tu był mur okrężny i wał wysoki, ale Francuzi wysadzili go w powietrze.

Ze strony południowo-zachodniéj muru wznosi się ogromna wieża broniąca głównego wstępu do Alhambry. Przejście przebiega gzygzakiem całą grubość téj budowli, zastanawiającéj ogromem. Okazały portyk z marmurowym baldachinem, zdobi wnijście do téj wieży. Tu pod tym portykiem królowie Maurów rozsądzali w *czwartek* patryarchalnie i za wspólną ugodą obu stron takie sprawy, które trybunałom krajowym powierzyć nie chciano. Jaka piękna instytucya! jedyny sposób zapobieżenia pojedynkom.

Na téjto wieży, którą, według zdania tutejszego ludu, astrolog jakiś miał wystawić z głazów piramid egipskich, na téj mówię wieży, wyryto w kamieniu godło jakieś kolosalnéj wielkości: *rękę chcącą chwytać za klucz*. Ręka ma przedstawiać naukę, a klucz wiarę; tak przynajmniéj utrzymują talibowie arabscy, przybywający tu od czasu do czasu, aby płakać w straconym dla nich raju.

Przeszedłszy łamaną drogę w wieży, wstępujesz w wąwóz, otoczony wysokiemi murami, a potém na obszerny plac, zwany *Plaza de los Algibes*. Plac ten zawiera dwie wielkie w skale wy-

kute sadzawki i głęboką studnię, także w skale wywierconą. Wodę z téj studni sprzedają jako specyał na ulicach Granady. Zachodnia część tego placu odgraniczoną jest wysokim murem, oddzielającym część fortecy, dziś za więzienie politycznym przestępcom służącéj, od reszty budynków w skład fortecy wchodzących. Z drugiéj, przeciwnéj strony placu sadzawek, wznosi się imponujący pałac przez cesarza Karola V zaczęty, ale dziś jeszcze niedokończony. W pałacu tym przechowują działa forteczne; jest ich przeszło trzysta z różnych wieków. Karol Vty aby wznieść swój pałac, kazał zburzyć zimowy pałac królów Granady, o którym podania głoszą, że piękniejszym był od wszystkiego, co pozostało. Są ludzie patrzący z zazdrością na wszystko co piękne: czyto żywe, czy umarłe. Takim był Karol V.

Za pałacem Karola V wznosi się kościół Alhambry; wprzódy był on meczetem. Pomiędzy tym kościołem a pałacem granadeńskich książąt, opierającym się o północną część pałacu Karola, znajduje się prześliczny ogródek pełen najpyszniejszych i najrzadszych kwiatów, np. drzew trąbkowych (Bignonia catalpa L.), i akacyi Chrystusowéj (Gleditschia triacanthos L.), pełen także fontan alabastrowych, wytryskujących bezustannie chłodzący deszczyk na te miłe córki Flory, które swym widokiem tak cieszą.

Maurytański pałac królów Granady z zewnątrz nic nie ma okazałego; tak jak wszystkie budowle Arabów, chowających piękności swe tylko dla prywatnego, tajemnego użytku. Pałac Alhambry jest dziwnym różnokształtnym konglomeratem wysokich murów bez okien; nad niemi sterczą wieże różnéj wielkości i różnokolorowe; wznoszą się także dwa ośmioboczne wysokie pawilony z gankami na zewnątrz.

Ale gdy raz przestąpisz skromną furtkę, stanowiącą jedyne wejście do pałacu, wówczas pomyślisz, żeś od jednego razu wstąpił w krainę czarów. Znajdziesz się w dziedzińcu czworograniastym, podługowatym, wyłożonym taflami marmurowemi i otoczonym wokoło portykiem całkiem z białego marmuru, spoczywającym na alabastrowych kolumnach. A te kolumny stojące parami, wiązane pomiędzy sobą, i pomiędzy innemi parami łukami najpowabniejszego wygięcia; te kolumny tworzą labirynty najfantastyczniejszych kształtów, i ozdobione są rzeźbą, arabeskami i złoceniem. W pośrodku tego dziedzińca, zwanego *Patio de la Alberca*, znajduje się stawik na 130 stóp długi, a 80 stóp szeroki. Dwie fontanny ciągle go napełniają, a złote pstrągi krążą w nim bezu-

stannie. Stawik otoczony jest zewsząd myrtami, różami i oleandrem.

Północną część tego dziedzińca stanowi wieża kolosalnéj wielkości, zwana *Torre de Comares*. Wysoki portal prowadzi do sali ambasadorów, zajmującéj wnętrze téj ogromnéj wieży. W téjto sali dumny Muley-Hassan rzekł do wysłannika Ferdynanda: „Moja mennica już nie bije złota, lecz groty i pałasze.“ Nad wejściem zaś do saméj sali, znajduje się długi napis arabski, który, według tłumaczenia danego przez *Itinerario descriptivo de Espanna*, znaczy:

„O Ben-Hassanie! nie na tronie zostałeś zrodzonym, lecz w własném pławisz się świetle, tak jak owa gwiazda, która nam dzień przynosi. Twoje ramię jest naszym murem, a twoja sprawiedliwość naszém światłem. Ty umiész powściągać złość nieprzyjaciół naszych, a uszczęśliwiasz twą dobrocią liczne dzieci twego ludu. Gwiazdy firmamentu przyświecają ci z cześcią, słońce patrzy na cię z miłością, a cedry, królowe lasów chylą swe dumne czoła przed tobą, o wielki nasz kalifie“.

Znamy historyą panowania Mohameta Abu-Alhamana z domu Ben-Hassanów. O nim tu mowa w tym czułym i pełnym poezyi napisie.

Sala ambasadorów jest bez żadnéj wątpliwości najobszerniejszą salą, znajdującą się gdziekolwiekbądź w wnętrzu wieży. Panuje tu sztuczny pomrok, nie dozwalający dostrzedz wszystkich cudów architektury i ozdób tego czarującego miejsca. Ile tu złoceń, ile mozajki, ile rzeźby na drzewie cedrowém! Ale dwanaście okien, to zamało na ogrom téj sali.

Każdego roku d. 2 stycznia, tojest w rocznicę poddania się Granady, gubernator Alhambry daje tutaj bal w téj pysznéj sali, dla sześciuset osób. Wystawić sobie 600 osób w wnętrzu jednéj wieży! Za każdém z okien znajduje się ganek; z nich widok na pola, góry, lasy i przepaści najpyszniejszy.

W wyższéj części wieży Comares, znajdują się pokoje, w których Muley-Hassan więził swą żonę, piękną Fatimę la Zoraya, światło zorzy, i syna swego Boabdila małego, przezwanego *el Zogoybi, nieszczęsnym* już od urodzenia.

Naprzeciw wnijścia do tego dziedzińca, znajduje się wnijście bardzo okazałe do głównego dziedzińca zamku, do dziedzińca lwów: *patio de las Leones*. Jestto regularny czworogran, opasany portykiem, który podpiera 168 kolumn marmurowych.

Dwa przedsionki cudnéj architektury, stojące na ostrych łukach, wspartych wysokiemi kolumnami, wystają ku dziedzińcowi, w środku którego znajduje się owa sławna fontanna, unoszona przez dwunastu lwów marmurowych. Kilka miednic kolosalnéj wielkości, ale coraz mniejszych, unosi się jedna ponad drugą w powietrzu; woda spada z jednéj w drugą i tworzy cudnéj piękności katarakty; nareszcie wpada w wnętrze lwów i przez nich znów jest oddawaną nozdrzami w szumnych strumieniach.

Miejsce to było widownią wielu scen historycznych, opiewanych balladami i romansami.

W tym dziedzińcu Muley-Hassan obronił własną swą ręką don Juana de Vera ambasadora Izabelli od niechybnéj śmierci. Tenże don Juan de Vera wdał się był w téj właśnie sali z niektóremi Maurami wysokiego rodu w rozmowę o tajemnicach religii chrześciańskiéj. Mówiąc o Niepokalaném Poczęciu, jeden z przytomnych Maurów, Abencerrag rodem, pozwolił sobie zrobić żarcik jakiś uchybiający świętości religii. Don Juan de Vera do żywego obruszony wydobył miecz, i jedném cięciem powalił bluźniercę o ziemię. Wszyscy przytomni dobyli szabli i uderzyli na ambasadora. Byliby go rozsiekli na kawałki, ale Muley-Hassan usłyszał zgiełk w przyległéj sali, przybiegł i obronił nietykalność ambasadora. W nagrodę nawet za męztwo przy téj sposobności okazane, król Maurów darował don Juanowi de Vera bogaty dyamentami wysadzany pałasz: „Królu! darowałeś mi ostry upominek; będę się starał nim ci się wywdzięczyć przy najpiérwszéj sposobności“ rzekł ambasador do monarchy przyjmując dar.

Ale i innéj, jeszcze okropniejszéj sceny, dziedziniec ten był świadkiem.

Tutaj, pod tą fontanną, Muley-Hassan folgując namowom swéj nowo wyniesionéj sułtanki donny Isabel de Solis, kazał ściąć własnych synów, spłodzonych z Zorayą.

Z obu stron dziedzińca lwów, znajduje się sala dwóch siotr i sala Abencerragów.

Sala dwóch siostr najpiękniejszą jest ze wszystkich; tak jest nazwaną od dwóch olbrzymich talli marmurowych, wchodzących z obu stron fontanny w skład białéj, jak śnieg posadzki. Spodnia część sali jest czworograniasta, ściany składają się z mozajki; wyższa część ozdobna gankami tworzy ośmiobok, i kończy się przecudną kopułą, sklejoną z fantastycznych sztukatur, niby wnętrze dla przedstawiających i przypominających stalaktyty zawie-

szone w jaskiniach, w których krzepnie woda ściekająca kroplami z sklepienia. Wszystkie wypukłości są złocone, wklęsłości zaś wyłożone białą, czerwoną i lazurową mozajką. Wszystko tak jeszcze jest świéże, jak gdyby wczoraj było wykończoném. Światło wpada ośmioma oknami w kopule wykrojonemi, i zlewając się w tę czarodziejską salę, sprawia widok nie do opisania piękny. Ściany zdają się być obwiedzione koronkami bruxelskiemi; tak cienką jest siatka arabesków, opasująca zewsząd okazałe te przestrzenie. Portyk okrążający tę salę, dźwiga ganek; do niego zaś prowadzą schody z haremu. Często ztąd patrzały czarne oczy na uczty dawane w téj sali. W tylnéj ścianie tego przybytku znajduje się mała, ale nadzwyczaj wykwintna komnateczka, cała wyłożona alabastrem, a okna jéj misternie i uroczo wykrojone, wychodzą na ogródek sułtanki, zwanéj Lindaraxa. Ogródek ten niewielki, ale ozdobiony krużgankami, fontannami i altankami, był niegdyś lubym przytułkiem królewskiego haremu.

Obszerniejszą niż sala dwóch siostr, okazalszą, ale mniéj ozdobną jest sala, znana pod nazwiskiem halli Abencerragów. Miejsce zawarte pod kopułą, pod którą ciągnie się gzygzakiem ganek naokoło, większém jest, jak sama sala. Promienie słońca wpadające niezliczoném mnóstwem okien kolorowych, walczą tu z sobą wszystkiemi barwami tęczy.

— W téjto sali—rzecze mi Mateo Ximenes, wymordowano 36 Abencerragów; tu w téj marmurowéj fontannie, złożono ich głowy, a około téj miednicy porozkładano tułuwy, by krew ściec mogła podziemnemi rynnami.

— Mateo! znasz ty szczegóły téj krwawéj sprawy, umiész je opowiedzieć? Jeśli umiész, siadajmy, słuchać cię będziemy nabożnie, tak, jak kiedyś słuchano Ulissesa.

— Czy znam szczegóły téj sprawy? wszakże ja obcuję z cieniami zmarłych w tym przybytku bohaterów; jestem synem Alhambry; znam jéj tajemnice, słuchajcie!

„Król Boabdil był rycerzem mężnym w boju, ale w pokoju człowiekiem wahającym się, łatwowiernym i słabym. Znana mu przepowiednia, że będzie ostatnim królem Granady, stała jak widmo przed jego oczyma, ścigała go wszędzie i nieraz do okrucieństw pobudzała. Często widział nieprzyjaciół w wiernych swych sługach; często nie spostrzegał nieprzyjaciela w pochlebcy. Gomele i Zegrysy, zacięci nieprzyjaciele Abencerragów,

sprzysięgli się na ich zgubę, i wmówili w Boabdila, że jeden z Abencerragów uwiódł królowę, że ją widziano w jego objęciach pod owemi cyprysami, rosnącemi w ogrodach Generalifu od czterech wieków. Boabdil zwalczony przysięgą fałszywych świadków, udał się do téjże sali z swym katem i z trzydziestu żołnierzami. Przywoływał Abencerragów jednego po drugim, i głowę ściąć kazał każdemu. Tu poskładano głowy i tu tułuwy. Trzydziestu sześciu padło ofiarą łatwowierności Boabdila. Lecz paź ostatniego z ściętych spostrzegł co się dzieje, umknął z sali i okrzykiem rozpaczy dał znać reszcie Abencerragów, jaki ich los czeka. Zdrada! zemsta! wołali Abencerragi, lud powstał; było go czternaście tysięcy pod bronią. Wydobyto z więzienia Muley-Hassana, zrzuconego z tronu i okutego w kajdany przez syna swego Boabdila. Oddano mu koronę. Boabdil schronił się do meczetu. Gomelów i Zegrysów wyrznięto dwieście. Muza, bohatér przez lud ubóstwiany umiał uśmierzyć umysły; Boabdilowi znów oddano koronę.

Lecz król trwał w swych podejrzeniach względem królowéj, gdyż jéj oskarżyciele ofiarowali się utrzymywać kłamstwo z bronią w ręku. Król zwołał sąd starców, którzy osądzili królowę na spalenie żywcem, jeśli za dni 30 czterech rycerzy nie pokonają oskarżycieli ostrzem swych włóczni. Zamknięto żonę Boabdila w wieży Comares. Wielu rycerzy maurytańskich ofiarowało się stanąć w obronie królowéj, lecz ona tak wysokie miała wyobrażenie o waleczności rycerzy chrześciańskich, że im tylko chciała powierzyć obronę swojego honoru. Napisała potajemnie do don Juana de Chacon gubernatora Kartageny, prosząc, by w dniu oznaczonym przybył na jéj obronę i przywiódł z sobą trzech godnych siebie rycerzy. Królowa tyle zaufała chrześcianom, że nawet wzgardziła bohaterem Muzą i jego przyjaciołmi.

Dzień fatalny nadszedł. Już rusztowanie kirem pokryte wzniesiono, już w bieli ubraną królowę na plac przyprowadzono. Łkania ludu i szlochy rozlegały się po całéj Granadzie. Dwadzieścia trąb oznajmiło przybycie czterech oskarżycieli. Zbliżają się na pysznych andaluzkich koniach, zbroją pokryci od stóp do głów; pióra strusie powiewają w powietrzu, na tarczach mają dwa na krzyż złożone miecze, z napisem: „oto obrońcy prawdy".

Lud spogląda na wszystkie strony, obrońców nie widać! Od ósméj z rana do drugiéj po południu nikt nie przybył. Już królowa zaczyna się chwiać w swém zaufaniu, i zalewa się łzami.

Czterech nowych rycerzy maurytańskich jawi się znowu i błaga, aby im wolno było stanąć w obronie niewinności: „Jeśli za dwie godziny żaden inny nie przybędzie rycerz, wówczas was przyjmuję za obrońców" rzecze królowa.

Wtém zagrzmiały trąby. Czterech przybywa tureckich rycerzy: jeden z nich prosi sędziów, aby zezwolił na rozmówienie się z królową. Sędziowie zezwalają. Rycerz turecki przybliża się do królowéj i odchyla *wizier* swego hełmu. Królowa poznaje don Juana de Chacon, i daje znak sędziom, że przystaje na tych obrońców.

Bój się rozpoczyna; długo trwał zacięty, długo zwycięztwo niepewne. „Lecz Allah, mówi rękopism arabski, wlał odwagę w serce, i siły w ramiona obrońców niewinności. Zegrysy pokonani, przyznają się do winy, przysięgają, że zazdrość jedynie niemi powodowała, że królowa niewinną.

Sędziowie ogłaszają tryumf niewinności. Król rzuca się do nóg swéj małżonce, lecz ona go odpycha i chroni się do klasztoru chrześciańskiego. Rycerze kastylijscy znikli, a Abencerragi opuścili na zawsze Granadę. Tak król stracił odrazu wszystkich swych najlepszych przyjaciół".

— Często, dodał don Mateo Ximenes, często głuche rozlegają się tutaj jęki nocną porą, gwary głosów, szczęki kajdan i płacz dzieci. Czasem nawet przeraźliwe słychać krzyki: to niezawodnie dusze tylu ludzi umarłych tutaj w grzechu; pokutować muszą Maurowie po śmierci, bo Chrystusa uznać nie chcieli.

A Don Sobek Gruszka, były podoficer byłéj legii nadwiślańskiéj, a od wzięcia Badajoz, od roku 1812 organista w kaplicy Alhambry i przykładny małżonek gospodyni kapelana Alhambry; a Don Sobek Gruszka, mówię, widząc jak słucham z takiém zajęciem opowiadania Don Mateo, wziął to zajęcie za dowód łatwowierności, i dodał ośmielony moją naiwnością:

— Tak, tak, panie Sennor, pokutować muszą koniecznie, bo to hajdamaki. Wszakżeż raz ja wchodzę do téj sali ranną bardzo porą i zobaczyłem co? czterech hajdamaków z długiemi brodami, a ubranych od stóp do głów w czerwone i żółte atłasy, zbliżających się do mnie. „Wszelki duch Pana Boga chwali!" krzyknąłem struchlały, i nie czekając odpowiedzi, kopnąłem się z sali na dziedziniec. Oj, źle zrobiłem, bo jak się późniéj dowiedziałem, widma te chciały mi, jako dobremu katolikowi, objawić, gdzie są złożone skarby królów muzułmańskich.

— Ho, ho! Don Sobku Gruszko! co to, to za wiele! Cóż do stu tysięcy, przecież nie chcesz, żebym uwierzył w strachy i zaklęte skarby; a ple! stary wiarusie!—odpowiedziałem z oburzeniem Don Sobkowi.

— Ach panie! na miłość Boga, albo się to raz zdarzyło, że widma Alhambry ludziom skarby wskazały? Niedawno temu, będzie lat z dwadzieścia, żołnierz jeden zbogacił się nagle tu w Alhambrze, wziął dymissyą i kupił sobie dwa domy w Malladze. Dotychczas żyje, i żyje wesoło, bo wino tam wyborne. A cóż Don Mateo, czy nieprawdę mówię?

Mateo powołany na świadka rzekł z tajemniczym i uroczystym wyrazem twarzy: „Gdyby się nie działo coś nadzwyczajnego w Alhambrze, nie oblewałby ksiądz kapelan, mieszkający tu obok téj sali, pokoju swego wodą święconą. Kiedy on się duchów lęka, to nam wolno w nie wierzyć!"

Istotnie ksiądz kapelan wierzył w duchy, i sam mi to najnaiwniéj w świecie wyznał; ale nigdy żadnych nie widział, krzyki tylko i jęki przerażające słyszał nieraz w nocy; jęki tak okropne, że aż do kości przejmowały.

Jęki te i wycia pochodzą zapewne z szelestu, który sprawia woda spływająca licznemi rurami w fontanny. Rury te umieszczone są pod ziemią; wodociągi konstrukcyi maurytańskiéj, sprowadzają wodę o cztery mile. Płynny kryształ przebiegłszy sto fontan w pałacu królewskim, napełnia wanny w łazienkach, sadzawki i kanały, spływa licznemi strugami w ogrody i szumnemi kaskadami po murach i murawach, po skałach i młynach, do parku Alhambry. Dwieście siedmnaście kwart wody przybywa tu każdéj minuty z gór Nevady.

Opisać wszystkie cuda i piękności Alhambry, byłobyto nadużyć cierpliwości czytelnika. O kilku jeszcze miejscach historycznéj wartości wspomnieć muszę.

Budoar królowéj, *el tocador de la Reyna*, znajduje się na samym szczycie wieży, stojącéj na samym końcu haremu. Jestto pawilon, którego kopuła jest ruchomą, i tak urządzoną, że ją łatwym mechanizmem otworzyć można. Oknami widok najpyszniejszy na wszystkie strony świata. W jednym kącie podłogi znajduje się w posadzce marmurowéj mały otwór, którym wchodzą wonie palone pod spodem do budoaru. W tym cudnym pokoju sułtanka Fatima la Zoraya miała teleskop, i nim spoglądała na gwiazdy; wierzyła ona mocno w wpływ konstellacyi na losy ludzkie.

W jednéj z pomniejszych sal, (a tych jest w Alhambrze z pięćdziesiąt, trudno tylko dostać się do wszystkich, w wielu bowiem są składy, inne zawierają meble gubernatora, inne jeszcze marmury i alabastry, zdobiące wprzódy pokój pałacu Karola Vgo); w jednéj z sal widzieć można portrety osób, które główną rolę grały w wojnie granadeńskiéj. Szczególnie uderzył mię portret Izabelli katolickiéj. Byłato piękna, okazała pani: oczy miała pełne, mądre, koloru niebieskiego, włosy jasno-brunatne. W całym jéj ustroju wiele się maluje dumy kobiecéj, powagi królewskiéj, połączonéj z dobrocią serca i łagodnością charakteru. Szkoda, wielka szkoda, że ta szlachetna księżniczka żyła w wieku przesądów, w którym monarchowie byli ślepemi narzędziami w rękach fanatycznych mnichów.

Prócz pałacu królów maurytańskich, wiele jeszcze jest w Alhambrze budynków maurytańskich bardzo pięknéj struktury; naprzykład *la Casa del Arco*, *la Torre de las Infantas*, wieża zawiérająca prześliczne pokoje, przeznaczone kiedyś dla infantek granadeńskich. Płaskorzeźby zdobiące przedtém te komnaty, poprzedawano Anglikom za drogie pieniądze.

Nic romantyczniejszego, jak owa spadzista ścieszka, wijąca się od stóp wieży stojącéj nad przepaścią, aż do spodu doliny Darro. Za każdym tuzinem kroków inne niespodziewane widoki na Granadę, na góry, na Alhambrę i na pola. Teraz jesteśmy u spodu przepaści, gdzie szumny huczy potok; przekraczamy go i pniemy się znów w górę.

W połowie wysokości téj góry, stoi pałac zwany przez Hiszpanów Generalife, a wprzódy przez Maurów Ginar al Iph (tojest po arabsku *dom miłości*). Pałac ten ogołocony prawie całkiem z pierwotnéj piękności, jest teraz villą, należącą do jakiegoś granda Hiszpanii, którego także nie przypominam nazwiska. Wandalscy restauratorowie nie umieli cenić piękna w płaskorzeźbach i arabeskach, zarzucili je wapnem i pomalowali w kolory narodowe: na żółto i czerwono. Ale istnieją jeszcze owe długie kurytarze, z których królowe Granady spoglądały niegdyś na wieże Alhambry niżéj leżące, na miasto i na góry, błyszczące na zachodnim widnokręgu.

W jednéj z sal Generalifu umieszczono portret Boabdila i matki jego.

Ostatni król Granady pięknym był młodzieńcem; bogaty jasny włos spływa mu na barki, w oczach wiele dobroci, w ustach

wiele słodyczy, ale coś niepewnego, wahającego się w rysach twarzy. Na głowie ma koronę królewską, podbitą czarnym aksamitnym beretem; odziany jest w żupan z złotego brokatu z wyłogami czarnemi, perłami haftowanemi.

Fatima la Zoroya, światło zorzy, także jasno-włosa, piękna, z rozumnemi oczyma i klassyczną twarzą. Musiała i ona być Europejką z rasy gotyckiéj; tyle bowiem klassyczności i szlachetności w rysach, w żadnéj arabskiéj twarzy nie widziałem nigdy.

Zoraya ma na głowie zawój z dwóch muślinowych szali; z białego i różowego. Za wielką brylantową spinką zatkane piórko z pereł różnych wielkości. Żupanik także z złotego brokatu; kaftan z purpurowego aksamitu, bogato dyamentami haftowany. Perły i klejnoty całéj Golkondy rozsiane we włosach i na ramionach. W ręku trzyma papugę; czemu raczéj nie sokoła? byłby stosowniejszym.

Ogrody Generalifu niegdyś tak świetne, dziś już leżą w zaniedbaniu. Lecz owe odwieczne cyprysy, pod cieniem których Abencerragi mieli bałamucić seraj Boabdila, dziś jeszcze wznoszą dumne a posępne czoło ku niebu. Przypominają sobie, że ich ręka Maurów sadziła, i nim zginą, chcą się doczekać końca potęgi ich nieprzyjaciół. Już się tego doczekaliście stare cyprysy! chrześcianin nie był nigdy nieprzyjacielem szlachetnego i pracowitego narodu, tylko inkwizycya, a ta leży pogrzebana na wieki.

Czytelniku! jeszcze daléj tam na szczyt téjże saméj góry; uciążliwa to podróż! Prawda! część jéj odbyć możesz sławnemi schodami zwanemi wodnistemi, *Escalera de las aguas*. Jedyne to w swym rodzaju schody: na każdym marmurowym stopniu dwie fontanny pryskające złocistą wodą, a wszystko z obu stron opasane krzewami róży, jakich może w życiu swém nikt nie widział. Szczyt téj góry zwie się *la Silla del Moro*, krzesłem Maura. Niegdyś stała tu forteca, teraz leżą gruzy. Na szczycie tym jest mnóstwo jaskiń i katakumb, niegdyś służących za miejsce pogrzebu rodzinie królewskiéj. Ale dawno już poznikały srébrne trumny, marmury i alabastry, a kości królewskie ziemia strawiła, tak, jak inne ludzkie kości poniewierające się po tylu polach bitwy.

Jak tu dziwnie marzyć nad znikomością rzeczy ludzkich, tu; na popiołach królów, a w obliczu tylu trwałych dzieł wzniesionych ich ręką; w obliczu tych Alpuchar, Newady i Elwiry, których

echa wiecznie powtarzać będą ostatnie westchnienia Maura, na szczycie téj góry, u stóp któréj wznoszą się jeszcze silne i mocne owe *Torres vermejas*, wieże czerwone, wybudowane przez Fenicyan w czasach przedhistorycznych!

Nie! nie masz znikomości rzeczy ludzkich, choćby żaden z naszego ciała nie pozostał atom. Kto ma wolą i siłę, i niemi rozrządzać potrafi, ten sobie postawić zdoła na téj ziemi trwalszy jak nasze ciało pomnik. A kto wyższych nie ma zdolności, ten niech powierzy pamięć swą roślinie, niech sadzi drzewa i cieszy się lubą nadzieją, że kiedyś prawnuki bawić się będą pod ich cieniem.

W promieniach zachodzącego słońca jaśniała Alhambra jak zamek jaki czarodziejski. Zastanawiająca budowla! tyle wież i baszt różnokształtnych, tyle pawilonów różnéj wielkości! Zdaje się, że zupełnie bez systematu stawiana, a jednak wszystko razem tak jest lekkie, nadobne i urocze.

Ta wykwintność zalotna wewnątrz, ta lekkość urocza charakteryzująca architekturę maurytańską, charakteryzowała także naród Maurów, i stała w przeciwieństwie z imponującą, smętną uroczystością pomników gotyckich. Charaktery te różne, wybite są wyraźnie na dwóch wielkich narodach, które przez czas tak długi spierały się o panowanie nad półwyspem.

Architektury maurytańskiéj znamieniem nie jest szczytność; czaruje ona prawie jedynie wykwintnością kształtów, wrażliwém rozdzieleniem światła, bogactwem i ujmującą nadobnością ozdób. Krużganki Generalifu, przybytki Alhambry, pomniki maurytańskie w Sewilli, Kordobie i Toledo, tenże sam noszą charakter. Wszędzie nadobność, wszędzie przepych. Poznać zaraz z ułudnego pomroku, panującego w tych przestrzeniach, wzniesionych jak gdyby ręką sylfów, że ich dawni mieszkańcy lubili przedewszystkiém oddawać się wzruszeniom zmysłowości. Wybór miejsca i ozdoby jego tak wyszukane i wykwintne, dowodzą, że Maurowie byli doskonałemi znawcami piękności sztuki i natury, i że przytém namiętnie kochali komfort cywilizowanego życia.

Słodko było Maurowi marzyć o bojach, i o czarnookich wieczno-dziewiczych huryskach w tych złoconych podwojach, gdzie igrały kolory tęczy z kryształem wody, wytryskującéj z fontan, gdzie wonie najpyszniejszych kwiatów upajały wyobraźnią. Pogrążony w swych lubieżnych illuzyach Maur, nie dbał o kształty zewnętrzne tych przestworów, w których wnętrzu znajdował rozkosz swą i szczęście. Budował dla swéj wygody, ale nie dla oka

ludu; nie zdołał się wznieść w architekturze ani do szczytności pomysłów, ani do wyższego ducha ludzkości. Umysł Maura żywiony nauką, podniecany rozpamiętywaniem, wiele był w stanie objąć; dowodzą tego jego księgi, pomniki i dobroczynne instytucye. Wyczerpał on w swém życiu politycznem i socyalném, wszystkie zasoby mądrości, jakie mogło dostarczyć źródło Alkoranu; ale w nauce Chrystusa nie odgadł on tych niewyczerpanych zasobów wszelkiego życia, które nam z *serca chrześcianom* udzielają przedsmak wieczności. Krótką swą metę świetnie przebiegł Maur, i potém zniknął z pośrodka ludów politycznie żyjących. Do wyższych chrześcianin powołany celów; i gdy raz je pojmie, uznać musi, że idea jemu przewodnicząca wystarczy na lat sto tysięcy.

Ale już słońce kryje się za mogiłami Elwiry; Alhambra już w pomroku nocnym zanurzona; olbrzymie cienie wkraczają na Generalif; już się i do naszych stóp zbliżają. Błonia Vegi, lasy oliwne, parki królów Granady pogrążone w ciemności. Alpucharra otuliła się nieprzejrzystym płaszczem mgły i obłoków. Nevada tylko czuwa nad nami, i więzi na swych brylantowych szczytach purpurę słoneczną. Przyświeca, jak latarnia morska, nam podróżnikom schodzącym stromą ścieszką w dolinę.

Gasną od jednego razu gorejące śniegi Newady; jesteśmy znów u bram Alhambry.

Ocknął się puszczyk i sowa wylatuje z swéj kryjówki; budzą się Abencerragi i zgrzytają zębami; siedzi posępny cień Almanzora na szczycie najwyższéj baszty i usiłuje złamać proporzec noszący złotego lwa Kastylii; płacze w Tocadorze piękna Zoraya, a jéj biédne dzieci leżą w dziedzińcu lwów krwią zbroczone.

„*La illah illah Allah!*" wyją tęskne echa Alhambry, a w ogrodzie Lindaraxy śpiéwa słowik, tak jak śpiéwał już w raju, i dowodzi nam, że tylko Bóg jest zwycięzcą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA LITERACKA.

Emeryt. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. *Wilno.* 1851.

Czytelnicy Biblioteki w roku bieżącym nie wszyscy zapewne znają tę powieść, której główne obrazy umieszczone były w zeszytach tego pisma z lat 1849 i 1850, a której całość mamy teraz przed sobą w oddzielném wydaniu; powtórzymy tu więc w zbliżeniu a w kilku słowach treść téj powieści.

Przy ulicy Żytnéj w Warszawie, w dworku gdzie jest dziedziniec obwiedziony parkanem, mieszkał przed laty 10cią p. Cypryan Ambrożyński, niegdyś nauczyciel języka łacińskiego w szkole powiatowéj, teraz *emeryt.* Gorliwość i zamiłowanie w swoim przedmiocie, odznaczały zawód nauczycielski p. Ambrożyńskiego; gorliwość owa, porządek i zamiłowanie w szczegółach, przeciągnęły się i na czas odpoczynku. P. Ambrożyński lubo już nie wykładał lekcyj grammatyki, o niczém jednak więcéj nie rozmyślał, jak o grammatyce. Na jednéj półce w jego sypialnym pokoju stały wszystkie grammatyki łacińskie wydawane od lat 30stu, na drugiéj wszystkie dykcyonarze tegoż języka od lat 30stu, a nadto na 3ciéj 30 słojów mieszczących tyleż oddzielnych kombinacyj (źródło odmiennéj rozkoszy na każdy dzień miesiąca) proszków z liścia tabakowego; owoc własnéj cierpliwości, pracowitości i przemysłowéj twórczości p. Ambrożyńskiego. Przymioty te wszystkie nie były jednak jeszcze największą zasługą emeryta. Emeryt miał córkę—*Kasię.*

Jeżeli w mieszkaniu p. Ambrożyńskiego była czystość i strojność na jakie zdobyć się może mieszkanie nauczyciela-emeryta, byłoto dzieło Kasi; jeżeli p. Ambrożyński samotny i już emeryt nie czuł ciężaru chwil dziennych i przeciągłego ich chodu, byłoto dzieło Kasi; jeżeli wreszcie kto z przechodzących ulicą Żytną spotkał kiedy piękność, tak, iż się zatrzymał i stanął, byłato pewnie Kasia. Ładna a skromna, zawsze pracą

zajęta i zawsze strojna, czcząca ojca, pobożna, Kasia była ideałem młodéj dziewczyny. Ideału tego nie była godną ulica Żytna.

Na pensyi pani S. przy ulicy Sto-Jerskiéj, p. Roman Wyżopolski obywatel przybyły z prowincyi, wchodził w umowę o umieszczenie swéj małéj synowicy *Heluni*. Pani S. była wymagającą, i p. Roman targował się. Pani S. miała już znacznie ustąpić, ale nagle p. Roman wymówił: zgoda. Roztropna ochmistrzyni, uczyniła natenczas próbę dalszych wymagań; przypominając i wynajdując potrzeby, podnosiła rachunek roczny; a p. Wyżopolski zawsze jedno tylko powtarzał: zgoda. Pani S. ile z zysku, tyle też pyszną była przed sobą ze swéj wymowy, ale niesłusznie. Wymową tą były nie usta pani S. ale oczy młodéj jéj przyjaciółki, (niegdyś uczennicy) która weszła i usiadła była przy niéj w czasie targu. Tą młodą uczennicą i przyjaciółką była właśnie córka p. Ambrożyńskiego, Kasia.

P. Roman Wyżopolski, po skończeniu owéj umowy, cały tydzień jeszcze bawił w Warszawie i przez cały ten tydzień codzień widywał się z Kasią. P. Roman miał szczególny dowcip wynalezienia co dzień powodu i wymożenia na Kasi słowa zejścia się gdzieś: na pensyi p. S. dla interesu, w magazynie dla robienia sprawunków do domu i dla Heluni, w ogrodzie Krasińskich i t. p. Kasia wcale niechętnie i bojaźliwie czyniła te zejścia się, i owszem, na godzinę jeszcze przed naznaczonym terminem miała zawsze stałe postanowienie z domu nie wychodzić. W dzień wszakże odjazdu p. Romana żegnając się z nim na ulicy Sto-Jerskiéj była nader jawnie wzruszoną; darowała p. Wyżopolskiemu książeczkę swą do modlitwy z któréj się co dzień modliła, i miała łzy na oczach. P. Roman to wzruszenie jéj postrzegł, „i byłby jéj do nóg upadł, mówi autor, lecz nie mógł tego zrobić, gdyż dużo przechodziło żydów, którzy ich potrącali".

Żadnego przyrzeczenia, wyznania, nie uczynili sobie p. Roman i Kasia, a jednak powstało i pozostało w nich to przekonanie, że im nigdzie być nie może lepiéj jak z sobą, że muszą kiedyś należéć do siebie. Wyobrażenie to wprawdzie po bliższéj rozwadze znajdywała dziwacznem roztropna Kasia (i aby je zatrzéć, uczyła się dla przypodobania ojcu deklinacyj łacińskich i tłumaczyła Korneliusza), zawsze jednak jak miły ciężar na dnie serca jéj spoczywało. P. Roman przeciwnie, myślał o Kasi z całém bezpieczeństwem, i z książeczki, którą mu darowała, więcéj może modlitw przeczytał, niż pierwéj przez całe życie. P. Roman co dzień raz przynajmniéj ucałował ową książeczkę; Kasia lubiła odwiedzać często pensyą p. S. i całowała Helunię.

Tak szczęśliwie i wdzięcznie zaczął się los dwojga tych młodych osób, które poznaliśmy; lecz świat nie stoi. Z losem p. Romana i w domu ojca Kasi wnet znaczne odmiany zajść miały. P. Roman przymuszo-

ny był jechać na Ukrainę do swéj bogatéj ciotki pani Winickiéj, która go wezwała; do domu p. Ambrożyńskiego przybył—uczeń.

Uczeń, którego p. Ambrożyński dostał na wychowanie, byłto chłopiec już lat 22ch *Marcinek Wiedzki*. Marcinek ten, jakkolwiek miał już lat 22, i jakkolwiek nazywał się Wiedzki, rzeczywiście jednak niczego jeszcze nie wiedział, a nawet kto mu był ojcem. P. Ambrożyńskiemu polecił go p. *Marek Wielowiedzki* referendarz stanu, który niegdyś był kolegą p. Ambrożyńskiego, dzisiaj zaś szefem biura. P. referendarz Marek mógłby był i sam zająć się Marcinkiem i udzielić mu wychowanie, ale był szefem biura, a w biurze swém „sam robił za wszystkich i otrzymał pochwalny reskrypt za sprężystość", jak to lubił powtarzać.

Matka Marcinka byłato szlachcianka zpod Łomży, z *Siechurskiéj Woli*, gdzie była siedziba Siechurskich, Wielowiedzkich, Wiedzkich i t. p. Życie skończyła w nędzy, i Marcinek dostał się na wychowanie do wuja p. Marka, kuzyna zmarłéj, p. Bartłomieja. Marcinek byłto chłopiec ładny i bystry, i między dziewczętami z okolicy Siechurskiéj Woli, śród sfery obertasów, miał rolę lwa; cała jednak nauka którą był nabył w domu wujaszka, byłoto tylko powtarzanie niekiedy, bez szkody na zdrowiu, licznych kieliszków, oraz liczenie drzewa, które się czasem przypadkiem razem z wujaszkiem z lasów rządowych przywiozło. Gdy doszedł lat 20, wuj Bartłomiéj dla powodów jemu tylko wiadomych, a po krótkiéj naradzie z siostrzeńcem, odwiózł go do Warszawy p. referendarzowi Markowi na opiekę.

Marcinek znalazłszy się śród Warszawy, uszczęśliwiony był z miasta; zachwyciły go jasne i wesołe szyldy przy szynkach, na które zatrzymując się patrzał, i zgadł zaraz, że dlatego w mieście przy drzwiach są dzwonki, że boją się złodziejów. Przybywszy do pana Ambrożyńskiego, który już był uprzedzony, opowiedział się, iż go przysyła na naukę pan referendarz, i że wreszcie on sam z siebie chciałby coś robić na świecie, lecz nie chce być: „ani blacharzem, ani lakiernikiem, a woli drugich rozumu uczyć". Marcinek kiedy to mówił, ścigał i połykał oczyma Kasię, i myślał: „niech djabli porwą". Nazajutrz na naznaczoną godzinę stawił się pilnie.

Marcinek miał jak powiedzieliśmy bystrość; siechurski lew, kiedy się porównał z Kasią, uczuł, iż tak przy niéj wygląda, jak prosty wiejski parobek, i że jedna mu tylko pozostała droga: milczéć i uczyć się. Jakoż i milczał i uczył się: przychodził co dzień i po dwa razy na dzień, i uczył się; i ktoby potém w czasie niedługim, w pół roku, ujrzał go, ani moralnie, ani fizycznie nie poznałby dawnego Marcinka. Pan Ambrożyński pysznił się z swego pedagogicznego daru, (jak pani S. z swojéj wymowy);

patrząc na swego ucznia. Kasia go polubiła jak brata. Kasia mogłaby nawet łatwo odgadnąć, kto był jego mistrzem istotnym, gdyby tylko chciała była nad tém pomyśléć: gdyby Kasia, oprócz codziennych robót, mogła kiedy o czém była pomyśléć, co nie było panem Romanem.

A pan Roman? Pan Roman był na Pobereżu w Bykówce, w domu swéj ciotki: pośród dam ukraińskich, pod bokiem swatającéj go ciotki; a zwłaszcza pod okiem i urokiem świetnéj kuzynki ciotki, p. *Rożewskiéj*.

Pani Krystyna Rożewska, byłato młoda rozwódka, pełna smaku w uczuciach, rozumu w myśli, złota w szkatułkach: przedmiot hołdów i przedmiot rozmów pół Ukrainy.

Arystoteles, znany wszystkim (przynajmniéj z nazwiska), grecki filozof, w jednéj z swych ksiąg o topikach, mówi: „lepiéj jest kochać, jak być kochanym; kochać bowiem to czynność, być kochanym to bierność; być kochanym może być pies, kwiat, nawet istota martwa". Czy pani Krystyna Rożewska zajmowała się filozofią?—z tego, co autor o niéj wspomina, wnieść można, iż być to mogło; ale to pewna, że nie była w niéj tego zdania co Arystoteles. Pani Krystyna Rożewska wierzyła w postęp, uważała więc za właściwsze być kochaną, jak kochać. Wprawdzie kiedy była jeszcze panną (panną Krystyną), przedmiotem jéj miłości, mówiono, był niejaki pan Władysław I.; ale ten p. Władysław byłto gracz i panna Krystyna kiedy się dowiedziała że był graczem, przestała go kochać. Mężem jéj potém został niejaki pan Klemens Rożewski, ale ten pan Rożewski był zerem, a pani Rożewska kiedy się przekonała że był zerem, rzuciła go. Teraz wróciła właśnie była do siebie od wód z Odessy, i pospieszyła zaraz odwiedzić babcię swą, panią Winicką w Bykówce, nie wiedząc zapewne, że znajdzie tu gościa z Warszawy.

—„Wieleż teraz masz starających się?"—byłoto jedno z piérwszych pytań, które zadała jéj pani Winicka po przywitaniu, wobec pana Romana, który stał zachwycony pięknością i gracyą przybyłéj damy.

—„Teraz tylko trzech"— odpowiedziała z uśmiechem ale śmiało pani Rożewska, całując babkę w kolano— „a ten pan—dodała pokazując na pana Romana— będzie czwarty".

Pani Winicka zaprezentowała jéj swego kuzyna, który jednak po takiém zaczęciu, nie spieszył się; zaś pani Rożewska odpowiadając, zaprezentowała się panu Romanowi sama, a to w tych słowach:

—„*Votre servante, Mr*, Krystyna Rożewska, z domu Winicka, rozwódka od lat trzech po panu Klemensie Rożewskim; trochę wdzięków jak pan widzisz, trochę rozumu jak to pan obaczysz późniéj, dużo kaprysów, uległości żadnéj, ale serce niezłe".

Pan Roman był zrażony tym tonem z góry; po kilku słowach w których wzajemnością odpłacił, wymknął się, pojechał konno na przechadzkę i nie wrócił aż po rozejściu się gości. Pani Rożewska wyjechała nazajutrz przed kawą. Piérwsza znajomość i piérwsze widzenie się pana Wyżopolskiego z panią Rożewską, zaczęły się tym sposobem od kłótni i robienia sobie na przekór.

Widzenie się drugie wkrótce miało miejsce na wielkim wieczorze w sąsiedztwie u państwa Osinowskich. Widzenie to tém się odróżniło od piérwszego, że się skończyło na zgodzie; ale cały wieczór znowu zszedł na robieniu sobie na złość. Przez cały ten wieczór pani Rożewska tańczyła tylko z dawną znajomością swoją, panem Władysławem I., który téż zgadł przed wieczorem jeszcze o któréj minucie przyjedzie pani Rożewska, i téjże minuty co ona za nią wyjechał.

Trzecie widzenie się pana Romana z panią Rożewską, ale już widzenie się długie, było w własnym jéj domu, Myszowcach. Pan Roman przyjechał tu z wizytą z panią Winicką; lękał się, aby nie znalazł p. Władysława, ale przeciwnie, znalezli panią Rożewską samą w domowym, ale domowo wykwintnym stroju, wracającą z przechadzki i bawiącą się z pięknym chartem czarnym. Pani Rożewska była uszczęśliwiona z gości, i zaraz wymogła słowo, że zabawią przynajmniéj z tydzień. Dnie, które tu spędził pan Roman, byłyto dnie czarów. Pani Rożewska już nie robiła naprzekor; w jéj słowach, spojrzeniach, postępkach, czynach, był tylko wyraz szczęścia, zajęcia się zupełnego i wyłącznego panem Romanem. Olśniony i zachwycony, popierany namową ciotki, pan Roman w chwili odjazdu miał już oświadczenie na ustach, ale wtém przerwał mu słowa i myśli, wpadając, ów czarny chart, którego widzieli w dzień przyjazdu, lecz który potém zniknął. Pani Rożewska uradowała się z ładnego zwierzęcia, głaszcząc go przyłożyła twarz swoję do jego głowy, i wyjaśniła, że to jest chart pana Władysława I., który tak ją lubi, iż co dni kilka o mil dwie do niéj przybiega, aby się popieścić.

Wróciwszy do Bykówki, p. Roman wybierał się do Warszawy i myślał o Kasi; za namową jednak pani Winickiéj, pozostał jeszcze do zimy, dla poznania kontraktów kijowskich. Na kontrakty p. Roman przybył tegoż prawie tygodnia, co pani Rożewska, a téjże godziny, co pani Rożewska, pan Władysław. Czas kontraktów tych miał téż się stać stanowczym dla losu tych trzech osób.

P. Roman nie miał wcale pociągu do owéj wpółtajemniczéj figury p. Władysława, który téż w ogólności, w towarzystwie, w którém nie grano, umiał tylko milczéć i pociągać brodę; nie był więc z nim nietylko zażyłym, lecz prawie znajomym. Jednego jednak wieczora otrzy-

mał niespodzianie jego wizytę. P. Władysław do mieszkania p. Romana wpadł wpółprzytomny, i wprost do rzeczy przystąpił; wyznał, iż zgrał się, iż wszystko przy czém pozostał, jest tylko surdut, który ma na sobie i 30,000 długu, które przegrał wczoraj podobnym sobie szulerom, którzy go ścigają; dodał, iż dwa razy już w podobnéj toni ratowała go p. Rożewska, ale że dziś nie śmiałby już iść do niéj; że więc, słowem, dwa tylko pozostają mu środki: pożyczka u p. Romana, albo—pistolet.

P. Roman pożyczył mu 30,000 bez terminu, czyli darował, i dodał jeszcze 2,000 na wyjazd, z warunkiem jednak, aby natychmiast wyjechał. P. Władysław ścisnął dłoń pana Romana, i istotnie nazajutrz wyjechał. P. Roman poszedł do pani Rożewskiéj, lecz znalazł ją słabą; tegoż dnia w wieczór otrzymał od niéj bilecik mieszczący te słowa: „Nie przyjęłam pana, bom była brzydką i zapłakaną. Wiém o wszystkiém; nie dziwię się, żeś pan tak postąpił. Takim cię marzyłam. Jutro jadę prosto do Bykówki, do mojéj jedynéj babci. Czy pan tu jeszcze zostajesz"?

P. Roman pospieszył do Bykówki, i nie późniéj, jak w kilka tygodni w sąsiedztwie dowiedziano się, że odbyły się zaręczyny między panią Rożewską, a p. Romanem Wyżopolskim.

Kiedy p. Roman Wyżopolski w ten sposób kończył swój romans na Pobereżu, w Warszawie Marcinek Wiedzki kończył kurs swéj nauki u p. Ambrożyńskiego. Zdał examen, otrzymał posadę nauczyciela szkółki wiejskiéj, a pan referendarz Marek „który sam robił za wszystkich, i otrzymał pochwalny reskrypt za sprężystość", wymógł na p. Ambrożyńskim, iż wyda za niego córkę, jeżeli tylko ta nie będzie sprzeciwiać się temu związkowi. Kasia wysłuchała zapytań ojca spokojnie, jakby zapytań, do których oddawna była przygotowaną. Odpowiedziała, że przeciw panu Marcinowi nic nie ma, i tylko prosiła o zwłokę. Tymczasem na pensyą pani S. nadszedł pakiet z Pobereża i zawiadomił ją o wszystkiém. Marcinek i ojciec przez kilka dni następnych nie poznawali Kasi. Blada i zapłakana wyrywała się z domu i przez kilka godzin nie powracała. Upoważniony od ojca Marcinek poszedł raz wreszcie, aby ją śledził, i znalazł ją samotnie modlącą się na kolanach w lewéj kaplicy kościoła ś. Krzyża. Kiedy Kasia postrzegła go, przywołała do siebie, wyznała, że wié o jego zamiarze, i po dwakroć przysięgła mu przed obrazem „że będzie mu wierną żoną, i że wszelką wolę jego zawsze wypełni". Trzeba dodać, że Kasia przysięgając w te słowa, była trochę *kazuistyczką*; nie przysięgała bowiem Marcinkowi, że będzie mu żoną, ale tylko, że będzie mu wierną, jeżeli mu będzie żoną. Ucieszył się p. Ambrożyński ze skutku wyprawy Marcinka, i dzień 25 czerwca na dzień ślubu został naznaczony.

P. Roman i pani Rożewska zaręczeni już byli istotnie od kilku miesięcy, lecz dzień ich ślubu nie był jeszcze naznaczony. P. Roman czekał aż naznaczy go pani Rożewska; pani Rożewska, aż p. Roman. Cenił on i uwielbiał przymioty swojéj narzeczonéj, a jednak nigdy może tak mu nie ściskało się serce, jak kiedy śród tego szczęścia wspomniał przypadkiem na pensyą pani S., ogród Krasińskich i Kasię; nigdy mu nie przedstawiało się żywiéj, jak teraz, co miał utracić. P. Roman miał z gruntu serce więcéj dobre jak próżne, więcéj lubiące pokój, niźli światowe. W życiu domowém, w małżeństwie pragnąłby znaleźć *przyjaciółkę* codzienną, a miał mieć *panią*; chciałby znaleźć schronienie od świata i pokój; a miał w widoku zbliżenie owszem do świata, i od godziny rannéj do rannéj domowe wojny. I w sercu drugiéj strony zdaje się, iż się obudzała także podobna walka, lubo może całkiem z przeciwnych pobudek. Jakoż, ile razy p. Roman odważył się wreszcie na ostatnie słowo, zabrzmiało dziwnie, jakby do należytego biegu rzeczy nieprzystające, i wyszydziła je pani Rożewska; ile razy znowu zaczynała je wreszcie pani Rożewska, ucinał z góry pan Roman. Lubiły się ich *ciała* i *myśli*, jakbyśmy rzekli, ale nie lubiły się *duchy*. Pani Winicka gorszyła się, iż były bez powodu przewłoki, iż nawet nie przewidywał się im koniec. P. Roman chodził niekontent sam z siebie i zachmurzony; wreszcie przyszło mu na myśl, iż musi jeszcze przed ślubem odwiedzić matkę w domu, prosząc o błogosławieństwo, i być w Warszawie.

Kiedy za kilka dni pan Roman był prawie już na wsiadaniu, niespodziany gość na dziedziniec Bykówki zajechał, a mianowicie p. Władysław I., którego p. Roman nie widział, jak się zdaje, od czasów Kijowa. P. Władysław i tu jak w Kijowie z góry przystąpił do rzeczy, mówiąc, iż potrzebuje odebrać na ręce swoje odpowiedź na list, który wręczał. Było to list od pani Rożewskiéj. W liście tym pani Rożewska pisała do pana Romana, iż należy do niego, i jeżeli chce, jutro z nim do ołtarza stanie; lecz radziła mu, aby się jeszcze raz zastanowił i doniósł jéj co sądzi: czyli są dla siebie stworzeni? czyli sobie nawzajem szczęście zapewnią? Pan Roman nie zastanawiał się i chwili, zwłaszcza widząc kto był posłańcem, i oddał na ręce p. Władysława i odpowiedź i pierścień. P. Władysław także nie czekał chwili, pożegnał się i odjechał.

„Jak więzień oswojony z kajdanami, mówi autor, nie umié prawie użyć nóg gdy mu je zdejmą: tak pan Roman po tym niespodzianym wypadku, nie wiedział na razie co zrobić ze swoją myślą, do czego ją obrócić, którędy jéj wolne już skrzydła skierować. Zdawało mu się, że mu brakuje powietrza w tym kraju rozległym, że go to niebo szerokie przyciska i dławi." Pożegnał ciotkę i poleciał ku Mazowszu i ku Warszawie.

Było to dzień właśnie 25 czerwca, kiedy p. Roman stanął w Warszawie. Przybywszy poszedł zaraz na pensyą pani S.; tu wybiegła uszczęśliwiona Helunia, uścisnęła go i zaraz dodała, że dzisiaj ślub cioci Kasi za godzinę u Reformatów.

Za godzinę w kościele OO. Reformatów siedział p. Roman w ławce i czekał na młodą parę. Pan młody wchodził smutny, panna młoda była blada jak śmierć. Kasia spojrzała ku ławkom, ujrzała pana Romana i padła bez zmysłów. Ślub się nie odbył. Kasia ozdrowiała. Marcinek który już był zmęczony cierpieniem Kasi (gdyż mu sama była wyznała szczerze wszystkie szczegóły uczuć swojego serca), poszedł do p. Romana i opowiedział mu je. Kasia tójże jeszcze jesieni została panią Wyżopolską. Na wiosnę pojechali do ciotki, do Bykówki. Tu oddawali wizyty i przyjmowali rewizyty, byli weseli i byli szczęśliwi, rzec można, jak aniołowie na ziemi. Jedynem dla nich piekłem był los Marcinka, który przystał do żołnierzy, rozpił się, i prawie pod ich okiem otrzymywał zasłużoną chłostę.

A pani Rożewska? Panią Rożewską poznali państwo Wyżopolscy zawsze panią Rożewską. Stosunek jéj z p. Władysławem, była to snać tylko intryga na swój sposób; a taki lub inny los oddanego pierścienia, miał dopiero zależéć od takiego albo innego losu dalszego czasu.

W takich ramach rozwinięty Emeryt, ostatnia powieść p. Korzeniowskiego. Powieść ta, ileśmy słyszeli, i jak to już w zdaniach o niéj ogłoszonych czytaliśmy, i powszechnie podoba się, i zajmuje.

Treść jéj jednak jest z siebie prosta; żadne szczególne węzły, niespodzianki, tajemnice, intrygi; żadne nawet szczególne passye, dziwy moralne lub materyalne nie są w zawarciu powieści.

Opowiadania jéj nie wznosi ani odznacza żadna szczególna *dykcya* poetyczna (liryzm Szyllera, jak to wróżyliśmy niegdyś, nie stał się cechą utworów autora *Anieli*; dalsze rozwinienie moralne tego autora pójść miało raczéj w kierunku świata, jak ducha). Żaden wreszcie cel jakiś jawny, dobitny, światowy lub zaświatowy nie cechuje powieści.

A jednak ta powieść i podoba się i zajmuje; czemuż?—powodem tego jest—prawda obrazów.

Bieg ludzkich rzeczy, jak to powtarzaliśmy nieraz, jestto harmonia; lubo nasze patrzące tylko na *chwilę* i *oderwanie* oko, widzi w nim zamęt. Przedstawienie w zbliżeniu, a jednym łącznym obrazie, kilku faktów z owego biegu ujętych, a ze stanowiska owéj harmonii opowiedzianych, stanowi powieść. Im więcéj wykład tych faktów trafia w prawdę owéj harmonii, tém więcéj podoba się powieść: bo źródło sądu i źródło czynów jest jedno, na dnie serca każdego. A to upodobanie snać nam kształci nadto poznanie, i, jak słusznie uważa sam autor Emeryta,

jest warunkiem śród drogi tego kształcenia. P. Korzeniowski zwróciwszy w téj powieści uwagę, iż dziś wszystkie dawne gatunki poezyi połknięte zostały przez dramat i powieść, i wróżąc że wreszcie połkniętym będzie i dramat, takie dodaje zdanie o przedstawianiu przez powieść przedmiotów społeczesnych: „coraz bardziéj społeczność dzisiejsza zrywa z historyą (przeszłością); ztąd dramat i powieść obrabiają dziś prawie wyłącznie przedmioty społczesne, aby z nich lepiéj i wydatniéj wyszły na jaw te myśli i uczucia, które są codziennym pokarmem naszego ducha, które on łakomie chwyta, żuje i przeżuwa, bo ich jeszcze nie przetrawił i w krew krwi swojéj nie przelał." Nie podzielamy zdania, wyrażonego przez autora daléj, iż żywioł teraźniejszości wyłącznie jest śród powieści żywotnym; lecz to pewna, że jest żywotnym, że dziś najpowszechniéj jest czynnym, i że wreszcie kreślenie społczesnych albo pamięcią zasięganych czasów w powieści, najwięcéj poręki prawdy przedstawia.

Emeryt jest powieścią społczesną a wierną, nie martwym więc jest z swego zadania. Dodajemy tu parę uwag o charakterach, które nam skreślił.

Najpiérwszym, albowiem stojącym na tytule, jest sam Emeryt. Emeryt z samego brzmienia swego oznacza zasługę, więc pewną zacność; takim téż był istotnie bohater powieści autora, p. Ambrożyński. P. Ambrożyński, który spędziwszy życie na pracy miał już za nałóg pracę; który przywykłszy przez ciąg życia do mierności, w mierności téj znajdował pokój i szczęście; który żyjąc w ciągłém zbliżeniu z massą różnorodnych serc i charakterów, miał pewną obojętność, brak wszelkich żywszych passyj w stosunkach życia: rzeczywiście niejednego żywego przypomina nam emeryta. W rysach dawnego nauczyciela grammatyki łacińskiéj, autor téż trafnie skreślił typ człowieka missyi cząstkowéj, chcemy rzec drobiazgowéj. Po tabace, to co nad wszystko przekładał, o czém głównie rozmyślał p. Ambrożyński, byłato zawsze grammatyka łacińska; umiejętność jéj reguł uważał za najpiérwszą ozdobę moralną, za główne podniesienie moralnéj godności człowieka. Reguły te rozrywały go we dnie, ściguły we śnie; „niekiedy mu się przyśniło, mówi autor, że słowa *utor* użył z przypadkiem 4, że kazawszy któremuś małcowi deklinować *epulum epuli*, dopuścił, że ten w liczbie mnogiéj mówił *epula, epulorum* i nie poprawił go wcale; że gdy przyszło do wytłumaczenia składni *supinum*, zapomniał, jak *venio salutatum amicos* powiedzieć siedm razy inaczéj, i chociaż go uczniowie o to pytali, wytłumaczyć im tego nie umiał. Zdręczony i zimnym potem oblany budził się wtenczas, siadał na pościeli, i opamiętawszy się, żegnał się i dziękował Bogu, że to był sen tylko" Stosunek emeryta do córki, do ucznia, do znajomych, jego życie codzien-

ne od początku do końca powieści wszędzie trafnie skreślone. Emeryt ten nie jest jednak główną osobą w powieści, któréj daje nazwisko; bohater wstępu, daléj, rzec można znika i ustępuje piérwszego miejsca innym figurom. Jedną z tych figur jest jego córka Kasia; autor zapewne tylko przez wzgląd na skromność młodéj dziewczyny, nazwał powieść raczéj od nazwiska jéj ojca.

Od czasu jak otrzymujemy od autora dramata i powieści, uważamy, iż najczęściéj główną w nich grają rolę młode piękności żeńskie, zawód ich serca. Piękności tych dwa głównie spotykamy rodzaje. Piękności *ciche* i piękności *głośne*, czyli piękności *skromne* i piękności *próżne*. Typ piérwszych mamy np. w piérwszéj tragedyi p. Korzeniowskiego *Anieli*, w bohaterkach powieści *Spekulant* i *Kollokacya*; typ drugich w dramatach: *Piękna kobiéta*, *Młoda wdowa*, *Autorka* i t. p.

Dwa te typy połączyły się w jeden obraz, spotkały się i zmierzyły się z sobą w obecnéj powieści; uosobiły je, jak widzieliśmy, *Kasia* i pani *Rożewska*.

Dobra i cicha Kasia, niemarząca o zbytkach i sławie, jednemu uczuciu wierna, stosująca zawsze swą wolę do woli ojca i niebios, pobiła tu dumną piękność światową, i tak téż bywa; osoby podobne Kasi rzeczywiście utworzone są częściéj i prawie zawsze, na rzetelne szczęście domowe.

Uosobieniem piękności próżnéj i głośnéj jest pani Rożewska. Kokieterya jest wdziękiem płci pięknéj, jeśli jest tylko wdziękiem, tojest żywszéj uprzejmości wyrazem; lecz posunięta do kłamstwa, przynosi owoce kłamstwa; to téż tylko w rozumieniu ściślejszém zowie się kokieteryą. Osoby które lubią myślenie, zwykle nie lubią świata; osoby kokieteryą zajęte nie lubią zwykle myślenia; na tym świecie jednak jest wszystko, i typ, który autor w powieści stworzył, i który spostrzegamy w kilku już ostatnich jego utworach, jestto typ *kokietki duchowéj*. Duch wyższy, to zapewne jednym orężem więcéj, i tém łatwiéj dopomagać może zwycięztwom; lecz istność, która szczególne dary otrzymuje od ducha a zapiera się ducha, ściąga téż bezpośrednie kary od tegoż ducha. Autor poeta prawdę tę figurycznie wyraził w krótkiéj, ale mówiącéj powiastce (czytelnikom Biblioteki z lat dawnych znajomej): *Panna postępowa*. Bohatérka powieści téj zaparłszy się, do niewiary, ducha, zakochała się w *duchu*. W innych znowu powieściach, kary te, autor praktycznie przedstawia. Myślą jego tu zdaje się być, iż osoby duchem bogatsze, jeśli ze światem się wiążą, tém ściśléj i różnostronniéj się wiążą, i nie znajdą daléj pokoju, ani w świecie (gdzie pokój nie mieszka), ani bez świata. Pani Krystyna Rożewska, która, jak ją wyobraża nam autor, wsiadała na koń z pistoletem, do toalety szła z książką; która miłując

ludzkość i postęp, w jednym ręku co chwila trzymała nowy traktat moralny, w drugim nową dłoń przyjaciela; która jednego kochała, z drugim się zaręczała, a za trzeciego szła za mąż: jest właśnie typem przed nami owéj piękności próżnéj, przymiotów sprzecznych, czyli kokietki duchowéj. Zawodem i losem jéj było mieć zawsze głośność, ale nie szczęście. Miała ona tę boleść, że wszystkie jéj towarzyszki młode, które przenosiła środkami zwycięztw, któremi pomiatała w zebraniu, ubiegały ją po kolei w szczęściu; sama go znaleźć nie mogła, ani w oddaleniu od pojedynczych osób, ani w zbliżeniu, i została tylko panią Rożewską. Typ ten o tyle, o ile nam się przedstawia, trafnie jest rozwiniętym. Miejsca, w których figuruje pani Rożewska, należą do najlepiéj wypracowanych w powieści.

O panu Romanie Wyżopolskim, jakkolwiek postaci głównéj, albowiem i przy początku powieści, i w środku, i na końcu, i w Warszawie, i na Pobereżu w akcyi figurującéj, nie prawie do powiedzenia nie mamy Jeżeli jego spółzalotnik pan Władysław I. nic nigdy nie mówił, i to było jego charakterem; pan Roman choć nieraz mówił, nie więcéj jednak zaznajomił nas z sobą, jak pan Władysław. To, co wyraziliśmy niegdyś pisząc o *Kollokacyi*, iż autor tak zdał się mieć silnie przed sobą wyobrażony typ bohatéra swojéj powieści, że zaniedbał zaznajomić z nim czytelnika, moglibyśmy i teraz powtórzyć. Miano niegdyś za wadę powieściopisarzom, iż kreśląc charakterystykę osób, ograniczali się na opowiadaniu jéj słowami bez rozjaśnienia jéj dramatycznie; przeciwny zarzut możnaby robić niekiedy figurom pana Korzeniowskiego. Pan Korzeniowski nie określa zwykle swych bohaterów opisem; gdy zaś (co wreszcie jest naturalne), nie daje się im wywnętrzać ani przez monologi, ani przez listy, pozostaje nam tylko ich dyalog, i czytelnik nie zna ich więcéj, jak z krótkich i przypadkowych dyalogów. Tak tylko właśnie określonym, a ztąd prawie nieokreślonym został przed nami pan Roman. Toż w części, dodajmy, zastosowaćby można nawet i do charakteru p. Rożewskiéj; autor wspomina parę razy że miała rozum, że lubiła czytanie, jakby o rzeczy, która wszystkim winna być wiadomą. Jestto szczegół, który jednak wprost jest w sprzeczności z jéj akcyą i dykcyą, i dlatego z innych utworów autora musieliśmy dotaczać i tworzyć przed sobą całość tego charakteru. Autor sobie tylko winę może przypisać, jeżeli charakter jego figur jest niekiedy tylko domyślny, jeżeli przeto może mniéj wiernie przytoczyliśmy wyżéj treść powieści.

Zarzut ten wreszcie co do charakterystyki dwóch figur głównych czynimy tylko dlatego, iż sąto figury główne, i że to, co nadaje zajęcie i życie powieściom p. Korzeniowskiego, nie jestto, jak właśnie uważa-

liśmy, widok ani powikłań sztucznych, ani żywszych passyj, lecz tylko charakterystyka. Jakoż, oprócz charakteru pana Romana i pani Rożewskiéj ile bohaterki (któryto charakter życzylibyśmy, aby autor kiedy raz pełniéj i dokładniéj rozwinął), wszystkie inne, jak Kasi, jéj ojca, p. referendarza Marka, Marcinka, nawet wspominanych figur trzeciego rzędu: jak np. p. Bartłomieja z Siechurskiéj Woli, pani Winickiéj i t. p. nakreślone są wiernie, dobitnie i przedstawiają się nam jako figury z właściwemi sobie rysami z rzeczywistego świata wyjęte, a przeto typy.

Obrazy, które autor do przedstawienia obrał, wiernie wszystkie skreślone; i owszem, z wyjątkiem ostatnich kart kilkunastu, gdzie pokończywszy już malowidła, spieszył tylko do opowiadania rozwiązań, tok powieści wyrażonym jest wszędzie w kształcie rozwiniętych położeń i dramatycznie.

To typy, które przedstawił Emeryt (tak jawne, jak domyślne), nie sąto wprawdzie po największéj części typy klass, ale typy wyjątków.

Panna Ambrożyńska np., ta prosto-serca Kasia, dobra, wierna, myśląca, oddana ojcu, szczerze pobożna, jestto typ, który nie jest, wyznajmy, typem młodych córek naszego grodu; jednakże zdarza się.

P. Wyżopolski obywatel ziemski, który rzuca bogatą dziedziczkę, a jest wierny i spieszy pojąć córkę nauczyciela-emeryta; nie jestto wcale typ obywatelski; jednakże zdarza się.

Zepsute i wpółdzikie serce Marcinka, przemienione nagle na zacne i nader zacne, jestto fakt, który także być może zdarza się, lecz tylko zdarza się.

Są mężowie, jako niewiasty, a jako męże niewiasty; ale typ pani Rożewskiéj, typ zarazem męża-niewiasty, w doskonałości tych cech (rzecby można huzara-anioła, albo anioła-huzara), nie jestto wcale typ klassy, a jednak zdarza się.

Pedanterya nie jestto wcale także charakterystyka jednostek wyższych i niższych w zawodzie, który reprezentuje p. Marek w mieście, gdzie go autor postawił; typ p. Marka w mieście tém jest prawie nieznany, a jednak zdarza się.

Wszystkie te typy w Emerycie są więc jako wyjątki, lecz jako wyjątki są typy, i *Emeryt* to z rąk autora *Spekulanta* i *Kollokacyi* nowy dla literatury krajowéj przybytek, który ma przechować i podać naszym następcom zbiór figur i charakterystyk z 5go dziesiątka XIX wieku naszego kraju.

Co do sądu wreszcie ogólnego o téj powieści, wartości jéj szczególnych obrazów, redakcya Biblioteki wyraziła go już, umieszczając tę powieść. *T.*

Grammatyka polska dla dzieci krótko zebrana przez Adama Stanisława Krasińskiego *Pijara. Wilno.* 1850 *r.*

Mole quidem exiguum, sed pravitate ingens.

Już przy wydanéj przezemnie recenzyi Grammatyki B. Łazowskiego w Nrze sierpniowym Biblioteki Warszawskiéj r. z. wspomniałem o Grammatyce A. S. Krasińskiego, *że krótkość prawdziwie elementarna* jest największą i jedyną jéj zaletą. Takie o téj Grammatyce powziąłem przekonanie, przejrzawszy tylko pośpiesznie przed ośmią laty piérwsze zapewne jéj wydanie z r. 1840, w księgarni warszawskiéj Zawadzkiego. Teraz, gdy z pilną uwagą przeczytałem całą książeczkę o 78miu str. w niczém nie różniącą się od niegdyś przejrzanéj, umyśliłem o niéj cokolwiek się rozpisać; nie dlatego, żebym ją samą z siebie uważał za wartą szczegółowego rozbioru i osądzenia, ale że ta osobliwsza w swoim rodzaju *Grammatyka dla dzieci*, napozór bardzo dogodna uczącym się i uczącym, jest jakby panującą po domach prywatnych w całéj Litwie, jako téż na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a nawet i w Królestwie Polskiém.

A najprzód w *Przemowie* błędnie powiada autor, że mamy kilkanaście Grammatyk polskich, gdy ich kilkadziesiąt łatwo naliczyć można. Potém wyszczególnia bez ładu ośmnastu zapewne celniejszych u nas grammatyków polskich, z których korzystał, i pomiędzy późniejszemi z nich po Kopczyńskim wymienia nawet Trąbczyńskiego, Szumskiego i Borodzicza, jak gdyby i ci nędzni zbieracze mieli jaką zasługę. Mówi zresztą i słusznie, że trzymał się pisowni podanéj przez Deputacyą Tow. Przyj. Nauk „bo mu się zdawało, *że ta pisownia największą miéć powinna* powagę." Kończy wynurzeniem życzenia, aby dzieci z jego książeczki uczone, *czysto mówiły i pisały po polsku.*

Po takiéj przemowie następuje *Grammatyka krótko zebrana*, w któréj dość przejrzéć umieszczony przy końcu *regestr* czyli spis, aby dostrzedz, co za nieporządek w układzie całego dziełka, zamkniętego bez żadnéj zasady w 4ch rozdziałach, a w każdym z nich oddzielnie liczbowane paragrafy; lubo rozdział 2gi jest rzeczywiście tylko rozwinięciem bardzo niedostatecznem 1go.

Największy zaś nieporządek zachodzi w 3ch piérwszych rozdziałach, a mianowicie:

1. W rozdziale 1szym i 2gim pięć części mowy, jakoto: *imiesłów*, *przyimek*, *przysłówek*, *spojnik* i *wykrzyknik* nie mają osobnych dla

siebie paragrafów, tylko krótka i ryczałtowa o nich wzmianka w § 1szym, rozdziału 1go.

2. W rozdziale 3cim składnia szyku, którąby powinna w grammatyce polskiéj podrzędne i ostatnie miejsce zajmować, umieszczona jest przed składnią zgody i rządu; a składnia rządu zaczyna się, nie wiedzieć jakiém prawem, od niesłychanego rządu wykrzykników, choć te do składu zdania nie należą: poczém tuż zaraz idzie *rząd przyimków*, o którym mówić należało w rozdziale 1szym lub przynajmniéj w 2gim przy wskazaniu, jakie względy oznaczają się przyimkami. Nie wyszczególnił autor tych względów nawet w rozdziale 3cim, a wskazując użycie przyimków czyli rząd ich różnemi przypadkami, nie odróżnił przypadków bezwzględnych od względnych, i ani wspomniał, że przyimek *za* rządzi niekiedy przypadkiem 2gim, przyimek zaś *po* rządzi przypadkiem 3cim, np. *za Stanisława Augusta, po modnemu.* W tak małéj i tak nieporządnie ułożonéj książeczce nie dziw, że zaszły liczne opuszczenia rzeczy ważnych i należących do składu grammatyki nawet początkowéj dla dzieci przeznaczonéj, które opuszczenia tylko w drobnéj części wskazałem. Ale zachodzą tu także i częste powtarzania, a rozdział 2gi nie jest właściwie rozwinięciem, tylko po większéj części jest powtórzeniem rozdziału 1go.

Już w samym wstępie mówi błędnie autor na str. 1széj: „*mowa składa się z myśli i wyrazów.*" Toż samo przy końcu wstępu powtarza: „*z wyrazów i myśli tworzy się mowa.*" Powiada też w przemowie:

„Trzymałem się pisowni podanéj przez Deputacyą Towarzystwa Przyjaciół Nauk; zdawało mi się bowiem, że ta pisownia największą mieć powagę powinna." I znowu na str. 68méj niepotrzebnie wywodząc dzieciom, że pisownia nasza dotąd nie jest jednostajną, tak kończy paragraf 1szy rozdziału 4go, „*Trzymać się więc będziemy zaleconéj przez Deputacyą ortograficzną pisowni.*"

Cóż powiedzieć mam o grubych i niezliczonych błędach, jakie zachodzą w samym wykładzie *Grammatyki polskiéj dla dzieci?* Oto najgrubsze tylko błędy i to nie wszystkie wymienię:

1. Na str. 1széj: „Mowa składa się z *myśli* i *wyrazów.* Jak może mowa składać się z myśli, kiedy często człowiek myślący najwięcéj milczy i odwrotnie.

2. Na téjże str. 1széj: „Głosek w języku naszym jest 25"; tu nienależycie wtrącono *x* do alfabetu czyli abecadła polskiego, a opuszczono samogłoski ściśnione *ó, é,* tudzież nosowe *ą, ę,* i spółgłoski podwójne dla oka, a pojedyncze dla ucha *rz, sz, dz, dź, cz:* nareszcie opuszczono i spółgłoski miękkie *ń, m', ź, ś,* i t. d. (Patrz *Pierwsze zasady Grammatyki polskiéj,* wydane w r. 1838 przez T. S.).

3. Na str. 2giéj: „Z połączenia samogłosek ze spółgłoskami powstają syllaby czyli zgłoski, np. *sen*".

„Zgłoska czyli syllaba, jest połączenie jednéj samogłoski z jedną lub kilką spółgłoskami, np. *ro-dzi-ce.*"

Daléj znowu na téjże str.: „Jedna samogłoska bez spółgłoski może złożyć syllabę, np. *A-zy-a.*" Tu zachodzi sprzeczność z powyższém oznaczeniem zgłoski.

4. Na téjże str. 2giéj i 3ciéj: „Prawidło ogólne czytania polskiego jest takie: *jak się pisze*, tak *się czyta*"; tuż zaraz idą wyjątki od podanego prawidła bardzo niedokładne i nie obejmujące wszystkiego, coby powiedzieć należało. Powiada bowiem autor „*o* kreskowane wymawia się prawie jak *u*, np. *wódz*; *e* kreskowane wymawia się prawie jak *i*, np. *cztéry*, *mléko*; przecinek oznacza, że głos potrzeba przerwać; średnik oznacza, że głos zawiesić potrzeba i t. d.

5. Na str. 4téj: „Zaimek jest część mowy odmienna, która się kładzie zamiast imienia, np. *ja*, *ty*, *on*, *ten*, *który*."

6. Na téjże str. 4téj: „Słowo jest część mowy odmienna, która oznacza zdanie o rzeczy i *stanowi dopełnienie sensu*; np. *jestem*, *czytam*, *uczę się*" i t. d.

7. Na str. 5téj: „Imiesłów jestto przymiotnik pochodzący od słowa; np. *czytający*, *uczący się*, *kochany*" i t. d.

8. „Przyimek jest część mowy nieodmienna, która kładzie się przy imieniu i rządzi przypadkiem; np. *w*, *na*, *bez*, *od*".

9. „Spojnik jest część mowy nieodmienna, która spaja dwa wyrazy *lub dwie myśli*; np. *i*, *lub*, *lecz*, *więc*" i t. d.

10. „Imię rzeczowne jest trojakie: *właściwe*, *pospolite* i *zbiorowe*."

11. Na str. 6téj: „Zbiorowe, które pod jedném nazwiskiem wiele rzeczy zamyka, np. pospólstwo, tłum, zgromadzenie" i t. d.

12. „Imię rzeczowne odmienia się przez liczby i przypadki, a rodzajów ma trzy".

13. „Przypadek jestto odmiana imienia".

14. Na str. 7méj: „Przypadkowanie czyli deklinacya jestto odmiana imion przez rodzaje, liczby i przypadki". Że zaś tu mowa o rzeczownikach, więc podług autora i rzeczowniki odmieniają się przez rodzaje, a odmiana wyraźnie etymologiczna, zachodząca w trzech różnego znaczenia wyrazach *król*, *królowa*, *królestwo* nazywa się przypadkowaniem, kiedy téj odmiany nawet rodzajowaniem nazwać nie można.

15. „Poznaje się, do któréj formy jakie imię należy po rodzaju"; a jednak rzeczowniki rodzaju męzkiego zakończone na *a*, należą w liczbie pojedynczéj do formy 2giéj np. *monarcha*, *dozorca* i t. p.

16. Na str. 11: „Imiona liczbowe są dwojakie, tojest: *kardynalne* czyli *rzeczowne* np. *trzy, pięć, sto* i t. d." a jednak w wyrażeniach *trzem, pięciu, stu* uczniom; albo *trzech, pięciu, stu* uczniów, te liczebniki oczywiście używają się przymiotnie.

Pomijam resztę błędów z rozdziału Igo i z następnych; ale tego pominąć nie mogę, że autor na str. 16, dzieli słowa na *posiłkowe, czynne, nijakie, zaimkowe* i *bierne*, a o nijakich mówi, że nie wyrażają czynności; jednakże słowa nijakie *biegać, latać, tańcować, jeździć, grać, śpiewać* i inne, oczywiście czynność wyrażają. Toż na str. 17 i następnych *tryb warunkowy*, nazywany jest *czasem warunkowym*; na téjże stronnicy wprowadzone są 4 formy czasowania słów na wzór łaciny, a na str. 20 wyrażenia *mam pisać* i *pisać będę* uważają się za jedno i toż samo znaczące.

W rozdziale IIgim błędnie autor uważa za imiesłowy wyrazy: *uczony, ukochany*, odmieniające się przez stopnie, które tu wyraźnie są przymiotnikami, *ukochany*, zamiast *miły*, a *uczony*, zamiast *mający wiele nauki*. Błędnie też na str. 45téj napisano są wyrazy *ciśnij, błyśnij*, zamiast *ciśniéj, błyśniéj*, od *ciśnie, błyśnie*; a na str. 4téj *drę, dartem, drzyj*, zamiast *drzéj* od *drze*. Niepodobna z tegoż rozdziału nie przywieść uwagi umieszczonéj na str. 52éj: „Jest jeszcze nieosobistość na *o* zakończona, która się tworzy z imiesłowu biernego, np. *czytano, pisano, chwalono* i t. d." Jak mogą słowa nieosobiste czynne formować się z imiesłowu biernego? wszak forma czynna jest pierwotną, a bierna pochodną.

W rozdziale IIIcim, na str. 56téj tak jest podane oznaczenie składni: „Składnia jest część grammatyki pokazująca, jak się szykują wyrazy, z czém się każdy wyraz zgadza, lub od czego zależy".

W tym krótkim rozdziale z 5ciu tylko kartek złożonym, wszystkich niedostateczności niepodobna wyliczyć; bo tu więcéj jeszcze jest opuszczeń niż wydrukowanych błędów. Toż samo powiedzieć można i o rozdziale 4tym.

Nareszcie nie mogę pominąć mnogich śmieszności niegrammatycznych w wymawianiu, pisaniu i użyciu wyrazów, któreto śmieszności, zagęszczone na Litwie, nawałem przywodzi autor na str. 52giéj, 53ciéj 4téj i 5téj: *nogie, reńkie*, zamiast *nogę, rękę*; *srebło, szkura, szmarować*, zamiast *srébro, skóra, smarować*; *ja widział*, zamiast *widziałem*; *dwie pytań, dwie ócz*, zamiast *dwa pytania, dwoje oczu*; *un, kóżdy, krolow, panow*, zamiast *on, każdy, królów, panów*; *w ciebie, w niego, w rodziców*, zamiast *u ciebie, u niego, u rodziców*; *świeca* zamiast *świéca*; *aftor* zamiast *autor*. Czemuż tu jeszcze nie zamieszczone wyrazy: *chrapuje, chrapująca*, (*piękność*), używane na Wołyniu zamiast *frapuje*,

frapująca, wyrazy wzięte z francuzkiego, a przekręcone tak dziwacznie przez Wolynianki, nie umiejące po francuzku.

Toż: *znajomoście*, *pieśnie*, zamiast *znajomości*, *pieśni*; *poszłem*, *poszedła*, *poszedliśmy*, zamiast *poszedłem*, *poszła*, *poszliśmy*; *uczuciów*, *skłonnościów*, zamiast *uczuć*, *skłonności*; *ta piec*, zamiast *ten piec*; *stanęłem*, *zaczęłem*, zamiast *stanąłem*; *prosił*, *gdyby zrobiłem*, zamiast *abym zrobił*; *gorońco*, zamiast *gorąco*; *więc*, zamiast *więc*; *rzekoma*, *sanioma*, zamiast *rzekami*, *saniami*; *odać*, *niewiność*, zamiast *oddać*, *niewinność*; *szósta biwszy*, zamiast *gdy szósta wybiła* albo *wybije*; *on przyjechawszy*, zamiast *gdy on przyjechał*. Czy autor powinien był przywodzić tyle błędów wymawiania i pisania, nader rzadko się pojawiających w okolicach Wilna, pomiędzy wyższą gawiedzią.

Warto się teraz zastanowić: zkąd poszło, iż *Grammatyka polska dla dzieci* tak niedostateczna i tylą przepełniona błędami, przez dziesięć lat najszczęśliwsze miała powodzenie, gdy żaden nawet z uczących i uczonych nie odezwał się o niéj w naszych pismach peryodycznych, które tylko powtarzały jedne po drugich doniesienie czysto-księgarskie o jéj wydaniu. Pewnie ta mała książeczka, chociaż wcale nie odpowiadająca swojemu celowi i przeznaczeniu, kilkakrotnie ze wszystkiemi swojemi błędami została jak najstaranniéj przedrukowaną; pewnie tysiącami exemplarzy rozeszła się po domach prywatnych, a przezorny księgarz-wydawca nawet nie wystąpił z jéj pochwałą, wypłaciwszy słynnemu teologowi i kaznodziei zaledwo koszta przepisywania, aby przez niewczesną pochwałę nie wywołał samochcąc rozbioru i osądzenia dziełka, przynoszącego mu niemałą korzyść. Nie śmiem tu przypisywać żadnéj innéj winy szanownemu autorowi, chyba tylko, że przez dziesięć lat sam swoich błędów nie dostrzegł i nie poprawił w ostatniém wydaniu. Ale wielką jest wina uczących, że nie rozważyli pierwéj, a może nawet nie odczytali tak małéj książeczki, z któréj uczyć mają; czego zapewne była przyczyną albo ich dobroduszność ślepo przyjmująca wszystko za dobre co wydrukowane, albo pewniéj bezsumienna obojętność i niedbalstwo w rozczytywaniu innych grammatyk obszerniejszych, a nie zasianych tylą i tak rażącemi błędami. Błędy to przejął niewątpliwie autor od Szumskiego i Borodzicza, których z dorywczego tylko przejrzenia za nędznych zbieraczów, a gdzieniegdzie za nieudolnych nowatorów osądziłem. Czemuż raczéj z większą uwagą i starannością nie poradził się Jakubowicza, który lubo sam od zarzutu nie wolny, wiele jednak błędów Kopczyńskiego wyświecił i poprawił. Czemu się nie poradził uczonego Muczkowskiego, którego obszerna i na elementarną zanadto drobiazgowa, a jeszcze do tego mnó-

stwem podziałów przyćmiona grammatyka, chociaż się nie odznacza czystym i jasnym wykładem, jest przecież prawdziwą skarbnicą gruntownych postrzeżeń i uwag, wielce ważnych dla zamierzającego pisać nową grammatykę polską lub pisać grammatycznie po polsku w jakimkolwiek przedmiocie. Z tak szacownego i w 3ciém wydaniu znacznie już poprawionego dzieła, bardzo wiele korzystał niespracowany nowator D. Łazowski, a po nim zapewne i Suchecki; przed niemi zaś ja sam, z wdzięcznością tu wyznaję, w układzie mojéj grammatyki do użytku szkolnego zastosowanéj, o ile tylko mogłem, korzystałem.

Niechaj nikt nie sądzi, że występując po tyle już razy i z taką otwartością przeciwko nowszym grammatykom, staję ubocznie we własnéj sprawie, i chcę bronić dokonanego przez siebie dzieła, które mi przeszło dziesięć lat pracy najmozolniejszéj i troskliwych poszukiwań zabrało, a nie ustaliło się jeszcze dotąd po naukowych zakładach; chętniebym raczéj ustąpił drugim zasłużonego pierwszeństwa, niżelibym miał dochodzić do jakiéj wziętości, po czyich ruinach. Aby odwrócić od siebie podobne posądzenie, odwołuję się w téj mierze do uznania samychże moich czytelników, którzy nigdzie w wydanych przezemnie recenzyach nie znajdą bezdowodnych zarzutów ani potępiających ogólników, ale zawsze obok szczegółowych zarzutów, znajdą tuż zaraz i dowody, wzięte z dzieł osądzonych.

T. Sierociński.

Świat zastosowany do pojęcia młodzieży. Warszawa. 1850 *rok. Zeszytów* 6.

Często słyszéć można utrzymujących, że zbytnie zamiłowanie młodzieży w umiejętnościach fizycznych, wpływając na zmianę właściwych wiekowi młodemu pojęć, wzbudza wyłączny jeden kierunek, działa na wygaszenie popędu do sztuk pięknych, poezyi, a nawet uczuć religijnych. Nie rozbierając szczegołowo tego ważnego pytania, sądzimy, że wczesne zamiłowanie i upowszechnienie wiadomości z nauk fizycznych, tyle ważnych późniéj, dla wyrobienia znośnego materyalnego bytu i postępu oświecenia, nie pociąga za sobą wymienionych skutków; że przeciwnie, obojętność dla tych umiejętności, czyli jednostronne kształcenie młodzi na naukach, zwanych humaniora, jako niezgodne z naszém usposobieniem, dążnością wieku, bez zaprzeczenia w umysłach młodych, niezdolnych jeszcze pojąć ich znaczenia, większe szkody przynieść jest w stanie. Nauki fizyczne wykrywając całą wielkość i strojność budowy świata i pojedynczego stworzenia, zwracając uwagę na to, co jest prawdziwie pięknem, bo naturalném, nietylko wzbogacają umysł licznemi pożytecznemi

wiadomościami, lecz pomimowolnie wpływają na obudzenie uczucia piękności, i zamiast zarzucanego zobojętniania uczuć, nasuwając ciągle myśl o Stwórcy, uczą go kochać i wielbić Jego mądrość.

Lecz aby ten cel przez nauczanie umiejętności fizycznych mógł być osiągniętym, potrzeba, aby dzieło traktujące te nauki dla młodzieży, oprócz innych pedagogicznych warunków, nie spuszczało nigdy z widoku dążności moralno-estetycznéj. Autor przy wiadomościach zbogacających umysł, winien kształcić serce.

Można także słyszéć zarzut, iż tych nauk, popularnie, prawie niepodobna traktować, i że te umiejętności winny zawsze pozostać wyłączną należnością małéj liczby osób, które postępując systematycznie za kursami, są w stanie pojąć i zgłębiać wszelkie ich trudności, i dlatego przy wychowywaniu początkowém młodzieży zupełnie je zaniechać wypada. Nie należymy do bezwarunkowych stronników podobnego mniemania, bo przekonani jesteśmy, że przy tylu licznych zastosowaniach, potrzeba w ogólném pierwotném kształceniu młodzieży, podawać zasady wielu prawd, które się już zespoliły z praktyczném życiem. Lecz w tém należy być ostrożnym: lepiéj wcale nie mówić w dziełach ku temu celowi o przedmiotach, których mniéj więcéj zrozumiale skreślić nie jesteśmy w stanie, aniżeli tylko bardzo powierzchownie o nich nadmieniać. Takie dzieła niekoniecznie wszystko, co nauka zawiera, w swym planie obejmować winny; przy ich pisaniu cała trudność, pominąwszy zajmujący wykład, polega na stosownym wyborze przedmiotów.

Z takiém usposobieniem (a może ktoś nazwie uprzedzeniem), czytamy dość licznie u nas wychodzące dla młodzieży dzieła z nauk przyrodzonych. Szanując szczere chęci i poświęcenie się autorów wyznajemy jednak, że te dzieła po większéj części grzeszą zbytnią pretensyą, nowatorstwem w podobnych traktatach zupełnie bezpożyteczném a nawet szkodliwém, zbyt drobiazgowemi, a więc niepedagogicznemi podziałami, jako też wyłącznym naukowym kierunkiem, z zapomnieniem, że i imaginacya młodzieży wymaga stosownego uprawiania i podsycania. Z tych wszystkich dzieł świeżowyszłe: „Świat zastosowany do pojęcia młodzieży", zdaje się jedynie odpowiadać swemu celowi tak dążnością moralną, zajmującym sposobem obrobienia, trafnym wyborem przedmiotu, a wkońcu pięknością języka. Zakres i plan jego jest następny:

Po wstępie, następują rozdziały o ziemi, jéj kształcie, podania narodów o sposobie zawieszenia jéj w przestrzeni, historya odkrycia kulistości ziemi; o gwiazdach i słońcu, gdzie za pomocą porównań autor przystępuje do dania pojęcia wielkości wszechświata. W końcu jest ustęp o świecie słonecznym. Cała ta część astronomiczna wyłożoną jest nad podziw jasno i przystępnie dla dzieci, i może służyć za dowód, jakim sposobem wiek młodociany, chciwy wiadomości, przy pożytecznéj nauce może kształcić swe czucie i serce. Nie pojmujemy tylko, dlaczego autor szanowny, nic swym rodakom nie wspomniał o Koperniku, i o przodku tyle sławnym jednym prawie wyrazem nadmienił; a tu właśnie była sposobność na swojskim przykładzie stawić młodzieży wzór poświęcenia się i wyrzeczenia się świata w celu oddania się Bogu i nauce, wielbienia Stwórcy przez rozważanie dzieł Jego. Tém bardziéj to dla nas jest nie-

pojętém, że poniżéj znajdujemy wizerunki i krótkie zarysy życia ludzi mniéj sławnych i mniéj dla nas drogich, jakiemi są Galileusz, Franklin i t. d.

W następnym zeszycie jest opis ciał nieważkich, które, stosownie do nazwy, każe autor poczytywać za materye ciężkie, które dotąd nie zdołano zważyć. Zgodzi się autor, że podobny sposób zapatrywania dziś jest zaniechanym, jakkolwiek nazwy płynów zostawiono dla analogii i łatwości tłumaczenia. Podanie młodzieży pojęcia jakie teraz przyjmuje nauka, jest trudne a nawet niepodobne; dlatego mniemamy, że najstosowniéj w dziełach podobnego celu, opisywać i przytaczać fakta, a wcale w oznaczanie przyczyn takich, jakiemi są elektryczność, magnetyzm, światło i t. d. wchodzić nie ma potrzeby. Pominąwszy to, wyznać należy, że autor umiał zrobić stosowny wybór z ogromu téj nauki: wziął to, co prawdziwie jest niezbędném dla młodzieńca, i przedstawił w formie jasnéj, zajmującéj i poparł szczęśliwie dobranemi porównaniami.

Po wiadomościach z fizyki następuje zoologia (tylko o zwierzętach ssących), przedmiot który w tych czasach kilku zajmował pisarzy. Unikając systematycznych i drobiazgowych podziałów, niebardzo stosownych w dziełach, gdzie czytelnik ani stopniowania cech dokładnie pojąć, ani całego systematu ogarnąć nie jest w stanie, i przez co tylko zamiast porządku, w głowach młodzieży zamęt się wprowadza; unikając przytaczania cech ujemnych, jak to niektórzy czynią, autor po prostu przechodzi ważniejsze rodzaje w porządku systematycznym, mało zastanawia się nad cechami a natomiast obszerniéj mówi o zmyślności, instynkcie zwierząt; przyczém używa sposobu obrazowania, cytując wyciągi z podróży, zdarzenia zastosowane do pojęcia dzieci: np. o głupocie barana, dzikości wołu, zmyślności kozła, wydrze Paska i t. d., a w końcu nie szczędzi ustępów poetycznych naszych wieszczów.—Jako pomoc dla młodéj wyobraźni, posiłkuje się drzeworytami znanemi z dawniejszych u nas publikacyj, lecz tu stosownie umieszczanemi.

Na tém się kończy zeszyt szósty i ostatni, nie wiadomo bowiem, czy wspomnione dzieło daléj wychodzić będzie; jakkolwiek nieznany autor i nakładca prawdziwą przysługę wyświadczyliby młodéj generacyi, nie szczędząc piérwszy pracy, a drugi kosztów na dokończenie tego pięknego dzieła.

S. P.

ROZMAITOSCI.

SPRAWOZDANIE

Z OBROTU HANDLU ZBOŻOWEGO, DRZEWNEGO, TUDZIEŻ INNYCH PŁODÓW W r. 1850.

Port gdański.

W roku 1850 przybyło do Gdańska łasztów 60-szeflowych:

	Pszeni.	Żyta	Jęcz.	Gro.	Owsa	Sie. l.	Rzc.
z Królestwa Polskiego i Wołynia,	19,921	—	—	14	—	487	—
z prow. pruskiéj wodą.	17,608	5,402	3,221	1,902	1,150	282	756
„ „ na kołach; w zbliżeniu	4,000	3,000	2,200	800	250	„	450
Razem	41,529	8,402	5,421	2,716	1,400	769	1,206
Dowóz w r. 1849 był.	27,983	7,086	4,269	1,480	400	95	1,370

W ciągu całéj handlowéj kampanii, port gdański wysłał łasztów 56 1/2 szefl.

	Pszeni.	Żyta	Jęcz.	Owsa	Gro.	Sie. l.	Rze
do Anglii, Szkocyi i Irlandyi . . .	32,222	701	4,010	191	2,588	198	18
Francyi	82	—	—	—	—	—	—
Belgii	—	—	—	—	—	312	—
Holandyi	4,279	1,804	33	—	112	123	—
Wysp Jersey i Gersey	470	—	—	—	—	—	—
Norwegii i Danii	83	3,203	25	—	09	—	—
portów niemieckich	—	444	—	—	1	—	—
Razem	37,136	6,152	4068	191	2,770	633	18
Wywóz w r. 1849 wynosił	28,397	2043	2,899	100	1,310	400	249

Po 31 grudnia 1850 zostało na śpichrzach gdańskich:

Łasztów 60-szefl.	Pszen.	Żyta	Jęcz.	Groch.	Owsa	Siem. ln.	Rzep.
	17,853	2,976	299	214	23	112	437
Po 31 grud. 1849 było w śpich.	10,901	3,970	300	247	47	90	190

Za piękną bużną, sandomierską i lubelską pszenicę, płacono łaszt od 145 do 155 tal. Średnie gatunki przynosiły 135 do 140 tal., niższe utrzymywały się od 128 do 130, a kilka najpiękniejszych bużnych partyj, otrzymały wyjątkowie 160 do 163 tal. za łaszt. Pszenica świeża ze zbioru 1850 r. daleko niższą dla słabéj wagi i gatunku

przynosiła cenę, bo za najlepsze ziarno płacono 140, za średnie 120, a za gorsze około 110 tal. za łaszt.

Żyto w ciągu lata utrzymywało się od 55 do 60 tal.; przy żniwach cena podniosła się do 70, 75, a wyjątkowo 80 tal.; w końcu roku notowano około 70 tal. za łaszt.

Jęczmień z wiosny płacono od 40 do 55 tal. W środku lata ceny doszły od 48 do 57 tal. i w téj pozycyi dotąd się utrzymują.

Owies z wyjątkiem krótkiego peryodu wielkich potrzeb dla wojska, został przy średniéj cenie od 35 do 44 tal. za łaszt.

Przed zbiorem, ceny grochu stały na 60 tal., w skutek złych wiadomości z Anglii, podniosły się do 70, 75, 80, a wyjątkowo i 90 tal., lecz późniéj zeszły do 70 i 75 tal. za łaszt.

Siemię lniane utrzymywało się między 120 a 140 tal., a ryps i rzepak notowano od 155 do 180 t. za łaszt.

Mięso. Zabito na wywóz 8,524 wieprzów (w roku 1849, sztuk 4,450) i wysłano do Anglii 8,600 wędzonych szynek, 300 centnarów smalcu, i 10,623 cent. solonego mięsa. Ceny surowéj wieprzowiny do solenia, 13 pol. gr. za funt notować można.

Drzewo. Handel drzewny w upłynionym roku w ogólności był ożywiony, i towar dobry, korzystnie dawał się realizować. Przy czynnym wywozie zapasy gdańskie się zmniejszyły, jak to z następujących liczb można widzieć:

	Belek			Dylów	Krzywek	
	Kantak.	Murlat.	okrąg.	dębow.	belek dęb.	klep. kop.
zostaje na składzie w 1851	87,540	42,350	47,784	28,133	7,908	2,218
zostawało w 1850 roku	108,003	92,547	55,158	40,443	—	4,038

Kantaki sosnowe z wiosny płacono 4 do $4\frac{2}{3}$ s. gr. za stopę kubiczną angielską w partyach złożonych z $\frac{2}{3}$ części ordynaryjnéj, a $\frac{1}{3}$ dobréj średniéj klassy. W jesieni żądanie było większe, i ceny się podniosły. Za najlepszą średnią klassę (best-mittel) zapłacono do 8 sr. gr. za stopę kubiczną dla braku dowozów.

Murłaty od 7 do 10 cali w kant, nie były poszukiwane. Ceny zostały od $3\frac{1}{2}$ do 4 sr. gr. za stopę kubiczną.

Okrągłe sosnowe belki, nader chętnych znajdowały kupców po 5, 6 do 10 i 12 tal. za sztukę. Partya jedna z 1,200 sztuk, między któremi było wiele masztów, szpirów i korony, przyniosła 28 do 30 tal. sztuka w sztukę. Braki płacono 3, 4 i 5 tal. Zapas okrągłego drzewa jest w Gdańsku mały, a potrzeba wielka.

Sosnowe długie dyle. Ten artykuł do Anglii, Francyi, Hiszpanii, na potrzeby wojennéj marynarki bardzo był poszukiwany. Za sztukę korony 3 cale grub. 40 stóp długości, płacono 5 do 6 tal. Druga

klassa (Krohn Brach) w powyższych rozmiarach, $2^2/_3$ do 3 tal. wynosiła.

Krótkie sosnowe dyle płacono: 3 cale grube, 18 stóp długie, korona $2^1/_3$ do $2^1/_2$ sr. gr. za biegącą stopę. Korona brak $1^1/_2$ do $1^3/_4$ sr. gr.; ale przed zamknięciem żeglugi, artykuł ten zupełnie wyczerpany został.

Sosnowe dyle cienkie płacono: korona półtora calówki 1 sr. gr., druga klassa $^2/_3$ sr. gr. za biegącą stopę. Calówki korona $^2/_3$ sr. gr., druga klassa $^1/_2$ sr. gr. za biegącą stopę.

Na poprzeczniki do kolei żelaznéj niéma żądania; zapas jednak tutejszy powoli się zmniejsza.

Kantaki jodłowe nie miały kupców; nominalne ceny 4 sr. gr. za stopę kubiczną.

Modrzewiowe drzewo: 3,100 belek przeznaczonych do Anglii; cena od 10 do 12 sr. gr. za stopę kubiczną w Gdańsku.

Dyle dębowe bardzo poszukiwane, a kopa korony (720 stóp kubicznych) przyniosła od 1,000 do 1,150 tal., ale i po tych wysokich cenach, dla niedostatku towaru, rozkazy angielskie, francuzkie i hiszpańskie nie zostały w zupełności wykonane. Belki dębowe proste i krzywki, stosownie do gatunku przyniosły od 10 do 30 sr. gr. za stopę kubiczną.

Klepka pipówka, w upłynionym roku podniosła się do 28, 30 tal., a nawet w niektórych razach doszła 33 tal. za kopę (60 sztuk). Inne rozmiary klepki, w przyjętéj proporcyi znajdowały kupców.

Handel drzewa, z wyjątkiem poprzeczników do kolei żelaznéj, korzystniejszy wziął kierunek. Przy wyższych cenach, zapasy tak w Gdańsku, jak w Memlu i Szczecinie znacznie się zmniejszyły, co dobre dla gałęzi téj płodów krajowych na rok 1851 otwiéra nadzieje; tém więcéj, że rząd angielski zamierza zniżyć do połowy cło na drzewo zagraniczne. Od każdych więc 50 stóp kubicznych (load) drzewa piłowanego, cło angielskie nadal będzie tylko 10 szylingów (zamiast 20), a od tyluż stóp drzewa ociosanego $7^1/_2$ szylin. (zamiast 15). Klepka dębowa w przyjętych rozmiarach, bez żadnego cła, jak i dawniéj.

Nie mamy potrzeby rozszerzać się, że zniżona w Anglii przez zmniejszenie podatku wartość drzewa, powiększy znacznie jego konsumcyą, i że budulec, jako towar łatwiejszy znajdzie przystęp i odbyt.

Port królewiecki.

Tegoroczny handlowy obrót królewieckiego portu, we wszystkich gałęziach nader znaczne przybrał proporcye.

Oto jest wyszczególnienie wywozu zboża:

	Pszen.	Żyta	Jęczm.	Owsa	Wyki groch. i bob.	Lnu cent.	Pieńki	Siemienia lnia. i rze.
w r. 1850	11,328	28,311	5,055	1,804	6,256	29,192	3,072	5,101
w r. 1849	6,512	5,016	2,708	4,192	3,871	31,708	2,889	3,271

W dostawach bieżącego roku, prowincye litewskie dostarczyły łasztów pszenicy 2,700, żyta 10,947, jęczmienia 507, owsa 60, grochu, bobu i wyki 337, nasienia lnianego cent. 239,278, konopnego cent. 1854, rzepakowego 2,148, lnu i pieńki cent. 92,068, skór surowych 976, smoły cent. 8,253, potażu beczek 342, wełny cent. 294, opałowego drzewa sążni 6,028, budulcu, murłatów, desek i dylów 174,036 sztuk.

Ceny średnie za pszenicę były od 110 do 150 tal., żyto od 54 do 70 tal., jęczmień od 52 do 55 tal., owies od 37 do 39 tal., groch od 82 do 103 tal., bób i wyka od 66 do 75 tal., siemię lniane i rzepakowe od 92 do 142 tal., lnu piérwszy gatunek od $6^2/_3$ do 11 tal. za cent., drugi gatunek od $4^1/_2$ tal. do 6 tal. cent., pieńki piérwszy gatunek od 9 do 12 tal. za cent., pieńki drugi gatunek od $5^1/_2$ do $8^1/_2$ tal. za pruski centnar.

Port memelski.

Bardzo ograniczony miał w tym roku obrót zbożem. W całéj kampanii wysłał:

pszenicy łasztów	491	Zostało na spichrzach łaszt.	116
żyta	9,122	—	1,597
jęczmienia	997	—	82
owsa	660	—	170
grochu	223	—	34
siemienia lnian. .	9,456	—	860
lnu 1° gat. cent.	170,335	cent.	6,206
— 2° — —	10,099	—	2,399
pieńki	138	—	686
siem. lo. na siew beczek	1,577	—	—
skór surow. ciel.	287,085	—	—
— — koz.	5,300	—	—

Co do drzewa, obrót był znaczny i po lepszych cenach. Wyexpedyowano w ciągu roku:

belek sosnowych	103,029	lipowych desek	1,037
desek —	327,676	jesionowych belek	37
dylów —	510,796	dębow. belek i ball	7,108
poprzecz. drogi żelaz.	30,827	— desek	905
masztów i spirów	563	klepki lipowéj kop	16,461
jodłowych belek	223	— wódczanéj	1,883
— desek	2,584	— okseftowéj	3,222
— dylów	26,907	— beczkowéj	4,609

Drobnego drzewa nie umieszczamy.

Port odeski.

W roku 1850 wywiózł:

pszenicy łasztów	99,148	wartości rubli śréb.		11,178,335
siem. lnian. —	3,460	— — —		454,758
wełny cent. angiel.	72,881	wartości rubli śréb.		3,517,146
łoju — —	45,056	— — —		586,483

Zostało na spichrzach pszenicy łasztów 40,728
żyta — 1,993
owsa — 2,743
siem. lnian. — 1,372

A zatém port odeski z nader obfitego zbioru 1849 r. wysłał $2\frac{1}{2}$ razy tyle co Gdańsk pszenicy, i w téjże saméj proporcyi zapas na spichrzach posiada. Winniśmy zwrócić uwagę, że wywóz odeski w r. 1851 bardzo się zmniejszy, z przyczyny nieurodzaju w wielu częściach Podola, Wołynia i Ukrainy.

W okólnikach ogłaszających założenie domu naszego, tudzież w sprawozdaniu z obrotu handlu zbożowego w 1849 roku, objawiliśmy przekonanie nasze:

1° Że przy wolnym handlu zbożowym, ceny na średniéj utrzymywać się będą stopie, i że zmiany cen nie będą miały miejsca, chyba w razie nieurodzaju.

2° Że spekulacya zbożowa koniecznie upaść musi.

Przepowiedzenie nasze pod każdym względem się sprawdziło, jak to w kilku słowach okazać możemy.

W początkach 1850 r. ogólne było mniemanie, że ceny pszenicy podnieść się muszą; raz dlatego, że zbiór kartofli w r. 1849 w całéj Anglii został dotknięty chorobą, a powtóre, że wartość targowa pszenicy nie pokrywała wysokiéj dzierżawy i kosztów gospodarstwa. Stało się wszakże inaczéj. Targi uciśnione dowozami zagranicznemi, oraz obfitością ziarna krajowego, coraz się uchylały, pomimo nader zimnéj i opóźnionéj wiosny. Silne, a w Anglii niesłychane przymrozki w maju, wywołały obawę o stan zasiewów, w skutek czego ceny podniosły się o 5 szyl. na kwarterze (50 guld. na łaszcie). Po przekonaniu się jednak, że materyalnéj nie było szkody, targi się natychmiast cofnęły, i dopiéro w czerwcu w czasie kwitnienia i zawiązania ziarna pszenicy, przymrozki, oraz gwałtowne wiatry dały powód do małego ożywienia handlu, co również niedługo trwało. Przy końcu lipca i w początkach sierpnia, panujące deszcze nietylko przerywały żniwa, ale zagrażały zniszczeniem całego zbioru. Znowu więc o parę szylingów na kwarterze ceny

poszły w górę, lecz po sprzątnięciu z pola, zaraz do dawnego wróciły stanu; a chociaż zbiór angielski 1850 roku bez żadnéj wątpliwości okazał się szczupłym co do ilości, a lichym co do gatunku, zbiory zaś całéj Europy uważano niżéj średnich, ceny jednak bez przerwy ku zniżeniu dążyły, tak, że coroczne przecięcie cen pszenicy w Anglii, zeszło na 40 szyl. 4 den. za kwarter, wtenczas, kiedy przecięcie 44 sz. 6 den. z roku 1849, zdawało się już ceną najniższą, i całe rolnictwo do ruiny prowadzącą.

Oto jest krótkie opisanie pozycyi targów zbożowych w r. 1850, które tylko pod wpływem nieprzyjaznych warunków temperatury, wychodziły chwilowo z odrętwienia, a ze zmianą pogody, natychmiast do dawnéj stagnacyi wracały. Trzeba zatém przejąć się tą dziś zaprzeczeniu ulegać niemogącą prawdą, że targ otwarty dla całego świata zawsze zaopatrzony zostanie, a ceny tylko w razie ogólnego nieurodzaju wysoko pójść mogą: bo cząstkowy upadek krajowych lub zagranicznych zbiorów, stanowczego na handel nie wywrze wpływu, jak o tém w dwóch ostatnich latach, dotykalne mieliśmy przekonanie.

Pod opieką ruchomej lub zabronnéj taryfy, spekulacya otwarte miała pole do zysku, a bogaci i praktyczni kupcy wiedzieli kiedy, gdzie i jak zapasy zboża gromadzić, i potém przy zręczności świetnie realizować. Dziś operacye tego rodzaju są niepodobne, a nawet nie miałyby celu. Na co bowiem Anglikom wcześnie po rozmaitych portach kupować pszenicę, kiedy ta nad potrzeby konsumcyi sama się do Anglii wciska, a konkurencya, nie już jak dawniéj bywało, między kupującemi, lecz tylko między sprzedającemi istnieje, bo każdy stara się pozbyć towaru z najmniejszym zyskiem, a często nawet i z małą stratą, byle spichrzowania uniknąć.

Anglia jest dziś jedynym krajem na świecie, niemogącym się wyżywić własnemi ziemnemi płodami, i corocznie potrzebującym wprowadzać wielkie massy zagranicznéj pszenicy. Trudno jest bardzo z niejaką dokładnością ocenić konsumcyą lub produkcyą tak wielkiego i zamożnego kraju; winniśmy jednak czytelnikom przytoczyć z najlepszych źródeł czerpane liczby i fakta, aby choć zbliżone dać wyobrażenie o potrzebach i środkach Wielkiéj Brytanii w gałęzi zbożowéj.

Oto jest tabela pszenicy i mąki pszennéj, w ciągu ostatnich 20 lat do Anglii wprowadzonych. Obok dowozu kładziemy średnie angielskie ceny pszenicy z całego roku, a w ostatniéj kolumnie zamieszczamy średnie ceny we Francyi, redukując je dla jasności do miary i monety angielskiéj. W cenach angielskich sięgamy roku 1800.

Lata	Ilość pszenicy zagranicznej, wprowadzonéj do Anglii w kwarterach	Ilość mąki zagranicznéj wprowadzonéj do Anglii w centnarach	Średnia całoroczna cena pszenicy w Anglii za kwarter szyl.	pen.	Średnia całoroczna cena pszenicy we Francyi, redukując do kwarterów i szylingów szyl.	pen.
1800	—	—	110	5	—	—
1805	—	—	87	1	—	—
1810	—	—	103	3	—	—
1815	—	—	63	8	—	—
1820	—	—	67	11	—	—
1825	283,236	94,348	68	7	—	—
1830	1,414,262	560.249	64	3	51	11
1831	1,857,278	627,742	66	4	53	3
2	405,884	224,668	58	8	50	8
3	247,625	170,092	52	11	38	6
4	131,566	149,554	46	2	35	4
5	46.530	84,684	39	4	35	4
6	162,778	279,602	48	9	40	2
7	432,369	346.325	55	10	43	—
8	1,240,138	439,910	64	4	45	8
9	2,638,593	793,606	70	6	51	4
1840	1,995,153	1,552,697	66	4	50	8
1	2,409,754	1,275.656	64	5	43	—
2	2,722,305	1,151,827	57	5	45	4
3	932,866	440,955	50	2	47	5
4	1,097,963	987,744	51	3	45	10
5	844.533	924,256	50	9	45	10
6	1,437,336	3,363,810	54	9	55	9
7	2,650.058	8,637,377	69	5	67	4
8	2,477,366	1,731,974	50	6	38	7
9	4,507,626	3,778.435	44	6	36	6
1850	3,936,514	3,858,332	40	4	33	—

Ale Anglia nie saméj tylko pszenicy potrzebuje. Rozmaitego rodzaju ziarno i mąka znajduje tam przystęp i odbyt.

Oto jest stan urzędowy dowozu zagranicznego do całéj Wielkiéj Brytanii:

	W roku 1849	W roku 1850
Pszenicy kwarterów	4,507,626	3,778,435
Jęczmienia »	1,554.860	1,042.801
Owsa »	1,368.673	1,167.177
Żyta »	256,308	94.078
Grochu »	285.487	182,559
Bobu »	485.430	449,493
Kukurydzy »	2,249,570	1,286,281
Gryki »	308	296
Różnych »	1,749	571
Razem	10,710,011	8,001,691

	W roku 1849	W roku 1850
Mąki pszennéj centnarów	3,936,514	3,858,332
„ jęczmiennéj „	224	106
„ owsianéj „	40,055	5,839
„ żytniéj „	24,735	960
„ grochowéj „	300	66
„ bobowéj „	2	—
„ kukurydzowéj „	102,181	11,401
„ gryczanéj „	1,095	96
Mąki razem centnarów	4,105,106	3,876,806

Redukując wszystko na kwartery,
cały dowóz zagraniczny w r. 1849 był 11,882,898
w r. 1850 „ 9,109,340
w r. 1850 mniéj 2,773,558 kwart.;

co jest skutkiem obfitości zbioru 1849, w porównaniu ze zbiorem 1848 roku.

Z tego, co poprzedza, daliśmy wyobrażenie o ilości zboża zagranicznego, potrzeby Anglii zasilającego. Zastanówmy się w krótkości nad produkcyą tego kraju.

Podług opinii poważnych ekonomistów, a szczególniéj opierając się na raportach komitetu, na ten cel przez parlament wyznaczonego, przyjąć można: że Anglia, Szkocya i Irlandya, razem wzięte, obsiewają rocznie pszenicą 6 milionów akrów (akr równy jest 217 prętom kwadratowym polskim), a na każdym akrze w przecięciu, zbierają 26 buszli ($8\frac{1}{3}$ korcy warsz.). Co w zwyczajnych latach, biorąc okrągłe liczby, wydaje około 20 milionów kwarterów (2 miliony łasztów) pszenicy. W latach obfitego urodzaju, jak np. w 1849, zbiór Anglii mógł być 10 do 15% wyższym, i dojść do 22 albo 23 milionów kwarterów. W roku zaś mało urodzajnym, jak np. 1850, zbiór należy szacować 10 do 15% niżéj średniego, tojest od 17 do 18 milionów kwarterów.

Sąto dane zbliżone, od prawdy jednak nie odległe; a o ile na ich nieomylności opierać by się można, Anglia w $18^{50}/_{51}$ roku, 5 milionów kwarterów, 500,000 łasztów więcéj, niż w roku $18^{49}/_{50}$ zagranicznego ziarna potrzebować by musiała.

Zobaczmy bliżéj źródła ważniejsze, z których i zwyczajne około 1 miliona łasztów potrzeby, i nadzwyczajny z nieurodzaju 1850 roku pochodzący deficyt Anglia zaspokoić potrafi.

Francya przed rokiem 1846 nie zbierała dosyć zboża na własne wyżywienie, i w zwyczajnych latach 17 dni kupnym chlebem żyć

musiała. Ogromne ceny, wywołane nieurodzajem 1846 roku, zachęciły tamecznych rolników do staranniejszego gospodarstwa, a przy dostatecznych kapitałach, żyznéj roli, oraz klimacie ułatwiającym 10 miesięczną wegetacyą, już w roku 1848 Francya mogła wysłać za granicę 1,994,310 centnarów mąki i pszenicy; w roku 1849 wywóz podniósł się do 2,903421 centnarów, a w r. 1850 przeszedł 4 miliony centnarów. Jestto zadziwiający i może nieznany fakt w dziejach gospodarczych, żeby kraj wielki, ludny, w trzyletnim peryodzie z przywozowego, stał się wywozowym.

Podług urzędowych liczb, udzielonych przez konsulat, Francya w rozmaitego rodzaju ziarnie:

	wprowadziła wartości	wywiozła wartości
w roku 1840	61,000,000 fr.	22,000,000 fr.
44	86,000,000 „	38,000,000 „
46	133,000,000 „	41,000,000 „
49	17,000,000 „	71,000,000 „

Cyfry z bieżącego roku jeszcze większą przewagę na stronę wywozu okażą. Wprawdzie położenie Francyi do handlu zbożowego z Anglią bardzo jest szczęśliwe: fracht i assekuracya małe, nawigacya cały rok otwarta, a na hasło najmniejszéj poprawy, okręty z portów francuzkich w kilkanaście godzin stają na Tamizie, co właśnie handel mąką w workach robi możliwym i łatwym, i co jest powodem, że mąka francuzka od angielskiéj piękniejsza, wciska się już na wszystkie bez wyjątku Wielkiéj Brytanii targi.

Ameryka, podobnież przed 1845 rokiem wcale prawie pszenicy do Europy nie wysyłało, zaledwo zbiérając dosyć na obfite wyżywienie powiększającéj się w ogromnych proporcyach ludności.

Oto jest urzędowy obraz produkcyi, wywozu i wartości zbiorów zbożowych w Ameryce od 1845 roku:

	Cały zbiór pszenicy w Stanach Zjednoczonych wynosił kwarterów	Ilość wyexportowanych w kwarterach	Średnia cena kwarteru w dolarach dol.	cent.	Wartość w dolarach całego zbioru
1845	13,318,500	95,733	0	56	87,375,360
6	14,650,350	1,632,647	8	32	121,800,912
7	14,280,685	3,289,054	11	02	159,743,700
8	15,795,575	1,703,959	10	04	164,272,986
9	16,090,000	1,520,950	9	20	148,028,000

Wartość dolara jest około 9 złotych polskich.

Musimy tu zwrócić uwagę na szczególny fenomen przedstawiający się z liczb powyższych, tojest, że lubo produkcya zboża zwolna postępuje, a exportacya (z wyjątkiem 1847) w jednostajnych zostaje

granicach, średnie ceny zboża podnoszą się tak, że 13 milionów kwarterów w 1845 warte były 87 milionów, a 13 milionów kwarterów w 1848, podniosły się do 164 milionów dolarów, co najdotykalniéj wzrost bogactwa krajowego w Stanach Zjednoczonych poświadcza.

Okazuje się z tego co poprzedza, że Ameryka w przecięciu nad 150,000 łasztów pszenicy i mąki nie dostawia, i że na ceny dzisiejsze, wywóz nie powiększy się. Gdyby jednakże w Anglii ceny stałe miały się podnieść, odleglejsze prowincye Ameryki przyjdą z produktami, a przy ogromnych kapitałach i środkach, jakiemi Stany dysponują, teraźniejsza exportacya zdublowaną i stryplowaną byćby mogła. Ogromne dowozy mąki w r. 1847 do Anglii i Francyi rzucone, i siły nadzwyczajnéj produkcyi, i potęgi mechanicznych środków, i zadziwiającéj łatwości dostawy z dalekich przestrzeni jasno dowiodły.

Mołdawia i *Wołochy*, przez poprawę gospodarstwa, oraz urządzenie wewnętrznéj kommunikacyi, coraz więcéj zboża wywozić są w stanie, a gatunek ziarna, lubo podrzędny, w ostatnich latach znacznie się już polepszył, i dla taniości, łatwy, szczególniéj w Irlandyi znajdował odbyt.

Oto jest tabella wywozu w ostatnich 13 latach:

	z Galacza.		Ibraily.	
	pszen. łasz.	kukuryd. łasz.	pszen. łasz.	kukuryd. łasz.
1837	9,638	8,696	7,579	2,431
8	17,181	5,837	6,132	3,720
9	14,811	13,376	14,318	5,717
1840	13,056	18,903	13,259	6,858
1	10,084	3,539	8,469	2,681
2	15,467	9,353	16,012	1,622
3	10,763	14,066	32,234	12,130
4	16,653	17,402	34,788	12,822
5	18,003	15,710	31,491	12,471
6	11,090	33,662	32,752	16,314
7	18,086	31,860	39,081	61,915
8	11,360	14,372	15,948	29,211
1849	16,902	24,819	12,901	32,771

A zatém w r. 1849, Mołdawia z dwóch portów tęż samą ilość pszenicy co Gdańsk, a do tego 57 tysięcy łasztów kukurydzy za granicę wysłała.

Dowozy z portów *morza Azowskiego* w ostatnich latach, zwracają uwagę handlowego świata; a jaka ztamtąd w blizkiéj przyszłości może powstać konkurencya, okaże następne wynotowanie ruchu w trzech głównych portach:

Ogólny wywóz

	Taganrog	Maryopol	Berdyańsk	w roku 1850	roku 1849
Pszenicy łasztów	22,300	7,300	8,100	47,700	32,500
Siem. ln. łasztów	9,400	300	800	10,500	7,600
— rzep. —	400	600	60	1,060	2,000
Łoju centnarów	28,300	—	800	29,100	54,700
Wełny —	32,200	400	11,200	43,800	31,700
Skór surowych	4,600	—	12,600	17,200	18,600
Żagl. płótna arsz.	129,700	—	—	129,700	207,400

Na tém kończymy nasze cytacye, nie chcąc zajmować uwagi czytelników exportami, ze źródeł zwyczajnych, a w handlu dobrze znajomych, pochodzącemi.

Niedawno jeszcze, pszenica rossyjska i polska, z portów Baltyckiego i Czarnego morza, miała niejako przywiléj, wyłącznie targi angielskie i francuzkie zaopatrywać. Dziś już się rzeczy zupełnie zmieniły, a zboże polskie na wszystkich konsumcyjnych placach spotyka się z ziarnem francuzkiém, amerykańskiém, i płodami innych, dawniéj w handlu zbożowym nieznanych krajów.

Anglia również pod względem powiększenia produkcyi, w ostatnim roku niesłychane zrobiła postępy; a podziemne kanały dla odciągnienia zbytniéj wilgoci w całym kraju na wielką skalę przedsięwzięte, i w znacznéj części już wykonane, bardziéj jeszcze zbiory powiększą. Przejęto się tam tą prawdą, że trzy kwartery pszenicy po 40 szyl. więcéj czynią, jak dwa sprzedane po 50. Wszystko ku osiągnieniu tego rezultatu dąży, i nikt w Anglii nie wątpi, że przy kapitale i stosownem urządzeniu gospodarstwa, podwyższenie produkcyi o $^1/_3$ jest możebném.

Czy polska produkcya jest na drodze wzrostu, twierdzić nie możemy; biorąc wszakże na uwagę stan dowozów do Gdańska, zda się nam, że zdanie przeciwne wyciągnąć wolno. Zresztą, liczby w tym względzie najwyraźniéj przemówić potrafią.

W ostatnich 8 latach dowieziono do portu gdańskiego:

	Pszenicy łasztów.			Żyta łasztów.		
	z Rossyi i Polski	z prowin. pruskich	Razem	z Rossyi Pol. i Gal.	z prowin. pruskich	Razem
1843 r.	49,003	14,058	63,061	15,976	4,209	20,185
4 —	48,498	5,509	54,007	—	—	20,174
5 —	7,855	9,915	17,270	135	3,535	3,693
6 —	5,065	4,006	9,071	135	1,747	1,882
7 —	20,208	10,135	30,338	287	800	1,087
8 —	17,627	15,848	33,475	98	3,217	3,315
9 —	15,803	12,180	27,983	546	6 540	7,086
1850 —	19,921	21,608	41,529	—	8,402	8,402

Siemienia lnianego, rzepakowego, grochu i t. d.

	z Rossyi, Polski i Galicyi.	z prowin. prus.	razem
W r. 1843	łasztów 1,783	2,208	3,991
4	— —	—	4,520
5	— —	2,273	2,273
6	— —	2,943	2,943
7	— 531	2,303	2,834
8	— 207	3,585	3,792
9	— 6	3,359	3,365
1850	— 501	5,590	6,091

Winniśmy objaśnić, że dostarczenia prowincyi pruskiéj pochodzą tylko z okręgów najbliżéj Wisły położonych; odleglejsze bowiem na prawym brzegu okolice, jak i najbogatsza część Żuław, idą do Elbląga, a pszenne Kujawy, oraz lewy brzeg górnéj Wisły, kanałem i Notecią szukają konsumcyjnych berlińskich targów.

Zastanawiając się nad ostatnią tabelką, nie możemy nie doznać smutnego wrażenia, że wywóz polski jeszcze 1843 i 1844 roku tak znaczny, zwinął się już dziś do saméj tylko pszenicy; a przeciwnie, cząstka Prus Zachodnich nietylko więcéj dostarcza pszenicy, lecz w stałéj podnosząc się progressyi, już w roku upłynionym 14,000 łasztów żyta, grochu, jęczmienia, siemienia lnianego i rzepakowego dostawiła.

Dwie gubernie litewskie, przy gorszéj roli i mniejszych materyalnych środkach, znaczną ilość zboża, wszelkiego rodzaju nasion olejnych, lnu, pieńki, smoły, do Królewca, Memla i Rygi dowiozły, a całe królestwo Polskie, część Galicyi, Wołynia i Litwy oblanéj Bugiem, z bogatego w r. 1849 zbioru, 20 tysięcy łasztów, i to saméj pszenicy, dosięgnąć nie mogły.

Obręb niniejszego pisma, dozwala nam tylko przytoczyć liczby, zwrócić na nie uwagę obywateli; ale może kto inny w kraju, rzucone przez nas kwestye podniesie, zgłębi, i prawdziwe powody upadającego wywozu, czyli w innych słowach, upadającego rolnictwa, wyjaśni.

Wprowadzone, i coraz rozszerzające się fabryki cukru z buraków, zapewne część gruntów pszennych zajęły; ale dosyć mamy ziemi i sił, aby produkcyą zboża powiększyć, a uprawą lnu, pieńki i t. d. urozmaicić. Widzieliśmy wyżéj, że wszystkie kraje rzucają się dziś do uprawy pszenicy, a nawet już massy jéj z okolic dawniéj w handlu nieznanych do Londynu przybywają, i coraz w większych ilościach przybywać będą. Przy takiéj więc granic nie mającéj konkurencyi, rzecz oczywista, że kto z najtańszém zbożem przybędzie, ten najłatwiejszy znajdzie odbyt.

Uznajemy stosownem przytoczyć w tém miejscu ceny pszenicy w miesiącu grudniu 1850 r. na główniejszych portowych targach, rachując na miarę i monetę angielską, a obok położyć zbliżony fracht do Anglii z każdego miejsca; co da wyobrażenie ceny sprzedażnéj w Londynie.

	Cena kwartera pszenicy władowanej na okręt; w szylingach			Fracht zbliżony kwartera do Anglii, szyl. pen.	
Gdańsk. Piérwszy gatunek	40	do	45	3	—
— drugi —	34	—	40	3	—
Nowy York (Ameryka) . .	31, 2	—	41	2	3
Hamburg	36	—	40	2	—
Rostock	37	—	40	2	6
Królewiec, ...	35	—	40	3	6
Bilbao (Hiszpania) . . .	35	—	39	3	—
Szczecin	35, 6	—	38	2	3
Bordeaux	36	—	37, 6	2	—
Nantes	34	—	37	2	—
Philadelphia	32	—	36	3	—
Montreal	30	—	36	4	6
Genua	26, 6	—	35	4	—
Petersburg	32	—	34	4	6
Tryest	24	—	33	6	—
Neapol	30, 6	—	33	6	—
Marsylia	29	—	33	4	—
Ancona	31	—	32	4	—
Odessa	24, 2	—	30, 10	8	—
Taganrog	28, 2	—	29, 6	6	—
Archangiel	25	—	27	4	—
Galatz	19, 1	—	24, 6	10	—
Konstantynopol	21	—	24	6	3
Alexandrya	16	—	17, 9	6	3

A więc pszenica gdańska (z wyjątkiem Australii, któréj najwyższe gatunki czasem do 84 szyl. za kwarter w Londynie płacono), jest najdroższą na świecie. Przemawia to wprawdzie za jéj pięknością i wartością, ale rozważając gruntowniéj rzeczy, nie można nie spotkać się z tą myślą, że zboże tak drogie, na zbytkowe tylko potrzeby odchodzi, a dla konsumcyi ogólnéj niezawsze jest przystępne. Młynarze i piekarze na chléb zwyczajny chętnie dają pierwszeństwo ziarnu mniéj pięknemu, lecz 10, 20, 30 i 50% tańszemu. Ztąd następstwo, że spichrze gdańskie stoją napełnione, a spekulanci tutejsi kupione w cią-

gu lata zboże, albo ze stratą musieli sprzedać, lub je na składach angielskich trzymają.

Przy istniejących dawniéj cłach protekcyjnych, zboże przez kombinacye wielkich spekulantów, nieraz sztuczną przybiérało wartość; dziś to już miejsca mieć nie może, bo ceny targowe, nie według najdroższéj, lecz według najtańszéj regulować się muszą. Rzecz bowiem jasna, że jeśli spekulanci Odessy, Mołdawii wystawią zboże w *Londynie* po 35 szyl. za kwarter, gdańskie albo w stosunku musi uledz zniżeniu, albo nie znajdzie kupca.

Nim ta ważna, bo całą przyszłość i gdańskiego handlu i rolnictwa polskiego interesująca kwestya, bardziéj w skutkach swoich da się uczuć, winniśmy uprzedzić właścicieli ziemi, że przy wolnym handlu, na wszystko przygotować się należy, a nawet, że czasowe zniżenie wartości zboża, nie jest niepodobném. Niemiłe to są wyrazy, ale w podobnéj materyi, ze stanowiska naszego winni jesteśmy z najszczerszą wystąpić prawdą. Wiemy, że u nas gospodarstwo kosztowne, i wielkie ciężary przywiązane do ziemi; ale we Francyi i w Anglii koszta bez porównania większe, a jednak rolnictwo mimo upadku cen, w sposób zadziwiający, przez energią, pracę i powiększenie produkcyi, utrzymuje się i podnosi.

Przykład ten mając przed oczyma, właściciele ziemi rossyjscy i polscy, nie ograniczając się do saméj pszenicy, winni dążyć ku urozmaiceniu płodów, oraz uprawy lnu, pieńki, których produkcya nie odpowiada potrzebom, a na które tak we włóknie, jak w nasieniu zawsze jest odbyt korzystny i łatwy.

Dopóki zmiany gwałtowne miotały zbożowemi targami, spekulacya na wielką skalę i handel pośredni mogły exystować, bo kupiec przy dobrém wyrachowaniu, zręczności lub szczęściu, miał sposobność tanio nabyć, a drogo sprzedać. Wstrząśnienia te dziś już minęły. W całym roku 1850, mimo nieurodzaju w Anglii, ceny ledwo 2 lub 3 razy się poruszyły, a różnica między najwyższym a najmniejszym punktem, 50 guld. na łaszcie nie przeszła. W takiém położeniu rzeczy, zapytujemy, jakie ma pole do zysku spekulant lub kupiec. Po każdéj tranzakcyi, dwie rzeczy mogą nastąpić: albo kupiec nabywszy bardzo tanio, wiele zarobi—albo zapłaciwszy drogo, straci. W piérwszym razie właściciel ziemi nie może nie czuć, że gdyby sam posłał do portu, zyskby przy sobie zatrzymał; w ostatnim, prawdziwie niewolno mu się cieszyć ze straty kupca, bo każdy godziwy układ, zobopólną winien przynieść korzyść i dogodność.

Najwłaściwsza przeto w naszém mniemaniu dla producenta droga, jest sprzedaż w portowém mieście na własny rachunek, bo tu otrzyma istotną wartość zboża, według pozycyi targów całego świata.

Wczytanie się uważne w wyżéj przytoczoną specyfikacyą cen średnich angielskich i francuzkich od roku 1830, okaże, że w handlu zbożowym po najsłabszych peryodach przychodzą wysokie; a po najwyższych natychmiast bardzo nizkie następują. I tak: wysokie w 1831 i 1832 roku ceny, już w 1833 zaczęły się przesilać i w 1835 do najniższego doszły punktu. Po dwóch latach znowu do piérwszéj korzystnéj wróciły stopy, i przez lat 4, tojest do 1842, na niéj się utrzymywały. Od 1842 do 1845 ciągle się schylały, a rok 1846 i 1849 przyniósł powszechną drożyznę; od 1848 roku mieliśmy trzy lata dobrego urodzaju, średnich cen w Polsce, a nadzwyczaj nizkich, rujnujących w Anglii i we Francyi. Można zatém miéć nadzieję, że obecny słaby peryód, prawem doświadczenia lat przeszłych, wkrótce pomyślniejszemu ustąpi. Naturalnym więc biegiem rzeczy, przedając corocznie na targu portowym po cenach i dobrych i słabszych peryodów, producent zboża otrzyma w przecięciu nieodmiennie najwyższe; realizując zaś na miejscu, albo téż długie lata trzymając na spichrzach, zawsze miéć będzie gorszy rezultat, bo w piérwszym razie weźmie przypadkowe ceny, jak ślepy los zdarzy, a w ostatnim, strata procentów, utrzymanie zboża i ubytek, nie pokryje się podniesieniem, jeśli takowego uda mu się doczekać.

Nie mamy najmniejszéj pretensyi ogólnych przepisywać reguł, bo te w handlu zbożowym, a jeszcze wolnym, żadnéj nie mają zasady. Dziś głównie wszystko zależy od pogody, lub nieprzewidzianych, a pod żaden rachunek podciągać się niedających okoliczności. Blizki tego mieliśmy dowód w roku zeszłym. Opierając się na chybioném zbożu angielskiém, cały świat przepowiadał konieczne podniesienie się cen na jesieni. W téj pewności spekulanci ze wszystkich portów tak wiele wysłali zboża do Anglii, że dowozy nad potrzeby konsumcyi ucisnęły i zabiły targi, a tym sposobom w miejsce zysku, znalazła się strata, i stan cały handlu zbożowego się pogorszył.

Z drugiéj strony, lichy gatunek ziarna angielskiego zdawał się zapewniać zagranicznemu świetny odbyt. Stało się znowu przeciwnie. Rolnicy angielscy ze słabém przychodząc zbożem, pozbywali je jak mogli, piekarze więc i młynarze na zagranicznéj pięknéj pszenicy podobnego wymagali zniżenia, lub tyle jéj kupowali, ile konieczna kazała potrzeba. Ztąd zupełna stagnacya, z któréj dotychczas wydobyć się nie możemy.

Nie ma więc w téj materyi ani praw stałych, ani niemylnego sądu. Właściciel ziemi wysyłając w najstosowniejszym czasie, najtańszym frachtem piękne zboże do portu, zrobił co mógł, a kommissant znając pozycye wszystkich zbożowych targów, winien co do sprzedaży wyrozumować prawdopodobną przyszłość, która może niezawsze się sprawdzi, ale w cenach przecięciowych dziesięcioletnich, dobry rezultat będzie niezawodny.

Gdańsk, 1 lutego 1851 r. *Alexander Makowski.*

Malarze krakowscy (*).

Bogaty nasz stary Kraków w pamiątki, dzieję Polski pełne wielkich przykładów, poświęcenia, cnót publicznych i domowych, piękna ziemia Polski, co ją przyroda nie macoszą odziała ręką w przecudowne sukienki: a jakże mało artystów zrodziło się na téj obfitéj w dobre ziarna glebie! Nie mieliśmy ani jednego artysty malarza, coby czarodziejską siłą przywołał nam przed oczy dzieje Polski, coby nas oprowadził po kraju, kiedyto na odgłos wojennéj trąbki, jak myśliwe sokoły zrywali się do szabli przodkowie nasi; coby nam ukazał łuny pożarów, co jak żmije wiły się za najezdnym Tatarem, Turkiem i Szwedem.

Jeśli nam Stachowicz, pełen fantazyi i miłości kraju, ukazywał przyszłość w swém czarodziejskiém zwierciedle, to obraz odbił się blado: bo Stachowicz nie znał sztuki, był tylko malarzem, poetą, a nie artystą; jeśli nam Statler przedstawił Machabeuszów po artystowsku, to ubliżył dziejom naszym, szukając przedmiotu do utworu, gdzieś tam w judzkich a nie w swoich źródłach. Jeden tylko Głowacki, po obrazku, jak w szajnéj katarynce, ukazywał nam cudne okolice nasze; ale i on zgasł przedwcześnie, jakby na przekor, by Kraków nie miał rozumiejącego swoje tło, doskonałego artysty. Ci trzej jednak, każdy po swojemu, zasiali ziarna dla przyszłości, zostawili swe prace i uczniów. Choć więc w przeglądzie pracowni młodych artystów nie znajdujemy nic wielkiego, nic coby olbrzymim dzisiejszym pracom europejskim w tym zawodzie zrównało, coby postępowi nową gwiazdą zabłysło; jednak przejrzyjmy się w tém zwierciedle; pokażmy i te światełka, które może kiedyś szerzéj zajaśnieją.

(*) Tak ten artykuł, jak i o malarzach lwowskich, zamieszczony w Bibl. Warszaw. na m. kwiecień r. b. ogłasza redakcya w całości, jak jéj zostały nadesłane. *Przyp. Red.*

Józef Kurowski, piérwéj w obczyznie niż w kraju znany, i przez znawców sztuki wysoko oceniony artysta; dziś Kraków obrał sobie za miejsce stałego pobytu. Oprócz wielu akwarelli, portretów, tchnących życiem i poezyą, przedstawił nam p. Kurowski cudnéj piękności do sztychu i na wzór sztychu (à la noir) wykonany obrazek: *Śmierć* znanéj z cnót, historycznéj już osoby ś. p. *Klaudyi P.*..... Postać zmarłéj w bezładzie spoczywa na łożu śmierci; z piersi na bok spada czarny krzyżyk, ręce jakby do modłów złożone. Księżyc połową przez otwarte okno, połową przezroczem firanki rzuca blade i cudną harmonią tchnące światło na martwe zwłoki, twarz obrócona ku spadającym na nią promieniom księżyca. Patrząc na ten obraz uwierzyłbyś, że dusze zmarłych po promieniu księżyca płyną w krainy nieśmiertelności. Ależ twarz! twarz zmarłéj tchnie żywym wyrazem konania człowieka, co spełnił swoje posłannictwo. Każdy na niéj cień zmarszczku, ledwie nie każdą kreskę, chciał miéć artysta hieroglifem, z którego doczytasz się przeszłości, téj dziś niby martwéj, leżącéj przed tobą kobiety. Z prawdziwą radością powziąłem wiadomość, że rysunek ten będzie wkrótce przesłany do Paryża, gdzie go Tytus hr. Działyński sztychować polecił. Niejeden to, choć może mniejszéj wartości owoc zdolności i pracy artysty, spoczywa u nas w tece; bo w mieście naszém ani uniwersytet, ani nikt prywatny nie może się zdobyć na założenie porządnéj litografii, na postaranie się o drzeworytnika. W litografii, w właściwym jéj technicznym zawodzie, tojest odbiciu wykonanéj na kamieniu ryciny, tylko może z Chinami rywalizowaćbyśmy mogli. A czyto dla każdego artysty zdarzy się, aby jaki mecenas do Paryża dla sztychu posyłał jego utwór? Jakie w tém nieobliczone straty przynosi ta zawada w postępie sztuki i chronieniu zabytków przeszłości od zagłady?!... Ależ próżna jeremiada! u nas niejedno głupstwo częściéj znajduje poparcie, niż jaki pożyteczny krajowi zakład; na to nikt nie ma pieniędzy. Wspomniałem o chronieniu od zniszczenia zabytków przeszłości.... ileżbym o tém mógł powiedzieć! ale czuję, że gorycz wypłynęłaby mi zpod pióra.... zamilczéć wolę. Obecnie, znany rysownik M. Cercha zajmuje się urządzeniem nowéj litografii; może to będzie piérwsza litografia w Krakowie, urządzona na obraz i podobieństwo zagranicznych. P. Kurowski wykonał ostatniemi czasy, znane już z częstych wzmianek po pismach obrazki ołówkowe: *Kraków spalony*; *Nowy most na Wiśle pod Krakowem*, którego litografią bardzo starannie wykonano w Wiedniu; *Nabożeństwo na gruzach kościoła OO. Dominikanów* i *Widoki okolic Krakowa*, z głęboką znajomością rzeczy i pięknościami natury oddane, pomimo całéj nienowości pomysłu, uderzają nowością formy i pojęcia. P. Kurowski zamyśla (jak wspomina Gazeta

Lwowska) wydawać: Galeryą widoków i okolic znakomitych miejsc całéj Polski, którą pojedynczemi poszytami na kamieniu lub odciskach stali, dodając do każdego rysunku text drukowany, któryby treścią swoją zawierał albo jakąś legendę przywiązaną do miejsca, albo wspomnienie historyczne. Wreszcie, kilka widoków włoskich szczęśliwie schwyconych, i małego rozmiaru akwarella, przedstawiająca kopią Madonny *Sassaferrata* (Salvi Giambattista) zakończają pracę p. Kurowskiego. Twarz przeczystéj dziewicy, cudownie piękne oczy zwrócone ku niebu, pełne wzniosłego natchnienia i modłów, usta rzewnego i tęsknego westchnienia, rodzą głębokie uczucie poszanowania. Lecz twarz ta nie jest kopią Sassaferrata, ale z natury zdjęta z pewnéj dziewicy włoskiéj. Obecnie bawi ten artysta we Lwowie, gdzie go wysłało nakładztwo dzieł katolickich w celu zrobienia portretu namiestnika Galicyi. Portret ten rysowany ołówkiem, obecnie już do litografii paryzkiéj jest odesłany. Oprócz trafnego podobieństwa, które nietylko na dokładném oddaniu wszystkich rysów i rozmiarów zależy, lecz szczególniéj uchwyceniem prawdziwego charakteru i wyrazu twarzy ma się zalecać. Staranne osobliwie wykończenie aż do najdrobniejszych szczegółów, godne ma być podziwienia w téj pracy.

Alexander Płonczyński, uczeń Głowackiego, a obecnie professor rysunku w szkole technicznéj i w liceum św. Anny. Pana Płonczyńskiego wraz z Kurowskim postawiłem tu na czele, bo tych nie waham się słusznie nazwać doskonałemi artystami, każdego w rodzaju jaki sobie obrał. P. Kurowski wyborny malarz miniatur i scen obyczajowych; p. Płonczyński jedyny pejzażysta. To téż aż miło wejść do pracowni ostatniego. Jak w sennem widzeniu przesuwa ci się przed oczami wszystko, co pod niebem naszém cudniéj nad inne przyodziała przyroda, a to wszystko tak jasne, piękne, naturalne, jakbyś je widział przed sobą. Co mówię? wyższe od naturalnego poczucie piękna, wzbudza się w twéj duszy, bo artysta z pięknych okolic wybrał najpiękniejsze, a wyborem korzystnego oświetlenia, okazał ci w chwilach, jakie niezawsze napotkasz w zmiennéj przyrodzie. Popatrz na ściany, a nie będziesz wiedział gdzie piérw utkwić zdumione oko; w wielkich olejnych obrazach: to pyszny zwaliskami Czorsztyn, to góra Wawelu z zamkiem z różnych stron i miłym na nadwiślańską okolicę widokiem; to jakby czarodziejski, śmiały most w pustyni Karmelitów na Czerny; to znów bogate kaplice zamkowe; to Tatry w różnych grupach z coraz rozmaitszych punktów rozwiną ci się przed okiem i duszą; to wreszcie stary drewniany Zembrzycki kościołek, sterczące ruiny kalwaryjskiego pałacu, przypomną ci piękną przyrodę i bolesne wspomnienia; to nakoniec odwzór tyrolskich gór Steinfelda, nasunie ci myśl, że nasze Tatry nie wstydzą się przed tyrolskiemi szczytami, i nasz

Płonczyński nie zarumieni się przed Steinfeldem i Kumerem. Obok talentu nie można odmówić p. Płonczyńskiemu i pracy; jako professor bowiem kształci przyszłych artystów; a sam od r. 1838, do 140 już widoków olejnych wykonał, po największéj części przelewając na płótno cuda naszéj ziemi krakowskiéj.

Jan Kanty Wojnarowski, dziś professor rysunku w szkole technicznéj, maluje obrazy do kościołów, ale tym żadnéj szczególnéj wartości przypisać nie można. Pan Wojnarowski jest wybornym rysownikiem; przerysy pomników krakowskich, które dla p. G. Pawlikowskiego do Medyki wykonywa, szkicowane lekko a podłożone tuszem dla effektu, pięknie i elegancko są wykończone. P. Wojnarowski robił już kilkaset podobnych przerysów do różnych rycinozbiorów, wprawa więc postawiła go na tym stopniu doskonałości.

Hruzik, pejzażysta, niedawno pojawił się w Krakowie; malarz ten niezmordowany w pracy, więcéj może wynalezieniem przedmiotu, niż sztuką do artystów liczyćby się mógł. Redakcya *Czasu* w 4tym numerze swego *Dodatku Literackiego* z r. 1849, dała o p. Hruziku nader pochlebną dla niego opinią; ja jednak, mając przed sobą kilka płodów Hruzika, właściwiéjbym je nazwał *pracami*, niż utworami artysty-malarza. Z ostatnich krajobrazów pędzla p. Hruzika znane mi są następne olejne widoki: *Kraków od strony Podgórza*; *Trzy widoki gorskich okolic*, na jednym z nich legowisko niedźwiedzia; *Widok na Wisłę i Kraków z klasztoru OO. Kamedułów na Bielanach*, zamknięty dwiema mogiłami Kościuszki i Krakusa; wreszcie *Wnętrze kościoła P. Maryi w rynku krakowskim*. W piérwszych, jak powiedziałem, brak sztuki i talentu; w ostatnim znać, że p. Hruzikowi zbywa na umiejętności perspektywy malarskiéj. Obecnie zajęty p. Hruzik zdejmowaniem szkiców popiersi królów polskich z rycin i pomników, któremi p. Friedlein księgarz, jako drzeworytami, ozdobi mającą wyjść jego nakładem: *Historyą Polską*.

Niedźwiecki. Jestto godny wspomnienia, jedyny u nas porządny malarz pokojowy. Jegoto pędzel ozdobił pysznie sale biblioteki Jagiellońskiéj, redutowe, teatr, a obecnie wiele prywatnych mieszkań. Nie wypada tu pominąć pana Cholewicza, wybornego restauratora, który pracując obecnie pod kierunkiem komitetu uniwersyteckiego archeologicznego, jakby cudowną siłą wskrzesza zbutwiało z Franciszkańskiéj świątyni, obrazy biskupów krakowskich.

Karol Balicki, malarz krajobrazów. Jestto jeden z najwięcéj obiecujących dawnych uczniów Głowackiego, a dziś A. Płonczyńskiego. W pracowni jego widziałem olejne kopie krajobrazów Steinfelda, Gauermana, Kumera, A. Górczyńskiego, Głowackiego i Płonczyńskiego. Gdy kopią

postawisz obok oryginału trudno rozpoznać, które odwzorem, a które pierwotworem. Pan Balicki wykonał też wiele prac litograficznych, jak kilka rycin do Starożytności i pomników Krakowa, które często wyszły zpod prasy niekorzystnie dla artysty. Prócz studyów tak rysunkowych, jako i litografowanych, widziałem między płodami pana Balickiego kilka nawpół pokończonych widoków Krakowa, malowanych olejno z natury; koloryt piękny, żywy, naturalny, dokładność w przedstawieniu i umiejętne pod względem mechanicznéj strony malarstwa wykonanie: oto zalety pana Balickiego. Obecnie, w porze zimowéj, oderwał się pan Balicki od widoków, a oddał się sztycharstwu, w czém znakomicie postąpił. Wykonywa on piękne obrazki religijne rylcem na kamieniu, z których nakładnictwo dzieł katolickich, już kilka ogłosiło przy dziełkach swego nakładu.

Leon Dębowski, uczeń Głowackiego, a dziś Płonczyńskiego, wykonał już kilkanaście pięknych kopij z Głowackiego, Górczyńskiego i Płonczyńskiego; zdolności okazał pan Dębowski niepospolite, osobliwie tych wakacyj postąpił wysoko, wykonywając w Tatrach śliczne widoczki z natury.

Piotr Wroński, zarządca spalonéj litografii szkoły technicznéj, zastępca professora perspektywy w téjże szkole, wykonał wraz z uczniami, kilka perspektywicznych widoków budowli krakowskich. Jak w tém, tak i w innych pracach pana Wrońskiego widać dobre chęci, usiłowanie i niezmordowaną pracowitość; lecz nieszczęściem fantazya i poezya, na których mu zbywa, nie ożywiły żadnego z jego utworów.

P. Statler gotuje na którąś z europejskich wystaw wielki obraz: *Chrzest Chrystusa*; będzieto utwór, który znów nowego doda blasku temu znakomitemu artyście. Pomiędzy uczniami szkoły malarskiéj pana Statlera, piérwsze trzyma miejsce pan Felix Szynalewski. Widziałem jego prawie już ukończony, olejny, większych rozmiarów historyczny obraz: „Przejrzenie Mieczysława".

Leopold Pless, wykonaniem wybornem głowy z modelu, przypomniał nam włoskie wzory, i wielką o sobie wzbudził nadzieję. Obaj wspomnieni, jako też Kazimierz Mirecki, studyują obecnie kilka obrazów treści religijnéj, pod kierunkiem professora i z pomocą modelów.

Zasługuje tu wreszcie na wspomnienie pan Maxymilian Cercha, niedawno uczeń p. Statlera, dziś nauczyciel rysunku w szkole wydziałowéj. Szczególniéj posiada on talent w rysowaniu wiernem z natury. W przerysach jego kilku pomników krakowskich, z zadziwieniem zobaczysz z mozolną pracą oddany każdy nawet drobiazgowy odłam cegiełki. Kopiista jedyny.

Z uczniów Statlera, *Władysław Luszczkiewicz* wrócił obecnie z Paryża, gdzie kosztem rządu był wysłany. Nie miał on jeszcze sposobności okazać swego uzdolnienia, bo nic dotąd ważniejszego nie zrobił, a więc zamilczamy o nim.

Wreszcie wspomnieć tu wypada o dwóch naszych malarzach, którzy niedawno z zagranicy wrócili: pan Lorenowicz powrócił z Paryża, a pan Konrad Kogen kształcił się w Antwerpii, pod znakomitym artystą baronem Wauters, i w Paryżu. Piérwszy z nich kończy obecnie wielkiéj wartości obyczajowo-historyczny obraz: „Tatar ucieka w step z porwaną Polką": widnokrąg, ruch, wyraz twarzy i postać porwanéj, koloryt i oświecenie zachodzącém słońcem, wybornie się udało artyście. Pan Kogen pracuje nad przedstawieniem sceny z pożaru; w tyle obrazu paląca się świątynia Dominikańska, po bokach wyratowane z pożaru sprzęty, w treści obrazu grupa: starzec, żona jego, córka i dwóch chłopców, zebrali się jakby symbole uczuć, które niemi w chwili okropnego nieszczęścia władały. Praca ta nie jest jeszcze ukończoną, a więc zawcześniebym ją sądził. Inny jednak utwór pana Kogena: popiersie *krakowskiéj mieszczki* wystawiający, udał się wybornie nietylko rysunkiem, ale i blaskiem kolorytu, a w Wiedniu w roku zeszłym, gdzie był na wystawie, zasłużył na wysoką zaletę znakomitych tamtejszych artystów. Sądząc wedle tego, słusznie panu Kogenowi imię artysty przyznać należy. Pless lub Szynalewski pojedzie tego roku za granicę kosztem rządu; przeniesienie jednego nad drugiego zależéć będzie od sądu professora Statlera.

I za życia professora rzeźbiarstwa Cepłowskiego i po jego zgonie nie mieliśmy i nie mamy prawdziwych artystów rzeźbiarzy. PP. Galli, Filippi i inni, to dobrzy rzemieślnicy kamieniarze, nic więcéj. Pan Kossowski, dzisiejszy professor rzeźby, od dziesiątka już lat po powrocie, kosztem rządu odbytéj za granicą nauki, zasypia na laurach, które jeszcze na ławach szkolnych nazbierał. Może bluźnię, szydząc z nieczynności p. Kossowskiego, może téż właśnie używa tych kilku lat na przygotowanie się do jakiego znów arcydzieła; z robót jego dawnych, widzieliśmy tylko popiersie króla pruskiego; może teraz cesarzowi Franciszkowi Józefowi Imu sprawi podobną niespodziankę.

Niedawno przybył z zagranicy Krakowianin, zdatny rzeźbiarz *Sthelik*, może ten pobudzi pana Kossowskiego do emulacyi. Zdolny téż *Cengler* wykonaniem statuy Chrystusa, którą do pogorzałéj świątyni Dominikańskiéj darował, niemałe obudził o sobie nadzieje. Czternastoletni młodzieniec, syn professora Statlera, rozwija w sobie pod kierunkiem ojca znamienity talent rzeźbiarski. Widzieliśmy niedawno wiele obiecu-

jące popiersie professora Muczkowskiego, H. Meciszewskiego i generała Chłopickiego. Ostatnie szczególnie pięknie wykonane, bo twarz generała opowiada prawie całe jego życie.

Kraków, d. 10 lutego, 1851 r. * *

Lord Ashley, missyonarz Londynu.

Od lat wielu istnieje w Londynie, a za przykładem stolicy we wszystkich większych miastach Anglii towarzystwo, liczące już przeszło dwustu missyonarzy ze stanu rzemieślników, którzy w imię Zbawiciela, od rana do wieczora, po wydzielonych im okolicach miasta, za zatraconemi owieczkami biegają: ażeby im wręczyć słowo boże, wdrażać do modlitwy i pracy, przykazać wstrzemięźliwość, wstrzymać od wszeteczności, przyuczać do domowego nabożeństwu. Starych do kościoła, młodych do szkoły prowadzą: tą drogą znoszą się z pół milionem ludnego miasta.

Twórcą i duszą tego towarzystwa jest lord Ashley.

W roku 1848 Londyn wśród dwóch milionów ludności, winien był swe ocalenie od zamachów chartystowskich tymto missyonarzom miejskim.

Gdy spostrzegą włóczące się dziecię, każą się zaprowadzić do jego rodziców lub krewnych. Słysząc gdzie przekleństwo lub bluźnierstwo, wchodzą do domu, a nawet najmują się po domach, w których zbiera się stek wszeteczników i złodziei, pijaków i graczy: tu rozpoczynają swe nabożne prace.

Prawda, że trudno skłonić do posłuchu głuche i zatwardziałe serca: lecz missyonarze miejscy uzbrajają się w cierpliwość i wytrwałość. Jeden z nich zaprowadzony przez zapłakane a pobite dziecię do ludzi w zakale grzechu żyjących, po ozwaniu się w jakim celu przybył, wypchnięty za drzwi, przybył znowu dnia następnego, a zapukawszy napróżno do drzwi, przemówił do nich przez otwarte okno, które gdy mu zatrzaśnięto, stanął w sieni przed drzwiami, a przeczytawszy w głos rozdział z biblii, zaczął jeszcze głośniéj modlić się za tych ludzi. Oni usiłowali zagłuszać go sztukaniem; lecz kiedy nie ustawał w modlitwie, uciszyło się; wtedy kobiéta nagle drzwi rozwarłszy, rzekła: „Już dłużéj nie wytrzymam, wejdź-no pan".

Missyonarze miejscy utrzymują księgi swych prac. W każdéj części miasta przełożony jest nad nimi superintendent, gdy zwłaszcza wielu duchownych liczy się pomiędzy niemi. Na czele całéj téj missyi stoi lord Ashley sercem i czynem.

On także jest twórcą tak zwanych szkół *gałganiarskich*: bo missyonarze miejscy zaraz na początku swojego działania spostrzegali mnóstwo ubogich dzieci, które albo żadnych krewnych nie miały, albo przez nich wypędzone, po ulicach błąkały się za żebraniną lub kradzieżą, i bez wszelkiego chowu i bożego słowa na zakał ludzkości wyrastały. Ażeby je ochronić od zguby, urządzono szkoły. Otóżto są szkoły dzieci gałganami okrytych. Już dotąd przeszło piętnaście tysięcy takich dzieci z ulic pozbierano, z których siedm tysięcy ani ojca, ani matki nie znają. Wkrótce obok nauki religijnéj okazała się potrzeba przyzwyczajenia dzieci tych do pracy. Tym sposobem początkowe szkoły gałganiarskie zamieniły się w szkoły robocze. Że zaś wiele dzieci żadnego przytułku nocnego nie miały, obmyślono i noclegi dla nich.

Jedna z tych szkół gałganiarsko-roboczych znajduje się przy ulicy *Old-Pye*. Przechodząc około wspaniałego parlamentu, największego z wszystkich gotyckich pałaców na ziemi, poza katedrą westminsterską, po prawéj ręce zamku królewskiego w pięknym parku *St. James*: wśród tych wspaniałości wchodzisz do pustéj części miasta, gdzie już nic nie ujrzysz, tylko po ulicach toczące się gromady łotrów i pijaków. Tam znajduje się ta szkoła.

W innéj części miasta mają wystawić podobnąż gospodę dla pięciuset opuszczonych dzieci.

Jaki to zaś rodzaj dzieci, które po tych szkołach do sforności przywiedzione być mają, przykład objaśni. Po otworzeniu szkoły na Westminsterze, pewnego dnia wpadło nagle ze dwudziestu młodych chłopaków, którzy przewracając stoły, wypędzili nauczycieli missyonarskich. Toż samo raz jeszcze powtórzyli: nakoniec cierpliwością missyonarzy pokonani, obłaskawili się, chętnie naukę ewangelii przyjmując. Już jest ośmdziesiąt trzy tego rodzaju szkół w Londynie, a mnożą się ciągle.

Na ich czele stoi także towarzystwo, towarzystwem *gałganiarskiém* zwane: a ich prezesem znowu jest lord Ashley, który wręcz oświadczył, że przewodnictwo nad szkołami gałganiarskiemi tak mu jest drogie, jak miejsce w wspaniałym parlamencie Wielkiéj Brytanii.

Wszelkie stowarzyszenia chrześciańskie, których wiele znajduje się w Londynie, odbywają roczny obchód swój w miesiącu maju, co poniekąd przypomina, że miesiąc ten poświęcony był za czasów rzymsko-katolickich Najświętszéj Pannie Maryi, jako matce *miłosierdzia*. Dla obchodów tych wystawiona budowa *Exeter Hale* zwana, może w sobie mieścić do trzech tysięcy osób. Tu na uroczystych posiedzeniach zwykle lord Ashley przemawia do zgromadzenia z wielkiém zadowoleniem słu-

chaczy. I inne znakomite osoby biorą udział w miejscach miejskich, a między niemi młody książę de Argyle, piérwszy magnat Szkocyi.

Troskliwą uwagę zwrócono na bardzo liczną i bardzo biédną klassę szwaczek londyńskich. Nieszczęśliwe istoty te, pracą dniem i nocą nie mogą tyle zarabiać, ile potrzeba na najmizerniejsze utrzymanie życia przez dzień jeden: bo żywność droga, a uszytą gotową koszulę za bezcen dostanie, gdyż handlujący szwaczkom za robotę nazbyt mało płacą. Dziewczę takie szyje a szyje, lica blednieją, oczy czerwienieją, nakoniec z rozpaczy wpada w ten brudny kał, który w ogromnéj stolicy rocznie po tysiąc takich nieszczęśliwych ofiar pochłania. Otóż znowu lord Ashley stał się opiekunem, dobroczyńcą i przewodnikiem stowarzyszenia pracowitych szwaczek, starając się polepszyć ich los radą i uczynkiem.

Wejdźmy teraz do tajemnych jaskiń miasta Londynu, które złoczyńcom za schronienie służą. I tu widzimy lorda Ashley. Albowiem jeden z missyonarzy nazwiskiem *Jakson*, starał się szczególniéj wyśledzić tego rodzaju jaskinie. Zapoznawszy się z ich mieszkańcami, pozyskał ich zaufanie. Lat temu parę, niektórzy z nich nadmienili przed nim, że już tyle słyszeli o lordzie Ashley, że chcieliby go widzieć i z nim mówić. Lord Ashley zawiadomiony o tém, oznaczył dzień i godzinę swojego przybycia. Jakoż Jakson prowadził lorda w najodleglejszą okolicę miasta wpoprzek i na krzyż ulic, podziemnemi korytarzami do obszernego sklepienia, w którém przy bladawem świetle ujrzeli około trzystu ludzi srogiego spojrzenia i w dziwacznych ubiorach. Podano lordowi krzesło, a Jakson tak począł: „Najprzód racz się przekonać, mylordzie, że to są ludzie szczerego serca.—Kto z was popełnił proste tylko kradzieże, niech podniesie rękę". Bardzo mała liczba podnosiła rękę. „Kto popełnił kradzież gwałtowną, niech podniesie rękę" i w téj chwili wszyscy inni podnosili rękę. „Wiécie, że nie masz nic dobrego ani trwałego bez słowa bożego i modlitwy" i począł czytać z ś. Łukasza ewangelią o marnotrawnym synie. Potém cała rzesza uklękła, a Jakson odmówił modlitwę z szczerego serca, podczas głębokiéj ciszy. Następnie lord Ashley odezwał się do rzeszy w te słowa „Chcę z wami mówić otwarcie przyjaciele, i dać wam zdrową radę; tylko powiédzcie mi wprzód, czy na prawdę postanowiliście porzucić wasze opłakane rzemiosło"? Wszyscy głośno odpowiedzieli „postanowiliśmy". Poczém lord przełożył im, że byłoby dla nich najkorzystniéj, gdyby się przesiedlili do innego kraju. Wielu na to się zgadzało, mówiąc, że udawali się na uczciwą robotę, lecz skoro się dowiedziano o ich poprzedniém życiu, natychmiast ich odprawiono: nic im więc nie pozostawało, jak z rozpaczy dawniejsze rzemiosło na nowo rozpocząć.

Inny młody człowiek wynurzył, że przybywszy do Londynu wdał się w złe towarzystwa, lecz odkąd słyszał słowa Jaksona, sumienie jego nie dawało mu pokoju, wszedł więc w służbę do pewnego bankiera, który acz dowiedział się o jego dawniejszym trybie życia, jednakże nie oddalił go ze służby, ale owszem podwyższył mu jeszcze zasługi. Teraz zaś jedynie dlatego przybył tutaj, ażeby pomódz lordowi Ashley i zakląć rzeszę, ażeby poszła za jego przykładem.

Rzadkie to w swoim rodzaju posiedzenie nie pozostało bez owocu, bo lord przyrzekł ludziom tym, pod warunkiem dobrego sprawowania się przez sześć miesięcy, dać zasiłek i świadectwa, za któremi mogliby się przesiedlić do krajów zamorskich. Przy oddaleniu się prosili lorda o powtórne zwiedzenie, a wszyscy wołali „błogosław Boże mylorda". Lord Ashley rozrzewniony, łzę uronił i odtąd częściéj tamże bywał, przynosząc im wiarę, miłość, nadzieję i ludzką pomoc.

Jakoż mieszkańcy kryjówek miejskich stami wytrzymali czas próby, i dziś żyją w innych częściach świata porządnie i szczęśliwie, osiadłszy na gruntach lub zajmując się przemysłem lub handlem: bo lord Ashley odbiera od nich listy rzewną wdzięcznością tchnące. Inni na słowo lorda przyjmowani są do służby królewskiéj jako majtkowie.

Cześć lordowi Ashley i jego bogobojnemu sercu i wyznawanéj przez niego religii, która opierając się bezpośrednio na ewangelii bożego słowa, żywi ducha poświęcenia się i ofiary, i zmierza do wskrzeszenia pojęć i uczuć prawdziwéj bogobojności (1).

(1) Recenzent przekładu poezyj i fraszek łacińskich Jana Kochanowskiego (w Bibl. Warszaw. z r. b. z miesiąca marca, str. 585) przypisując erotyczną barwę tych fraszek obyczajom rozwolnionym nauką reformacyi, dwa razy się pomylił: raz w tém, że nie poznał dobrze historycznych przyczyn reformacyi, która głównie poprawę i prostotę obyczajów, jako téż pokonanie systematycznéj obłudy miała na celu; drugi raz w tém, że wieszcz Czarnego lasu właśnie karcił złe obyczaje lub nałogi i dlatego nie był heretykiem. Mylny także jest domysł recenzenta, jakoby przytoczony przez niego wierszyk niemiecki, miał być maxymą rozpowszechnioną, gdy wyśmiane przez Kochanowskiego Maronidy i Rozyny pewnie go nie rozumiały, nie umiejąc po niemiecku.

Heylman.

Testament Tomasza Kajetana Węgierskiego.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiéj za grudzień roku zeszłego, podaliśmy piękny życiorys T. K. Węgierskiego, skreślony znakomitém piórem: obecnie, odkryty testament tego poety, podajemy jako dopełnienie do wzmiankowanéj biografii.

„Kopia testamentu JWP. Węgierskiego, zmarłego w Marsylii, dnia 11go kwietnia 1787 roku.

„Niżéj na podpisie wyrażony, czując się zdrowym na zmysłach, a widząc przybliżający się koniec życia mego, postanowiłem uprzedzić godzinę ostatniego oddechu, i w następujący sposób wyrazić wolę moję".

„Część najznaczniejsza majątku mego, jest ulokowana na banku angielskim; tę całą, bez żadnego umniejszenia zapisuję i darujo synowcowi mojemu, najstarszemu synowi siostry mojéj, pod tą kondycyą, żeby intrata z téj summy pochodząca, była corocznie przyłączona do kapitału *usque ad majoritatem*, i wtenczas dopiéro jemu oddana; a to z téj przyczyny: żeby do męzkiego wieku przyszedłszy, znalazł uczciwą fortunę i nie znał biédy i potrzeby, która upadla umysł, cieśni rozsądek. Ztémwszystkiém wolno będzie rodzicom jego odebrać z banku te pieniądze i ulokować je w Polsce zyskowniejszym sposobem, czyli kupnem majątku dziedzicznego, czyli dając tę summę na zastaw, co jest bardziéj rozsądniéj i pewniéj".

„W przypadku śmierci tego dziecięcia, ten kapitał ma się dostać drugiemu synowi pod tąż samą kondycyą. Jeżeliby zaś rodzice mego dziedzica tym kondycyom nie uczynili zadosyć, cała ta summa ma przejść w ręce najstarszego syna pułkownika *Węgierskiego* stryja mego".

„Resztę zaś mego majątku, jaki się okaże z rachunku z panem *Peregaux* bankierem moim, summy które mnie są winni, pieniądze pochodzące z przedaży mebłów i ruchomości, srébra, wszystko to zapisuję mojéj *matce*, zalecając jéj, żeby pamiętając na jedynego syna swego, dobrym rządem ten majątek powiększać starała się, i żeby los najstarszego syna mojéj siostry, (który powinien używać naszego herbu z moją dewizą) był jéj testamentem znacznie polepszony, żeby wychowanie jego było jak najlepsze, i żeby nie zaniedbała do wyniesienia go na stopień przyzwoity jego urodzeniu, mieszając go zawczasu w publiczne interesa, i gotując młodość jego do życia publicznego".

„Biblioteka moja na małoby się przydała familii mojéj; małobym także miał wdzięczności, żebym ją publicznym szkołom, gdzieby nawet czytana nie była, zapisał: zatém ma być publiczną aukcyą w Paryżu przedana, i pieniądze z niéj pochodzące mojéj matce dostać się mają".

„Memu ojcu zostawiam moje dwa zegarki: złoty z naszym herbem, i srébrny z repetycyą".

„Mojéj siostrze zegarek perłami otoczony z łańcuszkiem perłowym".

„Memu szwagrowi zegar, który stoi na kominie w salonie moim. Mego stryjecznego brata proszę, żeby przyjął dwie pary sprzączek podług swego wyboru".

„Memu staremu kamerdynerowi, jeżeli jeszcze będzie w mojéj służbie, kiedy umrę: całą moję garderobę, koronki, bieliznę (prócz stołowéj) i pięćdziesiąt luidorów."

„Doktorowi Du Parc, jeżeli będzie w mojéj służbie w czasie śmierci mojéj: trzysta franków i książki doktorskie z mojéj biblioteki".

„Innym moim ludziom dwa miesiące zasług, prócz tego dwa fraki z mojéj garderoby: Janowi szwajcarowi lokajowi memu, i Józefowi de Vaux drugiemu lokajowi.

W Marsylii, dnia 27 lutego, 1787 roku.

Tomasz Kajetan Węgierski.

Zgadza się z oryginałem, na co podpisuję

P. C. Fergusson Teppel.

Księgarz i nakładca D. E. Friedlein, w Krakowie.

Przypatrzywszy się z uwagą ruchom literackim, nietrudno dostrzedz, iż księgarze i nakładcy nie błahe mają na tém polu stanowisko. Onito wyborem ogłaszanych dzieł, nie dopuszczając na swe półki książek naukowych, głupstwu stawiają trony z stosów broszur i romansów, lub téż protegując nakładami zdolnych pisarzy, stają się jak kółko w maszynie, przyczyną popędu lub opóźnienia w biegu naukowego postępu.

Tą zapewne myślą powodowana redakcya *Czasu* krakowskiego, oceniła w swych kolumnach dążności wydawnictwa dzieł katolickich, i nakłady pana Pisza księgarza w Bochni. I my z téj wychodząc zasady, ani przedajnego używając pióra, ani usposobieni do panegirycznych pochlebstw; z intencyą uznania zasługi, z miłością prawdy w słowach naszych, przystępujemy do podania wiadomości o wielkich a tak cichych i nieznanych zasługach na polu wydawnictwa, położonych przez księgarza, którego imię na czele niniejszego pisma położyliśmy.

W roku 1828 Daniel Edward Friedlein Krakowianin, otworzył w Krakowie objętą przez niego niegdyś Trasslerowską księgarnię. W owe

czasy, nie było w Krakowie drukarni, którąby Guttenberg mógł za swój uważać wynalazek; dość spojrzéć na tłuste, prawie nie w celu czytania, drukowane w owym czasie książki, by się przekonać o tém naocznie. Piérwszy Friedlein wskrzesił 1833 roku drukarstwo w Krakowie, sprowadzając do swego zakładu francuzkie czcionki i prasy. Piérwszém polem nakładctwa Friedleina, po urządzeniu drukarni, była niwa religijna, na któréj dotąd tylko częstochowskie jaśniały utwory. Wydawał tedy książki do nabożeństwa, śpiewniki, opisy miejsc świętych i obrazki religijne, gdzie upowszechnił sztychem utwory celnych krajowych artystów, których pracom nikt jeszcze w owe czasy zasłużonéj nie umiał oddać zalety (1). Za myślą upowszechnienia arcydzieł sztuki, poszło dążenie do obznajmiania świata naukowego z pomnikami, pamiątkami i widokami ziemi krakowskiéj. Nie szczędził tedy nasz wydawca niepowrotnych kosztów, na ogłoszenie zupełnego zbioru rycin, przedstawiających Kraków i jego okolice, wykonanych w paryzkiéj litografii *Engelmana*, wedle rysunków J. N. Głowackiego (2). Wydanie rycin pociągnęło za sobą kierunek nakładów ku opisom historycznym Krakowa, które przy tychże w dwóch językach dołączono; a wreszcie zachęciło do publikacyi dzieł treści historycznéj, z których dostatecznie już oceniono wyszłe u Friedleina: *Historya języka łacińskiego w Polsce*; i *O magistra-*

(1) Wyszłe nakładem Friedleina dzieła religijne są: Bóg najwyższe dobro; Boga rodzica Marya w Nazaret i na Jasnéj górze, przez ks. Plebankiewicza; Cześć Boga w Bł. Bronisławie (życie téj bł.); Dzień chrześcianina katolika, tłumaczenie z Lamennego; Starodawne krakowskie kantyczki; Książka do nabożeństwa wedle niemieckiego tekstu Schneidera; Książka do nabożeństwa dla Polek (Hoffmanowéj); Modły dla chrześcian, wedle tekstu Fenelona; Opis Częstochowy pod względem historycznym i religijnym ks. Plebankiewicza; Moje zbawienne godziny, przez Michała Haubera; Mowy pogrzebowe *Bossuetta*; Treść nauki chrześciańskiej; Naśladowanie Jezusa Chrystusa *Tomasza a Kempis*; Śpiewy chóralne kościelne Gorączkiewicza; Kazania przygodne ks. Łancuckiego; Wiadomość o obiorze papieża i jego dworze; wreszcie: Zbiór modlitw dla dzieci. Celniejsze piękne sztychy zdobiące te dzieła, a zarazem stanowiące piękną osobną całość, są: Chrystus (Dollabelli), Marya częstochowska (Peszki), ŚS. Wacław, Wojciech, Wincenty Kadłubek, Kazimierz, Jacek, Kunegunda, Jadwiga, Floryan, Stanisław, Władysław, kopie z obrazów Kunicza istniejących w krakowskiéj katedrze, i Ojcze nasz w litografowanéj rycinie.

(2) Karty: Okręgu miasta Krakowa i samegoż miasta, wykonane przez T. Żebrawskiego. Widoków 24 miasta Krakowa i jego okolic, wedle rysunków J. N. Głowackiego. Widok miasta Krakowa od strony zachodniéj (miedzioryt). Widok izby sądowéj, zburzonego ratusza krakowskiego (litograf.). Drzeworyty w różnych dziełach polskich używane przez drukarzy krakowskich w XVI, XVII i XVIII wieku.

tach miast polskich przez Dr. profess. K. Mecherzyńskiego. Tu należą: *Pamiątki polskie w Wiedniu X. Kluczyckiego, Potok genealogiczny Książąt i Królów Polskich, Der Freistaat Krakau bis j.* 1845. Niemałą wreszcie zasługę przyznać wypada p. Friedleinowi, jaka mu się słusznie należy za wydanie piérwszych w Polsce podręcznych *Słowników*, i niebłahéj wartości książek elementarnych dla dzieci; tą razą ujrzeliśmy piérwszy raz w Polsce słowniki po złp. 6 (1).

Przez lat więc *ośmnaście* wydał Friedlein do 50 książek, z których niejedna i kilkakrotnéj doczekała się edycyi. Dziś, wydawnictwo dzieł katolickich krakowskie, krząta się na polu religijném i zyskuje zasłużone pochwały, a nawet panegiryki. Ambroży Grabowski: *Opis Krakowa*; J. Łepkowski: *Starożytności Krakowa*; Alexander Płonczyński: *Groby Królów*; wreszcie wydział archeologiczny w uniwersyteckiém naukowém towarzystwie zawiązany, gorliwie zabytki przeszłości chronią od zagłady, zasłużoną odbierając w opinii publicznéj pochwałę; a któż pomni, że Friedlein był piérwszym, co na polu religijném, archeologiczném i elementarném, tyle w Krakowie pożytecznych wydał nakładów, początkował, rozbudzał, dziś bujnie wzrosłe usiłowania? Któż wié, że Friedlein piérwszy w Krakowie począł układać zbiory materyałów: drukarstwa, papierni, introligatorstwa i litografii; piérwszy z prywatnych zebrał galeryą obrazów, gabinet litografij, rycin, ksiąg polskich rzadkich i o Polsce traktujących, medalów, mapp i materyałów ogromnych do słownika geograficznego polskiego? I jakiż to los spotkał tego zasłużonego krajowi męża? Oto iskra pożaru krakowskiego zniszczyła wszystko z tych naukowych zbiorów, nakładów, stereotypów, drukarni i księgarni; pozostała kupa popieliska i gruzów, a wśród niéj sparaliżowany na ciele tyloletni pracownik na niwie naukowéj. Friedlein stracił prawie wszystko, co przez całe uzbierał życie; ale nie stracił wiary w Opatrzność i energii w działaniu, i oto widzimy go znowu krzątającego się nowém życiem, jak Fenixa, pracą w nowe porastającego pierze.

Cześć mu! cześć szczera: bo na nią w kraju zarobił.

Kraków, 1851 r. *A. B. C.*

(1) Słownik podręczny polsko-niemiecki, *Handwoerterbuch der polnischen und deutschen Sprache*; *Dictionaire portatif français-polonais*; Słownik Dr. Majera i Skobla wyrazów lekarskich; ABC malowane; Abecadło ruchome; Abecadło polskie; Książeczka Helenki (Tańskiéj); Olesia i Adaś (Tańskiéj); Przewodnik młodego wieku, ks. Lamene; Wiązanie Helenki (Tańskiéj); Wzory kaligrafii; Prawidła pisowni (K. Mecherzyńskiego); Assarmot (Tańskiéj); Szkoła na fortepian (Nowińskiego) i wiele drobniejszych. Wydania te zalecają: drzeworyty, ryciny i nadzwyczajna taniość.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Ważném jest pytanie, czy przyczyna strumieni elektrycznych pojawiających się w stanie życia lub wkrótce po śmierci zwierzęcia, jest wewnętrzną lub zewnętrzną, albo innemi słowy, czy jest niewiadomą lub też znaną. Przedmiot ten Matteucci w następny usiłuje rozwiązać sposób.

Nobili piérwszy dowiódł istnienie siły elektro-wzbudzającéj w zwierzętach; nie okazał jednak dostatecznych dowodów na ogólne zjawiska elektro-fizyologiczne, jako też na związki łączące je z własnościami i funkcyami istot żyjących. Po wynalezieniu galwanometru, śledzono elektryczność w nerwach, mózgu i muskułach zwierząt; lecz błędy towarzyszące obserwacyom i metody doświadczania nieszczęśliwie wybierane, uczyniły prawie bezpożytecznemi te mozolne prace. Chcąc bowiem niezaprzeczenie okazać bytność zjawisk elektro-fizyologicznych i wykryć prawa niemi kierujące, należało zwiększyć źródło elektryczności organicznéj, nie zwiększając jednak ubocznych i szkodliwych, a jednak koniecznych okoliczności. W saméj rzeczy, Matteucci dopiéro układając stos z wielkiéj liczby muskułów wziętych z żywych lub świeżo zabitych zwierząt przekonał, że natężenie strumieni elektrycznych wzrasta z liczbą użytych elementów muskularnych, i że kierunek strumieni od wnętrza do powierzchni muskułów nie zmienia się, jakiekolwiek płyny użyjemy na końcach stosu i do jakiegokolwiek zwierzęcia muskuły należéć będą.

Szło więc teraz o rozstrzygnienie, czy siła elektro-wzbudzająca jest w tym razie wynikłością działania chemicznego między płynami użytemi do stosu a ciałami stałemi tkanki organicznéj, albo działania chemicznego stanowiącego część funkcyi ustroju zwierzęcego, albo w końcu skutkiem budowy saméjże tkanki podczas życia istoty. W tym celu badano wpływy, jakim podlegają strumienie muskularne, i znaleziono że: 1) natężenie tych

strumieni wzrasta w miarę im zwierze stoi wyżéj w szeregu istot żyjących: np. stos z muskułów żywych ptaków jest mocniejszy od stosu z muskułów żabich; 2) strumienie słabną, gdy muskuły brane były z zabitych zwierząt i to tém prędzéj, im muskuły użyte należały do zwierzęcia wyższéj organicznéj budowy; 3) że moc tych strumieni zmienia się stosownie do stanu odżywiania muskułów: np. stos z żab złapanych zimą przy nizkiéj temp. był bardzo słaby; 4) że te strumienie słabną gdy zwierzęta użyte, zabite były np. gazem wodorodno-siarkowym; 5) że bytność nerwów i ich całość, równie jak i trucizny narkotyczne nie wpływają na moc strumieni muskularnych, i w tym razie nerwy odbywają działanie prostych przewodników; 6) że badając stosy z muskułów i z innych gatunków tkanki zwierzęcéj np. mózgu, mlecza pacierzowego, płuc i t. d. zawsze się okazało, iż strumienie prawie wyłącznie należą do muskułów i mają jeden stały kierunek. Powyższe wnioski wyprowadzone niezależnie od wszelkiéj hypotezy, prowadzą wyraźnie do szukania przyczyny strumieni muskularnych w działaniach chemicznych, stanowiących sposób odżywiania tkanek. A ponieważ trudno zaprzeczyć, że działania chemiczne między włóknami muskułów a krwią arteryalną, stykającą się z nimi są daleko większe, od działań zachodzących między krwią a błoną tkanki otaczającéj muskuły, czyli tak zwaną powierzchnią muskułów, przeto Matteucci wnosi, iż:

1) strumienie muskularne są pewno niezależne od przyczyn obcych organizmowi; 2) że przyczyna tych strumieni zawiéra się w fenomenie życia tkanek organiczych i jest stale zawisłą od mocy odżywiania tychże tkanek, tak, że biegun dodatni pary galwaniczno-organicznéj zawsze znajduje się tam, gdzie moc odżywiania jest większą 3) Nie podlega wątpliwości, iż działania chemiczne towarzyszące odżywianiu, ważną odgrywają rolę przy powstawaniu wspomnionych strumieni. (*L'Institut*, 1850 *Nr.* 883).

* A. Bain, jeszcze w 1842 r. przekonał się, że tafla miedziana zakopana w ziemię i złączona drutem z podobną taflą cynkową zakopaną w odległości prawie milowéj od piérwszéj, wydaje strumień elektryczny dostatecznéj mocy do okazania różnych doświadczeń elektro-magnetycznych. El. Loomis zastanawiając się nad powyższym strumieniem przez długi czas, widział, że tafla cynkowa blizko przez 5 miesięcy dawała prawie jednakowéj mocy strumień i zmiany zboczenia nie dochodziły. 4° Te zmiany zdają się pochodzić od większéj lub mniejszéj wilgotności ziemi, dostrzegał bowiem, że zawsze po długich deszczach natężenie strumienia wzrastało. (*L'Institut nr.* 883).

* Dawniéj już Regnault oznaczył rozprężliwość pary wodnéj tak w próżni jako i w gazach; teraz wykonał liczne doświadczenia dotyczące

rozprężliwości par innych cieczy, w różnych temperaturach. Przytém wspomniony uczony zajął się dokładném zbadaniem siły sprężystości par, powstających z mieszaniny dwóch cieczy, dla których już Gay-Lussac znalazł prawo: że siła rozprężliwości mieszaniny dwóch par wyrównywa summie sprężystości tychże par uważanych oddzielnie. To prawo musi podlegać pewnym ograniczeniom, w przypadku gdy użyte do mieszaniny ciecze wzajemnie się rozpuszczają lub łączą chemicznie; dlatego Regnault śledząc je w ogólności, zastanawiał się nad trzema następnemi przypadkami: 1) gdy użyte ciecze wcale albo bardzo mało rozpuszczają się jedna w drugiéj np. woda i benzin, woda i siarczyk węgla i t. d.; 2) gdy ciecze rozpuszczają się wzajemnie w znaczących stosunkach, np. eter siarczany i woda; 3) gdy ciecze rozpuszczają się we wszelkich stosunkach, np. siarczyk węgla i eter.

Z doświadczeń wypada, że prawo Gay-Lussaca bardzo jest blizkiém prawdy dla cieczy piérwszéj kategoryi, jakkolwiek dostrzegać się dają różnice między sprężystościami obserwowanemi a otrzymywanemi, z rachunku. Dla mieszanin cieczy drugiego rodzaju np. eteru i wody, prawo wspomnione nietylko że nie znajduje zastosowania, ale co jest ciekawszém, że przy użyciu powyższéj mieszaniny, sprężystość jéj pary nie różni się prawie wcale od sprężystości par czystego eteru. Nakoniec, do mieszanin cieczy trzeciego rodzaju, prawo Gay-Lussaca także stosować się nie powinno, gdyż sprężystość pomieszanéj pary zmienia się względnie do stosunku użytych cieczy, tak, iż zawsze jest niższą od sprężystości cieczy więcéj lotnéj wchodzącéj do połączenia, a wyższą od sprężystości cieczy mniéj lotnéj. Zdaje się więc, że w tym ostatnim przypadku zachodzi między obydwiema cieczami przyciąganie molekularne, sprzeciwiające się parowaniu i podnoszące punkt wrzenia mieszaniny do wyższéj temperatury. W końcu Regnault zajął się przejrzeniem prężności par w gazach, na któryto przypadek oddawna w fizyce przyjęto zasadę: że sprężystość par w gazach, przy tychże samych innych okolicznościach, jest jednaką ze sprężystością par w próżni. I z licznych dokładnych doświadczeń powziął przekonanie, że przywiedziona zasada stosowaną być może tam tylko, gdzie nie chodzi o zbytnią dokładność, bo w ogóle zdaje się, że prężność par w gazach niższą jest od prężności par w czczości; czego liczebnie dla wielu trudności towarzyszących obserwacyom nie mógł oznaczyć. (*Bibl. de Genève* 1850 *Mai*). *S. P.*

CHEMIA.

W dzienniku *L' Institut*, 17 *Juillet.* 1850 nr. 863, czytamy następne zawiadomienie, które tu prawie co dosłownie przytaczamy.

Chemia Przemysłowa. Wyrabianie cukru. P. Rousseau przesłał (Akademii Umiejętności paryzkiéj) swój pamiętnik tyczący się cukru i jego otrzymywania.

Aż dotąd w cukrownictwie, po otrzymaniu soku, oczyszczano go, cedzono i parowano, a nakoniec cukier rafinowano. W pamiętniku swym p. R. zastanawia się szczegółowo nad powyższemi robotami, wskazuje niedogodności im towarzyszące, a nakoniec objaśnia sposób przez który podług niego, można wyrabiać oszczędniéj i to odrazu, cukier biały nie potrzebujący być rafinowanym.

„Przez nowy sposób otrzymywania unika się okoliczności nieoddzielnych od postępowania dotychczasowego, wydobywa się cukier niezmieniony, czyli w tym stanie, jak znajduje się w roślinie; oddziela się go od ciał innych i otrzymuje głowy białe; wyrób zaś nie posiada obcego smaku, a tém samém może już służyć do użytku, bez następnego oczyszczania.

Dla osiągnienia tego celu, oparłem się na znanych własnościach soli wapiennych, przez te bowiem stają się nierozpuszczalnemi na gorąco tkanki roślinne, i wiele ciał organicznych; jednocześnie także nie dozwalam niszczyć tych ciał wapnem, a to przez stosowne ogrzanie. Tak więc nie można dodawać jednostajnéj ilości soli wapiennéj, potrzebnéj do osadzenia obcych części od cukru, bo to zależy od gatunku rośliny z któréj się sok otrzymuje, rodzaju jéj uprawy, i rozmaitego sposobu przechowania a ztąd i różnego stanu ciał do wyrabiania użytych. Jedném słowem, sól wapienna tak się zachowuje z sokiem cukrowym, jak octan ołowiu zasadowy, z tą tylko różnicą, że w obecnym przypadku, cukier działa jak kwas, a żaden związek obcy nie pozostanie w syropie. Wytłumaczyć to będzie łatwiéj można, po objaśnieniu sposobu postępowania".

W następujący zaś sposób p. R. radzi postępować z przerobieniem soku z buraków, w stosownéj porze zebranych:

Sok otrzymany sposobem zwyczajnym ogrzewa się blizko do 55° C.; dodaje się do tego taką ilość wodanu wapna przesianego, aż przestanie tworzyć się osad. Po wymieszaniu, znowu ogrzewa się go blizko do 80° C. W miarę podwyższania ciepła, spostrzegać się dają w cieczy jasno-żółtéj, liczne kłaczki, które wkrótce zbijają się na powierzchni w gruby kożuch biało szarawy, połyskujący się; jednocześnie zaś część wapna niepołączonego, czyli kawałki cięższe, opadają na dno kotła.

P. R. uważał, że przy wskazaném postępowaniu, nie wydobywa się ani ślad amonii: ciecz zaś wywięzuje z siebie słabą woń owoców.

Tym więc sposobem ciała obce znajdujące się przy cukrze całkiem skrzepły; wtedy zlewa się część ciekłą, a następnie osady i pianę wyciska się w prasach jak w postępowaniu zwyczajném. Powyższa ciecz ma teraz kolor jasny słomiany, jest bardzo czysta, wcale nie wpada w kolor czerwonawy, jak to spostrzegać się daje w soku, zwyczajnym sposobem oczyszczanym; działa mocno alkalicznie, i ma smak gryzący do tego stopnia, że prawie nie rozpoznaje się w niéj smaku cukru. Alkaliczność ta powstaje nietylko ze związku części wapna z cukrem, przez co tworzy się cukrzan dobrze znany, ale jeszcze z potażu i sody gryzących, bo te alkalia zostały wyłączone od kwasów z niemi złączonych, przez wapno, które w tych kwasach miejsce ich zajęło. Jedném słowem, sok tym sposobem oczyszczony, jest jedynie roztworem oczyszczonym cukrzanu wapna, potażu i sody gryzących, a może cukrzanów tych zasad i soli wapiennych, które mogły się utworzyć w skutku różnych oddziaływań.

Powyższe własności już niejako wskazują sposób dalszego postępowania.

W dalszym ciągu potrzeba wyłączyć cukier ze związku jego z wapnem; do tego zaś celu p. R. używa kwasu węglowego. Zwykle ten kwas otrzymuje się przez palenie węgli, a po przepłókaniu go przepuszcza się przez sok. Wtedy wszystko wapno połączone z cukrem krystalicznym zostaje strącone w postaci węglanu wapna; przy końcu jednak roboty, co łatwo rozpoznać można, zagotowywa się ciecz mętną dla zniszczenia dwuwęglanu, który mógł powstać. Gdyby jednak spostrzeżono, że sole wapienne powstałe w skutku wydzielenia potażu i sody, nie zostały rozłożone przez kwas węglowy, wtedy te zasady gryzące tylko w węglany mogłyby się zamienić, a wówczas jeszcze, jako alkaliczne, działałyby szkodliwie na cukier.

Należy więc wyłączyć wapno, i zmienić potaż i sodę na sole obojętne, jakiemi były poprzednio. W tym celu dodaje się do kotła, przy końcu nasycania, amonii gryzącéj w stosownéj ilości ze względu wapna które mamy osadzić. Wtedy natychmiast część tego alkali zmieni się w węglan, który w skutku podwójnego rozkładu utworzy węglan wapna, i sole amoniakalne; te ostatnie znowu rozkładają się przez potaż i sodę, które tym sposobem utracają swą alkaliczność, amonia zaś się uwalnia. Powyższy sok należy przecedzić przez węgiel z kości, a tym sposobem otrzyma się ciecz przezroczysta, bezbarwna, która może być niezwłocznie wyparowana, czyto na wolném powietrzu, czy w próżni, bez obawy dalszego zafarbowania. Ciecz ta tak łatwo się gotuje jak woda, bo

nie pieni się, a przez to unika się szkodliwego dodawania masła lub sadła; oprócz tego nie tworzy się skorupa na bokach kotła. Po ukończeniu parowania, syrop natychmiast może być zlany w formy, i utworzy się cukier w głowach bardzo piękny i nadzwyczajnie biały.

Syropy odciekłe z cukru powyższym sposobem wyrobionego, przy piérwszéj krystalizacyi, tak są czyste, że zaraz mogą być parowane bez żadnego poprzedniego przerabiania; ztąd zaś otrzymuje się cukier zupełnie prawie tak piękny jak piérwszy. Ale te syropy mogą zawierać w sobie pewne ciała obce organiczne, które z powodu małéj ich ilości, nie wyłączyły się przez odczynniki poprzednio użyte. Dla zaradzenia temu, pan R. na nowo używa do tych syropów wapna, w niewielkiéj ilości, i w miernem cieple. Oprócz tego, do ciał poprzednich na 10 hektolitrów soku (1000 kwart) dodaje 2 kilogramy (około 5 funtów) gliny szaréj rozmąconéj w wodzie, która pochłania znaczną ilość soli zawartych w soku, a tym sposobem cukier straci zupełnie smak i zapach niewłaściwy.

Tak otrzymany cukier z największą łatwością krystalizuje się, nie posiada smaku obcego; kryształy łatwo się opłókują, i wszystko nietrudno zmienić w głowy najpiękniejsze, bo cukier z następnych krystalizacyj, oczyszczony od syropu, po włożeniu do soku burakowego, gdy ten będzie miał 25°, zgęszcza tym samym sok; przez co oszczędza się opał, i wyrób piękny łatwo się otrzymuje.

Sposób powyższy zastosowany został w trzechnaj znaczniejszych cukrowniach francuzkich, departamentu północnego (du Nord).

* Pan Chatin przesłał akademii umiejętności paryzkiéj swą pracę, o znajdowaniu się jodu w rozmaitych ciałach, a w szczególności w wodach słodkich, i roślinach w nich żyjących. Rośliny wodne europejskie, azyatyckie, afrykańskie, amerykańskie i Nowéj Holandyi, zawierają w sobie ten pierwiastek, co dowodzi jak jest obfity w przyrodzeniu; popiół roślin lądowych nie zawiera w sobie jodu. Ztąd pan Chatin wyprowadza wniosek, że z rozbiorów popiołu roślin, można wnioskować o stanie kuli ziemskiéj w rozmaitych okresach. Tak np. *węgiel kamienny* obfitujący w jod musiał powstać z roślin żyjących na ziemi jeszcze pokrytéj wodą; *antracyt* mniéj zawierający jodu od *węgla kamiennego*, wskazuje że rośliny ziemne domieszały się do wielkich roślin kryto-płciowych, z których utworzył się węgiel kamienny; *lignit* mało tylko, lub nie mający w sobie wcale jodu, przekonywa, że gatunki ziemskie utworzyły się na skorupie kuli opuszczonéj przez wody. Jod znowu się okazuje w popiele torfu, tych okruszyn nowoczesnych, powstałych z skarłowatéj roślinności naszych bagien. Z powodu znacznego stosunku jodu, grafit

czyli ołówek zdaje się zajmować miejsce pomiędzy ciałami pochodzącemi z jestestw żywotnych (organicznych) i wodnych; i już dawniéj przed utworzeniem węgla kopalnego, ołówek wyobrażał najstarszą roślinność, czyli taką, która nasamprzód powstała na kuli ziemskiéj po jéj ostygnięciu. Zwierzęta wody słodkiéj zawierają w sobie jod w znaczniejszéj ilości od roślin w tychże samych okolicznościach żyjących. Pan Chatin sądzi, że obfitość jodu w wodach, zależy od ilości znajdującego się w nich żelaza; a to w ten sposób, że woda uważana za *żelazną*, może być także nazwana *wodą jodową*. Wody pokładów ogniowych zdają się zawierać więcéj jodu od wód pokładów osadowych. Wody zawierające wiele soli wapiennych i magnezyowych, mało zwykle mają jodu; pierwiastek ten może w wodach się przytrafia, w stanie jodku żelaza. Jod znajduje się w roślinach i zwierzętach lądowych, a szczególniéj w roślinach często skrapianych. Sole potażowe, sodowe i magnezyowe handlowe, prawie zawsze mają ślady jodu. Ciecze wyfermentowane zawierają jod w większéj ilości, od średniéj w wodach słodkich. Wina, tak jak wody niejednakowo go mają, a to stosownie do roli z któréj pochodzą. W mleku jeszcze więcéj jest jodu od win; (w mléku oślicy, więcéj jak w krowiém). Jaja obfitują w jod: jedno jaje kurze ważące 50 gramów ma więcéj w sobie jodu od kwarty mléka, a tyle co 2 kwarty wina lub dobréj wody. Jod znajduje się w roli ornéj, w siarce, rudach żelaznych, najwyższym kwasorodku manganezu, siarczyku żywego srébra i t. p. Autor utrzymuje, że brak jodu lub mała jego ilość w wodach do picia pewnych okolic, jest główną przyczyną powstawania *wola*; i radzi dla zaradzenia temu i wyleczenia się, używać pokarmów i napojów zawierających w dosyć znacznéj ilości ten pierwiastek. (*L'Institut* z 28 *Août*. 1850).

* Pan Augendre probierz w mennicy konstantynopolitańskiéj, doniósł akademii umiejętności paryzkiéj o nowéj własności chloroformu, która może znaléźć ważne zastosowanie przy zachowywaniu ciał od zgnilizny. Chociaż eter posiada wiele wspólnych własności z chloroformem, ale nie ma téj ostatniéj, bo mięso włożone do flaszy w którą poprzednio wlano kilka kropel eteru, w kilka dni się zepsuło; ale takież mięso zawieszone w flaszy zawierającéj na dnie chloroform, w zupełności się przechowywało, nabierając jedynie woni chloroformu, i cokolwiek jego smaku. Jedna dwóchsetna część chloroformu, dostateczną jest do przechowywania przez czas jak najdłuższy ciał zwierzęcych gnijących, a nawet i roślinnych, ponieważ p. A. przechowywał przez długi czas tym sposobem poziomki ananasowe, a te, jak wiadomo, w powietrzu pleśnieją i bardzo prędko się psują. Wynalazca utrzymuje, że chloroform działa tylko fizycznie, i polega na ściąganiu włókien i tkanki komórkowéj, przez co soki wyciskają się i utrudnia psucie. Kończy zaś uwagą, że ciała najmocniéj sprzeciwiające się zgniliznie, tojest chlorek sodu, chlorek cynku, chlorek merkuryuszu, chlorek formylu, zawsze w swym składzie mają chlor, i że działają na jestestwa żywotne, nie ustępując żadnéj swéj części składowéj tymże jestestwom. (*L'Institut*, 13 *Nov*. 1850).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850. LIPSK.

104. Nauka rachunków na drugą i trzecią klasę szkół narodowych w c. k. państwach austryackich. Przez dra Franciszka Mozulka.... Przetłumaczona na język polski przez A(polinarego) S(tokowskiego). 1850. 8ka. Druk F. A. Brockhausa w Lipsku, nakład J. Milikowskiego we Lwowie. Napisów kart 2 i str. 212. Złp. 5.

105. Nauka rachunków na pamięć, na pierwszą klasę szkół narodowych w c. k. państwach. Przez dra Franciszka Mozulka.... Wydanie drugie. 1850. 8ka. Druk F. A. Brockhausa w Lipsku, nakład Milikowskiego we Lwowie. Str. 98 i napisów kart 2. Złp 1. gr. 20.

1851. WARSZAWA.

37. Krótki wykład buchalteryi podwójnéj (,) z dodaniem słowniczka trudniejszych wyrażeń w kupiectwie używanych. Przez A. Schwarzensteina. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Jana Jaworskiego. Str. III i 167. Złp 3 gr. 10.

38. O źrudle (*tak*) wiedzy tegoczesnéj przez Dominika Szulca.

Z godłem: *Der erste Reformator neuern Zeit war ein Pole, der Verfasser der Schrift: de r. orbium coelestium,—Nicolaus Kopernicus.* L. Feuerbach.

8ka. Warszawa. 1851. Nakład R. Friedleina, druk Ungra. Kart 4 i str. 85. Złp 6, gr. 20.

39. Poziomowanie topograficzne. Wykład teoryczny i praktyczny, obejmujący: Sposoby mierzenia spadków przy pomiarach: gruntu, podziemnych i hydrotechnicznych; sposoby rysowania profilów, obliczania bryłowatości wykopów i nasypów, ze szczegółowém zastosowaniem do budowy dróg i zmiany kształtu danych powierzchni, oraz rozmaite zagadnienia; z domieszczeniem wielu tablic, jakoto: wstaw i dostaw na różne promienie obliczonych, ułatwiających rachunek bryłowatości, do obliczeń wysokości z obserwacyj barometrycznych i do różnych zmian służące. Tudzież niektóre uwagi tyczące się użytkowania z biegu wód (.) Z 20 tablicami figur. Napisał A. Gerschow inżynier guberuialny. 8ka. Warszawa. 1851. Druk Ungra, skład w księgarni H. Natansona. Str. XI i 430. Tablic drukowanych, osobno liczbowanych str. 130. Złp. 30.

40. Przewodnik dla większych i mniejszych plantatorów buraków, sposobem praktycznym wyłożony przez B. Handke, b. ucznia Instytutu Agronomicznego w Marymoncie. 8ka. Warszawa. 1851. Nakład Merzbacha, druk Ungra. Str. 55. Złp 3, gr. 10.

41. Neron, romans historyczny przez Alexandra Dumas. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1851. Tom I, str. 173. II, 152. Złp. 6. (Jestto powieść wyszła w Warszawie jeszcze w r. 1846, pod tyt: Aktea, tylko z dorobionym nowym tytułem).

42. Woda solecka, jéj działanie, do niektórych chorób zastosowanie, i sposób użycia. Przez J. Libchena, doktora medycyny. 8ka. Warszawa. 1851. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 160. Złp. 5.

43. Zasady technologii chemicznéj gospodarskiéj; obejmujące naukę: o wypalaniu wódki; warzeniu piwa; wyrabianiu różnych napojów wyskokowych; otrzymywaniu octu i cukru z buraków; wydobywaniu mączki i przerabianiu jéj na syrop; wybijaniu olejów i t. p. Wydał Józef Belza..... Z dodaniem pomnożonych wiadomości praktycznych Karola Kurka, tyczących się gorzelnictwa i piwowarstwa. Wydanie drugie, przerobione. Z jedną tablicą rycin. 12ka. Warszawa. 1851. Druk S. Orgelbranda. Napisów i przedmowy kart 5 i str. 450. Złp. 13, gr. 10.

PETERSBURG.

44. Pisma Henryka hrabi Rzewuskiego. 8ka. 7 tomów. Petersburg. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, drukiem K. Kraja. Tom I, II, zawiera: Wędrówki umysłowe. T. I str. XII i 192; II, 301. Z portretem autora. Tom III i IV: Teofrast polski. T. I, str. XII i 241; II 198. Tom V i VI: Adam Smigielski starosta gnieźnieński. T. I str. XIII i 202; II 251. Tom VII: Nie-bajki, powieści łżne. 16ka, (wydanie redakcyi Tygod. Petersb.) Str. 150. Złp. 66 gr. 20.

45. Poezye Józefa B. Zaleskiego. 12ka. 2 tomy. Petersburg. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, drukiem K. Kraja. Tom I str. 314. Tom II, 122. Złp. 18.

WILNO.

46. Dramata i komedye mniejsze. Przez Józefa Korzeniowskiego. Serya II. 2 tomy. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I str. 331; II 275. Spisu rzeczy karta 1. Złp. 15.

47. Dzieła Ignacego Krasickiego. Z portretem autora. Wydanie Towarzystwa Typograficznego z 1819 r. 10 tomów. 18ka. Wilno, Warszawa i Kijów. 1851. W księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego. Tom I str. LIII i 388; II 429 i rejestru kart 6; III, 654; IV, 621; V, 563; VI, 624; VII, 608; VIII 611; IX 616; X 525. Złp. 26 gr. 20.

48. Ostatni z Siekierzyńskich. Historja szlachecka przez J. I. Kraszewskiego. 12ka. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart napisowych 3 i str. 200. Złp. 8.

49. Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów Rzymsko-katolickiego Kościoła, ze względu na ich duchowne znaczenie; zebrany i ułożony przez ks. Jana Ludwika Łunkiewicza Pijara. Z godłem:

Nihil innovetur, quod traditum est, servetur.
S. Stephanus Papa.

8ka. Wilno. 1851. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. XVI i 420. Spisu rzeczy kart 4. Złp. 10.

50. Rozmowy łatwe dla młodych panien. Przez M. J. Frings, nauczyciela języka francuzkiego w Berlinie. We czterech językach. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem Rubena Rafałowicza, drukiem M. Zymelowicza. Str. 276. Złp. 5.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Między doniesieniami literackiemi w zeszłym miesiącu mylnie podaliśmy wiadomość o tłumaczeniu dzieła Otton'a i Siemens'a, gdyż przekładem tym zajmuje się p. Tadeusz Szczepański magister b. uniw. warszawskiego.

— (Wyjątek z listu). Towarzystwo naukowe w Krakowie nie ustaje w pracach. Jakoż teraz ukończony został druk tomu 1go: *Matematyki* professora *Steczkowskiego*; drukuje się *Farmacomorfika* professora *Skobla*; pierwsza część *Encyklopedyi* dla filologów prof. Małeckiego, a który zarazem jest dyrektorem organizującego się gimnazyum. Wykończa do druku professor *Kuczyński fizykę*; drukuje już *Czerwiakowski* dalszą część swéj *Botaniki szczególnéj*; podobnie też teorya *okulistyki*, i znów nauka *perspektywy* niezadługo pójdzie pod prasę. W przeciągu może pół roku professor Majer, dzisiejszy rektor, ukończy *fizyologią*. Otóż jest ośm dzieł ściśle umiejętnych, wydawanych kosztem Towarzystwa — Wincenty Poll drukuje trzy książki, wszystkie treści geograficznéj, w najnowszém pojęciu rzeczy. Zygmunt Helcel wykładając *prawo polskie*, zapewne je wyda kiedyś.

— Zbiory archeologicznéj sekcyi w Krakowie, w któréj prezyduje Józef Muczkowski, a członkami są czynnemi: Poll, Karol Kremer i Żebrawski, codziennie się powiększają: ze wszystkich stron kraju przesyłają dary, a nawet i bardzo kosztowne: do najdroższych i najosobliwszych należy bez zaprzeczenia dar Mieczysława hr. Potockiego posągu *Światowida*, znalezionego w rzece *Zbruczu* na Podolu, w tak zwanych *górach Miodoborskich*, w okolicy gdzie rzeka *Gniła* do Zbruczu wpada, poniżéj wsi *Liczkowce*, miejsca urodzenia i śmierci Tymona Zaborowskiego, którego *Dumy podolskie* prawdziwego poetę cechują. Posąg jest z kamienia ciosany, ma 4 łokcie wysokości; patrzy na świat czterema twarzami, i ze czterech stron jest ozdobiony płaskorzeźbami.

Jestto jedyny zabytek nieulegający żadnéj wątpliwości, jedyny posąg tak dochowany na całym obszarze ziem słowiańskich. (Redakcya Biblioteki Warszawskiéj, w jednym z następnych zeszytów, szczegółowego opisu tego posągu i historyi jego odkrycia nie zaniedba podać).

— Rodak nasz p. Sosnowski, poświęcający się sztuce rzeźbiarstwa w Rzymie, ofiarował darem kolosalną grupę *Antygony* własnego pomysłu, odkutą w marmurze Karrara, na korzyść pogorzeli Krakowa, któryto materyał sam przez się 500 skudów (5000 złp.) kosztował. Grupa ta, licząc tylko wartość marmuru i kamieniarskiéj pracy, oszacowaną być może na 1000 czer. zł. — Komitet pogorzeli posiada także trzy zbiory numizmatyczne monet i medalów, między któremi zbiór ofiarowany przez Franciszka hr. Wodzickiego, blizko 12,000 złp. wartujący, jest najcelniejszy. Te i inne przedmioty sztuki starożytności, oraz złożone książki, będą puszczone wraz z innemi kosztownościami przez loteryą na korzyść pogorzelców.

— W Wiedniu pracują obecnie nad ułożeniem słownika porównawczego dziesięciu głównych języków monarchii.

— Biblioteka uniwersytecka we Lwowie, została zbogacona darem zmarłego hr. Borkowskiego, wynoszącym do kilkunastu tysięcy książek. Dotąd zakład ten jest dla publiczności nieprzystępnym.

— Kilku artystów polskich w Paryżu, a mianowicie Oleszczyński i Kwiatkowski, odznaczają się niepospolitym talentem. Nagrobek *Chopina*, powierzony jednemu z pierwszych snycerzy francuzkich, był wykonany tak niedbale, że familia przyjąć go nie chciała; kiedy tymczasem nagrobek dłuta Oleszczyńskiego, jest ozdobą cmentarza.

— Brak w Krakowie dobrych, a przynajmniéj znośnych litografij, zastąpił nowo otwarty zakład pana Czerchy, z którego wyszło już kilka prób, wróżących dobrą przyszłość dla téj litografii.

— Professor historyi powszechnéj przy uniw. lwowskim dr. Wacholz, stara się o założenie na téj stolicy historycznego semiuaryum, mającego na celu kształcenie zdolnych professorów dla galicyjskich gimnazyj.

(*Nadesłano*).

... „Dowiedziałem się z radością, że w tych czasach drukarnie wydały kilka polskich utworów: ucieszyło to zarówno wszystkich, dla których pociechą są książki polskie. Wyszły: Poezye *J. B. Zaleskiego*; Marya *Malczeskiego*; Powiastki i gawędy; Szwedzi w Polsce przez autora *Anny*; Ostatni z Sieklerzyńskich, *J. I. Kraszewskiego*, oraz Pisma *Henryka* hr. *Rzewuskiego*, jakoto: Śmigielski; Teofrast polski; Wędrówki umysłowe; Niebajki; a to wszystko tak pięknie drukowane, że aż miło oka dołożyć. I rzeczywiście, nigdy wartość zewnętrzna pod względem typograficznym, nie była w większéj harmonii z wartością wewnętrzną czyli treścią".

„Wydawca książek wyżéj wymienionych przygotowuje nadto jeszcze przedruk dzieła: *Monumenta Regni*, do którego udało mu się nabyć tablice Stachowicza".

„W rodzaju ozdobnych wydań księgarskich, zabiegły wydawca zamierza ogłosić: Podróż krajobrazową po dawnéj Polsce; coś podobnego do Świata Malowniczego *Didotów*, co wytwornością przypominać będzie w podobnym rodzaju wydania angielskie".

---

† W Krakowie, dnia 16 lutego b. r. umarł Konstanty Majeranowski, niegdyś wydawca *Pszczółki* i kilkoletni redaktor *Gazety Krakowskiéj*, *Gońca* i innych pism, autor kilku znanych dzieł dramatycznych, z których *Urszula Majeryn* i *Rej z Nagłowic*, w ostatnich latach wystawione na teatrze krakowskim, zyskały powszechny poklask. Wreszcie autor kilku powieści, a za czasów Rptéj cenzor rządowy.

† W Krakowie, dnia 6 lutego b. r. umarł Apoloniusz Tomkowicz w 47 roku życia, znany z wielu pism w zawodzie historycznym, drukowanych w dziennikach i zbiorach literackich. Zajmował się zmarły szczególniéj dziejami dawnych księztw oświecimskiego i zatorskiego, w których zamieszkiwał. Zostawił piękny księgozbiór i materyały do historyi wspomnionych księztw, oraz wiele wykończonych artykułów.

† W dniu 28 lutego (12 marca) b. r. umarł w miasteczku Cudnowie, w gub. wołyńskiéj, Jan Barszczewski, Białorusin, znany w naszéj literaturze z rozmaitych pism prozą i wierszem. Żył lat 61.

† Dnia 5 października 1850 roku, w Zwierzyńcu w pow. zamojskim umarł Marceli Skotnicki. Żył lat 35.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Marzec, 1851.

Marzec 1851. Dostrzeżenia w Obserwatoryu Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morz jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ· 14ᵐ· 45ˢ·,7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschó względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1		751.93	751.22	748.39	745.34	−13°.0	− 7°.8	− 3°.8	− 5°.6	89.5
2		742.25	743.90	746.98	750.49	− 5.9	− 6.2	− 4.2	− 10.6	91.7
3	●.	753.18	753.11	747.81	739.10	− 19.1	− 13.9	− 6.5	− 7.1	—
4		736.77	738.40	740 68	741.88	− 3.7	− 2.7	− 4.8	− 8.1	
5		742.46	742.70	740.28	735.42	− 8.5	− 6.0	− 1.3	− 3.3	95.7
6		729.65	730.35	732.36	738.30	+ 0.1	+ 1.7	+ 0.9	− 3.8	96.0
7		740.33	742.58	745.12	748.19	− 9.0	− 5.0	+ 1.2	− 3.6	91.1
8		751.51	752.96	754.30	756.38	− 3.9	− 3.3	− 2.6	− 4.0	94.7
9		756.34	757.12	756 28	757.25	− 6.9	− 5.0	+ 0.4	− 7.2	91.8
10	☽.	756.82	756.28	754.68	754.65	− 6 9	− 3.0	+ 2.3	− 1.2	90 0
11		755.11	756.27	756 91	758.16	− 2.0	+ 1.7	+ 2.7	− 2.0	83.5
12		758.27	758.46	757.01	754.88	− 1.6	+ 3.1	+ 1.3	− 2.3	89.0
13		752.09	751.75	750 20	752 20	− 4.7	− 0.6	+ 4.4	− 0.9	86 5
14		752.20	752.93	752.57	753.22	− 4.0	+ 0.3	+ 4.5	− 0.7	—
15		753.28	754.28	754.06	753.54	− 2.3	+ 1.2	+ 2.0	− 2.3	91.3
16		752.51	752.14	749.76	748.82	− 4 9	− 0.6	+ 6.5	− 0.6	96.7
17	☾.	748 76	748.93	747.69	746.81	− 0.4	+ 4.3	+ 7.7	+ 0.4	86 0
18		745.30	745.40	744.07	745.21	− 0.9	+ 3.2	+ 4.9	+ 1.2	92.5
19		744.81	743.14	739 33	739.63	+ 0.4	+ 3.2	+ 4.0	+ 1.7	90.5
20		744.22	744.72	740.24	741.17	+ 0.6	+ 2.3	+ 5.0	+ 5.4	86.5
21		743.83	744 60	744.28	743.62	+ 2.5	+ 3.1	+ 3.9	+ 2.7	96.8
22		742.82	742 22	740.76	742.89	+ 1.2	+ 5.1	+ 12.6	+ 5.7	91.2
23		744.39	744.62	743.82	743.92	+ 2.9	+ 4.9	+ 13.1	+ 6.2	89.3
24	☾.	743.24	743.16	743.22	746.34	+ 4.9	+ 12.4	+ 17.4	+ 8.9	68.7
25		748.27	748.95	747.32	746.96	+ 6.0	+ 9.5	+ 14.1	+ 7.2	83.8
26		746.99	748.04	747.79	747.86	+ 5.7	+ 7.1	+ 11.0	+ 3.8	84.5
27		746.80	746 41	745.34	747.45	+ 4.8	+ 9 5	+ 13.1	+ 5 5	79.5
28		745.50	742.55	739.65	739.68	+ 2.7	+ 9.0	+ 8.2	+ 6.0	85.2
29		743.46	745.08	743.78	740.33	+ 3.7	+ 6.3	+ 8 4	+ 7.4	77.5
30		735.78	737.66	739.47	743.03	+ 9.4	+ 9.4	+ 8.4	+ 4.0	81.5
31		743 68	744 39	743.42	744.06	+ 1.4	+ 7.4	+ 9.7	+ 4.7	87.8
Śre.		746.856	747.236	746.373	746.654	−1°.66	+1°.63	+4°.64	+0°.18	88.18

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé. szczu	śnie gu
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdZ.	Pd.		
pochmurny	napół pog.	pr. pochm.	pogodny	—	—	—	Pn.		7.8
pogodny	pogodny	pochmurny	śnieg	—	—	PdZ.	PdZ.		
napół pog.	pogodny	pochmurny	pogodny	—	PnZ.	PnZ.	PnZ.		3.2
lek. pochm.	pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	—	—	Pd.		
pochmurny	pochmurny	śnieg	pogodny	Pd.	PdZ.	—	—		15.8
pogodny	pogodny	pogodny	mgła	—	—	—	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	—	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pogodny	pr. pochm.	lek. pochm.	pogodny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	PdW.	Pd.	—	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pggodny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	—	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	—	PdW.	PdW.	—		
pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	—	—	Pd.	—		
pr. pogod.	napół pog.	dészcz drob.	mgła lekka	—	—	—	—	8.3	
pochmurny	pochmurny	dészcz drob	napół pog.	PdZ.	Pd.	Z.	Z.	12.5	
napół pogd.	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PdZ.	Pd.	PnZ.	8.5	
pochmurny	pochmurny	dészcz drob.	pochmurny	—	—	—	PdW.	22.0	
mgła	pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	Z.		
mgła	mgła	pogodny	pogodny	—	PdW.	W.	—		
pogodny	lek. pochm.	napół pog.	pogodny	—	PdW.	PdW.	—		
mgła		lek. pochm.	pogodny	—	Pn.	—	—		
lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	pogod. mgła	Z.	Z.	—	—		
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pd.	—	—	PnZ.	1.7	
pogodny	napół pog.	napół pog.	dészcz	PdZ.	Pd.	PdZ.	PdZ.	4.2	
pochmurny	pr. pochm.	napół pog.	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	Pd.	3.2	
pochmurny	pochmurny	dészcz drob.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	0.6	
napół pog.	napół pog.	pochmurny	dészcz	PdZ.	Pd.	Z.	Z.	2.3	
								63.3	26.8

	mm.		
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.780	27	7 041
Najwyżej dochodził — d. 12 o g. 10 r.	758.46	28	0.222
Najniżej — — d. 6 o g. 6 r.	729.65	26	11.451
Średnia zmiana dzienna barometru	4.048		1.752
Największa zmiana dzienna barometru d. 3—4 o g. 6 r.	16.41		7.285
Średnia wysokość barometru jest niższa o	2.10		0.931
od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	748.880	27	7.975
Średnia temperatura Marca wynosi:	+ 1.°22 C.		+0°.96 R.
i ta jest wyższa o	0.584 „		0.451 „
od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	+ 0.636 „		+ 0.509 „
Największe ciepło dochodziło d. 24 o godz. 4 popołud.	+ 17.6 „		+ 14.08 „
Największe zimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	— 19.1 „		— 15.28 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 15.1 R. d. 24 po połud.
Minimum: — 15.3 „ d. 3 rano

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.762 „		2.209 „
Największa zmiana dzienna d. 3—4 o godz. 6 rano.	15.4 „		12.32 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 63,3 milim., czyli 28,05 lin. par.; z śniegu 26,8 milim., czyli 11.9 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 90.1 milim. czyli 39.95 lin. par., t. j. o 24.05 lin. par. więcéj, niż w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 88,18 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 5.12 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 1.3 większa niż w stanie normalnym.

Dni pogodnych było 7, napół pogodnych 11, pochmurnych 13.
— deszczu 9 (d. 18, 19, 20, 21, 26, 27, 28, 30, 31).
— śniegu 6 (d. 1, 2, 3, 4, 5, 6).
— mgły 8 (d. 7, 18, 19, 21, 22, 23, 25, 26).

Wiatr panujący: Południowo Wschodni.

Wichrów 2: PdZ. i Z., wiatrów mocnych 5 PdZ=3; Pd=1; Z=1.

Marzec r. b. w piérwszéj połowie był mroźny i śnieżny; w drugiéj ciepły, lecz słotny i mglisty; w ogóle pogodniejszy i blizko o pół stopnia cieplejszy jak zwykle. Najcieplejsze dni były d. 23, 24, 27; najzimniejsze d. 1, 2, 3. Od dnia 18 deszcze padały często i obficie.

D. 1 i 4; świeciła Zorza Zodyakalna.

D. 2, 3, 9, 14, 15, 16, 17, i 22 pokazywały się plamy na słońcu, z tych jedna d. 14 była tak wielka, że ją przez szkło ciemne nie powiększające widać było.

D. 20 o godz. 6 wieczorem, lody na Wiśle powyżéj mostu ruszyły.

D. 22 przy wysokości wody stop 12 cali 2, lody jeszcze płynęły.

POSZUKIWANIA

DO HISTORYI ROLNICTWA KRAJOWEGO.

Część druga.

Rodzaje ludności rolniczéj. — Własność i dzierżawa. — Pańszczyzny i czynsze. — Postęp pańszczyzny z wydziałowéj na tygodniową. — Różnice urządzenia wsi w XIII i XIV, a XV i XVI wieku.

Aby poznać stosunki naszego dawnego rolnictwa, zwróciliśmy naprzód uwagę na podział ziemi pod względem rolniczym, i na zmiany w tym podziale z koleją czasów zachodzące. To jednakże było jedną tylko stroną przedmiotu. Aby go dokładnie poznać, potrzeba rozpatrzéć się, kto posiadał ziemię, czyli poznać rodzaje i klassy ludności rolnictwu oddanéj; poznać daléj warunki posiadania ziemi, ciężary publiczne i prywatno do niéj przywiązane. Ziemia jest tylko warsztatem rolniczym: trzeba jeszcze znać ludzi około tego warsztatu krzątających się, warunki pod jakiemi ten warsztat istnieje i ruch swój odbywa, ciężary jakie ponosić musi; wreszcie stosunki wzajemne, jakie rozmaitych pracowników łączą. Wszystko to łączy się i wpływa na losy samego rolnictwa. Niedosyć jest, aby ziemia była żyzną z przyrodzenia, tak lub inaczéj rozdzielona; jeżeli brakuje podstaw pewnych, byt rolnika ubezpieczających; jeżeli wzajemne stosunki pomiędzy sobą osób rolnictwem się trudniących, nie są ustalone; jeżeli tłumaczenie umów i zobowiązań wzajemnych, dowolności strony jednéj lub obudwóch zostawione: ważne ztąd wyrość mogą skutki dla ogólnego stanu rolnictwa. Ciężary znowu i powinności gruntowe, wprawdzie z natury swojéj zmienne i regulujące się zwykle do ludności kraju, obfitości pieniędzy, stosunków handlowych, wartości

produktów rolniczych, mogą być, ze względu na te okoliczności, zbyteczne, umiarkowane lub małe; w każdém z tych przypuszczeń, wywiązują się odmienne stosunki, na położenie rolnictwa wpływające.

Rodzaje ludności rolniczéj, ich stosunki wzajemne, warunki posiadania, mogą być nader rozmaite. Jak na szachownicy, tak na ziemi rolnictwu oddanéj, ludzie rozmaicie mogą się ustawiać, rozmaite miéć prawa i warunki swego ruchu, a wypadek zawsze będzie odmienny.

Mogą być wielcy, średni, drobni posiadacze rolni; mogą posiadać ziemię tytułem własności, dzierżawy wieczystéj, czasowéj krótko lub długotrwałéj; dzierżawa może być opłacana w czynszach pieniężnych, ziarnie, pewnéj ilości roboty albo dni roboczych. Część ludności rolniczéj względem drugiéj jéj części, może być w stosunkach poddaństwa z tytułu posiadania ziemi; albo też ich stosunki mogą się opierać na dobrowolnéj stron obydwóch umowie. Te umowy znowu mogą być różne wedle potrzeb i zwyczajów. Takie różnice mogą istniéć w ciężarach publicznych, jak w stosunkach prywatnych pomiędzy różnemi klassami rolniczemi. Mogą być w pieniądzach, naturaliach lub robocie. Jedne klassy mogą ponosić odmienne od drugich, lub zupełnie być od nich wolnemi. Rzadko się zdarza jeszcze, aby te różnice, które wskazaliśmy, nie mieszały się w rozmaite kombinacye. Najczęściéj jeden system nie jest wyłącznie przyjętym, ale różne, z mniejszą lub większą przewagą, obok siebie zajmują miejsce. To tworzy znowu liczne urozmaicenia; a każda z nich wywiera wpływ oddzielny i sobie właściwy.

W jaki sposób każda z tych różnic w stosunkach osób, posiadania ziemi, ciężarów i powinności wpływa na taki lub odmienny stan pewnéj klassy rolniczéj, jednéj z gałęzi rolnictwa lub na jego ogół, nie myślimy nad tém się zastanawiać; chcieliśmy tylko wskazać w ogólnych wyrazach, że wzgląd na to jest ważnym i prawie niezbędnym, kreśląc obraz rolnictwa jakiegobądź kraju, gdyż różnice te wpływ wywierają na losy jego, i położenie pewnéj epoki objaśniają.

Rzeczywiście rolnictwo może podnosić się lub upadać, w miarę jak przechodzi w ręce rolników ubogich i nieukształconych, lub zamożnych i oświeconych; w miarę jak własność ustala się i ubezpiecza; w miarę jak zmieniają się kontrakta dzierżawne; jak powiększa się lub zmniejsza liczba właścicieli. Może podnosić się

lub upadać w miarę jak praca uwalnia się z więzów sztucznych, lub nowe na nią są wkładane; w miarę wreszcie, jak natura opłat gruntowych zmienia się stosownie lub niestosownie do położenia i okoliczności, na pieniądze, zboże lub robociznę, bez względu na pracowitość, moralność i przemysł ludności rolniczéj, na obfitość pieniędzy i ceny produktów.

Wprawdzie, praktyczne rolnictwo mniéj na to wszystko zwraca uwagi. Zadaniem jego jest z danéj przestrzeni ziemi wyciągnąć jak największą czystą intratę. Na tém zadaniu zwykle się ogranicza. W tym zakresie nawet pozostaje mu jeszcze obszerne pole do ważnych i pożytecznych odkryć i spostrzeżeń. Ogólną organizacyą posiadłości ziemskich uważając za rzecz daną, stosunki osób, rodzaje powinności za opisane i ustalone prawami i zwyczajami, niezawsze potrzebuje zatrzymywać się nad przedmiotami, w jéj wyłączne zadanie niewchodzącemi. Sądzimy jednakże, że to, na co mniéj ma powodów zwracać uwagę rolnictwo praktyczne, nie może być obojętném dla historyi rolnictwa. Historya każda, a zatém i historya rolnictwa, pod tym warunkiem tylko może być użyteczną i nauczającą, jeżeli nie ogranicza się na samém zebraniu faktów, ale bada przyczyny i skutki.

Jest wiele przyczyn upadku lub wzniesienia się rolnictwa, które bez rozważenia stosunków i położenia różnych klass rolniczych, bez rozpatrzenia się w warunkach posiadania ziemi i ciężarach do niéj przywiązanych, byłyby rzeczywistą zagadką. Dlatego na ten przedmiot zwrócimy teraz nasze poszukiwania, nie sądząc, abyśmy odstępowali od zamierzonego celu.

II.

Od czasu, w którym stosunki wewnętrzne krajowe zaczynają rysować się w wyraźniejszych kształtach, tojest od wieku XII, spostrzegamy różne i liczne rodzaje posiadaczy ziemi. Znikły i zatarły się ślady dawnéj wspólności gminnéj przedchrześciańskiéj, i śladów jéj dopatrzyć się nie można. Własność prywatna pojedyncza pokazuje się wyraźnie i dobitnie. Monarchowie, książęta nadają *jus haereditarium*, a lubo niekiedy ograniczają nadania pewnemi obowiązkami: to służby wojennéj, to opłat pieniężnych, natomiast nadają znowu niektórym moc sądzenia, rządzenia, władania, prawie równą swojéj. Takież same nadania otrzymuje duchowieństwo. Tym sposobem powstają własności

prywatne, i właściciele ziemscy wyżsi nad prawo i bezwarunkowi. Ale takie wyjęcia zpod prawa ogólnego zyskiwało tylko wyższe rycerstwo i duchowieństwo. Właściciele na prawie dawném polskiém dzierżą ziemię z licznemi obowiązkami i ciężarami książęcemi, czyli publicznemi. Stosunek tych właścicieli do reszty ludności rolniczéj, do saméj ziemi, jest raczéj zwierzchnictwem, jak czystém prawem własności. Zwyczaje, jeśli nie wyraźne przepisy prawa, oddają posiadanie ziemi różnym klassom rolniczym, które najliczniejsze powinności i ciężary względem państwa albo monarchy ponoszą. Obok tych niewiele pozostaje miejsca dla ciężarów i powinności dominialnych. Prawa więc i dochody właścicieli, o ile nie są w stanie wyjątkowym, zdają się być ograniczone. Ale nadania wyjmujące zpod ogólnego prawa, coraz się więcéj szerzą. Nowe osady zakładają się na nowych prawach. Czyste dziedzictwo ustala się z czasem. Ciężary publiczne powoli się zmniejszają, a właściciele zyskują korzystniejsze warunki z oddawanéj pod uprawę ziemi. O ile państwo, a raczéj monarchowie ustępują swoich praw i korzyści, o tyle prawo własności staje się rozciąglejszém i korzystniejszém.

Następujące spotykamy w XII wieku rodzaje posiadaczy ziemi: monarchę, prałatów świeckich, zakony i klasztory; panów, szlachtę, rycerstwo; posiadaczy osad rycerskich (*praedium militare*) cząstek dziedzicznych (*sortes haereditarias*) łanów wolnych; daléj rozliczną ludność rolniczą różnie nazywaną i pod różnemi obowiązkami ziemię posiadającą.

Najdawniejsze dyplomata ludność tę nazywają: *incolae*, *inhabitatores*, *possessores*, *obnoxii*, *rustici*, *coloni*, albo poprostu *homines*. Jeden z dyplomatów XII wieku wyraża się: *conferimus eam (villam) cum familiis suis*; niektóre używają wyrazu *haeredes*. W owym wieku rzadko się spotykamy z wyrazem kmieć; w XIII dopiéro wieku staje on się częstszym, a w XIV powszechnym. Zdaje się, iż jakiś czas nie mógł wejść do ówczesnéj łaciny; z czasem dopiéro odważono się w łacinę wcielać i końcówkę dodawać właściwą wyrazom polskim; wprzód probowano stosować łacińskie i obce nazwy różnego rodzaju rolnikom. Ztąd ta rozmaitość nazwisk. *Praedium militare*, *sors haereditaria* znikły zdaje się wprzód, zanim się język polski ustalił w użyciu piśmiennem i prawodawczém; dlatego na nie nie spotykamy właściwéj polskiéj nazwy.

Pod względem osobistych stosunków ludności rolniczéj, najogólniejszy jéj podział zdaje się być na wolnych i niewolnych

(*liberi, illiberi*). Ostatnich nazywają często dyplomata *adscriptitii, originarii, obnoxii*. Niektóre jeszcze mówią o niewolnikach (servi) i zdają się odróżniać ich od *ascriptitiów*.

Że niewolnicy (servi) mogli powstać z brańców wojennych jest bardzo prawdopodobném. Wielu kronikarzy krajowych i obcych wspomina o zaborach jeńców i obracaniu ich do uprawy roli. Kadłubek opisując zwycięztwa Bolesława III (1), Gallus (2), Długosz (3) świadczą o frymarczeniu niewolnikami i osadzaniu ich na gruntach. Ostatni powiada o wielkiém mnóstwie pojmańców (Prusaków), któremi pustynie obsadzono, i że za jego czasów jeszcze nazwiska narodu, z którego wyszli, nosili (4). Toż samo potwierdza Bielski (5). Aby tym jednak nadano nazwę *ascriptitii*, aby to miało jedno i to samo znaczyć, lub *ascriptitii* powstać z jeńców wojennych, trudno w tém podzielać zdanie Bandtkiego i Naruszewicza. Nazwa *ascriptitiów* nadawana była nazbyt znacznéj części ludności rolniczéj, iżby można przypuścić, że z niewolników i brańców wojennych powstać miała. Inny więc musi być początek jednych, a inny drugich. Jak się jednak tworzyły, jak powstawały różne rodzaje ludności krajowéj, nie należy do naszego przedmiotu. W późniejszych czasach wyraz *servus* używany jest tylko w znaczeniu służebnego.

Jaka była różnica pomiędzy *ascriptitiami* a *originariami*, wyjaśnia Długosz (6). W ogólności wyraz *originarii* nieczęsto się spotyka w pismach źródłowych; wyraz *ascriptitii* jest częstszy, mianowicie w wieku XIII. Zdaje się, iż nim oznaczano wszelką ludność rolniczą, na zawsze lub pewne lata do ziemi przywiązaną, a z kondycyi swéj do ludności wolnéj nie liczącą się. W XIII i XIV wieku upowszechnia się, jak powiedzieliśmy, wyraz *kmetho* na oznaczenie rolnika, i zastępuje inne; lubo i dawne gdzieniegdzie się jeszcze plątają. Ale wprowadzenie tego ogólnego nazwiska

(1) Edy. IIp. 112. (2) S. 82. (3) I. s. 109, 115, 183, 197, 308. Dlmar, s. 129. Bandtkie: Hls. pr. pol. s. 89.

(4) Str. 405. (5) T. 1. s. 253. „Jakoż jest wiele wsi w Polszcze co je Prnssy zowią". (6) Wspominając o darowiznie kasztelanii Chropy (późniéj Pabianice) w ziemi sieradzkiéj pod r. 1086 mówi: „cum hominibus ascriptitiis qui per 30 annos fuerunt in manuali possessione vel qui astricti sunt glebae soli propria professione et originariis qui ex ascriptiis nati, in ipso solo glebae coaluerunt et cum servitutibus eorum et tributis quae consistunt in frumentis, melle, pellibus mardurinis. Band. Hist. P. P. s. 90.

w miejsce mieszaniny nazwisk dawnych, nie zaciera różnicy rolników wolnych i niewolnych.

Trudno jest dzisiaj oznaczyć, jaka była właściwie różnica pomiędzy ludnością rolniczą wolną i niewolną. Jedni jak drudzy zarówno zamieszkiwali włości, pomieszani z sobą (1). Zarówno jednych jak drugich niektóre nadania uwalniają od sądów kasztelańskich (2), inne od danin i powinności osobistych (3). Jedni jak drudzy zarówno mogli posiadać ziemie dziedziczne (4). Zdaje się, iż najogólniejsza różnica była w używaniu wolności osobistéj i prawa swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Musiały jednakże zachodzić pewne różnice pod względem sądownictwa i niektórych obowiązków publicznych, gdyż o nich wspomina przywilej z r. 1239 (5). Można także wnosić, iż wolni (liberi) nie będąc żadnemi osobistemi obowiązkami krępowani, dobrowolnemi tylko umowami brali zobowiązania.

Ta to część ludności nadawała życie i ruch ówczasowemu rolnictwu, i wraz z obcemi kolonistami zakładała nowe osady, wole, jak świadczy przywilej z r. 1293 (6). W owym czasie, kiedy niektóre nadania dawały moc zbiegłych ascriptitiów, wszędzie gdzieby się znajdowali imać, więzić i jakoby za karę w niewolą obracać (7), ludzie wolni byli prawdziwą dźwignią, wznoszącego się na nowych zasadach rolniczego porządku, ważną wskazówką, w czém dawny poprawy potrzebuje i gdzie lekarstwo znaleźć może.

Powiększono liczbę ludzi wolnych przez przejęcie prawa niemieckiego, a ztąd powstały dwa nowe rodzaje ludności rolniczéj: osadnicy (*coloni*), kmiecie pod prawem niemieckiém będący, równający się ludności wolnéj, i sołtysi, właściciele dziedziczni, ale do pewnego stopnia pod zwierzchnictwem właścicieli głównych będący.

Oprócz powyższych rodzajów ludności rolnéj, spotykamy jeszcze wzmianki rzadkie w końcu XIII i XIV wieku o hortulanach,

(1) K. D. War. T. 1. nr. 39, r. 1252. „Et ut nostra libertas clarius elucescat, volumus ut incolae dictarum villarum, tam liberi, quam alii"; ibi nr. 40 r. 1252 „Statuentes jure perpetuo ut homines eidem ecclesiae, tam ascriptitii quam liberi".

(2) Ibi: „tam ascriptitii quam liberi, pro quacunque causa nullatenus debeant ad praesentiam Castellani Vislic. provocari". (3) Ibi nr. 45 r. 1256: ut incolae, ejusdem villae, cujuscunque conditionis ascriptitii seu liberi ab omni exactione et vexatione praedialí penitus sint immunes". (4) Ibi T. II, nr. 101 r. 1273. (5) Ibi. T. II nr. 24. (6) Ibi T. I. nr. 83 r. 1293: Contulimus auctoritatem locandi... cum Theutonicis et liberis Polonis. (7) Ibi T. I, nr. 76 r. 1291.

mniejszą rozległością posiadanéj ziemi różniących się od innych rolników, ale zwykle czynszowych. Musiał ten rodzaj ludzi być nieliczny jeszcze za czasów statutu wiślickiego, bo nadania rzadko o nim mówią, a statut zupełnie zamilcza. W aktach publicznych piérwszy raz zjawia się około połowy XV wieku (1).

Przy nierozwiniętym systemacie wielkiéj folwarcznéj uprawy i małéj wartości ziemi, chętnie zdaje się rozdawano ją pod pewnemi obowiązkami nawet ludziom służebnym. Oprócz osad i ról łowieckich, bartniczych, rybackich, spotykamy od najdawniejszych czasów karczmy z rolami, młyny opatrzone gruntami, a nawet koniuszych, pokojowych, zakrystyanów, kucharzy i t. p. osadzonych na rolach (2).

Statut wiślicki pomija wszystkie różnice liberów, illiberów ascriptitiów, servów, a na to miejsce wprowadza ogólną nazwę *rustici, villani seu kmethones* i o nich tylko mówi. Tych rozróżnia na osiadłych na prawie niemieckiém, na osiadłych na prawie polskiém i na osiadłych na wolach.

Kiedy wszystkie ciężary i powinności z prawa polskiego płynące za Ludwika zniesione zostały; kiedy Władysław Jagiełło w Czerwińsku r. 1422 (3) wyrzekł „iż niestosownie, aby poddani jednego monarchy różnego używali prawa", a wszystkim i każdemu zosobna nakazał, aby w sądach ziemskich szukali sprawiedliwości; kiedy prawo niemieckie chylić się, a sama ludność jemu uległa opuszczać go poczęła, dlatego: iż było niekiedy surowsze, niezawsze dość znane i oznaczone, a mianowicie pozbawiające opieki dominialnéj w chwilach klęsk i upadku; kiedy sołtystwa coraz częstszemu ulegać zaczęły skupowi, jako niepożyteczne i władzy sądowniczéj pozbawione (4); kiedy przypływ obcych osadników ustał, wole nowe mniéj często były zakładane,

(1) W XIII i XIV w. znajdujemy o nich wzmiankę w kilku dyplomat.: u Nakielskiego w Miechowii, u Długosza w *liber beneficiorum*. W XV w. jest mowa o nich w przywileju Władysł. Jagieł. w Jedlnie 1433 i w Taxie pod. Kazi. Jagell. (2) Kod. dy. wa. T. I. r. 1145. „Szechowo cum cocis, Irgowo cum sanctuariis et stabularibus, Grabonowicz cum camerariis, Zlauscho cum piscatoribus" etc.

(3) Vol. Leg. I. s. 84. (4) Najwięcéj sołtystw zostało skupionych w XV i XVI wieku, jak przekonywają dypl. oryg. w metry. sekret. Głów. Archiw. W r. 1457 Zygmunt I dał pozwolenie Bonie wykupienia wszystkich sołtystw i wójtostw do stołu królewskiego przynależnych i używania ich dożywotnie. M. S. A. G. nr. 315.

a system większéj uprawy upowszechniać się zaczął: zacierały się powoli wszystkie różnice i odmiany ludności rolniczéj, tylko rozległość posiadanéj ziemi, wysokość czynszu i powinności mogły jeszcze różnicę pomiędzy nimi stanowić. Mogła jeszcze być wątpliwość: czy są tacy, którzy ziemię posiadają dziedzicznie, ale i tę późniejsze prawodawstwo usunęło.

Jak więc w stanie rycerskim znikały rozróżnienia *baro*, *comes*, *miles famosus*, *scartabellus*, *miles creatus de sculteto aut kmethone*, tak w klassie ludności rolniczéj nastąpiło porównanie czyli kockwacya obowiązków publicznych, praw i nazwisk. Odtąd w prawodawstwie jest tylko mowa o kmieciach, których różne obowiązki miejscowe różnią.

II.

Jak różne były podziały ziemi, i różne rodzaje jéj posiadaczy, tak niemniéj różne tytuły i warunki pod jakiemi ziemię dzierżyli. Były wielkie, średnie i małe posiadłości; te rozdrabiały się, zrastały w większe i mniejsze naprzemian. Pod jednym właścicielem często gnieździła się gromada rozmaitego rodzaju posiadaczy. Na jednéj dziedzinie duchownéj lub świeckiéj spotykamy nieraz cząstki dziedziczne, osady rycerskie (1), sołtystwa, łany wolne, zamieszkane przez wolnych i niewolnych, kmieci, kolonistów, dziedzicznych i czynszowych ludzi; oprócz karczmarzy, młynarzy, łowczych, rybaków, bartników i t. d.

Tak w dobrach monarszych jak prywatnych, urządzano osady albo folwarki wedle potrzeby i stosunków miejscowych. Ponieważ początkowo przeważał system kolonizacyjny i czynszowy, więcéj urządzano osad, jak folwarków. Tu zakładano je na czynszach, tam na sepach, gdzieindziéj na pewnych daninach. Tu nakładano daninę miodową, gdzie miejscowość do tego przemysłu zachęcała; tu obowiązki łowieckie, tam rybackie, gdzieindziéj wkładano obowiązek pilnowania i łowienia bobrów. Tym sposobem wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego rozkwitały, i tworzyła się korzystna, a zarazem zajmująca rozmaitość, zarówno przyjazna różnym skłonnościom i usposobieniom ludzi, jak zyskownemu ciągnieniu intraty z ziemi.

(1) P. Maciejowski w Rocznikach i Kronikach mówi, iż osada czyli udział rycerski zawiérał w sobie 4 łany. Str. 231.

Z téj rozmaitéj ludności, tak różnobarwną mozajkę składającéj, jednych źródła historyczne nazywają czynszownikami (censuales), innych posiadaczami (possessores), innych wreszcie dziedzicami (hæredes). Oprócz osad rycerskich (prædium militare), części dziedzicznych (sortes), sołtystw, łanów wolnych, które niewątpliwie były własnościami niezawisłemi, spotykamy jeszcze wzmianki o innych drobnych własnościach.

Przywiléj z r. 1105, jakkolwiek wątpliwy, ale jednak za ważne źródło historyczne uznany, wspomina dziedzicznych posiadaczy w każdéj włości, wyliczając ich po nazwisku (1). Nadanie fundacyjne klasztoru sulejowskiego z r. 1176 mówi: „His (villis) addimus Chennam cum hæredibus suis et Thandow" (2). W przywileju z r. 1255 czytamy: „salva tamen hæreditate hominum nostrorum ibi degentium" (3). Przywiléj z r. 1273 mówi: „quod Rathek, Raden, Nezalec, et Radik homines nostri ascriptitii hæredes de Gacow" (4).

Co do piérwszego przywileju sprawiedliwą robi uwagę pt. Maciejowski (5), iż kiedy tam powiedziano, iż ci właściciele lubo wolni od ponoszenia ciężarów dla księcia, obowiązani są przecież płacić czynsz opatowi; tém samém dano poznać, że tu nie o właścicielach jest mowa, lecz o czynszownikach, niezupełną własność mających, kiedy z niéj czynsz płacili. Ta sama uwaga da się odnieść do ludzi w tymże przywileju niżéj wyrażonych, pewne powinności osobiste odbywających; ale nie da się zastosować do innych wyżéj przytoczonych przywilejów, w których nie masz mowy o powinnościach osobistych lub czynszach. Czemużby nie można przypuszczać, że skoro prawa nie wzbraniały nikomu posiadać i nabywać na własność ziemię, mogła częściowo, pojedynczo, lub w niektórych całych osadach, darowizną lub kupnem, stawać się własnością jéj mieszkańców. Tym sposobem mogli być pojedynczo lub włościami właściciele, których prawa nabyte szanowano. Że to nie było przeciwne ówczesnym wyobrażeniom i duchowi praw, widzimy z tego, że statut wiślicki nazywa posiadłości kmieci, na prawie niemieckiém osiadłych, dziedzictwem; a statut Włady. Jag. z 1420 roku mówi o dziedzictwie kmiecém. Musiało to jednak nie być prawem ogólném,

(1) Hist. Mo. Tinec. s. 138. (2) Kod. Dy. Wa. no. 4. (3) Kod. D. W. T. II, no. 68. (4) Tamże no. 101. (5) Pamiętniki t. II, s. 191.

i zwyczajem uświęconém, bo kiedy Frycz Modrzewski dopomina się o to, aby kmiecie dziedzictwem ziemię posiadali, nie powołuje się na dawne prawa upadłe, lub zwyczaje, których odstąpiono.

Całą ludność po włościach prywatnych i monarszych, obejmowały wspólne powinności i ciężary publiczne z prawa polskiego płynące, odmienne w miarę miejscowości i umów, dlatego w tak liczne nazwiska przybrane, a ogółowo zwane *angaria* i *perangaria*. Bandtkie naliczył ich trzydzieści, dodał niektóre pan Maciejowski; objaśniali znaczenie ich Naruszewicz, Czacki, Maciejowski i Bandtkie. Nie będziem zabierali miejsca i nużyli czytelnika powtarzaniem tego, co w téj materyi napisano.

Nadmienić tylko musimy, że z tych ciężarów i powinności z prawa pól płynących, widocznie jedne są publiczne i ciężyć mogły albo włości tylko monarsze, albo w ogólności wszystkie, jak np. pomocne, znaczące wszelki podatek, datek; naraz, które było powinnością myśliwską, przewód, podymne, pogoń, powołanie, podatek nadzwyczajny w dobrach monarszych. Inne były dominialne, niemniéj w dobrach monarszych istniejące. Inne znowu sądowe. Niektóre z nich są wcześniejsze, inne późniejsze; jedne znoszono, inne zamieniano na pieniądze. Były nareszcie takie, które pojedynczo niektóre osady obowiązywać mogły, jak np.: leśne, mech czyli opłata od rybołówstwa, bobrownictwo i t. p. Byłoby więc błędem myśléć, jakoby wszystkie wszędzie obowiązywać miały; zawsze jednak były liczne i uciążliwe.

W miarę jak mnożyły się nadania i przywileje uwalniające prywatnych zpod angaryów i perangaryów, i jak prawo niemieckie się szerzyło, upadały powoli, pojedynczo, aż nareszcie wszystkie ustąpiły miejsca ogólnemu podatkowi łanowemu (1).

III.

Posiadacze rolni po włościach monarchy, duchowieństwa i rycerstwa, o ile nie byli właścicielami wolnemi i nieobciążonemi

(1) Oprócz zwyczajnego podatku dwa grosze z łanu przez Ludwika ustanowionego, na którym Kazimierz Jagiellończyk 1511 r. 1 z dóbr duchownych zobowiązał się poprzestawać, składano w nadzwyczajnych przypadkach pobory, podług pana Maciejowskiego od 6 do 12 gr., podług Lelewela od 8 do 15 gr. z łanu, a które, jak Longnich mówi (str. 425), niekiedy do 50 były podnoszone.

żadnemi czynszami i powinnościami, uiszczali się z dzierżaw swych w sposób rozmaity. Albo oddawano daniny w naturze, a to właściwém było osadom, które stałemu jakiemuś zatrudnieniu były oddane, jakoto: łowiectwu, rybołostwu, pszczolnictwu i t. p.; albo opłacano czynsze pieniężne; albo, co najczęściéj spotykamy, obok czynszów pieniężnych oddawano pewne daniny lub sepy. Tam, gdzie folwarki istniały, co rzadziéj się zdarza, oprócz czynszów i sepów, wyznaczano pewną ilość robót, rocznie i wydziałowo wykonać się mających. Osad czysto pańszczyznianych nie spotykamy nigdzie, równie jak pańszczyzny na dni w tygodniu oznaczonéj. Zdarzają się jednakże i wsi na prawie niemieckiém osiadłe, mające pewne roboty sposobem wydziałowym oznaczone.

Wspomniany wyżéj przywiléj tyniecki z roku 1105 tak oznacza roczną robociznę: Mieszkańcy wsi do klasztoru należących mają: dwa domy postawić; każdy zosobna po pięć kop zboża użąć i zwieźć do stodół; po pięć wozów siana ściąć i zwieźć do tychże; podwodę do Tyńca odprawiać, ile razy potrzeba; dziesięcinę omłócić i do klasztoru odwieźć; cztery dni rocznie orać i włóczyć w najbliższym folwarku; z każdego gospodarstwa rocznie naczynie miodu i cztery *asperiole* oddawać. Wreszcie przywiléj dodaje: *Item quidquid eisdem praecipitur laborant.*

Inny przywiléj Mieczysława Star. z roku 1145 (1), oprócz daniny z żyta, owsa, pszenicy, naznacza rocznie mieszkańcom wsi do klasztoru Cystersów w Lędzie należących: użąć pięć kop zboża; trzy wozy siana; tyleż wozów zwieźć drzewa; dwa pnie sosnowe; przez trzy dni z familią zboże czyścić; jeden dzień młócić i trzy kity lnu oddać.

Jeden tylko znajdujemy przywiléj u Sommersberga, w którym roboty nie są stale oznaczone, ale w ogólnych wyrazach jest powiedziane: „Sed medio tempore ad servitium abbatis et claustri stabunt omnes in propriis expensis, quidquid ipsis præceptum fuerit laborando" (2). Być może, iż nie chciano przez to rozumiéć robót polnych i folwarcznych, ale obsłużenie i opatrzenie potrzeb klasztornych.

Takie są najdawniejsze pomniki obowiązków pańszczyznianych. Kiedy za wstępem prawa niemieckiego system czynszowy i kolonizacyjny upowszechniać się począł i mnóstwo włości poszło za tym przykładem, stare zwyczaje upadały. Te same do-

(1) Kod. Dy. War. T. I, n. 1. (2) T. I, s. 894, r. 1178.

bra do klasztoru tynieckiego należące, których ordynacyą pańszczyzniana dopiéro widzieliśmy, poszły pod prawo niemieckie. „Po barbarzyńskiém spustoszeniu Polski", mówi przywiléj Leszka Czarnego (1) „pozwalamy osiedlać wsie i miasteczka tegoż klasztoru na prawie niemieckiém; ktokolwiek w nich osiądzie, używać będzie wolności lat 30 w lasach, 12 na zaroślach, 8 lat na polach".

Jakkolwiek prawo niemieckie usuwało pańszczyznę, w niektórych jednakże nadaniach tém prawem, spotykamy zastrzeżone pewne roboty. Jeden z nich (2) dzień orki pod oziminę, dwa dni pod jarzynę w roku waruje. W innym (3) zastrzega sobie nadawca podwody pod pewną ilość odstawić się mającego zboża. Byłyto jednak wyjątki od ogólnéj zasady, bo w licznych nader nadaniach prawem niemieckiém, które się dotąd zachowały, niewiele podobnych zastrzeżeń naliczyć można.

Co do wysokości czynszów i osepów zbożowych, liczne tego pozostały ślady; tylko rozmaitość monet i nieznajomość miar ówczesnych, robi pewne zamieszanie i porównanie utrudnia.

Przywiléj Leszka księcia sieradzkiego z r. 1265, po 13 latach wolności, naznacza z łanu po wiardunku srébra, po dwie miary pszenicy, cztery żyta, a sześć owsa (4).

Przywiléj tegoż Leszka z roku 1279 zamiast czynszu naznacza daninę z miodu w ten sposób: w piérwszym roku dwa naczynia; w drugim cztery; w trzécim sześć; w czwartym ośm; w piątym dziesięć; w szóstym dwanaście; w siódmym czternaście; w ósmym szesnaście; w dziewiątym ośmnaście; w dziesiątym dwadzieścia, i tak zawsze po upływie lat dziesięciu co rok dwadzieścia naczyń (5).

Podobnym sposobem widzimy oddaną wieś Bartodzieje w roku 1298 na wieczność bartnikom, z warunkiem dawania na ś. Michał 24 urn miodu (6).

Przywiléj Przemysława IIgo z r. 1284, po upływie 8miu lat wolności, oznacza czynszu i dziesięciny z łanu małego wiardunek srébra, sześć miar żyta, sześć miar owsa na miarę poznańską (7).

Przywiléj z roku 1303 po wiardunku zwyczajnych denarów i po miarze pszenicy (8).

(1) His. Mon. Tinec. str. 162, r. 1288.
(2) Ko. Dy. War. T. II, Nr. 223, r. 1317. (3) Ko. Dy. War. T. II, Nr. 242, r. 1351. (4) Ibi. T. I, Nr. 51. M. A. Głow. k. 647. (5) K. D. W. T. I, N. 60. (6) Ibi T. II, N. 169. (7) Ibi T. I, N. 65. (8) Ibi.

Przywiléj z roku 1346 nadający prawo lokowania wsi nad rzeką Lipnik, po 20 latach wolności oznacza czynsz po 8 skojców groszy, a w miejscu dziesięciny 6 skojców (1).

Przywiléj z roku 1295 po 13tu latach wolności od czynszu, a 10 od dziesięciny, oznacza z łanu po wiardunku srébra, a za dziesięcinę dwie miary pszenicy, cztery miary żyta, sześć owsa (2).

Przywiléj Gerwarda biskupa z roku 1317 po czterech latach wolności, naznacza czynszu pół grzywny toruńskich denarów, i dziesięcinę wytyczną (3).

Przywiléj Trojana archi. z roku 1349 naznacza 8 skojców monety toruńskiéj, dwa kapłony i dziesięcinę wytyczną (4).

Przywiléj z roku 1351 oznacza po dwóch latach wolności czynszu po 15 skojców monety toruńskiéj i dziesięcinę wytyczną. Za dziesięcinę ze łnu po skojcu. *Pro tribus etiam prandiis trium magnorum judiciorum in anno cadencium, pro porco et agnellis et ovis sedecim scotos monetae usualis*, dodaje tenże przywiléj (5).

Przywiléj z tegoż jak powyższy roku, oznacza po sześciu latach wolności: 10 skojców denarów i 2óch kapłonów; jeden małdrat potrójnego zboża, tojest 2 miary pszenicy, 4 żyta i sześć owsa (6).

Przywiléj z roku 1356 nadając prawo lokowania wsi Wola Piotrowa (*Libertas Petri*), po 14 latach wolności, oznacza: 8 skojców groszy; *tria prandia*, albo za każdy po wiardunku; za dziesięcinę sześć skojców (7).

Przywiléj z roku 1369 naznacza z łanu grzywnę groszy; po 30 jaj na Wielkanoc; po 2 kapłony na Matkę Boską; na przybycie królewskie po dwie kury; za dni sądowe po wiardunku (8).

W przywileju z roku 1305 widzimy ustanowiony czynsz na 8 solidów brandeburskich (9).

Podobne ślady dawnych czynszów i sepów są bardzo liczne w dyplomataryuszach. Przywiedliśmy tych kilka przywilejów dla przykładu, dla wskazania niejednostajności umów, rozmaitości monet i zapoznania się z przybliżoną wysokością tychże czynszów. Ponieważ grzywna liczyła 60 groszy pragskich albo czeskich lub 48 groszy polskich; przez wiardunek (*ferton*) rozumiano $^1/_4$ część grzywny; a pod nazwiskiem skojca (*scotus*) $^1/_{24}$ część grzywny; po-

(1) Ibi. (2) Kod. Dyp. War. T. II, Nr. 150. (3) Ibi Nr. 223. (4) Ibi Nr. 289. (5) Ibi Nr. 292. (6) Ibi Nr. 293. (7) Ibi T. I, Nr. 121. (8) Ibi Nr. 131. (9) Kod. Dyp. wielkopolski. Nr. 83, str. 94.

nieważ kopa zawierała groszy 60, a grosz w XIV wieku miał wartości około złp. 1 gr. 10 dzisiejszych, łatwo więc zredukować powyższe czynsze na dzisiejszą monetę. Nierówność w czynszach pochodzić musiała z większych lub mniejszych dogodności miejscowych, dobroci gleby i t. p.

Statut wiślicki gdzie wspomina o kmieciach, mówi o nich jako o czynszownikach. Zbiegłym *in jure terrestri non theutonico* będącym, każe opłacać trzy grzywny kary i czynsz roczny za uwolnienie od poszukiwania. Na prawie niemieckiém będącym każe dziedzictwo wprzódy sprzedać lub innym kmieciem osadzić, a pola wykarczować i obsiać, zanim się z miejsca oddalą. Tym, co na wolnościach czyli wolach, a pod prawem ziemskiém są, zaleca, aby po odsiedzeniu lat wolnych, tyleż lat odsiedzieli ile wolnych było; gdy zaś na prawie niemieckiém, tyle lat czynsz mają płacić, ile lat wolności używali (1).

Mogły wprawdzie być powinności osobiste mniejsze lub większe, liczniejsze i częstsze w prawie polskiém, mniejsze i rzadsze w prawie niemieckiém; mógł zwyczaj i umowy je utrzymywać pomimo milczenia prawa, i zapewne tak było, zwłaszcza, że nie spotykamy ludności oddzielnéj do obrabiania folwarków używanéj, które jednakże choć nierozległe, istniały; ale, jak powiedzieliśmy nieraz, system czynszowy przeważał stanowczo.

Późniéj, zmieniać się ten stan rzeczy począł. Zwróciliśmy w piérwszéj części uwagę na to, jakie okoliczności, potrzeby wywoływały wielką uprawę i gospodarstwo rozleglejsze folwarczne, jak wszystko do niéj zachęcało i naglilo, i jak powoli, ale ciągle wzmagała się, pociągając za sobą coraz większą potrzebę i żądanie rąk. Zanim jednakże prawo ogólne przyszło w pomoc téj potrzebie, co dopiéro w XVI wieku nastąpiło, starano się jéj zaradzać umowami powiększającemi liczbę odprawiać się mających robót folwarcznych. Potrzeba z nowego systemu płynąca wywoływała nowe warunki ugód, a wzrastająca ludność otwierała możność dla właścicieli ziemi zyskiwania korzystniejszych. Jakoż spotykamy w XV wieku nadania i umowy, które wskazują na kierunek, o jakim mówimy. W przedaży sołtystwa we wsi Świątniki r. 1404, Mikołaj kustosz włocł. zastrzega sobie, aby mieszkańcy téj wsi płacili jak dotąd płacą z łanu 24 groszy w szerokich groszach pru-

(1) Vol I, str. 49.

skich, ale oprócz tego waruje, aby role jego, które w téjże wsi posiada *pro allodio seu dominio*, ciż mieszkańcy obrobili, obsiali, sprzątnęli, zwieźli, tak zboże jak siano. Wprawdzie widzieliśmy takie nieoznaczone prace w powoływanym z dawniejszych wieków przywileju, ale co do tamtego pozostawała wątpliwość, czyli włożony obowiązek odnosił się do robót rolnych, czyli tylko do posług klasztornych; tutaj nie pozostaje już żadna wątpliwość. Drugi przywiléj późniejszy, bo z r. 1449 Piotra przełożonego klasztoru św. Magdaleny *extra muros Plocenses* jest raczéj układem z kmieciami wsi Bronisław, co do czynszu przez nich opłacać się i robót wykonywać mających. Brzmi bowiem: *Qualiter et quomodo ordinamus et concordamus cum nostris emethonibus de Bronisław pro omnibus laboribus et reditibus ejusdem villae, quomodo et quid debent solvere et laborare.* Daléj wymienia wysokość czynszu i wszystkie powinności, jakoto: obrobić folwark (praedium); dzień jeden z dwóch łanów orać (rocznie); jednę podróż do Torunia, do Brześcia i Włocławka w miarę potrzeby odbyć; odwieźć do Płocka do klasztoru kapłony i jaja.

Dotąd więc nie masz mowy nigdzie o robociznie tygodniowéj.

Tymczasem prawa właścicieli ziemskich zyskiwały coraz obszerniejszą podstawę; z dziedziców zwierzchników, ograniczonych przepisami prawa i zwyczajami, stawali się istotnemi właścicielami, których nowe przepisy prawa inaczéj już uważać poczęły. Stosunek ludności rolniczéj do właścicieli ziemskich się zmieniał. Dawne stosunki prawne osłabły, albo przez nowe przepisy prawa zostały zmienione. Ustawy, mianowicie z r. 1496 położyły w téj mierze nieomal nowe zasady, usuwając wszystkie prawie przepisy z statutu wiślickiego płynące, a raczéj zastępując je innemi. Pomimo tego jednakże powaga tegoż statutu była tak znaczną, jego wpływ moralny jeszcze tak wielki, uwaga na to, że wyraźnie nie był nigdzie odwołany lub skasowany tak silną, iż właściciele nie sądzili się mocni kassowania jednostronnie zobowiązań, z umów i zwyczajów dawnych pochodzących. Przy szybkim wzroście latifundyów, które się ciągle mnożyły, wzmagając bogactwo ogólne i podnosząc rolnictwo do tych rozmiarów, jakie w kraju głównie rolniczym zajmować winno, prawa musiały przyjść w pomoc, aby niedostatkowi robotnika zaradzić. Poczęto naprzód ścieśniać ruch ludności rolniczéj, a obostrzać przepisy na zbiegłych z gruntu. Zabroniono nawet ludziom najemnym wychodzić za granicę dla zarobku w czasie żniw. Niektóre konstytucye te przepisy

i obostrzenia zawierające, mówią wyraźnie: iż się to dzieje dla niedostatecznéj liczby robotnika.

Albo te środki nie wystarczały, albo ludność rolnicza nie była dość skłonna do wolnéj pracy, albo téż żądano nie niekosztującéj produkcyi, ogłoszono bowiem statut toruński ustanawiający tygodniowo pańszczyznę (1). Brzmienie jego jest następujące: *Statuimus et ordinamus: quod omnes kmethones omnium villarum nostrarum Regalium, spiritualium et saecularium subditorum regni nostri, secundum decretum conventionis Thorunensis generalis, proxime preteritae, debent dominis suis laborare unum diem in septimana, exceptis villis nostris, desuper privilegiatis, quae expresse speciali privilegio docerent, quod loco laborum, censum pecuniarium auxerunt; tales duntaxat privilegiis gaudebunt, alii, ut praemissum est laborabunt* (2).

Lubo powodów tego statutu szukać należy w przyczynach czysto ekonomicznych i w téj naglącéj, gorącéj potrzebie rąk, którą wzrosły do zbytecznych, jak wnosić można rozmiarów, system wielkiéj uprawy wywoływał, i tym sposobem tegoż statutu powstanie tłumaczyć; pod wielu względami jednak daje on powód do sprawiedliwego zdziwienia. W pewnych stosunkach robota jest może stosowniejszą, a przynajmniéj możebniejszą opłatą od dzierżawców ziemi, niżeli pieniądz, którego mało, lub którego nie masz zkąd zarobić lub wziąć. Tutaj powstaje ona w czasie, kiedy wzrastające bogactwo wewnętrzne, obfitość pieniędzy, przemysł i kultura, ułatwiać zdawały się środki odkupywania dzierżawy gruntowéj pieniędzmi, a nie robotą. Widocznie nie było równowagi pomiędzy olbrzymiemi latifundiami a ilością rąk. W powyższym statucie to jeszcze zadziwia, iż nic nie ujmując z opłat czynszowych i wcale na ich wysokość nie zwracając uwagi, dodawał do nich dzień roboty. Wreszcie zadziwia i to, że porzucając dawny system oznaczania robocizny wydziałowo, pierwszy raz wprowadza nowość pańszczyzny tygodniowéj. Stary zwyczaj miał niezaprzeczoną wyższość nad nowym pod względem ekonomicznym (3).

(1) Nastąpiło to w roku 1520.

(2) V. Leg. I, str. 394. (3) Jeżeli powodu ścieśnień co do ruchu ludności rolniczéj i podniesienia pańszczyzny należy szukać we względach ekonomicznych; powodu innych ścieśnień, jakie księgi praw z końca XV i początków XVI wieku zawierają, jakoto: co do sądownictwa dominialnego długów kmiecych, posiadania ziemi przez plebejów i t. p. wypada śledzić

Statut toruński jest ostatniém wmieszaniem się prawa w tę materyą; odtąd prawo zamilkło i wszystko dowolności zostawiło. Jak zaś pańszczyzna daleko od tego maximum odeszła, zobaczymy w wieku XVII.

IV.

Musimy obejrzéć i inne ówczasowe części kraju pod względem tych stosunków, jakie w Koronie rozbieraliśmy. Ekonomicznie tworzyły wszystkie pewną całość; gdybyśmy je z niniejszego poglądu wyłączali, obraz całości byłby niezupełny, a pod niektóremi względami nawet niezrozumiały.

Lubo Mazowsze osobną składało całość, i miało oddzielne księgi statutów, spotykamy tam nieomal te same stosunki rolnicze, co w Koronie. Podobne urządzenie posiadłości ziemskich, podobne ciężary publiczne, podobne rodzaje i nazwiska posiadaczy rolnych i ludności rolniczéj, podobne stosunki jednych klass do drugich, zbliżają bardzo jego urządzenia do tych, jakie dopiéro co oglądaliśmy. Zdaje się tylko, że ziemia więcéj była rozdrobniona tam, jak w innych częściach kraju. Zwyczaje także niektóre są odmienne; przepisy określające, własność,

gdzieindziéj. Mogły na zapadnięcie tych ustaw wpłynąć znane rady Kallimacha, które tak mocno działały wówczas na opinią publiczną i przerażały umysły. Podług Bielskiego (tom VI, str. 42) miał on radzić królowi, aby grunta szlachcie odebrał, dozwoliwszy im tylko folwarków jakich małych, coby je swym pługiem zorać mogli. Mówi o tych wątpliwych radach obszernie p. M. Wiszniewski w Hist. Literatury. Napełniając one obawą stan rycerski o już posiadane prawa, dla zabezpieczenia tamtych mogły go skłonić do probowania oparcia się na nowych. Więcéj jeszcze mógł działać wpływ poczynających się poruszeń chłopów w Niemczech. Poruszenia te rozpoczęły się w r. 1491 i zajmowały jeszcze kilkanaście pierwszych lat następnego wieku. Jak historycy mówią, ucisk dał do nich powód, a fałszywie pojęta reforma religijna rozdmuchała je w ogromny pożar. Nazbyt blizki był teatr téj wojny i nazbyt rozległe stosunki ówczesne z zagranicą, aby wieści i obawy nie miały wpływać na prawodawców i dyktowne im postanowień, które zapewne uważali za zapobiegające, za zaradcze. Wśród zakradającej się i do nas reformy religijnej, lękali się tych następstw, jakie gdzieindziéj za sobą sprowadziła, i usiłowali przeciąć im drogę surowością prawa. Sąto jednakże tylko domysły, które podziela Krasiński w swojéj historyi reformacyi w Polsce.

prawa, obowiązki klass rolniczych dokładniejsze; przenoszenie się z miejsca na miejsce zawarowane dobitniéj (1).

Swoboda ruchu ludności tamecznéj, ubezpieczona była tak zwaném rękojemstwem. Czém ono właściwie było, nie można z pewnością powiedzieć; objaśnienie, jakie daje Czacki (2), jest niedostateczne. Zdaje się więcéj dokładną poprawka, jaką w téj mierze robi p. Maciejowski: iż rękojemstwo było zaręczeniem za zwrot należytości od kmiecia przypadających, które jeżeli kto dał, puścić go w każdym czasie pan był obowiązany. Poprawka ta zupełnie jest odpowiednia duchowi ustaw mazowieckich, które nie tamowały nigdy wolnego wyjścia i przesiedlania, byleby zobowiązaniom zadość było uczynioném, lub te stosownie wynagrodzone zostały. „Akta polskie świadczą, mówi Czacki, że były częste sprawy o te rękojemstwa. Dla tych kłótni między współwłaścicielami upadło prawo włościan, zgasła ta jedyna pamiątka rocznego kontraktu każdego chłopa z panem (3)".

Za wnioskiem naprzód posłów województwa płockiego w r. 1563 w témże województwie, a wkrótce potém w reszcie Mazowsza, prawo o rękojemstwie usuniętém zostało, i tym sposobem nastąpiło zupełne porównanie z Koroną.

W ustanowieniu także pańszczyzny tygodniowéj, na wiek cały prawie wyprzedzili Mazowszanie Koronę. Już bowiem w roku 1421 postanowiono z przyzwolenia ks. biskupa i innych panów świeckich i duchownych, że wszyscy przebywacze włóki albo pół włóki, dzień lub pół dnia w tydzień robić będą winowaci (4).

Co do Litwy i Żmudzi, stan ich pod względem stosunków rolniczych i urządzeń ekonomicznych, dopiéro w XVI wieku staje się nieco wyraźniejszym, Lubo i tam majątki ziemskie w téj saméj przedstawiają się postaci i pod takiém samém zwierzchnictwem monarchy, rycerstwa lub duchowieństwa, jednakże wiele rzeczy i nazwisk jest odmiennych.

Zdaje się, iż przed Jagiellonami ciężary gruntowe musiały być bardzo znaczne. Piérwszy Kazimiérz Jagiel. zajął się przyniesieniem w téj mierze pewnych ulg. Przywilejem ziemskim z r. 1454 uwolnił chłopów szlachty i duchowieństwa od koszenia siana, żęcia i orania w dobrach zamków królewskich, uwol-

(1) Porównaj Statuta mazowieckie wyd. Lele. (2) O Lit. i p. P. T. 2. str. 200. (3) Ibid. (4) Patrz: Statuta mazow.

nił od angaryów i perangaryów, i dawania podwód. Pozostawił tylko powinność budowania i naprawiania nowych i dawnych zamków i mostów. Więcéj zrobił jeszcze Zygmunt August. On sam, wojewodowie i starostowie zrzekli się dochodów, które pod imieniem *peresud*, *prysud* były znane. Statut Lit (1) uwolnił poddanych szlacheckich od *serebrieszczyzny*, od *działki*, od uciążliwości wyrządzanych przez *dzieckich*, od stacyj, od *powołoszczyzny*.

Z ustawy ekonomicznéj z r. 1529 (2) poznajemy, jaka tam była wówczas ludność wiejska. Ustawa ta wspomina o czeladzi niewolnéj i niewolnikach, którzy domów swoich nie mają. Mówi o innych poddanych, których nazywa *ludi tahlyi*, a od których należy się służba ustawiczna. O nich dodaje ustawa: że jeśliby w zimie robota ich nie była potrzebną, mają za to albo beczkę pszenicy, albo wieprza oddać. Daléj mówi o bojarach putnych i osocznikach, którzy jak zdawna, powinni wojnę służyć i siano kosić. Daléj rybacy, bartnicy, kowale i inni poddani; od tych każe żądać 12 dni tłuki i po kopie groszy osadnego. Czacki uważa bojarów za klassę pośrednią między szlachtą a chłopstwem, i za właścicieli gruntów. Statut Lit. wzmiankuje jeszcze o ludziach osiadłych na *woli*, podobnie jak w Koronie, którym równie jak tam wolno było odejść po latach umówionych. Równie więc jak w Koronie ludność dzieliła się na wolną i niewolną, tylko, że ten podział trwał w Litwie, kiedy już nie istniał w Koronie.

Jeszcze jeden rodzaj oddzielny ludności rolniczéj posiadała Litwa, którego żadna inna prowincya nie miała, tojest Tatarów. Mówi o nich Mateusz z Miechowa (3), że licznie mieszkają około Wilna we własnych osadach, po naszemu uprawiają ziemię, pracują i handlem się trudnią, a na zawołanie służą wojskowo; dodaje, iż mówią po tatarsku i czczą Mahometa.

W dobrach panujących, jak z urządzeń ekonomicz. Zygmunta Augusta pokazuje się, chłop z włóki robił dwa dni, ze służby zaś, tojest dwóch włók, dni 4 (4). Na zarobienie jednéj włóki folwarcznéj miano rachować włók 7 (5). Czacki mówi, że tam, równie jak w Koronie, uprawa wielka folwarczna początkowo nie-

(1) Roz. 1. ar. 22. (2) Zbiór pr. lit. Dział. str. 126.
(3) Descriptio Sarmati. str. 211 wyd. Mizl. (4) O Lit. I P. P. T. II. str. 169. (5) Ibi. T. I. str. 250.

wiele była w użyciu. Czynsze stanowiły największe intraty, a robocizna 40tą lub 50tą część dochodów wynosiła. Zdaje się potwierdzać to Statut litew., który równie jak prawa koronne, opiekunom za pracę naznacza pożytki z rolnictwa, młynów i jezior, a czynsze na dochód małoletnich oddaje (1). Za czasów 2go i 3go Statutu, jak mniema Czacki (2), powiększyć się miały znacznie pańszczyzny.

Niezupełnie jednakże z tém zgadzają się opisy z XV i XVI wieku. Przedstawiają one stan tego kraju w nader smutnych kolorach, a obraz jaki kreślą ludności rolniczéj, jest prawdziwie przerażający. Zygmunt Herberstein piszący o Litwie w XV w. powiada, że lud roluy jest tam ubogi i srodze uciśniety, wystawiony na zdzierstwa urzędników pańskich, którym wszystko wolno robić co chcą; że właścicielom gruntu oprócz czynszów, sześć dni w tygodniu pracować są w obowiązku; a prócz tego proboszczom za chrzciny, pogrzeby, wesela, spowiedzi sowicie się opłacać. „W takiéj są ryzie" dodaje „od czasów Witolda trzymani, że skazany na śmierć własną ręką powiesić się musi (3)".

Rzecz dziwna, że Stryjkowski (4 powtarza tylko dosłownie Herbersteina, niewiele co do opisów ludności litewskiéj dodając. Niczże się od czasów tego ostatniego do czasów Stryjkowskiego w Litwie nie zmieniło? Czynne i gorliwe o dobro tego kraju i o wzrost jego dwa panowania Zygmuntów, mnogie ulgi, prawa i urządzenia ekonomiczne, miały tak dalece pozostać bez skutku, iż Stryjkowski nic nie miał do zmienienia w staréj relacyi Herbersteina? Zaprzeczają temu wszystkie świadectwa historyczne; jakże znowu przypuścić, aby Stryjkowski miał Litwy nie znać? Że jednak Jan Krasiński (5) potwierdza to, co obadwa poprzedni mówią, lubo już innemi wyrazami, trzeba więc wierzyć.

Wszyscy, którzy przed końcem XVI w. opisywali Prusy, uznali je za najzamożniejszą, najludniejszą, i najwięcéj w kulturze posuniętą część kraju. *Hinc est vulgo simul et nobilitatis res lautior, vestitusque et habitatio cultior*, powiada Kromer (6). Tenże sam pisarz mówi, że dzielą się Prusacy na szlachtę i lud, na świeckich i duchownych; ale dodaje, iż lepszego losu doznaje lud w Prusach, jak w reszcie Polski. Używa jednych praw z szlachtą,

(1) O Lit. I P. P. T. II, str. 58. (2) Ibi. str. 169.
(3) Wyd. Mizl. str. 223. (4) In Sarm. Eur. str. 81 wyd. Miz.
(5) Pol. L. 11, str. 416. (6) De Rep. L. 11, str. 171.

tylko mniéj prerogatyw posiada; jednakże od posiadania ziemi, od urzędów i zaszczytów nie jest usunięty.

W Prusach, równie jak w innych prowincyach, spotykamy *liberów*, jakoby klassę pośrednią pomiędzy szlachtą a prostym ludem wiejskim. O nich mówi Kromer, iż nazywają się wolnemi, dlatego, iż są w istocie wolni od posług i robót, które wieśniacy panom swoim są winni; lubo niektóre ciężary zarówno z innemi ponoszą.

Już w r. 1399 miano liczyć w Prusiech (jak Gralath, Schütz, Pauli i inni historycy pruscy świadczą) 55 miast obmurowanych, 48 zamków warownych, 18368 wsi, między któremi 640 było parafialnych, 2000 folwarków z prawem jurysdykcyi, a zakon miał pobierać 8 mil. flor. reńskich. Włościanie zaś byli tak zamożni, że chłop we wsi Nikolswalde miał $1\frac{1}{2}$ miliona majątku (1).

V.

Przebiegłszy w piérwszéj części podział ziemi pod względem rolniczym, teraz poznawszy różne klassy rolników, ich stosunki, ciężary i powinności do posiadania ziemi przywiązane, będziem mogli rzucić okiem na organizacyą czyli układ wewnętrzny wsi, na przemiany jakim uległy i na wyrobienie się téj formy, jaką w XVI wieku przybrały.

Nie jestto kwestya ani obca, ani obojętna dla historyi rolnictwa. Rozkład pewnéj przestrzeni ziemi może być bardzo rozmaity, jużto pod względem rozległości użytych pod pola, łąki, pastwiska i lasy, jużto pod względem przestrzeni użytych pod wielką i małą uprawę, jużto pod względem stosunków, jakie łączą różne klassy rolników, jużto pod względem czasu i warunków dzierżaw, już wreszcie pod względem sposobu płacenia téjże dzierżawy. Taki rozkład i urządzenie ziemi może się zmieniać wedle czasu, potrzeb i okoliczności; w każdym jednak razie zadaniem tu jest głównem, aby nietylko każda cząstka ziemi najstosowniéj i najkorzystniéj była użyta, ale aby ogół pewną całość harmonijną tworzył, w któréjby było miejsce dla swobodnego rozwijania się najkorzystniejszych gałęzi rolnictwa, i miejsce dla swobody pracy, dla wygód i dogodności wszystkich klass ludności rolniczéj; aby się na danéj przestrzeni ziemi mieściły wszystkie

(1) Wiadomość o stanie przemysłu. i han. w Pol. str. 10.

warunki postępu i wzrostu przemysłu rolniczego, obok wszystkich warunków dobrego bytu, postępu kultury ludzi rolnictwem się trudniących.

Mogą być różne sposoby dochodzenia do rozwiązania tego zadania ekonomicznego, lecz nie tu miejsce aby je rozbierać; na to tylko zwracamy uwagę, że wszędzie, gdzie rolnictwo do wysokiego i rozumowanego doszło rozwinięcia, przywiązywano do tego przedmiotu ważność, jaka mu się należy. Rzeczywiście rozkład i urządzenie posiadłości wiejskich jest niejako fundamentem pomyślności rolnictwa, warunkiem jego wzrostu, a pod pewnemi względami warunkiem bezpieczeństwa publicznego, równie jak własności prywatnéj.

Rzymianie, którzy w czasach kwitnienia Rpltéj szanowali rolnictwo i umiejętnie się niém zajmowali, jak to z pism w tym przedmiocie pozostałych pokazuje się, zwracali bardzo uwagę na urządzenie racyonalne posiadłości wiejskich. Kato i Columella uczą jak rozdzielać ziemię pod uprawę, pastwiska i lasy, jaki stosunek w tych podziałach zachowywać; co poświęcać większéj uprawie, co osadzać kolonistami; jak ograniczać uprawę folwarczną; jak postępować z gruntami odległe położonemi; jak zawierać umowy z kolonistami. Kiedy z czasem i pod wpływem różnych wypadków od tych racyonalnych zasad odstąpiono, żyzna Kampania, niegdyś siedlisko pięknych włości i osad, stała się dziką pustynią, nad którą unosi się blade widmo malaryi.

Dosyć jest porównać dzisiejszy stan włości irlandzkich i angielskich, aby pojąć do czego doprowadzić może zła lub dobra ich organizacya; do jakiego upadku rolnictwo, do jakiéj nędzy ludność rolniczą, do jakiego kwitnienia i zamożności oboje może podnieść w miarę swéj dobroci lub błędności.

„Każdy majątek w Anglii, mówi p. G. Beaumont, jest arcydziełem sztuki, które harmonijną całość tworzy; dzielić go, ćwiertować byłoby prawie występkiem. Jestto obraz Corregia, który należy do familii, i aby nie być pokrajany musi należéć do jednego. Te rozkoszne i z takiém staraniem wypieszczone włości nie są pojedynczemi zjawiskami, ale tworzą ogólny charakter kraju, idą jedna za drugą, od jednego końca kraju do drugiego; nie masz żadnéj anomalii, żaden kontrast nie psuje powabnego uroku; wszystko wielkie, pyszne, wzniosłe, we wszystkich posiadłościach angielskich. Trzeba sto razy te godne podziwienia włości przejechać, na które przyrodzenie najpiękniejsze swe da-

ry, czynność ludzka całe swoje bogactwo, a sztuka najdroższe swoje ozdoby wylała".

Pomijając wpływ praw starszeństwa i substytucyi, które nie są ani powszechne, ani przymusowe, wysoki wzrost rolnictwa, zdaniem wszystkich, winna Anglia swojemu systematowi dzierżawczemu, który nie rozdrabniając zbytecznie ziemi, oddając ją na długie lata w ręce klassy rolników zamożnych i ukształconych, dozwolił zaprowadzić wszelkie oszczędzenia pracy i otworzył pole do wszelkich ulepszeń. Prawami niekrępującemi ludności rolniczéj do gruntu, zapewniono jéj odpływ do fabryk i rzemiosł, i przez to powstał wielki przemysł narodowy. Wreszcie, drobna własność ocalając się wśród wielkich posiadłości, stała się tém dla ogółu rolnictwa, czém jest balast dla puszczonego na morze okrętu.

Przeciwnie w Irlandyi, gdzie wielkie posiadłości wydzierżawiają się w ręce przedsiębierców i przez dziesięć rąk przechodząc i coraz drobniejąc, w małych cząsteczkach dostają się wreszcie ciemnemu i ubogiemu ludowi, ubóstwo i nędza powszechna nie ma granic.

Wprawdzie takie zasady organiczne posiadłości ziemskich, są prawie zawsze dziełem wieków nie pojedynczych ludzi, wyrobem wypadków, okoliczności, któremi niezawsze kierować można, niezawsze nawet bezpiecznie jest dotykać się ich. Teorye najgłębiéj pomyślane, w wykonanie wprowadzone do innych często doprowadzają wypadków. Krzywią się przez interes, namiętności, wypadki ważne a nieprzewidziane, które częstokroć budowę ekonomiczną do gruntu wstrząsają! Skryte działanie Nemezis jest tu często silniejsze, jak wątłe usiłowania mądrości ludzkiéj. Jakkolwiekbądź, nie bez korzyści jest porównywać różne epoki, różne wyobrażenia i różnych ludzi pomiędzy sobą, bo się tém nabywa umiejętność, w granicach możliwych unikania błędów lub ich naprawiania.

Zwracając oko na pierwotne urządzenie włości u nas, to jest na takie, jakie w XIIItym i XIVtym wieku pomniki historyczne nam wskazują, spostrzegamy, iż znacznie się różniło od tego, jakie w XVtym wieku wyrabiać się poczęło, a w XVI wieku wyrobiło. Majątki ziemskie w XIIItym i XIVtym wieku, stanowią prawdziwie mozajkową rozmaitość. Na jednéj dziedzinie mieszczą się prawie zawsze różnych rozmiarów i rodzajów posiadłości, a na tych różnego rodzaju ludność rolnicza, którą je-

den zwierzchnik łączy w jednę całość. Cząstki dziedziczne, posady rycerskie, łany wolne, osady kmiece jedno i półłanowe, a na tych wszystkich gruntach kmiecie, służebni, czynszownicy, rzemieślnicy, wolni i *adscriptitii*, sołtysi i drobne rycerstwo. Ci zajmują się rolą, ci rybactwem, ci pszczolnictwem, ci myślistwem. Ci oddają część swoich produktów w naturze, ci czynszu, ci cząstką pracy obok innych opłat się uiszczają. Folwarki stosunkowo niezbyt rozległe nie stanowią punktów koncentracyjnych, do których wszystko się zbiega, i około których wszystko się jednoczy. Są one cząstką wielkiéj całości, a nie jéj sercem i głową. Pewna swoboda ruchu, system czynszowy i kolonizacyjny, dozwalają rozwijać się wszystkim drobnym gałęziom rolnictwa. Jedna część ludności przywiązana do roli, druga snuje się, wali puszcze, osusza bagna, zakłada osady. W górach powstają wsie pasterskie; w puszczach osady pszczolnicze i myśliwskie; nad wodami wsie rybackie. W układzie majątków ziemskich i ich zaludnieniu jest mnóstwo prawdziwych żywiołów gminy. Jeżeli nadania i przywileje wynoszą niektórych posiadaczy włości ponad prawo, nadając im władze wyjątkowe, to za to w innych prawa niemieckie coś podobnego do urządzeń gminnych zaprowadzają. Zjawiają się jeszcze często po wsiach ślady sądów wiecowych w owych wiekach. Rozdrobnienie ziemi nie zdaje się zbyteczném, bo obok jednołanowych dzierżaw, niewiele spotykamy półłanowych, a prawie nigdy mniejszych. Ta przestrzeń ziemi obok puszcz, pastwisk i łąk, przedstawiających możność różnych zatrudnień i zarobków, i prowadzenia różnych potocznych gałęzi rolniczych, nawet przy zupełném dzieciństwie rolnictwa, zdaje się dawać łatwość wygodnego utrzymania.

Natomiast wielkie ciężary publiczne i dziesięciny wytyczne i małdratowe ciążą na rolnictwie. Ale piérwszy ciężar powoli się usuwa, naprzód częściowo, daléj znika zupełnie, ustępując miejsca stałym i umiarkowanym podatkom.

Obok tego wielka uprawa prawie nie istnieje; więksi posiadacze są skrępowani, albo przez obowiązki publiczne, albo przez prawo rycerskie; ich zatrudnienia rolnicze mogą być tylko dorywcze, nie ciągłe. Rolnictwo właściwie jest w ręku klassy ani dość ukształconéj, ani dość zamożnéj, aby było zdolne do wielkich rezultatów, jakich od niego domagać się ma prawo kraj prawie wyłącznie rolniczy. Pomnaża się więcéj ludność jak bogactwo krajowe;

a lubo miasta rosną i dobry byt się wzmaga, o znacznym ruchu handlowym, o znacznym wywozie jawnych nie spotykamy śladów.

Ten stan rzeczy nie wystarcza więc potrzebom ogólnym kraju, i uledz musi zmianie. Swobody nowo nabyte i ulgi przyniesione rolnictwu, powołują do obszernéj uprawy; folwarki zaczynają się rozszerzać. Zdaje się, że wiek XVty jest epoką, w któréj stosunek mniejszych posiadłości do większych, żądania rąk do ich ilości, wielkiéj do małéj uprawy jest najwłaściwszym. W XVI wieku, waga zaczyna się na jednę stronę przechylać. Gałęzie drobne rolnicze ustępują miejsca produkcyi wielkiéj zboża i mięsa. System folwarczny bierze przewagę; osady i ludność rolnicza poczynają annex folwarków stanowić; wiążą je z nimi coraz bliższe stosunki zależności; folwark staje się głową i sercem posiadłości ziemskich. Właściciela stanowisko, mocą świeżych praw, zupełnie się zmieniło. Bez jego zezwolenia, poddany ani odejść, ani sądownie działać, ani posiadać na własność nie może. Zaczyna właściciel niejako powracać do tych praw, jakie mu szczególne, wyjątkowe przywileje niekiedy przed statutem wiślickim nadawały, z tą jeszcze różnicą, że już obok siebie nie ma nikogo, coby miał jakie prawa ze stanu osobistego lub tytułu posiadania ziemi płynące. To położenie daje niekiedy powód do nadużyć, na które niektórzy pisarze XVI wieku, zaczynają się użalać, i pomnaża zbiegostwo ludności rolniczéj, które prawa surowe napróżno ukrócić usiłują. Ale choć prawa się zmieniły, zwyczaje jeszcze podtrzymują dawną budowę; wymiary gruntów kmiecych pozostają te same (1); system czynszowy waży się jeszcze z pańszczyzną; religijność, patryarchalność obyczajów łagodzi postępowanie.

(1) Grewenitz, autor pisemka pod tytułem: „Włościanin polski (w Warszawie, 1818 r. z niezwykłą Niemcom znajomością praw polskich napisanego, tak porównywa rozległość łanu polskiego (zwykłéj osady kmiecia w w. XVI) i ocenia jego przychód: „Hufa (podług Ulphila hoba) pług, znaczył pierwiastkowo przestrzeń ziemi, którą jeden człowiek parą wołmi obrobić może. Późniéj oznaczono tym wyrazem w ogólności powierzchnią pola, wystarczającą do wyżywienia jednéj włościańskiéj familii: ztąd zapewne powstały podług różnéj dobroci gruntu, tak nierówne wielkości włók co do wymiaru ich powierzchni. Tak znajdują się na 15, 18, 24, 30, 42 i aż do 60 dni orania (morgów), a i te same znowu bardzo różne bywają. W polskiéj niegdyś prowincyi Szlązku, włóka zamykała w sobie 506,230 łok. □. Gdy w r. 1718 w należącéj niegdyś w części do Polski, Nowéj Marchii, oznaczono do owego czasu, podług wielkości, powierzchni włóki, dla ustanowienia gruntowego podatku, podług dobroci i dochodu z gruntu, na idealne

Wszystko to działo się powoli, nie odrazu; wynika prawie z saméj natury rzeczy, płynie z ogółu potrzeb, z natury stosun-

równéj wartości włóki zredukowanemi zostały, oszacowano włókę takową na 20 tal. intraty zbożowéj. „Wszystko to, co się powiedziało" mówi niżéj „wziąwszy na uwagę, można, zdaje się, przyjąć za rzecz pewną, że łan 1582 r. był przynajmniéj równy włóce magdeburskiéj, zamykającéj 30 mg. morgów. Stosownie zaś do zaprowadzonego oddawna w Polsce gospodarstwa we trzy ręce, włóka takowa zabiéra około 5 korcy berlin. wysiewu ozimego. Średnia czysta intrata z gospodarstwa we trzy ręce na gruncie średniéj rodzajności, mającego nadto do potrzeby opał, siano i pastwisko, waży się, licząc na żyto, między 4 a 6 kor. ber. żyta, na każdy korzec wysiewu ozimego. Na ten wypadek zgadzają się równie rachunki przez 80 lat w Berlinie pod okiem rządu wykonywane, jak i sam Thaer".

Wszelako rozpatrując się w powyższym ułamku, trafia się na powody do mniemania, że większą przestrzeń ziemi posiadłości kmiece zajmowały. Instrukcyą Zyg. Aug. dla Litwy nakazano, aby pole w trzy ręce miało po 11 mor. czyli włóka 33 mor., a służba takich włók dwie. Oprócz tego było wiele osad, które posiadały łany obce, znacznie większe. Łan frank. zawierał bowiem ł. p. 851,512 1/4. Łan fra. mniéj. ł. p. 681,210. Łan teutoński v. niem. ł. p. 719,000. Włóka chełm. polska i cheł. pruska ł. p. 506,250. Włóka litewska miała ł. p. 602,479, a jak mówi Czacki (T. I, s. 223) Podlasie, które jeszcze 1648 r. z dziesięciu włók jednego jezdnego dawało, pomiar mając przed wcieleniem do Korony, litewskiéj pilnowało miary. Równą miał miarę i Wołyń, choć w mniejszéj części królewszczyzn i to tylko ekonomicznie mierzony. Że łan frankoński był bardzo w użyciu, przekonywa nas i to, że dekreta referendarskie, mianowicie za podkanclerstwa Kołłątaja, przyjmowały za zasadę, że na 4 dni ciągłe lub 8 pieszych pańszczyzny tygodniowéj, powinno być dane włościaninowi, samego ornego i bonitowanego gruntu, oprócz placu, łąki i ogrodu, łan frank. mający 50 mor. 138 pr. Taki łan wynosi 114 mor. 40 1/4 p. miary magde. (O dziesięcinach p. Igna. Miączyńskiego, w Krak. 1816, str. 171). Nie wzmiankują pomniki dawne, o ile więcéj był w użyciu łan większy lub mniejszy; ale Ładowski (w Inwent. do konsty. pod wyraz. łan) mówi, że łan większy nazywał się łanem kmiecym.

Z tego wszystkiego wnosić można, że osada kmieca była większa jak włóka magd., a często dwom wyrównywająca. W tém domniemaniu tém więcéj utwierdzić się można, porównywając wygórowany stan zamożności kmieci i zbytki, które prawodawcy karcili (Stat. an. 1490, V. L. I, s. 261) z obrachowaniem powinności z wł. mag. które robi tenże Grewenitz w wyżéj przywodzoném pisemku. „Mierząc, mówi on, mogącą być zdziałaną przez dzień pańszczyzny ciągłą robotę, na największą skalę jaka jest w kraju ustanowioną, ponieważ ta zwykle odnosi się do dobrego wyorania jednego wielkiego krajowego morga (tojest między 2 a 3 morgi magd.), wypada przeto policzyć trzy włościańskie konie, a tak wartość dnia jednego może być na blizko 8 meców (7 1/2 garncy) żyta oszacowaną. Tym sposobem 52 dni ciągłych na rok z każdéj włóki (magd.) stają się dla włościanina uciążliwemi tam nawet, gdzieby mu pańszczyzna około połowy czystéj intraty pozostawiła".

ków, nie z planu, nie z układu pojedynczych osób. Niemniéj jednakże tak się nowe stosunki wykształcają.

Obok tego wszystkiego sztuka rolnicza się kształci. Ważną różnicą pomiędzy dawniejszemi wiekami, a XVtym i XVItym, jest to: iż teraz rolnictwo staje się zatrudnieniem klassy zamożnéj i ukształconéj, która może umiejętnie niém kierować i posiada środki do jego podniesienia. Tym sposobem nabiera i wielkich rozmiarów, i umiejętnego kierunku; dorasta do potrzeb narodu. Zjawiają się w XVItym wieku dzieła rolnicze; powstaje myśl kadastru i pomiarów; niektóre prowincye otrzymują regulacye i instrukcye co do stosunków rolniczych. Ludność się powiększa, dobry byt się nie zmniejsza, ale, jak powiedzieliśmy, organizm włości się zmienił. W ogólności zaczynają przybierać kształt, jaki nieomal do dziś dnia zachowują. W XVItym wieku ta zmiana nie była jeszcze stanowczo i ostatecznie wykształconą; wiele jeszcze ze starego pozostało, zasady tylko przekształcenia położone zostały. Wieki późniejsze miały tylko dokończyć rozpoczęte dzieło.

NOWA EPOKA
LITERATURY HISTORYCZNÉJ POLSKIÉJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Materyały historyczne wydane w Warszawie.

(Ciąg dalszy).

***

Historya panowania Jana Kazimierza wydana jest więc nierównie staranniéj, jak rękopism Wojcickiego. Zresztą oprócz tych zmian w texcie, które nie psują wcale dzieła, Historya bardzo długo niczém się od Pamiętników nie różni. Na stronnic sto przeszło, kilka zmian i to bardzo mało znaczących; pospolicie zmian wyrazowych. Idzie tak Wojcicki z Raczyńskim wciąż razem aż do roku 1651, tojest do epoki nowych buntów kozackich po traktatach Zborowskich (Raczyński do str. 138, Wojcicki do str. 152). Odtąd różnią się obadwa wydania. Pamiętniki w dalszym ciągu zawierają artykuł: *Po opisaniu dworskich min i chyrcholów opisuje się położenie Ukrainy*, i wypadki aż do śmierci Tymoszka Chmielnickiego, bardzo ciekawe i opisane obszernie; szkoda tylko, że text nadzwyczaj zepsuty. P. Wojcicki nie ostrzega nas, ale widać częste próżnie w jego rękopiśmie, a rzecz jedna drugiéj się nie ima, i to aż do końca książki. Od epoki wojny kozackiéj, autor Pamiętników przechodzi nagle (na str. 205) do listów Radziejowskiego, jakie pisał odsądzony

już od czci i wiary, Pan Bóg wié za co, podkanclerzy, do Kozaków i do stanów rzeczypospolitéj. Przejście jest tak nagłe, że nawet nie ma sensu między wierszami, gdzie się obraz jeden przerywa, a drugi zaczyna; nie dojrzał przecież tego p. Wojcicki. Cały sejm z roku 1652, najniegodziwiéj w text wojny kozackiéj wcielony, przegradza wypadki téj wojny, nie wiedzieć dlaczego. Są wprawdzie i w Raczyńskim częste luki, ale wydawca poznański wié o tém i umié przestrzedz czytelnika, gdzie go przestrzedz potrzeba.

Kiedyśmy już zaczęli pisać o Kochowskim, pociągniem daléj rzecz naszę o *Historyi* Raczyńskiego, rzuciwszy na chwilę *Pamiętniki*, i wskażem jeszcze na różnicę pomiędzy oryginałem Klimakterów, a ich tłumaczeniem polskiém; mianowicie od roku 1662, bośmy te właśnie czasy najpilniéj porównywali w obudwu dziełach.

Kochowski jak i Piasecki pisali dla druku; więc téż Kochowski równie jak biskup przemyślski, wstrzemięźliwszy jest w sądzeniu swojém o ludziach, a zwłaszcza wysokich urzędnikach koronnych. Ale tłumacz Kochowskiego nie tai się wcale ze swoją myślą, i zdaje się, że ostrzejszym jest nawet od tłumacza biskupa. Zabity szlachcic, nie lubi elekcyi za życia króla, a więc nie cierpi M. Ludwiki, kanclerzów Paca i Prażmowskiego, i gdzie tylko może, to ich ugryzie, nawet boleśnie i okropnie. Tłumaczy wiersze i paszkwile, których jest tyle w Kochowskim, a że ma wenę poetycką, wiérsz łaciński wykłada rymem polskim. Kochowski jednak nie gniewa się, zbiérając nawet paszkwile; jego tłumacz nie może strawić tego, co boli, i wylewa z całéj piersi żółć swoję. Ztąd Kochowski zimny, ztąd więcéj interesuje autor *Historyi*; zupełnie tak samo, jak Piasecki i jego tłumacz, z tą tylko różnicą, że Kochowskiego czasy lepiéj jeszcze i z większém życiem opisane, jak panowanie Zygmunta III albo Władysława IV. Wojski krakowski był znakomitszym artystą od biskupa przemyślskiego.

W Klimakterach jest uniwersał króla Jana Kazimierza, wydany w roku 1659, w którym czytamy zagajenie o elekcyi. Autor Historyi wspomina mimochodem o tym uniwersale, ale serdecznie i z nienawiścią przymawia kanclerzom (str. 167, a zwłaszcza Prażmowskiemu na str. 152, 201). Za Jerzym Lubomirskim dałby się, jak to mówią, powiesić; lubo i jego błędów wcale nie ukrywa, rozpowiadając, że M. Ludwika chcąc go ułowić w swoje sidła, obiecywała marszałkowi jakieś świetne małżeństwo jego syna Stanisława z księżniczką francuzką, podobno nawet krwi panującéj

(str. 170 do 173). Kochowski tak obojętny pod tym względem, że doprawdy niktby nie wiedział z jego dzieła, jakiego się trzyma stronnictwa, gdyby sam potém nie zdradził się, że przeciw królowi walczył pod Montwani. Mówiąc daléj o śmierci Łukasza Opalińskiego, odzywa się o nim surowiéj nieco jak Kochowski, a to z tego jedynie powodu, że Opaliński wchodził w rachuby dworu, kiedy wydał od laski wyrok na Radziejowskiego (str. 175). Dostaje się nawet za swoje Stefanowi Czarnieckiemu (str. 201—217). Nasz autor powiada o nim, że dla respektów królewskich odstąpił wojska, przez które do swojéj reputacyi przyszedł, a sam darmo nigdy ojczyznie nie służył. Kiedy Paweł Borzęcki, substytut konfederacyi wojskowéj, umarł w tym czasie, a Kochowski powiada, że było podejrzenie o truciznie, autor Historyi zaraz objaśnia, że to sprawka M. Ludwiki. Okropny paszkwil o czterech jędzach rzeczypospolitéj znajduje się w Historyi, ale nie ma go wcale w Klimakterach (str. 323). W ogóle w Kochowskim nieszczęściom rzeczypospolitéj dwór winien; u Raczyńskiego zawsze pani tego dworu.

Kochowski jest także bardzo znakomitym historykiem i równéj wagi jak Piasecki. Lubi jak i biskup obrazy wzięte z dawnych dziejów i cytacye nietylko z historyków rzymskich, ale i z poetów. Tacyt znajduje się u niego obok Lukana, a z Lukanem Olimp i najczęściéj mściwa Nemezys. W Raczyńskim nie ma tego wszystkiego; widać, że tłumacz polski mitologii nie lubił, i miał wielką pod tym względem słuszność. W Kochowskim poseł cara Alexego, w mowie mianéj do senatorów we Lwowie, wtrąca Styx i Charona. Raczyńskiego autor nie wierzył widać w tę erudycyą posła. To téż nierównie oryginalniejszy tłumacz Klimakterów, jak same Klimaktery. Z erudycyą nie popisuje się; a kiedy Kochowski uczenie zagaja o rzeczy i jak z katedry powiada: teraz o tém a o tém mówić będę, autor polski już prawi i rozpowiada wiele doprawdy ciekawych rzeczy. Jest on daleko więcéj narodowy, daleko więcéj dramatyczniejszy. Mowy Kochowskiego wiele zyskują w przekładzie na język polski naszego autora. Nie wiemy, czy sam tłumacz je układał, czy téż spisywał z ust braci szlachty; ale w każdym razie serdecznie wierzym, że to pomnik historyczny. Jeżeli taka mowa np. nie była powiedzianą w gronie szlachty przy obradach, to napisaną była przy stoliku; a czy tak, czy inaczéj, charakteryzuje zawsze pewną część narodu. Mowa biskupa Czartoryskiego do związkowych, kasztelana Bieniew-

skiego do Kozaków po ugodzie w Hadziaczu są prześliczne i mogą nawet służyć za wzór prawdziwie męzkiéj wymowy. Nie sam układ wyrażeń tam przedziwny, ale i myśli wszędzie obywatelskie, i sam punkt zapatrywania się na spółczesne wypadki prawdziwy. Nigdy dosyć nie można się nachwalić politycznych jasnowidzeń Bieniewskiego (T. I, str. 359 i II 27). Mowy Biejkowskiego, którą miał w odpowiedzi do Zygmunta Czyżowskiego posłańca prymasa do wojska, prawie nie ma w Kochowskim, (str. 209—211). Kochowski nie kochał się w dramatyczności, a przecież pięćkroć razy podniósł przez nią wartość swojego dzieła jego umiejętny tłumacz.

Opisy wojen w Kochowskim, napchane są massą wyrazów obcych, dla nas niezrozumiałych. Rzymskie wyobrażenia przeniesione żywcem do Polski. Co znaczą np. *Protribunus*, *primipilus*? Gdzież te miasta, pod któremi walczy Jan Kazimiérz z Czarneckim? *Virgo*, *Arca*? To jakiś kraj nie słowiański, bo na Rusi zadnieprskiéj była *Dziewica* i *Korab*. Kochowski umié też pochlebiać. Nie powtórzy ani razu imienia Sobieskiego za Jana Kazimierza, chociaż nawet przyszły zwycięzca pod Chocimem i Wiedniem, był tylko prostym starostą, albo chorążym koronnym, żeby nie dodał zaraz *Illustrissimus*; ale nazwiska hetmanów, marszałków idą u niego w texcie bez tego przydomku: zapewne, że to wygląda dziwnie. Kochowski miał zawsze na myśli, że mówi o przyszłym królu rzeczypospolitéj, a historya jednak nie powinna uprzedzać wypadków. Więc kiedy potém hetman wielki burzył z Prażmowskim przeciwko Michałowi Korybutowi, kiedy bawił się w sprzysiężenia niegodne hetmańskiéj buławy, byłże i wtedy *Illustrissimus* Sobieski obok *najjaśniejszego* Michała? Kochowski nawet o weselu Sobieskiego z Maryą Kazimiérą Zamojską wspomina pod rokiem 1665, jako o ważnym wypadku politycznym. Tłumacz jego miał już pod tym względem więcéj przyzwoitości i taktu. Zdobywa się czasami nawet i Kochowski na przyganę ludziom, ale to już nie hetmanom, tylko prostym mnichom, którzy za króla Augusta Mocnego w sprawie Rzymu walczyli za władzą obcą generałów, przeciw biskupom polskim i prawom rzeczypospolitéj; a rzeczpospolita oczywiście miała przecież wszelką moc mianować na opactwa, kogo chciała, i jak chciała. Ale i tak przygana Kochowskiego jest grzeczna, powiedzielibyśmy salonowa, gdyby salonowość nasza była już w modzie za Augusta Sasa (Klimakt. 3, str. 30). Uchwyciwszy za tę samą

okoliczność, autor polski ciska swój gniéw wymowny na tę władzę obcą, a oburzenie jego nie ma granic (str. 174 do 175).

Tłumacz Klimakterów opuścił w swojém dziele wzmiankę Kochowskiego o weselu księcia Bogusława Radziwiłła z synowicą, i okoliczność, że król Jan Kazimiérz wystawić sobie kazał grobowiec w katedrze na Wawelu; wreszcie wiadomość pod rokiem 1664, o znalezieniu w Krakowie ciała Szymona Albimontana, który z Radziwiłłem sierotką jeździł kiedyś do Ziemi Świętéj: mniéj to ważne rzeczy, nie żałujem ich wcale, kiedy w zamian za te wiadomości, mamy tyle ciekawych rzeczy. Brakiem jednakże uwagi należytéj przy wydaniu stało się, że wypadki z roku 1665 i 1666, ogromnie w *Historyi* pomieszane. Zacząwszy od ugody pod Palczynem (Racz. str. 374), ogromna luka kilkunastu kart w Raczyńskim. Tego łatwo téż można było dostrzedz przy wydaniu. Autor doprowadził właśnie opowiadanie swoje do przymierza, zawartego pomiędzy królem a Lubomirskim, a potém ni ztąd ni zowąd rozpoczyna na nowo dzieje wojny; i uważny czytelnik spostrzega, że przed tą wojną coś przecie zajść musiało, a to coś było to czas, mniéj więcéj ośm do dziewięciu miesięcy. Kochowski pomieścił w Klimakterach dwa opisy bitwy pod Montwami: jeden swój własny, bo był oczywistym świadkiem boju, a drugi obcy, jakiegoś stronnika królewskiego, który był sędzią wojskowym, dla porównania świadectwa. Są te dwa opisy i w naszym autorze, który (na str. 384) tłumacząc Klimaktery, nie wspomina nic o Kochowskim, a mówi w ogóle: „ta bitwa jak się stała, przytomny autor w téj akcyi opisał". Wygląda to jakoś dwuznacznie, a celem tłumacza było zatrzéć ślady swojéj kradzieży literackiéj. Tak i w innych miejscach; Kochowski pisze: „wspomniałem o tém w tym a w tym Klimakterze"; a Raczyńskiego autor: „jak się wyżéj wspomniało". Ale wracając do rzeczy: na stron. 377 Historyi zaczyna się już rok 1666, a nie na 387, a to, co przed tém wypuszczone, mieści się w Klimakterze IIIcim, na str. 210—229. Zatém: „Król do konia ruszył się" u Raczyńskiego (str. 377), powinno być do *Konina*, jak w Kochowskim. Powtarzamy: łatwo było dojrzéć téj próżni i błąd naprawić, kiedy np. w rękopiśmie napotykał się taki nieporządek, że jeden opis bitwy Montewskiéj jest pod rokiem 1665, a drugi zaraz obok już pod rokiem 1666; a tutaj i tam jedne spotykają się osoby, jedne wypadki.

Najwięcéj dziwi nas jednakże ta okoliczność, jak mógł Wojcicki drukować po polsku dzieło Piaseckiego, nie wiedząc o tém;

jak mógł znowu Raczyński Kochowskiego wydawać, nie wiedząc o tém? Takżeto mało znamy dzieje literatury naszéj polsko-łacińskiéj, żebyśmy się nawet na takiéj kradzieży nie poznali? A pominąwszy i to na bok, jak mógł Wojcicki nie wiedzieć w roku 1846, że prawie cały drugi tom jego Pamiętników wyszedł w Poznaniu w roku 1840? Jednakże tak jest w rzeczy saméj. Na co złożyć winę? na opieszałość czy niedbalstwo nasze?

Raczyński czasami doprawdy w rozumowaniach swoich zabawny. Każde swoje wydanie musiał poprzedzić przedmową wielką czy małą, ale zawsze przedmowa być musi. W piérwszym tomie *Historyi* napisał od siebie, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk poleciło członkom swoim wypracowanie szczegółowych panowań królów polskich; że prezes tego zgromadzenia przodkując pracy, wydał naprzód dzieje Zygmunta IIIgo; że Władysława IVgo napisał Kajetan Kwiatkowski; że do całego obrazu ponowania Wazów, brakowało tylko historyi Jana Kazimierza. Traf szczęśliwy podał mu w rękę pismo zapomniane w zakącie wiejskiego domu, w jednéj z najodleglejszych prowincyj dawnéj Polski, a w tém piśmie znalazł pragmatyczny opis dziejów Jana Kazimierza, i właśnie jakby ostatni tom historyi domu Wazów w rzeczypospolitéj. Zapomniał Raczyński o dziele księdza Dymitra Krajewskiego, skończoném już przed rokiem 1817. Zapomniał, że nie znaleziony rękopism, ale Krajewski tylko mógł kończyć pracę prezesa Towarzystwa, i Kwiatkowskiego. Dzieła historyczne Przyjaciół Nauk są jak dwie krople wody do siebie wszystkie podobne; jeden w nich sposób pisania, wpływ jednych i tychże samych literackich wyobrażeń. W czémże więc może się równać panowanie Zygmunta IIIgo z obrazem, jaki nam skreślił nieznajomy tłumacz Klimakterów, nie prosty jedynie kopiista, ale prawdziwy sercem i duszą szlachcic, obywatel? Historycy nasi epoki niedawno zeszłéj wzrośli pod wpływem innego nieba, i mieli swoje przesądy konstytucyjne, jako ludzie Stanisławowscy ze szkoły Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Ci panowie wcale już nie rozumieli epoki Wazów, jak ją rozumiał tłumacz Kochowskiego, bo żył albo w niéj saméj, albo jéj podaniami, które zachwycił od ojców. Nasz autor bronił elekcyi; literaci Stanisławowscy ją potępiali. Doprawdy, Raczyński popełnił śmieszność, kiedy powiedział, że wydaniem swojego rękopismu spełnia polecenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nawet Klimaktery o dziesięć procent lepsze od panowań Zygmunta IIIgo i Władysława IVgo, a cóż dopiéro Historya! Kochowski

w pojęciu kunsztu historycznego był nierównie wyższym od prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a nawet od Piaseckiego; nie zapominajmy, że biskup przemyślski pisał tylko kronikę, i nic więcéj. Kochowski jest pisarzem malowniczym, obrazowym. Jakito piękny np. opis świętego i pobożnego związku, któremu marszałkowali Świderski i Niezabitowski! *Pobożny* związek szedł za królem, dworem i elekcyą za życia, a *Święty* popierał marszałka Lubomirskiego. Prosty porucznik, nagle wolą związkowych braci wyniesiony na dyrektora, Świderski pokazuje się światłym rządcą, zacnym obywatelem. Jak święcie sprawiedliwość pod jego chorągwiami zachowana! jak skarcony każdy czyn przemocy! jaka chęć szczera powrócenia do powinności. jaka szlachetna mowa do rzeczypospolitéj, kiedy się domaga jednéj, wysłużonéj nagrody! Świderski był człowiekiem stworzonym do rządzenia ludźmi. Jest tam pomiędzy jego konfederatami i miłość dla kraju, i uszanowanie dla króla, i pilność o własny interes. Mówiono też o nim: „ten świder żadnéj dziury nie zrobi w rzeczypospolitéj!" A obraz biskupa kujawskiego, staruszka, tak jaskrawemi farbami oddany; a toć to sama cnota, sama święta poczciwość. Książę staje pośród konfederatów, nie boi się gwałtu z ich strony; przemawia od serca, słuchają go, wierzą mu, i jakże mu nie wierzyć, kiedy się zacny starzec rozpłakał, mówiąc o cierpieniach rzeczypospolitéj! Kochowski także jak Piasecki lubi skreślać charakterystykę osób; wszystko niezawodnie ciekawe, ale nie możem zapomnieć pięknych rysów, jakiemi nam odmalował biskupa Mikołaja Gniewosza. Kto potrafi tak w kilku słowach przedstawić nam postać dawnego człowieka, jak Kochowski, że poznajem i jego część fizyczną i duchową, zaiste musi być sam znakomitym historykiem. Tłumacz Klimakterów odrzuciwszy formę, uczone wstępy i wywody, erudycyą bezpotrzebną i nie w miejscu Wespazyana z Kochowa, ożywiwszy obraz dramatycznością i szlachecką myślą, podniósł bardzo cały ogólny obraz, który jest o tyle wyższym nad dzieło autorów z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, że ich prawie przy nim nie widać. A cóżby dopiéro zrobił z tą epoką Jana Kazimiérza prawdziwy talent historyczny naszego czasu, kiedy materyałów tak wielkie mnóstwo, że cząstki ich nawet nie mógł miéć pod ręką Kochowski!

Dlatego właśnie po tylu znakach, któreśmy dopiéro przywiedli, łatwo było poznać piszącego w Goleniowach, ojczystéj swojéj włości, Wespazyana z Kochowa, który się szumnie podpisywał w dedykacyach do króla Augusta Mocnego: *tribunus terrae Cracoviensis Generalis.* Gdyby Raczyński Klimakterów nie czytał, jużby

z textu swojéj Historyi mógł wyprowadzić prawdopodobne wnioski. Autor jego rozprawiał pod Janem Kazimiérzem o intrygach Maryi Kazimiéry, która własnego syna Jakóba odtrącała od tronu (II, 168). O Zbąskim, kiedy fundował kościół w Studzianny, powiada, że to był biskup warmiński, a Zbąski dostał Heilsberg już późno, pod koniec panowania Sobieskiego, w roku 1687. Zresztą powtarza się ciągle: „świadczy autor Kochowski, mówi Kochowski" i t. d. To było dosyć do naprowadzenia na ślad niezawodny. Raz nawet zapomniał się zupełnie nasz szlachcic. Rozpowiadając (II, str. 411) o bitwie pod Ładyżynem, wspomina i o niewoli Alexandra Kochowskiego, którego wzięli w jassyr Tatarzy: jak go potém do mahometańskiéj wiary namawiali, jak umarł na wygnaniu chrześcianinem, jak się dowiedział o nim Wespazyan Kochowski, brat jego stryjeczny i dodaje zaraz o Wespazyanie: *autor kroniki téj.*

Ruskie wyrazy często się trafiające w *Historyi*, np. *opyt*, przedać się, w znaczeniu *zdradzić* albo przejść na drugą stronę, może wskazują, że autor mieszkał na Rusi, albo z nią wojował. A wzmianki z okoliczności zabójstwa Wincentego Gąsiewskiego, że był synem Alexandra wojewody, którego posyłał Władysław IV do Francyi po uwięzionego brata, *jako się wyżéj namieniło*, mogły zwrócić Raczyńskiego uwagę, że nietylko panowanie Jana Kazimiérza miał w ręku; owszem, że znalazł tylko jeden urywek ogromnego dzieła.

To właśnie spowodowało i nas do rzucenia jeszcze kilku ostatnich myśli o tych dwóch wydaniach: warszawskiém i poznańskiém. Widoczna jest rzecz, że *Pamiętniki* Wojcickiego i *Historya* Raczyńskiego, są częściami jednego dzieła. Boć Wojcicki znalazł swój rękopism w Warszawie, a Raczyński w jednéj z najodleglejszych prowincyj dawnéj Polski. Jeden zaczynał się wcześniéj, drugi za to późniéj się kończył, a obadwa jednak zawierały jeden i ten sam opis piérwszych kilku lat panowania Jana Kazimiérza, bez najmniejszéj odmiany przez stronnic sto kilkadziesiąt. Bliższe studya nad historykami naszemi wyświecą, dlaczego Wojcicki różni się od Raczyńskiego pod koniec Pamiętników. Daléj widzimy, że szlachcic, autor tego ogromnego dzieła, powziął widać myśl napisania dziejów polskich na ogromną skalę; może zaczął od tego, na czém Bielski skończył, może chciał ciągnąć daléj jego Kronikę, i dlatego przerabiał na język ojczysty łacińskich pisarzy. Szedł za nimi prawie niewolniczo, tłumaczył ich dosłownie, ale czasami puszczał i własnéj fantazyi

cugle, rozpowiadał wiele ciekawości wprost od siebie, których w drukowanych książkach nie znalazł: oczywiście pisał już za Augusta Sasa, bo znał klimakter IIIci, który wyszedł dopiéro w roku 1698. Widzieliśmy sami, że ostrzéj jak Kochowski przymawia mnichom, którzy spierali się z królem w sprawie opactw. Czyby to wszystko nie dało powodu do myślenia, że autor wciąż pisał dzieje rzeczypospolitéj, aż do swoich czasów, prawie aż do dnia swojéj śmierci? Pamiętniki Erazma Otwinowskiego należą do téjże saméj kategoryi; i w nich taż sama wszędzie myśl szlachecka, ten sąd ostry, ale bardzo często prawdziwy, też same obrazy wypełnione, taż sama niekronikarska metoda opowiadania, a wszędzie logiczny i historyczny związek myśli i następstwo wypadków. Erazm Otwinowski ma wprawdzie styl nieczysty, i nie pojedyncze już wyrazy, ale całe wysłowienia łacińskie, które potłumaczył Raczyński na polskie. Widzieliśmy, że zrobił toż samo z Panowaniem Jana Kazimierza. Ale Wojcicki, który żywcem przedrukował *Pamiętniki* nawet z potwornemi błędami kopii, ma język wcale czysty, a przynajmniéj czyściejszy, jakiegoby się spodziewać było można po tych czasach smakujących w makaroniczném słowie. Nie utrzymujem tutaj z pewnością, że i pamiętniki Erazma Otwinowskiego są dziełem naszego autora, który wziął się do przerabiań; ale wskazujemy na ślad, że między nim a Otwinowskim znaleźćby się jeszcze powinny panowania Michała Korybuta i Sobieskiego. Kochowski zostawił przynajmniéj czwarty klimakter o Wiśniowieckim; w rękopiśmie mógł on gęsto latać po rękach. Jeżeli rzeczpospolita nie miała zresztą historyka, któryby opisywał czasy tych dwóch królów, a zwłaszcza Sobieskiego, to miała za to pracowitego zbieracza i znowu biskupa, który wszystkie pamiętniki tego czasu, jakie tylko mógł dostać, zgromadził w swoje pięć tomów listów historyczno poufnych. A może też i ustał nasz pisarz, kiedy mu wątku niestało; na kanwie danéj może potrafił haft przerabiać, ale sam nic nie umiał wyhaftować.

Przecież i to dziwi, że dwóch znanych w rzeczypospolitéj pisarzy przerabiał tak na swoje konto nasz autor, i nie bał się wcale, żeby go kto czasem nie złapał na gorącym uczynku. Jednakże, kiedy zastanowimy się nad tém bliżéj i weźmiem bardzo częste przykłady w naszéj i obcéj literaturze, przekonamy się, że uchodziły bardzo te przerabiania i podrabiania. Niedawno widzieliśmy, że toż samo zrobić się miało z kroniką Marcina

i Joachima Bielskich. Autor polski kopiował łacińskich pisarzy rzeczypospolitéj, ale i sam zdradzał się ze swojém usposobieniem, ze swoim sądem, który dzieło jego namaścił pewną oryginalnością poglądu i przedstawienia rzeczy; więc go nie poznawali w tłumaczeniu. Ale jak darować szanownemu wydawcy *Pamiętników* w roku 1846, że nie znał Historyi Raczyńskiego wydanéj w r. 1840? jak darować Raczyńskiemu, że nie poznał w swoim rękopisie Klimakterów Kochowskiego?

W naszym czasie, nie ulega to żadnéj wątpliwości, wezmą się nowi pracownicy do tłumaczenia starych kronik i dzieł historycznych, jako źródła dziejowego. To myśl bardzo naturalna i bardzo nasza, żeśmy powinni mieć po polsku wszystkich naszych łacińskich pisarzy, nie samych tylko historyków, ale powtarzamy, wszystkich pisarzy. Kiedy więc przyjdzie do tłumaczenia Piaseckiego i Klimakterów, *Pamiętniki* Wojcickiego i Raczyńskiego *Historya* zastąpią miejsce pargaminowych rękopisów, które trzeba bezustannie porównywać słowo za słowem, przy wydawaniu kronik. Z pargaminów zbieramy waryanty do kronik; do naszych autorów łacińskich dobierać będziemy waryanty z polskich tłumaczeń starych, jakie jeszcze czas i poczciwi ludzie wykryją. Do Piaseckiego i Kochowskiego mamy już gotowe plony, komentarze, waryanty w dwóch dziełach, któreśmy ocenili. Przy tłumaczeniu więc na polskie, text autorów łacińskich trzeba zostawić nienaruszony, a najmniejszą różnicę dostrzeżoną pomiędzy Piaseckim a Pamiętnikami, Kochowskim a Historyą, trzeba notować w przypisach, zaraz u spodu stronnicy, dla porównania; i tak w jedném, dwa będziem mieli dzieła. Naprzód nie zatrzemy oryginalności autorów łacińskich, potém w przypiskach wskażemy na inną indywidualność, która fakta brała wprawdzie zkądinąd, ale charakter swój nadawała przerobieniu. Będzie to wydanie zupełnie krytyczne, a podjąć się tłumaczenia Klimakterów i Piaseckiego nie radzim bez takiéj porównawczéj pracy. Potém w kronice biskupiéj znajdujemy prawie drugi text, nietłumaczony wcale przez autora Pamiętników. Text ten należy do całości; razem obok siebie zestawiona całość, zaokrągli się ładnie w przekładzie całą już historyą Europy i Polski. Błędy wydań polskich, to nowe wydanie krytyczne oczywiście wytknąćby powinno, bo te błędy widocznie należą do przepisywacza, ale nie do autora, który rzecz dobrze rozumiał. Kiedy mi Wojcicki napisze (T. I, str. 24), „do zajonczku zabierali się", oczywiście ta wersya nie ma myśli: i trzeba poprawić: do *związku*; u Piaseckiego jest téż w tém

miejscu użyty wyraz *nexus*. Tak samo wydanie krytyczne poprawi omyłkę o Macieju Łubieńskim, że to był kujawski, ale nie kijowski biskup. Wydanie to poprawi: *Krzysztof Zgłobicki*, ale nie Zgłębocki, jak jest u Raczyńskiego; Alexander Żaboklicki, ale nie Żablicki, jak mówi tłumaczenie polskie, kiedy w Kochowskim wyraźnie stoi prawdziwe nazwisko. Stefan Bidziński był stolnikiem koronnym, nie podstolim, bo w Kochowskim stoi: *Dapifer*. Erchercog Karol umarł w Epinacie, piszą polscy wydawcy, bo po łacinie jest *Oenipenti*; to miasto nazywa się dzisiaj Oettingen i leży w wyższéj Bawaryi nad Renem. Przodkowie nasi dziwny zwyczaj zaprowadzili do literatury, że miasta całego świata nazywali po łacinie; ztąd te dziwne tytuły w języku polskim eboraceńskich, rotomagskich arcybiskupów, parlamentów lugduńskich, burdegalskich. Byłoto dla nich zrozumiałe i piękne, ale dla nas, to bez sensu. Trzeba zaraz uciekać się do słowników, żeby się z nich dowiedzieć, że *Argentorati* znaczy w Strasburgu, że *Aquae-Sextiae*, to Aix francuzkie. My sądzim, że ten zwyczaj dziwny przestrajania nazwy własnéj w obcą zniknie z czasem i za granicą; po cóż go mamy naśladować bez potrzeby? Oprócz tych poprawek, które przedsiębrać ma wydanie krytyczne Piaseckiego i Klimakterów, tłumacz może wdać się w krótkie rozprawki, a przynajmniéj objaśnienia faktów, lekko natrąconych w autorze oryginalnym. Człowiek piszący o swoim czasie i dla spółczesnych, nigdy nie wypowié całéj duszy, chociażby to był sam Sokrates piszący historyą. Prędzéj zamilczy, jak powié wszystko. Są excentryczne charaktery, ale to przecież nie stanowi dowodu: to wyjątek od ogólnego prawidła. Otóż i Kochowski i Piasecki nieraz nie domówi wszystkiego; domówi coś za nimi ich tłumacz, ale i ten nieraz niewiele słyszał o jakim wypadku; i tamci dwaj przez wzgląd na ludzi, ten ostatni przez niewiadomość, mogą mieć opuszczenia i niepewności. Zresztą, i sama stronniczość dużo ukrywa z tego, coby plamę mogło rzucić na stronnictwo. Wydawca polski krytyczny powinienby mówić wtenczas za autorów łacińskich i polskiego. Względy ludzkie dla niego już nie istnieją, a o czasach dawnych może wydać wyrok sprawiedliwy; niechaj tylko ludzi i rzeczy nie sądzi podług pojęć swojego wieku, ale podług pojęć, w których oni, ci dawni ludzie, żyli i działali. Tyle się mnoży u nas ciekawych wydań listów, pamiętników: z nich trzeba czerpać światło dla

krytycznych wydań, a będą doprawdy piękne, zdumiewające nauką i uroczystością. Tak przy Piaseckim, Kochowskim i tłumaczu polskim, zjawiłaby się trzecia indywidualność pośrednicza pomiędzy słowem ostrożném, a szorstkiém, pomiędzy obrazem łagodnym, a mocnym, pomiędzy dźwiękiem serca słabym, a silnym. Wszystko, co w naszych czasach będzie tak wydane *in crudo*, bez krytyki, bez objaśnień, będzie może ciekawe, piękne, ale nie dorośnie nowéj epoki literatury historycznéj polskiéj.

Od bezimiennego autora, który przerabiał dzieła znanych historyków, przejdziem teraz do notatek innego autora, który wprawdzie nie zasłynął w dziejach literatury, który nawet nie miał zamiaru ubiegania się o sławę pomiędzy piśmiennikami rzeczypospolitéj, a jednak od lat sześciu prawie, zajął dosyć poważne miejsce w gronie zacnych ludzi, którzy nam w pracach swoich zostawili źródła dla dziejów. Mówimy o Chrapowickim. Pan wojewoda witebski, jak wielu porządnych obywateli wszystkich stron i wszystkich czasów, dzień za dniem, pisał sobie dyaryusz zdarzeń, na które patrzał, albo w których sam miał udział. Pisał widać dla pamiątki; chciał może zostawić dyaryusz ten dla synów, dla wnuków, dla żony, ale najwłaściwiéj powiemy, że pisał w młodszym wieku dla siebie, żeby w dniach siwizny szukać po księgach wspomnień dziecinnych. Nałóg raz zaciągnięty stał się prawidłem dla niego na całe życie, i wojewoda ciągle, nawet w dni stare, swój dyaryusz pisał i pisał. Nadszedł czas z kolei, że jeszcze młodzianem będąc, Chrapowicki dzierżył urzędy ziemskie pomiędzy szlachtą bracią; potém nadszedł czas drugi, że zasiadł na sejmie jako poseł, a potém laskę nawet piastował. Król Michał mianował go wojewodą witebskim. Wszystkie te okoliczności wpływały znakomicie i na sam dyaryusz Chrapowickiego; widnokrąg jego zdarzeń rozwijał się wciąż i rozwijał, nareszcie objął i całą rzeczpospolitę. Wiśniowiecki Michał kochał Chrapowickiego; matka króla, Gryzelda Zamojska, miała także wiele spółczucia dla naszego wojewody. Stosunki pomiędzy temi trzema osobami były więcéj, jakby na przyjacielskiéj stopie: były na stopie prawdziwie rodzinnéj. Ztąd i dyaryusz, w którym Chrapowicki zajmował się naprzód sobą tylko i swojemi, stawał się powoli dyaryuszem rzeczypospolitéj; ale zawsze zaciśniony do miejsca pobytu pana wojewody, nie rozwinął się w Klimaktery Kochowskiego, ani nawet w Kronikę Piaseckiego, a jednak wiele taje-

mnic owego wieku, stosunków, intryg rozjaśnił. Ztąd wartość jego historyczna (1).

Dyaryusz ten zaczyna się w 1668 roku: „który zacząłem w Łubnie w powiecie grodzieńskim" pisze Chrapowicki. Tutaj więc najwłaściwsze miejsce, żeby pomówić o nim. Po *Pamiętnikach* Wojcickiego i *Historyi*, Dyaryusz następuje zaraz w chronologicznym porządku.

Przyznamy się, żeśmy z uprzedzeniem pewném siedli do czytania pism Chrapowickiego. Zjawiał się nowy autor jak Pasek; jeżeli nie umiał interesować sobą dziejów literatury polskiéj, to przynosił z sobą książkę nową, nieznaną o dziejach narodu, pomnażał bibliografią historyczną rzeczypospolitéj. Te okoliczności uprzedzały dobrze za panem wojewodą. Ale pamiętaliśmy téż, że gdzieś czytaliśmy recenzyą, czy sprawozdanie o pismach Chrapowickiego, bardzo dla tych pism nie pochlebne. Oskarżano w téj recenzyi naszego autora, iż nie wiedział jak pisać, że nie umiał pisać, że ciągle tylko zajmował się sobą, że notował skrupulatnie co jadł, i kiedy jadł, gdzie spał i w jakiém towarzystwie; powiadano téż nam, że dla tych wszystkich powodów, nie ma w pismach Chrapowickiego treści, że dziejom się nie przysłużył w niczém, że drukować książkę jego, było szkoda czasu i atłasu. Oskarżenia stanowcze, żeby zabić w nas, w czytelnikach, wszelką wiarę w pana Chrapowickiego i wartość dziejową jego dyaryusza.

Bliższe rozpatrzenie się atoli w dziele, które wydał Józef Rusiecki, kazało nam o wiele zmienić uprzedzenia nasze względem pana wojewody. Pamiętnik Chrapowickiego jest bardzo zacnym do dziejów naszych przyczynkiem.

Juścić jeżeli pójdzie na porównanie z Kochowskim, wojewoda witebski oczywiście wiele straci w tém porównaniu. Ale téż wielka między zamiarami jednego a drugiego różnica. Kochowski dzieje narodu pisał; Chrapowicki tylko swój dyaryusz. Kochowski pisał dla rzeczypospolitéj; Chrapowicki dla siebie. Kochowski myślał o imieniu, o sławie literackiéj; Chrapowicki zapewne nawet we śnie o tém nie marzył. Wojski krakowski miał talent;

(1) Pisma Chrapowickiego. Dyaryusz wojewody witebskiego, Jana Antoniego dwóch imion Chrapowickiego, jako przyczynek do dziejów z czasów Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego królów polskich, wydany z autentyku przez Józefa Rusieckiego z Trojanki. Oddział pierwszy. W Warszawie u Józefa Ungra, 1845 roku, w 8ce. Str. XLVIII i 332, i faksimile rękopismu Chrapowickiego.

wojewoda witebski żadnego; testament pisał też z pretensyą, ten bez żadnych widoków. Kochowskiego można krytykować, zbijać, można mu robić zarzuty, że to albo owo opuścił, że tego albo tamtego nie rozjaśnił, albo nie rozumiał; można mu powiedzieć, że ma zły wykład, mało treści i t. d. (jeżeli nb. tego wszystkiego naszemu historykowi dowieść można); o Chrapowickiego recenzya się nie zaczepi, bo trudno wymagać kunsztu historycznego i wprawy pisarskiéj od człowieka, który nie myślał być autorem. Więc tém przyjemniéj dla czytelnika, jeżeli w książce, w któréj się tego wcale nie spodziewał, znajdzie ciekawe i interesujące wiadomości. Mamy prawo wymagać nauki dla siebie od Kochowskiego, a za przechowanie choćby małego, ale nieznanego szczegółu, winniśmy już prawie wdzięczność Chrapowickiemu.

Wydawca, pan Rusiecki, skreślił nam w przedmowie życiorys wojewody, podług jego własnych zeznań w Dyaryuszu. Zrobił to bardzo niedbale, bo nierównie więcéj i lepiéj opowiedzieć można o Chrapowickim; tém bardziéj, gdyby się porównało inne jeszcze źródła. Z Dyaryusza poznaliśmy dobrze zacnego obywatela, który nie malując się wcale, odkreślił nam swoje rysy, charakter, sposób myślenia, nadzieje. Gdyby Chrapowicki nic nie dodał do naszego kapitału historyi, to już to samo odwzorowanie się jego w pismach, wzięlibyśmy za ciekawy i ważny nabytek, nie obojętny dla przeszłości. W Dyaryuszu tego nie ma, ale jest w Kochowskim (Klim. III, str. 171), że w r. 1665, kiedy sprawa Lubomirskiego zaczęła niepokoić stany na sejmie zwołanym do Warszawy, król Jan Kazimiérz nikogo innego, tylko Chrapowickiego podawał za marszałka obrad szlacheckich. Toby nam wskazało, że nasz autor, natenczas podkomorzy smoleński, należał do stronnictwa dworskiego i chciał elekcyi Kondeusza na tron Polski. Potém widzimy go z kolei posłem na wszystkie prawie sejmy, marszałkiem na konwokacyi w r. 1668. Stosunki jego bardzo serdeczne z Pacami, kanclerzem i hetmanem, którzy za Jana Kazimierza popierali elekcyą i wyobrażenia francuzkie, a potém za Michała Korybuta, połączyli się znowu z prześladowanym od panów królem, dlatego tylko, żeby sprzeciwiać się Sobieskiemu i prymasowi, a więc wyparli się Kondeusza; dałyby może poznać, że Chrapowicki odegrał także znakomitą rolę w intrygach swojego czasu. Ale sąd taki na pozornych rozumowaniach zasadzony, byłby bez podstawy: wniknąwszy głębiéj w sprawy Chrapowickiego, prze-

konywamy się, że mogły go używać stronnictwa do swoich widoków, i starać się go nakręcić wedle swojéj myśli; ale autor nasz, mimo to wszystko, pokazał się wszędzie mężem staropolskiéj cnoty. Do spisków nie uciekał się i kochał prawe publiczne rzeczypospolitéj. Gościnny, przyjacielski, wymowny, chwilki jednéj nawet nie spoczął; jeździł, to na sejmy, to po dobrach swoich, oglądając wiejskie gospodarstwo, to po kommissyach, zjazdach, wyznaczany na to od stanów, albo uproszony przez obywateli. Byłto człowiek nadzwyczaj popularny nietylko w Smoleńskiem, ale na całéj Litwie. Reprezentant przez lat kilkadziesiąt rodzinnego województwa, nie nadużył nigdy ufności swoich spółobywateli. Nie miał wysokich przymiotów męża stanu, i dlatego kierować nie chciał i nie umiał umysłami; ale to jednakże nie naruszało wrodzonéj mu poczciwości. Każdego króla serdecznie kochał, bo widział w nim majestat rzeczypospolitéj; ale chociaż zostawał w stosunkach przyjaźni z całą rodziną Wiśniowieckich, nie chwycił przecież za oręż w obronie Michała, chociaż przymawiał się o to król Korybut. Chrapowicki pierwéj piórem władał, jak orężem, ubolewał więc nad Michałem, ale nie walczył za nim. Był jednakże czas, że zdawało się, iż trzymał Chrapowicki w ręku swojém losy Wielkiego Księztwa, a więc razem i korony polskiéj. Korybut popychał go do konfederacyi, hetman Pac obiecywał mu, że wszystkie województwa litewskie staną pod jego laską. W Polsce zawiązała się na obronę króla konfederacya koronna, a Korybut myślał sejm złożyć i sąd na spiskowych, którzy chcieli go z tronu strącić, posadzić na nim Francuza, i reformy na korzyść jednego wyłącznie stanu zaprowadzić. Chrapowicki był wtedy tak potężny, że prymas Prażmowski i podskarbi Morsztyn błagali go listownie o pomoc.

Osoba więc tak wielkiego znaczenia, jaką był Chrapowicki, ma prawo obchodzić każdego badacza przeszłości polskiéj. Gdybyśmy postać każdego wojewody, hetmana, tak dobrze zrysować mogli, jak możem Chrapowickiego zrysować z jego Dyaryusza, mielibyśmy historyą.... W czasach tak okropnego ścierania się dwóch zasad przeciwnych, jakie widzim za Jana Kazimiérza i Michała Korybuta, nie obojętną jest dla nas, myśl każdego posła na sejmie, myśl każdego prawie szlachcica; jakże nie ma interesować postać wojewody, który się zbliżał więcéj jak kto inny do tajemnic stanu, i wiedział wszystko: i to co mówiono pokryjomu, i to co działano przeciw prawom kardynalnym rzeczypospolitéj. Dajmy

na to, żebyśmy mogli zebrać taką statystykę historyczną osób i powiedzieć, że za Korybuta w obronie króla i szlacheckiéj rzeczypospolitéj stawali ci a ci, a przeciw tamci; gdybyśmy mogli pochwycić na gorącym uczynku wszystkie odcienia tych dwojga przeciwnych stronnictw: bo bez odcieni takich nie może być żadne społeczeństwo, tém bardziéj mające prawo naradzania się publicznego; gdybyśmy wskazać mogli na rozwój myśli M. Ludwiki historycznie, nietylko w kraju, ale i w pojedyńczych członkach naszego społeczeństwa: czegoż więcéj moglibyśmy już żądać? Wszakże nie w wypadkach, ale w myśli ogółu, spoczywa historya. Historya ma wskazywać nie na bitwy, ale na kierunek ducha, a raczéj historya ma zająć się przedewszystkiém bitwami ducha, nie ciała.

Takiéj charakterystyki jednego ze znakomitych wielkoradzców rzeczypospolitéj, dostarczyły nam właśnie pisma Chrapowickiego. Obok niego, kogoż znamy tak dobrze?—pięć, sześć najwięcéj osób.—Ale i oprócz téj charakterystyki, jest bardzo wiele dobrego w Dyaryuszu pana wojewody.

Prawda, że zbyt drobiazgowy jest Chrapowicki w swoich notatach, że na dzień każdy roku ma coś zapisać, jeżeli nie wypadek polityczny, to spostrzeżenia meteorologiczne, i stacye na których nocował, albo na których się *pokarmiał*; prawda, że notuje ze skrupulatnością największe dzieciństwa: jak np. że myszka wbiegła do izby sejmowéj, kiedy tam perorował jakiś wielki obywatel w ojczyznie; że dla pamiątki zapisuje sobie nawet dzień, w którym zginął piesek jéjmości specyalny bardzo, i drugi dzień na wiosnę, w którym słyszał słowika i kukułkę formujących głosy swoje; ale to wszystko małe wzmianki obok opowieści, w któréj wiele faktów tą razą już prawdziwie nieznanych.

W pismach Chrapowickiego znajdujemy dyaryusze sejmowe, i dzień za dniem wiemy o nowych zajściach, nowych projektach, intrygach. Nie ma tam mów wprawdzie, których pełno w każdym dyaryuszu sejmowym, wydanym urzędowo przez sekretarza obrad; ale są za to niemniéj ciekawe szczegóły o walce stronnictw, o środkach walki, o zabiegach i przymówkach, które mogą być tylko w dyaryuszu nieurzędowym, prywatnym. Łapiemy tutaj narazie namiętność, interes własny, albo obywatelstwo. Kiedy sejm ma być zerwany, chwytamy za nić intrygi; wiemy teraz, jakiego pozoru używali panowie albo szlachta, żeby sejm zerwać; wiemy, jak prawa obradowania bronił marszałek. Chrapo-

wicki nie obrazuje, napomyka tylko; ztąd jest czasem i ciemny, ale zawsze rzuca niezmierne światło. Szczęściem dla nas, że p. wojewoda był popularnym człowiekiem, i że dlatego zasiadał na wszystkich sejmach z kolei; mógł więc nam z kolei i historyą obrad narodowych przedstawiać przed oczy. Obywatelstwo jego szczególniéj wydatnieje w tych czasach, kiedy sam trzymał marszałkowską laskę; a trzeba znowu nieszczęścia, że walczył wtedy ze swoimi ziomkami, exulantami smoleńskiemi, bo zawsze się ktoś pomiędzy niemi znalazł, obrońca *liberum veto*.

Żałujemy, że ten dyaryusz Chrapowickiego zaczyna się tylko od roku 1668, że nie sięga jeszcze lat dawniejszych. Nasz autor miał w roku 1668 już 56 lat życia; a więc się zbliżał już ku starości. Dlatego nawet nie zdaje się nam, żeby i przedtém jeszcze pamiętników swoich nie pisał. W wydanych jego pismach przez Rusieckiego, natrafiamy odrazu na ciekawe szczegóły, tyczące się chwil ostatnich panowania Jana Kazimiérza. Widzimy, jak myśl abdykacyi jeszcze przed r. 1668 rzucona, wzrasta co chwila w umyśle królewskim. Widzimy, jak myśl ta mężnieje i z kolei przechodzi w czyn. Dzień za dniem przytomni jesteśmy naradom, perswazyom, przedstawieniom, to w pałacu Kazimirowskim, to w Prymasowskim. Widzimy, jak senat się zjeżdża do Warszawy niewezwany, naradza się o sprawach i przyszłości rzeczypospolitéj. Dużo szczegółów zebrał biskup Jędrzéj Chryzostom Załuski o tych ostatnich chwilach panowania Jana Kazimierza, ale w Chrapowickim obraz nierównie więcéj zajmujący.

Z bezkrólewiem odżyły intrygi francuzkie panów. Tutaj znowu śledzim krok za krokiem myśl dawnego stronnictwa, chcącego się narzucić rzeczypospolitéj. Ale Pacowie przeciwstawili księcia lotaryngskiego Kondeuszowi, i znowu najdrobniejsze szczegóły, wszystkie przejścia i fazy szlacheckiej myśli na sejmie elekcyjnym, aż do wykluczenia Kondeusza i elekcyi Michała. Obrazu tak drobiazgowego o téj chwili jeszcze nigdzie nie czytaliśmy; znajdziem niejeden jeszcze zapewne taki zarys w pamiętnikach, w rękopismach, które wiek nasz drukuje, a wtedy nowe jeszcze światło uzupełni się podaniami Chrapowickiego. Dzień elekcyi Michała (19 czerwca) nazywa p. podkomorzy smoleński dniem cudownym: bo w saméj rzeczy, tryumf odniosła wtedy nad intrygami szlachta, a obiór jéj miał coś w sobie wielkiego i uroczystego jednomyślnością i zapałem. „Zdrętwieliśmy wszyscy, tak wiel-

kim przerażeni cudem; co nie mogło się stać bez wyraźnéj Boga woli“ (str. 131), mówi Chrapowicki, i zaraz podaje szczegóły ciekawe, jak dąsał się hetman, i z gniewu, że przeprzéć nie może szlachty, podawał projekt do nowych bardzo ostrych paktów konwentów, tak, że ich nie mógł w żaden sposób przyjąć król Michał. Hetman gotował zatém nową przymuszoną abdykacyą, ale szlachta na to zaimponowała pospolitém ruszeniem i okrzykami zdrady. Zamiast zgubić Michała, intryganci francuzcy zaciekłością swoją ku niemu, obudzali tylko dla króla szlachty miłość.

Przyduszona duma energią zapaśników, odżyła przecież, i biédny Korybut panował wpośród strasznych konwulsyj narodowych. Nie miał on także woli jak Zygmunt IIIci i zgubił siebie. Piérwszego Wazę szanowali jeszcze magnaci, bo dopiéro za niego rodził się bezrząd; a potém król Zygmunt III, pochodził z rodziny panującéj, nie drażnił zatém dumy wielkoradców. Nie miał tych korzyści na swojéj stronie król Michał, a najmniéj znaczący za jego czasów senator albo minister, sądził, że więcéj położył zasług dla rzeczypospolitéj, jak Korybut Wiśniowiecki, a ród swój uważał za tyle szlachecki, co ród króla Michała. Intrygi na sejmie konwokacyjnym, intrygi o wakanse i współzawodnictwo możnych, widne jak na dłoni z pamiętników Chrapowickiego. Charakter prymasa Prażmowskiego skreślony nienaumyślnie, nie po artystycznemu, ale w wypadkach wydatnieje mocno. Jakże nie miał Turek zdobywać Ukrainy i Podola, jak Kozacy nie rwać się na stronnictwa, kiedy panowie bawili się już nie w spiski, a w jasne bunty przeciw królowi? Prymas jawnie wymyślał w senacie na swoich przeciwników i wzywał króla, żeby abdykował. Księcia de Longueville (szlachta przezwała go Długosielskim) prowadził jawnie na tron, a kiedy zginął ten młody bohatér, prymas zadrżał, ale znowu księcia de Vendôme popierał. I znowu powtórzym tutaj, że tak dokładnego obrazu intryg francuzkich za króla Michała, nigdzieśmy jeszcze nie czytali; chyba będzie równy temu, ale nie tak zawsze szczegółowy w czwartym Klimakterze Wespazyana z Kochowa.

Okropny rok 1672, który Chrapowicki najnieszczęśliwszym nazywa, ze swoją konfederacyą gołębską, przedstawiony także w jaskrawych bardzo zarysach. Doprawdy, zdaje nam się, że czytamy gazetę tamtego czasu. Tutaj co się dotyczy ruchów wojennych na Ukrainie, oprócz listów Załuskiego, dla wyświecenia okoliczności, przychodzą nam w pomoc ciekawe bardzo dyaryusze

i pamiętniki, które podrukował p. Ambroży Grabowski w Ojczystych Spominkach.

Panowanie króla Michała Wiśniowieckiego, przez wydanie pism naszego wojewody zyskało wiele. Przesądy historyczne o ludziach i czasach umilkną, skoro bezstronny czytelnik przejrzy te akta, te *pièces justificatives*, które wydał p. Rusiecki. Nie będziem tak bardzo potępiali Michała Korybuta, jak to robili ludzie zeszłéj epoki. Nam się tylko dziwném wydaje, że szanowny wydawca, który musi być tąż samą osobą, co i pan Rusiecki z Dyplomataryusza Rzyszczewskiego, mając pod ręką tak spory zapas faktów, po którychby mógł sądzić o królu Wiśniowieckim, nie usprawiedliwia go, a owszem prawie potępia, jak to sądzić możem z treści, w któréj zebrał znakomitsze czyny dotknięte przez Chrapowickiego.

Być może, i nam zarzucą z kolei, żeśmy zbyt stronnie przedstawili charakter wojewody witebskiego; żeśmy z uprzedzeniem dobrém dla niego pisali o nim; może nam powiedzą, że i Chrapowicki miał wady swoje, że należał do możnowładców rzeczypospolitéj pilnujących interesu własnego, ale nie sprawy ojczystego kraju. Być może, zacytują nam fakta, jak ciągle rozprawiał wojewoda na sejmach o wynagrodzeniu exulantów smoleńskich, jak brał królewszczyzny i dostojności, jak wnosił, żeby „nie przystępować do żadnych spraw rzeczypospolitéj, aż się nam zadosyć stanie". Te słowa i wnioski potępiłyby kogo innego, ale nie naszego autora. Nie on piérwszy dla prywaty mógł narażać obrady sejmowe: wtenczas opozycya i *liberum veto* stawały się już nałogiem szlacheckim, bez którego żyć nie można było. Każdy brał ze wspólnego stołu, każdy do brania sądził że ma prawo. Wszyscy, źle nawet służąc rzeczypospolitéj i ulegając podszeptowi namiętności, albo duchowi stronnictw, sądzili, że pracują na sławę i dobro kraju. Żądali zatém wynagrodzenia *ex pane bene merentium*, a jeżeli nie dostali starostwa albo wrębu do lasów, albo prawa na palenie towarów leśnych (tojest potażu), albo wójtostwa, sołtystwa jakiego, rozwodzili publicznie skargi, nie dlatego nieraz, że nie dostali, ale dlatego, że zasług ich nie uznaje rzeczpospolita. Prawem kardynalném Polski stało się, żeby na początku każdego sejmu król rozdawał wakanse; prawo to uświęcało prywatę i nie w jednym razie doprawdy, tamowanie obrad publicznych z powodu nierozstrzygniętéj jeszcze sprawy o interes jednego albo drugiego obywatela, uchodziło za cechę, za dowód czystego patryotyzmu. Późniéj nawet najzacniejsi ludzie téj

broni prywaty używać musieli, żeby sejm prędzéj zerwać, jak dopuścić na nim stanowienia praw obrażających rzeczpospolitę. Przekonani jesteśmy mocno, że Chrapowicki pomimo tego, że groził nie przystępować do żadnych praw Rplitéj, nie zerwałby jednak sejmu dla exulantów smoleńskich.

Nie można nigdy dosyć odżałować, że p. Rusiecki skończył swoje wydanie na piérwszym tomie pism Chrapowickiego. Wojewoda witebski umarł dopiéro w roku wyprawy wiedeńskiéj, więc jeszcze z jedénaście lat przynajmniéj pisał swój pamiętnik, a p. Rusiecki zapewne posiada i dawniejsze jeszcze z przed r. 1668 pisma i listy Chrapowickiego. Takby przynajmniéj wnosić należało z tytułu Dyaryusza, na którym napisano: *oddział piérwszy*. Więc być mógł oddział drugi i trzeci, więc nowy autor miał wystąpić w naszéj literaturze historycznéj odrazu z całą biblioteką dzieł swoich. Zacny wydawca owszem zapowiadał, że dobre od czytającego ogółu przyjęcie jednego oddziału, będzie dla niego zachętą do ogłoszenia dyaryuszów Chrapowickiego z lat innych, a może i podobnego rodzaju innéj ręki piśmiennych zabytków. Upraszał nawet p. Rusiecki posiadających dawne dokumenta, pisma urzędowe, dyplomata i historyczne rękopisy, ażeby się do niego zgłaszali, bo chciał te zabytki nabywać i drukować.

Mieliśmy zatém znaleźć swojego Edwarda Raczyńskiego; ale nieszczęśliwa recenzya wydrukowanego już Dyaryusza, ostudziła widać od razu gorliwość zacnego wydawcy. Lat sześć już minęło od téj chwili, a nie możemy się jeszcze doczekać spełnienia danéj obietnicy.

Jednakże nie sądzim, żeby p. Rusiecki doprawdy i nazawsze umilknął. Zasługi jego nie zapomni już literatura i historya: w Dyplomataryuszu Rzyszczewskiego, w pismach Chrapowickiego wojewody zostaną pomniki téj zasługi. Dlatego prosimy zacnego wydawcę o dalszy ciąg Dyaryusza, prosimy o całą bibliotekę dzieł jego, o rozpowszechnienie tych innych rękopisów, które ma w bogatym swoim zbiorze posiadać. W naszéj chwili, jedyną prawie drogą do zarobienia sobie na pamięć dobrą pomiędzy spółczesnemi i potomstwem, jest praca około wydawania pomników piśmiennych, które giną z dniem każdym. Sława Raczyńskiego tak piękna, jak rzadko czyja, bo tak nadzwyczajny jest człowiek, któryby grosz łożył dla dobra nauki, wpośród wieku spekulantów i kapitalistów. Czyżby ubliżeniem było dla p. Rusieckiego podobną sławą pomiędzy nami rozbłysnąć?

Na końcu dopiéro przychodzi nam mówić o wydaniu Wojcickiego Statutów wiślickich (1).

W roku 1847 upływało pięćset lat od prawodawczego sejmu w Wiślicy. Powzięty był zamiar uczczenia téj półtysiącznéj rocznicy przepysznem wydaniem statutów Kazimiérzowych. Kilku uczonych myślało o tém. Już Kazimiérz Stronczyński przepisał cały kodex Sieniawski, do którego Mikołaj Malinowski i Wincenty Majewski mieli dorobić krytyczne noty i objaśnienia. Text łaciński miał być zamieszczony obok tłumaczenia polskiego. Ale kiedy nieprzewidziane przeszkody opóźniły przedsięwzięcie: p. Wojcicki pochwycił za ich myśl i swojém wydaniem Statutów w r. 1847 przypomniał nam zasługi Kazimiérza Wielkiego.

Użył do tego księgi nazwanéj Wiślicyą, która stanowi najcelniejszą ozdobę metryki koronnéj. Jestto rękopism zawierający w sobie tłumaczenie polskie dawnych statutów, między któremi prawa wiślickie zajmują główne miejsce. Ztąd pochodzi nazwa samego rękopismu. Jestto zabytek piśmienny jeszcze z XVI wieku. Stronczyński wydał w podobiznie księgę Wiślicyi, jednocześnie prawie z Wzorami pism dawnych, ale że odbił kilkadziesiąt exemplarzy tylko, wydanie jego zostało już dzisiaj bibliograficzną rzadkością. Autor Ksiąg Bibliograficznych, zbierając historyczne pomniki języka i uchwał polskich i mazowieckich, używał także księgi Wiślicyi dla porównania ze swojemi zabytkami. Znali ją więc wszyscy dla siebie: Wojcicki piérwszy dał ją poznać wszystkim.

W książce, którą nazwał wydawca *Statutami polskiemi króla Kazimiérza*, nie ma nowych danych dla historyi prawa. Nie odznacza się ona wcale nowością, albo raczéj znalazło się w niéj mało nowości. Wydanie to przecież rozpowszechnia pomiędzy nami statut wiślicki, rzecz dziwna, tak mało znany dotąd, dziwniejsza tém bardziéj, że niedawno znaleziono nawet dwa przekłady statutu na język ruski, z których jeden z XV wieku ogłosiła w Petersburgu kommissya archeograficzna.

Miało być krytycznem wydanie Wojcickiego. Miało obok textu zawierać w sobie porównanie ważniejszych ustaw przeszłych z prawodawstwami obcemi, mianowicie zaś z prawem rzymskiém pod względem dziejowym i filozoficznym. Przed samym textem jako wstęp, miała być rozprawa o statutach wiślickich, o ich wartości i znaczeniu: bo wielki pomnik cywilizacyi narodu z XIV stulecia, zasługiwał na wszelkie względy. Nieszczęściem dla

(1) Statuta polskie króla Kazimierza w Wiślicy złożone, z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki. Warszawa. 1847. 8ka. Druk Kom. Rząd. Sprawiedliw. Str. VII i 179. Cena złp. 8.

szanownego wydawcy, Majorkiewicz umarł, a zamiast jego rozpraw, Felix Żochowski napisał w dodatku do statutów o języku polskim XV wieku.

Statuta wiślickie zajęły tylko 66 stronnic; co nad to jest w książce Wojcickiego aż do rozprawy o języku, jest dopełnieniem praw Kazimierzowych i rozwinięciem. Tak w wydaniu naszém następują statuta Jagiełły, uchwalone w Warcie, przełożone na język polski przez Świętosława z Wocieszyna, kustosza kollegiaty ś. Jana w Warszawie, znane już z wydania Joachima. Potém idą ustawy nieszawskie, czyli odnowienie praw ziemskich z przyzwoleniem niektórych artykułów z roku 1454. Daléj potwierdzenie praw ziemskich Władysława Jagiełły w Krakowie 1433 r. drukowane już były w *Jus polonicum* Bandtkiego. Następują artykuły z rozmaitych statutów królów Kazimierza i Władysława, i niektóre przywileje zebrane, prawom ziemskim przez nie przydane naprzeciw drapieżcom dóbr kościelnych, wydane także przez Bandtkiego, a uchwalone na sejmie piotrkowskim w roku 1458. Potém statuta w Nowém-Mieście Korczynie uchwalone w roku 1465, wydane w *Jus polonicum*. Niektóre artykuły zebrane ze statutów sędziom potrzebne, statuta w Opatowie zapadłe z roku 1474, i znowu uchwały Kazimierza Jagiellończyka w Piotrkowie z roku 1447 i 1457: oto treść książki, którą pan Wojcicki uświęcił pięciosetną rocznicę uchwał wiślickich. Prawnicy nasi, historycy i filologowie, wdzięczni mu będą za piękny pomysł, za wydanie staranne, a tanie. Wizerunek Kazimierza Wielkiego, zdjęty z wierzchniéj części grobowca jego na Wawelu, zdobi wydrukowaną księgę Wiślicyi, a wiadomo, że rysy znakomitego króla, artysta uwięził na grobowcu. Twarz szlachetna, piękna, spokojna, a cała postać uderza jakąś dziwną powagą. Gdyby nie korona na głowie, zdawałoby się, że to wizerunek polskiego kmiecia, a przynajmniéj kmiecia z czasów Kazimierza Wgo.

* * *

Skończyliśmy mówić o materyałach wydanych w Warszawie. Mała ich liczba, zapewne, tych materyałów w porównaniu z innemi miastami polskiemi. Mało téż nieznanych, nowych dzieł i rękopisów. A jednak ma się z czego pochwalić nasze miasto. Na kodex dyplomatyczny zdobył się tylko Poznań, obok Warszawy. Ale

Rzyszczewskiego wydanie o wiele cenniejsze jest od dwóch kodexów Raczyńskiego, a nawet Wzory pism dawnych, nie ustąpią tym kodexom piérwszeństwa. Niedość, że massa błędów skaziła wydanie poznańskie, ale na to jeszcze potrzeba zwrócić uwagę, że krytyki tam wcale nie było. Są dyplomata podrukowane oddzielnie i w transumptach, a niedbalstwo tak ogromne, że tego nie spostrzegli ani Raczyński, ani korrektorowie w druku. Potém jeden dyplomat wydrukowany z téj kopii, a drugi z tamtéj; po przeczytaniu pokazuje się, że jeden i drugi toż samo, tylko pisownia inna, tylko błędy inne i data zepsutą. Takim sposobem kilkaset dyplomatów u Raczyńskiego zeszło na sto kilkądziesiąt i złe jeszcze wydanych. Nasz Dyplomataryusz w porównaniu z poznańskim, to czyste złoto przy miedzi. Mamy już dwa grube tomy, za kilka tygodni posłyszymy zapewne i o drugiéj połowie drugiego tomu, a wieści chodzą, że pan Rzyszczewski postanowił pracować nad swoim Dyplomataryuszem z podwojoną gorliwością. Obok tego przedsięwzięcia, cóż równego wskażą inne miasta?

Odkryliśmy dalszy ciąg Bielskiego Kroniki, wydaliśmy Piaseckiego po polsku, pan Rusiecki obdarzy nas całą biblioteką nowych rzeczy i nowych autorów.

Prawda, że Piasecki nie jest rzadki: to téż uważajmy Pamiętniki Wojcickiego prosto za przedruk. Któreż miasto popisze się taką liczbą przedruków ważnych, jak nasze? *Biblioteka starożytna* przypomniała nam kilka imion niesprawiedliwie zagrzebanych; obok niéj, wydanie Stryjkowskiego i *Statutów wiślickich*, to wszakże prawo nie mniejszéj zasługi naszéj do wdzięczności spółziomków. Małośmy tylko wydrukowali ojczystych spominek, mało listów, relacyj, mów sejmowych, opisów różnych zabaw i uroczystości. Mało u nas wyszło broszurek takich jak Sagatyńskiego albo Pstrokońskiego, aleśmy się zdobywali na co mogli, i na co stać było. Powiedzmy i to jeszcze, że wydania nasze nie były gładzone, obcinane, przez wzgląd na osoby i rzeczy. Ale mamy nadzieję, że nietylko jakością, ale i ilością zalecim się wkrótce.

Za to, że Warszawa mało zajmowała się pracą około wydawania materyałów, drukowała wiele własnych badań, prac, dzieł, rozpraw, objaśniając niby przeszłość. Wszystko to jeszcze może zawczasu przed uporządkowaniem i rozpowszechnieniem naszych materyałów. Ale człowiek lubi szukać, więc i badać w przeszłości, chociaż wié, że ma do tego mało środków; nie wstrzymuje go przecież ta okoliczność, i mimowoli poddaje się słabości,

idąc za przywiązaniem. Zobaczmy tedy *utwory* wydane w Warszawie. Zastanówmy się bliżéj, które z nich noszą cechę prac naszego czasu, a którym brakuje na myśli żywotnéj. Warszawa tutaj niezawodnie ilością nawet przodkuje innym miastom, swoim siostrzycom. Czy może też przodkować siostrzycom i zdolnościami swoich pisarzy?

15 lutego, 1851 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZBIÓR KRYTYCZNY

DZIEŁA P. WALENTEGO DUTKIEWICZA, POD TYTUŁEM:

PRAWO HYPOTECZNE W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

PRZEZ

C. Z.

(Dokończenie.)

Pod względem spadku powstały, w zastosowaniu Kodexu Cywilnego z r. 1825, następne kwestye:

1) Czy mają do niego prawo małżonkowie, którzy w umowie przedślubnéj zastrzegli wspólność majątku?

2) Czy mają do niego prawo małżonkowie, którzy zawarli związek małżeński przed ogłoszeniem prawa z r. 1825?

3) Jak się urządza spadek małżonka ze względu na prawa dzieci naturalnych uznanych, niemniéj ze względu na część obowiązkową i część rozrządzalną?

Co do 1go zapytania. Autor mniema (§ 181), iż małżonkowie nie biorą po sobie spadku, jeżeli zastrzegli wspólność majątkową. Głównym jego argumentem jest art. 231 prawa z r. 1825, który stanowi: „Jeżeli małżonkowie przez umowę przedślubną, lub przez umowę w art. 210 przewidzianą nie postanowili, jakie prawa ma mieć małżonek przy życiu pozostały do majątku współmałżonka, natenczas służyć będą prawidła następujące." Autor przypuszcza, iż zastrzeżenie wspólności jest oznaczeniem praw pozostałego przy życiu mał-

żonka, podchodzącém pod art. 231. Lecz bliższe wejrzenie na naturę wspólności austryackiéj, przeniesionéj do prawa z roku 1825, nie usprawiedliwia tego wykładu. Cóż to jest bowiem wspólność austryacka, jeżeli nie darowizna na przypadek śmierci, uboższemu małżonkowi przez bogatszego, połowy przewyżki jego majątku. Jeżeli przeto majątki małżonków były równe, albo jeżeliby bogatszy przeżył uboższego, wtedy nie byłoby żadnych praw dla pozostałego przy życiu małżonka, umową przedślubną zastrzeżonych; przeciwnie, mąż majętniejszy straciłby część swego majątku. Widocznie więc w takim razie art. 231 wymagający dla usunięcia spadku oznaczenia praw równających się onemu, wyobrażających spadek, nie może być stosowany do umów, że tak powiem losowych, mogących pozbawić części majątku jednego ze współmałżonków. Art. 231 stosuje się przeto do zapisów uczynionych małżonkowi przez małżonka, na przypadek śmierci, i wyraźnego oznaczenia między niemi ilości spadkowéj. Nie należy się obawiać dla małżonka pozostałego przy życiu, zbytecznych z tego wykładu prawa korzyści: albowiem z mocy art. 234, korzyści osiągnione w skutek wspólności, ulegną zwrotowi na rzecz innych spadkobierców. Lecz stanowczy dowód zamiarów prawodawcy z r. 1825 co do przyznanych praw spadkowych małżonkom, którzy zawarli nawet wspólność, wynika z trzeciego ustępu art. 230; brzmienie tego ustępu jest następne: „W razie zrzeczenia się, żona odbierze swój własny majątek, tak jakby wspólność wcale zastrzeżoną nie była; lecz majątek męża nie będzie odpowiedzialnym za długi żony, i żona nie będzie korzystać z praw w oddziale następnym oznaczonych"; tojest nie będzie korzystać ze spadku.

W tym texcie prawodawca wyraźnie stanowi, że żona w razie zrzeczenia się wspólności, nie będzie brała spadku po mężu; zkąd wynika, że otrzyma spadek, jeżeli przyjmie wspólność.

Nasz autor zwykle z wielką skrupulatnością przytaczający przepisy prawa, w tym jednym przypadku nieco odstąpił od textu, i cytuje wyrazy artykułu 230 w ten sposób: „chociażby się żona zrzekła wspólności, już udziału z art. 232, 233 mieć nie będzie"; tymczasem wyraz *chociażby*, któryby nadał prawu znaczenie odpowiednie wykładowi autora, nie znajduje się w art. 230. Autor dodaje nadto: „tém bardziéj, gdy wspólność przyjmie (żona), już o większéj korzyści myśleć nie może"; któryto argument nie jest również przekonywającym. Jeżeli bowiem żona przyjmie wspólność, a majątek męża równy będzie co do wartości jéj majątkowi, albo też od niego mniéj znaczny, to ze wspólności żadnéj nie osiągnie korzyści; korzy-

ści te powstaną dla niéj dopiéro, gdy weźmie spadek po mężu. Gdy zaś żona zrzecze się wspólności, widocznie w takim razie bogatszą jest od męża, i spadku po nim nie potrzebuje, i dlatego prawo tylko w razie zrzeczenia się wspólności wyłącza ją od spadku.

Trudniejsza jest nieco do rozwiązania kwestya, czyli biorą po sobie spadek małżonkowie, którzy wstąpili w związki małżeńskie przed ogłoszeniem prawa z r. 1825?

Według ogólnych zasad interpretacyi, powtarzanych zwykle w ustawach przechodnich, spadki jako nabywane i realizowane po śmierci spadkodawcy, podlegają nowemu prawu, jeżeli innego nie było zastrzeżenia. Spadki przeto otwarte po ogłoszeniu kodexu z roku 1825, podług tegoż powinny być regulowane, i małżonkowie mają w nich udział. Autor wszelako mniema (§ 185), iż ten udział im się nie należy, i swe zdanie opiera na argumentach obszernie i zręcznie wywiedzionych, których osnowa następna:

1) Spadek ustanowiony prawem z roku 1825 jest warunkowy, szczegółowy, powiązany z umowami przedślubnemi i uzupełniający takowe. Zaś umowy przedślubne podlegają prawu, pod powagą którego zawarte zostały, a zatém cały ten stosunek, nie podług prawa z roku 1825, ale podług praw poprzedzających, nieznających spadku między małżonkami, ocenianym być winien.

2) Motywa urzędowe przekonywają, że oddział IV działu V o małżeństwie, nie tyczy się małżeństw przed 1 stycznia 1826 r. zawartych.

3) Gdy kodex francuzki obowiązywał, małżonkowie niezawierający przedślubnéj umowy, zostawali w wspólności majątku, która nadawała połowę majątku wspólnego pozostałemu przy życiu małżonkowi; a zatém małżonkowie nie potrzebowali wtedy wzajemnego spadku.

Jakkolwiek silnemi mogą być te powody, wszelako poważamy się mniemać, iż one nie są w stanie wzruszyć wzajemnych praw do spadku, jakie służą małżonkom z mocy ustaw obowiązujących w chwili zejścia spadkodawcy. Co się zaś tyczy argumentów autora, te ulegają następnym zarzutom:

Co do 1go: związek między umowami przedślubnemi i spadkiem po małżonkach, nie jest tak ścisły i bezwzględny, jak autor utrzymuje, żeby przepisy o nich prawa, uważać za tworzące jednę całość. Udowodniliśmy wyżéj, że małżonkowie biorą po sobie spadek, chociaż zastrzegli wspólność majątku. Lecz obok tego wpatrując się w budowę oddziału 4 tytułu o małżeństwie, łatwo

dostrzeżemy, że art. 231 mówiący o urządzeniu spadku przez umowę przedślubną, nie zawiera ogólnéj zasady, ale tylko przepis wyjątkowy. Ogólną zasadą jest spadek, który służy wzajemnie małżonkom z mocy prawa; zaś wyjątek od zasady, stanowią umowy, oznaczające bliżéj ten spadek. Jakiż bowiem cel jest art. 231? Czyż prawodawca zamierzył przezeń przeprowadzić jaką myśl ogólną, np. nakłonić małżonków do zabezpieczenia sobie wzajemnie losu na przypadek zejścia? — bynajmniéj; gdyż osiągnienia tego celu spodziewać się nie mógł. Lecz prawodawca pragnął oswobodzić pozostałego przy życiu małżonka od zwrotów, obrachunków i zatargów z krewnemi zmarłego. Odstępując na korzyść małżonka od przepisu zabraniającego układać się o spadki przyszłe, prawodawca ustalił nieodwołalnie wzajemne zapisy tak dożywocia, jako i oznaczonych summ i przedmiotów, aby i pozostały małżonek na nich poprzestał, i krewni zmarłego krytykować ich nie mogli, wyjąwszy w razie nadwerężenia części obowiązkowéj; prawodawca chciał, aby ile można ustanowiony przezeń spadek nie zrodził sporów. Wyjątkowy przepis art. 231 nie niweczy przeto natury prawa spadkowego małżonków, nie wiąże tych praw z umowami przedślubnemi tak dalece, aby je za jedno i toż samo poczytywać, i jednoczesnéj poddawać ustawie.

Co do 2go: ważną zaiste stanowią skazówkę zamiarów prawodawcy motywa czyli głosy urzędników przedstawiających projekta do prawa; lecz te jakkolwiek urzędowe świadectwa, nie mają powagi prawa, nie uzupełniają onego i nie tamują interpretacyi. W obecnym zaś przypadku, tém mniéj można się powoływać na głos radcy stanu, miany w r. 1825 na sejmie, że w nim, bez wskazania bliższych pobudek prawa, uczyniona tylko wzmianka o mocy obowiązującéj działu 4go.

Co do 3go: dosyć jest przypomnieć sobie stosunki zawiązane przez wspólność prawną francuzką, aby nabyć przekonania, jak dalece spadek między małżonkami był obok niéj potrzebnym, a w naszym kraju niezbędnym. Majątek wspólny między małżonkami, według kodexu francuzkiego, składał się z ruchomości ich i dochodów, tudzież z nabytych za nie nieruchomości. Nieruchomości posiadane przez małżonków w chwili małżeństwa lub odziedziczone, były ze wspólności wyłączone. Na wspólności téj ciężyły długi ruchome małżonków. Wiadomo zaś, że w naszym kraju wstępujący w związek małżeński mężczyzni nieco zamożniejsi po wsiach, zwykle starają się o majątek nieruchomy, który w części nabywają na kredyt, i spłacają należny szacunek posagiem żony. Wstępująca pod wspólnością kobieta w związki małżeńskie w takich okolicznościach utracała po-

łowę majątku, a nawet cały posag, jeżeli mąż miał długi ręczne. Mąż zaś mógł jeszcze posiadać dobra znacznéj wartości, do których żona nie miała żadnego prawa, tak dalece, iż po zgonie jego, pomimo swego wniosku, pozostać mogła bez sposobu do życia. Zapewnienie przeto wdowom udziału w pozostałym po mężu majątku, okazywało się potrzebném i pod kodexem francuzkim, aby zabezpieczyć je od nędzy i straty wniosku. Wspólność francuzka równie szkodliwe skutki pociąga dla kobiét, jak wspólność austryacka dla mężów; i jeżeli autor nader trafnie uważał, iż w razie rozwiązania małżeństwa z winy żony, lub w razie udowodnienia z jéj strony złéj wiary w zawarciu nieważnego małżeństwa, mąż mocen jest zrzec się wspólności urządzonéj prawem z r. 1825, i tym sposobem ocalić własny majątek; to podobnież zgodzić się należy, iż przyznanie spadku małżonkom, obok wspólności francuzkiéj stanowi środek złagodzenia surowości prawa, przenoszącego częstokroć na krewnych zmarłego męża, majątek wdowy do wspólności wniesiony. Położenie współmałżonka niemajętnego, który za życia bogatego męża lub bogatéj żony obfitował w dostatki, i nagle przy śmierci onego byłby przywiedzionym do nędzy, jest tak dotkliwe, prawo jego do używania części majątku małżonka zwłaszcza bezdzietnego, tak dalece wypływa ze wzajemnych obowiązków wstępujących w stan małżeński i ze względów ludzkości, że urządzenie spadku między małżonkami, należy koniecznie tłumaczyć w rozumieniu obszernem i rozciągać do małżeństw zawartych przed rokiem 1826. Gdyby prawo z r. 1825 zawierało przepis temu wykładowi przeciwny, wypadałoby życzyć jego zmiany; lecz, jak wyjaśniłem, i jak się nawet poniekąd z rozbioru przez autora tego przedmiotu okazuje, litera prawa nie sprzeciwia się obszernemu stosowaniu art. 231 i następnych.

Co się tyczy zbiegu praw małżonka z prawami dziecka naturalnego do spadku po współmałżonku, autor przytoczywszy, iż dla rozwiązania niektórych zadań w tym względzie, nie ma klucza do odgadnienia; podaje następny przypadek: (§ 186) „Spadkodawca zostawia oboje rodziców, a małżonka jedno dziecko naturalne i brata rodzonego: rodzicom należy połowa, dziecku naturalnemu połowa, bratu połowa, małżonkowi jedna czwarta; jak tu spadek podzielić? Wnosi autor:" Zdaniem naszém trzeba zważać, kogo tu prawo najwięcéj faworyzuje: jako frakcya dziecka prawego, dziecko naturalne otrzymać powinno połowę, a druga połowa w stosunku proporcyonalnym pomiędzy małżonka i rodziców podzieloną zostanie". Brata autor wyłącza od spadku, jako sukcessora niekoniecznego.

Rozbierając to zdanie, naprzód nie zgadzamy się z autorem, aby nie było zasady rozwiązania przezeń przedstawionego zapytania. Stosować tu należy ogólną i niezaprzeczoną zasadę interpretacyi, że każde prawo nowe, znosi zatrudniające onego wykonanie, poprzednio obowiązujące przepisy. Prawodawca z roku 1825 stanowiąc spadek między małżonkami, nie przyjął żadnych ograniczeń z powodu praw dzieci naturalnych, i te bynajmniéj nie wpływają na ustalenie części spadkowéj pozostałego przy życiu współmałżonka. Lecz przeciwnie, prawa małżonka ograniczają część innych spadkobierców. Z tego wynika, iż w przytoczonym przypadku, małżonek otrzymuje przed innemi część czwartą, reszta zaś dzieli się pomiędzy brata rodzonego, rodziców i dziecko naturalne w tym sposobie, że z pozostałych $^3/_4$, dziecko naturalne otrzymuje $^3/_8$, rodzice po $^1/_8$, i brat również $^1/_8$. Przyjęta przez autora zasada, że trzeba zważać kogo to prawo faworyzuje, nie jest dostateczna, nietylko dlatego, że jest samowolną, na niczém nieopartą, ale i z tego powodu, że z urządzenia przez prawo francuzkie spadków beztestamentowych i części obowiązkowéj, niepodobna domyśléć się, jakiemu rodzajowi sukcessorów to prawo najwięcéj sprzyja. Tytuł Kodexu Cywilnego o spadkach beztestamentowych, układany był widocznie i wypracowany nie przez tegoż samego redaktora, któremu poruczona była redakcya tytułu o darowiznach i testamentach, czyli o spadkach testamentowych. Oba redaktorowie wychodzili z przeciwnych widoków, czerpali w różnych źródłach, zkąd wynikła naturalnie sprzeczność w głównych zasadach i szczegółowych rozporządzeniach.

Według tytułu o spadkach beztestamentowych dzieciom naturalnym przyznanym, służy część obowiązkowa; w tytule o spadkach testamentowych, przy urządzeniu części rozrządzalnéj, nic o dzieciach naturalnych nie wspomniano. Według tytułu o spadkach testamentowych, krewnym wstępnym przychodzącym do spadku zstępnych, służy zwrot rzeczy darowanych i pozostałych w naturze; w tytule zaś o spadkach testamentowych, żadnego nie dano względu na to prawo wstępnych. Według tytułu o spadkach beztestamentowych, bracia osoby zmarłéj bezdzietnie, ubiegają się do spadku wspólnie z rodzicami i wyłączają innych wstępnych; zaś według tytułu o spadkach testamentowych, bracia nie mają części obowiązkowéj, która służy dziadom i innym wstępnym zmarłego.

W takiém przeto zamieszaniu i krzyżowaniu się różnorodnych zasad, wiedzieć nie można kogo prawodawca faworyzuje, i na téj zasadzie trudno opierać wykład prawa.

Lecz autor rozbiera jednę jeszcze trudność, pochodzącą z zastosowania przepisów o spadku małżonków do części rozrządzalnéj i legitymy, oznaczonéj w Kodexie Cywilnym. Według prawa z roku 1825, liczba sukcessorów obowiązkowych zwiększyła się, i dlatego przepisy Kodexu o części rozrządzalnéj i części obowiązkowéj, stanowione bez względu na powyższe prawo, uledz muszą zmianie. Powstaje przeto zapytanie: jaka część ulegnie zmniejszeniu: czy część rozrządzalna służąca z mocy Kodexu, czy część obowiązkowa? Autor trafnie zdaje się głosować (§ 186) za zmniejszeniem części obowiązkowéj Kodexu; wszelako utrzymuje, iż na ten przypadek w prawie nie ma zasady, i w ogólności twierdzi, że trudno się zdeklarować.

Istotnie trudność tu zachodzi, lecz nie co do praw żony, albowiem te, jak wyżéj wyjaśniliśmy, nie ulegają wpływowi Kodexu, i oznaczone są w sposobie niewątpliwym. Trudność zachodzi w oznaczeniu praw innych sukcessorów obowiązkowych, a mianowicie zstępnych i wstępnych.

Ze sposobu, w jakim przepisy tego przedmiotu dotyczące, są w Kodexie francuzkim wyłożone, niemniéj z widoków ówczesnych prawodawców wnosić należy, że główne znaczenie ma tamże część rozrządzalna. Kodex bowiem zajmuje się mianowicie tą częścią, i w art. 913 i następnych, postawił ją w piérwszém miejscu; części zaś obowiązkowéj nigdzie wyraźnie nie zastrzegł, ale uważał ją jako wypadek ograniczeń części rozrządzalnéj. W widokach także prawodawcy leżało ustalenie części rozrządzalnéj, dla wzmocnienia władzy rodzicielskiéj. Wynika ztąd, iż gdy prawo z roku 1825 zwiększyło liczbę sukcessorów obowiązkowych, nie zmieniając wyraźnie przepisów Kodexu o części rozrządzalnéj, zasady te pozostały w swéj mocy, lecz uległa zmianie część obowiązkowa, która według Kodexu, jest podrzędną.

Przechodzimy do przywilejów.

Uwagi nasze nad sposobem zapatrywania się autora na ten przedmiot, winniśmy poprzedzić niektóremi pojęciami ogólnemi i historycznemi.

Przywiléj czyli pierwszeństwo między wierzycielami niehypotecznemi, ubiegającemi się do majątku dłużnika, wynika z natury długu, i z posiadania cywilnego lub naturalnego, pośredniego lub bezpośredniego rzeczy dłużnika.

Ostatni rodzaj przywileju, według art. 41 Prawa hypotecznego, i art. 7 prawa z roku 1825 służy zastawnikowi, jako posiadaczowi cywilnemu, rzemieślnikowi i furmanowi, o ile ci znajdują się

w posiadaniu naturalném rzeczy, na której poszukują zaspokojenia; nakoniec wypuszczającemu nieruchomość w dzierżawę lub najem, tudzież oberżyście, jako posiadaczom pośrednim.

Przywileje opierające się na naturze wierzytelności, ustanowione zostały albo z widoków interesu ogólnego, albo z widoków interesu jaki wzbudzają pewne osoby, albo z powodu udziału wierzyciela w utworzeniu, zachowaniu lub dostawieniu rzeczy dłużnika, albo nakoniec z czystych względów ludzkości.

Tylko przywileje oparte na posiadaniu, są ściśle w teoryi usprawiedliwione; przywileje oparte na naturze wierzytelności, prócz tych, które wynikają z widoków interesu ogólnego, nie mają należytéj podstawy, nie dają się one bowiem ściśle określić, i jak postanowienia prawodawcze o nich, zwykle zależą od pojęć czasowych, niekiedy indywidualnych, tak i zastosowanie tych przepisów rodzi częste wątpliwości, otwiera pole samowolności sędziego.

Jeżeliby myśl oparcia pierwszeństwa między wierzycielami, na naturze wierzytelności była ściśle rozwinięta, toby się okazało, że większa część długów zasługuje na zaspokojenie przed innemi. Wierzyciel który pożycza na zakłady przemysłowe i potrzeby istotne dłużnika, więcéj godzien względów prawodawcy, aniżeli ten, który pożycza na jego zbytki; wierzyciel który nie wymaga procentów, jest mniéj interesowanym aniżeli ten kto je zastrzega i t. d. Lecz wtedy niepodobném byłoby ustanowić stałych przepisów o przywilejach, i należałoby ocenienie pierwszeństwa między wierzycielami, pozostawić wyrozumieniu sędziego. Jak dalece wątłą jest podstawa przywileju, i jaki zachodzi niedostatek ścisłych zasad w tym względzie, przekonywają nas przepisy różnych prawodawstw, urządzających tę materyą.

Co do przywilejów osobistych. Większa część prawodawstw przyznaje kobietom zamężnym przywiléj na majątki mężów, kiedy prawo angielskie i prawa niektórych miejscowości Prus i Bawaryi, wierzycielom męża przyznają pierwszeństwo przed należytością żony. Kodex kantonu Vaud w Szwajcaryi uważa za uprzywilejowane należytości szewców i krawców, zaś prawo bawarskie należytości piwowarów.

Co do przywilejów wynikających ze związku, jaki zachodzi między rzeczą i wierzytelnością, prawo sardyńskie przyznaje przywilej wywłaszczonemu posiadaczowi z nieruchomości, za ulepszenia onéj, a także współdziedzicom i stowarzyszonym, co do należytości ze spadku i wspólki wynikających. Ostatni przywiléj znajdujemy w innych

jeszcze prawodawstwach. Nakoniec przywileje oparte na względach ludzkości, także niejednostajnie są pojmowane. Niektóre prawodawstwa ograniczają je kosztami pogrzebu dłużnika, ostatniéj jego choroby, niemniéj należnością za żywność dla niego i familii, w ostatnich sześciu miesiącach. Inne zaś dodają nadto koszta sprawienia żałobnych sukni dla wdowy i utrzymania jéj przez sześć miesięcy po śmierci męża. Oprócz tego w większéj części prawodawstw nagromadzone przywileje, nie są należycie uporządkowane, zkąd powstają naturalnie sprzeczności. Zamieszanie w nauce o przywilejach powstało z kodyfikacyi, kiedy z szczegółów często nieuzasadnionych starano się wywieść ogólne przepisy. W prawie rzymskiém liczba przywilejów była nader ograniczona i zawarta w granicach posiadania rzeczy dłużnika. Dopiéro na schyłku rzymskiego państwa zjawiły się przywileje kobiét zamężnych, górujące nad wierzycielami hypotecznemi, a także przywileje bankierów (argentarii).

W prawie francuzkiém również przed kodexem nie było żadnych zawikłań z powodu przywilejów, w nader ograniczonéj liczbie ustanowionych. Komplikacyą właściwie zrodziła procedura pruska, ogłoszona w roku 1793. Wiadomo, że prawodawstwo pruskie powstało z zebrania systematycznego wszystkich praw miejscowych, i prawa rzymskiego; objęło więc ono przywileje miejscowe i rzymskie. Według niego, wierzyciele osoby któréj majątek nie wystarcza na zapłacenie długów, podzieleni są na siedm klass i na ósmą wstępną, a wszystkie te klassy zawierają przeszło ośmdziesiąt rodzajów wierzytelności. Prawodawcy francuzcy, którzy mieli przed sobą ten wzór, i dla których wytłumaczono nawet Landrecht pruski, czerpali z niego; a chociaż uniknęli odmętu, jaki ordynacya pruska zaprowadziła co do przywilejów, wszelako powiększyli ich liczbę. Zamiast klass wierzycieli, w kodexie francuzkim przyjęto podział na przywileje szczególne i ogólne. Lecz z powodu niedokładnego oznaczenia ich stosunku, wynikło, iż przepisy jego trudno bez wytężenia objąć, i niepodobna z pewnością stosować. Nasze prawodawstwo z roku 1825 ulepszyło znacznie przepisy kodexu francuzkiego o przywilejach, oznaczając bliżéj stosunek między przywilejami ogólnemi i szczególnemi, i przyznając przewagę przywilejom, opartym na posiadaniu. W takiém położeniu rzeczy, gdy ograniczenie liczby wierzytelności uprzywilejowanych, byłoby pożądaném; jurysprudencya nie powinna zakresu ich rozszerzać, aby nie tworzyć nowych komplikacyj.

Nasz autor kommentarza nad prawem hypoteczném nie zdaje się mieć stałych zasad co do stosowania prawa o przywilejach, i nie-

kiedy upatruje on trudności tam, gdzie takowe nie zachodzą, niekiedy zaś przyznaje przepisom prawa zbyt obszerne znaczenie.

Autor przedstawia następną wątpliwość (§ 109): „Jeżeli kupujący jest dzierżawcą, i rzecz nabytą wniesie do dzierżawy, czyj przywiléj przeważy: czy przedawcy, czy puszczającego w dzierżawę?" Przepisy prawa służące do rozwiązania téj wątpliwości, znajdują się w art. 7 prawa z roku 1825 nr. 5, i w ustępie drugim i trzecim art. 8go.

Art. 7, nr. 5 brzmi następnie: „Przedawca rzeczy ruchomėj, dopóki ona jest jeszcze w ręku kupującego, ma na niéj przywiléj względem ceny za nią umówionéj, bez różnicy czy termin zapłaty był, albo nie był oznaczony. Jeżeli przedaż nastąpiła bez oznaczenia terminu zapłaty, albo jeżeli natychmiast zapłaconą być miała, przedawca może przeciw wierzycielom kupującego iść nawet o odzyskanie sprzedanéj rzeczy, jeżeli ona jest jeszcze w ręku kupującego, i może tamować jéj odprzedanie, byle środki o odzyskanie uczynił w dni ośm po jéj wydaniu, i byle się znajdowała jeszcze w tym samym stanie, w jakim była po wydaniu".

Ustępy 2gi i 3ci artykułu 8go prawa z roku 1825, brzmią następnie: „Po skarbie ma pierwszeństwo ten, kto jest w posiadaniu rzeczy, na któréj mu przywiléj służy. Pomiędzy innemi wierzycielami nie ma żadnego pierwszeństwa".

Podług tych textów, dla rozwiązania przedstawionéj przez autora kwestyi, należy rozróżnić, czy przedawca znajduje się jeszcze w terminie pożytecznym (ośmiodniowym) dla windykowania swéj rzeczy, i chce czynić kroki o rozwiązanie kupna lub nie? Jeżeli poszukuje tenże swéj rzeczy, i przedaż zostaje rozwiązaną, przywiléj żaden nie służy wypuszczającemu nieruchomość w dzierżawę lub najem, na rzeczy do dłużnika jego nienależącéj; jeżeli zaś przedawca poszukuje ceny przedaży, wtedy otrzymuje zaspokojenie *pro rata* z właścicielem nieruchomości wypuszczonéj w dzierżawę lub najem. Autor waha się w rozwiązaniu téj kwestyi, z powodu, że podług Kodexu cywilnego francuzkiego, wypuszczający nieruchomość w dzierżawę lub najem, używał pierwszeństwa przed przedawcą, i że ten przepis prawo nasze opuściło; że przeto prawo nasze przyznało pierwszeństwo przedawcy. Lecz powód dla którego w prawie z roku 1825 pominięty został, jest inny. Prawodawca nasz bowiem przywiązał pierwszeństwo pomiędzy przywilejami do posiadania bezpośredniego rzeczy dłużnika, pomiędzy nieposiadającemi zaś zaprowadził równość; dlatego ani przedawca rzeczy do dzierżawy wniesionéj, ani wydzier-

żawiający nie mogą rościć pretensyj do pierwszeństwa na szacunku rzeczy między sobą.

Autor przedstawia nam jeszcze inny przypadek: „Dłużnik daje zlecenie odwieźć rzecz w zastaw przyrzeczoną wierzycielowi. W drodze zdarza się przypadek, że rzecz dla utrzymania jéj potrzebuje naprawy; rzemieślnik tę dopełnia. Tu będzie zbieg trzech uprzywilejowanych: przewożącego, rzemieślnika i zastawnika: w jakim porządku przyjść mają do wykonania przywileju?"

Widocznie i w tym przypadku należy trzymać się skazówki przez prawodawcę w przytoczonym przez nas artykule 8 podanéj, a mianowicie posiadania.

Naprawiający rzecz, będzie miał pierwszeństwo, jeżeli zatrzyma ją dopóki nie zostanie zaspokojonym, a to na zasadzie służącego mu posiadania naturalnego. Za oswobodzeniem rzeczy od przywileju lub posiadania rzemieślnika, zaczną się prawa przewożącego, a jeżeli ten nie postara się o zrealizowanie swéj należytości i odda rzecz zastawnikowi, przywilej onego mieć będzie pierwszeństwo.

Autor utrzymuje, iż ten, kto łożył wydatki na utrzymanie rzeczy, powinien mieć pierwszeństwo; a jednakże litera artykułu 8go, nie zdaje się temu rozwiązaniu sprzyjać. Powód do powątpiewania autora zdaje się pochodzić ztąd, że posiadanie przeważające między przywilejami, ustanowione w art. 8 prawa z r. 1825, według jego mniemania należy rozumieć w sensie ściśle cywilnym, tak, iż posiadacze naturalni nie mogą na niém opierać żadnego pierwszeństwa.

Lecz wykład ten art. 8go, któryby przeważający przywilej przyznawał tylko zastawnikowi, jako jedynemu posiadaczowi cywilnemu, byłby zbyt ścieśniającym; prawodawca chcąc postanowienie swe w tém rozumieniu ograniczyć, wyraziłby się dobitnie, że w razie zbiegu przywilejów, pierwszeństwo służy zastawnikowi.

Nakoniec autor nasz utrzymuje, iż przywilej służący kobietom zamężnym na majątku mężów, z mocy art. 205 Kodexu Cywilnego z roku 1825, rozciąga się i do żon kupców. Zdanie to jakkolwiek może mieć za sobą literalne brzmienie prawa, nie jest zgodne wszelako z myślą onego. Kodex handlowy urządza dwojakiego rodzaju stosunki, a mianowicie: te, które wynikają z instytucyj handlowych, i te, które stanowią wyjątek od praw cywilnych. Lecz przepisy wyjątkowe od prawa cywilnego w oddzielnym kodexie i oddzielném prawodawstwie zawarte, nie zostają uchylone w skutek zmian w samémże prawie cywilném zaprowadzonych. Postanowienia Kodexu

handlowego o prawach żon do mass upadłości, opierają się na widokach tak dalece handlowi właściwych, tak odrębnych od widoków prawa ogólnego, że dla zmienienia ich mocy obowiązującéj, trzebaby wyraźnego postanowienia. Żeby się przekonać o bezzasadności przeciwnego zdania, dosyć jest zastanowić się nad celem i osnową tych przepisów. Prawodawca handlowy wychodził z przekonania, że bankruci częstokroć chwytają się rozmaitych środków dla ukrycia swego majątku przed wierzycielami, i że zwykle przenoszą na imię swych żon dobra, że przyznają im przed ogłoszeniem dawno obmyślonego bankructwa znaczne wnioski, nakoniec że upadłości kupców są częstokroć spowodowane zbytkami ich żon; postanowił przeto surowe środki dla zapobieżenia gorszącym bankructwom i przeszkodzenia, aby wierzyciele nie byli pokrzywdzeni. W tym celu Kodex handlowy ograniczył hypotekę prawną żon i uznał za niebyłe wszelkie ich pretensye do massy upadłości, aktami urzędowemi nieudowodnione i wszelkie podejrzane kupna dóbr na imię żon; nie przyznał im prawa do sprzętów domowych, srébra i klejnotów, nawet do ich użycia przeznaczonych, jeżeli prawo własności nie było aktami urzędowemi udowodnione. Pytam się teraz, czy można przypuścić, aby ten szereg ograniczeń praw żony bankruta, ten ogół środków zmierzających do odwrócenia kłamstwa między mężem i żoną na szkodę trzeciego, został osłabiony skutkiem zmian zaprowadzonych w Kodexie cywilnym, bez wyraźnego zastrzeżenia, że te zmiany stosują się i do prawa handlowego? Czy można przypuścić, aby żona, któréj zbytkowe życie może przyłożyło się do upadłości, pozbawiała wierzycieli zaspokojenia, występując z przywilejem wyraźnie nadanym tylko żonom osób niehandlujących? Jeżeliby art. 205 prawa z roku 1825 o przywilejach żon, miał być stosowany do żon kupców upadłych, to wtedy wypadałoby zastosować do nich i przepis art. 194, który dozwala żonom w pewnych okolicznościach dowodzić swych praw przez wieść powszechną. Lecz tak ten artykuł, jako i artykuł 205 natchnione są widokami prawodawcy zabezpieczenia i ocalenia wniosku żon, i nie stosują się bynajmniéj do osób handlujących, względem których innego rodzaju zachodzą jego zamiary.

Dla uzupełnienia tego rozbioru, mającego na celu głównie zasady przyjęte przez autora pod względem interpretacyi i jego ogólniejsze widoki, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o części historycznéj jego pracy, tudzież o proponowanych przez niego ulepszeniach w prawodawstwie hypoteczném.

Fakta historyczne dotyczące hypotek przytoczone są przez autora dosyć urywkowo, bez należytego powiązania. Autor zamierzywszy napisać dzieło praktycznie pożyteczne, uważał historyą hypoteki polskiéj jako podrzędną; i nie zwracalibyśmy uwagi na tę część jego pracy, gdyby jedno jego spostrzeżenie, rzucone nawiasowo, nie stało się już powodem do mylnych mniemań. Przytaczając konstytucyą z roku 1588, autor oświadcza: „wolno nam przeto twierdzić, żeśmy piérwsi może mieli dokładną hypotekę, pruska bowiem datuje się od 1722 roku. P. Slawianowski, który umieścił w Biblioteco Warszawskiéj (1) wiele szczegółowych i trafnych uwag nad dziełem p. Dutkiewicza, podzielił to zdanie, a nawet przywiązując do niego więcéj wagi aniżeli sam autor, pochlebne dla prawnictwa polskiego wyprowadził ztąd wnioski.

Wszelako śledząc rozwijanie się instytucyi hypotecznéj w ogólności, do innego przychodzimy przekonania. Ta instytucya tyle sprowadza korzyści, i tak naturalną stanowi kombinacyą pojęć o prawie własności z pojęciem o długach, że przed rokiem 1589 w różnych krajach europejskich musiała się ustalić, skoro urządzone zostały po sądach księgi dla zapisywania aktów majątku dotyczących. Historya hypoteki pokazuje nam bystre przejście z zastawu do hypoteki miejscowéj, tojest, ciążącéj wszystkie dobra dłużnika w danéj miejscowości położone; czego następstwem koniecznem były: hypoteka szczegółowa, wykazy, i uzupełniająca cały system, kontrola zwierzchności.

Wiadomo, że w średnich wiekach wszystkie niemal kraje zachodnie rządziły się prawami zwyczajowemi, które były różne według miejscowości, i władza najwyższa niekiedy tylko pod względem prawodawstwa dawała znak życia, uświęcając prawo zwyczajowe lub zmieniając takowe.

Księgi hypoteczne skutkiem tych zwyczajów, zaprowadzone były naprzód w Niderlandach, kraju przemysłowym i bogatym; i miasta Antwerpia, Brügge i Gandawa (Gent) (2), miały je zanim zaczęto stosować tamże prawo rzymskie. Ztamtąd hypotekę przyjęło miasto Leodium, a następnie północne prowincye Francyi, a także północne i południowe Niemcy.

Epoka w któréj nastał ten porządek, nie jest wiadoma; lecz to pewno, że musi ona sięgać XIIgo lub XIIIgo wieku, kiedy niektórzy

(1) W zeszycie lipcowym z roku 1850.
(2) Paul: Allgemeine Hypothekenordnung. Leipzig, 1837.

pisarze przytaczają akta wniesione do ksiąg hypotecznych miasta Mölln w północnych Niemczech, datowane roku 1317. W mieście Ulm zaprowadzoną publiczną księgę hypoteczną, potwierdził cesarz Rupprecht w roku 1401. Urządzenie szczegółowe o księgach hypotecznych dla miasta Monachium w Bawaryi, wydane zostało w r. 1478.

Nakoniec znajdujemy urządzenie hypoteczne dla miasta Frankfurtu nad Menem z roku 1578. Prusy, które nie tak rychło wystąpiły na widownią polityczną, dopiéro późniéj przyjęły system hypoteczny. Widzimy przeto, że w wielu miejscowościach niemieckich przed końcem XVIgo wieku nietylko ustanowiło się pierwszeństwo hypoteczne, ale nadto i rodzoj buchalteryi, uzupełniającéj samą instytucyą. Zresztą, w historyi hypoteki nietyle idzie o wcześniejsze lub późniejsze zaprowadzenie onéj, bo hypoteka zwykle ustalała się w krajach i miejscowościach zamożnych, posiadających ukształconych prawników, bez inicyatywy nawet ze strony władzy prawodawczéj; lecz idzie raczéj o zbadanie przyczyn zbyt wolnego jéj w wielu krajach postępu. Przyczyny te można odnieść do pojęć niejasnych o prawie własności, do takichże pojęć o prawach wierzycieli, nakoniec do nieudoskonalonéj manipulacyi hypotecznéj. Pojęcia o własności dóbr nieruchomych były zamącone przez feudalizm, przeszkadzający przechodzeniu z rąk do rąk dóbr nieruchomych, i dlatego hypoteka porządna dotąd nie mogła być zaprowadzona w Anglii.

Jasnemu pojęciu praw wierzycieli stały na przeszkodzie powzięte z prawa rzymskiego przywileje górujące nad hypotekami, i przesądy przeciwne procentom. Nakoniec utworzeniu się dokładnego pojęcia o manipulacyi hypotecznéj, stały na przeszkodzie wyobrażenia wyczerpane również z prawa rzymskiego o hypotece ogólnéj, którą przywiązywano do każdego aktu notaryalnego, a także wstręt do formalizmu, utrudniającego zwykły bieg czynności cywilnych. Te ostatnie przeszkody, wraz z przywilejem, zatamowały postęp hypoteki we Francyi i w krajach, które kiedyś wchodziły do składu państwa rzymskiego. Jeżeli dodamy jeszcze do tego brak w wielu miejscach osób zdolnych prowadzić księgi hypoteczne, niechęć właścicieli gruntowych ku jawności odsłaniającéj ich stan bierny, nakoniec nieufność do nowych udoskonaleń i instytucyj, i silne obstawanie za dawném: wtedy miéć będziemy wyobrażenie o powolném szerzeniu się hypoteki. Francuzi, którzy ze wstrętem patrzyli na formalizm zaprowadzony w prowincyach swych północno-zachodnich, i którzy tam usilnie starali się zniweczyć prawdziwą hypotekę, nakoniec trafili na właściwą drogę; po zwalczeniu hypoteki ogólnéj,

dziś jeszcze usiłują otrząść się z przywileju, i zdają się nakoniec pojmować użyteczność téj instytucyi. Kraje, które wraz z Francyą zostawały w jedności rzymskiéj, zawsze się na nią zapatrują co do prawa cywilnego, i bez wątpienia uznają użyteczność porządnéj instytucyi hypotecznéj wtedy, gdy na niéj ujrzą piętno francuzkie. W takim stanie rzeczy może być pochlebném dla nas, że system hypoteczny zaprowadzony został w Królestwie bez względu na przeciwny przykład Francyi, że Polska należy do małéj liczby krajów, które posiadają wykazy hypoteczne i systematyczne urządzenia o hypotekach, utwierdzone przez władzę najwyższą (1).

Zbliżamy się nakoniec do ostatniéj części naszego zadania, to jest do rozbioru ulepszeń projektowanych przez autora. Te polegają głównie:

1) Na zaprowadzeniu niektórych zmian w urządzeniu ksiąg hypotecznych, obecnie składających się z wykazów, księgi umów i zbioru dokumentów, i na pozostawieniu w nich samych tylko wykazów, obok których byłyby zaprowadzone księgi ingrossacyjne.

2) Na sporządzaniu wszystkich aktów mających wejść do hypoteki notaryalnie i składaniu ich pisarzowi kancelaryi, bez zeznawania tychże aktów w księdze hypotecznéj.

Powodem do tych zmian jest, że przy dzisiejszéj manipulacyi, jak się wyraża autor „księgi łącznie z oryginalnemi dokumentami przenoszone z kancelaryi hypotecznéj do kancelaryi regentów, licznym podlegać mogą wypadkom; że księga raz do regenta wzięta, lub na wydział hypoteczny do zatwierdzenia zaniesiona, staje się niedostępną dla innych stron; że często zachodzą trudno spory co do pierwszeństwa między aktami gotowemi i aktami nieukończonemi" i t. d.

Niedogodności przedstawiane przez autora, zachodzą istotnie, lecz jak dalece środki proponowane przez niego zaradzają złemu, o tém możemy się przekonać z rozważenia przyczyn, dla których prawodawca hypoteczny mając przed sobą wzór podobnego projektowanemu porządku w hypotece pruskiéj, odstąpił od niego i uznał potrzebę sporządzania aktów w księdze hypotecznéj. Otóż do tego

(1) Kraje, które mają skodyfikowaną hypotekę i wykazy hypoteczne, prócz Królestwa Polskiego są: Prusy, Bawarya, królestwo Wirtembergskie i kanton Solury w Szwajcaryi. Inne kraje, a osobliwie miasta niemieckie, chociaż oddawna w nich zaprowadzone są wykazy hypoteczne, dotąd wszakże nie mają szczegółowego urządzenia. Nakoniec w bardzo wielu krajach ogłoszone zostały nader dokładne urządzenia hypoteczne, lecz bez zaprowadzenia wykazów.

odstąpienia od wzoru skłonił prawodawcę wstręt do pruskich hypotekenszejnów, czyli wyciągów głównych hypotecznych, i obawa, ażeby przez zaprowadzenie onych w naszéj hypotece, nie powstały niedogodności i nadużycia w Prusach doświadczone. Bez tych zaś wyciągów głównych, które zbywający lub obciążający prawo hypoteczne składa do rąk nabywcy albo wierzyciela, akta zahypoteczne żadnéj nie mają pewności, oprócz rękojmi osobistéj, czerpanéj w przekonaniu o charakterze i rozwadze stron czynność zawierających.

W systemacie naszéj hypoteki podstawą czynności nie w księgach zawartéj jest wykaz hypoteczny, a ten nie mając przymiotów hypotekenszejnu, nie zabezpiecza bynajmniéj, że zbywający poprzednio komu innemu praw swych nie ustąpił, albo że nie udzielił pełnomocnictwa do przeniesienia ustępowanego prawa innéj osobie. Znaczenie wykazu hypotecznego mniejsze w stosunku do pruskiego osłabioném zostało jeszcze w prawie z r. 1818 przez hypoteki sądowe, które mogą być wpisane w czasie pośrednim, między zeznaniem aktu notaryalnego i wniesieniem onego do hypoteki; a tém samém wykaz przedstawiony w czasie zawierania aktu, częstokroć nie jest obrazem wiernym stanu biernego nieruchomości. Prawu pruskiemu nieznane są hypoteki sądowe, i dlatego wyciągi główne raz tylko i jednéj osobie wydawane, wyobrażają do pewnego stopnia księgi hypoteczne, i dla zawierających notaryalnie umowy tworzą rękojmią ich skuteczności. Brak téj rękojmi w naszém prawie hypoteczném, zastąpionym został możnością zeznawania aktów w księgach. Kiedy regent sporządza w nich akt i zapisuje zastrzeżenie, kiedy z księgi hypotecznéj nie okazuje się żadna przeszkoda wstrzymująca zatwierdzenie aktu, wtedy i wypłata należności z niego wynikającéj może z pewnością nastąpić. W systemacie zmian projektowanych przez autora, zniknęłaby i ta jedyna podstawa pewności dla zawierających czynności hypoteczne: nie byłoby wiadomém, kiedy można bezpiecznie płacić. Ztąd okazuje się, że porządek opisany przez autora, wykonywający się łatwo w kraju niezbyt obszernym, w którym interesanci osobiście się znają i polegają na wzajemném zaufaniu, nie byłby dogodnym dla obszerniejszego kraju bez obwarowania go innemi ostrożnościami. Dla tego zaś posłużyłoby zaprowadzenie głównych wyciągów hypotecznych i ograniczenie hypotek przymusowych, albo podawanie onych do powszechnéj wiadomości.

W istocie, obawa nadużyć powstać mogących z głównych wyciągów hypotecznych jest przesadzona, zwłaszcza, jeśliby zabroniono

takowe zastawiać, obciążać i w ogólności jeżeliby prawo nie przyznało im charakteru odrębnego i ruchomego.

W urządzeniu hypoteczném bawarskiém, ogłoszoném w roku 1822, w urządzeniu wirtembergskiém z r. 1825, nakoniec w urządzeniu saskiém z roku 1843, nie wahano się przyjąć tych głównych wyciągów, i trudno pojąć jakim sposobem bez nich obejść się można. Art. 26 naszéj Ustawy hypotecznéj stanowi: „do wykonania zobowiązań, które uzyskały znamię wiary publicznéj, może być dłużnik znaglony bez wyroku przez exekucyą.“ Lecz powstaje zapytanie: na zasadzie jakiego dokumentu exekucya może być przedsięwziętą? Na zasadzie wykazu hypotecznego nie można jéj rozpocząć, bo takowy w myśl art. 24 jest tylko kopią wierzytelną, na zasadzie samego wyciągu głównego także nie można wydzierżawiać ani subhastować dóbr dłużnika, bo znaczenie wyciągu tego zależy od zatwierdzenia zwierzchności hypotecznéj, jest ono zatém problematyczne, a jeżeli wyciąg ten do księgi był złożony, pozostałby w niéj powinien jako oryginał i jako podstawa prawa hypotecznego. Właściwie przeto dla rozpoczęcia exekucyi aktu przez zwierzchność hypoteczną zatwierdzonego, potrzebny jest i wykaz hypoteczny i wyciąg główny notaryalny. Lecz oba te akta niemające charakteru zupełnie exekucyjnego, odpowiedniego hypotece, właściwiéj zastąpione byłyby głównym wyciągiem hypotecznym. Ustanowienie głównych wyciągów hypotecznych posłużyłoby do bezpiecznego zeznawania czynności, i zapobieżenia fałszom. Dziś właściciel dóbr lub wierzyciel hypoteczny zawierający akt, przedstawia regentowi swą fizyonomią jako piérwszy dowód praw swoich i tożsamości. Lecz wiadomo jak zwodnicze są częstokroć fizyonomie, jak uderzające między ludźmi podobieństwa. W razie zeznania aktu przez niewłaściciela, którego rysów trudno rozróżnić, od rysów osoby przez niego przedstawianéj, wyświecenie fałszu stanie się niemal niepodobném. To zaś niepodobieństwo nie zachodziłoby, jeśliby zeznawający czynności hypoteczne posiadali główne wyciągi i one okazywali regentom. Koszta manipulacyjne znacznieby się także powiększyły, jeśliby, jak autor proponuje, składane były wyciągi główne aktów notaryalnych pisarzowi kancelaryi hypotecznéj, a następnie przepisywane w księdze ingrossacyjnéj; każdego bowiem niemal aktu notaryalnego sporządzona być musi minuta, i tym sposobem akt, który dziś raz tylko sporządza się w księdze hypotecznéj, musiałby być w systemacie autora trzy razy pisany. Gdyby zaś uzyskujący prawo hypoteczne potrzebował wykazu, wtedy ponosiłby koszta trzech kopij i jednego

oryginału. Tych kosztów uniknąćby można stanowiąc sporządzenie aktów przeznaczonych dla hypoteki bez spisywania minuty, tojest *en brevet*, a zatém w jednym tylko exemplarzu, następnie przepisując składanie tych aktów pisarzom kancelaryi hypotecznéj, nakoniec wydając stronom które nabyły praw, hypoteczne wyciągi główne, służące zarówno dla dowodu i exekucyi.

Prócz tych ważnych niedogodności w naszéj hypotece przedstawionych, autor upatruje jeszcze pomniejszą, a mianowicie, że właściwszym był przepis Kodexu cywilnego w art. 2148, który zmuszał wierzyciela hypotecznego do obrania zamieszkania w okręgu, na który biuro konserwatora było ustanowione, aniżeli art. 27 obowiązujący Prawa hypotecznego, dozwalający mu obrać zamieszkanie w kraju. Z tém zdaniem autora zgodzić się trudno. Obranie przez stronę zamieszkania za obrębem pobytu rzeczywistego, jest dla niéj niebezpieczném i częstokroć illuzoryjném. Zwykle bowiem obierają się zamieszkania u obrońców sądowych, ci zaś obarczeni bieżącemi interesami, nieraz nie są w stanie natychmiast donieść stronom o nastąpioném dla nich wręczeniu, albo też mogą zaniedbać i opóźnić doniesienie, a wtedy strony wystawione są na straty. Prawodawca hypoteczny dozwalając im obierać zamieszkanie w miejscu zwykłego pobytu, usunął te niedogodności, i dlatego przepis jego więcéj jest uzasadniony, aniżeli przepis kodexu francuzkiego.

DO REDAKTORA.

OD

Augusta Bielowskiego.

NESTOR.

Z dwojakiego stanowiska wychodzą zwykle krytycy w ocenieniu tego pisarza. Jedni utrzymują, że latopis jego doszedł do nas, uszkodzony wprawdzie tu owdzie winą przepisywaczy, nie tak jednak, iżby go nie można było oczyścić z wtrętów za pomocą krytyki; drudzy mniemają przeciwnie, że text właściwy Nestora zaginął, i nigdy nam w czystości swojéj znany nie będzie, a to, co pod imieniem latopisu Nestorowego posiadamy, jest zlepkiem z rozmaitych kronik, nie przez Nestora, lecz przez późniejszych kompilatorów udziałanym. Piérwsze z wymienionych tu twierdzeń ożywiało Schlözera w pisaniu obszernych swoich nad Nestorem komentarzów, a ma i teraz w wielu uczonych rossyjskich silnych zwolenników; drugie napomykane już niegdyś przez Ignacego Daniłowicza (1), podniesione jest dziś przez petersburską archeograficzną kommissyą, i czytać je można w przedmowie do najnowszego wydania Nestora (2). Powody, które wydawcy na poparcie twierdzenia swego przytoczyli, są: a) że pomieniony latopis nie doszedł nas ani w jednym rękopiśmie osobno, lecz tylko z dopełnieniami; nie masz nawet dostatecznych świadectw, iż osobne rękopisma znajdowały się, a imię Nestora nie znachodzi się ani w kodexie Ławrentego, najstarszym, ani w wielu kodexach późniejszych (3); b) że ustęp w którym jakiś Wasyl pod rokiem

(1) Latopisiec Litwy. Wilno, 1827, str. 19.

(2) Poln. Sobr. I, XIX.

(3) Jeszcze w ostatnich latach wieku przeszłego, jeśli mamy dać wiarę Tatyszczewowi (Ist. I, str. 53, 63 i dalsze), znajdowało się imię Ne-

1097 rozpowiada, iż był posłany od księcia Dawida Igorowicza, do Wasylka Rościsławicza (wyd. peters., str. 112), oczywiście nie od Nestora pochodzi. Nakoniec c): że to samo powiedzieć można o dziwotworze ułowionym w Sietomli, odnodze Dniepru (wyd. peters., str. 71), i o niektórych innych w tymże latopisie ustępach. Czy temi dowodami mocno zostało wsparte mniemanie wydawców?—zostawiam to rozwadze czytelnika.

Nader ważny materyał do dziejów Polski zawiera ten latopis, i w rozpoznaniu źródeł polskiéj historyi pominiony być nie może. Robiąc moje nad nim poszukiwania, trzymałem się przedewszystkiém wydań krytycznych, dokonanych niegdyś częściowo przez Schlözera i Tymkowskiego, a świeżo i w zupełności przez archeograficzną kommissyą w Petersburgu, która miała na swoje zawołanie 53 rękopismów téj kroniki. Natrafiłem téż na parę rękopismów nieznajdujących się w liczbie tych, które archeograficzna kommissya zgromadziła, i dotąd w bibliografii kodexów latopisu Nestorowego nieznanych. Dwa z nich są ruskie, i zawierają text Nestora mniéj lub téż więcéj skracany, z dopełnieniami, które się w jednym z tych rękopisów z końcem wieku XVgo, w drugim z połową wieku XVIgo urywają. Trzeci zawiera tłumaczenie polskie Nestora i kroniki wołyńskiéj, w XVII jak się zdaje wieku zrobione. Tłumacz polski skracał oczywiście rozwlekłejsze opisy oryginału, w tém jednak co z niego wyjmował, trzymał się wiernie Nestora słów, którego kilkakrotnie nazywa po imieniu przy różnych sposobnościach, i przytacza niekiedy całkowite ustępy w języku ruskim. Tłumaczeniu swemu dał tytuł łaciński: *Annales sancti Nestoris*, i zwyczajem wieku owego rzuca gdzieniegdzie makaronizmy do czystego zresztą i nie bez znajomości rzeczy wykonanego wykładu.

O życiu Nestora wiemy tylko to, co bądź sam o sobie w latopisie i w żywocie św. Teodozego napomknął, bądź, co dorzucił o nim późniejszy jakiś dopełniacz Pateryku. Na szczęście oba

stora na kilku rękopismach; dziś, ile mi wiadomo, czytać je można na rękopiśmie, który należał do znanego w literaturze polskiéj Sylwestra Kossowa, a nazwany jest po imieniu nowego swego właściciela rękopismem Chlebnikowskim; powtóre w Zborniku z wieku XVgo, który należał niegdyś do cesarzowéj Katarzyny, a znajduje się dziś w archiwum moskiewskiém; jest ono tu na brzegu napisane tym samym charakterem. Nakoniec w znalezionem przezemnie tłumaczeniu polskiém Nestora, wykonaném w wieku XVII przez autora nieznajomego, położone jest to imię i na tytule i kilkakrotnie spomniane w ciągu opowiadania.

te źródła zgadzają się z sobą zupełnie co do istoty, możemy zatém zaliczyć do pewniejszych wiadomości następujące:

Urodził się Nestor roku 1056, najpodobniéj w Kijowie. W owym czasie nabierali coraz większéj wziętości zakonnicy peczerscy, zwani tak od pieczar, w których pierwiastkowo mieszkając, odznaczyli się chrześciańskiemi cnotami. Wkrótce założono nad temi pieczarami monastyr, a igumen Teodozy, za którego liczba zakonników od 20 do 100 urosła, urządził go według ustawy klasztoru studyjskiego w Carogrodzie. Ustawę tę przyjęły później wszystkie klasztory na Rusi. Cnotliwy Teodozy przyjmował mile tych, którzy zgłaszali się do niego w chęci wstąpienia do zakonu. „Do niego, mówi Nestor, przyszedłem i ja, ubogi i niegodny sługa, i przyjął mnie mającego lat 17" (1). Niebawem umarł Teodozy, a autor nasz, po odbytym nowicyacie, postrzyżony i wyświęcony był na dyakona już za igumeństwa Stefanowego.

W roku 1091, skoro cerkiew Bogarodzicy, rozpoczęta niegdyś przez Teodozego, ukończona została, postanowili mnisi wykopać zwłoki jego, które dotąd w pieczarze spoczywały, i tu je pochować. Nestor otrzymał polecenie zająć się ich wynalezieniem; opowiada to w swym latopisie z pewną uroczystością i dumą. Oto są jego słowa: „Gdy się zbliżało święto Wniebowzięcia Bogarodzicy, trzy dni naprzód rozkazał igumen kopać, gdzie leżą zwłoki Teodozego, ojca naszego: ja grzeszny byłem tego świadkiem naocznym, a co powiem, nie powziąłem tego ze słuchu, lecz sam byłem przewódcą. Przyszedłszy do mnie igumen, rzekł: pójdźwa do pieczary ku Teodozemu; i nic nikomu nie mówiąc poszliśmy z igumenem, rozglądając się kędy kopać, i miejsce obok wnijścia oznaczając. Rzekł zaś do mnie igumen: nikomu z braci nie powiadaj, niechaj o tém nikt nic wié; jeno weź kogo chcesz, aby ci pomógł. Przygotowałem w tym dniu rydle do kopania, a we wtorek zmrokiem wziąłem z sobą drugiego brata; i gdy nikt o tém

(1) „K' nemuże i az pridoch, chudyj i nedostojny rab, i prijęt mę let mi sąszczin 17 ot rożenija mojego." (Połn. Sobr. I, 69). Według Pateryku wstąpił Nestor do zakonu, gdy jeszcze żył Antoni, a postrzyżon był dopiéro za Stefana. Antoni umarł w roku 1073, dnia 10 lipca. Teodozy umarł w roku 1074, dnia 3 maja, mianowawszy Stefana swoim następcą. Do tych tedy dat dodawszy okoliczność wymienioną przez Nestora, że wstępując do zakonu miał 17 lat, wywiązuje się rok 1056 jako rok jego urodzenia. Przy tychto słowach „*az pridoch chudyj*", dodano w pomienionym wyżéj Zborniku moskiewskim, tą samą ręką, na brzegu: Nester.

nie wiedział, przyszedłem do pieczary i prześpiewawszy psalmy zacząłem kopać. Utrudziwszy się dałem rydel bratu. Kopaliśmy do północy; utrudziliśmy się, i nie mogąc się dokopać, jąłem się smucić, ażali nie kopiem na stronie. Znowu wziąłem rydel, zacząłem silnie kopać, a towarzysz mój odpoczywał przed pieczarą. I rzekł mi: „uderzyli w dzwon"; a w téj chwili ja na relikwie trafiłem, i mówiącemu do mnie „uderzyli w dzwon" odrzekłem: „dokopałem się". Gdym się zaś dokopał, przejął mnie strach i zacząłem wołać: *hospody pomiłuj!* Téjże chwili siedzieli w monastyrze dwaj bracia: patrzyli ku pieczarze śledząc, kiedy igumen nieść będzie pokryjomu relikwie; ci za uderzeniem w dzwon ujrzeli trzy słupy jako tęcze promienne, które wzniósłszy się, przyszły nad cerkiew, gdzie miał być złożon Teodozy. Tegoż czasu, Stefan który był po nim igumenem, a podówczas biskupem w swoim monastyrze, widział przez pole łunę wielką nad pieczarą. Mniemając, że niosą zwłoki Teodozego, było mu to bowiem obwieszczono dniem przedtém, żałował, iż bez niego przenoszą: wsiadł więc na koń i jechał szybko, wziąwszy z sobą Klemensa, który był igumenem na jego miejscu. I puścili się w drogę widząc łunę wielką, a zbliżywszy się widzieli mnóstwo świéc nad pieczarą, a przyszedłszy do pieczary nie widzieli nic; i weszli w głąb pieczary i zastali nas siedzących u relikwij jego. Owoż, skoro się dokopałem, słałem do igumena: „przyjdź niech go wyjmiem." Igumen przyszedł z dwoma braćmi. Rozkopałem szeroko, i oglądaliśmy relikwie: członki jego nie rozsypały się, i włosy na głowie były przylepły; i wziąwszy je na mantyę wynieśliśmy je i położyli przed pieczarą. Nazajutrz zgromadzili się biskupi: Efrem perejasławski, Stefan włodzimirski, Jan czernihowski, Marcin jurjewski i igumeny ze wszystkich monastyrów z zakonnikami przyszli, i ludzie prawowierni, i relikwie Teodozego z tymianem i ze świecami wziąwszy i przyniosłszy, położyli w cerkwi jego, w przedsieniu, po prawéj stronie, w miesiącu sierpniu, dnia 14, w czwartek, o piérwszéj godzinie dnia indykta 14 roku. I dzień ten odtąd uroczyście święcimy (1)."

Nie bez namysłu przytoczyłem tu w zupełności ten rozwlekły nieco opis, bo prócz tego, że nam odsłania jednę okoliczność z życia autora, dozwala też wejrzéć w jego charakter i stopień umysłowéj uprawy. W inném też miejscu rozwodzi on się nad

(1) Poln. Sobr. I, 90.

cnotami piérwszych zakonników peczerskich, i mówiąc o cudach jakie działał św. Izaak żyjący za igumeństwa Stefana, dodaje: „i wiele innych cudów jego opowiadano mi, a niektórych byłem sam świadkiem" (1).

W czasie napadu Połowców na Kijów roku 1096, złupiony też był przez nich monastyr peczerski: kilku zakonników ubito; Nestor z innymi braćmi ratował się ucieczką. Przygodę tę rozpowiada obszernie w swym latopisie: „I przyszli do monastyru peczerskiego Połowce, gdyśmy w celach odpoczywali po jutrzni; i krzyknęli około monastyru i zatknęli dwa proporce swoje przed bramą klasztorną. Pobiegliśmy poza monastyr, a drudzy na strych uciekli; bezbożni zaś synowie Izmaelowi wyrąbali bramę klasztorną i rzucili się na cele wyrębując drzwi, i cokolwiek w celach znaleźli zabierając; potém zapalili dom święty, władczyni naszéj Bogarodzicy, i przyszli do cerkwi, i zapalili drzwi, które są od południa, i drugie, które są od północy. Wszedłszy w przedsień, u grobu Teodozego brali obrazy, palili drzwi i urągali Bogu i wierze naszéj. Kilku braci naszych zabili orężem bezbożni synowie Izmaelowi, wypuszczeni na karę chrześcian. Wyszli oni z pustyni jatrebskiéj, która jest między wschodem a północą, wyszło zaś ich czworo pokoleń: Turkomany, Pieczyngi, Torki i Połowce"... Tu zapuszczając się autor w wywody coraz bałamutniejsze, przytacza szczegół następujący:

„Opowiem com słyszał jest temu lat cztery. Powiadał mi Juriata Rogowicz, Nowogrodzanin, mówiąc: posłałem pachołka mego w Peczerę do ludu dającego dań Nowogrodowi; i przyszedłszy pachołek mój do nich, szedł ztamtąd w Jugrę; Jugra zaś jest naród obcy, i mieszka z Samojedami w stronach północnych. Mówili więc memu pachołkowi Jugrowie: dziwne znaleźliśmy cudo, o jakiém przedtém nie słyszano: oto już trzeci rok jak się to dzieje. Są góry opasujące morską odnogę, które wysokością niebios sięgają; w górach tych krzyk wielki i gwar: sieką górę chcąc się wysiec, a w téj górze wycięte małe okienko, i tędy mówią, a nie można ich mowy rozumiéć; ale wskazują na żelazo i ręką kiwają żelaza prosząc; a jeśli im kto da nóż lub siekierę, dają skórę za to. Jest zaś droga w te góry niedostępna, z powodu przepaści, śniegów i lasów; przeto z naszych nie chodzi nikt do nich, bo też są opodal na północy. Na to (mówi Nestor) odrzekłem Juriacie: To są ludy zaklęte przez Alexandra macedońskie-

(1) Poln. Sobr. I, 84.

go, o nich Metody z Patary tak mówi: I wyszedł Alexander do wschodnich krajów nad morze, do miejsca rzeczonego słonecznem, i widział tu ludy nieczyste z plemienia Jafetowego: jadły wszelkie kały, i komary, i muchy, i koty, i gady, a umarłych nie grzebły, i jadły ludzkie zronienia i wszelkie bydlę nieczyste. To widząc Alexander bał się, że gdy się rozmnożą, pokalają ziemię, i wygnał ich w północne krainy, w góry wysokie. I na rozkaz boży obsiadły ich góry północne, zostawiwszy przedział tylko na łokci 12. I tu uczyniła się miedziana brama i zamazała się sunklitem, i choć zechcą ją zniszczyć za pomocą ognia, stopić jéj nie zdołają: jest bowiem własność sunklitu taka, że go ani ogień nie spali, ani żelazo go się nie imie. Atoli pod koniec świata wyjdzie tych ośm pokoleń z pustyni jatrebskiéj, za niemi i te kalne ludy, które są w górach północnych wyjdą z rozkazu bożego (1).“

Nakoniec pod rokiem 1106 zaciągnął kronikarz śmierć Jana Wiszatowego, 90-letniego starca, który pochowan został dnia 24 czerwca w cerkwi peczerskiéj, gdzie téż złożone były zwłoki żony jego Maryi, zmarłéj przed laty 15, jednocześnie z przeniesieniem zwłok Teodozego. Spomniawszy pochwalnie o życiu tego Jana, dodaje: „od niego téż i ja mnogo słów słyszałem i wpisałem je w latopis ten“ (2).

Na tych ustępach można poniekąd oprzéć się w rozpoznaniu pracy Nestorowéj, i według nich rozsądzać, co właściwie z jego pióra wypłynęło, a co jest odgłosem dawniejszych źródeł jego lub téż pracą jego dopełniaczy. Jest on mnichem peczerskim, i żyje na początku wieku XII; a jak z jednéj strony nie słyszymy z wiarogodnych świadectw o żadnym mnichu peczerskim w owym czasie, iżby był zarazem i kronikarzem (3): tak z drugiéj strony autor-

(1) Połn. Sobr. I, 99—107.

(2) „Ot negoże i az mnoga słowesa słyszach, jeże i wpisach w letopisanii sem.“ Połn. Sobr. I, 120. Zdarzenia, które Nestorowi ów Jan opowiadał, dają się i dziś rozpoznać w jego latopisie. Tu należy najprzód przygoda, jaką miał z czarownikami ten Jan, wysłany od Świętosława do Białego Jeziora jako poborca danin; opisuje ją obszernie Nestor pod rokiem 1071. Daléj przepowiednia Teodozego, zrobiona żonie Jana, Maryi, zapisana pod rokiem 1091. Nakoniec wyprawa Wiszaty ojca Janowego na Greków, w któréj dostał się do niewoli, opisana pod rokiem 1043, i takaż wyprawa Jana na Połowców pod rokiem 1093, zdają się być w części przynajmniéj powzięte z jego opowiadania.

(3) Drugago peczerskago letopisca nie znajem; mówi Karamz. Ist. gos. II, przyp. 213.

stwo Nestora, na początku XIIgo wieku żyjącego, daje się udowodnić świadectwem Polikarpa, wspartém samemiż rękopismami latopisu i żywotem albo raczéj pochwałą Nestora przez bezimiennego dopełniacza Pateryku napisaną (1).

Skoro mamy niejaką pewność co do życia Nestora w ogólności; przystąpmy do ściślejszego oznaczenia czasu jego autorstwa. Powiada o nim dawny żywociarz w Pateryku: „I nażył się do woli, trudniąc się latopisarstwem i pomnąc na wieczność; i tak podeszłym wiekiem swoim dobrze usłużył Stwórcy, do którego po latach starości, nażywszy się do woli przeniósł się na wieczność" (2). Z tego widać, że Nestor pisał swój latopis w wieku podeszłym. Zgadza się z tém wyznanie samego autora, który do właściwego latopisu przystępując, daje chronologią obliczoną od Adama, i kończy ją temi słowami:

„Owóż od śmierci Świętosława do śmierci Jarosława (upłynęło) lat 85; a od śmierci Jarosławą do śmierci Świętopełka lat 60; lecz wróćmy do początku" i t. d. Jarosław umarł dnia 19 lutego 1054 roku; zaś Świętopełk umarł dnia 16 kwietnia roku 1113: ściśle tedy licząc, upłynęło od śmierci Jarosławowéj do śmierci Świętopełkowéj lat 60 niespełna. Zaczął więc Nestor pisać swój latopis nie wcześniéj, jak w ciągu jeszcze roku 1113, lub na początku roku 1114, za panowania w Kijowie Włodzimierza zwanego Monomachem, a w 57 lub 58 roku życia swojego. Napróżno usiłował Schlözer powyższe słowa Nestora podać w podejrzenie, jakoby one były wtrętem (3): żaden rękopism, żadna nawet uboczna okoliczność nie wspiera jego mniemania (4). Prze-

(1) Pateryk. Wyd. mosk. z r. 1750, str. 229—231.

(2) „Pożiweże leta dowolna, trużdajasia w dielach letopisania, i dicła wiecznaja pominaja; i tako dobrie ugodi Tworcu iety, k' nemuże po letach wremennych, dowolnych, prestawisia na wiecznost". Tamże. *Leta wremenna, dowolna*, oznaczają widocznie wiek bardzo podeszły. Sam Nestor nie w innem znaczeniu używa słowa *wremenny*, kiedy o pierwszych początkach Rusi mówiąc, i aż o czasy potopu rzecz swoją zaczepiając, kładzie na początku te słowa: *Se powiesti wremennych let*: oto powieści starych lat. Schlözer nie umiał dobrze po rusku, wytłumaczywszy więc słowa powyższe Pateryku na *ziemliches Alter*, zawiązał równie mylny wniosek, że Nestor umarł około roku 1116.

(3) Nestor Russ. Ann. II, 146.

(4) Przed kilką laty, mówiąc o źródłach do dziejów początkowych Polski (Bibl. Ossol. z r. 1842, I, 108), zwróciłem uwagę na to, że powyższe słowa Nestora powinny być wzięte za podstawę w oznaczeniu czasu, w któ-

ciwnie, pod rokiem 1107, rozpowiada Nestor o Świętopełku w sposób taki, w jaki rozpowiadać się zwykło o człowieku, który już nie żyje. Mówi on: „Miał Świętopełk ten zwyczaj, że ilekroć szedł na wojnę lub indziéj, pokłonił się najprzód u grobu Teodozego, i wziąwszy błogosławieństwo igumena, jaki tu był, szedł dopiéro w drogę swą" (1). Oczywista, że te słowa pisane były już po roku 1113 w którym umarł Świętopełk. Chciawszy więc podać w podejrzenie o nieautentyczność owę chronologią, trzebaby zarazem wtrętem nazwać i ten oto ustęp, którego nie miał w podejrzeniu nawet sam Schlözer.

Z przytoczonych wyżéj słów żywociarza dawnego, widać, że Nestor w podeszłym już wieku do latopisu zabrawszy się, pracował nad nim aż do późnéj starości. I ta okoliczność znachodzi potwierdzenie w saméj kronice. Kiedy bowiem pod rokiem 1107 czytamy w niéj te słowa: „Włodzimiérz był tak serdeczny, lubił metropolitów, biskupów i igumenów, nadewszystko zaś lubił zakonników, i tych, którzy go odwiedzali karmił i poił jako matka dzieci swe; a jeśli kogo widział pijanego, lub w jakowém wykroczeniu, nie potępiał go, lecz był pobłażający" (2); nie jestże widoczna, że to pisał autor już po śmierci Włodzimierza Monomacha, przypadłéj, jak wiadomo, dnia 19 maja, roku 1125. Tę to zapewne okoliczność mając na względzie, naznaczał już Karamzyn w Panteonie autorów rossyjskich (3), śmierć Nestora nie wcześniéj, jak około roku 1125; atoli jeśli zechcemy ściśléj zastosować się do powyższych słów Pateryku, tedy nie zbłądzimy bynajmniéj, choćbyśmy ją o lat dziesiątek przeciągnęli: bo późna starość, o jakiéj w Pateryku jest mowa, przypuszcza jakich 80 lat. Przypadła więc śmierć jego najpodobniéj dopiéro około roku 1136.

Tę jednę okoliczność w dotychczasowych kombinacyach o życiu Nestora poprawiwszy, dają się snadno wytłumaczyć wszy-

rym on pisał. Jakoż tego zdania są i uczeni rossyjscy, mianowicie M. Pogodin w dziełku: *Nestor istor. kryt. razsuždenije*, Moskwa, 1839, str. 39; i A. Kubarew, który powiada: „Letopiś Nestorowa kak dołžno połagat' naczasza byt' pisana *nie ranśze* 1113 goda." (Russk. ist. Sbornik. Moskwa 1842, kn. 4, str. 432). Atoli mylą się obaj ci uczeni mniemając, że Nestor dociągnął dzieje tylko do r. 1110.

(1) Poln. Sobr. I, 120.

(2) Poln. Sobr. I, 112.

(3) Obacz artykuł ów Karamzyna przełożony na język polski w Dzienniku Wileńskim z r. 1806, m. kwiecień, str. 168 i dalsze.

stkie zjawiska napotykane w jego kronice. Zaczął ją pisać około roku 1113, i na tymże 1113 roku zakończył ją, jak mamy na to uderzające dowody (1). Ale wykonał tę pracę nie odrazu, lecz w ciągu długiego życia swego, kilkakrotnie do niéj zabierając się, i podobnie jak nasz Gaweł dzieło swoje, już do pewnego kresu doprowadzone i w świat puszczone, tu owdzie rozszerzając i dopełniając. Na jeden z takich przestanków w pracy zdaje się wskazywać dopisek Sylwestra, znajdujący się w rękopiśmie Ławrentowym i Radziwiłłowskim, a w Nikonowym już do niepoznania przeinaczony. Sylwester ten, igumen klasztoru widubickie-

(1) Dowody te jedne są wewnętrzne, dające się wydobyć z treści saméj, drugie zewnętrzne. Pod rokiem 1110 mówi Nestor o jasnym słupie widzianym nad cerkwią Teodozego, i za pomocą ojców śś. i biblii tłumaczy nam, że w takich zjawiskach zwykli pojawiać się aniołowie. O podobném zjawisku mówił on już w opisie wykopania relikwij Teodozego, i wszyscy zgadzają się na to, że oba te opisy są jego pióra. Ależ pod rokiem 1111 według rękopismu hipackiego, chlebnikowskiego i innych znachodzim takiż sam opis, który jest jakby tylko ciągiem dalszym owéj o aniołach teoryi: w nim przytacza autor znanego sobie już i dawniéj Metodego z Patary, i wyraźnie powołuje się na słowa swoje pod rokiem 1110 powiedziane, mówiąc: „se bo, *jakoże rekochom* widienije widiesza w peczerskom manastyri" i t. d. (Połn. Sobr. II, 3). Są więc te opisy odpowiednie sobie duchem i treścią, i przyznawszy z nich dwa pierwsze Nestorowi, niepodobna mu nie przyznać i trzeciego.

Wyśmienitą skazówkę do oddzielenia textu Nestorowego od jego dopełniaczy, podaje rękopism hipacki. W rękopiśmie tym, który, jak wiadomo, jest jednym z najcenniejszych, a co do wieku mało co młodszy od Ławrentowego, nie masz dopisku Sylwestra, a text Nestora ciągnie się do roku 1113 włącznie. Po tym roku zostawiono półtorej stronnicy białego papieru; daléj zaś następują zdarzenia pisane inną ręką, a tak z treści, jako i ze sposobu opowiadania różne zupełnie od Nestora. Na roku więc 1113 skończył swój latopis Nestor; a odtąd dopiéro rozpoczyna się praca jego dopełniaczy. Utwierdza mię także w tém mniemaniu szczegół następujący. Jeden z wspomnionych wyżéj przezemnie słowiańskich rękopismów, a który tu głoską B oznaczę, zawiera najprzód od karty 1—39 kronikę widocznie z Nestora skróconą, z niektóremi tu i owdzie upiększeniami. Że skróciciel ten idzie za Nestorem, o tém ani wątpić nie można, bo całkowite ustępy dosłownie z niego wyjmuje. Przyszedłszy do roku 1113 i powiedziawszy o panowaniu Włodzimierza Monomacha gdzieniecо, przerywa powieść swoję na karcie 39 następującą uwagą: „Tut letopisca 33 let ne masz, i jak skończyłsia car Władimir Monomach i sin jego, i chto po nem siedił na carstwie w Kijewie." A daléj opowiada śmierć Wsewołoda Olgowicza przypadłą roku 1146 i t. d. Widoczna więc, że i ten skróciciel miał latopis Nestora na r. 1113 urywający się.

go w Kijowie, powiada, jakoby w roku 1116 latopis ten przepisywał (1). I łatwo też być mogło, że Nestor po dwu lub trzyletniéj pracy między rokiem 1113 do 1116 dociągnął już go był do roku 1110, po którym ten dopisek znajduje się. Ale ani rękopism Ławrentego, ani Radziwiłłowski, które nam dopisek Sylwestra podały, nie podały nam czystego textu piérwszéj redakcyi, ale już z dodatkami, robionemi nierównie późniéj po roku 1116, a któreto dodatki, jak mniemam, od samego Nestora pochodzą (2). Według tego tedy, praca latopisarska Nestora w czasach późniejszych, zależała w tém, że zdarzenia krótko tylko pod dawniejszemi latami napomknione, opisywał potém obszernie i szczegółowo (3), zagartując niekiedy całkowite trakta-

(1) „Igumen Selivestr świętago Michaiła *napisach* knigi si letopiseć" i t. d. Poln. Sobr. I, 123. Wielu brało słowo *napisach* w znaczeniu autorstwa, i zrobiło Sylwestra tego ni ztąd ni zowąd dopełniaczem Nestora. Za takiego uważał go i Schlözer, mniemając, że dopełnianie jego dopiéro rozpoczęło się od roku 1110. Tymczasem mnóstwo mamy przykładów, osobliwie w księgach cerkiewnych, że słowo *napisach* oznacza tylko prostego przepisywacza. Inne jeszcze dowody mówiące za tém, że Sylwester był tylko przepisywaczem, przytacza Karamzyn: Ist. Gosud. II, przyp. 213.

(2) Do takowego mniemania upoważnia okoliczność następująca. Najwięcéj podejrzywany o nieautentyczność w latopisie Nestorowym jest ustęp, znajdujący się pod rokiem 1097. W ustępie tym czytamy między innemi, że Mścisław Świętopełkowicz przeszyty został strzałą we Włodzimierzu. Tymczasem Polikarp, który tylko niewielą dziesiątkami lat był od Nestora oddalony i znał kronikę jego dokładnie, bo się na nią powołuje, rozpowiada przygodę Mścisława Świętopełkowicza temiż samemi słowami. A więc ów ustęp o nieautentyczność podejrzywany, znajdował się tak, jak dziś go znachodzimy już za czasów Polikarpa, który mógł sam nawet autograf Nestora mieć w ręku.

(3) Wiadomo, że w Nestorze znachodzim niektóre zdarzenia zaciągnione podwójnie: raz krótko, drugi raz obszernie. Piérwsze z nich czytać można w *Połnom Sobraniju*, na str. 116; a ostatnie bezpośrednio przed niemi. Karamzyn mniemał, że tylko krótkie należą do Nestora, a obszerniejsze są wtrętem. Ależ właśnie w tych krótkich powołuje się sam autor na obszerniejszy swój opis; mówi bowiem, że Włodzimiérz, Dawid i Oleg „stworisza mir, *jakoże i w prežneje leto skazach*" (Poln. Sobr. I, 116). Daleko więc rozsądniéj jest widzieć w tém ślady podwójnéj redakcyi tego latopisu, i przyznać, że sam autor opisy swoje dawniejsze, pomnikami, jakie późniéj do rąk mu wpadły, pouzupełniawszy, zatrzymał w niewielu miejscach krótką o tychże wypadkach wzmiankę, dla dokładniejszego wskazania chronologii, która w opisie obszernym i wiele zdarzeń razem obejmującym, nie mogła być dokładnie wskazaną. Tego zdania był już i Arcybyszew, mówi bowiem: „Nestor pomieścił w swoju letopiś słowa Wasilia i tiem peremieszał w niéj letoczislenije." Powiestw. o Ross. I, 50, przyp. 299.

ty książąt i tym podobne pomniki, a koléj zdarzeń na roku 1110 urwaną, dociągnął do końca roku 1113, przez co nadał dziełu swemu, w którém już na początku wzmianka o śmierci Świętopełkowéj, roku 1113 przypadłéj znajdowała się, pewną okrągłość. Pisał Nestor, jakeśmy powiedzieli, jeszcze po śmierci Włodzimierza Monomacha, zaszłéj roku 1125: bo to widoczna ze słów wyrzeczonych o tym księciu. Skoro więc należycie rozważym tę okoliczność, nie znajdziem w tém żadnego niepodobieństwa, co nam objawia rękopism Ławrentowy: że do latopisu Nestorowego wciągnione jest: *Pouczenije Monomachowe* (1). Mógł je bowiem wciągnąć sam Nestor, podobnie jak wciągnął opis oślepienia Wasylka trembowelskiego pod rokiem 1097, skreślony przez poprzednika swego Wasyla, zostawiając w całości słowa jego, jako naocznego świadka. Wasyl ten, którego wzmianka robi tyle trudności w rozpoznaniu Nestorowego latopisu, jest istotnie pisarzem starszym od Nestora. Już w roku 1098, posłował on między książętami, a byłoto zapewne nie piérwsze jego poselstwo; podczas kiedy Nestor w piętnaście lat późniéj do pisania kroniki swojéj przystępował. Jestto ten sam Wasyl mnich peczerski (2), którego żywot skreślił Polikarp (3). Poznajemy to z następujących szczegółów: Był ów Wasyl, jak powiada Polikarp, jednym z najukształceńszych księży, między pe-

(1) Czytając z uwagą to *pouczenije*, ledwieby nie można mniemać, że który z mnichów peczerskich pomagał pisać je księciu. Ta sama w niém obfitość przytoczeń z pisma św., z którą tak często spotykamy się w latopisie Nestorowym, niekiedy nawet te same zdania i powstawanie na jeden i tenże sam przesąd. Żali się w prostocie swojéj kronikarz, na str. 73, że lud zdybawszy mnicha wraca się, lub ucieka na bok „jak przed odyńcem lub świnią". Książę więc zaleca z powagą w swém pouczeniu: „ot popow i igumenow ne ustraniajte sę." Poln. Sobr. I, 102. Nic więc dziwnego, że dla pomnika tyle spowinowaconego duchem z naukami peczerskiego mnicha, znalazło się miejsce w Nestorowym latopisie.

(2) Że mnichem jest kijowskim, to można łatwo poznać wczytawszy się w jego słowa: daje on Wasylkowi nauki duchowne, a wié dokładnie wszystkie okoliczności, zaszłe w Kijowie z powodu tego zdarzenia. Powiada, że za Wasylkiem wstawiali się igumenowie kijowscy do Świętopełka, a ten proszącym na Dawida ukazał i t. d. Obszerniéj o tém rozwiodłem się w dziele mojém „Wstęp krytyczny do dziejów polski" str. 66.

(3) W Pateryku tłumaczonym na język polski przez Sylwestra Kossowa jest ten żywot skrócony i przeinaczony; w zupełności atoli czytam ten żywot w jednym z najstarszych rękopismów Pateryku, który jest własnością lwowskiéj akademickiéj biblioteki, i jego tu stronnice przytaczam. Nie

czerskiemi mnichami (1). Igumen wysyłał go w rozmaitych potrzebach w strony dalekie, i w jednéj z takowych posyłce, bawił przez trzy miesiące (2). Posyłka ta, ile można zmiarkować, była właśnie około roku 1097, bo autor wzmiankuje nawiasowo, iż monastyr był już wtedy spalony (3). Wasyl był znany na książęcych dworach, a mianowicie na dworze Mścisława Świętopełkowicza, co był około tegoż czasu książęciem włodzimirskim; miał też ów Wasyl tajne jakieś z tym książęciem stosunki, które pobożny Polikarp za pomocą przeobrażeń djabelskich tłumaczy. Wróciwszy nakoniec z tego poselstwa i czas jakiś w monastyrze przemieszkawszy, zginął ten mnich z ręki Mścisława, niewielą dniami tylko śmierć swego zabójcy, dnia 12 czerwca, roku 1099 przypadłą, poprzedziwszy (4). Nasuwa się samo z siebie, że Wasyl za powrotem swoim z Włodzimierza do Kijowa, nie zaniedbał wciągnąć owe zdarzenia, których był świadkiem, do ksiąg klasztornych. Z takichto klasztornych zapisków, na rozmaite czasy i osoby wskazujących, kompilował Nestor latopis swój, i dzięki mu za to, że śladów dawniejszego zapisywacza tak tu, jako też i w innych miejscach nie zatarł.

Przed Nestorem tedy znajdowały się na Rusi rozmaite zapiski, odnoszące się do dziejów. Zapiski takowe znajdowały się po cerkwiach i monastyrach, a były różnorodne, jak różnorodne były żywioły, z których potęga Rusi w XIym i XIstym wieku wyrabiała się. Z za morza od Skandynawii wędrowni Waregowie zostawiali po sobie pogłoski o szlakach wodnych, któremi Europę przebiegali. Z Carogrodu przybywały z wyższém duchowieństwem oryginalne piśmiennictwa bizanckiego zabytki, z których acz w omglonym połysku, przebijało się światło starożytnego Rzymu i Grecyi. Bołgarowie nakoniec i Morawcy, co o półtora wie-

potrzebuję zresztą ostrzegać czytelnika, że w tym przez Polikarpa skreślonym żywocie, jak w ogólności we wszystkich niemal pismach tego rodzaju, jest jedna część upiększeniem tylko, dodaném w celach duchownych, i takoweto upiększenia nietrudno jest odróżnić od okoliczności wiarogodnych.

(1) „Jedinże niekto ot sowerszenniejszich, imenem Wasilije, togoż monastira mnich." Pat. rkp. str. 414.

(2) „Jako tri miesiaci sut ... i se tretij deń w monastirie imam." Tamże, str. 422.

(3) „Biebo togda pożżen monastir." Tamże stron. 426.

(4) „Ne po mnoziechże dniech sam Mstisław zastrielen byst' w Wołodimeri na zabralech." Tamże str. 435.

ku wcześniéj chrześcianami zostawszy, już nieco w sobie naukę swoich mistrzów przetrawili, przynosili na Ruś jako nauczyciele ludu, całkowite latopisy, w których prócz wiadomości bizanckich, przełożonych na język słowiański, znajdowały się rodzime naddunajskie o Słowianach podania. Ogniskiem tych różnorodnych wiadomości był Kijów, a w nim szczególniéj monastyr peczerski. Pieczary jego były niegdyś przytuliskiem Waręgów, piérwszych chrześcian na Rusi, po których zwano niektóre z nich waręgskiemi, i znajdowano w nich kościelne naczynia z łacińskiemi napisami (1), bo ci Waręgowie wyznawali obrządek zachodni. Ten nakoniec monastyr, którego piérwsi założyciele niejednokrotnie odwiedzali Carogród, przyjmował ustawy swoje od mnichów greckich, a liczył w zgromadzeniu swojém rodowitych Bołgarów, których ojczyste księgi nietylko treścią swoją, ale i językiem służyły za wzór Rusi piśmiennéj. Ta więc różnorodność, która się podówczas na Rusi w życiu objawiała, zalatuje nas, częstokroć nawet w swéj surowiznie, z obszernego i cennego latopisu, peczerskiego czarnoryźca, Nestora.

Zaczyna on od uświęconego powagą biblii, a rozkazem jednego z patryarchów, Filastryusa, w artykuł wiary zamienionego podziału ziemi między synów Noego, który podaje dosłownie tak, jak go ma w kronice swojéj mnich grecki, Jerzy grzeszny, Γεώργιος ὁ ἁμαρτολός w dawnych już czasach na język bołgarski przełożony: tu w steku imion rozmaitych krain i wysp, które mniemanym działem dostać się miały Jafetowi, znachodzim po Epirze położone ogólne imię kraju *Ilurik*, z dołączoném takiémże ogólném imieniem narodu *Słowiene*, które ani w greckim, ani w przełożonym na język bołgarski Hamartolu nie znajduje się. Zupełnie podobne objaśnienie widzieć można w jednym z dawnych kodexów Cycerona *De officiis*, gdzie przy wzmiance najstarszego króla ilirskiego Bargyla, dodaje spółczesny tego kodexu objaśniacz, Polak zapewne, nad wyrazem *Illyricus*, te słowa: *id est Slavonius* (2). Po ogólném imieniu kraju i narodu następują szczegółowe imiona krain: *Łąchitija*, *Andriakia*, *andriatińskaja pączina*. Gdyby te imiona nie znajdowały się już w takim samym porządku w orygi-

(1) Pokładże waraźskij jest, poneże sosudy łatyńskii sut, i segoradi waraźskaja peczera zowetsia. Pat. rkp. str. 431.

(2) Rkp. z wieku XIV lub XV w bibl. ord. Zamojskich in fol. nr. 466, k. 153, str. odwr.

nale greckim, możnaby w tém miéć dowód, że Nestor wskazuje wybrzeża nadadryackie za najpiérwszą ludów słowiańskich siedzibę, z któréj późniéj nad Dunaj byli strąceni; tak atoli jak jest, nie można powziąć w téj mierze nic pewnego z jego latopisu, chociaż najwidoczniéj pokazuje się to z kronik polskich. Na rzece Tygr między Midyą a Babilonem płynącéj, powieść Hamartola urwawszy, wpada w opis geograficzny europejskiéj północy, zachwycony zkądśinąd, góry karpackie, podobnie jak Jornandes, górami kaukazkiemi nazywając (1). Znowu na chwilę do plemion Jafetowych zawróciwszy, zestawia dwa imiona: *Wołchwa-Rimlane*, jakby należące do siebie, podobnie jak *Ilurjk-Słowiene*, i spieszy do wieży babilońskiéj na Sennarpolu za dni Nektana i Faleka wzniesionéj, którą za Hamartolem opisuje. Tu powiedziawszy o pomieszaniu języków, i wynikłéj ztąd nowéj wędrówce Semowych, Chamowych i Jafetowych plemion, dodaje z niewiadomego źródła: że jednym ze siedmdziesięciu i dwu narodów, na które wówczas ród ludzki podzielon został, był naród słowiański od Jafeta idący; przytacza téż jego starożytne nazwisko, które w rękopismach, po większéj części mylnych, brzmi: *Narci*, *Norci*, *Norici*, *Inorci*, *Inowierci*, a podobno i *Torci* (2). Czy pójdziem za powszechnie dziś przez uczonych przyjętym wykładem, i będziem widzieli w tém imieniu zmylone imię *Ilurci*; czy zechcem w jego waryantach podsłuchiwać imię rzuconych ponad adryacką odnogę Antarów czyli Adryotów, zwanych u Pliniusza Taryotami, (Tariotarum antiqua regio cum urbe Tariona, III str. 26); czy nakoniec przyjmiemy inny jeszcze wykład, i powiemy poprostu, że Nestor wymienił tu jeden ze starożytnych ludów Peonii, zwany Norykami, Νωρικοί, u Klemensa Alexandryjskiego (3) i u Euze-

(1) De orig. Get. c. 7. Nadmieniłem już wyżéj, że i to, co polscy kronikarze Miorsz i Máteusz rozpowiadają, trafia niekiedy zupełnie w wiadomości, jakie Jornandes z pisarzów zaginionych wyciągał.

(2) Żałować tu przychodzi, że najnowsi wydawcy Nestora, mając pod ręką 53 rękopismów jego kroniki, nie dali w tém ważném miejscu wszystkich waryantów, które, jak to wiemy z doświadczenia, w późniejszym kodexie mogą być czasem lepsze niż w starym. W moim kodexie B. czytam na stronnicy 4 „kotorych wo onyj czas *Norcami* albo *Noricami* nazywały." Podobnież mówi dawny tłumacz polski Nestora: „Słowianie nazywali się Norcami" (rkp. stron. 1).

(3) Quin etiam Noropes est autem gens Paeoniae (Ἔθνος ἐξὶ Παιονικον) nunc autem appellantur Norica (Νωρικοι), aes elaborarunt, et primi ferrum purgarunt. Stromat. I, 16. Porów. Eusebii Caes. Praeparat. evang. X, 6, tudzież Steph. Byzant. De urbb. wyd. Amst. z r. 1678, in fol. str. 502.

biego z Cezarei, a którego siedlisko w Peonii wskazuje także Stefan z Bizantu; zawsze jestto wiadomość nieskończenie ważna i wzięta w związku z rozpołożeniem Słowian po Iliryku, okazuje się identyczną z wiadomościami, które innym sposobem i ze szczegółami rozpowiada nasz Miorsz i Mateusz herbu Cholewa. Ztąd przechodzi autor do podania bołgarsko-morawskiego: powiada, że Słowianie po mnogich latach (od rozpołożenia się ponad Adryatyk?) osiedli wzdłuż Dunaju, gdzie dziś są Węgry i Bołgarya, a gdy ich tu Włosi czyli Rzymianie przygnietli, rozpoczęli wędrówkę swoję na północ, i zajęli przestrzeń od Karpat i Dniestru, aż do Baltyku i jeziora Ilmeru. Oto jest najcenniejsze z podań, jakie Nestor w swoim wstępie umieścił; uważane samo w sobie nie prowadzi ono do szczególnych wyników, jak tego mamy dowód w komentarzu Schlözera; jest téż ono w piérwszéj swéj części niedokładne, a w drugiéj ani pod względem czasu, ani pod względem wypadków dziejowych nie oznaczone ściśle; skoro je atoli dodamy do ustępów tych, które Miorsz i Mateusz z kroniki lęchickiéj i z historyi Troga Pompeja poprzytaczali, zaokrągla się z niemi w wyborną całość, i nie dozwala wątpić, że, czy sam Nestor, czy téż piérwszy podawca téj wiadomości rozumiał tu wędrówkę Daków, przetrąconych orężem Trajana za Dniestr i za Karpaty.

Rozsadziwszy autor plemiona słowiańskie na północy, podnosi zpomiędzy nich nadewszystko Polanów, do których opisu po kilkakrotnie rozpędzając się, porywany jest raz wraz w inną stronę, ledwie tylko słów kilka o nich powiedziawszy. Mówi więc najpiérw o szlakach wodnych za podaniem waręgskiém, i po dwakroć o kommunikacyi między Skandynawią a Rzymem spominając, zdaje się nie wiedzieć, że ta kommunikacya była nie morska, ale pół lądowa, pół wodna. Wzmianka o ujściu Dnieprowém naprowadza go na legendę o św. Andrzeju: rozpowiada więc, jak tenże Dnieprem od Korsunia przybywszy, błogosławił góry kijowskie i przepowiadał uczniom, że tu stanie kiedyś gród wielki i mnóstwo cerkwi na chwałę bożą się wzniesie, a dziwem dla niego były łaźnie północniejszych Słowian, i o nich w Rzymie narozpowiadać się nie mógł. W dalszym ustępie zabawił autor dłużéj przy Polanach, i wbrew swojemu natręceniu gdzieindziéj, iż to imię już na północy, od pól dostać się im miało, podobnie jak Derewlanom od drzew czyli od lasów (1), powiada tu i pó-

(1) Nie powiedział Nestor nigdzie wyraźnie, że Polanie od pól otrzymali swe imię; takowy wywód daje się tylko wywnioskować pośrednio,

żniéj jeszcze powtarza, że właśnie u tychto Polan były wielkie bory i lasy, i że oni w lasach siedząc trudnili się łowiectwem (1): „byliśto ludzie mądrzy i zmyślni: od nich są Polanie w Kijowie po dziś dzień". Z tych słów, jak w ogólności z owego zamiłowania z jakiém o Polanach rozpowiada, upośledzając resztę ich pobratymców, można słusznie zawiązać, że sam pochodził z ich rodu. Po nopomknięciu o wyprawie książęcia Kija na Carogród i wyliczeniu plemion słowiańskich i obcych na Rusi, daje w krótkim a wielce pogmatwanym ustępie jakoweś wyrywki o najściach Bołgarów, Węgrów białych i czarnych, daléj zaś Obrów i Pieczyngów, któreto wiadomości ani dokładnością, ani dowodnością twierdzeń nie zalecają się, i mogą poniekąd służyć za wskazówkę, iż sam Nestor mętne miał wyobrażenie o tych wypadkach, zapisując po części bez wyboru, co gdzie natrafił. Znowu od Polan zacząwszy, opowiada jak plemiona lęchickie: Wętycze i Radymicze ze swoimi naczelnikami z Polski na Ruś przesiedlili się, a powtórzywszy raz jeszcze rozpołożenie ludów słowiańskich na północy, nakréśla obraz ich obyczajów, chlubny dla Polanów, a dla ich braci aż do przesady naganny. Tu przypomina mu się Jerzy grzesznik, którego po raz piérwszy i ostatni imiennie nazwawszy, przytacza spory ustęp z jego kroniki o rozmaitych obyczajach u różnych narodów. Jeszcze zabawia go przez chwilę powiastka rodzinna o zhołdowaniu Polan kijowskich przez Kozarów, o ich obosiecznych mieczach, którym zwycięzcy dziwiąc się i takowe z jednosiecznemi szablami swemi porównywając, wyciągali złą wróżbę dla się na przyszłość, i zamyka uwagą, powtórzoną za kimś dawniejszym (2), że co oni przeczuwali, to

z tych słów, które się znachodzą w *Połnom Sobraniju*, na stronie 3: „siedoszę po Dniepru i narekoszę sę Polane, a druzii Drewlane, *zane siedoszę w lesiech.*" Gdy atoli wnioskowi temu sprzeciwia się wbrew to, co na stronicy 4 i 7 czytamy: iż ci Polanie w borach i lasach siedzieli, a trudnili się łowiectwem, tedy jest wszelkie podobieństwo, że słowa: „zane siedosze w lesiech" są prostym wtrętem któregoś z przepisywaczy.

(1) Biasze około grada *les i bor welik*, i biachą łowęszcza zwier, biachą mąži mądri i zmysłeni, naricachą sę Polane, ot nichże jest Polane w Kijewie i do sego dnie. *Połn. Sobr.* I, 4. I najdoszę je (Polanów) kozarie *siedęszczaję na gorach siech, w lesiech.* Połn. Sobr. I. 7. Oniże rieszę: *w lesie, na gorach*, nad riekoją Dnieprskoją. *Tamże.*

(2) Kozarowie znikli z widowni politycznéj już w wieku XI; i to więc miejsce zaliczyć trzeba do tych, które Nestor powtarza dosłownie za swemi poprzednikami.

się ziściło: dotąd bowiem panuje Ruś (Polanie dawniejsi) nad Kozarami.

Taki jest wstęp tego dzieła: drobny co do objętości, ważny co do treści; różnorodny w szczegółach, a w ich złożeniu bezładny i połamany, gdzie zpomiędzy ladajakich wiadomości biblijno-kosmograficznych, których źródło dokładnie jest przez autora wskazane, przeglądają ciekawe i nieskończenie ważne ułamki wiadomości ojczystych, których źródło zupełnie zamilczane. Zbiegły się tu i stanęły przy sobie cząstkowe wieści, o rodzie Słowian, z epok różnych i bardzo od siebie odległych: jedne z czasów Grecyi i Rzymu kwitnącego, drugie z późnych po-Chrystusowych wieków, terminologią nie dość właściwą oddane, które czy autor tak znalazł? czy sam w ten sposób ułożył? czy tu i owdzie skrócił? czy ubogacił własnym dopiskiem? czy nakoniec w przeświadczeniu swém każdą z nich do właściwych czasów odnosił?— można się wprawdzie domyślać, ale zaręczyć ani na jednę, ani na drugą stronę nie można.

Latopis właściwy zaczyna Nestor chronologią, i zaraz w piérwszéj dacie, wstąpieniu na tron bizantyński cesarza Michała IIIgo, myli się o lat 10, jak to już postrzegł dawny jego tłumacz polski, i wziął ztąd pochop do cofnięcia całéj Nestorowéj chronologii w tył o lat tyleż (1). Wniosek jego byłby zupełnie słuszny wtedy, gdyby kronikę Nestora uważać można za utwór jednolity. Skoro atoli dowiedziona jest, że Nestor zapiski rozmaite z różnych czasów i od różnych osób pochodzące kompilował, dodając tu owdzie i własne swoje spostrzeżenia, więc jest rzeczą widoczną, że poprawiając w ten sposób całą księgę, można i tak już mylną w wielu miejscach chronologią, daleko gorzéj powikłać. Mówi Nestor: „Lata 6360, indykta 15, (roku 852 po nar. Chr.) gdy Michał (IIIci) panować począł, zaczęło być znane imię Rusi. O tém bowiem dowiedzieliśmy się, że za tego cesarza przychodziła Ruś na Carogród, jak o tém piszą kroniki greckie: dlatego odtąd poczniemy i liczbę lat kłaść będziem (2)". Michał IIIci cesarz wstąpił na tron roku 842; gdy więc tak widocznie przebija się w tych słowach, że je mówi sam Nestor, mamy więc dowód,

(1) Annales s. Nestoris, rkp. str. 4. Myłkę tę Nestora w chronologii wytknął w naszych czasach Arcybyszew. Ob. Powiestw. o Rossii. Moskwa, 1838. T. I, str. 12, przyp. *a*.

(2) Połn. Sobran. I, 7.

że to, co ten kronikarz swego dokładał, było czasem mylniejsze niż owo, co wprost za swoimi poprzednikami powtarzał.

Piérwsze z zapisanych zdarzeń w tym latopisie tyczy się Bołgarów, jakby na wskazówkę, kto najpiérw głos zabierał w Rusi piśmiennéj; za obcemi występują tu zdarzenia swojskie, za suchemi datami rozwija się powoli powieść dostatnia i ożywiona. Początkowe o Rusi zapiski są nadzwyczaj ważne. Czyn główniejszy tylko kładzie w nich Nestor; uzupełnić go wszystkiemi okolicznościami i rodzaj czynu zcharakteryzować, nazywając rzecz po imieniu właściwém: to przechodziło, jak się zdaje, jego możliwość. Widać atoli w piszącym wydatną ku szlachetnemu przewagę: zpod zamilczeń, a gdzieniegdzie i upiększeń bajecznych, wszędzie niemal u niego wyłamuje się na wiérzch szorstkie oblicze prawdy, domagając się o swoje prawa w historyi.

Dawszy opis początków Rusi, o których ledwie kilka słów zachwycić można zkądinąd, postępuje Nestor daléj koleją lat, mieszając niekiedy do zdarzeń prawdziwych wątpliwe wieści, zachwycone ze słuchu lub przywidzenia; oraz legendy, cuda i t. p., a wszystko to aż do zdarzeń na które sam patrzał, raz obszerniéj, raz krócéj, sposobem rocznikarskim, opowiadając. Wielu opisów nietylko styl, ale i język i treść sama zdradza, że ani w jednym czasie, ani z jednego pióra pierwiastkowo wyszły (1). Jestto więc poniekąd księga klasztorna peczerska, w któréj praca wielu osób, wielu mnichów w jednę całość między rokiem 1113 — 1136 została przez Nestora zebrana i ubogacona tu i owdzie. *Nieukiem* prostym nazwał się on sam, we wstępie do żywota św. Teodozego (2), z któregoto wyznania jego można odliczyć część jednę na

(1) Prócz wskazanych już wyżéj miejsc w Nestorze, z których dawniejszy zapisywacz przegląda, są jeszcze następujące: *a*) Opis Wszesława połockiego, który do téj pory, w któréj autor pisał (umarł ten książę roku 1101), miał bliznę na głowie. *Poln. Sobr.* I, 67. *b*) Wyciągnienie dziecka potworne, z Sietomli, odnogi Dnieprowéj, roku 1064, o którém autor dodaje: „jegoże pozorowachom do weczera". Poln. Sobran. I, 71. Nestor mógł liczyć wtedy zaledwie 7 lub 8 lat. *c*) Śmierć metropolity Jana, o którym powiedziano: „i siakogo ne byst' preże w Rusi, ni po nem ne bądet siak". Poln. Sobr. I, 89. *d*) Opis napadu Połowców pod rokiem 1093. Poln. Sobr. I, 95, 96, któryto napad wkrótce jakoś po samém zdarzeniu opisany był przez kogoś ze spółczesnych. *e*) Poselstwo Wasyla od Dawida do Wasylka trembowelskiego. Poln. Sobr. I, 112 i t. d.

(2) „Grubyj i ne razumiczen, k' simże jako i ne biech uczen nikojejżdo chytrosti." Pateryk rkp. str. 57.

karb mnichowskiéj pokory; mimo to jednak zostanie w tém jakaś część prawdy, jak to widoczne z tego, cośmy już wyżéj napomknęli. Jakoż podobniejsza jest, iż języka greckiego nie umiał (1), a to, co za przeciwném zdaniem przemawiać się zdaje, należy raczéj do jego poprzedników i tylko przez niego powtórzone (2). Posiadał atoli w wysokim stopniu sumienność i pracowitość, i teto zalety mogły być w znacznéj części powodem, że imię jego jako kronikarza zagłuszyło wszystkie inne, i samo jedno z tamtych wieków wypłynęło; z niém doszedł do nas obraz przygód całéj Rusi i stosunków jéj do narodów ościennych, a zarazem obraz przygód peczerskiego monastyru, jednego z najznakomitszych. Rozpatrując się w tym latopisie widzimy nietylko czynności i moralne wizerunki książąt, ale poznajemy i naród: jego prawodawstwo, jego przesądy i obyczaje, w których światło nauki Chrystusa łamie się z ostatkami pogaństwa; podsłuchujemy przysłowia ludu i odgadujemy, jak w rozmaitych sprawach publicznych brał chętniéj udział, lub téż był bierném tylko narzędziem swych władców. Nakoniec przypatrujemy się najstarszemu piśmiennemu językowi Słowian, który znad Dunaju nad Dniepr przeszczepiony, i ograniczony niemal na same duchowieństwo, zatrzymał jeszcze silnie w Nestorze swój typ pierwotny, gdzieniegdzie tylko zlekka ku mowie ludu pochylając się. Prócz znakomitéj tedy ważności historycznéj ma ten latopis dla Słowianina i ważność językową, na któréj zbywa kronikarzom naszym łacińskim.

Jako pomnik językowy z początku XIIgo wieku, powinienby takoż latopis ten być przedmiotem większéj niż dotąd troskliwości wydawców. Tatyszczew świadczy, że między staremi rękopismami kroniki Nestorowéj były niektóre pisane *jusami*; nie spominają nic o tém petersburscy jego wydawcy, i starek irylskie bukwy oddają ciągle grażdańskiemi czyli noworossyjskiemi głoskami. Tymczasem udowodnioną jest rzeczą przez Wostokowa, Kopitara,

(1) Tak mniema i Kubarew w przytoczonéj wyżéj rozprawie na str. 393.

(2) Tu należą niektóre grecyzmy w tym latopisie, jakoto: *oksapsalm*, gr. ἐξαφάλμιον. Połn. Sobr. I, 58; *epitemia*, gr. ἐπιτιμία. Połn. Sobr. I, 81, i t. p. Powołanie się kronikarza na latopis grecki: „jakoże piszet sę w letopisanii greczstiem." (Połn. Sobr. I, 7), jest raczéj powołaniem się na dawny słowiański przekład jego, który w części doszedł aż do naszych czasów. Porów. Kubarewa rozprawę str. 393. Nakoniec i to, co przywodzi Nestor z Metodego Patarskiego znalazł Karamzyn w dawnym przekładzie słowiańskim. Ist. II, przyp. 213, a i na polski język przełożone było w dawnych już czasach, i znachodzi się w rękopiśmie bibl. Ossolińskich nr. 10, in folio.

Miklosicza i innych znakomitych filologów, że dwie różne postaci głoski cerkiewnéj (1): Я są głoskami nosowemi, i odpowiadają zupełnie polskim *ą* i *ę*. Są także dowody i na to, że kirylska głoska *zeło* nie była jednobrzmiąca z głoską *zemla*; ale wymawiała się jak polskie *dz* (dzeło). Ślad właściwych brzmień języka Nestorowego został w rękopiśmie Ławrentego: kiedy bowiem słowa Начяше, прокляше pisze on w jedném miejscu przez A, w inném znowu miejscu rozkłada je na brzmienia nosowe i pisze Наченше, проклеше: dowód oczywisty, że samogłoskę A wymawiał jak polskie *ę*. Nie jest tedy rzeczą obojętną pod względem językowym wydawać latopis Nestora głoskami grażdańskiemi, które znaków na oddanie powyższych brzmień zgoła nie mają, albo też cerkiewnemi lub łacińsko-polskiemi; tylko w ostatnich rozpoznać można właściwy język Nestora, i należałoby włożyć staranie w to, aby z pomylonych rękopismów odbudować text tego pomnika i pod względem brzmień jego właściwych, do czego w pracach wyżéj wymienionych filologów rzucone są zasady, tak, że stosując się do nich, można tę rzecz uskutecznić choćby rękopisma były pod względem ortografii zupełnie mylne. Do tychto zasad wyłuszczonych u Kopitara i Miklosicza stosowałem się, przytaczając text Nestora głoskami łacińsko-polskiemi.

(Dokończenie nastąpi).

(1) Dla braku u nas głosek cerkiewnych, przymuszeni jesteśmy zastąpić je zwyczajnemi rossyjskiemi. *P. R.*

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORĄ:

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

IX.

Gibraltar. Tangier.

Ślepo, ślepo idąc za radą Mahometa, Muzułmanie rozpuścili swe hordy na wschód i na zachód, i podbili Syryą i Egipt, Afrykę północną i najpiękniejszą część Europy. Podbijali i wkroczyli, niewstrzymani żadnym tryumfem, aż do Francyi. Ale na płaszczyznach Tours znaleźli naród dbały o całość swéj ojczyzny, dbały o honor chrystyanizmu. Cofnęły się hordy Saracenów poza Pyrenee. Gdyby nie miecz Karola Martela (732), półksiężyc błyszczałby dziś może jeszcze nad murami Paryża i Londynu.

Powróciwszy do Hiszpanii hordy saraceńskie uznały jednakże, że to kraj piękny, pełen powabu i bogactwa. Zatrzymały się, i odstąpiły od dogmatu mahometańskiego—*podboju*. Wkrótce ci zacięci podbijacze dali dowody tolerancyi wyrównywającéj ich waleczności, wkrótce nawet wywyższyli się ponad wszystkie inne narody potęgą rozumu i światła. Oddaleni od ziemi rodzinnéj, Mahometanie rozmiłowali się w téj, która im była nadaną przez Allę, i starali się zbogacić ją wszystkiemi darami, mogącemi przyłożyć się do szczęścia ludzi. Prawa mądre i sprawiedliwe, uprawianie sztuk i umiejętności, zachęta

dana rolnictwu, handlowi i rzemiosłom, wszystkie sprężyny życiodawcze przyczyniły się do wzniesienia państwa, którego wzrost zaćmił wszystkie chrześciańskie kraje. Świetność Maurów do tego doszła stopnia, że okoliczne narody pogrążone w ciemnocie, szukały u nich światła i rozumu!

Wyrobnicy chrześciańscy przychodzili do Maurów uczyć się rzemiosła; uczeni całego świata biegli do Toledy, Kordoby, Sewilli i Granady kształcić się w naukach. Nawet i poeci i trubadurowie napawali się poezyą i muzyką u Maurów; a rycerze chrześciańscy ćwiczyli się w waleczności i grzeczności na dworach książąt mahometańskich, panujących w Hiszpanii.

Maurowie hiszpańscy zaniechali dogmatu zaboru, i na swych pomnikach głosili światu, że ostatecznie osiądą w Hiszpanii. Potomkowie Rolla i Wilhelma Zwycięzcy toż samo zrobili w Anglii. Maurowie dłużéj daleko pozostali w Hiszpanii, niż dotychczas Normandzi pozostają w Anglii.

Czemu potomkowie Muzy i Taryka mieliby mniemać, że ich panowanie nie ustanie nigdy?

Pomimo całéj swéj świetności, państwo Arabów w Hiszpanii było tylko exotyczną rośliną, niemogącą się nigdy rozkrzewić w gruncie. Tam, gdzie większa, głębsza prawda wkroczy w ziemię, tam nie masz stałego przytułku dla płytkich, choć pozornie wybujałych doktryn i systematów.

Wzruszony, tknięty blizkością wstecznego żywiołu, duch chrystyanizmu Gotów ocknął się nareszcie z swego długotrwałego letargu. Po długich wojnach, po krwawych potyczkach, wrząca odwaga Maurów uległa waleczności cierpliwéj i statecznéj obrońców krzyża.

Zniknęli Maurowie z widnokręgu Hiszpanów. Gdzież teraz mam szukać potomków tego wielkiego narodu, który swém męztwem i przepychem, swemi naukami i swą szlachetnością, zdumiał niegdyś świat cały? Gdzież mam szukać potomków ludzi, którzy wystawili meczet w Kordobie, szpital w Toledo, i twierdzę w Granadzie?

Gdzież was mam szukać?

Szukać was bowiem muszę. Ja nie uwierzę, żeby naród cały mógł zniknąć z kuli ziemskiéj, w tak krótkim czasie. Ja odkopię przeszłość Maurów, i w tworzeniu przeszłości szukać będę ich przyszłości zasobów.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

Mówią, że dwa miliony Maurów hiszpańskich wróciło do Afryki, do dawnéj swojéj kolebki. Mówią, że z religijną wiernością potomkowie tych Maurów przechowują w swém sercu wiarę w powrót do dawnych posiadłości, z których zostali wyzuci. Maurowie w Tetuan osiedli, zachowali swe hiszpańskie nazwiska Paezów, Medinów i Albergów, nie łączą się węzłem małżeńskim z rodzinami afrykańskiemi; jako klejnoty familijne przechowują od pokolenia do pokolenia plany, rachunki, klucze nawet swych dawnych posiadłości w Granadzie, w pewnéj wierze, że do nich wrócić muszą kiedyś.

Tak! pójdę aż do Afryki przekonać się naocznie, czy trwa w sercu Maurów pamięć dawnéj świetnéj przeszłości; przekonać się, czy pamięć przeszłości rokuje jakąkolwiekbądź nadzieję dla przyszłości.

Z tém postanowieniem opuściłem Granadę, smutny i zgryziony.

Niełatwo było dostać się do Afryki. Europejczyk źle tam jest widziany u wszystkich różnorodnych mieszkańców téj staréj, a jeszcze tak mało znanéj ziemi.

Czy tam kto odgadnie, w téj barbarzyńskiéj ziemi, szlachetność mych intencyj?

Tak siebie zapytywałem stroskany, widząc ludy i ludzi Europy obracających się jak mdłe pyły, w wirze osobistych interesów. Ty sobie zaufasz, bo w tylu położeniach trudnych do przebycia poznałeś siebie samego, ale czy ci zaufają inni?

Wiele minęło czasów, wiele nowych powstało w méj głowie myśli; ale myśl głębsza czuwała na spodzie, i nowych sił nabierała za każdą razą, kiedy urzeczywistnienie jéj stawało się możliwszém.

Jestem po drugi raz w Kadyxie, i puszczam się do Gibraltaru, już nie na grzbiecie Pegaza, lecz poprostu parostatkiem katalońskim, wracającym do Barcellony przez Taryfę, Gibraltar, Malagę, Almeryą, Kartagenę, Walencyą i Tarragonę.

Konsul angielski w Kadyxie opatrzył paszport mój wizą do Gibraltaru. Niełatwo ją uzyskać, rząd bowiem Wielkiéj Brytanii niechętnie dozwala cudzoziemcom pobytu w twierdzy. Nieufność to nie wiem czém może być usprawiedliwioną.

Czekaliśmy długo na gubernatora miasta Algesiras, osoby dostojnéj, wysmukłéj, wysokiéj, sztywnéj, siedmdziesięcioletniéj, z twarzą długą, cierpką i pomarszczoną. Prawdziwy grand Hiszpanii!

Przybywa nareszcie dostojna osoba. Windujemy kotwicę, i puszczamy się na morze. Zgiełk wielki na pomoście. Gaworzą nieznośnie swém narzeczem Katalończyki. Język to brzydszy jeszcze jak

portugalski, dla Kastylijczyka zupełnie niezrozumiały, podobny dźwiękiem do skrzypienia młynka od kawy, porządnie zakatarzonego.

Około południa byliśmy na wysokości Trafalgaru, tuż pod sławnym przylądkiem, gdzie floty francuzka i hiszpańska, wraz z swym zwycięzcą Nelsonem, grób swój znalazły. Do dziś dnia burze wydobywają z głębi oceanu szczątki okrętów tu zatopionych.

Ale cóż tam wzrasta na widnokręgu południowym, zpomiędzy mgły i obłoków? To brzegi Afryki, to przylądek Spartel.

Don Fadrique Jesus Maria de la concepcion Juan Bautista de Torres Castellanas y Quintanar, Visconde de Casarabonda, Gubernador Real de Algesiras y Caballero de Sant Yago de Compostella wyświadczył mi zaszczyt zbliżenia się do mnie, i zaczął, po ukończeniu wszystkich formalności wstępnych, najnielitościwiéj psy wieszać na heretyków.

— Zapewne mnie Wasza Excellencya bierze za Anglika? Nie mam zaszczytu należéć do tego narodu, jestem sobie poprostu.....

— *Ah Caballero, por Dios, un muy fiel defensor de nuestra santa confession!* A, jak się cieszę! doprawdy, na honor!

Pan gubernator raczył teraz zmienić tok rozmowy, nie odrazu wprawdzie, ale po stosownych do okoliczności zwrotach, preludyach, introdukcyach i apostrofach. Nareszcie zsiadłszy z heretyków, wsiadł na Maurów i nieubłaganie po nich jeździł. Torquemada i Ximenes nie mogli o nich mowić z większą nienawiścią. Często zwiedzał brzegi Afryki, ale nigdy nie wrócił do ojczyzny, bez doświadczenia jakiéjś dotkliwéj nieprzyjemności ze strony tych Kafrów, tych dzikich zwierząt, sprzysięgłych przeciw chrześcianom. Anglicy tylko doświadczają lepszego od nich przyjęcia, ale „kruk krukowi oka nie wydziobie", dodał Don Fadrique etc. etc. etc.

— A ja jednakże myślę odwiedzić Maurów w ich teraźniejszych siedzibach. Naród ten niegdyś był tak rycerskim, oświeconym, przedsiębierczym! Nie sposób, żeby się miał zupełnie wyrodzić—rzekłem naiwnie.

Pan gubernator obrócił się na pięcie, i pod nosem śpiewał następujący paciérz:

„Santa Maria, stella del mar!
Salva nos de Moriscos
Y de hereticos
Y de los demas amigos del mal!"

(Święta Maryo, gwiazdo morzal chroń nas od Maurów, i od heretyków, i innych przyjaciół czarta).

Mijamy Taryfę i stajemy pomiędzy słupami Herkulesa, w ściśnionych wodach oceanu, tracącego tu swoje nazwisko. Widok to pyszny, zdolny oczarować najapatyczniejszą duszę! Dwa niebotyczne wały, wznoszące się po obu stronach wód huczących jak grzmot, pnących się biłą pianą wysoko po krawędziach skały, jak gdyby rozbić usiłowały te zapory! Na prawo wyziera ponad obłoki Abyla, przedmurze Afryki; i przypatruje się Europie. Ani jednéj na nim chatki, ani lepianki; wilki tylko, dziki i skoczne małpy tu mieszkają. Na lewo kąpie się w nurtach morza, ale śpi w téj chwili ów niezmierny potwór skalisty, którego nazywają opoką gibraltarską. Pilnuje wejścia do morza Śródziemnego ten kolos ogromny, z którego oka spuścić nie zdołasz, którego widokiem nigdy się nie nasycisz.

Na podnożu tego widma pnie się i rozpościera tysiąc ładnych domów różnéj wielkości; to miasto Gibraltar. Piętrzą się baterye jedne nad drugiemi, i wyzierają tysiącami długich, czarnych armat na przystań, na ciaśninę, i na język piaszczysty, łączący tego tysiącznookiego Argusa z ogrodem Hesperyd, które we trzy tylko jedno oko miały, i dlatego wkraść się tu dały Anglikowi.

Baterye, baszty, zamki, wieże, reduty i atalaje sterczą wszędzie, gdzie tylko skrzydło ptaka doleciéć może. Aż cierpnie krew w żyłach, nawet temu, który nie wié, że ten potwór wydrążony jest w środku potrójną galeryą, i że w niéj dyszy tysiąc jeszcze armat plujących ogniem i żelazem na wszystkie strony, aż na brzegi Afryki.

Sześć tysięcy żołnierzy angielskich w czerwonych mundurach, kręci się i uwija po ulicach i ścieszkach, spacerach zawieszonych jak ogrody Palmyry na skalistych tarasach, po całéj powierzchni góry. Powiedziałbyś, że to niezmierny kaktus i rój koszenilli.

Dwieście szyldwachów wysokich, milczących i poważnych strzeże tego zaklętego miejsca; jedni przy bramach, drudzy w redutach, inni jeszcze tam wysoko, wysoko na grzbiecie Tytana, pod słońcochronami wkopanemi w ziemię połyskują szkarłatnemi mundurami w gorących promieniach słońca.

A wieża strażnicza ciągle daje znaki: widzi co się dzieje wszędzie naokoło. Żadna feluka, żadna łódź nie ujdzie jéj oka: pilnuje honoru Wielkiéj Brytanii.

Spadła kotwica i słońce już zapada; każdéj chwili działa fortecy zagrzmieć mogą wieczorném pozdrowieniem, a oficera komendy portowéj nie widać. Miałżebym strawić noc jeszcze całą z tym grandem maurofobicznym, z temi Katalończykami uszy kolekczącemi? Ach!

przecież jakieś czółno zbliża się ku nam szybko jak strzała, jakiś jegomość w mundurze marynarki pyta się nas rozkazującym tonem: „zkąd? dokąd? co wieziecie?" Prócz mnie, do Gibraltaru nikt wylądować nie chciał. „Mogęż się zabrać z panem?" zapytałem dumnego oficera portu. Posiadał on długi nos, takąż twarz, szerokie usta, wielkie czarne niespokojne oczy, przytém śniadą miał cerę jak ziemia, i w ogóle nieprzyjemnego był oblicza. Jednem słowem byłato istota z rodziców angielskich, tutaj, w Gibraltarze zrodzona: „a rock-lizard" jaszczurka skalna, jak ją Anglicy zowią.

Takie indywiduum kubana nie przyjmie: zadumne na to; ale téż chętnie żadnéj nie wyświadczy usługi: zazłośliwe na to. Dumny zawsze jest złośliwym, skoro nie jest głupim.

— Kto pan jesteś?—zapyta jaszczurka.

— *An englisch Doctor, natif of Poland, Sir*—odpowiedziałem.

— *Jump in the boat, Sir*, skacz pan w łódź.

Wstępuję do Gibraltaru główną ulicą, pełzającą u podnoża skały. Jaki tu zgiełk, jaki hałas! Tutaj chmary ludu, i jakiego ludu?—żeglarze wszystkich krajów: Grecy, Żydzi, Maurowie, Francuzi, Genueńczycy, Maltańczycy i Turcy. Tam gruppa oficerów angielskich pięknych, wesołych i w świetnych mundurach; tutaj znów Hiszpanie otuleni w czarnych płaszczach, i strzelający na Anglików z ciemnych bystrych oczu jak z pistoletów; daléj w spodnicach szkoccy górale i romaiccy wyspiarze. Nie masz w całéj Europie ulic podobniejszych do maskarady, do dobréj maskarady, mówię, do takiéj, gdzie wre życie i dowcip.

Ryknęło działo wieczorne, zachwiała się cała opoka. Sto doboszy uderzyło w bębny, sto muzykantów zajęczało w trąby, waltornię i klarnety. Tambur-major jak dąb wysoki dał znak potężną buławą, ruszył z miejsca liczny, huczący, szkarłatny hufiec. Odezwały się wszystkie echa potężnéj skały i klaskały w ręce. Oto capstrzyk gibraltarski.

W téj chwili pojąłem dumę Anglików.

* * *

Wieleby można powiedzieć o Gibraltarze. Jestto miejsce nader ważne dla historyka, polityka, etnografa i naturalisty. Jak dziwnym sposobem dostał się Gibraltar w ręce Anglików! jak ważną gra rolę w równowadze Europy! a przytém jaki tu stek ludności z całego świata! Nie masz kraju, któryby tu swego nie wysłał kontyngensu.

Dla naturalisty Gibraltar ma nadzwyczaj wielką ważność; naprzód jako dla geologa, potém jako dla zoologa.

W części skały naprzeciwległéj Afryce, ze dwa tysiące stóp nad powierzchnią morza, znajduje się otwór okrągły, mający przynajmniéj ze dwanaście stóp średnicy. Tym otworem pełza się, czołga pochyłą ścieszką w wnętrze skały, i staje się, uszedłszy z 300 stóp w obszernéj otchłani, podpartéj naturalną prawie w środku stojącą kolumną. Ztąd kilka otworów poziomo leżących prowadzi do przepaści, które dotąd żaden człowiek nie był w stanie zgłębić, i w których wielu ciekawych i excentrycznych Anglików straciło życie. Pomiędzy innemi, niedawno dwóch braci od jednego razu.

Podanie głosi, że ta pieczara, rozmiarów prawdziwie olbrzymich, służyła bałwochwalcom za świątynię, w któréj ubóstwiano Herkulesa. Ale żaden zabytek starożytności, żaden posąg nie świadczy o prawdzie tego podania.

Podróżni, którzy się spuszczali na linach do wnętrza tych przepaści, zgadzają się na to, że drogi do nich rozpadają się na lewo i prawo na nieskończoną ilość pomniejszych ścieszek. Pokazuje się tedy, że cało ogromna skała gibraltarska wydrążoną jest wszędzie jak kawał pomeksu, wyrzucony z wnętrza wulkanu. Oczywiście wulkanicznego jest pochodzenia ten głaz niezmierny.

Ależ te niezmierne pieczary nie mogą być bez missyi, przeznaczenia lub użytku.

Pewno, że nie. Anglicy nie umieścili tu wprawdzie żadnéj fabryki, żadnéj szkoły biblijnéj, żadnego meetingu, ale pewne zwierzęta, niestety aż zanadto do nas podobne, założyły tu swój cmentarz. Tu się nawet chronią kiedy wicher świszczy ze wszech stron, kiedy gdzieindziéj schronić się nie mogą.

Coto za zwierzęta, niestety aż zanadto do nas podobne?

Zgadujesz czytelniku, jakie to istoty? Skała gibraltarska ostatniém jest przytułkiem małp w dzikości żyjących, i bez sukni chodzących. Tu w téj jaskini małpy chowają swych nieboszczyków, tu nieraz przychodzą płakać nad grobami swych lubych. Niejeden szyldwach angielski świadkiem był małpiego pogrzebu, niejeden widział czułą wdowę przybiegającą na trzech rękach i z niemowlęciem na plecach, płakać nad grobem swojego męża.

Brzmi to prawdziwie jak bajka, i niejeden z mych czytelników będzie się obawiał uwierzyć w moje opowiadanie. Ale tak jest istotnie. Anglicy nie są łatwowierni, a oni wierzą w hołdy, które małpy

składają swym nieboszczykom. Zresztą, mnóstwo tu kości i czaszek zupełnie podobnych do ludzkich, tylko cokolwiek mniejszych.

Tyle dla geologów i zoologów. Wróćmy do Maurów.

Często tu przybywają. Anglia bowiem w przyjacielskich zostaje stosunkach z cesarzem marokańskim, i ciągnie całą żywność dla garnizonu i ludności Gibraltaru z państwa marokańskiego. Ciągną z nich także inne korzyści; późniéj o tém. Maury także udają się bardzo często okrętami angielskiemi na brzegi Syryi dla zwiedzenia Mekki i Medyny: idą i wracają na Gibraltar.

Osobną mają gospodę w Gibraltarze: rodzaj to karawan-seraju, gdzie są małe stancyjki dla możniejszych, wielki dziedziniec dla biednych, a krużganek dla średniéj klassy. Równości bowiem nie masz nawet pomiędzy Maurami, choć uniżoności i płaskości nie znajdziesz nigdzie pomiędzy niemi.

Nieraz chodziłem do tego karawan-seraju, i podziwiałem tam wszystkich różnokolorowych synów Afryki: od czarnego jak węgiel Etyopczyka, aż do białego jak alabaster szlachcica maurytańskiego. Maur bowiem gdy się pieści i muska tak delikatną zdobywa cerę, jak panna gdy ocet pije. Trzeba wiedzieć, że dla tryumfu teoryi antagonizmu, lew Atlasu stara się wyglądać jak owieczka, a owieczki Sekwany, Szprei i Dunaju usiłują sobie nadawać fizyonomie lwów.

Tak tedy w gibraltarskim karawan-seraju było ze sześćdziesiąt Afrykanów z państwa marokańskiego. Pomiędzy niemi kilkanaście osób z wyższéj klassy, ubranych z całym przepychem i z świetnością oryentalną: w turbany białe jak śnieg, w kaftany z karmazynowego lub zielonego atłasu, bogato srébrem i złotem haftowane, i w niezmiernie szerokie hajdawery, galonami i wyszywaniami ozdobione. Przytém pyszne a lekkie burnusy fantastycznie drapowane.

Niektórzy z nich bardzo byli przystojni, lecz uderzającéj piękności było tylko dwóch młodzieńców około lat 18 mających, cery tak białéj i delikatnéj, rumieńca tak czystego, jaki się tylko na licach pięknych córek Albionu zwykł jawić.

Osobą najważniejszą, któréj reszta towarzystwa uniżone oddawała hołdy, był Maur wysoki, atletycznéj budowy, około lat czterdzieści liczący. Kamizelę miał z białego kazimirku, zielonemi arabeskami sztucznie haftowaną, spodnie z zielonego tybetu, w niezliczone fałdy; głowę miał otuloną w bieluteńki szal kaszmirowy i tak długi, że spadał na barki, otaczał pas, i w bogatych spływał draperyach aż na ziemię. Rodzaj to burnusu, zwany po arabsku *haik*,

w wielkiém będący poszanowaniu od niepamiętnych czasów u Maurów. Sam szal miał przynajmniéj 300 dukatów wartości. Ramiona muszkularne, żelazne tego dygnitarza marokańskiego, wychodziły nago zpod wylotów kamizeli; nogi od kolan, także nagie, stopy tylko miał w żółtych papuciach wyszywanych wielkiemi perłami. Prócz tych pereł, których wartość mogła dochodzić do 100,000 złp. nie miał najmniejszego klejnotu ani w uszach, ani na szyi, ani na palcach, i tém się odróżniał od reszty arystokracyi maurytańskiéj. Poważna czarna broda spływała po obnażonéj, silnéj, wypukłéj piersi, porosłéj jak u niedźwiedzia czarnym, świecącym włosem. Rysy tego Maura prawie klassycznéj regularności, srogiego były i nieubłaganego wyrazu, a oczy zamałe na rozmiary twarzy, błyskały dumą i fanatyzmem. Nigdy tam nie zabłądził uśmiéch, tak zawsze były ponure: ta twarz, to zmarszczone czoło, które żadna radość nigdy nie rozjaśniała.

Osoba, nad któréj opisem tyle się rozwodzimy, siedziała na pysznym dywanie, z skrzyżowanemi nogami, w głównéj sali karawanseraju. Drzwi jéj wychodziły na krużganek otaczający dziedziniec, i były otwarte.

— Możemy iść powitać tego dygnitarza marokańskiego, otoczonego tak świetnym hufcem kawalerów dworskich—rzecze do mnie tłumacz seraju,. Genueńczyk rodem.

— Chętnie, ale powiédz mi naprzód, kto jest ten dygnitarz.

— To jest *santuron* nadworny cesarza.

— Co to jest santuron?

— Santuron, to znaczy święty. Ten tu właśnie wraca z Mekki, gdzie był już cztery razy; teraz dopiął najwyższego szczebla świętości, i znaczy w kraju prawie tyle, co najwyższy iman, tojest kapłan, choć sam nie jest kapłanem, tylko cywilnym świętym, a przytém ulemą, tojest prawnikiem i potomkiem z rodziny Mahometa, co łatwo odgadnąć z koloru zielonego jego spodni. Patrz pan jak okropnie oczami wywraca. Oh, to wielki święty! idźmy go powitać.

Zbliżam się do santurona, kładę rękę na sercu, a potém na głowę, i mówię: „*Wa la galib illah Allah!*" (Bóg tylko jest zwycięzcą).

Santuron spojrzał się bystrym wzrokiem na mnie, przyłożył rękę do serca, i rzekł głosem dzikim i stłumionym: „*Kapul ud bag, Sidi, li Allah Mahomi-Allah hedżina.*" (Bóg tylko jeden, a Bóg Mahometa jedynym, prawdziwym).

— Powiédz, że nie przystaję na to—rzeknę do tłumacza; ale santuron złożył ręce na piersi, wywrócił oczy w górę i rozmawiać już nie chciał ze mną.

— Jego dusza teraz w niebie, rozmawia z kuzynem Mahometem — rzecze do mnie tłumacz; — on jest teraz w zachwyceniu, czyli raczéj udaje, że jest w zachwyceniu. To stereotypowy figiel tych santuronów i marabów; widujemy ich często od czasu, kiedy rząd Anglii ułatwia im podróż do Mekki i Medyny. Grzeczniejszym byłby może dla pana, gdyby wiedział, że pan lekarzem.

— A to dlaczego? nie wygląda na chorego ten lew Atlasu.

— Nie dla siebie potrzebuje on lekarza, ale dla armii swego pana, srogo nawiedzonéj jakiémś epidemicznem zapaleniem ócz, kończącém się najczęściéj ślepotą. Santuron zastał tu za swym powrotem z miejsc świętych listy z Maroko, przywiezione mu przez kilku z przytomnych tu paniczów, i w skutek tych listów wszedł w układy z obecnym tu okulistą angielskim, Sidi Alhamilt-Bejem.

— Nie słyszałem nigdy o Angliku z tureckiém nazwiskiem.

— Sidi Alhamilt-Bej jestto nazwisko egipskie doktora Hamiltona.

— Doktor Hamilton tu w Gibraltarze? to mój dobry znajomy; a gdzież mieszka, na Boga, powiédz, gdzie mieszka?

— Mieszka u komendanta placu, majora Campbell z drugiego pułku gwardyi szkockiéj.

— I to mój znajomy, czyli raczéj ojciec znanéj mi w Hebrydach rodziny. Nasci piastra dragomanie serajowy; spieszę do komendanta placu.

Taka się odbyła scena w karawan-seraju gibraltarskim.

Dra Hamilton poznałem w Londynie, a odnowiłem z nim znajomość przed kilku miesiącami w Lizbonie. Bylto człowiek bardzo sprężysty i przedsiębierczy. Po stracie młodéj żony, którą kochał namiętnie, oddał dwie pozostałe mu córeczki siostrze swéj w opiekę, i puścił się lat temu kilkanaście, pędzony potrzebą silnych wrażeń, do Alexandryi w Egipcie.

W krótkim czasie wsławił się tutaj jako zręczny i szczęśliwy chirurg i okulista; wkrótce potém powołany do wice-króla, umiał mu się nadzwyczajnie podobać, i użytym został do organizacyi szpitalów i szkół lekarskich w Alexandryi i w Kairze. Walczył bardzo długo ze wszystkiemi przeszkodami, które niedbałość wschodnia, przesądy i zabobony, wznoszą przeciw wierze w skuteczność sztuki lekarskiéj. Walczył z niesłychaną odwagą i pokonał trudności. W dziesięć, czy jedénaście lat dosłużył się godności beja, wyrównywającéj stopniowi pułkownika i zebrał piękny majątek, do pół miliona złp.

Tymczasem córeczki pozostałe w Anglii dorosły; trzeba było myśléć o wyposażeniu ich. Pan Hamilton uzyskał od wice-króla Egiptu urlop na lat dwa, i udał się do swéj ojczyzny, gdzie go miałem szczęście poznać.

Urządziwszy interesa familijne, wracał teraz do Egiptu. W Lizbonie zatrzymał się na prośby dworu tygodni kilka, a potém przybył do Gibraltaru, gdzie go zatrudnienia lekarskie już od tygodnia przytrzymały.

Majora *Sir James Campbell of Mull* nie znałem wprawdzie osobiście; ależ byłto ojciec owéj prześlicznéj Dyany Hebrydów, którą poznałem w Mull, któréj odstąpiłem mego kaledońskiego kucyka. Pewny byłem, że Miss Clarissa doniosła o mnie swemu ojcu, że rozrzewniła jego szkockie serce opisem zapału, z jakim zwiedzałem starodawne siedziby Campbellów.

I nie zawiodłem się. Przyjęto mię z rozczulającém współczuciem. O wy! których serca więzione sobkostwem, zamrożone nieufnością, nie przypuszczacie nawet, żeby prócz materyalnych rozkoszy, była choć jedna przyjemność na tym świecie; o wy! serca próżne, wy nie uwierzycie nigdy w urok bezinteresownéj przyjaźni, w niewypowiedziane szczęście, które dobry człowiek doświadcza, gdy się widzi cenionym, kochanym przez szlachetnego, godnego siebie bliźniego! Duszę zatracacie ubiegając się za błotem! macież wy choć najmniejsze prawo do wieczności?

— Lordzie Glenelg! oto twój rywal—rzecze major Campbell przedstawiając mnie swemu przyszłemu zięciowi, oficerowi gwardyi szkockiéj, zaledwie 20 lat mającemu.

— Dumny jestem z tego—odpowié mylord rumieniąc się jak panienka aż po obnażone kolana, i ściskając mi rękę, rzekł: —*I am proud of that rivality.*

O! wierzcie mi samoluby, trapiący swój umysł dla wynalezienia zręcznych pochlebstw, bawiących brzuchy, poruszających anegdotek! o wierzcie mi pasożytne dowcipne zwierzątka: każdy człowiek niepokalanego honoru, czystego sumienia, żeby się nawet najmniéj z swym rozumem szermierzył, więcéj ma daleko trafnego rozsądku, jak wy! Oh zaprawdę, wierzcie mi! Z politowaniem na was spoglądam, trapionych ciągłą żądzą pochlebiania bliźnim, i korzystania z bliźnich tém pochlebstwem zarazem. Wiécie wy, że w tém ubieganiu się ciągłém zatracacie wszelką wiedzę o wyższości przyrody ludzkiéj? I to nawet wiécie! ale nałogi wasze silniejsze są, jak wasza wola: giniecie mdłe stworzenia jako ofiary waszéj próżności.

Nareszcie dr. Hamilton zapoznawszy mnie z gospodarzem domu i jego przyszłym zięciem, przemówił do mnie w sposób następujący:

— Najszczęśliwszy traf zsyła cię tu do Gibraltaru, mój kolego. Cesarz marokański, a raczéj syn panujący w jego imieniu, uwiadomiony o mojém przybyciu do Gibraltaru, zlecił powracającemu z Mekki santuronowi zaprosić mnie do swéj stolicy, dla nauczenia lekarzy tamecznych sposobów leczenia owego okropnego zapalenia egipskiego ócz, które mu corocznie kilka tysięcy żołnierzy na kaleków przemienia. Chętnie odwiedziłbym kraj marokański, bardzo mało znany, ale nie sam, tylko w towarzystwie kolegi, którego mam upoważnienie przywieść z sobą. Wzywam cię tedy do uczestnictwa w téj wycieczce, która nie potrwa dłużéj, jak sześć tygodni. Podróżując pod protekcyą Anglii, nie doznamy żadnych, zdaje się, przeszkód i przykrości.

Znałem dra H. jako człowieka zacnego, śmiałego i w pożyciu przyjemnego. Żądza zwiedzenia Afryki, od tak dawnego czasu we mnie pałająca, mogła być zaspokojoną! To było dostateczném.

Już nazajutrz, zaopatrzywszy się w żywność różnego rodzaju, mianowicie w doskonałe wędliny, w wina i w lekarstwa, wsiedliśmy na bryg kupiecki dążący do Tangieru.

Bryg ten, jestto nasz stary znajomy. Poznaliśmy go niegdyś na początku roku w Falmouth w Kornwallii, pótém odnowiliśmy naszę znajomość pod Ayamonte, przy ujściu Guadyany, na tępe i ostre wystrzały, a teraz powierzamy jego pokładowi nasze życie.

Żadnego śladu stoczonéj walki nie było znać na pięknéj Dyanie. Niktby nawet nie śmiał powiedzieć, że Dyana walczyć umié.

Statua jéj złota błyszczała w rzęsistych promieniach południowego słońca. Ani téż nic nie wyjawiało najwprawniejszemu oku, że córka Apollina mogła w razie potrzeby wytrzyszczéć zęby i ogniem plunąć na swą zdobycz. Luki zamknięte, zakitowane, pokostem pokryte; tylna część pomostu niby żaglami zawalona, nie widać na nim armat; do dolnego pomostu nikogo nie puszczano z passażerów, a wielka kajuta kapitańska tak była zbudowaną, że pod boczne łóżka można było wepchnąć działa, i pokryć je drzwiczkami.

Takiemi sposobami można było ujść oka ciekawego passażera; ale nie wystarczały one na oszukanie władz portowych i policyi morskiéj, znającéj kruków nietylko z piór i krzyku, ale i z chodu i lotu.

Wiedziała dobrze admiralicya angielska, co się kryło w naszéj Dyanie, i nietylko nie sprzeciwiała się jéj zamiarom, ale owszem pomagała do ich wykonania, gdzie tylko mogła.

Dyana w téj chwili wiozła broń i amunicyą Abd el Kaderowi, a ta broń i ta amunicya pochodziły ze składów rządowych w Gibraltarze. Francuzi! ufajcie przyjaźni Anglików! Niedaleko zajdziecie.

Prawo wizyty (*le droit de visite*), służy wprawdzie marynarce francuzkiéj, tak jak i innym mocarstwom sprzymierzonym przeciw rozbojom morskim, handlowi niewolnikami i zbrojnéj kontrabandzie. Ale niechże Francya zechce wykonywać to prawo wizyty na angielskich statkach, a zobaczy co się święci. Wiele mówią i drukują o marynarce francuzkiéj, ale łatwiéj błyszczéć na papierze, jak na falach oceanu. Francyi wpływ niknie tam zupełnie, gdzie Anglia nogę swą postawiła.

Na kilka minut przed wyciągnięciem kotwicy, przybiła do naszego statku wielka łódź, napełniona osadą w świetne barwy ubraną. Bylito nasi Maurowie odprowadzający santurona, pozostającego w ciągłym stanie zachwycenia i złego humoru. Zaledwie raczył przywitać się z nami przyłożeniem ręki do serca. Orszak jego grzeczniejszy daleko, witał nas uściśnieniem ręki. Dwaj piękni młodzieńcy, o których wprzódy wspominałem, byli mirzami, ze strony matki z dworem spokrewnieni. Ojciec ich khasnadar, tojest oboźny cesarski, w wielkich był u dworu łaskach.

Patrząc z nieprzezwyciężonym wstrętem na naszego protektora, cieszyłem się, że trykolor Francyi na naszym nie powiewa maszcie; on swoich zwolenników bronić nie umié!

Część orszaku odprowadzającego Maura wróciła do Gibraltaru, zaraz po wypłynięciu z przystani. Pożegnała się z nim z pokorą, z nami zaś z pewną serdecznością, mówiąc: „*Allah ebbady charud el Marok!*“ co znaczy: Bóg niech czuwa nad wami w kraju marokańskim.

Wiatr świszczy w liny i miota flagą, ta złota przy odgłosie dział, przesyłając ostatnie pożegnanie Europie.

Stary świecie, w którym wszystkie moje skupiają się uczucia, w którym leży kraj mój rodzinny, żegnam cię na czas niejaki, nie pędzony żadną materyalną chciwością, ale pędzony jedynie żądzą przeświadczenia się, czy zniknąć może z téj ziemi naród, który kiedyś był jéj ozdobą.

Wiatr dął potężnie i właśnie w kierunku wprost przeciwnym naszemu biegowi. Musieliśmy krzyżować dla schwytania go w nasze żagle. Podbiegliśmy aż pod samą twierdzę Taryfy, tak często wspominaną w rycerskich balladach. Któż nie słyszał o jéj komendancie Don Alonzo Guzman, który wolał znieść widok konającego

syna swego, ukrzyżowanego przez Maurów pod murami twierdzy, niż poddać się haniebnie kalifowi, oblegającemu miasto?!

Na wysokości latarni morskiéj, zwracamy się ku wschodowi południowemu, i wkrótce potém Tangier okazuje się na krańcu widnokręgu, biały jak gołąb' siedzący na swém gnieździe.

Ale wiatr wyje i miota okrętem. Nie spodziewano się takiéj nawałnicy; między passażerami zgiełk i nieporządek na pokładzie. Oberbotsman Dyany, człowiek brutalski, prawie ciągle pijany, przechodząc z jednego miejsca na drugie, potrącił tak mocno siedzącego w zachwyceniu santurona, że tenże zwalił się jak długi na pokład; lecz powstawszy natychmiast, rozjuszony jak lew, uderzył niezgrabnego Anglika w głowę tak mocno, że tenże padł na wznak na pokład, i ruszyć się nie mógł z miejsca.

Santuron zaś usiadł znów z skrzyżowanemi nogami, i znowu wpadł w zachwycenie, nie zmieniwszy ani na chwilę wyrazu swéj twarzy.

Na widok zniewagi wyrządzonéj koledze, wszyscy majtkowie angielscy porwali się do pięści; ale Maurowie otaczający santurona, dobyli z za haików i burnusów kindżały, i groźnie stanęli w obronie świętego.

— Poznaję was, o bracia Maurowie!—rzekłem do siebie.

Szczęściem, że się rozsądniejsi wdali w tę rzecz. Dr Hamilton kazał zanieść oberbotsmana do kajuty i puścił mu krew natychmiast, zaręczając, że przyjdzie do siebie. Z jednéj strony burza, z drugiéj strony obawa rzezi, uśmierzyła wzburzone umysły. Ale Maurowie ani na chwilę nie odstępowali santurona.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, kiedyśmy wpłynęli do przystani Tangieru, i rzucili kotwicę pośród kilkunastu statków genueńskich, francuzkich, duńskich i feluk maurytańskich.

Tu rozwijał się przed nami Tangier w położeniu bardzo malowniczém, wznosząc się na bokach i szczytach dwóch sporych pagórków, z których jeden śmiały i spadzisty, nurzał się w huczącym odmęcie oceanu, a drugi w lekkich pochyłościach zstępował wolniéj na piaszczyste wybrzeże przystani.

Miasto było zabezpieczone wysokiemi wałami od strony lądu, przegradzającemi górę od morza, a dość nizkiemi od stron z przyrody niedostępnych. Ponad stopami obu pagórków umieszczono kilka bateryj z ciężkiemi działami skierowanemi na przystań, a nad bateryami piętrzyło się miasto po tarasach, jak po stopniach olbrzymich schodów. Skała, domy i wały, słowem wszystko było białe,

ale tak rażąco białe, jak gdyby z ogromnéj skały wapiennéj wykute. Tu i owdzie tylko kilka wielkich drzew wyskakiwało z pośrodka tych płat śnieżnych, wysokie jak nasze najwyższe sosny, gęsto na wierzchołku pokryte liściem długim na pięć stóp, a grubym i mocnym jak palona skóra. Palmy te rosły w ogrodach haremów; około ich stóp igrają niezawodnie teraz owe czarnookie huryski, które Maurów zabezpieczają od niewygód małżeństwa. Tuż przed nami wspina się dość wysoka wieża pstro malowana. To minaret; należy on do głównego meczetu tangierskiego. Czarna długa chorągiew powiewa nad minaretem z powodu święta żałobnego, zwanego Aszor.

Piękna ława bieluteńkiego piasku odgranicza morze od miasta, i ciągnie się daleko, daleko aż do przylądku Aliminaru, gdzie sterczy latarnia morska, migająca świetłem czerwoném i zieloném.

Od południa, na odległym, bystremu oku tylko czasem dościgłym widnokręgu, połyskują w promieniach zachodzącego słońca wierzchołki starego i niezmordowanego Atlasu. Dźwiga on od niepamiętnych czasów to nasze stare poczciwe niebo.

Ze wschodu pasmo gór Gibil Muza wzbija się w obłoki; daléj, wieczny Tyton, pik tetuański. Takim jest Tangier, takiemi jego okolice.*

Przedmurzem, obroną przystani tangierskiéj jest kamienna tama, wchodząca na 2000 stóp w odnogę. Sąto tylko szczątki pysznéj tamy, którą Anglicy lat temu czterdzieści kilka opuszczając Tangier, prochem w powietrze wysadzili. Maurowie nie śmieli nigdy wziąć się do odbudowania kosztownego tego dzieła. Dziś w wielu miejscach wściekłe fale morskie przełamują kamienną zaporę i strącają w otchłań niezmierne głazy, niegdyś z takim trudem tu napiętrzone.

Łodzie nasze przecież dobijają do brzegu. W jednéj siedzi santuron z swym orszakiem do boju gotowym; w drugiéj siedzi towarzystwo europejskie.

Dobijamy do brzegu, stajemy na gruncie Afryki. Witaj Afryko! ty milczący sfinxie, który kryjesz w sobie nieodgadnięte jeszcze ludy i państwa, i przechowujesz zdaleka od oczu naszych cywilizacyą jakąś, na odrębnych od znanych nam, wykształconą podstawach.

Czekało tu na nas pod bramą miasta kilkanaście osób: kapitan portu, ogromny, stary barbarzyniec, z siwą, nieczęsto czesaną brodą, w brudnym turbanie, haiku i dziabadorze (kaftanie), z golemi nogami, których ogromne stopy zaledwie tkwiły w dziurawych panto-

flach. Ale sokół choć z pierza brzydki, pyszny miał dziób i pazury: cały był uzbrojony w broń najpiękniejszéj roboty, suto złotem nabijaną, drogiemi kamieniami wysadzaną.

Barbarzyniec ten pocałowawszy santurona z największą uniżonością w rękę, przywitał nas z godnością, mówiąc: „*Abi bekihr salmalek Sidi*" (bądźcie mi serdecznie powitani panowie).

Pomiędzy czekającemi był pan Drummond-Hay, syn generalnego konsula angielskiego, i zięć tegoż major Petersen konsul szwedzki; przytém drogoman konsulatu angielskiego, renegat izraelski, sztuka filuterna, i czterech janczarów tegoż konsulatu, ubranych czysto i pięknie w kaftany i spodnie szkarłatne, podobneż wysokie turbany z zawojem białym muślinowym, i w pstre burnusy. Deputacya ta przybyła w celu zaproszenia nas do konsula Anglii, złożonego chorobą, i uwiadomionego od dwóch dni o naszém przybyciu.

Poza bramą pięliśmy się spadzistą i krętą ulicą w górę. Na lewo grozi baterya pełna ciężkich żelaznych armat, wymierzonych na przystań. Obdarci kanonierowie siedzieli przy nich na piętach z zapalonemi lontami.

Na prawo, ściana skalista zasłaniała wszelki widok. W pewnych odległościach były w niéj wykute dość głębokie framugi, służące za ochronę żebrakom i biédnym przekupniom. Tą drogą doszliśmy na obszerny w skale wykuty taras, gdzie stał już wspomniony meczet. Przypatrzywszy się bliżéj minaretowi, dostrzegłem w nim wielkie podobieństwo do Giraldy sewilskiéj, nie co do koloru, minaret bowiem z różno-kolorowych postawiony kamieni, przedstawiał pstrą mozajkę, a Giralda z kamieni różowych wzniesiona; ani co do wielkości, tylko co do kształtu budowy i niepojętych myśli, zawartych w owych dziwnych znakach, które się snują po obu budowlach, jak tkanka jaka czarodziejska. Obie budowle są, że tak powiem, istnemi godłami wielkości tych, którzy je wznieśli. Giralda cud świata, przedstawia dumnego i pysznego Maura, zwycięzcę ziemi; minaret tangierski zaś, Maura słabego i zniewieściałego, zaledwie znanego światu, ale strojnego w ubiór malowniczy, pełnego jeszcze uroku w swych pojęciach o honorze, w swych uczuciach poetycznych, w swych gustach romansowych.

Przechodząc, zatrzymałem się u bramy meczetu, i ciekawe rzuciłem spojrzenie na wewnątrz. Nie spostrzegłem nic, prócz czworobocznego dziedzińca, brukowanego taflami kamiennemi, w mozajkę ułożonemi.

W środku była marmurowa fontanna, przy któréj kilku Maurów odbywało obmywania; wzdłuż boków ciągnęły się pod arkadami małe kapliczki, podobne do stacyj w dziedzińcach naszych klasztorów. W środku dziedzińca stał meczet; wnijście do niego zasłonięte kurtyną. Wszystko wyglądało bardzo czysto, ale skromnie. Nie widziałem tu żadnego oczy rażącego malowidła, żadnych niezgrabnych przedstawiań męki tego, którego obrazowi dusza nasza jedynie za tło służyć może.

Wyznam nawet, że było coś uroczystego w téj nagości przybytku mahometańskiego, w téj spokojności i cichości tu panującéj, w postaciach tych Maurów pogrążonych w rozpamiętywaniach i dumaniach. Stanęliśmy mimowolnie wszyscy przy drzwiach, prowadzących do dziedzińca, ujęci tym widokiem. Wtém głos donośny, straszliwy jak ryk lwa na puszczy spadł ze szczytu minaretu, jak z trąby archanioła: „*Kapuhl ud bag! Kapuhl hedżina!*" Bóg jest jeden, Bóg jest jedyny!

Zwracamy się na lewo w przejście prowadzące pod minaretem, i zaledwie kilka uszliśmy kroków, kiedy nas doszedł gwar głosów dziecinnych, powtarzających za muftym wiersze alkoranu. Znów inna nauka dla nas chrześcian. Maur uczy swe dzieci ustępów najważniejszych téj księgi prawa, która mu służy za podstawę wiary; kiedy chrześcianin nie wié, najczęściéj nawet nie chce wiedzieć, jakie skarby w sobie zawiéra księga jego własnych praw i prawd odwiecznych.

Jeszcze kilka krętych ulic, i stajemy w konsulacie angielskim. Mieszkanie obszerne, zupełnie europejskiéj budowy, z wielkim dziedzińcem, w środku którego pluska ciągle i żwawo fontanna przezroczystéj wody.

Wprowadzono nas do obszernego i chłodnego przedsionka, na którego ścianach zawieszono były skóry ze zwierząt drapieżnych, przez konsula upolowanych. Od lwa królewskiego aż do podłego szakala, cała rodzina niszczycieli była tu swą siercią reprezentowaną.

Pan Drummond-Hay konsul generalny Wielkiéj Brytanii podagrą dręczony leżał na kanapie, i oczekiwał pomocy dra Hamiltona. Dawnyto oficer marynarki królewskiéj, ranny kilkakrotnie, przytém wielki myśliwy i namiętny zwolennik Madery i Xeresu. Nie był członkiem towarzystwa żadnéj wstrzemięźliwości.

Santuron z swym orszakiem oczekiwał nas na dziedzińcu konsulatu, i oznajmił nam zimno, prawie z pogardą, że nas uwiadomi, kiedy karawana wyruszy do Maroko.

— *God dam my eyes!*—krzyknął konsul—co ja słyszę, tożto ten chytry tygrys Zahary ma was zaprowadzić do Maroko? Tożto jemu powierzono missyą namówienia was do wycieczki? Jemu? a wszakżeż on sam ma pretensyą leczenia zażegnywaniem lepiéj, niż wszystkie fakulteta europejskie swemi lekarstwami. Jest w tém coś, co mi się niekoniecznie podoba. Słuchaj Ismaił dragomanie! wywiédz się. Ho! ho! jest tam węgórz pod opoką; w tym kraju niedobrze powierzać swoje życie świętym.

— To prawda, panie konsulu generalny—rzecze Ismaił dragoman konsulatu—szczególnie takim świętym, co jednym kułakiem majtków angielskich do wieczności przesyłają.

— Co ty gadasz, Ismailu, co ty gadasz?—spytał konsul wstając z kanapy.

Ismaił opowiedział całą przygodę, wydarzoną na pokładzie Dyany.

— Jakto, doktorze, i z tego człowieka nic już nie będzie? umrzéć musi w skutku jednego ciosu pięścią?

— Trudno, mój konsulu—odpowié dr Hamilton.—Oberbotsman już od cycka oddawał się trunkowi, a mianowicie gorzałce, mózg ma przepalony, miękki, tak, że lada cios, byleby był *arte* applikowanym na głowę, sprowadzi rozdarcie mózgu i rozlanie się krwi, tojest apopleksyą.

— Do tysiąca milionów! Doktorze, masz dar tłumaczenia się bardzo malowniczo, aż kości cierpną! niech cię dja..., niech cię Bóg błogosławi za to. Koniec końcem byłto cios nielada, chciałbym był widzieć jego applikacyą. Zaprosim jutro santurona do konsulatu, nasadzę mu godnego siebie boxera; satysfakcyą dać nam musi, inaczéj wypowiadamy wojnę cesarzowi marokańskiemu. Oh tak! dziwi mię bardzo, że człowiekowi tak znanemu z fanatyzmu wściekłego, z niepohamowanéj nienawiści ku chrześcianom, poruczono takie posłannictwo, którego się może dlatego tylko podjął, żeby was przy piérwszéj sposobności zgładzić ze świata. Słuchaj Ismaił, szperaj, szukaj, wywiaduj się, szpieguj, a gdy sam nie poradzisz, udaj się do Manueli Diaz, niech wszystkie natęży sprężyny, niech jutro raniuteńko wyprawi się w podróż z ową Marsylianką nr. 4, i stara się złowić w sieci tych młodych mirzów, skoro będą wracać z meczetu. Oni wszystko wyspowiadają, jeśli co wiedzą. Tak to ładne główki, że zapewne wiele rozumu w nich nie masz.

— To nie żarty, moi panowie—rzecze daléj konsul z twarzą prawdziwie stroskaną—w ostatnich czasach pojawiła się znów sekta du-

sicieli, która kiedyś, lat temu siedmnaście, w jednym roku do 300 chrześcian w państwie marokańskiém zgładziła. O ile znam Santurona naszego, wolno mi go posądzić o należenie do téj sekty; kto wié, może nawet jest jéj przewódzcą. Ale teraz, moi panowie doktorzy rozgośćcie się w konsulacie, jesteście jego mieszkańcami na cały czas waszego pobytu w Tangierze i w okolicach. Oto mój syn, oto mój zięć, oto kilku z mych kolegów i przyjaciół. Przy obiedzie poznamy się lepiéj. Daléj, nakrywać!

Istotnie przy obiedzie poznaliśmy się z liczném gronem konsulów, sekretarzy konsulatów, kupców bogatych, doskonale obznajmionych z stosunkami politycznemi kraju, i z młodym oficerem inżynieryi angielskiéj, udającym się w missyi dyplomatycznéj lądem do ideału Anglików i Marokańczyków, do Abd-el-Kadera.

Obiad dano godny konsulatu Wielkiéj Brytanii. Bawół marokański, koza dzika z gór Gibil Muza, pstrągi z rzeki Tiszar, spadającéj z Atlasu, sławne jarząbki mogadorskie, nabrały nieskończenie wiele cywilizacyi pod nożem kucharza konsulatu.

Podczas obiadu rozmowa toczyła się o polityce, tak jak w salonach jakiéj stolicy europejskiéj, z większą tylko znajomością rzeczy.

Przepowiadano, że Abd-el-Kader, straciwszy Konstantynę i Maskarę, ścigany przez cztery korpusy Francuzów, będzie się musiał cofnąć ku granicy marokańskiéj, i że wpływem wywieranym na umysły fanatycznych islamizmu obrońców, zmusi cesarza Maroko do wzięcia udziału w świętéj wojnie przeciw Francuzom. Wypadki okazały gruntowność tego rozumowania.

Nie tajono także bynajmniéj, że rząd Anglii wspiera emira prywatną drogą, nie wzbraniając fabrykantom broni i amunicyi przedawać swe wyroby Abd-el-Kaderowi, i protegując kontrabandę wysyłaną do Algieryi francuzkiéj.

To wszystko działo się w Afryce, podczas kiedy pan Guizot cieszył się na trybunie paryzkiéj wynalezieniem naiwnego wyrażenia *entente cordiale*, jako najlepiéj cechującego czułą przyjaźń, istniejącą pomiędzy Anglią i Francyą.

Obiad w Tangierze skończył się, jak zwykły się kończyć pod wszystkiemi niebami obiady angielskie. W krainie pięknéj Dydony i pobożnego Eneasza, wielkiego Scypiona, Annibala i Jugurty, Anglik po obiedzie spoczywa pod błogim cieniem stołu, i marzy, że to gościnny namiot Abd-el-Kadera.

X.

Tangier i podróż do Tetuan.

— Już konie czekają na panów—rzecze do mnie Ismaił nazajutrz rano, równo ze świtem—już Sidi-Al-Hamilt-Bej ubrany czeka na pana.

— Jakie konie? czy już do Maroko jedziemy? A santuron? a oberbotsman?—krzyknąłem zdziwiony.

— Nie do Maroko, tylko do morza na kąpiel. Taki tu zwyczaj w Tangierze. Santuron wyniósł się nocą, Allah wié gdzie, a oberbotsman wyniósł się na tamten świat przed godziną. Dyana przybrała się w krepę; możesz to pan zobaczyć z miradoru naszego. I my także na znak współczucia opuściliśmy flagę do połowy masztu. To pięknie z naszéj strony, nieprawdaż?

— Nie wiem, co jest w tém pięknego, spuścić flagę do połowy masztu.

— To znaczy, że cały konsulat angielski smutny z tego, że jeden angielski żeglarz umarł w przystani. No, to rozczulająca rzecz! *Ach himmele chayrum bubes dues!* to bardzo czuła rzecz! Dla jednego pijaka tyle honorów! *a way Allah!*

Trzeba wiedzieć, że nasz dragoman był Izraelitą nim został muzułmanem, i wiele z swych dawnych zachował zwyczajów i zwrotów w mowie.

Stało przed oknami naszemi kilkanaście berberyjskich kuców, stworzeń szczególnéj rasy, udającéj się najlepiéj w górach Barbaryi. Konie te małe, ale nadzwyczaj szerokie w piersiach i w krzyżu, krępe, rącze i ogniste, nadzwyczaj są silne i zręczne przytém. Pędząc wypuszczonym galopem z najnierówniejszéj góry, nigdy się nie potykają, biegnąc zaś pod górę nieprędko się męczą. Suwają przez rowy i przepaści, jak dzikie kozy. Zły jeździec nie usiedzi na nich, są bowiem bardzo zuchwałe; trzymać je trzeba silnie, nigdy jednakże nie targać wędzidłem, bo ich to bardzo niecierpliwi. Ogień jakiś dziki pryska z ich oczu; głowy mają małe, ale czoła wypukłe, szerokie, nosy zgięte, greckie, a nozdrza szerokie, zawsze rozdęte i wewnątrz czerwone, jak konchy purpurowe. Szczególnie zastanawia pamięć konia berberyjskiego: nigdy nie zapominają doznanéj urazy i przy zdarzonéj sposobności mszczą się srodze zębem i kopytem.

Stajen wcale tu nie znają, ani berberyjskie, ani nawet arabskie konie. Stoją pod gołém niebem ze spętanemi przedniemi nogami, przytwierdzone linami do dwóch na prawo i lewo w ziemię wkopanych palów. Nawet kłaść im się niewolno. Maurowie utrzymują, że wyleganie stępia konia i robi go sztywnym. Żywią się jedynie prawie słomą, zawiérającą w tych krajach więcéj części pożywnych niż u nas: co łatwo się wyjawia aromatycznym zapachem. Na noc tylko dostają po garncu jęczmienia, w torbie do głowy przyczepionéj. Owies uważany jest tutaj za pokarm koniom szkodliwy. Raz téż tylko na dzień pojone są te konie. Zgrzebła tu nie znają, ani szczotki, ale je staranne mycie i pławienie zastępuje.

Koniki te rozmnażają się w górach prawie dziko, i choć małe, użyte są pod kawaleryą; nie każdy bowiem Arab posiada konia z czystéj krwi arabskiéj, zwierzęta te bowiem jeśli są piękne i młode, kosztują czasem do tysiąca dukatów. Ale téż rozum, wytrwałość, siła, szybkość, zręczność, mądrość konia arabskiego, stawią go wyżéj nad wszelkie rodzaje koni.

Koniki berberyjskie tanie są nadzwyczajnie w tym kraju; wartość ich nie przechodzi prawie nigdy 250 złp. Cesarz marokański pod karą śmierci zabronił wyprowadzanie tych koni za granicę. Można wprawdzie ominąć srogość tego prawa wielkiemi podarunkami, danemi baszy, kademu, khasnadarowi i kapitanowi portu, ale wówczas wartość takiego kubanami przemyconego konia, dojdzie do 800 i więcéj złotych, a tyle niewarte, choć są ładne i silne.

Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia człowiek jest w stanie pokochać konia. Arab kocha go jak własne swe życie, i każdemu powié w przytomności swéj rodziny, że prędzéjby zniósł jéj stratę, jak śmierć swego konia. Koń jest dla niego uzupełnieniem własnego swego ciała i swéj istności.

Wiemy, że Heliogabal mianował swego konia 1szym konsulem dożywotnim i wyznaczył mu bardzo wysoką pensyą, osobny dwór i służbę honorową. Rodryk Cyd, bohater świetny i filar chrześciaństwa, ten sam, który tak walecznie bił Maurów, zwykł był mawiać, że konia swego Babieka więcéj kocha, jak żonę i córki.

Dla Araba koń jest piérwszym przyjacielem i powiernikiem jego żalów. Do niego przemawia i zdaje mu się, że od niego jest zrozumianym. Tłumaczy sobie po swojemu każdy ruch konia, każde jego rżenie; całuje go w czoło i błogosławi go słowami: *bismillah!* Gdy zaś koń jest dzikim i niesfornym, natenczas Maur łapie go za uszy, patrzy mu bystro w oczy, przemawia surowo, i w nozdrza dmie

mu dym tytuniowy. Skuteczność tego środka jest niewątpliwą; nikt o niéj tutaj przynajmniéj nie wątpi.

Przecież za pomocą sług konsula i jego janczarów, oficer inżynieryi i sekretarze konsulatu wydostali się z objęć Morfeusza i zpod gościnnego namiotu Abd-el-Kadera, reprezentowanego stołem i krzesełkami. Wsiadamy wszyscy na konie i poprzedzeni janczarami, puszczamy się przez górną część miasta ku brzegom morza.

Stawamy na rynku. Dziwny widok przedstawiało to niezbyt wielkie, czworoboczne, nędznemi napozór domami otoczone miejsce. Z przodu tych domów znajdowały się sklepy bławatne, korzenne, żelazne i inne, w których sprzedawano pyszne rzędy na konie, haftowane ubiory, turbany, kobierce, szale, aromaty i inne różnorodne towary. Przy każdym prawie sklepie siedział poważnie na małym dywaniku, ze złożonemi jak rak nogami Maur, dość brudno ubrany, z fajką w ustach. Siedział nieporuszony jak automat; tylko ścigał oczami kupujących. Powiedziałby każdy, że to nędzny jaki kramarz. Ale nie sądźmy z pozoru: w niejednym z tych sklepów większe są skarby, niż w błyskotliwych, ozłoconych, w świetle gazu migających się magazynach paryzkich; a ów dom, którego małe zakurzone okna, żelaznemi kratami zasłonięte,—to tylko skorupa, która perły w sobie zawiera. W środku tego domu są pokoje perskiemi dywanami wybite, sale na jaspisowych filarach wsparte, łaźnie z alabastrowemi wannami. Za domem ogródek rzadkiemi kwiatami i krzewami woniejący, ścieszki różnokolorowym piaskiem wysypane. Daléj harem, a w tym haremie przebrzydły kramarz, wywracający oczami pod swym sklepem, więzi kilka, czasami i więcéj nadobnych córek Wschodu.

A ów brudny Maur, czychający tak chciwie na kupujących i ich *szekiele* (pieniądze), smażący się w skwarze słońca, udający nędzarza z bojaźni, żeby nie wzbudził chciwości baszy; ów brudny Maur zniesie to wszystko i więcéj jeszcze w potrzebie, dla tego, co go tam czeka w domu, gdy sklep swój zamknie i pacierze zmówi. Czeka go kąpiel ambrą i benzoesem zaprawiona, czekają go tańce i śpiewy swych żon i niewolnic, czekają go urzeczywistnienia namiętnych snów młodości.

Ale co to za zgiełk i wrzawa na rynku, krzyki dzikie i niehar-monijne: ledwo uszy nie pękną. To są przekupnicy i przekupniczki, siedzące w klatkach, podobnych do tabakierek z boku się otwierających, z wiekiem podniesioném i podpartém drążkiem. Sprzedają winogrona, daktyle, baryłki cukru, mydło, masło, melony, arbuzy

i placki z kukurydzy. Zalecają swój towar nieznośnym sposobem, wrzeszcząc w niebogłosy: *szrit hinaï, szrit hinaï*, (kupuj tutaj), i machają bezustannie kijem, na którym osadzone są liście palmowe, dla spędzania much cisnących się chmarami. Są i Beduinki pod kapeluszami słomianemi, objętości dobrego familijnego deszczochronu; skrzydła zwieszone na twarz, dojrzéć ich nie dozwalają. Czasem jednakże jedna lub druga uchyli skrzydła dla przypatrzenia się naszéj kalwakacie. Boże! w życiu mojém nie widziałem nic tak brzydkiego, jak owe stworzenia. Paszcze mają z długiemi jak migdały zębami, których ściągająca się jak żywy kapciuch skóra brunatna, ani w stanie pokryć. Ale już spostrzegły wrażenie, jakie na nas sprawiły, i nie robiąc sobie żadnéj illuzyi o swéj piękności, zaczynają nas przeklinać jak najserdeczniéj. W oka mgnieniu zapalczywość udzieliła się wszystkim jędzom, wszystkie uchyliły skrzydeł, i miotają na nas najbezecniejsze przekleństwa. Co do klątw i wymyślań, przekupki tangierskie nie ustępują żadnym: ani berlińskim, ani paryzkim, nawet ani krakowskim.

Nasyciwszy się widokiem harpij i ich grzecznością, opuściliśmy rynek i wstąpili na główną ulicę Tangieru, zwaną *Siarrin*. Dość szeroka i nieźle brukowana, zamieszkałą jest przez urzędników cesarskich, wyższego stopnia wojskowych i ulemów czyli prawników, którzy korzystając z wpływu swego i z czasu, trudnią się zarazem kupiectwem. Ci panowie, nie obawiając się baszów i ich zdzierstwa tyle, ile inni zwyczajni kupcy, siedzieli czysto i ozdobnie przybrani przed domami, i witali nas przyłożeniem ręki do serca i głowy. Tu poznaliśmy drugiego baszę tangierskiego; piérwszy znajdował się w Maroko.

Hamet Sin Samani, drugi basza Tangieru, starzec sędziwy, z przyjemną twarzą i śnieżną brodą, siedział przed swym domem, wymierzał sprawiedliwość i zarazem sprzedawał esencyą różaną, arabskie kadzidła, pastylki serajskie i koszenillę, na swój rachunek; a proch strzelecki i kwiat siarczany na rachunek cesarza; na te dwa bowiem przedmioty rozciągnięty jest monopol cesarski. Tak więc, śmierć i życie, proch i olejki trzymał Sin Samani jednocześnie w swych rękach. Ale nikogo tu nie raziło to połączenie handlu i urzędów. Nie zdarzyło się nigdy, żeby basza sprzedał stryczek, zamiast cukierków serajskich, lub żeby kogo namaścił olejkiem, zamiast go udusić. Sprawiedliwości był nieugiętéj, jak zaręczał nam dragoman. Przed kilku tygodniami kazał własnemu pięćdziesięcioletniemu synowi publiczną dać bastonadę, za to, że wnuk ostatniego źle mówił

wierszo alkoranu w meczecie. Przy téj sposobności dostało się i wnukowi i prawnukowi, tak, że trzy generacye w jednéj chwili były bite za alkoran....Rzecz miła sercu Mahometa!

Nie oparliśmy się chęci nabycia czegoś od tak dostojnéj osoby, i kupiliśmy od negocyanta generalskiéj rangi, każdy za kilka złotych olejków i pastylków.

Tuż blizko bazar, tojest dziedziniec bardzo obszerny, pokryty jak namiot rzadkiém, ale mocném płótnem; po czterech bokach do stu małych budek z najrozmaitszemi towarami Wschodu i Europy. Wszystkie wyroby ze skóry i surowego jedwabiu, były przedziwne. Część bazaru, w któréj sprzedają niewolników, stoi otworem dla wszystkich, ale na targowicę niewolnic nie każdy ma prawo wejść. My nie doznaliśmy żadnéj trudności: dragoman i janczary wszystko ułatwiają. Białych kobiét zabrakło właśnie na targu tangierskim; na większych trzeba ich szukać targach: w Konstantynopolu, Kairze, Alexandryi, Tripolis i w Maroko, ale nie w Tunis. Bej tunetański, choć nie chrześcianin, poznał, że handel życiem ludzkiém jest krzywdzącym godność człowieczeństwa, i zniósł go w swojém państwie.

W bazarze niewieścim było kilkanaście murzynek, po największéj części z Senegambii, kilka z Kongo, dwie czy trzy z Angoli i Bengeli. Skromnie były przybrane, bardzo nawet skromnie; prócz kolczyków bowiem i sznurka paciorków na szyi, miały tylko ten już z mody wyszły artykuł stroju, który dumna Juno pożyczyć musiała raz od pięknéj Afrodyty, dla skłonienia sobie Jowisza. Skromnie tedy były przybrane, ale pomimo tego nie zachwycały nas wcale swą urodą, o któréj łatwiéj mogliśmy sądzić, jak ślepy o kolorach; proszę temu wierzyć. Dla lubowników jednakże atletycznéj budowy, włosów w kędziory wełniane zwijanych, ócz żółtaczkowych, warg mięsistych funtowych, i innych kolosalnych wdzięków, było tu obszerne pole do szukania zachwyceń; szczególnie dla tych, którzy się nie gniewają, że lis pachnie jak lis, dudek jak dudek, a murzynka jak lis i dudek razem.

Jeden był wyjątek jednakże: murzynka z etyopskiego plemienia, które różni się jedynie kolorem ciała od najpiękniejszych kobiét plemienia kaukazkiego. W jednéj z klatek siedziała na ziemi, samotna i w głębokim smutku pogrążona, młoda murzynka z Nubii, ciała cudnie lekkiego i kształtnego, rysów bardzo miłych i szlachetnych, podniesionych tęsknotą i smutkiem. Trzymała przy piersiach niemowlę prawie zupełnie białe. Na plecach obnażonych blizny biała

we, szerokie: ślady chłost doznanych; ręce i nogi nadzwyczaj zgrabne, były głęboko poprzecinane powrozami, ale także już oddawna zagojone. Trzeba wiedzieć, że najmniejsze blizny łatwiéj rozeznać na ciele murzynów, jak na ciele białych: pochodzi to z braku pierwiastku kolorowego w substancyi nowéj, zagajającéj rany, i zastępującéj ubytek przeciętéj skóry.

Młoda córka Nubii liczyła lat dopiéro trzynaście, kiedy ją *upolowano*. Wiadomo, że Mehemet-Ali wice-król Egiptu, który także przez całe życie był pod pewnym względem kupcem, wysyłał corocznie najlepszych jeźdźców na upolowanie potrzebnéj mu do handlu liczby Nubijczyków, Etyopów i Abissyńczyków.

Młoda Nubijka bawiła się w kraju swym szczęśliwym nad brzegami rzeki Niebieskiéj, (która łącząc się z Białą, tworzy Nil), kiedy ją obskoczyli zaczajeni *myśliwi*. Usiłowała utratą życia uniknąć niewoli, i wskoczyła do rzeki, spodziewając się znaleźć śmierć w jéj nurtach lub w paszczy krokodyla. Lecz ją schwytano, skrępowano, i zasłoniwszy oczy umyślnie na to przygotowanemi plastrami, aby nie wiedziała w którą idzie stronę, uprowadzono. Potém razem z innemi ofiarami przytwierdzono ją do długiéj żerdzi, któréj dawał kierunek jeden z łowczych wice-króla, i pędzono ku Alexandryi. Stawiając ciągły swym oprawcom opór, i korzystając z każdéj sposobności ratowania się ucieczką lub samobójstwem, ściągnęła na siebie owe nielitościwe chłosty, których ślady niezatarte na całe życie pozostaną.

W Alexandryi zachorowała tak mocno w skutek dręczącéj ją tęsknoty, że kupiec Mehemet-Ali, pomimo jéj piękności, za tanie ją musiał sprzedać pieniądze, lękając się, żeby mu towar nie zmarł.

Takim sposobem dostała się w ręce i w objęcia Maura tangierskiego, kapitana feluki kupieckiéj. Przywiózł ją z sobą do Tangieru. Dobre obchodzenie się, młodość, instynkt macierzyński, rozwijający się z zarodkiem życia nowego w jéj łonie, cokolwiek pogodził biédną Aily z losem. Ale nie tu koniec jéj cierpień. Urodziła panu swemu syna; wkrótce potém w burzy pan traci felukę, majątek i życie: pozostały długi. Wierzyciele zabrali co było jeszcze w domu, a nawet i niewolnicę z dzieckiem. Smutna ta historya, opowiedziana nam przez Kapudi-Iwa, tojest sekwestratora publicznego, obudziła w nas największą litość. Chcieliśmy się złożyć, aby nabyć biédną Aily i udarować ją wolnością; ale nas ubiegł dr. H., który znając język arabski, nie potrzebował tłumaczeń dragomana do zrozumienia historyi, opowiadanéj przez sekwestratora.

Kupił matkę i dziecko za 120 piastrów hiszpańskich, tojest za 960 złp., pod warunkiem, że jéj da wolność. Chrześcianinowi bowiem niewolno posiadać w państwie marokańskiém niewolnika mahometańskiego, a Aily była mahometanką. Powierzono ją opiece rodziny Ismaiła; ale Aily przyjęła z obojętnością dar wolności: ona nie pojmowała wolności, jak na łąkach Nubii.

Wychodząc z bazaru, spotkaliśmy karawanę idącą z Maroko. Dwadzieścia kilka wielbłądów, ciężko obładowanych, postępowało długą linią, jedne za drugiemi, wolno i poważnie, ale tak posuwistym krokiem, że koń dobry stępak, zaledwieby im dotrzymał. Dwa wielbłądy niosły na sobie dziwne jakieś wysokie budowle, nakształt szylderhausa czyli budki strażniczéj. Budki te ozdobnie malowane, obwieszone były pięknemi draperyami, spadającemi aż na ziemię; z przodu miały zasłony z zielonéj kitajki. W piérwszéj budce siedziały dwie kobiéty, otulone i zakfefione: jedna z nich ubrana w najdroższe jedwabie i muśliny, błyszczała perłami i dyamentami. W drugiéj budce, siedziała murzynka z całym rojem dzieci różnokolorowych. Byłyto zapewne żony, niewolnicy i dzieci którego z tych brudnych kupców, co tam siedzą przed domami wywracając oczy.

Wał bardzo wysoki przegradza nam drogę; przebywamy go pod długiém sklepieniem, zwaném *Bab del Faz* czyli *brama Fetzu*, i stajemy w miejscu obszerném, ale nierównem, zwanem *Sok de Barra*, czyli targ zewnętrzny, na którym każdéj niedzieli i czwartku sprzedają zboże. Blizko rowu fortecznego, znajduje się mnóstwo podziemnych składów zboża, z małemi otworami na zewnątrz, które zamykają kamieniami lub zatykają słomą, tak, jak u nas doły na ziemniaki. Tu i owdzie, kilka bud słomą okrytych dla strzegących te składy podziemne. Po zamknięciu bram miasta, rozpuszczają tu psy tak dzikie i srogie, że nie radziłbym nikomu obcemu zbliżać się do nich; rozszarpałyby go na kawałki.

U spodu pagórka, jest miejsce ogrodzone czterema białemi ścianami. Tu spoczywają zwłoki sławnego maraba czyli świętego, nazwiskiem Sidi Mokfid, który cztery razy był w Medynie i Mekce, i umarł w religijném zachwyceniu, w meczecie tangierskim, lat temu dwadzieścia. Ten sobie koniec sam przepowiedział. Pytanie, czy nie umarł umyślnie, aby dotrzymać słowa?

Daléj schodzimy na El-Kawar czyli cmentarz. Groby są oznaczone kamieniami, ułożonemi w podłużne koło; inne są przykryte podobnegoż kształtu głazami, inne jeszcze mają wzniesione nad gło-

wami kamienno turbany różnego kształtu, podług rangi nieboszczyka.

W środku pola umarłych, na dość wysokim kopcu, pochowany jest piérwszy i najwięcéj czczony święty tangierski, zeszły z tego świata pięćdziesiąt lat temu. Nazywał się Mahomed el Hadżi; z powołania był lekarzem, ale więcéj się zajmował pacierzami i przepowiedniami, niż praktyką lekarską. Mnóstwo jego przepowiedni już się ziściło, reszta ma się ziścić niebawem. Przepowiedział zjawienie się Abd-el-Kadera, świetność jego przyszłą, i tryumf islamizmu w Afryce i Granadzie. Przepowiednia byłaby się może ziściła, gdyby kupcy paryzcy chcieli byli dotrzymać słowa, danego Abd-el-Kaderowi przez młodego księcia francuzkiego. Lecz, aby powiedzieć, że losy niegdyś rycerskiego narodu, dostaną się w ręce spekulantów i milionowych wydrwigroszów, na to nietrzeba było być ani Hadżim, ani Mahometem, ani Habakukiem i Eliaszem, ale samym Thiersem.

Wracając do naszego proroka, doktora medycyny, dodamy jeszcze, że mu obywatele Tangieru i okolic wystawili bardzo ładny meczet, z czystego białego marmuru i z śmiałém sklepieniem, wspartém na ośmiu kolumnach koryntskich. Przybytek ten ozdabiają wierni Mahometanie kolorowemi chorągiewkami.

Najkształtniejszy to budynek ze wszystkich, jakie widziałem w téj stronie Afryki.

Cmentarz odgraniczonym jest od brzegów morza wysokim murem, stanowiącym część zewnętrznego wału miasta, od strony zachodniéj. Dostawszy się za bramę, ujrzeliśmy nareszcie małą zatokę, którą oddziela od przystani tama, wyżéj opisana. Bałwany morskie biegły ku nam od strony Europy, ale się rozbijały o kamienną zaporę, i ryczały jak gdyby z gniewu, że nas dosięgnąć nie zdołają. Nieraz cała ława skalista zajaśniała białą pianą, tak jak mleczna droga na niebie. Pęd fali bardzo był gwałtownym. Podczas kąpieli, byliśmy zniewoleni trzymać się łańcuchem silnie za ręce; inaczéj bałwany byłyby nas uniosły, i zgruchotały na głazach. Temperatura piasku na wybrzeżu, dochodziła do 38° R.; o tém przekonaliśmy się termometrem; ustać nie można było na brzegu golemi nogami.

Przytém inne nam jeszcze groziło niebezpieczeństwo. Pod powierzchnią gorącą piasku, siedziały zaczajone w chłodniejszéj warstwie owe najjadowitsze białe afrykańskie niedźwiadki, znane już Pliniuszowi pod nazwiskiem: *Scorpio arenarius albus*. Żądło cienkie, zdradzieckie, wystawiają szkaradne te stworzenia nad samą po-

wierzchnią, tak, że łatwo na nie nadeptać, i co gorsza być śmiertelnie rannym, nie wiedząc nawet o tém. Skóra bowiem podeszwy nogi, choć jest tak drażliwą, że jéj łechtanie trudno wytrzymać, nie jest bardzo czułą na zranienie. Że drażliwość nie jest czułością, o tém wié niejeden mąż, choć nie lekarz, z doświadczenia w własnym domu nabytego, i nie potrzebuje po nie chodzić aż na piaski afrykańskie. Wracając się do owych *zagranicznych* niedźwiadków, dodamy, że wypalenie natychmiastowe rany ammoniakiem, i zażycie kilku kropli tegoż lekarstwa w szklance wody, zabezpiecza od złych skutków. Przykładanie na rany oliwy, w któréj mokły te owady, także jest dobrém. I tak, człowiek klin wybije klinem, niedźwiadka uczyni nieszkodliwym innym niedźwiadkiem; dlatego téż idąc tym samym systematem, można kobietę nauczyć rozumu inną kobietą; i nieraz to się uda.

Najlepszém atoli lekarstwem przeciw ukąszeniu niedźwiadka, jest mlécz rośliny rosnącéj tu obficie na całém wybrzeżu, niezawodnie z przykazu Boga, który łagodzi wiatr dla nowostrzyżonych owiec, i nie mniéj dba o skórę ludzką jak o zwierzęcą. Roślina ta należy do rodziny *Euphorbiaceów*, czyli wilczego ziela. Mlécz jéj przyłożony na ranę zadaną żądłem niedźwiadków, uobojętni jad i zapobieży zapaleniu. Przyłożony zaś na każdą inną ranę, rozogni ją w bardzo widoczny i bolesny sposób. Pierwiastek ostry, zawarty w całéj roślinie, a który rozkłada jad niedźwiadka, zabezpiecza ją znów od żarłoctwa szarańczy. Plaga ta ziemi, trapiła w téj chwili część północną państwa marokańskiego, i ogołacała z reszty téj świeżości, któréj palące słońce jeszcze nie zwarzyło. Wszystkie drzewa, prócz palm, niektórych gatunków *Ilex Rhododendron, Euphorbia* mających liście twarde lub ostre, ogołocone były z zieloności, i wyciągały gałęzie obnażone jak w późnéj jesieni. Nic nie pozostało z pysznéj wegetacyi, prócz owoców, mianowicie winogron; szarańcza bowiem nie tyka owocu, dopóki ostatniego listka nie pożre. Miryady tych przebrzydłych stworzeń zalegały miejsca pokryte resztkami trawy, podlatywały chmarami przeciw nam z wszystkich kierunków, i ginęły milionami pod kopytami naszych koni.

Mirad las ayanas (patrz pan na szarańczę), mówił do mnie po hiszpańsku renegat żydowski, służący konsulowi angielskiemu za dragomana.—Patrz pan na szarańczę i słuchaj jak jedzą! Potężną jest szarańcza, potężniejszą jak sułtan albo konsul. Niech sułtan wyśle wszystkich swych Mahasniah (rodziny arabskie najbitniejsze) przeciwko szarańczy, a ona ich się nieulęknie. Szarańcza nie boi się kon-

sula. Kilka tygodni temu, konsul powiedział: „Ja jestem mocniejszym jak szarańcza, i chcę ją wyniszczyć". Kazał więc obwieścić w mieście: „O Tangierczyki! spieszcie walczyć z szarańczą, zniszczcie ją w swym zarodzie, i wiedzcie, że ktokolwiek z was przyniesie mi funt jaj szarańczych, temu zapłacę pięć realów hiszpańskich, (półtrzecia złotego polskiego); nie będzie tego roku szarańczy". Tak cały Tangier wyruszył na wojnę przeciw szarańczy, i zbierał jaja, które szarańcza złożyła do wyklucia pod piaskiem, na krańcach pagórków, na brzegach dróg i na płaszczyznach. I mój własny syn, który ma 7 lat, poszedł walczyć z szarańczą, i uzbierał 6 funtów jaj, za które mu konsul zapłacił. Stu innych zanosiło jaja konsulowi: jeden mniéj, drugi więcéj, i konsul płacił im ich cenę, i kazał palić je na popiół. W tydzień kassa konsula była wyczerpaną, bo zapłacił do 18,000 pesetów (30,000 złp.) i wtenczas rzekł: „Przestańcie, o Tangierczyki! możeśmy już zniszczyli szarańczę". Cha, cha! patrz około siebie, patrz pod sobą i nad sobą, i powiédz, czy konsul zniszczył szarańczę.

Dodajmy tutaj zaraz, że w tydzień po tym czasie, szarańcza znikła z widnokręgu tangierskiego; nikt nie wiedział gdzie i jak; domniemywano się jednakże, że gwałtowny wiatr południowy, wiejący z śnieżnych wierzchołków Atlasu, a którego srogości doświadczyliśmy w Maroko, porwał ją i wtrącił do oceanu. Owady te były dość duże, koloru brunatno-zielonawo-żółtego; wyglądały bardzo obrzydliwie.

Powracaliśmy do miasta drogą prowadzącą około cmentarza żydowskiego. Każdy prosty żydek miał głaz na grobie, a każdy marmorajny tablicę kamienną z napisem hebrajskim, zupełnie jak u nas. Ten zaś cmentarz Izraelitów tangierskich podobnym był zupełnie do pińczowskiego, z téj przyczyny, że jak w tym, tak w tamtym żydki założyli spekulacyjkę, i połowę jego obsiewają, tylko w każdéj strefie innym owocem: nad Nidą sadzą ziemniaki, a w Afryce figi kolczaste. Owoc ten tak jest szczególnym i małoznanym w Polsce, że go warto bliżéj opisać.

Figa kolczasta, zwana *Kermous de Inde* po maurytańsku, rośnie na krzewie kaktusowym, dziwnego a nawet śmiesznego kształtu. Pień jego choć częstokroć grubości człowieka, nie ma korony, lecz się dzieli, w małéj odległości od ziemi, na wielką ilość dziwnie w tę i owę stronę łamanych gałęzi, które mają liście niezgrabne, mięsiste, na pół cala grube. Owoc z kształtu podobny do gruszki, okryty jest twardą skórą, obsadzoną cienkiemi kolcami, które głęboko wchodzą

w dotykającą je nawet najlżéj rękę, i niełatwo dadzą się wyciągnąć. Trudno bardzo obierać ten owoc, ale przyjemnie go jeść; jest bowiem wybornego smaku, daleko lepszego niż zwyczajna figa, nie mająca nic z nią wspólnego, prócz kształtu.

Dragoman patrząc się na cmentarz, rzekł: „O Sidi! mało oni się nacieszą swemi owocami, te głupie żydy; dzieci maurytańskie z całego Tangieru schodzą się tutaj każdego poranku i obrywają owoce dojrzałe w nocy, i to pod nosem stróżów, którzy nic śmią im się sprzeciwiać. Nic ma nic trwożliwszego nad żyda. Dwudziestu ich ucieknie przed jednym ulicznikiem arabskim" dodał ze wzgardą renegat izraelicki.

Ja mu na to odpowiedziałem: „Oh dragomanie konsulatu Wielkiéj Brytanii! tchórzostwo żydów nie leży w ich naturze, lecz pochodzi z ucisku, pod którym żyją."

Dragoman mi odpowiedział: „Oh Sidi! choć jesteś mądrym jak wąż, ale mylisz się tą razą! Żyd jest tchórzem z natury, bo w sobie samym ma czarta, co go ustawicznie straszy."

— A ty jesteś tchórzem, dragomanie?

Dragoman. Ja jestem zapalczywym jak tygrys z Bengalu, mężnym jak lew z Atlasu, a krwi chciwym jak hyena!

Ja. A przecież jesteś żyd z urodzenia.

Dragoman. Kto powiedział że ja żyd? Byłem żydem, prawda, ale już nie ma ani kropli krwi żydowskiéj, ani kosteczki nieczystéj w mojém ciele, bo przeszedłem przez czyściec i pozbyłem się tam całego mego ciała, i mam teraz świéże i nowe.

Ja. Oh dragomanie! co nazywasz czyścem?

Dragoman. Czyściec jestto klasztor muzułmański, w którym odnawiają ciało i duszę tych, którzy z żydowskich błędów przechodzą do uznania prawdziwego Allaha. Tam pokutowałem przez całe trzy miesiące. Tam mi nic pozwalano nic jeść, tylko dawano ciągle mléko z kozy świętéj, zaprawione mleczem białym z świętego ziela, które wszelki jad niszczy. To mleko okropnie mnie przeczyszczało. Przytém kąpano mnie codziennie dwa razy i myto siarką i pomeksem tak mocno, że mi całą skórę zdarto. Dawano mi na poty, ogolono wszystkie włosy, poobcinano paznogcie. Dla wystraszenia djabła, cały zakon bastonadował mię co piątek. Przeczyszczenia, poty, głód i bastonada tak mię osłabiły w miesiąc, żem się prawie ruszyć nie mógł; ale djabeł jeszcze tkwił we mnie, gdyż włosy czerwonawe ciągle odrastały na głowie i brodzie. Już mi mało zostawało życia, i mało brakło do śmierci, kiedy święty maraba Sidi Leim przyszedł do mnie

i rzekł: „Dziś djabła z ciebie wypędzę, ale daj sto czekielów srébrnych.“ Powiedziałem: dam trzydzieści. I maraba odwrócił się i poszedł. Na drugi dzień przyszedł znów i rzekł: „Djabła wypędzę, ale daj 120 czekielów.“ Odpowiedziałem: dam co chcesz. Maraba się wykręcił, obracał, kłaniał i modlił, a potém namaścił mi głowę i brodę jakimś olejkiem i poszedł. I tak robił codziennie. I włosy urosły czarne jak u Mahometa. Wtenczas przestano mnie bić i przeczyszczać, zabito świętą kozę i dawano jeść jéj mięso. Za sześć tygodni broda czarna urosła, i krew moja, która była przedtém czarno-żółtą, stała się czerwoną, i znikły strupy z méj głowy i krosty z mych rąk. Nabrałem siły i piękności wielkiéj, i sam siebie nie poznałem. Wtenczas przyjęto mię z wielką okazałością do meczetu, ubrawszy w nowe, z igły zdjęte suknie. I zostałem nowym człowiekiem, a stare ciało pozostało w czyścu, i niech będzie przeklęte na wieki. Powróciłem do domu, i wypędziłem z niego starą mą żonę Sure Libche, bo żydówką gardziłem, i ożeniłem się z dwiema młodemi: z jedną Maurytanką i z mulatką etyopską. Teraz handel mój lepiéj idzie, a konsul angielski wziął mię za swego dragomana, bom wielki *Talib* (uczony) w językach. Teraz mam wszystkie cnoty synów Mahometa: brodę czarną jak on, i brwi i rzęsy, i odważny jestem jak lew, i jak tygrys zapalczywy.

— A ja ci powiadam, oh dragomanie! żeś nie jest ani lwem, ani tygrysem, tylko farbowanym lisem; i powiem ci, jeśli chcesz, czém się codziennie z rudego na czarnego przeistaczasz — rzekłem chełpliwemu renegatowi, obrażony tém mocném zaufaniem w moję łatwowierność.

— *Allah-bismillah!* Na imię Boga!—krzyknie renegat składając ręce—niech mnie pan nie wydaje. Ja tylko próbowałem czy pana zwiodę, o Sidi, i czyś takim mądrym jak się wydajesz; ale jesteś mędrszym jak wąż, i przenikliwszym jak błyskawica.

— Ja zaś przekonałem się z twego opowiadania, żeś chytry jak lis, a sprośny *como un perro*. Widzę, że biédna Aily w złych jest rękach; tyś gotów nadużyć naszego zaufania, i wdzięczyć się do pięknéj Nubijki.

— Ah wah! za kogo mnie pan bierzesz? ah wah! ja się wdzięczyć do téj Nubijki? Ja za nią całą nie dałbym nawet tyle, ile warta strawa, co ją spożyje w jeden tydzień. Oh Allah! żebyś pan widział moje żony! to co innego! Każda z nich pięć razy tyle waży, ile ta Nubijka; takie są tłuste, że ledwie ruszyć się mogą z miejsca. Téj Nubijki nigdy się nie doposic; ona umrze z tęsknoty; dlatego też

żądałem, żeby mi za miesiąc cały z góry zapłacono za jéj utrzymanie. Ah wah! wolałbym wrócić do méj staréj Sury: ona dziś jeszcze waży przeszło ośm kamieni. Ale otoż jesteśmy w konsulacie, otoż i kapitan Dyany zapewne się domaga satysfakcyi za swego oberbotsmana. No! co robić, promieni słońca wysłać nie możemy w pogoń za santuronem. Anglia téż nie wyda zapewne wojny o jednego majtka.

Istotnie, piękności maurytańskie ważą się na kamienie, a wdzięki na funty. Sprawa santurona wytoczyła się przed trybunał konsula, który, znany z swéj sprawiedliwości, w ten sposób zagadł kapitana Dyany:

— Słuchaj kapitanie Davenport, wiem, że nie powiész nic przeciw prawdzie.

— Nigdy konsulu—odpowié kapitan.

— Byłeś świadkiem obrazy zadanéj santuronowi przez nieboszczyka, który przez całe swe życie był pijakiem i zawadyakiem, i umyślnie potrącił Maura siedzącego sobie spokojnie na pokładzie. Czy nie tak?

— Tak jest.

— I potém dostawszy legalnie, rycersko pięścią w głowę, upadł, i dopiéro w trzynaście godzin potém umarł. Czy nie tak?

— Tak jest istotnie—odpowié kapitan Davenport.

— Nie było zatém rozmyślnego zabójstwa. Pięść, żeby była najcięższą, nie jest bronią palną, ani sieczną, i przewidzieć nie można, że śmierć nastąpi po jéj applikacyi na głowę angielską. Zresztą, santuron miał prawo pomszczenia się wyrządzonéj mu zniewagi; kto pod flagą Anglii pozostaje, ten zawsze winien być traktowanym jako człowiek honoru. Nie masz tedy w téj sprawie żadnego powodu do zrywania stosunków przyjaznych z państwem marokańskiém, żadnego *casus belli*. Ale jest coś innego: oberbotsman miał żonę i kilkoro dzieci; rodzina ta pozostała bez sposobu do życia. Na drodze tedy cywilnéj ma prawo poszukiwać satysfakcyi pieniężnéj, satysfakcyi sowitéj. U świętego, władającego tak dobrze pięścią, powinny być pieniądze w kieszeni. Przyślijcie mi tedy z Anglii papiéry, a ja tutaj przypilnuję tę sprawę, i zobowiązuję się wywindykować u rządu marokańskiego sowite wynagrodzenie dla rodziny oberbotsmana. A tak i honor i interes Anglii będzie ocalonym.

— Niech żyje królowa!

Tak zakończył konsul, i Anglicy słowili jego mądrość.

— Ale my, co z sobą zrobimy, konsulu? Nasz przewodnik umknął; zdaje się, że kontrakt zerwany, i że winniśmy wrócić do domu—zapytał dr. Hamilton.

— Wcale nie: przecież panowie posiadacie każdy swój osobny firman cesarski?—spyta konsul.

— Posiadamy.

— To bardzo dobrze. Kwestyą tedy zredukujemy do tego, co jest najmatematyczniejszém, najpewniejszém w świecie—do pieniędzy. Santuron umknął do Maroko w godzinę po przybyciu do Tangieru; umknął dlatego, żeby wieść o harmidrze na Dyanie sprawionym, nie doszła przed jego przybyciem do Maroko uszu królewicza, niekoniecznie mu przychylnego. Obok wypadnięcia z łaski, nie byłaby naszego świętego ominęła sowita bastonada. Tak tedy umknął, i nie omieszka królewiczowi przedstawić rzecz całą w jak najkorzystniejszém dla siebie świetle. Ale i my też nie w ciemię bici. Wyślemy do Maroko relacyą całéj sprawy, potwierdzoną przez baszę; powiemy, że tu w Tangierze czeka kommissya lekarska sprowadzona przez santurona z Europy, i liczy sobie dziennie po 10 funt. szt. szkody, za sprawiony zawód, czekając jak najniecierpliwiéj odpowiedzi. Każda kwestya mogąca być zredukowaną do pieniędzy, jest prostą i jasną, skoro jest protegowaną przez flagę Wielkiéj Brytanii. Moi panowie, proszę na obiad.

Oh, dziwna loiko angielska! mało w tobie poezyi i niewiele czucia, ale wiele tego, co dziś jeszcze nazywamy rozumem.

* * *

Przeszła i noc druga na gruncie Afryki, dość podobna do piérwszéj. Budzi nas znów dragoman z prośbą, żebyśmy przyszli odwiedzić jego nizką strzechę, i pocieszyć nieutuloną Aily, a zarazem poradzić jéj dziecku, które bardzo chore i nie pożyje zdaje się długo.

Mieszkał w rynku ów dobry Ismaił; handel miał bławatny, zarządzany przez ojca swéj mahometańskiéj żony. Sklep wychodził na rynek, niepozorny, ale piękne zawiérający towary. Ze sklepu wchodziło się kilkoma stopniami do pokoiku wcale ozdobnego. Tu nas przyjął dragoman kawą i fajkami, i prosił, byśmy wypoczęli. —Oto syn z méj piérwszéj żony, z żydówki—przemówił Ismaił wskazując na ładnego i dobrze ubranego ośmioletniego chłopaka. To piérwsze me dziecko i jedyne, co przy życiu pozostało; dziewięcioro innych straciłem. Allah nie błogosławi memu plemieniu, i o tego się obawiam życie.

— A to znowu czemu? przecież chłopak doskonale wygląda— spytał Al-Hamilt-Bey.

— No, cóż z tego, kiedy go moje nowe dwie żony ścierpieć nie mogą; gotowe go struć przy pierwszéj sposobności—odrzekł Ismail drapiąc się w brodę.

— A to masz piękne jakieś dobrodziejki za żony? Struć? a to dobre! Przecież musi być jakaś kara za taką zbrodnię?

— Jest na to kara śmierci. I cóż mi z tego przyjdzie? sam sobie szkodę wyrządzę, oddając sądom mą żonę. Każda z nich wiele mnie kosztuje pieniędzy. W haremach dziwne się dzieją rzeczy, bardzo dziwne. Z dziesięciu dzieci, ledwo jedno dorośnie; i to dorosłszy jeszcze jest w niebezpieczeństwie. Nieraz ojciec własny dusić każe swe dzieci, zwalczony namowami jakiéj nowéj ulubienicy. Okropne się nieraz dzieją rzeczy w haremach, okropne! Kto może wiedzieć, ile w nich dusz mieszka, a ile z nich znika? Harem jest jedynem miejscem, które nikt zgwałcić nie śmie, nawet sam cesarz; tam wieczna tajemnica, tam wieczne intrygi! Oh! żal mi mojego syna, bo wiem, że go moje żony niecierpią.

— A czemuż go puszczasz do haremu twego?—spytał Al-Hamilt-Bey.

— Cóż ja mam robić? jeśli go nie będę chować w domu i uczyć w domu, to go muszę posyłać do szkoły do Imanów, a oni go wnet nauczą nienawidzieć swego ojca jako psa żyda: bo oni nie zapomną nigdy żem był Izraelitą, choć dużo wydałem *szekielów* za me przyjęcie do Moslemów. A trzymać go nie mogę wiecznie w téj komnacie: muszę mu pozwolić bawić się na dziedzińcu, gdzie w ciągłéj jest styczności z memi żonami i niewolnicami.

Ismail dał nam dowód wielkiego zaufania: wprowadził nas do swego haremu, przygotowawszy wprzódy jego mieszkańców na nasze przyjęcie. Niewielki, marmurowemi tallami wyłożony dziedziniec, przedzielał harem od frontowéj części budynku. W środku igrała fontanna, pomarańczowe drzewa, laurowe i cyprysy, zdobiły ten dziedziniec, z trzech stron otoczony krużgankiem. W jednym z kątów stała budka, a w niéj czuwał jak Argus młody Murzyn z rodzaju tych dobrych ludzi, którzy w Rzymie śpiewają dyszkantem. Po kilku stopniach wchodziło się do przedsionku, służącego za salę jadalną: po obu jego stronach dwa małe pokoiki z kamiennemi wannami. Znów po kilku stopniach weszliśmy do przedpokoju dość szerokiego, ale niegłębokiego. Kurtyna adamaszkowa przedzielała go na dwie nierówne części; światło wpadało z okien umieszczonych na dachu.

Ismail dał nam znak, byśmy wstępowali ostrożnie, i pocichu odsłonił kurtynę. Na ziemi pokrytéj dywanikiem siedziała biédna Aily, z swém dzieckiem na kolanach i w ubiorze swego kraju: z sznurkiem fałszywych pereł na szyi i w rodzaju spódniczki, do kolan niedochodzącéj. Fartuszek z muślinu miała zarzucony na barkach. Zoczywszy nas chciała wstać, ale ją Hamilt-Bey wstrzymał. Późniéj jakimś wszystkim nam nieznanym językiem, ale gestami wszystkim zrozumiałemi opowiadała, że dziecko jéj cierpi, że umiera, że ssać nie chce.

Któż zdoła opisać boleść téj biednéj matki? Uczucie macierzyńskie wszędzie jest jednakiém, wielkiém i poszanowanie wzbudzającém. Kto wié? może to uczucie potężniejsze jest w dzieciach natury, jak w owych córkach wykwintnéj cywilizacyi, które dla zabezpieczenia swemu płodowi dobrego zdrowia, powierzają go najemniczym piersiom!

Ona już łez nie miała! Wyschły ich źródła już oddawna; ileż to boleści nie kołatało o to biedne, a tak młode serce!

Dziecko biednéj Aily umierało z wycieńczenia. Hamilt-Bey dał kilka piastrów na zakupienie mleka i kazał w nim kąpać małego mulata. Matce zaś oznajmił we wszystkich znanych mu narzeczach Wschodu, że najdaléj za miesiąc odwiezie ją do jéj kraju, na łąki Nubii, i odda rodzicom. Zdaje się że Aily pojęła, gdyż z radości rzewnemi się łzami zalała, i padła do nóg swemu dobroczyńcy.

— Daléj Ismail, przypuść nas przed dostojne oblicze twych szanownych żon—rzecze Hamilt-Bey.

— Piérwszyto raz noga mężczyzny postała w mym haremie; nawet ojciec méj maurytańskiéj żony nigdy tu nie był: ale panom odmówić nie mogę—odpowiedział Ismail i wprowadził nas do dość obszernéj sali, wybitéj kobiercami w kraju tkanemi, i oświetlonéj oknami w suficie umieszczonemi. Tutaj na poduszkach w głębi sali siedziały dwie kobiety świetnie ubrane i haftowały: jedna na tamborku, druga na krosienkach. Obie po naszém wnijściu zasłoniły twarze bardzo przezroczystym kwefem, i przywitały nas z pewną gracyą, składając ręce na piersiach, ale nie wstając z swych poduszek.

Ismail przemówił słów kilka do swych żon, a one odsłoniły kwefy i spoglądały na nas z wielką ciekawością, nawet z kokieteryą.

— Moje żony piękno są jak gwiazdy na firmamencie, choć już nie piérwszéj młodości, choć każda po kilkoro dzieci miała. Ale Allah błogosławi im widocznie; co straciły na latach, to zyskały

na tuszy. Dziś jeszcze tyle są warte, ile były warte lat temu pięć, kiedy się ich wdzięki rozwijać zaczęły—rzekł z dumą dragoman.

Kobiety te ładne były istotnie. Maurytanka biała jak alabaster, świetniała rumieńcem delikatnym, jak kolor róży. Oczy jéj wielkie, brunatne, pełne łagodności, wlepiły się na nas z wyrazem niepowściągnionego zadowolenia. Zawój biały i różowy gustownie zawiązany, spływał na barki, a gors trzymany w skupieniu sznurówką, na przodzie spiętą, wydzierał się w pełnéj plastyczności zpod cisnącego jarzma. Kaftan w arabeski wyszywany różowy, dochodził prawie do kolan, spodnica biała do połowy nóg, a białe atłasowe spodnie spadały do kostek. Na malutkich białych nogach tkwiły amarantowe, złotem wyszywane papucie.

Druga żona dragomana, córka mulatki i renegata Włocha, cery mocno śniadéj, kolosalnego była wzrostu, strzelała bystrém okiem, i w rysach swych zresztą pięknych miała coś złośliwego, wyzywającego. Pełna gracya siły, wyjawiała się w każdym ruchu, w każdém spojrzeniu. Ubraną była cała w bieli, prócz zawoju purpurowego, takichże spodni i szalu przepasującego jéj mocną, ale wysmukłą i giętką kibić.

— Oh sennores! — rzecze Ismail — przypatrzcie się dobrze téj niewieście, bo zaprawdę ręczę wam, że nigdy nie ujrzycie nic piękniejszego od niéj. Ah! to istna lwica atlantycka! Patrzcie jaki wzrost, jaka siła w barkach, jaki ogień w oczach, jaka wściekłość w nozdrzach! A była dość niepozorna, kiedym się z nią żenił. Jéj ojciec Genueńczyk, korsarz, pijak i kontrabandzista, uciekł przed długami z Genui, wyrzekł się swéj wiary tutaj w Tangierze, i zadłużył się u mnie i założył mały handelek. Ale pił ciągle, choć przysiągł, że pić nie będzie. Ja się spostrzegłem, że córka jego spłodzona z mulatki etyopskiéj, będzie piękną jak lwica; więc prośbami, groźbami, intrygą i namową, winem i wódką tak dobrze władać umiałem, że mi ją stary grzesznik oddał za żonę, kiedy miała zaledwie lat dwanaście. Ośm lat z nią żyję, i u mnie tak wyładniała, jak cedr z Libanu. Co to za szkoda, że jest moją żoną: wieczna szkoda! Wolałbym żeby była moją niewolnicą; sprzedałbym ją za bardzo drogie pieniądze królewiczowi, który lubi zapamiętale tego rodzaju piękności. Dostałbym z 50 worków *szekielów* (120000 złp.) za nią; bismillah! dostałbym. A teraz mam ją za żonę i drżéć muszę nieraz przed nią, bo wściekła jak tygrys i mocna jak lwica, a zawsze do boju gotowa. Ona mnie już nieraz zabić obiecała i może raz dotrzyma słowa! Mego rzezańca już nieraz powaliła o ziemię. Oh Allah! jakie utrapienie!

Zulema zdaje się odgadywała co jéj mąż o niéj prawił: wstała i wolnym, grożącym krokiem ku niemu postępowała. Doprawdy Minerwa piękniejszą nie była! Renegat cofnął się kilka kroków w tył, a ona gorzko się śmiejąc, na nas spojrzała smutno, kiwając głową, jakby powiedzieć chciała; „Patrzcie! dla takiéj jak ja kobiety, taki mąż!"

* * *

Trudno widzieć coś równie pstrego kolorem twarzy i ubrania, jak jest ludność miasta maurytańskiego. Ludność ta składa się istotnie z różnorodnych, częścią nawet sobie nieprzyjaznych żywiołów, jakoto: z Maurów, Arabów, Berberów, Kabylów, żydów i Negrów.

Maurowie (1) stanowią największą i najoświeceńszą część ludności. Mieszkają prawie wyłącznie w miastach, piastują wszystkie wysokie urzędy i panują nad krajem. Oni jedynie wchodzą z Europejczykami w styczność.

(1) W najnowszéj pracy o państwie marokańskiém, wyszłéj lat temu trzy w Madrycie, pod tytułem: *Guia del ufficial viajando en el Imperio del Maroc, por Don Seraphin de Calderon,* autor daje następujący wykaz ludności:

Królestwo Fezu	3,200,000 mieszk.	na 9,853 mil geog. □.	
— Maroko	3,600,000 —	5,700 —	
— Tafiletu i Segelmezy	700,000 —	5,184 —	
— Adrar, Suza i Te	1,000,000 —	5,633 —	
ze wszystkiém	8,500,000 mieszk.	na 24,370 mil geog. □.	
czyli	340 mieszk.	na jednę milę geog. □,	

nie wliczając w to puszczy, na któréj nikt mieszkać i nic się rodzić nie może.

Ludność tu mniejsza jest jeszcze jak ludność Andaluzyi i prowincyj: Algieru, Tunis, Tripolis, Turcyi i Egiptu.

Ludność państwa marokańskiego oceniona według ras, języka i pochodzenia, następujący przedstawia stosunek:

Maurów (czyli Arabów mieszanych)	jest 3,550,000.
Arabów czystych (czyli Beduinów izraelickich	— 740,000.
Berberów (czyli Tuaryków)	— 2,300,000.
Kabylów (czyli Amazingów, Szellów i Suzów)	— 1,450,000.
Żydów	— 339,500.
Murzynów Sudanu, Madingu i Felanów	— 1,200,000.
Chrześcian Europejczyków	— 300.
Renegatów, którzy się wyparli Chrystusa	— 200.

Pan Gräberg de Hemsö dawny konsul szwedzki w państwie marokańskiém ogłosił prawie jednocześnie z Donem Seraffnem de Calderon swe drugie dzieło o Maroko, i podaje wykaz ludności nadzwyczajnie szczegółowy i bardzo zbliżony do wykazu tutaj umieszczonego.

Arabowie mieszkają częścią w namiotach, częścią we wsiach. Mieszkańcy namiotów są prawdziwym koczującym narodem; przebywają na rozległych płaszczyznach wnętrza kraju, i mało zależą od swego sułtana, którego prawie tylko *pro forma* uznają. Jako głowie duchownéj, płacą mu jednakże daninę. Opuszczając jedno miejsce już spasione, dla drugiego w pastwiska obfitszego, opłacają się sułtanowi lub jego paszy. Wszystka bowiem ziemia należy do panującego.

Plemieniem najdzikszém są Berbery. Sąto podług wszelkiego prawdopodobieństwa potomkowie pierwotnych mieszkańców kraju, Numidyjczyków. Największa część żyje w górach i lasach, i trudni się więcéj łowami, rybołostwem i rabunkiem, jak rolnictwem. Tych Maurowie i Araby nazywają Kabailami, czyli Kabylami i nie cierpią jak czartów. Dziki ten, choć tak starożytny szczep, słabe ma wyobrażenie o bóstwie, i nie obserwuje, prócz kilku zabobonnych form, żadnego stałego wyznania religijnego. Niemało tych Kabailów około Tangieru na skalistych odnogach, które Atlas do morza wysyła. Kabailowie ci korzystając z popłochu panującego w Tangierze, w chwili kiedy go Francuzi w r. 1844 bombardowali, i widząc syna cesarskiego uciekającego z wojskiem zaraz po piérwszym wystrzale, wpadli do miasta i chcieli je złupić. Ale pasza gubernator, zebrał orszak nieliczny swych wiernych, uderzył na rabusiów, kilku z nich własną ręką zabił, i tak zachował Tangier od nieszczęścia, któremu uległ w tych samych okolicznościach Mogador.

Inni Berberowie trudniący się hodowaniem bydła, mniéj dzikiego są usposobienia, i cokolwiek więcéj mają oświaty i sumienia. Nazywają ich tutaj Amazirgami.

Żydzi mieszkają w miastach, i oddają się łatwiejszym rzemiosłom i szacherce. Czynniejszemi są i przemyślniejszemi jak Maurowie, i dlatego stają się niezbędnie potrzebnemi w tym kraju, choć ich każdy nienawidzi, i choć wszyscy, murzyni nawet, niemi pogardzają.

Murzyni po większéj części są niewolnikami, używanemi za ogrodników i do straży haremu. By ich uzdolnić do służby odalisek, Maurowie robią to samo z murzynami, co Rzymianie z dziećmi przeznaczonemi na dyszkantów, a co wszędzie robią z młodemi kogutami przeznaczonemi na kąpłonów. Murzynów rosłych, pięknych i z wierności znanych, pozostawiają w stanie naturalnym, i obracają ich do służby stajennéj. Wielką ich część

cesarz zakupuje do swéj przybocznéj gwardyi, tak świetnéj, pysznie uzbrojonéj i ubranéj jak trudno widzieć coś podobnego. Jest jéj jeszcze 6,000.

Jest także wielu murzynów wolnych i trudniących się handlem i rzemiosłami. Sąto w ogólności bardzo rzetelni, zgodni i zręczni ludzie. Poznamy później dobrego Abu-Maleka.

Hamilton-Bey nie chciał się puszczać do Maroko, przed odebraniem pewności, że syn cesarski znajduje się w tém mieście, i przed uzyskaniem firmanu z własnoręcznym podpisem księcia. Postanowiliśmy tymczasem zwiedzić miejsca niezbyt oddalone od Tangieru, mianowicie Tetuan.

Tetuan leży na wschód od Tangieru, w odległości 10 mil geog. Pasza dodał nam do straży jednego ze swych najwierniejszych oficerów. Byłto piękny, choć prawie już sędziwy człowiek. Jechał na czele naszéj karawany na dzielnym siwku arabskim, z długą białą grzywą, i z długim białym ogonem, którego końce farbowane były koszenillą na purpurowy kolor. Na głowie miał owę wysoką, czerwoną czapkę żołnierską, a około niéj zawój z białego czystego muślinu. Haik otaczał jego piersi, a na nim powiewał rodzaj burnusu niebieskiego, zwany *sulkam*. Nagie nogi tkwiły w żółtych pantoflach, do których przysznurowane były rzemieniem ostrogi, z kolcami na pół stopy długiemi. Uzbrojony był w pałasz, puginał, i parę pistoletów; przytém miał długą bardzo strzelbę w czerwonym futerale, na poprzek siodła przytwierdzoną.

Zabraliśmy z sobą także prócz żywności i rzeczy, żyda, służyć nam mającego za tłumacza. Leżał on na koniu jucznym jak worek żywności; siadać bowiem na konia niewolno żydowi; byłobyto zbezcześcić to szlachetne zwierzę, które Maurowie tak wysoko cenią. Lecz zabrać żyda i włożyć go jako pakunek na jucznego konia, to wolno; żyd wtenczas jest uważanym jako rzecz, i jako takowa nie uwłacza honorowi konia.

Na mule lub ośle wolno jeździć żydowi, aleśmy ani jednego, ani drugiego tą razą nie mieli. Biedny żyd musiał tedy pozostać rozciągnięty na pakunkach, dźwiganych przez niezmiernie jucznego konia. Niewolno też żydowi nosić żadnéj broni pod żadnym pozorem. Nasz żyd ani się chciał dotknąć fuzyi, którą mu podałem do trzymania. „Nie jestem godzien tego zaszczytu" odpowiedział i przywołał Maura, aby go wyręczył. Biédny Mosiek! był on przecież dobrym, rzetelnym człowiekiem.

Takieto upokorzenia znoszą żydzi we wszystkich krajach bisurmańskich, i chętnie je znoszą, byleby im tylko wolno było w nich żyć i szachrować. Rany zadawane honorowi, ciosy znoszone na ciele, odbijają sobie na kieszeniach swych panów. Pewien obrządek religijny, który ich, co do ciała przynajmniéj, podobnemi czyni do wyznawców islamizmu, i inne wspólne obu religiom artykuły wiary, nie nadają im żadnego tytułu do współczucia dumnych Maurów, którzy nawet nawróconego do islamizmu żyda, ledwie w czwartéj lub piątéj generacyi za brata swego i to jeszcze bardzo niechętnie uznają.

Było nas wszystkich ze dwadzieścia osób w karawanie; towarzyszyło nam bowiem kilku Anglików i innych podróżnych w wycieczce; nawet trzech rodowitych Maurów z swemi sługami przyłączyło się do nas przed bramą miasta, chcąc korzystać z naszéj eskorty. Oficerowi przykazał basza jak najuroczyściéj, żeby nas jeszcze tego wieczora dostawił do Tetuan. Byłato uciążliwa podróż. Małe nasze koniki nurzały się aż po piersi w błotach, których pełno było w dolinie poprzedzającéj górzystą okolicę. W parowach natrafialiśmy tu i owdzie na małe wsie czyli *duary*. Składały się po największéj części z lepianek pokrytych wrzosem lub trzciną, a opartych z jednéj strony o spadzistą ścianę skały lub opoki. Niektóre tylko otoczone były ogródkiem. Prócz aloesów i fig indyjskich dziko rosnących, nie widzieliśmy innego drzewa. Pola zasiane były tutaj ryżem, tam jęczmieniem. Kilka nagich jak robaki dzieci igrało przed lepiankami, a chmary bocianów i flamingów bujały w powietrzu. I tu także uważa je lud za święte ptaki, i dozwala im gnieździć się na dachach.

Włościanie arabscy spotykający nas witali naszego Kapudi z wielką uprzejmością. Niektórzy całowali go w brzeg haika, inni w rękę. Niektórym sam Kapudi podawał rękę, lub ją kładł na swém sercu na znak serdecznego współczucia, które w nim wzbudza los witającego bliźniego. Maur wiele dba o godność i etykietę, i objawia to nieraz ceremoniami dość śmiesznemi. Gdy się dwóch krewnych lub dobrych przyjaciół spotka, wówczas jeden rzuca się drugiemu na szyję, całują się w twarz i brodę, i szturmują się niezliczoném mnóstwem pytań, na których odpowiedzi ani oczekują, ani też nie słyszą.

Obiadowaliśmy nad brzegiem strumyka. Maurowie osobno usiedli wkółko na piętach, my Europejczycy legliśmy na murawie

około naszego kosza z żywnością; biédny żyd ze swoim dworem usiadł na stronie. Chléb nasz zamókł. Spostrzegł to Kapudi i ofiarował nam część swego, rodzaj podpłomyka tłustego, niekwaszonego i niebardzo smacznego. Żydowi nawet raczył ofiarować z odrzucającą godnością kawał swego chleba. Od nas przyjął daktyle, figi i orzechy tureckie, ale nie chciał przyjąć ani mięsa wędzonego, ani wina. „Prawo mi to wzbrania" odrzekł kładąc rękę na sercu. Byłto bogobojny Maur. Nie wszyscy są tak skrupulatni w obserwowaniu religijnych przepisów.

Odkiełznano konie i własnemu je powierzono przemysłowi. Same się pasły, potém napoiły, a późniéj na zawołanie przyszły i dały się okiełznać.

Teraz droga wiła się między wysokiemi górami, gdzie napół dzicy Berberzy mieszkają w niedostępnych lasach, niezawsze w chatach, najczęściéj w jaskiniach, a nawet w spróchniałych pniach drzewa. Ci się żywią z łowów i z łupu, i niejeden podróżny legł ofiarą ich chciwości i zbójeckiego instynktu.

Nasz oficer maurytański przysznurował mocniéj swe ostrogi dotychczas o szerokie strzemiona brzęczące, i wyciągnął strzelbę z czerwonego futerału. Wkrótce spotkaliśmy kilku ludzi istotnie bardzo dziko wyglądających. Byłito Berberzy. Żadnego nie mieli turbanu ani pokrycia na głowie; włosy nosili krótkie, brudnobrunatne, najeżone; żadnego haiku ani spodni, tylko rodzaj koszuli krótkiéj i do ciała przylegającéj z grubego ciemnego sukna. Ale uzbrojeni byli w dobre dubeltówki z pistonami, a nie w owe długie, pojedyncze fuzye ze skałką, których Maurowie zarzucić nie chcą.

Nie witali oni naszego Kapudi, srodze na nich spoglądającego. Mówili pomiędzy sobą dziko brzmiącym, Maurom, Arabom, żydowi i nam niezrozumiałym językiem. Nieraz basza tetuański wysyła przeciw tym góralom swych żołnierzy, by ukrócić ich zuchwałość; ale zawsze napróżno. Berberzy ustępują w wyższe góry, rażą żołnierzy z jaskiń i z wierzchołków drzew, a ci powracają pobici i nie zadawszy Kabailom żadnéj klęski.

W pośrodku gór i prawie na połowie drogi z Tangieru do Tetuanu, leży rodzaj dworcu czyli karawanseraju obronnego, zwanego w krajowym języku Fondak. Już zdaleka zoczyć go można, wystawiono go bowiem na podnóżu góry, w miejscu, gdzie las jest daleko rzadszym. Maurowie podróżujący z Tetuanu do Tangieru z towarami, nocują w tym dworcu. Z drugiéj

strony Fondaku, droga prowadzi w żyzną dolinę, a zpoza niéj wyziera łańcuch gór spadzistych, na podnóżu których leży Tetuan. Jestto odnoga małego Atlasu; wierzchołki jéj pokryte wiecznym śniegiem, a podnóże najbujniejszą wegetacyą. Kształtem swym góry te podobne do szwajcarskich Alp.

Miasto Tetuan rozciąga się na wielkiéj przestrzeni. Mury jego obronne są redutami, z których tu i owdzie wyzierają groźnie żelazne armaty. Niewinneć to bawidła w rękach Maurów; a jeśli są niebezpieczne, to chyba dla tych, co z nich strzelają.

Tetuan liczy 25,000 mieszkańców, i najważniejszém jest miejscem handlowém po mieście stołecznem Fez. Tetuan leży o półtoréj mili od morza Śródziemnego, tuż blizko rzeki zwanéj Marthin, tworzącéj jego przystań. Ale smutnato przystań; tak zasypana piaskiem, że ledwie łódź przejść może.

W przeszłém stuleciu Tetuan był jeszcze miejscem rezydencyi konsulów europejskich, ale cesarz marokański powodowany nie wiem jaką drobnostkową okolicznością, zakazał od jednego razu chrześcianom pobytu w Tetuan. Dwadzieścia lat trwał ten zakaz, i przez ten czas żaden chrześcianin nie przestąpił wrót miasta.

Dziś jeszcze żadnemu chrześcianinowi niewolno tam zostać obywatelem, czyli raczéj osiedlić się; gdyż o prawach obywatelskich ani może być mowa w państwie marokańskiém.

Słońce już dobrze zbliżyło się ku zachodowi, gdyśmy ujrzeli Tetuan, a jeszcze mieliśmy milę drogi przed sobą. Kapudi wyciągnął różaniec i zaczął modlić się nabożnie.

Pytaliśmy go, czemu się tak rzewnie modli; a on odpowiedział: „Allah jest wielkim! ja jego przebłagać muszę, że wam, Nazareńczykom, służę za przewodnika w chwili, kiedy wszyscy wierni zgromadzeni są w meczecie. Zobowiązałem się jednakże przyprowadzić was do miasta jeszcze tego wieczora. Bóg kieruje losami ludzkiemi.“

— Bóg ci nie porachuje tego grzechu—rzekliśmy.

— Któż wiedzieć może—odpowiedział Kapudi—co nam będzie za grzéch poczytaném? Wy Nazareńczycy najmniéj o tém sądzić możecie.—Wy sobie tworzycie wasz sąd i raj już na tym świecie; ale tam, wysoko, gdzie on nas czeka, tam go mieć nie będziecie.

Przy takiém pojęciu religii nic naruszyć nie zdoła dumy mahometanina, ani nawet uznanie wyższości umysłowéj w chrześcianach.

Ale pocóż szukać w zwolennikach Mahometa téj dumy? Fałszywe pojęcie religii wyradza ją nawet u chrześcian, i to tak często, że bigoterya służy najczęściéj na pokrycie próżni w głowie naszym dewotkom, i dewotom nawet. Takjest, próżni w głowie, i złości w sercu.

Stanąwszy przed bramami, musieliśmy wysłać naszego przewódzcę do baszy dla zapytania go, czy nam wolno będzie wejść do miasta. Nie jestto próżną formą. Niedawno Francuz jeden po sześciodniowéj podróży, stanął przed bramami Maroko, i prosił, nie opatrzywszy się wprzódy w firman, o pozwolenie wejścia. Żądano od niego daniny do 700 złp. wynoszącéj. Téj złożyć nie chciał, i powrócić musiał do Tangieru.

Przed miastem, niedaleko od drogi, Arabowie założyli obóz. Namioty ich składały się częścią z derek tkanych z włosia wielbłądziego, częścią z liści palmowych podpartych grubą i lekką trzciną. Szerokie, nizkie i długie, miały kształt wielkiéj przewróconéj łodzi. Także na czarno były umalowane smołą.

Nareszcie nadeszła od baszy odpowiedź: „Allah niech was broni! Cieszy mię, że w mojém mieście spocząć chcecie."

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOBIE ŚPIEWAM, NIE KOMU.

Szła pieśń wędrowna, brzmiące słowo Boże,
Przez chłód światowy, w wieczność ku grobowi....
Rzadki przechodzień rzucił jéj grosz wdowi,
A nikt jéj nie rzekł: „pójdź, serce-ć otworzę."
O pieśni moja! ty wiosno majowa!
Wróć w pierś, jak byłaś, niech cię chłód nie studzi,
Wszystkiegoć chciałem dla Boga, dla ludzi,
A nic dla siebie, krom dobrego słowa.

* * *

O pieśni moja! przebrzmieć tobie próżno.....
O myśli moja! zmierzchnąć tobie w ciemni;
Światu niech pieją ptaszkowie nikczemni.
Myśl, tułacz biédny, nie styje jałmużną,
I światło Boże nie zagra z świecideł,
Ni w mętach kału, wśród burzy ostoja....
A w pieśni mojéj, wszystka dusza moja!
A w myśli mojéj, wszystek lot mych skrzydeł!

* * *

Grzmieć, albo nie żyć! duch tchnie gdzie mu gwoli....
Niepokój wieczny, gdy go rozkoleba,
W niebie chciał ziemi, na ziemi chce nieba,
Wzrok mu, wzrok orli, lot mu, lot sokoli.
I w słońce wtary pojrzy bez zmrużenia,
I nie ma jemu krańca wśród przestrzeni,
I za to chwałą skroń jego promieni,
Chléb mu powszedni w słowo-pieśń się zmienia.

* * *

Co z Boga wyszło, do niegoż powróci,
Co wyszło z piersi, łacno w pierś utonie:
W Bogu jest ducha wesele, a w łonie,
Pieśni wesele, wolne ziemskiéj chuci.

I byle w piersi ciepła dość, i bylem
Dał jéj dość światła, co w niéj życie wznieci,
Jak gąsienica zamrze w własnéj sieci,
By wprędce krasnym zmartwychwstać motylem.

* * *

I wziąłem w siebie pieśń moję, lecz oto
Duch mój, w ślad za nią, wrócić chce do Boga.
Nie przeżyć pieśni! O śmierci zbyt sroga,
Wiedź mnie w niepamięć... za nieba tęsknotą.
Więc pieśni moja! przebrzmieć ci niebogo....
Więc myśli moja! zmartwieć tobie w grobie...
Bo nie żyć piewcy, co śpiewa sam sobie,
Bo nie brzmieć pieśni, co brzmi dla nikogo!

W Sieku, 1851.

Felicyan.

WYSTAWA POWSZECHNA

W LONDYNIE.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

Londyn, 18 *maja* 1851.

I.

Znaczenie wystawy — Inauguracya pałacu. — Jego budowa. — Piérwsze wrażenie. — Rozklassyfikowanie wystawy na narody. — Ich porównanie i przegląd pobieżny. — Dzieła sztuki.

Jak w życiu indywiduów, tak i w życiu narodów są chwile uroczyste refleksyi, zebrania, skupienia sił nowych rozrzuconych w czasie i miejscu; zestrzelenia w jedno ognisko promieni ciepła, które po nich krąży, i światła, które ich wnętrze rozjaśnia. Te wielkie jubileusze widne zdala jako drogoskazy, którędy idzie duch ludzki, w starożytności wyznaczano prawem: co rok, co trzy lata, co siedm lat, stanowiąc, iż one być mają peryodyczną rocznicą cywilizacyi, niejako obejrzeniem się jéj poza siebie, świadectwem które sobie daje, epoką uroczystego ukorzenia się ludzkości przed ową tajemniczą potęgą, która ją prowadzi ku światłu wiekuistemu. W naszych czasach, w epoce ciągłego rozłamywania się korporacyj na indywidua, kiedy prawo nie może już sprostać określeniu wszystkich pulsów naszego życia, i z każdym dniem ustępuje coraz bardziéj zwyczajom i umowom; w naszych czasach chwile podobnego zebrania leżą w naturze rzeczy i wychodzą same z siebie, bo są konieczne, konieczniejsze niż dawniéj, bo bez nich gieniusz ludzki rozdrobniony na miliony strumyków, zapomniałby o sobie i stracił nić wiążącą; bo one mu wytykają kierunek przeznaczenia, tłumaczą przeszłość i dają pewniejszą rękojmią na dni jutrzejsze. Nie wywołuje ich rachuba, poli-

tyka, ani przezorność prawodawcy, lecz wola Boża; ona tym uroczystościom naznacza czas, miejsce i charakter. Zesłane przez nią, zostają nazawsze w rocznikach świata, i świecą jako lampy nadmorskie żeglarzowi, szukającemu ścieszki na oceanie dziejów; jako pojedyncze konkluzye tego rozumowania wielkiego, przez które logika Opatrzności myśl swą prowadzi. I dlatego takie chwile mają szatę zacności i świętości, przed którą upada sceptycyzm i ironia naszego wieku. Rzecz bowiem godna uwagi: w dniach takich jak nasze, kiedy dowcip nieraz lepiéj popłaca, niż rozum i uczucie, kiedy śmieszność jest straszliwszą często bronią, niźli prawda, kiedy nam się nic a przynajmniéj niewiele zostało, czegoby humor nie nadszarpał: żaden dziennik nie zażartował ze znaczenia i ducha wystawy powszechnéj. Żart był widocznie niepodobny.

Przyszła koléj na jubileusz wieku XIX, brzemiennego rewolucyami politycznemi, ale i postępem niezatrzymującym się nigdy. Pokój od lat trzydziestu pięciu panujący w większéj części Europy, zmienił sferę działalności ludzkiéj. Narody nie walczyły z sobą, ale z przeszkodami, które napotykały na drodze do szczęścia wszystkich. Historya świata w ciągu téj epoki, mało liczy zwycięztw okupionych krwią; ale za to każdy jéj rok, każdy prawie miesiąc, jaśnieje nowym tryumfem intelligencyi, nowym zyskiem powszechnego dobra. Wypowiedziano bój wszystkim nieszczęściom, które dręczą ród ludzki:—nędzy, ciemnocie i złości. Walka to długa, nie my jéj koniec obaczymy; lecz choć były zawody, były i będą ofiary: ostatnia karta niewątpliwa. Wielka armia walczących rozrzucona jest po całym globie. Jeden jéj oddział, tojest ludzie przemysłowi, w umówionym dniu stanął w jednéj falandze, wywiesił sztandar i zebrał się na radę, aby uczcić zwycięztwa dotąd odniesione, obliczyć i porównać swe szeregi, poznać się wzajemnie i wzajemnie się uczyć. „Błogosław Boże—mówi pieśń wystawy w trzydziestu językach—braciom, których praca połączyła", błogosław, dodam, téj świętéj gołębicy, którą przyszłość z arki swéj wypuściła dla zwiastowania ludziom pokoju, i zapowiedzi świetniejszych, walniejszych jeszcze jubileuszów!

Lecz gdzież się miał odbyć ten piérwszy sobor, jeśli nie w stolicy kraju, który góruje filantropią, a przemysłem panuje na całym świecie. Londyn mógł mieć tylko dwóch współzawodników, tojest Nowy-York i Paryż. Ale Ameryka aczkolwiek wielka i wielką ma przyszłość, jeszcze jest dziecięciem, które przy-

pomina, że ją Europa wyrwała przed trzema wiekami z barbarzyństwa: jeszcze żyje ruchem i inicyatywą starego świata; Francya zaś, ojczyzna gustu i zabawy, przemysłem mieszkańców i bogactwem kraju, ustępuje Anglii. Ktokolwiek statkiem parowym odbył drogę z Herne-Bay do Greenwich, a ztąd do Westminster-Bridge, i rzucił wzrok na prawo i na lewo, zmierzył nieskończone lasy masztów, niezliczone rzędy kominów fabrycznych, i przypatrzył się potwornemu ruchowi, jaki panuje w dockach londyńskich, ten zgodzi się ze mną, że Londyn jest stolicą pracy całego świata, a zatém i handlu. Życie jest wszędzie, ale serce, rozsyłające krew po całém ciele, jest tutaj. Tu się ostatecznie odbija, poczyna i kończy działalność ludzkości; tu ze wszystkich stron spływa złoto, którego w dzisiejszém społeczeństwie użyto jako najkrótsze i najprostsze wyrażenie czynności człowieka. Tu ono przemienia się, przerabia, miesza i wypływa napowrót w cztery strony świata. Nigdzie tak mocno i tak wytrwale jak w Londynie nie jest wytężona intelligencya dla rozwiązania ważnych zagadnień; nigdzie tak silnie jak tutaj interes prywatny nie spaja się z interesem publicznym, któremu czyniąc ofiary, nową podnietę życia sobie samemu dodaje; nigdzie wartość wynalazku nie znajduje prędszych sędziów; nigdzie praca ludzka nie ma większéj wagi; nigdzie czas nie jest więcéj szacowany; nigdzie umowy jakiebądź nie załatwiają się szybciéj, prościéj, z regularnością więcéj mechaniczną; nigdzie się nie napotyka tak mało owéj nierozsądnéj zazdrości, która przeszkadza i szczęśliwemu współzawodnikowi; nigdzie nie ma tak gorącéj emulacyi między pracującemi, i tak prędkiego korzystania, wydoskonalenia nowych wynalazków i budowania na nich nowych ulepszeń i odkryć; jedném słowem, nigdzie duch handlu, który u nas, bodaj czy nie jest synonimem nieprawego zysku, nie ma właściwszéj sobie cechy, tojest rzetelności, uczciwości, siły i energii. Zpośrodka więc tego niezmiernego bazaru, musiało wypaść hasło na piérwszy sobor XIXgo wieku, sobor przemysłowy. A jakież ono miało echo!—Największy wypadek nie zrobiłby równie mocnego i trwałego wrażenia.

Co jest najbardziéj uderzającém w tym fakcie, to niezawodnie chwila, z którą przyszedł. Spojrzmy wstecz na trzy lata dziejów Europy. Ile zamieszania, nieładu, przesileń, burzy; ile tronów zachwianych, zburzonych opinij, wymazanych wiar, zagrożonych i zdruzgotanych instytucyj? Zda się, że powietrze

zatrzęsło się i z niém myśl całego świata. Jeszcześmy nie przejrzeli przez tę kurzawę, którą zostawiły po sobie galopujące wypadki; jeszcze oko nasze nie może rozeznać drogi, na którą, jakby los nas rzucił mimo naszéj woli; jeszcze huczy burza i pluska bałwanami, zalewając dotychczasowe ścieszki ruchu ludzkiego, a świat podobny jest do morza, do którego wpadła ogromna skała i którego powierzchnia póty się kołysze, póki nowego przybytku za swego mieszkańca nie uzna i z nim zgodnego życia nie rozpocznie. Nigdzie pewności, nigdzie mocnego ukonstytuowania! Ze świtu, który dnieje we Francyi, jeszcze wschodu słońca na czas wróżyć nie można; Niemcy, owa ziemia myśli i spokoju marzyciela, szarpnąwszy się na niespodzianą wycieczkę w sferę czynów, dziwią się teraz sobie, i nie wiedzą, gdzie stoją, dokąd ich czas zaprowadził i zkąd daléj rozpocząć drogę. Dania, owa ziemia nieżyzna, lecz naród pracowity, zajęta wojną, zrujnowana wojną, ostatni grosz i ostatniego człowieka wydała na odzyskanie Szlezwigu i Holsztynu. Turcya, rozerwana powstaniem w Montenegro, Samos, rozruchem w Alepie, rewolucyą w Bośnii, zazdrosném okiem spogląda na wice-króla Egiptu. Grecya ze słabym rządem, dręczona tysiącami kleftów, których poskromić dotąd nie może. Włochy okryte ranami, zniszczone wojną; Szwajcarya szarpana intrygami; Hiszpania przywalona długami i niedość bezpieczna; Portugalia blizka bankructwa, z nieszanowaną konstytucyą i wojną domową w zarzewiu: oto obraz chaosu europejskiego. I w takiéj chwili, Anglia pewna siebie i jutra, ogłasza turnieje ludzi przemysłowych; buduje najśmielszą ze wszystkich budowę:—panteon ze szkła, i sprasza do niego narody, jeszcze zdyszałe walką i gonitwą ze swemi rządami.

Myślanoby, że ani jeden nie usłucha; tymczasem ani jeden nie chybił. Przed kilkunastoma dniami w ogromnym pałacu, kiedy przy huku dział i śpiewie kilkuset chórzystów, królowa stojąc obok tronu ogłosiła, złożywszy dzięki Najwyższemu Twórcy wszelkiéj wielkości, że wystawa jest otwartą; widziałem pośród tysięcy twarzy uderzonych majestatem chwili na wieki pamiętnéj, widziałem typy całego rodu ludzkiego: potomków Chama, Sema i Jafeta. Wszyscy tam byli: Europejczycy wszelkiego narodu i języka; Chińczyk z głową ogoloną i kosmykiem włosów, na wzór naszych Kozaków w warkocz z wstęgami splecionych; olbrzym Patagonii, karzeł lapoński, Negr z włosem kędzierzawym, Albinos z włosem białym, wyspiarz z Otaiti, mieszkaniec z Tombu-

ktu; cery białe, żółte, czerwone i czarne, wszystkie ludy i wszystkie ziemie przez swych delegowanych reprezentowane. W czasie największéj potęgi Rzym nie widział nic podobnego. Kiedy chciał podwyższyć orszakiem z całego świata tryumfy imperatorów, prokonsulowie przysyłali mu niewolników wszelkiéj rasy okutych w kajdany, na okrętach z czterech stron ówczesnego globu. Oni świadczyli o potędze miecza, ulegali jego przemocy. Lecz kto na dzisiejszém był zebraniu, przyszedł z własnéj woli; zbiegli się pielgrzymi, ochotnicy, nie dla podniesienia tryumfu miasta dumnego, ale dla zabrania miejsca przy bankiecie, który jest wspólny wszystkim, dla dotknięcia palcem owych cudów, które o wspólnéj świadczą sile, i dla potwierdzenia wielkiego faktu, tojest solidarności całéj rasy ludzkiéj, która jest początkiem cywilizacyi nowéj, spokojnéj i bogatéj w zwycięztwa człowieka nad naturą, a ubogiéj w klęski zadane ludziom przez ludzi.

To też wielkości chwili odpowiadała uroczystość inauguracyi. Rzecz zapewne zanadto znana, abym ją czytelnikom waszym opisywał, ale zanadto mocno w pamięci méj utkwiła, abym ją całkiem pominął. Podobnego zebrania, podobnego przepychu i majestatyczności nie było nigdy. Być może, iż większa część ludności, co nie mogąc dostać się do pałacu, zalegała wnijście jego dookoła, nie umiała sobie zdać sprawy z ważności wypadku; ale ulegając instynktowi, który ją ostrzegał, spieszyła na ten wielki obchód sił ludzkiego rozumu. Czytaliście szczegółowe opisy inauguracyi w dniu 1 maja. Niezliczone massy usadowiły się po niezmiernych przestrzeniach Hyde-Parku, lub jako mur ściśnięty stanęły po obu stronach drogi. Sąsiednie domy, balkony, okna, dachy, przepełnione były widzami. Ci, którzy nie mogli się dostać na miejsca pobliższe drogi, zajęli wzniesienia, z których wzrokiem można było dosięgnąć uroczystego orszaku, a wkrótce taki nastał ścisk, że najciekawszy widz choćby Herkulesowéj siły, krokiem naprzód postąpić nie mógł. Lecz co mnie najbardziéj uderzyło, to owe uczucie zadowolnienia na wszystkich twarzach, jakby przekonanie o wielkiém szczęściu tego wypadku, który się odbywał. Każdy się zgadzał ze swém położeniem; tłok, kurzawa, zmęczenie i inne drobne cierpienia, podobnym uroczystościom właściwe, nie mogły zniszczyć ogólnéj wesołości mass. Prawda, że i obraz, jaki się przedstawiał, był dość wspaniały, aby zapomnieć o sobie. Co za przepych, jakie bogactwa!

Tysiące karet herbownych, jakie tylko w Anglii widzieć można, ciągnionych przez wspaniałe rumaki, a na kozłach siedzieli woźnice upudrowani biało i w trójgraniastych kapeluszach. Poza pojazdami strzelcy straszni wzrostem, albo lokaje w kostiumach zeszłego wieku. Każden z nich trzymał laskę z gałką złotą lub srébrną; przy czerwonym fraku bogato wyszywanym, przypięty niezmierny bukiet, podobny do tych, z jakiemi śpiewaczki występują na koncerta. A owe ekwipaże złocone, malowane *al fresco*, z oknami w różne figury wyrzniętemi, z formą i ozdobami będącemi żywym anachronizmem; a owe stroje historyczne dygnitarzy, czerwone lub błękitne płaszcze, podbite gronostajem lub sobolem, wielkie białe peruki, złote łańcuchy i gwiazdy; owe tualety damskie wonne świeżością i gustem, połyskujące wszystkiemi promieniami słońca, obsypane perłami, dyamentami; ów zbiór kosztowności i bogactwa, świetności i jaskrawości uniformów: jakżeż to wszystko nie miało nęcić oczu patrzącego. Tylko czasami sceny innego rodzaju rozrywały uwagę; ciekawsi a niezadowolnieni ze stanowiska, wdrapywali się na drzewa chcąc korzystać z widoku na ten ocean głów ludzkich, rozlegający się tak daleko, że oko końca dosięgnąć nie mogło; lecz owi amatorowie pięknych widoków nie rachowali na policyą, a ta pospieszyła dopełnić obowiązku. Ztąd komiczne walki i gonitwy; pomnę, żeśmy wszyscy przypatrywali się zabawnéj scenie, jak policemen uganiał się za ulicznikiem, który przeskakując z drzewa na drzewo, zerwał się na skok śmiały, lecz gałęzi nie dosięgnął i spadł tryumfalnie na ziemię wśród hucznego śmiechu tysięcy ludzi. Taki zaś panował duch porządku, takie uczucie ważności pełniącego się faktu, że mimo ścisku miliona ludzi, mimo przejazdu przeszło dziesięciu tysięcy powozów, nie było żadnego nadużycia, nieporządku, zamieszania, chociaż w natłoku każdy ucierpiał.

I ja nie bez trudu i nie bez stłuczonych boków dostałem się do pałacu. Tutaj zmieniło się miejsce, ale nie zmienił się dramat: ileżto nóg zdeptanych, ściśniętych piersi, poszarpanych sukni, podartych szalów! Bo i ludzie świata, tojest ci, których stać było na zapłacenie trzech gwinei, mają łokcie tak twarde i pięści tak silne, jak owe tłumy, z których przed chwilą wydobyłem się. Nareszcie za ukazaniem karty, doręczono nam bilety oznaczające nasze stanowisko. Lecz jak je zdobyć? Wchodzimy, niéma czasu spojrzéć na pałac, każdy chce miéć piérwsze miejsce; damy również się spieszą, lecz większa część przyszła zapóźno; ławki i krzesła na dole i na galeryach od Otéj zajęte.

— Policemen! co znaczy na mojéj karcie nr. 10?

— To znaczy, że masz pan udać się do galeryi nr. 10.

— Gdzież ona jest?

— Trzeba iść na prawo, przez Francyą i Portugalią do Niemiec.

— Czybyś mi nie chciał powiedzieć, gdzie jest Francya, Portugalia i Niemcy?

— Czytaj pan napisy!

— Aha, to dobrze, ale ja ztamtąd nic nie będę widział, tu mi daleko lepiéj, tu wolę zostać.

— Nie można panie; idź pan na swoje miejsce....

— Policemen, gdzie są Chiny?

— Tuż obok Brazylii, nad panem.

— A którędyż ja tam pójdę?

— Po schodach od Szwajcaryi!

— Niepodobna, proszę cię, patrzaj, czy ja mogę ze schodów spędzać te wszystkie damy.

— Trzeba żebyś pan prosił, tu panu zostać niewolno—i t. d.

Takie rozmowy toczyły się przy wejściu do sali, lecz wnet rozprysnęły się tłumy, znalazłem miejsce wolne, i spojrzałem.

Boże! cóż za widok wspaniały! Jakżeż go opiszę, jakżeż z niego zdam sprawę! To nie pałac, to zamek, to miasto zaczarowane, ze szklaném niebem, z tęczowym i brylantowym horyzontem. Nic widziałem nic, coby miało w sobie tyle lekkości i wesołości. Rzuciwszy wzrok na wielkość budowy, doznałem takiego wrażenia, jakie się uczuwa wchodząc do kościoła ś. Piotra w Rzymie. Olbrzymia bazylika nie zdaje się tak wielką jak jest, i dopiéro po rozpatrzeniu się w szczegółach, przychodzień przejęty jest zdumieniem i niemal strachem. Lecz inną jest sztuka chrześciańska Bramanta i Michała Anioła, a inną przemysłu nowoczesnego; tam myśl korzy się przed wiekuistością i potęgą budowli, tu jest przywalona ogromem, mając w pamięci, jak krótkiego czasu trzeba było, aby ten las żelaza i te góry kryształów stanęły foremnie, jakby je dźwigały niewidzialne Tytany i trzymały nad naszą głową.

Com wówczas czuł, nie potrafię wypowiedzieć. Niech czytelnik postawi siebie pod ogromnym łukiem szklanym, gdzie olbrzymie drzewa dogodnie rozciągają wieczne gałęzie, nie mogąc najwyższemi szczytami dosięgnąć téj czarownéj klatki, w któréj je zamknięto; niech nad głową dookoła zawiesi nieprzeliczoną moc

dywanów, które mimo swéj wielkości zdają się, jakoby małe sztandary; niech rzuci okiem na prawo i na lewo, póki błękitny kolor atmosfery nie zaćmi mu widoku; niech wzrok zatrzyma na tych górach kwiatów, na tym ogrodzie róż, rododendronów, azalei i mnóstwa innych, których w téj pomieszanéj grze kolorów rozeznać nie zdołałem; niech przyjrzy się blaskom szklanych i srébrnych fontan i kryształowych strumieni, które z nich tryskają; niech wreszcie przypatrzy się temu, co w równéj sobie wysokości spostrzega, owym wdziękom i białości alabastrowych statuy, co drażnią się z kolorami kostiumów; owemu ruchowi, przepływowi, wzbieraniu i opadaniu tłumów, owemu blaskowi i migotaniu brylantów:—a wszystkie nerwy artystycznego ducha tak zostaną naraz przywalone, że umysł wpadnie w rozkoszne upojenie, traci dar rozróżnienia i zyskuje jakiś organ, którym naraz widzi, czuje, słyszy wszystkie piękności o których kiedykolwiek marzył, wszystkie cuda o których słyszał, wszystkie potęgi którym się dziwił, wszystkie tony któremi się rozkoszował; a upojonemu tą atmosferą tęczy i harmonii zdaje się, że ten czarowny pałac i wszystko co w nim jest, ci ludzie i te posągi, porwane są w jakiś taniec dziwaczny, kręcą się, wirują i giną w oddali poza promieniami złota, brylantów i błękitu.

Dopiéro wejście znamienitych gości i huczne brawo, którém ich witano, wyrwało mnie z tego stanu nieokreślonego. Chóry czterech kościołów, uczniowie dwóch towarzystw muzykalnych, dwoje potężnych organów i muzyka wojskowa hymnem narodowym *God save the Queen* powitały wchodzącą królową. Po chwili milczenia, podczas któréj książę Albert odczytał sprawozdanie, a prymas zmówił prostą lecz wzniosłą modlitwę, zabrzmiało Alleluja Händela i rozpoczęła się processya. Dla mnie, którego los tą razą fortunny, posadził na blizkiéj galeryi, było widok najwspanialszy, najbogatszy jaki kiedykolwiek miałem przed oczyma. Z początku ujrzałem pomieszaną massę błękitu, złota, karmazynu, lecz coraz bardziéj odróżniały się kolory i rysy stawały się wyraźniejsze. Naprzód zjawili się heroldowie w dziwacznych kostiumach: wspomnienie wieków i ludzi minionych, bo wówczas urząd heroldów miał rzeczywiste znaczenie; daléj cywilni w czarnych frakach i białych krawatach, stanowiąc z kostiumem heroldów najdziwaczniejszą sprzeczność, charakteryzującą dni przeszłe i obecne, poetyczne rządy rycerstwa i wiek pozytywny umiejętności i przemysłu. Następnie parami szły osoby prywatne i publi-

czne w kostiumach dworskich, lub uniformach Yeomenów, wyprzedzając trzydziestu zagranicznych kommissarzy, z których każdy przybrany był w mundur swego narodu; daléj kilku urzędników, kommissarze wystawy, a wpośród nich sekretarze stanu i członkowie obu izb. Wspaniały kostium windsorski, błyszczał w tém gronie, świadcząc o obecności najcelniejszych mężów stanu Anglii. Za nimi ambassadorowie i kilku weteranów, jak margrabia Anglesea i książę Wellington, siwy, pochylony starzec, który w tym samym dniu, 83cią rocznicę urodzin swoich obchodził. Prymas i rzęd kapłanów czarnym i białym ubiorem przerwali świetną grę bogatych kostiumów, lecz wnet za nimi szereg oficerów dworu królewskiego, przywrócił orszakowi żywy i jaskrawy koloryt. Nakoniec opierając się na ręku męża i prowadząc następcę tronu, postępowała królowa, witana oklaskami i radosnemi okrzykami widzów. Processya przeszła przez obydwa skrzydła, a za nią nastąpiło ogłoszenie otwarcia wystawy.

Po odjezdzie królowéj publiczność nie chciała rozstawać się z nowym i rozkosznym widokiem wnętrza pałacu; lecz że wszyscy pragnęli naraz widzieć i dążyli do środka gmachu, zkąd widok jest najszerszy, nikt nie mógł dobrze obaczyć. Rad nie rad wyszedłem do parku, gdzie zgromadzone tłumy, jeszcze raz chciały widzieć znakomitych gości. Słyszałem, że książę Wellington kazał sprowadzić do Londynu kilka szwadronów ulanów, dragonów i kirasyerów, lecz to było niepotrzebne. Obawiano się cudzoziemców, a na tych, przykład i klimat zdaje się wpływać cudownie. Londyn absorbuje wszystkich. Uważałem, że Francuzi są poważni, że Włosi nie gestykulują; Turcy mają minę najpiérwszych gentelmenów, Egipcyanie chodzą w rękawiczkach, Niemcy mówią mało i palą jeszcze mniéj. Jestem pewny, że pod koniec wystawy żaden Anglik inaczéj jak zwykle włosów nie zaczesze i chustki nie zawiąże, a cudzoziemcy wyjadą zangliczeni.

Rzecz prosta, że w piérwszych dniach po otwarciu, postanowiwszy przypatrzéć się wszystkiemu i rozebrać mniéj więcéj szczegółowo, rozpocząłem przegląd od najcelniejszego z produktów angielskich, tojest od pałacu. Gmach mający 1848 st. ang. długości, 408 szerokości, w środkowéj nawie 108 st. a w obu skrzydłach podłużnych 66 stóp wysokości, złożony z 11,000 centnarów żelaza kutego, a 70,000 lanego, z massy szkła mającéj 896.000 st. kw. powierzchni, i 8000 centnarów wagi, z drzewa którego wyszło 600,000 stóp sześć.; gmach, którego powierzchnia

posadzki ma 772,784 stóp kw., a galeryi 217,000 st. kw.; zawierający 33 miliony stóp sześć. objętości, dwa razy większy od jednéj z największych londyńskich budowli, tojest kościoła św. Pawła, budowany z skrzętnością, rozwagą i tysiącznemi doświadczeniami; rozpoczęty i ukończony w ciągu trzydziestu tygodni! Zaprawdę, patrząc na te przestrzenie w których oko się gubi, na tę śmiałość budowli i ogromną moc materyałów, trzeba przyznać, że tylko Anglicy przy swéj energii, wytrwałości i bogactwie, mogli pomyśléć, i w tak krótkim czasie wykonać olbrzymie dzieło.

Jak wiadomo, pałac położony jest w południowym końcu Hyde-Parku, i ma cztery główne bramy, tojest: południową, wschodnią, północną i zachodnią. Środkiem jego od południa na północ, idzie nawa najwyższa, poprzeczna, z dachem łukowym; od wschodu na zachód ciągnie się ogromna nawa z dachem płaskim, krzyżująca piérwszą. Wchodząc do nawy środkowéj, widzimy przedsionek 72 stóp długi, za nim balustrady, fontanny, ogrody wpośród szeregu statuy i posągów, dopóki nie dojdziemy do punktu środkowego, gdzie się obie nawy krzyżują. Wzdłuż krzyża idą galerye, poprzecinane we środku i połączone galeryami poprzecznemi, tak, że formują obszerne piérwsze piętro, pod którém dół również jak one służy jako pole wystawy.

Naszkicowawszy w ten sposób miejsce, przyjrzyjmy się jak jest zapełnione. Środkowy krzyż w obu nawach zastawiono statuami z bronzu, cynku, marmuru, alabastru, gipsu i t. d., wspaniałemi fontannami, kilkoma ogromnéj wielkości organami, kopalinami odznaczającemi się ogromem i rzadkością, niesłychanie wielkiemi zwierciadłami i t. p. Wszystkie te przedmioty należą do krajów, obok których są ustawione, te zaś idą w następnym porządku:

NAWA GŁÓWNA POPRZECZNA

(wejście od bramy północnéj).

Turcya	Indye Wschodnie
Egipt	"
Persya i Arabia	"
Chiny	Indye Wschodnie
Tunis	"
Brazylia	"

NAWA BOCZNA

(wejście od bramy wschodniéj).

SKRZYDŁO ZAGRANICZNE

(wschodnie).

Stany Zjednoczone	Stany Zjednoczone	Francya
Rossya	Rossya	
Niemcy północne	Dania, Szwecya i Norweg.	
Związek celny	Związek celny	
Austrya	Austrya	Rossya
Holandya	Belgia	
Belgia	Francya	
Francya	Francya	
Włochy	Szwajcarya	
Hiszpania i Portug.	Chiny	
Grecya		
Persya i Arabia		

SKRZYDŁO ZACHODNIE

(wejście od bramy zachodniéj).

Anglia	Anglia
Anglia	Anglia
Anglia	Anglia
Anglia	Kolonie
Anglia	Kolonie
Anglia	Kolonie
Indye Wschodnie	Indye Wschodnie.

Przejdźmy teraz pobieżnie po tych krajach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Brama zachodnia
Królestwo Wielkiéj Brytanii
Indye Wschodnie
Brama północna
Turcya
Egipt
Persya i Arabia
Francya
Francya
Grecya i Port.
Hiszp. i Włochy,
Francya,
Belgia
Belgia
Francya
Francya
Holandya
Austrya
Związek celny
Niemcy północne
Rossya
Stany Zjednoczone
Królestwo Wielkiéj Brytanii i jéj kolonie. K. W. B.
Indye Wschodnie
Brama południowa
Chiny
Tunis
Brazylia
Francya
Francya
Francya
Szwajcarya
Francya
Francya
Austrya
Rossya
Francya
Belgia
Austrya
Związek celny
Dania
Szwecya
Norwegia
Rossya
Stany Zjednoczone
Brama wschodnia

KRONIKA LITERACKA.

O źrudle wiedzy tegoczesnéj przez Dominika Szulca. 1851. *Warszawa.*

Nie wspominalibyśmy o tém dziełku, gdyby nie zasługi jego autora w innych gałęziach krajowych nauk, gdyby zbiór empirycznych wiadomostek z dziedziny wiedzy które złożyły to dziełko, nie mógł się komu wydać istotnie przedstawieniem przebytych momentów téj wiedzy, i wreszcie, gdyby nie było ciekawém widzieć, jak się w drugiéj połowie XIX wieku odzywa, i że się jeszcze odzywa czysty empiryzm.

Pisemka p. Szulca przytoczymy tu treść w rysach wiernych; lecz ostrzedz winniśmy, iż czytelnik nie ma w niéj tego szukać, co zapowiada napis; treść ta bowiem właściwie nie mówi nam o żadném źródle wiedzy tegoczesnéj, a raczéj przedstawia tylko rząd wzmianek o skutkach wiedzy w czasach ubiegłych.

* * *

Ogół drogi moralnéj, przebytéj dotąd przez ludzkość, da się podzielić na *Sofią*, *Filozofią* i *Umiejętność*. *Sofia*—to mądrość wschodnia. Ród ludzki żył niegdyś przebywając tylko momenta natury, gdy nagle powstałe wzdłuż i wszérz Wschodu umysły, zaczęły mówić i uczyć o duchach o demonach: Indye, Medya, Persya, Egipt, cała słowem Azya, północ Afryki (jak późniéj dziecinna północ Europy) mówiły tylko i uczyły o złych i dobrych demonach.— W Grecyi myśl zawróżyła lepiéj, lecz zaraz przy samym początku zakradła się *Sofia*.—Ukazało się tu 7miu mężów prawiących o moralności, którym lud nadał nazwisko siedmiu mędrców; właściwiéjby jednak było, objaśnia autor, nadać im nazwisko 7miu głupców: prawili bowiem o tém, o czém przecie żadna trawka i żaden kamyk ludziom nie mówił. Tales tylko, a daléj Pitagoras powołali do czynienia *doświadczeń*, i zaczęli umiejętność rzetelną;—lecz na nieszczęście rozumu i Grecyi zjawił się wkrótce w niéj człowiek imieniem

Sokrates. Człowiek ten małéj nauki, ale wymowny, wmówił w lud, iż ludzie rozumniejsi od niego bylito tylko sofiści, a sam wierzył w demona, i, jak donosi nam uczeń jego Xenofon, warunkowym tylko był zwolennikiem astronomii. Jeszcze lepiéj wystąpił *Plato*: ten nietylko wierzył w demona, ale nadto napisał dyalog Fedon, w którym dowodził (jak wyraża się autor) „trwałości umysłu." Summą jego nauki było: „iż należy najszczelniéj zamknąć oczy, usta, nos i gębę przed światem zewnętrznym, a rozpamiętywać tylko o typie dobra." Lud ateński ukarał Sokratesa śmiercią, a uczniów jego Xenofonta i Platona wygnaniem z kraju; „tkwiła widać, dodaje autor uwagę, w głowie Sokratyków myśl przeciwna duchowi wieku, kiedy ich to spotykało." Też zasady upowszechniał śród Rzymian *Cycero*, „w dziele o przyrodzie bogów i w kwestyach akademickich ckliwie rozpisuje się nad duszą świata, a w kwestyach tuskulańskich nad *trwałością umysłu*. Wszystko to posłużyło tylko niektórym z nowożytnych pisarzy do poznania retorycznéj łaciny." Za piérwszych wieków ery naszéj ukazał się nowo-Platonizm, kierunek najbłędniejszy, stanowczo od nauki odwodzący. Całe téż piśmiennictwo téj epoki przyjęło demoniczne znaczenie. Od wieku VIIgo bezwładność opanowała umysły, od XIIgo i wolą. Za wieku nowego we Francyi zjawił się *Dekartes*, mąż, który wprawdzie położył niejakie zasługi w umiejętności, lecz który wielbił Platona i twierdził, że pewniki takie, jak np. że całość jest większa od części, że z niczego nic, wrodzone są człowiekowi. Poszedł za nim jego spółrodak „niedołężny *Mallebranche*" i Niemiec *Lejbnitz*; za tym ostatnim zaś całe Niemcy, a mianowicie *Kant* i *Fichte*.—Od zarazy téj nie uszły Anglia, i za wieku naszego Francya; dowodem *Rejd*, *Royer-Collard*, *Cousin* i t. p.—Uczeni kraju naszego trzymali się dobrze do końca XVIIIgo wieku i za naukę mieli tylko umiejętność; ale z początkiem tego wieku zaczął upowszechniać w kraju wyobrażenia Kanta uczeń jego królewiecki Józef Kalasanty *Szaniawski*. Próżno usiłował powściągnąć od tego wpływu najuczeńszy dotąd z pisarzy krajowych Jan Śniadecki, i odwoływał się do nauki wielkiego Locka; młodzież poszła za kierunkiem niemieckim, a najnowsi nawet pisarze nasi traktujący o filozofii, prawiąc o *jaźni*, *duchu*, *podmiocie bezwzględnym* i t. p. prawią tylko o demonach nowo-Platońskich.

To dzieje Sofii.

2. *Filozofia.* Sofia opierała się na kraju demonów, filozofia zaczęła szukać ogólników, aby się na nich wesprzéć. Pytagoras szukał ich w sile skrytéj wszechświata. Jończykowie i Eleaci wznosili postęp nauk przyrodzonych. „Ci filozofowie, mówi autor, stali się wątkiem pomysłu ciągnącego się przez 23 wieki od Ksenofanesa do Spinozy i jego przy-

jaciół". „Postępowemi pisarzami w Grecyi byli Arystotelicy, nie dla ich loiki i syllogizmów, ale że się wyrzekli wrodzonych pojęć Platona". Tymczasem wydoskonalona następstwem wieków nauka Zoroastra na Wschodzie odbiła się w *gnozie*, *manizmie*, *sabizmie*, *sabellizmie* i *esseni-zmie*; ta wiedza wschodnia za Jana Zemiscesa przeniosła się do Tracyi, Bulgaryi i w kraje naddunajskie, gdzie otrzymała imię *Bogumiłów* lub Duchoborców. Ztąd wczasie wojen krzyżowych pod nazwą paulicyanizmu i kataryzmu przeniosła się na Zachód Europy, dając początek *Albigensom* i *Waldensom*. Polska w XIII wieku wspierała Waldensów, w XV wstawiała się za Hussem, w XVI dała przytułek Socynom i Socynianom; a szkoła rakowska (socyniańska) wzniosła w kraju nauki na skalę olbrzymią. „Liczba pisarzy postępowych i ludzi oświeconych, mówi autor, nad podziw rozrosła, bez żadnego porównania z resztą Europy". Polska wprawdzie jak i inne narody musiała przebyć czczy peryod scholastyzmu, który gniazdo sobie uwił w akademii krakowskiej; ale prędko skończyła go. Uczeń téj akademii, Kopernik „przeniknął istotę rozumu greckiego i położył kamień węgielny samodzielnemu poglądowi. Był on piérwszym filozofem w Europie na początku XVI wieku. Wyrazem wszakże postępowości był *Piotr z Goniądza*, który badał przyczynę fizyczną świata i umysłu". Pisarze nawet o obyczajowości piszący, jak Tobiasz *Wiśniowski*, Jarosz *Moskorzowski*, *Krell*, *Wiszowaty*, *Stoiński*, *Lubieniecki* Stanisław, *Przybkowski*, *Tomasz z Bukowca* opierali się na postrzeżeniach i rozumowaniach. W końcu XVIII wieku Kommissya Edukacyjna nie chcąc schodzić z drogi oddawna w kraju przyjętéj, uprosiła Kondyllaka o napisanie Loiki (byłato w gruncie loika Arystotelesa, którą autor dopiéro potępił) i tę zaprowadziła natychmiast po szkołach; w niéj czucie (wrażenie zmysłowe) jest punktem wyjścia, a rozum i rozumowanie dalszym wyrobem. Kwiatem tych usiłowań była nauka Śniadeckich. W Anglii powstali *Lock*, *Hume*, *Priestley*; „wszystkie ich usiłowania, dodaje autor, na nicby się nie przydały, gdyby nie dźwignia wywodowa *Bakona*, która podniosła czoło służebne Platonizmu (?) i wlała godność samodzielności". We Francyi trzymano się zwykle zasad stoickich Zenona, lub angielskich Locka. W Niemczech *Szelling* i *Hegel* absolut widzą w obustronności. Hegel nadto przydał myśl postępową, że absolutu, jeżeli ma być prawdziwy, szukać należy na drodze umiejętności. „Pasmem wieków ciągnące się dwie różne uczelnie (sofów i filozofów) starły się w wieku teraźniejszym. Zatrwożeni, mówi autor, sofowie stanowiskiem, którego dobrze nie rozumieli, dla zwalczenia przeciwników utworzyli wspólkę, mającą w piśmie czasowém pod przewodem *Hengstenberga* wydawanem, rozwinąć swoję doktrynę. Tu się połączyli

Tholuck, *Gericke*, *Hahn*, *Harms*, *Olshausen*, *Sartorius*, przeciwko *Röhrowi*, *Wegschnejderowi* (zapewne *Wegscheiderowi*), *Paulusowi*, *Geseniusowi*, *Dawidowi Schulz*, a mianowicie Baumgartenowi *Crusius*, który oświadczył, że sofia jest już niedorzecznością wsteczną i uwodzeniem ludu. Znaleźli się następnie pojednawcy, przybierający charakter eklektyków, *Marheineche*, *Rosenkranz*, *Schlejermacher*. Ale przedsięwzięte pojednanie było niepodobném, bo dwa stanowiska wręcz sobie przeciwne pogodzić się nie dadzą. „Taki jest, mówi autor, kończąc ten rozdział, widok niemetodycznéj jeszcze filozofii, która szukała w łonie istniejącego wszechświata siły głównéj, sprowadzającéj odmiany fizyczne".

3. *Umiejętność*. Umiejętność rzetelna jestto znajomość metodyczna, tojest oparta na *doświadczeniu*. Taką przed innemi umiejętnością jest *astronomia*. Astronomią zajmowali się już Chaldejczykowie, Egipcyanie i Grecy. Arabowie używali lepszych narzędzi astronomicznych od Greków; ale „na czele najpiękniejszych odkryć nowéj cywilizacyi, na czele swobody umysłowéj stanął *Kopernik*". Całą prawie resztę rozdziału poświęca autor wyłącznie historyi dzieła Kopernika; lecz przy końcu mówi jeszcze o wpływie na zmianę świata przez pośrednictwo *pary*, *prasy*, *elektryczności*, *chemii*, *elektrochemii* i t. p. (telegrafy elektryczne, balony, oświetlanie gazem, bawełna piorunująca, chloroforaja, pirofory, zamki perkussyjne, blicharnie gazowe i t. p.). Najnowszą epokę umiejętności, mówi autor, stanowi zastosowanie chemii do życia; początek do téj nauki dała Jędrzeja Śniadeckiego: *Teorya jestestw organicznych*, tłumaczona na języki francuzki i niemiecki. Śniadecki odkrył w niém tę prawdę: że „wszelki fenomen życia jest procesem chemicznym". Przyszłość téj nauki musi zmienić hygienę, wychowanie fizyczne, lekarnictwo, wyzuje ograniczone lub złe umysły z przesądów, dumy i niesprawiedliwości (?). „Znalazł się dla Śniadeckiego *Moestlin*, pracuje w tym kierunku *Liebig*, będzie i *Galileusz*".

Na tém się kończy dziełko p. Szulca.

Winniśmy z góry tu ostrzedz, że nie mamy nic wcale przeciw matematyce, chemii, astronomii i w ogóle przeciw naukom przyrodzenia. Nauki te, jestto wielka gałąź wiedzy człowieka, nader znakomita jéj cząstka; stan i znaczenie ich w danéj epoce, są i muszą być równoległe do wewnętrznego znaczenia téj epoki; lecz dziełko p. Szulca zapowiedziało nam przedmiot nie o cząstce jednéj gałęzi wiedzy, ale o całości wiedzy, jéj źródle; według tego zadania głównego mamy więc sądzić i o szczegółach książki. Czegoż nas nauczyły, obaczmy, sofia, filozofia i umiejętność?

Sofia. „Sofia, uczy nas autor, to mądrość wschodnia; każdy człowiek, który dziś mówi lub pisze o kraju duchów, o duchu, to mistyk

wschodni; wiedza jego nie jest wsparta na doświadczeniu, jest przeto dziecinna, żadna".

W naukach i wiedzy człowieka, zkądże się znalazł kraj duchów?

P. Szulc ma racyą zupełną, kiedy dowodzi, że o duchach już pisano i wspominano na starym Wschodzie. Cała ludzkość za piérwszéj nawet epoki swego bytu, pomimo grubości myśli i twardości serca, czuła jednak, iż nie jest najwyższą na ziemi, iż los jéj, jéj byt, jéj zawód, w chwili każdéj jest w ręku sił wyższych; i sile téj, co chwila cześć oddawała. Wyrazem epoki owéj nie było *bezbóztwo*, ale owszem przeciwnie *wielobóztwo*. A ta wiara i cześć, nie byłyto skutki jakiegoś musu, rozkazu, ale wewnętrznego popędu. Kiedy np. Mojżesz, jak wspomina biblia, opuścił lud swój na puszczy i zostawił go własnéj woli, lud ten pobudował cielca i wielbił go. Grubość i materyalność epoki, wyrażała się jednak w sposobie pojęcia przedmiotu, w sposobie hołdu. Prorok Pański nie znajdował trudności w powoływaniu swojego ludu do czci Jehowy, lecz w utrzymaniu go przy wyobrażeniu téj prawdy, że: „ani płazem, ani zwierzęciem, ani słońcem, ani obrazem męża, ani obrazem niewiasty jest Pan." *Deuter.* IV. Co Mojżesz w Izraelu, to u narodów przepowiadać usiłowali inni wyższego nad tłum pojęcia mężowie, ale bez skutku. W Indyach np. pierwotna nauka prawodawców o *duszy najwyższéj* (prawa *Manu*), w Persyi nauka o Bogu światła i księciu cieniów *(Zend-Avesta)*, przemieniły się wkrótce w cześć materyalną potwornych bożków, ciał światłych i t. p. Nawet w Grecyi i Rzymie, mimo wzrostu rozwagi i myśli pośród ludzkości, czczono jeszcze powszechnie bożków i ludzi; i tylko kilku pisarzy, kilku mężów, w których siła materyalnego myślenia (pomijając nawet rodzaj ich docieczenia) objawiła się w stopniu, dotąd w jednostkach ludzkich nie powtórzonym, wyznało tam, iż wierzy inaczéj. Mężowie ci *(Plato, Arystoteles, Cycero)*, z urodzenia poganie, którzy nie słyszeli nigdy zapewne o żadnéj nauce hebrajskiéj, którzy mieli zupełnie swobodny wybór albo wierzyć w bogów lub w nic nie wierzyć, twierdzili jednak, że jest w wszechświecie siła siebie świadoma, wolna, oddzielona od tego wszystkiego, co jest śmiertelne, która wszystko tworzy i wszystkiém rządzi; i że nią nie jest ani bożek kamienny, ani jakiś młodzian lub starzec siedzący w Olympie, ale iż jest *Bóg-duch* (1). Te nauki i docieczenia zostawały jednak przy samych mistrzach, lud je odrzucał; w Rzymie na odpowiedź Cyceronowi wznie-

(1) Deus intelligi potest non aliter nisi mens soluta, et libera, segregata ab omni concretione mortali, omnia sentiens et movens. *Cicero, Quest. Tuscul. lib. I.*

siono *Panteon*. Nagle jednak nowa objawiła się era, nowy fakt w życiu ludzkości (1). Serca jéj zmiękły, pojęcia się otworzyły, a hołd Twórcy dotąd składany w czci materyalnéj, przemienić się miał na duchowy. Ten, który przeważenie to sprawił, sam też piérwszy przepowiedział ten fakt (2). Naukę jego z łatwością przyjął naród hebrajski; w Judzie i Izraelu poznikały na zawsze bogi z wierzchołków; lecz ze zdumieniem samych jéj apostołów, zaczęli jéj żądać i przyjmować ją nawet poganie. Nie rozkaz władzy, nie nauka rodziców, nałogi dziecinne, nie przykład klass możnych, wielkiego ludu, widoki zysku, były bodźcem do tego przyjęcia; cóż więc? Przyczyn faktu nie wyłożą nam dzieje, i jeden tylko pozostaje tu środek:—iść po odpowiedź do Tego, który z góry o nim wiedział i przepowiedział. Założył on tu sobie *królestwo*, a to królestwo jego (daruje nam p. Szulc wyrażenie), jestto królestwo *ducha*, nie empiryczne.

Nauka ducha rozbiegła się prędko po ziemi, i dziś prawie cały świat obejmuje. Lud, władcy, mężowie czynów, fantazyi, najgłębszych pojęć, nie z musu ani nałogu, (każdy ma np. swobodę zupełną być Lockiem albo Lejbnitzem), mówią dziś i piszą o duchu, fenomenach ducha; badaniem wszystkich szczegółów ziemskich objawień, w odniesieniu do ducha są zajęci. Przewaga wewnętrzna ery, stała się tak jawną, dodajmy, że nawet nowe religie w niéj zjawione lub rozszerzone, jako *mahometanizm*, *buddyzm* i t. p., powoływały już tylko do czci najwyższego *pojęcia (budhi)*, jednego Boga-Ducha (Alkoran VII, 189); a z krajów wschodnich i Afryki, wyparły bogów i bożków, aby ułatwić przejście, i kiedyś zgotować Panu: „lud doskonały". *Bibl.*

Taki jest fakt; jakież z niego wyciągnął wnioski autor książki?

Wschód wielbił kamienie i słońca, Zachód czci ducha; więc wnosi pan Szulc: Sofia (nauka ducha) to mądrość *wschodnia*.

Ludzkość za swych czasów dziecinnych, zaledwo przez usta kilku odzywała się niekiedy o duchu; dziś za okresu męzkiego, duch jest przed-

(1) P. Szulc nie wierzy w podział dziejów ludzkości na dwie ery i postęp: gdzież, pyta na którejś karcie, postęp w tych erach? „piérwsza wydała przynajmniéj Solona i Ateny, a druga wieki średnie." Twierdzenie to podaje nam w podejrzenie szczerość uwielbień autora dla matematyki. Porównywać erę zaczętą z erą skończoną, czyli część do całości, nie jestto miéć w pamięci wywód matematyczny.

(2) „Aleć przychodzi godzina i teraz jest,że prawdziwi chwalcy chwalić będą Ojca w duchu i prawdzie. Duch-ci jest Bóg, a którzy go chwalą, powinni go chwalić w duchu i prawdzie." (*Jan IV*, 23).

miotem wiary i wiedzy powszechnéj, więc robi wniosek autor: Sofia, to wiedza *dziecinna*.

Autor mówi: iż ducha nikt nigdy nie widział; to też jednak rozjaśnienia wymaga. Gdyby *Demon* byłto jakowyś rycerz, któryby tkwił nad światem, z ogromnym hełmem na głowie, z olbrzymią bronią, nie dziwilibyśmy się czci jego powszechnéj; ale ducha nikt nigdy nie widział; zkądże więc fakt? Autor ten fakt wyszydza; jestto zwycięztwo, ale jestto zwycięztwo owego żołnierza, który ucieka z placu w czasie potyczki i woła: zwyciężyliśmy.

Nie mając przed sobą rozumowania, nie mamy się o co spierać; wskażemy jednak jeszcze na kilka szczególności w rozdziale.

Wyrazem nauki Platona, mówi autor, było: rozpamiętywać tylko o typie dobra i tkwić bezwładnie. Twierdzić tak o nauce Platona jestto tylko dowodzić, że się jéj nie zna. Plato mówił o ideach, o Bogu, o części wewnętrznéj świata; badając bowiem wszechświat pojmował w nim i naturę wewnętrzną, jéj rzeczywistość, wagę; i to mu dało przed innemi głośność w chrześciaństwie; lecz Plato w całości nauki swojéj, był głównie praktykiem. Jego najobszerniejsze i najwypracowańsze traktaty sąto księgi o *Prawach*, tudzież o *Urządzeniu kraju* czyli *rzeczypospolitéj*; ten pomysł rzeczypospolitéj tak nawet był materyalnym, że po dwakroć wspomina, iż tolerować w niéj nie należy poetów epicznych; a tak dobitnym, iż stał się wzorem traktatów podobnéj treści: Arystotelesa i Cycerona, i owszem uważanym jest *dotąd* za najlepszy wzór w swym rodzaju.

Chcąc pobić jednym dowodem Sokratesa i Sokratyków, autor na potępienie ich, mówi: „Tkwiła widać w głowie Sokratyków myśl przeciwna *duchowi* wieku, kiedy ich lud prześladował". Zadziwił nas ten dowód w książce autora; autor, który od początku do końca książki ściga demony i duchy, tu nagle uwierzył w *ducha* ludu ateńskiego z wieku Sokratyków. Duch Grecyi w wieku Sokratyków byłto duch jéj upadku pod każdym względem, duch który umiał tylko utrwalać szkoły epikurejskie; duch wreszcie, który z duchem całéj ludzkości potrzebował odnowienia i odrodzenia. Jeżeli jednak autor wierzy w ducha *wieku*, tedy tém więcéj winienby wierzyć w ducha *wieków*, a te uwielbiły Sokratyków. Gwałtowne zmiany znaczeń figur dziejowych są zawsze próżne. Kuszono się nieraz podobnie, czylito przez widok, czy tylko dla odróżnienia się, przedstawiać główne figury z dziejów rzymskich, w inném niż je przekazały tradycye ludów, znaczeniu; opinie te jednak przynosiły wraz z sobą śmierć, nie dla opinii powszechnéj, a tylko dla siebie.

Co jednak najszczególniejszém jest w tym rozdziale, to widok osób, które autor odniósł pod kategoryą swéj sofii; nie mamy zapewne prawa rozstrzygać, kto ma należéć do jakiejś gałęzi wiedzy, któréj nie znamy (jakiéjś gałęzi wiedzy, autor sam dał nazwisko *Sofii* i sam je daléj wyszydza). Skoro raz wszakże objaśnił, iż Sofia ta, jestto mistycyzm wschodni, byćby to przeto winna przynajmniéj jakaś wiedza twierdząca, nie racyonalna; kogoż jednak znajdujemy w téj kategoryi? *Kant, Fichte, Lejbnitz, Rejd, Cousin*; u nas autorowie *Systemu loiki, Umnictwa* i t. p.

Jeżeli autor podciągał pod kategoryą sofów tych wszystkich, którzy czyto przygodnie, czy rozumując, wspomnieli kiedy o duchu: tedy powinien tu był odnieść wszystkich piszących, których daléj i pod rozdziałem filozofii i umiejętności wspomina, nie wyjmując nawet głównych swych reprezentantów téj ostatniéj (*Kopernika* i autora *Teoryi jestestw*) (1). Dlaczegoż jednak tu umieścił tych, a nie innych? Kant, który był piérwszym twórcą nowéj śród filozofii metody krytycznéj (przeciwdogmatycznéj), i którego np. znane jest powszechnie w literaturze niemieckiéj, jako charakteryzujące system, twierdzenie: „*Die Anschauungen ohne Begriffe sind blind, die Begriefe ohne Anschauungen sind leer*" (Nie ma faktów bez pojęć, i pojęć bez faktów); *Fichte*, który za swe pisma: *Krytyka objawienia* i *Zasady wiary*, wzbroniony miał wykład prelekcyj, a dalsze główne swe prace poświęcił badaniu swego *Nichtich* (natury zewnętrznéj, umiejętnościom); autor Systemu loiki krajowéj, którego całą winą w rzeczy demonów jest, że pisał *demonomanią*; ci, jak i wszyscy obok wymienieni, nie pojmujemy w czém winni są, że byli kiedyś na Wschodzie mistycy, albo że mądrość po grecku nazywała się sofia?

Filozofia. Któżto byli albo są filozofowie według autora? Filozofowie są ci, którzy się opierają już nie na kraju *ducha*, ale na *ogólnikach*. Nie zgadujemy jakie autor widzi granice między zasadą ducha i ogólnika; dlaczego np. *monada* Lejbnitza (jednostka *dwustronna*) była duchem? dlaczego *idee*, *subjekt*, nie byłyto ogólniki? jakieto znowu są ogólniki, na których się opierali Bakon, Lock, Kondyllak? Nie mamy więc i w tym rozdziale o co się spierać dyalektycznie, i tylko wskażemy krótko na parę faktów.

Filozofami już (a nie mistykami), dowiadujemy się tu, byli następcy nauki Zoroastrowéj: *Sabellińci, Manińci, Gnostycy* i t. p. Filozofo-

(1) Autor *Teoryi jestestw* np. tak dalece, mówiąc stylem autora, *demonizował*, iż w drugim tomie tego dzieła, czy też w rozprawie: „O pokarmach i napojach", nie przypominamy, mówiąc o bygienie wiosennéj, tak się wyraził: „śmiało twierdzę, iż ta instytucya (wielkiego postu) była rozkazem *natchnionym* i *objawionym*."

wie ci dali początek Waldensom i Albigensom; w związku z tymi był mistrz *Socyn*, od tego zaś poszła sławna w wieku XVIItym w Polsce szkoła aryańska *rakowska*, główny cel i przyczyna, jak się zdaje, napisania przez autora tego rozdziału.

Autor wraca na chwilę do Grecyi, czyni wzmiankę o Jończykach i Eleatach, a od nich przechodzi już wprost do *szkoły rakowskiéj*. Była, mówi, wprawdzie w Polsce oświata i pewne nauki; ale oświata ta była niczém do czasów szkoły rakowskiéj. Wszystkie zakłady naukowe, nie wyjmując akademii krakowskiéj, byłyto tylko gniazda jaszczurek przy owéj szkole. Szkoła ta liczyła 1000 uczniów, miała rozgłos w całéj Europie, i wzniosła w kraju światło i nauki, do stopnia, z którym światło i nauki w reszcie Europy, dodaje autor, *porównać się* nawet nie mogły.

Nie mogliśmy nie być dumni próżnością krajową, wyczytawszy to założenie; wszakże musimy wyznać prawdę—autor nie sprawdził go.

Szkoła rakowska istotnie liczyła do 1000 uczniów i z piérwszych rodzin krajowych, ale jéj wpływ na nauki i oświatę krajową, był prawie żaden. Szkoła ta trwała od roku 1603—1638; czas w którym jéj uczniowie wzrośli na mężów i grali rolę w kraju, byłto koniec wieku XVIIgo i początek XVIIIgo, i byłto czas najsmutniejszy w dziejach oświaty krajowéj. Autor wypisuje wprawdzie kilkanaście imion i nazwisk na poparcie swego twierdzenia, ale sąto imiona, których nietylko Europa, ale dziś już nie zna kraj własny (1). Miał wprawdzie nasz kraj w owych wiekach ubiegłych i w części za wieku Socynów, historyków, uczonych, poetów i t. p., których zna powszechnie imiona i kraj, i w znacznéj części Europa; lecz żaden z nich (nie wyjmując Mikołaja Kopernika) nie miał zaszczytu być uczniem szkoły rakowskiéj. Z owoców ocenia się drzewo; a szkoła rakowska, jak w ogóle sekta Socynów, miała tylko zadanie i rolę w dziejach oświaty kraju: płomyka bezowocnego. Nie może tu być odpowiedzią obudzone przez rząd i stany krajowe prześladowanie Aryanów; sroższe prześladowanie obudzone było kiedyś w Rzymie przeciw chrześcianom, a jednak zatryumfował chrystyanizm. Nauka Aryanów przeciwnie pozostała prawie bez śladu: i tu gdzie zamieszkiwali, i tam gdzie przeszli. Autor przytacza daléj kilkanaście zdań oderwanych z naszych pisarzy owego wieku (w części Aryanów), lecz nie wiemy, na zaletę czy na przestrogę;

(1) Zbiory pism naszych pisarzy aryańskich (treść ich stanowią wyłącznie spory teologiczne) nie znalazły i nie znajdą zapewne nigdy, ani w kraju, ani za granicą nowego wydawcy. Jeżeli o zasłudze ich zdarza się nam niekiedy czytać wzmianki w pismach obcych, chociażby protestanckich, to (jak np. w tomie IIgim dzieła Ottona *Fock: Der Socinianismus* etc.) nie są wcale na potwierdzenie ich wysokości.

nie mogliśmy bowiem dostrzedz, co to jest za *ogólnik*, na którym się ci *filozofowie* mieli wspierać.

Powiedziawszy daléj słów parę o Bakonie i Locku, pół o Szellingu i Heglu, autor wspomina wreszcie o spółczesnéj filozofii niemieckiéj, i reprezentacyą jéj widzi w polemice byłéj gazety berlińskiéj: *Ewangelische Kirchenzeitung*. Autor przytacza tu kilka nazwisk *supernaturalistów* i nic o nich nie mówi, kilka nazwisk *racyonalistów* i nic o nich nie mówi;—dodaje wreszcie iż byli i tacy, którzy chcieli łączyć oba kierunki, ale że te usiłowania są niczém. Autor nie chce oporu na *wierze*, nie chce oporu na *racyi*, a w połączeniu ich widzi potworność. Czegoż więc pragnie? Wiara taka lub inna w człowieku rzeczywistością jest, i myśl taka lub inna rzeczywistością jest; twierdzić, iż ich złączenie jest niepodobném, jestto to samo, co twierdzić, iż człowiek nie może miéć *jednocześnie* serca i głowy, i że nie może rość w tém złączeniu. Nie podzielamy bynajmniéj wszystkich wniosków np. *Schlejermachera* w jego *Ewangelische Glaubenslehre*; lecz metoda, któréj w niéj trzyma się, jestto w swojéj zasadzie jedyna godna ludzi metoda.

Kończąc rozdział autor, raz jeszcze cały zakres sofii i filozofii wykreśla (naturalnie piórem na swym papierze) z dziedziny wiedzy człowieka, objaśnia, iż taki jest obraz *wiedzy niemetodycznéj*, i spieszy do swéj wiedzy rzetelnéj.

Umiejętność. Rozdział ten zaczyna p. Szulc od powitania swego przedmiotu, tojest umiejętności rzetelnéj, nietylko prozą, ale i wierszem. Cóżto jest ta umiejętność, według autora? Umiejętność rzetelna jestto według autora, wiedza, która nie jest ani sofią, ani filozofią (tojest ani *mądrością*, ani nawet *przyjaciółką mądrości*), ale jestto nauka wsparta na gruncie pewnym, zmysłowym, słowem, na *doświadczeniu*.

„Jedynym, rzetelnym gruntem naszego poznania winno być—doświadczenie; jedyną w nas, rzetelną władzą poznania jest—rozum zmysłowy; jedyną, prawdziwą wiedzą—nauki przyrodzenia."

Doświadczenie, jestto zapewne środek pewny podźwignienia na wyższy stopień wiedzy człowieka. Rozum zmysłowy, to jedna z władz jego istotnych; a nauki przyrodzenia (jak uważaliśmy już), to wielka i znakomita cząstka wiedzy człowieka. Lecz jak nauki przyrodzenia cząstką są tylko nauk, jak rozum zmysłowy nie jest zbiorem władz wszystkich poznania, lecz tylko jedną: tak téż i doświadczenie jestto tylko jeden ze środków.

Doświadczenie jest owszem najpiérwszym, a ztąd najniższym ze środków w badaniu prawdy; jestto kriterium najwyższe tylko dla dziecka.

Doświadczenie wspiera się tylko na tém, co widzi; jego gruntem, tylko świadectwo zmysłów; to wszystko, co przechodzi kraj zmysłów, przechodzi i doświadczenie.

W wszechświecie jest jednak nietylko to, co widzimy, lecz i coś więcéj. Prawdą, jest dla nas nietylko przeszłość, nietylko obecność, ale prawdą jest także, i owszem ważniejszą nad wszelkie, taka lub inna przyszłość. Jak w skutkach stworzonych rzeczy, tak w prawach czyli przyczynach skutków jest pewna harmonia. Tą przyrodą, którą widzimy zewnętrznie, coś rządzi wewnętrznie. Cóż jest ta siła skryta, która nią rządzi? Jaki stosunek nasz do niéj? Zkąd harmonia ludzi do ludzi; faktów, do faktów; wieku, do wieku? Ten tłum odkryć i wynalazków (owoc zwykle przypadku, czyn ludzi nieraz mniéj umiejętnych), który się stał nam spółcześnie, i nad którym się sam autor unosi, czemu się nie stał dawniéj, lecz dzisiaj? nie przez rząd tylu wieków, lecz w naszym? co znaczy ten majestat rozwić moralnych nieznanych dawniéj w *sztuce, prawach, ustawach, umiejętności, sądzie* i t. p., jak i do czego idzie? O tém wszystkiém nic nie wié, nic nam nie mówi, nie umié nawet myśléć *empiryk*. Dla niego wszechprzestrzenią jest—*punkt*, wszechczasem—*chwila*, alfą i omegą to—co *doświadczył*.

Empiryzm jest stopniem najpiérwszym wznoszenia rozwagi; dlatego téż cała ludzkość rozpocząwszy drogę rozwagi, zaczęła od empiryzmu (Grecya). Filozofia każdego kraju (sam autor dowodził tego o naszéj) zaczynała od empiryzmu; od zasad jego zaczęli podobnie piérwsi sprawcy wskrzeszenia żywszéj rozwagi za epoki nowéj: Bakon i Lock (których sam autor do pisarzy niemetodycznych odniósł). Zasady te doprowadziła do kresów teoretycznie, a do zastosowań wszechstronnie, przy końcu wieku zeszłego, Francya; i okazało się, iż co jest cząstką, nie może być uznawaném za całość, iż nie może istnieć w swém oderwaniu.

To jednak właśnie zasady chce znowu obecny rozdział autora wskrzeszać *teoretycznie*, i cóż razem mówi *praktycznie?*

Że autor za wiedzę rzetelną ma wszystkie nauki przyrodzenia, tego domyślamy się tylko z jego wzmianek o doświadczeniu; w praktyce jednak jednę z nich tylko za umiejętność rzetelną podał, jednę wynosi, o jednéj prawie wyłącznie w rozdziale mówi, a tą jest—*astronomia*.

Jeżeli który lud starożytny, dowiadujemy się tu, był umiejętny, to tylko ten, który liczył zaćmienia, budował obserwatorya. Pomimo to wszystko jednak, świat ciemnym był, aż przyszedł Mikołaj Kopernik.

Nikt nas nie posądzi zapewne o nieprzyjaźń dla astronomii jako nauki, tém więcéj o chęć uwłaczania sławy Kopernikowi. Astronomia, to umiejętność wzniosła, i któréj ostatecznych celów (tak jak każdéj innéj

umiejętności) dotąd nie znamy; a dzieło: *De revolutionibus orbium coelestium* (1) uczyniło istotnie epokę w téj gałęzi umiejętności. Od czasu jednak, jak sama astronomia wyrzekła, że astrologia jest fałszem, nauka gwiazd stała się nauką najmniéj okazującą związku z losem człowieka. Od piérwszego rachunku, który uskutecznił Chaldejczyk lub Chińczyk, wskazując, iż w danym czasie zaćmi się na chwil kilka słońce, do odkrycia spółczesnego nam Leveryera, który wnikając w tajniki przestrzeni bez granic, dowiódł, iż oprócz milionów znanych nam gwiazd jest jeszcze jedna; nic prawie więcéj o stosunku tych gwiazd do ludzi dotąd nie dowiedzieliśmy się nad to, co zapisał jeszcze Mojżesz w Genesis. Fakt największy w żeglarstwie, odkrycie Ameryki, dokonanym był jeszcze na pół wieku przed wykładem rzeczywistego systemu planetarnego.

Że w empiryzmie grała, i jak widzimy, gra główną rolę zawsze astronomia, to pojmujemy; dla empiryka, dla którego wszystkiém jest chwila, jestto zapewne szczytem tryumfu, że widzi gwiazdy; jeżeli jednak jest jakiéj wagi dla nas badanie i poznawanie gwiazd, które *od nas* tak oderwane: tém większéj, zapewne, trochę być winno badanie by najmniejszego fenomenu ducha, który jest *w nas*.

Szczytem nauk jest astronomia; szczytem władz moralnych rozum zmysłowy. „Rozum, rozum i rozum ten, to jedyny, rzetelny w nas czynnik; jedyny który kształcony i w uwagę brany być winien; wszystko inne to sofia lub filozofia", mówi autor.

Chcemy wszakże wierzyć, iż p. Szulc pomyślał swe dziełko pospiesznie, i wykonał pośpiesznie; inaczéj bowiem posądzić go musielibyśmy, iż chciał w niém coś wcale innego wyrazić, jak apologią rozumu.

W wykładzie docieczeń ludzkich, wszyscy tu potrąceni; sam Kopernik zatarty Marcinem z Goniądza, i jedna tylko, na ostatniéj karcie zjawiona: *Teorya jestestw organicznych* została niepokalaną.

Teoryą jestestw, jak dzieło *De revolutionibus* etc. i wielbimy i szacujemy; jedno z nich ma sobie przyznaną powszechnie wagę w gałęzi gwiaździarskiéj, drugie w lekarskiéj. Wielką pochwałę *Teoryi jestestw*, przełożonéj na język niemiecki przez *Neubiga*, czytaliśmy jeszcze przed parą laty w którémś piśmie niemieckiém. Ale przyzna nam autor sam, że jeżeli od czasu jako są ludzie, tojest od wieków LX. albo, jak przypuszcza zapewne autor, od miliona, tryliona i więcéj wieków, tkwił rozum w jednostkach ludzkich, i jeżeli ten rozum przez te tryliony wieków i tryliony trylionów jednostek, nie zdołał nigdy nic począć, i raz ledwie napisał wre-

(1) Zapowiedzenie prędkiego ukazania się dzieła tego w przekładzie polskim, jest najważniejszą wiadomością, jaką znajdujemy w obecnéj książce.

szcie *Teoryą jestestw*: tedy taki fenomen przyjąć raczéj musimy jako przygodność, skrzywienie prawa natury, i nie możemy być wcale stronnikami i wielbicielami tego czynnika.

Czytaliśmy właśnie w tym czasie w naszym języku pismo, które sobie wprost przeciwny, napozór, obecnéj książce, cel założyło. Autor tego pisma, zapewne *protestant*, powołuje nas do saméj „wiary bez uczynków", do zaniechania wszelkiéj rozumowanéj czynności, do *kwietyzmu*. Ostateczności stykają się (1), i dziełko p. Szulca może się uważać za *ap-*

(1) Ostateczności stykają się; nie odstąpimy więc zapewne od przedmiotu, jeżeli i o tym wprost przeciwnym kierunku, powiemy tu słowo. Reformatorowie kościoła w wieku XVI, lubo rozróżniali się z sobą w szczegółach wielu, w tém jednem zgadzali się wszyscy, iż dostateczną jest dla rzetelnych chrześcian „wiara bez uczynków." Silne wyjście przed kilką laty przeciw zasadzie téj, w dziele: *Kościół chrześciański i praktyka anglikańska.* (The ideal of a Christian Church in comparison with existing practice. 1844. London) przez *Warda* duchownego anglikańskiego (dziś już katolickiego) i nazwanie jéj śmiałe „kacerstwem Lutra", stało się właśnie pierwszém hasłem do licznych nawróceń w Wielkiéj Brytanii. Luter powstawał zwłaszcza na *rozum ludzki*, jako niedołężny, upadły i do rozróżnienia żadnéj prawdy niezdolny (*Lejbnitz: dissertatio de conform. fidei cum ratione*, 1768 I, 12; jestto wreszcie zasada, którą w protestantyzmie i dziś wyznają *altluteranie* i *supernaturaliści*), ztąd też usunął *wykłady* hierarchii i konsyliów, stosowane do pisma św. jako pisanego nie rozumem ludzkim, lecz duchem bożym. Loiczni następcy Lutra odtrącili i rozum Lutra, *jako upadły*, i powoływali się tylko na własny w wykładzie pisma. Droga ta w jedném korycie wydała sekty bez końca, w drugiém, nazywany tak racyonalizm; obie zaś w ostatnich wypadkach swoich rozwiązują chrześciaństwo. Taki jest krzywy skutek krzywéj zasady. W kościele katolickim jestto istotnie dogmatem także, że „rozum i ciało człowieka od grzechu pierworodnego są w stanie upadłym." (...corpus et anima in deterius commutatum fuisse. *Conc. Trident. Sessio V*), lecz też zasadą jest: iż winny być *podźwigane*, nie *potępiane*. Ewangelia nie podaje bynajmniéj rozumu ludzkiego za dzieło czarta: mówiąc owszem o uzdrawianiu przez Zbawcę *lunatyków*, *opętanych*, świadczy: iż znakiem *odejścia czarta* był powrót rozumu. Nauka Jezusa Chrystusa mówiła zapewne głównie do *ducha*, za cel miała odrodzenie duchowe; lecz duch żywy w człowieku żywym, życie swe przez uczynki objawia. Rozkazem religii wschodnich była miłość bezwładna; sam dekalog Mojżesza mówił tylko o powściąganiu; lecz cechą nauk i przestróg ewangelicznych jest *czynność* i *czynność*. Jak do uczynków *ciała*, tak do uczynków *myśli* liczne tu powołania. Dlaczegóż i *sami z siebie*, mówił Zbawca, nie *rozsądzacie* natury (znamion) czasów. *Łukasz XII*, 58. Rozbierajcie pisma. *Jan*, *V*, 39. Poganie was zawstydzą na sądzie, iż przyjeżdżali szukać mądrości. *Mat.*, *XII*, 42. Kto grzebie i nie rozwija swych *darów*, piekłem ukarze go Dawca. *Mat.*, *Łuk.* (rzecz tę o *darach* po kilkakroć rozwijał *św. Paweł*, jako I, *Korynt.*, *XII*, *Effez. IV*, 8). Ztąd też strażnicy i kierownicy ducha Chrystusowego w kościele, od *Piotra*, który mimo swą prostość, pisał: „wy dodawajcie do

pendix do tego pisma. Istotnie bowiem, czylito obierzemy za cel usuwanie z istoty ludzkiéj *rozumu*, a pozostawianie w niéj samego *uczucia*, czyli téż pozostawianie w niéj *samego rozumu*, z usuwaniem *wiary i du-*

wiary waszéj *cnotę*, do cnoty *umiejętność*." 2, *Piotr.* 1, 5. Do encykliki *Piusa IX* przy wejściu na urząd, w któréj powoływał spółchrześcian iżby dodawali do wiary *ćwiczenia moralne*, wszyscy za pożyteczność i za konieczność w żywocie chrześcian czynność moralną uznawali. Nauki kwietystyczne czyli powołujące do saméj miłości (bezwładnéj i samolubnéj) bez wymagania uczynków, lubo się niekiedy wciskały w pisma duchownych, wnet jednak znajdywały skarcenie i potępienie przez kierowników. Wspomnimy tu dla przykładu na bullę *Innocentego XI*: *Coelestis Pastor* (28 sierpnia 1687) z okoliczności dzieła księdza hiszpańskiego *Moliny*; i *Innocentego XII* (12 marca 1699) z okoliczności dzieła *Życie świętych* (nawróconego daléj z takim pożytkiem dla spółchrześcian) *Fenelona*, które wyraźnie potępiły kwietyzm (1).

W chrześciaństwie jest zapewne wiele tajemnic. Tajemnicą jest jego początek, tajemnicą cel ostateczny, tajemnicą i droga. Lecz gdy jest droga podana, winna być tak przebytą, jak jest podana. Autor pisma o którém mówimy twierdzi: iż gdyby człowiek jaki nie kształcił się wcale moralnie, i gdyby społeczność jaka zniosła u siebie wszystkie zakłady naukowe, kościół nie poczytałby tego za kacerstwo. Być może; są bowiem „różności *darów*, różności *posług*", (*św. Paw.*) i wreszcie różności przyczyn. Gdyby ktoś nie dał przez życie grosza jałmużny, gdyby społeczność jaka zniosła u siebie wszystkie zakłady dobroczynne, kościół i tego zapewne nie uznałby za kacerstwo; miłosierdzie jednak nie jest mniéj przeto rzetelnym obowiązkiem chrześciańskim. Autor mówi: „dosyć mi, abym poznał Boga i jemu służył, a nie chcę być ani uczonym, ani filozofem, ani sztukmistrzem i t. p." Można nie chcieć, ale jeśli o chrześciaństwie jest mowa, każdy czynić tak winien „jako jest wezwan." Czyn wprawdzie, to zwykle trud, ciernie i potrącenie od świata. Wszakże żyć nie dla siebie, lecz każdy ma *zaprzeć się siebie* i dźwigać *krzyż*. Usuwać i grzebać dary, które Bóg daje i jego rozkaz o darach, nie jestto bynajmniéj mu służyć, a tém samém ani go znać. Zaniechania ćwiczeń moralnych jakiż wreszcie praktycznie jest skutek? O skutku uczą nas dzieje, przykład codzienny; kraje, indywidua, wieki, które zaniedbują ćwiczeń moralnych, toną w rozpuście. Wiara sama, tak nawet żywa jak w wiekach średnich, pół jest tylko ratunkiem. Piérwszą taką erę ludzkości, erę martwości moralnéj, rozpusty fizycznéj, potopem ukarał Pan Bóg. Bieg nowéj nie ujrzał potopu, i nie sprowadzą powodów nasze wzywania; bieg ten bowiem okazał jawnie, iż jestto już era łaski.

(1) Iż nie twierdzimy stronnie, przytoczymy tu zdanie piérwszéj, która nam wpada pod rękę, a jednéj z najnowszych, *teologii dogmatycznéj* dra i professora teologii, księdza Cystersy *Wiesta*: „Contra dogma catholicum graviter errarunt quidam Pseudomistici, qui Christianae perfectionis apicem *in amore puro* ut ajunt, reponentes, crediderunt etc. Cum opinionis hujus defensores simul docerent, hominem ita in Deo debere quasi *quiescere* ut nihil operetur, dicti sunt *Quietistae* et eorum doctrina *Quietismus*. *Institutiones Teologiae Dogmat. II.* 439, *wyd.* 4te.

cha, zawsze ścigać będziemy cel jeden, tojest zamienienia rodzaju *ludzi* w rodzaj *pół-ludzi*.

Taki jest jednak cel, taka treść i zasady dziełka: „O źrudle wiedzy tegoczesnéj" przez p. Szulca, jeżeli tylko czytelnik przyznać zechce, że jest w niém jakaś treść i jakieś zasady. Co najtrudniejszém nam było, dodajmy, to zgadnąć powód oraz znaczenie napisu dziełka. Czy autor źródło wiedzy tegoczesnéj uważa za złe? za dobre? i w czém mianowicie je widzi? Jeżeli za źródło wiedzy tegoczesnéj ma doświadczenie, tedy myli się; doświadczenie, jeżeli już tak chce autor, było przeważném źródłem wiedzy ludzkości, gdy była dzieckiem, kiedy rozpoczynała, w różnych stopniach wznawiane, ery rozwagi, ale nie tegoczesnéj.

Lecz w gruncie, źródło wiedzy człowieka jest zawsze jedno.

Źródłem wiedzy są zarówno *zmysły* i *myśl*. Źródłem zmysłów i myśli jest to, co kieruje uczuciem zmysłów, obrotem myśli, czyli—jest *duch*.

Co jest źródłem zmysłów i myśli, jest źródłem wiedzy.

Każdy, który ogląda źródło wiedzy czylito tegoczesnéj, czy innoczesnéj, nie *w duchu*, ale *w punkcie i chwili*, buduje na téj podstawie gmach, który tak tylko będzie trwały, jak ta podstawa, tojest: że się wywróci za drugą chwilą.

T.

ROZMAITOŚCI.

Mormony.

Między dziwactwami obecnéj epoki nie ma zapewne większego i niedorzeczniejszego nad historyą owych wieśniaków, którzy zabłąkawszy się w niezmiernych pustyniach nowego świata, nie ma lat dwudziestu, przedsięwzięli założyć nową religią, używając nikczemnego i grubego kłamstwa. Choć im się to nie udało zupełnie, liczą jednak dzisiaj apostołów we wszystkich częściach świata, a już prawie naprawdę stanowią osobny stan polityczny; a silném, jakie być może na ziemi, zjednoczeniem dążą do tego, żeby społeczność przyjęła ich na swoje łono jako indywidualność oddzielną. Zkąd pochodziła siła żywotna Mormonów, że w krótkim czasie tak wielkie zrobili postępy?—trudno jest wytłumaczyć, choć zaprzeczyć niepodobna. Nawet nie brakło im na przeciwieństwach: przeszli oni wszystkie próby ognia i miecza, po wiele razy mniemać było można, że upadli ze wszystkiém. Wyparci przemocą z Missuri i Illinus, po krwawéj przegranéj na wiosnę 1846 roku wypędzeni na łąki Far-westu z żonami, dziećmi, starcami, można było mniemać, że tam zginą, zdziesiątkowani karabinami dzikich, przerzedzeni przez głód i choroby: aż tu po trzech latach zaledwie, piérwsze szeregi wychodźców, które skwapliwie biegły do Kalifornii na wiadomość cudownych złota pokładów, znajdują Mormonów nad brzegami jeziora Słonego, w pustyniach, które ledwie śmiały myśliwiec nawiedzał. Zbudowali miasto, które już miało 6,000 mieszkańców, wykarczowali kilka tysięcy włók ziemi, i rzecz dziwna, sektarze ci, którzy dla swojego fanatyzmu i gwałtownych a nieludzkich obyczajów musieli być wypędzeni bronią świata cywilizowanego, otwierali hojnie swoje składy zbożowe zgłodniałym wychodźcom, przyjmowali ich gościnnie do swoich domów. Piérwsito oni odkryli złoto Kolifornii, a dziś

są dla wszystkich wędrowców opatrznemi przewodnikami. Przed kilku nawet dniami w dziennikach Stanów Zjednoczonych z przyjemnością czytaliśmy, że Mormony swoje osady rozszerzali w stronę Sierra-Newada, w obszarach, w których tysiące wychodźców umierało, zasypani w śniegach, przez Indyan wymordowani, wybici głodem i chorobami. Będzieto strażnica. Na niczém więc nie zbywa téj historyi: jest w niéj patetyczność, romans, dziwactwo, i niedarmo też z wielkiém zajęciem długi jéj opis czytała angielska publiczność *w Morning-Chronicle*, z którego krótkie porobimy wyciągi.

I.

Założyciel sekty, Józef Smith, młody, jak go do śmierci saméj nazywano, urodził się w 1805 r. Dopiéro w r. 1831 uorganizował piérwsze zgromadzenie świętych dnia ostatecznego, a dziś, nie ma lat 20, sekta ta liczy do 30,000 adeptów w Anglii, i około 160,000 albo nawet 180,000 wiernych w Stanach Zjednoczonych. Mormony są dziś założycielami i głównemi mieszkańcami kraju położonego w pustyniach Ameryki północnéj, w obrębie Stanów Zjednoczonych, pomiędzy łańcuchem gór skalistych i Sierra-Newada, któremu dali nazwę *Deseret*, wyraz, który się znajduje na każdéj karcie ich nowéj biblii albo księgi Mormona, a który, jak mówią, w ich języku mistycznym znaczy *rój pszczół*. Mają nadzieję, że przez napływ Anglików i połączenie się wszystkich braci w Stanach Zjednoczonych, będą w dostatecznéj liczbie do wejścia jako stan oddzielny na łono jedności amerykańskiéj. Podług brzmienia ustawy, żądana liczba mieszkańców jest 60,000 dusz: a wątpić nie można, że za kilka lat Mormony urzeczywistnią ten projekt; prócz tego kongres Stanów Zjednoczonych już kilka razy miał przedstawione sobie w tym względzie propozycye, życzące ich prowincyj i stosunku do państwa, a wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych dziś przedział bardzo prędko przebyć można.

Takie jest obecne stanowisko świętych dnia ostatecznego; jakkolwiek postępy mahometanizmu szybkie były w jego początkach, nie można ich przecież porównać z postępem Mormonów. Przejdziem pobieżnie okoliczności życia Józefa Smitha i historyą sekty, którą założył, objaśniając rzecz wykładem téj nowéj nauki religijnéj. Żeby uniknąć nawet cienia złéj woli ku ludziom, którzy (jakibądź byłby charakter i zamiary piérwszego ich naczelnika, i fanatyzm, który ich ożywia), przedsięwzięli dzieło wielkie a mało znane, oprę się ile będzie można na ich własnych pisarzach, powołując się jednak i na sąd obcych. Okoliczności, które opiszę, są wyjęte z książki, która ma tytuł: *Ważne widzenia*, a autorem jéj jest Orson Pratt, ajent emigracyi Mormonów w Liverpool, który zaraz na piérwszéj

karcie swojego dzieła przyswaja sobie tytuł: *jednego z dwunastu apostołów kościoła Jezusa Chrystusa i świętych dnia ostatecznego*, a którego Mormoni liverpolscy uważają zwykle jako *pierwszego apostoła kościoła świętych dnia ostatecznego w Anglii i głównego ajenta kościoła Jezusa Chrystusa w Europie.*

Józef Smith, młody, mówi Orson Pratt, narodził się w mieście Sharon, w hrabstwie Windsor, w prowincyi Wermont, 23 grudnia 1805 r. Miał lat 10 kiedy jego rodzice przenieśli się z całą familią do Palmyry, prowincyi New-Jork, w któréjto okolicy mieszkał około lat jedénastu. Używano go od dzieciństwa do uprawy roli. Nie dziw przeto, że nie miał żadnych środków nauczenia się. Dorosłym był już młodzianem, a dobrze czytać nie umiał, i wcale źle pisał; zaledwie początki arytmetyki rozumiał. Tyle umiał mając 14 albo 15 lat, kiedy mu przyszło na myśl przysposobić się do nowego sposobu życia. Dlatego oddalił się do groty tajemnéj, niedaleko od domu ojca i zaczął błagać Pana. Z początku był straszliwie kuszony potęgą ciemności, która wszystkiego użyła, by go pokonać; ale oparł się, a ciemność znikła z jego umysłu, a w nagrodę swoich gorących modłów, Pan ukazał mu w niebie jasność cudowną, nadzwyczajnego blasku, która zdawała się ginąć w głębiach eteru. Jednak siłą swych modłów zmusił owę jasność do zstąpienia ku niemu, tak, że osiadła na ziemi, a Józef Smith ujrzał się okryty nadprzyrodzonym ogniа płomieniem, poczuł dziwną w sobie odmianę, a duch jego natychmiast uniesiony poza obręb świata fizycznego, który go otaczał, rozpływał się w bozkiém widzeniu, w którém spostrzegł dwie osoby bozkie, zupełnie do siebie podobne. Od nichto się dowiedział, że jego grzechy były mu odpuszczone, i otrzymał objawienia w tych rzeczach, które oddawna zaprzątały jego umysł. Nauczono go, że nauka wszystkich wyznań religijnych była skażona błędami, a żadna z nich nie była uznaną od Boga za jego kościół, za jego królestwo. Odebrał potém obietnicę „że prawdziwa nauka, i dopełnienie ewangelii kiedyś mu objawione będą". W końcu widzenie zniknęło, zostawując go w nieopisanym stanie pokoju; a jednak w jakiś czas po tém chwalebném widzeniu, będąc młodym jeszcze, uległ marnościom tego świata, ale niedługo żałował tego szczerze i pobożnie.

Podobało się Bogu d. 21 września roku łaski 1823 wysłuchać gorącéj modlitwy swojego ucznia. Zdało mu się nagle, że dom jego ogarnęły ogniste płomienie. To zjawisko niespodziane zrobiło na nim, jako się domyśléć można, nadzwyczajne wrażenie, za którém nastąpiło uczucie spokoju i pogody, zachwyt wesela, które przechodzą wszelkie pojęcie, i natychmiast ukazała się postać tajemnicza.

Mimo blasku światłości, która napełniała izbę, zdało się, jakoby nowa jasność ukazała się przy téj osobie; a choć wzrok jéj był od błyskawicy przenikliwszy, wejrzenie było tak słodkie i ujmujące, że wszelka bojaźń ustąpiła z serca Smitha, a dusza jego pogrążona była w niebiańskim pokoju.

Postawa téj osoby była okazalsza, aniżeli zwykle miewają ludzie tego wieku, w jakim ona się wydawała: szata jéj była biała, cała tkana.

Ta nadprzyrodzona istota byłto anioł Pański, posłany od Boga samego żeby oznajmić Smithowi, że jego grzechy są mu odpuszczone, modlitwy wysłuchane; a dać mu dobrą nowinę, tojest: że dawne przymierze zawarte niegdyś z Izraelem miało się dopełnić wkrótce dla jego potomstwa, że wielkie dzieło przygotowawcze dla drugiego przyjścia Messyasza miało się rozpocząć, że czas nadchodził, w którym ewangelia dopełniona miała być opowiadana wszystkim narodom, że lud nowy miał być przysposobiony przez wiarę i prawdę do królestwa bożego na ziemi.

Anioł mu oznajmił, że on sam był powołany i wybrany za narzędzie Pana. Objawił mu także, że Indyanie Ameryki byli szczątkami Izraela; że w czasie w którym przeszli do Ameryki składali oświecony naród, posiadający poznanie prawdziwego Boga, cieszący się jego łaską i szczególnemi dary; że zpomiędzy nich prorocy i natchnieni pisarze mieli rozkaz zachowania historyi najważniejszych wydarzeń, które się dokonały w pośród ludu; że historya ta przechodziła z pokolenia do pokolenia aż do czasu, w którym Izrael popadł w wielką przewrotność. Największa część narodu zginęła, ale księga święta była złożona w miejscu bezpiecznem, by ją uchronić od rąk złośliwych, które chciały ją potargać. Udzieliwszy mu wiele innych objaśnień tyczących się rzeczy przeszłych i przyszłych, bozki posłaniec zniknął, nadprzyrodzone światło ustało, zostawiając Smitha w stanie pokoju i wesela, który trudno opisać. Lecz dwa razy téjże nocy to samo się powtarzało widzenie, a za każdą razą anioł dodawał coś do wiadomości, jakie dawał Smithowi o wielkiém dziele, które Bóg miał przez niego dokonać na ziemi. Nazajutrz rano, kiedy wychodził do zwyczajnéj pracy, anioł znów mu się ukazał, i uwiadomił go o miejscu, w którém księga święta była złożoną.

Udał się więc na wskazane miejsce, a oto opis jego, zrobiony przez osobę, która je oglądała:

„Idąc wielkim gościńcem, który prowadzi z Palmyry do Canandiga w prowincyi New-York, kiedy przybliżasz się do małéj wioski Manchester, o 3 lub 4 mile od Palmyry, odkrywasz na prawéj ręce przy drodze wysoki pagórek. Tamto, na zachodnim brzegu tego pagórka, w niewielkiéj odległości od szczytu, książka była znalezioną; a kiedy odwie-

działem te miejsca w 1830 roku, było tam jeszcze drzewa w takiej ilości, że w lecie cień dawały, a nie tak zgęszczone, żeby trawa rość nie mogła. W otworze niebardzo głębokim, który zrobiono, znaleziono naprzód kamień dość znacznéj objętości, i ogładzony po wierzchu. Kamień ten zamykał małe wydrążenie, również gładkiemi czterema kamieniami wyłożone, w środku na trzech podstawach z kamienia była złożona księga święta. Kiedy Smith z podziwieniem religijném rozważał ten skarb święty, anioł który się był mu pokazał, zjawił się i teraz, a dusza jego była oświeconą jako poprzedniego wieczora; napełniony był Duchem św., niebiosa się otwarły, a promień chwały bożéj zstąpił na niego. Był jeszcze pogrążony w zachwyceniu, kiedy rzekł mu anioł: „spojrzyj"—i widział książęcia ciemności, za którym szło niezliczone wojsko duchów piekielnych. Kiedy wojsko przeszło przed nim, bozki posłannik rzekł mu: „to ci było pokazane, dobre i złe, zdrowe i nieczyste, chwała Pana, i moc ciemności, ażebyś odtąd znał dwa początki, a nie szedł nigdy ani był zwyciężony od złego. Nie możesz zaraz dziś wziąć księgi świętéj, bo rozkaz Pana jest wyraźny, a chce, abyś ten święty skarb pozyskał przez modlitwę i zachowanie jego przykazań."

„Przez cztery późniejsze lata Smith odbierał często nauki z ust bozkiego posłańca, a dopiéro rano 22 września roku łaski 1827 anioł Pana oddał mu księgę."

„Była wyrytą na blachach metalowych, które miały podobieństwo złota. Każda blacha miała 7 do 8 cali długości, i tyleż szerokości, a nie była tak grubą jak blacha pobielana. Blaszki te były pokryte z obudwóch stron charakterami egipskiemi: były złożone w księgę, jako karty książki zwyczajnéj, a z jednego brzegu były związane razem trzema kółkami, które przez wszystkie blaszki przechodziły. Księga miała blizko sześciu cali grubości, a na części jéj kart była wyciśnięta pieczęć tajemnicza."

„Charaktery albo litery wyryte na kartach nieoznaczonych pieczęcią były małe i bardzo dobrze wypracowane. Cała księga miała pozór wielkiéj starożytności, jako téż wielkiéj zdolności w sztuce rytowania. Znaleziono przy niéj położony bardzo ciekawy instrument, od dawnych nazywany *urim* i *thummim*, który miał kształt małego łuka, przy obu końcach opatrzonego dwoma przejrzystemi jak kryształ kamieniami. Tego narzędzia używali niegdyś ci, których nazywano *widzącemi*, i za jego pomocą odbierali objawienia."

Kiedy Józef Smith objawił swoję naukę ludziom, jako on sam nieumiejętnym, i wielu innym, którzy téż nie więcéj umieli, zaczęto w publiczności rozpowiadać o cudownych blaszkach. Żałować trzeba, że Orson Pratt nic nie powiedział co było zrobione, żeby wykazać ich pra-

wdziwość. Nadewszystko szkoda, że nie daje żadnego objaśnienia, co do kroku jednego z nowych nawróconych, Marcina Harris, do uczonego New-Yorku, pana Anthon. Szczęściem w dziennikach New-Yorku znajdujemy list tego professora, który najlepiéj publiczność oświeci. Zapewne gdy rozgłosili Mormonowie, że p. Anthon widział blaszki i ogłosił, że charaktery na nich były egipskie, był proszony od wielu osób, żeby oświadczył, co wiedział o tym przedmiocie. Oto odpowiedź jego, dana doktorowi Howe:

New-York, 17 lutego 1834 r.

„Drogi mój panie! Otrzymałem twój list z d. 9., i pospieszam ci nań odpowiedzieć. Cała historya, jakobym miał powiedzieć, że pismo Mormonytów jest w charakterach hieroglifów egipskich poprawnych, największém jest kłamstwem. Przed kilką laty, młody rolnik z pozoru naiwny i prostak, przybył do mnie z listem doktora Mitchell, prosząc, żebym odczytał jeżeli potrafię, pismo, które mi ów rolnik miał okazać. Po kilku chwilach badania postrzegłem, że to było głupstwo albo oszustwo. Kiedy zapytałem go, zkąd ma ten papiér? odpowiedział mi: księga złota, złożona z pewnéj liczby blaszek złotych, związanych razem nicią tegoż metalu, znalezioną była na północy w prowincyi New-York, i z nią para kolosalnych okularów. Okulary te były tak wielkie, że jedno szkło wystarczało na oba oczy; jakoż były rozmiarów nazbyt wielkich dla obecnego rodu ludzkiego. Lecz co było jeszcze dziwniejszém wedle mniemania biédnego chłopczyny, że przez te okulary patrząc na pismo księgi złotéj, można było nietylko czytać je, ale jeszcze myśl rozumiéć. Przecież władza ta nadzwyczajna dostała się wyłącznie młodemu człowiekowi, właścicielowi skrzyneczki, w któréj znalazł księgę i okulary. Schowany za zasłoną w stodole pewnego folwarku, ów młodzieniec ukryty przed oczami wszystkich, kładł okulary, a patrząc przez jedno szkło, odczytywał pismo księgi, tłumaczył z niego kilka wierszy, które chwytali ciekawi stojący z drugiéj strony zasłony. Przy tém nawiedzeniu, Marcin Harris słowa nie rzekł o łasce Boga, jako środku wyczytania tajemniczego pisma: wszystko tu okulary dopełniały. Powiedział mi tylko, że mocno na niego nalegano, ażeby dał pieniędzy na koszta ogłoszenia téj księgi złotéj, któréj treść, mówił, miała sprawić wielkie zmiany na świecie, a ród ludzki od zguby zachować. Tak silne były te nalegania, że postanowił sprzedać swoję rolę, a pieniądze oddać tym, którzy przyrzekali ogłosić tę książkę. Chciał zażyć jeszcze roztropności, i przyszedł do New-Yorku, w celu poradzenia się ludzi uczonych i dowiedzenia się, co obejmował ów papiér, który przyniósł ze sobą, a był

mu dany, jako ułomek księgi złotéj, którego ów młodzieniec okularami swemi jeszcze nie odczytał. Słuchając tego dziwnego opowiadania, domyśliłem się, że w tém nietylko jest sam żart, a jeszcze podłe oszustwo, wymierzone przeciwko temu młodzieńcowi. Udzieliłem mu swoich domysłów, ostrzegając, żeby się miał na ostrożności. Prosił mię, żebym moję opinią dał mu na piśmie, czego naturalnie odmówiłem i rozłączyliśmy się".

„Co się tyczy papiéru, który z sobą zabrał, był pokryty charakterami pogmatwanemi różnego rodzaju, ustawionemi w kolumny, i widocznie wyrytemi przez kogoś, który je pobrał z różnych alfabetów greckich, hebrajskich i t. d.; widzieć można było nawet litery łacińskie przewrócone, albo pisane na bokach w kolumnach prostopadłych: wszystko się kończyło kołem grubo nakreślonem, na wiele podzielonem części, pokrytych dziwnemi znakami, widocznie pożyczonemi z kalendarza mexykańskiego, wydanego przez Humboldta, ale tak skopiowane, żeby nie można było dojść źródła, zkąd były wzięte. Wchodzę w te drobnostki, bo często o tym przedmiocie rozmawiałem z przyjaciołmi, odkąd Mormony zaczęli zajmować publiczność, a przypominam sobie doskonale, że papiér ów, był pokryty wszelkiego rodzaju charakterami, wyjąwszy hieroglifów egipskich."

„Oto wszystko, co mi wiadomo o początkach Mormonizmu, a proszę cię, jako o osobistą przysługę, żebyś kazał natychmiast ten list ogłosić, żeby więcéj ci nieszczęśni fanatycy nie nadużywali mojego imienia.

Zostaję i t. d.

Karol Anthon".

List ten nie potrzebuje rozbioru.

Z drugiéj strony, oto treściwy wyciąg z księgi Mormona, tak dziwacznie w świat rzuconéj. Wyjmujemy to z ogłoszenia, które ma za tytuł: *Voice of warning* (głos poradnika), a autorem jego jest Parley P. Pratt, drugi apostoł Mormonów.

Księga Mormona zawiéra historyą dawnych mieszkańców Ameryki, którzy byli szczepem rodu izraelskiego, i z pokolenia Józefa, których Indyanie naszych czasów ostatnie przedstawiają szczątki. Główny z pośrodka ich naród uległszy w walce, około IV lub V wieku naszéj ery, jeden z ich proroków, którego imię było Mormon spisał pokrótce ich historyą, proroctwa, nauki, które wyrył na blaszkach metalowych, a sam będąc zabity, książka jego dostała się synowi jego, imieniem Moroni, który ścigany od zwycięzkich nieprzyjaciół, otrzymał z nieba rozkaz zakopania tego świętego skarbu, z obietnicą Boga, że on nie zaginie, a owszem będzie dany ludziom w dniach ostatecznych świata, przez jeden naród, który w następstwie czasów i przemian stanie się panem Ameryki. Zabytek ten

był dokonany koło roku 420, na wzgórzu zwaném podówczas Cumora, położoném dziś w hrabstwie Ontario, prowincyi New-Yorku, gdzie był wybornie przechowany aż do chwili, w któréj za pośrednictwem aniołów był oddany ludziom, a natchnieniem niebieskiém wytłumaczony.

Może się kto zapyta, jakim sposobem człowiek tak nieoświecony, jak Józef Smith, mógł napisać dzieło, chociażby nawet niedorzeczne, jakiém jest księga Mormona. Oto mała anegdota, która choć trochę objaśni pytanie. Pokazuje się, że w r. 1809, pewien człowiek imieniem Salomon Spaulding, były minister kościoła, któremu źle się powiodły interesa w Cherry-Vale, w prowincyi New-York, usunął się na wieś, by żyć oszczędniéj, a utrzymywać się z prac literackich. Uderzony przypuszczeniem, które naówczas było powszechne w Stanach Zjednoczonych, a które Indyan uważać kazało za potomków 10 pokoleń izraelskich, a historya ich zaginęła; powziął myśl zrobić z tego przedmiot romansu religijnego:—bajki biblią natchnionéj. Nad tém przez 3 lata pracował, a owoc téj pracy jest dzieło, które nazwał *rękopism znaleziony*. Mormon i syn jego Mormoni byli głównemi osobami romansu. W r. 1812 rękopism był przedstawiony księgarzowi wydawcy Pittsburga, w Pensylwanii; lecz nim zgodzono się na warunki wydania, autor umarł, a rękopism został w rękach księgarza, który nawet mało nań dawał uwagi. W r. 1826 umarł znów księgarz, lecz przedstawił poprzednio rękopism pewnemu Sidney Rigdon, zarządcy jego drukarni, a który też po Józefie Smith jest głównym naczelnikiem Mormonów. Jakim zaś sposobem poznali się z sobą, nie wiadomo, i który z nich powziął myśl z bajki Salomona Spaulding zrobić nową biblią, i to niepewno. To tylko wiadomo, że żona, towarzysz, kilku przyjaciół i brat Salomona Spaulding pod przysięgą zeznali tożsamość głównych części księgi Mormona ze znalezionym rękopismem, które autor im czytywał częściami, i po kilka razy.

Rzecz religijna, naśladowana ze starego i nowego testamentu, tak jest przekręconą w bajce Salomona Spaulding, że zupełną zdradza niewiadomość pisarza; pełno błędów najgrubszych pisowni angielskiéj, nieznajomość grammatyki w każdym wierszu widoczna: przy dodanym texcie najczęstsze anachronizmy: mówi o bussoli jako o narzędziu znaném przed erą chrześciańską, Zbawiciel świata wystawiony jest jako ukazujący się zaraz po swojém zmartwychwstaniu żydom w Ameryce: naród, który wedle Józefa Smith, nie rozumiał greckiego, lecz mówił jakąś hebrajszczyzną, albo poprawnym egipskim, i do którego Zbawca odzywa się w tych słowach: „Ja jestem Jezus Chrystus, syn Boga, stworzyłem niebo i ziemię, i wszystkie rzeczy, które zamykają. Jestem światłością i żywotem świata, *alfa* i *omega*, początek i koniec"? Co dowodzi, że Józef Smith nie wie-

dział, że Jezus jest tłumaczeniem z hebrajskiego Josua; że Chrystus znaczy po grecku *pomazaniec pański*; że *alfa* i *omega* są piérwszą i ostatnią literą alfabetu greckiego, i że te wszystkie słowa i wiele innych, których używa, a które nie tu miejsce przywodzić, nie miałyby żadnego znaczenia dla ludu, któryby słowa po grecku nie umiał.

Oprócz księgi Mormona, święci dnia ostatecznego mają jeszcze książkę nauk, które utrzymują, że były objawione Józefowi Smith i innym. Książka ta mówi o zarządzie doczesnym ich kościoła, o utrzymaniu biednych, o dziesięcinie, o ustanowieniu miast i kościołów, o podziale ziemi, o wędrówce świętych, o wychowaniu ludu i t. d. Księga ta pełna jest błędów przeciw pisowni i składni, więcéj nawet jak księga Mormona. Kilka wyjątków z tych objawień i styl, w jakim Józef Smith każe przemawiać Wszechmocnemu w rozmowach z nim, przekonają, jakiemuto ludzie pod wpływem fanatyzmu mogą dać wiarę głupiemu oszustwu, jakim szaleństwom, a nawet niedorzecznościom. Oto kilka wierszy objawienia, które, jak utrzymuje Józef Smith, było mu uczynione w lutym, 1831 r. We wszystkich tych objawieniach, Pan zawsze dodaje do imion Józefa Smith miano *młodszy* (junior), ażeby go zapewne nie brano za jedno z ojcem Józefem Smith, *starszym* (senior). „Trzeba, mówi jedno objawienie Pana, datowane w lutym, 1831 roku, trzeba żeby był zbudowany dom mojemu słudze, Józefowi Smith młodszemu, gdzieby mógł żyć i tłumaczyć w pokoju". Inne objawienie tego miesiąca mówi: „jeżeli chcecie tajemnic mojego królestwa, opatrzcie Józefa Smith młodszego żywnością, odzieżą, i wszystkiemi rzeczami, których potrzebuje". We dług objawienia, prorok nie miał obowiązków pracowania, ażeby żyć. „W pracach doczesnych, mówi objawienie z lipca, 1830 roku, nie będziesz miał siły, bo to nie twoje powołanie. Spełniaj twoje powołanie, a będziesz miał wszystko, co ci będzie potrzebném do wypełnienia twoich powinności, i wytłumaczenia wszystkich pism".

Wypada nam dodać, że Mormony uznają dwa porządki kapłaństwa, Aarona i Melchisedecha; że są żądzeni przez proroków albo prezydenta, przez 12stu apostołów, przez radę zwaną siedmdziesięciu, przez liczbę nieoznaczoną biskupów, arcykapłanów, dyakonów, starszych i nauczających. Utrzymują, że dar proroctwa i moc czynienia cudów nie ustały pomiędzy ludźmi; że Józef Smith i wielu innych Mormonów czynili cuda i wypędzali djabła; że koniec świata blizki; że są świętemi przepowiedzianemi w Apokalipsie, którzy mają odziedziczyć królestwo doczesne Jezusa Chrystusa na tym świecie. Nauczają także, że to królestwo powinno być założone albo nad brzegami Missouri, miejscu piérwszéj ich osady, albo w kraju, który teraz zajmują nad brzegami wielkiego jeziora Słonego, na

płaszczyznie którą nazwali *Deseret*. Utrzymują, że księga Mormona ze zbiorem nauk, stanowi dopełnienie ewangelii, że nic nie wzięła, ani ze starego, ani z nowego testamentu, które ma dopełniać. Zdaje się jednak, że jéj nauka o Bogu, różni się od ewangelii, i uznaje bóstwo materyalne. Wyraźniéj to ogłaszają w zbiorze, który ma tytuł: *Times and Seasons* i w wielu innych pismach. Następny wyjątek z pewnego rodzaju wyznania wiary, podpisanego przez Orsona Spencer, jednego z 12 apostołów ich kościoła, daje poznać ich mniemanie w tym względzie. „Pod niektóremi a nawet pod wielu względami różnimy się od innych religijnych wyznań. Wierzymy, że Bóg jest istotą, która ma przytém ciało i części, a nawet namiętności. Nie wierzę, aby pismo święte kończyło się objawieniem św. Jana, ale wierzę, że wszędzie gdzie Bóg znajduje swój prawdziwy kościół, częste daje objawienia; a jako Bóg wie wszystkie rzeczy duchowne i doczesne, jego objawienia tyczą się wszystkich rzeczy, które mogą posłużyć do okazania jego chwały".

Józef Smith jeszcze jest wyraźniejszy w szóstéj księdze *Millenial Star*; czytamy z jego podpisem:

„Coto jest Bóg? Jestto intelligencya materyalna, organiczna, która ma ciało i części. Ma postać człowieka, i jest rzeczywiście tego samego rodzaju; ale jest wzorem i typem doskonałości, do jakiéj człowiek dążyć powinien. Bóg jest naczelnikiem i ojcem całéj rodziny. Istota ta nie może na raz dwa zajmować miejsca: dlatego nie może być wszędzie obecny.

„Coto są aniołowie? Istoty mające początek z rodu ludzkiego; wielu są dziećmi Adama i Ewy, z ludzi, jak napisano, istoty Boże, mające tę samą władzę, przymioty, jaką posiadają: Ojciec niebieski i Jezus Chrystus.

„Najmizerniejszy z dzieci Boga, które dziś na ziemi żyją, będzie miał królestwo obszerniejsze i więcéj bogactw, więcéj podwładnych, więcéj potęgi, więcéj chwały, niż posiadają dziś Jezus Chrystus i Jego Ojciec; lecz w tymże czasie Jezus Chrystus i Jego Ojciec ujrzą wzrastającą swoję potęgę, swoje państwo i podwładnych w odpowiednim stosunku". Materyalizm przeto spoczywa na dnie prawdziwéj nauki Mormonów, a jedna z broszur, którą w największéj liczbie i z największą troskliwością rozrzucają, ma napis: *niedorzeczność niematerya!ności*.

Dosyć tego zapewne o naukach Mormonów. Czytelnik może teraz dostatecznie ich osądzić. Nic jeszcze nie powiedzieliśmy o żarliwości ich fanatyzmu, a dosyć, żeby pokazać, co dziś znaczą pod względem religijnym. Poprobujem teraz opowiedzieć historyą téj sekty nadzwyczajnéj, wylęgłéj z początku w śmieszności i pogardzie, rozwijającéj się potém mimo dziwnych losów, wśród prześladowań i najzaciętszéj wojny, a dziś

widzimy ją liczącą swoich wiernych na krocie, chwalącą się, że zebrała dla powołania swoich adeptów do *Deseret*, fundusz 3500 kilog. złota Kalifornii, że ma wysłańców po wszystkich krajach Europy, i dokonywa planu nierównie obszerniejszego wychodźtwa, niż wszelkie inne w nowszych czasach towarzystwa polityczne lub religijne.

II.

Dzień każdy bardziéj potwierdza tę prawdę, niebardzo schlebiającą miłości własnéj człowieka, że nie ma niedorzeczności, ani fanatyzmu, któreby nie znalazły takich, coby weń nie uwierzyli. Uczeni czy nieświadomi, bogaci czy ubodzy, prostaki czy światli ludzie, wszyscy mogą w danym dniu przejść za granicę rozumu, i stać się ślepém narzędziem oszustów religijnych, a co niebezpieczniejsza, szaleńców, którzy ich sprawie dają straszliwą podporę sumiennéj wiary, z jaką oni przy niéj obstają. Czyby Józef Smith do jednéj czy drugiéj z tych dwóch klass należał? To jest pewno, że od początku jak rozpoczął głosić swoję naukę, zaraz począł robić koło siebie nawrócenia. Przepowiednia dni ostatecznych, tojest dni, które mają poprzedzić drugie przyjście Chrystusa, ukazującego się znów na ziemi, dla utwierdzenia swojego królestwa doczesnego, *millenium*, miała wielki wpływ na massy. Józef Smith chwyta to wyobrażenie, a każde trzęsienie ziemi, ogłoszone w pismach, każda nowa kometa, którą odkryto, każdy meteor, który ukazywano, każda wojna lub pogłoska o wojnie w Europie lub Ameryce, każdy potwór u zwierząt, każda klęska publiczna, burza, pożar, wybuch, przepowiadane były przez niego z siłą i zręcznością, jako dowód i blizki zwiastun przybliżania się dni ostatecznych. Dwie wielkie sprzyjały mu potęgi: nowość w myślach i nieugięty charakter. Nauka jego była razem dawną i nową. Trzymała dosyć z dawną wiarą, by uwieść tych, których zupełna nowość byłaby odstraszyła, a zawierała dosyć nowości, by ściągnąć uwagę i zapalić imaginacyą tych, dla których dawne podania zwietrzały. Opierając naukę swoję na oderwanych ustępach Biblii, utrzymując, że wprost jest natchnionym przez Wszechmocnego, obiecując prawdziwie wierzącym posiadłość ziemi, władzę i chwałę doczesną, połączoną z błogosławieństwem nieba; obdarzony odwagą i śmiałością, które za nic miały przeszkody i niebezpieczeństwa: Józef Smith wkrótce był uznany i szanowany jako naczelnik trzody uczniów, wprawdzie nielicznéj, ale na drodze postępu, i ożywionych gorącym fanatyzmem.

Dnia 1go czerwca, 1830 roku, sekta uorganizowawszy się w kościół, miała piérwsze zebranie w Fayette, małéj mieścinie, która przez długi czas była rezydencyą proroka i główną kwaterą religii. Liczba wie-

rzących, policzywszy i familią Smitha, wynosiła 30 osób. Lecz zaraz od piérwszego dnia swojego urzędowego istnienia, spotkali żywą nienawiść u ludu. Józef na małym strumieniu kazał zbudować budkę, żeby w niéj chrzcić swoich uczniów. Tłum ludu zebrał się, zniszczył zaczęte dzieło, a na ten raz słowami tylko znieważył proroka, niebardzo pochlebnemi dla niego i jego wyznawców; o mało nawet nie przyszło do gwałtu i morderstwa. Nie ustraszył się przecież. Z rzadką zręcznością umiał odwrócić od siebie zarzuty jakie mu czyniono, wyznając wprost niebardzo poczciwe a nawet niemoralne życie, jakie dawniéj prowadził; ale jakkolwiek był niegodnym, Pan go powołał, odpuścił mu jego grzechy, a w nieprzejrzanych swoich wyrokach, postanowił uczynić z niego, biednego grzesznika, narzędzie swojéj chwały.

Mimo to wszystko jednak Palmyra i Fayette, piérwsze stolice nowego kościoła, siedlisko familii Smitha, ojca i braci, którzy się zbierali u Józefa dla założenia nowéj religii, były zawiele znane; przenieśli się więc do Kirtland, w prowincyi Ohio. Prócz tego w piérwszych zaraz dniach powzięli zamiar przejść na Wschód, w krainy ledwie znane, mało jeszcze zamieszkałe, a mające dobrą ziemię, którą można było nabyć w wielkiéj ilości a po małéj cenie. Oliwer Cowdery, wysłany na zwiady tak dobrze zachwalił hrabstwo Jackson, w prowincyi Missouri, że po kilku tygodniach przebywania w Kirtland, Józef Smith sam postanowił zwiedzić Missouri. Zostawiwszy swoję rodzinę w Kirtland, puścił się w drogę z Sidnejem Rigdon i innemi wiernemi dla oznaczenia miejsca dla nowéj Jerozolimy, przyszłego miasta Chrystusowego, w którém Pan miał panować nad świętemi jako król doczesny, w wielkiéj chwale, i wielkiéj potędze. Udali się w środku czerwca, jużto wozami, już łódkami, a nawet pieszo aż do Cincinnati; statek parowy powiózł ich nawet aż do Luisville i St. Louis. Tam nie mając żadnych sposobów do jazdy, do stu mil drogi zrobili pieszo, aż do Independence, miasta położonego w hrabstwie Jackson, prowincyi Missouri. Przybyli na miejsce przeznaczenia z pokaleczonemi nogami i nadzwyczaj strudzeni, ale zachwyceni byli pięknością i żyznością kraju.

Józef Smith im dłużéj mieszkał w Missouri, tém więcéj unosił się nad krajem, w którym chciał urządzić świętych; w czém żeby mu różność opinii wiernych nie przeszkadzała, miał wprost objawienie, w którém Bóg stanowił, żeby Missouri było nowym Syonem, i dawał poznać swoję wolą co do urządzenia kościoła, zbudowania świątyni, podziału gruntu, i sposobu prowadzenia życia ludu. Oto ten szczególny dokument:

„Słuchajcie, o wy starsi mojego kościoła, rzekł Pan, Bóg wasz, słuchajcie, wy którzyście się zgromadzili wedle moich rozkazów na téj zie-

mi, którą obrałem i poświęciłem na mieszkanie świętych; ona jest ziemią obiecaną i miejscem w którém ma stanąć miasto Syon. A Pan, wasz Bóg mówił jeszcze: jeżeli szczerze szukacie mądrości, oto mądrość. Uważajcie to miejsce, które się dziś nazywa Independence: jestto środek mojego królestwa, a na wschodzie ma plac, gdzie ma stanąć świątynia, niedaleko gdzie dziś jest pałac sprawiedliwości. Ziemia ta więc musi być kupiona przez świętych, jako i cały kraj na wschód położony, aż do linii, która ma przedzielać żyda i poganina. Oto co powinni uczynić, żeby weszli w posiadanie dziedzictwa wiecznego."

„Niech sługa mój Gilbert spełnia powinności, do jakich go wybrałem: niech zbiera pieniądze wiernych, niech będzie ajentem mojego kościoła, niech zakupi tyle ile będzie mógł ziemi, ile uczciwość i roztropność mu każą."

„Niech sługa mój Edward Partridge spełnia urząd, do jakiego go wybrałem; niech rozdzieli między świętych dziedzictwo, jako rozkazałem; niech mu dopomagają wierni, których sam do tego wybierze."

„I mówię wam jeszcze, ażeby mój sługa Gilbert zamieszkał w tém miejscu; żeby zbudował magazyn, sprzedawał w nim swoje towary bez oszukaństwa, a dochód z tego żeby był użyty na zakupienie ziemi dla dobra świętych, na nabycie wszystkich przedmiotów, których święci potrzebują dla urządzenia się w swojém dziedzictwie. A prócz tego niech mój sługa Gilbert zyska sobie pozwolenie, na przesyłanie wszystkich rzeczy potrzebnych memu ludowi; niech do tego ma komisantów, albo kogo chcieć będzie, ażeby moi święci byli opatrzeni, a ewangelia moja była głoszona tym, którzy zostają w ciemności, w krainie śmierci."

„A jeszcze mówię wam zaprawdę, ażeby mój sługa William W. Phelps zamieszkał w tém miejscu, żeby był drukarzem mego kościoła, a jeżeli ludzie będą kupować jego książki, niech uczciwie zysk obraca na pożytek świętych. Niech mój sługa Oliwer Kowdery będzie przy nim, jak to rozkazałem, niech przygotowywa kopie, robi poprawki, wybiera materye do druku, aby wszystko było w obliczu mojém dobrze, jako będzie pochwaloném przez ducha, który go prowadzić będzie. Niech więc ci, o których mówiłem, urządzą się na ziemi Syon, i prędko, ile można, i ze swojemi familiami, dla wypełnienia tego, co powiedziałem."

„A oto teraz co postanawiam względem ostatecznego zebrania świętych: niech biskup i ajent kościoła robią potrzebne przygotowania dla sprowadzenia najprędzéj jak można rodzin, które oznaczyłem, na tę ziemię, ażeby odebrały w posiadłość ich dziedzictwo; a co się tyczy innych starszych i członków mego kościoła, później dane im będą rozkazy. Amen."

Kilka też zrobił nawróceń. D. 3 sierpnia, miejsce kościoła było uroczyście oznaczone i poświęcone Panu; potém nazajutrz prorok ukończywszy wszystkie urządzenia, postanowiwszy biskupa, przygotowawszy jako mniemał, miejsce dla swojego kościoła, zabierał się powrócić do Ohio. Nie wiadomo jednak z jakiéj przyczyny powstała sprzeczka z jego przyjacielem Sidnej Rigdon. Po tém co później nastąpiło domyślać się można, że Sidnej wzdychał do wyższéj władzy w kościele, niżeli mu prorok udzielał; ale jakikolwiek był powód, Józef Smith udzielił morałów swojemu uczniowi przez nowe objawienie, które go oskarżało o wielką pychę i godne kary lekceważenie rozkazów Pana. Pogodzili się jednak, a za pomocą handlowego stowarzyszenia, wspierani od innych świętych i starszych kościoła, założyli w Kirtland młyn i magazyn dla wiernych, i podnieśli bank, którego Józef Smith był dyrektorem, a Sidnej Rigdon kassyerem. W tym samym czasie ogłosili Kirtland za jednę z kolumn Syonu, i postanowili zostać tam najmniéj lat pięć dla zyskania pieniędzy, i żeby przez ten czas ziemia Missouri była wykarczowaną i zbudowany Syon.

Od tego czasu aż do stycznia 1832 r. Józef Smith chodził przepowiadając po różnych prowincyach Unii, robiąc różne nawrócenia i odpierając rzucane potwarze, które rozgłaszał pewien Ezra Booth, niegdyś członek rady świętych, a którego jako odstępcę wyklął prorok. Jego dziwaczne nauki, skargi przeciw niemu czynione, nienawiść, jaką budziły jego opowiadania w innych niemniéj żarliwych fanatykach, sprawiły mu wiele nieprzyjaciół. Dnia 25 stycznia 1832 r. znajdując się w wiosce Hiram, podczas nocy wyrwany był z łóżka przez tłum Metodystów, Baptystów, i Campbellistów, odarty ze wszystkich szat, omazany smołą, tarzany w pierzach. Sidnej Rigdon, który mu w téj wycieczce towarzyszył, doznał tego samego losu od tych zażartych fanatyków. Po téj nieszczęsnéj przygodzie Józef Smith zauważał, że należało oddalić się z kraju tak źle dlań usposobionego, i dlatego wyjechał w piérwszych dniach wiosny z kilku wiernemi, żeby w Missouri dopełnić objawienia. Lecz chociaż chował w tajemnicy swój odjazd, prześladowcy jego dowiedzieli się i ścigali go przez kilkaset mil aż do Louisville, gdzie ukrył się i miał przytułek u pewnego kapitana statku parowego. Nakoniec 26 kwietnia przybył do Syon, tojest do Independence, gdzie z zapałem przyjęło go liczne zebranie świętych, którzy go urzędownie powitali jako proroka, jako widzącego, jako naczelnika sług kościoła. Podczas jego nieobecności i stosownie do jego rozkazów, zakupiono potrzeby drukarskie i założono przegląd miesięczny pod tytułem: *Eve ing and Morning Star*. W kilka dni potém ukazał się dziennik tygodniowy: *Upper Missouri*

Advertisser. Te dwa czasopisma były poświęcone Mormonizmowi, który liczył naówczas 2000—3000 uczniów, po większéj części zamieszkałych w Missouri. Liczba świętych w Kirtland, rachując w to żony i dzieci, nie wynosiła więcej nad 150 osób. Ale w Kirtland miał Józef młyn, grunta i magazyn, nad któremi trzeba było czuwać; a chociaż był tam otoczony nieprzyjaciołmi, rad nierad musiał tam powrócić. Opuścił więc Syon w zaufaniu, że wszystko szło dobrze. Jednak w styczniu 1833 r., kiedy prorok w Ohio zajęty był swojemi materyalnemi interesami, rozdział zrobił się w samym Syonie, co przy wielu innych zewnętrznych okolicznościach, było źródłem nieszczęść dla Mormonów, a w końcu wypędzenia ich siłą oręża z prowincyi Missouri. Sposób prowadzenia się Mormonów w swoim nowym Syonie nie mógł im zrobić wielu przyjaciół. Ton wyniosły jaki przybierali, obrażał wszystkich; potwarze jakie rzucali ich nieprzyjaciele i odstępcy wygnani z kościoła dla złego prowadzenia, budziły żywe niespokojności i zawiść nieubłaganą. Oskarżono ich o kommunizm, nietylko ziemi, a nawet kobiét. Te obadwa oskarżenia były zupełnie fałszywo, a przez powtarzanie, uwierzono, choć temu zaprzeczali Mormony. A jakby dla powiększenia nienawiści, którą wielu przeciwko nim pałali, mówili tak niebacznie o projekcie, jaki zrobili, owładnięcia całéj prowincyi Missouri, i wypędzenia wszystkich, którzy nie należeli do ich kościoła, że przeciw nim uformowało się potężne stronnictwo, którego tajemnym a dobrze obmyślanym celem było wypędzić wszystkich o ile być może najprędzéj z ich ziemi obiecanéj. W jednym liście Józef Smith grozi wszystkim odszczepieńcom Syonu przekleństwem nieba: „Ja mówię wam, a co wam mówię, mówię to do wszystkich, ażebyście słuchali głosu bożego, który woła na was, że Pan zaprzysiągł w swoim gniewie nie przyjmować do swojego pokoju żadnego z mieszkańców Syonu, jeżeli Syon z waszéj winy upadnie". Zdaje się że już wielka liczba świętych Missouri oskarżała Józefa Smith, że dąży do władzy monarchicznéj. Jakiekolwiek były marzenia jego ambicyi, uznał potrzebę oczyszczenia się z tego zarzutu, przyjmując do najwyższego zarządu kościoła swego dawnego kolegę Sidneja Rigdon i drugiego świętego. Jak zwykle, w wigilią tak ważnego wypadku miał objawienie.

Jednak, choć niesnaski wewnętrzne temi środkami zdawały się uciszać, dawni koloniści Missouri okazywali wielką nieprzychylność kościołowi. Numer *Przeglądu Mormonów* z daty czerwca 1833 r. ogłosił artykuł z napisem: *ludzie czarni wolni*, który przeciw świętym obudził rozjątrzenie stronnictwa antiabolicyonistów, które tak dziś jak i dawniéj żywo się zajmuje kwestyą niewolnictwa. Przeciwna prasa odpowie-

działa Mormonom artykułem, pod napisem: „*strzeżcie się pilnie fałszywych proroków*: a który Józef Smith osądził, że jest napisany przez wysłańca szatana. Artykuł ten licznie rozrzucony w mieście Independence i w okolicach, zamykał wiele potwarzy i wiele prawdziwych zamachów przeciw Józefowi Smith i jego stowarzyszonym. W początkach kwietnia *meeting* odbyty w samém Independence i złożony przeszło z 300 osób nieprzyjaciół Mormonów z jednomyślnością przyjął postanowienie, w którém wyraźnie powiedziano, że Mormonów trzeba wypędzić z kraju: a inne w innych miejscach odbyte meetingi jeszcze sroższe wydały postanowienia. *Meeting* generalny mieszkańców hrabstwa Jackson, zwołany wyraźnie „w celu przedsięwzięcia środków do pozbycia się sekty fanatyków nazwanych Mormonami" odbył się 20 lipca. 400—500 osób zebrało się z różnych okolic i uchwaliło do publiczności adres. Dokument ten ogłaszał, że przed dwoma laty, dwóch takich lub trzech ludzi ukazało się w Missouri, a teraz jest ich do 1200, że każdéj jesieni i każdéj wiosny widziano napływający rój tych sektarzy, że z wychowania i nauki o własności mało się różnią od czarnych, a mimo innych zgorszeń, zgubny wpływ wywierali na niewolników. Nie były też przepomniane ani chełpliwość Mormonów w uważaniu całéj Missouri za swoje dziedzictwo, ani pewność w przepowiadaniu, że wszyscy poganie, tojest ci, którzy nie uwierzyli w posłannictwo Józefa Smitha, będą wycięci jako kąkol w dniu Pana. Adres tak się kończył:

„O objawieniach, które odbiérają wedle swego mniemania z nieba; o prostém obcowaniu, które sobie przypisują z Bogiem i aniołami; o chorobach, które mają leczyć przez rąk kładzenie; o pogardliwych zabobonach, jakiemi znieważają zwykle dzień Pański, nic nie powiemy; do Boga tylko należy pomścić się za to. Lecz co do innych przedmiotów, uważamy sobie za prawo i powinność, jużto dla osobistéj spokojności, już dla społecznego porządku i moralności publicznéj, już też przyszłości, jaka czeka młody ten kraj, jeżeli w początkach zaraz ta sekta stłumioną nie będzie, ogłosić, i jakoż uroczyście ogłaszamy:

„Że na przyszłość żadnemu Mormonowi nie jest wolno osiedlić się w kraju.

„Że ci, którzy są teraz osiedleni, a dadzą zaręczenie opuszczenia braterstwa w pewnym przeciągu czasu, będą mogli pozostać bez żadnéj przykrości, dopóki nie sprzedadzą swoich dóbr i nie ukończą interesów, bez przymuszania ich do wielkich ofiar.

„Że redaktor *Star* powinien zamknąć natychmiast swoje biuro, i zaprzestać roboty drukarskiéj.

„Że naczelnicy Mormonów są wezwani, by użyli swojego wpływu, aby nowe wejście swoich braci wstrzymać, a którzy są obecni, ażeby się zastosowali do tych przepisów.

„Żeby ci, którzy nie będą posłuszni, udali się do swoich braci, którzy mają dar proroctwa i umieją języki nieznane, by się od nich dowiedzieli, jaki ich los czeka.

Adres po przeczytaniu i uroczystym rozbiorze, jednomyślnie był przyjęty. *Meeting* przerwał potém swoje posiedzenie na 2 godziny, wysławszy deputacyą do Phelpsa, redaktora dzienników mormońskich, Partridge biskupa i dozorcy magazynu generalnego Mormonów, żeby im przełożyć, że najlepiéj wypadało im poddać się. Po rozpoczęciu posiedzenia deputacya oznajmiła, że nie mogła otrzymać kategorycznéj odpowiedzi, że Mormoni żądali zwłoki niepodobnéj, żeby się mieli czas naradzić nietylko z temi, co są w Independence, ale i z Józefem Smith, który był naówczas w Kirtland. W skutek czego natychmiast postanowiono jednomyślnie, że drukarnia *Stara* będzie zniszczoną, że prasa i charaktery będą złożone w miejscu bezpieczném. Postanowienie to było natychmiast wykonane z największym porządkiem, o ile można bez hałasu, jako téż *inne tego rodzaju środki*; a nie było krwi rozlewu, ani żadnéj bójki. *Meeting* odroczył się do trzech dni, żeby dać czas Mormonom rozważenia swojego położenia i losu, jaki ich czekał, jeżeliby nie chcieli być posłuszni.

Inne środki tego rodzaju, o jakich wyżéj zdają się wspominać, zapewne były *umazanie w smole* i *opierzenie* dwóch Mormonów. Phelps, dziennikarz miał dosyć szczęścia ukryć się przed poszukiwaniem tłumu, ale biskup Partridge i inny święty nazwany Allen nie byli tak szczęśliwi: pochwyceni, z szat obnażeni, umazani w smole, taczani byli w pierzu i w tym stanie oprowadzeni po ulicach wśród wrzasków pospólstwa. Naczelny zarządca prowincyi Missouri, Lilburn W. Boggs, który z zaciętą nienawiścią ścigał Mormonów, i którego uważają jako głównego sprawcę przedwczesnéj śmierci proroka, gorszy od Poncyusza Piłata, znajdował się niedaleko, a nic nie przedsięwziął dla spokojności publicznéj. *Meeting* zebrał się na nowo 23 lipca rano; znajdowało się na nim kilka setek ludzi dobrze uzbrojonych, mających czerwoną chorągiew. Oznajmili zamiar wypędzenia z Missouri całéj sekty, jeżeli spokojnie nie ustąpi. Trudno było się oprzéć; naczelnicy Mormonów przyrzekli w imieniu swoich, że jeżeli im czasu pozwolą, sami wyjdą w puszcze zachodnie. Ułożono więc w formie przymierze i podpisano: połowa Mormonów z familiami miała wyjść 1 stycznia następnego roku, a druga połowa 1 kwietnia. Zobowiązywali się nic drukiem nie ogłaszać, ani z innych krajów nie przybywać do Missouri. Druga strona przyrzekła uroczyście, że nie użyje żadnego gwałtu przeciwko Mormonom, byle wypełnili wszystkie warunki przymierza.

(Dokończenie nastąpi).

Wyjątek z listu Ignacego Domejki (1).

Valparayzo, 7 kwietnia 1842.

Najdrożsi moi! Wiadomo wam, że co rok, latem, w miesiącach wakacyjnych odbywam podróże w góry. Roku przeszłego będąc w Sant-Yago, przedniejsi obywatele zaproponowali mi, abym tych wakacyj zwiedził Kordyliery, położone naprzeciw tego miasta o półtorasta mil tutejszych (70 do 80 naszych) na południe od Coquimbo, i ofiarowali mi wyłożyć koszta na górników, którychbym potrzebował do poszukiwania żył miedzi i srebra, i na wszystko czegobym zapotrzebował, jakoto: na konie, muły, żywność i przewodników. Jakoż, zaledwo uczniowie moi zdali byli examen roczny przy końcu grudnia, wezwano mię do stolicy, gdzie utworzyła się kompania do exploatowania kopalni, które spodziewano się że odkryję, i na dostarczenie funduszów na podróż. Prezes Rpospolitéj, dwóch ministrów, dwóch generałów i wielu przedniejszych urzędników weszło do téj kompanii, i przyrzeczono dla mnie jednę akcyą oprócz chwały i wdzięczności. Wiedząc, że w południowych prowincyach Chili, gdzie szczególnie rolnictwo kwitnie, nie masz dobrych górników i doświadczonych w górniczém rzemiośle ludzi, przyjąłem na służbę pięciu silnych górników z kopalni położonych blizko Coquimbo, jednego mayordomo czyli dozorcę, i jednego starego *cateadora* (tak nazywają ludzi co się zajmują szukaniem żył mineralnych w górach). Wysłałem tych ludzi lądom 1 stycznia do Sant-Yago, a sam parowym statkiem popłynąłem morzem do Valparayzo, zkąd 10 stycznia przyjechałem do stolicy najętym o dwóch kołach powozem. Jestto jedyna droga w całém Chili, na 35 mil długa, wielkim kosztem zrobiona jeszcze za hiszpańskiego rządu, po któréj jeździć można pojazdem; i tak jest ludna, tyle się na niéj spotyka podróżnych i ogromnych fur opakowanych towarami, jak na największych gościńcach w Europie. Albowiem droga ta prowadzi z największego dziś portu na brzegach południowego oceanu, do stolicy, która dziś liczy więcéj 80,000 mieszkańców, i od któréj rozchodzą się kommunikacyjne drogi do wielu wsi i miasteczek, rozsianych po owéj dolinie

(1) Jestto list wstawionego geologa Ignacego Domejki; uczeń b. uniwersytetu wileńskiego, udawszy się do Ameryki południowéj, został tam w Rptéj chilijskiéj professorem mineralogii. Wkrótce przez wieloliczne uczone prace i nowe odkrycia w geologii dał się poznać w Paryżu, i obecnie uważanym jest za jednego z piérwszych geologów. Jakkolwiek list przytoczony jest z daty 1842 r., redakcya Bibl. Warsz. chętnie go umieszcza, jako zawierający ciekawe podania o kraju mniéj znanym, a do tego pisany przez rodaka naszego. *P. R.*

szerokiéj, objętéj dwoma łańcuchami gór, która więcéj niż na sto mil ciągnie się od północy ku południowi. Valparayzo zaś podniosło się szczególnie podczas ostatnich rewolucyj w Peru, Ekwadorze i Mexyku; jest teraz główną przystanią okrętów i składem towarów europejskiego handlu, i liczy około 30,000 mieszkańców. W pięć dni po przybyciu do Sant-Yago, nakupiwszy koni i mułów, udałem się do *Raneagua*, departamentowego miasta, o 25 mil położonego od stolicy, i ztamtąd ruszyłem w góry, w towarzystwie siedmiu ludzi, których sprowadziłem był z Coquimbo, i dwóch przewodników miejscowych. Dla bezpieczeństwa i mojéj wygody dał mi prezes do posługi jednego żołnierza, sierżanta od kawaleryi, i przysłano mi namiot, podostatkiem żywności i wszelkie narzędzia górnicze do poszukiwań. Miałem do tego barometr do mierzenia wysokości, i wiele innych narzędzi fizycznych i chemicznych do robienia obserwacyj i prób na miejscu.

Wyobrazić sobie możecie, że taka wyprawa podobała mi się wielce, i z ochotą do niéj ruszyłem. Wiedzieć potrzeba, że owa podłużna dolina, na któréj *Sant-Yago, Raneagua, St. Fernando, Talca* i wiele innych miast leży, oddziela pasmo gór nadbrzeżnych, których wysokość nie przechodzi 4,000 stóp, i które są pokładem niezliczonych kopalni złota i miedzi, od pasma wyższych Kordylierów, znanych pod nazwiskiem *Andes de Chiles*, gdzie za hiszpańskiego rządu znaleziono bogate kopalnie srébra i w którychto górach od dawnego czasu zaniedbane było górnictwo. Dla tych przyczyn i bardziéj ciekawy składu i natury gór wysokich, pokrytych odwiecznym śniegiem, obrałem za przedmiot do poszukiwań to ostatnie pasmo, choć podróż była trudniejsza, kosztowna i kraj zupełnie pusty, i tylko latem dostępny.

Dwudziestego drugiego stycznia przeprawiłem się na drugą stronę rzeki Cachapual z całą moją karawaną, i we trzy dni marszu poza tą rzeką w górę, byliśmy już w Kordylierach *Cauquenes* na wysokości 1760 metrów (więcéj 5,000 stóp nad poziom morza), zkąd rozesłałem w rozmaite strony górników dla rozpoznania skał i wąwozów. Trudno sobie wyobrazić zupełniejszą i dziksżą pustynię, jak w tych górach; ludzie mieszkają tylko u wejścia do poprzecznych dolin, gdzie się te ostatnie oddzielają od głównéj doliny podłużnéj; a ktokolwiek chce zajrzéć choć na parę mil w głąb owego pasma Kordylierów, musi opatrzyć się dobrze w żywność, albowiem ani jednéj chaty nie ujrzy, ni jednego człowieka nie spotka. Jednakże po wszystkich spadzistościach i parowach, nawet na wierzchołkach gór pod samą strefą śnieżną, widać pasące się trzody niezliczonych krów, koni i mułów. Pięć tysięcy bydła miał obywatel, do którego należały te góry, a jego sąsiad po drugiéj stronie rzeki miał 18,000

rogatego bydła, mnóstwo koni i mułów. Wszystkie te trzody pasą się zostawione same sobie, i bez żadnego dozoru, rozproszone po górach familiami po kilkanaście lub kilkadziesiąt sztuk, młodzież obok starszyzny. Widząc to, rzekłbyś, że kraj ten, najszczęśliwszy na świecie, nie zna żarłocznych zwierząt i zupełny pokój panuje w królestwie zwierzęcém; ale nigdy nie zapomnę wrażenia jakiegom doznał, kiedy w jednym z odludnych parowów między temi górami, znalazłem budę uplecioną z chrustu, przy któréj na drzewie wisiało dziesięć głów lwich rozmaitego wieku i wielkości. Byłato buda *leonera*, tojest człowieka, którego rzeczą jest polować na lwy, a za każdego lwa ma 6 piastrów nagrody od właściciela majątku; polują zaś poprostu psami, które wytropiwszy zwierza, dopóty uganiają za nim, aż go zmordują, i przy pomocy leonera, złowią i rozedrą. Psy nie są większe od naszych wiejskich pokurciów, i lew niepodobny do afrykańskiego: nie tak zuchwały, mniejszy i ucieka od człowieka, jeśli nie jest rozdrażniony lub bardzo głodny. Drugim nieprzyjacielem trzód i daleko niebezpieczniejszym od lwa, jest *kondor*, czyli ogromnéj wielkości orzeł tutejszy, który pospolicie czatuje na cielęta. Słyszałem, że większa połowa młodzieży, co rok ginie od orłów. Zbierają się zazwyczaj te ptaki do miejsca, zkąd usłyszą beczenie, i podczas kiedy inne strasząc i bijąc skrzydłami, odpędzają biédne cielę od swojéj matki, jeden najzręczniejszy kondor wydziéra mu język, drugie przylatują, szarpią, i w godzinę zaledwo kości zostaną. Ciekawe też jest polowanie na te orły; robi się płot duży albo zagroda z chrustu, na kilka stóp wysoka, podobna do naszych zagród na owce, poczém zabijają w téj zagrodzie dwa czy trzy konie stare lub kaleki, i zostawiwszy otwarte do zagrody wrota, ludzie ukryci czatują zdaleka w parowach. Wtenczas zlatują się zaraz orły, których węch ma być tak silny, że według mniemania górników, o kilka mil zwietrzą zdechlinę. Napełnia się zagroda kondorami, obżerają się do woli, i opychają się tak straszliwie, że się podnieść nie mogą na skrzydłach. Wtenczas wypadają z ukrycia ludzie, wpadają w zagrodę, zamykają wrota i potężnemi maczugami wybijają wszystkie kondory, które nie mając miejsca, gdzieby się rozpędzić i roztoczyć skrzydła swoje mogły, rzucają się na ludzi, szarpią, ale w końcu wszystkie do jednego giną. W letniéj porze, kiedym podróżował, wszystkie trzody przepędzone były pod strefę najwyższą, gdzie topniejące nieustannie śniegi, ciągle odwilżają ziemię i utrzymują paszę; muły też i konie w tymże czasie przypędzone znad brzegów morza, i z okolic zupełnie ogołoconych z trawy, zostają tu przez parę miesięcy. Zaledwo przejdzie pora największych upałów i zacznie śnieg padać na wierzchołkach Kordylierów, przyjeżdża *vaquero*, tojest człowiek zawiadujący trzodą, wespół z kilku

pomocnikami, i zaszedłszy od strony najobfitszych śniegów, zaczyna hukać, jakby zapowiadając nadchodzącą zimę. Posłuszne temu głosowi najstarsze byki schodzą, i za niemi zstępują wszystkie trzody i młodzież, ku niższym górom i spadzistościom, gdzie umyślnie na to oszczędzano poschłą już oddawna, ale tak dobrze, jak w naszych stodołach zachowaną na pniu paszę. Za trzodami rogatego bydła, zstępują stada koni, i stopniami, jak nadchodzi zima, zbiegają wszystkie zwierzęta ku dolinom, aż się doczekają zimowych deszczów, któremi ożywiona pustynia zakwita jednym razem, jako najpiękniejszy ogród. Miesiące zimowe są najlepszą porą, ale trzody pasą się w tym czasie przy nizinach, bo reszta gór śniegiem okryta; a ilekroć śnieg pada na wyżynach, deszcze panują w niższéj strefie. Na wiosnę, bydło jest w najlepszym stanie, i wten czas wyjeżdża sam właściciel w góry, z gośćmi i wielkim orszakiem służących i poddanych, na tak nazwane *rodeo*; zdarza się, że więcéj stu jeźdźców na wybornych koniach mu towarzyszy. Ich obowiązkiem jest spędzać ze wszystkich gór i prawie niedostępnych skał bydło, w zagrody umyślnie na to porobione. Z tych zagród, ludzie silni i zręczni oddzielają sztuki, które są w piątym roku, i z nich jednę część natychmiast przedają innym właścicielom, którzy z północnych prowincyj tu przyjeżdżają, i zakupione bydło prowadzą o półtorasta mil do swoich majątków. Większą zaś część oddzielonego bydła na tém *rodeo*, sam właściciel sprowadza do swojego folwarku, który zazwyczaj położony jest na saméj dolinie, nad rzeką, i gdzie zasiewa znaczną część pola lucerną przeznaczoną na karm dla sztuk wybranych. Sprzedają się one potém, jużto rzeźnikom do miasta, jużto na wędzonkę, łój i skóry, z czego pochodzi główny i po wielu miejscach jedyny dochód dla obywateli. Napiszę wam kiedyś obszerniéj o tém *rodeo*, na którém jeździec i góral cudów dokazują na swoich koniach, wstrzymując arkanem i osadzając w największym pędzie zdziczałego byka, na spadzistościach i urwiskach skały. Na ten raz wróćmy do górniczéj podróży, o któréj choć pokrótce powiedzieć wam muszę niektóre szczegóły.

Doszliśmy 26 stycznia do źródeł rzeki *Rio de los Cypreses*, która to rzeka wypływa zpod ogromnego pokładu odwiecznych lodów, na 300 do 400 stóp grubego, między 34° a 35° szerokości geogr. Z niejaką trudnością przeszliśmy przez te lody i wdrapaliśmy się na skały, gdzie było podanie, że za dawnych czasów znaleziono żyły złota i srébra, co zapewne nadało tym skałom nazwisko *Rincon de los Mineros* (kąt górników). Pomimo tego, że massy śniegów mieliśmy pod sobą, i wierzchy Kordylierów okryte lodem na kilkaset sążni wysokie były nad nami, termometr w cieniu wskazywał 23° ciepła, barometr 0,554 me-

trów, co odpowiada wysokości 2,805 metrów (do 9,000 stóp nad poziom morza). Tu uczułem niejakie symptomata słabości zwanéj między góralami *puna*, pochodzącéj zapewne z bardzo rozrzadzonego powietrza, tojest wielkie pragnienie i taką słabość, że kilkadziesiąt kroków bez odpoczynku zrobić nie mogłem. Moi jednak górnicy biegali i czepiali się po skałach z największą łatwością. Niedługośmy gościli, jak każdy się domyśli, w tém miejscu ogołoconém zupełnie z wegetacyi, i gdzie nad wieczór, ledwo się zniżyło słońce, termometr spadł do zera, i pościnały się wody. Nazajutrz spuściliśmy się na dolinę rzeki *de los Cypreses*, i obiegłszy okoliczne skały na sześć do siedmiu tysięcy stóp wysokie, rozpoznawszy ich naturę, pociągnąłem z całą karawaną na północ. 29 stycznia przeprawiliśmy się przez rzekę *Cachapual*, w górze naprzeciwko wód mineralnych, po moście uplecionym z chrustu i surowcowych powrozów, a zawieszonym na dwóch brzegach rzeki, w taki sposób, jak są najnowsze w Europie mosty o żelaznych łańcuchach. W istocie, kształt i budowa tych mostów, które od niepamiętnych czasów znajome były Indyanom, mogły dać myśl europejskim inżynierom, do budowy wiszących mostów żelaznych, które zdaleka zupełnie są podobne do tutejszych indyjskich mostów, tylko, że te ostatnie przed odkryciem Ameryki były z trzciny, czy też z chrustu i z powrozów roślinnych. Przechodząc przez taki most, choć nie masz niebezpieczeństwa, jednak trudno utrzymać się na nogach, bo tak się rozciągają powrozy i cały most tak się waha i podskakuje, jak gdyby na huśtawce. Krajowcy jednak konno i paląc cygara przebywają most długi, choć cały pokład nie ma więcéj nad 2 łokcie szerokości, a na kilkadziesiąt stóp pod nim bezdenny potok.

W kilka dni potém podnieśliśmy się znowu do wysokości śniegów, i w jednéj z gór, które obeszłem w Kordylierze *de los Puquios*, znalazłem bogatą żyłę miedzi, z któréj kawałki kruszcu posłałem natychmiast do Sant-Yago, z pocieszającą wiadomością o tém do junty dyrekcyjnéj, mającéj się zajmować exploatacyą. W tych górach zastały mię zapusty, i straszliwa burza ze śniegiem i gradem; a co mię bardzo bolało, w jednéj przeprawie trudnéj, między skałami, spadł mój barometr w przepaść i potłókł się w kawałki, tak, że potém nie byłem w stanie mierzyć wysokości gór. Ale w tydzień potém Pan Bóg mię pocieszył; bo w jednéj wycieczce do Kordyliery zwanéj *del Teniente* znalazłem kopalnie miedzi od dawnych czasów opuszczone, które teraz mogą przynieść niemały dochód dla kompanii.

W połowie lutego opuściłem góry, leżące naprzeciw *Raneagua*, i pociągnąłem naprost nie schodząc na doliny, ani do miejsc osiadłych, trzymając się wysokości blizkiéj śniegów, na północ, ku górom, gdzie

roku przeszłego widziałem kopalnie San-Pedro Nolasco. Łańcuch, po którym szliśmy, zdawał mi się być przedłużeniem gór tegoż nazwiska, i w istocie był jednéj natury, chociaż mię zawiódł w oczekiwaniach moich górniczych. Podróż jednak była przyjemniejszą, niżeli piérwszych dni wyprawy. Nawykłem już był do koczowniczego życia, zdrowie mi służyło, jak nigdy; z nadzwyczajnym smakiem jadałem krupnik z wędzonki *(charqui)* z czerwonym pieprzem i cébulą, i wyborny zawsze miałem nocleg u ogniska pod gwiaździstém niebem, gdzie mię usypiali górnicy swojemi baśniami lub śpiewaniem hiszpańskich romansów. W parowach głębokich, choć blizko wierzchu Kordylierów, znajdowaliśmy podostatkiem krzewów, kwitnące mirty i wiele drzew zielonych podobnych do naszego dębu i brzozy. Wyżéj nad niemi, blizko już strefy, gdzie nawet w czasie mojéj podróży, tojest w połowie lata wiele śniegu leży z ostatniéj zimy, nikną owe piękne, pachnące liściowe krzewy i drzewa, a poczyna się strefa drzew iglastych, smutnych, które w tym kraju, gdzie nie masz sosen, zastąpione są przez jakiś gatunek cyprysów, takiego kształtu i wielkości, jak nasze karłowate sosny. Cyprysy te wydają zapach bardzo przyjemny, i są podczas burzy schronieniem dla podróżnego, na przypadek, gdy się naprędce nie znajdzie jaka grota lub jaskinia w skałach. Ponad niemi żadne już drzewo, ani żaden wielki krzew nie rośnie; trawa jednak acz niewielka, tak jest soczysta, że się nią bydło prędko nasyca, i między trawą widać mnóstwo kwiatów dziwnie pięknych blado-różowego koloru, podobnych ze kształtu do naszych lilij. Wyżéj nad tą wegetacyą, natura jest prawie martwą, i tylko dla górników powabną. Nie masz téż na całéj owéj przestrzeni gór nizkich i najwyższych żadnego płazu, ani owadu jadowitego, tak, że z zupełném bezpieczeństwem wędrownik może spać na ziemi nie podesławszy nawet płaszcza. Z dzikich zwierząt *guanaco*, zwierzę podobne do naszych sarn czy jeleni, tylko daleko większe i piękniejsze, dziwnie lekkie i pięknych oczu, łagodne, i żyjące zawsze w parze albo trzodami, jest mieszkańcem tutejszym. Lwa nigdy nie napotkałem; lisy podobne do naszych: turkawki, kuropatwy, miejscami papugi zielone, mnóstwo jaszczurek i wężów nieszkodliwych, i niezmierna liczba jakiegoś gatunku kretów *(chululu)*, od których po wielu miejscach cała powierzchnia gór jest podziurawiona, stanowią królestwo zwierzęce, między któremi kondor zdaje się być królem; lew bowiem, jak mi mówiono, chowa się po parowach, wypada tylko polować na bydło i konie, a ucieka od ludzi, od psów zaś gorzéj, niż lis lub *guanaco*.

Piérwszego marca doszliśmy do góry San Pedro, gdzie znalazłem takie zimno, jak u nas w październiku lub w grudniu. Obszedłem wie-

le dawnych opuszczonych kopalni, i zszedłszy na dolinę rzeki *Maypu*, przeprawiłem się na drugą stronę dla obejrzenia gór położonych naprzeciw *Sant-Yago*. Przez dwa tygodnie jeszcze podróżowałem z całą karawaną, używszy tylko jednodniowego odpoczynku nad rzeką *Maypu*, w folwarku jednego z moich przyjaciół, gdzie znalazłem nadzwyczajną obfitość wybornych brzoskwiń, winogron, kawonów i t. d. W połowie marca zakończyłem moję exkursyą na górach zwanych *Cerros del Volcan*, zwanych od wulkanu, który panuje nad niemi. Znalazłszy w tych górach wiele żył miedzianego kruszcu, mogących z czasem przynieść niemało dochodu, zostawiłem tam moich górników i mayordomów, wybrałem trzy punkta w których rozpocząłem exploatacye, i sam wróciłem do stolicy, zdrów zupełnie i nie czując bynajmniéj trudu, ani zmordowania od dwumiesięcznéj wędrówki.

W Sant-Yago znalazłem, że rozłakomieni owym bogatym kruszcem, którego próby posłałem był z *Puquios*, obywatele, poczęli się już kłócić o tę kopalnią i prawować się. Dwóch członków saméjże junty dyrekcyjnéj naszéj kompanii, weszło każdy zosobna w umowę z ludźmi nienależącemi do téj kompanii, i utworzyli dwie inne kompanie sobie przeciwne, i przeciwne téj, dla któréj pracowałem. Widząc to, i nie zastawszy w stolicy członków rzeczonéj junty, zebrałem wszystkich obywateli należących do naszéj kompanii, i złożyłem im dziennik mojéj podróży, z wyszczególnieniem wszystkich żył i kopalni, które znalazłem, i które mi się wydały godnemi exploatacyi; oddałem im próby kruszców z każdéj żyły metalicznéj, zdałem rachunek z kosztów wyłożonych na całą wyprawę (choć mię o to nie pytano), a któreto koszta wyniosły do 1,800 piastrów (9,000 franków), i otrzymawszy od wszystkich publiczne podziękowanie, wyjechałem natychmiast, nie chcąc mieszać się do niezgód i procesów, jakie między temi ludźmi zajść mogą. Co do mnie, nic nie straciłem na téj wyprawie: nabyłem zdrowia i znajomości gór, odbyłem podróż, któréjbym swoim kosztem nie był w stanie przedsięwziąć, i zostaje mi jeszcze jedna akcya w kompanii, która jeżeli wybrnie prędko z procesów, może wiele zyskać. W przeciwnym zaś razie oświadczyłem, że nie należę do kosztów na kłótnie i pieniactwo.

Przybyłem tu w wielką środę i dowiedziałem się, że minister oświecenia przychylając się do projektu, jaki podałem był przeszłego roku, wysyła teraz trzech moich najlepszych uczniów na trzy lata na wojaż do Europy. Podczas kiedy czekałem tu na statek parowy, który miał mię przewieźć napowrót do Coquimbo, przybyli tu owi trzej młodzi ludzie i wkrótce mają odpłynąć do Francyi. Przez nich wysyłam ten mój list nieco przydłuższy, w pewności że dojdzie. Trzy lata jeszcze mam obowiązek pracować tu w Chili..... Pozdrawiam was moi najdrożsi i t. d.

J. D.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851. WARSZAWA.

51. Dobry byt fabrykantów i rzemieślników czyli zbiór pożytecznych i praktycznych rad (,) z wielu autorów francuzkich (;) wraz z biografią najznakomitszych właścicieli zakładów przemysłowych w kraju i zagranicą. Przełożył i wydał Karol Łada wydawca Noworocznika dla ziemian. Część I. 12ka. Warszawa. 1851. Druk J. Jaworskiego. Kart 2 i str. 188. Złp. 3 gr. 10.

52. Dykcyonarz biograficzny powszechny, czyli krótkie wspomnienia żywotów ludzi wsławionych cnotą, mądrością, przemysłem, męstwem, wynalazkami, błędami, od początku świata do najnowszych czasów. 8ka. Warszawa. 1851. Nakładem G. L. Glücksberga, drukiem J. Jaworskiego. 2 tomy. Tom I. str. 642, II, 422. Złp. 50.

53. Powieści z pisma świętego wybrane z ksiąg historycznych starego zakonu. Z stosownemi do nich naukami moralnemi, przez autorkę Pamiątki po dobréj matce. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład Maurycego Orgelbranda, druk J. Jaworskiego. Str. 387 i rejestru kart 2. Złp. 10.

54. Spis szlachty Królestwa Polskiego, z dodaniem krótkiéj informacyi o dowodach szlachectwa. 16ka. Warszawa. 1851. Druk St. Strąbskiego. Napisów karta 1, przedmowy str. II i informacyi str. XVII. (Tytuł, przedmowa i informacya z textem rossyjskim). Złp. 6 gr. 20.

WILNO.

55. Stary mąż. Komedya we czterech aktach, przez Józefa Korzeniowskiego. Wydanie drugie. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 138. Złp. 5.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Orgelbranda wyszedł zeszyt IIgi *Piśmiennictwa polskiego* W. A. Maciejowskiego, zawierający dokończenie *literatury ludowéj*. Zwrot II: piśmiennictwo polskie najdawniejsze w rękopisach i pierwotnych dochowane drukach. Zwrot III: *Ludowo-Narodowa* literatura.— Tegoż nakładem wyjdzie wkrótce zbiór powieści J. *Wieniarskiego*, we dwóch tomach.

— Księgarz J. Bernstein ukończył już druk *Życiorysów* we dwóch wielkich tomach.

— U J. Jaworskiego drukuje się drugie wydanie powiększone *Klechd* K. Wł. Wojcickiego.

— Nakładem *G. Sennewalda* wkrótce wyjdzie zpod prasy drukarskiéj dzieło pośmiertne *Jana Majorkiewicza* p. n.: *Historya serca i rozumu* (uczucia i wiedzy) w dwóch częściach, a w jednym obszernym tomie.

— Nakładem i drukiem J. Czecha w Krakowie ukazało się dziełko: „Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D.

— Na scenie teatru krakowskiego przedstawiono w miesiącu marcu dwa utwory dramatyczne znanego autora kilku dobrych powieści i tłumaczeń Szyllera i Göthego p. Adama Gorczyńskiego, pod tytułem: *Anglik*, komedya, i *Baibusa*, dramat.

— P. Sabiński księgarz w Wadowicach, wydał swojém staraniem: Pieśni i ballady Göthego, przełożone przez A(dama) G(orczyńskiego). W ogłoszeniu zapowiada także przekład niektórych tragedyj Göthego, jak: Tasso, Ifigenia i Egmont, dokonany przez któregoś z młodych literatów.

— Jan Nepomucen Kamiński, przez lat tyle dyrektor teatru lwowskiego, ma wkrótce ogłosić dzieło p. n.: *Dusza jako myśl, słowo, znak.*

— Odkryty pomnik przedchrześciańskich czasów, posąg *Światowida*, już zawitał do Krakowa. Wkrótce umieścimy w naszém piśmie opis najdokładniejszy i samego pomnika, i historyą jego odkrycia.

— Tom VIII Historyi literatury polskiéj Michała Wiszniewskiego już opuścił prasę drukarską. Kosztować będzie złp. 18.

— Towarzystwo Jabłonowskich (Societas Jablonoviana) istniejące w Lipsku, a założone przed 100 laty przez Józefa Alex. księcia Jabłonowskiego, podało do konkursu na rok bieżący i przyszły następne rozprawy:

1) *Na rok 1851*: Jaki miało wpływ na stosunki polityczne Saksonii, połączenie elektorstwa saskiego z królewską koroną polską?

2) *Na rok 1852:* Historya przemysłu i handlu miasta Gdańska do r. 1308, ze szczególnym względem na jego stosunki z Hanzą, i na jego ludność niemiecką.

Rozprawy mogą być pisane po łacinie, po niem. lub po francuzku. Każda rozprawa powinna być pisana wyraźnie z dokładną liczbą stronnic, i zawierać zapieczętowaną kopertę z godłem zewnątrz, a z nazwiskiem i zamieszkaniem autora wewnątrz. Termin złożenia pierwszéj rozprawy jest na 30go listopada r. b. Adres do prof. *Naumana* w Lipsku. Nagroda dla niéj jest podwójną, 48 dukatów.

Nie można tu zamilczeć, że towarzystwo obeszło cokolwiek myśl fundatora. Obiedwie rozprawy, a szczególnie pierwsza, tyczą się więcéj interesów niemieckich, niż polskich. Ściśle mówiąc, należało towarzystwu inaczéj obrócić zdanie i pytać nie o wpływ Polski na Saksonią, ale o wpływ Saksonii na Polskę; wątpić bowiem należy, aby kto z Polaków uczuł silny popęd do wdawania się w interesa saskie.

— Górno-łużyckie Tow. umiejętności w Gorzelicach odbyło na d. 23 kwietnia r. b. 99te posiedzenie swoje, na którém po raz wtóry ogłoszono 100 talarów nagrody za napisanie rozprawy: „Rys historyczny wojny między niemieckim królem Henrykiem II i Bolesławem Chrobrym ks. pol., na źródłach oparty". Termin wyznaczony na 31 stycznia 1852 r. Na témże posiedzeniu wyznaczono fundusz na druk 3go tomu nowego poczetu dzieła zbiorowego: *Scriptores rerum Lusaticarum.* Prace tego Tow. blizko tyczą się naszych dziejów, mianowicie Piastowskich czasów.

— W miesiącu kwietniu r. b. miała miejsce w Krakowie mała wystawa robót uczniów szkoły malarskiéj: pp. Mireckiego, Plessa, i Szynalewskiego.

Wystawa ta miała za cel konkurencyą o fundusz 3,000 zł. pol. na podróż do Rzymu. Roboty były dowolne, jakie w ciągu lat kilku wykonali kandydaci. Wystawa składała się najwięcéj z portretów, widoków martwéj natury i kompozycyj większych treści religijnéj. P. Mireckiego ś. Martynian uderzał doskonale, do złudzenia, wypracowaną rogożą, która przysłaniała nagość świętego; lecz oprócz głowy w téjże figurze dobrze zrobionéj, reszta części ciała, mianowicie nogi i ręce, nie odpowiadają szerokim barkom i piersiom. Mimo tego, kompozycya ta ma jakiś urok poezyi: brzeg skalisty, bałwany morskie, niebo pochmurne, tworzą poetyczny kontrast z postacią świętego, spokojną i zanurzoną w modlitwie. P. Szynalewskiego: Ścięcie św. Jana, aczkolwiek rysunek figury świętego poprawniejszy i pewniejszy, użycie kolorów mniéj szczęśliwe, a osoba pokazującego się we drzwiach kata, tak nieśmiało namalowana, że wziętoby ją raczéj za portret wiszący na ścianie, niż za aktora krwawéj tragedyi. Co do portretów, sąd był trudny, który z trzech kandydatów ma pierwszeństwo? Wszyscy bowiem dali dowód, że w tym rodzaju najmocniejsi; a co więcéj, sposób ich malowania tak się nic a nic nie różni między sobą, że najwprawniejszy znawca nie umiałby scharakteryzować osobistych zdolności młodych malarzy. Że taki był sąd ogólny, dowód w tém najlepszy, gdy w rozprawach komu przyznać stypendium, proponowano nakoniec losowanie. W portretach tych nic więcéj nie widać, tylko niewolnicze naśladowanie mistrza, p. Sztatlera, które odejmując indywidualną stronę talentu, jaki mieć mogą uczniowie; umysł ich wysila się usiłując przyswoić sobie wszystkie tajemnice mistrza, ręka bojaźliwie wodzi pędzlem, ztąd powstaje wymęczony płód, który naturalnie nieożywiony samodzielną myślą, musi nakoniec przejść w maniery, jak wszystko, co nie z nas samych bierzemy. Panu Szynalewskiemu, jako najpoprawniejszy mającemu rysunek, czego dowodem jest osoba św. Jana, najwięcéj harmonii mająca, przyznanym został fundusz na wyjazd do Rzymu.

— Jest tu także w ruchu projekt założenia *Kunstvereinu*, za pomocą którego artyści wystawialiby i zbywali swoje płody. Środek podobny niezmiernie ożywiłby sztukę malarską, którego Czechy używszy, przyszli już dziś do znamienitych artystów pod każdym względem.

(*Wyjątek z listu do redakcyi*).

„Dowiadujemy się z pewnego źródła, że lwowska Ossolińskich biblioteka jest od pięciu przeszło miesięcy otwarta dla powszechnego użytku. Codziennie, prócz soboty i dni świątecznych, zasiada w umyślnie urządzonéj na ten cel sali od godziny 9 z rana do 2 popołudniu, grono czytelników, których liczba niekiedy do 120 osób dochodzi. Z księgi w któréj każdy czytelnik imię swe i tytuł żądanego dzieła wpisuje, można powziąć z radością to przekonanie, że nie romanse, ale dzieła po większéj części naukowe, lub obyczajowość przedewszystkiém na celu mające, znachodzą najwięcéj czytelników. Jakkolwiek urzędnicy dzisiejsi Biblioteki nieliczni są, i po największéj części tymczasowi, panuje jednak w czytelni należyty porządek i nadzor".

Redakcyą Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1851.

Kwiecień 1851. Dostrzeżenia w Obserwatorym Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom mora, jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie $1^{g.}\ 14^{m.}\ 45^{s.},7$ czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschd względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Dostrzeżenia wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1	●	745.76	747.57	748.67	750.93	+ 2°.7	+ 2°.7	+ 6°.0	+ 3°.4	79.
2		752.77	753.97	754.00	754.55	1.0	5.9	4.3	1.2	78.8
3		752.97	752.04	750.07	748.28	— 0.2	4.7	3.1	4.4	85.
4		746 35	746.73	746 55	746.85	+ 1.6	7.4	8.4	4.7	82.
5		747.05	748.33	747.96	749.37	4.5	9.9	14.7	7.4	69.7
6		750.21	750.75	751.16	752.22	3.9	10.4	11.6	7.4	60.2
7		752.97	753.27	753.01	753.65	4.4	8.9	9.5	6.8	71.
8		754.50	754.30	753.56	753.74	4.0	9.8	12.7	7.4	61.7
9	◑	753.35	753.42	752.96	753.32	5.5	11.3	14.9	9.3	64.5
10		752.91	753.30	752.72	753.02	6.0	11.4	15.1	10.0	61.7
11		752.75	753.03	752.05	752.34	4.6	11.5	16.7	8.5	58.5
12		751.80	751.83	751.68	751.65	3.6	9.8	14.6	6.4	58.0
13		751.27	752.44	751 61	752.49	3.0	10.5	13.6	6.3	54.2
14		752.73	753.10	751.85	752.59	3.1	10.7	13.0	11.7	70.7
15		752.70	752.95	751.32	751.54	2.9	10.3	12.9	5.3	66.5
16	○	751.03	751.00	749.18	749.91	3.1	10.6	14.1	8.2	72.2
17		751 58	751.67	751.53	753.65	6.0	12.1	14.8	7.8	53 0
18		754.96	755.49	754.21	754.56	4.6	10.7	13.9	5.8	66.5
19		753.12	752.15	749.76	748.98	2.5	11.0	15.8	9.7	68.7
20		752.14	752.51	750.00	748.46	5.2	10.1	15.2	9.4	64.5
21		745.71	744.90	742.77	742.68	5.6	15.9	16.2	13.6	77.3
22		744.05	745 52	745 11	744.91	12.1	17.2	19.8	13.5	69.5
23	◐	742.68	742.65	742.24	743.03	12.5	21.2	19.0	14.3	72.5
24		744.88	746 98	748.34	749.06	11.6	12.3	8.9	7.2	81.0
25		748.15	747.58	744.58	743.26	7.1	13.0	17.9	11.6	66.0
26		742.69	737.57	733.96	733.66	13.3	18.8	22.2	13.7	72.5
27		735.73	738.78	742 41	745.42	7.3	6 4	9.8	4.8	81.5
28		746.11	745.49	743.63	744.64	5.0	13 0	19.2	10.4	70.0
29		744.02	743.71	741.80	741.70	9.6	16.6	19.4	11.7	76.5
30		744.36	744.83	745.54	745.93	5.8	6.9	12.4	5.9	72.0
Śrc.		749.043	749.252	748.474	748.879	+5°.40	+11°.03	+13°.66	+ 8°.26	69.5

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.	8.8	
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
lek. pochm.	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
lek. pochm.	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pr. pochm.	W.	W.	PdW.	W.	1.6	
pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PdW.	W.	PdW.	W.		
pogodny	pr. pogod.	pr. pochm.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pogodny	pr. pogod.	pogodny	pogodny		Pn.	Pn.			
pogodny	napół pog.	napół pog	pogodny	PnW.	PnW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pr. pogod.	pochmurny	deszcz	Pd.	PdW.	Pd.	PdZ.	1.6	
pr. pogod.	pr. pogod.	pog. i smugi	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Z.	4.0	
pog. smugi	napół pog.	napół pog.	napół pogd.	Z.	Z.	Z.	PdW.		
napół pog.	napół pog.	pochmurny	pr. pogodny	Pd.	Z.	Z.	PdZ.		
pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Pn.	Pn.	PnW.		
pochmurny	napół pog.	pog. i smugi	pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdW.	Pd.	5.6	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pogodny	pr. pochm.	pr. pogod.	napół pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	10.7	
pogodny	pr. pochm.	napół pog.	deszcz dr.	PdW.	Pd.	PnZ.	Pn.	0.1	
pochmurny	pochmurny	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	10.8	
								42.3	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.913	27	7.988
Najwyżéj dochodził — d. 18 o g. 10 r.	755.49	27	10.905
Najniżéj — — d. 26 o g. 10 w.	733.96	27	1.362
Średnia zmiana dzienna barometru	2.774		1.254
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 10 w.	11.76		5.213
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.547		0.239
	748.366	27	7.749
Średnia temperatura kwietnia wynosi:	+ 9.°579 C.		+7°.663 R.
i ta jest wyższa o	2.030 „		1.624 „
od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	+ 7.549 „		+ 6.039 „
Największe ciepło dochodziło d. 26 o godz. 4 wiecz.	+ 22.2 „		+ 17.76 „
Największe zimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	— 0.2 „		— 0.16 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.65 „		2.12 „
Największa zmiana dzienna d. 26—27 o godz. 10 rano i 4 wiecz.	12.4 „		9.02 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 18.0 R. d. 23 po połud.
Minimum: — 2.3 „ d. 3 rano

Wody z deszczu spadło wysoko na 43,2 milim., czyli 19,1 lin par.; to jest o 2,6 lin. par. więcéj, od ilości wody, jaka zwykle w tym miesiącu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 69,5 biorąc na 100 albo co do wagi 6.65 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 0.05 mniejszą jak zwykle.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 12, pochmurnych 8.
— deszczu 6 (d. 7, 9, 21, 26, 28, 29).
— śniegu 1 (d. 2).
— mgły 2 (d. 4, 5).
— gradu 2 (d. 28, 29).
— błyskawic i grzmotów 4 (d. 21, 26, 28, 29).
— błyskanie bez grzmotu 1 (d. 25).
Wiatr panujący: Południowo-Wschodni.
Wiatrów mocnych 3 Południowo-Wschodnich.

Kwiecień r. b. był pogodny, suchy, i osobliwie ciepły. Pierwsze cztery dni były chłodne, ostatnie dziewięć gorące. Najcieplejsze dni były: 22, 23, 26, 29. Najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 4. Grzmoty i błyskawice tak częste jak w środku lata. Wiatr Południowo-Wschodni prawie ciągle panujący był przyczyną tak ciągłego stanu powietrza. Dni najwilgotniejsze były 3. 4, 27; najmniéj wilgotne d. 11, 12, 13. Roślinienie wcześniejsze było w tym roku jak zwykle, gdyż w końcu miesiąca niektóre drzewa pokryły się już liściem

D. 5, 10, 11, 13, 14, 18, 24, 25, widziano plamy na słońcu.
D. 20 i 21 Zorza północna widzianą była.
D. 22 o godz. 5 wiecz. słup tęczowy po prawéj stronie słońca.
D. 23 o godz. 9 rano i 3 wiecz. koło białe otaczało słońce.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1851.

Materyały historyczne.

	Stron.
Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego. (Część pierwsza i druga).	1, 401
Rzut oka na dotychczasową polską historyą, p. *Augusta Bielowskiego* (ciąg dalszy)	89, 470
O nagrobku w Sarbiewie, przez *Kajetana Kwiatkowskiego*. (Z ryciną)	137
Paweł z Przemankowa. Rys historyczny z drugiéj połowy XIII wieku w Polsce, z nieznanych po większéj części, lub mało znanych źródeł skreślony, przez *Alexandra Przezdzieckiego*	201
Testament Tomasza Kajetana Węgierskiego	382

Biografia.

Wiadomość o życiu i pismach ś. p. Ignacego Jagiełły, nauczyciela w gimnazyum winnickiém, przez *Alexandra Grozę*	184
Lord Ashley, missyonarz Londynu. Przez *A. Heylmana*	378
Księgarz i nakładca D. E. Friedlein w Krakowie. Przez *A. B. C.*	383

Prawo.

Stron.

Odparcie opinii p. Dutkiewicza w kwestyi: odkąd ustawie hypotecznéj z r. 1818 i połączonym w niéj przepisom służy moc obowiązująca? Przez *A. Heylmana*..... 161

Nauki społeczne.

Sprawozdanie z obrotu handlu zbożowego, drzewnego, tudzież innych płodów w r. 1850. Przez *Alexandra Makowskiego*..... 357

Wystawa powszechna w Londynie. (Artykuł dla Biblioteki Warszawskiéj wyłącznie napisany)..... 535

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii, a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d. (ciąg dalszy)..... 113, 309, 490

Mormony, przez ks. *Józefa Szpaderskiego*..... 562

Literatura.

Nowa epoka literatury historycznéj polskiéj. Przegląd p. *Juliana Bartoszewicza* (ciąg dalszy)..... 259, 428

Powieści.

Tankred de Montecute, czyli nowa krucyata. Powieść przez d'Israeli napisana. Część V, VI i ostatnia..... 25

Poezye.

Ożenienie króla Wukaszina (z gminnych poezyj serbskich)..... 105

Zaklęcia (z ludowych poezyj serbskich), przez *R. Z.*..... 285

Sobie śpiewam, nic komu, przez *Felicyana*..... 533

Sztuki piękne.

O malarzach lwowskich..... 176

Malarze krakowscy. Przez **..... 372

Rozbiory.

Athenaeum. Pismo zbiorowe, poświęcone historyi, filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1849, i roku 1850 tom I do V.—Rubon. Pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznéj rozrywce. Wydawca Kazimiérz Bujnicki. ser. V. t. 1, 2. Wilno. Przez *F. Z.*.. 139

Dzieło p. Vossberg o chorągwiach krzyżackich, przez *T. Żebrawskiego*... 167

Stron.

Kilka słów w odpowiedzi na recenzyą Zabytków miasta Krakowa, umieszczoną w Bibliotece Warszaw. m. luty r. 1851, przez *Ambrożego Grabowskiego*.... 171
Stanisława Strąbskiego Rocznik na rok 1851. Warszawa. Przez *W*..... 173
Rozbiór krytyczny dzieła p. Walentego Dutkiewicza, pod tytułem: Prawo hypoteczne w Królestwie Polskiém, przez *C. Z*..... ..... 289, 452
Emeryt. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1851. Przez *T*... 337
Grammatyka polska dla dzieci krótko zebrana przez Adama Stanisława Krasińskiego Pijara. Wilno. 1850. Przez *T. Sierocińskiego*..... 349
Świat zastosowany do pojęcia młodzieży. Warszawa. 1850. Przez *S. P*.... 354
O źrudle wiedzy tegoczesnéj, przez Dominika Szulca. Warszawa. 1851. Przez *T*..... 547

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Fizyka, p. *S. P*..... 187, 386
Chemia, p. *J. B...ę*..... 389
Mineralogia, p. *J. Bocheńskiego*..... 189

Korrespondencya.

List Ignacego Domejki..... 579

Kronika bibliograficzna..... 194, 393, 586

Doniesienia literackie..... 194, 395, 586
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:
za miesiąc luty r. b..... 197
— — marzec r. b..... 397
— — kwiecień r. b..... 589

Do zeszytu kwietniowego dołączony jest Spis rzeczy, zawartych w drugich 20stu tomach Biblioteki Warszawskiéj, tojest od roku 1846 do 1850 włącznie.

Biblioteka Jagiellońska